Sczytanie: Mirosława Sienkiewicz
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
rok 1936 (marzec-grudzień)
rok 1937
rok 1938 (styczeń-grudzień)
Michał Römer
Rektor Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie (Litwa).
Sztokholm, 1936.III.30.
tom XXXVI.

30 marca, rok 1936, poniedziałek

Na Uppsali skończyła się moja praca odczytowa w Szwecji. Ostatnie trzy dni, od 28 do 30 marca, spędziłem w Sztokholmie. Zresztą i tu nie próżnowałem teraz, miałem czas dobrze i starannie wypełniony. Mieszkam tu nadal w mieszkaniu ministra Sawickiego, samotnie, bo Sawicki już w piątek odjechał do Mentony na urlop miesięczny – na południe, do słońca. Szczęśliwi pod tym względem dyplomaci! Mam do rozporządzenia duże, pięknie urządzone i wygodne mieszkanie Sawickiego, mam klucz do wejścia z ulicy na klatkę schodową i do mieszkania, zjeżdżam i wjeżdżam windą, od nikogo nie zależę, mam wannę do użytku swego przy pokoju sypialnym, usługuje mi gościnna i staranna Fröhin Elza, która mi sprząta pokój, rano kawę podaje. Nie jadam w domu poza śniadaniem rannym, choć p. Elza co dzień mię pyta, czy życzę sobie mieć lunch lub obiad, piszę dziennik przy biurku Sawickiego. Te trzy dni mam spokojne, nie przeładowane i nietrudne, ale dobrze wypełnione. Głównie trzy zajęcia wypełniły mi czas: a. pozowanie do portretu, b. wizyty i c. sprawunki. Dodałbym do tego jeszcze: uzupełniające uprzyjemnienie mi czasu przez naszych przyjaciół szwedzkich, którymi w pierwszym rzędzie są prof. Curman, rektor Sjöwell i docent dr Schück.

Pozowanie do portretu – to rzecz dosyć nudna, szczególnie takie pozowanie, jakiemu mnie się wypadło poddać. Jest tutaj malarz portrecista, niejaki p. Kronstrand, człowiek bardzo próżny. Włóczył się on za młodu po całym świecie, był w Azji, kilka razy w Ameryce Południowej, w Stanach Zjednoczonych, w różnych krajach Europy, mieszkał w Anglii, był w Petersburgu. Wyspecjalizował się w portretowaniu wyłącznie znakomitości i dygnitarzy, umiał podchodzić do tych wysokich figur, zdobywać je pochlebstwem, narzucać się portretowaniem, zdobywać klientelę bogatą, złożoną z samych dostojników. Stał się więc ustosunkowanym. To jest jego ambicją i manią. Jest łakomy na zaszczyty i tym wyłącznie żyje. W Ameryce Południowej portretował prezydentów rzeczpospolitych, w Petersburgu przed Wojną – Wittego i innych, w Szwecji jest portrecistą nadwornym króla Gustawa, którego portretował kilkakrotnie. Na portretach wysokich osób zdobył fortunę, ordery. Portretów wykonał co najmniej setki, jeżeli nie tysiące. Ma zbiór ogromny fotografii wykonanych przezeń portretów. Pokazywał mi tych fotografii olbrzymią plikę, grubą może na 30 centymetrów, i zaznaczał, że jest to tylko piąta część wykonanych przezeń portretów. Trudno sobie wprost wyobrazić, ilu dygnitarzy i osób wybitnych tu w Szwecji sportretował. Byłaby to cała galeria. Ktokolwiek się ze znakomitości cudzoziemskich w Sztokholmie ukaże – wnet ma ofertę portretowania od Kronstranda. Ale będąc sam niezmiernie łakomy na honory – i u innych, których portretuje, uwydatnia i ceni tę słabość. Pozować mu trzeba li tylko we fraku i z orderami albo w mundurze paradnym. Innych portretów nie uznaje. Do orderów przywiązuje w swoich portretach nie mniejszą wagę, niż do twarzy. Portretuje niesłychanie szybko, ma technikę i rutynę szablonu, jak maszyna. To już prawie nie sztuka, ale rzemiosło – produkcja maszynowa. Talent wszakże posiada, podobieństwo chwyta i zafiksowuje, ma nawet swój pewien styl i ton. Są to zawsze portrety uroczyste, sztywne, monumentalne i klasyczne. Pozować mu trzeba bez ruchu, w skostnieniu posągowym, co jest dosyć męczące. Zobaczył mię na Święcie Bałtyckim, na którym był obecny,

albowiem był tam kronprinz i świetna śmietanka towarzyska, w której się Kronstrand kocha. Na tym święcie występowałem w blasku Magnificencji Rektorskiej, wygłaszając odczyt francuski we fraku i orderach przed księciem następcą tronu we wspaniałym dekorum świetnego audytorium. Toteż zaraz zaproponował mi przez ministra Sawickiego sportretowanie. Sawicki mię uprzedził, że nic to mię nie będzie kosztowało, bo Kronstrandowi chodzi o reklamę w wysokich sferach litewskich. Zgodziłem się. Z Litwinów Kronstrand portretował ministra Sawickiego i piękną panią Trimakasową, której mąż był tu przez lat kilka sekretarzem poselstwa. Kronstrand nie ma jednak miru u ludzi. Ludzie poważniejsi dość lekceważąco go traktują, śmieją się z niego, poważnie jego i portretów jego nie biorą, uważają go za maniaka śmiesznego i za pospolitość w sztuce. Malarze szwedzcy go nie lubią i nie uznają za artystę. Ale Kronstrand nic sobie z tego nie robi. Żartują sobie ludzie z jego płodności portretowej, mówiąc, że dlatego nauczył się tak prędko na poczekaniu malować portrety, że w Ameryce Południowej prezydenci rzeczpospolitych, których portretował, tak szybko się zmieniają, że trzeba przez jeden seans wykończyć portret, bo już nazajutrz portretować trzeba nowego prezydenta. Skoro przyjąłem ofertę Kronstranda – musiałem się poddać egzekucji pozowania. Poświęciłem temu dwa poranki, w sobotę od dziesiątej do południa i wczoraj tyleż czasu. Zmuszony byłem od rana stroić się we frak i wszystkie ordery, a pozować musiałem nieruchomo. Przez pierwszy seans Kronstrand nakreślił cały rysunek portretu węglem, przez drugi – wymalował olejno. Portret jest stereotypowy, uroczysty, monumentalny, wspaniały itd. Zresztą zły nie jest. Kronstrand w czasie portretowania mego otrzymał właśnie wiadomość z Paryża, że dwa jego portrety – portret króla Gustawa szwedzkiego i portret premiera szwedzkiego – zostały przyjęte do wiosennego Salonu paryskiego. Cieszył się z tego sukcesu, który rzeczywiście dla malarza jest poważny. Chwalił się, że od wielu lat żaden portret pędzla szwedzkiego nie był przyjęty do Salonu. Nie wiedziałem, jak wybrnę z sytuacji co do mego portretu wobec Kronstranda. Sam mi się ofiarował portretować, płacić mu nie miałem ochoty ani możności, bo portrety jego są drogie. Ale sam on znalazł wyjście łatwe. Spytał mię, czy już byłem kiedy portretowany. Odpowiedziałem, że byłem kilkakrotnie (portret Staneiki w roku 1906 w Krakowie, dwa portrety Zosi Römerowej w roku 1924 i 1935, portret Ejdukiewicza w roku 1934, portret węglem p. Janulaitisowej w roku 1920, z którym nie wiem, co się stało). Wtedy Kronstrand mi oświadczył, że obecny mój portret ofiaruje Uniwersytetowi Litewskiemu w Kownie, tylko za ramy trzeba mu będzie zwrócić. Chodzi mu o reklamę, przebąkiwał bowiem, że rad by przyjechać do Litwy i portretować prezydenta Smetonę. Oświadczył wreszcie, że gdyby miał w Kownie zamówienia na dwa portrety po 1000 koron szwedzkich, to przyjechałby i sportretował gratis prezydenta Smetonę. O portret Smetony chodzi mu oczywiście dla zaszczytu, także z pewnością dla orderu. Ma już on mały order litewski Witolda III czy IV stopnia, chciałby mieć stopień wyższy. Mój portret dla uniwersytetu – to myśl dobra i mnie się to podoba, tylko mię trochę krępują te ordery i frak. U nas takie portretowanie się monumentalne nie jest przyjęte, a orderami ludzie się nie bardzo szczycą, bo próżność ta jest uważana za śmieszną. Ludzie u nas gotowi pomyśleć, że to ja sam zachciałem w takim dekorum się portretować. Ale mniejsza z tym.

31 marca, rok 1936, wtorek

Dziś powinienem był wyjechać ze Sztokholmu. Od kilku dni mam już bilet na statek „Marieholm", idący stąd do Kłajpedy. Podług rozkładu statek powinien był odejść dziś w południe. Jednak wczoraj zawiadomiono mię, że odejście statku odroczone zostało do jutra środy godziny 10 rano. Tą drogą pozostał mi jeszcze jeden dzień na Sztokholm. Dziś z Kowna wyjeżdża na moje spotkanie do Kłajpedy Jadźka. Wysłałem do niej wczoraj do Kłajpedy do hotelu „Wiktoria" depeszę, zawiadamiającą ją o opóźnieniu mojego przyjazdu. Po przyjeździe do Kłajpedy zgłosi się ona do hotelu „Wiktoria", gdzie się z mojej depeszy dowie o zwłoce i spędzi jeden dzień w Kłajpedzie sama.

Tymczasem będę kontynuował relację o moich ostatnich kilku dniach pobytu w Sztokholmie. Poza pozowaniem do portretu czas mi zajęły wizyty. Część ich złożyłem pozawczoraj, resztę – wczoraj. Pozawczoraj obwoził mię w swym automobilem docent Schück. Byłem u posła łotewskiego p. Piotra Sēji i u p. Hildebranda. Obu zastałem. Piotr Sēja, poseł łotewski, który poprzednio kilka lat

spędził na stanowisku dyplomatycznym w Rzymie, wielki sympatyk faszyzmu i admirator Mussoliniego, dziś zdecydowany reakcjonista, sybaryta o wielkim brzuchu i psychologii człowieka sytego i szczęśliwego, był za młodu gorącym rewolucjonistą, jednym z czynnych uczestników rewolucji roku 1905. Zmieniają się czasy i ludzie... Smutno jest zawsze stwierdzać przekształcenie się idealisty i aktywisty na sybarytę i filistra, ale, niestety, jest to bardzo pospolite. Ludzie o temperamencie dynamicznym nieraz gasną jak świeca i wtedy nic ich wskrzesić nie zdoła. Pozostaje z nich tylko cielsko żyjące. Taki jest p. Sēja, który zresztą nie jest wcale krewnym pana Sēji, posła łotewskiego tegoż nazwiska w Kownie. Wczoraj przed obiadem kończyłem moje wizyty. Wziąłem taksi i objechałem wszystkich (NB – nigdzie na kontynencie, nawet w Paryżu, automobil nie zmonopolizował komunikacji w tym stopniu, co w Szwecji; nie tylko że fiakrów tu nie ma, ale i w zaprzęgu ciężarowym konia tu nie widać; przez cały czas w Sztokholmie widziałem może tylko 5-6 koni w zaprzęgach towarowych). Szczęśliwie prawie nikogo z wizytowanych nie zastałem, oprócz jedynego starego p. Lindhagena, posła do parlamentu, którego zastałem w jego willi w miejscowości podmiejskiej Alsten o kilka kilometrów za Sztokholmem na południe od miasta wśród lasów nad pięknym jeziorem. Lindhagen jest przyjacielem krajów bałtyckich i zbliżenia z nimi, a nawet związku formalnego skando-bałtyckiego, ale już w piątkę goni. Wycieczka do Alsten, która mi dała poznać okolice Sztokholmu, rozrastającego się w lesie na skałach wzdłuż malowniczych wybrzeży wielkiego jeziora, pełnego wysp i ciągnącego się, jak jeziora fińskie, na setkę kilometrów, była sama przez się przyjemna i ciekawa.

Wczoraj wieczorem i dziś we dnie załatwiałem z sekretarzem poselstwa litewskiego Žilionisem sprawunki osobiste. Kupiłem trochę prowizji do Bohdaniszek – suchego chleba szwedzkiego, sera szwedzkiego kminowego, homarów i konserw, poza tym trochę rzeczy z metalu, szkła itp. na upominki do domu. Ogółem wydałem na te upominki ± 100 koron szwedzkich. Większą część tych sprawunków kupiłem w magazynie uniwersalnym „Nordiska Kompaniet".

Pozostaje mi jeszcze do nadmienienia o urozmaiceniu mi ostatnich dni pobytu przez moich czy raczej naszych litewskich przyjaciół szwedzkich. W ich liczbie najruchliwszy jest docent dr Schück. Schück jest Żydem. Rodzina Schücków jest starą zamożną i cywilizowaną rodziną żydowską, dawno osiadłą w Szwecji i zupełnie uobywatelnioną, kulturalnie zeszwedyzowaną. Ojciec docenta Schücka, żyjący jeszcze dotąd i liczący koło 80 lat, był długoletnim rektorem uniwersytetu w Uppsali, wybitnym uczonym i jednym z najświatlejszych ludzi w Szwecji, o którym wszyscy wyrażają się tu z największym uznaniem. Młody docent Schück ma stanowisko w administracji Muzeum Narodowym w Sztokholmie i jest docentem w Szkole Wyższej („Högskolen" = Uniwersytet) w Sztokholmie. Jest on bardzo ruchliwy i ustosunkowany, lubi wszędzie się wkręcić, o wszystkim i o wszystkich wiedzieć, jest także niezmiernie usłużny i lubi zrobić coś dobrego. Wszędzie go pełno. Bywał też w krajach bałtyckich i Litwie, zna tam ludzi, orientuje się nieźle w naszych stosunkach. Bierze on żywy udział w akcji zbliżenia szwedzko-bałtyckiego i w stosunkach odpowiednich. Ma on w sobie coś z żyłki faktorskiej, w czym czuć rasowy atawizm żydowski, ale przez to jest użyteczny, miły, wszystko ułatwiający, we wszystkim pośredniczący. Jest wprost nieoceniony jako łącznik, jako impressario inteligentny, jako informator doskonały i gawędziarz przyjemny. Polubiłem go szczerze. Łatwy jest i ciekawy, wszystko wie, rozumie, orientuje się i w lot chwyta, a nie pogardza i ploteczkami. Obwoził mię swoim autem po wizytach i po okolicach oraz północnej i wschodniej części miasta, urządził mi miejsce w loży Opery królewskiej na przedstawieniu ładnej operetki „Nietoperz" („Fliegende Maus") w niedzielę wieczorem (lożę tę dyrekcja Opery ofiarowała do dyspozycji delegacji wojskowej łotewskiej); po przedstawieniu w Operze był ze mną na kolacji w Grand-Hotelu, a wczoraj na lunchu ze mną tamże wraz z prof. Curmanem, po czym w imieniu Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego wręczyli mi oni z Curmanem piękną wazę szwedzką ze szkła bladozielonego z inkrustacjami srebrnymi, wywdzięczając mi się przez to za trudy przyjazdu i odczytów. Poza tym Schück mi pokazywał wczoraj niezmiernie ciekawe zbiory archeologiczne skandynawskie w Muzeum Narodowym, dotyczące ekspansji Gotów, ich bogactw, cywilizacji, handlu, zdobyczy. Są to rzeczy cenne naukowo i nawet materialnie, ogromne mnóstwo wyrobów i przedmiotów szczerozłotych,

monet, brązów etc. Są to zbiory stare, wielkie, ciekawe, po prostu wspaniałe. Jutro jeszcze Schück odprowadzi mię i pożegna na statku. Nie mniej poczciwie obwoził mię i oprowadzał w niedzielę po południowej części Sztokholmu i po centrum, także po swojej niezmiernie ciekawej i pięknej wzorowej szkole średniej realnej pod nazwą Szkoły Katarzyny – rektor tej szkoły i nasz przyjaciel wielki, poczciwy Sjöwall (wymiawia się: „Szöwal"). Szkołę tę on sam stworzył i nią kieruje. Ta szkoła – to instytucja zachwycająca. Wszystko w niej urządzone mądrze, celowo, prosto, dokładnie. Są to prawdziwe dzieła sztuki pedagogicznej i szkolnej. W tym Szwecja celuje i jest niedościgniona.

1 kwietnia, rok 1936, środa

Wyjechać pomógł mi Žilionis. Sprawunki, które porobiłem na wyjezdnym – upominki, szkło, metale – i które się nie mieściły do walizek moich, Žilionis mi ładnie upakował w kształcie paczek dyplomatycznych, zaopatrzył pieczęciami poselstwa, chroniącymi je od rewizji celnej w Kłajpedzie, i odprowadził mię na przystań. Odprowadzić mię i pożegnać stawił się też poczciwy docent Schück; był też i rektor Sjöwall, ale ten się mnie nie doczekał, bo musiał śpieszyć na lekcję do swojej szkoły. Po godz. jedenastej statek „Marieholm" Towarzystwa Szwedzko-Amerykańskiego ruszył. Jest to ładny i nowy statek, który od roku czy dwóch kursuje między Sztokholmem, Kłajpedą, Gdańskiem, Sopotami, Gdynią i Kalmarem. Statek dość duży i wygodny. Do uruchomienia tej linii komunikacyjnej przyczynił się minister litewski w Sztokholmie Sawicki. Na razie Towarzystwo Szwedzko-Amerykańskie (siedziba w Göteborgu) miało wątpliwości co do uruchomienia tej linii na Kłajpedę, ale teraz robi na tym dobre interesy i myśli o uruchomieniu drugiego parowca. Służy on do kilku użytków naraz. Przede wszystkim służy do przewozu Litwinów amerykańskich, którzy jadą parowcami Towarzystwa z Nowego Jorku do Göteborga, stamtąd koleją żelazną do Sztokholmu i następnie statkiem „Marieholm" do Kłajpedy. Latem bardzo licznie statkiem „Marieholm" jeżdżą z Litwy do Szwecji i odwrotnie turyści i wycieczki, w sezonie zaś zimowym i zresztą przez rok cały jest stały duży ruch towarów, zwłaszcza wielkie partie koni, które Litwa eksportuje do Szwecji (dla drobnych gospodarstw rolnych i dla pracy w lasach na Północy) i do Danii (niewielkie, tanie, dobrze zahartowane konie litewskie kupują chętnie zwłaszcza drobni rolnicy ferm karłowatych duńskich). Wreszcie „Marieholm" przewozi transporty posyłek pocztowych (paczek), które Litwini amerykańscy bardzo licznie posyłają swoim krewnym w Litwie.

Mam na statku wygodną kajutę; jest kawiarnia, restauracja, czytelnia. Napisałem i wysyłam całą kupę pocztówek. Lunch i obiad na statku jem w towarzystwie dyrektora Towarzystwa Żeglugi Szwedzko-Amerykańskiego, który jedzie właśnie do Gdańska. Jest to kulturalny przyjemny starszy pan, przemysłowiec z Göteborga. W towarzystwie tym przy lunchu, obiedzie i kawie zasiada też z nami drugi jakiś Szwed, handlowiec, który także zna Litwę, Gdańsk, Gdynię i robi tam jakieś interesy, oraz pewna pani w wieku lat koło 45, Szwedka, rodem ze Skanii, zamieszkała w Sztokholmie, która ma córkę, zamężną za jakimś Holendrem w Kownie, przedstawicielem znanej firmy holenderskiej radioaparatów, gramofonów etc. – Philips.

Pogoda – niezła, morze – spokojne. Przez pierwsze 4-5 godzin podróży droga jest bardzo piękna. Jedzie się przez cały archipelag wysp skalistych i szkier, które czynią niezmiernie uroczy widok. Morze tam spokojne jak na jeziorze. Potem, gdy się wypływa na otwarte morze, fala jest trochę większa, ale na ogół jest ona dziś niewielka. Przyjemna to i piękna podróż.

Opóźnienie wyjazdu parowca „Marieholm" ze Sztokholmu (dziś zamiast wczoraj) nastąpiło dla dwóch pasażerów, Litwinów amerykańskich, których statek, idący z Ameryki, spóźnił się o dzień jeden. Dla nich zatrzymano „Marieholm", bo inaczej musieliby cały tydzień siedzieć w Szwecji, czekając na następny statek do Kłajpedy albo musieliby jechać na Sassnitz-Berlin na koszt Towarzystwa Żeglugi Szwedzko-Amerykańskiej, która udziela im przejazdu z New-Yorku do Litwy. Zarząd Towarzystwa dba o to, aby Litwini amerykańscy, stanowiący klientelę Towarzystwa, byli dobrze obsłużeni, toteż dla dwóch pasażerów spóźnionych zatrzymuje cały statek o całą dobę. Inaczej zepsuliby sobie renomę u Litwinów amerykańskich i mogliby ponieść straty na klienteli.

Ogółem na pokładzie „Marieholm" jedzie dziś 15 podróżnych. Latem jeździ do setki i więcej, ale w tym sezonie ruchu osobowego jest mało.

2 kwietnia, rok 1936, czwartek

Znakomicie się wyspałem na statku i wstałem na godzinę ósmą. Po śniadaniu kończyłem pisać moje pocztówki, których z pokładu „Marieholm" napisałem wczoraj i dziś ogółem 19 sztuk do różnych osób w Litwie, Polsce i Francji. Czekałem zresztą na przybycie statku do Kłajpedy. Tymczasem fala kołysała statek mocno. Była to fala niespokojna, nierówna, krótka, mocno drażniąca, podobna do tej, którą doświadczyłem na tymże Bałtyku w roku 1912 między Windawą i Rygą i w roku 1923 pod Swinemünde. Daleki byłem wszakże od choroby morskiej. Nigdy choroby tej osobiście nie doświadczyłem, nawet w roku 1914 na archipelagu greckim i w roku 1935 na Zatoce Fińskiej, kiedy to kołysanie było największe, jakiego doznałem. Czuję jednak, że gdyby się zerwała kiedyś w mojej jeździe morskiej wielka burza, mógłbym zachorować. Znoszę morze dobrze, ale żebym nigdy nie był odczuł lekkiego nudzenia, choćby bez konsekwencji – tego twierdzić nie mogę.

„Marieholm" miał stanąć w Kłajpedzie koło południa. Jednak przed południem rozciągnęła się nad morzem taka gęsta mgła, że nic widać dokoła w bliskim promieniu nie było. W pobliżu wjazdu do portu kłajpedzkiego statek stanął. Kapitan nie odważył się jechać, bojąc się źle trafić do portu. Chciał przeczekać mgłę. Wpierw szedł, dając sygnały dźwiękowe co minutę, a gdy stanął – niebawem nawet kotwicę zarzucił. Mgła jednak nie ustępowała. Obawiano się na statku, że może to potrwać kilka godzin, a może nawet cały dzień. Kapitan zdecydował się wreszcie porozumieć z portem i wezwać pomocy łocmana. Przybył wkrótce statek pomocniczy, łocman wszedł na nasz statek i ruszyliśmy. Okazało się, że stanęliśmy tuż przy wjeździe do portu. Na godzinę drugą wjechaliśmy do portu i dobiliśmy do przystani. Ujrzałem na brzegu Jadziuńkę kochaną, z którąśmy się umówili, że przyjedzie na moje spotkanie. Byłem prawie do łez wzruszony jej widokiem i jej serdeczną melancholijną tęsknotą do mnie, tym jej przywiązaniem jedynym, którym mię darzy wiernie jak chyba nigdy nikt nikogo, bo przecie jestem stary, gdy ona jest młoda. Załatwiono formalności paszportowe i celne na statku, które mnie właściwie nie dotyczyły ze względu na mój paszport dyplomatyczny i pakiety opieczętowane z poselstwa w Sztokholmie. Agent Towarzystwa Żeglugi, p. Zaborski, udzielił mi automobilu i ułatwił transport rzeczy i niebawem byliśmy z Jadźką w hotelu „Wiktoria", w którym już ona nocowała i w którym też ja pokój dla siebie wziąłem. Zjedliśmy obiad w restauracji hotelowej, odbyliśmy wycieczkę do Smiltini (Sandkrug) nad morze, wstąpiliśmy w Kłajpedzie do kawiarni na kawę, wreszcie nakarmiłem Jadzię kolacją, do której towarzyszył nam dyrektor Instytutu Pedagogicznego Soblys i poszliśmy do naszych numerów spać o godzinie dziesiątej. Jestem znów z moją Jadźką w kraju, na swoich śmieciach. Cieszę się. Pokazałem Jadźce wszystkie rzeczy i upominki, które przywożę ze Sztokholmu.

3 kwietnia, rok 1936, piątek

Dzień cały spędziłem z Jadzią w Kłajpedzie. Było nam bardzo dobrze. Zamierzałem zawieźć ją autobusem do Połągi, ale nie bardzo chciała. Rzeczywiście o tej porze Połąga nie jest ciekawa. Zadowoliliśmy się Kłajpedą. Porobiliśmy parę drobnych sprawuneczków, zaprowadziłem Jadźkę i pokazałem jej nową dzielnicę miasta, zabudowaną modernistycznie w ostatnich kilku leciech w pobliżu dworca kolejowego, ładną i czystą, bodajże przeważnie litewską, pojechaliśmy pod latarnię morską, tam pochodziliśmy po wybrzeżu w Melnragach, poszukaliśmy trochę bursztynu, posiedzieliśmy, wróciliśmy, obiad jedliśmy w restauracji hotelu „Wiktoria", znów spacerowaliśmy, byliśmy w kawiarni... Na tym dzień zeszedł. Piszę i wysyłam stąd wielką ilość pocztówek do moich nowych przyjaciół szwedzkich. Pod wieczór tylko naszła Jadźkę jakaś nieokreślona melancholia wraz ze skłonnością do płaczu, ale to większych komplikacji nie wywołało. Nocujemy w Kłajpedzie. Kłajpeda, choć handel i ruch gospodarczy w niej wzrósł i wzrasta nadal stale i prawie że zmonopolizowała ona cały eksport i import Litwy, jednak robi wrażenie nieco nędzniejsze, niż dawniej. Może to tylko ze względu na porę roku, kiedy nie ma kąpieli w morzu i turystów. Za to ruch

w porcie jest bardzo wielki i na porządku dziennym jest nowe rozbudowanie i powiększenie portu. Bądź co bądź jest to miasto żywe i bardzo pracowite. Gospodarczo Kłajpeda niewątpliwie się z Litwą zrasta. Za to sfery rolnicze Kłajpedy chorują na irredentę pod wpływem agitacji nacjonalistycznej niemieckiej i traktują rządy litewskie jako okupacyjne.

4 kwietnia, rok 1936, sobota

Dziś po naszej krótkiej sielance kłajpedzkiej we dwoje z Jadzią wracamy do Bohdaniszek. Wstaliśmy rano na godzinę siódmą. Zjedliśmy śniadanie w hotelu, opłaciliśmy hotel i wyjechaliśmy na dworzec kolejowy. Jedziemy do Abel na Pogiegie. Jazda tą drogą jest dość urozmaicona. Nie nudziłem się. W parę godzin dojechaliśmy z Kłajpedy do Pogiegiów. Tam mieliśmy godzinę do czekania na prędki pociąg, który idzie tędy z Berlina na Dyneburg (Moskwę). Jadąc dalej czekaliśmy mostu w Lidowianach, potem pokazałem Jadzi z okien wagonu dwór Cytowiany Eugeniuszostwa Römerów. Obiad zjedliśmy w wagonie restauracyjnym. Niebawem Radziwiliszki, potem Poniewież, kilka innych stacji, wreszcie Poniemuniek, Rakiszki i oto już Abele. Spotkał nas Bieliunas w parę koni. Tu jeszcze zimno, miejscami resztki śniegu zimowego, w niższych miejscach na drodze błoto, zamróz jeszcze trzyma. W Bohdaniszkach zastaliśmy wszystko w porządku, tylko ekonom Pumpol jest mocno chory. Co mu jest – nie wiadomo. Miał ogromny wrzód na boku, oprócz tego ma coś wewnątrz, schudł i wygląda bardzo źle, przez kilka dni nic nie chciał jeść, miał i ma jeszcze gorączkę. Ledwie się trzyma na nogach, przeważnie leży, z domu nie wychodzi. Był już u felczera Klišonisa, wybiera się do Rakiszek do doktora, może nawet do szpitala.

Oto już jestem w domu. Po nerwowej gościnie szwedzkiej, po odczytach i ruchu – spokój wsi litewskiej.

5 kwietnia, rok 1936, niedziela

Przejeżdżając z Północy, przywiozłem do Bohdaniszek zimę. Już wczoraj wieczorem śnieżyło i mróz w nocy był kilkustopniowy. Dziś dął wiatr mroźny z północnego zachodu – akurat ze Szwecji – i kilkakrotnie zrywała się zawieja. Pogoda niezła, ale mroźno jak zimą. Tylko świergot ptactwa i dzień dłuższy wskazują na wiosnę. Ziemia zamarzła, gruda, chwilami biało po śniegu, to znów popielato, gdy wiatr spędzi śnieg do dołków, a grudki ziemi sterczą nagie.

Od razu pierwszego dnia mego pobytu w Bohdaniszkach przyjechali studenci do egzaminów. Był Alfons Kairelis i Albin Stepanauskas, zdawali z prawa konstytucyjnego litewskiego. Wieczorem przyjechał jeszcze jeden student, oficer Ignacy Kontrym, ale go nie egzaminowałem, bo nie egzaminuję w pojedynkę.

6 kwietnia, rok 1936, poniedziałek

Mróz wietrzny – cały dzień. Chłód lodowaty na dworze. Zupełnie jak zimą.

W Bohdaniszkach – nic osobliwego; w moim gospodarstwie zakłuto dziś dużego wieprza – oto i cały ewenement. Nic nowego poza tym. Toteż wolnym czasem napiszę jeszcze coś z moich wrażeń i spostrzeżeń szwedzkich, dopóki są świeże. Dotknę tu zagadnienia sympatii szwedzkich w kierunku bałtyckim. Krajami bałtyckimi nazywają w Szwecji trzy młode małe nasze republiki powojenne: Estonię, Łotwę i Litwę. Nazwa ta dla nich wszędzie się coraz bardziej uciera. Na razie w pierwszych leciech po wojnie nazywano je „państwami kresowymi” – „Randstaaten”, ale nazwy tej u nas nie lubią, bo ma ona pewien odcień upośledzenia: „kresy” bowiem – jest to coś, co się wiąże z „metropolią”, z ośrodkiem, leżącym na zewnątrz i suponuje jakąś zależność od tego ośrodka, jakąś grawitację, czyni z tych krajów „kresowych” coś subordynowanego, nadaje im właściwość satelity. „Państwa kresowe” suponują metropolię Rosję, są to kresy Rosji. Litwa, Łotwa i Estonia nie uważają się i nie chcą być uważane za kresy Rosji. Nazwa krajów bałtyckich jest poniekąd historyczna, zwłaszcza dla Łotwy i Estonii. Nie jest ona co prawda ścisła, bo bałtyckimi są też inne kraje położone nad Bałtykiem, ale się utarła, a zresztą uzasadnia ją to, że te trzy kraje są rdzennie i wyłącznie bałtyckie, podczas gdy inne, które dotykają Bałtyku, są bałtyckimi tylko poniekąd,

albowiem w innych częściach swego terytorium dotykają innego morza (Rzesza Niemiecka, Dania, Szwecja, Finlandia) albo też są skądinąd lądowe albo hinterlandowe (Polska). Otóż w Szwecji, jak się przekonałem, sympatie bałtyckie, to znaczy na rzecz zbliżenia i kontaktu z krajami bałtyckimi, narastają i są dość wyraźne i silne. W każdym razie, idea zbliżenia w tym kierunku ma wśród Szwedów swoich gorących rzeczników i agentów czynnych. Nie są to tylko oderwane grupki sympatyków szczególnych, bo faktem jest, o którym się przekonałem, że i opinia publiczna, i prasa szwedzka zwraca na to uwagę i problemem tym się żywo zajmuje. Daje się to wyczuć szczególnie w Sztokholmie, gdzie indziej – mniej. Propaganda na rzecz takiego zbliżenia jest tam bardzo aktualna i wyczuwalna. Zainicjowane uroczystości coroczne Święta Bałtyckiego i powodzenie tych uroczystości jest wybitnym aktem tej propagandy, ale świadczy też o tym, że ruch ten znajduje oddźwięk sympatyczny. Tegoroczne Święto Bałtyckie odbyło się z wielką pompą; obecność popularnego kronprinza na tym święcie, bankiet, mowy, liczna i wyborowa publiczność, mój odczyt, wywiady prasowe ze mną, liczne artykuły w prasie szwedzkiej – wszystko to wskazuje na duże zainteresowanie i popularność ruchu. Nie brak też entuzjastów, bez których żaden ruch dojrzeć nie jest w stanie. Perspektywy zbliżenia są tu większe, niż sądziłem. Dla nas jest to bądź co bądź atut. My bowiem z natury rzeczy w wielkiej gminie narodów mamy jeszcze psychologię parweniuszy, dla których stosunki i związki z arystokracją starych i tradycyjnych narodów i państw są zaszczytem i czynnikiem, który nas podnosi i utrwala jako pewnego rodzaju incydent i tytuł do swojego miejsca w rodzinie narodów wolnych.

7 kwietnia, rok 1936, wtorek

Zdawało się, że powietrze staje się łagodniejsze. Śnieg, który wypadł przed dwoma dniami, już był prawie zginął, we dnie trochę już ocieplało, była lekka odwilż i wiatr był jeżeli nie ustał, to w każdym razie bardzo osłabł. Atoli przed zachodem słońca gęsta mgła zasłoniła widnokrąg i niebawem zaczął padać śnieg gęsty wielkimi płatami. Padał tak przez kilka godzin i wieczorem już gruby biały całun śnieżny pokrył całkowicie ziemię, zaprószył drzewa i zmienił widok na zimowy. Cała ziemia jest wskroś pod śniegiem i mrozik trzyma.

Ekonom Pumpol pojechał dziś z Bieliunasem do Rakiszek dla porady lekarskiej. Wrócił Bieliunas sam jeden. Dr Žemaitis zatrzymał Pumpola i położył go do szpitala. Okazuje się, że jego wrzód był złośliwy i że groziła mu może nawet gangrena. Dokonano na nim operacji, wycięto sporo ciała dokoła wrzodu, zabandażowano. Wypadnie mu w szpitalu dłużej poleżeć, może nawet miesiąc. Biedny stary. Człowiek to poczciwy, pracowity, gospodarny i uczciwy, tylko ma nieszczęsny nałóg pijaństwa. Jestem pewny, że ten wrzód ma związek z pijaństwem. W ostatnich czasach, gdy mu Jadzia przysyłała pieniądze, spił się parokrotnie jak bela. Żałuje potem, przeprasza, ale przy lada okazji powtarza to samo. Jadzia go za parę dni odwiedzi w szpitalu. Samotny jest jak stary wilk na tej posadzie u mnie. Ma żonę starą i dzieci dorosłe, ale ci mieszkają w Kownie. Smutny jest los takiego starego, zwłaszcza w chorobie.

Jeszcze w dalszym ciągu o Szwecji, raczej o perspektywach zbliżenia skando-bałtyckiego w usposobieniu Szwedów. Idea takiego zbliżenia zyskuje na terenie w opinii szwedzkiej, ale, jak jej rzecznicy stwierdzają, nie należy jeszcze jej popularności przeceniać. Są rzecznicy gorący i przekonani, wprost ideologowie takiego ruchu, gotowi do propagandy i akcji, i nie tylko gotowi, ale też czynni. Opinia publiczna, zwłaszcza w Sztokholmie, też się z tą myślą oswaja, prasa poświęca tej idei zbliżenia i sprawom bałtyckim dosyć dużą uwagę i traktuje to na ogół przychylnie, sfery rządowe szwedzkie, jak powiada nasz przyjaciel Curman, także się skłaniają do ściślejszego kontaktu z krajami Bałtyku, uważają, że zainteresowanie i aktywizm w tym kierunku mają rację bytu i powinny być traktowane przychylnie i popierane. Sądzę wszakże, że o ile chodzi o sfery rządowe szwedzkie, to jednak pewną przeszkodę w tym stanowi fakt, że w Szwecji rządy są socjalno-demokratyczne, podczas gdy same kraje bałtyckie (wszystkie trzy – Litwa, Łotwa i Estonia) grawitują obecnie do ustroju politycznego jeżeli nie wyraźnie faszystowskiego, to w każdym razie nacjonalistycznego i antyparlamentarnego, który sympatiom socjalno-demokratycznym nie

odpowiada. Ale jeżeli nawet w kołach rządowych szwedzkich istotnie orientacja na rzecz zbliżenia skando-bałtyckiego narasta, to jednak rzecz ta w opinii szerokiej szwedzkiej dojrzała nie jest. Poza Sztokholmem opinia szwedzka jest w tej kwestii bierna, i to opinia nie tylko szerokich mas ludowych, opinia popularna, ale nawet opinia kół wysokiej inteligencji, opinia elity społecznej. Zdołałem się o tym przekonać z moich spostrzeżeń w kołach akademickich tak w Lundzie, która zresztą należy do Skanii, to znaczy do prowincji, mniej związanej z Bałtykiem i zwróconej raczej ku zachodowi, a w jeszcze większym stopniu w bliskiej do Sztokholmu Uppsali. Wszakże jest nie tylko bierność; istnieje także prąd świadomy rezerwy, która uważa, że Szwecji jest niebezpiecznie się angażować w jakieś ściślejsze konszachty z krajami bałtyckimi na wschodzie, które są jeszcze nie ustalone i niewyraźne i których los może być jeszcze narażony na różne niespodzianki. Ci sceptycy uważają, że spokojnej Szwecji nie należy się angażować i kłaść palce w szpary drzwi otwartych, które mogą się zatrzasnąć i uszczypnąć boleśnie te palce, szczególnie gdy wieją dokoła wiatry i przeciągi.

8 kwietnia, rok 1936, środa

Miałem dziś pięciu studentów do egzaminu. Furmani abelscy mają zawsze żniwo, kiedy ja jestem w Bohdaniszkach. Jest to dla nich sezon. Wiedzą zawsze, kiedy przyjeżdżam i kiedy odjeżdżam i czekają na stacji kolejowej na studentów do egzaminu jako na swoich klientów, którzy ich furmaneczki albo automobil Radžiunasa najmują. Dziś miałem kilku studentów wyborowych, którzy zdali egzamin świetnie: Ajzyk Lewin, Stasiškis, Albert Gasperaitis.

Jeszcze nieco z moich wrażeń i spostrzeżeń szwedzkich. Mówiłem o ewolucji akcji zbliżenia skando-bałtyckiego czy może tylko szwedzko-bałtyckiego, bo, zdaje się, dla Danii i Norwegii idea ta jest mało aktualna i żadnego ruchu żywszego w tym kierunku tam nie ma. O ile chodzi o Norwegię, to ta na Bałtyku żadnych interesów specjalnych nie ma; jest ona cała zwrócona frontem na zachód – do Atlantyku i mórz północnych. Jej najbliższą sąsiadką pozaskandynawską jest Anglia i kultura angielska ma w Norwegii duże wpływy. Norwegowie – to są rybacy i marynarze wielkich mórz, dla których Bałtyk większej atrakcji nie ma. Przeto i kraje wschodnich wybrzeży bałtyckich chyba tylko bardzo platonicznie obchodzić Norwegów mogą. Skądinąd Norwegia jest krajem chłopów i rybaków, krajem ludu, bez wielkich tradycji rycersko-szlacheckich i historycznych. Przez długie wieki była podległa Danii, jej prowincją, i w wyprawach szwedzkich na wschód bałtycki udziału nie brała, odpowiedniej romantyki w psychice swej nie posiada, a jeżeli w poprzednich wyprawach duńskich mogli brać udział Norwegowie, to udział ten brali nie pod imieniem własnym jako czynnik indywidualny świadomy, jeno stopieni w masie obcej, jako materiał działania nie ich własnego. Szwecja, Dania i Norwegia w Skandynawii reprezentują historycznie trzy odrębne sfery społeczne. Szwecja – rycersko-szlachecko-pańska, Dania – kupiecka, Norwegia – ludowa pracy fizycznej, energicznej i przedsiębiorczej, ale nie politycznej. Norwegia w stosunku do Danii i Szwecji jest historycznie w stosunku podobnym jak Finlandia do Szwecji, tylko Finlandia jest historycznie jeszcze bardziej ludowa i prowincjonalna, jeszcze bardziej pozbawiona historyczności i tradycji dziejowej własnej, jest narodem najbardziej nowym ze skandynawskich. Tylko Finlandia w stosunku do problemu bałtyckiego jest nastawiona bardziej czynnie od Norwegii dlatego, że geograficznie jest ona sama krajem bałtyckim. Dania też do problemu bałtyckiego zdaje się być usposobiona biernie. W ogóle Dania ma wielkie kłopoty. Jej sytuacja jest ciężka, w pewnym względzie nawet tragiczna. Prawda, że rozwinęła ona doskonałe formy intensywnego rolnictwa w szrankach drobnej własności fermowej; posiadła znakomity ustrój kooperatywny w produkcji rolnej i w handlu eksportowym produktów rolnych, zdobyła przez to mocny dobrobyt i silną zamożną warstwę średniego stanu pracowitego na wsi, opanowała i doskonale się umocniła na rynku angielskim. To prawda. Ale skądinąd Dania ma spadek po swojej niegdyś wielkości – ma wielki przerost swojej stolicy Kopenhagi, która jest największym miastem w całej Skandynawii i która na dzisiejszy mały kraik duński stanowi ciężar wielki. Co trzeci Duńczyk mieszka w Kopenhadze, podczas gdy w Szwecji w Sztokholmie mieszka co dziesiąty Szwed, a u nas w Kownie – co dwudziesty Litwin. Kopenhaga

utrzymuje się zresztą z wielkiego handlu – przeważnie z Islandią, poniekąd też z Grenlandią. Ale teraz w handlu z Islandią wielką konkurencję jej robi Anglia, która coraz bardziej Kopenhadze ten handel odbiera, a wtedy, pozbawiona tego źródła bytowania – Kopenhaga stałaby się wielkim ciężarem dla Danii. Ten problem handlu jest jedną z trudnych kwestii Danii. Poza tym Dania, która niegdyś była panią Skandynawii i stopniowo traciła kraj za krajem, aż wreszcie sama spadła do rzędu małych kraików, jest niepokojona z południa od Niemiec. Wprawdzie po Wielkiej Wojnie odzyskała część Szlezwiku, ale w tym Szlezwiku duńskim Niemcy utrzymują stałe ogniska fermentu i propagandy. Danię te intrygi akcji niemieckiej terroryzują. Nie w głowie jej tymczasem konszachty z krajami bałtyckimi, które raczej są jej konkurentami na rynku produktów rolnych w Anglii.

9 kwietnia, rok 1936, czwartek

Miałem dwóch studentów na egzaminie. Nakarmiłem ich po egzaminie i napoiłem ponczem szwedzkim.

Znowu o wrażeniach i spostrzeżeniach szwedzkich. Z narodów skandynawskich Szwedzi są bardziej od Norwegów i Duńczyków podatni na kombinacje związku skando-bałtyckiego. Jest to łatwe do zrozumienia – nie tylko dlatego, że znaczna część Szwecji leży nad Bałtykiem, ale także dlatego, że Szwecja ma tradycje historyczne ekspansji na wschód bałtycki. Pomimo że od dwustu lat Szwecja tej ekspansji zaniechała i w ogóle wyrzekła się wszelkich ambicji mocarstwowych, zasklepiając się w swoim stanie posiadania, pomniejszonego w tym okresie przez utratę odciętej od niej Finlandii, to jednak pamięć dawnej epoki rycerskiej i tradycja związków ze wschodem bałtyckim nie wygasła zupełnie w sercach Szwedów. Szwedzi mają ładnie i starannie urządzone muzea i archiwa (bodajże muzea szwedzkie należą do najstarszych na świecie) i z pietyzmem przechowują i oglądają swoje pamiątki historyczne czasów bohaterskich. Prawda, że żyłka awanturnictwa i bohaterstwa, która była tak jaskrawa w ich dziejach, zdaje się być dziś wygasła zupełnie. O ekspansji imperialistycznej, o wyprawach zdobywczych nie marzą nawet i są pod tym względem całkowicie bierni. Ale ekspansja może być nie tylko militarna i imperialistyczna. Może ona być także kulturalna. Tradycja związków ze wschodem bałtyckim, tradycja pewnej kultury bałtyckiej wspólnej może się u nich łączyć i u niektórych łączy się istotnie z pewną ambicją hegemonii kulturalnej w tych krajach ościennych nad Bałtykiem, z pewnym pociągiem do wytworzenia szerszego ogniska wspólnoty skando-bałtyckiej, ogarniającej i zespalającej w pewnym ściślejszym solidaryzmie grupę drobnych spokojnych ludów dokoła Bałtyku. Taką ideę się w Szwecji spotyka i budzi ona wśród Szwedów pewien sentyment o reminiscencjach historycznych. Wykluczają oni z tej wspólnoty solidarystycznej wyraźnie Polskę ze względu na ujawniające się w Polsce aspiracje mocarstwowe, których we wspólnocie tej mieć nie chcą, uważając je za destrukcyjne dla solidaryzmu. W takiej wspólnocie, gdyby się ona ziściła, Szwedom by wypadła pewna hegemonia kulturalna, pewna rola ośrodka i promieniowania. To się im też uśmiecha. Czy wszakże Szwedzi mogą się zdobyć jeszcze na zapał, czy też już zgaśli ostatecznie i przekształcili się na naród filistrów bez jutra i bez ambicji dziejowej – to jeszcze kwestia. Sekretarz poselstwa litewskiego w Sztokholmie, Žilionis, z którym te tematy poruszałem, jest zdania, że Szwedzi są narodem, który żadnej mocy potencjalnej promieniowania na zewnątrz już nie ma i który w masie swojej żadnej roli czynu wielkiego nie ma. Zdaniem Žilionisa, Szwedzi się już wyszeptali i są już tylko wulkanem wygasłym bez mocy. Całą ich energię, uwagę i wolę pochłania wyłącznie zagadnienie dobrobytu materialnego. Ich położenie geograficzne współdziała z tym zanikiem energii potencjalnej w psychice. Żadne katastrofy, żadne wstrząśnienia, żadne tragedie wielkich zagadnień i problemów ich bezpośrednio nie dotyczą i nie dynamizują ich psychiki. Na Szwedów przeto liczyć i na nich coś budować rzekomo – nie można. Czy tak jest w istocie – nie wiem. Nie odważam się nic twierdzić.

10 kwietnia, rok 1936, piątek

Tak zwany Wielki Piątek. Nie zaznaczył jednak niczym swojej wielkości, nawet przygotowaniami do święconego, bo Jadzia wczoraj kłuła bekona i robiła jeszcze kiełbasy z wieprza,

a dziś pojechała do Rakiszek, cała przeto produkcja święconego odłożona została na jutro. Tylko u Mieczkowskich w starym domu fabryka święconego kipi. Helcia Mieczkowska, amatorka tej czynności, histerycznie po kobiecemu wpadająca w hazard wyrobu tortów, mazurków i babek, wypieka niezliczone ilości ciast, nie licząc się zgoła z pojemnością konsumpcji. U nas to się dopiero jutro zrobi przez jeden dzień. Marynia natomiast wcale święconego nie robi. Jej mąż – Justyn Budkiewicz – wyjeżdża na święta do Rumiszek do swoich dzieci i Marynia zostaje sama jedna. Nie lubi ona urządzania święconego i nie interesuje się tym, a dla siebie samej po co to zresztą robić!

Miałem dziś znowu czterech studentów ekonomistów do egzaminu, poza tym otrzymałem macę i miód z Abel od rabina, który mi się w ten sposób wywdzięczył za okazaną przeze mnie protekcję pewnej chorej na suchoty młodej dziewczynie Żydówce abelskiej w sprawie przyjęcia jej do sanatorium na kurację.

Jadzia odwiedziła w Rakiszkach w szpitalu ekonoma Pumpola. Niby ma się lepiej i doktor mówił Jadzi, że koło środy lub czwartku Pumpol wyjdzie ze szpitala i potem tylko od czasu do czasu dla opatrunku przyjedzie. Ale Jadzia powiada, że Pumpol gorączkuje, jest bardzo osłabiony, źle wygląda, drzemie i ma umysł osłabiony. Trudno było się z nim rozmówić o czymś poważniejszym ze spraw gospodarczych. Był rozczulony z powodu odwiedzin Jadzi, która mu też produktów żywnościowych przywiozła – masła, wątrobianki, kiełbasy. Płakał ze wzruszenia.

11 kwietnia, rok 1936, sobota

Wielka Sobota. Służba pod dozorem i kierunkiem Jadzi zajęta przyrządzaniem święconego na jutro. Niemałe to zadanie – w ciągu jednego dnia przyrządzić całe święcone – kilka mazurków różnego gatunku, tort, kilka babek, bułki, pierogi ruskie z mięsem, ufarbowanie jajek, szynka świeża z bekonu, polędwica wieprzowa, indyk. Mężczyźni tego dnia chodzą, jak trutnie – świadomi swej bezużyteczności. Nie było wcale obiadu, bo na obiad nie ma czasu i nie ma co robić, zresztą rezerwy apetytu zaoszczędzają się na jutro i będą potrzebne na zaatakowanie święconego. Obiad sam sobie zaimprowizowałem i sam jeden zjadłem; był zresztą nienajgorszy: dwa jaja wielkanocne, puszka konserw szwedzkich, tłusty ser biały z kminem, maca z miodem żydowskim. Tak się doczekałem wieczora, przeplatając pustkę moją pracą codzienną, szachami ze Stefanem Mieczkowskim i spacerem. Dzień był cieplejszy, ale coraz bardziej się podnosił wiatr wschodni, który na wieczór stał się gwałtowniejszy i wystudził radykalnie pokoje sypialne.

Jeszcze z moich wrażeń i spostrzeżeń szwedzkich. Szwecja jest krajem bardzo złożonym. Zawiera wielką gamę różnic regionalnych. Od Skanii do Laponii – ogromna rozmaitość klimatu, usposobienia, charakterów dzielnicowych, trybu życia i zawodów, kultury materialnej i obyczajowej. Nie wyobrażałem sobie nigdy, jak rozległy jest sznur ziemi stanowiący Szwecję. Nie wdawałem się nigdy w obliczenia pod tym względem, toteż wprost rewelacyjną była dla mnie wiadomość, że od Trälleborgu na południu do skrajnego punktu na północy podbiegunowej Szwecji odległość jest większa, niż od Sztokholmu do Rzymu! Co do mojego wrażenia o charakterze Szwedów, to zwróciła moją uwagę wielka etykietalność, jowializm, równowaga psychiczna, spokój i bardzo wielka pogodność usposobienia tak mężczyzn, jak kobiet. Etykietalność w stroju, w zwyczajach i trybie obcowania towarzyskiego może tu konkurować, a kto wie nawet, czy nie przekracza etykietalność angielską. Wpływ angielski i wpływ monarchii są w tym względzie bardzo widoczne. Szwedzi są pod tym względem bardzo konserwatywni i ściśli. Robią trochę wrażenie zaśniedziałego środowiska drobnoszlacheckiego na jakimś głębokim partykularzu u nas, gdzie także ścisłość i etykietalność zakonserwowanych zwyczajów jest, a przynajmniej była do niedawna, bardzo wielka. Naturalnie, w wielkim świecie elity inteligenckiej szwedzkiej, w którym się obracałem, nie ma tego archaizmu etykiety, co w naszej drobnej szlachcie, ale zasada etykietalności jest podobna.

12 kwietnia, rok 1936, niedziela

Wielkanoc. Święcone u mnie nie za duże, ale bardzo smaczne. Szczególnie mięso. Indyk, szynka świeża pieczona z bekonu i polędwica świeża z tegoż bekonu. Wszystko świeżutkie, soczyste,

doskonałe. Ciasta – babka doskonała, trzy czy cztery gatunki mazurków – cygański, migdałowy, czekoladowy, owocowy, bułki z rodzynkami i tort, który stoi nie zaczęty. Najadłem się obficie na śniadanie ranne przy kawie i na obiad, na którym była Marynia.

Zresztą święto mi upłynęło dosyć samotnie, bo Jadzia większą część dnia spędziła za domem, u matki swej w swoim zaścianku. Odwiedziłem Marynię samotną w jej domu i Mieczkowskich w starym domu, ale zabawiłem u nich krótko, skosztowawszy tylko ciast wyrobu Helci Mieczkowskiej.

Powietrze na święta było wstrętne. Przenikliwy wiatr wschodni z deszczem i na przemian śniegiem mokrym i gradem. Zimno, brudno i mglisto a mokro.

13 kwietnia, rok 1936, poniedziałek

II dzień Wielkiejnocy. Ocieplało znacznie. Na stawach dworskich i na stawie kąpielowym lód stopniał, ale na stawku przy moim domu lód jeszcze się trzyma, ale już topnieje gwałtownie i jest jak kasza, którą wiatr pędza w tę lub inną stronę. Mały Bieliuniuk porobił i ponastawiał domków dla szpaków po drzewach; szpaki już rozdzieliły się na pary i zagnieździły się; dokoła mojej siedziby rozbrzmiewa gwizd i wołanie tych miłych ptaszków. Bocian już od kilku dni siedzi na gnieździe na lipie koło domu Maryni, ale jest dotąd sam jeden. Robi wyloty w pole, ale nie wiem, czym się żywi, bo z powodu chłodów żab nie widać jeszcze. Natura cała się budzić zaczyna, ale wiosna jest jeszcze bardzo wczesna i ciepła prawdziwego nie ma.

W naszych kołach ziemiańskich przedmiotem gawęd i gorszenia się jest zamierzone małżeństwo panny Ińci Koziełłówny, najstarszej córki Pawła Koziełły z Użukrewnia, wychodzącej za Laužadisa. Ińcia Koziełłówna jest już niemłoda jak na pannę, lat koło trzydziestu kilku. Rodzice wykształcenia jej nie dali, nie dali też i nie dadzą ani fortuny, ani pozycji, bo sam Paweł wszystko stracił i jest u kresu ruiny materialnej. Siedzi w długach po uszy i długi te przenoszą wartość Użukrewnia. Nie hulał, ale gospodarzył nieudolnie, przywykł do trybu pańskiego, raczej temperament ma pański – żyrował weksle za każdego, kto go o to poprosił, w ogóle filozoficznie i jowialnie traktował i traktuje życie. Póki żyje – utrzyma jakoś Użukrewnie, wykręcając się jakkolwiek, ale dzieciom nie zostawi nic. Dochodzi tam czasem do tego, że nie ma co jeść. Nie ma też służby domowej i starsza córka, panna Ińcia, była przez szereg lat kucharką i służącą w domu. Dwie inne córki wyszły za mąż, bo panny są ładne, z temperamentem i pieprzykiem, jedna – za Karola Koziełłę w Wadwach, druga – za Stratowicza, ziemianina. Czwarta jest panną; to Niutka Koziełłówna, która jest nauczycielką domową w domach ziemiańskich; była nauczycielką Michasia u Mieczkowskich i Stefan Mieczkowski się w niej podkochuje. Bałamuciła Mieczkowskiego, miała zatargi z Elwirą, rozstała się ze skandalem. Stefan Mieczkowski dotąd nie może o niej zapomnieć i lata tam, gdzie ona jest. Dwaj synowie Pawła Koziełły poszli własnymi drogami: jeden objął gospodarstwo bezdzietnego stryja, po którym będzie dziedziczył, drugi jest korepetytorem na Żmudzi. Ińcia Koziełłówna, najstarsza, nie mogła wytrzymać atmosfery nędzy domowej i upośledzenia swego w domu. Poszła służyć, ale że niczego nie umiała – najęła się za ochmistrzynię u pp. Lisieckich w Opejkiszkach za nędzne wynagrodzenie 20 litów miesięcznie, to znaczy za tyleż albo mniej niż pobiera dziewczyna do świń. Przebyła tam dwa lata. Z natury jest niegłupia, ma charakter jak wszyscy Koziełłowie, jest uparta, szlachetna, dżentelmenka. Ma pewne zblazowanie i kanciastość charakteru, jak oni wszyscy. I oto ona teraz wychodzi za Laužadisa. Laužadis jest chłop rodowity, nie jest inteligentem, ale gospodarz dobry i mocny na folwarku dużym, wynoszącym 60 ha. Wszakże na tym folwarku, nie podzielonym, jest oprócz niego dwóch braci, z których jeden żonaty, trzy siostry i matka. Sam Laužadis nabył motor i młocarnię i zarabia dodatkowo młócąc zboże u ludzi. Ińcia postanowiła za niego wyjść za mąż; starzeje się, innej doli nie ma, nie ma perspektyw, ma przed sobą w razie pozostania panną starość, samotność, ciężki chleb w pracy bez fachu. Czyż można się jej dziwić! Ale ziemianie się gorszą, bo Laužadis jest chłop, jest Litwin, bo należy do sfery ludowej. Wydaje się to dla nich czymś okropnym, jakimś upadkiem i degradacją. Zgorszony zaś najbardziej i zbolały jest sam ojciec panny, stary Paweł Koziełł, który mówi, że nie ruina materialna jest dlań ciosem, ale to małżeństwo dzikie córki. Ba, ja się Ińci nie dziwię, a nawet

w głębi serca sprzyjam i cieszę się z tego. Powoli, po trochę – pewne strzępy zdegradowanego materialnie ziemiaństwa wsiąkają do ludu, asymilują się i stapiają z nim. Młyn asymilacji, a w konsekwencjach i litwinizacji szlachty krajowej wciela po trochę i mąka z tego mliwa może być wcale nienajgorsza. Zgorszenie panów ziemian, którzy sami już „spróścieli" przez upadek materialny i kulturalny a zachowali tylko reminiscencje uparte o swojej rzekomej wyższości rasy czy krwi, bo już nie kultury („kultura" Mieczkowskiego, Rosena, Lisieckich!!!?) – takie zgorszenie niewiele warte i nie budzi ani szacunku, ani sympatii. Najciekawsze, że w liczbie gorszących się jest też Marynia, której samej zamążpójście za Justyna Budkiewicza zaiste nie jest mniejszym kulturalnie mezaliansem. Chyba to, że Budkiewicz formalnie zalicza się do stanu „szlacheckiego" i nazywa siebie Polakiem! Ale umysłowo i cywilizacyjnie nie tylko że nie jest wyższym od zwykłego gospodarza, ale mu jeszcze ustępuje, bo ma to zmanierowanie drobnoszlacheckie, którego chłopi nie mają. A „polskość" czy „pańskość" Budkiewicza – to pożal się Boże. Pogorszą się, pogorszą i uspokoją. Ileż to już razy byłem świadkiem takiego gorszenia się i „skandalu". Kiedy to Marysia Rosenówna wychodziła za Stawskiego, kiedy młody Chojnowski z Junkun żenił się z chłopką, kiedy Szyłańska wychodziła za Dudonisa itd., itd. Niech się utrą rogi tym pankom przesądu szlacheckiego, usiłującego uważać siebie za coś lepszego wówczas, gdy ta lepszość nie ma żadnego oparcia w ich wartości osobistej, równającej się zgoła zeru.

14 kwietnia, rok 1936, wtorek

Jadzia wyjechała do swej siostry Stefci Boreišisowej. Zostałem sam. Miałem pięciu studentów do egzaminu. W ogóle tym razem przyjeżdża do Bohdaniszek dla egzaminów sama elita studentów; ich większość zdaje znakomicie. I dzisiaj z pięciu czterech zdało doskonale. Szczególnie jeden, student Michał-Stefan Naujokaitis, zdawał egzamin świetnie, aż się z przyjemnością słuchało, a zarazem miłą ma niezmiernie twarz i piękny chłopiec jak dziewczyna.

Dzień dziś wreszcie ciepły i prawdziwie pogodny wiosenny. Pogoda śliczna, ziemia podeschła.

15 kwietnia, rok 1936, środa

Znowu miałem trzech studentów ekonomistów do egzaminu z prawa konstytucyjnego ogólnego. W tej liczbie były dwie studentki Żydowki, Frejda Rabinowiczówna i Fejga Feldsztejnówna, które obie zdały bardzo dobrze. Charakterystyczne jest, że wśród Żydów, tak mężczyzn, jak dziewcząt, uwydatniają się o wiele więcej, niż wśród studentów Litwinów, dwie krańcowości: albo są bardzo nieudolni i na inteligencji upośledzeni, albo niezmiernie sprytni i inteligentni, w lot i bardzo ściśle chwytający istotę myśli, co w mojej dyscyplinie społeczno-prawnej, opartej na konstrukcjach logicznych i mającej w sobie pewną ścisłość matematyczną, jest bardzo ważne. Miernot średnich jest wśród Żydów mniej. Dzisiejsze dwie Żydóweczki – to była przyjemność: precyzyjne w myśli, sprytne, giętkie.

Pogoda rano była chłodna, na wieczór wszakże się wypogodziło i ocieplało. Zachód słońca był rozkoszny. Gdym podchodził do Gaju, idąc na spacer, miałem wrażenie koncertu ptasiego. W Gaju jeszcze wilgoć wielka, na błotkach – lód, ale cała powierzchnia ziemi u stóp drzew usiana błękitnymi kwiatkami pierwiosnków. W domu Jadzia gospodarzyła w ogrodach. Pleto i okopywano truskawki, oczyszczano kiełkujące rabarbarum, Bieliunas urządzał inspekty, roztrzęsiono nawóz i zaorano jagodnik. Wiosna kroczy, acz jeszcze powoli.

I znowu wracam w dzienniku do Szwecji. Cóż o niej powiem jeszcze? Mówiłem o etykietalności Szwedów. Wzorek tej etykietalności ujawnia się w piciu trunków przy lunchu lub obiedzie. Szwedzi mają zwyczaj przepijania do siebie wzajemnie, wznosząc kielich do poziomu ust czy oczu, mówiąc przy tym słowo „skol" (po szwedzku „skål" – „å" szwedzkie wymawia się jak francuskie „au") i patrząc sobie nawzajem prosto w oczy; następnie patrząc sobie ciągle w oczy rękę z kieliszkiem opuszczają (podług ścisłej etykiety, która zresztą przestrzegana jest bezwzględnie tylko w kołach wojskowych, trzeba rękę z kieliszkiem opuścić do poziomu trzeciego guzika na piersi), następnie piją i znów po wypiciu kieliszek podnoszą, patrząc sobie w oczy i z lekkim ukłonem głową

stawiają wreszcie kieliszek na stole. Kurtuazja wymaga jak największej ilości „skål", ewentualnie z każdym z biesiadników, poczym każdy z nich odpowiada takimże „skål". Etykieta zabrania wszakże zwracania się ze „skål" do gospodyni lub gospodarza domu, bo to uchodzi za niegrzeczność. Gdy jest na obiedzie gość, na którego cześć jest wyprawiona uczta, gospodarz, zwracając się do niego na „skål", wygłasza doń mówkę grzecznościową, nie wstając wszakże z miejsca, ale patrząc mu wprost w oczy i trzymając w ręku wzniesiony jak do „skål"", kieliszek. Naturalnie, że potem gość, zaszczycony taką mówką, musi w ten sam sposób gospodarzowi odpowiedzieć. Szwedzi są amatorami takich krótkich mówek przy przepijaniu. Jest to dość uciążliwe dla gościa fetowanego, bo na każdy obiad lub lunch musiałem mieć przyszykowaną stosowną mówkę.

16 kwietnia, rok 1936, czwartek

I znowu miałem czterech studentów do egzaminów, tym razem z prawa konstytucyjnego litewskiego. Pogoda była średnia. Wiatr dość silny, zachmurzenie zmienne, trochę po obiedzie ocieplało, zresztą było dość chłodno. Bieliunas z Juszkiewiczem zasadzili mi dwa rzędy małych jodełek wzdłuż granicy ogrodu owocowego od strony północnej, to znaczy od Gaju, ale tylko w dół od drogi gajowej – od jesionu rosnącego przy drodze.

Z gazet dowiedziałem się o wyroku sądowym w sprawie Jana Lapėnasa. Sąd uznał Lapėnasa za winnego nadużyć służbowych na stanowisku dyrektora „Maistasu" na rzecz spekulacyjnego wzbogacenia się własnego i wzbogacenia rodziny i skazał go na 8 lat ciężkiego więzienia. *Sic transit gloria mundi*. Ten człowiek wielkich zdolności wyszedł z nizin społecznych, bez wykształcenia, doszedł do stanowiska wysokiego i odpowiedzialnego w organizacji przetworów mięsnych i eksportu, zdobył fortunę wielką, miał duże wpływy polityczne, był potentatem – i oto upadł głęboko. Tragiczny jest jego los. Był to człowiek wielkich zdolności i wielkiej miary, temperamentu i woli, ale też niepohamowanych namiętności i ambicji. Wzbogacał się zręcznie i tak, że trudno się było do niego przyczepić. Przyczepiono się jednak, wygrzebano i dokopano pracą prokuratury, a sąd wykazał, ze mamy jeszcze sędziów w Litwie. Osobiście żal mi Lapėnasa, ale skłaniam głowę z szacunkiem przed bezstronnością i mocą sądu.

17 kwietnia, rok 1936, piątek

Miałem dziś bardzo niespokojny dzień, a był to właśnie ostatni dzień pobytu świątecznego w Bohdaniszkach, bo jutro wyjeżdżamy do Kowna. Miałem zapowiedziany na dziś przyjazd grona studentów do egzaminu, jak prawie co dzień. Przyjechało pięciu, w tym dwie studentki Żydówki. Pięciu do egzaminu – to już niemało, bo egzaminuję z przerwami, nie wszystkich jednym nieprzerwanym ciągiem. Dopiero zacząłem egzaminować, gdy zgłosił się nowy kandydat do egzaminu, były student Piotr Pamataitis, zajmujący obecnie wysokie stanowisko naczelnika policji, zdaje się, politycznej w Kownie. Pamataitis wprawdzie mię był zawiadomił listownie o swoim przyjeździe, ale nie zachował przepisanego warunku zarejestrowania się do grupy u studentki Vilkutaitytė, która prowadzi spisy egzaminowe. Przyjechał Pamataitis z Kowna automobilem wraz z drugim studentem i koleżanką Jadzi, mężatką w Kownie. Odmówiłem egzaminowania go, toteż odjechał do Rakiszek, zostawiając koleżankę Jadzi, po którą miał wrócić. Potem jednak, gdy wrócił, zgodziłem się na egzaminowanie go i wyegzaminowałem wieczorem. Co prawda, nic nie umiał, jak większość takich byłych studentów już podtatusiałych, którzy zajmują wysokie stanowisko służbowe i są niemal dygnitarzami. Tacy zwykle nie umieją już i nie chcą się uczyć, są zblazowani i nie mają zgoła zapału do nauki, a poza tym zbyt są ufni w swoją mądrość naturalną i życiową; zdaje im się, że sami bez nauki wszystko rozumieją i zdołają jakoś się wykręcić i ogólnikami przebrnąć przez egzamin. Nie znoszę takich ptaszków, ale odprawianie ich jest beznadziejne, bo wszystko jedno – nie nauczą się; jeżeli coś niecoś umieją – stawiam im stopień „wystarczająco" i na tym koniec. Są oni bez ambicji, jak wszyscy tandeciarze na wszystkich polach pracy. Przed obiadem znów przyjechał wójt gminy abelskiej, który zapowiedział przyjazd z Rakiszek komisji w osobach członka zarządu powiatowego Bičiunasa i inspektora szkół początkowych dla obejrzenia parceli ziemi, którą w ilości

jednego hektara udzielam w Karwieliszkach za gościńcem pod szkołę bohdaniską. Gdy ci panowie zjechali, dałem im herbaty, po czym udaliśmy się do Karwieliszek dla obejrzenia tego kawałka ziemi w naturze. Miejsce jest tam ładne, wygodne i wesołe, bardzo odpowiednie pod szkołę. Zdarzył się nam wszakże wypadek przy tych oględzinach, który mógł mieć gorsze skutki, niż miał. Bičiunas nagle zasłabł i upadł. Wójt z inspektorem szkolnym podnieśli go, ale był bezwładny i zaczął rzęzić. Był to widocznie atak sercowy. Bałem się o jego życie. Podesłałem marynarkę, na którą go złożono na ziemi i wójt go podtrzymywał, a inspektor pobiegł do zaścianka Nemeikšysa po wodę. Niebawem Bičiunas odzyskał nieco przytomności, ale był słaby i nie mógł wstać. Dzierżawca zaścianka Romanowski zaprzągł konie i Bičiunas, wspierany przez wójta, zdołał się wgramolić i położyć w wozie na słomie. Odwieziono go via Prapultinie do Bohdaniszek, a my z inspektorem wróciliśmy pieszo. Bičiunas był tak zawstydzony i słaby, że w Bohdaniszkach już nie zaszedł do domu i zaraz odjechał z inspektorem do Rakiszek. Dzięki Bogu, że nie umarł na miejscu. Miał już zimne i sine ręce, rzęził, był trupio blady, żółty i bez przytomności. Przyjeżdżał jeszcze Kościałkowski z Polepia, zapytując, czy nie chciałbym kupić od niego lustra, a przed zachodem słońca, gdym jeszcze nie skończył egzaminów, przyjechała z Kowaliszek Elizka Komorowska, która zresztą, widząc moje zapracowanie, nie wysiadła z bryczki, jeno porozmawiała ze mną i udała się do Maryni, gdzie przenocuje, po czym jutro z nią pogawędzimy jeszcze. Słowem, miałem przez cały dzień rozgardiasz i rwetes. Za gumnem na słońcu był cały kiermasz, stało aż pięć furmanek – studentów, wójta, komisji rakiskiej i automobil policyjny Pamataitisa. A dzień był śliczny, pogoda słoneczna, ciepła i wiosenna.

18 kwietnia, rok 1936, sobota

Wyjazd z Bohdaniszek do Kowna. Szkoda wyjeżdżać, bo czas jest śliczny, prawdziwa wiosna nastała. Powietrze tak pachnie ziemią świeżo oraną i budzącą się wiosną – zapewne pączkami – tak jest rześkie i upajające z podmuchem ostrego i już ciepłego wiatru, że to jest milsze dla powonienia od wszelkich perfum. Zapach tego powietrza przypomina mi takież wrażenia z głębokiego dzieciństwa, co mi go czyni podwójnie przyjemnym. Odnajduję siebie młodego, odzyskuję na chwilę świadomość dziecka, jak gdybym sam się wcielał w swoją przeszłość.

Ale trzeba wracać do Kowna. Mój Boże – kiedyż będę w stanie przesiedzieć całą wiosnę i cały rozwój natury w Bohdaniszkach. Latem to już jest skrystalizowane, wszystko dojrzewa, natomiast teraz wszystko się tworzy i rodzi. W tym jest piękno i siła, których widoku, dźwięku i zapachu jestem zawsze pozbawiony. Chciałbym kiedy zachorować na wiosnę i spędzić cały kwiecień i maj na urlopie w Bohdaniszkach. Są to zresztą tylko rojenia. W starszym wieku niebezpiecznie jest życzyć choroby, bo choroba – nie żart i nie zabawa. Może się przyczepić choroba taka, że i wiosna miłą nie będzie albo będzie ostatnią.

Rano odwiedziłem Elizkę Komorowską, która nocowała u Maryni. Elizka jest bardzo miła i pogodna, mimo że stan materialny Kowaliszek jest ciężki. Święta wielkanocne spędziła ona u Radziwiłłów w Towianach, gdzie bawi na posadzie Zitka. Elizka zajęta jest sprawą antonoską. Trzeba udowodnić sądownie śmierć Bronka Römera, rozstrzelanego w roku 1918 czy 1919 przez bolszewików, gdy się przedzierał do formujących się na wybrzeżu murmańskim oddziałów ochotniczych polskich. Rozstrzelany został w Karelii nad jeziorem Ładogą. Bez udowodnienia jego śmierci nie można uzyskać własności antonoskiej od zarządu reformy agrarnej. Elizka z mocy plenipotencji pozostałych Römerów antonoskich wszczyna sprawę sądową o uznanie śmierci Bronka. Mnie podaje za jednego ze świadków.

Po południu wyjechaliśmy do Abel na stację. Jedziemy ja, Jadzia, Renia i służąca Onutė. One jechały III klasą, ja – ze względu na stanowisko rektorskie – drugą. Od Radziwiliszek jechałem w towarzystwie prof. Żylińskiego z Wydziału Medycznego. Nie nudziłem się przeto w podróży.

19 kwietnia, rok 1936, niedziela

Pierwszy dzień w Kownie po Bohdaniszkach wiosennych był nudny. Urozmaiciłem go zresztą trochę. Byłem w restauracji „Metropolu” na lunchu pożegnalnym, wydanym przez zarząd Rotary-

Clubu kowieńskiego na cześć prezesa Rotary-Międzynarodówki, Amerykanina Johnsona, który parę dni bawił w Kownie. Odbyły się w tych dniach na jego cześć uroczystości klubowe, dziś zaś po lunchu pożegnalnym p. Johnson odjeżdża dalej – do Łotwy. P. Johnson odbywa tę podróż z rodziną – żoną, córką i synem. Wszyscy czworo mówią wyłącznie po angielsku. Na lunchu oprócz nich był konsul amerykański z żoną, prezes naszego klubu Żołkowski z żoną, członkowie naszego klubu prof. Pakštas, Michał Ślażewicz, prof. Žemaitis, ja, paru innych. Amerykanie nie są etykietalni, mają łatwość naturalną obcowania towarzyskiego, trudność porozumienia się ich nie krępuje. Pakštas wygłosił krótką mówkę w tonie żartobliwym. Był też Jan Vileišis, który w czasie świąt jeździł do Wilna. Zakomunikował mi ukłony od Bronisława Krzyżanowskiego, Witolda Abramowicza, Stanisława Bagińskiego, przywiózł dla mnie jakieś książki od Wacława Studnickiego. Dowiedziałem się od niego, że atak, któremu uległ Ludwik Abramowicz, o czym już byłem powiadomiony przed wyjazdem do Szwecji, był prawdziwym i poważnym atakiem paralitycznym. Ludwik był zupełnie bezwładny, stracił przytomność, nikogo nie poznawał, stracił mowę. Leczą go w poliklinice litewskiej; odzyszcze władzę fizyczną, ale wątpliwe, czy zdoła odzyskać całą zdolność do pracy. Szkoda go, bo była to siła publicystyczna niepospolita i na usługach dobrej sprawy w „Przeglądzie Wileńskim".

Wieczorem byłem z Jadzią w kinie na bardzo dobrym filmie produkcji sowieckiej na temat przygód grona śmiałków, zimujących dla celów ekspedycji naukowej gdzieś na jakimś pustynnym wybrzeżu Oceanu Lodowatego na Dalekiej Północy. Świetne wykonanie filmu, wspaniała dzika natura i wyraziści ludzie, jak zawsze w filmach sowieckich, apoteozujących energię i wolę bohaterską człowieka. Po kinie byliśmy z Jadźką w kawiarni „Aldony" na kawie.

Czytałem w gazetach, że rząd szwedzki wraz z innymi rządami skandynawskimi uchwalił nawiązać rodzaj formalnego związku kooperacji kulturalnej i politycznej z grupą państw bałtyckich dla wspólnej akcji w Lidze Narodów i w innych okazjach. Czy to jest prawda – nie wiem. Są bowiem jednak zasadnicze różnice nastawienia politycznego rządów socjalno-demokratycznych w Skandynawii i rządów nacjonalistycznych w państwach bałtyckich Litwy, Łotwy i Estonii. Kooperacja na terenie międzynarodowym, gdy chodzi o momenty polityczne, byłaby trudna. Daj Boże, aby moje wątpliwości były płonne.

20 kwietnia, rok 1936, poniedziałek

Rano o godz. dziewiątej rozpocząłem już moje wykłady na uniwersytecie. Poza tym pracowałem i urzędowałem w moim gabinecie rektorskim. Na godz. szóstą po obiedzie wezwany byłem do Mašalaitisa. Nie było to jednak posiedzenie naszej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Zastałem Mašalaitisa, ministra Šilinga i wiceprezesa Rady Stanu Bolesława Masiulisa. Chodziło o zasięgnięcie mojej opinii jako eksperta prawnika-konstytucjonalisty w przedmiocie pewnych zaprojektowań tzw. rozbudowy konstytucyjnej Litwy. Już od jesieni koła rządowe z Šilingiem na czele szukają dróg do tej rozbudowy w kierunku utworzenia Sejmu czy też czegoś mającego być raczej fikcją i surogatem demokratycznego przedstawicielstwa ludowego. Rząd obawia się równie wyborów demokratycznych, jak plebiscytu, bo czuje, że jeżeli czy to wybory, czy plebiscyt dokonane zostaną metodą demokratyczną klasyczną bez sfałszowania, to zwycięstwo wypadnie nie na rzecz kierunku, reprezentowanego przez rząd, lecz na rzecz kierunków opozycyjnych – bądź klerykalnego, bądź lewicowych, ewentualnie zapanować może chaos niebezpieczny dla państwa albo też przywrócone może być zmaganie się partii, przeciwko któremu skierowane były wysiłki tych, którzy reprezentują czystą ideologię przewrotów z lat 1926-1927.

Šiling biedził się długo nad znalezieniem takiej formuły wyborów sejmowych, która by zapewniła zwycięstwo zwolennikom rządów obecnych; szukano wpierw takiej formuły w ramach przepisów obecnej konstytucji prowizorycznej, która zastrzega wybory na zasadzie głosowania powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego z przedstawicielstwem proporcjonalnym. Furtki wyjścia szukano w ograniczeniu zgłaszania kandydatur, udzielając monopolu tego zgłoszenia odpowiednim czynnikom – bądź izbom gospodarczym, bądź, jak się następnie orientować zaczęto,

radom samorządu powiatowego. Ale największą trudność upatrywano w przedstawicielstwie proporcjonalnym, zastrzeżonym w konstytucji. Ostatecznie Šiling wykoncypował konstrukcję dość osobliwą – prowizoryczną instytucję, nazwaną „Przedstawicielstwem Narodowym” („Tautos Atstovybė”), która by nie była wszakże Sejmem, przewidzianym w konstytucji, jeno prowizorycznym ciałem doradczym, nie umniejszającym samowładztwa Prezydenta Rzeczpospolitej. Myśl jest taka, że ponieważ nie byłby to Sejm, przewidziany w konstytucji, więc dla wyborów tej instytucji nie obowiązywałyby zastrzeżenia wyborcze konstytucji, a zarazem to „Przedstawicielstwo Narodowe” doradcze bez władzy formalnej byłoby balonem próbnym systemu reprezentacyjnego. Podług myśli i projektu Šilinga, któremu i Mašalaitis przytakuje, przedstawicielstwo to miałoby wypowiadać się co do projektów ustaw i budżetu, także wykonywać pewną kontrolę rządu, nawet z prawem wyrażania mu votum nieufności, wszakże nie będąc nigdy zdolne do przełamania decyzji, zarezerwowanej nadal arbitralnie dla prezydenta jako uosabiającego całą władzę w państwie do czasu ostatecznego ustalenia ustroju konstytucyjnego, będącego na razie prowizorycznym. Podług Šilinga, twór ten nie łamałby konstytucji i nie byłby ostatecznym, ale jednocześnie projekt Šilinga udziela temu przedstawicielstwu funkcję opracowania projektu konstytucji, co stanowczo i wyraźnie koliduje z tezą istniejącej konstytucji. A choć projekt Šilinga nie udziela przedstawicielstwu władzy ustawodawczej, tylko projektowaną w zakresie reformy konstytucyjnej, to już sam fakt, że się tworzy instytucję dla opracowania projektu konstytucyjnego, stawia obecną konstytucję prowizoryczną pod znakiem zapytania. Obecnie konstytucja organem reformy konstytucyjnej czyni Sejm, a rządowi daje li tylko prawo inicjatywy i prawo apelacji od uchwał sejmowych. Nawet na czas nieistnienia Sejmu konstytucja obecna, udzielająca prezydentowi całą władzę ustawodawczą i budżetową, władzy konstytucyjnej mu nie udziela. Šiling na to wskazuje, że jego projekt nie przesądza wcale, kto mocen będzie uchwalić ewentualną nową konstytucję, a przeto nie gwałci odpowiednich przepisów konstytucji obecnej, z którymi daje się pogodzić w ten sposób, że projekt konstytucji, ewentualnie zaaprobowany przez przedstawicielstwo, może być traktowany jako materiał dla inicjatywy rządowej do przyszłego Sejmu, co jest zupełnie zgodne z przepisami tejże.

21 kwietnia, rok 1936, wtorek

Musiałbym jeszcze dodać kilka słów do relacji wczorajszej o posiedzeniu u Mašalaitisa z udziałem ministra Šilinga i uzupełnić to relacją z rozmowy dzisiejszej z prezydentem Smetoną, który dziś wezwał mię na audiencję prywatną do siebie i rozmawiał na tenże temat, radząc się ze mną poufnie w tej trudnej sprawie rozbudowy konstytucyjnej. Odłożę jednak te dwie relacje do jutra, bo czasu dziś nie mam i jestem zmęczony.

Tymczasem zaś zreferuję co innego. Wczoraj przyjechał do Kowna chór akademicki fiński z Helsinek odwiedzić Litwę i złożyć wizytę naszemu chórowi akademickiemu. Chór ten po raz pierwszy przyjeżdża do Litwy, a w marcu czy czerwcu nasz chór akademicki jedzie w pełnym komplecie 160 osób obojga płci na objazd koncertowy Łotwy, Estonii i Finlandii. Przed kilku laty mieliśmy w Kownie koncert wielkiego i światowego chóru towarzystwa czy towarzystw śpiewackich fińskich. Obecny chór akademicki przedstawia się o wiele skromniej. Zespół jego, który tu przyjechał jest nieliczny, mniej więcej liczy od 30 do 40 osób w równej ilości kobiet i mężczyzn. Wczoraj koncertował on w teatrze miejskim. Kilka piosnek było ładnych i ładnie wykonanych, ale na ogół poziom koncertowy tego chóru jest mierny. Szczególnie uderza brak temperamentu, a dyrygent chóru, podobno zresztą wprawny zawodowiec, robi wrażenie zupełnie człowieka drewnianego, mimo że osobiście wydaje się sympatyczny – wysoki, dość niezgrabny, bardzo spokojny i dobroduszny Fin. Za to fizycznie i pod względem dyscypliny ruchów chór ten jest efektowny: studentki chórzystki wszystkie biało ubrane w długich sukniach, wysokie, zdrowo wyglądające, ładne, mężczyźni we frakach, wchodzą i ustawiają się na scenie i schodzą z niej bardzo rytmicznie. Naturalnie byłem na tym koncercie, ale od rautu się wymówiłem – zastąpił mię prorektor Česnys i dziekan Žemaitis, zawołany amator wszelkich uroczystości, który ma pasję wpychania się wszędzie na widok publiczny i któremu nigdy tego nie jest za wiele (jest to słabość Žemaitisa, jak drugą słabością jego jest

pedantyzm biurokratyczny, a obie te słabości zwalczają skutecznie jego pracę naukową). Dziś rano odbyła się w sali uniwersyteckiej ceremonia uroczysta złożenie mnie jako rektorowi wizyty przez chór akademicki fiński. Wygłosiłem do chóru przemówienie, ale tylko po litewsku, którego oczywiście nie zrozumieli oni ani słowa, po czym prezes chóru fińskiego odpowiedział mi po niemiecku i chór odśpiewał jedną ładną piosenkę fińską. Na tym się skończyło.

22 kwietnia, rok 1936, środa

Gdym wczoraj kartką Mašalaitisa został wezwany do Prezydenta Rzeczypospolitej Smetony, nie wątpiłem, że chodzi o te projekty rozbudowy konstytucyjnej – Sejmu czy tzw. przedstawicielstwa narodowego, z którymi się pozawczoraj zapoznał na naradzie u Mašalaitisa Šiling. Sądziłem, że Prezydent zwołuje odpowiednią naradę u siebie, do której mię wzywa w charakterze eksperta prawnika. Okazało się jednak, że byłem wezwany osobiście i sam jeden. Prezydent Smetona chciał się poradzić wprost ze mną na cztery oczy. Zdziwiłem się, gdym się dowiedział, że prezydent nie sprzyja pomysłowi Šilinga zwołania jakiegoś doradczego Przedstawicielstwa Narodowego jako instytucji prowizorycznej, nie będącej zgoła Sejmem. Myślałem, że Šiling to projektuje w porozumieniu z Prezydentem, tymczasem dowiedziałem się, że robi on to na własną rękę jako „genialny kombinator", za jakiego się sam ma i jakim być usiłuje. Prezydent nie chce takiego kombinacyjnego paliatywu, który skomplikuje jeno sytuację i wywoła nowy chaos konstytucyjny, pozostawiając jednocześnie cały ciężar władzy i odpowiedzialność formalnie na Prezydencie. Smetona chce Sejmu, chce znaleźć drogę do krystalizacji definitywnej władzy, chce się podzielić władzą konstytucyjną z Sejmem. Powiada, że się czuje zmęczony i że się nie czuje na siłach być nadal mężem opatrznościowym, na którym się cała władza państwowa opiera. Nie idealizuje on narodowców, widzi, jak trudno jest znaleźć ludzi i utworzyć rząd, rozumie, że trzeba znaleźć dla organizacji władzy ciągłej jakiś tryb prawny stateczny. Cała trudność polega jednak na ustaleniu budowy Sejmu, właściwie na systemie wyborczym, który należałoby zdefiniować. Chodzi mu o to, aby uniknąć nawrotu do rozhasania partyjnego, do rządu zwalczających się partii, jak to miało miejsce do przewrotu z r. 1926-1927 i przeciwko czemu był właśnie skierowany przewrót. Chociaż Smetona nie uważa konstytucji oktrojowanej z roku 1928 za doskonałość, jednak uważa, że konstrukcja mechanizmu władzy w tej konstytucji jest na ogół niezła; wolałby, aby stabilizacja władzy konstytucyjnej została dokonana, ile można, bez pogwałcenia tej konstytucji i bez dokonania w niej poprawek. Przepisy tej konstytucji o wyborach do Sejmu zastrzegają zasadę głosowania powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego z przedstawicielstwem proporcjonalnym. Powszechność etc. głosowania sama przez się obaw nie budzi, jeżeli istoty jej nie rozciąga się na wolne zgłaszanie kandydatur, które *expressis verbis* zastrzeżone nie jest, choć co prawda w idei głosowania powszechnego, jak się ona rozwijała historycznie, tkwi presumpcja wolnego stawiania kandydatur z dołu. Decyduje się jednak Smetona i rząd na taką interpretację zasady demokratycznej wyborów, która ogranicza tę demokratyczność do samej procedury głosowania. W takiej interpretacji (co prawda, dość wątpliwej) nie byłoby potrzeby reformować przepisu konstytucyjnego, żeby ograniczyć zgłaszanie kandydatur. Ustawa wyborcza ustanowiłaby monopol tego zgłaszania, aby wykluczyć ukazanie się kandydatur partyjnych. Zastanawiano się nad udzieleniem tego monopolu organizacjom zawodowym, zwłaszcza izbom gospodarczym (Rolniczej, Przemysłu i Handlu, Pracy). Przekonano się jednak, że organizacje zawodowe i system tych izb (z wyjątkiem poniekąd Izby Rolniczej) nie są u nas tak rozwinięte i rozbudowane, aby można było im zlecić stawianie kandydatur dla wyborów do Sejmu i liczyć, że to będą istotnie listy, reprezentujące kwalifikacje czy funkcje („*facultés*") odpowiednich kategorii zawodowych, oraz mieć pewność, że się przez nie nie przemycą elementy partyjne.

23 kwietnia, rok 1936, czwartek

Wczoraj był dzień poświęcony pamięci Mikołaja-Konstantego Czurlanisa. Miało to miejsce z okazji 25-letniej rocznicy śmierci wielkiego artysty. Pamiętam dobrze Czurlanisa żywego w Wilnie i

pamiętam też jego pogrzeb na cmentarzu Rossy w Wilnie. W dzienniku moim z roku 1911 musi być wzmianka o nim. Na obchód Czurlanisa złożyło się nabożeństwo żałobne rano, na którym nie byłem obecny, otwarcie wystawy obrazów Czurlanisa w galerii jego imienia na Zielonej Górze i wieczorem uroczystość w teatrze. Na wystawie wystawiono nie tylko te obrazy, rysunki i szkice Czurlanisa, które zwykle są w galerii wystawione, ale w ogóle wszystkie, które galeria posiada i których wszystkich normalnie dla szczupłości lokalu wystawić nie może i przechowuje na składzie, poza tym jeszcze jego utwory, udzielone na wystawę przez osoby prywatne. Wielką ilościowo i jakościowo jest ta spuścizna Czurlanisa, który do malarstwa się zabrał późno, dopiero po trzydziestym roku życia, będąc dotąd wybitnym muzykiem i który, ponieważ młodo umarł, niedużo lat życia sztuce malarstwa poświęcił. Jego twórczość artystyczna – to cały swoisty świat; głęboki, tragiczny, okrutny i piękny w rytmie, kontrastach i grozie. To był malarz-filozof i wizjoner. Twórczość jego jest tak na wskroś oryginalna, że do innej porównana być nie może. Jest samotny i wielki. Obejrzałem tę wystawę, ale że ludzi było dużo, a salki niewielkie – nie mogłem całego wrażenia osiągnąć. Prace jego jednak są tak wyraziste, że jak ogniem wypalają w umyśle widza wrażenie. Bodajże wszystkie te obrazy znam, a jednak za każdym razem wrażenie jest równie silne i bezpośrednie.

Wieczorem w teatrze były odczyty i był koncert. Kazano mi siedzieć na scenie w prezydium honorowym uroczystości wespół z prezydentem Smetoną, premierem Tubelisem, ministrami Tonkunasem i Šilingiem, wiceministrem oświaty Masiliunasem i dyrektorem departamentu dr Juśką, dyrektorem galerii Czurlanisa Galaunią i kilku innymi osobami. Mowę o Czurlanisie wypowiedział prezydent Smetona, referaty o malarstwie i muzyce Czurlanisa wygłosili Galaunė i Jokubėnas młody. Na dziale koncertowym nie byłem. Słuchałem go w domu przez radio. Została po raz pierwszy wykonana przez orkiestrę wielka symfonia czy poemat Czurlanisa „Morze“ („Jūra”). Utwór ten był przez Czurlanisa skomponowany przed laty 30 i wykonany po raz pierwszy tylko w osiemnastym roku niepodległości Litwy. Wykonanie było trudne, bo rękopis był nie wykończony w szczegółach, nie znaczony tempem, właściwie szkicowy. Dyrygentem był Dvarionas, który utwór ten zainscenizował.

24 kwietnia, rok 1936, piątek

Nie mam czasu na dziennik. Z dnia dzisiejszego – nic specjalnie szczególnego: egzaminy. Ale na ogół do notowania jest dosyć rzeczy ciekawych.

25 kwietnia, rok 1936, sobota

Wracam jeszcze do mojej rozmowy z prezydentem Smetoną sprzed kilku dni, mianowicie na temat Sejmu. Wybory, oparte na listach kandydatów, zgłaszanych przez organizacje zawodowe i izby gospodarcze, wydają się rządowi i Prezydentowi za niewłaściwe ze względu na słabe skategoryzowanie społeczne ludności i na dość powierzchowną i sztuczną organizację zawodową w kraju. Zdaniem Prezydenta, system taki nie stworzyłby u nas istotnego przedstawicielstwa zawodowego i nie uchroniłby od przemycania się czynników partyjnych z ich walką i licytowaniem się wzajemnym. Tego zaś właśnie rezultatu partyjnego Prezydent za żadną cenę dopuścić nie chce, uważając, że byłoby to przekreśleniem całkowitym przewrotu grudniowego z r. 1926, z którego przechodzi rząd obecny i który był zwrócony przeciwko właśnie rządu licytowania się partyjnego. Skoro jednak wykluczone ma być swobodne i dowolne zgłaszanie list kandydatów i skoro nie chce się przyjąć zgłaszania tych list przez organizacje zawodowe i izby gospodarcze, to cóż dalej? Oto prezydent Smetona skłania się do tezy, żeby zgłaszanie list kandydatów zostało udzielone radom samorządu powiatowego, w miastach zaś, posiadających przeszło 50 000 mieszkańców – przez rady miejskie (takim miastem jest zresztą jedne Kowno). Byłby to monopol zgłaszania list. Naturalnie, że przeciwko takiemu systemowi podnieść można słusznie argument, że przeczyłoby to istocie powszechności wyborów, których idea obejmuje nie tylko samą procedurę głosowania, ale i powszechność wpływania na dobór kandydatów, to znaczy powszechność inicjatywy w zgłaszaniu bądź poszczególnych kandydatur, bądź ich list. Ale ten szkopuł odpada w pojęciu rządu, który, aby

sobie sytuację ułatwić, trzyma się interpretacji dosłownej głosowania powszechnego, zastrzeżonego w konstytucji: podług tej interpretacji, powszechnym w myśl konstytucji musi być tylko samo głosowanie – samo podawanie głosu, nie zaś inicjatywa stawiania kandydatur. Zarzut ze stanowiska powszechności wyborów, jeżeli się interpretacji rządowej nie przyjmuje, może być słusznie podnoszony przeciwko monopolowi zgłaszania list kandydatów przez rady powiatowe nie tyle dlatego, że listy kandydatów byłyby zgłaszane nie przez samych wyborców bezpośrednio (i przy formalnie swobodnym zgłaszaniu list kandydatów zgłaszają je faktycznie nie luźni wyborcy, których listy, jeżeli są nawet zgłaszane, są z góry skazane na porażkę, ale stronnictwa polityczne, przywłaszczające sobie reprezentowanie wyborców) – pod tym względem rady samorządowe, pochodzące same z wyborów, mają więcej tytułów do działania w imieniu wyborców, niż stronnictwa polityczne – ile dlatego zarzut ten jest w tym wypadku słuszny, że sam samorząd lokalny jest u nas obecnie zreformowany i oparty na zasadzie wyborów cenzusowych. Rady przeto powiatowe i rada miejska w Kownie reprezentują tylko cenzusową część wyborców, a przeto te kategorie wyborców, które nie biorą udziału w wyborach rad powiatowych, byłyby *eo ipso* zupełnie wyłączone od jakiegokolwiek wpływu, nawet pośredniego, na zgłaszanie kandydatów do Sejmu. Ale, powiadam, wobec rządowej interpretacji głosowania powszechnego wzgląd ten nie jest istotny. Wszakże pozostaje trudność innego rodzaju. Jeżeli listy kandydatów mają być zgłaszane li tylko przez rady powiatowe, to nie ma konkurencji list, a w takim razie nie ma proporcjonalności wyborów. Tymczasem konstytucja z roku 1928 zachowała przepis dawnej konstytucji, obalonej przez przewrót, że nie tylko głosowanie ma być powszechne etc., ale że także przedstawicielstwo w wyborach będzie proporcjonalne. I oto tu jest rzecz najtrudniejsza, nad której rozstrzygnięciem formalnym łamie sobie Prezydent głowę. Dwa więc są momenty w zagadnieniu konstrukcji Sejmu: polityczny, aby nie dopuścić do odrodzenia walk i licytowania się partyjnego, i prawniczy, polegający na tym, jak wybrnąć z formuł konstytucyjnych.

26 kwietnia, rok 1936, niedziela

Otwarta została wystawa obrazów Zosi Römerowej w lokalu Towarzystwa Litewsko-Francuskiego. Byłem na otwarciu. Sala jest niewielka, ale obrazów dużo jak na produkcję jednej artystki. Przeważają portrety, które są dwóch rodzajów – pastele i olejne. Z olejnych są portrety: mój zeszłoroczny, Władysława Komara z Bejsagoły, Redzia Römera, młodszego syna Zosi Andrzeja, córki Gieni i kilka innych. Pastelowe: prof. Žemaitisa, prof. Żylińskiego, prałata Dąbrowskiego, Jakštasa, burmistrza Merkysa, ministra Tonkunasa, inżyniera Vizbora i inne. Są ładne portrety pań. Na ogół wystawa jest ciekawa. Portrety Zosi są realistyczne, pastele – w barwach subtelnych. Wczoraj towarzyszyłem Zosi do Prezydenta Smetony dla wręczenie mu zaproszenia na wystawę. Przyjął nas osobiście, przyrzekł być na wystawie, ale nie na otwarciu. Na otwarciu była większość Polaków miejscowych i ziemian, ale nie z młodzieży radykalnej kierunku nacjonalistycznego polskiego (może raczej peowiackiego); byli: Stanisław Zyberg, panna Dymszanka, młody Chrapowicki, korespondent pism warszawskich Katelbach (nieoficjalny konsul polski), dyrektor gimnazjum polskiego Abramowicz, kilku z młodzieży kierunku umiarkowanego, czyli „starych” u młodzieży i jeszcze trochę osób. Z Litwinów byli na otwarciu: minister wojny prof. Dirmantas, profesorowie Žemaitis i Żylinski, redaktor „Židinysu” Skrupskelis, redaktor „Lietuvos Žinios” Kardelis z żoną, poeta Ludwik Gira, publicysta Witold Bičiunas i kilku innych, ale ani jednego z malarzy litewskich, którzy zresztą wyjechali podobno na otwarcie jakiejś wystawy w Telszach.

Z Bohdaniszek – złe wieści. Ekonom Pumpol znów leży w szpitalu. Niepokoję się o drzewka, które wypisałem z Olity i które przyjść miały na imię ekonoma do Abel. Andrzej z Bohdaniszek jeszcze tu nie przyjechał.

27 kwietnia, rok 1936, poniedziałek

Otrzymałem z Paryża list od p. de Chambon, publicysty i przyjaciela Litwy, w którym donosi mi on, że rząd Rzeczpospolitej Francuskiej już mię mianował oficerem Legii Honorowej i że dyplom

nominacyjny zostanie mi przesłany przez posła francuskiego w Kownie. Nie przeczę, że mi to sprawia przyjemność, bo francuska Legia Honorowa – „Legion d'Honueur" – ma aureolę szczególną, dominującą nad wszystkie ordery. Nie marzyłem nigdy, że zostanę kiedyś zaszczycony Legią Honorową. P. de Chambon zaznacza w liście, że to się stało na jego prośbę. Oczywiście chodzi mu o to, abym wiedział, że to on się do tego przyczynił. Dlatego też śpieszy z powiadomieniem mię. Wiem, że inicjatywa była jego, bom podsłuchał niechcący jego rozmowę z wybitnym politykiem i dziennikarzem obozu rządowego na śniadaniu w Escalle Interaile w grudniu. I wiem, że p. de Chambon szczerze i w czystej intencji pragnął mi sprawić tę przyjemność i zarazem przysłużyć się Litwie, której jest szczerym i serdecznym przyjacielem. Ale choć mię Legia Honorowa jako owoc mojej pracy grudniowej w Paryżu cieszy, to jednak nie cieszy mię wcale to, że dotąd nie mogę się doczekać innego – treściwszego w moich aspiracjach – owocu tejże pracy mojej, mianowicie ukazania się w druku moich odczytów paryskich. Dlaczego to się tak odwleka – nie wiem. Niby się tym i Natkiewicz zajmuje, ale dotąd nic z tego nie ma.

Przyjechał z Kowna i dziś rozpoczął wykłady na Wydziale Prawniczym nowy profesor Seenger, rodem z Frankfurtu, tamże urodzony. Był długie lata profesorem prawa cywilnego we Frankfurcie, ale ponieważ jest z pochodzenia Żydem, więc za rządów nacjonalsocjalistycznych został usunięty i emigrował do Szwajcarii. Ostatnio przebywał w Bazylei, skąd do nas przybył, zaangażowany przez Janulaitisa. Wykładać będzie całkowity kurs prawa cywilnego w zastosowaniu do prawa; obowiązującego w Kłajpedzie, to znaczy niemieckiego B.S.B. Poznałem go w profesorium, gdzie mu towarzyszył Janulaitis, który go przedstawił studentom na wykładzie wstępnym. Potem złożył mi on wizytę w gabinecie rektorskim. Ze mną rozmawiał po francusku. Wykłada po niemiecku. Wrażenie robi sympatyczne. Ma lat, sądząc z wyglądu, koło 50.

Na obiedzie miałem dziś Eugeniuszostwo Römerów. Jadzia przy nich do stołu nie siada, bo się ich wstydzi. Ale Zosia Römerowa, która jest wszędobylska, dawno Jadzię poznała i dziś podniosła kwestię, dlaczego Jadzia nie siada z nimi do stołu. Sama poszła zapraszać Jadzię, która wybrała właśnie ten czas, aby zwiedzić wystawę Zosi, bo była pewna, że Zosi tam nie zastanie. Nic nie pomogło zapraszanie Zosi: Jadzia wymówiła się i uciekła na wystawę. Dzikuska Jadzia za nic nie chce przy Eugeniuszostwie siedzieć. Byłoby to dla niej pokutą.

Wzywał mię dziś do gabinetu swego prezes ministrów Tubelis i w obecności Mašalaitisa kontynuował ze mną rozmowę, którą przed tygodniem miałem z Prezydentem Smetoną. Prezydent mu o tej rozmowie mówił i, jak powiada Tubelis, bardzo się zainteresował moimi uwagami. Muszę jednak jeszcze dokończyć o tej mojej rozmowie z Prezydentem. Pisałem już w dzienniku, że rząd, a właściwie Prezydent, bo właściwie on za wszystkich decyduje i niemal myśli sam jeden za wszystkich (Tubelis bierze udział w tym myśleniu tylko dopełniająco i przygodnie, bo to nie jego sfera właściwa, a Šiling, który jedyny w rządzie tym, jak i wszystkim innym, gorąco się zajmuje, nie pomaga, ale komplikuje problem, gubiąc się w najekscentryczniejszych kombinacjach), otóż więc pisałem, że Prezydent decyduje się na taką konstrukcję wyborów do Sejmu, w której zgłaszanie list kandydatów byłoby zmonopolizowane na rzecz rad powiatowych samorządu lokalnego. Na razie konstrukcja zgłaszania list była wykoncypowana taka: w każdym powiecie rada powiatowa (a w Kownie rada miejska) wystawiłaby ilość kandydatów potrójną w stosunku do ilości mandatów, wypadających na powiat, a z tej listy wyborcy w powiecie w drodze głosowania powszechnego wybraliby posłów większością głosów. Ogólna liczba posłów do Sejmu wynosiłaby 50. Ale takie wybory byłyby mażorytarne, nie zaś proporcjonalne i każdy powiat stanowiłoby osobną jednostkę wyborczą. Tymczasem konstytucja z r. 1928 zastrzega wybory proporcjonalne. Tu więc powstaje nowa trudność.

28 kwietnia, rok 1936, wtorek

Kontynuuję o zamierzeniach rządu (Prezydenta Smetony) w przedmiocie ordynacji wyborczej do Sejmu. Po skonstatowaniu, że pożądane zasady ordynacji wyborczej (okręgi wyborcze jednopowiatowe, monopol zgłaszania list kandydatów udzielony radom powiatowym i wymagający

zgłoszenia potrójnej ilości kandydatów w stosunku do ilości mandatów poselskich), powstała sama przez się kwestia, jak to uzgodnić z przepisem art. 25 konstytucji z roku 1928, zastrzegającym nie tylko powszechność, równość, bezpośredniość i tajność głosowania, ale także przedstawicielstwo proporcjonalne. To ostatnie w tym systemie wyborczym jest niewykonalne. Aby zaradzić na to, zaprojektowane zostały dwa wnioski, oba reformujące art. 25 konstytucji. Jeden wniosek (zdaje się – Šilinga) nadaje artykułowi 25 konstytucji nową treść, mianowicie tę, że tryb wyborów ustanawia ustawa wyborcza. To znaczy, dekonstytucjonalizuje wszelkie zasady wyborów, zwalniając ustawodawcę od wszelkich zastrzeżeń konstytucyjnych w tym względzie. Oczywiście dla ustawodawcy byłoby to ułatwieniem największym, bo wtedy nie potrzebowałby sobie łamać głowy i ustanowiłby, co chciał. Ale ułatwienie to byłoby dokonane kosztem złamania zasady o konstytucji jako prawa wiążącego samego ustawodawcę i byłoby identyczne z przekreśleniem całej konstytucji i powrotem do czystej tezy dyktatury poprzewrotowej takiej, jaką ona była faktycznie przed rokiem 1928. A że dotyczyłoby to jednego z najkapitalniejszych przepisów demokratycznych konstytucji, byłoby to aktem niezmiernie jaskrawym i podważającym cały autorytet ustroju, którego budowa była w roku 1928 rozpoczęta. Drugi wniosek w istocie rzeczy ma tę samą wadę nawrotu do czystej dyktatury, ale jest o tyle mniej jaskrawy, że chodziłoby tylko o wykreślenie z art. 25 przepisu o przedstawicielstwie proporcjonalnym, które samo w siebie nie jest kategorycznym postulatem demokracji – przynajmniej w klasycznej teorii demokratycznej – i nie dotknęłoby bezpośrednio powszechności głosowania (wyborów). W dalszym ciągu pomówię jeszcze o tym innym razem.

O godz. szóstej wieczorem poszedłem na herbatkę Towarzystwa Litewsko-Francuskiego w lokalu tegoż Towarzystwa, gdzie na ścianach wiszą obrazy wystawy Zosi Römerowej. Zosia była także na wystawie. Osób było kilkadziesiąt – poseł francuski z żoną, poseł łotewski z żoną, burmistrz Merkys, Jan Vileišis, prof. Pakštas, sporo pań z wyższego towarzystwa litewskiego, artyści, trochę młodzieży etc. Była deklamacja, śpiew, tańce. Przy jednym ze stolików poznałem się przypadkowo ze studentką panną Kiersnowską, koleżanką Andrzeja Mieczkowskiego (romanistką z filologii), z którą Andrzej miał flircik i o której dużo mi opowiadał jako rzekomo bardzo się mną interesującą – zapewne ot tak, z ekscentryczności – i twierdzącą nawet o „zakochaniu się" we mnie z samego napatrzenia, bo nigdy z nią dotąd nie rozmawiałem. Ale istotnie emablowała mię dzisiaj na tej herbatce, wpatrywała się we mnie jak w obraz, prowokowała oczami i odmawiała iść tańczyć, aby być ze mną, a przynajmniej taką odprawę angażującym dawała. Krótko jednak przy niej siedziałem i w rozmowę obszerniejszą się nie udałem, bo musiałem uciec, aby pospieszyć na wykład.

29 kwietnia, rok 1936, środa

W Ministerium Spraw Zagranicznych zlikwidowałem dziś moje rachunki z podróży do Szwecji. Tak samo, jak w mojej podróży grudniowej do Paryża, ministerium opłaciło mi koszt przejazdu koleją w I klasie tam i z powrotem, dodając do tego cenę miejsca w wagonie sypialnym w przejeździe nocnym i diety dzienne od dnia wyjazdu z Kowna do dnia powrotu z zagranicy po 70 litów dziennie. Ogółem za całą wycieczkę do Szwecji, która wyniosła 14 dni, wypłacono mi 2025 litów. Awansu byłem wziął 1000 litów, resztę wypłacono mi dziś; ale ponieważ w Sztokholmie dopożyczyłem od posła Žilionisa 30 koron (45 litów), które obecnie muszę mu zwrócić, więc czystej gotówki zarobiłem 680 litów. Wszakże w istocie zarobiłem więcej, bo z awansu wydałem jeszcze na sprawunki w Sztokholmie i na różne potrzeby osobiste w Kownie przed wyjazdem i w Bohdaniszkach po powrocie jeszcze zapewne do 400 litów.

Widziałem się w ministerium z panną Avietinaitė i z bawiącym w Kownie posłem litewskim w Paryżu Piotrem Klimasem. Avietinaitė winszuje mi powodzenia w Szwecji i powiada, że ze Sztokholmu dochodzą ją od Szwedów głosy uznania entuzjastycznego dla moich odczytów i dla mnie. Miło to słyszeć. Avietinaitė nazywa mię „litewskim Ribbentropem", to znaczy wysłańcem zawodowym, którego się deleguje tam, gdzie chodzi o misję na rzecz wzmocnienia swoich wpływów i pozyskania sympatii (Ribbentrop jest posłem nadzwyczajnym Niemiec bez określonej placówki, którego się wysyła tam, gdzie chodzi o akcję szczególną i najistotniejszą i który tam, dokąd

przybywa, obejmuje zwierzchnictwo nad posłem niemieckim miejscowym iześrodkowuje w swojej osobie przedstawicielstwo sprawy niemieckiej). Tylko że Ribbentrop jest wojażerem od dyplomacji i polityki, ja zaś – od akcji kulturalnej.

Minister Klimas mówił mi o pewnych epizodach, związanych z moją nominacją na oficera Legii Honorowej. Poselstwo litewskie w Paryżu na razie się obraziło za to, że rząd francuski mianował mię tylko oficerem, nie zaś komandorem Legii i uważało to za stopień zbyt niski, nie odpowiadający mojej godności rektora uniwersytetu. Klimas interpelował w tej sprawie telefonicznej Quai d'Orsay. Odpowiedziano mu, że się myli; że Legia Honorowa jest przeznaczona właściwie dla czynów honoru wojskowego i że dla osób cywilnych stopień oficera Legii jest wysoki i udzielany tylko w wypadkach szczególnych, zwłaszcza w tej formie, w jakiej został udzielony mnie z wpisaniem mię do ksiąg czy list stałych Legii, czego się zazwyczaj przy nominacjach cudzoziemców, należących do dyplomacji, nie robi. Moja więc nominacja, jak mu wyjaśniono, jest istotna, nie zaś tylko dekoracyjna, jak w odznaczaniu dyplomatów.

Dowiedziałem się od Trimakasa (Trimakas był przez kilka lat sekretarzem poselstwa litewskiego w Sztokholmie, umie po szwedzku, ma doskonałe stosunki za Szwedami, którzy go znają i, jak to sam stwierdzić mogłem, bardzo wysoko cenią i lubią), że malarz Kronstrand przysłał mu fotografię mojego portretu, wykonanego przezeń. Ciekaw jestem tej fotografii. Trimakas ma mi ją pokazać.

30 kwietnia, rok 1936, czwartek

Z Bohdaniszek niedobre wieści z mojego gospodarstwa. Ekonom Pumpol jeszcze leży w szpitalu w Rakiszkach. Marynia pisze, że podobno ma wyjść ze szpitala w nadchodzący poniedziałek, ale że jednak jest bardzo osłabiony tak fizycznie, jak umysłowo. Bieliunas go odwiedzał w szpitalu. Widocznie jest mu coś więcej, niż tylko ten wrzód, który już pękł i dokoła którego wycięto mięso. Ale co to jest – nikt dokładnie nie wie. Adela – moja ochmistrzyni – także jest chora. I u niej uformował się wrzód bolesny na szyi. Chodzi jeszcze, ale jest zbolała. Obawiam się, że się zaraziła od ekonoma, którego opatrywała. Nie sądzę, żeby ekonom po powrocie ze szpitala miał od razu siłę i energię do pracy, jeżeli nawet wróci do zdrowia, czego zresztą nie jestem pewny. Zdaje się, że wypadnie Jadzi pojechać do Bohdaniszek i dopilnować gospodarstwa i ogrodów.

Jeszcze o kombinacjach sejmowych z mojej rozmowy z Prezydentem Smetoną w tygodniu ubiegłym. Prezydent Smetona mię spytał, jakie jest moje zdanie co do ewentualnego zreformowaniu art. 25 konstytucji i jak mi się zdaje, jakie to zrobi wrażenie na opinię publiczną. Odpowiedziałem, że moim zdaniem byłoby lepiej konstytucji nie dotykać. Jeżeli się chce nadać wyborom taką lub inną konstrukcję, to lepiej byłoby ją choćby pozornie z konstytucją uzgodnić i oprzeć się choćby na dosyć wątpliwej interpretacji jej przepisów, niż uchylić arbitralnie przepisy tejże. Skoro się rząd decyduje na udzielenie radom powiatowym monopolu zgłaszania kandydatów, to proporcjonalność wyborów, przepisana w konstytucji, dałaby się w ten sposób wykonać, że okrąg wyborczy obejmowałby trzy powiaty i przeto w okręgu byłyby trzy listy kandydatów, zgłoszone przez trzy rady powiatowe. Mogłaby więc być konkurencja tych trzech list i proporcjonalny podział mandatów między nimi stosownie do wyników głosowania. Nie zaszkodziłoby to intencjom konstrukcji rządowej, a uniknęłoby się formalnego łamania konstytucji. Oczywiście – zarzuty będą i zarzuty poważne; będą one dotyczyły dwóch rzeczy: a. usunięcia wyborców od inicjatywy wyborczej, mianowicie od zgłaszania list kandydatów, co może być uważane za pogwałcenie konstytucyjnej zasady głosowania powszechnego pojmowanego jako powszechność nie tylko podawania głosów, ale jako powszechność całych wyborów, łącznie z inicjatywą; b. to, że rady powiatowe, monopolizujące zgłoszenia list kandydatów, same pochodzą z głosowania nie powszechnego, jeno cenzusowego. Te zarzuty będą bez względu na to, czy się z konstytucji wykreśla, czy nie proporcjonalne przedstawicielstwo. Ale jeżeli się przepisów konstytucji formalnie nie zmieni, to będą te tylko zarzuty, skierowane do interpretacji przepisów konstytucyjnych, nie zaś do deptania samej konstytucji.

1 maja, rok 1936, piątek

Wieczorem Andrzej Mieczkowski wrócił z Bohdaniszek. Cały miesiąc sobie przebumblował na wsi pod pozorem wakacji wielkanocnych. Teraz skieruję go do prof. dr Zubkusa, który mu zrobi operację w gardle i nosie, wycinając jakieś niepotrzebne narośle. Już przed rokiem doktor stwierdził potrzebę tej operacji, zresztą bardzo pospolitej. Wypadnie mu przeleżeć kilka dni w klinice uniwersyteckiej gardła, uszu i nosa, której kierownikiem jest Zubkus.

Nasz chór akademicki niebawem jedzie na gościnne występy do Szwecji. Będzie koncertował w Sztokholmie w pięknym parku etnograficznym Skansen. Śliczne miejsce dla koncertu, a że i chór jest bardzo dobry, i pieśni litewskie – piękne, melodyjne i stylowe, więc powodzenie koncertu z pewnością będzie dobre. Nic tak się nie nadaje do nawiązania sympatii wzajemnych między narodami, jak sztuka wokalna, szczególnie śpiew chóru. Pieśni narodowe mają wdzięk i w wykonaniu chóralnym działają na uczucia i na wyobraźnię, nawiązując nić sympatii. A nasz chór akademicki jest prawdziwie dobry, szczególnie chór męski. Właściwie dla efektu koncertowego wystarczyłoby, żeby pojechała tylko męska część chóru, ale studentki w ekskursji chóru są potrzebne dla gładszego kontaktu z młodzieżą lokalną. W tym kontakcie poznania się i zbliżenia wzajemnego studentki są tym, czym jest masło w buterbrodzie; smarują one i gładzą stosunek, czynią go miększym, subtelniejszym i serdeczniejszym przez taniec, flirt, zabawę. Nasz chór akademicki jest o wiele lepszy, niż np. akademicki chór fiński, który koncertował u nas niedawno. Nasi przyjaciele szwedzcy w Sztokholmie z pewnością postarają o to, żeby zaakcentować powodzenie naszego chóru. Poseł litewski Sawicki już tam działa, aby ułożyć i zapełnić program wizyty. Była wielka trudność ze sfinansowaniem tej ładnej i użytecznej wycieczki chóru. W wycieczce bierze udział 100 chórzystów z dyrygentem Kaweckim na czele. Na ogół chór nasz liczy do 170 osób, ale do wycieczki wybrano tylko najlepszych. Kosztorys wycieczki ułożono w porozumieniu w drodze listownej i telegraficznej z dyrekcją Towarzystwa Żeglugi Szwedzko-Amerykańskiego, które udziela chórowi do przejazdu z Kłajpedy do Sztokholmu i z powrotem statek Marieholm, w którym też chórzyści będą mieszkać przez czas pobytu w Sztokholmie. Ogółem ta przyjemność kosztować będzie koło 10 000 litów. Środki na to udało się naskrobać z różnych źródeł: 2000 lt. dało Ministerium Oświaty, 1500 lt. dało Ministerium Spraw Zagranicznych, 1000 lt. chór ma z dochodu koncertu w Kownie, 2000 lt. zebrano przez opodatkowanie się wszystkich chórzystów, biorących udział w wycieczce, po 20 lt. od osoby. Brakowało jeszcze 3500 lt. Dziś mi się udało wycyganić 2000 litów od Mašalaitisa z Gabinetu Ministrów. Brakuje jeszcze 1500 lt. Chór postara się zebrać spomiędzy siebie jeszcze 500 lt., a o 1000 litów kołata do funduszu reprezentacyjnego profesury. Trudno nam się na to zgodzić, bo potem Rada Uniwersytecka jako ogólne zebranie profesury nam za to wymyśla, zarzucając, że szafujemy środki tego funduszu na cele, które nie są ściśle reprezentacyjne, a w każdym razie nie stanowią reprezentacji profesury. Chór zapewnia, że to będzie tylko pożyczka, którą chór w jesieni zwróci z dochodów koncertu, ale to są, zdaje się, gruszki na wierzbie.

Wieczorem miałem u Mašalaitisa posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Oprócz członków komisji – Mašalaitisa, Tadeusza Pietkiewicza, Urbšysa i mnie – był też Dominik Kriwicki. Obradujemy w tych czasach nad różnymi zagadnieniami drobnymi i dość uciążliwymi ze stanowiska interpretacji przepisów statutowych. W tych rzeczach decydujące są zazwyczaj opinie Tadeusza Pietkiewicza, który jest karnistą i który zresztą bardzo zabiega o to, aby zawsze jego zdanie wzięło górę. Kriwicki nie bardzo mi się podoba. Od czasów studenckich zmienił się bardzo. Przyznaję, że jest wcale niegłupi, ale rozwija się w nim zarozumiałość i oportunizm, a co gorsza – mam wrażenie, że się rozwija zmysł karierowiczowski, który w tej chwili każe mu się trzymać ślepo Pietkiewicza, otwierającego mu furtki do dobrych stanowisk płatnych, które Pietkiewicz mistrzowsko umie kaperować.

2 maja, rok 1936, sobota

Nie wiem, czy rząd (Prezydent) zdecyduje się nareszcie na Sejm i na tę ordynację wyborczą, do której się skłania obecnie. Jeżeli się na to zdecyduje, to moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby przepisy konstytucji pozostały nietknięte, a to jest możliwe tylko o tyle, o ile zachowana będzie proporcjonalność w rozdawnictwie mandatów, choćby tylko proporcjonalność formalna. Z pewnością – dużo i bardzo istotnych zarzutów można będzie czynić ordynacji wyborczej, opartej na monopolu zgłaszania list kandydatów przez cenzusowe rady powiatowe i na konkurencji list, reprezentujących nie jakieś grupy lub prądy społeczne, jeno różne lokalne rady powiatowe. Z pewnością nie odpowiada to logice demokratycznego głosowania powszechnego i socjokratycznego przedstawicielstwa proporcjonalnego. Prawniczo zarzuty takie będą zupełnie uzasadnione. Ale jeżeli konstytucja formalnie nie zostanie dotknięta przez żadne poprawki do jej tekstu, to ordynacja wyborcza, nawet konstytucyjnie wadliwa, będzie grzeszyła tylko wadliwą interpretacją konstytucyjną. Autorowie zarzutów będą zmuszeni je skierować do interpretacji, a wtedy spór interpretacyjny z natury rzeczy musi być mniej zasadniczy, mniej rewolucyjny: bo interpretację można zawsze zmienić, ale podstawa, przesłanka konstytucyjna pozostaje nietknięta. Gdyby się zaś konstytucję złamało, gdyby się jej przepisy uchyliło arbitralnie dla osiągnięcia takiego lub innego efektu, to się od razu wpada w chaos i dyktaturę, w negowanie wszelkiego prawa u funkcjonalnej podstawy władzy. Byłoby to w warunkach obecnych niebezpieczniejsze.

W innych krajach są dyktatury, ale są one mocne, twórcze, popularne. Tam rząd mocno siedzi w siodle i może sobie przeto pozwolić na wszelkie skoki. U nas tego nie ma. Rząd siedzi słabo, wielkiej entuzjastycznej popularności nie posiada, trzyma się i rządzi środkami aparatu państwowego, ale nie żywiołowym entuzjazmem masy.

Ferment w Suwalszczyźnie jest długotrwały i uporczywy. Rząd w żaden sposób uporać się z nim nie może.

3 maja, rok 1936, niedziela

Wybraliśmy się z Jadzią i Andrzejem do Poniemunia pod Kownem. Ładny tam jest las sosnowy na piaskach nad Niemnem, dobrze urządzony, uporządkowany, z wyciętymi dróżkami, ławkami – piękne miejsce letniskowe i uzdrowiskowe. Komunikacja autobusem z Kownem łatwa i prędka. W lesie postawiony jest ładny kurhauz, w którym mieści się restauracja z wielką otwartą werandą pod gołym niebem w słońcu i aromacie sosnowym lasu; wprost z podłogi werandy wyrastają wielkie stare sosny. Tam zjedliśmy obiad, ale obsługa restauracji w kurhauzie jest tak niezdarna, że jeno odstraszyć zdoła gości. Gości w kurhauzie zebrało się mnóstwo, zabrakło potraw do obiadu, a lokai było dużo, ale widocznie same braki, bo godzinami czekać trzeba było na każdy epizod obsługi. Publiczność się nerwowała, gniewała, burzyła, ale nic nie pomagało. Przeszło dwie godziny upłynęło nam na obiad, który zresztą był nędzny i bardzo źle podany. Taka obsługa kurhauzu i taka nieudolność organizacji są wprost skandaliczne. Tylko orkiestra w kurhauzie jest dobra. Z uczuciem ulgi wyszliśmy wreszcie z kurhauzu, przeszliśmy się jeszcze lasem do brzegu Niemna i powoli brzegiem Niemna powędrowaliśmy do mostu poniemuńskiego.

O godz. szóstej przed wieczorem udałem się na przyjęcie gości do korporacji akademickiej polskiej „Lauda", która obchodzi dziś ósmą rocznicę swego założenia. Na akcie uroczystym korporacji w tym roku nie byłem, ale na tę herbatkę poszedłem. Trochę się wahałem, czy iść czy nie. W stosunkach polsko-litewskich na terenie spraw wileńskich jest nowe chroniczne zaognienie. Po głośnej akcji wiecowej przeciwko Litwie w Wilnie i całej Polsce nastąpiło co prawda pewne zacisze, ale za to w tym czasie władze wileńskie zainicjowały ostrą kampanię przeciwko akcji narodowo-kulturalnej litewskiej w Wileńszczyźnie. Zaczęto na gwałt zamykać resztę szkółek prywatnych litewskich, likwidować przymusowo organizacje kulturalne i oświatowe litewskie, słowem – dusić cały ruch organizacyjny w społeczeństwie. Władze wileńskie robią to z całym cynizmem gwałtu, jako represję czy „retorsję" na rzekomy ucisk Polaków w Litwie. Podniecają je do tego radykalne żywioły nacjonalistyczne polskie stąd, które w kołach polskich Litwy Niepodległej coraz bardziej się panoszą i rozjadają na Litwinów i Litwę, posługując się Polską dla akcji odwetowej. Ale skądinąd

rodzi to nowe odruchy odwetu i tutaj ze strony litewskiej. Co prawda, władze litewskie sprowokować się nie dają i zachowują spokój, nie czyniąc nic gwałtownego, ale społeczeństwo litewskie, zwłaszcza młodzież akademicka litewska u nas, kipi oburzeniem. Były już wiece i uchwały tej młodzieży, protestujące przeciwko represjom wileńskim i wzywające rząd do reagowania przeciwko organizacjom polskim w Litwie Niepodległej. I oto właśnie zapowiedziane były jakieś rezolucje w tym rodzaju, mające być uchwalone przez studentów po odczycie prof. Wacława Biržiški na tzw. „semestrze wileńskim". Wahałem się więc, czy iść czy nie na zebranie korporacji polskiej „Lauda" akurat w tym samym dniu, kiedy przez młodzież akademicką litewską mają być uchwalone rezolucje, zwrócone przeciwko mniejszości polskiej. Chociaż bowiem nie sprzyjam wcale metodom „retorsji" bez względu na to, czy są one zwrócone ze strony polskiej przeciwko litewskiej, czy odwrotnie, to jednak między akcesem do uchwał retorsyjnych a demonstracyjnym pozdrawianiem korporacji polskiej, należącej do obiektów retorsji, dysproporcja jest może za duża. Można nie akceptować uchwał retorsyjnych, ale niekoniecznie manifestować jednocześnie sympatii do tych, którzy są przez te uchwały dotknięci. Można zachować neutralność. Ponieważ zaś jestem rektorem, więc cokolwiek bym robił i gdziekolwiek bym się udał – wszystko to jest nie wyłącznie osobiste i prywatne, ale urzędowe uniwersyteckie. Młodzież litewska może mię zrozumieć, gdy się do jej uchwał retorsyjnych nie dołączam i od nich odgradzam, ale może mi mieć za złe, gdy w chwili oburzenia na akcję polską w Wilnie ja, jej rektor, tutaj specjalnie manifestuję sympatie dla ugrupowań polskich.

4 maja, rok 1936, poniedziałek

Nie dokończyłem wczoraj o moich wahaniach co do udania się na herbatkę korporacji akademickiej polskiej „Lauda". Zdecydowałem się pójść. Poczucie sprawiedliwości zwyciężyło. Jeżeli pokrzywdzeni są Litwini w Wileńszczyźnie, to tutaj upośledzonymi są Polacy, a ten odłam młodzieży, który się grupuje w „Laudzie", w żadnym razie za represje polskie na Litwinach w Wileńszczyźnie odpowiedzialny moralnie nie jest, bo jest to właśnie młodzież umiarkowana, w której się jeszcze przechowują pewne sentymenty krajowe i która nacjonalizmowi radykalnemu nie hołduje i jest przezeń raczej zwalczana. Wreszcie liczyłem się i z tym względem, że tej zimy rektor uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, prof. Staniewicz, na moją prośbę telegraficzną wystarał się u władz wojewódzkich wileńskich o przepustki dla akademików litewskich z Kowna, udających się na obchód 10-lecia rocznicy stowarzyszenia studentów Litwinów w Wilnie i sam był osobiście na balu akademików litewskich tamże. Jeżeli krzywdy wet za wet robić nie należy, to wet za wet czynić gesty łagodzące – należy. I nie żałowałem, że poszedłem. Spędziłem tam godzinkę na kawie, zastałem i pogawędziłem ze znajomymi: byli między innymi Eugeniuszostwo Römerowie, Zitka Komorowska, Jan Przeździecki z Rakiszek, Kazimierz Bystram z Kurkl. Z nimi siedziałem. Do „Laudy" garną się elementy starsze, ziemiańskie, bardziej ugodowe i umiarkowane. Z ramienia młodzieży wygłoszono do mnie przemówienie, na które też przemówieniem serdecznym odpowiedziałem w duchu pojednania, humanizmu i uszanowania się wzajemnego między narodami.

Andrzej Mieczkowski położył się dziś do kliniki uniwersyteckiej uszu, gardła i nosa. Prof. dr Zubkus wykonał mu operację w nosie. Ja go nie widziałem, odwiedziła go Jadzia. Tę kurację ja mu funduję.

5 maja, rok 1936, wtorek

Andrzejowi operacja w nosie już zrobiona wczoraj. Udała się dobrze, ale była bolesna. Zresztą trudno było, aby się nie udała, bo była raczej mechaniczna: chodziło o wyrównanie przegródki w nosie i o jakieś tam zeskrobanie czegoś. Wczoraj miał zbolałą twarz całą i głowę, nos miał wybrzękły, gorączkował. Dziś jest już lepiej, ale gorączkuje jeszcze trochę i leży. Odwiedziłem go z Jadzią w klinice.

Sprawa Sejmu jest już na wszystkich ustach. „Lietuvos Aidas" zapowiedział już rychłe ogłoszenie ordynacji wyborczej i rychłe również wybory, ale nie podał trybu zgłaszania list kandydatów. Ludzie się poruszyli, dziennikarze biegają i łowią nowinki, ale nie bardzo mogą coś

ogłaszać, bo cenzura jest ścisła. W każdym razie, żadne przepisy konstytucji nie zostaną uchylone ani zmienione. Udało mi się przekonać Prezydenta Smetonę, że konstytucji tykać nie należy, co zresztą odpowiadało intencjom samego Prezydenta, i że proporcjonalność wyborów może być zarządzona przez połączenie kilku powiatów w jeden okręg wyborczy i konkurencję kilku list w każdym okręgu, zgłoszonych przez poszczególne rady powiatowe w granicach okręgu. Ordynacja wyborcza nie zachwyci z pewnością opinii publicznej i entuzjazmu nie wywoła, a najcięższym jej grzechem demokratycznym ze stanowiska konstytucyjnego będzie to, że rady powiatowe, zgłaszające listy kandydatów, same pochodzą z wyborów cenzusowych. Z pewnością będzie dość znaczna abstynencja na wyborach, a w Suwalszczyźnie, w której ferment coraz narasta i ma cechy wichrzycielskie, wpadające wprost w akty terroru, mogą być różne niespodzianki w zakresie wyborów. Ale, moim zdaniem, w każdym razie zwołanie Sejmu będzie dodatnie; odświeży nieco atmosferę, da większą powszechność i jawność sprawom publicznym, usunie może akcję intrygancką i warcholską jednostek w stylu Šilinga, operujących w rządzie, dla których mroki poufnej kliki rządzącej, działającej w ukryciu, są doskonałym terenem do spekulacji i koziołków politycznych. Ano, rychło zobaczymy. Oczywiście ten Sejm popularny nie będzie, ale bądź co bądź będzie jakaś arena i mównica publiczna.

6 maja, rok 1936, środa

Rano Jadźka wyjechała do Bohdaniszek dla dozoru nad gospodarstwem, ogrodami, ptactwem, bo ekonom chory i chora jest nasza ochmistrzyni Adela Jankowska. Zabawi Jadzia w Bohdaniszkach najmniej do Zielonych Świątek, to znaczy do początku czerwca.

Znowu narastają przykre i ciężkie wypadki na uniwersytecie. W radykalnych kołach narodowej młodzieży litewskiej – podobno w pewnej grupie „Neo-Lithuanów” – ujawniły się tendencje gwałtu odwetowego na młodzieży polskiej na uniwersytecie w odpowiedzi na akcję antylitewską władz polskich w Wileńszczyźnie, rozbijających w ostatnich czasach systematycznie wszelką akcję organizacyjną litewską. Zamykane są towarzystwa i organizacje kulturalne litewskie, likwidowane jest szkolnictwo litewskie, słowem – cała praca społeczna litewska w Wileńszczyźnie jest rozbita. Robi się to tam niby w odwet za upośledzenie szkolnictwa polskiego i za rzekome prześladowanie Polaków w Litwie Niepodległej. Swoją zaś drogą, ta akcja odwetowa w Wileńszczyźnie, skierowana brutalnie przeciwko Litwinom, wywołuje nie tylko protesty, ale także pomysły równie radykalnego reodwetu na Polakach tutaj. Słowem – odwet rodzi nowy kontrodwet i tak w kółko do zupełnego chyba wytępienia się wzajemnego po obu stronach linii demarkacyjnej. W niedzielę po odczycie bieżącym tzw. „semestru wileńskiego” na uniwersytecie (odczyt był prof. Wacława Biržiški, oczywiście zupełnie kulturalny i nic wspólnego z jakimiś wnioskami „retorsyjnymi” nie mający), młodzież zebrana (a na tych odczytach „semestru wileńskiego” zbiera się zawsze element najjaskrawszy nacjonalistyczny, zaprawiający się i zacietrzewiający w nienawiści i polonofobii i pod tym względem ten tzw. „semestr wileński” jest jakby szkółką i oranżerią uczuć polonofobskich i zacietrzewienia) urządziła *sui generis* wiec improwizowany, zresztą zapowiadany z góry, na którym po kilku jaskrawych i naturalnie demagogicznych przemówieniach „uchwalona” została (oczywiście przez tzw. aklamację) rezolucja nie tylko protestu przeciwko akcji władz polskich na zgnębienie Litwinów, ale także bojkotu wszystkiego, co polskie w kraju tutaj i żądanie represji wet za wet względem Polaków tutejszych. Zresztą tekstu tych rezolucji nie czytałem i wiem o nich jeno ze słyszenia, a czytać takich produkcji nie lubię zgoła, bo one mnie bolą. Nie przyszło mi na myśl, że znajdą się elementy, które zechcą stąd wyciągać konsekwencje, ale naturalnie należało się domyślić, bo logika, zwłaszcza wśród młodzieży skłonnej do racjonalizmu, jest ścisła, a nienawiść, jak każda namiętność, ma swoją logikę także. Dziś rano byłem na uniwersytecie, miałem wykład bieżący i colloquium i nic szczególnego nie zauważyłem wśród studentów i w audytorium. Tylko w profesorium zauważyłem na stole niewielką kartkę, wzywającą wszystkich studentów na „wiec” protestu przeciwko gwałtom polskim na dziś wieczór godzinę ósmą w ubikacjach Wydziału Humanistycznego. Gdym się następnie udał do gabinetu rektorskiego, nasz ekonom uniwersytecki

Ruczyński przyniósł mi egzemplarz odezwy ulotnej, znalezionej w gmachu Wydziału Prawniczego i podpisany, zarówno jak owe wezwanie na wiec, wyrazami „Lietuviškoji Studentija”. Treść tej ulotki jest obrzydliwa, głupia i prowokująca. Podnosi ona hasło „*numerus clausus*” dla Polaków na uniwersytecie w Kownie, oświadcza, że należy uderzyć Polaków tak, aby się przestraszyli, bo tylko strach może ich skłonić do zaniechania prześladować względem Litwinów, jak gdyby istotnie ktoś się przestraszył w Wilnie gróźb lub nawet gwałtów, wymierzonych Polakom w Kownie, ale co najwstrętniejsze – ulotka ta zapowiada od dnia 6 maja, to znaczy od dziś, niedopuszczanie studentów Polaków do wykładów, a gdyby się Polacy opierali – wzywa do wyrzucenia ich przemocą na ulicę. Zobaczyłem, że to już jest gorsze i że się może święcić coś bardzo ciężkiego. Jakoż niebawem przyszedł do mnie prorektor Česnys. Rozmawialiśmy z nim o podróży naszego chóru akademickiego do Szwecji, potem mu pokazałem te notatki. O wiecu na dziś nic nie słyszał, ale powiedział mi, że na dziś, na tę samą godzinę, na którą ulotki zwołują wiec, i w tym samym lokalu – ma się odbyć za pozwoleniem prorektora zebranie Towarzystwa Studentów Humanistów. Kombinowaliśmy z prorektorem, co należy przedsięwziąć wobec zapowiedzi wiecu nielegalnego.

7 maja, rok 1936, czwartek

W dalszym ciągu o rozwoju wypadków w nieszczęsnej akcji bojkotu czynnego studentów Polaków na uniwersytecie.

Gdyśmy się wczoraj z prorektorem Česnysem zastanawiali nad sytuacją – przyszedł do gabinetu mego dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewicz. Przyszedł bardzo oburzony i pokazując skargę na piśmie, którą otrzymał od grupy kilkunastu studentów i studentek Polaków i Polek Wydziału Humanistycznego, oświadczył, że fakt gwałtu już zaszedł, bo oto przed jednym z wykładów rannych grono studentów Litwinów wyprosiło z audytorium obecne studentki Polki i studentów Polaków, rozkazując im w ciągu minuty opuścić audytorium. Kazaliśmy zaraz przynieść z kancelarii podanie, które był zgłosił zarząd Stowarzyszenia Humanistów w sprawie pozwolenia na zebranie wieczorne towarzystwa. Zachodziło bowiem podejrzenie, że to zebranie właśnie jest przeznaczone na przekształcenie go w wiec wichrzycielski. Česnys, z usposobienia miękki i płynny, niezdolny jest do żadnej decyzji energicznej i stanowczej; chciałby on zawsze i wszędzie tylko lawirować i wykręcać się frazesami łagodzącymi, ale Krėvė-Mickiewicz ma temperament właśnie koguci, zaczepny i rzutki. To mi ułatwiło sprawę. Sprawdziliśmy zaraz, że wskazani w tym podaniu prelegenci nie są wcale członkami Stowarzyszenia Humanistów. Oczywiście byli to mówcy wiecowi, przemyceni do przemawiania. Oczywiście postanowiliśmy odwołać udzielone przez prorektora pozwolenie na zebranie i w ten sposób przeszkodzić przemyceniu wiecu. Właściwie należałoby przedsięwziąć od razu środki ostrzejsze przeciwko zarządowi tego stowarzyszenia, w którego działaniu aż nadto się ujawniło zła wola oszukania władzy akademickiej i utorowania drogi dla wiecu. Ale u nas dominuje przesadne umiarkowanie. Rad byłem, że choć Krėvė bierze rzecz do serca. Ażeby przeszkodzić wieczorem dojściu wiecu do skutku, Krėvė i prorektor Česnys mieli wieczorem być w gmachu Wydziału Humanistycznego. Na godz. pierwszą nazajutrz, to jest na dziś, zwołałem posiedzenie rektoratu z udziałem Krėvėgo. Tymczasem byłem na obiedzie Rotary-Clubu, gdzie wygłosiłem referacik o moim pobycie w Szwecji; referacik mi się udał, był barwny i żywy, wygłoszony ustnie. Potem byłem w domu, gdzie miałem colloquium, a następnie na zaproszenie Jana Vileišisa poszedłem do adwokata Raulinaitisa, u którego się zebrało grono członków Klubu Politycznego. Jan Vileišis referował o swoim pobycie w Wilnie podczas ferii wielkanocnych i o sytuacji Litwinów wileńskich wobec akcji antylitewskiej miejscowych władz polskich. Wypowiadano się w duchu szukania kompromisu z Polską, Pakštas rozwijał swoją koncepcję kombinacyjno-kompromisową, dla której wszakże zrealizowania nie ma dziś przesłanek ani politycznych, ani psychologicznych, rychło też zjechano na krytykę sytuacji politycznej w kraju, dr Karvelis z lubością kreślił czarne barwy i perspektywy rozkładu w Suwalszczyźnie, potem znów dotknięto nieszczęsnych objawów wszczętego ruchu antypolskiego na uniwersytecie. Recytowałem odezwy i wskazałem na fakt dokonany niedopuszczania studentów Polaków do wykładu na Wydziale

Humanistycznym. Słyszałem też o rozgłaszanych zapowiedziach reagowania na mowę polską na ulicach w Kownie, o rzekomych dyżurach ulicznych inicjatorów tej akcji – fanatyków, chuliganów czy prowokatorów – mających na ulicy czepiać się ludzi mówiących po polsku i żądać zaprzestania mówienia, słowem – najdziksze pomysły czy pogłoski dla terroryzowania polskości. Jan Vileišis nadmienił o zajściu w czytelni uniwersyteckiej, gdzie podczas dyżuru jego córki wtargnęło grono studentów z zamiarem usunięcia pracujących studentów Polaków, których wszakże tam nie zastali, wobec czego się rozeszli. Członkowie klubu gorszyli się, szukali w tym nowego dowodu rozkładu. Stamtąd przyszedłem do domu, dokąd zgłosiła się do mnie niebawem delegacja akademicka Zjednoczenia Studentów Polaków. Zgłosili oni na ręce moje uchwałę protestacyjną Zjednoczenia przeciwko akcji gwałtów z prośbą reagowania i przedsięwzięcia środków obrony. Oświadczyłem, że oczywiście ja i władze akademickie spełnimy nasz obowiązek, aby prawa studentów Polaków na uniwersytecie były uszanowane, ale jeszcze trudno jest orzec, jak głęboko sięga ruch i jakie wypadnie przedsięwziąć zarządzenia. Na razie rozpoczęte jest śledztwo, prowadzone przez Česnysa, Purėnasa i Krėvė-Mickiewicza, a co trzeba będzie przedsięwziąć dalej, to się okaże z biegu wypadków. Wszystkie środki akademickie, które są w naszej dyspozycji, będą w razie potrzeby zastosowane, a co dalej i jakie będą skutki, zobaczymy. Delegaci Zjednoczenia wspomnieli jeszcze o paru wypadkach gwałtu – o usunięciu z audytorium jednego studenta Polaka na Wydziale Technicznym, o plunięciu przez studenta Litwina w twarz studentce Żydówce, która się oburzała na wydalanie studentów Polaków. Prosiłem, aby nam komunikowali wszystkie fakty i nazwiska, bo ogólnikowe twierdzenia bez nazwisk nie dają możności do reagowania.

8 maja, rok 1936, piątek

Oj, ciężka ty, czapko Monomacha! – mawiali wielcy kniaziowie i carowie ruscy, a zaiste to samo skierować bym mógł do godności rektorskiej. Ciężka jest. Kocham to stanowisko, daje ono chwile radości, ale ileż się te chwile kompensują chwilami nie tylko trudu – to najmniejsze – ale też męki, bólów, kłopotu, nerwów!

Dzień wczorajszy przeminął bez incydentów, ale to dlatego, że nie było obiektów do incydentów. Młodzież bowiem akademicka polska w swoim Zjednoczeniu uchwaliła pozawczoraj wstrzymać się studentom Polakom w ciągu dnia wczorajszego od uczęszczania do uniwersytetu. Nie było więc Polaków wczoraj na uniwersytecie i „policja" chuliganów, prowokatorów czy wariatów, tropiąca Polaków na korytarzach i audytoriach uniwersytetu nie miała pola dla swoich „czynów patriotycznych". Ale uchwała Zjednoczenia wstrzymała uczęszczanie Polaków tylko na dzień jeden. Na wykład mój rano wczoraj nie poszedłem, żeby mieć czas wolny do dyspozycji dla czynności administracyjnych. Byłem u ministra Tonkunasa dla kilku innych spraw bieżących, ale przy tej okazji zreferowałem mu także o akcji antypolskiej na uniwersytecie. Minister poradził mi to samo, o czym już ja sam myślałem i co mi proponowała delegacja studentów Zjednoczenia – wydanie odezwy do studentów, wzywającej do spokoju i do niedopuszczania do wybryków barbarzyństwa. Istotnie też odezwę taką ułożyłem. Oto jej treść: „Studentai! Nežinomieji asmenys, pasislėpę po garbingu *„Lietuviškosios Studentijos" vardu ir šiuo garbingu vardu nori savo negarbingą darbą dirbti, paskleidė atsišaukimus, kurstančius smurtu trukdyti studentų lenkų studijas, neįleisti jų į paskaitas, metyti į gatvę ir pan. Į šitokį darbą tegalim žiūrėti tik kaip į provokaciją, nes jei įvyktų tai, ką šie nežinomi tamsus gaivalai daryti ragina, tai Lietuvių studentijos vardas būtų pažemintas ir džiaugtųsi tiktai tie, kurie Vilniuje lietuvius engia ir skriaudžia, nes jie gautų naująjį akstiną savo „akcijai" gilinti.*

Deja – vakar gegužės mėn. 6 d. – įvyko keli šitokio schemato atsitikimai universitete, pav. Humanitarinių Mokslų Fakulteto keli studentai lenkai buvo nuo paskaitų pašalinti. Tai yra tačiau padarę ne jų auditorijos kolegos, bet kažkokie iš šalies atvykę studentai. Jųjų kai kurių vardai yra žinomi. Vedama kvota ir kaltininkai bus sudrausti. Be abejo suprantamas yra jaunimo ir visos visuomenės pasipiktinimas tąja „akcija", kuri Vilniuje vyksta prieš lietuvius. Visi sąžinės žmonės turi prieš ją protestuoti. Tačiau tiktai nesąžiningi ar laukiniai žmonės bei provokatoriai tegali pritarti

nežinomiems panašaus reagavimo kurstytojams. Lietuviškosios studentijos garbė reikalauja iš Jūsų, Studentai, kaip tik pasipriešinti tokiems smurto ir negarbės aktams. Esu įsitikinęs, kad Jus tai suprantate ir kad tamsiems ar provokatoriškiems Jūsų tarpe gaivalams patys užkirsite kelią reikštis ir veikti. Mykolas Römeris, rektorius.“[1].

Na zebraniu rektoratu, które się wczoraj odbyło (z udziałem dziekana Krėvė-Mickiewicza) odezwę tę zaaprobowano i wieczorem została ona ogłoszona. Rektorat uchwalił poza tym wstrzymać czasowo (aż do stwierdzenia uspokojenia) udzielania pozwoleń na jakiekolwiek zebrania studenckie i organizacji studenckich w lokalu uniwersytetu, również uchwalił przerwać wykłady tzw. „semestru wileńskiego”, które się odbywały niedzielami. Ten „semestr wileński” – to właśnie ognisko tej propagandy niezdrowej i barbarzyńskiej. Przeciwko zasadzie tego „semestru” nic mieć nie można. Jest ona słuszna. Skoro młodzież litewska Wileńszczyzny bezpośrednio poznać nie może, musi i może ona ją poznawać tylko ze studiów. Tym studiom służyć mają właśnie wykłady tego „semestru”. I samym wykładom nic zarzucić nie można. Wykładają profesorowie i przeważnie rzeczowo i poważnie, choć czasem pewne nutki demagogiczne i tu dają się słyszeć. Ale po wykładzie zawsze się wyradza samorzutny wiec, na którym się popisują i w demagogii oraz dzikich pomysłach ćwiczą i rywalizują improwizowani mówcy, którzy podniecają najdziksze instynkty i sieją nienawiść w fanatyzm. Wczoraj wieczorem było posiedzenie senatu, na którym referowałem także tę sprawę; senat przyjął do wiadomości moją odezwę i zarządzenie rektoratu. Dziś było cicho na uniwersytecie i w ubikacjach Wydziału Humanistycznego, żadnego głośnego skandalu nie było i na moje zapytanie dziekan Krėvė-Mickiewicz mi oświadczył, że wszystko jest w porządku. Wieczorem jednak był u mnie student Polak humanista, od którego się dowiedziałem, że dwa wypadki usunięcia studentów Polaków miały i dziś miejsce.

9 maja, rok 1936, sobota

Ustawa o ordynacji wyborczej do Sejmu już jest ogłoszona. Koła opozycyjne, które wśród inteligencji są bardzo liczne i stare czynniki partyjne wyrażają zgorszenie, choć, zdaje się, bardzo niedawno spodziewały się ordynacji o wiele gorszej. Zapowiadają one wszelkie katastrofy w związku z tym Sejmem. Powołują się zawsze na ruch w Suwalszczyźnie, który zresztą istotnie wciąż fermentuje i nie daje się stłumić. Wczoraj jeszcze byłem wzywany na extra posiedzenie w gabinecie Mašalaitisa, gdzie pod przewodnictwem prezesa ministrów Tubelisa zasiadali ministrowie Šiling i Čaplikas, gubernator Kłajpedy Kurkowski, Mašalaitis, Tadeusz Pietkiewicz i ja. Chodziło tam o dostosowanie kombinacyjne ustawy wyborczej do potrzeby politycznej, aby Kraj Kłajpedzki nie stanowił jednego zamkniętego okręgu wyborczego do Sejmu. Była to kwestia li tylko techniczna. Trzeba było tak skonstruować przepisy ogólne ustawy w przedmiocie tworzenia okręgów

---

[1] „Studenci! Nieznane osoby, kryjące się pod szlachetnym imieniem „Studentów Litewskich” i chcące pod tym szlachetnym imieniem prowadzić nieszlachetna pracę, rozpowszechniły odezwy, nawołujące do przemocy w przeszkadzaniu studentom Polakom w nauce, niewpuszczania ich na wykłady, wyrzucania na ulicę itp. Taki czyn możemy potraktować tylko jako prowokację, bowiem gdyby stało się, to do czego te ciemne nieznane żywioły nawołują, imię studentów litewskich byłoby zbrukane i cieszyliby się tylko ci, którzy w Wilnie uciskają i krzywdzą Litwinów, ponieważ dostaliby nowy pretekst do pogłębiania swojej „akcji”.
Niestety – wczoraj, 6 maja – odbyło się kilka wypadków takiego charakteru na uniwersytecie, mianowicie na Wydziale Humanistycznym kilku studentów Polaków zostało usuniętych z wykładów. Uczynili to jednak nie ich koledzy, lecz jacyś inni studenci postronni. Imiona niektórych z nich są znane. Trwa dochodzenie i winni zostaną przywołani do porządku. Niewątpliwie oburzenie młodzieży i całej społeczności z powodu tej „akcji”, która się toczy w Wilnie przeciwko Litwinom, jest zrozumiałe. Wszyscy uczciwi ludzie powinni przeciwko niej protestować. Jednakże tylko ludzie nieuczciwi i dzicy oraz prowokatorzy mogą popierać niewiadomych podżegaczy do tego rodzaju reagowania. Honor studentów litewskich wymaga od Was, Studenci, właśnie stawić opór takim aktom przemocy i hańby. Jestem przekonany, że to rozumiecie i że potraficie sami zagrodzić drogę w Waszym środowisku takim ciemnym lub prowokatorskim żywiołom i działać rozsądnie. Michał Römer, rektor”.

wyborczych, aby w zastosowaniu do Kłajpedy zachodziła konieczność łączenia Kraju Kłajpedzkiego lub jego części z sąsiednimi powiatami Litwy Wielkiej we wspólnym lub wspólnych okręgach wyborczych. Z pomocą moją i gubernatora Kurkowskiego kombinacja taka została znaleziona. W statucie kłajpedzkim jest skądinąd jeden przepis, którego redakcja jest dla Litwy bardzo niedobra; jest to przepis artykułu 2, który mówi o wyborze „posłów Kraju Kłajpedzkiego" do Sejmu; mogłoby się zdawać, że w Sejmie państwowym Kraj Kłajpedzki jest reprezentowany jako odrębna całość organiczna, co by nadawało Kłajpedzie charakter „Staatsfragmentu". Przeciwko koncepcji „Staatsfragmentu", której usiłują bronić Niemcy, przemawia wyraźnie konstytucja litewska, która obowiązywała w czasie ogłoszenia statutu, także pochodzenie historyczne tego przepisu, wreszcie motywy kategoryczne wyroku Trybunału Haskiego z r. 1932. Ale dosłowne brzmienie art. 2 jest złe. Trzeba stworzyć precedens okolicznościowy przeciwko takiej koncepcji, wysnuwanej z brzmienia tego artykułu i stworzyć go tak, aby nie był on wyraźnie skierowany *ad hoc*, lecz aby wypływał z przepisów ogólnych ordynacji wyborczej. Poza tym chodzi o wzgląd na to, aby głosy litewskie w Kłajpedzie miały możność ześrodkowania się na kandydaturach litewskich z innych powiatów i nie przepadły, bo kandydatami z powiatów kłajpedzkich okażą się zapewne sami Niemcy lub germanizujący Litwini. Zresztą w problemie Sejmu jest to tylko epizod. Uwaga publiczna nie na to jest w tej chwili zwrócona.

Andrzej Mieczkowski wrócił dziś z kliniki do domu. Nie jest jeszcze zupełnie zdrów. Z nosa często mu jeszcze idzie krew. Jest osłabiony. Kilka dni ma nie wychodzić z domu. To jest nawet dobre w związku z hecami antypolskimi na uniwersytecie. Co do tych hec, to w ostatnich dwóch dniach były one trochę słabsze, ale tu i ówdzie powtarzają się jeszcze wypadki usuwania studentów Polaków z audytoriuów i z gmachów uniwersyteckich. Wszakże są też do zanotowania takie poszczególne wypadki, że studenci Polacy na skierowane do nich żądanie opuszczenia lokalu nie reagowali i pozostali i że jednak nie odważono się ich dotknąć. W ogóle należy stwierdzić, że w całej tej akcji, która się streściła dotąd w jakichś kilkunastu wypadkach, gwałt miał miejsce jeno psychiczny, ale nie fizyczny. Tylko w jednym wypadku, we środę, szturchano trochę paru ociągających się studentów Polaków, którzy zresztą sami ostatecznie wyszli. Ze strony polskiej powiadają, że ta akcja antypolska jest przez jej inicjatorów wyznaczona tylko na kilka dni – do 10 maja – i że po kilkudniowym bojkocie demonstracyjnym ustanie. Z rozpowszechnionych jednak odezw tej terminowości akcji stwierdzić nie można. W poniedziałek się przekonamy. Wieczorem dziś odbyła się u mnie w mieszkaniu narada władzy akademickiej w sprawie dalszych zarządzeń walki z tą „akcją". Obecnie byli prorektor Jodelė, prof. Purenas i dziekan Krėvė-Mickiewicz. Poprzednio przyjąłem prezesa Polskiego Zjednoczenia Akademickiego – studenta Niekrasza.

10 maja, rok 1936, niedziela

Na naradzie, którą wczoraj wieczorem w mieszkaniu moim odbyliśmy z udziałem prorektora Jodeli, prof. Purėnasa i prof. Krėvė-Mickiewicza, uchwaliliśmy: a. prowadzić dalej dochodzenie w sprawie zajść antypolskich na uniwersytecie; b. ostrzec przez dziekana Krėvė-Mickiewicza zarząd Towarzystwa Studentów Humanistów, że w razie powtórzenia się tych zajść Towarzystwo to, w którego zachowaniu się są pewne mocno podejrzane momenty, zostanie zamknięte i ewentualnie zarząd pociągnięty zostanie do odpowiedzialności; c. ponieważ w zajściach stwierdzony jest udział poszczególnych skautów i skautem też jest student Dovydaitis, który się zaznaczył najjaskrawszym udziałem w ekscesach, więc doniesione o tym będzie dowództwu skautów, aby zdyscyplinowało swoich członków akademickich.

Zdaje się jednak, że zajścia ustaną i że od jutra nastąpi uspokojenie. Taka jest przynajmniej opinia i wrażenie wszystkich. Ostatecznie na innych uniwersytetach działy się nieraz rzeczy gorsze, bo tu przynajmniej gwałtu fizycznego nie było, jeno psychiczny, a młodzież litewska jest istotnie podniecona akcją antylitewską władz polskich w Wileńszczyźnie, wiecami jątrzącymi na „semestrze wileńskim" i bolesnym dla uczuć litewskich manifestacyjnym złożeniem serca Piłsudskiego do

mauzoleum w Wilnie na Rossie, wyznaczonym na 12 maja. Na ogół młodzież litewska jest jednak bądź co bądź hamująca się.

Z kół młodzieży polskiej i od Eugeniuszostwa Römerów słyszę, że w eskcesach wydalania Polaków brał czynny udział młody Aleksander Broel-Plater. Trudno mi w to uwierzyć. Że ma on sympatie i uczucia litewskie – o tym słyszałem i nic w tym złego oczywiście nie ma. Ale żeby to był neofityzm, wyrażający się w szczególnej nienawiści polskości aż do gwałtów na Polakach – to co innego. Chłopiec to bardzo zdolny i sprytny, ale grzeczny, dobrze wychowany, robiący wrażenie kulturalnego. Czyżby, sam pochodząc z rodziny o kulturze polskiej, mógł się brać do tego? Świadczyłoby to o nim bardzo źle, bo wszelki neofityzm, przerzucający się do deptania i gnębienia oraz pluwania na to, co się bądź co bądź w sobie miało, nie jest ładne, a szczególnie gdy się można w tym domyśleć względów karierowiczostwa. Ten młody Plater jest upatrzony jako ewentualny kandydat do specjalizacji w zakresie historii prawa litewskiego dla przysposobienia go do profesury na Wydziale Prawniczym.

Wieczorem Jonynas zaprosił mię do udziału w kolacji na rzecz dziennikarza lewicowego francuskiego, który tu przyjechał z ramienia lewicowego Związku Ligi Pacyfistycznej, która organizuje wielką międzynarodową intensywną akcję pacyfistyczną. Zwycięstwo bloku lewicy czyli tzw. Frontu Ludowego na wyborach we Francji dało wielki rozpęd ruchowi całemu i w szczególności organizowaniu wielkiej kampanii aktywistycznej, skierowującej ofensywę przeciwko hydrze wojny i militaryzmu. Liga ta zabiera się energicznie do wcielenia wszystkich krajów do tej akcji. Jej emisariusze objeżdżają teraz rozmaite rejony Europy i Ameryki, a w końcu maja odbędzie się konferencja w Paryżu i we wrześniu wielki kongres w Genewie. Emisariusz, który przyjechał do nas, udaje się do Łotwy, Estonii, Finlandii i Szwecji. Ponieważ przyjechał on *ex promptu*, przeto Jonynas tylko kilka osób na poczekaniu sprowadził – Janulaitisa, Rocha Šliupasa i p. Zofię Čiurlanisową.

11 maja, rok 1936, poniedziałek

Jeszcze słówko o wczorajszej wizycie emisariusza wielkiej akcji pacyfistycznej, zainicjowanej przez blok elementów lewicowych w Paryżu, których aktywizm podniecony i zaakcentowany został przez ich zwycięstwo jaskrawe na wyborach we Francji. Akcja ta, do której chcą oni sprzęc wszystkie siły lewicy wielkich narodów i wszystkie małe narody, zagrożone przez akcję militarystyczną, zamierza do istotnego zaszachowania czynników militaryzmu i imperializmu, skupionych w faszyzmie włoskim i nacjonalsocjalizmie niemieckim. Chodzi im o wielki ruch czynny, o wielki odruch, któryby zelektryzował Ligę Narodów i rządy do istotnego i zdecydowanego ataku na czynniki wojny. Ponieważ emisariusz, objeżdżający kraje bałtyckie, wpadł do Kowna znienacka, więc nic tu z góry przygotować się nie dało i Jonynas zdołał jeno kilka osób zwołać dla skomunikowania ich z emisariuszem. Kontakt ten oparł on na Litewskim Towarzystwie Popierania Ligi Narodów, którego prezesem jest Janulaitis i członkiem zarządu dr Roch Šliupas. Jonynas i Janulaitis sami się już tu skomunikują z innymi grupami i ludźmi (mnie zastąpi Trimakas) w przedmiocie utworzenia u nas jądra kontaktu z tym ruchem – oczywiście w porozumieniu z Ministerium Spraw Zagranicznych. W każdym razie, bagatelizować tego ruchu nie można; będziemy go obserwować i nawiążemy kontakt tak z konferencją, która ma się odbyć w końcu maja w Paryżu, jak z kongresem w Genewie we wrześniu.

Na uniwersytecie dziś spokojnie. Nowych zajść nie było. Można się spodziewać, że akcja bojkotowa antypolska ustanie.

Nasz chór akademicki wybrał się do Szwecji. Dziś wyjeżdża on statkiem Marieholm z Kłajpedy do Sztokholmu. Dla względów reprezentacji towarzyszy mu w tej podróży prorektor Česnys. Jest to wycieczka bardzo użyteczna. Stosunki ze Szwecją należy aktywizować, bo są tam istotne przesłanki psychologiczne do zbliżenia z krajami bałtyckimi. Chór nasz jest dobry, pieśni litewskie – ładne, toteż powodzenie może być dobre. Chór ma koncertować w pięknym parku etnograficznym Skansen. Sztuka wokalna, pieśni ludowe – to są doskonałe czynniki do rozwijania sympatii między narodami.

12 maja, rok 1936, wtorek

Mój portret olejny, wykonany w Sztokholmie przez artystę Szweda, nadwornego portrecistę królewskiego p. Brora Kronstranda, wisi już w sali uniwersyteckiej obok portretów byłych rektorów prof. Čapińskiego i Aleksandra Stulgińskiego, Ernesta Gałwanowskiego i prof. Juodakisa, z których Stulgiński był w dobie założenia naszego uniwersytetu, to znaczy w roku 1922, prezydentem Rzeczypospolitej, Gałwanowski – prezesem ministrów i Juodakis – ministrem oświaty. Portret mój przywiózł ze Sztokholmu poseł litewski w Szwecji minister Sawicki, który w tygodniu ubiegłym przyjeżdżał do Kowna w związku z jazdą naszego chóru akademickiego do Szwecji. Do portretu był załączony list dedykacyjny autora, p. Kronstranda, adresowany do uniwersytetu i zredagowany po szwedzku. Zaprezentowałem portret senatowi akademickiemu na posiedzeniu we czwartek ubiegły. Senat uchwalił zawieszenie portretu w sali uniwersyteckiej i podziękowanie dla p. Kronstranda. Podziękowanie to, wypisane po szwedzku i po litewsku na pergaminie pismem ozdobnym z inicjałami artystycznymi i barwnymi i z winietą artystyczną, podpisane przez rektora, prorektora Česnysa i sekretarza prof. Purėnasa, prorektor Česnys, który udał się z chórem akademickim do Sztokholmu, doręczy Kronstrandowi osobiście. Kronstrand będzie tym uroczystym aktem podziękowania bardzo zjednany, bo jest on ogromnie wrażliwy na wszelkie odznaczenia, ceremonialne podziękowania i honory. Portret członkom senatu bardzo się podobał. Rzeczywiście jest on efektowny, bardzo uroczysty, monumentalny, w klasycznym stylu portretów przeznaczonych dla galerii. Frak i ordery przyczyniają się do pompy. Jak ktoś się wyraził, wyglądam na portrecie jak „wojewoda”. Kronstrand zresztą, choć jest śmieszny ze swoją manią zaszczytów i ubiegania się o honory, jest jednak malarzem portretowym dobrym i technikę ma doskonałą; portrety wykonywa tak łatwo i prędko, jakby piekł bliny, a jednak są one dobre, ścisłe, podobne. Tylko że jest w nich nie polot, ale zawsze monumentalność. Ostatnio dwa portrety jego pędzla – portret króla Gustawa szwedzkiego i portret prezesa ministrów szwedzkiego – zostały przyjęte do Salonu wiosennego w Paryżu, o czym wiadomość otrzymał on podczas malowania mego portretu i z czego był bardzo dumny. Sawicki, przywożąc mój portret, prosił, abyśmy jego odbitkę wraz z podobizną samego Kronstranda ogłosili gdzieś w prasie ilustrowanej litewskiej. Senat uchwalił umieścić te reprodukcje w następnym (drugim) numerze organu uniwersyteckiego „V. D. Universiteto Žinios”, którego numer pierwszy przed tygodniem wyszedł z druku pod redakcją sekretarza uniwersytetu prof. Purėnasa przy udziale komisji redakcyjnej, złożonej z sekretarzy wszystkich wydziałów. Słyszałem jednak, że dziś czy wczoraj podobizna mego portretu i p. Kronstranda ukazała się już w „Lietuvos Aidasie”.

13 maja, rok 1936, środa

Po cichu, prawie że bez szmeru, dokonywują się przygotowania do wyborów sejmowych. W istocie ordynacja wyborcza jest taka, że wybory te są bardzo zbliżone do nominacji. Skoro nie ma wolnego zgłaszania list kandydatów i nikt wpływu na kandydatury nie ma, więc nikt się nie rusza i żadnego ożywienia, żadnej akcji, przypominającej zwykłą gorączkę przedwyborczą, nie ma. Zwołanie Sejmu po przerwie dziewięcioletniej mogłoby być ewenementem polityki wewnętrznej, ale w tych warunkach zgoła nim nie jest. Ponieważ rady powiatowe (i Rada Miejska w Kownie) dzięki organizacji samorządowej są mało związane z masą ludową i właściwie są kreaturami rządu czy narodowców, więc ułożenie list kandydatów, które będą formalnie zgłoszone przez te rady, staje się czynnością właściwie rządu i poufnych komitetów narodowców, a wyborcy będą mogli tylko głosować, wybierając spośród tych, kogo się im wystawi do głosowania. Oczywiście różne komitety i organy narodowców w porozumieniu z czynnikami rządowymi zajęte są teraz układaniem kandydatur. Jest to metoda konszachtów, dokonywanych w cieniu, metoda klikowa intryg i fabrykowania „przedstawicielstwa” narzuconych. Co z tego wyniknie – Bóg raczy wiedzieć. Opinia publiczna jest cierpliwa i do wszystkiego przyzwyczajona. Koła opozycyjne gorszą się, ale są słabe. Ludowcy i chrześcijańscy demokraci zajmują stanowisko krytyczne i niechętne wobec wyborów tego

rodzaju, ale mają usta zakneblowane i tylko przez rozmowy prywatne albo drogą pośrednią przez dwuznaczne stawianie kropek na i w artykułach i notatkach prasowych wypowiadać się i oddziaływać mogą. Bardzo prawdopodobne, że zdecydują się na bojkot wyborów, ale naturalnie nie będą mogli głosić propagandy bojkotowej jawnie. Co do Chrześcijańskiej Demokracji – to nie ma ona jednolitej koncepcji w kwestii Sejmu; jedna część trzyma się starej zasady klasycznej Sejmu demokratycznego i demokratycznych wyborów, druga – hołduje koncepcji tzw. państwa organicznego korporacyjnego. Ale oba te kierunki nie mają nic wspólnego z tą konstrukcją Sejmu, jaką organizuje ogłoszona ordynacja wyborcza. I chrześcijańscy demokraci, i ludowcy pokładają nadzieje raczej w fermencie włościańskim w Suwalszczyźnie. Ludowcy w organie swoim „Lietuvos Žinios" znaleźli sprytny sposób przemycania krytyki ordynacji wyborczej. Wydrukowali przedruki z moich pism, dotyczące istoty głosowania powszechnego i przedstawicielstwa proporcjonalnego. Te cytaty bez komentarzy, zestawione z ogłoszoną ordynacją wyborczą, kompromitują ją, o ile chodzi o jej zgodność z odnośnymi przepisami konstytucji. Narodowcy się tym nieco zaniepokoili i napastowali mię, chcąc, abym wystąpił w obronie ordynacji wyborczej i odparował argumenty, wyłaniające się z moich pism własnych. Odmówiłem, bo nie mogę się prostytuować na potrzeby okolicznościowe chwili i naciągać autorytet nauki do użytku względów politycznych. Moja praca naukowa musi pozostać naturalna. Chociaż i ludowcy niezupełnie odpowiednio cytaty pism moich wybrali, trochę je naciągając i robiąc miejscami ze zwykłego twierdzenia faktu zasadę naukową i dogmat, ale wolno narodowcom samym to wyjaśniać i innymi cytatami z pism moich swego przeciwnika zwalczać. Nie chcę się w tę walkę mieszać i moją pracę naukową wprzęgać w rydwan polityki.

14 maja, rok 1936, czwartek

Ponieważ incydenty akcji antypolskiej na uniwersytecie ustały i na ogół dało się stwierdzić, że w wypadkach, które miały miejsce w tygodniu ubiegłym, gwałtu fizycznego nie stosowano i zachodziły tylko wybryki gwałtu psychicznego, więc u władz akademickich i w szczególności w łonie komisji (Jodelė, Purėnas i Krėvė-Mickiewicz), która prowadziła dochodzenie i która ma zgłosić wnioski do sankcji, ujawnia się tendencja nie zaogniania sytuacji przez represje nadmierne; jest nastrój odpływu czy odprężenia – *une détente*. Komisja zaprojektowała skarcenie przez rektora tych studentów, których udział w zajściach został stwierdzony, a wyłączyła z ich liczby tylko jednego, Dovydaitisa (brat profesora, ale w złych stosunkach z bratem, narodowiec i skaut), co do którego stwierdzono, że był inicjatorem i głównym sprawcą zajść, a nawet się zaznaczył pewnymi wystąpieniami o charakterze gwałtu czynnego i wprost chuligaństwa. Co do niego komisja projektuje zaskarżenie go władzom organizacji skautów. Formalnie mam jeszcze odbyć posiedzenie z udziałem tej komisji w sobotę. Co do Dovydaitisa, to zresztą już przywódcy skautów na uniwersytecie, studentowi Jurgutisowi (brat asystenta na Wydziale Prawniczym) sam doniosłem o nim i wskazałem, że tolerowanie takich czynów między skautami jest niedopuszczalne i szkodzi samemu imieniu skautów litewskich. Jurgutis mi oświadczył, że organizacja skautów ekscesy te potępia i że w sprawie Dovydaitisa zareaguje.

Tymczasem dziś słyszę od Andrzeja Mieczkowskiego, że wczoraj na Wydziale Medycznym znów się incydent powtórzył: dwóch studentów Polaków, Tołoczkę i Błusewicza, wyproszono, a nawet wypchnięto z audytorium. Na to wypadnie już zareagować ostrzej. Zdecydowany jestem sam osobiście tę rzecz zbadać i zarządzić pewne środki, które następnie w sobotę w komisji ustalić i zafiksować. Trzeba temu chuligaństwu kres położyć.

15 maja, rok 1936, piątek

Otrzymałem dwie pocztówki ilustrowane ze Sztokholmu – od prorektora Česnysa i zbiorową od chóru. Chórowi dobrze się w Szwecji powodzi. Chór pod wodzą prorektora Česnysa był przyjęty na zamku królewskim osobiście przez króla Gustawa, któremu odśpiewał kilka piosenek. Musiało to sprawić wielki efekt na naszych chórzystów akademickich, którzy po raz pierwszy w życiu oglądali

osobę królewską. Koncertowali tez w parku Skansen. Do Uppsali mieli tylko zrobić wycieczkę – bez koncertu.

Prof. Kolupaila, który na polskim parostatku „Batory” brał udział w wycieczce turystycznej po Morzu Śródziemnym, Atlantyku i morzach Północnym i Bałtyckim dokoła Europy, przywiózł mi bardzo miły list od mojego kochanego starego przyjaciela Bronisława Krzyżanowskiego, który na tym samym statku tę samą wycieczkę z nim odbywał. Krzyżanowski jest nieuleczalnie chory na... pojednanie polsko-litewskie. Te nieszczęsne stosunki i ich stan ciągłego podrażnienia są mu kością w gardle. Jest on rzeczywiście może więcej, niż ktokolwiek bądź inny, tą sprawą przejęty. Nie umie się uspokoić i nie dbać o to. Stało się to namiętnością szlachetną jego natury nerwowej i pełnej temperamentu. Myliłem się niegdyś, gdym w latach 1912-1914 uważał go za sfilistrzałego. Taki typ psychiczny jak on nie może stać się banalny i zmechanizować się psychicznie. Jest on zawsze wrażliwy i świeży. Z przedziwną intuicją i wrażliwością precyzyjną dostrzega on winę po obu stronach i nie daje się sprowokować i zagłuszyć przez zarzuty jednostronne, które go dochodzą. Pesymistycznie się zapatruje na szanse jakiegoś już nie tylko układu, ale nawet politycznego zawieszenia broni, ale wzywa do sumienia tych, którzy je jeszcze zachowali po tej i tamtej stronie. Co prawda, on sam, Bronisław Krzyżanowski, w swoim czasie – w latach 1919-1920 – niebacznie się przyczynił do samych zapoczątkowań tego tragicznego cięcia, które Litwę i Polskę przeciwstawiły sobie jako wrogów śmiertelnych. W Paryżu za czasów Konferencji Pokojowej r. 1919 był on jednym z czynnych emisariuszy i agentów organizacji Polaków litewskich, mających za zadanie paraliżowanie akcji litewskiej na rzecz Niepodległości Litwy i forsowanie rzucenia Litwy w objęcie Polski. Robił on to, czego ostatnim logicznym wnioskiem był zabór Wileńszczyzny przez Polskę. Dziś odrobić tego nie jest w stanie, ale w mękach swojej natury wrażliwej i dobrej woli pojednania czy nawiązania mostu pokutuje szczerze. Kocham go za to. Wzywa on i mnie do czynu sumienia – do śmiałego przeciwstawienia się szałowi nienawiści wzajemnej i gwałtów retorsyjnych. Robię to, co na moim stanowisku rektorskim robić można i robię uczciwie w tym duchu, tylko że moja robota nie może być apostolska, bo jest wwiązana w organizm akademicki, który wyrażam i w którego trybie tylko działać mogę.

Z listu Krzyżanowskiego dowiedziałem się o ciężkim stanie Ludwika Abramowicza. Że był dotknięty atakiem paraliżu – o tym wiedziałem, ale sądziłem, że to przejdzie i może tylko ślady fizyczne zostawi. Tymczasem dowiaduję się, że paraliż dotknął jego władze umysłowe i że Ludwik Abramowicz, który miał inteligencję ostrą, jest bliski idiotyzmu. Tak sądzić mogę z niektórych zwrotów listu Krzyżanowskiego, który dodaje, że wolałby, aby Ludwik umarł, niż żeby żył taki, jaki jest teraz.

16 maja, rok 1936, sobota

Wczoraj wieczorem brałem udział w sądzie honorowym w sprawie między inżynierem Landsbergiem (członek naszego Rotary-Clubu) jako skarżącym, a Strazdasem (kierownik działu graficznego w drukarni „Spindulys”) jako oskarżonym. Strazdas, który przed wojną mieszkał w Wilnie i był czynnym uczestnikiem kółek i związków teatralnych litewskich („Vilniaus Kanklės” i innych), które urządzały w stolicy przedstawienia amatorskie litewskie, i był jednym z artystów scenicznych tych kółek, wygłosił tu przed rokiem na posiedzeniu towarzystwa „XXVII Miłośników Książki” referat o zmarłym w czasie wojny znanym w czasach przedwojennych dramaturgu litewskim Gabrielu Landsbergu-Žemkalnisie, który napisał i częściowo ogłosił w druku szereg oryginalnych i tłumaczonych na litewski utworów scenicznych. Utwory te były przeznaczana i zastosowywane do potrzeb owych kółek teatralnych litewskich, zasilały ich akcje i stanowiły pierwszą wczesną literaturę dramatyczną litewską. Stary Gabriel Landsberg, Litwin nie tylko gorący, ale wprost namiętny i fanatyczny, choć sam pochodził z rodziny szlacheckiej i spolonizowanej, był tyleż dramaturgiem, ile w tychże kółkach (wespół albo w konkurencji z Pawłem Metulionisem) reżyserem i aktorem. Otóż w referacie, poświęconym wspomnieniom o Gabrielu Landsbergu, Strazdas, jego były współpracownik, wystąpił z rewelacjami, zarzucającymi Landsbergowi

uprawianie plagiatu i zarazem rzucającymi pewien cień na jego skrupulatność pieniężną w stosunku do grosza publicznego, który w tamtych czasach płynął z drobnych i ciężko zdobywanych składek publicznych między Litwinami lub z zasiłków i pożyczek nielicznych mecenasów, jak Piotr Vileišis i paru innych, i który stanowił skąpe środki akcji społecznej miłośników teatru. Strazdas zarzucił nie jakąś kradzież, nie przywłaszczanie kategoryczne tych pieniędzy przez Landsberga, ale pewną właśnie nieskrupulatność, szafowanie lekkomyślne tych pieniędzy, mieszanie ich z własnymi, niedokładności wyrachowania się itp. Co do plagiatów – zarzucał Landsbergowi tę samą nieskrupulatność, pochodzącą z pewnej abnegacji moralnej i chciwości w pomnażaniu swoich zasług, a wyrażającą się w korzystaniu z cudzych rękopisów i tłumaczeń, przerabianych i korygowanych przez Landsberga i aneksowanych przezeń, to znaczy podawanych za swoje i nawet czasem pod swoją firmą autorską spieniężanych wydawcom i ogłaszanych w druku. Na ogół też charakteryzował Landsberga Strazdas jako osobnika ciężkiego charakteru, zarozumiałego, kłótliwego, żądnego uznania i zasług. Choć referat Strazdasa był przezeń odczytany na posiedzeniu towarzystwa prywatnego w kole zamkniętym i nie był publikowany, jeno złożony do archiwum towarzystwa, jednak syn Gabriela Landsberga inżynier Witold Landsberg poczuł się zadraśnięty i ujmując się za pamięć ojca, pozwał Strazdasa przed sąd honorowy pod zarzutem oszczerstwa. Sąd się ukonstytuował. Z ramienia Landsberga sędzią jest dziekan prof. Krėvė-Mickiewicz, z ramienia Strazdasa – dziekan prof. Janulaitis, na superarbitra zaś uprosili oni mnie. Jest w sprawie dużo dokumentów i listów i ośmiu zawezwanych świadków. Sprawa jest w biegu od dawna – jeszcze sprzed mojego wyjazdu do Szwecji, ale dotąd była tylko w toku przygotowania. Na dziś na godz. ósmą wieczór była wyznaczona rozprawa, ale odbyło się tylko badanie świadków. Ewentualne uzupełnienie rozprawy sądowo-śledczej i debaty stron odroczyliśmy do następnego piątku. Sąd zasiadał w gabinecie prorektora Jodeli na uniwersytecie, świadkowie byli izolowani w moim gabinecie. Do protokołowania zeznań zaprosiliśmy prof. Augustaitisa. Strazdas stawał osobiście, Landsberga zastępował Konstanty Jabłoński. Świadkami byli: z ramienia Strazdasa – Antoni Rucewicz, Michał Ślażewicz, Kazimierz Puida i Ludwik Gira, z ramienia Landsberga – niejaka p. Pawłowiczowa, Arbitblat i profesorowie Michał i Wacław Biržiškowie. Rozprawa była dość ciekawa ze względu na to, że poruszała różne epizody historyczne akcji litewskiej i stosunków przedwojennych wileńskich; ale materiału rzeczowego na rzecz twierdzeń Strazdasa dała mało. Zresztą Strazdas usiłował łagodzić istotę swoich zarzutów.

Dziś miałem pogadankę w kole dziennikarzy narodowców w przedmiocie konstytucyjności nowej ordynacji wyborczej do Sejmu, następnie akt akademicki tak zwanego zbliżenia wojskowości ze społeczeństwem. Na tym akcie wygłosiłem przemówienie jako rektor w imieniu uniwersytetu. W południe poseł francuski – minister Dulong – doręczył mi dyplom na stopień oficera Legii Honorowej.

17 maja, rok 1936, niedziela

Niedziela. Nie miałem żadnego posiedzenia, zebrania, uroczystości, przemówienia itd. Miałem dzień wolny. Może bym był pojechał do pp. Geysztorów do Szałtupia, bo winienem im od dawna wizytę, ale te wypadki ostatnich paru tygodni na uniwersytecie, te ekscesy studentów Litwinów przeciwko studentom Polakom czynią mi wstyd wobec Polaków miejscowych, a Geysztorowie są Polakami bardzo zaciekłymi, fanatycznymi. Tłumaczyć się przed nimi, gadać o tych zajściach – nie chcę. Moja sytuacja w mojej dwoistości litewsko-polskiej jest bardzo trudna i przykra. Nie mogę się solidaryzować z ekscesami antypolskimi, biorę je do serca, ale skądinąd nie podzielam stuprocentowo jednostronnego oburzenia polskiego, zapominającego o krzywdach, które Polska Litwie wyrządziła i o obecnej polityce władz polskich w Wilnie przeciwko Litwinom. Wstyd mi za Litwinów, których pragnąłbym widzieć czystych i szlachetnych, ale nie chce mi się wcale łączyć do chóru radosnego oburzenia, triumfalnie pomiatającego z tej okazji Litwą, która jest sprowokowana. I inne są też, niestety, trudne i ciemne momenty w tym zabagnionym stosunku polsko-litewskim. Chciałbym o tych rzeczach zapomnieć, być od nich z daleka – a nie mogę, bo ze stanowiska mego

wciąż się z tym stykam – czy to w zajściach uniwersyteckich, czy w moich stosunkach osobistych i rodzimych z Polakami, pomimo że te stosunki do minimum ograniczam. Nie jadę więc do Geysztorów. Może później – latem.

Było święto wojskowości dzisiaj. Miasto ożywione, orkiestry, pochody, śpiewy, jakieś karnawały uliczne, pogoda śliczna, uroczystości w ogródku Muzeum Wojennego. Nie szedłem na to, bom już wczoraj na uniwersytecie zbliżenie wojskowości ze społeczeństwem odświęcił i wygłosiłem tam piękną, starannie opracowaną mowę, która sprawiła wrażenie. Podniosłem tam ideę pacyfizmu ofensywnego i międzynarodowego, tego samego, który inicjuje lewica francuska. Siedziałem więc dziś do godz. piątej po południu w domu aż do ukończenia mojej pracy dziennej. Potem wyszedłem i chciałem pójść do kina, ale nie poszedłem.

Miałem jakieś złe przeczucie, że „Lietuvos Aidas" zechce coś wyspekulować z mojej pogadanki wczorajszej w kole dziennikarzy narodowców w przedmiocie analizy nowej ordynacji wyborczej do Sejmu. Kupiłem numer „Aidasu" (poranne wydanie). Naturalnie na wstępie artykuł: „Rinkimų įstatymas konstitucingas – sako prof. Römeris"[2]. Streszczony jest mój referacik z tej pogadanki wczorajszej, ale streszczony tak, że wszystko, co tym panom, obrońcom przysięgłym wszelkiego zarządzenia rządowego, dogodne, to jest wypisane i jeszcze rozdmuchane, a co niedogodne – to po prostu przemilczane. W ogóle czytając ma się wrażenie, że to nie analiza krytyczna, ale apoteoza czy dytyramb. Ten artykuł przedstawia mię w charakterze jakiegoś adwokata tej ordynacji. Słowem – „Lietuvos Aidas" zrobił to, czego właśnie chciałem uniknąć: wciągnął mnie i mój autorytet naukowy w zakresie prawa konstytucyjnego w błotko spekulacyjne jakiegoś szyldu sklepikarskiego czy agitacji politycznej. Oburzyło mię to i obeszło, bo gdybym tak działał – to bym prostytuował moją nauką, którą kocham i której chcę strzec od względów spekulacyjnych jakiegoś geszeftu politycznego, używającego mnie za reklamę. Z tego względu byłem odmówił „L. Aidasowi" (Kemežisowi) wywiadu i artykułu. Ale podeszli mię oni pod pozorem pogadanki konfidencyjnej, którą zużytkowali, jak im to potrzebne, przekręcając istotę twierdzeń moich. Mówiłem im wszystko tak, jak mówiłem prywatnie wszystkim, w relacji natomiast wyszło coś wprost innego. Byłem zgryziony i czułem się upokorzony, w jakieś błoto z moją nauką i autorytetem osobistym wdeptany. Nie mogę tego znieść, bo się tego wstydzę i siebie szanuję, a za służalca uchodzić nie życzę bynajmniej, gdyż nim nie byłem i nie jestem, a zwłaszcza w mojej działalności naukowej czystość zachowuję i chcę zachować zupełną. Przyszło mi na myśl zareagować na to wywiadem w „Lietuvos Žinios". Udałem się w tej sprawie do p. Felicji Bortkiewiczowej. Ułożyliśmy się z nią, że dokona ze mną wywiadu redaktor Kardelis.

18 maja, rok 1936, poniedziałek

Otwarta została wystawa książki francuskiej. Wystawę zorganizowała księgarnia Pribačisa, która ma specjalny oddział francuski (choć właścicielem księgarni jest Niemiec, a nawet poddany niemiecki), patronuje jej jednak Towarzystwo Litewsko-Francuskie, którego prezesem jestem ja. Byłem na otwarciu i wygłosiłem przemówienie po francusku. Byli naturalnie Francuzi – poseł Dulong, sekretarz poselstwa de Neyzac, lektor języka francuskiego na uniwersytecie p. Schmitlein, był minister Lozoraitis z żoną i szereg gości.

Byłem też po obiedzie na występie skautów w teatrze. Były śpiewy, dzieci odgrywały bajeczki i komedyjki, tańczyły. Byłem tylko na pierwszej części, bo czasu nie miałem. Widowisko było ładne i wdzięczne, utrzymane w idealistycznym i humanistycznym tonie skautowskim.

Kilku osobom wspomniałem dziś o podejściu, którego dokonali na mnie dziennikarze „Lietuvos Aidasu". Przekonałem się, że w kołach niezależnych artykuł wczorajszy w „Aidasie", wkładający mi w usta nie poważną analizę rzeczową, ale jakiś panegiryk reklamowy na rzecz ustawy wyborczej, sprawił istotnie wrażenie ujemne i niesmaczne. Istotnie wygląda to na przesadną i niesmaczną z mojej strony gorliwość prorządową, wysilającą się na wysługiwanie się psie i rzucającą

[2] „Ordynacja wyborcza jest zgodna z konstytucją – mówi prof. Römer".

na szalę cały swój autorytet naukowy sprostytuowany dla celów spekulacyjnych. Jest to właśnie to, czego brzydzę się najbardziej. Zareagować trzeba. Inaczej narażam swoje dobre imię, które szanuję, narażam moją naukę i moją wartość naukową, co jest przecie moim dobrem wysokiej ceny i czego profanować nie chcę, a wreszcie – choć to mniej istotne – narażam może nawet moją reelekcję na stanowisko rektora (wybory rektorskie odbędą się w najbliższą niedzielę). Co prawda, zareagowanie nie jest łatwe, bo mogę to uczynić tylko przez organ opozycji – „Lietuvos Žinios". Nie mogę – zwłaszcza w organie opozycji – nadawać mojej odpowiedzi, ujętej w formę wywiadu, tonu polemicznego ani wobec ustawy, ani nawet wobec „Liet. Aidasu", bo to by miało cechy nielojalności i jakiegoś ataku opozycyjnego na rząd, w którego służbie bądź co bądź jestem. Trzeba tylko bardzo obiektywnie i rzeczowo uwydatnić główne punkty bezstronnej analizy ustawy ze stanowiska zasad konstytucyjnych. Wieczorem udałem się do redakcji „Lietuvos Žinios"; nie zastałem redaktora Kardelisa, jeno Januszkiewicza, któremu zreferowałem wszystkie tezy analizy ustawy. On je zanotował, ale kwestię formy i układu zarezerwowałem do porozumienia z redaktorem Kardelisem na jutro.

19 maja, rok 1936, wtorek

Przyszedł dziś po obiedzie do mnie Kardelis, redaktor „Lietuvos Žinios". Ułożyliśmy z nim tekst wywiadu, w którym w sposób ściśle akademicki, bez najmniejszej polemiki w stosunku do „Lietuvos Aidasu" i nie atakując bynajmniej ustawy o ordynacji wyborczej, postarałem się dać *exposé* mojej analizy tej ustawy w stosunku do jej tez konstrukcyjnych i zasad konstytucyjnych, dotyczących wyborów do Sejmu. Właściwie cały tekst wywiadu podyktowałem, Kardelis zaś pisał. Zachodzi teraz kwestia, czy cenzura pozwoli na wydrukowanie wywiadu. Nie jestem też zupełnie pewny, czy takie *exposé* analityczne, nie mające żadnych cech atakowania ustawy, zadowoli opozycję i zatrze w jej opinii wrażenie rzekomego aktu apoteozy, dokonanego rzekomo przeze mnie w oświetleniu „Lietuvos Aidasu", jak z drugiej strony nie mam żadnej pewności, że sfery rządowe nie dopatrzą się w moim *exposé*, które bądź co bądź czyni ustawie pewne zarzuty i stwierdza pewne jej braki w stosunku do zasad, nielojalności i nie zechcą reagować. Zresztą wolałbym raczej to drugie, niż pierwsze. Wolałbym reagowanie rządu, nawet ewentualnie represję, niż plamę wysługiwania się i prostytuowania mojego autorytetu naukowego. Tak czy inaczej – w każdym razie „wdepłem". Byłem naiwny i dałem się wyprowadzić dziennikarzom w pole. Ba, to jest ich fach.

Oczywiście – jestem co do imienia mojego w nauce spokojny. Przejdę do kapitału nauki czysty. Pozory tej plamy znikną, bo wartość moich prac naukowych jest rzeczowa i przemawia sama przez się. Ale na razie – w okolicznościach chwili politycznej – wrażenie jest niesmaczne. Sam to czuję, choć nie przeze mnie to jest wytworzone. Ale niepodobna każdemu to wytłumaczyć, tym bardziej że ludzie, zresztą z wielką zasadnością, uznają tezę, że „*qui s'excuse – s'accuse*". Czuję się źle. Doznałem przez to wielkiej przykrości. Mój honor mię boli.

20 maja, rok 1936, środa

Po wyjściu z uniwersytetu kupiłem świeży numer „Lietuvos Žinios", do którego zajrzałem, aby się przekonać, czy mój wywiad został wydrukowany. Nie znalazłem go. Przed wieczorem jednak przyszedł do mnie znowu redaktor Kardelis, od którego się dowiedziałem, że wywiad nie był jeszcze dany do druku. Kardelis przyszedł dla odczytania mi redakcji ostatecznej wywiadu i dla otrzymania mojej aprobaty na rzecz wstawienia do wywiadu kilku zapytań pytającego, zredagowanych w taki sposób, aby zostały podkreślone zastrzeżenia zasadnicze redakcji w celu przemycenia poglądu opozycji, na co cenzura poza tym w artykułach jej nie pozwala. Uprzedził mię też Kardelis, że zaaprobowanie tego wywiadu do druku przez cenzurę jest skądinąd bardzo problematyczne i na dowód przyniósł mi pokazać dzisiejszy numer próbny „Lietuvos Žinios" w tym układzie pierwotnym, w jakim był przedstawiony cenzurze. Długi artykuł, złożony z cytatów mojej książki, wybranych przez redakcję dla ilustrowania jej stanowiska w kwestii wartości i znaczenia partii politycznych, został całkowicie przez cenzurę skreślony. Opozycji cenzura nie daje możności

wypowiedzenia się bezpośredniego w kwestii oceny ordynacji wyborczej do Sejmu, toteż „Lietuvos Žinios" były wpadły na pomysł wypowiedzenia się przez przedruki odpowiednio dobranych cytatów z książek moich. Na to „Lietuvos Aidas" zaczął odpowiadać kontrcytatami również z książek moich i z dzieła Esmeina, przetłumaczonego i wydanego po litewsku. Wywiązała się oryginalna polemika cytatowa, posługująca się rozmaitymi twierdzeniami moimi z moich prac naukowych. Teraz oczywiście i tę ostateczną drogę polemiki cenzura zamyka. Mój wywiad Kardelis da do druku i do cenzury w piątek (albowiem jutro święto i pisma nie wychodzą). Zobaczymy, czy cenzura puści. Wątpię. Ale gdyby nawet puściła, to nie mam bynajmniej przekonania, że to naprawi wrażenie. Z jednej strony, moje tezy wydadzą się opozycji zbyt umiarkowane i nie potępiające radykalnie *en bloc* znienawidzonej przez nią ustawy, toteż jej nie zadowolą, z drugiej strony – czynniki rządowe mogą uważać, że powiedziano za dużo i że to jest nielojalne. Oto są „małe" skutki wciągnięcia nauki w sidła polityki! Uczynił to nietakt czy też przesadna gorliwość dziennikarzy „Lietuvos Aidasu", z mojej zaś strony była łatwowierna naiwność.

Uważam, że sprawa ta pogrzebała mój wybór ponowny na rektora. Wybory rektora na następną kadencję trzyletnią odbędą się już tej niedzieli. Jestem przekonany, że mię nie wybiorą. Mam wrażenie, ze sprawa ta wywołała oburzenie i niechęć do mnie w kołach profesury, w których czynniki opozycyjne, bliskie Chrześcijańskiej Demokracji i ludowcom, mają przewagę. Myślę, że nawet przyjaciele moi, którzy skądinąd mię cenią, zawahają się głosować na mnie. Prawdę mówiąc i ja sam, gdyby ktoś inny był na moim miejscu i gdybym nie wiedział nic więcej ponadto, co się ukazało w niedzielnym artykule „Lietuvos Aidasu", byłbym na takiego pana oburzony za profanowanie nauki przez naciąganie jej do spekulacyjnych celów polityki i zawahałbym się głosować na niego na zaszczytne stanowisko rektora. Na obiedzie „Rotary-Clubu" dowiedziałem się o dwóch faktach z tej dziedziny. Pakštas mi mówił, że w gazecie „Rytas" z okazji niedzielnej komunikacji „Lietuvos Aidasu" ukazała się krótka, ale lapidarna wzmianka mniej więcej tej treści, że odbyło się zebrańko dziennikarzy narodowców, na które ja byłem zaproszony dla wypowiedzenia się o ustawie wyborczej, i że wypowiedziałem się tak, jak pożądano i jak było ułożone. Oczywiście – *sapienti sat*: dałem zainscenizować mój autorytet naukowy na użytek rządowy. To znaczy prostytucja naukowa. Juška zaś mi mówił przy stole, że sprawa ta może zaszkodzić mojej reelekcji, bo już słyszał takich, co mówili, że nie będą głosować na mnie. Nie liczę już na wybór, chyba wybrany zostanie Michał Biržiška albo Žemaitis, najprędzej pierwszy z nich. Choć stanowisko rektora lubię i cenię, ale nie tyle mi o sam rektorat chodzi, ile o wstyd dla imienia mojego. Moje imię naukowe więcej cenię, niż stanowisko rektora. Jeżeli mię nie wybiorą, to w jesieni na obiedzie pożegnalnym, który mi zapewne wyprawią, wypowiem mowę, w której zaznaczę, że chciałem być wybrany i że wiem, dlaczego mię nie wybrano, i że sam bym to samo na miejscu innych w tych okolicznościach zrobił, a jednocześnie wypowiem, jak się rzecz miała w istocie.

21 maja, rok 1936, czwartek

Dzień Bożego Ciała. Święto. Wykładów i pracy na uniwersytecie nie ma. Nie chodziłem nigdzie. Cały dzień przesiedziałem w domu, tylko wieczorem poszedłem się przejść. Odbyłem dłuższą przechadzkę na Zieloną Górę, która mi zajęła całą godzinę. Potrzebowałem tego ruchu fizycznego, żeby odpocząć i uspokoić nerwy. Jestem bardzo znerwowany i smutny. Ten wstyd, który nie z mojej winy mię spotkał, jest dla mnie boleśniejszy od różnych ciężkich i nerwujących kłopotów i przejść, które mi się zdarzało na rektoracie przechodzić. Czuję się prawdziwie nieszczęśliwy i tylko myśl o Jadzi, jak zawsze w takich razach, mię pociesza. W niej mam serce wierne, które nie zwątpi o mnie nigdy. Tęsknię do niej jednej. Żeby gdzieś z nią wyjechać, odbyć podróż we dwoje, nasycić się wrażeń i zapomnieć o wszystkim innym. Ale na to trzeba dużo pieniędzy. Jestem niezmiernie wrażliwy z natury i takie ciosy dużo mię kosztują. Człowiek się przez to zużywa i starzeje. Tak, maszyna się już psuje.

Rano odwiedził mię Diskin. Nie wiedział o niczym. Opowiedziałem mu o moim wstydzie, zadanym mi przez „Lietuvos Aidas". Współczuł mi bardzo, wziął to do serca, serdecznie się

zatroszczył sprawą. Poradził mi, nie czekając na wywiad w „Lietuvos Žinios”, którego ukazanie się jest w ogóle niepewne, napisać i ogłosić list do redakcji, krótki i stwierdzający, że relacja z mojej pogadanki z grupą dziennikarzy narodowców była niepełna i wskutek tego odzwierciedla niedokładnie moje twierdzenia. List tak zaraz ułożyłem i przesłałem przez Andrzeja redaktorowi Kemežisowi, do którego załączyłem bilecik, wskazujący, że ponieważ w relacji nie było nawet nadmienione o pewnych zastrzeżeniach, poczynionych przeze mnie, przeto odnosi się wrażenie, że nadużyłem nauki dla celów spekulacji i propagandy politycznej, co mię poniża, i że wobec tego wydrukowanie mojego krótkiego listu zastrzeżeniowego jest konieczne. Niebawem przybiegł do mnie Kemežis bardzo poruszony. Ponieważ on był inicjatorem tej niefortunnej pogadanki i odczuł on dotkliwie złośliwy i hańbiący mię docinek, umieszczony w „Rytasie”, więc już przygotował własne oświadczenie do druku w „Aidasie” i w „Rytasie”, protestujące przeciwko napastowaniu mnie i zarazem odcieniające pewne moje zastrzeżenia co do „interpretacji” ustawy, choć jednocześnie stwierdzał tezę kapitalną o zgodności ustawy z konstytucją w moim oświetleniu. Prosił mię, abym cofnął mój list do redakcji, albowiem gdybym nastawał, musiałby on chyba podać się do dymisji ze stanowiska redaktora. Zgodziłem się, ale z warunkiem, że do stwierdzenia zastrzeżeń moich dopisze on zastrzeżenie także w stosunku do pewnych, moich zdaniem, koniecznych poprawek prawnych w celu całkowitego uzgodnienia ustawy z zasadami konstytucyjnymi. Zgodził się i on i na tym stanęło. Czy to dobrze zrobione – nie wiem.

Poza tym z nikim się nie widziałem i nie rozmawiałem. Uspakajam się tylko wtedy, gdy piszę coś twórczo w mojej pracy nowej, która jest na warsztacie.

22 maja, rok 1936, piątek

Nic nowego. W „Lietuvos Aidasie” ukazało się oświadczenie redaktora Kemežisa, które mi on wczoraj pokazywał, z tym dopiskiem w tekście, który uczyniłem. Oświadcznie ma charakter protestu przeciwko złośliwemu dotknięciu mię przez „Rytas” i wyraża mi współczucie. Wszakże ten dopisek, który wstawiłem do tekstu i który zastrzega konieczność pewnych poprawek prawnych do ustawy wyborczej dla całkowitego jej uzgodnienia z zasadami konstytucyjnymi, tonie w całości tekstu i nie bardzo uwydatnia fakt czynienia przeze mnie zastrzeżeń do ustawy w kwestii jej konstytucyjności. W atmosferze namiętności politycznych na cieniowanie i subtelne niuanse nikt z zacietrzewionych zazwyczaj nie zwraca uwagi. Opozycjoniści żądają bezwzględnego, stuprocentowego potępienia; wszystko inne wydaje im się wodą na młyn przeciwnika. I odwrotnie. Nie sądzę więc, żeby to oświadczenie Kemežisa, nawet z moim dopiskiem, zatarło pierwotne wrażenie ujemne, choć mnie już satysfakcję daje. Ci wszakże, co są zacietrzewieni i oburzeni, nic w nim nie wyczytają, a nawet będą się śmiać złośliwie z tego, że obrony mi udzielają narodowcy, co dla nich świadczy o tym, że stanąłem w obozie narodowców i ich człowiekiem jestem. Oświadczenie Kemežisa wydrukowane jest także w „Rytasie”.

Wywiad, udzielony przeze mnie redaktorowi Kardelisowi, w „Lietuvos Žinios” jeszcze się nie ukazał. Kardelis jeszcze się komunikował ze mną przez telefon co do redakcji pewnego ustępu. Zgodziłem się na wszystko. Wywiad będzie zapewne dany do druku jutro. Nie wiadomo jeszcze, czy cenzura go puści. Zresztą nie łudzę się, żeby uspokoił on i przekonał tych, co się oburzają na mnie i nienawidzą ustawy. Nie znajdą bowiem w tym wywiadzie tego, co jedynie mogłoby ich zjednać. Zresztą wywiad ani w zupełności odpowiada opinii opozycji, ani też w zupełności oddaje myśl moją, bo redakcja „Lietuvos Žinios” pewne warunki moim twierdzeniom także od siebie stawia. Słowem – całkowicie wybrnąć z błota, gdy się w nie wlazło, trudno. Wybrnąć można, ale na nogach pozostanie trochę uczepionego błota.

Wieczorem miałem posiedzenie sądu honorowego w sprawie inżyniera Witolda Landsberga ze Strazdasem. Wysłuchaliśmy oświadczeń stron. Naradę nad wyrokiem odroczyliśmy do środy. Poczciwy Janulaitis, daleki od wszystkich intryg w sprawie mojej kompromitacji, zapewnia mię, że zostanę wybrany pojutrze na rektora i że ogół profesury zdecydowany jest głosować na mnie. Nie

jestem tego wcale pewny. Raczej należałoby się spodziewać wyniku przeciwnego. Zobaczymy. Oswoiłem się już z perspektywą porażki.

23 maja, rok 1936, sobota

Czekam ze spokojem na to, co dzień jutrzejszy przyniesie. Jutro bowiem wybory rektora. Rozmowa z Janulaitisem wczoraj dodała mi nadziei na wybór, bo już nadziei nie miałem żadnej. Jednak pewności nie mam wcale. Ostatni tydzień niewątpliwie dużo mi zaszkodził. I nawet już nie tyle mi teraz chodzi o sam rektorat, ile o ambicję, żeby nie być potępiony, bo upadek mój na wyborach w tych warunkach byłby aktem potępienia. Właściwie w sumieniu moim jestem spokojny i czysty. Przeciwko mnie były tylko pozory, stworzone przez dziennikarzy, którym się dałem podejść, a których skądinąd nie winię, bo to ich fach. Przyczepili się oni do mnie od początku sporu o wybory i wwiązali mię pomimo mojej woli w swoją aferę. Ale nie błądzi tylko ten, kto nic nie robi. Kto ma imię jak ja, a da się podejść, temu grozi niebezpieczeństwo. Moje słowo jest ważkie, moja waga uczonego i specjalisty w sprawach konstytucyjnych jest wielka, toteż strony walczące mają pokusę pozyskać i użyć moją wagę na swoje potrzeby kramiku. Że moja praca naukowa jest zupełnie bezstronna i wolna od spekulacji – najjaskrawszym dowodem jest to, że cytatami z moich pism posługują się obie strony walczące i obie czerpią argumenty z moich myśli. Albowiem myśli te są bogate i wolne, nie związane z jakimś jednym kierunkiem politycznym. Z bogatego źródła korzystać może każdy i korzysta istotnie. Tym bardziej mię zabolał pozór oddania się mego w pacht jednej stronie. Zmonopolizować się nie dawałem i nie dam nigdy. Ale czy to panowie profesorowie zrozumieją? Jeżeli zostanę jutro wybrany – w podziękowaniu moim powiem im wszystko. Niech sami się wmyślą i zrozumieją, że jestem czystym adeptem nauki. Jeżeli tego nie rozumieją sami, to im to do głowy włożę, ale mogę to uczynić dopiero po wyborze, bo inaczej zakrawałoby to na zabieganie o wybór. A jeżeli mię nie wybiorą, to powiem im to w jesieni przy pożegnaniu. Michał Römer jest profesorem i uczonym, może być mężem stanu, ale frymarczyć nauką nie może.

W „Lietuvos Žinios” wywiad mój się ukazał. Imię moje widocznie jest za wielkie, aby cenzura odważyła się mnie wykreślić. Nie odczytywałem jednak drukowanego tekstu tego wywiadu, bo sam wiem, że znalazłbym w nim i to, i owo niedobre bądź w jednym, bądź w drugim kierunku. Zapewne nie zadowoli on ani opozycji, ani pozycji. Cóż robić. Inaczej być nie może. Ale może niektórzy przynajmniej zrozumieją, że moje stanowisko nie jest stanowiskiem apoteozy, jak im się to z „Lietuvos Aidasu” pierwotnie zdawać mogło. A zresztą – mniejsza już o to. Po co się tylko nerwować więcej. Nie zajrzałem też ani do „Kuntaplisa”, ani do „Sekmadienisu”, żeby tam nie znaleźć jakiejś satyry lub karykatury okolicznościowej w stosunku do mnie. Nie chcę widzieć tego.

Był dziś zjazd bałtycki Rotary-Clubów Kowna, Rygi, Tallina i Tartu. Na posiedzeniu zjazdowym rano nie byłem. Byłem tylko na wielkim obiedzie rotaryjskim w „Metropolu” i siedziałem między prorektorem Adamovičsem z Rygi i prof. Pussepem z Tartu. Na obiedzie były też panie. Z Rygi było trzech członków klubu z paniami, z Estonii także trzech, oprócz tego był rotaryjczyk Fin, jakiś dygnitarz rotaryjski. Byli też zaproszeni posłowie łotewski i estoński – Sēja i Leppik. Był też przygodnie gość Belgijczyk z Brukseli. Poza tym było od 20 do 30 naszych członków klubu z Kowna. Były mowy. Po obiedzie pojechano autobusem na piknik (*five-o-clock*) do kurhauzu w lesie w Poniemuniu, ale ja tam nie jeździłem. Potem byłem na pięknej uroczystości składania wieńców na grób Nieznanego Żołnierza i spuszczania flag w Muzeum Wojennym, a stamtąd z gośćmi rotaryjskimi udałem się do kawiarni na dachu gmachu Pažangi. Jutro – wycieczka rotaryjska parostatkiem specjalnym po Niemnie do Kułautuwy, potem na aerodrom na święto awiacji, ale ja tam być nie mogę, bo rano mam egzaminy, a potem wybory rektorskie.

24 maja, rok 1936, niedziela

Wybory rektora się odbyły. Obawy moje, dzięki Bogu, zawiodły. We czwartek i w piątek żadnej już nadziei nie miałem. Wczoraj już pewną nadzieję odzyskałem, bo w piątek wieczorem mię nieco natchnął poczciwy Janulaitis. Upadek mój na wyborach tych byłby dla mnie bardzo bolesny nie

tyle przez to, że straciłbym to stanowisko, które pomimo wszelkie jego ciężary i związane z nim nieraz przykrości lubię i cenię, ale jeszcze bardziej dlatego, że byłoby to dowodem panującej w kołach profesury i upokarzającej dla mnie opinii, jakobym sprofanował naukę dla spekulacji politycznej, co dla uczonego jest obelgą. Okazało się, że tak źle nie jest i że profesura ma zaufanie do mnie. Być może, że bez tych wypadków z ubiegłego tygodnia większość byłaby większa od tej, którą zdobyłem, ale bądź co bądź wybrany zostałem dobrze i od razu.

W myśl regulaminu uniwersyteckiego, głosowanie odbywa się u nas bez stawiania z góry kandydatów. Po otwarciu przeze mnie posiedzenia Rady Uniwersyteckiej (ogólnego zebrania profesury) przystąpiono wprost do głosowania na rektora. Komisję do obliczania głosów powołano w osobach profesorów Żylińskiego, Wiktora Biržiški i Antoniego Tamošaitisa. Rezultat obliczenia głosów był taki: ogółem głosów podano 91, większość absolutna wynosiła 46. Ja otrzymałem 52 głosy, 10 głosów podano na prof. Lašasa, 8 głosów – na prof. Krėvė-Mickiewicza (ja też głosowałem na niego), 5 głosów – na prof. Jurgutisa, 16 głosów rozstrzeliło się po jednym i dwa. Ciekawe, że ani Michał Biržiška, ani Žemaitis, których liczyłem za ewentualnych kandydatów – zwłaszcza Biržiškę – wcale głosów nie otrzymali. W każdym razie więc wybrany zostałem od razu.

Oprócz wyboru rektora wyborowi ulegał także prorektor do spraw studenckich (obecne stanowisko Česnysa) i sekretarz uniwersytetu (obecne stanowisko Purėnasa). Tu zaszły niespodzianki. W pierwszym głosowaniu na prorektora głosy się rozstrzeliły tak: Česnys – 40 głosów, Purėnas – 16 głosów, Žemaitis – 15 głosów, Krėvė-Mickiewicz, Wacław Biržiška i Lašas – po 5 głosów, kilka głosów się rozstrzeliło po jednym. Ponieważ Česnys absolutnej większości nie otrzymał, zarządzone zostało głosowanie ściślejsze między dwoma kandydatami, którzy otrzymali względnie najwięcej głosów, to znaczy między Česnysem a Purėnasem. Choć osobiście uważam Purėnasa za odpowiedniejszego i sam poprzednio myśl o wyborze Purėnasa na to stanowisko podnosiłem, jednak głosowałem na Česnysa, bo jednak jest on człowiek dobry, ma serce i w stosunkach do studentów jest sprawiedliwy i życzliwy. Po pierwszym głosowaniu byłem pewny, że w ściślejszych wyborach zwycięży niewątpliwie Česnys, bo dysproporcja głosów (40 i 16) była jaskrawie dodatnia na rzecz Česnysa. Atoli widocznie wszyscy ci, co w pierwszym głosowaniu nie podali głosów na Česnysa i rozstrzelili się, teraz się ześrodkowali na Purėnasie, bo oto Purėnas otrzymał 50 głosów (większość absolutna), Česnys zaś– 42. Prorektorem więc do spraw studenckich na trzylecie 1936.IX.1-1939.IX.I. będzie Purėnas. W istocie rzeczy to dobre.

Ale wybór Purėnasa na prorektora osierocił stanowisko sekretarza, toteż nie wiedziano, na kogo głosować. Jedni chcieli zarządzić przerwę dla naradzenia się nad kandydaturami, ale większość nie chciała tego. Między innymi Purėnas szepnął nazwisko prof. Blažysa, psychiatry młodego i zdolnego z Wydziału Medycznego. W głosowaniu głosy się mocno rozstrzeliły. 28 głosów padło na Blažysa, 15 głosów – na Dovydaitisa, 12 głosów – na Jonynasa i 8 głosów – na Mykolaitisa-Putinasa; reszta głosów się rozstrzeliła. W głosowaniu ściślejszym 60 głosów dostał Blažys, 30 – Dovydaitis. Wybrany prof. Blažys.

Po proklamowaniu wyboru mojego i po moim oświadczeniu, że wybór przyjmuję i że zań dziękuję, zabrałem głos podczas obliczania kartek na prorektora i udzieliłem Radzie Uniwersyteckiej wyjaśnienia co do wwiązania mię przez dziennikarzy w ich walkę partyjną, zaognioną przez namiętności polityczne. Zastrzegałem się, że stało się to bez mojej woli i że wrażenie, jakobym oddał mój autorytet naukowy na spekulację polityczną, co jest dyshonorem dla uczonego, było oparte li tylko na zbiegu pozorów. Ponieważ już byłem wybrany – przeto mogłem się usprawiedliwić bez wywołania posądzenia, że robię to nieszczerze i li tylko dla zaskarbienia względów wyborców.

25 maja, rok 1936, poniedziałek

Wszyscy, których spotykam, winszują mi wyboru rektorskiego na trzylecie następne. Rano, gdym przyszedł na wykład na II semestrze prawników, „seniūnas" semestru Piotr Mašalaitis w imieniu kolegów pozdrowił mię przemówieniem stosownym, na które krótko odpowiedziałem.

Tym razem istotnie więcej niż kiedykolwiek zależało mi na tym wyborze. Było to dla mnie kwestią honoru, sprawdzianem tego, żem w opinii uniwersytetu nie skompromitował mojej godności uczonego.

Prorektor Česnys – mam takie wrażenie – odczuł dość boleśnie fakt zabalotowania jego kandydatury. Jest to zawsze pewien cios ambicji. Česnys był bez humoru. Odbyliśmy dziś posiedzenie rektoratu, na którym uchwaliliśmy zarządzenie dochodzenia w sprawie zajść na IV kursie medycyny, gdzie wywiązały się jakieś dziwaczne stosunki gryzienia się i oskarżania wzajemnego między studentami o gwałty na osobach; początek tych nieporozumień tkwi w zajściach antypolskich sprzed dwóch tygodni, ale następnie z tych zajść wywiązały się jakieś utarczki wzajemne między poszczególnymi grupkami i osobnikami, nie mające już nic wspólnego z akcją antypolską. Jedni drugich oskarżają i burzą się. Konieczne jest zainterweniowanie, choć w gruncie rzeczy nic istotnego nie ma.

Na posiedzeniu rektoratu podzieliliśmy też między sobą czas wakacyjny. Od 15 czerwca do 15 lipca dyżurować i pełnić obowiązki rektora będzie Česnys, od 15 lipca do 15 sierpnia – Jodelė i od 15 sierpnia do 15 września – ja. Wakacje więc moje będą trwały od 15 czerwca do 15 sierpnia. Spędzę je w Bohdaniszkach. Może tylko do Kłajpedy nad morze wycieczkę zrobię, ale krótką.

Miałem dziś u siebie obiad paradny dla prof. Puussepa z Tartu. Zaprosiłem też prorektorów Česnysa i Jodelę, prof. Purėnasa i dziekana Wydziału Medycznego Lašasa. Kosztowna to rzecz taki obiad, bo za samo wino i alkohole zapłaciłem 84 lity, a niemało też będzie kosztować sam obiad. Obiad dobrze się udał. Onutė doskonale wszystko zarządziła i podała. Zakulisowo pomagali jej Andrzej i Renia. Puussep jest wygodnym gościem, bo jest gadatliwy, opowiada, chwali się, sypie anegdotami i przeto nikt się nie nudzi.

Wieczorem byłem zaproszony na raut do ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa z okazji wizyty ministra spraw zagranicznych Finlandii. Osób było nie nazbyt dużo – koło 60, sama śmietanka i dyplomacja. Byłbym nie poszedł, ale poszedłem tylko dlatego, aby się przekonać, czy w kołach rządowych nie ma jakiegoś oburzenia na mnie za to, że reagowałem na przesadne informacje „Lietuvos Aidasu" wywiadem w „Lietuvos Žinios", ewentualnie za to, żem na posiedzeniu Rady Uniwersytetu po wyborze moim wygłosił przemówienie, odseparowujące mnie od bezwzględnego utożsamienia mojego stanowiska ze stanowiskiem bądź apoteozy, bądź potępienia ustawy wyborczej do Sejmu. Chociaż bowiem starałem się utrzymać obiektywizm akademicki i w moich wystąpieniach li tylko to uwydatniłem, ale wiem, że w chwilach walki politycznej strony są skłonne się gniewać na każdego, kto choć w kilku procentach im się przeciwstawia, zwłaszcza wtedy, gdy ta strona chciała zaanektować twój autorytet na swój użytek wyłączny. Przekonałem się, że tak źle nie jest. Minister oświaty Tonkunas bardzo serdecznie powinszował mi wyboru na rektora i cieszył się z tego; porozmawiałem też z Šilingiem, z ministrem wojny i innymi. Nikt mi nic nie zarzucił i wszyscy mi winszowali wyboru, a zarazem żartowali, ze miałem prawdziwy benefis w polemice prasowej ostatnich dwóch tygodni. Zaiste. Jak się domyślałem – w „Kuntaplisie" i „Sekmadienisie" sobotnim były karykatury na temat posługiwaniem się mną przez przeciwne obozy prasowe w ich polemice wzajemnej.

„Elta" zakończyła dziś tę polemikę, udzielając prasie komunikat, dający dosyć trafne i rzeczowe „*résumé*" tego, co pisano o moim stanowisku i co ja sam wypowiedziałem. „Elta" zachowała się „*correcte*", dając mi poprzednio tekst komunikatu do przejrzenia. Nie miałem zastrzeżeń.

26 maja, rok 1936, wtorek

Wypoczywam. Nerwy się uspokoiły. To grunt. Z wielkim upragnieniem czekam końca tygodnia. Wyjadę na trzy dni Zielonych Świątek do Bohdaniszek. Daj Boże, aby pogoda dotrzymała taka, jak teraz; są upały słoneczne i pachnące. Oto teraz aromat w moim Gaju – a nocami słowik, wieczorami żaby rechocą, kukułka we dnie kuka. Rozkosz. Potem już tylko dziesiątek dni ostatnich w Kownie i – wakacje na dwa miesiące. Kiejf!

27 maja, rok 1936, środa

Wieczorem z Janulaitisem i Krėvė-Mickiewiczem zastanawialiśmy się nad wyrokiem w sprawie honorowej między inżynierem Witoldem Landsbergiem, synem dramaturga litewskiego śp. Gabriela Landsberga-Žemkalnisa, i Strazdasem. Tezy wyroku zostały ustalone. Stwierdzimy, że zarzuty plagiatu i nadużycia grosza publicznego, które Strazdas skierował do zmarłego Gabriela Landsberga, nie zostały udowodnione, wszakże świadomego oszczerstwa ze strony Strazdasa nie stwierdzimy, jeno nieostrożność i lekkomyślne poleganie na pozorach, kierowane wszakże przez dobrą wolę. Projekt motywów i rezolucji wyroku mam ułożyć ja, po czym go odczytamy i wygładzimy wpierw sami, a dopiero następnie ogłosimy stronom.

W prasie jeszcze się błąkają echa debat w kwestii konstytucyjności nowej ustawy wyborczej do Sejmu z komentowaniem moich twierdzeń i zastrzeżeń. Ale debata już usycha. Cenzura nie daje zresztą jej się rozwinąć. Tymczasem wybory się zbliżają.

28 maja, rok 1936, czwartek

Wieczorem miałem posiedzenie senatu akademickiego, może już ostatnie albo co najmniej przedostatnie w tym roku akademickim.

Od wczoraj bawi w Kownie mój lokaj Kazimierz Jankowski. Jadzia wysłała go z Saimą do Kiejdan, aby Saimę połączyć z psem czystej rasy newfundlandzkiej, tej samej, co ona; jedyny bowiem w Litwie pies tej rasy jest w Kiejdanach u p. Telksnysa, dyrektora kiejdańskiego oddziału Banku Litewskiego. Ale Saima jeszcze się nie biega z psem, toteż Kazimierz nie bardzo wiedział, co robić i na parę dni zostawił tam Saimę, a sam przyjechał tutaj; całe dnie bawi w gościnie u swego syna Antoniego albo u córki lub synowej Kazimierzowej.

29 maja, rok 1936, piątek

Dzień miałem, jak zawsze, szczelnie zapełniony. Zresztą nic szczególnego do referowania w dzienniku. Sprawy bieżące. We dnie byłem na przedstawieniu pokazowym filmu propagandowego francuskiego, przedstawiającego „penetrację" francuską w Maroku. Naturalnie – Francuzi są idealizowani, ale też sympatycznie są przedstawieni Arabi – dzieci pustyni, naiwni, pełni dobrych i głębokich uczuć ludzkich, ulegający wszakże władzy przesądów, uczuć zemsty rodowej, kłótni wzajemnych, jałowych spekulacji honoru swych królików itd. Ładne są obrazy pustyni, charakterystycznych scen życia arabskiego, typy ludzkie... W ogóle film ma wszystkie zalety filmu propagandowego. Na przedstawieniu był też Prezydent Smetona.

30 maja, rok 1936, sobota

Wyjechałem do Bohdaniszek na trzy dni Zielonych Śiwątek; wrócę stąd do Kowna z Jadźką.

Wyjechałem z Kowna pociągiem rannym z Kazimierzem, który wraca do Kiejdan po Saimę i będzie tam siedział, aż się Saima pobiega z psem albo dopóki się stwierdzi, że jeszcze na bieganie się jej za wcześnie.

Pociąg był pełny; dużo osób rozjeżdża się na Zielone Świątki.

W Abelach spotkała mię Jadźka, która przyszła na spotkanie moje piechotą, aby odjechać ze mną do Bohdaniszek autem, najętym od Radžiunasa (czy Račiunasa) z Abel. Automobilem prędkośmy do Bohdaniszek dojechali, a z Prapultini podwieźliśmy Maryńkę, która z małą Stefcią Jankowską, córeczką Adeli, przyszła na moje spotkanie.

W Bohdaniszkch pełno zieleni, trawa, drzewa – porastają bujnie. Po widoku zimowym i wczesnej wiosny bezlistnej z czasów Wielkiejnocy – Bohdaniszki zmieniły zupełnie wygląd. Moje kochane drzewka przedstawiają się pięknie i bogato. Jadźka – opalona, wesoła, miła. Ogród kwitł bardzo obficie, urodzaj owoców zapowiada się bogaty. Wszakże zbyt ciepło nie jest i wiatr wielki. Bzy tutaj kwitną jeszcze.

31 maja, rok 1936, niedziela

Cicho i spokojnie w Bohdaniszkach. Pogoda nie nazbyt dobra – dzień pochmurny, kilka razy deszcz, burze przelotne, ale niezbyt wielkie. Ciepło jednak. Mnie ten deszcz trochę przeszkadza, ale na ogół rolnicy go błogosławią, bo już było trochę za sucho, ciepły zaś deszcz o tej porze – to rzecz ogólnie upragniona. Zielone Świątki – na wsi usposobienie świąteczne. U moich parobków Juszkiewiczów chrzciny. Naturalnie przy tej okazji – bibka we dworze, śpiewy. Wieczorem w wiosce Bohdaniszek – wieczorek z przedstawieniem amatorskim, urządzonym staraniem nauczyciela miejscowego. Nauczyciel przychodził mnie zaprosić, ale nie zdecydowałem się na pójście, bo przyjechałem na parę dni dla wypoczynku i wolę samotność cichą w domu z Jadźką. Oglądam moje drzewka, gospodarkę, chodzę do Gaju. Wieczorem spać się kładziemy z Jadzią z kurami. Nie ma nafty – nie zapalamy światła. Spać idziemy między ósmą a dziewiątą. Za to wstajemy bardzo wcześnie. Nie wziąłem tu ze sobą żadnej pracy.

1 czerwca, rok 1936, poniedziałek

Marynia Budkiewiczowa od dłuższego czasu zapada na zdrowiu. Niewątpliwie przyczyniają się do tego zmartwienia natury materialnej, ciężkie kłopoty pieniężne, ciągłe borykanie się nie tylko z brakiem pieniędzy, ale też z długami, mimo że ja jej dużo w tym pomagam. Ale i fizycznie stan jej jest zły. Z twarzy wygląda względnie młodo, zmizerniała też trochę, ale miewa krwotoki z organów płciowych, nogi jej brzękną, chodzić prawie że wcale nie może. Pod tym względem ma ociężałość ruchów taką, jaką ja miałem w Marienbadzie, choć nie tyle jest wybrzękła, co ja wtedy, i nie ma senności, która mnie męczyła. Postanowiłem za namową Jadzi skierować ją moim kosztem do doktora, bo sama nie wybrałaby się nigdy. Dziś Jadzia ją zawiozła do Rakiszek. Dr Žemaitisa nie zastały, więc się zwróciły do doktorki Żydówki, uchodzącej zresztą za niezłą. Doktorka Marynię obejrzała i stwierdziła guz na macicy. Nie podjęła się więc jej leczyć, wskazując konieczność zwrócenia się do specjalistów w Kownie. Marynia wyobraża sobie, że to jest rak; dawno to przypuszcza i ma nawet *idée fixe* raka, ponieważ z raka umarły dwie siostry Mamy – ciocia Cesia Tukałłowa i ciocia Łucja Wołodkowiczowa, także dwoje dzieci sióstr Mamy – Mania Ordzina i Ludwiś Wołodkowicz, poza tym siostra Papy – ciocia Kasia Tyszkiewiczowa i jej córka Maryla O'Rourke'owa, wreszcie siostra matki Papy – Matylda z Kobylińskich Zabiełłowa. Ale w istocie doktorka w Rakiszkach nie stwierdziła raka, choć diagnozy stawić się nie zdecydowała. Jadźka mię skłoniła do tego, abym wiózł zaraz Marynię teraz z nami do Kowna i leczył ją, bo sama nie da rady. Marysia jest bardzo poruszona i przygnębiona, liczy, że to już rak na pewno i że niebawem umrze; do Kowna jechać nie chciała, twierdząc, że operacji się nie podda, bo z przykładu ciotek wie, że która się poddała, ta pod nożem umarła, a która się operacji nie poddała (c. Kasia), ta bądź co bądź parę lat dłużej pożyła, a gdyby wreszcie przyszło do operacji, to nigdy by się nie zgodziła robić ją w Kownie z dala od córki, jeno pojechałaby do Ewy do Polski i tam by się poddała leczeniu, żeby choć umrzeć przy niej. Zdołałem ją jednak namówić, żeby pojechała – nie dla operacji, bo w ogóle nic jeszcze nie wiadomo, czy trzeba, ale choćby dla ustalenia diagnozy, dokonania fotografii Roentgena i dokładnego obejrzenia jej przez specjalistów. A gdyby chodziło o operację, to mogłaby sobie później do Ewy pojechać. Biedna Maryńka. Mam nadzieję, że jeszcze tak źle z nią nie jest, ale porada lekarska gruntowna jest konieczna, bo upadek sił jest duży. Oto już nasze pokolenie w rodzinie stanęło u wrót schyłkowych starości, w których czyha śmierć. Jeszcze wiek Maryńki bardzo głęboki nie jest. Ma dopiero lat 58. Ale jest to już okres niebezpieczny.

2 czerwca, rok 1936, wtorek

Krótka wycieczka moja do Bohdaniszek skończona. Miałem wyjechać dopiero dziś na noc, ale Jadzia zaproponowała jechać we dnie. Tak też zrobiliśmy. Mieliśmy i Marynię zabrać ze sobą, ale oświadczyła, że na razie wyjechać nie może, nie uporządkowawszy spraw mleczarni, którą prowadzi, i gospodarstwa swego. Nie ma też na razie w domu jej męża, który pojechał na Zielone Świątki do swego folwarku. Stanęło na tym, że Marynia przyjedzie do Kowna w niedzielę.

Wyjechaliśmy z domu końmi w południe do Abel, stamtąd pociągiem i w Kownie stanęliśmy koło godz. 9 wieczorem. W drodze nic ciekawego nas nie spotkało. Gdyśmy wyjeżdżali z Bohdaniszek, panowało tam powietrze gorące i duszne, w drodze natrafiliśmy na deszcz, a pod Kownem panował chłód przenikliwy.

3 czerwca, rok 1936, środa

Wykładu nie miałem, jeno colloquiua, które teraz – w końcu roku akademickiego – mam po dwa dziennie.

Dzień był chłodny i słotny. Dobrze się stało, że nie wypadł mi on na Bohdaniszki.

Opowiadają ludzie różne szczegóły o egzekucji, która wykonana została przed mniej więcej tygodniem na kilku uczestnikach ruchu włościańskiego w Suwalszczyźnie. Zdaje się, że straconych (rozstrzelanych) zostało czterech. Straceni zostali z wyroku Sądu Wojennego. Skazanych na karę śmierci było więcej, ale dwom Prezydent Rzeczypospolitej zamienił karę śmierci na bezterminowe więzienie. Wyrok ten i egzekucja poruszyły bardzo opinię publiczną, nastrojoną w ogóle opozycyjnie do rządu. Wątpliwe też, aby taki krwawy akt terroru zdołał uspokoić Suwalszczyznę, w której koła włościańskie od roku się burzą i w której ferment nie ustaje, wyrażając się w akcji oporu biernego i sabotażu, nacisku na gospodarzy, aby nie płacili podatków, nie kupowali ziemi i dobytku z licytacji, nie świadczyli żadnych usług i powinności na rzecz rządu; akcja ta, prowadzona pokątnie, posługująca się pogróżkami, anonimami, podpalaniem, czasem nawet strzelaniem z zasadzki do urzędników i przedstawicieli władzy, jest bardzo trudna do opanowania i zwalczenia, a szerzy się i ma wielkie sympatie w masach ludowych Suwalszczyzny. Jest ona nieuchwytna, tysiącgłowa, giętka i sprężysta przez te sympatie. Cała też opozycja inteligencka w Kownie sprzyja jej i po cichu jej potakuje. Krwawy akt terroru rządowego, zastosowany do kilku przyłapanych na udziale w tej akcji, dostarcza jej jeno męczenników i rozpala sympatie. Nie jest to środek skuteczny. Rzecz jest tym trudniejsza przez to, że czynnikiem tego ruchu jest nie jakaś partia polityczna w szczególności, jeno same szeregowe masy włościańskie, szeregowi gospodarze – „ūkininkai” – tak popularni w Litwie, ludzie, stanowiący tę klasę społeczną, która jest podłożem całej państwowości Litwy i która jest środowiskiem rdzennym i patriotycznym całej niemal inteligencji narodowej, całej masy pracowników państwowych. „Ūkininkai” – to sól ziemi i państwa litewskiego. Straceni wyrastają na *sui generis* bohaterów narodowych. O ich straceniu tworzy się już legenda i poezja swoista. Opowiadają (ile w tym prawdy – nie wiem), że oddział wojska, który był wyznaczony do rozstrzelania skazanych, odmówił wykonania: oficer, który dowodził oddziałem, zamiast dać rozkaz strzelania, wydał komendę zwrotu w tył i odszedł z oddziałem. W każdym razie, egzekucji dokonali policjanci ze szkoły policji. O egzekucji tej opowiadają sobie ludzie sensacje – o przemówieniach przedśmiertnych skazańców, o ich okrzykach wolnościowych, o patriotycznych hasłach, z jakimi umierali, o strasznych rzeczach przy spełnieniu egzekucji...

4 czerwca, rok 1936, czwartek

Moja wizyta marcowa w Szwecji i wizyta majowa naszego chóru akademickiego do Sztokholmu bardzo ożywiły i zaktualizowały stosunki litewsko-szwedzkie. Na jesień zapowiedziany mamy przyjazd do Kowna starego doświadczonego przyjaciela Litwy i prezesa Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego w Sztokholmie Curmana, który zamierza też wygłosić odczyt na uniwersytecie, a poza tym wyraził życzenie odwiedzenia Kowna i ewentualnie wygłoszenia tu odczytu rektor uniwersytetu (wyższej uczelni) w Sztokholmie prof. Tunberg, który jest z zawodu historykiem i ma wyszperane jakieś ciekawe i nieopublikowane przyczynki do stosunków litewsko-szwedzkich w przeszłości. Rektor Tunberg wspominał o tym prof. Česnysowi, gdy tenże towarzyszył naszemu chórowi akademickiemu do Sztokholmu. Oczywiście, że wypada mi napisać do Tunborga, zapraszając go w imieniu uniwersytetu naszego. Uczynię to z ramienia mojego i naszego senatu akademickiego, który mię formalnie upoważnił do tego na ostatnim posiedzeniu.

Obecnie zaś przyjechał tu na kilka dni i bawi właśnie w Kownie młody sympatyczny student Szwed ze Sztokholmu, Anders, który jest prezesem grupy czy organizacji studentów szwedzkich w Sztokholmie, zawiązanej dla celów zbliżenia z krajami bałtyckimi. Z Litwy uda się on jeszcze do Łotwy i Estonii. Aby ująć tego młodego przedstawiciela młodzieży akademickiej szwedzkiej, zaprosiłem go dziś do siebie na obiad wraz z gronem osób, bliskich i przyjaznych Szwecji. Ogółem było nas na obiedzie siedem osób: ja; młody gość szwedzki – Anders; lektor języka szwedzkiego na uniwersytecie naszym – Kmet Falk, Szwed rodowity; nasz prorektor prof. Česnys, który jeździł do Sztokholmu z naszym chórem akademickim i nawiązał tam stosunki ze Szwedami; prof. Pakštas, który zna Szwecję i jest prezesem Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego w Kownie; urzędnik Ministerium Spraw Zagranicznych i sekretarz generalny naszej komisji litewskiej Międzynarodowej Kooperacji Intelektualnej, mój dawny znajomy z czasów, gdy był jeszcze studentem u nas na uniwersytecie i prezesem sejmiku studenckiego za mojego pierwszego rektoratu w roku akademickim 1927-1928 – dr Trimakas, który był przez lat kilka sekretarzem poselstwa litewskiego w Sztokholmie, umie po szwedzku i zdobył wielką popularność i przyjaźń serdeczną u Szwedów; wreszcie student prawnik Sabalis, rodem Wilnianin, prezes świeżo założonej sekcji akademickiej Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego. Obiad był przez Jadźkę bardzo starannie przyrządzony, dobrze przez służącą Onutę podany. Zwyczajem szwedzkim, zagaiłem pierwsze „skol" krótkim kwieciście-serdecznym przemówieniem, zwróconym do Andersa, na które w końcu obiadu Anders mi też przemówieniem odpowiedział; po obiedzie piliśmy jeszcze kawę w gabinecie. Przyjęcie osobiste u rektora na obiedzie prywatnym – to dowód wielkiej atencji i kurtuazji dla gościa studenta.

5 czerwca, rok 1936, piątek

Miałem egzaminy, colloquia, urzędowałem w rektoracie, pracowałem w domu, wieczorem byłem z Jadźką i Andrzejem w kawiarni na dachu gmachu „Pažangi" – bardzo miłym miejscu z pięknym widokiem na miasto u dołu. Oto cały mój dzień.

Zbliżają się wybory do Sejmu na zasadzie nowej ordynacji wyborczej. Zdawałoby się, że powinno by to być wielkim ewenementem, bo Sejmu nie mamy od roku 1927 i zawsze opozycja domagała się zwołania go. Ale nowa ordynacja wyborcza jest tak skonstruowana, że nikt się teraz tymi wyborami nie interesuje. Instytucja Sejmu stała się jeszcze przed narodzinami swymi niepopularna. Bo wybory są takie, że właściwie jest to niemal nominacja posłów. Rady powiatowe, które mają monopol zgłaszania list kandydatów, same nie pochodzą z wyborów powszechnych i stanowią element rządowy narodowców, posłuszny i bierny. Toteż listy kandydatów są zupełnie bezbarwne i jałowe. Są to tylko ekspozytury figurantów. Rzadko gdzie przebłyska jakieś nazwisko jaskrawsze, jak nazwisko burmistrza Merkysa albo dwóch kandydatów żydowskich na liście kowieńskiej, ale i te nazwiska nie odbiegają od szablonu kierunku panującego. W okręgu wyborczym kowieńskim, na który się składają miasto Kowno i powiaty kowieński i kiejdański, ubóstwo kandydatów jest takie, że aż odpada ochota głosować. Trochę bardziej znajome są nazwiska i oblicza kandydatów kowieńskich miejskich. Ale gdy jednego z sześciu kowieńskich miejskich w moim wyborze osobistym zabrakowałem, to szukając kogoś na jego miejsce, nie mogłem absolutnie żadnego zastępcy znaleźć; bo do wyboru na to zastępstwo mam nazwiska z dwóch innych list – kowieńskiej powiatowej i kiejdańskiej, ale nie znajduję tam nic, prócz obskurnych figurantów lokalnych, o których nic zgoła nie wiem i wiedzieć nie mogę. Albo muszę głosować na całość listy miejskiej, którą ułożyła Rada Miejska kowieńska, albo spośród innych wybrać mogę do głosu kandydata – przez losowanie ślepe. Nic nie lepiej, a nawet jeszcze gorzej, niż przy listach partyjnych.

6 czerwca, rok 1936, sobota

Byłem zaproszony na śniadanie do posła francuskiego p. Dulonga. Nie wiem dobrze, z jakiego tytułu byłem na to śniadanie zaproszony – może dlatego, że pozawczoraj na ogólnym zgromadzeniu Towarzystwa Litewsko-Francuskiego zostałem wybrany ponownie na prezesa tego Towarzystwa, może bez żadnej okazji szczególnej, po prostu dlatego, ze jestem oficerem Legii Honorowej i z tego

tytułu jestem bliski Francuzom. Na śniadaniu nikogo z krajowców poza mną nie było. Było to śniadanie prywatne z udziałem moim i przemysłowca francuskiego, właściciela kilku wielkich fabryk pod Paryżem i w Tuluzie, budujących samoloty wszelkich typów i rodzajów, tak turystyczne, jak wojenne. Ten pan z wielkiego przemysłu samolotowego buduje też i dostarcza od lat kilku samoloty dla awiacji wojennej litewskiej i w tych sprawach tutaj bawi – nie po raz pierwszy zresztą. Oprócz nas dwojga był p. Dulong z żoną, sekretarz poselstwa p. de Neyzac i nauczycielka dzieci pp. Dulongów, Francuzka także.

7 czerwca, rok 1936, niedziela

Wybraliśmy się dziś z Jadzią i Andrzejem do letniska nadniemeńskiego – do Kułautuwy. Spędziliśmy tam kilka godzin. Pogoda sprzyjała; słońca nie było, ale było ciepło i cicho; zachmurzenie było wielkie, grzmiało nawet, ale deszcz przeszedł bokiem. Z Kułautuwy mam dostać na jesieni parę młodych łabędzi do Bohdaniszek; obiecał mi to w przeszłym roku dyrektor uzdrowiska, pułkownik Augustowski. Teraz jeszcze piskląt łabędzich nie ma, samica dopiero siedzi na jajkach. Do Kułautuwy jechaliśmy autobusem, wracaliśmy parostatkiem.

Wieczorem przyjechała z Bohdaniszek Marynia Budkiewiczowa dla porady lekarskiej.

Zbliżają się już wybory do Sejmu, ale nastrój jest minorowy. Walki naturalnie żadnej nie ma, bo wszystkie kandydatury są rządowe. Opozycja stosuje bojkot bierny wyborów, ale agitować na rzecz bojkotu nie może. Agitację plakatami uprawia tylko strona rządowa, ale ma to charakter suchy i jednostronny, bez żadnych zewnętrznych oznak walki; nikt nic na tę agitację odpowiedzieć nie może. Zresztą cała agitacja rządowa sprowadza się do tego, aby wykonać „obowiązek obywatelski" i głosować; za kogo zaś głosować – to wszystko jedno, bo wszyscy kandydaci są równej wartości. Abstynencja będzie zapewne duża, bo jest głucha akcja bojkotowa, a podniet do głosowania nie ma.

W myśl nowej ustawy prasowej, która jest dziełem Šilinga, wszystkie organy prasy zmuszone są do drukowania komunikatów udzielanych im przez rząd. Władze korzystają z tego, aby zmuszać organy opozycji do drukowania odezw, nawołujących do głosowania. Wobec tego dwa naczelne dzienniki opozycji – chrześcijańsko-demokratyczny „Rytas" i ludowcowe „Lietuvos Žnios" – sprzyjające bojkotowi, zawiesiły wydawnictwo na czas wyborów, aby uniknąć drukowania odezw na rzecz wyborów.

8 czerwca, rok 1936, poniedziałek

Stan Maryni nie jest dobry. Zbadał ją rano dr Gudowicz, potem dr Mažylis. Raka, którego się Marynia bała, nie stwierdzili, ale stwierdzili całe gniazdo „nowotworów" na brzuchu (zdaje się – od wewnątrz); bodaj że to jest tzw. sarkoma, to znaczy mniej złośliwe, ale bądź co bądź rakowate formacje, przed którymi się można bronić wycinaniem tych nowotworów. Ale jest to operacja niebezpieczna i w gruncie rzeczy paliatyw tylko, bo te nowotwory rozrastają się szybko całymi koloniami i po wycięciu jednych – ukazują się niebawem nowe. Lekarze zalecili operację możliwie jak najprędszą. Marynia jednak – może i słusznie – nie chce się poddać operacji tutaj, bo chce mieć podczas operacji Ewę przy sobie. Bądź co bądź bowiem operacja ta jest niebezpieczna i często kończy się śmiercią, a umrzeć z dala od córki Marynia nie chce. Wraca więc teraz do Bohdaniszek, uporządkuje nieco swoje interesy gospodarcze w Bohdaniszkach i za przepustką uda się do Łotwy, skąd pojedzie do Polski do Ewy i tam się operacji podda. Biedna Maryńka. Cicha jest, słodka i pokorna, ale pogodna, zrezygnowana. Żal mi jej. Kto wie, czy wyżyje. Biedna siostrzyczka. Czyżby jej było sądzone umrzeć pierwszej z naszego rodzeństwa? Z rodzeństwa naszego jest mi ona najbliższą, bo była bezpośrednią towarzyszką mojego dzieciństwa i młodości.

9 czerwca, rok 1936, wtorek

Andrzej Mieczkowski już odjechał do Bohdaniszek na wakacje. Marynia jeszcze bawi u mnie. Przyjechała do niej synowa – Marysia Stefanowa Römerowa.

Dziś dzień wyborów do Sejmu. Głosowałem. Podałem głos za obu kandydatów żydowskich, poza tym za trzech kandydatów litewskich z listy kowieńskiej miejskiej – Merkysa, śpiewaka Antoniego Sodeikę i Indrišiunasa, oraz za kandydata z listy kiejdańskiej czy też powiatowej kowieńskiej – naczelnika powiatu Sidorowicza. Głosowanie idzie dosyć ospale, bo wybór tych lub innych kandydatów nie budzi żadnego zainteresowania i jest zgoła obojętne; żadne namiętności polityczne nie są w grze; całe zagadnienie stosunku do wyborów streszcza się do tego, czy głosować czy nie; wszakże zwolennicy bojkotu agitować otwarcie przeciwko głosowaniu nie mogą, prasa opozycyjna sama się zawiesiła na czas głosowania, aby się uwolnić od przymusowego drukowania odezw rządowych, nawołujących do głosowania. Głosujących jest jednak niemało, bo głosują wszyscy ci, co są zależni od rządu, a więc urzędnicy przede wszystkim, także kupcy i przemysłowcy, którzy są zależni od rządu w stosunku do licencji eksportowych i importowych, a nawet duchowieństwo, które w gruncie jest bardzo przeciwne tym wyborom, oddalającym powrót Chrześcijańskiej Demokracji do władzy. Rządowi chodzi o przeforsowanie tych wyborów i Sejmu, toteż, wobec stanowiska bojkotowego opozycji i w pewnych dzielnicach mas włościańskich, rządowy „Lietuvos Aidas" zgoła niedwuznacznie w artykułach, nawołujących do głosowania, zaznacza, że ci, którzy tego obowiązku swego „wobec państwa" nie spełnią, nie są warci tego, aby państwo coś dla nich świadczyło: a więc wyraźna pogróżka wszystkim, którzy na coś od rządu liczą lub są na służbie rządowej. Najgoręcej wszakże biorą i brać będą w wyborach udział Żydzi, którym, bez względu na ich poglądy na ten Sejm, zależy na tym, aby swoich dwóch kandydatów żydowskich, wystawionych w Kownie, przeforsować. Na to, aby ci kandydaci przeszli głosami litewskimi, nie bardzo oni liczą, toteż sami się zmobilizują wszyscy, a nawet, wobec wyjaśnienia Głównej Komisji Wyborczej, że wyborcy głosować mogą we wszystkich obwodach i okręgach, gdzie przebywają choćby przelotnie, Żydzi z całego kraju będą jechali masowo do okręgu kowieńsko-kiejdańskiego, aby tutaj głos swój na kandydatów żydowskich podać. Rząd sam chce tego i o takie wyjaśnienie Głównej Komisji Wyborczej się postarał oraz zarządził zniżki kolejowe dla wszystkich jadących dokądkolwiek w celach głosowania.

10 czerwca, rok 1936, środa

Z biedną Maryńką sytuacja jest ciężka. Wczoraj otrzymała ona list od córki – Ewy Meyerowej z Grodna. Marynia była zdecydowana nie poddać się operacji tutaj i jechać do Ewy, aby z nią w Warszawie rozstrzygnąć kwestię i ewentualnie dać się zoperować. Wszakże Ewa pisze, żeby Marynia ani marzyła o jeździe na operację do Polski, bo będzie to kosztowało drogo, a Ewa nie ma na to środków i nie ma sposobu znalezienia tychże. Naturalnie koszt operacji spadnie wobec tego na mnie. Ale mniejsza o to. To mój obowiązek wobec biednej i kochanej siostry, który spełnię. Chodzi jednak o to, gdzie i jak tę operację robić. Marynia ani słyszeć nie chciała o dr Mažylisie, który się jej nie podobał. Zdecydowana była, jeżeli operacja jest konieczna, udać się do Poniewieża, gdzie zamieszkał i praktykuje jakiś wybitny chirurg Żyd, emigrant z Berlina, wydalony przez władze nacjonalsocjalistyczne. Przyjeżdżał też Julek Komorowski, który, powołując się na dr Zaborskiego z Rakiszczyzny, twierdził, że operacja w ogóle nie jest konieczna i że z takim nowotworem, jaki jest u Maryni, można żyć długie lata, mimo że się on rozrośnie. Marynia miała już dziś odjechać i nawet miała bilet kolejowy kupiony. Rzecz miała się zdecydować później, w Bohdaniszkach, gdy Marynia odda ogród w dzierżawę i w ogóle uporządkuje gospodarstwo. Czułem jednak, że rzeczy tak w zawieszeniu zostawić nie można, skoro już Marynia do Polski nie pojedzie i skoro kwestia operacji ma się decydować tu. Wstrzymałem więc wyjazd Maryni do jutra i zdecydowałem się zarządzić konsylium z dr Gudowicza i dwóch chirurgów – dr Kuźmy i dr Gusiewa (tego ostatniego domagała się w listach kategorycznie Elizka Komorowska; dr Gusiew, który mieszkał poprzednio w Poniewieżu, pozyskał tam imię sławnego chirurga, a od roku przeniósł się do Kowna). Poszedłem poradzić się Gudowicza. Gudowicz mi odradził tego konsylium, wskazując, że tu decydować muszą nie chirurdzy, ale ginekolodzy; jego przeto zdaniem – po zbadaniu Maryni przez dr Mažilisa można ją zbadać jeszcze przez dr Lewiatana, Żyda, drugiego najlepszego ginekologa w Kownie, nie mówiąc

mu o diagnozie Mažylisa. Dał też Gudowicz list do Lewiatana. Gdym wrócił do domu, zastałem Helcię Mieczkowską, która przyjechała z Jezioros na zebranie „Pochodni". Helcia już napompowała Marynię, żeby jechała do Poznania, tam zamieszkała u p. Pawłowskiej (żona byłego rządcy w Abelach) i tam się dała operować. Zaoponowałem stanowczo chaotycznym słuchaniom wszelkich rad przygodnych i oświadczyłem, że całą decyzję i odpowiedzialność biorę na siebie, wezwę Elizkę Komorowską i co z nią uradzę – tak będzie. Ani sama Marynia, ani żadne kumoszki i doradcy nic decydować ani głosu mieć nie będą. Elizkę Komorowską wezwałem telegraficznie; przyjedzie na mój koszt. Marynię posłałem do dr Lewiatana. Po zbadaniu jej dr Lewiatan dał swoją opinię w liście do dr Gudowicza, który przeczytałem. Sytuacja Maryni nie jest jeszcze najgorsza. W głównych rysach diagnoza i wnioski d-rów Lewiatana i Mažylisa są zgodne, tylko że Mažylis trochę pesymistyczniej się zapatruje na samą operację. U Maryni nie jest ani rak, ani sarkoma. Są dwa tumory gdzieś w okolicach macicy; jeden z nich jest stanowi tzw. kistę – narośl galaretowatą, która rośnie i której wycięcie jest konieczne, bo może ona się zaczepić o kiszki i wtedy stać bardzo niebezpieczna; druga – jest tzw. „miama" – narośl twarda mięsista, która może i nie być wycinana, jeżeli jest na zewnątrz macicy, a nie w nią wrosła. Sama operacja nie byłaby zbyt ciężka, o ile po otwarciu jamy brzusznej nic innego i żadnych komplikacji się nie okaże, ale ze względu na wiek i na serce Maryni operowanie może być samo przez się niebezpieczne.

Wieczorem odbyło się ostatnie w tym roku akademickim posiedzenie senatu akademickiego.

11 czerwca, rok 1936, czwartek

W sprawie Maryni rzecz się rozwinęła tak. Rano przyjechała wezwana przeze mnie Elizka Komorowska. Poszliśmy z nią do dr Gudowicza dla dokładnego poinformowania się o stanie Maryni na zasadzie wniosków dr-ów Mažylisa i Lewiatana i dla naradzenia się, co dalej robić. Elizka wciąż forsuje Gusiewa. Co do mnie – podzielałem raczej zdanie dr Gudowicza, że operacji dokonać winien nie tyle chirurg, ile ginekolog, albowiem operacja jest tego rodzaju, że w toku samej operacji trzeba stawiać diagnozę. Chirurg jako taki może być najbieglejszy w technice chirurgicznej, ale nie będąc ginekologiem, może się nie zorientować, co należy robić. Najlepszymi zaś w Kownie ginekologami są właśnie Mažylis i Lewiatan. Ale Elizka i z natury swojej i z właściwości kobiecych jest arbitralna i czego się uczepi, to niczym jej tego nie wyperswadujesz. Będzie kręciła, nawracała do swego i dopóty nie ustąpi, aż postawi na swoim: i decyduje w tym u niej nie argument, ale typowo po kobiecemu – wiara i intuicja, a najczęściej to, że ktoś jej tak wmówił i że takie jest jej uprzedzenie. Tak i teraz z Gusiewym. Od Gudowicza pobiegła do Gusiewa i naturalnie wróciła z nowym zapałem na rzecz robienia operacji u niego. Twierdziła, ze Gusiew jest w zupełności specjalistą ginekologiem, że ciągle robi takie operacje. Naturalnie, że i sympatyczny, i klinikę ma doskonałą itd., itd. A wszystko stąd, że dr Zaborski jej tak wmówił. Na razie zaoponowałem tak radykalnie, ze aż się stropiła, ale potem, gdy mię znów jęła przekonywać, ustąpiłem. Pobiegła znowu do Gudowicza sama i uzyskała jego zgodę na Gusiewa. Ostatecznie argumentów mocnych przeciwko Gusiewowi nie mam, a że przy chorobie Maryni przed i po operacji towarzyszyć jej będzie Elizka, więc wojować z nią nie chcę, choć osobiście wolałbym Lewiatana albo Mažylisa. Stanęło więc na Gusiewie. Maryńka odjechała do Bohdaniszek, skąd przyjeżdża do Kowna na operację na 25 czerwca. Przez kilka dni Gudowicz będzie wzmacniał jej serce, po czym dokonana będzie operacja. Gudowicz będzie też asystował operacji samej jako konsultant w przedmiocie serca i narkotyków.

Tak więc los Maryńki się niebawem zdecyduje. Boję się tego, ale nie ma wyjścia. Niech ją Pan Bóg ma w swej opiece.

12 czerwca, rok 1936, piątek

W najbliższych dniach wyjeżdżamy już do Bohdaniszek na wakacje na dwa miesiące. Jadzia z Renią wyjeżdżają we wtorek pociągiem i wiozą do Maryni Stenię, którą tu Stefan Römer w poniedziałek przywiezie, ja zaś z Onutią jadę we środę autobusem na Rakiszki. Tego lata ma przyjechać do mnie koło 15 lipca na wakacje prof. dr Gudowicz, mój zbawca i przyjaciel. Ma

zabawić aż do 1 września, to znaczy dłużej ode mnie. Jest on zawołany myśliwy, przyjedzie z psem i z góry zapowiedział tryb, którego się trzymać będzie: rano po śniadaniu będzie pracował naukowo do obiadu, po obiedzie zaś rusza z psem na polowanie aż do wieczora, a w niedzielę – na polowanie na cały dzień. Lubię i cenię Gudowicza. Jest to człowiek serca, niegłupi i niezależny, sam sobie wystarczający, trochę plotkarz, ale człowiek szczery i dobry. Jest konsekwentny wolnomyślny, córki swej, która jest studentką na prawie na IV semestrze – bardzo miła i niegłupia dziewczyna – nie chrzcił wcale. Ta jego córka – Danutė Gudowiczówna – zamianowana została przeze mnie na „seniunė" seminarium prawa konstytucyjnego na rok przyszły.

Daj Boże, żeby z Maryńką coś złego się latem nie stało. Tej jej operacji lękam się.

Jak zawsze – na końcu przed wyjazdem dużo się zbiera interesów do załatwienia. W szczególności chodzę w tych dniach wieczorami do uniwersytetu, gdzie opracowuję wyrok w sprawie honorowej między Landsbergiem a Strazdasem. Sprawa ta musi być zakończona przed moim wyjazdem.

Byłem dziś u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa w sprawie przepustki na wjazd do Litwy Tadeusza Römera, współwłaściciela Antonosza. Tadeusz chce przyjechać do Litwy w końcu sierpnia, ewentualnie z żoną, aby odwiedzić Antonosz, zorientować się w interesach antonoskich i powziąć jakąś decyzję co do lasów tego ich majątku rodzinnego. Tadeusz Römer jest obecnie posłem polskim w Lizbonie w Portugalii. Lozoraitis w zasadzie nie oponuje przeciwko przyjazdowi Tadeusza, ale ma jeszcze pomówić o tym z ministrem spraw wewnętrznych Čaplikasem, poczym mi udzieli odpowiedzi do Bohdaniszek.

13 czerwca, rok 1936, sobota

Nie wiem, z jakiej okazji poseł francuski minister Dulong zaprosił dziś do siebie na śniadanie grono działaczy uniwersytetu z ministrem oświaty Tonkunasem i mną jako rektorem na czele. Obecni byli na śniadaniu: gospodarze – minister Dulong z żoną, sekretarz poselstwa de Neyzac, minister Tonkunas, ja, prorektor Jodelė, dziekan Wydziału Teologii ks. prof. Kuraitis, dziekan Wydziału Prawniczego prof. Janulaitis, dziekan Wydziału Matematyki i Przyrody prof. Žemaitis, prof. literatury francuskiej Dubas i lektor języka francuskiego Schmittlein. Wiem, że był proszony także dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewicz, który nie przyszedł. Nie wszyscy jednak dziekani byli zaproszeni. Wiem, że np. nie był zaproszony dziekan Wydziału Technicznego prof. Hrynkiewicz. Nie był też zaproszony prorektor prof. Česnys, zapewne dlatego, że nie został wybrany na następne trzylecie. Czy minister Dulong nas zaprosił z okazji dokonanych nowych wyborów władz akademickich, czy w związku z ofiarowaniem przez Francję szeregu książek dla uniwersytetu, właściwie zaś dla nawiązania kontaktu z uniwersytetem. Minister Dulong chce być aktywny i zabiega o żywy kontakt ze społeczeństwem litewskim. Śniadanie było przyjemne i ożywione. Po śniadaniu piliśmy kawę na werandzie w ogrodzie poselstwa i prowadziliśmy rozmowę grupkami. Nasi członkowie uniwersytetu pogawędzili swobodnie i dobrze się zapoznali z członkami poselstwa i wyszli pod wrażeniem dodatnim. W miarę, jak ją poznaję, coraz przyjemniejsze na mnie sprawia wrażenie pani Dulong, żona posła. Nie jest ładna, w wieku średnim, mniej więcej ma czterdziestkę albo koło tego, ale jest miła, uprzejma, naturalna i niegłupia, tylko katoliczka zdecydowana, co zresztą we Francji jest dość modne. Umie być towarzysko przyjemna i w roli gospodyni umie się stosować do gości.

Z okazji tego śniadania uniwersyteckiego w poselstwie francuskim miałem pewien niewinny incydent, charakterystyczny dla przysłowiowego roztrzepania profesorskiego. Mianowicie za jednym zaproszeniem byłem w poselstwie dwukrotnie na śniadaniu i oba razy zjadłem śniadanie. Wspominałem w dzienniku, że byłem w tym poselstwie na śniadaniu ubiegłej soboty, gdzie spotkałem się z przemysłowcem francuskim, fabrykującym samoloty. Otóż okazuje się, że byłem wtedy na śniadaniu bez zaproszenia. Otrzymałem już wtedy zaproszenie na tę sobotę, ale nie popatrzałem na datę i przeczytawszy o sobocie, wybrałem się w sobotę ubiegłą. Przyszedłem, przywitałem się i zasiadłem z innymi do aperitifu, a potem zasiadłem do śniadania, po śniadaniu

byłem na kawie, słowem – odbyłem cały ceremoniał, nie domyślając się, że jestem intruzem. Dopiero w kilka dni potem spostrzegłem, że zaproszenie opiewało na dzisiejszą sobotę. Opowiadałem to dziś na śniadaniu i tłumaczyłem się przed ministrem i jego żoną. Śmiano się z tego i żartowano ze mnie, ale minister francuski i jego żona bardzo uprzejmie zapewniali, że mieli z tego przyjemność, bo dało to im okazję mieć mię u siebie na śniadaniu dwukrotnie.

14 czerwca, rok 1936, niedziela

Niedziela zeszła powszednio. Tęsknię już do Bohdaniszek. Chce mi się wakacji.

15 czerwca, rok 1936, poniedziałek

Kończę dziś moją służbę na uniwersytecie i od jutra jestem na urlopie, a pojutrze wyjeżdżam do Bohdaniszek.

Odczytałem dziś Janulaitisowi i Krėvė-Mickiewiczowi jako sędziom sądu honorowego w sprawie Witolda Landsberga ze Strazdasem, ułożony przeze mnie jako superarbitra projekt wyroku motywowanego w tej sprawie. Zaakceptowali bez żadnych poprawek. Jutro ma nastąpić ogłoszenie wyroku. Odrzucany zarzut plagiatu i niesumienności pieniężnej, skierowany przez Strazdasa w jego referacie do zmarłego dramaturga litewskiego Gabriela Landsberga-Žemkalnisa, ale skądinąd odrzucamy zarzut świadomego złośliwego oszczerstwa, skierowany przez Witolda Landsberga do Strazdasa, uznając, że działał on lekkomyślnie, ale *bona fide*. Jak zwykle w sądach honorowych, wyrok jest we wnioskach kompromisowy i umiarkowany, ale co do stwierdzeń rzeczowych stanowić będzie poważny dokument dla historii literatury litewskiej doby przedwojennej.

16 czerwca, rok 1936, wtorek

Ostatni dzień w Kownie przed wakacjami. Jadzia z Renią już wyjechały pociągiem. Ja jadę jutro ze służącą Onutią autobusem do Rakiszek.

Dzień spędziłem pracowicie. Byłem u ministra Tonkunasa, w gabinecie rektorskim ogłosiliśmy wyrok w sprawie honorowej między Landsbergiem a Strazdasem. Wieczorem miałem spotkanie z piękną i miłą Bronią Rothengeryte.

17 czerwca, rok 1936, środa

Wreszcie nadszedł dzień odjazdu na wakacje letnie do Bohdaniszek. Jadzia jest tam od wczoraj, my ze służącą Onutią wyjeżdżamy dzisiaj. Jedziemy na Rakiszki autobusem, który odchodzi o godzinie trzeciej po południu. Rano przeto byłem jeszcze na mieście, załatwiałem resztę interesów, byłem na uniwersytecie, gdzie mię już od wczoraj zastępuje prorektor Česnys, zrobiłem parę sprawunków na mieście, obiad mleczny zjadłem w „Pienocentrasie" i udałem się z Onutią na stację autobusową. Panuje tam duży ruch. Czuć rozpoczynające się wakacje. Miejsca mieliśmy z góry zamówione, dobre, na przedzie. Niebawem odjechaliśmy. Pierwszy postój – Janów, drugi - Wiłkomierz. Potem – wciąż wielką szosą – przez Widziszki, które znam jeszcze z roku 1895, gdyśmy z Mamą, Elwirą i Marynią odbywali pieszo pielgrzymkę pobożną z Bohdaniszek do Ostrej Bramy w Wilnie i tu w Widziszkach wyszliśmy od Onikszt na szosę, dalej przez Kurkle i Leluny dojechaliśmy do Uciany, skąd autobus na Rakiszki zawraca z szosy na gościniec i pędzi przez miasteczka Wiżuny, Świadoście, Komaje. Dojechaliśmy bez przygód; raz tylko w drodze z dachu autobusu, na którym są ulokowane bagaże, spadła na ziemię i rozbiła się walizka pewnego oficera. Oto wreszcie Rakiszki. Czekała nas tam para koni, zaprzężonych w kary po rzeczy. Onutė z rzeczami odjechała karami, ja zaś wynająłem automobil i autem dojechałem do Bohdaniszek. Kiepski i rozklekotany miałem automobil, który szedł nie prędko, ale bądź co bądź dojechałem lepiej niż końmi. Była już późna noc, koło północy.

18 czerwca, rok 1936, czwartek

Pierwszy dzień mojego pobytu w Bohdaniszkach miałem niespokojny. Od rana przyszedł do mnie Stefan Mieczkowski. Potem przyjechała Elizka Komorowska. A już Elizka Komorowska – to gość męczący. Kocham ją i cenię, ale jest wymagająca i umie wszystkich zaprzęgać do siebie. Elizka przyjechała w sprawie wyjazdu Maryni na operację do Kowna. Ona ją powiezie i będzie jej towarzyszyć przed i po operacji. Umówiła się z Marynią, że wyjadą do Kowna 25 czerwca. Dałem Elizce cztery czeki *in blanco* na pokrywanie rozchodów. Będzie mię to kosztowało słono, ale nie ma rady. Maryńka biedna jest poruszona. Często płacze, lęka się tej operacji, jest zrezygnowana i pokorna, ale smutna. Przygotowana jest na śmierć, wyspowiadała się już z całego życia, troszczy się o testament i o rozrządzenie swego spadku, co nie jest wcale rzeczą łatwą, bo Ewa objąć Bohdaniszek nie może, gdyż nie może zamieszkać w Litwie, a Stefan i Marysia Stefanowa są niedołężni, do zarządzenia Bohdaniszkami, zwłaszcza w długach, niezdatni, poza tym Marysia gniewa się, że Stefanowi Marynia zostawia nie udział w kamienicy wileńskiej, lecz Bohdaniszki; zazdrości Ewie, uważa się za skrzywdzoną, przecenia wartość kamienicy, a zgoła nie docenia Bohdaniszek, które przy mojej pomocy mogą być z długów Maryni wyplątane, a stanowią bądź co bądź dobry warsztat pracy, tylko oczywiście nie dla niedołęgów takich, jak oni. Marynia wolałaby Bohdaniszki zapisać na imię Steni, dożywocie zaś udzielić mężowi – Justynowi Budkiewiczowi. Ale Budkiewicz, choć pracowity i praktyczny, objąć większego interesu też nie potrafi, poza tym nie umie walczyć i nie bardzo chce tego dożywocia, które pachnie nie spokojem, lecz troską o długi, i nigdy się opozycji Stefanostwa nie oprze. Rozrządzenie spadku jest więc dla Maryni łamigłówką. Skądinąd czuje żal do Ewy, że w chwili dla Maryni krytycznej nie przygarnęła jej i pośpieszyła zastrzec się, żeby Marynia nie przyjeżdżała do niej do Polski, powołując się na brak pieniędzy. Skądinąd męczy Marynię opieka Elizki, która jest choć bardzo serdeczna, ale wścibska i męcząca. Marynia się boi skrępowania w czasie choroby przez ciągłą obecność męczącą Elizki. Słowem, nie doznaje ona spokoju przed tą operacją.

19 czerwca, rok 1936, piątek

Rano koło godziny piątej mieliśmy dziś częściowe zaćmienie słońca. Nie spałem już, ale jeszcze leżałem w łóżku. Blask słońca się zmniejszył wyraźnie, a Jadzia przez czarne okulary obserwowała słońce i widziała je w kształcie sierpa, jak księżyc. Wrażenie zresztą nie było zbyt imponujące; nie porównać je do wrażenia zaćmienia całkowitego, które oglądaliśmy w roku 1914 na początku wojny.

Miałem dziś pierwszą partię wakacyjną studentów do egzaminu. Przyjechało tylko dwoje – student i studentka. Studentka zdała dobrze, student, który się okazał osłem, nie zdał. Przyłapałem go na „szpargałce", którą sobie przyprawił w programie, wszywając doń kartki, zapisane drobnym pismem.

Kilkakrotnie padał deszcz, powietrze – dość chłodne. Chwilami jednak robiło się parno, przeciągały burze. Dużo już jest siana nakoszonego, sporo też nakoszonej koniczyny. Poprzednio była w tych stronach długa susza i upały. Ale naturalnie, jak tylko zaczął się sianokos, zaczęły padać deszcze. Kukułka jeszcze śpiewa dokoła, żaby po stawach rechoczą. Piękna pora roku. Są już poziomki i truskawki.

Wieczorem przyniesiono z poczty list od Ewy do Maryni. Przeczytałem go sam, nie pokazując Maryni. Ewa chce przyjechać na operację Maryni do Kowna, prosi, abym się dla niej wystarał o przepustkę na wjazd i mianowicie o bezpłatną; narzeka na brak pieniędzy na tę jazdę. Napisałem zaraz list do wiceministra spraw wewnętrznych Giedraitisa w sprawie przepustki dla Ewy i zwolnienia jej od opłaty. Co do tego ostatniego – mam wątpliwości, aby się to udało. Znowu to mój koszt podniesie, bo ostatecznie wszystko się skupi na mnie. Jeżeli Ewa przyjedzie, to ewentualnie niepotrzebna będzie jazda Elizki Komorowskiej, ale Elizka nie tak łatwo zrezygnuje, bo jest to dla niej okazja do wyładowania energii – w swoim rodzaju „*perte de plaisir*". Elizka lubi się czuć potrzebna i „celebrować" opieką nad chorym, szczególnie gdy „pachnie" śmiercią. Jest to jedna z jej namiętności. Elizka ma ciekawość śmierci. Ilu już ona śmierciom asystowała! Da Pan Bóg, że tutaj

śmierci nie będzie, bo w gruncie ani choroba Maryni, ani operacja nie jest straszna, ale w każdym razie operacja, w każdym razie możliwość śmierci. To już wystarcza, aby Elizka się zapaliła do usług. A do czego się Elizka zapali i co uchwyci w ręce – to już nie łatwo z rąk wypuszcza. Poza tym ma już czeki moje, toteż ma okazję sfinansowaną, a do wydawania jest ona mistrzynią. Już i Zitka ma z nią siedzieć w Kownie, a wszystko to podnosi koszt. Gdy jeszcze teraz Ewa przyjedzie i trzeba będzie przepustkę opłacić – to koszt się podwoi. Ewa lepiej by dopatrzyła Marynię, niż Elizka, która ją męczyć będzie.

20 czerwca, rok 1936, sobota

Upał powrócił. Pięknie, słonecznie i sucho. Wysiadywałem na słońcu na ganeczku moim rogowym przy salce. Zdjąłem koszulę i napalałem sobie plecy. Przewracano koniczynę w polu, suszono siano, po obiedzie zaczęto zwozić koniczynę, skoszoną wcześniej. Zwieziono 11 wozów parokonnych. Byłem w Gaju, spacerowałem po moim gospodarstwie, po raz setny oglądałem drzewka. Naturalnie pracowałem także.

Wysłałem list do wiceministra spraw wewnętrznych Giedraitisa, prosząc o pozwolenie na wjazd dla Ewy Meyerowej. Marynia była w Rakiszkach. Miała stamtąd telefonować do Elizki Komorowskiej, że wobec zapowiedzi przyjazdu Ewy Marynia będzie w Bohdaniszkach czekała na nią i ewentualnie opóźni wyjazd do Kowna na operację, oraz że wobec przyjazdu Ewy obecność Elizki w Kownie już będzie zbyteczna. Spotkała w Rakiszkach Hektora i przez niego to Elizce zakomunikowała. Spodziewam się jutro przyjazdu Elizki, która z pewnością nie zechce zrezygnować z towarzyszenia Maryńce do Kowna na operację i nie wypuści łatwo z rąk tej gratki.

21 czerwca, rok 1936, niedziela

Dzień przesilenia letniego. Kulminacyjny punkt słońca i dnia. Zawsze mam predylekcję do półrocza wiosennego, kiedy dzień narasta i życie pulsuje coraz silniej. Jest to czas twórczy w naturze. Promień słoneczny rośnie, a przezeń rośnie życie na Ziemi, które jest tego promienia materializacją czy też transformacją biologiczną. Rozpocznie się teraz okres schyłkowy, którego metą jest zima i śmierć. Wprawdzie natura przejdzie jeszcze przez płodne lato, pełne życia, zrodzonego przez wiosnę i streszczającego się teraz w owocu, który jest konserwą wiosennej twórczości słonecznej, ale jest to dojrzałość, zmierzająca już niechybnie do starości i śmierci. Czas jakiś żyć będziemy zmagazynowanym działaniem wiosny, które się wyczerpie wszakże, a wtedy już tylko w głębokich ośrodkach składowych przetrwamy zimę do nowego życia przyszłej wiosny. Cudowne jest urządzenie świata i życia.

Kukułka jeszcze dziś kukała. Zaobserwuję, kiedy kukać przestanie.

Wybraliśmy się dziś z Jadzią na przejażdżkę do królewskiego jeziora naszych stron –jeziora „Sartai”. Przez Krewny udaliśmy się za Barszany, dawnej wioski pięknej nad odnogą szczurską jeziora. Dziś z wioski dużej pozostał zaścianek rodziny Wertybowiczów. Reszta osad rozkolonizowała się na parcele zaściankowe, którymi, jak wszędzie, usiane zostały pola, dawniej wielkie, jednolite, rozległe. Celem naszej podróży było znalezienie łódki do wynajęcia na projektowaną może na drugą niedzielę wycieczkę po jeziorze, którą chcemy z Jadźką wykonać. Osadę Wertybowiczów w Szczurach znam dobrze. Przed wojną wiele razy tu przyjeżdżałem i stąd łódeczką najętą puszczałem się na jezioro. Stary Wertybowicz już nie żyje, jest wdowa, niestara jeszcze, także córka zamężna młoda i wcale ładna. Łódka jest, ale ciężka i pospolita. Wskazano nam, że w Bobryszkach u Moskali są łódki rozmaite i że tam je nająć można. Tam się więc udamy, gdy się na wycieczkę wybierzemy. Do Krewien jechać teraz od nas można tylko na Łasze. Dawna droga na wioskę Pokrewnie zginęła, gdy woda zniosła most na rzece Krewnie w tej wiosce, a droga bliższa na Pakienie wprost – jest nie do jazdy wobec wielkich bagien. Wracaliśmy z Barszan na Bojary i Pokrewnie-dwór.

22 czerwca, rok 1936, poniedziałek

Rano, gdy zginęła rosa, ekonom suszył siano, które zamierzał zwieźć zaraz po obiedzie. Zaledwie jednak dwie furmanki pojechały na łąkę i zaczęły ładować siano, wiatr niespodziewanie napędził dużą chmurę, z której wypadł krótki, ale obfity deszcz, przerywając zwózkę. Do wieczora jednak przeschło i siano wieczorem zwieziono.

Kąpałem się dziś po raz pierwszy. Woda w sadzawce kąpielowej bardzo ciepła. Ładne lato, trochę za gorące. Wstajemy z Jadzią co dzień prawie że o świcie – między godziną czwartą a piątą rano. Za to spać kładziemy się wcześnie, o zmroku, który teraz zapada o dziewiątej. Już co najmniej od Nowego Roku nic nie jadam wieczorem. Jadam tylko śniadanie rano i obiad, który w Bohdaniszkach jemy w południe. Koło godziny 4-5 po obiedzie wypijam szklankę gorącej herbaty z konfiturami, wieczorem na kolację – szklankę świeżego mleka bez żadnych dodatków. Idąc zaś spać – w łóżku jem owoce. Owocem sezonowym są teraz truskawki, których mi co dzień talerz uzbiera Jadzia. Truskawki są doskonałe – soczyste i słodkie, a jeden gatunek jest tak ogromny, jak co najmniej duża brzoskwinia, jeżeli nie jak jabłka średnie. Opalam się już. Zbyt lekki jednak się nie czuję. I po obiedzie doświadczam znowu trochę senności, choć nie takiej, jak przed chorobą. Może ten pociąg do drzemki po obiedzie pochodzi tylko z wczesnego wstawania.

Dziwimy się z Marynią, że Elizka Komorowska nie przyjeżdża. Hektor musiał ją powiadomić, że czekamy przyjazdu Ewy i że wskutek tego Marynia zaczeka z operacją na Ewę i że jazda Elizki będzie już zbyteczna. Czyżby Elizka tak łatwo zrezygnowała z roli pielęgniarki, którą tak lubi? Co do Maryni – to już się uspokoiła, nie płacze, nie nerwuje się, je dobrze, ma humor i fantazję, nawet się ciekawi na operację.

23 czerwca, rok 1936, wtorek

Widocznie mi zaszkodziła kąpiel wczorajsza. Choć woda była ciepła, ale wlazłem do wody spotniały i to mi zapewne zaszkodziło. Dostałem kataru wielkiego, łamania w kościach i uczucia gorączki podskórnej, choć, zdaje się, temperatura zewnętrzna ciała nie była podniesiona. Czułem się cały dzień źle. Głowa była ciężka i trochę bolała.

Jeździliśmy z Jadzią do Dogil do Markuchy Sinicy, którego ewentualnie chcę umówić do kilku robót mularskich u mnie (wybudować gmach cementowy, drugi mostek wjazdowy na trawniku, budkę dla łabędzi w sadzaweczce przy domu, piec i płytę kuchenną w drugim mieszkaniu parobczanym). Umawiałem już do tego innych majstrów, Litwinów, których mi Justyn Budkiewicz zarekomendował, ale chcą za drogo – 400 litów za wszystkie roboty z materiału mojego i na ich stole. Może Sinica podejmie się taniej. Sinicy nie zastałem, ale jego żona mi przyrzekła, że przyjdzie do Bohdaniszek jutro.

Późnym wieczorem przyjechała Elizka Komorowska. Wbrew memu oczekiwaniu, nie upierała się towarzyszyć Maryni na operację. Przeciwnie – od razu oświadczyła, że wobec spodziewanego przyjazdu Ewy nie pojedzie. Zwróciła mi też czeki blankowe, którem był jej dał.

U Mieczkowskich nowy temat konfliktu. Wieloletnia służąca Mieczkowskich, dewotka i już stara panna, licząca lat koło 40, urodziła w Rakiszkach dziecko. Jak się okazuje i jak ona przynajmniej i ludzie twierdzą, jest to dziecko Stefana Mieczkowskiego. Zresztą są poszlaki, że Stefan dawał jej pieniądze z tych, co był wziął za nasienie koniczyny i że najął jej mieszkanie w Rakiszkach. Swoista prostacka donżuaneria. Ma to być człowiek rzekomo nie „prosty” – „kulturalny” i „pański”, wobec którego włościanie – to „chami”. Piękna mi „kultura” obyczajów. Po prostu knur.

24 czerwca, rok 1936, środa

Nie słyszałem już dziś kukułki. Wczoraj odzywała się jeszcze ze wszystkich stron – z bliska i z daleka, dziś nie słyszałem. Może to już koniec. Odkąd w przeszłym roku kukułka towarzyszyła nam w całej wycieczce na daleką Północ – od przepięknych moren, pokrytych wysokopienną sosną na jeziorze w Punkaharju aż do karłowatych zarośli brzozowych pustyni polarnej w Petsamo – aż do

samego Liinakhamari u Oceanu Lodowatego, glos kukułki budzi we mnie tęsknotę wspomnień tego dalekiego kraju dzikiego, mającego dla mnie urok wielki.

Czułem się dziś niezdrów. Jest to stan influenzy. Na noc znowu wziąłem aspiryny. We dnie był upał wielki, na wieczór powietrze nieco ochłodło. Przychodził Sinica. Umówiłem go do budowy ganku cementowego na dwa piętra na słupach. Będzie mię to kosztowało 250 litów za robotę, nie licząc cementu, żelaza, barierki żelaznej i innych dodatków.

Elizka Komorowska zabawiła dziś dzień cały w Bohdaniszkach, przeważnie u Maryni i Elwiry. Na prośbę Elwiry zainterweniowała ona wobec Stefana Mieczkowskiego, na którego się nasiadła z ostrą reprymendą, wyrzucając mu wszystkie uchybienia i krzywdy względem żony, zwłaszcza zaś ostatni jego romans w domu z Urszulą Mikulinasówną, która urodziła dziecko i której Stefan płaci teraz pieniędzmi, wyciąganymi z gospodarstwa żony. Stefan na razie próbował się tłumaczyć i bąknął, że to nieprawda, ale Elizka jeszcze bardziej się nasiadła i nie dała mu przyjść do słowa. Niełatwo z nią dojść do ładu, gdy się uweźmie. O Mikulinasównie i o defraudacji pieniędzy z gospodarstwa na wydatki uboczne, rozpustę i pijaństwo, o brutalnym obchodzeniu się z żoną Elizka mówiła mu, jak o rzeczach notorycznie wiadomych, co do których żadnej wątpliwości ani tłumaczenia się być nie może. Jęła też straszyć Stefana groźbą odpowiedzialności sądowej i kary. Posłużyła jej do tego głośna sprawa Gerarda Kościałkowskiego z Polepia, który dobierał się czy romansował z żoną parobka, aż mu ta parobkowa, prawdziwie czy w inscenizacji męża, wytoczyła wielką skandaliczną scenę o usiłowanie zgwałcenia. Kościałkowski został pociągnięty do odpowiedzialności karnej i sąd go skazał w pierwszej instancji na 6 lat ciężkiego więzienia. Elizka, argumentując kategoriami pojęć stanowych, które w naszych stosunkach na wsi są jeszcze bardzo realne wśród ziemian i które w zacofaniu społecznym Elizki stanowią alfę i omegę całej budowy społecznej, powiedziała Mieczkowskiemu, że teraz całe „chłopstwo" się podniosło na gruncie skazania Gerarda Kościałkowskiego przeciwko „panom", i oto teraz wie ono, jak się przeciwko zachciankom miłostek pańskich bronić. Odpowiadamy im – powiada Elizka – że owszem – niech się tak bronią, ale czy tylko znajdą wśród panów więcej takich Gerardów Kościałkowskich? A oto Stefan robi to samo, dając argument chłopom, kompromitując Polaków (sic!) i panów. Będzie pociągnięty niewątpliwie do odpowiedzialności i to nie będą przelewki, bo przeciwnik jest mądry i nauczony przykładem Kościałkowskiego. Tak Elizka straszyła Stefana i zażądała wreszcie kategorycznie jego wyjazdu do Polski. Stefan milczał, a na żądanie wyjazdu odpowiedział, że byle tylko dostał pieniędzy – wyjedzie natychmiast. Elizka oświadczyła, że pieniądze są; ma ona pożyczyć Elwirze 200 litów z pieniędzy antonoskich. Ja zaś mam się wystarać u władz w Kownie, aby kazały Stefanowi Mieczkowskiemu, jako obywatelowi polskiemu, wyjechać z Litwy. Będę musiał poczynić listownie staranie o wydalenie Stefana. Na pożegnanie Elizka powiedziała Stefanowi Mieczkowskiemu: „Żegnam ciebie – i na zawsze!"

25 czerwca, rok 1936, czwartek

Znowu słyszałem dziś z daleka kukułkę, ale już tylko raz jeden i krótko. Może ostatni w tym roku. Szkoda, że wiosna ucieka, natura się uspokaja i zastyga, z twórczości przechodzi w dojrzewanie.

Otrzymałem dziś od wiceministra spraw wewnętrznych Giedraitisa w odpowiedzi na moją prośbę udzielenia Ewie Meyerowej pozwolenia na wjazd do Litwy. Pozwolenie udzielone, konsul litewski w Dyneburgu powiadomiony, aby wydał Ewie wizę wjazdową, gdy się zgłosi. Wiza udzielona na warunkach najbardziej ulgowych, opłata wyniesie tylko 75 litów. Marynia spodziewa się przyjazdu Ewy na sobotę i zaraz po jej przyjeździe wybiera się do Kowna już na operację.

W kwestii Stefana Mieczkowskiego sprawa jego wyjazdu z Bohdaniszek i z Litwy jest, zdaje się, przesądzona. Sam Stefan nie pokazuje się nam na oczy. Zapewne reprymenda Elizki Komorowskiej głęboko go dotknęła; rozumie, że my wszyscy jesteśmy usposobieni przeciwko niemu. Wstydzi się nas. Elwira powiada, że jednak Stefan Mieczkowski jest bardzo przestraszony i lęka się ewentualności sądu i kary, którymi go straszyła Elizka. Elwira mówi, że Stefan nalega o

pośpiech w załatwieniu formalności jego wyjazdu. Ze strachu też podobno usiłuje wobec ludzi udawać, że nic się nie zmieniło. Do gospodarstwa chodzi i nim się zajmuje jak dotąd. Pomagał też Elwirze w opatrywaniu rany u klaczy chorej. Zachowuje pozory, a co jest we wnętrzu, to ukrywa. Do winy się nie przyznaje, zaprzecza romansowi z Urszulą Mikulėnasówną, ale raczej formalnie. Elwira jednak prosiła, abym się kilka dni do przyjazdu Helci Mieczkowskiej wstrzymał z poczynieniem kroków w sprawie wydalenia Stefana z Litwy. Elwira powiada, że teraz, gdy wie o tej historii, to dopiero przypomina sobie całe mnóstwo drobnych szczegółów, potwierdzających poszlaki o tym stosunku, ale gdy nic nie wiedziała, to nie zwracała na te szczegóły uwagi, bo ani jej do głowy nie przyszło, że Urszula, której Elwira tak ufała i która zresztą nie była ani ładna, ani urocza, ani młoda, może być kochanką Stefana. Elwira sądzi, że Urszula Mikulėnasówna będzie usiłowała upominać się i dochodzić i że będą jeszcze awantury, bo Urszula ma charakter i jest twarda. Ale wyjazd Stefana udaremni wszelkie jej kroki, bo do Elwiry czepiać się nie może – sama winna i sama Elwiry zaufanie zawiodła, romansując w jej domu z jej mężem. Zapewne – Urszula ucierpi, krzywda będzie dla niej, ale sama sobie winna tej krzywdy, Elwira nie ma racji odpowiadać przed nią za nią samą i za męża i nie ma racji trwonić na to dochodów z Bohdaniszek, które są Elwiry własnością i z których ona siebie i dzieci swoje utrzymuje.

26 czerwca, rok 1936, piątek

Dziś, jak powiada Elwira, Stefan Mieczkowski zmienił taktykę. Dotąd przeczył on swemu romansowi z Urszulą Mikulėnasowną, na zarzuty, że dziecko Urszuli jest jego dzieckiem, albo odpowiadał, że to są plotki i że to coś jeszcze nowego przeciwko niemu wymyślono, albo zamykał się w ponurym milczeniu i odchodził samotny. Dziś się już przyznaje; wpadł w pokorę, wobec Elwiry jest ugrzeczniony i potulny, pada jej do nóg; wykręca się wszakże, mówi, że to się stało po pijanemu, że w ogóle miał wstręt do Urszuli, że nie przypomina sobie, jak to było, skarży się, że to Elwira kazała mu ją przywozić dla różnych robót w domu, co jest nieprawdą, bo to właśnie on żądał sprowadzenia Urszuli dla byle jakiej drobnej roboty, jak na przykład wyprania jednej koszuli itd. Mam wrażenie, że Elwira żałuje już trochę Stefana i że niedużo by brakowało do tego, aby się z nim pogodziła i zatrzymała go. Powstrzymuje ją tylko wzgląd na dzieci, które są za tym, aby Stefan wyjechał, także powstrzymuje obawa przed tym, że Stefan będzie przywłaszczał dochody bohdaniskie na opłacanie Urszuli i jej dziecka, na wódkę dla siebie, na nowe może romanse, poza tym nie może ona zapomnieć od razu brutalnego z nią obchodzenia się Stefana. Ale logika kobiety zawsze się zachwiać może.

Stefan jednak, jak powiada Elwira, cały przejęty jest strachem przed ewentualnością ciągania po sądach i kary. Toteż prosi Elwirę, aby się wstawiła u mnie, abym prędzej wystarał się dlań o pozwolenie wyjazdu, skoro już ma wyjechać. Od nas Stefan Mieczkowski się ukrywa, unika spotkania, wstydzi się. Jednak gospodarstwem się zajmuje, wobec służby i parobków zachowuje się jak gdyby nic nie zaszło. Nie lubią go ludzie u nas, a romans z Urszulą jeno bardziej ludzi przeciwko niemu usposabia.

Głupi jest Stefan. Miał w Bohdaniszkach wygodę, spokój, byt niezależny, piękny warsztat pracy. Mógłby żyć i zażywać słodyczy spokoju i dobrobytu. Teraz w starym wieku iść na tułaczkę, bez środków, bez kąta własnego, bez rodziny, szukać pracy (czy ją znajdzie?!) – to jest los niewesoły; zwłaszcza dla starzejącego mężczyzny, rozleniwionego, nie dyscyplinowanego, nawykłego do wygód snu, jedzenia obfitego, względnego próżniactwa. *Tu l'as voulu, George Dendin!* Miałeś, chamie, złoty róg...

27 czerwca, rok 1936, sobota

Kukułkę słyszałem jeszcze. Raz jeden.

Marynia pojechała do Abel na stację po Ewę Meyerową. W ostatnim liście – do Grodna – pisała do Ewy, że będzie ją czekała w Abelach na stacji dzisiaj na pociąg dzienny. Koło tego czasu, kiedy się można spodziewać przyjazdu końmi z Abel z pociągu, poszliśmy z Jadzią na spotkanie na

wzgórze pod krzyż na polu wioskowym bohdaniskim. Niebawem nadjechała Marynia. Poznaliśmy Ewę w bryczce. Ewa przyjechała. List Maryni otrzymała w Grodnie pozawczoraj rano i tegoż dnia wyjechała z Grodna do Wilna. W Wilnie załatwiła wczoraj formalności paszportowe polskie i wizę łotewską i zaraz wyjechała do Łotwy. Zanocowała w Dyneburgu, udała się dziś rano do konsulatu litewskiego, gdzie jej wydano znowu wizę wjazdową na sześć tygodni. Ewa wygląda mizernie, ale jest miła jak zawsze. Marynia – w siódmym niebie. Gotowa co roku dać się operować, żeby tylko za tę cenę Ewa przyjechała. Do Kowna na operację wyjeżdżają z Ewą w poniedziałek wieczór.

W Kownie wystawa rolniczo-przemysłowa. Koszt jazdy do Kowna w sezonie wystawowym jest tak zniżony, że tłumy się wybierają jechać, zwłaszcza że nadchodzą dwa dni świąt (w poniedziałek – święty Piotr). Kto żyw – korzysta z okazji i jedzie. Jedni – na wystawę, inni – dla przewietrzenia się, jeszcze inni – dla interesów jakichś, dla odwiedzenia krewnych, dla porady lekarskiej... Pojechał mój ekonom Pumpol, zafundowałem jazdę Bieliunasowi, pojechał kowal Błażewicz i wielu, wielu innych z okolicy – Janek Čepas, Jasiek Jankowski – wnuk Kazimierza...

U Mieczkowskich nic nowego. Przyjechała z Jezioros Helcia. Elwira chce się z nią rozmówić w sprawie Stefana i ostatecznie zadecyduje o jego wyjeździe.

28 czerwca, rok 1936, niedziela

I znowu wpadła Elizka Komorowska. Zajechała wpierw do mnie. Nie wiedziała jeszcze o przyjeździe Ewy Meyerowej. W gorącej wodzie kąpana, poczciwa i pełna serca, ale arbitralna i płonąca gorączką działania, Elizka Komorowska nie może ścierpieć zwłoki w wyjeździe Maryni na operację. Julek Komorowski był w Kownie, widział się z dr Gusiewym, który napędza do szybszego przyjazdu, bo nie może opóźnić swojego wyjazdu na wakacje. Wobec tego Elizka przyjechała z tym, aby samej wieźć Marynię do Kowna i dłużej na przyjazd Ewy z Polski nie czekać. Gdy się dowiedziała, że Ewa już jest, zachciała się z nią wpierw rozmówić sama i o wszystkim ją poinformować, toteż poprosiła mię o sprowadzenie Ewy do mojego domu. Bąknęła mi też o tym, że może jednak byłoby dobre, żeby z Marynią i Ewą i ona, Elizka, choć na sam początek zalokowania Maryni w klinice pojechała. O mnie się to zawsze obija dlatego, że to ja finansuję całą akcję jazdy Maryni i jej towarzyszek, pobytu ich w Kownie, klinice i operacji; dlatego więc na wszystko potrzebna jest moja aprobata. Wiedząc jednak, jak Marynia boi się obecności Elizki i jak na nią obecność i zabiegi Elizki, najpoczciwsze i serdeczne, ale przedramatyzowujące wszystko, działają nerwująco, odpowiedziałem, że mi się jazda Elizki teraz, gdy jest Ewa, wydaje niepotrzebna, chyba żeby zaszły jakieś nieprzewidziane komplikacje, co się dopiero okaże. Biedna Elizeczka, delikatna w gruncie, wrażliwa na punkcie pieniężnym, gdy to zależy od mojej kieszeni, więcej nie nalegała.

Na Maryńkę biedną sama wiadomość o ponownym przyjeździe Elizki podziałała od razu drażniąco. Elizka tak na nią działa, jak czerwona płachta na byka. Wpada w podrażnienie, irytuje się i traci spokój. Gdy widzi zabiegliwość Elizki, dostrzega jej szepty tajemnicze na stronie, jej słodycz współczującą i łzy w oczach, jej arbitralność w forsowaniu decyzji, narzucającą się otoczeniu i chorej, to już się zdaje, że jest źle, że umrze, że Elizka zaopiekuje się nią i zakuruje aż do skutku, to znaczy do śmierci. Rzeczywiście w akcji zabiegliwej Elizki wyczuwa się celebrowanie uroczyste aktu, prowadzącego logicznie do grobu. Jest to z pewnością tylko wrażenie, czynione przez teatralność tej akcji. Ale na chorego, gdy on to czuje, działa to fatalnie, bo chory nie może i nie umie się bronić i ma poczucie bezradności wobec takiego woluntaryzmu opiekunki i zdaje mu się wtedy, że nic go już nie zbawi i że tylko śmierć jest rozwiązaniem teatru, którego on, chory, jest samą sztuką sceniczną, graną przez innych i która musi być dograna. Już dla tego samego przyjazd Ewy jest zbawienny: ratuje on Maryńkę od Elizki. Jest to pewien dramat psychiczny. Każdą razą, gdy się Elizka pokręci, Marynia czuje tchnienie śmierci, zaczyna się bać, niepokoić i traci wiarę i pewność w siebie. Póki Elizka konferowała z Ewą w moim domu, Marynia się nerwowała u siebie. Sama nie wiedziała, co robić. Chciałaby uciekać, schować się, nie widzieć Elizki. Rzeczywiście uciekła do Elwiry, ale ją stamtąd sprowadziłem na przyjście Elizki, a Elizkę Ewa uprosiła, aby nic o chorobie i operacji nie mówiła i rozmawiała tylko o rzeczach obojętnych. Rzeczywiście rozmowa potoczyła się

spokojna i oderwana od kwestii choroby, ale Maryńka w sobie była niespokojna i podniecona, co nie jest dobre. Szpiegowała ona mimo woli Elizkę, nie ufając jej spokojowi, a raz doszło nawet do wybuchu na tle zresztą bagatelnym. Elizka wspomniała o tym, że i Ewa powinna kupić w Kownie wody kolońskiej i mieć ją przy Maryni, bo to czasem w chorobie potrzebne. Marynia wybuchła, że ani myśli na to pozwolić i że butelkę z tą wodą kolońską rozbije. Biedną Marynię to krążenie zabiegliwe Elizki koło niej po prostu przyprawia o nową chorobę i jest fatalne. Ale Elizka robi to w tak dobrej wierze, że niepodobna jej tego wytłumaczyć. Tego to już Elizka od Komorowskich nabrała – takim był śp. Żyś Komorowski, jej mąż, i jego rodzina. Zupełnie takie same, jak teraz Elizki, było narzucające się działanie opiekuńcze Zysia w Ikaźni po utracie tego majątku, gdy się likwidowały resztki dobytku i Marynia z dziećmi się wywoziła. Zabiegliwa i arbitralna opieka Zysia zamęczała Marynię i zachłannością swoją ją po prostu zapanowywała tak, że Marynia czuła się bezradna i nie wiedziała, jak się wyzwolić, toteż szczęśliwa była, gdy Mama zainterweniowała i zabrała ją z dziećmi do Bohdaniszek, bo Zyś chciał ją już do Kowaliszek „zafasować", czego się Marynia panicznie lękała. Było to w końcu roku 1901 i początku 1902.

29 czerwca, rok 1936, poniedziałek

Jeszcze słyszałem kukułkę rano. Może już po raz ostatni, bo powiadają, że kuka ona do świętego Piotra. Lato tegoroczne bardzo się śpieszy. Żyta już zmieniają barwę i bieleją widocznie. Za dwa tygodnie będą już zapewne żniwa. Susza ogromna. Na jarzyny, zwłaszcza na ogrody, na buraki – deszcz już jest konieczny. Dzisiaj – dzień smutny. Wyjazd biednej kochanej Maryńki na operację. Ale jeszcze poprzednio miałem pojechać do Gaczan dla złożenia wizyty imieninowej Piotrowi Rosenowi. Krótko tam zabawiłem – dwie godziny. Gości żadnych nie było. U Rosenów wszakże co roku bawi ktoś w czasie wakacji. W tym roku „clou" letników gaczańskich stanowi niejaka panna Tamara, Rosjanka z kultury, Ukrainka z pochodzenia, coś w rodzaju Gruzinki czy Cyganki z cery, oczu, typu twarzy, młoda dziewczyna, córka przyjaciółki i koleżanki pani Rosenowej, z zawodu telefonistka w Kownie. Udziela konwersacji rosyjskiej młodym Roseniukom, z których drugi, Antoś, piękny chłopiec i flirciarz, jest w niej zakochany. Uchodzi ona za piękność i jest rzeczywiście piękna w stylu wschodnim, kaukaskim, który zresztą nie stanowi typu mojego. Nawet sam Piotr Rosen, który już dobiega w tym roku 70-tki, podflirtowuje z piękną Tamarą. Chciał też, żeby „flirtowała" ze mną i żeby mię „pocałowała". Przyrzekła tylko żartobliwie, że ponieważ dziś na imieniny Piotra pocałowała Rosena, więc w dniu św. Michała powie mi przez telefon do gabinetu rektorskiego te dwa słowa: „Целую Вас". Czy tę obietnicę spełni – zobaczymy. Wątpię. Ale nie bawiłem się, bo mię cały dzień trapił ból wyjazdu Maryńki i jej niepokój, który wyczuwam. Jedzie biedactwo jak na rzeź. Nie wie, czy wróci, czy zobaczy jeszcze Bohdaniszki, swój domek, ogrody, czy żyć będzie. Pośpieszyłem wrócić z Gaczan na jej odjazd. Napisałem jej dziś projekt testamentu, który ona z Ewą nieco skorygowała. Biedna Maryńka. Przed samym jej odjazdem był jeszcze posłaniec z Kowaliszek od Elizki. Elizka rozmawiała dziś telefonicznie z Gusiewym i Gudowiczem w Kownie.

Otóż dr Gusiew ze względu na spóźniony przyjazd Maryni i rychły wyjazd swój na urlop odmówił operowania. Elizka poleca jechać do Poniewieża do chirurga Żyda z Berlina, który za rządów Hitlera emigrował i osiadł w Poniewieżu. Uchodzi tu w kołach ziemiańskich za wybitnego chirurga, ale, zdaje się, ginekologiem nie jest. Uradziliśmy jednak z Ewą wieźć Marynię do Kowna i przede wszystkim radzić się Gudowicza. Zapewne Ewa z Maryńką zdecydują się na operatora dr Lewiatana w Kownie, dobrego ginekologa. Odjazd Maryńki był wzruszający. Justyn Budkiewicz, Kazimierz Jankowski, ja – przeżegnaliśmy ją i pobłogosławiliśmy. Wypowiedziałem nad jej biedną główką drogą dla nas pamiątkową formułę błogosławieństwa naszej Mamuśki: „*Que Dieu te benisse et la Sainte Vierge – je te benis de tout mon coeur*". Marysia Stefanowa płakała. Maryńka z ciężkim sercem odjechała z Ewą. Zapłakałem, widząc ją odjeżdżającą, i ja. Niech nam wraca biedactwo kochane żywe i odzyskujące zdrowie.

30 czerwca, rok 1936, wtorek

Kukułki już nie słyszałem.

Ludzie powracają już z Kowna z wystawy. Wrócił ekonom, Bieliunas został jeszcze do jutra, bo musiał chodzić kilka razy na Fredę do Ogrodu Botanicznego, dokąd go skierowałem do asystenta Grybowskiego, specjalisty kultury roślin i ziół aptecznych. Chciałbym bowiem, żeby Beliunas trochę się poinformował w tej branży i mógł mi zacząć uprawiać te zioła w Bohdaniszkach.

Pojechaliśmy dziś z Jadzią parą koni w linijce sami bez furmana do Abel do miasteczka. Przede wszystkim po pieniądze, które mi przysłano z Kowna z uniwersytetu na rzecz mojej pensji miesięcznej. Nie wiem, dlaczego tym razem tak dużo – 2102 lity. Zwyczajnie wypłacają mi, uwzględniając różne potrącenia, 1900-2000 litów. Jednocześnie chodziło mi o opłacenie rachunku u Chajetowicza i obstalowanie cementu do sprowadzenia na jutro. Upał, jak zawsze, a kurz na drodze straszny. Długa susza roztarła ziemię na drogach na miał. Jedzie się po naszych glinach jak po piaskach. W Abelach trochę się nam nie udało. Przyjechaliśmy wcześnie – koło dziesiątej; aż nagle na poczcie nam oznajmiono, że w kasie pocztowej zabrakło gotówki na opłacenie względnie (na stosunki abelskie) wysokiej sumy przekazu. Oświadczono, że jeżeli zaczekamy, to o godzinie 1.30. będą mogli wypłacić, bo z urzędu celnego przyniosą na pocztę gotówkę do przesłania do Banku w Rakiszkach. Postanowiliśmy czekać, bo to niewielka frajda ponawiać jutro tę wycieczkę w kurzu. Zachodziłem do Zaka, siedzieliśmy u Chajetowicza. Rodzina Chajetowicza jest dla mnie bliska przez młodego Jakuba Chajetowicza, mojego byłego ucznia, który po skończeniu studiów prawniczych był przez lat kilka kandydatem do posad sądowych przy Sądzie Okręgowym Poniewieskim, delegowanym do czynności sędziego śledczego i potem sędziego obwodowego w Rakiszkach. Jakuba Chajetowicza polecałem i protegowałem kilkakrotnie. Był on dla mnie zawsze pełen uznania i względów i cała rodzina Chajetowiczow zbliżyła się do mnie. Młody Jakub, pracując przez lat kilka w sądownictwie bez pensji, klepał biedę, choć był doskonałym pracownikiem sądowym. Rządy Šilinga w Ministerium Sprawiedliwości po prostu wydusiły wszystkich aspirantów żydowskich. Toteż Jakub Chajetowicz, widząc, że nic z jego długiego stażu nie będzie i że w tych warunkach systemu Šilingowego kto wie, czy kiedykolwiek dorwie się do adwokatury, zdecydował się wyjechać do Ameryki, gdzie ma dwóch braci. Obecnie od dwóch lat jest w Ameryce. Pisuje do mnie stamtąd czasem. Ma się dobrze, zarabia, studiuje jeszcze i jednocześnie stał się przemysłowcem. Ma jednak sentyment litewski, bierze czynny udział w akcji litewskiej w Ameryce. Tu w Abelach jego stary ojciec ma handel żelazem i tu są jego trzy siostry – ładne i bardzo miłe dziewczyny: dwie już są zamężne, trzecia jeszcze panna, skończyła studia buchalteryjne w Kownie. Bardzo mile nas ugaszczały i dotrzymywały towarzystwa. Zjedliśmy doskonałej ryby faszerowanej po żydowsku, konfitur, herbaty, jagód. Żydzi – nawet z ludu, a może właśnie z ludu – są w przyjaźni bardzo wierni i serdeczni. Doświadczyłem tego wiele razy. Lubię ten biedny krzywdzony nieszczęśliwy, a bardzo ludzki naród.

Wreszcie wypłacono mi na poczcie pieniądze i wróciliśmy do domu. Myślę o Maryńce. Co ona tam biedaczka z Ewą robi w Kownie? Bardzo mi jej los na sercu leży. Sądzę, że się zdecydują na klinikę dra Lewitana i na operowanie przez niego.

1 lipca, rok 1936, środa

O Maryńce wiadomości są złe, niestety. Otrzymałem pocztówkę od Ewy. Pisze, że dr Lewiatan nie podjął się operowania Maryńki i że nikt w Kownie operacji tej robić nie chce. Ewa jest smutna i zbiedzona. Powiada, że się dziwi, iż myśmy jej nie uprzedzili, że stan jest tak groźny, i żeśmy wobec niej bagatelizowali sytuację. Nie rozumiem, co to jest. Wszak chyba nic nowego nie zaszło i powtórnie Maryni nie badano. Prawda, że dr Gudowicz mówił już wtedy, że operacja jest bardzo niebezpieczna, ale to chodziło raczej o proces operacji i jego konsekwencje, nie zaś o samą chorobę Maryni i o rodzaj operacji. Mówiono przecie, że raka stanowczo nie ma i nie ma żadnych poszlak dla stwierdzenia sarkomy, jeno są nowotwory niezłośliwe – „kista" i „miama". Sam Lewiatan w liście do Gudowicza po zbadaniu Maryni pisał o konieczności operacji, nic nie wspominając o tym, żeby się jej nie podjął. Tylko co do Mažylisa, to Gudowicz już wtedy mówił, że bardzo wątpi, aby Mažylis

przyjął Marynię do swojej kliniki prywatnej. Ewa pisze, że Lewiatan mówi, iż nikt z chirurgów czy ginekologów kowieńskich nie zechce się operacji podjąć, bojąc się kompromitacji dla swej renomy. Ewa miała wobec tego telefonować do dr Nosena, Żyda berlińskiego, zainstalowanego w Poniewieżu, zapytując go o operację. Ale co będzie, jeżeli Nosen także odmówi albo zechce obejrzeć i po obejrzeniu nie podejmie się. Tymczasem biedna Maryńka ciągana od Annasza do Kajfasza. Ewa stropiona, nie wie, co robić, a przed Maryńką musi ukrywać. Dra Gudowicza nazywa Ewa bardzo poczciwym i z nim się radzi. Lewiatan powiedział, żeby Ewa wiozła Maryńkę do Warszawy, ale, jak powiada Ewa, dr Gudowicz słusznie na to mówi, że umierać można i na miejscu – nie opłaca się wozić i męczyć chorą. Ewa rozważa możliwość powrotu Maryńki do Bohdaniszek bez operacji, jeżeli dr Nosen w Poniewieżu nie zechce operować. Wrócić i czekać na powrót Gusiewa z wakacji letnich. Ale po pierwsze nie ma gwarancji, że Gusiew operacji się wtedy podejmie, bo Gusiew Maryni nie oglądał wcale i wyrażał zgodę na operację tylko w rozmowie z Elizką, a po wtóre, po miesiącu czy półtora miesiąca stan się jeszcze pogorszy, bo zwłoka sama przez się jest niebezpieczna. Operację robić trzeba koniecznie jak najprędzej, a jak mówi ze słów Gudowicza Ewa – lepiej umrzeć od razu pod nożem, niż konać powoli miesiącami w coraz cięższych cierpieniach. Jutro Ewa przyrzeka drugą kartkę napisać. Biedna Ewa, ale biedaczka też Maryńka kochana. Czyżby to już był początek fatalny końca. A tak jest żywotna, tak kocha jeszcze życie i ludzi, i mleczarnię swoją. Biedna kochana Maryńka. Żyje oto jeszcze, a kto wie, czy ten włosek, na którym jej życie zawisło, da się jeszcze utrzymać.

Oto Stefan Mieczkowski – niech by ten raczej umarł. Neurastenik, histeryk, cham. Człowiek bez wartości społecznej i osobistej. Nic nie kocha, nie wiedzieć, dla kogo żyje, zły, obłudny, sam zresztą nieszczęśliwy także, bo nie umiejący wyciągnąć z życia żadnego piękna. Męczy siebie i męczy innych. Nikt go nie kocha i dla nikogo nie jest dobry. Oto przed paru dniami padał już do nóg Elwiry i upokarzał się, a dziś znowu łaje: „Pocałuj mię w dupę!”. Cham i łotr bezwstydny. Nie tylko napaskudził, ale jeszcze gryzie i grubiani. Cham i tyle. Ale już napisałem do Kowna do Aleknowicza, aby mu cofnęli prawo pobytu w Litwie. Pozbędzie się go Elwira i pozbędą Bohdaniszki. Takie to śmiecie koroniarskie „cywilizuje” swoim chamstwem Litwę.

2 lipca, rok 1936, czwartek

Wieczorem otrzymałem z poczty drugą pocztówkę z Kowna – od Ewy i Maryni. Ponieważ Marynia się dopisała na pocztówce, więc Ewa nie mogła napisać nic poufnego poza tym, co mogło być Maryni pokazane. Co dały pertraktacje z Poniewieżem z dr Nosenem i czy takie pertraktacje były, jak to zamierzała robić Ewa – nic nie wiemy. W każdym jednak razie decyzja już jest. Operacji podjął się prof. dr Mažylis, uproszony przez zacnego dr Gudowicza. Ale nie w klinice prywatnej Mažylisa, jeno w klinice Czerwonego Krzyża w II klasie, ale Marynia będzie sama jedna w pokoju. Kładzie się Maryńka do kliniki już dziś, operacja zaś będzie wykonana pozajutro, w sobotę, Maryńka będzie uśpiona eterem. List Maryńki jest zrezygnowany, poddający się pogodnie woli Boskiej. Ewa pisze, że prof. dr Mažylis zrobił na nią dobre wrażenie, dziwi się, dlaczego wydał się Maryńce niesympatyczny, gdy ją badał po raz pierwszy. Maryńka sporządziła już testament i zapewne dwóch świadków (dr Gudowicza i p. Mašiotasowej?) podpisy już zebrała, bo przysyła testament dla trzeciego podpisu Jadzi.

Rad jestem, że Maryńka już zalokowana, ale strasznie pomyśleć o operacji sobotniej. Prawdziwie – na dwoje babka wróżyła. Ale może los będzie łaskawy. Panie Boże – strach pomyśleć, że za parę dni może przyjść fatalna wiadomość. Nie, nie, myśl i uczucia buntują się przeciwko możliwości śmierci Maryńki. Będzie żyła i operacja się uda. Chwała Bogu, że to jeszcze nie dziś i nie jutro. Ma się przynajmniej uczucie pewności, że oto teraz Maryńka żyje i że nic nieodwołalnym jeszcze się nie stało. Pojutrze będzie niepokój, strach, obawa przed depeszą.

U mnie już się rozpoczęły remonty. Sinica z robotnikiem w ciągu dnia wczorajszego i dzisiejszego rozebrał już stary ganek drewniany u domu mego i postawił rusztowanie. Stawianie nowego betonowego rozpocznie się chyba w poniedziałek, bo nie ma jeszcze formy na słupy i kowal

jeszcze sztab żelaznych nie zagiął. Tymczasem Sinica stawiać będzie piec, raczej kuchnię w jednej izbie parobczanej, mianowicie w tej, którą zamieszkuje Siesicki z rodziną.

3 lipca, rok 1936, piątek

Był list od Maryńki, pisany do Jadzi i wysłany razem z testamentem. Co do testamentu, na którym są podpisy dwóch pierwszych świadków – Julka Komorowskiego i p. Mašiotasowej (trzecim świadkiem będzie Jadzia), to jest on wadliwie napisany pod tym względem, że jest on pisany na dwóch osobnych ćwiartkach papieru i podpisana jest tylko druga ćwiartka, stanowiąca dalszy ciąg pierwszej, podczas gdy pierwsza, luźna, nie jest połączona z drugą żadnym zastrzeżeniem i podpisem. Ale mniejsza o to. Testament jest taki, że i bez formalności spadkobiercy go uszanują. Da Bóg – będzie niepotrzebny jeszcze. Nie będę go na razie naprawiać, żeby nie męczyć i nie niepokoić Maryńki w toku jej rekonwalescencji.

Z listu Maryńki dowiadujemy się, że dr Mažylis oglądał ją powtórnie i gderał, że nie poddała się operacji od razu po pierwszym badaniu. Naturalnie, list Maryńki nie jest miarodajny, bo przed nią ukrywają prawdę i sama ona przeto nic nie wie. Operacja odbędzie się jutro.

U mnie rozpoczęto malowanie. Dziś Bieliunas pomalował gołębnik czerwoną farbą szwedzką. Bardzo ładnie wygląda.

Upał był przez cały dzień niezmiernie duszny. Można było przewidzieć burzę na wieczór, choć niebo było pogodne. Jakoż koło godziny szóstej nadciągnęła z zachodu czarna głęboka chmura przerażającej barwy i kształtów, która zaciągnęła ogromną część horyzontu. Ciemno się zrobiło i ukazały się błyskawice. Zaczął padać deszcz, potem nagle zawiał wicher dziki i lunęły tak gęste strugi wody w świszczącej wichurze, że chyba to było oberwanie się chmury. Woda zasnuła cały widok jak w najgęstszą mgłę, przez wszystkie okna naciekło wody do domu, drzwi pootwierały się z hałasem i takim ciągiem, że nie lada siły męskiej trzeba było do ich zamknięcia, w sioneczkach przy jadalnym burza wyrwała okno z ramami i rzuciła je na most betonowy do kuchni. Dużo oderwał gałęzi z drzew owocowych, a w okolicy – w szczególności w Janówce – burza zerwała kilka strzech słomianych i potłukła zboże.

4 lipca, rok 1936, sobota

Dzień operacji Maryńki w Kownie. Elwira, ja, Marysia Stefanowa, Jadzia – z niepokojem czekaliśmy, czy się nie pokaże z Abel z poczty posłaniec z depeszą, zawierającą fatalną wiadomość. Ale dzień płynął spokojnie. U mnie w domu wszyscy byli zajęci malowaniem. Kazimierz z Jadzią malowali ściany w pokoju jadalnym, Bieliunas, Renia – gołębnik, budę Saimy, studnię, okna, drzwi. Sprowadzono też od stolarza w Bohdaniszkach formę na wylanie kolumny betonowej do balkonu, odwieziono niektóre meble do tegoż stolarza itp.

Nie wiedzieliśmy, o której godzinie miała się odbyć operacja. Domyślaliśmy się, że rano. Im dłużej nie przychodziła wieść żadna, tym bardziej nabieraliśmy otuchy. Jednak cały dzień żyliśmy z poczuciem ciężkim tajemnicy, która lada chwila spadnie na nas wieścią może straszną, może uspakajającą. Wiedzieliśmy, że het gdzieś, poza sferą dosięgalności naszej, stała się z Maryńką rzecz ciężka i groźna – operacja, która już jest faktem dokonanym, nie dającym się cofnąć, nam niewiadomym, kryjącym w sobie wszelkie możliwości. Przed wieczorem wszakże nadeszła wieść pierwsza. Siedzieliśmy na poręczy mostka u dziedzińca mego domu. Zajechała jakaś furmanka pod gumno. Z domu wybiegła Jadźka, zapytując, czy to nie Elizka Komorowska przyjechała, bo koń jest z Kowaliszek. Przeczuciem tknięty poszedłem na spotkanie posłańca z Kowaliszek, który mi niósł list w ręku. Był to list od Hektora. Wieść jest fatalna, choć nie jest to wieść o śmierci. Hektor pisze, że Elizka rozmawiała przez telefon z dr Gudowiczem w przedmiocie operacji Maryńki. Dowiedziała się, że po otwarciu brzucha Maryńki stwierdzono, że nowotwór jest tak wielki i rozgałęziony, że o wycięciu nie może już być mowy. Wobec tego nic nie zrobiono i zaszyto brzuch. Rozmowie telefonicznej przeszkadzały pioruny, które głuszyły głos. W każdym razie na zapytanie Elizki, czy stan Maryni grozi jej życiu, dr Gudowicz odpowiedział: „Naturalnie, że tak”. W kwadrans potem

Elizka pośpieszyła na autobus i pojechała do Kowna. Ta jest amatorka – nie daruje śmierci, musi być tam, gdzie śmierć czuje, choć to z dobrego serca robi. Nie wiem, czy wyjazd Elizki jest dobry. Marynia się jej lęka. Samo ukazanie się Elizki Marynię zaniepokoi i tknie złym przeczuciem. Może Ewa jej do Maryni nie dopuści. Ale co można wiedzieć – może lepiej, że Elizka tam będzie, a może tylko rzecz skomplikuje. Hektor pisze, że ma wrażenie, iż lada chwila może być katastrofa. Radzi mi poczynić przygotowania. Ale jakie przygotowania i do czego? Póki chora żyje – trudno coś przygotować do pogrzebu. Dopóki żyje – jest nadzieja. Ewa pieniądze ma, bo ma moje czeki. Moja obecność tam na nic by się nie przydała teraz. Kto wie, może lepiej, żeby Maryńka umarła teraz, niżby się miała męczyć i konać długo powoli. Ale bolesne jest to, że operacja była i że była na próżno. Jest w tym jakieś poczucie upokorzenia biednej Maryńki, że oto zrobiono jej tę operację, zainscenizowano całą straszną akcję ratunku i nic, nie dokonano jej, bo biedne jej ciało schorowane odpowiedziało: „Pas, za późno, już po wszystkim. Chciałobym się ratować, ale już nie mogę; nie stać mię na ten wasz ratunek".

W każdym razie, ukrywamy to z Elwirą wobec ludzi i nawet wobec rodziny, że operacji nie zrobiono, choć brzuch otwarto. Wiadomość ta bowiem mogłaby dojść do Maryńki, która zapewne myśli, że operacji dokonano.

5 lipca, rok 1936, niedziela

Z poczty przyszły listy z Kowna, dotyczące niedoszłej operacji Maryńki. Jeden list dłuższy od Ewy, coś w rodzaju dziennika, pisany przez trzy dni dzień po dniu – 2, 3 i wreszcie 4 lipca, pocztówka Ewy z dnia wczorajszego i list dr Gudowicza. Przez pierwsze dwa dni nadzieja Ewy rosła. Przede wszystkim, nazajutrz po przyjeździe do Kowna Ewa się strasznie nabiegała, namęczyła i nerwowała. Dr Lewiatan, do którego się wpierw wprost od Gudowicza zwróciła, nagadał jej okropnych rzeczy, nastraszył, odmówił przyjęcia do swej kliniki i operowania. Na Ewie sprawił najgorsze wrażenie, klnie go ona i ze wstrętem wspomina. Wracała od Lewiatana łykając łzy, przerażona i przejęta. Telefonowała tego dnia dwukrotnie do dr Nosena w Poniewieżu, ale jaki był skutek tych rozmów – nie pisze. Była i u Gusiewa, wreszcie za poradą Gudowicza zwróciła się do Mažylisa. Gudowicz dał jej do prof. Mažylisa list. Idąc do Mažylisa, była zdecydowana błagać go choć na klęczkach, aby zgodził się na operowanie. Latała sama, Maryńce dawała truskawki w domu, woziła ją na obiad do Pienocentrasu, odprowadzała do kina. Przed Maryńką kłopoty swoje i strachy ukrywała. Mažylis od razu się zgodził na operowanie i wydał się Ewie miły i delikatny. Gudowicz nie chciał, żeby tak poważna operacja się odbyła w klinice prywatnej Mažylisa, zażądał kliniki Czerwonego Krzyża, gdzie sala operacyjna jest zasobna i świeżo wykończona, odpowiadająca wszelkim wymaganiom techniki. Maryńka zalokowana została w klinice w piątek czy czwartek. Ma osobny ładny pokój z widokiem na ogród; pielęgniarki ze strony, rekomendowanej przez Elizkę, prof. Mažylis nie przyjął, dał pielęgniarkę z kliniki. Ewa ma stały dostęp do Maryńki. W piątek był u Maryńki ksiądz, który ją wyspowiadał; robiono przygotowania, brano próbki krwi, wzmacniano serce. Pożywienie i opiekę ma Maryńka dobre. W sobotę rano przed operacją Maryńka miała lekką gorączkę, zapewne z poruszenia. Z wieczora w piątek odwiedził Maryńkę dr Gudowicz, zabawił u niej półtorej godziny na pogawędce. Ewa – zapewne i Maryńka – są serdecznie wdzięczne dr Gudowiczowi, który okazuje bardzo dużo serca, przyjaźni i ludzkości. Operację zaczęto w sobotę po godzinie dziesiątej; o godzinie jedenastej operacja była skończona. Właściwie do operacji nie doszło, bo po rozcięciu brzucha stwierdzono, niestety, że jest rak, który się już szeroko rozrósł po całej błonie brzusznej i okolicy. Wszelkie wycinanie raka byłoby już daremne. Operacja jest spóźniona i niewykonalna. Gdyby ją robiono pół roku do roku wcześniej, byłaby jeszcze możliwa, a chociaż rak dałby niewątpliwie recydywę, to jednak można by przedłużyć życie o lat kilka. Po stwierdzeniu raka w tym stadium rozwoju wypuszczono tylko nieco wody i zaszyto brzuch rozcięty. Nic innego do zrobienia nie było. Maryńka była uśpiona. Ale po obudzeniu Maryńka twierdziła, że czuła, jak jej wycinano nowotwór i ogromny ciężar odebrano. Może to czuła wypuszczanie wody, a może to była autosugestia. Naturalnie, że biednej Maryńce nic się nie mówi o raku i że się ją utrzymuje w

przekonaniu, że operacja była dokonana i nowotwór wycięty. Jak mi pisze bardzo serdecznie dr Gudowicz, który wyraża się o Maryńce z wielkim uznaniem, podnosząc jej męstwo, pogodę i słodycz (mówi, że cała klinika jest przejęta jej nieszczęściem i podziwia jej charakter), Maryńce będzie pokazany nowotwór zakonserwowany ze zbiorów muzealnych kliniki, niby to u niej wycięty, bo przed operacją prosiła, aby go jej po wycięciu pokazano. Maryńka po operacji jest słaba i ma bóle, ale rada, że to się już odbyło i że żyje. Zrobiono jej jakiś zastrzyk na uśmierzenie bólu. Maryńka ma więc raka. Jest to, niestety, fakt. Zawsze się tego bała i była przekonana, że dostanie albo już ma tę chorobę. Dr Gudowicz daje jej życia tylko na dwa do trzech miesięcy. Zadaniem lekarza – pisze dr Gudowicz – będzie teraz już tylko łagodzić bóle, które niechybnie nastąpią. O leczeniu i ratowaniu życia nie ma już mowy. Biedna kochana moja siostrzyczka. Skazana jest na śmierć rychłą. Straszne to. Spłakałem się, czytając. Ale dzięki Bogu, że jeszcze wróci do swoich Bohdaniszek, które tak kocha i tu u siebie życie skończy w tym domku, którym się tak krótko cieszyła. Spodziewają się, że będzie mogła wrócić już koło 14 lipca. Ewa zastanawia się nad tym, aby przedłużyć swój pobyt w Litwie przy matce do września. Radzi się mnie w tej kwestii. Uważam, że należałoby się to zrobić, jeżeli tylko może.

6 lipca, rok 1936, poniedziałek

Listu z Kowna dziś nie było. Nic nowego o stanie Maryni nie wiemy. Ale nic ciekawego w ogóle dowiedzieć się nie spodziewamy. Chodzi tylko o to, żeby się prędzej rana zaszytego brzuchu zagoiła, żeby Maryńka wrócić mogła. Ale ten powrót – to już tylko krótka droga do śmierci. Bolesny to będzie powrót, zwłaszcza dla nas, bo dla niej może będzie podmiotowo radosny, jeżeli nie wie, co u niej stwierdzono i jeżeli sądzi, że operacja dokonana i że jest rekonwalescentką. Pociechą jest tylko to, że będzie u siebie w swoich Bohdaniszkach, a drugą też pociechą byłoby prolongowanie pobytu Ewy, jeżeli Ewa się na to zdecyduje.

Dla mnie jedną z przykrzejszych rzeczy w tym dramacie śmiertelnym mojej biednej siostry jest ten moment psychologiczny, że jest ona tak okrutnie przez los oszukana: poddała się operacji i cieszy się, że oto operację przetrwała, wyżyła; zniosła cierpienie nie lada, którego się bała, zniosła z pokorą, z zaufaniem, mężnie, zdobyła się na bohaterstwo, ile ją stać; wydała ze siebie całą swoją tężyznę psychiczną woli, hartu, zasobów pogody i cierpliwości; dumna jest z tego i rada, że oto zniosła i wytrwała, że zwyciężyła chorobę i niebezpieczeństwo; zdała *sui generis* egzamin publiczny. I nie wie, że całe jej bohaterstwo na nic, że ofiara jest nie przyjęta, że zwyciężona jest ona sama i na śmierć już skazana, że całe jej biedne ciało i jej skarby psychiczne, które wypromieniowała, są próżne i nieskuteczne jak pusty dźwięk; to, co podmiotowo było wielkie, przedmiotowo jest niczym. Ten moment psychologiczny jest może największą biednej chorej krzywdą. Jakie straszne jest życie. I jak jest niesprawiedliwe w kategoriach moralnych karła ludzkiego, wielkiego duchem, ale znikomego w kosmosie natury.

U mnie – remonty w pełnym toku. Ściany i podłogi się malują, gmach rozebrany, kowal piłuje i chyli sztaby żelazne do betonu, Sinica wymurował już piec w izbie chaty parobczanej, w której mieszka rodzina Siesickiego, zabrał się już do budowy drugiego mostu na drodze wjazdowej, ściany pokoju jadalnego przemalowane, będą się malować jeszcze podłogi niektóre, drzwi, ściany korytarza i przedpokoju, będą się robiły okiennice dla dr Gudowicza, obijały meble, Markow przyjdzie na roboty ciesielskie i stolarskie. Słono mię to kosztować będzie.

Spodziewam się, że dr Gudowicz na wakacje jednak przyjedzie, choć jeszcze robi ceregiele, dziękuje, obawia się, że nam zakłóci spokój w bolesnym nastroju rodzinnym z powodu Maryńki. Napisałem do niego, aby przyjeżdżał koniecznie. Chcę jego przyjazdu. Bardzo go lubię i mam dla niego prawdziwe uczucie przyjaźni.

Zapowiada też swój przyjazd Ejdukiewicz. Ten jest mniej przyjemny. Ale biedny. Tylko że ten napisał, abym mu przysłał 50 litów na drogę i na farby. Nie mogę tego zrobić. Kosztuje mię leczenie Maryńki i remont. I przecie nie on mi robi łaskę przez swój przyjazd, ale chyba ja jemu. Ale róbże takiemu łaskę! I łaskę mu robisz, i jeszcze ci pieniędzy wymaga. Wiem, że jest biedny i w nędzy, ale

niechże zna miarę i nie naciąga do ostatka tego, który dlań jest dobry. Niech się innych naciągać nauczy, a nie wali wszystko na jednego.

7 lipca, rok 1936, wtorek

Wczoraj poczty nie mieliśmy. Dziś posłałem do Abel na pocztę Janka Bieliuniuka. Przyniósł całą paczkę listów. Wśród nich były dwie pocztówki od Ewy do mnie z biuletynami o stanie Maryńki, jedna pocztówka od Ewy do Marysi Stefanowej i list dr Gudowicza także ze szczegółami o Maryńce. Ewa źle robi, że pisuje swoje doniesienia na pocztówkach otwartych. Jeżeli chodzi o to, aby wieść o stwierdzeniu raka i o tym, że Maryni operacji nie robiono i po otwarciu brzucha znów go po prostu zaszyto, nie rozeszła się i potem przez czyjąś niedyskrecję nie została zakomunikowana Maryńce, gdy ona tu wróci, to trzeba o tym pisać tylko w listach zamkniętych. Oto już dowiadujemy się, że pocztówki Ewy miał w ręku Paweł Koziełł, a ten jest plotkarzem zawołanym.

Ewa jest bardzo wymęczona. Rada jest, że Elizka przyjechała, bo przynajmniej ma zmianę w czuwaniu nocnym i dziennym przy chorej. Stan Maryńki jest ciężki, nie tylko ze względu na raka, ale także ze względu na ranę od przecięcia brzucha. Serce jest słabe, podtrzymuje się je zastrzykami. Maryńka miewa duszności, wewnątrz ją pali, gdy tymczasem kończyny są chłodne. Zaczyna też domyślać się, ze nic jej nie wycięto, bo wymacała, że objętość brzucha się nie zmniejszyła. Dr Gudowicz jej wmawia, że to od guzów po operacji. Dr Gudowicz z prof. Mažylisem odbyli naradę co do dalszego traktowania Maryni. Robią nadzieję, że o ile tylko rak nie rozszedł się na wątrobę, będzie można przedłużyć jej życie do roku. Koło 12 lipca spodziewają się, że rana się zagoi i że można będzie wyjąć szwy. Koło 16 lipca mają ją rentgenizować, wypalając raka promieniami Rontgena, co powstrzymuje jego rozrastanie się szybkie. Rentgenizowanie trzeba będzie powtarzać i potem. Co pewien czas trzeba też będzie wypompowywać wodę z brzucha. Ale umrze Maryńka z wycieńczenia – jest to konsekwencja nieodwołalna raka. To straszne. Lekarze spodziewają się jednak, że można będzie uczynić chorobę niebolesną. Dałby to Bóg!

Dr Gudowicz wreszcie wyraźnie zapowiada swój przyjazd do mnie na wakacje. Przyjedzie 15 lipca, o ile nic nadzwyczajnego nie przeszkodzi.

Dr Gudowicz namówił i Elizkę, aby się dała zbadać prof. Mažylisowi jako ginekologowi, bo lepiej jest zawczasu się strzec, niż chwytać się radykalnych środków za późno.

8 lipca, rok 1936, środa

Nie było poczty, bo nie było okazji do Abel.

W domu praca remontowa kipi. Dziś wszakże była inna atrakcja we dworze – Cyganie. W ubiegłym tygodniu w Gaju stanęła niewielka grupa Cyganów. Były dwa wozy, dwa rozpięte namioty, jeden pies. Była tam znajoma stara gruba Cyganka Tumarewiczowa, pełna temperamentu i doskonale odgrywająca dobroduszną i do kości poczciwą, świetna aktorka, z mężem starym brodatym siwym Cyganem; są to Cyganie miejscowi z Rakiszczyzny. Z nimi przyjechało jeszcze jedno małżeństwo Cyganów, młodsze, złożone z Cygana lat koło 35 – z Dyneburga i żony jego, podobno, jeżeli wierzyć Tumarewiczowej, jej córki, z trojgiem małych dzieci, z których dwoje należą do Cyganów z Dyneburga, a trzeci – pono sierota, wnuk starej. Poza tym był jeszcze Cygan niemy, bardzo ruchliwy, ale ponury – podobno żona go zdradziła i uciekła z drugim. Nazywało się, że Cyganie nawet konia nie mają i że wozy dowiozły im jakieś pożyczone konie. Nazajutrz znalazł się zresztą koń, pono kupiony. Przyjąłem Cyganów dobrze, dałem starej 10 litów ku zgorszeniu Jadzi i służby, dawano im mleka, kartofli, słoniny, stara wycyganiła trochę starego ubrania od Kazimierza i ekonoma. We dwa czy trzy dni znalazły się już dwa konie, a wraz z nimi i szkoda. Potem znalazło się jeszcze kilku Cyganów, wśród nich znana Cyganka Hela z Kowna, tancerka, która przed kilku laty występowała w kabarecie „Wersalu“ w Kownie i miała powodzenie. Teraz już postarzała trochę, ma lat koło 30, ale linie zachowała ładne i jest zalotna, ma zresztą męża czy kochanka Cygana. Kazałem ekonomowi ich wyprosić, bo dokuczali i szybko się mnożyli. Odjechali w niedzielę. Pociągnęli do Rakiszek na targ poniedziałkowy. Mieli stanąć w lesie zwanym szyłańskich przy gościńcu. Atoli w poniedziałek

znowu w Gaju się znaleźli Cyganie. Rano we wtorek już siedziały u mnie na moście dwie Cyganki: jedna – starsza, lat koło 45, i druga młodziutka, lat koło 18-20, subtelna, wyrazista, ładna, Cyganka Jabłońska, z bogatych Cyganów poniewieskich, których rodzina ma tam 20 ha ziemi w obrębie wcielonym do miasta. Starsza okazała się rodowitą Litwinką, Eigminówną z Borówki pod Pokrewniem, siostrą przyrodnią czy rodzoną Weruti Eigminówny, która przed trzema laty służyła u mnie za służącą, była piękna i zgrabna bardzo i wielka kokietka, potem służyła w Rakiszkach, miała tam dziecko nieślubne, które powiła tajemnie i zamordowała zaraz, ale dzieciobójstwo wykryto, oddano ją pod sąd, ale ojciec dziecka się z nią ożenił i teraz mieszkają w Borówce u starego Eigmina. Siostra Weruti starsza, która wyszła przed laty za mąż za Cygana, scyganiała zupełnie. Sama ma cerę dość śniadą, opalona, dzieci ma ładne i zupełnie cygańskie, mówi po cygańsku jak Cyganka, a i w innych językach ma akcent i sposób wyrażania się cygański, że odróżnić jej od rodowitych Cyganek nie można, wróży doskonale, cygani w najlepsze, jeździ i koczuje z Cyganami, żebrze i wyłudza. Cyganki te przyszły prosić, żeby pozwolić stanąć w Gaju taborowi cygańskiemu, złożonemu z czterech wozów – czterech namiotów – do niedzieli. Mówiły, że są to Cyganie bogaci i „honorowi", którzy szkód robić nie będą, do dworu przychodzić żebrać i wyłudzać nie będą wcale, że mają patefon, skrzypce, że pośpiewają i potańczą, a w niedzielę chcą odświęcić wesele tej młodej Cyganki. Konie będą przywiązywać tam, gdzie ekonom wskaże. Co do Tumarewiczów rakiskich (gruba Cyganka z rodziną), którzy byli poprzednio i odjechali, oświadczyły, że nic o nich nie wiedzą, ich nie spotkali i ich nie ma. Młoda prosiła i mizdrzyła się z takim wdziękiem zmysłowym, że nie mogłem odmówić. Gdym potem poszedł do Cyganów do Gaju – okazało się, że dużo nakłamały. Koni pasło się cztery, a trzy stały nawiązane do wozów; wozów i bryczek było dużo więcej, niż cztery, namiotów pełno, a Cyganów – bez liku: i starzy, i młodzi, i w średnim wieku, i podrostki, i dzieci większe i mniejsze, najwięcej chłopców, młodych dziewczyn bardzo mało. Ogółem z pewnością nie mniej niż 50 Cyganów, a zapewne więcej. Naturalnie, że znalazła się też stara gruba Tumarewiczowa i cała jej rodzina z ubiegłego tygodnia. Prawdziwy wielki tabor cygański. Rozlokowali się w Gaju na stronie karwieliskiej za gościńcem, gdzie las jest czysty bez podszycia. Dużo ognisk i czego tam nie ma: kilka psów nawiązanych, gołębie oswojone, kury, kurczęta, nawet kaczęta. Jest patefon, są skrzypce. Dziś cała partia młodych Cyganiąt pracowała u mnie przy zwózce koniczyny. Napiszę o tym jutro.

9 lipca, rok 1936, czwartek

I Jadzia, i ja śniliśmy złe sny, które nas zaniepokoiły o Marynię. Jadzia śniła, że drogą od Maryni domu (dawnego spichrza) w dół koło sadzawki w kierunku jej parobczanej chaty i mojego dworu szła Marynia boso i w szlafroku bardzo prędko, podpierając się laską, a za nią wieziono wóz świeżych białych desek. Paskudny sen na śmierć. Odchodzi z domu, śpiesząc i boso, deski – trumna. Ja znów śniłem, że mi wypadł górny ząb – kieł górny lewy. Wypadanie i wyrywanie zębów we śnie – śmierć w rodzinie; boczne zęby – dalsi krewni, przednie zęby – rodzina i dzieci; kły – może rodzeństwo? To prawda, że sen – mara, ale wrażenie złe.

Dzięki Bogu jednak – żadna dziś katastrofa nie zaszła. Z poczty przyszedł list od Ewy, biuletyn kolejny. Nie jest najlepszy. Ewa pisze, że Mažylis traktuje perspektywy stanu zdrowia Maryni pesymistyczniej od Gudowicza. Wątpi, aby się udało dalszy przebieg raka uczynić bezbolesnym. Maryni stan wciąż jeszcze jest ciężki, skarżyła się na dotkliwe bóle w krzyżu od leżenia na wznak, Mažylis powiada, że w okolicy krzyża są nowotwory raka. Wczoraj czy pozawczoraj dano Maryni po raz pierwszy po operacji rosół z kury. Jest osłabiona brakiem pokarmu po operacji. Elizka Komorowska już odjechała i wzywa mnie i Elwirę, abyśmy jutro przyjechali do niej do Kowaliszek po relacje ustne. Pojedziemy. Nasłuchamy się z pewnością wieści tragicznych.

Tymczasem u nas pogoda, upał. Tylko rano i wieczorem znośniej. We dnie od gorąca słabo. Sianokos się kończy. Koniczyna już cała wczoraj zwieziona. Łąki kosić skończono, dziś na ostatnich pokoszonych łąkach przewracano i suszono siano. Parobcy wozili żwir do budowy balkonu; żwiru tam trzeba wyborowego, toteż wożono go aż z Borówki. Sinica z kowalem Błażewiczem zajęci byli

ustawianiem i mocowaniem sztab żelaznych na szkielet górnej platformy balkonu. Jadamy teraz z Jadzią na dworze nad sadzaweczką przed domem w cieniu jesionów na mebelkach plecionych. W pokoju jadalnym schnie podłoga, świeżo pomalowana na kolor zielony, wpadający nieco w matowo-seledynowy odcień wody jezior szwajcarskich.

Lato już w rozwoju płodności. Żyto bardzo bieleje, na drzewach owocowych coraz bardziej się zarysowują jabłka. Wiosna już się przesiliła na lato. Wczoraj czy pozawczoraj jeszcze raz rano – zapewne już po raz ostatni w tym roku – słyszałem kukułkę.

10 lipca, rok 1936, piątek

Pojechaliśmy z Elwirą moimi końmi do Kowaliszek. Zastaliśmy tam wiadomości o Maryńce jeszcze świeższe od tych, co przywiozła pozawczoraj Elizka. Mianowicie wczoraj wrócił z Kowna Julek; i sam widział Maryńkę już po wyjeździe Elizki, i list od Ewy przywiózł. W ostatnich dwóch dniach Maryńka czuła się lepiej. Rentgenizowano ją już. Rentgenizowanie trwało 45 minut, Marynia zniosła je bardzo dobrze, bólów nie miała, tylko zmęczyła się wskutek niewygodnej pozycji. Wbrew mojemu oczekiwaniu, relacja Elizki nie jest tak straszna. Na ogół zarysowuje się zwrot optymistyczny, przynajmniej bardziej optymistyczny, niż był na razie. Lekarze już mówią o ewentualności przedłużenia życia Maryńki nawet do 5 lat. Dużo zależeć będzie od tego, jak skutkować będzie rentgenizacja, którą powtarzać trzeba będzie ewentualnie co sześć miesięcy przez czas dłuższy. W niedzielę czy poniedziałek już mają być wybierane szwy z brzucha. Elizka Komorowska zachwycona jest dr-em Gudowiczem, nie ma słów dla jego serca i zacności. Wraz z Ewą twierdzą one, że to jest wielkie szczęście dla mnie mieć takiego człowieka za przyjaciela i lekarza domowego.

W Kowaliszkach przyjemnie nam zeszedł czas. Zjedliśmy obiad u Elizki, a na kawie byliśmy u Julków. Towarzyszył nam też Hektor, którego żona Oleńka wyjechała. Na ogół bawiliśmy krótko, bo choć z domu wyjechaliśmy wcześnie, jednak w Rakiszkach odwiedziliśmy Pejsacha Rucha, jedliśmy u niego rybę po żydowsku i do Kowaliszek przyjechaliśmy o jedenastej, a już przed czwartą odjechaliśmy. Żeby uniknąć kurzu i gorąca, w Rakiszkach nająłem automobil, którym też odjechaliśmy do Bohdaniszek z Elwirą. Nasz powrót automobilem nastraszył trochę ludzi w Bohdaniszkach; myślano na razie, że coś się nam stało albo że coś jest złego z Marynią. Ludzie z okolicy, którzy widzieli konie wracające bez nas, pomyśleli, ze z Kowaliszek udałem się do Kowna, wobec czego rozeszła się pogłoska, że Marynia jest umierająca lub że już umarła.

Dziś – „siedmiu braci śpiących” podług nowego stylu. We dnie była pogoda, ale na wieczór zadżdżyło się bardzo.

11 lipca, rok 1936, sobota

Otrzymaliśmy z poczty pierwszą pocztówkę, napisaną własnoręcznie przez Maryńkę z kliniki. Maryńka jest dobrej myśli, czuje się nieźle. To samo potwierdza dr Gudowicz. I Julek Komorowski to samo mówił. Ale Julek i dr Gudowicz mówią o jej stanie przed rentgenizacją i dr Gudowicz pisze, że po rentgenizacji można się spodziewać chwilowego pogorszenia, podczas gdy list Maryńki jest pisany już po rentgenizacji, po której czuje się ona dobrze. Pisze, że spodziewa się wrócić do Bohdaniszek koło soboty 18 lipca i że bardzo tęskni do domu, choć kliniką jest zachwycona i z wielkim uznaniem pisze o dr Gudowiczu. Znaczna część listu Maryńki jest poświęcona przeróżnym drobnym zleceniom gospodarskim; każdy drobiazg ją interesuje, o wszystkim pamięta i troszczy się. To znak dobry. Nie straciła żywotności i energii. Im więcej jej ma – tym jest odporniejsza na chorobę. Zaczynam wierzyć, że rzeczywiście uda się ją uratować jeszcze na lat kilka. Oby tylko rentgenizacja była skuteczna i oby przebieg choroby w późniejszych fazach nie był bolesny.

Cyganie wciąż siedzą w Gaju. Dziś był u nich jakiś dzień kłótliwy. W taborze baby szczególnie się kłóciły i łajały tak, że harmider i krzyk szedł po całym lesie. A są to przecie ludzie krwi gorącej i temperamentu pierwotnego, toteż kłótnia jest u nich zajadła i burzliwa. Krzyczą i pomagają sobie gestami i podniecają się wzajemnie, choć w kłótni jedna drugiej nie słyszy, a tak się roznamiętniają i

tak się całe kłótnią i łajaniem przejmują i w nich streszczają, że na nic nie zważają i nie słyszą dokoła; zupełnie jak głuszce na toku. Dziki to jeszcze lud. W ciągu dnia kobiety się rozpełzają po okolicy, wróżą, żebrzą, wyłudzają i zawsze wracają do obozu obładowane. Niosą mleko, kartofle, botwinę, krupy, słoninę, czasem kurę i ptactwo jakie, szmaty. Gotują w ogniskach rodzinami. W namiotach i po całym obozowisku porozrzucane bebechy, poduszki, pierzyny, szmaty, garnki, sztućce, do drzewek przywiązane psy, u wozów przywiązane konie, włóczą się dzieci, kurczęta, jakieś małe kaczę nieszczęśliwe, tu harmonika, tam patefon. Mężczyźni starsi siedzą poważni, bez ruchu, zastygli. Ci nie wdają się w łudzenie i drobną spekulację. Ich fach – to cyganić na handlu koni. Ci jeżdżą na kiermasze i targi, ale po wsiach i zaściankach na drobne spekulacyjne cyganienie nie łażą, zostawiając to kobietom. Kilka jest chłopców dorosłych młodych, garstka podrostków, a dzieci co niemiara. Chłopcy dorośli, pełni ognia i życia, skorzy do pracy, ale tylko dorywczej, flirtują w okolicy z dziewczętami, jeżdżą konno lub chodzą z harmoniką, włóczą się, zalecają konia, ale nic nie wypraszają, nie żebrzą, zachowują się z godnością i nawet dystynkcją. Ładnie pracowali u mnie przez dzień cały przy zwózce koniczyny. W odrynie byli sami młodzi Cyganie, a paru pracowało w polu przy ładowaniu wozów. Odryna rozbrzmiewała pieśnią. Śpiewali i po litewsku, i po rosyjsku, i po polsku, i po cygańsku (coś z żargonu rumuńsko-węgiersko-tureckiego?). Jedli bardzo mało, w przerwie obiadowej zabawiali nas z Jadzią śpiewem. Wszystkie ich pieśni bez względu na język są jednakie – namiętne, tęskne, zawsze gorące i pełne kolorytu rzewnego. Jeden – piękny jak dziewczyna, wysoki i giętki jak wąż, w czerwonej koszuli, o oczach namiętnych i powłóczystym spojrzeniu – zalecał się do Onuti – to młody Jabłoński z Poniewieża z bogatej rodziny Cyganów, brat panny młodej, której wesele ma być niby obchodzone (może to tylko atrakcja?) i która ma piękny namiot w taborze, jak do rozkosznego łoża małżeńskiego przyrządzony. Choć to była niby tłoka cygańska, ale zapłatę wzięli jako gościniec bez umowy. Zapłatę sutą i w ogóle dużo mi Cyganie wyłudzają pieniędzy drobnymi datkami, na które łase są kobiety i dzieci. Nie mogę się prawie pokazać do taboru, bo mi zawsze wyłudzą pieniędzy, nie mówiąc już o papierosach. Jest parę młodych Cyganek, które ładnie tańczą, ale są dość niechlujne fizycznie i choć mają kolczyki bogate i chusty jaskrawe, to jednak śmierdzą mieszaniną potu i brudnych szmat. Dość lubię Cyganów, ale już bym się ich rad pozbyć z Gaju. Jeden młody Cygan ujeżdża mi pod siodło mojego młodego konia Nemunasa.

12 lipca, rok 1936, niedziela

Nie było dziś żadnych nowych wiadomości o Maryni. Ewa swoje biuletyny już nie co dzień pisuje. Była tylko pośrednio wieść przez list Stefana Römera. Ale Stefan sam jest „myszygines”, toteż list jego nie zawiera nic rzeczowego. Sam niedużo kapuje, jeno powtarza piąte przez dziesiąte, co posłyszał i co mu się wraziło w głowę, ale są to tylko mgławicowe nieścisłe echa, zresztą mocno już spóźnione, tych wiadomości, które Ewa podawała przed kilku dniami, a które już zastąpione zostały przez nowe i nieco inne. Stefana list jest nie tyle rzeczowy, ile powiedziałbym – teatralno-uczuciowy.

W szczególności Stefan obawia się, żeby rak u Maryni nie był zaraźliwy dla jego żony i córki. Tymczasem gdy sam był chory na syfilisa, nie leczył się i ukrywał chorobę, to wtedy się nie „lękał” o zarażenie żony i córki.

Dziś niedziela – wielki fest w Krewnach. Kto żyw – cała okolica – pośpieszył do kościoła. Po wszystkich drogach turkot furmanek. W taborze Cyganów w Gaju zaczął się ruch. Już widocznie objedli okolicę i mają dość siedzenia na miejscu, a wczoraj jeszcze się radykalnie pokłócili, przez cały dzień baby krzyczały i łajały się, wieczorem trochę się nawet pobili, zgiełkiem zapełnili las, co nie przeszkodziło im w nocy urządzić zabawę w lesie przy ogniskach z udziałem mnóstwa ciekawej młodzieży litewskiej z okolicy. Grano na skrzypcach, na patefonie, śpiewano, tańczono, a tuż obok Cyganki i starzy Cyganie się kłócili i łajali wściekle na głos. Rano dziś pociągnęły jedne furmanki cygańskie, naładowane pierzynami i namiotami (pościeli mają dużo i bardzo zasobnej), z czarnym Cyganem powożącym i psem biegnącym na przedzie, od Gaju przez dwór na Jużynty pod Ucianą,

gdzie Cyganie obozują w lesie wierżowkina, inne – gościńcem na Rakiszki na targ jutrzejszy, skąd mają ciągnąć na jakieś wielkie kiermasze pod Telsze: Tumarewicze ciągnęli na Ucianę, Jabłońscy – na Telsze. Młodzi Jabłońscy – piękny 20-letni Karol i jego stryjeczny brat, który ujeżdżał pod konno Nemunasa, kręcili się jednak do obiadu po dworze. Karol przeważnie siedział w kuchni i emablował Onutię, która mu bardzo wpadła w oko. Drugi za ujeżdżenie konia dostał od Jadzi 5 litów i dobre brzemię koniczyny. Potem w czasie obiadu przyszła jeszcze stara Jabłońska matka i młodszy synek, a następnie wszyscy się wynieśli się jak wymiotło ze dworu. Gdyśmy wieczorem poszli z Jadzią na przechadzkę i zaszli do Gaju na obozowisko cygańskie pod Karwieliszkami – nie było już ani jednego Cygana. Pustka i tylko śmietnisko wielkie. Trochę szkoda, że już nie zobaczy Cyganów Gudowicz, który przyjedzie do mnie na wakacje we środę, ale skądinąd już dobrze, że Cyganów nie ma. Zmęczyli już swoim wszędobylstwem, naciąganiem bez końca, „bajzlem”, który robili swoją obecnością i rozpełzaniem się po całej okolicy i po dworze. Znów wieczorem rozlegają się chóralne pieśni litewskie młodzieży „wakaruszników”, tak różne od cygańskich i tak doskonale dopasowane do krajobrazu litewskiego, swojskie i naturalne, stylowe u nas.

13 lipca, rok 1936, poniedziałek

Nie było żadnych wiadomości z poczty o Maryni. W ogóle dzień dość bezbarwny. Zamknąłem dziś drogę, idącą od ptasznika (na dawnym gumnisku dworskim) pod most betonowy koło domu mego i dalej aż pod sadzawkę kąpielową, gdzie się rozchodzą drogi na Eiczupis Jadzi i na Kumsze Danilewicza. Jest to odcinek dawnej wielkiej drogi dworskiej na Pokrewnie i Antonosz, która już przed laty dziesięciu została zlikwidowana przez skasowanie odcinka między Eiczupisem i Busiszkami. Odcinek, który kasuję obecnie, jest zbyteczny wobec tego, że ze dworu na drogę do Eiczupisu i do Kumsz można dojechać nową dróżką polową Maryni, idącą przez jej pole prawie równolegle do granicy mojej. Gdy jeszcze w roku przyszłym wyprowadzą nową drogę na gościniec pod Karwieliszkami wzdłuż mojej granicy z zaściankami bohdaniskimi, to skasuję także drogą gajową, która idzie przez stare gumnisko, koło trawnika mojego, przez mój ogród owocowy i brzegiem Gaju na Karwieliszki, a wtedy izoluję wreszcie mój dom i ogród od dróg publicznych.

14 lipca, rok 1936, wtorek

Rozpoczęto u mnie żniwa. U Mieczkowskich i u Maryni jeszcze nie zaczęto. W ogóle rozpocząłem jeden z pierwszych w okolicy. Właściwie nie tyle ja, ile ekonom, dla którego jest to kwestią ambicji. Ale że jest on dobrym gospodarzem, który się zna i ma doświadczenie w rolnictwie, więc ufam, że ziarno już jest dojrzałe. Zwyczajem gospodarskim, który zresztą w Bohdaniszkach za moich Rodziców nie był, zdaje się, stosowany, ale którego Jadzia przestrzegać lubi, rozpoczęcie żniw wymaga odpowiedniego ugoszczenia czeladzi. Nie tak ceremonialnego i świetnego wprawdzie, jak dożynki, ale bądź co bądź czyniącego zadość tradycji uczczenia tej najważniejszej i podstawowej czynności gospodarskiej – otwarcia żniw. Gospodarz z gospodynią i służbą domową wynosi osobiście robotnikom w pole wódkę i przekąskę z chlebem, łączącym stare żyto, zawarte w chlebie, z nowym, które się kosi na chleb. Na podwieczorek przeto ruszyliśmy z domu w pole do żniwa: ja szedłem z butelką wódki w ręku, towarzyszyła mi Jadzia, zaś Kazimierz z Adelą nieśli w koszach chleb, śledzie ze szczypiorkiem, szynkę nakrojoną, ogórki pokrojone w śmietanie i miód. Rozłożyliśmy obrus na łączce, wszyscy się pokładli dokoła, robotnicy i robotnice pili wódkę i jedli. Największym przysmakiem był miód.

Od Maryni nowin nie było. Jutro przyjeżdża już prof. dr Gudowicz.

15 lipca, rok 1936, środa

Pojechałem na godzin piątą po południu na spotkanie prof. dr Gudowicza na stację kolei żelaznej do Abel. Przyjechał z psem wyżłem Aitvarasem, dużą walizą książek i ubrania, skrzynką nabojów, fuzją i walizeczką. Stosownie do życzenia Gudowicza, przyjechałem po niego w karach. W domu Jadzia bardzo ładnie i wygodnie mu urządziła pokój rogowy w głębi korytarza, uchodzący u

nas za „salon” ze względu na meble, które w nim zwyczajnie stoją. Teraz Jadźka go przekształciła na pokój sypialny i gabinet, a razem także na wygodny mały salonik. Wszystko razem w jednej sztuce. Dr Gudowicz po obiedzie przeszedł się jeszcze ze mną trochę po Gaju. Pogawędziliśmy i na tym dziś skończyliśmy. O Maryńce mamy wiadomości, że nieźle się czuje, ze jest silniejsza, że już zaczyna wstawać i nawet chodzić po ogrodzie należącym do kliniki, że jest w dobrym humorze, ma ogromny apetyt i że już z piątku na sobotę wraca do Bohdaniszek, z czego się cieszy niezmiernie.

16 lipca, rok 1936, czwartek

Prof. dr Gudowicz jest wierny swojej zapowiedzi co do swego trybu wakacyjnego w Bohdaniszkach. Wstaje rano, jak my z Jadzią, koło godziny szóstej, z nami je śniadanie, następnie w pokoju swoim przy wszystkich oknach otwartych na ciągu, który wypłasza muchy, pracuje, obiad je z nami, po obiedzie zaś rusza na wyprawę myśliwską. Dziś udał się dopiero na zwiady. Przez te kilka dni zwiedzi trochę okolicę, zorientuje się w terenie myśliwskim, a dopiero w przyszłym tygodniu rozpocznie kampanię. Polowanie bowiem na kaczki rozpoczyna się po 20 lipca. Towarzyszyłem mu w tej wyprawie dzisiaj. Poszliśmy do Kumsz, wyszliśmy nad jezioro, które obeszliśmy dokoła. Psa ma doktor dobrego – karnego i wprawionego. W sitowiu na pograniczu bagnistym ziemi kumszańskiej i boniuskiej pies wypłoszył jedno stadko kaczek. Jest to zresztą jedyne miejsce gnieżdżenia się kaczek na jeziorze kumszańskim, którego poziom przez roboty melioracyjne (Gudowicz klnie te roboty) został obniżony znacznie i w innych miejscach większych sitowi i zarośli nie ma. Wywiad więc dał tutaj jedną pewną pozycję, którą Gudowicz potem zużytkuje. Widzieliśmy też dwa stadka nurków na jeziorze, ale te nie są jadalne i Gudowicz na nie nie poluje. Od jeziora poszliśmy do Bohdana w zaścianku nad jeziorem, myśliwego, znanego na okolicę. Z nim Gudowicz się umówił na wycieczkę myśliwską na niedzielę za dziesięć dni w okolice dolnego biegu Audry. Od Bohdana wzdłuż łożyska ruczaju Buczupis, niemal całkiem wyschłego, po suchych w tym roku suszy łąkach, udaliśmy się aż pod zaścianek Eičupis Jadzi, stamtąd do Busiszek nad jeziorko ażubalskie, gęsto porosłe trzciną po brzegach; tu Gudowicz terenu dobrze nie wystudiował. Sitowie i trzciny mogą być tutaj dla kaczek dogodne, ale na jeziorku tym jest ruch, który może szkodzić gnieżdżeniu się kaczek i ryba się tu łowi, a po brzegach są osady ludzkie i dzieci jaja z gniazd wybierać mogą. Wróciliśmy przez Karwieliszki i Gaj. Spory to był spacer. Wieczorem poszliśmy jeszcze nad stawek Dirżysa w Bohdaniszkach przy drodze do Prapultini. I tam jedną rodzinę kaczek stwierdziliśmy; młode kaczęta jeszcze nie latają. Tak więc oto dzień dzisiejszy dał Gudowiczowi dwie placówki dla przyszłego polowania. Jutro będziemy robili dalszy wywiad. Od lipca do połowy sierpnia – klasyczny czas kaczek. Na nie też wyłącznie Gudowicz będzie polował. Potem zabierze się do cietrzewi.

17 lipca, rok 1936, piątek

Dziś inną dla prof. Gudowicza wycieczkę wywiadowczą wymyśliłem. Mam w ogóle do wyboru kilka terenów myśliwskich do zbadania: a. jezioro mełduckie; b. jezioro rakiszeckie Audra z odcinkiem rzeki Audry u wyjścia z tegoż jeziora; c. jeziorko narkuńskie w bagnach pod rzeką Audrą; d. teren Skuiny i Starańc w dolnym biegu rzeki Audry; e. wybrzeże jeziora Sarty pod Łaszami i w okolicach ujścia rzeki Krewny; f. jeziora abelskie i antonoskie z rzeką Krewną u wsi Możejki; g. jezioro pod Kieleżerami. Ewentualnie byłyby i inne tereny, jak szczurska odnoga Sart, okolice rudelskie, Druczki za Abelami, okolice Tarnowa z jeziorem i rzeką Świętą itd. Na dziś zarezerwowałem głębokie i ciekawe jezioro po Mełduciami, charakterystycznie zwane „duobeżeris”, położone w głębokiej kotlinie o brzegach wysokich i niezmiernie stromych z wyspą pływającą na nim, i jezioro rakiszeckie z wypływającą zeń rzeką Audrą. Marszrutę wyznaczyłem na Łasze, stamtąd dróżkami między zaściankami Narkun i Dogil na folwark Jasiniewicza do Mełduć, dalej pod Rogiele i gościńcem rakiskim do mostu na rzece Audrze, dalej wycieczka piesza łąkami nadrzecznymi do jeziora rakiszeckiego i dokoła tego jeziora na gościniec pod Rakiszeczkami, skąd powrót do domu. Wybraliśmy się w żółtej bryce parą koni, powożonych przez Jadźkę na kozłach.

Tymczasem na obiad przyszedł do nas mój dawny pupil i asystent Feliks Mackus, który świeżo przyjechał z Paryża i przyszedł mię odwiedzić z Narkun, gdzie spędza wakacje u matki. Zabraliśmy więc i jego ze sobą. Mackus dobrze wygląda, w dobrym jest usposobieniu, miły. Z nami jechał w bryce pies Gudowicza Aitvaras i biegła moja piękna newfoundlandka Saima. Na wysokich płaskowzgórzach falistych terenu narkuńsko-dogilskiego, jadąc na folwark Jasiniewicza po ohydnej małej krętej i krzywej dróżce, natrafiliśmy na bardzo ładne sadzaweczki czy jeziorko szczątkowe w sitowiu, które od razu zwróciły uwagę Gudowicza i w których pies jego rychło wytropił duże stadko kaczek. Na jeziorze mełduckim natomiast – nic. Za to w dolinie niskiej rzeki Audry u jeziora rakiszeckiego i nad tym jeziorem znowu w paru miejscach w trzcinach i sitowiach pies wypłoszył kaczki, a jedno kaczę schwytał i Gudowicz je zabrał żywe i zdrowe do Bohdaniszek. Będzie jutro na obiad, zapoczątkuje nam plon polowania, które się rozpocznie w przyszłym tygodniu. Gudowicz rad był z wywiadu dokonanego. Terenów do przyszłego polowania przybywa.

Jutro czekamy Maryńkę. Robią się bramy na jej przyjazd: jedna – moja, druga – Mieczkowskich. Pomysł jest Jadzi. Ale przyjechał Lutuś Rosen z Gaczan w faetonie, przysłanym przez Piotra dla przywiezienia Maryni ze stacji z Abel. Lutuś oświadczył, że Marynia czy Ewa zawiadomiła dziś telefonicznie Gaczany, że przyjeżdża dziś o piątej po południu do Abel. Pojechał po nią Lutuś i Elwira. Wszakże wieść okazała się fałszywa. Maryni nie przywieźli. Oczywiście przyjedzie jutro rano, jak nam pisała Ewa. Pośle się po nią faeton gaczański i kary wysłane sianem, z materacem na wypadek, gdyby chciała jechać leżąca.

Wieczorem zbierano kwiaty i zdobiono bramę. Niech zobaczy Maryńka, że ją czekamy i myślimy o niej i niech się ucieszy wracając do swoich kochanych Bohdaniszek.

18 lipca, rok 1936, sobota

Rano przyjechała Maryńka. Przyjechała uradowana, że jest wreszcie w Bohdaniszkach, do których tak tęskniła w klinice i do których po operacji już się nie spodziewała wrócić żywa. Dojechała na ogół dobrze. Już wczoraj opuściła klinikę Czerwonego Krzyża i ostatnich kilka godzin przed wyjazdem z Kowna spędziła w moim mieszkaniu. Odwiedziła ją tam p. Mašiotasowa, z którą Marynia bardzo się zaprzyjaźniła. P. Franciszkowa Mašiotasowa, żona starego działacza, pedagoga i autora powiastek dla młodzieży, jednego z ostatnich weteranów najstarszego pokolenia litewskiego odrodzenia narodowego, jest gospodynią domu, w którym mieszkam w Kownie (ulica Donelaitisa, 2). Uczyła się ona w dzieciństwie na pensji w Iłukszcie, gdzie kolegowała z moją siostrą Helcią (późniejszą Józefową Wołłowiczową, zmarłą po połogu w roku 1894). P. Mašiotasowa jest z domu Jasińską, siostrą rodzoną znanego przed wojną w Wilnie księdza Jasińskiego, proboszcza kościoła św. Jakuba na Łukiszkach, znanego działacza i polityka, zajadłego Polaka i przeciwnika ruchu litewskiego. Jest to w naszym kraju przed wojną i dotąd jeszcze zjawisko zwyczajne, że w rodzeństwie jeden jest wielkim Polakiem, drugi – wielkim Litwinem. P. Mašiotasowa, zamężna za narodowcem litewskim, zlitwinizowała się i jej dzieci – p. Urbšysowa, synowie – są Litwinami najkategoryczniejszymi.

Ale wracam do Maryńki. Z Abel z pociągu przyjechała ona w faetonie Rosena siedząca. Czuje się dobrze, jest naturalnie zmęczona jeszcze po operacji i cierpieniach, przez które przeszła. Zdrobniała, zmizerniała, oczy ma zmęczone i jakby przerażone, wielkie, szeroko otwarte, smutne i głębokie: we wzroku wyryte cierpienie. Ale humor ma niezły. Naturalnie, że wyobraża sobie, iż operacja dobrze się udała i że niebawem wróci do zupełnego zdrowia i będzie mogła wszystkim się zajmować, jak dawniej. Rentgenizację jednak zniosła dobrze, co jest dobrym znakiem. Może ta rentgenizacja wstrzyma proces rozrastania się raka. Lubi pokazywać blizny odcięcia przy operacji i od ukłuć. W ogóle dumna jest i triumfuje, że wszystko zniosła, wyszła żywa i wróciła do domu. Nie mniejsze od niej męki moralne zniosła Ewa, która jest o tyle w gorszym od niej położeniu, że nie ma iluzji i nie ma nadziei. Może wszakże kilka lat jeszcze pożyć, o ile najlepsze możliwości się zrealizują.

Dokonaliśmy dziś z prof. dr Gudowiczem trzeciej wycieczki wywiadu myśliwskiego. Poszliśmy piechotą łąkami przez Popiele do Abel. W Popielach obejrzeliśmy piękną pilkalnię starą, wleźliśmy na nią i rozkoszowaliśmy się prześlicznym widokiem. W okolicy wioski Możejek połaziliśmy po zaroślach i łąkach rzeki Krewny, gdzie z pewnością są kaczki. Przechodziliśmy tam przez kładki na rzece, spotkaliśmy w łodzi młodego artystę Kligysa (brat Alfreda Kligysa, mojego byłego ucznia na Wydziale Prawniczym), bawiącego na wakacjach w rodzinnej wsi Możejkach. Ten nas podwiózł kawałek krętym łożyskiem rzeki wśród sitowi aż do ścieżki na Abele. Gudowicz skorzystał z okazji i umówił się z Kligysem na czwartek na polowanie na kaczki. W jeziorze abelskim i antoskim też musi być kaczek dużo po sitowiach. Będzie tu miał Gudowicz teren do polowania na kilka razy. Z Abel poszliśmy gościńcem do Antonosza, przeprawiliśmy się łódką przez jezioro do Kupr, gdzie nas konie moje czekały i odwiozły do Bohdaniszek. Przez jezioro antonoskie moja Saima płynęła za łódką wpław. Prześlicznie ona pływa. Znać wodołaza.

19 lipca, rok 1936, niedziela

Tak jak dziś miałem wyjechać do Kłajpedy na sesję egzaminów sądowo-referendarskich, które były wyznaczone na jutro, ale przed dwoma dniami otrzymałem list prezesa Riffarta, zawiadamiający, że egzaminy odroczone zostały do przyszłego poniedziałku. Wobec tego postanowiliśmy z prof. Gudowiczem udać się dziś do Kowaliszek. Pojechaliśmy tam rano i zabawiliśmy do godziny czwartej po obiedzie. Byliśmy tam na herbatce u Julków, na obiedzie u Hektora (Oleńki jeszcze nie ma) i na kawie poobiedniej u Elizki. Dr Gudowicz, który z natury jest gadatliwy i w gadulstwie niewyczerpany i nie dający nikomu dojść do głosu, a nie umiejący zgoła innych słuchać, wpierw wpadł w debatę o religii, Bogu i nauce, przecząc istnieniu Boga i zbijając dogmaty religijne oraz samą metodę dogmatyzowania twierdzeń, co niewątpliwie gorszyło nieco Elizkę, usiłującą to obracać w żart, potem zaś, gdy się pokazał Hektor, to tak go wziął w obroty opowiadaniem o przygodach myśliwskich i różnych epizodach swego życia z rewolucyjnych czasów roku 1905, z Dumy Państwowej, w której był posłem w roku 1906, z walk rewolucyjnych, ze swoich konfliktów z policją i urzędami rosyjskimi itd., że ani chwilki mu nie dał wytchnienia. Prawdziwie się zatokował. Ale umie opowiadać i gadać barwnie, przeplatając gawędę charakterystycznymi słowami i wyrażeniami, mieszając języki polski, litewski i rosyjski, klnąc, że bawił siebie i innych.

Z Kowaliszek wracając zajechaliśmy do Rakiszek do dworu, aby podziękować Przeździeckiemu za pozwolenie polowania na kaczki na jeziorze abelskim, o które Elizka przez telefon dla dr Gudowicza poprosiła. Przeździeckich nie zastaliśmy. Pałac rakiski i wnętrze hollu pałacowego bardzo zaimponowały Gudowiczowi. Rzeczywiście to jeszcze rezydencja pańska.

Wracając z Rakiszek zajechaliśmy jeszcze do Rakiszeczek do Apolinarostwa Wienażyńskich poprosić Wienażyńskiego o pozwolenie polowania na jeziorze rakiszeckim i odwiedzić p. Purėnasową, która w związku z zajściami strajkowymi w czerwcu w Kownie została z rozkazu komendanta wojennego wysłana przymusowo do powiatu rakiskiego i bawi tu u brata wraz z mężem, obecnym prorektorem na uniwersytecie. Byliśmy u Wienażyńskich na herbacie. Bawi tam całe mnóstwo gości – dorosłych, dzieci, kobiet, mężczyzn, przeważnie z rodziny Wienażyńskich i kilku gości ze świata urzędniczego Rakiszek – sędzia Krežgdė (mój były student), żona komendanta rakiskiego i inni. Nie cierpię takiego zgromadzenia wywczasowego na letnisku. Chwała Bogu, że tego nie mam u siebie. My z Jadźką – to samotnicy i arystokraci, wystarczający sami sobie i nie cierpiący próżniaczej gromady ludzkiej. Apolinary Wienażyński – wstrętny typ spekulanta i przebiegłego karierowicza, w gruncie człowiek bez czci i wiary – pozwolenia Gudowiczowi na polowanie indywidualne nie udzielił, zapraszając go natomiast na zbiorową zabawę rybołówstwa i polowania, którą zamierza urządzić na jeziorze w większym gronie gości. Gudowicz wszakże takich polowań majówkowych z zabawą nie lubi i ma rację. Na wieczór wróciliśmy do Bohdaniszek.

20 lipca, rok 1936, poniedziałek

Dziś nie miałem żadnego wywiadu myśliwskiego z dr Gudowiczem. Gudowicz zresztą uważa, że wywiady poprzednie są wystarczające i że terenów do polowania na kaczki już ma dosyć. Liczy, że wystarczy mu jezior abelskiego i antonoskiego z rzeką Krewną, a reszta się uzupełni Kumszami, błotkiem w Narkunach, sadzawką Dirżysa w Bohdaniszkach. Liczy też na jezioro Sarty, które mu w odnodze łaskiej zaleca i zachwala Sinica. Poszliśmy się tylko przejść nieco po obiedzie do Gaju i do zwózki żyta. W Gaju zaprowadziłem go znowu do błotka między wejściem do Gaju a Montieulem. Tam zawsze bywają i gnieżdżą się kaczki. Nie byłem zresztą pewny, czy są tam w tym roku młode, bo na wiosnę nasi parobcy znaleźli tam i zabrali jajka kacze, z których następnie kura wysiedziała u mnie kilka młodych, i dwie młode dzikie kaczki dotąd hodują się u mnie. Wszakże pies Aitvaras wypłoszył z błota kaczkę, którą dr Gudowicz w lot z jednego strzału zastrzelił. Była to stara kaczka. Niebawem pies zwąchał i przyniósł w pysku jeszcze młode jedno kaczę, które puściliśmy, bo było malutkie. Widocznie matka, po zebraniu jej na wiosnę jajek, zniosła i wysiedziała drugie, które dlatego są bardzo spóźnione. Gudowicz powiada, że młode są już w tym wieku, że dadzą radę i żyć będą bez matki.

Maryńka dziś pod wieczór czuła się gorzej. Miała wielkie wydęcie brzucha. Dr Gudowicz ją obejrzał i dość pesymistyczne wyraża wnioski. Powiada, że to może być rozrastanie się raka, co by świadczyło, że rentgenizacja nie poskutkowała. Biedna Maryńka jak tylko się gorzej czuje, wpada w wielki pesymizm. Tak by biedaczka chciała triumfować nad chorobą. Ma w tym nawet pewien punkt honoru.

21 lipca, rok 1936, wtorek

Dziś pierwszy dzień polowania legalnego na kaczki. Dr Gudowicz wybrał się na jezioro Sarty, idąc ze wskazówką i radą mego mularza Markuchy Sinicy, którego zaścianek, należący do wsi Strawy (popularnie wieś ta nazywa się „Folwark”), położony jest nad samym tym jeziorem. Ponieważ do wycieczki tej należeć także chciała Jadzia, więc pojechaliśmy we troje parą koni w żółtej bryczce: my z Gudowiczem i psem na siedzeniu, Jadzia za furmana na kozłach. W Dogilach przyłączył się do nas syn Sinicy, żołnierz, bawiący na urlopie, mający nam służyć za przewodnika. W zaścianku Sinicy dano nam łódkę, ale Gudowicz niebawem wysiadł na brzeg i z psem obchodził sitowia nadbrzeżne. Żadna wszakże kaczka nie wyleciała, niektóre tylko wymknęły się gdzieniegdzie wodą w głąb jeziora, nurkując i płynąc, ale Gudowicz zza sitowia nawet ich widzieć nie mógł. Z daleka na drugim brzegu też widać było kaczki na wodzie, ale poza granicą strzału. Nic także nie wskórał Gudowicz na wysepce. Podwieźliśmy go do bagien u końca odnogi łaskiej, sami wróciliśmy łódką do koni i dojechaliśmy do młyna w Witeniach, gdzie nań zaczekaliśmy. Kaczek nieduzo tam znalazł, strzelał tylko do jednej, ale w błotach jej odszukać nie zdołał, natrafił na stadko cietrzewi, na które polować jeszcze nie wolno, zabił dwa bekasy. Gudowicz nie chciał wracać do domu bez kaczek, nastawał na jezioro kumszańskie. Pojechaliśmy więc przez Boniuszki do Kumsz. Gudowicz obszedł jeziorko, w trzech miejscach wypłoszył kaczki, dał cztery strzały (strzela dobrze), zabił dwie cyranki i jedną wielką kaczkę. Był rad. Na wieczór wróciliśmy do domu. Gudowicz jest niewyczerpany w humorze, kogo spotka – zaczepia, żartuje, dowcipkuje. Nie można się z nim nudzić na polowaniu. W jeziorze kumszańskim Sinica żołnierz, służąc mu za giermka, musiał wpław po kaczkę z jeziora dążyć. Uciechy mieliśmy dużo. Te jego wyprawy myśliwskie są anegdotycznie zabawne. Jutro – wyprawa myśliwska do Narkun z Feliksem Mackusem.

22 lipca, rok 1936, środa

Jeździłem do Rakiszek. Byłem wezwany do sądu w charakterze świadka w sprawie stwierdzenia sądowego śmierci Bronka Römera, rozstrzelanego w roku 1918 w Poweńcu nad Ładogą (schwytali go tam bolszewicy, gdy się przekradał do formujących się na wybrzeżu murmańskim oddziałów ochotniczych polskich i koalicyjnych do walki przeciwko bolszewikom i Niemcom). Stwierdzenie sądowe faktu śmierci Bronisława jest potrzebne dla otrzymania od zarządu reformy agrarnej folwarku Burakiszek na rzecz jego rodzeństwa – Macieja, Tadeusza i Jadwigi Römerów

antonoskich. W Rakiszkach zabawiłem krótko i wróciłem na obiad do domu. Zastałem już tam Feliksa Mackusa, który po obiedzie i po drzemce dr Gudowicza towarzyszył mu na wyprawę myśliwską na kaczki do błot narkuńskich. Ja do wyprawy tej nie należałem. O zmroku prof. Gudowicza odwiózł z wyprawy Mackus swoim koniem. Upolowanych zostało sześć kaczek. Późnym wieczorem lunął wściekły deszcz z burzą. Piorun gdzieś uderzył tuz w pobliżu, zapewne we dworze.

Dojrzewa już wydalenie Stefana Mieczkowskiego z Litwy. Przed kilku dniami miałem list od ministra Čaplikasa, zawiadamiający, że na skutek mego listu polecił odpowiednim organom zbadać kwestię zamieszkania Mieczkowskiego w Litwie i zmusić go do wyjazdu. Dziś przyjeżdżał policjant, spisywał protokół, bo termin opłaconego pobytu Stefana już minął, ale o zarządzeniu ministra policjant nic jeszcze nie wiedział. Elwira oświadczyła do protokółu, że nie chce utrzymywać Stefana w Bohdaniszkach.

Od tego dnia, kiedy Elizka Komorowska rozmówiła się ze Stefanem Mieczkowskim i zażądała jego wyjazdu, Mieczkowskiego nie widziałem. Unika mnie starannie i nie pokazuje się ani z bliska. Zapewne bez pożegnania i wyjedzie.

23 lipca, rok 1936, czwartek

W sprawie Stefana Mieczkowskiego otrzymałem odpowiedź także od Alechnowicza, referenta odpowiedniego wydziału w Ministerium Spraw Wewnętrznych, do którego zwracałem się poprzednio w tej sprawie, ale nie miałem dotąd odpowiedzi, bo bawił na urlopie. Alechnowicz zapewnia, że sprawę załatwi po myśli mojej i że już zażądał z Rakiszek akt, dotyczących pobytu Mieczkowskiego w Litwie. To znaczy niebawem należy się już spodziewać ekspulsji Stefana. Jest to oczywiście konieczne, ale swoją drogą Elwirze trudno będzie dać radę samej w gospodarstwie. Tymczasem jednak jej sytuacja materialna na czas najbliższy zapowiada się nieźle. Jest nadzieja, że dadzą jej za ogród owocowy 4000 litów dzierżawy.

Stan zdrowia Maryni – taki sam. Osłabienie jest wielkie, zwłaszcza w stosunku do ruchu, ale usposobienie – równe. Bólów nie ma, ale brzuch bardzo wydęty. Najcięższy jest wyjazd Ewy, który ma nastąpić koło 10 sierpnia. Przez dwa miesiące Marynia ma zostać sama; potem przyjedzie Marysia Stefanowa na całą zimę. Elizka i Ewa szukają dla niej kogoś do pomocy na ten czas, ale Marynia gwałt podnosi, że nie podoła kosztom, że nie chce pielęgniarki, że obejdzie się sama. Najgorsze jest to, że Maryńkę znów zaczynają trapić ciężkie interesy i długi, i wypłaty różnych procentów, prolongaty weksli itd. Nie ma komu ją zastąpić w tym kołowrocie łatania dziur finansowych na wszystkie strony. Jedyna byłaby Ewa, ale ta pozostać tu na stałe nie może.

Prof. dr Gudowicz dziś na polowaniu na kaczki w towarzystwie młodego muzyka Kligysa z wioski Możejek – na jeziorach abelskim i antonoskim. Nie towarzyszyłem im. Do Abel dowiózł go Kazimierz Jankowski. Gudowicz przyniósł z łowów trzy kaczki wielkiego gatunku i trzy młode cietrzewie samczyki. Cietrzewia upolował kontrabandą, bo wolno na nie polować dopiero od 15 sierpnia. Ale pokusa była za wielka i Gudowicz się jej nie oparł, gdy pies cietrzewia wypłoszył.

24 lipca, rok 1936, piątek

Remont w moim domu postępuje. Sinica, dość wprawdzie powoli, robi balkon. Już są gotowe wszystkie cztery słupy z cementu – dwa całe na froncie i dwa połowiczne w głębi u ściany, dziś już zrobiona skrzynia do nalania cementu na balkon górny, którego szkielet żelazny (armatura) już gotowy. Składają się na tę armaturę duże sztaby, powiązane z mniejszymi całą siatką z grubego drutu wewnątrz. Solidny to będzie balkon żelazno-betonowy, mocny na wieki. Markow zaś, w myśl pomysłu Jadzi, przegradza mi dużą salkę na górze, w której urządziłem mój gabinet w tym roku, na dwa pokoje. Z nich jeden – od balkonu – który zostanie gabinetem, w którym w jesieni Sinica postawi mi piecyk kaflowy, drugi zaś – ślepy, bez okien na zewnątrz i bez ścian zewnętrznych, będzie miał drzwi oszklone i okno duże w ścianie do gabinetu, którą mi teraz Markow robi.

Prof. Gudowicz dziś nie polował. Nazywało się, że to dzień wypoczynkowy. Wybraliśmy się jednak spacerkiem po obiedzie do myśliwego Bohdana za Kumszą, z którym się Gudowicz ułożył w

niedzielę na polowanie na kaczki w rzece Krewnie na odcinku od Możejek pod jeziorami abelskim i antonoskim do Pokrewnia i może niżej na Krewnie i Pakienie. W tej przechadzce Gudowicz łaził z psem i flintą po wielkiej łące, po wybrzeżach jeziora kumszańskiego dokoła, po łoneczkach w polu Elwiry i Maryni, ale nic nie napotkał. Skwarno było tak, żeśmy się zalewali potem i zmęczyli porządnie. Kąpiel nas potem orzeźwiła w Bohdaniszkach. Upał mamy po dwudniowych ulewach nocnych niesłychany i parny. W ogóle lato tegoroczne dopisało jak rzadko. Gorąco, sucho, słonecznie. Teraz tylko trochę polało. Krótko, ale za to ulewnie, z burzą w nocy raz po raz.

25 lipca, rok 1936, sobota

Upał duszny, jak co dzień od kilku dni. Gorąco tak, że pot sam przez się oblewa ciało – nawet gdy się jest bez ruchu. Ekonom skorzystał z pogody, aby zwieźć żyto, bo po takiej parności należy się spodziewać deszczu. Rozkoszna jest w te dni kąpiel. Już to mój staw kąpielowy na łące obsługuje całą okolicę. Sławny jest jako najlepsze miejsce kąpielowe o czystej wodzie i twardym dnie w kilku miejscach. Stał się prawdziwą plażą publiczną na okolicę. Nie ma sposobu wyplenić tej publiczności kąpieli. Prof. Gudowicz także się co dzień kąpie. Moja kąpiel polega na pływaniu. Jak przez całe moje życie, tak i teraz nadal pływam doskonale.

Gudowicz po podwieczorku wybrał się z psem i fuzją do sadzawki Diržysa z wioski Bohdaniszek przy drodze do Prapultini za górą. Tam już w czasie wywiadów myśliwskich w pierwszych dniach po przyjeździe Gudowicza stwierdziliśmy stadko kaczek. Długo tam Gudowicz bawił; słyszeliśmy jego strzały, myślałem, że w sadzawce tej upolował jakąś jedną kaczkę, inne zaś wyleciały i że włóczy się gdzieś w kierunku na Możejki. Tymczasem wrócił pod wieczór, obładowany pięciu kaczkami, które wszystkie upolował w sadzaweczce Diržysa.

Maryńkę odwiedzała znowu Elizka Komorowska z Zitką, ktora wróciła z Katowic. Zitka dostała tam posadę za 350 złotych polskich miesięcznie i niebawem wyjeżdża tam znowu już na stałe. Ekspatriuje się więc. W Katowicach jest jej siostra Litka Geysztorowa z mężem, a za rok ma tam z Zitką zamieszkać i Elizka. Że się ekspatriują – nie mam im tego za złe i nie dziwię się. Czują się Polkami i tam swoją ojczyznę zakładają, toteż konsekwentne i naturalne jest, że po trochę jedna po drugiej tam się przenoszą. W ten oto sposób Litwa coraz bardziej się oczyszcza z elementu zdecydowania polskiego, który zresztą tutaj nie znajduje dla siebie terenu do pracy i bytowania, o ile się oderwał od nieruchomości. Jest to rodzaj komasacji narodowej, która się forsownie ujawniła po wojnie i nadal się odbywa ciągle po trochę. Ubywa tu społeczeństwa polskiego, którego wszystkie elementy energiczniejsze emigrują do Polski. Zostają albo niedołęgi, albo tacy, co mają już tu warsztat pracy, o której dla Polaków coraz trudniej, albo wyjątki. Trochę tam przez pewien czas cierpią na nostalgię, a wreszcie przystosowują się i zatracają kontakt z Litwą.

26 lipca, rok 1936, niedziela

Wyjeżdżam dziś na parę dni do Kłajpedy dla wzięcia udziału w posiedzeniu komisji egzaminacyjnej na posady referendarzy sądowych w Kłajpedzie. Jest dwóch kandydatów do egzaminu i prezes komisji dr Riffart wyznaczył egzaminy ustne na jutro. Zamierzałem poprzednio jechać z Jadzią, ale nie biorę jej teraz, bo jest gość w domu, a zresztą kieszeń pusta. Pojedziemy z nią na krótką wycieczkę nad morze w połowie sierpnia przed moim powrotem do Kowna.

Prof. Gudowicz od samego rana wyruszył na polowanie na kaczki nad rzekę Krewną na odcinek między wsią Możejkami a Pokrewniem. Czuł się zmęczony i lenił się trochę, bo od rana upał się zapowiadał wielki, ale że się był zawczasu umówił z Bohdanem kumszańskim i muzykiem Kligysem z Możejek, więc musiał im dotrzymać placu. Do mojego wyjazdu nie wrócił. Musiał się dobrze zmachać, bo gorąco było szalone i parne.

Wyjechałem do Abel po wczesnym obiedzie, odprowadzony przez Jadzię. Taki był upał, że wystarczyło jechać, aby spotnieć jak szczur. Tym bardziej, że do podróży ubrałem się w kamizelkę, marynarkę i kołnierzyk, podczas gdy zwyczajnie w Bohdaniszkach nic na koszulę poza majtkami nie nakładam.

Z Abel pojechałem ekspresem berlińskim prosto na Pogiegie. Podróż prędko przebiegła. Między Skopiszkami i Kupiszkami złapał nas deszcz wściekły z wichurą, że aż się czarno zrobiło i nic widać nie było. Nawałnica ta prędko przeminęła i dalej już powietrze bardzo ochłodło i chwilami kropił deszcz. W Pogiegiach wysiadłem. Zaraz podano pociąg na Kłajpedę. Na tym odcinku miałem incydencik w moim wieku dość już rzadki. Jakaś prostytuteczka, Niemeczka potulna i słodka z Kłajpedy, weszła do mojego przedziału niby pod pretekstem prośby wymienić jej dwie marki niemieckie na lity, których jej zabrakło, a gdym to uczynił, szepnęła mi swój adres w Kłajpedzie i zaprosiła, bym przyszedł ją odwiedzić, gładząc mię poufale i miękko po rękach i ramionach. Nic z tego nie będzie, ale to takie oto biedne dziewczątko sprostytuowane ma swój sposób wabienia klienteli i łaszenia się zupełnie jak piesek. W Kłajpedzie zajechałem do hotelu „Viktorija". Było już po godzinie dziesiątej. Nie wyszedłem już na miasto.

27 lipca, rok 1936, poniedziałek

W hotelu na śniadaniu spotkałem docenta Antoniego Tamošaitisa, który, jak ja, jest członkiem komisji egzaminacyjnej kandydatów referendarskich w Kłajpedzie. My dwaj z Tamošaitisem jesteśmy do komisji mianowani z uniwersytetu, dwaj zaś inni członkowie komisji – prezes Riffart i sędzia Kairys – reprezentują w komisji magistraturę sądową kłajpedzką. W pierwszym egzaminie, w październiku 1935, prezesem komisji był sędzia sekcji kłajpedzkiej Najwyższego Trybunału Bruzdelinas, który został przez rząd mianowany do Trybunału ze względu na to, że jest Litwinem, aby w tej sekcji trybunalskiej neutralizował przewagę sędziów Niemców Plümickego i Hessego. Dlatego przez Niemców i sędziów niemieckich w Kłajpedzie Bruzdelinas jest źle widziany jako *sui generis* łamistrajk polityczny, wyłamujący się z solidarności „krajowej" (którą Niemcy utożsamiają z solidarnością niemiecką w Kłajpedzie) i służący Litwie za narządzie do rozbijania tej solidarności i ujarzmienia kraju. Dlatego gdy po upadku dyrektorium litewskiego Bruvelaitisa powstało Dyrektorium Baldžiusa, opierające się o niemiecką większość sejmikową, postarano się pozbyć Bruzdelinasa z komisji egzaminacyjnej. U nas obawiano się, że dyrektorium Baldžiusa odwoła całe zarządzenie swego poprzednika w przedmiocie tej komisji egzaminacyjnej. Niemcy bowiem długo się nie chcieli na utworzenie takiej komisji zgodzić, ponieważ woleli, aby kandydaci referendarscy byli egzaminowani jak dotąd, poza granicami państwa, przy którymkolwiek uniwersytecie niemieckim, najczęściej w Królewcu. Taka komisja egzaminacyjna krajowa – to był postulat litewski. Baldžius nie zdecydował się na odwołanie zarządzenia o komisji – i to już samo przez się jest czynnikiem ze stanowiska państwowego dodatnim, ale postarał się o pozbycie niemiłego dla Niemców, choć zgoła niezdarnego Bruzdelina i o zastąpienie go przez politycznie wyraźnego Niemca Riffarta. Zrobił to bardzo zręcznie i spekulacyjnie. Skorzystał z tego, że Bruzdelinas, jak to już raz uczynił w jesieni, wymówił się od osobistego dokonania egzaminów pisemnych kandydatów i prosił o zlecenie tej czynności Riffartowi. Bruzdelinas prosił Baldžiusa o to telefonicznie. Baldžius skonstatował, że prezes komisji Bruzdelinas uchyla się od czynności należącej do prezesa i jego prośbę telefoniczną potraktował jako prośbę o dymisję. Toteż zupełnie niespodziewanie dla samego Bruzdelinasa dyrektorium odpowiednim aktem zwolniło go ze stanowiska prezesa komisji egzaminacyjnej, rzekomo na jego własną prośbę, i mianowało prezesem komisji Riffarta. Bruzdelinas złościł się, obraził się, protestował, skarżył się gubernatorowi, ale nic nie wskórał. Ostatecznie dla władz litewskich jest to rzecz podrzędna: czy dureń Bruzdelinas, czy zdecydowany Niemiec Riffart. Najważniejsze to, że komisja istnieje i że udało się zasadę przeforsować i utrzymać. Bruzdelinas i na nas z Tamošaitisem trochę się gniewał za to, że my nie „poparliśmy" go i poddaliśmy się zarządzeniu o nominacji Riffarta. Oczywiście do nas nie należało wtrącać się do zarządzeń dyrektorium w sprawie składu osobistego komisji, tym bardziej, że dymisja Bruzdelinasa formalnie była umotywowana jego prośbą, a choć on twierdzi, że o to nie prosił wcale i do dymisji się nie podawał, to jednak nie do nas należy rozpoznawanie i sądzenia, czy prosił, czy nie.

28 lipca, rok 1936, wtorek

Egzaminy ukończone i dziś już odjechałem z Kłajpedy. Muszę przyznać, że egzaminy pod kierunkiem Riffarta daleko lepiej idą, niż pod kierunkiem Bruzdelinasa. Riffart jest lepszym prawnikiem i lepszym prezesem komisji egzaminacyjnej. Do egzaminów mieliśmy dwóch kandydatów – Toleikisa i Lokysa. Obaj są Litwinami Kraju Kłajpedzkiego, narodowo zupełnie uświadomionymi. Wszakże Toleikis, którego matka jest Niemką i po litewsku nie mówi i który studia akademickie odbył w Pradze Czeskiej, sam po litewsku dotąd mówi słabo. Jak zwykle – pracę egzaminacyjną podzieliliśmy między członków komisji tak, że każdy z członków egzaminował obu kandydatów z kolei, ale wobec całej komisji. Egzaminy te są trudne i męczące, albowiem w toku jednego posiedzenia komisji egzaminuje się od razu ze wszystkich przedmiotów, które obejmują: prawo cywilne i karne, oba procesy, prawo konstytucyjne, administracyjne i międzynarodowe, prawo handlowe, wekslowe i ewentualnie rzymskie albo historię prawa cywilnego. Pierwszą część egzaminu (prawo cywilne i karne, obie procedury) dokonał sędzia Kairys, prawo publiczne – ja, następnie parę pytań do historii i ewolucji instytucji prawnych zadał Tamošaitis, wreszcie z prawa handlowego i wekslowego pytał Riffart. Riffart, choć osobiście jest zawziętym i politykującym Niemcem, umie jednak zachować umiar i takt w takiej komisji mieszanej; w pytaniach, zadawanych kandydatom, uwzględniał nie tylko prawo kłajpedzkie, ale także ogólnolitewskie, nawet terminologię litewską oryginalną czasem. Słowem, zachował zupełną bezstronność i poprawność ze stanowiska państwowego. My z Tamošaitisem pytaliśmy po litewsku, Riffart i Kairys – po niemiecku. W zasadzie, ponieważ w Kłajpedzie oba języki są statutowo równouprawnione jako współurzędowe, egzaminować i odpowiadać można bądź po litewsku, bądź po niemiecku. Lokys nam z Tamošaitisem odpowiadał po litewsku, Toleikis zaś, choć Litwin zdecydowany, odpowiadał po niemiecku, ale przynajmniej rozumiał nas. Nie wiem, co by było, gdyby się do tych egzaminów zgłosili kandydaci Niemcy, którzy wcale litewskiego nie rozumieją i którzy nawet pytań naszych nie byliby w stanie zrozumieć. Bądź co bądź, dla Niemców ta nasza komisja komplikuje ich dostęp do magistratury sądowej w Kłajpedzie. Po trochę też do sądownictwa Kłajpedzkiego zaczynają przenikać elementy młodsze litewskie. Wśród sędziów jest ich jeszcze mało, ale już aplikantów Litwinów jest sporo. Co prawda, są oni podobno trochę upośledzeni i traktowani w sądzie gorzej, niż aplikanci Niemcy, ale bądź co bądź zaczynają się wybijać i stopniowe litwinizowanie personalne sądownictwa kłajpedzkiego jest rzeczą bardzo wielkiej wagi w rozwoju stosunków kłajpedzkich w kierunku państwowym. Egzamin skończył się wczoraj koło godziny drugiej po południu. Nie był on tak pedantycznie nudny, jak za Bruzdelinasa w październiku. Obaj kandydaci zdali. Lokysowi daliśmy ocenę: „wystarczająco". Diety wypłacono nam wcale dobre. Mnie koszta podróży policzono w sumie 136 litów, honorarium od każdego kandydata po 75 litów, czyli od dwóch 150 litów, ogółem wypłacono mi 286 litów.

Czas mi zeszedł w Kłajpedzie prędko. Przy śniadaniu i obiedzie nagawędziłem się z Morkusem i Soblysem, którzy obaj zapatrują się optymistycznie na sytuację w Kłajpedzie i stwierdzają, że nastrój nerwowy i zaogniony, spowodowany przez agresywną politykę poprzedniego gubernatora Navakasa, ustępuje miejsce pewnej stabilizacji czynnika państwowego. Gospodarczo Kłajpeda prosperuje, postępuje urbanizacja i zrastanie się kraju, zwłaszcza miasta, z państwem, gubernator Kurkowski dobrze się orientuje, ma metodę, nie drażni politycznie, ale umiejętnie organizuje się i zdobywa teren. Najciekawsze jest to, że obaj moi informatorzy, którzy sami są dobrze poinformowani o wszystkim i mają żywy konflikt z rzeczywistością krajową, stwierdzają, że uświadomienie narodowe litewskie narasta i rozbija się w kierunku nie połowiczności „memelländerskiej", ale właśnie stuprocentowej litewskości. Starsze pokolenie „patriotów" litewskich – to byli właśnie „memelländery", coś z gatunku „tutejszych" Wileńszczyzny, ludzie dwoiści i połowiczni, podczas gdy w młodszym pokoleniu powstają już Litwini zupełni. Co prawda, są to dopiero jednostki, najwyżej grupy, ale są to już stuprocentowi Litwini.

Byłem wczoraj wieczorem w Sandkrug – Smiltyni nad morzem, po drodze nudził mię gruby olbrzym Jagmin, ex-socjalny demokrata, obecnie kamienicznik, ale ideowo zawsze bliski socjaldemokratom, stanowiącym, stanowiącym zresztą tylko klikę towarzyską, związany pewnym

nastrojem i tradycją. Jagmin towarzyszył mi, opowiadał ploteczki, gawędził. Olbrzym ten i próżniak dobroduszny, miłośnik ploteczek, zresztą człowiek dobry i dusza rogata, waży 146 kilogramów (!), toteż nie wstydziłem się z nim maszerować, bo przy nim wyglądam na eterycznego gryzipiórka. W Smiltyni posiedziałem nad morzem, pisałem pocztówki i napawałem się śliczną łagodną pogodą, szumem morza, zapachem sosny i widokiem. Kąpać się nie odważyłem sam jeden, a zresztą kostiumu nie wziąłem. Dziś odjechałem przez Pogiegie. W drodze od Radziwiliszek spotkałem inżyniera Wacława Bielskiego, który pojechał do Polski do Zakopanego do córki, która tam mieszka.

29 lipca, rok 1936, środa

Moja króciutka wycieczka egzaminowa do Kłajpedy przeleciała jak mgnienie oka. Przewietrzyłem się jednak i miałem przyjemność świeżości wrażeń. Dobrze to zawsze robi. Zobaczyłem morze, otarłem się o ludzi, musnąłem stosunki lokalne w Kłajpedzie, które są zawsze ciekawe i mają dynamikę, jakiej stosunki w innych częściach kraju nie mają.

Teraz mam przed sobą ostatnie dwa tygodnie wakacji letnich w Bohdaniszkach, następnie już powrót do Kowna.

Maryńka ma się lepiej. Może rentgenizacja jej pomogła i wstrzymała postępy strasznej choroby raka. Mizerna jest i słaba, ale ma radość życia, cieszy się ze wszystkiego jak dziecko, lgnie do ludzi i rzeczy w Bohdaniszkach, jak żeby z grobu wstała i wszystko odzyskała, co już uważała za stracone. Ludzie też ją kochają wszyscy, cieszą się z niej, witają serdeczne po operacji. Każdego konia, każdą rzecz, każdą roślinkę Marynia otacza miłością, którą jest przepełniona sama. Zaczęła już jeździć, w poniedziałek była z Ewą w Rakiszkach, dziś z Elwirą – w Gaczanach. Jazda ją męczy mniej, niż chodzenie, a daje radość wielką, co w jej stanie zdrowia jest nie mniej warte, niż dobry stan fizyczny. Apetyt ma wilczy. Może pożyje rok, a może i dwa. A może wszystkie przewidywania oszuka i pożyje dłużej. Dla mnie Maryńka jest serdeczna jak nigdy. Wdzięczna mi jest nieskończenie za pomoc, opiekę w interesach, za ratunek we wszystkich ciężkich jej okolicznościach i w chorobie. Ale domyśla się jednak, że to coś z raka. Z półsłówek posłyszanych, z jakichś szczególików restauruje sobie teorię swojej choroby i konstruuje to, co otoczenie od niej ukrywa. Rekonstrukcja nie jest precyzyjna, ale na wiernym tropie. Jest przekonana, że jej wycięto macicę, na której ujawniono początki raka, i że rentgenizowaniem przypalano resztki raka. Sama twierdzi, że pożyje rok lub dwa, ale powiada, że operacji nie podda się więcej nigdy, choćby miała przez to w największych cierpieniach umrzeć.

Dziś przyjeżdżał do Mieczkowskich policjant. Sprawa wyjazdu Stefana Mieczkowskiego załatwiona. Dano mu 10 dni na wyjazd pozwolono wybrać samemu punkt, którędy do Polski wyjedzie. Wybrał na Jewje.

30 lipca, rok 1936, czwartek

Prof. dr Gudowicz, choć jest myśliwy zawzięty, jednak się męczy. Nie ma już teraz tej ochoty do wielkich wycieczek myśliwskich, jaką miał w pierwszych dniach. Nie bardzo się przyznaje, ale czuje się zmęczony i unika dalszych wycieczek; wspomina o nich, ale zawsze z zapasem kilku dni naprzód, a gdy proponuję udać się dziś, pojechać dalej i tam pochodzić, to się wymawia. Ale za to co dzień pod wieczór wychodzi na krótkie polowanie w pobliżu – najczęściej w stronę Kumsz, po polach moich, Maryni, Elwiry, boniuskich. Ale ma szczęście do ptactwa i strzela bardzo dobrze. Z każdej wycieczki co dzień po kilka sztuk przynosi – kaczki, cyranki, bekasy, czasem kontrabandą cietrzewia i kuropatwy. Pracuje też Gudowicz dużo, koło ośmiu godzin dziennie spędza na studiowaniu dzieł naukowych. A miły jest bardzo, ma dużo serca, gawędziarz jest niezmordowany, szczególnie na księży ma język ostry. Niektóre ma o księżach, których nazywa „ogierami bożymi" („Dievo drigantai") i o sprawach kościelnych anegdotki doskonałe. Np. cytuje rachunki stolarza kościelnego takie: „za kołek pod tyłek św. Barbary" – tyle i tyle, „za dorobienie nosa św. Janowi", „za zrobienie dziecka Najświętszej Pannie" itd.

Górna platforma balkonu u domu mego jest już prawie gotowa. Wylana cementem, nie cała jeszcze stwardniała, barierka żelazna już wmurowana, bardzo ładnie wygląda. Duża salka już także przegrodzona ścianką na dwoje. Markow mi dziś przysłał starowierów znad granicy łotewskiej, specjalistów do kopania rowów, których chcę użyć do sporządzenia nowej drogi na Karwieliszki do gościńca wzdłuż mojej granicy z wioską bohdaniską zamiast drogi obecnej przez ogród na Gaj, którą skasuję. Umówiłem ich za 350 litów do robót ziemnych. Chrust na faszynę, żwir i rury cementowe do ścieków wody przez drogę – moje i moja dostawa tych materiałów. Drogo, ale co robić. Droga zajmie mniej więcej kilometr i w kilku miejscach trzeba robić nasypy przez mokre łąki; będzie zamiast mostów – siedem ścieków przez drogę. Kosztowne mam w tym roku remonty i fabryki w Bohdaniszkach. Sam balkon będzie mię kosztować przeszło 1000 litów.

31 lipca, rok 1936, piątek

Prof. Gudowicz dziś zachorował. Rano miał gorączkę, oprócz tego ma nogę natartą. Leżał w łóżku. Tylko wieczorem wstawał i chodził trochę. Ale już na polowanie nie chodził. Na wieczór gorączka mu przeszła. Zapewne nic poważniejszego nie będzie. Ale już był zaniepokojony, bał się nawet tyfusu, wspominał o powrocie ewentualnie do Kowna. Żałowałbym go, gdyby wyjechał, bo urozmaica przyjemnie wakacje. Lubię szczerze Gudowicza. Jest w gruncie bardzo sercowy, delikatny i wrażliwy mimo pozory szorstkości.

Skądinąd nic nowego w tym ostatnim dniu lipca. Pieniędzy z Kowna jeszcze mi nie przysłano, ale tymczasem nie ma biedy; są jeszcze resztki z pensji ubiegłego miesiąca, choć wypłat – dużo, bo majstry pracują.

Miałem aż sześciu studentów do egzaminu. Egzaminowałem z przerwami cały dzień. Egzaminowałem na górnej platformce balkonu, która już jest mocna i twarda, choć nie wygładzona z dołu i boków. Duża salka, czyli galeria na piętrze, w której w tym roku urządziłem mój gabinet, już jest przegrodzona i tworzy dwa pokoje, z których jeden w głębi jest ciemnawy, bo nie ma ścian zewnętrznych i przeto okien na zewnątrz, jeno drzwi oszklone i okno w przegrodzonej ścianie do frontowe światłej części, która wychodzi na balkon i w której jest gabinet.

1 sierpnia, rok 1936, sobota

Prof. Gudowicza boli noga. Natarł ją sobie w stopie, teraz narywa. Na wycieczki myśliwskie większe już od tygodnia nie wyrusza. Zadawala się wieczorem przechadzką po polach moich, Maryni i Elwiry między Gajem a Kumszami. Dziś także się tam wybrał. Zastrzelił młodego dużego jastrzębia w locie i kuropatwę. Chciałbym, żeby już wrócił do zdrowia. Rad bym mu zaprezentować Pakienie i teren Wiwieliszek, Montowszczyzny, Janówki, Apuszyni, Matejek i Giwatini.

Ostatni dzień pobytu w Bohdaniszkach Stefana Mieczkowskiego. Jutro wyjeżdża, aby więcej nie wrócić. Doczekał się. Sam sobie winien. Kto sieje wiatr – ten zbiera burzę. Ochłodło. W polu zaczęto kosić owies. Byłem w Gaju. Obok sośniaku, sadzonego przed laty 60 osobiście przez Mamę, jest kawałek pola, który od lat czterech zapuściłem pod las. Miejscami zarasta tam gęsto biała olcha, miejscami dobrze zaczynają sypać brzózki, ale jest jeszcze dużo gołego, porośniętego tylko bujną trawą. Tam tej wiosny na pagórku siałem sosnę. Otóż gdzieniegdzie zaczyna kiełkować. Mało jej jeszcze, ale już nadzieja jest.

Jeździłem z Jadzią do Boniuszek do Bohdana.

2 sierpnia, rok 1936, niedziela

Stefan Mieczkowski odjechał. Stanowczo jest to człowiek chory. Gryzł się rychłym swoim wyjazdem z Bohdaniszek, choć nie okazywał tego i nadrabiał miną, udając, że gotów wyjechać bez żalu, jak to zawsze zapowiadał. Dopóki rzecz nie była jeszcze załatwiona, dopóki wyjechać nie kazano, dopóty sam napędzał Elwirę, aby wpływała na mnie na rzecz przyśpieszenia starań o wyjazd. I był nawet tak niepohamowany, że choć sam rozumiał, iż bardzo wobec Elwiry zawinił, nie mógł się powstrzymać od łajania jej lub robienia jej na złość, co Elwirę oburzało i gorszyło dzieci. Dopóki

rzecz była daleka, a w każdym razie niezdecydowana przez kategoryczny od władz rozkaz wyjazdu, dopóty sprawę bagatelizował, bo nie czuł bezpośrednio grozy wyjazdu. Może nawet liczył, że mu się odwlecze i jakoś samo przez się zamrze – że go „ułaskawimy”, że to wszystko tylko pogróżki i zamiary, które się jakoś rozwieją. Bóg wie zresztą, co sobie myślał i jak psychicznie na to wszystko reagował. Zajmował się do ostatka gospodarstwem i zachowywał się tak, jak żeby nic nie zaszło i jak żeby miał siedzieć wiecznie. Tylko unikał starannie mnie, mniej starannie Maryni i Ewy, nie bardzo wychodził do gości, gdy przyjeżdżali. Ze mną ani razu się nie spotkał i nie widział od czasu, gdy się zrobił ruch z powodu dziecka Urszuli Mikulinasówny i gdy mu Elizka Komorowska wymówiła ostro i zażądała wyjazdu. Wiedział, że starania o jego wyjazd w drodze wysłania go przez władze z Litwy jako cudzoziemca robię ja. Uważał zapewne, że cała ta rzecz jest przeze mnie zarządzona i że ja jestem jego największym wrogiem i że jestem na niego oburzony. Mnie się zawsze lękał.

Gdy policjant mu oznajmił o nakazie wyjazdu – na razie zareagował na to upadkiem na duchu. Jeden dzień przesiedział w domu, nigdzie nie wychodząc i symulując chorobę. Musiał być przygnębiony. Potem znów odzyskał równowagę i był czynny w gospodarstwie, a przed służbą i robotnikami ukrywał starannie rychły wyjazd, choć w istocie był to sekret poliszynela, bo wszyscy o tym wiedzieli, a w mleczarni, która jest ośrodkiem nowin i plotek okolicznych, o tym tylko gadano. Ale już dzisiaj w dzień wyjazdu Stefan porzucił wszelkie pozory. Rozpaczał, załamywał ręce, płakał. Rozczulał się nad sobą i dziećmi, był pokorny wobec Elwiry, odjechał w wielkiej rozterce psychicznej, czuł się i zachowywał, jak skazany przed egzekucją. Odjechał na pociąg wieczorny. Odprowadził go na stację do Abel Andrzej. Ze mną i Marynią naturalnie się nie pożegnał (z Marynią się nie żegnał nawet, gdy jechała na operację pod groźbą śmierci). Elwira go przeżegnała na odjezdnym i on ją przeżegnał także, dzieci, przynajmniej Helcia i Andrzej, płakały także. Bodajże tylko Michaś nie płakał, bo Michasia Stefan nie lubi i Michaś nie lubi ojca. Jednak i Andrzej i Helcia nie usiłowali go zatrzymywać, przeciwnie – uważali zawsze, że wyjazd Stefana jest konieczny. W drodze na stację mówił płacząc Andrzejowi, że ciężko mu wyjeżdżać z piętnem hańby i wstydu. Narzekał też na swój los i trudność znalezienia zarobku staremu. Tak – miałeś, chamie, złoty róg... Było mu w Bohdaniszkach i dobrze, i wygodnie, i cicho. Miał ładny warsztat pracy, dom, rodzinę, starość spokojną. Nie umiał tego cenić i sam wszystko zmarnował. Idzie w poniewierkę.

3 sierpnia, rok 1936, poniedziałek

Rano było ładnie, wieczorem powietrze bardzo ochłodło. Prof. Gudowicz na polowanie jeszcze nie chodzi, bo noga mu jeszcze dolega trochę. Ale już ma się znacznie lepiej. Wrzodzik, który mu wyrósł w miejscu natarcia na stopie i narywał, już się goi. Przeciął go wczoraj i Ewa Meyerowa robi mu co dzień dwukrotnie opatrunek. W każdym razie jutro mam go zawieść do Gaczan, gdzie Piotr Rosen ma mu zaprezentować teren do polowania.

Wciąż jeszcze nie przysyłają mi pieniędzy z uniwersytetu, choć już wielki czas.

4 sierpnia, rok 1936, wtorek

Rano miałem trzech studentów do egzaminu. Dwaj z nich – byli to pierwsi egzaminujący się z tego semestru, który dopiero tej wiosny przesłuchał kurs moich wykładów prawa konstytucyjnego ogólnego. Zawsze tacy pierwsi, którzy zdają egzamin bezpośrednio po przesłuchaniu kursu, zdają najlepiej. Są to zwykle chłopcy najdzielniejsi, tak pod względem charakteru, jak inteligencji. Obaj dzisiejsi potwierdzili mi ten wniosek w zupełności. Byli to: młody Janowicz, syn doktora i sekretarza generalnego Związku Narodowców, skaut i sportowiec, i niejaki Patacki, obaj Dzukowie rodem z zaniemeńskiej (suwalskiej) części powiatu olickiego czy też z powiatu sejneńskiego. Z takimi egzamin należy wprost do przyjemności.

Po wczesnym obiedzie pojechaliśmy z dr Gudowiczem do Gaczan. Wizyta ta była z góry zapowiedziana. Chodziło o zaprezentowania prof. Gudowiczowi przez Piotra Rosena terenów do polowania – tym razem na cietrzewie. Choć to na cietrzewie termin urzędowo jest dopiero od 15 sierpnia, ale kontrabandą, zwłaszcza w tym roku, kiedy lato było bardzo ciepłe i suche i wszystko tak

we florze, jak w faunie rozwijało się w tempie przyśpieszonym, można nieco ten termin skrócić. Zresztą prof. Gudowicz jest myśliwy uważny i nie rabunkowy, który zwierzynę kocha i oszczędza; cietrzewi bije tylko samców i z umiarem. A w pobliżu Gaczan tereny na ptactwo są doskonałe: Starańce, Minkuny, Skujina, niziny dolnego biegu rzeczki Audry, błota pod jezioro Sorty, jeziorka, łąki i zarośla w biegu rzeki Świętej... Piotr Rosen zawiózł Gudowicza na wielkie moczary i zarośla pod Minkunami i Tarnowem, gdzie się płodzą cietrzewie. Ja zostałem w Gaczanach i czas spędziłem na rozmowie z paniami Rosenową i Marysią Stawską, spędzającą wakacje u brata. Nie znudziłem się. Byłem w usposobieniu dobrym i łatwym, rozmowny, a panie te są towarzyszkami przyjemnymi. Mniejsza mi tam o ich przekonania i ideały społeczno-narodowe i krajowe; pod tym względem jesteśmy prawie biegunowo przeciwni: ja kocham kraj i jego oblicze litewskie, tak polityczne, jak etniczne, one – są obie Polki zajadłe i wrogie Litwie, spiskujące społecznie przeciwko krajowi i społeczeństwu, w którym mieszkają; jedna – pani Rosenowa – jest namiętną Polką antylitewską, która doświadcza rozkoszy sadystycznej w rozkładowej robocie na szkodę tego, co jest litewskie, druga, Marysia Stawska, cicho, ale skutecznie, odwraca swoje dzieci, które z ojca są rdzennymi Litwinami, od litewskości na rzecz polskości, czyniąc je materiałem polonizacyjnym w Litwie. Krajowo są one obie szkodnice, ale osobiście są towarzysko przyjemne: p. Rosenowa jest mądra, subtelnie spostrzegawcza i ma temperament, choć jest wielką egoistką i umie być wyrachowaną, Marysia Stawska jest swojska i z moich lat dziecinnych towarzyską naszych zabaw i przyjaciółka. O zmroku nasi panowie wrócili z polowania. Rosen nie polował, bo już polować nie może, choć był ongi myśliwym zawołanym. Wzrok ma już bardzo osłabiony i stary już jest, ma lat 70. Może już on tylko za przewodnika służyć. Gudowicz zastrzelił trzy cietrzewie – dwa młode i jednego starego samca. Zachwycony był Gudowicz terenem myśliwskim, który mu zaprezentował Rosen. W ogóle nasze strony bardzo mu się podobają i robią nań wielkie wrażenie. Zdaje się, że będzie on moim gościem wakacyjnym i na przyszłość. Bo też ma tu u mnie wakacje wygodne i rozkoszne. Przy kolacji w Gaczanach był w doskonałym humorze, sypał anegdotami, zwłaszcza, jak zawsze, na księży i, jak zawsze, sam gadał, nic nie słuchając i nie słysząc, co by ktokolwiek inny mówił. Na noc wróciliśmy do Bohdaniszek.

5 sierpnia, rok 1936, środa

Górna część balkonu wreszcie gotowa. Sinica już zdjął rusztowanie i zacznie cementować parter balkonu. Może do mego wyjazdu balkon będzie ostatecznie gotowy. Ładnie wyglądać będzie z barierką żelazną na obu piętrach balkonu, nadającą mu pewną ażurowość delikatną. Cieśla Markow ustawił budkę dla łabędzi w sadzawce przy domu. Budka duża i ładnie wygląda. Robi wrażenie jakiejś budki kąpielowej i ładnie się odbija w wodzie. Jest dla łabędzi budka, ale łabędzi nie ma i zaczynam się obawiać, że ich nie dostanę. Dyrektor kurortu w Kułautuwie pod Kownem, pułkownik Augustowski, jeszcze w roku ubiegłym przyrzekł mi dać parkę młodych łabędzi w tym roku z Kułautuwy. I zimą pamiętał o tym. Na wiosnę byłem w Kułautuwie i widziałem samicę siedzącą na jajkach, ale Augustowskiego wtedy nie zastałem. Pisałem do niego dwukrotnie, raz z Kowna i drugi raz z Bohdaniszek, prosząc o odpowiedź i o wskazanie, kiedy i jak mogę dostać obiecaną parkę młodych łabędzi. Listy moje pozostały bez odpowiedzi.

Po podwieczorku poszliśmy z prof. Gudowiczem i z Feliksem Mackusem, który przyszedł z Narkun nas odwiedzić, na wycieczkę myśliwską. Chodziło o zaprezentowanie Gudowiczowi nowego terenu w Apuszyni. Po drodze, idąc wzdłuż granicy mojej z zaściankami bohdaniskimi, gdzie ma być tej jesieni przeprowadzona nowa droga od dworu do gościńca pod Karwieliszkami, na dużej mokrej łące na mojej ziemi Gudowicz upolował dwa bekasy. Zabił je dwoma celnymi strzałami raz po raz. Z Karwieliszek Nemeikšysa udaliśmy się do Apuszyni, gdzie doktor obszedł z psem chrusty i bagienka apuszyńskie po obu stronach gościńca abelskiego. Teren jest dla cietrzewi i kaczek doskonały, ale dla kaczek jest już za późno, bo wyleciały z gniazd na jeziora, a cietrzewie widocznie tu się nie gnieżdżą, bo w Apuszyni pasą bydło i może przestrzeń jest za mała, tylko zimą i na wiosnę jest ich tu pełno, jak zresztą wszędzie dokoła na wielkiej przestrzeni Kumsz, Gaju, Piełani, łąk popielskich, Gyvatini,

Montowszczyzny, Wiwieliszek, Rudel. W Apuszyni żadnego ptactwa pies nie wytropił, choć dr Gudowicz zainteresował się tym terenem i uważa go za nadający się do wycieczek i studiów myśliwskich na rok przyszły. Wróciliśmy przez Prapultinię. Wracając w sadzawce Diržysa przy drodze pies wypłoszył młodą kaczkę z sitowia, ale już było ciemno i Gudowicz spudłował.

Nie mogę się doczekać pieniędzy z uniwersytetu. Z poczty awizacji nie ma, choć już wielki czas. Tymczasem pieniędzy mi już potrzeba na wypłaty majstrom.

6 sierpnia, rok 1936, czwartek

Miałem dziś zawieźć prof. Gudowicza na wywiad myśliwski na teren dolnego biegu rzeczki Audry od Skujini w dół między Pietraszuny i Ostrów ku jezioru Sorty. Jest to teren cietrzewi, uchodzący za jeden z lepszych, porosły chrustem na niskich łąkach bagnistych. Powiózł nas tam parą koni lokaj Kazimierz. Ale po drodze doktor zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej udać się na Pakienie, o których także słyszał ode mnie i które widział z daleka od Dogil, jadąc do Gaczan. Zdecydowaliśmy się na Pakienie. Pojechaliśmy od Boniuszek dróżką na Krewny. Tu za laskiem, gdy dróżka wkracza na Pakienie, niedaleko od osady Zacharewiczów, stanęliśmy Kazimierz został u koni, my zaś z Gudowiczem ruszyliśmy w zarośla. Rychło pies Aitvaras, niezmordowany wyżeł Gudowicza, wytropił nam w krzakach pierwsze stadko cietrzewi, z którego Gudowicz upolował dwie młode sztuki. Krążyliśmy potem po Pakieniach, trzymając się okolic Dogil i Łasz, długo. Zarośle, chruśniaki, łąki niekoszone, trochę podmokłe, ale w tym roku na ogół suche, po brzegach duże rowy melioracyjne i pólka owsa. Gudowicz był zachwycony terenem. Na stadka młodych cietrzewi mało trafialiśmy, choć parę nowych spłoszyliśmy, ale za to kilkakrotnie natrafialiśmy na stare cietrzewie. Nie upolowaliśmy jednak nic więcej, bo wciąż coś nie dopisywało: i Gudowicz jakoś dziś strzelał gorzej, dwa czy trzy razy chybił, cietrzewie się zrywały, zanim pies zdążył dać „stójkę”, i parę razy pies się rzucił przedwcześnie bez stójki, kilkakrotnie dał „stójkę” mylną. Słowem – było pewne niepowodzenie, ale zwierzyny dużo. Gudowicz był podniecony, oświadczył, ze jest tu na kilka dni „roboty” i że tu przychodzić sam będzie. Imponowała mu rozległa przestrzeń Pakień, która się rozciągają het i het na Krewny, na Norwidyszki, na wsi starowierskie nad jeziorem Sorty. Widać całe morze zarośli. Kilka godzin tak przewałęsaliśmy się aż do zmroku. Wracając koło pięknego lasku w pobliżu miejsca gdzie stały konie nasze, Gudowicz ujrzał sarnę przebiegającą.

7 sierpnia, rok 1936, piątek

Miałem dziś trzech studentów do egzaminu. Byli to znowu chłopcy młodzi, którzy tej wiosny skończyli słuchać u mnie kurs części ogólnej prawa konstytucyjnego i jedni z pierwszych zaraz po przesłuchaniu stanęli do egzaminów. Tacy są zawsze najlepsi i egzaminy zdają tak celującego, że przyjemnie słuchać. Byli to trzech chłopcy z rodzin inteligenckich: a. Stanisław Tomaszewicz, syn byłego ministra komunikacji, b. Jerzy-Olgierd Noreika, syn zamordowanego przed siedmiu laty działacza z obozu narodowców, adwokata Ludwika Noreiki, i c. Algis Šimkus, syn kompozytora Stanisława Šimkusa. Chłopcy dobrze wychowani, delikatni, subtelni, bardzo inteligentni; przedmiot wystudiowali doskonale. Jeden z nich – Tomaszewicz – sławny jest ze wzrostu: uchodzi za najwyższego człowieka w Kownie. Ode mnie o całą głowę z czubkiem wyższy. Prawdziwy wzrost olbrzyma, ale niezmiernie chudy i wątły, tak że robi wrażenie trzciny.

Prof. Gudowicz wybrał się dziś sam jeden pieszo do Pakień na polowanie. Wieczorem z Jadzią i Kazimierzem pojechaliśmy po niego. Upolował cietrzewia i kaczkę. Zmęczył się.

Przed obiadem jeździliśmy z Jadzią do Abel po pieniądze z poczty. Niestety – na poczcie gotówki zabrakło, choć przekaz z Kowna na pieniądze dla mnie przyszedł. Na poczcie abelskiej często się to zdarza. Jadzia będzie musiała jutro drugi raz jechać po pieniądze.

Wyjechała dziś Ewa Meyerowa, która już wraca do siebie do Polski. Biedna Maryńka zostaje osierocona, nie ma nikogo do opieki, ale też nikt jej Ewy nie zastąpi. Zresztą czuje się nieźle. Wyjazd Ewy – to była dla niej tragedia. Ewa wyjechała na pociąg raniutko, ale w tym nagle i niespodziewanie wróciła, bo... znaleziono u niej przy rewizji trochę pieniędzy ponad normę

wywozową. Co prawda niedużo, bo tylko 20 złotych polskich, ale ponieważ ich nie zadeklarowała – zresztą nie w złej myśli, jeno przez nieświadomość, więc skonfiskowano jej te złote i nałożono jeszcze 100 litów sztrafu, a że naturalnie nie mogła zapłacić, więc wysadzono z wagonu. Wróciła zapłakana i poruszona. Musiałem napisać kartkę, zaręczając uiszczenie tego sztrafu, ale zarazem podając usprawiedliwienie Ewy. Marynia ją odprowadziła na następny pociąg, wykłóciła się, no – i moja kartka poskutkowała. Zwolniono Ewę od sztrafu i wyjechała rozpromieniona, że się dobrze udało.

Dzieci – wychowanka Jadzi Renia Bogdanasówna, Stenia Römerówna, mała Fela Jankowska – córka Adeli i wnuczka Kazimierza, i córka mojego improwizowanego ogrodnika mała Antosia Bieliunasówna – mają dwudniową zabawę improwizowanego obozu skautowskiego. Dzień spędzają pod Gajem na Monticulu, tam urządziły sobie namioty, stół, same sobie gotują i ognisko palą, nocują zaś... w budce dla łabędzi na sadzaweczce pod domem moim. Jest to rodzaj teatru dla nich. Same grają i same się cieszą. „Obóz” ten wywołuje ogólne zainteresowanie. Mają dużo odwiedzających z okolicy.

8 sierpnia, rok 1936, sobota

Dzień był bez ostrych wrażeń – nic szczególnego nie zaszło. Ot, taki sobie zwyczajny wiejski letni dzień. Wyznaczałem miejsca do zasadzenia w jesieni nowej serii drzewek dekoracyjnych, które co roku dosadzam i w których się najwięcej kocham. Las i drzewa dekoracyjne we dworze – to moja największa namiętność wiejska. Gdybym mógł – całe bym moje Bohdaniszki zalesił i obsadził drzewami, zostawiając tylko od wschodu wspaniałą perspektywę widoku bohdaniskiego na dolinę prajeziora Sort.

Ekonom mój, Pumpol, znowu zachorował. Zaczyna biedny zapadać na zdrowiu, starość go już chwyta. Prof. Gudowicz go zbadał i stwierdził podrażnienie ślepej kiszki. Apendycyt typowy. Zapalenia właściwego nie ma, ale jest podrażnienie. Profesor radzi zrobić operację wycięcia tej kiszki.

Gudowicz czuł się dziś zmęczony, nie chodził już na Pakienie. Włóczył się tylko trochę po podwieczorku po łoneczkach w polu w kierunku Kumsz i po zaroślach kumszańskich, w których natrafił na stadko cietrzewi i upolował jednego młodego cietrzewia. Co dzień bez pudła mamy zwierzynę. Trochę więcej, trochę mniej, ale zawsze coś jest na obiad. Korzystają na tym kurczęta, które się hodują i nie są zjadane.

Gudowicz, ex-socjaldemokrata, były poseł litewski do Dumy Państwowej w Rosji przed wojną (w roku 1906 czy 1907 w II Dumie), obecnie jest wcale konserwatywny. Radykalizm pozostał mu tylko w zaciekłym antyklerykalizmie i wolnomyślicielstwie. Jest konsekwentny wróg kleru i religii. Poza tym jest liberałem starego autoramentu, sprzyja wszelkim rewolucjom i rządom ludowym, ale społecznie jest konserwatywny, przeciwny feminizmowi, zwolennik dyscypliny rodzimej, ma poczucie ładu społecznego, co dziwnie się z jego popędami anarchistycznymi kojarzy, zresztą jest jowialny bardzo, ze wszystkiego lubi żartować, wszystko traktuje pod kątem komizmu, serce ma bardzo dobre, zacny jest i wrażliwy, gaduła wielki, w gruncie rzeczy pod maską rubaszności – subtelny i bardzo delikatny. Gość z niego nader miły, nie krępujący i łatwy, wystarczający sobie. Pomimo gadulstwa i pewnego zacięcia plotkarskiego, nie tylko znosi, ale nawet lubi samotność. Prawie cały dzień spędza albo w swoim pokoju na studiach dzieł medycznych, albo na polowaniu. Widzimy się tylko na śniadaniu, obiedzie, podwieczorku, kolacji albo gdy mu towarzyszę w wycieczkach myśliwskich lub gdy jedziemy razem, albo wreszcie w ciągu dnia chwilowo, gdy wyprowadza swego psa Aitvarasa na dwór. Wtedy znowu dużo gada, żartuje, zaczepia wszystkich ludzi, każdemu ma coś żartobliwego do powiedzenia – niezmiernie jest łatwy w kontakcie z ludźmi. Cały dwór go zna i lubi.

9 sierpnia, rok 1936, niedziela

Wczoraj koło północy wpadł Julek Komorowski z propozycją dla prof. Gudowicza polowania na kaczki na jeziorach pod Aleksandrówką (Aleksandravėlė). Stamtąd rodem jest starszy parobek Julka, Žemaitis, który przywiózł Julka do Bohdaniszek i pojechał w swoje strony, gdzie czekać będzie jutro Julka z Gudowiczem i służyć im za przewodnika po jeziorach. Gudowicz przystał na projekt, Julek przenocował w pokoju Gudowicza na kanapie i dziś raniutko oboje ruszyli jednokonną kałamaszką na Aleksandrówkę. Jadzia też wyjechała z Renią do Spieczun do swojej siostry Stefci Boreišisowej. Zostałem więc w domu sam jeden; pracowałem, chodziłem na spacer do Gaju. Na obiedzie była u mnie Maryńka ze Stenią, które teraz u mnie co dzień obiad jedzą. Po obiedzie przyszła Elwira i gdyśmy tak siedzieli we troje – przyjechała nagle Elizka Komorowska z synową Oleńką Hektorową. Zabawiły u mnie parę godzin, jadły obiad, herbatę piły, potem poszły do Elwiry i do Maryni. Przed wieczorem wróciła Jadzia, a prof. Gudowicz wrócił dopiero późnym wieczorem z polowania. Zachwycony był widokami pod Aleksandrówką i w kierunku na Bredesy w gminie antuzowskiej, do której zabłądzili. Wzgórza, jeziorka, malownicze widoki, tylko bez tej perspektywy cudownej widoku bohdaniskiego, stanowią rzeczywiście pejzaż uroczy okolic Aleksandrówki i Antuzowa. Na kaczki polowanie jest już teraz trudniejsze, bo już młodzież podrosła, stadka wyleciały z gniazd rodzinnych w bagienkach i kaczki gromadzą się na jeziorach lub się rozsypały po polach i żerują w zbożach i na rżyskach w pobliżu wody. Natrafić na nie można tylko przygodnie, a na jeziorach nie dopuszczają się do siebie na odległość strzału. Gudowicz z Julkiem upolowali trzy czy cztery kaczki, zastrzelone wszystkie przez Gudowicza, i natrafili na jedne stadko cietrzewi, z którego Gudowicz zabił trzy sztuki i Julek – jedną. Kaczki Gudowicz oddał Julkowi do Kowaliszek, cietrzewie – zabrał dla nas.

Gdzieś w jakichś laskach pod Aleksandrówką czy Miczunami widzieli oni w polu sarnę – kozła. Kozioł przebiegł koło nich. Gudowicz zaczął zmieniać nabój i kozioł tymczasem zaczął się oddalać. Nie zdążywszy zmienić nabój, strzelił do kozła śrutem na ptactwo. Może jakiś śrucik trafił, ale kozioł uciekł.

10 sierpnia, rok 1936, poniedziałek

Miałem dwóch studentów ekonomistów do egzaminu, nieźle przygotowanych, ale dość niemrawych. Zdali na stopień „dobrze”.

Poza tym nic szczególnego. Znowu bardzo sucho, a po chłodnym tygodniu ubiegłym jest znowu ciepło.

Prof. Gudowicz większej wyprawy myśliwskiej dziś nie miał. Chodził tylko po polach bohdaniskich i pod Kumszami na koniczynie nasiennej przydybał i upolował wielkiego i ciężkiego starego cietrzewia.

Stan zdrowia Maryni jest niezły. Trochę się ona forsuje, jak dawniej, na kiermasze i po miasteczkach, długi swoje po bankach lokalnych załatwia, nadpłaca, prolonguje.

Prof. Gudowicz obejrzał dziś Kazimierza, który jest już bardzo stary, bo ma lat 76, ale trzyma się na ogół dobrze. Gudowicz stwierdził u Kazimierza coś w nieporządku pod względem żółci, zalecił mu pić karlsbad i sok z rzodkwi czarnej, zalecił nie jeść mięsa. Stan serca stwierdził dobry, lekkie rozdęcie płuc. Za najgorsze uważa brak zębów, który działa ujemnie na cały proces trawienia pokarmów. Na ogół jednak na ten wiek stan zdrowia Kazimierza jest zadawalający.

11 sierpnia, rok 1936, wtorek

Rano pojechałem z Jadzią do Abel. Było trochę interesów – na pocztę, zapłacić podatek w gminie, kupić worek cementu, którego Sinicy zabrakło na dokończenie balkonu, poza tym chciałem być u leśniczego („girininkas”) dla otrzymania pozwolenia na wyrąb paruset jesionów na koła. Jest Moskal, który w przeszłym roku kupił jesiony w części Jadzi, założył pod Gajem warsztat i wyrabiał koła, a teraz chce kupić u mnie. Grubsze jesiony na opał rąbać szkoda, co zimę zaś je wykradają, więc sprzedać można i trzeba, a dla lasu uszczerbku nie będzie. Leśniczego nie zastałem, wyjechał na urlop, rozmówiłem się tylko z jego zastępcą, który sam decydować nie może, jeno zreferuje

leśniczemu. Wieczorem przyjechał on do Bohdaniszek i obejrzał z ekonomem Gaj. Opinię wyraża przychylną.

Wracaliśmy z Jadzią z Abel drogą okólną – gościńcem na Antonosz i Antuzów aż za Opejkiszki, skąd zawróciliśmy na gościniec na Miczuny, gdzie chodziło o zapłacenie starej zaległej należności felczerowi Klišonisowi. Stamtąd wróciliśmy do Bohdaniszek na Bojary-Pokrewnie-Busiszki-Ginduryszki-Gaj. Było gorąco i pył okropny.

Gudowicz po podwieczorku chodził na improwizowaną wycieczkę myśliwską po moim polu górami alei brzozowej pod Gaj, stamtąd łąkami na Prudżalis, dalej drogą na Prapultinię, zaglądając na łąki, i pod Wiwieliszki, gdzie na ziemi Sadowskiego znalazł „zachwycającą" dużą łąkę mokrą. Zastrzelił kuropatwę i kaczkę.

Balkon mój – gotowy. Wygląda bardzo ładnie. Duży, lekki. Przyjechali i rozpoczęli budowę nowej drogi Moskale, których przed dziesięciu dniami umówiłem z rekomendacji Markowa.

12 sierpnia, rok 1936, środa

Po niezwykle gorącym i suchym lecie, jakie mieliśmy tego roku, jesień się zdaje zbliżać szybko. Starego stylu jeszcze dopiero lipiec, a już w polu jarzyny pokoszone i przeważnie zwiezione, ludzie rwą len, noce już zimne i we dnie temperatura już spadła, przestano się kąpać, mgły rankami duże, pajęczyna w dnie słoneczne błyszczy po ziemi, zaczynają się duże wiatry. Ale że i moje wakacje dobiegają końca, więc zbytnio mi ten schyłek lata nie ciąży.

Dawno Adela namawiała prof. Gudowicza, aby się wybrał do Murmy, który ma piękny zaścianek na pasiekach byłego lasu montowskiego, nabytych przezeń przed laty 10 ze schedy Henrysia Wołłowicza po Papie. Są tam błotka (co prawda, w tym roku przeważnie wyschnięte) i zarośla, krzaki, młody las, ciągnący się na dosyć dużej przestrzeni pasiek Murmy, Sadowskiego i Dirżysa (z byłej Montowszczyzny), gdzie ma być dużo cietrzewi i kuropatw. Otóż dziś po podwieczorku wybraliśmy się tam z Gudowiczem. Co prawda, nie znalazł tam ani cietrzewi, ani kuropatw (zresztą po drodze na polach janowskich z jednej łoneczki wyfrunęło duże stado kuropatw, ale bez stójki psa i dosyć daleko od Gudowicza, więc zastrzelić się nie dało), ale upolował (kontrabandą, bo to nie sezon) młodego sporego zająca. Upolował go beze mnie, włócząc się po zaroślach i lesie, podczas gdy ja szedłem naokoło, i schował w lesie. Ponieważ miałem wracać do domu, więc mnie dał zająca odnieść, bo sam się wstydził go nosić jako brakonier. Zając był ciężki ale to mię nie bardzo trapiło. Natomiast i mnie było wstyd nieść i pokazywać się publicznie ze zwierzyną w okresie zakazanym. Szedłem zaroślami, unikając ludzi. Miejscami, gdzie w polu trafili się ludzie, przemykałem się chyłkiem albo zająca kładłem, odchodziłem nieco i czekałem, żeby się ludzie oddalili. Potem wszakże wyszedłem na drogę. Szedłem jak złodziej z moim zającem w ręku. Na szczęście Bóg zesłał Jadzię, która wybrała się konikiem w linijce na moje spotkanie i którą spotkałem pod Prapultinią. Wsiadłem z moim zającem i odjechałem do domu.

Dziś umówiłem Adamonisa z Boniuszek do robienia mi rur do ścieku wody w niskich miejscach pod nową drogę, którą mi już Moskal Szerszniow z towarzyszem zaczął kopać. Rur tych będzie trzeba aż 64 sztuki, w siedmiu miejscach po sześć w każdym miejscu, a w jednym – dwa rzędy po sześć. Każda rura długości po pół metra, przecznicy 11 cali. Płacić będę Adamonisowi po 60 centów od roboty jednej rury z mojego cementu, a cementu dawać będę worek cementowy na cztery rury (cement sowiecki, który najwięcej idzie i jest dobry, a kosztuje po 3 lity 75 centów worek). Ogółem droga ta będzie mię kosztowało ± 500 litów.

13 sierpnia, rok 1936, czwartek

Miałem grupę studentów do egzaminu, ostatnią w tych wakacjach. Zdawało trzech młodych studentów, którzy przesłuchali mój kurs ubiegłej zimy – Piotr Mašalaitis, brat Wincentego Mašalaitisa, naczelnika kancelarii gabinetu ministrów, Balys Stakėnas z Czelk pod Rakiszkami i niejaki Juzulėnas, i studentka-Żydówka, która już przed ośmiu laty przesłuchała mój kurs – Estera Rachela Frokówna. Tylko ta ostatnia zdała celująco, studenci zaś zdali tylko „dobrze"; byli to

chłopcy pracowici, widocznie starannie się przygotowali, ale niezbyt zdolni i bystrzy. Asystował mi po raz pierwszy do egzaminu mój asystent początkujący Feliks Mackus, który właśnie bawił u mnie. Nie mam wrażenia, żeby Mackus rozwinął się kiedyś na wybitniejszego uczonego. Jest dosyć ociężały, a choć jest niegłupi i zdolny, brak mu entuzjazmu do nauki. Asystując do egzaminu, zadawał każdemu z egzaminujących się po jednym pytaniu, ale były to pytania banalne, dotyczące szablonów najbardziej znanych. Zresztą nic dziwnego. Sztuka egzaminowania, zwłaszcza wobec doświadczonego profesora, dla nowicjusza jest dosyć kłopotliwa.

Gudowicz był dziś na polowaniu na Pakieniach, ale nic nie upolował. Pokoszono tam łąki i cietrzewie się rozleciały. Jednego podstrzelił, ale ten tak zapadł w gęste krzaki, że się go znaleźć nie dało.

14 sierpnia, rok 1936, piątek

Z prof. Gudowiczem i Jadzią wykonaliśmy wycieczkę na jezioro Sarty. Wycieczka była na poły myśliwska, na poły rozrywkowa. Czekał nas na jeziorze z łódką Markucha Sinica. Gudowicz z psem Aitvarasem łaził po zaroślach pod Łaszami i Pietraszunami, szukając, zresztą bez skutku, cietrzewi, był też na wysepce na jeziorze pod Strawami w poszukiwaniu kaczek, które mu spod nosa z sitowia wyfrunęły, my zaś z Jadzią i z małym Janiukiem Bieliuniukiem, którego zabraliśmy na wycieczkę, płynęliśmy po jeziorze łódką, którą wiosłował Sinica. Ładna wycieczka, ale jeszcze milsza byłaby kajakiem. Powietrze było ciepłe, ale bez słońca, skłonności do deszczu. Gudowiczowi polowanie się nie udało. W ogóle pod koniec pobytu szczęście myśliwskie mu nie dopisuje. Jak powiada, cietrzewie zastrajkowały.

15 sierpnia, rok 1936, sobota

Ostatni dzień w Bohdaniszkach. Kończą się moje wakacje. Jutro wracam do Kowna – już na całą zimę. Powietrze już się robi trochę jesienne, słońca mało, horyzont zasnuty mgiełką, ale ciepło jeszcze. Prof. Gudowicz wyjeżdża razem ze mną. Dziś przed wieczorem zrobił on ostatnią pożegnalną ekskursję myśliwską w okolicę – na Kumsze i na poszukiwanie jeziorka pakieńskiego. Zastrzelił tylko cyrankę na jeziorze kumszańskim.

Żałuję wyjeżdżać z Bohdaniszek. W Kownie dwa tygodnie będę sam jeden. Jadzia wróci do Kowna dopiero 31 sierpnia.

Tak biegną lata – w kółko to samo – wiosna, wakacje i znów powrót do Kowna na pracę trudną, pełną nie tylko cichej i słodkiej twórczości naukowej, ale także kłopotów administracyjnych i reprezentacyjnych rektoratu. Ale swoją drogą, gdyby tego zabrakło, byłoby ciężej. Człowiek się wdrożył w swoje jarzmo społeczno-zawodowe, które bywa ciężkie, ale ma też piękne chwile.

16 sierpnia, rok 1936, niedziela

Wyjechaliśmy z moim letnim gościem prof. Gudowiczem z Bohdaniszek. Odprowadziła nas na pociąg Jadzia. Wyjechaliśmy z Abel pociągiem prędkim o godzinie drugiej po południu. W Radziwiliszkach przesiedliśmy i przed godziną dziewiątą wieczorem byliśmy w Kownie. Służba bohdaniska była bardzo zadowolona z gościńców od Gudowicza. Kazimierz, Adela i Obutė dostali po 15 litów na osobę, Kazimierz oprócz tego – ładny garnitur szary, niezupełnie znoszony, wcale jeszcze dobry, a nawet elegancki dla Bohdaniszek.

Gudowicz jest, zdaje się, zadowolony ze swojego letniska w Bohdaniszkach i zapowiada się bez ceremonii na rok przyszły. Jak prawie każdy Litwin inteligent ze starszego pokolenia, które źródłami swej młodości i dzieciństwa sięga tego okresu na przełomie wieków XIX i XX, kiedy się w naszym kraju rozpoczęło różniczkowanie starej spolonizowanej lub polonizującej się masy wierzchów społecznych i wydzielania się z niej fermentu narodowego litewskiego, Gudowicz wyszedł z kół o zabarwieniu kulturalnym polskim. Jego ojciec brał udział w powstaniu roku 1863 i uważał się za Polaka, był patriotą; umarł młodo. Językiem domowym u Gudowiczów był polski, choć ojciec Gudowicza był włościaninem. Matka była szlachcianka. Rodzina była tradycyjna,

katolicka, tkwiąca w starej formacji polsko-litewskiej. Gudowicz był oddany do szkół z zamiarem sposobienia go do stanu duchownego. Wszystko zupełnie tak typowo, jak się należy. W gimnazjum w Mitawie, gdzie w tym czasie uczyło się dużo dzieci litewskich, zaczęła się już w środowisku tych uczuć szerzyć idea litewska, która jak fala psychiczna zalewała i litwinizowała wszystkie elementy wrażliwsze. Gudowicz poczuł się Litwinem, w V klasie oderwał się od religii, potem stał się marksistą i socjalistą. Żonaty jest z Chrząstowską z rodziny szlacheckiej ziemiańskiej ze Żmudzi. Jego przyszła żona była studentką (kursistką) i osobiście też się za Litwinkę miała, choć wyszła z domu o tradycjach polskich, a brat jej był Polakiem i Polką zajadłą jest dotąd jej siostra Knochowa, której syn jest jednym z najgwałtowniejszych narodowców w młodzieży polskiej w Litwie. Tak samo, jak się dowiedziałem, z rozdwojenia polsko-litewskiego wyszła też p. Franciszkowa Mašiotasowa, gospodyni domu, w którym mieszkam w Kownie. Pochodzi ona z drobnego ziemiaństwa ze stron poniewieskich, Jasińska z domu. Ona, jej siostra, zamężna za patriotą litewskim, d-rem Bukontem w Jeziorosach, i jej brat doktor – stali się Litwinami, drugi brat – ksiądz Jasiński, wieloletni proboszcz u św. Jakuba w Wilnie, i dwie siostry niezamężne – stali się gwałtownymi Polkami i zajadłymi wrogami wszystkiego, co litewskie. Są to u nas wypadki codzienne z epoki rozdwojenia sprzed lat 30-50; prawie w każdym starszym inteligencie litewskim dają się stwierdzić takie polsko-litewskie paradoksy rodzinne. I najczęściej to różniczkowanie się starej jednolitej masy tradycyjnej, która harmonijnie stapiała pierwiastek polski z litewskim, nie czując zgoła ich dwoistości i nie rozumiejąc antagonizmu między nimi, rozpalało namiętności jednostronne na rzecz bądź litewską, bądź polską, co była zgoła niepojęte dla tego środowiska, z którego ci młodzi wtedy wyszli. I właściwie nie byli renegatami ani jedni, ani drudzy, ani ci, co poszli w kierunku polskim, ani ci , co poszli w litewskim. Bo w ich prototypie oba te pierwiastki były swojskie i żywe.

17 sierpnia, rok 1936, poniedziałek

Spędziłem pierwszą noc w moim samotnym mieszkaniu kowieńskim, w którym siedzę jak pustelnik. Do pracy to idealne, ale brak żywego człowieka i ciepła ludzkiego w domu, na krótko wcale niezły – *à la longue* zaciąży. Zresztą ponieważ wiadomość o moim powrocie z wakacji już się rozeszła (rozgłosiły to gazety jeszcze przed powrotem moim), więc miałem aż nadto wizyt studenckich z rozmaitymi interesami. Odwiedził mię też wieczorem nasz nowy prorektor Purėnas. Rano, gdym dopiero wstał i wypił herbatę z miodem, którą mi przysyła p. Mašiotasowa, wpadł do mnie prof. Gudowicz. Przyszedł sprawdzić, ile ważę. Twierdził on wciąż, że popełniałem, że mi wagi przybyło. Liczył, że ważę już 92 kilo. Tak źle jednak nie jest. Prawda, że mi trochę wagi przybyło, ale nie w tym stopniu. Dr Gudowicz stwierdził na wagach 88 kilo, ale mnie się zdaje, że się trochę pomylił i że jest jeno 87 kilo. Doktor powiada, że mi trzeba będzie trzy kilo wagi zrzucić i niebawem, po powrocie Jadzi, ma mi zastrzyknąć salyrganu. Mniejsza o to. Czuję się wcale dobrze. Ani śladu powrotu senności, która mię męczyła przed chorobą z roku 1934. Tu będę przez te dwa tygodnie pościć dobrze. Jeść będę obiad w Pienocentrasie bez mięsa, wieczorem – szklankę herbaty i owoce, rano szklankę herbaty i trochę wędliny, sera lub czegoś innego.

Byłem w uniwersytecie. Roboty jeszcze niedużo. Aktualne są sprawy budowy. Zacznie się już tej jesieni budować na Aleksocie pawilon Wydziału Technicznego imienia Dariusa i Girėnasa, ale kapitalną budową będzie budowa wielkiej kliniki powszechnej uniwersyteckiej, która ma objąć wszystkie działy kliniczne od chirurgii i ginekologii aż do psychiatrii. Ta klinika stanąć ma w miejscu nie bardzo dogodnym, bo bardzo daleko – aż w okolicy VII fortu, to znaczy het gdzieś na kresach Zielonej Góry w samym końcu miejskiego odcinka szosy wiłkomierskiej. Budowa właściwa ma się rozpocząć dopiero na wiosnę, ale teraz idzie już intensywna praca nad projektami, kosztorysami, układami z inżynierami itd. Ma z tym dużo roboty prorektor Jodelė i komitet specjalny oraz czynniki Wydziału Medycznego.

Zarysowuje się nowy pomysł reformy statutu uniwersytetu. Zastał przysłany na moje imię projekt tej reformy z prośbą ministra Tonkunasa o udzielenie mu moich uwag do tego projektu. Jeszcze go nie przejrzałem. Zamierzam go rozpatrzyć szczegółowo z udziałem kolegów z rektoratu.

18 sierpnia, rok 1936, wtorek

Miałem dziś egzaminy. Teraz do 15 września będę egzaminował po dwa razy tygodniowo. Panna Danutė Gudowiczówna, córka prof. Gudowicza, studentka sekcji prawniczej Wydziału Prawniczego, która obecnie przechodzi na V semestr, to znaczy już przesłuchała moje wykłady tak z części ogólnej prawa konstytucyjnego, jak z prawa konstytucyjnego litewskiego, została tej wiosny wyznaczona przeze mnie na „stanowisko" zarządzającej biegiem prac seminaryjnych i innych funkcji porządkowych w wykończeniu przez moich uczni ich studiów u mnie („konstitucinės teisės seniunė"). Jest to „urząd" oczywiście nieoficjalny, ustalony przeze mnie dla utrzymania pewnego ładu i trybu w tej pracy. Takiemu „funkcjonariuszowi", którego co roku wyznaczam spośród najbardziej porządnych byłych słuchaczy moich V i VI semestru, zaliczam tę funkcję za seminarium prawa konstytucyjnego. Od paru lat wyznaczam na to „stanowisko" studentki. W szczególności do obowiązków takiej „funkcjonariuszki" należy prowadzenie list kandydatów do egzaminów u mnie i przedstawienia mi na każdy termin egzaminowy spisu tych, co mają tym razem zdawać. Gudowiczówna w przyszłym tygodniu specjalnie w tym celu przyjeżdżała z Połągi do Kowna i tu sporządziła mi dwie grupy do egzaminu na dziś i na piątek. Dziś był egzamin z prawa konstytucyjnego litewskiego. Zdawało czterech, w ich liczbie był jeden z celujących studentów moich, Antoni Žukas, chłopiec inteligentny i zdolny, bardzo się interesujący wiedzą i w lot chwytający wszystkie pojęcia, którego mam na względzie jako ewentualnego w przyszłości kandydata do profesury. Naturalnie, że zdał egzamin świetnie. Takiego studenta egzamin – to dla profesora rozkosz.

Dużo tu zastałem listów; niektóre są bardzo ciekawe i ważne, ale przeważnie bardzo przedawnione, datujące się z czerwca i początku lipca. Będą stąd pewne trudności w załatwieniu poruszonych w nich spraw. W szczególności dowiedziałem się z tych listów, że jeden z moich odczytów paryskich z grudnia („Le système juridique del garanties de la souveraineté de la Lithuania sur le Territoire de Memel") już się ukazał w druku w „Revue Générale de Droit International Public"). Natkiewicz mi pisze z Paryża, że wysłał dla mnie 50 egzemplarzy odbitek tego artykułu. Odbitek tych wszakże dotąd nie znalazłem. Jest też list z „Foundation Carnegie", datowany z czerwca, zawiadamiający o przysłaniu mi do przejrzenia i ewentualnego zaaprobowania tekstu mojego odczytu w tej Fundacji na temat Związku Bałtyckiego, z prośbą o rychły zwrot tego tekstu, który ma niebawem być oddany do druku. Tekst ten otrzymałem, ale oczywiście nie przejrzałem go i nie odesłałem, bo otrzymałem dopiero teraz. Tymczasem w lipcu był już drugi list stamtąd z prośbą o przyśpieszenie zwrotu. Obawiam się, że opóźnienie tak znaczne sprawi, że odczyt ten nie trafi już do publikacji, do której Fundacja go przeznaczała. Byłaby wielka szkoda.

19 sierpnia, rok 1936, środa

Czas mi schodzi bardzo cicho i równo. Tęsknię do Jadzi i samotnie mi w domu, bo w całym mieszkaniu tkwię jeden jak kołek. Samotność rozprasza trochę radio, które trzymam stale nastawione. Rano do południa produkuje się radio sowieckie z Moskwy ze stacji imienia Kominternu, której program bardzo mi się podoba, szczególnie gdy są pieśni ludowe, po obiedzie słucham przelotnie Warszawę, ale potem przechodzę na radio francuskie, które mi już gra do końca dnia. Zresztą nie bardzo słucham. Pracuję, a radio sobie gra i gada, co chce. Trochę muzyczka i śpiew mi wpada w ucho, referatów wszakże i w ogóle słowa mówionego nie słyszę wcale, bo nie uważam. Pracuję dobrze. Z domu wychodzę o południu. Idę do uniwersytetu, załatwiam z Gurewiczem sprawy bieżące, przyjmuję interesantów, konferuję z prorektorami Jodelą i Purėnasem, o godz. drugiej idę na obiad do Pienocentrasu, po obiedzie odbywam przechadzkę, zachodzę, gdzie

mam interes jaki, załatwiam jeden-drugi mały sprawuneczek domowy i wracam do mieszkania, gdzie znów pracuję do wieczora.

Odwiedzała mię dziś rano Bronia Rotchengerytė, ale zabawiła krótko. Jest efektowna, choć nieco mizernie wygląda. Działa mi ona mocno na zmysły.

Wśród listów znalazłem list od naszego asystenta Padelskiego, który odbywa studia na rzecz swej dysertacji doktorskiej w Polsce. Pisze mi w czerwcu, że w Warszawie zaprojektowane jest wydanie książki zbiorowej, poświęconej Ludwikowi Krzywickiemu z okazji, zdaje się, pięćdziesięciolecia jego pracy naukowej (Ludwik Krzywicki liczy już lat przeszło 80, ale jeszcze jest czynny w Wyższej Szkole Handlowej). Wydawnictwem tym zajmuje się Krzeczkowski, który przez Padelskiego prosi mnie o udział w tej pracy, mianowicie o artykuł o pracach Krzywickiego w Litwie przed wojną. Studiował on i rozkopywał pilkalnie litewskie na Żmudzi i w stronach bohdaniskich (pilkalnię w Pietraszunach, w Maczkańcach), napisał kilka ładnych prac o pilkalniach i w ogóle studiów archeologii Litwy, stworzył nawet swoją ciekawą teorię pilkalni. W latach 1909 i 1910 przyjeżdżał dla tych prac do mnie do Bohdaniszek. Chętnie bym się tego artykułu podjął, Krzywickiego cenię bardzo i lubię, jeno to niezupełnie moja dziedzina i nie wszystko wiem dokładnie o pracach litewskich Krzywickiego.

20 sierpnia, rok 1936, czwartek

Zaszedłem dziś odwiedzić prof. dr Gudowicza, z którym mię bardzo zbliżył jego pobyt w Bohdaniszkach. Nie zobaczyłem się z nim, bo był zajęty przyjmowaniem pacjentów. Ale wychodząc od niego, przez otwartą od ulicy bramę zajrzałem do dziedzińca jego domu, gdzie, jak mi on opowiadał, zalokowany jest w budzie jego pies i towarzysz myśliwski, piękny i sympatyczny wyżeł Aitvaras. Istotnie w dziedzińcu przy bramie zobaczyłem rodzaj wielkiej klatki, której ściany są z siatki drucianej, a w klatce tej czy raczej zagródce jest duża buda. Z budy wyglądał łeb Aitvarasa. Zawołałem go. Podbiegł, obwąchał mię przez drut zagrody, poznał; skoczył dwoma łapami na ścianę zagrody, chcąc dojść do mnie. Pogładziłem go i odszedłem. Żal mi się go zrobiło. W Bohdaniszkach miał życie królewskie w porównaniu z tym, jakie ma tutaj. Biedne poczciwe psisko. Tam mieszkał w pokoju swego pana na sienniczku pod piecem. Kiedy chciał – podchodził sobie do okna, stawał na nim na dwóch łapach, patrzał i węszył zapachy pola. Sam pan go wyprowadzał na małe przechadzki, Adela go trzy razy dziennie karmiła, a co dzień przed wieczorem miał rozkosz polowania, stanowiącą jego namiętność. Nerwowy pies, gorącego temperamentu, żelaznych mięśni, czujny, niezmordowany w bieganiu po polach, w węszeniu po krzakach, w brnięciu po trzcinach i sitowiach w wodzie. A tutaj samotność, pustka, buda, nudna wegetacja. Poczułem współczucie dla tego biednego zwierzęcia, któremu się dzieje krzywda i gwałt jego naturze. Chyba mu się śnią Bohdaniszki i wycieczki do Kumsz, Pakień itd. Gudowicz tak zasmakował w Bohdaniszkach, że powiada, iż gdybym go nawet nie zapraszał – przyjedzie w roku przyszłym latem.

Rozpoczęliśmy na posiedzeniach rektoratu (ja i prorektorowie Jodelė i Purėnas; sekretarza Blažysa tymczasem nie ma) studiowanie projektu reformy statutu uniwersyteckiego, przysłanego przez ministra Tonkunasa mnie do zaopiniowania. Czytamy tekst przepisów projektu i zestawiamy go z tekstem obecnym statutu. Na razie dziś przejrzeliśmy tylko 13 artykułów. Na ogół projekt reformy nie jest tak zły, jak się u nas z góry spodziewano, wiedząc, że rządy obecnie nie bardzo się lubują w ideach samorządowych i mają skłonność brać wszystko w swoje ręce i rządzić nakazami z góry. Pod pewnymi względami przepisy projektu są bardzo dobre i trafiają nawet do smaku czynnikom akademickim, zazdrosnym o swe przywileje samorządowe. Projekt lepiej i ściślej określa samorząd akademicki, który nazywa „autonomią”, zawiera też przepis, nakazujący ministrowi co do każdej zaprojektowanej przezeń zmiany przepisów statutu, etatów albo wyposażenia profesury – zasięgnąć opinii (wprawdzie nie krępującej go) rektora. To jest przepis bardzo dodatni, który zamyka drogą powtórzenia się takich epizodów, jaki miał miejsce w jesieni ubiegłej z nieszczęsną nowelą do statutu, która wywołała całą burzę. O różnych zmianach mniej lub więcej istotnych, które przewiduje projekt, powiem innym razem. Zresztą na razie przestudiowaliśmy tylko jego początek.

21 sierpnia, rok 1936, piątek

Znowu miałem egzamin, ale do egzaminu stanęło dziś tylko dwoje: jeden student i jedna studentka. Ta biedaczka nie zdała. Widocznie jest histeryczka: zacięła się nerwowo i ani rusz. Bieda z takimi. To zacinanie się studentek, połączone z utratą zupełną zdolności myślenia i rozumienia, to choroba.

Dziś projektu reformy statutu uniwersyteckiego dla braku czasu nie studiowaliśmy. Odłożyliśmy to na poniedziałek. Z jaskrawszych zmian, które dotąd spostrzegłem w projekcie, zanotuję następujące: a. kasuje się jeden z wydziałów, mianowicie ewangelicko-teologiczny; o zamiarze „zawieszenia" tego wydziału mówił mi już w roku ubiegłym minister Tonkunas; wydział ten jest kosztowny, słuchaczy prawie nie ma, a co najważniejsze – nie udało się przeforsować, żeby władze kościelne w Kraju Kłajpedzkim mianowały na stanowisku pastorów dyplomantów tego wydziału; tymczasem głównym motywem założenia tego wydziału było właśnie kształcenie pastorów dla Kłajpedy; toteż aspiranci do stanu duchownego z Kłajpedy pouciekali z tego wydziału za granicę, komplet zaś pastorów w Wielkiej Litwie jest wystarczający; wydział więc ten stracił rację bytu, a pod względem poziomu naukowego jest słaby; projekt statutu w spisie wydziałów po prostu go pomija, co się równa skasowaniu; b. nie tylko rektor i prorektorzy, jak obecnie, ale także dziekani wydziałów mają być podług nowego statutu wybierani przez rady akademickie, jak dotąd (w stosunku do dziekanów – rady wydziałowe), i następnie mianowani przez rząd, przy czym projekt dodaje, że wybrany przez radę kandydat, który nie został mianowany, traci prawo być wybranym na następną kadencję, oraz że jeżeli dwa razy z rzędu nie został mianowany kandydat, wybrany przez radę, to w takim razie minister może sam z własnego wyboru przedstawić prezydentowi kandydata do nominacji; c. członkowie niższego personelu nauczającego (lektorzy, asystenci, laboranci itd.) obecnie byli angażowani uchwałą Rady Wydziałowej i zatwierdzani przez rektora; teraz zamiast rektora zatwierdzać ma minister oświaty. Jest to tylko kilka epizodycznych tez reformy, które mi tymczasem wpadły w oczy. Całości jeszcze nie przestudiowałem.

22 sierpnia, rok 1936, sobota

Jak przed pół rokiem uwaga powszechna była skierowana na wojnę włosko-abisyńską, tak teraz skierowana jest ona na sensacyjne wypadki hiszpańskie – na walkę zaciekłą i okrutną, jaka od miesiąca przeszło się toczy między obozem rządowym tak zwanego „Frontu Ludowego" i obozem powstańców-nacjonalistów, na którego czele stoją generałowie i oficerowie hiszpańscy. Jest to formalna i ciężka wojna domowa, najnamiętniejsza i w okrucieństwie najdziksza z wojen, bo nie ulegająca żadnym prawom międzynarodowym i taka, w której każda ze stron walczących w przeciwniku nie uznaje strony, jeno go traktuje za przestępcę, któremu się należy kara. Ale nie to jest w wypadkach hiszpańskich najistotniejsze i nie przez pustą ciekawość sensacji lub przez wrażenie podniecające okrucieństwo opinia publiczna tak się przejmuje wojną domową w Hiszpanii. W tych wypadkach w sposób najbardziej schematyczny ujawniło się to, co od pewnego czasu stanowi najistotniejszą, choć nieraz maskowaną lub maskującą się rzeczywistość społeczną doby obecnej, przynajmniej u nas w Europie: starcie się bezpośrednie dwóch wielkich i zasadniczych sił, dwóch kategorycznych prądów, które się wzajemnie wykluczają i oba dążą do zapanowania powszechnego: komunizm i nacjonalizm (faszyzm). Wszystkie inne prądziki lub strumyki, które się plączą wśród tych dwóch zasadniczych nurtów i usiłują wyrażać jakieś koncepcje swoje, są tylko nędzą i niedołęstwem i w chwili decydującej, może nawet podświadomie, podporządkowują się któremuś jednemu z tych dwóch zapaśników istotnych. „Front Ludowy" – to coraz bardziej tylko pewna forma ekspozytury rewolucji komunistycznej. Tzw. socjaliści czy „socjalni-demokraci" są w nim li tylko narzędziem komunistów; bądź co bądź zrehabilitowało to rewolucyjnie socjalistów, którzy po Wielkiej Wojnie, przeciwstawiwszy się rewolucji bolszewickiej, byli się stali narzędziem reakcji burżuazyjnej, która na razie posługiwała się nimi ostrożnie i grzecznie, ale gdy się ugruntowała, to potraktowała ich tak, że, zdaje się, zrozumieli oni wreszcie swoją rolę: radykalną nauczkę dał

socjalistom Hitler w Niemczech, to tu mają oni tego dość; wyleczyli się wreszcie i wprzęgli we „Front Ludowy” pod batutą komunistów. Co jednak we „Froncie Ludowym” robią pewne tkwiące w nim grupki „demokratyczne” lewicy burżuazyjnej z różnych przeżytkowych obozów „liberalnych” i „radykalnych” – to chyba nikomu, ani tym bardziej im samym nie wiadomo. Czoło obozu rewolucji komunistycznej i jej ekspozytury obecnej – „Frontu Ludowego” – stanowią Sowiety i Francja, czoło obozu nacjonalistyczno-faszystowskiego, również rewolucyjnego w stosunku do przeżytkowej demokracji burżuazyjnej, stanowią Włochy i Niemcy. W Hiszpanii dziś ich arena pojedynku. Wszystkie inne kraje – tkwią jeszcze w połowiczności, ale się coraz bardziej orientują tu lub tam i grawitują powoli, ale fatalnie ku rozwiązaniom logicznym i ścisłym wielkiego schematu. Tę rzeczywistość schematyczną zaczynają już wyczuwać i uświadamiać wszyscy i do wypadków hiszpańskich ustosunkowują się nie sportowo, ale poważnie i schematycznie.

23 sierpnia, rok 1936, niedziela

Z Diskinem byłem dziś na obiedzie w „Metropolu”. Diskin jest przyjacielem nie tylko moim, ale także Jadzi. Przed dwoma laty, gdym był chory, Diskin widział Jadzi oddanie się mnie i ją ocenił. Wie ode mnie o moim stosunku z Jadzią, o całej romantyce tego stosunku niezwykłego, o której nie piszę w dzienniku i której by zresztą, gdybym pisał, nikt nie uwierzył. Od dawna zdecydowany jestem, gdyby Regina umarła i mnie oswobodziła, ulegalizować mój związek z Jadzią przez małżeństwo. Ależ ba – gdyby Regina umarła! Bynajmniej jej się z tym nie śpieszy i zamiast żeby ona umarła, równie dobrze mogę wpierw umrzeć ja. Wszak przed dwoma laty o mało się tak nie stało. Teraz wprawdzie nie spodziewam się rychło umrzeć, mam nadzieję, że może jeszcze Pan Bóg mi da życia na lat 30 (sic! – miałbym 86 lat), ale bądź co bądź uporządkować społecznie nasz związek wolny z Jadzią należałoby. Przede wszystkim ze względu na nią, następnie ze względu na Bohdaniszki, które w przeciwnym razie po mojej śmierci spadłyby na Celinę (u nas obowiązuje jeszcze prawo o majątkach rodowych, które te majątki wyłącza od dowolnego przekazywania ich testamentem, Celina zaś natychmiast sprzedałaby moje Bohdaniszki w obce ręce), wreszcie przez wzgląd, którego wprawdzie niezupełnie pewny jestem – przez wzgląd na możliwość jeszcze dziecka, gdybym z Jadzią wszedł w zwyczajny stosunek małżeński. Zmienić wyznanie dla wzięcia ślubu w innym (niekatolickim) kościele – przed tym się wzdragam (może mam pod tym względem przesąd z lat dziecinnych i z domu rodzicielskiego, zresztą mam pewien głęboki wstręt przed frymarczeniem wyznaniowym), a zapewne nie przystałaby na to i Jadzia. Od dawna mam utajoną myśl spróbować, wziąwszy wyrok rozwodowy w konsystorzu reformackim w Wilnie, udać się na drogę ślubu cywilnego w Kraju Kłajpedzkim. Wyrok rozwodowy w tym konsystorzu w Wilnie jest; sprawę rozwodową w roku 1932 (czy 1933) wytoczyła mi tam Regina i wyrok zapadł. Regina z wyroku nie skorzystała, nie wybrała go wcale, bo wybranie kosztowało drogo, ze swym nowym oblubieńcem żyła (może i żyje, jeżeli jeszcze nie skończył trwonić jej majątku i nie porzucił ją) bez ślubu formalnego. Otóż ten wyrok rozwodowy mogę wziąć, bo dotyczy mnie i mam już na to uzbierane i odłożone pieniądze. Spodziewam się, że mi to będzie mógł załatwić Wacław Studnicki w Wilnie. Otóż Diskin mi obiecuje, że jak tylko ten wyrok rozwodowy otrzymam, to on, Diskin, załatwi mi wszystkie formalności na rzecz otrzymania w Smolnikach w kraju Kłajpedzkim ślubu cywilnego z Jadzią. Będę próbował. Jadzi się to należy, bo nie tyle moja, ile jej pozycja cierpi na tym nieuregulowaniu formalnym związku. Ale choć się na detalach warunków ślubu cywilnego w Kraju Kłajpedzkim nie znam, to jednak jako prawnikowi, zdaje mi się, że rzecz ta z wyrokiem rozwodowym kalwińskim w Wilnie nie pójdzie łatwo. Urząd, który udzielił rozwodu, nie jest państwowym litewskim i ja nie jestem kalwinem. Nie wiem więc, czy na zasadzie tego wyroku rozwodowego urząd ślubów cywilnych w Smolnikach będzie mógł mi udzielić ślubu. Mam wątpliwości. Ale Diskin jest energiczny i usłużny i rzecz zbada, a zrobi wszystko, co się da i wyszpera wszystkie możliwości lepiej niż ja sam.

24 sierpnia, rok 1936, poniedziałek

Dla Sowietów i ich akcji społecznej mam dużo sympatii, która u mnie wzrasta stale. Byłem sceptykiem akcji sowieckiej za czasów „nepu", ale później, gdy pod rządami żelaznymi Stalina Sowiety nawróciły do planowej rozbudowy założeń społeczeństwa sowieckiego, zdyscyplinowały człowieka i zbiorowość i zainicjowały śmiałą racjonalizację życia społecznego (gospodarstwo planowe, industrializacja „piatiletki", dyscyplina i kultura pracy, kołchozacja rolnictwa), zacząłem się stawać entuzjastą ich wielkiego dzieła. Wiem, że to wielkie dzieło społeczne, które się tworzy na przestrzeniach Euroazji, nie zginie bez śladu, gdyby nawet ten wielki i śmiały tytaniczny eksperyment nie udał się stuprocentowo. Tym więcej mię jednak razi świeżo zakończony w Moskwie wielki proces polityczny tzw. spisku trockistów, w którym szereg wybitnych komunistów ze skompromitowanymi już przed paru laty Zinowjewem i Kamieniewem na czele oskarżony został i skazany za organizację akcji terrorystycznej przeciwko dyktatorom Sowietów – Stalina i jego pomocników, jak Woroszyłowa, Kaganowicza i innym. Do tego oskarżenia nawiązane też zostało zabójstwo Kirowa jako epizod akcji terrorystycznej. Nie wiem naturalnie, ile prawdy, a ile fantazji tkwi w tym oskarżeniu; złośliwi twierdzą, że cały proces został skonstruowany sztucznie dla unicestwienia niedogodnych osób i że jest on tylko epizodem dyktatury, która ze swojej natury musi niszczyć i tępić wszystko, co nie jest całkowicie bierne i bezbarwne i co ma jakiekolwiek cechy indywidualności i samodzielności. Żeby nawet stuprocentowo zasadne było oskarżenie tych szesnastu wybitnych komunistów czołowych, którzy przed laty spełniali najwybitniejsze i najodpowiedzialniejsze funkcje w ruchu, to jednak tryb przeprowadzenia tego procesu był ohydny. Nie było nie tylko humanizmu i najmniejszego uszanowania przeciwnika, ale nawet elementarnej przyzwoitości w traktowaniu zwyciężonych i oddanych na łaskę tych, co ich sądzą. Cały proces był jednym aktem szczucia i pastwienia się. W prasie sowieckiej, w mityngach i rezolucjach, a nawet w przemówieniach prokuratora Wyszyńskiego nie nazywano oskarżonych inaczej, jak wściekłymi psami i innymi takimiż epitetami i rozwinięto taką kampanię wieców, uchwał i protestów masowych, domagających się śmierci oskarżonych, że sąd stał się tylko komedią i aktem terroru. Naturalnie, że wszyscy skazani zostali na rozstrzelanie – inaczej być nie mogło. Nie szkoda tych ludzi, bo ich przywódcy – Kamieniew i Zinowjew – a zapewne i wielu innych z ich sami byli ludźmi nikczemnymi, ale metoda rozdmuchania namiętności i rozpętania najdzikszych instynktów krwiożerczych na rzecz egzekucji tych nieszczęśników – co najmniej nie jest szlachetna i budzi podejrzenie, że istotnie był to tylko epizod walki i przemocy, nie zaś sąd i kara. Wrażenie, powiadam, jest ohydne, wrażenie podłego znęcania się i szczucia, a nie surowej sprawiedliwości. I nie dość na tym. Rozpętano w toku procesu podejrzenia na szereg innych wybitnych działaczy komunistycznych, w ich liczbie na fanatyka komunizmu Bucharina, na świetnego subtelnego publicystę sowieckiego Radka – Żyda polskiego, jednego z najzdolniejszych publicystów politycznych komunizmu.

25 sierpnia, rok 1936, wtorek

Jak wnoszę z komunikowanych wciąż przez radio moskiewskie różnych uchwał i rezolucji społecznych, dotyczących wyroku w rozreklamowanej forsownie przez Sowiety sprawie spisku terrorystycznego „bandy trockistów i zinowjewców", wyrok sądu został już wykonany, to znaczy skazańcy zostali straceni. Na rozstrzelenie byli skazani wszyscy oskarżeni w liczbie szesnastu. Zapewne więc i straceni zostali wszyscy. Jest ta egzekucja paczkowa – ryczałtem. W proces ten Sowiety włożyły tyle namiętności, że o jakimś cieniowaniu indywidualnym winy poszczególnych oskarżonych, ich osobistej wartości moralnej i społecznej, ich zasług poprzednich w rewolucji – nie mogło być mowy. Jest to akt rezurekcji terroru rewolucyjnego z pierwszych lat rewolucji bolszewickiej. Wieje z tego procesu przerażająca groza namiętności. Rezolucje witające wyrok i egzekucję utrzymane są wszystkie w tym samym tonie namiętnej wściekłości i okrutnego deptania i postawienia się nad wrogiem pokonanym. Taniec radosny na męce śmierci, sadyzm triumfu radosnego. Kto wie, co lepsze: czy taka dzicz radosna i sadystyczna terroru rewolucyjnego, czy powaga rozmodlona i zimna terroru Świętej Inkwizycji w średniowieczu. *Ambo meliores!*

Na obiad mię zaprosił prof. Gudowicz. W niedzielę był na polowaniu gdzieś pod Kiejdanami, zastrzelił cietrzewia starego, toteż zaprosił mię na tego cietrzewia. Żona jego nie wróciła jeszcze z Marienbadu, ale była córka, p. Danutė Gudowiczówna. Gudowicz jest, zdaje się, wciąż pod wrażeniem Bohdaniszek. Nie może zapomnieć tego pobytu i tęskni. Wciąż o Bohdaniszkach mówi i marzy, przypomina wszystkie szczegóły, dopytuje o wszystko. Powiada też, że gdybym go na przyszłe lato nawet nie zaprosił – przyjedzie.

26 sierpnia, rok 1936, środa

Wspominałem na wiosnę o wielkim ruchu popularnym, rozwiniętym we Francji i Anglii na rzecz pokoju. Jest to ruch nie ten zwyczajny pacyfistyczny, polegający na prostym nawoływaniu do rozbrojenia, do pielęgnowania uczuć pokojowych, do przeciwstawiania się potędze wojskowej i wszelkim zarządzeniom militarnym, ale ruch szczególny zupełnie. Tamten, w duchu liberalnym, osłabiający prężność samoobrony i gotowość wojskową tych państw, w którym się rozwija, jest z natury defetystyczny i w istocie szkodzi sprawie pokoju; ponieważ znajduje on podatniejszy grunt w tych krajach, które w ogóle mniej są skłonne do wojny i do agresji, więc jest użyteczny dla tych, które rzeczywiście myślą o wojnie, chcą jej i do napaści się gotują, bo to osłabia ich przeciwników i obezwładnia ich przyszłe ofiary. Dzisiejsi agresiści w Europie, w pierwszym rzędzie Niemcy, gotowi by dać premium rzecznikom takiego ruchu we Francji i całej Europie. Obecnie zainicjowany ruch idzie pod hasłem „Wojna wojnie!”; jest to pacyfizm agresywny, ofensywny, wzywający nie do bierności i defetyzmu, ale do wytężenia wszystkich sił i mocy dla szachowania czynnego wszelkich napastników. W szczególności nawiązuje on do Ligi Narodów i jej reformy w kierunku uczynienia Ligi silniejszą, zdolną nakazać posłuch i szacunek prawu i skarcić napastników wszelkiego rodzaju i wszystkich wyłamujących się z dyscypliny prawa międzynarodowego. Chodzi o to, żeby prawo międzynarodowe wyposażyć w sankcje efektywne, dysponowane przez Ligę Narodów, sankcje, które by nie były komedią, jaka się rozegrała w wojnie włosko-abisyńskiej i jaka kompromituje i na śmiech wystawia całą organizację międzynarodową. Chodzi o rozpętanie wielkiego powszechnego ruchu masowego w całej społeczności międzynarodowej, forsującego reformę Ligi. Pomysł ten wychodzi z łona tzw. frontu ludowego, z międzynarodowej akcji sowiecko-francuskiej i poniekąd ze społeczeństwa angielskiego z lordem Cecilem na czele. Wybitnymi niewątpliwie jego instygatorami są komuniści i socjaliści, wciągają się do niego demokraci różnego kalibru, ruch kobiecy i organizacja kościelna. Dąży on do zmobilizowania zrzeszenia na wspólnej platformie wszystkich organizacji i wszystkich czynników, pożądających pokoju i panowania prawa w stosunkach międzynarodowych. Wszystkie te siły żywe a rozproszone chce scementować i rzucić na szalę do walki i do nadania Lidze Narodów odpowiedniej organizacji. W szczególności liczy na wszystkie małe narody-państwa, bez względu na ich kierunek i formę rządu, bo dla nich stanowiska prawa czy wojny jest kwestią życia czy śmierci. Mieliśmy emisariusza tego ruchu z Francji na wiosnę, teraz znowu z Anglii przysłano nam na kraje bałtyckie i Finlandię emisariusza w osobie młodego p. Murawjowa-Apostoła. P. Murawjow-Apostoł jest z pochodzenia Rosjaninem, ale bynajmniej nie emigrantem rosyjskim. Jest katolikiem z urodzenia, urodzonym w Anglii. Już jego dziad przyjął katolicyzm. Po rosyjsku mówi jeszcze, ale bardzo słabo. Zresztą dlatego przysłano właśnie jego, że po rosyjsku rozumie, co w krajach bałtyckich, jak sądzą na Zachodzie, ma walor. Dobrze mówi po angielsku, francusku i niemiecku. Dziś mieliśmy z nim naradę. Chodzi o wysłanie delegacji na kongres wielki tego ruchu, mający się odbyć w pierwszych dniach września w Brukseli.

27 sierpnia, rok 1936, czwartek

Emisariusze wielkiego ruchu popularnego na rzecz agresywnego pokoju i usprawnienia Ligi Narodów pragnęliby, aby małe narody-państwa rozwinęły u siebie także odpowiedni masowy ruch popularny i wzięły masowo udział w wielkim kongresie brukselskim we wrześniu. Emisariusz Murawjow-Apostoł objechał obecnie Finlandię, Estonię, Łotwę i Litwę. Z zastrzeżeniem co do pewnych kół fińskich (u Finów na gruncie ich aspiracji karelskich i przeto antysowieckich żywe są

sympatie dla militaryzmu niemieckiego), w państwach bałtyckich emisariusze stwierdzają jednolite sympatie dla ruchu tego bez względu na kierunek polityczny i na formę rządu. Ale w naszych krajach o ruch masowy jest trudno, bo w ogóle tętno mas jest słabe, a na poruszenie organizacji istniejących, które niewątpliwie reagowałyby sympatycznie na tę ideę, czas jest nieodpowiedni i mało jest czasu. Poza tym i koszta jazdy do Brukseli są duże. Jonynas, który całą tę akcję u nas przedstawia i organizuje (pod formalną firmą „komitetu", w którym figurują na czele nazwiska moje i Janulaitisa), zabiega teraz o znalezienie i wyekspediowanie delegatów litewskich na kongres. Prezes ministrów Tubelis i minister spraw zagranicznych Lozoraitis sprzyjają tej akcji i gotowi są dać ułatwienia co do wizy, ale nie finansuję jazdy i robią zastrzeżenia co do osób, które by pojechały. Obawiają się trochę, aby przedstawiciele kół opozycyjnych, pojechawszy tam, nie zaczęli tam krytykować sytuacji politycznej wewnętrznej. Taki wypadek zdarzył się właśnie świeżo z prof. Pakštasem, zdecydowanym klerykałem. Niedawno bawiła w Litwie wycieczka grupy katolików francuskich. Na przyjęciu tych gości u posła francuskiego p. Dulonga był też obecny w liczbie zaproszonych Litwinów Pakštas, który w rozmowie zaczął twierdzić, że w Litwie prześladowanie katolików nie ustępuje wcale prześladowaniu tychże w Hiszpanii.

28 sierpnia, rok 1936, piątek

Kto wie – kto lepszy: mężczyzna czy kobieta? Zresztą – co to jest „lepszy"? Jakie jest kryterium tej „dobroci" i „lepszości"? Który z dwojga – mężczyzny czy kobiety – jest wartościowszy? Czytam obecnie Weiningera w tłumaczeniu polskim pot tytułem: „Płeć i charakter". Ta książka – dziś już stara – w swoim czasie, przed laty 30, za mojej młodości, była głośną i stanowiła sensację. Weininger występuje w niej jako wróg zdecydowany kobiety. Uważa ją za istotę niższą, pośledniejszej natury pod wszelkimi względami. Nie umie ona myśleć, obce są jej pojęcia, obce wszelkie tęsknoty głębsze i dążenia większe, czuje wrażeniami elementarnymi, nie ma zmysłu nieśmiertelności, nie umie się wyemancypować z więzów czasu, w którego potoku jest pochłaniana, nie posiada pietyzmu względem siebie, jest cała bez zastrzeżeń płciowa, w zmyśle płciowym się streszczająca. Taki jest pierwiastek kobiecy podług Weiningera. Czy tak jest w istocie? Wątpię. Są to paradoksy. Weininger, który miał tyle pogardy głębokiej dla kobiety, sam był, zdaje się, zboczeńcem psychicznym: skończył samobójstwem. Jego twierdzeniom przeczą kobiety, które w moim życiu odegrały rolę kapitalną: Mama, Anninka, Jadzia. Nieprawdą jest, jakoby kobieta była tylko płciową. Kobieta przede wszystkim jest wierną i jest szczerszą w stosunku z mężczyzną. Gdy się oddaje mężczyźnie, to się oddaje cała, nie tylko aktem płciowym, ale całą intuicją i całą siłą uczucia, które ma wielkie. Mężczyzna jest namiętniejszy od niej; akt płciowy jest dla niego celem w sobie, dla kobiety – jest on tylko środkiem, ale za to środkiem, który jest, jako zasada, nieodłączny od celu. Stąd pochodzi, że mężczyzna, kochając szczerze i głęboko jedną kobietę, może wykonywać akty płciowe z rozmaitymi: jest to dla niego akt sztuki, akt, w którym on się z kochanką przelotną nie stapia, jak się w tym akcie stapia kobieta. Tzw. zdrada małżeńska, „złamanie wiary", „cudzołóstwo" – w mężczyźnie śladu nie zostawia i jego od kobiety kochanej nie odrywa. Gdy wszakże kobieta się odda obcemu mężczyźnie – to jej związek z mężem stałym zostaje zerwany, bo ona połowiczną w tym akcie być nie umie i nie może. Biedne kobiety sprostytuowane są albo męczennicami, albo straciły (może nie miały) kobiecość. Męczennice mogą się podnieść, ale te, co się prostytucji oddają *con amore* bez żalu, są tylko lalkami uciechy – słodkimi i wspaniałymi dla głodnego samca, ale zgubionymi w kobiecości. Właściwie prostytucja jest przeciwna naturze kobiecej; kobieta musi mieć jednego kochanka-męża, podczas gdy mężczyzna może mieć harem, ale tylko kochanek, nie żon. Kobieta może być albo żoną, albo kochanką haremową, ale nie prostytutką do użytku powszechnego. Żonę i mężczyzna może mieć tylko jedną, a gdy ją ma i gdy czasem w zaćmieniu namiętności wyładuje swój wulkan płciowy na przygodną kochankę lub lalkę sprostytuowaną, to jeszcze gorącej i z bolesnym poczuciem winy i krzywdy kocha swoją wierną żonę, nad którą nie ma dlań większej świętości. Ba – może to tylko banalne rozumowanie. Z pewnością – banalne.

29 sierpnia, rok 1936, sobota

Bzdurstwo wszystko, co napisałem wczoraj o kobietach-prostytutkach. To nieprawda. I nieprawdziwa jest ich klasyfikacja na męczennice nieszczęśliwe i na lalki. Lalek wśród nich nie ma. We wszystkich jest człowiek. Jeżeli w jednych, szczególnie nieszczęśliwych, jest umęczona kobieta, to i w tych innych w każdym razie jest żywy człowiek. Gdyby go nie było – nie miałyby klientów. Bo mężczyzna w akcie płciowym bądź co bądź zawsze szuka człowieka i pożąda człowieka żywego w najrozmaitszych jego wyrazach i odmianach. Posiadanie manekina nie daje nic i wątpię, czy zdrowy mężczyzna zdołałby dla manekina zapłonąć choćby przelotną namiętnością płciową i być w stanie go posiąść aktem męskim. W każdej dziewczynie, nawet ulicznej, w każdej kobiecie, którą mężczyzna posiada, węszy on i spożywa coś z człowieka. Bo w akcie posiadania płciowego jest więcej niż dotyk fizyczny – jest także czucie psychiczne i intuicja chłonięcia, wrastania w treść ludzką fizyczną i psychiczną, panowania i gwałcenia formy ludzkiej i ludzkiego wyrazu. Każda kobieta posiadana to daje, chce czy nie chce. Kłamać może słowo kobiety, ale nie kłamie nigdy budowa ciała, ruch, oko, wyraz, grymas, skurcze mięśni, cała ta księga żywa, która bez słów przemawia pewną treścią psychiczną i pewnymi stanami czucia oraz pewnymi pierwiastkami danego człowieka. Słowo jest konwencjonalne, ciało – psychicznie treściwe. W akcie płciowym rozmowy – „konwersacji” konwencjonalnej – nie ma.

Ale dziewczyna z ulicy, kobieta przygodna, którą się posiada bez miłości, jest tylko formą, którą mężczyzna musi czytać w akcie płciowym i której treść zgaduje i dopełnia intuicją, a nawet kompozycją własną. Dziewczynę posiadaną nie tylko czyta, ale poniekąd nawet sam tworzy. Wyciska z niej maksimum tego, co ona mu może ze swej jaźni ludzkiej dać; dlatego lubi ją na przykład upoić, podniecić, żeby z niej więcej jej wyrazu właściwego wyciągnąć, albo też ją podchodzi, gra na jej uczuciach, rozrzewnia lub rozbestwia, rozdrażnia, męczy, żeby z niej wydobyć na jaw to, co jeszcze w niej jest ukryte – bądź rozmyślnie chowane, bądź uśpione, nieuświadomione. Mężczyzna w akcie płciowym jest zawsze drapieżny i dziki, nawet gdy jest obłudnie serdeczny. Ale nigdy te przygodne akty płciowe, choć odpowiadają haremowej naturze mężczyzny i dają mu jaskrawość fikcji, które w dużym stopniu sam fantazją swą dotwarza, nie zastąpią mężczyźnie głębi i pełni związku z kobietą kochaną, która mu jest wierną i cała się weń wlewa i oddaje sama, promieniejąc wszystkimi blaskami całej swojej treści i natury i udzielając mu wszystkie swe wzruszenia i całego człowieka w jego elemencie kobiecym. Dlatego też przelotne akty płciowe mężczyzny z dziewczętami przygodnymi na stronie są właściwie tylko jakimś narkotykiem, którego kapryśna natura męska pożąda, ale po którym tym większa otwiera się w nim pustka i tęsknota do tego związku szczerego miłości, związku trwałego, w którym dopiero jest prawda i treść niefałszowana. Jest coś w mężczyźnie dzikiego, co się w nim od czasu do czasu budzi jak zwierz i pędza go po bezdrożach i rozdrożach jakichś mamideł i ogników błędnych, które go łudzą i pryskają, gdy je chwyta. Wie o tym, bo to już wielokrotnie doświadczył i przekonał się, a jednak od czasu do czasu coś go znów nieprzeparcie wypędza na te bezdroża, z których wraca smutny i zawstydzony, winny i zbolały, a kochający jeszcze bardziej tę kobietę, która jest dla niego jedyną.

30 sierpnia, rok 1936, niedziela

Przesiedziałem cały prawie dzień w domu, tylko poszedłem na obiad do Pienocentrasu i wykonałem przechadzkę. Dzień był pochmurny, nawet słotny. Ostatni dzień mojej samotności i obiadów w Pienocentrasie. Wcześnie ukończyłem moją „porcję” roboty dziennej i czekałem na Onutę, która już dziś autobusem z Bohdaniszek przyjechać miała. Doczekałem się jej dopiero późnym wieczorem, nawet późnej nocy. Przyjechała po północy, przywiozła ogromne paki bagażu. Jutro wieczorem pociągiem przyjedzie już na zimowe leże i Jadzia, która skończyła młockę w Bohdaniszkach.

31 sierpnia, rok 1936, poniedziałek

Nareszcie dziś doczekałem się Jadźki. Okres mojej samotności pracy zawziętej w domu wśród czterech ścian – skończony. Odtąd wchodzę w tryb normalny życia domowego. Jadzia wygląda doskonale, zdrowo, wesoło, czerstwo. Wymłóciła całe zboże, zebrała pomidory, jabłka, których część sprzedała, uporządkowała wszystko w gospodarstwie. Słowem, jak zawsze, okazała się dzielną prawą ręką moją w Bohdaniszkach. Przywiozła ze sobą naturalnie Renię, która już do szkoły iść musi, i odwiozła Stenię, którą zabiorą jej rodzice. Marynia w Bohdaniszkach jeszcze została; dopiero w końcu tygodnia przyjedzie tu na rentgenizację.

Na uniwersytecie w gronie kolegium rektorskiego (obaj prorektorowie – Jodelė i Purėnas – i sekretarz Blažys) skończyliśmy dziś rozpoznawanie nowego projektu zreformowanego statutu uniwersyteckiego. Na ogół projekt jest wcale niezły. Pod pewnymi względami jest nawet bardzo dobry. Przede wszystkim jest logiczniejszy w strukturze; cały szereg przepisów jest przeredagowany z daleko dokładniejszą ścisłością i systematycznością niż dotąd. *In meritum* jest też szereg reform dodatnich. Rada uniwersytecka, stanowiąca ogólne zebranie profesury, która jako organ masowy jest ciężką maszyną, trudną do uruchomienia i nie nadającą się do szybkich i ścisłych decyzji, jest w tym projekcie statutu pozbawiona większości swych dotychczasowych funkcji, które przeniesione zostały na senat akademicki. Jest to logiczne i praktyczne, bo senat jest tym organem akademickim, w którym kojarzą się obie zasady organizacji – wydziałowa (przez dziekanów) i ogólnoakademicka unitarna (przez kolegium rektorskie, stanowiąca emanację reprezentacyjną jednolitej powszechnej Rady Uniwersytetu. Logicznie wykończona jest też sankcja rządowa, niezbędna do funkcjonowania organów samorządu akademickiego w postaci zatwierdzenia rządowego dziekanów, sekretarza uniwersytetu i sekretarzy wydziałowych, oraz w szeregu innych zarządzeń tej natury. Jedyną i największą wadą projektu reformy, którą stwierdziliśmy, jest udzielenie czynnikom rządowym dyskrecji władzy odwoływania nominacji lub odwoływania udzielonego zatwierdzenia w ramach kadencji organów akademickich. Uważamy, ze jeżeli już takie prawo odwołania byłoby konieczne, to w każdym razie nie powinno by ono być dyskrecyjne, jeno połączone z pewną procedurą o charakterze bądź co bądź dyscyplinarnym.

1 września, rok 1936, wtorek

Z wielką pompą dokonane zostało otwarcie Sejmu, którego Litwa nie miała od lat dziewięciu. Wybory jednak dokonane zostały w takich warunkach, że wszyscy demokraci, którzy się stale domagali Sejmu, dziś nie tylko się nie cieszą z niego, ale go wręcz nie uznają i protestują przeciwko niemu, nazywając go „Sejmem” w cudzysłowie, parodią tego, czego się opozycja domagała. Nie uznają też zgoła tego Sejmu grupy rewolucyjne, dla których Sejm jest dobry o tyle, o ile służy przeciwko rządowi. Natomiast rząd, koła rządowe i narodowcy rządowi, którzy przez lat dziewięć słyszeć o Sejmie nie chcieli i uważali wszelkie domagania się zwołania Sejmu i wszelką wzmiankę o nim za coś wrogiego rządowi, a sam wyraz „Sejm” uchodził u nich za coś obrzydliwego, za synonim rozkładu i jałowych intryg partyjnych, parcelujących Litwę, teraz stali się nagle entuzjastami i chwalcami Sejmu i „przedstawicielstwa narodowego”. Słowem, wobec takiego Sejmu, jaki udało się obecnie skonstruować rządowi, tosunek obozu rządowego i opozycji zmienił się na wspak.

Koła opozycyjne i rewolucyjne zapowiadały na dzień otwarcia Sejmu strajki i jakieś gdzieś ewentualnie manifestacje. Władze też się obawiały jakichś zajść. Naturalnie zmobilizowana była policja, wojsko. Podobno gdzieś były strajki, robotnicy opozycją swą zaznaczyli, ale na zewnątrz było cicho. Żadnych zajść. Na wszystkich gmachach powiewały sztandary. Naturalnie, jako rektor miałem na otwarcie Sejmu zaproszenie do loży. Sala sejmowa mieści się w Pałacu Sprawiedliwości. Tam ją zrobiono specjalnie na ten cel, ale ponieważ w czasie wykańczania pałacu tego Sejmu nie było, więc po raz pierwszy sala ta Sejm ujrzała. Jest ładna, ale akustykę ma okropną – nic nie słychać w lożach; trzeba będzie chyba głośniki i kondensatory dźwięku stawiać. Otwarcie Sejmu było wyznaczone na godzinę dziesiątą rano. Przed gmachem była policja, wojsko. Dosyć dużo publiczności gromadziło się na wylotach ulic, przyglądając się widowisku. Na sali loże były pełne. Publiczność – przeważnie za zaproszeniami, ceremonialna i uroczystościowa. Na sali ustawionych

było siedem rzędów pojedynczych pulpitów poselskich z ławeczkami, siedem rzędów i w każdym rzędzie siedem pulpitów w głąb jeden za drugim, ogółem 49 pulpitów stosownie do liczby 49 posłów. Posłów rozmieszczono alfabetycznie. Nie stawiło się tylko trzech posłów – dwóch księży i jeszcze ktoś. Obecny był tylko jeden poseł ksiądz kanonik i zapewne prałat z Jurborka (Bitinas?). Z bardziej znanych osobistości śród posłów – Kontroler państwowy Šakenis, wiceminister finansów Indrišiunas, burmistrz Kowna Merkys, ustępujący gubernator Kłajpedy Kurkowski, minister rolnictwa Putwiński, minister spraw wewnętrznych Čaplikas, sekretarz generalny narodowców Janowicz i jeszcze jeden-drugi. Większość – *homines novi* w wielkiej polityce, ludzie z prowincji. Obecni też wszyscy trzej posłowie z Kłajpedy – orientacji niemieckiej, włościanie miejscowi, Litwini zresztą z pochodzenia, Pakalniškis („Pakelnischkies"!) i dwaj inni. Będzie to zapewne jedyna „opozycja" sejmowa. Zdaje się, że cały Sejm będzie się rozpadał na dwie „frakcje": z jednej strony – trzech Kłajpedczyków, z drugiej – wszyscy inni posłowie. Żadnych mniejszości narodowych w Sejmie nie ma. Wszyscy posłowie złożyli przysięgę wyznaniową – gremialnie; ogromna większość – przysięgę katolicką, kilku (Kłajpedczycy i bodajże Żołkowski, brat podprokuratora Trybunału i asystent Wydziału Prawniczego) – ewangelicką. Nie znalazł się ani jeden, który by zażądał zamiast przysięgi wyznaniowej przyrzeczenia uroczystego.

2 września, rok 1936, środa

Z przyjazdem Jadzi moje życie w mieszkaniu się zmieniło. Poprzednio byłem przez cały dzień w mieszkaniu sam. W całym mieszkaniu sam jeden jak kołek. Dokoła pustka i cisza. Żaden dźwięk, żaden ruch. Tylko radio przemawiało do mnie, gdym je nastawiał; czasem jakiś interesant się zabłąkał. Teraz mieszkanie wre życiem. Rusza się i krząta Jadzia, Onutė sprząta pokoje albo coś w kuchni robi, Renia się rusza (objęła ona po Andrzeju jego biureczko w pokoju jadalnym i śpi na miejscu Andrzeja w okrągłym ciemnym pokoju środkowym). Na obiedzie mamy co dzień Mackusa, który bawi w Kownie. Dziś był na obiedzie także Ejdukiewicz. Stenię zabrała już do Szaszewicz Marysia Stefanowa. Jadzia kupiła dziś sobie sofę z wnętrzem, w którym składane będą kołdry. Na sofie tej sama spać będzie. Sofę tę wybraliśmy razem w składnicy mebli. Drogi to mebel – 280 litów, ale ładny i wygodny.

O Sejmie nic nowego. Na otwarciu wczorajszym poza przysięgą, złożoną przez posłów, miało miejsce orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej, które on sam odczytał stojąc. Posiedzenie Sejmu otwarte zostało przez prezesa ministrów Tubelisa. Prezydium tymczasowe powołane zostało przez rząd: na marszałka Sejmu powołany został tymczasowo Šakenis, poza tym do prezydium tymczasowego weszli Borkowski i Janowicz. Przypuszczają, że po przyjęciu przez Sejm statutu ci sami trzej posłowie wybrani zostaną do prezydium stałego. Wieczorem wczoraj Sejm *in corpore* wraz z kompletem rządu udał się na Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie marszałek złożył wieniec. Potem Sejm wybrał komisję statutową, do której weszli Merkys, Indrišiunas i trzech innych. Złośliwi powiadają, że przez wybór tych osób Sejm zamanifestował pewną niezależność od rządu, albowiem Merkys i Indrišunas są przeciwnikami tego projektu statutu sejmowego, który został latem opracowany przez Radę Stanu (projekt Šilinga) i który rząd chciał Sejmowi podsunąć. Czy tak jest w istocie – nie wiem.

3 września, rok 1936, czwartek

Odbyło się pierwsze w nowym roku akademickim posiedzenie senatu. W personelu senatu akademickiego jedynym nowym człowiekiem jest prof. Blažys, obecny sekretarz uniwersytetu. Dziekani wydziałów są wszyscy ci sami (Kuraitis, Krėvė-Mickiewicz, Janulaitis, Lašas, Žemaitis, Jokubėnas, Grinkiewicz), z członków zaś zwierzchności ogólnoakademickiej ja, Jodelė i Purėnas także zostaliśmy ci sami, jeno Purėnas zmienił tytuł sekretarza na prorektora.

Ze spraw bieżących, które dziś zostały załatwione, zanotuję tylko wybory członków rady gospodarczej na nową kadencję trzyletnią. Członków tylko wybiera senat czterech. Ustępującymi

byli profesorowie: Jurgutis, Żyliński, Kawecki i Michał Biržiška. Wybrani zostali: Jurgutis, Żyliński, Šimoliunas i Kazimierz Ślażewicz.

Zreferowałem senatowi główne tezy projektu reformy statutu akademickiego, zakomunikowanego mi przez ministra oświaty Tonkunasa. Ponieważ jeszcze z ministrem w sprawie tej nie konferowałem, więc na razie tylko ograniczyłem się do referatu informacyjnego. Uważam, że należy się udzielić senatowi ten projekt do rozpoznania i do wyrażenia o nim swoich uwag, ale to będę mógł ewentualnie uczynić dopiero po zobaczeniu się i pomówieniu z ministrem i poinformowaniu się o charakterze projektu. Zdaje mi się, że to jest dopiero „avant-projekt". Członkowie senatu – dziekani – przyjęli projekt, który im jeno zreferowałem w głównych tezach, na ogół dość niechętnie. Zwłaszcza z wielkim przekąsem wyrażał się o nim zaciekły i zasadniczy wieczny opozycjonista Krėvė-Mickiewicz, który skłonny jest przesadnie zawsze traktować wszystko, co pochodzi od rządu i dostrzegać, a nawet węszyć w tym li tylko rzeczy złe. Uważa on, nie usiłując wcale bardzo analizować, ze w projekcie tym z samorządu uniwersyteckiego nic zgoła nie pozostało, co jednak tak nie jest, choć niewątpliwie są w nim, obok pomysłów dodatnich, także ujemne. W szczególności najwięcej się dziekanom nie podobały dwie rzeczy – zatwierdzanie dziekanów i innego personelu, zwłaszcza zaś to, że dziekani, skoro już ich wybór ma być przez czynniki rządowe sankcjonowany, byliby nie mianowani przez Prezydenta Rzeczypospolitej, jak są mianowani członkowie rektoratu i profesorowie, ale zatwierdzani przez ministra oświaty na równi z docentami prywatnymi i niższym personelem naukowym. Druga rzecz, która obchodzi zwłaszcza Wydziały Humanistyczny i Matematyczno-Przyrodniczy, to większe uzależnienie tych dwóch wydziałów od ministra oświaty nawet w sprawach nauczania. Dziekan Wydziału Technicznego Grinkiewicz, wielki dureń i małej wartości człowiek, usiłował napadać na mnie i członków rektoratu, że się odważamy studiować projekt i wyrabiać o nim swoje zdanie, nie zasięgnąwszy opinii senatu. Oburzyłem się na niego mocno za posądzenie uzurpacji.

4 września, rok 1936, piątek

Przyjechała wieczorem z Bohdaniszek Marynia. Będą jej tu w klinice Czerwonego Krzyża robili rentgenizowanie. Zdrowie jej nienajlepsze. Słaba jest, ciężko jej chodzić, nic podnosić nie może, męczy się stojąc; w ostatnich czasach miewała bóle w brzuchu, choć niezbyt silne. Rak daje się jej jednak we znaki. Choć nie wie dokładnie, że ma raka, ale domyśla się trochę, a przynajmniej tyle, że sądzi, iż zagrożona jest rakiem i że jej wycięto macicę dla usunięcia początków raka, który się może powtórzyć. Trzeba by jej było spokoju zupełnego, opieki starannej i usunięcia wszelkich trosk. Ale o to trudno. W Bohdaniszkach jest sama, mąż jej nie rozumie jej stanu, sama jeździ dużo to na rynek, to za interesami pieniężnymi, w mleczarni też często bywać musi, co ją męczy bardzo, trapią ją też kłopoty pieniężne.

Byłem u Mašalaitisa na posiedzeniu naszej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Chodziło o motywy prawnicze do wetowania przez gubernatora kilku niedogodnych dla Litwy ustaw autonomicznych, przyjętych przez sejmik kłajpedzki. Obecny też był gubernator Kłajpedy Kurkowski, który, jak się okazuje, nie ustąpił wcale z tego stanowiska, choć już gazety o tym podały i wskazały jego następcę w osobie obecnego starszego notariusza Kubiliusa.

Mašalaitis i ministrowie są zajęci cackaniem się z Sejmem. Jak wspominał Kurkowski, który sam jest posłem w Sejmie, Sejm chce się zabrać do kategorycznej przeróbki konstytucji. Podobno w kołach poselskich panuje energiczny duch „ofensywny" w stosunku do tej konstytucji. Zdaje się, że żadnych wątpliwości co do tego, czy obecny Sejm jest konstytucyjnie uprawniony do reformowania konstytucji w warunkach obecnych, gdy jest ona dopiero wnioskiem konstytucyjnym, zgłoszonym po przewrocie przez Prezydenta „narodowi" i dotąd przez naród nie przyjętym jeszcze, w kołach sejmowych i rządowych nie ma. Sejm jest, jak dotąd, rzeczywiście, jak się zdaje, izbą „*introuvable*" dla rządu.

5 września, rok 1936, sobota

Byłem u ministra oświaty Tonkunasa. Rozmawiałem z nim o ułożonym przezeń projekcie reformy statutu akademickiego. Istotnie jest to dopiero „avant-projekt”. Projekt ma być dopiero ułożony. Zreferowałem ministrowi moje zastrzeżenia główne. Co do wielu z nich minister sam ma pewne wątpliwości.

6 września, rok 1936, niedziela

Brzydki mamy wrzesień, zimny, dość słotny. Należy się to po bardzo pięknym i słonecznym lecie.

Z domu mało dziś wychodziłem. Byłem tylko na czekoladzie w kawiarni Konrada z Jadzią. Maryńka zabawi w Kownie parę tygodni. Będzie chodziła co dzień do kliniki Czerwonego Krzyża na rentgenizację.

Przychodził po obiedzie Diskin. Jedzie on na parę tygodni do Ukrainy sowieckiej odwiedzić brata.

W gazetach są już wieści o mającym rychło nastąpić przyjeździe Tadeusza Römera (antonoskiego), który jest posłem polskim w Portugalii, a więc ma tytuł ministra. Naturalnie, że dodają do tego wnioski o uczuciach przyjaznych Tadzia dla Litwy i o rzekomych zamiarach jego przyczynienia się do pojednania Litwy z Polską. W istocie przyjazd jego jest najzupełniej prywatny i żadnych zgoła celów politycznych i orientacyjnych nie ma. Sam się wystarałem dla niego od Lozoraitisa o pozwolenie na wjazd do Litwy. Chodzi mu li tylko o losy Antonosza.

7 września, rok 1936, poniedziałek

Zaprosiłem dziś na obiad Glikmana, młodego prawnika z Paryża, którego tam poznałem ubiegłej zimy w czasie mojej paryskiej kampanii odczytowej. Glikman, Żyd, syn rodziców zamożnych z Litwy, którzy przed wojną mieszkali w Rosji i mieli tam fabrykę, rodem z Jezioros, szkoły i studia uniwersyteckie odbywał w Paryżu; ukończył już tam wydział prawniczy i tam się teraz doktoryzuje. Do Litwy przyjechał tej wiosny dla odbycia powinności wojskowej, którą odbywa w Kownie, a w tej chwili korzysta z urlopu. Jest to typ dość oryginalny i ciekawy. Trochę jest wścibski, wszędobylski, natrętny, ale bardzo ruchliwy, pełny różnej inicjatywy, do upadłego czynny, kombinator. On to właściwie był pierwszy, który poruszył myśl zaproszenia mię do Paryża na odczyty. W Paryżu zna wielu profesorów wydziału prawniczego, bywa u nich, przyjaźni się z synami wybitnych prawników i profesorów, dba i zabiega o stosunki. Zna dobrze profesorów Nibogeta, Lepredelle’a, Mestre’a, Le Fura, zna dziekana wydziału prawniczego Alipa, zna nawet rektora Charlety, z którego synem się przyjaźni. Gotuje się do wielkiej praktyki adwokackiej w zakresie spraw prawa publicznego lub tzw. międzynarodowego prawa prywatnego na terenie Paryża, Londynu i trybunałów lub organów międzynarodowych. Prowadzi już poniekąd takie sprawy jako współpracownik Nibogeta i innych profesorów, wzywanych do konsultacji. Skądinąd utrzymuje związek z Litwą i sprawami litewskimi, pilnie przestrzegając patriotyzmu państwowego litewskiego. Jako kombinator zawołany i gorliwy – zabiega teraz o zainicjowanie w Paryżu Instytutu Bałtyckiego przy Faculté de Droit i bardzo się kręci dokoła mojej osoby. Przypisuje sobie zasługę inicjatywy udekorowania mię Legią Honorową, a teraz zapewnia mię o mianowaniu mię doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Paryskiego, co rzekomo nastąpić ma niechybnie i dość rychło (może, jak się uweźmie i poruszy wszystkie sprężyny swych stosunków profesorskich, to istotnie coś w tym kierunku wytrzaśnie, a twierdzi, że to już pewne) i poza tym nosi się ze sprawą akcji na rzecz powołania mię do Trybunału w Hadze na kadencję następną. W sprawie tej pisze mi też Natkiewicz z poselstwa litewskiego w Paryżu, że przesłał już o tym raport do Ministerium Spraw Zagranicznych.

8 września, rok 1936, wtorek

Maryni imieniny. Na obiad byli zaproszeni Stefanostwo Römerowie, którzy mieli przyjechać ze Stenią. Zaprosiłem ich dawno, gdy Stefanowa jeszcze przed przyjazdem Maryni przyjeżdżała zabrać Stenię, którą Jadzia była z Bohdaniszek przywiozła. Maryńka biedna bardzo czekała syna z

żoną i wnuczką. Rano Jadzia z Renią i Onutią ubrały fotel Maryni kwiatami, daliśmy jej prezenty imieninowe, ja – parę sztuk perkalu na nawleczki, Jadzia – kubek błękitny szklany z podstawką, Renia – kółko do serwetki; ale Marynia najwięcej była stęskniona do Stefanostwa. Czas biegł, a ich ani śladu. Marynia się poruszała, za każdym ruchem na schodach i dzwonkiem nasłuchiwała i miała nadzieję, że to już oni, aż wypieków z poruszenia dostawała, ale – na próżno. Przyszła pora obiadu. Na obiedzie był Mackus, który co dzień teraz u mnie jada, i malarz Ejdukiewicz. Stefanostwa nie było. Byłem oburzony na takie lekceważenie matki, która jest chora i która może już ostatnie w życiu imieniny obchodzi. Maryńce było bardzo przykro. Aliści po obiedzie Stefanostwo nadjechali. Spóźnili się, bo deszcz ich wyjazd z Szaszewicz opóźnił, ale przecież przyjechali. Lepiej oczywiście późno niż nigdy.

Dziś święto nie tylko kościelne Marii, ale także państwowe, które zaczęto obchodzić od roku „Witoldowego” 1930 jako rocznicę niedoszłej koronacji Witolda i która odtąd co roku jest obchodzona jako drugie święto narodowe: 8 września – święto poświęcone przeszłości, 16 lutego – przyszłości. Na rano były wyznaczone uroczystości w ogródku Muzeum Wojennego: msza polowa, ceremoniał hołdu poległym w walkach o niepodległość u Grobu Nieznanego Żołnierza, przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej, parada wojskowa, defilada organizacji społecznych. Zaproszenie na te uroczystości miałem, ale nie poszedłem na nie, bo nie bardzo takie widowiska lubię (choć ich wartość uznaję), a zwłaszcza dlatego, że deszcz padał. Po obiedzie jednak na herbatkę do Prezydenta pojechałem. Herbata ta była wyznaczona na godzinę piątą po obiedzie. Strój – żakiet. Herbata była podana w wielkiej długiej sali na piętrze, idąc do gabinetu Prezydenta. Ustawiony był szereg stolików, ogółem koło 10-12, przy każdym na fotelach, krzesłach i kanapach mogło się pomieścić 8-10 osób i tyleż było nakryć. Usługiwali lokaje. Była kawa, herbata, koniak, krupnik, kanapki, owoce. Goście składali się z samych mężczyzn, ani jednej kobiety. Obecni byli ministrowie i wiceministrowie, wszyscy posłowie na Sejm, trochę generalicji najwyższej i kilka dygnitarzy ekstra, jak naczelny kapelan wojskowy Mironas, ja (rektor uniwersytetu) i ponadto bodaj nikt. Posłowie sejmowi, stanowiący główną masę gości, tworzyli element nowy w tym przyjęciu, zgoła różny od tego, który się zwykle dawał widzieć na tego rodzaju rautach i przyjęciach urzędowych. Stolik, przy którym wypadło mi usiąść wraz z ministrem Šilingiem, zajęty był poza tym przez sześciu posłów, z których trzech ze Żmudzi – z pow. taurogowskiego i trzech – z powiatu uciańskiego (z Uciany, z Malat) i powiatu wiłkomierskiego. W ich liczbie był poseł taurogowski Aleksa, jedyny wraz z Šakenisem, który zasiadał w III Sejmie, rozwiązanym w roku 1927, był też z powiatu taurogowskiego ziemianin dr Tallat-Kiełpsz z Kiełpszów mających się za Litwinów, krewny doktorowej Gudowiczowej, Chrząstowskiej z domu. Znalazłem z tymi posłami pewien kontakt osobisty. Są to przeważnie ludzie z wyższych kół gospodarskich i półziemiańskich. Ten z Malat jest sąsiadem bliskim i dobrym znajomym Ludomira Powstańskiego z Czuł, inny, z Taurogów, jest sąsiadem i znajomym mego przyjaciela Adolfa Grajewskiego. Na ogół są to ludzie spokojni, stateczni, umiarkowani społecznie, element zdrowy i zrównoważony, pozytywny. Wypowiadają się prorządowo, ale kto wie, czy pewnych scysji z rządem nie będzie. Słychać, że nie jest pewny wybór Šakenisa na stanowisko stałego marszałka Sejmu i że posłowie woleliby Merkysa, o ile on by się zgodził, jeno że Merkys nie chce stracić stanowiska burmistrza Kowna. Są też różnice zdań i pewne tarcia z rządem w przedmiocie dyspozycji regulaminu sejmowego.

9 września, rok 1936, środa

Maryńka chodzi co dzień do kliniki Czerwonego Krzyża na seanse rentgenizacji. Są to seanse męczące – trzeba trzy kwadranse wyleżeć pod maszyną, będąc przyśrubowaną do otworu, przez który te promienie z maszyny wychodzą. Maryńka sił ma mało, toteż ta rentgenizacja bardzo ją wysila, ale zdaje się, ze dobrze działa na raka, bo bóle, których już w ostatnich czasach trochę doświadczała w okolicach brzucha, a które kładła na karb ran od operacji, choć w istocie pochodziły one z pewnością od raka, teraz ustały. Maryńka spotyka w klinice innych chorych, którzy, jak ona, poddawani są rentgenizacji. Opowiada z poruszeniem, jakie straszne bywają choroby, że oto jest tam

jedna chora, która ma raka w brzuchu tak już rozwiniętego, że nie można już robić operacji i że tylko rentgenizację się stosuje. Akurat to samo, co ma i ona. I u niej rak jest tak rozwinięty, że na operację już za późno, toteż stosować można tylko rentgenizację. Ale Maryńka tego się nie domyśla; myśli, że operację zrobiono. Co prawda, raka się domyśla, ale sądzi, że go wycięto i że chodzi teraz o to, żeby się nie odnowił. Ponieważ rentgenizacja potrwa dłużej, więc Marynia posyła do sądu w Rakiszkach, do którego miała wezwanie, świadectwo z kliniki o chorobie dla usprawiedliwienia niestawiennictwa. Otóż w tym świadectwie wyraźnie napisane, że chora jest na raka, nie dającego się operować; na szczęście – napisane po łacinie i Marynka treści tego, co napisane, nie zrozumiała.

Zapowiada się gorący pracowity czas na wrzesień. Praca szczególnie reprezentacyjna różnych przyjęć. W tych dniach przyjedzie Tadzio Römer (antonoski), który jest posłem polskim w Lizbonie (Portugalii) i dla którego wystarałem się latem przez Lozoraitisa o pozwolenie na wjazd do Litwy. Obecnie przyjechał, odwiedził Antonosz i Kowaliszki, obecnie jest w Cytowianach u Eugeniuszostwa, skąd przyjedzie na krótko w towarzystwie Hektora Komorowskiego do Kowna. Będę musiał go przyjąć, towarzyszyć mu z wizytą u Lozoraitisa, być z nim dla spraw antonoskich u ministra rolnictwa Putwińskiego, skomunikować go z prof. Tadeuszem Iwanowskim, może powozić po okolicach Kowna. Bawi tu też w Kownie dziennikarz Francuski de Chambon, który był bardzo kurtuazyjny dla mnie w Paryżu. W przyszłym tygodniu – akt immatrykulacji na uniwersytecie. Koło 25 września wizyta prof. Le Fura z trzema odczytami i przyjęciami. W tym samym mniej więcej czasie uroczyste doręczenie dyplomu na profesora honorowego – Leonasowi.

10 września, rok 1936, czwartek

Dosyć duże wrażenie sprawiła na mnie śmierć Wacława Bielskiego z Szawel, o której się dziś z gazet dowiedziałem. Lubiłem go i ceniłem. Był on jednym z plejady tych rewolucjonistów i społeczników, silnych duchem, którzy mieli gniazdo na Żmudzi w Szawlach i Telszach (Bielski, Zubow, Narutowicz i inni) i mieli związki z rewolucjonistami polskimi (Piłsudscy, Ludwik Krzywicki i inni) w dobie nie tylko przed Wielką Wojną, ale jeszcze przez rewolucją z roku 1905. Byli to ludzie mocni i żelaźni. Pozostały już ich tylko szczątki. W Szawlach umarł już adwokat Łukowski, Włodzimierz Zubow, teraz Bielski. Ostał się tam jeszcze Węcławski, do ich plejady później się zaciągnął młodszy od nich Bugailiškis. Z Bielskim stosunki miałem bliskie. Ostatni raz spotkałem go tego lata, gdym wracał z Kłajpedy do Bohdaniszek. Spotkałem się z nim w wagonie i jechaliśmy razem do Abel. Jechał on do Polski do swej córki zamężnej czy wdowy w Zakopanem. Tam też w Polsce umarł. Pochowany ma być prowizorycznie w Warszawie. Gdym z nim jechał latem – dobrze wyglądał, był zdrów, miał humor. Żartował, ze z dwóch córek jego zamężnych jedna mieszka w Polsce, druga – w Kłajpedzie, jednej dzieci są Polacy i mówią tylko po polsku, nie rozumiejąc języka litewskiego, drugiej dzieci mówią tylko po litewsku i nic nie rozumieją po polsku, a gdyby się te dzieci dwóch sióstr rodzonych spotkały, nie mogłyby się porozumieć – chyba po francusku lub niemiecku. Sam Bielski był Litwinem przez zmysł obywatelski, kultury jednak był polskiej i nigdy nie był wrogim polskości; przeciwnie – nigdy nie hołdował nacjonalizmowi, nie wstydził się i nie lękał mówić po polsku, występował przeciwko polonożerstwu. Był człowiekiem prawdziwie szlachetnym. W życiu prywatnym był nieszczęśliwy. Jego żona, już w wieku późniejszym, porzuciła go i połączyła się z jego przyjacielem Zubowem, którego on był plenipotentem i współpracownikiem. Co osobliwsze – nie obaliło to jego stosunku przyjaznego z Zubowem. Bezpośrednio po wojnie Bielski był się zaangażował w akcję bolszewicką i czas jakiś współpracował z twórcą Litwy sowieckiej Kapsukasem-Mickiewiczem. Potem brał udział w pracy państwowej litewskiej tutaj. Światły to był człowiek, umysł szeroki i otwarty. Był i pozostał socjalnym demokratą.

11 września, rok 1936, piątek

Przyjechał do Kowna Tadeusz Römer, minister pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej w Portugalii (stanowisko dość egzotyczne). Tadzio jako młodziutki przeszło 20-letni chłopiec w czasie

Wielkiej Wojny i następnie Konferencji Pokojowej w Paryżu był sekretarzem wpierw, zdaje się, osobistym wodza Narodowej Demokracji polskiej Romana Dmowskiego, a potem Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, który funkcjonował pod kierunkiem Dmowskiego jak kreatura tegoż, mająca służyć sprawie polskiej w duchu oczywiście aspiracji endeckich, zasadniczo wrogich aspiracjom Józefa Piłsudskiego w Polsce. Potem Tadzio przeszedł na służbę dyplomatyczną polską. W Polsce Piłsudskiego wielkiej kariery zrobić nie mógł, bo ciążyła na nim jego przeszłość jako człowieka obozu Dmowskiego, kompromitująca go politycznie w oczach piłsudczyków. Choć naturalnie jako dyplomata był lojalny, jednak nie zapomniano mu związków z Dmowskim. I zdaje się – nie mylono się, że w sercu był to i jest człowiek raczej Romana Dmowskiego, niż Józefa Piłsudskiego. Z tego względu świetnej kariery i świetnych stanowisk w dyplomacji Tadeusz Römer w Polsce Piłsudskiego zrobić nie mógł. Bardzo długo trzymano go w Rzymie na podrzędnym stanowisku sekretarza poselstwa. Przed paru laty dano mu wreszcie stanowisko niezależne posła z tytułem ministra, ale tylko w Lizbonie w Portugalii – daleko, w punkcie pozbawionym większej wagi politycznej, na placówce bezbarwnej i politycznie biernej.

Tadzio przyjechał dla zorientowania się w sprawach antonoskich i dla powzięcia pewnych decyzji co do losów Antonosza. W myśl bowiem ustawy nowej, Antonosz, jako majątek ziemski należący do cudzoziemców (Maciej, Tadeusz i Jadzia Römerowie, będący współwłaścicielami Antonosza, są wszyscy troje obywatelami polskimi), musi być w określonym terminie przekazany na własność obywatela litewskiego. Termin ten dla Antonosza upływa 15 stycznia.

Przyjechał Tadzio za wizą dyplomatyczną, którą na moją prośbę nasz minister spraw zagranicznych Lozoraitis polecił poselstwu litewskiemu w Rydze mu wydać. Przyjechał wprost do Kowaliszek do Komorowskich, stamtąd jeździł do Antonosza i folwarku Burakiszek, zwiedził też Abele (kościół i cmentarz, na którym są pochowani jego dziadowie – Edwardostwo Römerowie z Antonosza), następnie w towarzystwie Hektora Komorowskiego udał się do Cytowian do Eugeniuszostwa, skąd wraz z Hektorem i Eugeniuszostwem przyjechał dziś rano do Kowna. U mnie byli oni wszyscy na kawie poobiedniej.

Tadzia, wówczas jeszcze Tadzika, najmłodszego z rodzeństwa Römerów antonoskich, osieroconego przez śmierć przedwczesną obojga rodziców (stryjostwa Bronisławostwa z Antonosza), nie widziałem od lat dwudziestu kilku, kiedy – jeszcze przed wojną – był on latem ostatni raz w Antonoszu na wakacjach. Obecnie ma już lat koło 40. Wzrostu jest niskiego, ma ładne oczy, jest cichy i skupiony w sobie, uważny, zdyscyplinowany, wyrobiony i opanowany, może nawet zanadto; za parawanem tego opanowania, pod maską tej równowagi doskonałej trudno dostrzec treść żywą i kanciastą indywidualnego człowieka. Jest serdeczny w stosunkach krewieńskich, ale i ta serdeczność ma jakąś cechę cukierkową dyscyplinowaną, zupełnie różną od charakteru serdeczności krewieńskiej na wskroś oryginalnej takiego na przykład Antoniego Römera z Janopola. Miękki jest Tadzio i gładki, równiutki, aksamitny. Fizycznie jest „przystojny”, ale nie piękny, jak był za lat dziecinnych. Typ ma drobnego Francuza, trochę Żyda.

Dziś prof. Gudowicz mi zastrzyknął dawkę salyrganu na pędzenie moczu. Do obiadu salyrgan wypędził mi 1 ½ litra moczu, po obiedzie do wieczora – już tylko 200-300 gramów. Jednocześnie nakazany mi był na dziś ścisły post. Nie jadłem nic, tylko piłem mleko kwaśne i słodkie i kawę oraz jadłem owoce – gruszki i jabłka. Ten zastrzyk jest tylko prezerwatywny, bo na ogół zdrów jestem.

12 września, rok 1936, sobota

Na obiad zaprosiłem Tadeusza Römera, obje Eugeniuszostwo i Hektora Komorowskiego. Poprzednio towarzyszyłem Tadeuszowi z wizytą do ministra Lozoraitisa. Była to wizyta wyłącznie grzecznościowa, wskazana przez to, że Tadeusz jest dyplomatą zawodowym i ma rangę ministra; skądinąd zaś chodziło o podziękowanie za grzeczność, którą Tadeuszowi wyświadczył Lozoraitis, udzielając mu nie tylko pozwolenia na wjazd do Litwy, ale wizy dyplomatycznej. Wizyta, jak i sam przyjazd Tadeusza, była najzupełniej prywatna. Przed przyjazdem Tadeusza Römera już się były ukazały w gazetach wieści i domysły o jakimś rzekomym politycznym charakterze tej wizyty;

pisano, że Tadeusz Römer należy do Towarzystwa Przyjaciół Litwy w Polsce, że chce tu badać grunt do nawiązania stosunków między Litwą a Polską, że ma się tutaj widzieć z różnymi wpływowymi w polityce osobistościami. Nic podobnego. Tadeusz Römer przyjechał wyłącznie dla spraw prywatnych i rodzinnych, dla zorientowania się w kwestii Antonosza i zadecydowania o jego losach, wreszcie przez pewien pietyzm dla starej kolebki rodzinnej i gniazda rodowego, jakim jest Antonosz. Trzeba przyznać, że Römerowie antonoscy, a zwłaszcza Tadzio i Jadzia (Maciej – w mniejszym stopniu), mają bardzo dużo tego pietyzmu. Był też Tadzio tylko w Antonoszu, Abelach, Kowaliszkach i Cytowianach, to znaczy wyłącznie w zakresie stosunków rodzinnych i prywatnych, a w Kownie jest w asyście Eugeniusza Römera i Hektora Komorowskiego, poza tym jest w kontakcie krewieńskim ze mną, porozumiał się z adwokatem Našliunasem w sprawach antonoskich, widział się z kilku znajomymi i przyjaciółmi Eugeniusza z kół polskich, dziś wieczorem miał być krótko na zebraniu korporacji akademickiej polskiej „Lauda”, a jedyna wizyta urzędowa, którą złożył, to ta wizyta grzecznościowa u Lozoraitisa w moim towarzystwie. Jutro w południe Tadzio odlatuje już z aerodromu samolotem do Gdańska, skąd udaje się do Gdyni. Swoją drogą, w toku wizyty u ministra Lozoraitisa (rozmowa toczyła się po francusku) przekonałem się, że Tadzio jest wykształcony i światły. Rozmowa toczyła się przeważnie na tematy polityczne ogólnikowe. Tadzio bardzo ciekawie i treściwie wypowiadał się o Włoszech, w których kilka lat spędził, o faszyzmie i o Mussolinim, o sprawach hiszpańskich. Umie on dostrzec i wyciągnąć wnioski mądre z tego, co jest istotne i wielkie zarówno w faszyzmie, jak w komunizmie sowieckim i nacjonalsocjalizmie niemieckim, nie jest banalny i zdawkowy, ma treściwość i głąb myśli. W toku rozmowy leciutko była dotknięta w duchu solidaryzmu sprawa Polski i Litwy, podkreślona mianowicie waga Polski i państw bałtyckich jako czynników pokoju europejskiego, oddzielających Niemcy nacjonalsocjalistyczne od Sowietów i neutralizujących ich przeciwstawność. To podkreślił Lozoraitis, na co znów Tadzio zręcznie zareagował, podkreślając tym większą przeto wagę dodatnią związku bałtyckiego Litwy-Łotwy-Estonii, wzmagającego siłę i wpływy tych państw. Były to małe rewerans uprzejmości wzajemnej. Wizyta trwała koło 20 minut.

Na obiad u mnie był zaproszony także prof. Tadeusz Iwanowski, z którym Tadeusz Römer chciał się poznać i zobaczyć i dla którego przywiózł list od syna. Syn bowiem prof. Iwanowskiego, 29-letni agronom zawodowy, który kończy właśnie studia i jeszcze kończy swoją pracę dyplomową, jest przeszło od roku zaręczony z Teresą Römerówną, córką Macieja, brata Tadeusza Römera. Ślub ich ma się odbyć tej jesieni, jak tylko młody Iwanowski otrzyma dyplom. Ten młody Iwanowski jest synem profesora z pierwszego jego małżeństwa; ta pierwsza żona, osoba bardzo ładna i ciekawa, była Warszawianką; znałem ją dobrze z Wilna z roku 1909 w czasie wielkiego procesu bezdańskiego, kiedy to ona i Bolesławowa Motzowa z Paryża zajmowały się ratowaniem oskarżonych, zwłaszcza Świrskiego, a ja im w tym pomagałem. Młodego Iwanowskiego wychowała w Polsce matka. Jest on obywatelem polskim. Chodzi o to, żeby ewentualnie po ślubie z Teresą Römerówną zamieszkał on w Antonoszu i objął gospodarstwo, a może nawet dałby się uzyskać dlań obywatelstwo litewskie po ojcu, który jest Litwinem i obywatelem litewskim. Tymczasem zaś własność Antonosza ma być formalnie przelana na mnie.

13 września, rok 1936, niedziela

Tadeusz Römer dziś odleciał z Kowna i Litwy. Poleciał do Gdańska, stamtąd jedzie w sprawach eksportowych do Gdyni, Poznania, Katowic, wreszcie do Warszawy i stamtąd dopiero wraca na swoje stanowisko dyplomatyczne do dalekiej Lizbony w Portugalii. Odprowadzałem go przy odlocie z aerodromu kowieńskiego. Odprowadzali go też oboje Eugeniuszostwo Römerowie, Hektor Komorowski i młody Adam Chrapowicki, który wykonał kilka zdjęć fotograficznych pożegnalnych naszej grupy rodzinnej na aerodromie.

Sprawa antonoska została więc ułożona tak. Formalności prawne zostały zlecone adwokatowi Našliunasowi, który przede wszystkim zatwierdzi Macieja, Tadeusza i Jadzię Römerów do spadku po śp. Bronisławie, ich bracie, rozstrzelanym przez bolszewików nad Ładogą we wrześniu roku 1918,

gdy go tam schwytano przedzierającego się do formujących się na dalekim Murmanie oddziałów polskich. Następnie dokonane zostanie formalne przyjęcie Antonosza i folwarków od Zarządu Reformy Agrarnej. Burakiszki zostaną sprzedane i pieniądze, uzyskane z tej sprzedaży, przeznaczone mają być na gruntowną restaurację zabudowań gospodarskich i pałacu w Antonoszu. W myśl ustawy, która obecnie obowiązuje, Antonosz, jako należący do cudzoziemców, musi być terminowo przekazany do rąk obywatela litewskiego. Termin ten dla Antonosza upływa już w styczniu 1937, ale ze względu na formalności prawne, niezbędne dla realizacji własności Römerów, zostanie odroczony. Własność Antonosza formalnie przelana ma być na mnie w drodze fikcyjnego aktu kupna-sprzedaży. Zastrzegłem, że sam się zajmować Antonoszem, jego wydzierżawieniem, administracją etc. nie będę mógł, tylko firmę dawać będę. Co będzie dalej – jeszcze nie ustalono. Są różne projekty i pomysły. W myśl jednego projektu, Antonosz miałby być z czasem przekazany jednemu z synów Antoniego Römera z Janopola, co jednak urzeczywistnić byłoby trudno, zważywszy, że nie ma tytułów dla obywatelstwa litewskiego synów Antoniego, a pomysł Hektora o usynowieniu przeze mnie syna Antoniego jest trudny do zrealizowania, a zresztą i ja sam niezupełnie się jeszcze wyrzekłem nadziei mieć własnego syna, o ile mi się uda zalegalizować w formie małżeńskiej mój związek z Jadzią, z czym zresztą przed nikim, prócz Diskina, nie wywnętrzam się. Inny projekt, zapewne realniejszy i trafiający mi do przekonania, polega na tym, aby w Antonoszu osiadł syn prof. Tadeusza Iwanowskiego po ożenieniu się z córką Macieja – Teresą Römerówną. Zresztą to się wszystko dopiero okaże. Tymczasem dziedzicem formalnym i fikcyjnym Antonosza zostanę zapewne ja.

Na uniwersytecie jest pewien nowy fakt dokonany. Faktycznie zlikwidowany został Wydział Ewangelicko-Teologiczny. Szczegółowiej i treściwiej napiszę o tym jutro.

14 września, rok 1936, poniedziałek

Ze sprawą Wydziału Ewangelicko-Teologicznego na uniwersytecie jest tak. Już w ubiegłym roku akademickim wspominał mi minister Tonkunas, że zamierzone jest zawieszenie tego wydziału. Motywy tego zamiaru są te, że po pierwsze, wydział ten nie jest w stanie obsłużyć Kłajpedy, której władze kościelne nie liczą się z dyplomem tego wydziału, wobec czego wszyscy studenci Kłajpedczycy uciekli z tego wydziału za granicę, a po wtóre – dla stosunków narodowo-kościelnych wśród luteran Wielkiej Litwy istnienie tego wydziału ze stanowiska polityki narodowej państwa jest raczej ujemne, niż dodatnie: wśród ludności luterskiej Wielkiej Litwy część jest Niemców, na północy jest trochę Łotyszów, większą zaś część stanowią Litwini; na wydział wszakże zapisują się li tylko Niemcy i Łotysze, z których potem wychodzą pastorzy, którzy w parafiach litewskich niemczą ludność. Wobec tego rząd woli znaleźć kilku młodych Litwinów ewangelików, dać im stypendia i wysłać na studia teologiczne za granicę, niż utrzymywać tu wydział, otwarty dla wszystkich, z którego korzystają Niemcy.

W projekcie reformy statutu uniwersyteckiego, nadesłanym mi przez ministra Tonkunasa do zaopiniowania, Wydział Ewangelicko-Teologiczny nie istnieje. Profesura tego wydziału z dziekanem Jokubėnasem na czele wzięła to bardzo do serca. Jokubėnas zwracał się do ministra, usiłował go przekonać; zwracał się też do mnie, prosił o interwencję. Gdym był u ministra dla pomówienia o zamierzeniach reformy statutowej, dotknęliśmy też kwestii tego wydziału. Wówczas minister mi powiedział , że reforma statutowa jest rzeczą względnie może daleką, która nie wiadomo jeszcze kiedy dojdzie do skutku, gdy tymczasem rząd chce zlikwidować ten wydział zaraz, już na bieżący rok akademicki. Ponieważ rzecz jest w intencjach rządu śpieszna, więc minister zdecydował się to wykonać w drodze faktycznego zawieszenia wydziału w ten sposób, że przed rozpoczęciem roku akademickiego wszyscy profesorowie tego wydziału (jest ich niewielu, trzech profesorów – Jokubėnas, Kurnatowski i Gaigalaitis – i jeden prywat-docent – Pauparas) zostaną zwolnieni ze stanowiska, wobec czego wydział automatycznie przestanie funkcjonować i zaniknie, choć w statucie będzie figurować nadal. Zwróciłem uwagę ministra na to, że, moim zdaniem, taka droga zlikwidowania wydziału, przewidzianego przez statut, nie jest prawnie właściwa, nie tylko dlatego,

że, jak to już w sprawie prof. Dovydaitisa referowałem, arbitralne usuwanie profesorów wydaje mi się wątpliwe pod względem legalności, ale także dlatego, że skoro statut przewiduje istnienie takiego wydziału i ustawa o etatach akademickich ustanawia stanowiska profesorów tego wydziału, to władza państwowa musi odpowiednie przepisy ustawy obsłużyć i nie może przez pewne zarządzenia, jak usunięcie profesorów i niemianowanie nowych, zbojkotować faktycznie ustawy. Moim więc zdaniem, zawieszenie czy likwidację wydziału należałoby wykonać w drodze odpowiedniej noweli ustawowej, nie zaś w drodze zarządzeń administracyjnych, paraliżujących działanie ustaw obowiązujących. Na to wszakże Tonkunas odrzekł, że teraz byłoby trudno to zrobić; gdyby nie było Sejmu, to nowela taka dałaby się z łatwością ogłosić, ale przeprowadzić ją śpiesznie przez Sejm jest trudno i niedogodnie by było tłumaczyć w Sejmie motywy reformy.

Tak też się stało. W piątek do uniwersytetu przysłano od ministra pismo, donoszące o tym, że profesorowie Jokubėnas, Gaigalaitis i Kurnatowski oraz prywat-docent Pauparas są zwolnieni i proszące mię o zwolnienie asystenta tegoż wydziału, co też uczyniłem, bo skoro wydział pozostał bez profesury, to i asystent być nie może. Tak oto faktycznie zlikwidowano wydział.

15 września, rok 1936, wtorek

Tradycyjny doroczny akt immatrykulacji. Na akcie tym żadnych gości nie było. Tylko profesura i studenci – przeważnie nowi studenci; byli też korespondenci gazet, chór akademicki, delegacje korporacji w insygniach i ze sztandarami. Ponieważ porządek dzienny nie przewidywał posiedzenia Rady Uniwersyteckiej po zakończeniu aktu immatrykulacji, przeto profesura była nielicznie reprezentowana (gdy jest posiedzenie Rady Uniwersyteckiej, profesorowie są prawie w komplecie, bo każdy, który się nie stawi bez przyczyn usprawiedliwiających, z góry zgłoszonych, jest sztrafowany po 25 litów; okazuje się, że ten środek presji pieniężnej jest bardzo skuteczny na profesorów). Mowę rektorską miałem przygotowaną wielką, na przeszło pół godziny. Nawiązałem ją przede wszystkim do nowej kadencji zwierzchności akademickiej; serdeczne słowo poświęciłem ustępującemu byłemu prorektorowi Česnysowi, scharakteryzowałem moich kolegów ze zwierzchności – Purėnasa, Jodelę i Blažysa, następnie dałem *sui generis* wykład organizacji konstytucyjnej uniwersytetu, analizując charakter konstytucji zwierzchności i senatu oraz ich stosunek wzajemny, następnie przemówiłem do nowych studentów, wreszcie nadmieniłem o pomyśle wcielenia do uroczystych aktów akademickich rozdawnictwa premii konkursowych. Na tym właściwą mowę rektorską zakończyłem, po czym jeszcze odczytałem „kronikę akademicką” w pięciu punktach (wizyta prof. Le Fura; reforma statutu uniwersytetu; przedstawicielstwo studenckie; zawieszenia faktyczne Wydziału Ewangelicko-Teologicznego; budowa gmachu laboratoriów technicznych i wielkiego kompleksu klinik akademickich). Po mnie odczytał sprawozdanie sekretarz uniwersytetu prof. Blažys. Wtedy nastąpiła ceremonia immatrykulacji, wznowiona po ośmiu latach przerwy (ostatni raz miała ona miejsce za mojego pierwszego rektoratu – 15 września roku 1928). Ceremonia ta polega na tym, że dziekani wydziałów odczytują głośno listy nazwisk studentów, przyjętych na odpowiedni wydział, studenci zaś, których nazwiska zostały odczytane, o ile są obecni na sali, podchodzą do stołu prezydialnego i ściskają rękę rektora. Względnie niedużo rąk wypadło mi uścisnąć, bo na ogół niezbyt jeszcze dużo jest przyjętych studentów, z których nie wszyscy byli obecni, a i ci, którzy byli, nie wszyscy odważali się ruszać z miejsca i podchodzić do stołu na uściśnięcie ręki rektorskiej.

16 września, rok 1936, środa

Mnożą się ceremonie i uroczystości na czas najbliższy. Oprócz wizyty Le Fura i uroczystości doręczenia dyplomu profesora honorowego Leonasowi zapowiada się herbatka pożegnalna całej profesury dla profesorów Czapińskiego, Česnysa i Jokubėnasa; wszędzie mowy – w związku z wizytą prof. Le Fura aż trzy! Nagle też spadła uroczystość aktu immatrykulacji nowego Instytutu Weterynaryjnego w tę sobotę, gdzie też mam wygłosić mowę powitalną – ułożę ją i odczytam z rękopisu. Na niedzielę wypadło jeszcze otwarcie kongresu litewsko-łotewsko-estońskiego z mowami

powitalnymi. Na tę uroczystość wydelegowałem w zastępstwie prorektora Jodelę. Mam jeszcze w dodatku (bez przemówień na szczęście!) herbatę w poselstwie włoskim w piątek i obiad w poselstwie sowieckim w sobotę. Wizyta Le Fura, która potrwa sześć dni, to będzie dla mnie rwetes codzienny obiadów, odczytów, herbatek, wizyt, ekskursji.

Ani myśleć o rozpoczęciu wykładów przed październikiem. Zaprojektowałem wciągnięcie senatu do wystudiowania prowizorycznego projektu reformy statutu akademickiego, ułożonego przez ministra Tonkunasa. Chodzi o uspokojenie pewnych skrupułów dziekanów, zazdrosnych o swój autorytet. Studiujemy więc teraz ponownie ten projekt z udziałem delegowanych przez senat dziekanów Lašasa i Krėvė-Mickiewicza. Dziś rozpoczęliśmy tę robotę. Krėvė-Mickiewicz naturalnie się trochę rzuca na każdy artykuł reformy, z zasady węsząc wszędzie intrygę wrogą uniwersytetowi. To anarchista wobec wszelkiej władzy nad sobą, ale za to rzecznik władzy przeciwko anarchii, gdy chodzi o jego władzę nad innymi, na przykład w wydziale.

17 września, rok 1936, czwartek

Znów studiowaliśmy dziś od godz. 1 do 2 ½ projekt reformy statutu. My (ja, prorektorzy i dziekani Lašas i Krėvė-Mickiewicz) debatujemy i wyrażamy zastrzeżenia, sekretarz prof. Blažys – protokołuje.

Po obiedzie zamierzałem nie wychodzić z domu. Wszakże przyszła p. Urbšysowa i poinformowała mię, że dziś na godzinę piątą Towarzystwo Litewsko-Francuskie urządza w lokalu Towarzystwa herbatkę na cześć posła francuskiego p. Dulonga i jego żony. Jako prezes Towarzystwa – muszę iść. Nie dość tego – trzeba wygłosić krótkie przemówienie publiczne do pp. Dulong, oczywiście po francusku. Naturalnie, że i to spada na mnie. Musiałem na poczekaniu ułożyć przemówienie i zapamiętać je. Zresztą udało się dobrze. Na herbatce było dużo osób – niewiele co mniej niż 100. Atmosfera była ożywiona, humory dopisywały. Dużo było pań i panien. Towarzystwo rozsiadło się swobodnie po niewielkich stolikach. Była herbata, kanapki, torty. Zabawiłem koło godziny, załatwiłem na poczekaniu rozmaite epizody programu przyjęcia prof. Le Fura i uciekłem. Zły byłem na razie, gdym się dowiedział o tej herbatce, ale potem nie żałowałem.

18 września, rok 1936, piątek

W dalszym ciągu studiowaliśmy ministerialny projekt reformy statutu akademickiego. Na ogół gdy się panowie dziekani bliżej dotknęli projektu, spostrzegli się, że nie jest on tak straszny, jak im się z góry *à priori* na niewidziane wydawał. U nas już jest tak, że wszelka zapowiedź reformy wywołuje od razu i odruchowo panikę albo niechęć i gniew, choć się jeszcze nie wie, jaką jest zamierzona treść reformy. Skoro reforma – to już się święci nowy zamach na ten obiekt, który się reformuje. Takie jest uprzedzenie. Może poniekąd zasadne, gdy obecny system rządów po trochę, systematycznie i powoli łamie wszelkie konstrukcje okresu poprzedniego rządów demokratycznych. Ale w tej ślepej obawie wszelkiej reformy, w tej podejrzliwej niechęci, z jaką na ślepo traktuje się wszelką wzmiankę o reformie jest bardzo dużo przesady i głęboko zakorzenionego konserwatyzmu starej szkoły liberałów, którzy skostnieli w ideałach XIX wieku i na wszelką inicjatywę rewizji starych dogmatów umieją odpowiadać tylko zrzędzeniem starczym. Nie chodzi o to, abym wszystko o tym projekcie miał za doskonałe i przeciwko niczemu oponować nie chciał, ale ostateczność odwrotna też mi się nie wydaje dobra.

Poseł estoński Leppik, który już dość dawno zajmuje te stanowisko, nas opuszcza. Mianowany został na posła estońskiego w Rzymie. Szkoda go; był to człowiek kulturalny, miły; trochę sybaryta, stary kawaler, miał powodzenie u kobiet; miał humor i dowcip. Następcą jego będzie sekretarz poselstwa estońskiego w Paryżu, który nazywa się prawie tak, jak poprzednik – tylko literę „L" trzeba usunąć. Był Leppik, będzie Öppik. Korpus dyplomatyczny poruszył się na pożegnanie ustępującego członka swego. Dziś herbatkę na uczczenie Leppika wyprawił poseł włoski; jutro – obiad pożegnalny w poselstwie sowieckim, którego poseł – „połpred" Karski – jest dziekanem korpusu dyplomatycznego w Kownie; w poniedziałek – herbatka na tęż intencję w poselstwie

łotewskim. Na wszystkie trzy mam zaproszenie. W poselstwie włoskim byłem. Osób było parę setek. Rodzaj rautu z winami, ciastami, przekąskami *à la fourchette*, kawą, herbatą. Bardzo dużo pań. Żona posła włoskiego – Ukrainka, piękność o nieco cygańskim wschodnim typie.

19 września, rok 1936, sobota

Byłem na otwarciu uroczystym nowej wyższej uczelni w Kownie – Akademii Weterynaryjnej, która się będzie mieściła w gmachu laboratorium bakteriologicznego w Wiliampolu. Akademia ta będzie ulegała kierownictwu Ministerium Rolnictwa, ale poniekąd jest skombinowana z naszym Wydziałem Medycznym, który będzie obsługiwać cały szereg przedmiotów ogólnych w studiach słuchaczy tej Akademii. Otwarcie, połączone z aktem immatrykulacji, odbyło się w obecności ministrów rolnictwa – Putwińskiego i ministra wojny Dirmantasa, przedstawicieli władz i profesury uniwersytetu i Wydziału Medycznego, rektora Akademii Rolniczej w Datnowie, licznych weterynarzy, różnych gości, wreszcie personelu naukowego i administracyjnego oraz słuchaczy młodej Akademii. Uroczystość dobrze się udała. Ja także wygłosiłem udatne przemówienie powitalne. Po akcie uroczystym zaprezentowano nam szczegółowo wszystkie urządzenia Instytutu Bakteriologicznego, które przechodzi pod kierunek Akademii Weterynaryjnej. Ten Instytut – to instytucja bardzo poważna, dobrze zainstalowana i zaopatrzona, starannie prowadzona i ciekawa. Całe mnóstwo laboratoriów, badań, urządzeń, szczepienia, produkowanie różnej surowicy... Najciekawsza, ale wrażeniowo przykra dla mnie jest produkcja surowicy czerwonki z krwi końskiej. Instytucja ma na stajni 35 koni – duże sztuki, rosłe, tęgie, dobrze karmione, wszystkie zaszczepione na czerwonkę, przeznaczone na udzielanie krwi na surowicę do szczepienia prezerwatywnego świń. Konie te nic nie robią, tyko dają krew. Co 10 dni regularnie bierze się od każdego konia po 6 litrów krwi! Utrzymywane są te biedne zwierzęta dobrze, ale to je wyczerpuje i są one na serce chore, toteż przeważnie żyją krótko.

Wieczorem byłem w poselstwie sowieckim na obiedzie pożegnalnym dyplomatycznym dla odjeżdżającego posła estońskiego Leppika. Obecni byli posłowie: sowiecki, p. Karski, który jest dziekanem korpusu dyplomatycznego w Kownie, wraz z sekretarzem poselstwa sowieckiego Kofmanem, poseł estoński Leppik z sekretarzem poselstwa estońskiego, poseł łotewski Sēja, poseł francuski Dulong, poseł włoski Frassoni, poseł czechosłowacki. Posłowie amerykański, angielski i niemiecki nie byli obecni. Z Litwinów był wiceburmistrz ex-minister Noreika i z Ministerium Spraw Zagranicznych Girdvainis i Łaucewicz. Wynudziłem się na tym obiedzie kapitalnie. Dyplomaci są dyplomatami w stosunkach między sobą. Ani cienia szczerości. Wszystko zdawkowe, sztywne, dużo sztucznego zblazowania.

Po obiedzie przy kawie długo rozmawiałem na osobności z Kofmanem, który mi tłumaczył psychologię skandalicznego procesu i egzekucji Kamieniewa, Zinowjewa i towarzyszy, interpretując to oczywiście ze stanowiska sowieckiego i uzasadniając motywy tego procesu. Nie przekonał mię, bo zresztą do przekonania trzeba bezinteresownej szczerości, podczas gdy członek poselstwa umie bronić wszystkiego, co od jego rządu pochodzi.

20 września, rok 1936, niedziela

Wczoraj pojechała do Szaszewicz do Stefanostwa Römerów parostatkiem Marynia z Renią, dziś raniutko – my z Jadzią autobusem. Wstaliśmy o pół do szóstej rano i zaraz po wczesnym śniadaniu udaliśmy się na stację autobusową, która już obecnie mieści się w pobliżu stacji kolejowej i o godzinie siódmej odjechaliśmy autobusem, idącym na Bobty-Kiejdany-Poniewież. Autobusy idą do Bobt jeszcze starym gościńcem – doliną Niemna pod Czerwony Dwór i stamtąd doliną Niewiaży. Nowa szosa, która na Bobty idzie do Kłajpedy, jeszcze do użytku publicznego formalnie nie jest otwarta. Autobus był pełniutki. Wysiedliśmy dopiero w samych Bobtach, skąd udaliśmy się pieszo do Szaszewicz. Zabawiliśmy u Stefanostwa do godziny 2-3 po południu. Zjedliśmy śniadanie i obiad (produkty sami im z Kowna przywieźliśmy), oglądałem szkółkę drzewek owocowych Stefana i tak nam czas zeszedł. Po obiedzie trzeba było myśleć o powrocie do Kowna. Do Bobt poszliśmy pieszo,

Maryńkę zaś, która iść nie może, odwiozła konikiem Marysia Stefanowa, która w Szaszewiczach jest bardzo gościnna i milsza niż w Kownie lub Bohdaniszkach. W każdym razie Marysia jest dla Stefana żoną idealną. Kocha go i daje mu opiekę, która mu jest niezbędną, bo sam jest niedołęga i schorowany, toteż sobie rady by dać nie mógł. Już to Stefan ma szczęście do żony, bo jest kapryśny, ciężki i przykry, a do niczego, inna by z nim nie wytrzymała. Marysia zaś nie tylko wytrzymuje, ale kocha.

Próbowaliśmy wrócić autobusem. Ale, jak to tam najczęściej bywa, po przyjściu autobusu okazało się, że miejsca nie ma: Marynia z Renią wsiadły, ale my z Jadzią zostaliśmy. Czekać na następny autobus, który przychodzi o godzinie siódmej wieczorem, było niebezpiecznie, bo i tam mogło zabraknąć miejsca, a tymczasem stateczek po Niewiaży by odszedł. Zdecydowaliśmy się więc na statek i przed czwartą odjechaliśmy z Bobt, a o siódmej byliśmy w Kownie.

Choć przez ten parostatek czasu dużo straciłem, ale nie żałowałem, bo na statku spotkałem p. Tomaszewicza, byłego ministra komunikacji, człowieka z największymi wąsami w Kownie, którego syn, może największy wzrostem w Litwie, jest moim uczniem wzorowym na Wydziale Prawa i latem świetnie zdawał u mnie w Bohdaniszkach egzamin. P. Tomaszewicz jechał z żoną, z którą się zapoznałem. Ku wielkiemu zdumieniu memu przypomniała mi ona, że mię zna z mojego wesela z Reginą z roku 1909, na którym była ona nawet wraz ze swoją siostrą – drużką Reginy. Jest ona z domu Dowgirdówna, córka, zdaje się, Jana Dowgirda, brata Tadeusza Dowgirda, artysty i wielkiego patrioty Litwy, założyciela i kontusza Muzeum Miejskiego w Kownie, dziś już od lat kilkunastu nie żyjącego. Pani Tomaszewiczowa, Dowgirdówna z domu, jest kuzynką Reginy i jako taka była przez nią na ślub jej ze mną zaproszona. Ślub ten i wesele były świetne. P. Tomaszewiczowa była wtedy dziewczynką 17-18-letnią, dziś – starsza pani, ale bardzo miła. Naturalnie, że jest teraz Litwinką i dobrze mówi po litewsku. Po litewsku też rozmawialiśmy. Tomaszewiczowie mieszkają w majątku Dowgirdowskim Polepiu nad Niewieżą, naprzeciwko Łabunowa. Z p. Tomaszewiczową dużo rozmawiałem i czas zeszedł bardzo przyjemnie. Jest to osoba ze świata ziemiańskiego – dużo więc wspólnych znajomych z przeszłości i dużo koligacji. Rodzina Dowgirdów, jak wiele innych, jest rozdwojona: jedni są Litwinami zdecydowanymi, inni – najgorętszymi Polakami o tendencjach nawet zaborczych.

21 września, rok 1936, poniedziałek

Byłem na herbatce poobiedniej w poselstwie łotewskim z okazji kongresu litewsko-łotewsko-estońskiego, który się odbył w Kownie wczoraj i dziś. Tłum ludzi, gorąco straszne. Twarze przeważnie mało, albo wcale nieznajome. Zabawiłem krótko. Nic nie jadłem i nie piłem, tylko czystej herbatki filiżankę.

Wieczorem dość późno wezwany zostałem na posiedzenie przez Mašalaitisa, który przysłał automobil po mnie. Marynia była przerażona, gdy szofer się zgłosił, aby mię zabrać. Wyobraziła sobie, że to może być porwanie, jak to się zdarza w Ameryce lub w poszczególnych wypadkach w Europie. Naturalnie, że jej obawy były płonne. U Mašalaitisa w Gabinecie Ministrów było posiedzenie z udziałem gubernatora kłajpedzkiego, którym nadal jest Kurkowski. Chodziło o zaopiniowanie w przedmiocie veta gubernatora w stosunku do pewnej ustawy, przyjętej przez sejmik.

22 września, rok 1936, wtorek

Skomunikowałem się telegraficznie z prof. Le Furem w Paryżu. Przyjedzie w piątek o godz. 11 wieczorem pociągiem z Wierzbołowa. Zaczną się moje sześć dni latania.

Musiałem się przeziębić wczoraj. Na herbatce w poselstwie łotewskim ludzi było dużo, gorąco wielkie w tłoku ludzkim, spotniałem, stamtąd wyszedłem jak z łaźni na ulicę, byłem bez paltotu – oto się i zaziębiłem. Dziś ciecze z nosa, zbiera się i na katar, i kaszel, na piersiach czuję ciężar, łamanie w kościach i szum w głowie jak przed gorączką. Byłem już rano ogłosił na dziś wieczór rozpoczęcie wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego, ale wobec mego stanu zdrowia, które muszę

zaszanować na wizytę Le Fura, zdecydowałem się wieczór poświęcić... łóżku. Toteż odwołałem wykład i po zakończeniu śpiesznym porządku dziennego prac domowych, o godz. szóstej po obiedzie rozebrałem się i położyłem. Gorączki jednak nie było, tylko potniałem. Pogoda dziś sprzyjała także katarowi. Była słota na dworze.

23 września, rok 1936, środa

Dziś już czułem się trochę lepiej niż wczoraj, ale jeszcze niezupełnie dobrze. We dnie w łóżku nie leżałem, ale wieczorem znowu wcześnie spać poszedłem. Wychodziłem też z domu, byłem w uniwersytecie, byłem na obiedzie w Rotary-Clubie.

Opowiadał mi dziś prof. Blažys o Voldemarasie, którego odwiedzał wczoraj w więzieniu w Ucianie. Jeździł jako psychiatra, wysłany przez Ministerium Sprawiedliwości dla stwierdzenia stanu zdrowia Voldemarasa. Voldemaras jest chory psychicznie – cierpi na manię prześladowczą. Posądza, że go chcą otruć, boi się, żeby go nie porwano, czuje się otoczony wrogami, którzy go z ramienia rządu śledzą i szukają sposobu do pozbycia się go lub pognębienia jeszcze większego. Ma w swojej celi maszynę do pisania. Lęka się na chwilę zostawić maszynę, bojąc się, że agenci policji w jego nieobecności wydrukują na maszynie jakieś proklamacje, które następnie podsuną jemu jako rzekomo przezeń ułożone i odbite. Toteż gdy wychodził na przechadzkę, brał ze sobą maszynę pod pachą. Teraz wcale na przechadzkę nie wychodzi i celi nie opuszcza. Wystrzega się posiłku więziennego, aby się nie dać otruć. Sypia nie więcej, jak godzinę na dobę. Nie śpi na poduszce, bo obawia się, że poduszka ma w sobie jakiś narkotyk. Żona Voldemarasa mieszka w Ucianie i dwa razy na tydzień odwiedza go w więzieniu. Voldemaras jest często przenoszony z jednego więzienia do innego, żeby jacyś ewentualni spiskowcy nie mogli tak łatwo go wykraść. Zdawałoby się, że już byłoby dosyć męczyć tego nieszczęśliwego chorego człowieka.

24 września, rok 1936, czwartek

Miałem posiedzenia: Rady Wydziału Prawniczego, członków rektoratu i senatu akademickiego; trzy posiedzenia. Oprócz tego – herbatkę u Jana Vileišisa pod firmą „Klubu Politycznego”, który wciąż wegetuje i ani żyć nie jest w stanie, ani umrzeć nie może. Klubu tego, czyli jego pozorów, czepiają się jeszcze chrześcijańscy demokraci, ten i ów z ludowców i kilku liberalnych bezpartyjnych, jak Jan Vileišis. Zebrało się na tej herbatce siedmiu niedobitków tego Klubu i jedyną rzecz zdecydowano – odnowić na zapas rejestrację klubu stosownie do przepisów nowej ustawy o stowarzyszeniach. Zresztą byłem na tej herbatce krótko, albowiem musiałem śpieszyć na posiedzenie senatu akademickiego. Z pewnością wszystko spełzło na ploteczkach politycznych miłośnika i łowca tychże – dra Karvelisa.

Zajęty dziś byłem głównie wykończeniem programu przyjęcia prof. Le Fura, który przyjeżdża już jutro wieczorem z żoną. W ogólnych zarysach program ten jest taki:

Piątek, 25 września: spotkanie na dworcu kolejowym i odjazd do hotelu Litewskiego (w spotkaniu biorą udział: ja, dziekan Janulaitis, docent Tamošaitis Antoni, Kriwicki, Raczkowski);

Sobota, 26: rano do dyspozycji prof. Le Fura delegowany jest Konstanty Raczkowski; o godzinie 1.30 lunch u posła francuskiego p. Dulonga; o godz. 4 wykład prof. Le Fura na uniwersytecie na temat „Distinction des conflits politiques et conflits juridiques” pod moim przewodnictwem i z moim zagajeniem po litewsku i po francusku; o godz. 7.30 w teatrze na operze „Carmen” z udziałem Kiprasa Piotrowskiego; na operze towarzyszy pp. Le Fur – ja i Janulaitis z żoną;

Niedziela, 27: ranek wolny – prof. Le Fur, który jest katolikiem praktykującym, może iść do kościoła; o godz. 12.30 lunch w restauracji z udziałem ministra Dulonga, moim, dziekana Janulaitisa, profesorów Jonynasa, Stanisława Szołkowskiego, Raczkowskiego z żoną i następnie ekskursja automobilami w okolice; o godz. 5 ceremonia spuszczenia sztandarów w Muzeum Wojennym; o godz. 8 – wielki obiad galowy uniwersytecki we frakach z udziałem pań i z szampanem w restauracji „Pažangi”; w obiedzie biorą udział poseł Dulong, minister Tonkunas, dyrektorowie departamentów

Ministerium Spraw Zagranicznych Bizowski i Girdwojń, cały senat akademicki ze mną na czele i cała profesura Wydziału Prawniczego;

Poniedziałek, 28 – o godz. 2 lunch u mnie męski – Le Fur, Dulong, Tonkunas, Janulaitis, Kuraitis, ja, Kirwicki, Purėnas; o godz. 5 – drugi odczyt prof. Le Fura w Towarzystwie Litewsko-Francuskim: „Droit, morale, politique" – pod moim przewodnictwem i z moim zagajeniem;

Wtorek, 29: o g. 2 lunch u Janulaitisa z udziałem profesury Wydziału Prawniczego; o godz. 5 – herbatka w Towarzystwie Litewsko-Francuskim, wieczorem – Le Fur jest gościem Katolickiej Akademii Nauk;

Środa, 30: o godz. 11.30 – audiencja u Prezydenta Rzeczypospolitej; o godz. 2 – lunch u prezesa ministrów Tubelisa, o godz. 5 – trzeci i ostatni odczyt Le Fura „L'avenir de la Societe des Nations" w Towarzystwie Popierania Ligi Narodów pod przewodnictwem Janulaitisa, który jest prezesem tego Towarzystwa. Na tym koniec.

25 września, rok 1936, piątek

W kancelarii uniwersyteckiej rwetes z okazji przyjazdu prof. Le Fura. Trzeba było wygotować mnóstwo indywidualnych zaproszeń na odczyt jutrzejszy, na lunch i na wielki obiad akademicki, przetłumaczyć i reprodukować program przyjęć, dać ogłoszenie do wszystkich lokali uniwersyteckich, do prasy, skomunikować się telefonicznie z różnymi osobami itd. Mnóstwo się jeszcze znalazło szczegółów i epizodów do ustalenia, pracować też musiała w kontakcie ze mną komisja przyjęciowa w osobach Antoniego Tamošaitisa, Kriwickiego i Raczkowskiego.

Wieczorem udałem się na dworzec kolejowy na spotkanie prof. Le Fura. W liczbie spotykających byłem ja, Antoni Tamošaitis, Kriwicki, Konstanty Raczkowski, Feliks Mackus, dziekan Wydziału Prawniczego Janulaitis, lektor francuskiego Schmitlein, sekretarz handlowy konsulatu francuskiego, pani Urbšysowa i urzędnik Ministerium Spraw Zagranicznych de-Feria-Castro. Z pociągu wysiadł prof. Le Fur i jego żona. Zdziwiłem się, że pani Le Fur jest taka młoda; lat ma 35-40, podczas gdy prof. Le Fur ma bodaj 68 lat, choć wygląda dużo młodziej. Pani Le Fur jest niebrzydka, ma duże oczy, grzeczna i uprzejma bardzo, wysoka, trochę blada. My z Raczkowskim odprowadziliśmy ich do hotelu Litewskiego, gdzie przygotowany jest dla nich pokój. Pokój i utrzymanie prof. Le Fura z żoną w restauracji hotelowej opłaca nasze Ministerium Spraw Zagranicznych. Podróż samą finansuje francuskie Ministerium Spraw Zagranicznych.

26 września, rok 1936, sobota

Od pierwszego dnia pobytu prof. Le Fura jestem jak w kołowrocie ruchu. Tylko rano miałem kilka godzin czasu w domu, ale i tu mię nachodzili interesanci z kancelarii uniwersyteckiej i z młodzieży profesorskiej w różnych szczegółach przyjęcia i ceremoniału wizyty Le Fura. O godz. 11 rano Le Fur w towarzystwie posła francuskiego Dulonga złożył wizyty w Ministerium Spraw Zagranicznych i u ministra oświaty Tonkunasa (z wizytą do premiera Tubelisa prof. Le Fur uda się z Dulongiem w poniedziałek rano). Ja tymczasem poszedłem do uniwersytetu, tam załatwiłem prędko sprawy bieżące, przyjąłem interesantów itd. i o południu udałem się do hotelu do prof. Le Fura. Nie było go jeszcze, więc posiedziałem trochę z panią Le Fur, która coraz milsze sprawia na mnie wrażenie; jest bardzo grzeczna, opanowana, subtelna, ma dużo kobiecości. Ładna szczególnie nie jest, ale ma wdzięk i charakter miły. Niebawem wrócił prof. Le Fur. Ponieważ mieliśmy jeszcze godzinę czasu, zaproponowałem mu złożenia paru wizyt, mianowicie do dziekana Wydziału Prawniczego prof. Janulaitisa i drugą... metropolicie arcybiskupowi Skwireckiemu. Tytułów do tej drugiej wizyty jest kilka: prof. Le Fur jest katolikiem notorycznym, praktykującym i głębokim, poza tym ma być we wtorek przyjętym przez Akademię Katolicką Nauk, a wreszcie arcybiskup Skwirecki jest profesorem naszego uniwersytetu na Wydziale Teologicznym. Wziąłem taxi i pojechaliśmy, ale nie zastaliśmy ani Janulaitisa, ani arcybiskupa – tylko więc bilety wizytowe złożyliśmy. Następnie zabraliśmy panią Le Fur i pojechaliśmy do poselstwa francuskiego na lunch. Pani Dulong wczoraj wyjechała do Francji (złe języki twierdzą, że wyjechała umyślnie, żeby uniknąć nudy towarzyszenia

pani profesorowej), przeto u ministra Dulonga pań poza panią Le Fur nie było. Na lunchu oprócz nas i ministra Dulonga byli: Schmitlein, prof. Baltrušaitis, Kriwicki, Raczkowski, dziekani Janulaitis, Kuraitis, Žemaitis, prof. Izydor Tamošaitis. Po lunchu i kawie udaliśmy się wprost do uniwersytetu na odczyt prof. Le Fur: „Distinction de conflits juridiques et conflits politiques”. Sala była szczelnie zapełniona. Oprócz studentów była liczna elita inteligencji – z profesury, świata literackiego i dziennikarskiego, z ludzi o kulturze francuskiej, dużo też pań. Za stołem zasiedliśmy: prof. Le Fur, minister Dulong, ja i Janulaitis. Mnie jako rektorowi wypadło przewodniczenie i zagajanie odczytu – prezentacja prof. Le Fura i powitanie urzędowe. Wykonałem to w wielkiej mowie uroczystej, której pierwszą część wygłosiłem po litewsku, drugą – po francusku. Mowa udała się świetnie i pod względem treści, i pod względem formy. Francuszczyzna była doskonała. Zaimponowała Francuzom i znawcom francuszczyzny. Ze wszystkich stron mi potem wyrażano uznanie i słowa zachwytu. Była to, zdaje się, jedna z najlepszych mów moich. Le Fur mi oświadczył, że jestem prawdziwym urodzonym wielkim mówcą, artystą słowa. Wszyscy w ogóle liczą, że mowy moje są improwizowane i że mam wrodzoną wielką łatwość przemawiania publicznego *ex promptu*. Nie wiedzą, że mowy moje są zawsze dziełem pracowitym sztuki scenicznej. Są one zawsze z góry napisane i ściśle wyuczone. Uczę się ich, powtarzając po kilkakroć głośno każde nowe zdanie, następnie repetując i tak co dzień dodając po trochę, aż wyczerpię całość mowy. Pamięć mam doskonałą i dykcję opanowuję słuchem i pamięciowo; jest w tym zapamiętaniu mowy pewien dar muzykalny utrwalenia w psychice efektów dźwiękowych mowy głośnej. Gdybym się nauczył mowy po cichu – nie powtórzyłbym jej dobrze głośno. Nie jestem mówcą z Bożej łaski, ale aktorem z Bożej łaski. Co do odczytu Le Fura – był on bardzo treściwy i dobrze zbudowany logicznie. Wszystko razem – całość – bardzo dobrze się udało. Wieczorem zaprowadziłem prof. Le Fura z żoną do teatru na operę „Carmen”. Mieliśmy zarezerwowane dla nas pięć foteli w I rzędzie parteru. Z nami byli w teatrze prof. Janulaitis z żoną. Ofiarowałem pani Le Fur duże pudełko cukierków. Opera szła z Zauniosową w roli tytułowej, Piotrowskim w roli don Joségo, Mażeiką w roli Escamilio. Dyrygentem był gość międzynarodowy Dubroven, doskonały dyrygent. Profesorostwo Le Fur bardzo zadowoleni. Podobali im się soliści, podobał zespół zwłaszcza, chóry, dekoracje, orkiestra, najwięcej zaś balet. Ciekawi byli też publiczności.

27 września, rok 1936, niedziela

Drugi dzień wściekły przyjęcia prof. Le Fura. Zajęty jestem jak wczoraj, prawie bez przerwy do późnego wieczora. Na ogół czuję się co prawda przyjemnie, choć trochę zmęczony. W domu mi tylko jest przykro, bo moje rozerwanie pozadomowe, jak zawsze, nerwuje bardzo Jadzię, która staje się sztywną, przykrą, jakąś drewnianą, trawioną przez żal, zazdrość i upokorzenie, że ona jest poza tym. Tego ani ja w niej przełamać, ani ona sama przełamać nie może. To jak choroba; to musi być, ale to przejdzie.

Na dzisiejszy program pp. Le Fur złożyły się: lunch, wycieczka automobilowa w okolice, ceremonia w Muzeum Wojennym i wielki obiad uniwersytecki. Poprzednio, rano, prof. Le Fur z żoną w asystencji Konstantego Raczkowskiego byli w kościele, przyjmowali komunię, potem byli na śniadaniu w cukierni Konrada, następnie Raczkowski obwoził ich automobilem Ministerium Spraw Zagranicznych po mieście i za miasto doliną Niemna aż do Niewieży pod Czerwonym Dworem i nawet dalej nieco doliną Niewieży. Lunch był w restauracji Wersalu. Na lunch zaprosiłem tych samych, którzy mieli wziąć udział w ekskursji. Byli to: poseł francuski Dulong, młody prof. Baltrušaitis z żoną, Francuzką rodowitą, bardzo miłą i wykształconą osobą, córką profesora z Sorbony, prof. Stanisław Szołkowski z teologii, filozof katolicki, prof. Jonynas i Konstanty Raczkowski z żoną – Francuzką także, młodą, z okolic Bordeaux i Cognac. Obstalowaniem lunchu zajmował się Raczkowski. Uwzględniając moje życzenia, aby menu nie było banalne (stereotypowe: sandacz, kuropatwy, lody) i aby coś dać krajowego, na przykład kołduny, i lekkiego, na przykład rol-au-vent; wykoncypował on menu ciekawe i urozmaicone co prawda, ale bardzo przeładowane: przede wszystkim wielka obfitość przekąsek z wyboru w doborze doskonałym, następnie kołduny,

następnie rol-au-vent, dalej zupa, dalej kotlety z pulardy, jarzyny – kalafiory, szparagi, fasolki zielona w strączkach, ser, owoce, kawa. Trunki: wódka, wino francuskie czerwone i białe, woda mineralna, krupnik. Śniadanie było tak obfite, że nikt nie mógł całości sforsować. W czasie lunchu zajechały po nas dwa automobile, użyczone nam dla wycieczki przez Ministerium Komunikacji – bardzo dobre maszyny. Rozlokowaliśmy się w nich tak: w jednym: prof. Le Fur, p. Baltrušaitisowa, prof. Szołkowski i ja; ja siadłem przy szoferze na kozłach – wolałem tak niż siedzieć w głębi na siedzeniu, bo nie potrzebowałem bawić gości rozmową; w drugim automobilu: pani Le Fur, P. Raczkowska, Konstanty Raczkowski, minister Dulong, prof. Baltrušaitis i nieznośny w swoim narzucającym się gadulstwie i wścibstwie Jonynas. Udaliśmy się wpierw za Niemen pod gmach akademicki Instytutu Fizycznego koło aerodromu, gdzie przeszliśmy się nad urwisty brzeg wzgórza, dominujący nad doliną rzek Niemna i Wilii z malowniczo rozrzuconym u stóp Kownem. Następnie drogą przez wąwozy Jesi pojechaliśmy na Fredę i ku Górze Napoleona, skąd przez most poniemuński przyjechaliśmy na Szańce i stamtąd przez Górne Szańce, wzgórzami nad tunelem, na Pietraszuny do Pożajśla. W tym prześlicznym artystycznym zakątku, tak bliskim Kowna i tak znanym, byłem po raz pierwszy. Wstyd się przyznać. Oglądaliśmy przepiękny w harmonii i ornamentyce kościół Pożajśla, schodziliśmy do kości Paców w podziemiach, lubowaliśmy się ciszą i sentymentem klasztornym tej uroczej pustelni. Ciekawy szczegół: w jednym z dziedzińców Pożajśla pochowany jest, jak o tym świadczy kamienna tablica grobowa, autor hymnu carskiego Rosji „Боже, Царя Храни” – niejaki Lwow. Z Pożajśla wróciliśmy śpiesznie do Kowna do Muzeum Wojennego, w którego ogródku u Grobu Żołnierza Nieznanego odbywała się piękna i wzruszająca ceremonia spuszczania sztandarów z sygnałami trąbek, pochodem inwalidów, muzyką tychże itd. Tym razem było to połączone z wielką uroczystością obchodu 700-letniej roczicy bitwy pod „Saule”, o której mówią kroniki i w których Litwini z Łotyszami i Estończykami pobili Niemców. Były mowy, defilada wojska, organizacji i młodzieży. Na gości naszych to robiło wrażenie.

28 września, rok 1936, poniedziałek

Trzeci dzień nie mniej gorący rewizyty prof. Le Fura. Ale jeszcze dokończę o wczorajszym. Z uroczystości w Muzeum Wojennym wyszliśmy zaraz po zakończeniu defilady, która była długa i mnie już znudziła, ale profesorowi Le Furowi i jego żonie bardzo się podobała i sprawiła wrażenie. Goście z wielkich państw nie są przywykli do takich zjawisk społecznych, jakie się dają obserwować w małych państwach narodowych, w których poszczególne momenty przeżyć zbiorowych wyrażają się w niezwykłym skupieniu woli iześrodkowaniu solidarystycznym wszystkich czynników społecznych. Młodzież w szczególności w takich państwach, jak Francja, chodzi luzem i nie wciela się organicznie w akty obchodów uroczystych. Co prawda, w Niemczech, Włoszech i Sowietach obserwuje się to w jeszcze większym stopniu niż u nas, ale tam jest szablon i dyscyplina, podczas gdy u nas jest to bardziej samorzutne. W każdym razie, Francuzom to imponuje bardzo. Na posiedzenie poświęcone obchodowi bitwy pod Saule, które się odbyło w Muzeum Witolda bezpośrednio po ceremonii w ogródku Muzeum Wojennego, nie poszliśmy, bo czasu nie było, a zresztą przemówień i referatu po litewsku pp. Le Fur nie mogliby zrozumieć. O godz. ósmej wczoraj w gabinecie Trzech Książąt w restauracji Metropolu odbył się duży obiad uniwersytecki na cześć prof. Le Fura. Obecny byłem ja, prorektorowie, większość dziekanów wydziałów, profesura Wydziału Prawniczego, minister Tonkunas i wiceminister Masiliunas, kilka pań – pani dziekanowa Grinkiewiczowa, dziekanowa Janulaitisowa, pani Raczkowska. Obiad odbył się dobrze, krótkie przemówienie wygłosiłem ja, Le Fur odpowiedział. Po obiedzie długo, bo aż za północ, całe towarzystwo siedziało przy kawie przy pięciu stolikach grupami na wielkiej restauracyjnej sali ogólnej, gdzie grała orkiestra, tańczono i odbywały się numery kabaretowe. Goście się podochocili, nastrój był wesoły.

Dziś rano Konstanty Raczkowski oprowadzał pp. Le Fur po Galerii Čurlanisa. O godz. drugiej miał miejsce lunch u mnie – wyłącznie męski. Byli na nim: prof. Le Fur, prorektor Purėnas, dziekani Janulaitis i Kuraitis, poseł francuski Dulong, Dominik Kriwicki i Konstanty Raczkowski. Jadźka

wysiliła się na lunch wspaniały. Wszakże po obiedzie wczorajszym na skutek niewyspania i może też na skutek słoty dzisiejszej czułem się zmęczony i nie miałem humoru.

O godz. piątej – drugi odczyt prof. Le Fura, w Towarzystwie Litewsko-Francuskim. Przed odczytem, jako prezes tego Towarzystwa, wygłosiłem krótkie zagajenie po francusku. Miałem przygotowane dłuższe przemówienie, ale wyczułem, że to jest niepotrzebne po dwóch pierwszych moich przemówieniach – wielkim na uniwersytecie i wczorajszym na obiedzie. Mogłoby się wydać, że się popisuję sam i że mi chodzi o efekty mowy. Toteż skróciłem przemówienie do trzech pierwszych zdań przygotowanej mowy. Wystarczyło zupełnie. Odczyt prof. Le Fura odbył się na temat: „Droit, morale, politique". Le Fur tym razem odczytał swój odczyt powoli, toteż zrozumiano go lepiej. Odczyt się podobał. Wielkie uznanie wyrażają profesorowi Le Furowi katolicy. Sala Towarzystwa Litewsko-Francuskiego była pełna. Dużo pań, wyborowa publiczność, kilku księży, profesorowie, członkowie Towarzystwa, młodzież...

Wieczorem od ósmej do jedenastej – obiad u posła fancuskiego Dulonga. Goście: ja, p. Urbšysowa, przedstawiciele Ministerium Spraw Zagranicznych – Bizowski i Girdwojń, pani Valušisowa (córka prezydenta Smetony) i jej mąż pułkownik Valušis, Trimakas z Ministerium Spraw Zagranicznych, Konstanty Raczkowski z żoną.

Le Fur nie może się skarżyć na przyjęcie w Litwie. Program przyjęć jest bardzo zapełniony i urozmaicony, może raczej przeładowany.

29 września, rok 1936, wtorek

Święty Michał. Moje imieniny. Ze względu na nie i zwłaszcza ze względu na Jadźkę, aby ją udobruchać i choćby przynajmniej w tym dniu nie całkowicie ją mojej obecności pozbawić, zrobiłem pewną przerwę w moich zabiegach gościnnych na rzecz prof. Le Fura. Mianowicie w programie wizyty prof. Le Fura na dziś były wyznaczone trzy artykuły: a. lunch u dziekana Wydziału Prawniczego Janulaitisa; b. herbatka w Towarzystwie Litewsko-Francuskim; i c. przyjęcie na Katolickiej Akademii Nauk. Otóż na lunchu u Janulaitisa i w Adademii Katolickiej nie byłem. Ograniczyłem się tylko do herbatki w Towarzystwie Litewsko-Francuskim, którego jestem prezesem. Ale żadnych uroczystości imieninowych nie robiłem. Obiad imieninowy w domu odraczam na poniedziałek; zaproszę nań moich przyjaciół prywatnych – dr Gudowicza, Diskina, Feliksa Mackusa, Glikmana i Konstantego Raczkowskiego. Ponieważ imienin formalnie nie obchodzę, mało kto o nich pamiętał. Uroczystą ozdobną depeszę przysłał mi Ślażewicz, parę depesz powinszowalnych otrzymałem od innych osób, kosz żywych kwiatów przysłał mi prof. Le Fur, a kochana i wdzięczna moja była uczennica Żydówka Maša Zivaitė, obecnie już pani Szweykowska, która za moją protekcją otrzymała posadę w Pienocentrasie i zawsze mi odtąd świadczy swoją wdzięczność, przysłała mi ładną palmę żywą w wazonie – upominek bardzo miły i cenny. Wieczorem zaś był Diskin, który wrócił z wycieczki do Sowietów.

Na herbatce w Towarzystwie Litewsko-Francuskim zabawiłem się bardzo dobrze. Gości było dużo. Prof. Le Fur nie może narzekać. Przyjmujemy go tu stale i wciąż mu czas urozmaicamy. Poznał on mnóstwo ludzi i wrażeń ma pełno. Na herbatce byłem w dobrym usposobieniu i zmieniałem stoliki, przechodząc od jednego do drugiego, wszędzie się trochę zabawiając. Poznałem kilka nowych osób – pań. W szczególności zwróciła moją uwagę piękna panna Zikarasówna z Poniewieża, synowica rzeźbiarza, brunetka śniada o długiej twarzy Madonny z ikon bizantyjskich, ale o oczach trochę skośnych na modłę wschodnią i nieco szelmowskich, także pełna wdzięku i słodyczy młoda pani Masiulisowa, również z Poniewieża, wychowana we Francji, ale z rodziców Litwinów, którzy wyemigrowali do Francji, siostra pani Turowskiej. Poznałem też panią Lubomirską, zdaje się – autentyczną księżną tego nazwiska, zresztą porzuconą od dawna przez męża, Dowiatówną z domu, siostrę rodzoną nieodżałowanego Jerzego Dowiata, wielkiego patrioty litewskiego i oryginała, ideologa narodowej arystokracji litewskiej, zmarłego tragicznie przed laty przeszło dziesięciu.

Pani Le Fur przeziębiła się i jest chora; straciła głos, nie wychodziła z domu i mężowi nie towarzyszyła.

30 września, rok 1936, środa

Wreszcie – ostatni dzień wizyty Le Fura. Rano o godzinie 11.30 – audiencja u Prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetony. Audiencji towarzyszyłem ja, ale przyjechał też do prezydentury towarzyszyć poseł francuski Dulong. Audiencja była krótka. Prezydent Smetona nauczył się wprawdzie po francusku, ale bądź co bądź mówi z trudnością. Rozmowa – dość banalna: o dewaluacji franka, ogłoszonej, a raczej zapowiedzianej przed kilku dniami, co wywołało sensację powszechną, o kryzysie Ligi Narodów, o sprawach hiszpańskich. Rozmowa się urywała, po kilku minutach Prezydent przerwał audiencję, zamykając ją słowami grzeczności, komplementami i uznaniem dla przyjaźni i usług Le Fura, oddanych Litwie. O godzinie drugiej – lunch u pp. Tubelisów w ich pięknym pałacyku na skraju Zielonej Góry ze wspaniałą perspektywą na dolinę kowieńską. W lunchu tym wzięli udział: prof. Le Fur (bez żony, która czuje się niezdrowa i uchyla się od przyjęć, spędzając czas zupełnie prywatnie w towarzystwie pani Raczkowskiej), minister oświaty Tonkunas z żoną, dziekan prof. Janulaitis z żoną, poseł francuski Dulong, p. Urbšysowa, ja, sekretarz Tubelisa Einoris i gospodarze – premier Tubelis i p. Tubelisowa. Śniadanie było wystawne, wspaniale urządzone mieszkanie pp. Tubelisow, dużo pięknych palm w pokoju, malowniczy widok z okien; p. Tubelisowa, która biegle mówi po francusku, zabawiała prof. Le Fura i bardzo mu się podobała. Sam Tubelis po francusku nie mówi, na audiencji, której mu udzielił wczoraj, rozmawiał z nim przez tłumacza. Wprost od pp. Tubelisów udaliśmy się do uniwersytetu, gdzie o godz. piątej miał miejsce trzeci i ostatni odczyt Le Fura pod firmą Towarzystwa Popierania Ligi Narodów, którego prezesem jest Janulaitis. Audytorium na razie było puste. Pozastudenckiej publiczności zebrało się tym razem mniej, wielu zapewne odstraszył deszcz, studentów trzeba było do sali zapędzać namową, ale ostatecznie, gdy weszliśmy na salę, prawie wszystkie siedzące miejsca już były zajęte. Zagajenie wygłosił Janulaitis; u stołu prezydialnego zasiedli: Janulaitis, minister Dulong, minister Tonkunas, ja, prof. Jonynas i prof. Le Fur. Wykonano fotografię stołu prezydialnego z prof. Le Furem w środku. Temat odczytu był aktualny: „L'avenir de la Societé des Nations". Odczyt był treściwy i ładny. Podobał się może najwięcej ze wszystkich odczytów. Wieczorem towarzyszył profesorowi Le Furowi do obiadu Jonynas. Jutro rano go odprowadzimy na kolej.

1 października, rok 1936, czwartek

Dziś rano prof. Le Fur z żoną wyjechali. Pociąg odchodził o godzinie szóstej z minutami. Pomimo wczesnej pory zebrało się na dworzec kolejowy grono odprowadzających: ja, dziekan Janulaitis, dziekan Wydziału Teologicznego ksiądz profesor Kuraitis, Konstanty Raczkowski z żoną, Feliks Mackus i jeden z docentów teologii. Pożegnaliśmy serdecznie pp. Le Fur i niebawem pociąg odszedł. Skończyła się moja kilkodniowa ciężka służba reprezentacyjna, związana z wizytą prof. Le Fura. Choć była trochę męcząca, ale na ogół wrażenie zostało przyjemne. Prof. Le Fur i pani Le Fur są ludzie bardzo mili, serdeczni i naturalni. Polubiłem ich oboje i sądzę, że i oni nas polubili i są z wizyty radzi. Przyjęty był tu prof. Le Fur tak, jak chyba nigdzie. Był rozchwytywany i ciągle zajęty. Poznał dużo ludzi, dużo zobaczył, doświadczył dużo serdeczności. Przypuszczam, że wyjeżdża pod dobrym wrażeniem. Nic go też tu nie kosztowało, bo i hotel, i utrzymanie były opłacone.

2 października, rok 1936, piątek

Będąc zajęty referowaniem wizyty prof. Le Fura zapomniałem nadmienić w dzienniku o wyjeździe z Kowna Maryńki biednej. Wyjechała w poniedziałek wieczorem. Ogółem odbyła 16 naświetleń rentgenizacji. Wróciła teraz do Bohdaniszek i dopiero po Nowym Roku, jeżeli jej sił jeszcze starczy, ma przyjechać znowu dla pokazania się doktorom i ewentualnego poddania się rentgenizacji lub dla wypuszczenia wody z brzucha. Tymczasem jeździć będzie dwa razy tygodniowo do Rakiszek dla jakichś zastrzyków. Wszystko to są naturalnie tylko paliatywy na

przedłużenie procesu gaśnięcia, albowiem ratunku nie ma. Jak wszyscy ludzie ciężko chorzy – Maryńka pragnie zmiany miejsca; rwała się stąd do Bohdaniszek, jak żeby tam było zbawienie; zdawało się jej, że gdy wróci do swego domu w Bohdaniszkach, to zaraz odzyszcze siły. Z pewnością – rentgenizacja ją męczyła i osłabiała, ale przynajmniej może od bólów ustrzegła; miała już bowiem bóle przed ostatnim przyjazdem do Kowna. Na ogół mizernieje i ciągle traci siły. Straszna to choroba. Smutny jest niezmiernie widok kochanego człowieka, który gaśnie w oczach i jest skazany nieodwołalnie na rychłą śmierć. Wątpię, czy Maryńka przeżyje rok. Dla mnie jej strata będzie bardzo bolesna, albowiem z całego rodzeństwa była mi ona najbliższa. Byliśmy sobie najbliżsi wiekiem i od pierwszych lat dziecinnych życia była ona towarzyszką moją – pierwszym przyjacielem w życiu. I potem ileż mnie z nią wspólnych przeżyć łączyło!

Wieczorem miałem dziś u Mašalaitisa posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Na posiedzeniu obecny był także sędzia Danowski, który jest obecnie prezesem sekcji kłajpedzkiej Trybunału Najwyższego na miejsce Stankiewicza, którego minister Šiling ze stanowiska tego usunął. Choć usunięcie Stankiewicza było dość brutalne i nie licujące z powagą wysokiego sądu (Stankiewiczowi kazano podać się do dymisji; pozostał on zwyczajnym szeregowym sędzią w Trybunale), to jednak trzeba przyznać, że na tym trudnym stanowisku Danowski jest o wiele stosowniejszy od Stankiewicza. Danowski ma dobrą głowę, jest prawnikiem doskonałym i ścisłym, orientuje się szybko. Ale roztył na sędziostwie od lat 10 tak, że trudno w nim poznać tego człowieka, który niegdyś przychodził na posiedzenie Trybunału w charakterze sędziego wojennego dla brania udziału w sprawach wpływających z Sądu Wojennego.

Dziś chodziło o pewne zaprojektowane przez Tadeusza Pietkiewicza przepisy, nadające sekcji kłajpedzkiej Trybunału pewne szczególne funkcje sądowo-administracyjne.

3 października, rok 1936, sobota

Mam teraz kilka dni rodzaj wakacji po wyjeździe prof. Le Fura. Od poniedziałku rozpoczynam wreszcie wykłady, których rozpoczęcie w tym roku bardzo opóźniłem. Ale i te wakacje kilkodniowe nie są tak bardzo zupełne. Oprócz bowiem moich prac naukowych i innych biurkowych w domu, których tok jest nigdy nie ustający, mam różne bieżące roboty na uniwersytecie i poza nim. Na uniwersytecie są sprawy reformy statutu, likwidacji Wydziału Ewangelicko-Teologicznego, utworzenie przedstawicielstwa studenckiego i inne, w których muszę obradować z ministrem oświaty, z kolegami rektoratu, w senacie itd., poza tym mam posiedzenia komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich, sprawy komisji międzynarodowej współpracy intelektualnej i różne inne.

No, ale pracy nie unikam i nie przykrzę.

Z Bohdaniszek od Maryni niedobre wiadomości. Czuje się źle, jest bardzo osłabiona. Jeździła na pierwszy zastrzyk do Rakiszek i w drodze tak osłabła, że nie zatrzymując się w Rakiszkach pojechała wprost do Kowaliszek, gdzie się nią Elizka zaopiekowała. Elizka chciałaby się mocniej Maryńką zająć i ją stale do Rakiszek na zastrzyki odprowadzać, ale Maryńka broni się, bo straszą ją przyjazdy Elizki i związana z nimi konieczność przyjmowania Elizki, karmienia jej i urządzania noclegu; brak służby i brak sił czyni te zabiegi niesłychanie uciążliwymi dla Maryni. Napiszę do Elizki, żeby przyjeżdżała do Maryńki i nią się opiekowała, ale wiedziała, co ją w tych wizytach męczy i przeto tak się urządziła, żeby Maryńka fatygi nie miała. W jej stanie obecnym konieczna jej byłaby opieka stała. Niestety – nie ma Ewy, a Marysia Stefanowa z przyjazdem do Bohdaniszek zwleka.

4 października, rok 1936, niedziela

Szpetna była pogoda rano. Deszcz, słota, zimno. Myślałem, że nic nie będzie z zamierzonej przeze mnie wycieczki z Jadzią do Pożajśla. Sam byłem w Pożajślu ubiegłej niedzieli z prof. Le Furem i gronem osób po raz pierwszy (zdarza się to bardzo często, że ludzie miejscowi dopiero wtedy sami poznają to, co jest ciekawego do zwiedzenia u siebie, gdy muszą coś pokazać gościom przyjezdnym); byłem tak przejęty urokiem tej poważnej ciszy klasztornej w pięknym dekorum natury

i architektury, że postanowiłem następnej niedzieli, to znaczy dziś, zawieźć tam Jadźkę, która także nigdy dotąd w Pożajślu nie była i zawsze chciała je zwiedzić. Po obiedzie wypogodziło się nieco i słoneczko zaświeciło, choć było dość chłodno. Wybraliśmy się więc. Najęliśmy za 18 litów taksi tam i z powrotem. Cała wycieczka z jazdą tam i z powrotem i pobytem półgodzinnym w Pożajślu zajęła nam godzinę czasu. Śliczne to miejsce i przepiękny kościół o wspaniałej fasadzie barokowej i ślicznym wnętrzu o bardzo ciekawej konstrukcji architektonicznej z wysoką strzelistą kopułą w środku i pięknymi freskami u góry. Zwłaszcza piękne jest wnętrze kopuły i sufit nad głównym ołtarzem. Ładny jest też cały klasztor, dziedzińce i drzewa w nich. Taka wycieczka krótka – to bardzo ładna rozrywka.

Wieczorem byli u mnie na herbacie Eugeniusz Römer z córką Gienią. Przyjechał też i nocuje u mnie Stefan Römer.

5 października, rok 1936, poniedziałek

Dziś rozpocząłem wykłady. Wygłosiłem pierwszy wykład na I semestrze sekcji prawniczej. Choć już od wielu lat wykładam, jednak zawsze mam przed wykładem tremę, zwłaszcza przed rozpoczęciem wykładów po dłuższej przerwie. Na wartość wykładu to jednak źle nie wpływa. Audytorium było nieliczne, ± 30 do 40 słuchaczy. W tej liczbie dość duża ilość studentek. Jeżeli na pierwszym inauguracyjnym wykładzie jest tylko tylu słuchaczy, to znaczy że w ciągu roku będzie zapewne nie więcej, niż jakiś dziesiątek pilnych i akuratnych słuchaczy. Na sekcji prawniczej studentów z roku na rok coraz mniej.

Na godzinę 2.30 zaprosiłem dziś do siebie na obiad kilku gości z mojego ściślejszego kółka przyjaciół domowych nieetykietalnych. Był to obiadek quasi-imieninowy, odroczony od św. Michała, na który z Bohdaniszek był wczoraj przysłany indyk. Zaproszeni byli i przyszli: Diskin, moi asystenci Konstanty Raczkowski i Feliks Mackus, Glikman i Stefan Römer. Zasiadła też Jadzia z Renią. Nie przyszedł tylko prof. dr Gudowicz, który także był zaproszony, ale się wymówił, a zresztą przez jakieś nieporozumienie otrzymał zaproszenie za późno. Obiad Jadzia dała po prostu wspaniały. Trochę za dużo mię bujał przy obiedzie pochlebstwem Glikman.

6 października, rok 1936, wtorek

Na uniwersytecie o godz. pierwszej miałem w moim gabinecie rektorskim posiedzenie zarządu Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. W końcu tego miesiąca projektowane jest zebranie doroczne plenum komisji; w listopadzie, jak mię niedawno informował ustnie prof. Piip z Tartu (Dorpatu), ma się w Tartu odbyć druga konferencja bałtycka tych komisji narodowych z udziałem w charakterze gości delegatów komisji narodowych skandynawskich – zwłaszcza szwedzkiej; Estończycy zapraszają, aby przy tej okazji ktoś z profesorów naszego uniwersytetu, biorący udział w konferencji, wygłosił też odczyt naukowy na uniwersytecie w Tartu; co do mnie – nie wybieram się na tę konferencję.

Wieczorem wygłosiłem pierwszy w tym roku akademickim wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Audytorium było pełne; dużo studentów notuje wykłady. Staram się bardzo streszczać, aby prędzej odbyć tę część kursu, którą powtarzam z wykładów pozaprzeszło- i przeszłorocznych, aby mi w końcu roku akademickiego więcej czasu zostało na dopełnienie kursu świeżo opracowanym dalszym ciągiem wykładów, obejmującym okres konstytucyjny od roku 1922 do roku 1928, to znaczy okres działania konstytucji z roku 1922 i dwa zamachy stanu z d. 17.XII.1926 i z d. 12.IV.1927 aż do konstytucji z roku 1928, której analizę rezerwuję do przyszłego roku akademickiego. Zresztą część kursu, która się kończy analizą szczegółową konstytucji r. 1922 i którą wyczerpałem w wykładach zeszłorocznych, ukaże się niebawem w druku, toteż w następnych latach jej wykładanie stanie się już właściwie zbyteczne. A gdy po paru leciech dokończę opracowanie analizy konstytucji r. 1928 i całego okresu najnowszego aż do chwili obecnej i gdy wtedy tę drugą część kursu ogłoszę drukiem, wtedy mam zamiar wykłady prawa konstytucyjnego litewskiego przekazać jednemu z moich asystentów, może Feliksowi Mackusowi.

7 października, rok 1936, środa

Miałem rano drugi wykład na I semestrze sekcji prawniczej. Było nieco więcej studentów, niż pozawczoraj. Audytorium jeszcze mi jest obce. Znajomych twarzy jeszcze nie mam. Jedna tylko jest twarz znajoma – to młody Michaś Chmielewski z Poniewieża, który ukończył tam gimnazjum polskie, syn biednych rodziców, którego wraz z jego bratem Bohdanem Stefan Römer, który przed laty 10 był nauczycielem rysunków w tym gimnazjum, przywoził do Bohdaniszek na wakacje letnie. Chmielewscy i później przyjeżdżali nieraz na lato do Bohdaniszek do Maryni. Michał Chmielewski – chłopiec niegłupi i z charakteru trochę dziwak, zarozumiały, trochę maniak demonizmu i panowania nad siłami nadprzyrodzonymi. Ale, zdaje się, ma głowę i wolę. Może się z niego rozwinąć zdolny uczeń mój. Na wykładach słucha pilnie i notuje.

Na godz. piątą wyznaczona była na sali w uniwersytecie uroczystość publiczna doręczenia staremu profesorowi honorowemu i pierwszemu dziekanowi Wydziału Prawniczego Piotrowi Leonasowi dyplomu doktora honorowego, ofiarowanego mu przez Wydział Prawniczy. W uroczystości brał udział także uniwersytet *in corpore*, w którego imieniu ja przemawiałem. Na uroczystość stawiła się bardzo licznie profesura, członkowie senatu akademickiego, cały Wydział Prawniczy, były rektor Czapiński, który już w tym roku usunął się z uniwersytetu, i bardzo liczny zastęp młodzieży. Zwłaszcza stawili się wszyscy profesorowie ideologii lewicowej, wielbiący Leonasa dla jego stanowiska opozycyjnego. Wśród młodzieży też przeważały elementy mniej lub więcej lewicowe. Leonas istotnie stał się w ostatnim dziesięcioleciu jednym z wielkich filarów zdewastowanego obozu radykalnego, który zresztą w istocie, sam może nie zdając sobie z tego dokładnie sprawy, zatracił postępowość w konserwie demokratyczno-liberalnej. Skądinąd wszakże wiek i przeszłość Leonasa czynią zeń jednego z popularnych weteranów narodowych, popularnych bez względu na odcienie ideologiczne i tylko w najjaskrawszych czynnych elementach prorządowych nie lubianego. Co do mnie osobiście – wielkim jego admiratorem nie jestem, bo jego charakter namiętny i pełny gniewu, połączony z oschłością skostniałą jego poglądów sztywnych, nie przypada mi do smaku. Jako rektor wszakże musiałem mu naturalnie złożyć hołd popularny uniwersytetu. Jako rektor – umiem zawsze oddzielić „rację stanu” reprezentowanej przeze mnie instytucji i społeczności od pewnych zabarwień uczuciowych osobistych. Wygłosiłem ładną i staranną mowę hołdowniczą dla tego weterana starca, który na ogół był bardzo wzruszony uroczystością, na którą przyszedł we fraku. Przemawiał też dziekan Wydziału Prawniczego prof. Janulaitis, który mu doręczył dyplom, referat zaś o Leonasie wygłosił ekonomista prof. Albin Rimka, który płytko i banalnie usiłował dowieść, że prof. Leonas w istocie w swojej pracy naukowo-społecznej nie był rzekomo prawnikiem, albowiem... obchodziły go zagadnienia przede wszystkim społeczne. W istocie jednak Rimka dowiódł nie tego, czego chciał, jeno tego, że nie pojmuje istoty prawa i funkcji prawnika, która właśnie jest głęboko społeczna, a nie talmudyczna, jak wielu profanów sądzi. W zakończeniu odpowiadał Leonas, który wbrew zwyczajowi mało popełnił wybryków demagogicznych, którymi zwykle lubi pokrywać jałowość koncepcji swoich.

8 października, rok 1936, czwartek

Miałem pierwszy w tym semestrze wykład na sekcji ekonomicznej. Pierwsze wrażenie, gdym rzucił okiem na audytorium: same kobiety. Potem dopiero spostrzegłem, że są także mężczyźni. Ale studentki wyraźnie przeważają.

Wieczorem – posiedzenie senatu akademickiego. Porządek dzienny posiedzenia bardzo naładowany.

9 października, rok 1936, piątek

Smutna żałobna rocznica zaboru Wilna przez Polskę. Polskie Wilno fakt ten uważa za „wyzwolenie” radosne, Litwa i całe społeczeństwo litewskie po obydwóch stronach kordonu święci żałobę.

Dla mnie osobiście fakt ten i ta rocznica jest smutna podwójnie. Smutna dla moich uczuć litewskich, ale smutna także dla moich uczuć polskich. Nie lubię tego dnia i wolałbym osobiście nie pamiętać o nim ani brać w nim udziału. Albowiem te obchody żałobne litewskie z natury rzeczy dają zawsze okazję do odruchów uczuciowych namiętności antypolskiej, która dla mnie jest zawsze bolesna, chociaż ją nawet rozumiem i wybaczam u Litwinów. Krzywda, którą Polska Litwie zadała, uzasadnia naturalnie to wyśrubowanie nienawiści, ale dla mnie uczuciowo jest ona nie do przyjęcia. Polskę bowiem *quand même* kocham; dla mnie sprawa wileńska i zabór brutalny Wilna przez Polskę, nade wszystko zaś metoda, jaką Polska potraktowała Litwę – to tragedia.

Nie zawsze jednak i nie we wszystkim mogę się jako rektor uchylić od wszelkiego udziału w obchodzie tej daty żałobnej. Młodzież akademicka zawsze tę żałobę obchodzi uroczyście na uniwersytecie. Wszystkie grupy ideologiczne litewskie młodzieży w tym akcie się solidaryzują i nadają temu formę uroczystą, ze sztandarami i mowami przedstawicieli wszystkich grup. Nie poszedłem jednak na tę uroczystość. Zastąpił mię prorektor Jodelė. Jednak przez prorektora wystąpiłem z odpowiednią odezwą na piśmie do studentów.

W gazetach wieczornych była wiadomość, że jednak Łotwa do Rady Ligi Narodów wybrana została. Domagał się tego nasz Związek Bałtycki. Ostatnio rozeszły się pogłoski, że wybór Łotwy upadł. Okazało się jednak, że tak nie jest. Jest to bądź co bądź sukces bałtycki wybitny. Być może, że ta okoliczność ułatwi moje szanse wyboru do Trybunału w Hadze. Daj Boże!

10 października, rok 1936, sobota

Miałem list od posła litewskiego Sawickiego ze Sztokholmu. Wspomina o przyjeździe do Kowna Curmana w listopadzie, o czym już wiem skądinąd, ale także o przyjeździe do Kowna rektora Tunberga ze Sztokholmu bodaj nawet że w październiku. Do Curmana już sam w tych dniach napisałem, proponując mu wygłoszenie jednego odczytu na uniwersytecie. Co do rektora Tunberga, to wiem, że się wybierał i sam mi o tym pisał latem, ale potem we wrześniu mię zawiadomił, że w tym roku akademickim nie będzie mógł przyjechać i wybierze się dopiero w następnym. Napiszę jednak do Tunberga, zapytując.

W listopadzie w Tartu odbędzie się druga konferencja bałtycka narodowych Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej, w której biorą udział – w myśl naszego zapoczątkowania zeszłorocznego – nasze trzy państwa ściśle bałtyckie – Litwa, Łotwa i Estonia – i Finlandia. W tegorocznej konferencji w Tartu wezmą także udział w charakterze obserwatorów delegaci komisji narodowych skandynawskich – szwedzkiej w każdym razie i zapewne także duńskiej i norweskiej. Szwedzka komisja w osobie swego prezesa czy członka zarządu p. Knösa, wysokiego urzędnika Ministerium Oświaty w Sztokholmie, bardzo się w roku zeszłym zainteresowała tymi zainicjowanymi przez nas konferencjami bałtyckimi, o których p. Knösowi i Curmanowi opowiadałem, i sama pierwsza wyraziła chęć wzięcia udziału w tym roku. Na konferencji zaś czy zjeździe ogólnej międzynarodowej Komisji Współpracy Intelektualnej w Genewie czy Paryżu omawiano z wielkim uznaniem te nasze konferencje bałtyckie i wtedy wszystkie komisje skandynawskie się tym zainteresowały. Będzie to jedna z pierwszych form kontaktu skando-bałtyckiego. Na konferencję tę do Tartu ja się nie wybieram. Pojedzie Trimakas i prof. Tadeusz Iwanowski albo prof. Jonynas. W myśl zaproszenia Estończyków profesor, który od nas na konferencję pojedzie, wygłosi też odczyt na uniwersytecie w Tartu.

Wpadł do mnie po obiedzie Glikman, przejęty kwestią akcji na rzecz mojej kandydatury do Trybunału w Hadze. Mówi, że trzeba zaraz rzecz podnosić i korzystać z sukcesu Łotwy w Lidze Narodów, aby pozyskać akces państw bałtyckich dla mojej kandydatury do Trybunału i rozpocząć odpowiednie zabiegi. Powiedziałem, że mnie trudno samemu o to zabiegać i narzucać się.

11 października, rok 1936, niedziela

Dziś miałem uroczystość dziesięciolecia związku filistrów korporacji studenckiej „Neo-Lithuania”. Ta korporacja narodowców jest pupilem rządu obecnego. Jest ona faworyzowana i ma

łaski. Kto się może wykazać tytułem „neo-lithuana" – ten ma drogi otwarte i temu perspektywy kariery są dobre. Okoliczność ta wpływa nawet nieco demoralizująco na młodzież korporacyjną, albowiem ściąga do jej szeregów wiele śmiecia karierowiczowskiego, często też ta młodzież, czując za sobą plecy rządowe, pozwala sobie na pewne dość aroganckie i lekceważące wystąpienia w stosunku do profesury i uniwersytetu, zwłaszcza w swym organie prasowym „Akademikas", czasem też w pewnych enuncjacjach uniwersyteckich. Wszakże takie wybryki są tylko sporadyczne. Obok śmiecia karierowiczowskiego nie brak w korporacji chłopców zdolnych i idealistów przekonaniowych. Choć są to przeważnie przekonania i ideały bardzo ekstremistycznie nacjonalistyczne i społecznie ciasne. Są nawet prądy jaskrawo voldemarasowskie, które się czasem przebijały i narażały korporację rządowi.

Związek filistrów korporacji, który liczy wielu ludzi, wysoko już zaangażowanych w hierarchii urzędniczej, jest może więcej serwilistyczny, niż korporacja sama. Ponieważ jednak korporacja ta jest wpływowa i poważna w naszym społeczeństwie akademickim, przeto ignorować jej jako rektor nie mogę. Zaproszony byłem osobiście przez prezesa związku filistrów, wiceministra sprawiedliwości Drewińskiego, do wzięcia udziału w tzw. „alutisie" wczoraj (burszowskie picie piwa), w posiedzeniu uroczystym dzisiaj i w kolacji dziś wieczorem, w której też obiecał wziąć udział Prezydent Smetona. Zdecydowałem się tylko na posiedzenie uroczyste, na którym oczywiście wypadło mi powiedzieć mowę. W prezydium zasiadał prezes ministrów Tubelis, najstarszy filister – poseł litewski w Łotwie Vileišis i prezydium związku. W liczbie gości był marszałek Sejmu Šakenis, minister oświaty Tonkunas i inni. Mowę moją wypowiedziałem po ministrze Tonkunasie; bardzo gorąco mię oklaskiwała młodzież, wśród której jestem popularny, bo zresztą i sam młodzież lubię, a nawet kocham bez względu na kierunki i prądy, którym hołduje. Miałem pewien kłopot, jak rozpocząć mowę – czy wpierw zwrócić się do prezesa ministrów, czy do marszałka Sejmu. Po namyśle i wbrew innym mówcom zdecydowałem się dać pierwszeństwo marszałkowi Sejmu, albowiem formalnie hierarchicznie Sejm jest wyższy od gabinetu ministrów, który przed Sejmem odpowiada. Co prawda, faktycznie jest u nas inaczej. Supremacja rządu nad Sejmem jest wyraźna, ale jest to tylko fakt polityczny, nie zaś hierarchia konstytucyjna. Mowę wygłosiłem niezłą, tylko się parokrotnie zmieszałem i zaciąłem trochę. Myśl przewodnia mojej mowy była ta, że przekonania wyraźne i szczere są zawsze wartościowe, że w korporacji „Neo-Lithuania" są one takie właśnie, że w młodym społeczeństwie litewskim, którego renesans jest młody i romantyczny, kierunek narodowy ma swoje uzasadnienia szczególne i że związek filistrów powinien być składnicą skrystalizowanej tradycji romantyzmu młodzieży i konserwacją owoców idealizmu młodych.

12 października, rok 1936, poniedziałek

Po wykładzie rannym miałem między godziną jedenastą a drugą aż pięć różnych posiedzeń u mnie w gabinecie rektorskim.

Przede wszystkim odbyło się zebranie likwidacyjne byłego sądu honorowego w sprawie między inżynierem Witoldem Landsbergiem a Strazdasem. Zebraliśmy się w osobach sędziów w tej sprawie – prof. Janulaitis i prof. Krėvė-Mickiewicza oraz mnie jako superarbitra. Sprawa jest zakończona, chodziło tylko o zarządzenia likwidacyjne. Uchwaliliśmy ze względu na społeczny charakter tej sprawy akta tejże złożyć pod pieczęcią do archiwum rękopisów Biblioteki Uniwersyteckiej.

Następnie odbyło się zebrańko grona członków Wydziału Prawniczego w osobach mojej, dziekana Janulaitisa i profesorów Rimki, Wacława Biržiški i Antoniego Tamošaitisa dla narady w przedmiocie zużytkowania stypendium zagranicznego i wolnego stanowiska asystenta etatowego, opróżnionego na rok z powodu wstąpienia Juliusza Smetony do wojska. Rada Wydziału była uchwaliła udzielić te stanowisko Feliksowi Mackusowi, zaś stypendium, uwolnione przez Mackusa, oddać nieetatowemu asystentowi ekonomiście Tarulisowi, którego kandydaturę przedstawić ministrowi. Okazuje się wszakże, że ministerium ma jakieś zastrzeżenia przeciwko kandydaturze Tarulisa. Nasi profesorowie uważają wszakże Tarulisa za siłę poważną. Postanowiono, że Rimka z

dziekanem Janulaitisem udadzą się jutro do ministra Tonkunasa i będą usiłowali go przekonać na rzecz Tarulisa. Jeżeli jednak Tarulisa przeforsować się nie uda, to skłaniają się do tego, aby na stypendium pozostawić Mackusa, zaś na stanowisko etatowe asystenta na rok mianować nowego aystenya nadetatowego, Aleksandra Broel-Platera, który ma się gotować do profesury jako przyszły następca Janulaitisa na katedrze historii prawa litewskiego (część wynagrodzenia Plater musiałby przekazać na rzecz dopełnienia skąpego stypendium Mackusa).

Trzecie posiedzenie – komisji promocyjnej Wydziału Prawniczego w osobach mojej, dziekana Janulaitisa i prof. Wacława Biržiški. Uchwaliliśmy zgłosić do Rady Wydziału promocję Saengera na stanowisko profesora zwyczajnego.

Czwarte – nie posiedzenie, ale konferencja – moja z prof. Tadeuszem Iwanowskim w sprawie jego jazdy do Tartu w charakterze delegata na konferencję bałtycką komisji narodowych Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej i wygłoszenia odczytu na uniwersytecie w Tartu.

Piąte posiedzenie – zarządu uniwersyteckiego (członków kolegium rektoratu) w osobach mojej, obu prorektorów Jodeli i Purėnasa i sekretarza prof. Blažysa. Sprawy bieżące. Kłopoty różne.

Mam przykrość. „Lietuvos Aidas”, świadomie czy bezwiednie, sfałszowało relację mojego przemówienia wczorajszego na uroczystości związku filistrów „Neo-Lithuanii”. W relacji tej wygląda, że wygłosiłem panegiryk nacjonalizmu.

13 października, rok 1936, wtorek

Dziś na obiad mieliśmy sarninę! Sarnę upolował w niedzielę Gudowicz, który mi co poniedziałek coś ze swych trofeów myśliwskich przysyła. Dotąd były to przeważnie kuropatwy, teraz na intermezzo przyszła sarna (cała kulsza młodej sarny), od przyszłego tygodnia zaczną się zające. Jadzia nam znakomicie pieczeń z sarny przyrządziła, a na jej spożycie zaprosiliśmy Diskina z żoną; naturalnie był także Mackus, który teraz stale się u mnie stołuje, dopóki wyjedzie do Paryża znowu na drugi rok studiów.

W rektoracie miałem dziś posiedzenie komisji, wyłonionej przez Komisję Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej do rewizji podręczników szkolnych w kierunku obiektywnego traktowania wzajemnego państw bałtyckich. Jest to wykonanie jednej z uchwał zeszłorocznej konferencji. Do komisji u nas (w Litwie) należą profesorowie historii Jonynas i Iwiński i profesor geografii Pakštas. Poza tym był nasz sekretarz generalny Trimakas.

Wieczorem miałem drugi wykład prawa konstytucyjnego litewskiego na III semestrze. Te wykłady bardzo dobrze mi się udają.

14 października, rok 1936, środa

Byłem dziś zaproszony na lunch do poselstwa amerykańskiego. Lunch miał miejsce z okazji pobytu w Kownie posła amerykańskiego na kraje bałtyckie, którego siedziba stała jest w Rydze i który tu, jak również do Tallina, od czasu do czasu na krótki pobyt przyjeżdża, podczas gdy stale rezyduje tutaj podwładny mu *chargé d'affaires*. Poseł jest nowy, dopiero od czerwca. Na lunchu byli członkowie przedstawicielstwa amerykańskiego – poseł, *chargé d'affaires*, sekretarz legacji i *attaché* wojenny, i grupa gości litewskich – minister spraw zagranicznych Lozoraitis, minister rolnictwa Putwiński, gubernator Kłajpedy Kurkowski, szef sztabu Černis, dyrektor departamentu Norkaitis, urzędnik Ministerium Spraw Zagranicznych Łowcewicz i ja, oraz nie wiem z jakiego tytułu – jedyny przedstawiciel korpusu dyplomatycznego obcego – poseł sowiecki Karski.

Wieczorem byłem w Towarzystwie Litewsko-Francuskim na odczycie o „Roman analytique”, wygłoszonym przez bawiącego w Kownie młodego dziennikarza francuskiego Józefa Pérarda. Odczyt był ładny, trochę za długi.

Byłem rano u ministra oświaty Tonkunasa. Zdaje się, że kandydatura Tarulisa na stypendium da się załatwić. Omawialiśmy też pewne szczegóły projektu reformy statutu akademickiego.

15 października, rok 1936, czwartek

Wczoraj przyjechał z Bohdaniszek Andrzej Mieczkowski. Ma on jeszcze jeden, ostatni, rok studiów na filologii. Myślałem, że w tym roku nie przyjedzie, że go wezmą do wojska. Zarządzono wprawdzie obowiązek wojskowości dla tych mieszkańców Litwy, którzy nie mają żadnej przynależności państwowej (Andrzej do takich należy), ale okazało się, jak się zdaje, że to nie dotyczy urodzonych w jego roku urodzenia. Sam zaś Andrzej do wojska się nie kwapi, choć może by to pomogło do pozyskania obywatelstwa; bez obywatelstwa litewskiego na nic mu się studia nie zdadzą, o ile w Litwie pozostanie. Zresztą niech sobie robi, co chce. Może lepiej, żeby się wyniósł do Polski, bo wszystko jedno czuje się i czuć będzie cudzoziemcem. Niezły to w gruncie chłopiec, ale ma swoje różne „ale” i mniej mi się teraz podoba, niż w pierwszym roku jego tu pobytu. Jest zarozumiały i uparty i ma dosyć dużo kaprysów i nałogów pańskości w poglądach i w pewnej pogardzie do ludu; nie jest to też umysł otwarty i wolny, tęskniący do oddechu swobodnego; przesądy i narowy psychiczne środowiska mają wielką moc nad nim i w tej ciasnocie poglądów i uczuć nabytych jest mu dobrze. Jest też w nim pewna przekorność złośliwa, czasem nawet histeryczna. Skądinąd wszakże jest zdolny, uczciwy, ma niezłe serce, ale w miarę jak dorasta i jak w nim twardnieją jego cechy właściwe, staje się, jak każdy człowiek w domu, krępujący nieco środowisko domowe w mojej „intimité” z Jadzią. Wolałem, żeby na ten rok zrobił przerwę w studiach i pobycie u mnie, ale on tego sam nie chciał, a trudno mi było kategorycznie mu to powiedzieć. Jest w Andrzeju pewne dość dziwaczne pomieszanie delikatności z chamstwem; najczęściej delikatność przeważa, ale nie zawsze i nie we wszystkim, a czasem ta delikatność jest tylko maską.

Dziś były imieniny Jadźki. Zafundowałem jej dwie palmy młode, o których posiadaniu zawsze marzyła. Biedaczka ma życie mało urozmaicone u boku mego wobec mojego zapracowania i wobec stanowiska dość niewyraźnego społecznie. Serce mi się często kraje na jej los smutny. Jest w głębi jej duszyczki dużo jaskrawości i fantazji, które się nie mają okazji rozwinąć i usychają w odludnej samotności. Tylko w intymnym kontakcie ze mną te kwiaty i ognie w niej zakwitają i płoną, mieniąc się barwami temperamentu. Ale ja trochę za stary jestem na jej młodość.

16 października, rok 1936, piątek

Nastąpiła zmiana na stanowisku gubernatora Kłajpedy. Ustąpił Kurkowski, miejsce jego zajął Kubilius, który ostatnio był starszym notariuszem, poprzednio zaś naczelnikiem powiatu w Szawlach. Jest to człowiek dość młody, były oficer, mój były uczeń, który w roku akademickim 1923-1924 był moim słuchaczem na I i II semestrze prawa. Chłopiec był pilny, uważny, pracowity; żeby się wyróżniał szczególnymi zdolnościami i bystrością – tego nie dostrzegłem. Na ogół jego wybór na stanowisko gubernatora wielu uważa za niezbyt właściwy. Jakie walory Kubiliusa wpłynęły na jego wybór – nie wiem. Nie bardzo się też orientuję, dlaczego musiał ustąpić Kurkowski. Formalnie przeszkodą było to, że Kurkowski jest posłem do Sejmu i że oba te stanowiska – posła sejmowego i gubernatora – kolidują. Ale równie dobrze mogło być poświęcone jedno stanowisko, jak drugie. Częste zmiany gubernatorów w Kłajpedzie nie wydają mi się dobre. Kurkowski miał już swoją metodę, miał takt, umiał operować pewnymi argumentami gospodarczymi, wprawił się w pewien rygor kontaktu z dyrektorium Baldžiusa; może to ostatnie go właśnie kompromitowało nieco w opinii rządu; nie wiem.

Poseł francuski p. Dulong doręczył dziś ofiarowane uniwersytetowi przez prezesa „Cité Universitaire” w Paryżu i „Touring-Clubu” Francji album pięknych zdjęć geodezyjskich szczytów alpejskich w reprodukcjach kolorowych z akwareli, wykonanych przez uczonego i zarazem artystę, który kilkadziesiąt lat życia poświęcił tej pracy. W tej serii reprodukcji szczególnie wspaniała jest ogromna akwarela dokładnego widoku z całej perspektywy ze szczytu Mont-Blanc.

17 października, rok 1936, sobota

Jak co dzień teraz, miałem rozmaite posiedzenia i wizyty na uniwersytecie. Rozmaitych zagadnień i potrzeb mnóstwo, ale przynajmniej dotąd w tym roku nie ma żadnych zaburzeń, które

najbardziej męczą i dokuczają. Powierzchnia życia akademickiego dotąd jest spokojna; żadne wichry namiętności jej nie zakłócają; są tylko sprawy bieżące. Choć niektóre są trudne, jednak mają przebieg spokojny.

Rano przyjąłem w gabinecie rektorskim młodego doktoranta z Wilna, który tu przyjechał z poleceniem od Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie dla zebrania pewnych materiałów dla swojej tezy doktorskiej o wychodźstwie sezonowym robotników rolnych z Wileńszczyzny do Łotwy. Skomunikowałem go z naszym młodym ekonomistą, asystentem Podelskim, który mu udzieli wszelkich potrzebnych wskazówek i skieruje po materiały. Ten młody doktorant – niejaki Kopeć – rodzina znana w Wileńszczyźnie. Podelski dobrze mówi po polsku i zna naukę polską i uniwersytety polskie, bo ubiegły rok akademicki spędził na studiach doktorskich w Warszawie, korzystając ze stypendium polskiego z tych stypendiów, o które się prof. Henryk Paszkiewicz w Warszawie wystarał dla młodych adeptów nauki Litwinów. *A propos* tych stypendiów zanotuję, że w roku ubiegłym korzystali z nich humanista Izydor Stankaitis (studiuje literaturę polską) i ekonomista Podelski, który studiował ruch fizjokratów w Litwie (w Wyższej Szkole Handlowej pod kierunkiem zwłaszcza starego Ludwika Krzywickiego). W tym roku Stankaitis znów się wybiera, a oprócz tego chce jechać do Warszawy na to stypendium młody dyplomowany prawnik Tadeusz Zaleski, Litwin z obozu młodzieży ludowców. Mam go rekomendować prof. Paszkiewiczowi. Trudność jest ta, że Zaleski chce się specjalizować w zakresie prawa karnego; w tym zakresie nauka polska, zdaje się, nic szczególnego nie przedstawia, skądinąd zaś Warszawa, udzielając stypendiów, chce, żeby ci, co z nich będą korzystali, studiowali coś takiego, co ma związek z kulturą polską, podczas gdy prawo karne tej specyficznej cechy polskiej nie posiada. Ale rekomendację Zaleskiemu dam. Dziekan Wydziału Prawniczego Janulaitis rekomendować go nie chce, bo jest zasadniczo przeciwny tym stypendiom i wszelkiemu kontaktowi z Polską. Dla mnie takie stanowisko jest niepojęte; nie tylko bynajmniej dlatego, ze ja osobiście cenię kontakt z Polską – u mnie to jest sentyment szczególny i ściśle osobisty, płynący z mojego dualizmu osobistego, ale wprost dlatego, że uważam, iż znajomość sąsiada jest dla każdego kraju użyteczna. Choćby się nawet uważało Polskę za wroga śmiertelnego, z którym nie może być nigdy zbliżenia i zgody, to jednak znać ją trzeba i jednak dobrze jest posiadać ludzi, którzy kraj sąsiedni, kraj nawet wroga znają. Zamknąć oczy, ignorować, nie znać, nic o nim nie wiedzieć – to czynnik nie siły, lecz słabości. Że się nie będzie nic chciało słyszeć i wiedzieć o sąsiedzie – to przecież na skutek tego ten sąsiad istnieć nie przestanie. Słaby jest politycznie kraj, który nie zna sąsiadów i przeciwników. Jego polityka będzie kulawa; jeszcze gorzej, jeżeli będzie o sąsiedzie i przeciwników wiedzieć tylko to, co sam w nim chce widzieć i będzie własne uprzedzenie o nim brać za rzeczywistość. Istotnej rzeczywistości nie oszuka. W starszym pokoleniu znajomość Polski u nas jest niezła, ale już dziś spóźniona o całych lat 20, młodsze zaś pokolenie litewskie nic o Polsce nie wie albo „wie” to, co sobie wyobraża przez pryzmat uprzedzeń i niechęci. Polska wydaje się młodej Litwie jakimś straszydłem nieludzkim.

18 października, rok 1936, niedziela

Znowu zwykła orka roczna. Nie ma niedzieli, żeby nie było jakiejś uroczystości lub czegoś, co wymaga wystąpienia reprezentacyjnego rektora. Dziś odbyło się w murach uniwersytetu otwarcie uroczyste tzw. „Studium Litwinów Zagranicznych” („Užsienio Lietuvių Studijų”). Złoży się na to szereg systematyczny wykładów o wychodźstwie litewskim, wygłoszonych przez zaproszonych prelegentów, uchodzących za znawców zagadnienia. „Studium” jest zainicjowane przez sekcję akademicką „Towarzystwa Popierania Litwinów za Granicą”. Uroczystość była ceremonialna z wielką pompą, ze sztandarami korporacji, udziałem chórów, translacją radiową, fotografią. Nie mogłem odmówić zagajenia akademickiego. Poza tym uroczystość była połączona z obchodem 50-lecia wielkich organizacji narodowych wśród Litwinów północnoamerykańskich. Mówkę moją wygłosiłem – była ona dość bezbarwna i głupia – i uciekłem.

Poszedłem następnie z Jadzią do cukierni na czekoladę i do kina na przedstawienie filmu sowieckiego pod nazwą „Cyrk”. Film był ładny, oparty na refrenie popularne i reklamowej pięknej

pieśni sowieckiej „Широка моя страна родная... Я другой такой страны не знаю, где так вольно дышит человек" (pieśń piękna, ale trochę nie licująca z terrorem, stosowanym do przeciwników politycznych; pieśń ta – jej słowa – oburzały niesłychanie Marynię, gdy je słyszała przez radio sowieckie u mnie). Film „Cyrk", jak wszystkie filmy sowieckie, jest ładny i bardzo wyrazisty, ale zawiera też, jak zawsze, dużo elementów propagandy „raju sowieckiego". Na takich przedstawieniach filmów sowieckich łatwo się przekonać, jak potężnie jednak propaganda sowiecka sugestionuje niziny społeczne ludu miejskiego. Nie mówię już o tym, że filmy żadnej innej produkcji nie ściągają do kinematografów takich tłumów, jak filmy właśnie sowieckie; to można tłumaczyć tym, że są one rosyjskie; ze starszego pokolenia wielu było na uchodźtwie w Rosji podczas wojny, wielu zna język rosyjski – toteż i język, i tło mogą budzić u wielu pewne reminiscencje i wspomnienia i są wielu bliższe, niż wszelkie inne. Ale mnóstwo też się zbiera różnej ubogiej rzemieślniczej i nieokreślonej młodzieży, ktora na przedstawieniach filmów sowieckich gorąco manifestuje entuzjazm, oklaskuje właściwe miejsca, w ogóle demonstracyjnie sympatyzuje wszystkiemu, co sowieckie. Ma się uczucie, że lada zachwianie władzy u góry spowodowałoby od dołów wybuch ukrytych namiętności komunistyczno-sowieckich.

19 października, rok 1936, poniedziałek

Tydzień biegnie za tygodniem. Odkąd rozpoczęły się wykłady – dnie płyną jak paciorki w różańcu: poniedziałek – wykład rano, wtorek – wykład wieczorny, środa i czwartek – wykład rano, piątek – egzaminy, przebiega sobota i niedziela i znowu poniedziałek rano – wykład itd. Na sekcji prawniczej mam wykłady najczęstsze – w poniedziałek i środę; mniej tam jest słuchaczy, niż na sekcji ekonomicznej, której wykładam we czwartek (wtorek – wykład prawa konstytucyjnego litewskiego, audytorium znajome – moi słuchacze drugiego roku). Zaczynam poznawać nazwiska słuchaczy I semestru – prawników i ekonomistów. Skład osobisty ekonomistów jest bardziej mieszany; dużo panien, trochę Żydów, nazwiska mniej znane. Wśród prawników – więcej nazwisk znajomych; na tę sekcję wstępuje więcej synów inteligenckich, z rodzin bardziej znanych, dzieci rodziców wyżej usytuowanych; zbiera się tam *sui generis* arystokracja inteligencka litewska, kwiat młodzieży lepiej uposażonej i ustosunkowanej. Jest to skutek ustawy o sądownictwie z roku 1933, która uzależniała dostęp do sądownictwa od łaski ministra sprawiedliwości. Na prawo więc odważają się wstępować ci, co ufają w protekcję; młodzież uboższa, nie mogąca liczyć na poparcie stosunków, rzadko się odważa teraz iść na prawo. Nie jest to zjawisko selekcji zdrowe. Potępia ono ustawę.

Przykro mi, że przeoczyłem dziś po obiedzie pierwszy wykład Mandelsztama, który z inicjatywy Ministerium Spraw Zagranicznych przyjechał tu z Paryża dla wygłoszenia na Wydziale Prawniczym szeregu wykładów na aktualne zagadnienia prawa międzynarodowego. Pójdę na następne jego wykłady i przeproszę go za przeoczenie dzisiejsze. W czasie moich wykładów paryskich Mandelsztam był na wszystkich – nie opuścił ani jednego.

20 października, rok 1936, wtorek

Dzień miałem spokojny. Nic oprócz wykładu prawa konstytucyjnego litewskiego wieczorem. W rektoracie przed obiadem także żadnych posiedzeń, tylko poszczególni interesanci. Z łatwością wykonałem mój dzienny program pracy w domu.

21 października, rok 1936, środa

Zwołałem dziś do gabinetu rektorskiego naradę w sprawie wizyty p. Curmana ze Sztokholmu, spodziewanej w drugiej połowie listopada. Zaprosiłem prof. Pakštasa jako prezesa Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego, Trimakasa jako sekretarza tegoż Towarzystwa, przyjaciela Szwedów i osobistego przyjaciela Curmana, dr Juškę, dyrektora Departamentu Kultury w Ministerium Oświaty, lektora języka szwedzkiego na uniwersytecie Szweda p. Falka i generała Nagiewicza jako miłośnika archeologii i spraw muzealnych oraz przyjaciela Curmana. Przyszli wszyscy oprócz Nagiewicza. Curman wygłosi jeden wykład na uniwersytecie i jeden w Towarzystwie Litewsko-Szwedzkim.

Będzie też odpowiednio przyjmowany. Ale chodzi o to, żeby wykorzystać jego obecność jako jednego z najpoważniejszych specjalistów spraw muzealnych i konserwacji zabytków i starożytności (jest on naczelnikiem wszystkich muzeów w Szwecji, a w Szwecji muzea i konserwacja pamiątek, zabytków i starożytności są najlepiej zorganizowane bodajże w skali wszechświatowej. Chodzi o to, aby ewentualnie zwołać tu na czas jego przyjazdu zjazd kierowników naszych muzeów prowincjonalnych, które się namnożyły, ale są jeszcze bardzo słabe, i nawiązać ich kontakt z Curmanem, aby wysłuchali jego odczytu, wskazówek itd., ewentualnie też o zwiedzenie przez Curmana paru takich samorzutnych naszych muzeów prowincjonalnych, z których bodaj najlepsze jest w Szawlach (muzeum „Aušra”, kierownik Lutyk). W tym pomocnym może być Juška, który obiecał się tym zająć.

Na obiedzie byłem w Rotary-Clubie. Na przyszłą środę ma być w tym klubie mój referacik, ale na temat dość niespodziewany i nic z moją kwalifikacją klubową tym razem nie mający wspólnego – o... Laponii (sic!) – to znaczy z wrażeń i spostrzeżeń mojej podróży zeszłorocznej do tego kraju. Wziąłem ten temat, bo nie wymaga dla mnie żadnego przygotowania, a czasu na przygotowanie gruntowniejszego – nie mam.

Wieczorem byłem na wykładzie Mandelsztama na Wydziale Prawniczym. Wykłada po francusku – o agresji i sankcjach w rozwoju tego problemu po wojnie. Wykład niezły, wymowa francuska nienajlepsza; wielki sceptycyzm w tonie i metodzie analizy. Profesorów prawników było kilku, za to dużo było ludzi z kół Ministerium Spraw Zagranicznych, pewien też zastęp studentów, który dostatecznie wypełnił jedno z niewielkich audytoriów.

22 października, rok 1936, czwartek

Miałem rano wykład na I semestrze sekcji ekonomicznej, potem w gabinecie rektorskim posiedzenie kolegium rektoratu, czyli zarządu akademickiego, wreszcie wieczorem posiedzenie senatu akademickiego. Posiedzenie senatu trochę mię męczy. Po pierwsze, porządek dzienny bywa zwykle bardzo długi – obejmujący dwadzieścia przeszło pozycji i przeto posiedzenie, które rozpoczynamy o siódmej wieczorem, kończy się zwykle po dziesiątej. Następnie atmosfera w senacie nie jest szczególnie miła i dodatnia. Są tam pewne uprzedzenia, pewne usposobienia demagogiczne, pewne elementy ducha kliki i zazdrość. Więcej mi się obecnie podoba Lašas, który jest bądź co bądź mądry i który w senacie zdobył stanowisko mocne; zawsze mi się podobał wartościowy Jodelė, który jest z gruntu szczery, wyraźny, bardzo czysty; lubię Janulaitisa, który ma swoje namiętności i swoją dyplomację. Zgoła bezwartościowy i głupi, a strasznie małostkowy i nikczemny jest Grynkiewicz; nudny i drobiazgowy, pełny małych ambicyjek, zazdrosny i trawiony gorączką próżności, chociaż bardzo gorąco broniący swoich interesów wydziałowych jest Žemaitis; niewątpliwie zdolny, niegłupi, pełny fantazji i wartościowy jest Krėvė-Mickiewicz, ale ma feler uprzedzeń i ślepej warcholskiej nienawiści wszystkiego, co pochodzi od rządu, co go czyni w kolegium malkontentów i zapoznanych wielkości, jakimi się czuje większość dziekanów, czynnikiem podniecenia demagogii i pewnego faryzeuszostwa. Sekretarz Blažys, na ogół taktowny, trzyma się w rezerwie; Purėnas, który skądinąd ma walory, ma jednak słabość hołdowania kolegializmowi i w gromadzie zatraca niezależność i nabiera instynktu stada; ten, który najmądrzej w gromadzie lawiruje i nie zatraca się, lecz raczej delikatnie podporządkowuje sobie innych – to Lašas. Kuraitis jest mało ekspansywny. Zresztą każdy w szczególności niezły i ma walory (prócz Grynkiewicza), ale w gromadzie wszyscy się znacznie psują.

23 października, rok 1936, piątek

Egzamin i odczyt – to dzień dzisiejszy. W piątek egzaminy mam zawsze; egzaminowałem dziś czterech studentów, trzech mężczyzn i jedną pannę – wielkich osłów. Niespodziewanie jeden z nich – mój słuchacz sprzed lat 13 – zdał bardzo dobrze, inni – ledwie ledwie. Panna – Adela Rufytė – histeryczka, która się przeraźliwie zacina i nic nie rozumie, zdająca po raz drugi, zdała wreszcie, ale

po co ona studiuje prawo – tego nie rozumiem. Logiczne myślenie prawnicze jest dla takiej zgoła niedostępne.

Odczyt wygłosiłem ja sam. W sali „Pažangi”. Publiczny. Pod firmą „Vakarų Draugii”, to znaczy towarzystwa, poświęconego sprawom zachodnich kresów Litwy, właściwie – Kłajpedy. Prezesem tej organizacji jest Wacław Sidzikowski. Stanowisko to jest dla niego pewną placówką społeczną. Ten zdolny i ambitny człowiek, do niedawna najświetniejszy dyplomata litewski, szeroko ustosunkowany w Lidze Narodów, uczestnik wielu konferencji międzynarodowych i agent litewski w sprawie kłajpedzkiej przed Trybunałem w Hadze, jest teraz wytrącony ze światowej kariery. Skompromitowany jest przez proces karny o przyjmowanie drogich darów od podwładnych mu konsulów litewskich w Niemczech, gdy był posłem litewskim tamże. Proces ten był mu wytoczony i w pierwszej instancji był on skazany. Choć go w drugiej instancji sąd uniewinnił, jednak plama pozostała na nim. Kariera dyplomatyczna zamknięta przed nim. Dokańcza on teraz studia prawnicze na uniwersytecie i wstąpi do adwokatury. Adwokatem będzie zapewne znakomitym i może z czasem odrestauruje swoją karierę na innym polu. Ma on zmysł taktu i „*savoir vivre*’u”.

Odczyt mój był powtórzeniem po litewsku mojego odczytu, wygłoszonego przed rokiem na wydziale prawniczym w Paryżu i na wiosnę – na uniwersytetach szwedzkich w Lundzie i Uppsali o systemie gwarancji zwierzchnictwa Litwy nad Kłajpedą. Sala była pełna, a czy dla ogółu słuchaczy był on dosyć popularny i, że tak powiem, intelektualnie strawny – tego nie wiem.

24 października, rok 1936, sobota

Odbyła się dziś między godziną piątą a ósmą po obiedzie herbatka akademicka profesury na uczczenie kilku wybitniejszych członków profesury, którzy się bądź usuwają zupełnie, jak były rektor prof. Czapiński i były dziekan zawieszonego Wydziału Ewangelicko-Teologicznego prof. Jakubėnas, bądź ustępujący z zajmowanego dotąd stanowiska akademickiego, jak były prorektor do spraw studenckich prof. Česnys. Zamierzano pierwotnie, jak to dawniej corocznie robiono przy zmianie rektora, pożegnać tych ustępujących kolegów kolacją ogółu profesorów. Uznano jednak w senacie, że taka wielka kolacja, kosztowna i wystawna, wywołać może zgorszenie ubogiej młodzieży naszej i że lepiej zadowolić się skromniejszą i tańszą herbatką. Zaproszeni byli także ustępujący profesorowie Wydziału Ewangelickiego – Kurnatowski i Gaigalaitis, ale ci się nie stawili.

Profesorów zebrało się na herbatkę koło 60. Odbyła się ona w „Metropolu”. Siedziano grupami przy osobnych stolikach. Wygłoszono szereg przemówień. Pierwszy w imieniu ogółu profesury i uniwersytetu wystąpiłem z większą mową zasadniczą ja, w której każdemu z trzech żegnanych kolegów – Czapińskiemu, Jakubėnasowi i Česnysowi – poświęciłem ustęp stosowny. Po mnie przemawiali prorektorowie Purėnas i Jodelė i dziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego prof. Žemaitis. Odpowiadali Czapiński, Česnys i Jakubėnas. Herbatka udała się. Profesura i solenizanci byli zadowoleni.

Potem byłem jeszcze na obiedzie u pp. Urbšysów, wydanym dla gościa uniwersyteckiego prof. Mandelsztama. Byli obecni tylko oboje gospodarze, Mandelsztam, młody prof. Baltrušaitis z żoną i ja. Po obiedzie siedziano dosyć długo przy kawie. Wynudziłem się dosyć, bo się czułem zmęczony, a Mandelsztam trochę mię nużył gawędziarstwem. Jest co prawda bardzo grzeczny i dobrze wychowany, ale ma nałóg rozprawiania o wszystkich i ślizgania się po powierzchni tematów wielkiej polityki światowej z tą pretensjonalnością dyplomaty i człowieka z wielkiego świata, który o wszystkim wie, zna wszelkie kulisy, zna cały świat najgłośniejszych ludzi, wszystko i wszystkich sądzi i największe zjawiska oraz czyny traktuje ze swobodą i łatwością jak rzeczy powszednie i zwyczajne, jakby się mówiło o ploteczkach codziennych. Irytują mię trochę ci wszędobylscy.

25 października, rok 1936, niedziela

Przesiedziałem dzień w domu. Tylko się przejść na spacer poszedłem.

Czuję się zmęczony. Choć kocham życie, jednak trochę mię już ono męczy. Jestem wrażliwy i zawsze mocno biorę do serca różne ciężary życia, choć o nich w dziennikach pisać nie lubię, gdy

chodzi o sprawy najbardziej „intimes”. W życiu pod pewnymi względami mi się powodzi, pod innymi – nie. W życiu publicznym powodzi się na ogół – osiągnęłam dużo. Ale w moim życiu prywatnym są duże niedomagania i raczej ciężkie, które dźwigam cierpliwie, acz nieraz boleśnie i w wielkim smutku. Prawda – mam chwile radosne i piękne, które wyczuwam głęboko i za które dużo bym oddał i dużo zniósł, ale są też krzyże, na które zgoła rady nie mam. Tylko nie lubię się w nich babrać i pisać o nich. Co czuję – tego analizować nie chcę.

Stary jestem. Do walki z tym, co jest krzyżem najcięższym, sił nie mam; zwycięstwo nad tym byłoby zwycięstwem Pyrrusowym. Chciałbym wtedy umrzeć. Śmierć jest jednak w starości słodkim zbawieniem. I tu się jest co prawda dwoistym. Bo i chce się śmierci, i nie chce się jej. Pociąga ona i odraża zarazem.

26 października, rok 1936, poniedziałek

Nic szczególnego. Wykład rano, posiedzenie zarządu akademickiego w południe.

W domu dziś pogoda. Pojednanie.

27 października, rok 1936, wtorek

Zaprosiłem dziś do siebie na posiłek, zwany po europejsku lunchem, a po naszemu obiadem, Mandelsztama, a wraz z nim dziekana Wydziału Prawniczego prof. Janulaitisa, prof. Wacława Biržiškę, prof. Antoniego Tamošaitisa i Wacława Sidzikowskiego. Oczywiście Mandelsztama tak nie przyjmujemy, jak Le Fura i tak się na niego nie wysilamy. Po pierwsze, bawi on tu dłużej, niż bawił La Fur, po drugie – nie reprezentuje nikogo prócz siebie. Wszakże dla Litwy położył duże zasługi. Jest on stałym doradcą poselstwa litewskiego w Paryżu, stanowiącego jedną z głównych placówek dyplomatycznych Litwy; jest ustosunkowany, choć jest Rosjaninem rodowitym, emigrantem politycznym; karierę swoją za czasów carskich robił w dyplomacji, był długie lata wysokim urzędnikiem w ambasadzie rosyjskiej w Konstantynopolu, zna Turcję, sprawy i stosunki wschodnie, problemy bałkańskie i związane z Turcją, w ogóle zna się na prawie międzynarodowym, miewał wykłady w Akademii Prawa Międzynarodowego w Hadze, ustosunkowany jest w świecie dyplomatycznym i naukowym. Jest ruchliwy i giętki, zna dobrze Ligę Narodów i wszystkie jej problemy, Litwę wspiera swoimi konsultacjami i propagandą. Praca dla Litwy daje mu pewne stałe dochody i stanowisko, pewne oparcie realne.

Minister Tonkunas w tych dniach przysłał mi już przezeń ułożony ostatecznie i wniesiony do Gabinetu Ministrów projekt reformy statutu uniwersyteckiego wraz z motywami do projektu. Nasze zastrzeżenia są bardzo mało uwzględnione w tym projekcie. Projekt pozostał prawie bez zmiany.

28 października, rok 1936, środa

Strasznie mam dużo rozmaitych dość grubych wypłat w tych miesiącach. Pieniądze, przeznaczone na wypłaty bieżące, składam zawsze co miesiąc, po pobraniu pensji, do rąk Jadzi, która jest moją kasjerką, wraz z listą szczegółową, komu lub gdzie co jest do wypłacenia. W tym miesiącu ta lista miesięczna jest rekordowa. Po pobraniu dziś pensji uniwersyteckiej obliczyłem tę listę na przeszło 2600 litów – znacznie więcej, niż moja pensja miesięczna. W istocie jednak nie jest to nic bardzo strasznego, bo co miesiąc odkładam po trochę na różne potrzeby pod właściwymi rubrykami, na które są te potrzeby podzielone, więc mam zawsze zapas oszczędności nagromadzonych na poszczególne rubryki, złożonych na rachunku bieżącym w banku. Mogę więc dobierać z banku, ile mi brakuje, bylem odpowiedniej rubryki nie przekroczył.

Jadzia w tych dniach wyjeżdża na tydzień do Bohdaniszek dla zarządzeń gospodarskich. Wiezie ona tam dwie palmy młode, któreśmy kupili niedawno, i wiezie parkę... bażantów żywych, które chcę w Bohdaniszkach zahodować. Tę parkę bażantów podarował mi prof. Tadeusz Iwanowski ze swojego ptasznika pod Kownem.

Na dzisiejszym obiedzie Rotary-Clubu na mnie wypadła kolejka wygłoszenia referaciku, który na każdym obiedzie wygłasza ktoś z członków – u nas w porządku alfabetycznym. Ponieważ nie

mam czasu na zastanowienie się nad tematem i opracowanie tegoż, więc wybrałem temat dobrze mi znany i łatwy – o... Laponii, na podstawie wrażeń i spostrzeżeń mojej podróży zeszłorocznej. Do tego przygotować się nie trzeba. Na ten temat mogę zawsze opowiadać *ex promptu*. Toteż referacik ten wygłosiłem. Mówiłem o ziemi lapońskiej, o jej podziale, faunie i klimacie, o Lapończykach i Karelach, o ich gospodarstwie, o połowie śledzi i ryby „treski", o reniferach... Opowiadałem nieźle. Zdaje się, że zainteresowałem słuchaczy. Temat to był egzotyczny i nie mający związku z moją kwalifikacją klubową.

29 października, rok 1936, czwartek

Zacisze u mnie. Spokojny semestr na uniwersytecie. Żadnych incydentów i rozruchów. Oczywiście spraw bieżących, czasem kłopotów i komplikacji jest dosyć, ale tok ich nie jest nerwowy.

30 października, rok 1936, piątek

Zacząłem układać memoriał uniwersytetu w odpowiedzi na projekt rządowy reformy statutu uniwersyteckiego. Projekt pod pewnymi względami jest niezły, w pewnych szczegółach jest nawet zupełnie dobry, ale ma też usterki, poza tym są w nim pewne szczegóły, może w gruncie rzeczy nawet uzasadnione, o ile chodzi o pewną kontrolę władzy państwowej nad uniwersytetem, kontrolą z natury rzeczy niezbędną, o ile uniwersytet jest instytucją państwową, które jednak w opinii profesury są bardzo niepopularne i drażnią pewne jej ambicje lub uprzedzenia (dotyczy to zwłaszcza zatwierdzania dziekanów); zabierając głos w imieniu uniwersytetu jako jego rzecznik legalny, muszę naturalnie wyrazić opinię nie tylko ściśle osobistą, ale też akademicką. Uchwaliliśmy na posiedzeniu zarządu akademickiego ułożyć projekt memoriału, który zgłosić senatowi akademickiemu wraz z projektem rządowym reformy statutu i motywami rządowymi projektu. Są w tym projekcie takie usterki, które w zupełności uzasadniają złożenie memoriału, toteż sam tę metodę zaproponowałem. Po drugie zaś, memoriał od razu skanalizuje całą reakcję uniwersytetu i nada jej charakter rzeczowy; inaczej czynniki akademickie reagować mogą chaotycznie i cały spór o reformę może zboczyć na manowce zatargu i niepoważnej burdy. Skądinąd wszakże memoriał ten o tyle tylko może być użyteczny, o ile zostanie przez ministra oświaty załączony do projektu rządowego w Gabinecie Ministrów i ewentualnie w komisji sejmowej jako memoriał do rozważenia. Jeżeli ugrzęźnie w Ministerium Oświaty i dalej projektowi towarzyszyć nie będzie, to będzie na nic. Boję się, że takim właśnie będzie jego los, bo projekt przesłany już został do Gabinetu Ministrów. Ale oczywiście, zachowując stanowisko legalne, zrobimy tylko to, co jest w naszej mocy prawnej!

31 października, rok 1936, sobota

Rano Jadzia odjechała do Bohdaniszek na dni kilka. Dopilnuje tam sadzenia drzewek, rzuci okiem na całe gospodarstwo, popłaci to i owo, rozporządzi zboże, może coś z niego sprzeda, no i przewietrzy się. Powiozła dwie palmy (trzecia została w Kownie – to ta, którą mi na imieniny darowała moja wdzięczna była studentka, Żydówka Maša Zivaitė) i parę bażantów od prof. Tadeusza Iwanowskiego. Bażanty, zamknięte w Kownie w klatce, zaczęły się czubić: kogucik zaczął dziobać kureczkę i tak ją nadzióbał do krwi głowę, że ta już ledwie żyła i nie bardzo się mogła ruszać. Rozdzieliliśmy je, ale kura do końca była słaba i obawiam się, że nie wyżyje. Byłoby to bardzo smutne, bo chciałbym zahodować te piękne ptaki w Bohdaniszkach.

O godz. czwartej odbyło się w sali Gabinetu Ministrów zebranie doroczne plenum Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej, zagajone osobiście przez ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa, po czym ja jako prezes komisji odczytałem sprawozdanie roczne komisji, bardzo starannie i pięknie ułożone przez sekretarza generalnego Trimakasa. Trzeba przyznać, że komisja ma szczęście do sekretarzy generalnych. Poprzednim i bardzo dobrym był dr Soblys, obecny dyrektor Instytutu Pedagogicznego w Kłajpedzie, i równie dobry jest obecny – Trimakas. Podług regulaminu komisji, sekretarz generalny jest mianowany przez ministra spraw zagranicznych i płatny, toteż praca

jego jest jego obowiązkiem służbowym, wskutek czego sprawy komisji są dobrze obsłużone, gdy człowiek jest odpowiedni. Na posiedzeniu obecni byli: ja jako przewodniczący z urzędu, sekretarz generalny Trimakas, rektor Akademii Rolniczej w Datnowie, dr Soblys, prof. Pakštas, prof. Jonynas, prof. Tadeusz Iwanowski, prof. Zygmunt Žemaitis, prof. Janulaitis, prof. Galaunė, prof. Raczkowski jako delegat Ministerium Oświaty, prorektor Purėnas, dyrektor Radiofonu Bieliunas, dyrektor Konserwatorium Gruodis, dr Purėnas, dr Iwiński i jeszcze parę osób. Zebranie było dość ożywione – reagowano żywo na sprawy omawiane. Omawiano głównie sprawy, związane z konferencją bałtycką komisji narodowych Litwy, Łotwy, Estonii i Finlandii, w której mają też wziąć udział w charakterze obserwatorów delegaci komisji narodowych skandynawskich. Sprawy współpracy między uniwersytetami i inne wypełniły resztę porządku dziennego. Zebranie przeciągnęło się prawie że do ósmej.

W sali uniwersyteckiej na godz. czwartą był wyznaczony obchód jubileuszu 60-lecia malarza Antoniego Żmujdzinowica, urządzony staraniem komitetu specjalnego. Nie mogłem być na nim, jeno listownie Żmujdzinowicza pozdrowiłem. Nie była to zresztą żadna uroczystość akademicka, a nawet senat akademicki – trochę nawet niespodziewanie dla mnie – jakoś bardzo niechętnie potraktował zarówno udzielenie sali na ten obchód, jak jakikolwiek udział władz akademickich w tym obchodzie. Wszakże prorektora Jodelę na obchód wydelegowałem, tylko dla obecności, bez zagajenia.

1 listopada, rok 1936, niedziela

Byłem na otwarciu wystawy obrazów Żmujdzinowicza. Jest to wystawa związana z jego jubileuszem, ogarnia przeto całą jego twórczość. Wystawa – ogromna, składająca się z 402 eksponatów jednego artysty, podzielonych na lata od roku 1900 do 1935 włącznie. Żmujdzinowicz – malarz płodny, bardzo zrównoważony i pogodny, najlepszy w pejzażu. Pejzaż u niego bardzo realistyczny, łagodny w tonach. Jaskrawości, głębi, męki twórczej – nie ma. Należeć będzie w sztuce litewskiej do klasyków realizmu. Szczegółowo wystawy nie obejrzałem, bo pełno było ludzi – publiczność wernisażowa, ceremonialna, odświętna, bardziej do zabawy i spotkań oraz ploteczek, niż do sztuki zastosowana. Wystawa mieści się w Muzeum imienia Witolda Wielkiego. Otwarcie odbyło się z pompą. Otworzył wystawę osobiście Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona, który wygłosił przemówienie okolicznościowe, nawiązujące do otwarcia I Wystawy Litewskiej w Wilnie w roku 1907, która wtedy stanowiła fakt epokowy w odrodzeniu narodowym litewskim, a której jednym z inicjatorów i organizatorów był jubilat Żmujdzinowicz wraz z Mikołajem-Konstantym Czurlanisem. Mówił też prezydent o roli „Lietuvių Dailės Draugijos" przed wojną w Wilnie, która wraz z założoną przez Basanowicza „Lietuvių Mokslo Draugija" stanowiła dwa główne wielkie ośrodki kulturalne litewskie, skupiające całą ówczesną młodą Litwę, i której założycielem i *spiritus movens* był właśnie Żmujdzinowicz. Rzeczywiście na polu społecznej organizacji sztuki Żmujdzinowicz położył w ruchu litewskim zasługi bodajże większe, niż na polu właściwej twórczości artystycznej. Prezydent Smetona potrącił też o sprawę wileńską i podniósł tę cudowną przemianę, jaką przeżyło pokolenie starsze litewskie, które rozpoczynało pracę narodową, społeczną i artystyczną w ubóstwie i najlichszych środkach, a które dziś widzi dla kontynuacji prac ówcześnie rozpoczętych aparat własnego państwa niepodległego i środki ustokrotnione. Istotnie porównanie możliwości i środków z roku 1907 z takimiż w roku 1936 – to coś olśniewającego. Żmujdzinowicz ma niewątpliwie usterki, ma trochę żyłki spekulacyjnej i karierowiczowskiej, jest ciasny w swoich uczuciach, ale ma też zasługi duże.

2 listopada, rok 1936, poniedziałek

Zwołałem małe zebrańko kilku osób dla naradzenia się w sprawie wzięcia udziału ze strony litewskiej w uczczeniu sędziwego prof. Ludwika Krzywickiego, którego jubileusz jest obchodzony w Warszawie. Ludwik Krzywicki przed wojną od najdawniejszych czasów miał kontakt z Litwinami, a przez nich z Litwą. W młodości zetknął się i zaprzyjaźnił mocno w socjalistycznym ruchu rewolucyjnym z Janowiczem, Włodzimierzem Zubowem, Bielskim, następnie nawiązał współpracę z

młodszymi Litwinami w legalnym piśmie postępowo-socjalistycznym polskim „Ogniwo”, w którym brali udział Michał Biržiška, Paweł Wyszyński i inni; bywając w Litwie u przyjaciół, Janowicza i innych, zainteresował się pilkalniami na Żmudzi, studiował je, kopał, pisał o nich studia bardzo ciekawe i głębokie tak ze stanowiska archeologicznego, jak socjologicznego („Żmudź Starożytna” i inne prace) i bardzo dużo się przyczynił do zainteresowania się tymi pomnikami przeszłości krajowej; jego poglądy na pilkalnie dominują dotąd w studiach nad nimi. Po studiach nad pilkalniami w Litwie Górnej dwa lata (w r. 1909 i 1910) przyjeżdżał latem do mnie i rozkopywał pilkalnię w Pietraszunach i piękną dużą pilkalnię w Maszkańcach (górę Ościkową), o których ogłosił rozprawki drukiem.

Ludwik Krzywicki ma obecnie przeszło 80 lat. Mieszka w Warszawie, jest emerytem, ale wciąż pracuje naukowo. Niedawno wyszła po angielsku duża i kapitalna jego praca, stanowiąca studium o socjologii ludów pierwotnych, ogłosił też ciekawą ogromną pracę pod tytułem „Pamiętniki chłopskie”, w której są zebrane autentyczne „pamiętniki”, napisane *ad hoc* przez chłopów polskich, dotyczące okresu Wielkiej Wojny i powojennego, z przedmową bardzo ciekawą Krzywickiego (pracę te przysłał i nam tutaj). Krzywicki wciąż jeszcze jest profesorem czynnym w prywatnej Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie i prowadzi tam seminarium socjologiczne. Nasz młody ekonomista, asystent Padelski, studiując ubiegłej zimy w Warszawie, pracował pod kierunkiem Krzywickiego.

W Warszawie utworzył się komitet, złożony z ludzi nauki z prof. Krzeczkowskim na czele (tego Krzeczkowskiego za moich lat studenckich w Paryżu znałem jako studenta z Wiednia, spotykałem się z nim na zjazdach Związku Postępowej Młodzieży Polskiej, którego byłem sekretarzem i potem prezesem) – dla uczczenia jubileuszu bodajże 60-letniej pracy naukowej prof. Ludwika Krzywickiego. Dokończę jutro.

3 listopada, rok 1936, wtorek

Dokończę o Ludwiku Krzywickim. Tego roku latem, gdy Padelski nie był jeszcze wrócił z Polski, pisał mi on stamtąd, że prezes komitetu obchodu jubileuszu prof. Krzywickiego, Krzeczkowski, który jest bodaj bibliotekarzem Głównej Szkoły Handlowej czy uniwersytetu, polecił Padelskiemu prosić mię o wzięcie udziału w wydawnictwie zbiorowym, poświęconym Krzywickiemu, przez nadesłanie artykułu o pracach naukowych Krzywickiego w Litwie przed wojną. Miałem pewną trudność w zdecydowaniu się na to, bo choć studia Krzywickiego o pilkalniach litewskich czytałem, jednak nie należy to do mojej specjalności i trudno mi o tym fachowo pisać, a na głębsze wystudiowanie tych prac nie mam po prostu czasu. Co zaś do przedwojennych stosunków Krzywickiego z Litwinami w ruchu socjalistycznym i rewolucyjnym, to szczegółów dokładnie nie znam. Starsze pokolenie tych litewskich towarzyszy Krzywickiego, jego rówieśnicy – już wymarło, z bliższych jego przyjaciół, z którymi on objeżdżał Żmudź i pilkalnie, wiem tylko o jednym – dr Jerzym Šaulysie, który jest obecnie posłem litewskim w Berlinie, sam zaś miałem z Krzywickim kontakt w jego studiach nad pilkalniami w północno-wschodniej części Litwy tylko tyle, że przyjmowałem go w Bohdaniszkach i przyglądałem się rozkopywaniu pilkalni. Napisałem jednak we wrześniu do Krzeczkowskiego, że chętnie bym się podjął napisania czegoś do wydawnictwa zbiorowego, jeżeli nie jest za późno, tylko jako nie specjalista, nie wiem, jak to zdołam wykonać. W tych dniach otrzymałem od Krzeczkowskiego z Warszawy odpowiedź listowną. Krzeczkowski dziękuje, powiada, że z drukiem zaczekają na nadesłanie pracy mojej, że Krywicki osobiście bardzo życzy, aby w wydawnictwie było coś od jego przyjaciół litewskich, że formę i treść mojego artykułu komitet zostawia do uznania mojego. Zaprosiłem więc w tych dniach do siebie Michała i Wacława Biržišków, archeologa Purinasa i archeologa Tarasenkę. Omówiliśmy tę sprawę. Michał Biržiška ma ułożyć artykuł o stosunkach Krzywickiego z Litwinami i jego wspólnej pracy społecznej z nimi, dr Purinas – o pracach Krzywickiego nad pilkalniami, ja zaś i ewentualnie Jerzy Šaulys – swoje wspomnienia o Krzywickim.

Była dziś u mnie pani... Voldemarasowa. Przed kilku laty żona potentata i niemal dyktatora Litwy, która na balach i przyjęciach była pierwszą damą, otoczoną powszechnym hołdem i pochlebstwem, dziś – nędzarka zbiedzona, żona więźnia politycznego. Przyjechała z Uciany i przyszła mię prosić o łaskę wstawienia się u władz na rzecz uwolnienia nieszczęśliwego męczennika i ulżenia jego losowi.

4 listopada, rok 1936, środa

Na uniwersytecie rozpocząłem pierwsze w tym roku colloquia, wczoraj – na kursie prawa konstytucyjnego litewskiego, dziś – prawnikom I semestru.

Od Curmana ze Sztokholmu otrzymałem list, donoszący, że swój przyjazd do Kowna, odroczony z października na listopad, zmuszony jest dla pewnych pilnych prac swoich (budowa w Sztokholmie wielkiego gmachu muzeum historycznego) odroczyć znowu do stycznia lub lutego.

Od Jadźki otrzymałem z Bohdaniszek list. W gospodarstwie nic złego, ale samiczka bażanta, którą wiozła, zdechła w drodze; kogut żyw i zdrów, dobrze się ma, dobrze zalokowany w kurniku w klatce. Trzeba się będzie postarać o druga samiczkę od prof. Iwanowskiego.

Byłem na obiedzie Rotary-Clubu. Referat wygłosił Vosilius, przemysłowiec litewski. Mądry to i dzielny człowiek.

P. Voldemarasowa, która mię wczoraj odwiedziła, wzbudziła we mnie szczerą litość. Przyjąłem ją bardzo serdecznie. Nieszczęśliwi to ludzie. Gdy mąż jej był u władzy, ludzie się korzyli przed nimi. Teraz – w nieszczęściu i niedoli – nikt z możnych się nie interesuje nimi. Zapewne – Voldemaras ma swoich zwolenników wśród młodzieży i w wojsku, ale ci, co byli śmielsi i podnosili głos, sami ucierpieli, inni siedzą cicho, a z biegiem czasu u najgorętszych gaśnie stopniowo zapał, a ci, co pozostają wierni jego imieniu, stają się samotni, zaś wśród najmłodszych jego imię jest już mało znane i nie zapala. Ale u szczytów nie ma już jego ludzi. Skarżyła mi się p. Voldemarasowa na niedolę, prosiła o poczynienia starań. Spróbuję. Zacznę od Šilinga. Ale nie wiem, czy coś wskórać można. Może mam pewne wpływy i z głosem moim się liczą, bo mam szacunek i uznanie wielkie, ale moje wpływy nie są polityczne. A bodajże główny punkt oporu contra Voldemarasa skupia się w Tubelisie. Tego oczywiście przełamać nie mogę. Pomówię też może z Mašalaitisem. On ma wpływy u Tubelisa wielkie, ale za to jest bardzo ostrożny.

Mówiła mi pani Voldemarasowa, że główną osią akcji pognębienia Voldemarasa są siostry Chodakowskie – p. prezydentowa Smetonowa i p. premierowa Tubelisowa. Że p. prezydentowa nienawidzi Voldemarasa – o tym słyszałem, ale teraz dopiero się dowiedziałem (tak daleki jestem osobiście od spraw zakulisowych osobistych i od intryg na tym gruncie, odbijających się nawet na polityce), że pani Jadzia (Tubelisowa), osoba wielkiego temperamentu i charakteru, ma głęboką złość do Voldemarasa, za którego chciała wyjść za mąż, za to, że się ożenił z obecną żoną, rozwiedzioną ze śp. profesorem Jaszczenko (nb. to małżeństwo dopiero teraz, po śmierci Jaszczenki, zostało zalegalizowane katolickim związkiem kościelnym w więzieniu). P. Tubelisowa nie może darować Voldemarasowi, że ją odrzucił, i mści się na nim, śmiertelnie obrażona. Tak przynajmniej powiada p. Voldemarasowa. Podobno najwięcej szkodzi Voldemarasowi i udaremniła wszelką akcję ułaskawienia właśnie Tubelisowa.

5 listopada, rok 1936, czwartek

Wykład rano u ekonomistów, potem wizyta u wiceministra rolnictwa Grigaliunasa w interesie Koziełłów użukrewienskich na rzecz ratowania ich majątku od bankructwa, następnie posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, potem znów posiedzenie zarządu akademickiego. Wreszcie wieczorem – posiedzenie senatu akademickiego.

Na posiedzeniu zarządu i następnie senatu przyjęty został z poprawkami projekt statutu przedstawicielstwa studenckiego, ułożony przez prorektora Purėnasa. Co do trybu wyborów sejmiku studenckiego, projekt przyjmuje zasadę głosowania powszechnego etc. z przedstawicielstwem proporcjonalnym, ale bez właściwej konkurencji list, to znaczy z prawem głosowania na

poszczególne jednostki z różnych list. Projekt będzie podany do zatwierdzenia ministrowi oświaty. Mam wrażenie, że minister tego demokratycznego trybu wyborów nie zaakceptuje.

Poza tym nic wybitnego z dnia dzisiejszego nie ma.

6 listopada, rok 1936, piątek

Nic osobliwego. Dzień spędziłem na pracy, przeważnie w domu. Miałem też dwóch studentów do egzaminu.

O południu zaszedłem do Rady Stanu dla zobaczenia się z ministrem Šilingiem, z którym się spotkać umówiłem. Chodziło mi o pomówienie z nim o Voldemarasie. Šiling jest dość dobrze poinformowany. Z jego inicjatywy, jako ministra sprawiedliwości, była dwukrotnie wyznaczona komisja dla zbadania zdrowia Voldemarasa, której przewodniczył prof. Blažys. Šiling stanowczo zaprzecza twierdzeniu p. Voldemarasowej, jakoby przeszkody zlikwidowania kary Voldemarasa czynił Tubelis. Wersję p. Voldemarasowej o zemście p. Tubelisowej, nie mogącej rzekomo darować Voldemarasowi tego, że się nie z nią ożenił i przeciwdziałającej rzekomo uwolnieniu go, Šiling uważa za płód wyobraźni p. Voldemarasowej i może też samego Voldemarasa. Šiling powiada, że tak on sam, jak Prezydent Smetona i premier Tubelis i jak zresztą wszyscy ludzie starszego pokolenia w sferach rządowych, którzy współpracowali z Voldemarasem przy budowie Państwa Litewskiego i pamiętają jego zasługi, są za ulżeniem jego losu, najmniej zaś do tego są skłonni młodzi członkowie rządu. Gdy kwestia ta była omawiana w Gabinecie Ministrów, to, jak powiada Šling, z opozycją wystąpili młodsi ministrowie (zapewne Putwiński, Lozoraitis), których nie wiąże z Voldemarasem żaden sentyment współpracy. Zachodzi też trudność formy: czy ułaskawienie zupełne, ale wtedy nie można zapobiec powrotowi Voldemarasa do kraju, czego rząd widocznie nie życzy, a może nawet chciałby zmusić go do wyjazdu, czy też udzielenie mu urlopu z więzienia na poprawę zdrowia, ale wtedy zachodzi trudność wydania mu paszportu na wyjazd za granicę i rzekomo zachodzi wątpliwość, czy jakiekolwiek państwo zechce go wpuścić do siebie. Mnie się jednak zdaje, że gdyby tylko istotnie chciano, to forma by się znalazła. Obie formy wydają mi się możliwe.

7 listopada, rok 1936, sobota

Nowa bieda w rodzinie, no i naturalnie – nowy atak do mojego serca, a jeszcze bardziej do kieszeni. Julek Komorowski bankrutuje. Już zbankrutował właściwie. Donosi mi o tym Elizka. Jego część Kowaliszek wystawiona przez Bank Ziemski na licytację na dzień 4 grudnia. Bankructwo Julka od dawna wisiało na włosku. Długi jego wynoszą coś do 100 tysięcy litów i przekraczają wartość fortuny. Samych procentów i ratówek musiał on płacić rocznie po kilkanaście tysięcy co najmniej, co przekraczało oczywiście wszelkie kalkulacje dochodów z majątku i z jakichkolwiek źródeł dodatkowych. Bił się on od lat kilku jak ryba o lód i brnął coraz głębiej. Najcięższą była pożyczka coś bodajże 30 000, zaciągnięta niegdyś w Państwowej Kasie Pożyczkowej. Od paru lat starał się on tę pożyczkę przełożyć z Kasy na Bank Ziemski i to mu się tej wiosny powiodło przy pomocy Tubelisa. Nazywało się, że to będzie lepiej i że może się uda ocalić majątek. Coś się widocznie pokrzyżowało jeszcze i Julek nie zdołał dać rady nawet z Bankiem Ziemskim. Zwołana została narada grona osób bliższych (Jan Przeździecki, młody Gorski – szwagier Julka, Stanisław Plater, teraz do nowej narady wzywany jest także Eugeniusz Römer). Na naradzie tej stwierdzono, że ratunku nie ma i że bankructwo jest faktem. Na tym los funduszu samego Julka się urywa. Julek porzuca Kowaliszki, Madzia z dziećmi w tych dniach wyjeżdża do Bierżynian, majątku swoich rodziców, pp. Gorskich, Julek też niebawem wyjeżdża i co będzie dalej robił – jeszcze nie wiadomo. Może poszuka dzierżawy, może uda się mu znaleźć jakąś posadę w Polsce – w Katowicach może, gdzie mieszkają jego siostry, Zitka Komorowska i Litka Gieysztorowa (miała niedawno synka). Ale chodzi teraz o ratowanie Hektora, aby ten mógł pozostać na Kowaliszkach na swojej części. Chodzi o to, że gdy się Komorowscy po śmierci Zygmunta dzielili w latach 1920-1921, to, ulegając przesądom wielkopańskim, dzielili tylko pole, sama zaś siedziba ze wszystkimi zabudowaniami została niepodzielona i weszła w całku do schedy właśnie Julka; wszystko – i dom mieszkalny, i ogrody, i

wszystkie zabudowania gospodarstwa. Nazywało się, że fe, jakże by to wyglądało zaściankowo, gdyby dwór pański został w rezydencji rozparcelowany na drobne skrawki. Rezydencja, siedziba dworu – musi pozostać w całku. A teraz ze schedę Julka wydziedziczenie grozi całemu właśnie dworowi – samej osadzie i rezydencji, bo scheda Hektora nie ma ani jednego budynku – jest pusta kompletnie i ma wyłącznie pole i nic więcej.

8 listopada, rok 1936, niedziela

Jeszcze o Komorowskich i Kowaliszkach. Zagadnienie, które tam teraz powstaje, to jak ratować Hektora i Kowaliszki tak, aby się po bankructwie Julka Hektor zdołał na nich utrzymać. Czy to ma być przepisanie formalne siedziby dworskiej z imienia Julka na imię Hektora, czy oczywiście wymagałoby zgody Banku Ziemskiego i ewentualnie innych wierzycieli Julka, a zapewne i dopłaty, czy też usunięcie li tylko faktyczne Julka, nadpłacenie bankowi na razie ratówki dla zdjęcia majątku z licytacji a potem wejście Hektora w prawa Julka i sprzedaż czy oddanie bankowi części ziemi (ale jak?) – tego z listu Elizki trudno dociec. Wygląda, że chodziłoby o drugi sposób, ale do wykonania to jest trudne. Mam wrażenie, że ratując resztę, zginie niebawem i Hektor. Dałby Bóg, abym był złym prorokiem. Elizka pisze o konieczności nadpłaty 10 000 litów zaraz i oddania Bankowi Ziemskiemu w jesieni za rok 100 hektarów ziemi, ocalając resztę – 200 ha. Otóż na rzecz tych 10 000 już jest zgłoszonych przez przyjaciół 6 tysięcy, brakuje przeto czterech tysięcy. Elizka prosi mię więc 2000 litów pożyczki, którą ja uważam właściwie za datek bez zwrotu. Na danie 2000 się nie decyduję, ale tysiąc dać trzeba. Ciężko mi to, bo już Marynia mię bardzo drogo kosztuje, ale dać trzeba. Obawiam się tylko, że się da, a skutek będzie ten sam. Biedna Elizka, bardzo biedny i Julek, wyzuty z własności i z domu rodzinnego.

Dziś wróciła z Bohdaniszek Jadzia. Wróciła w humorze doskonałym. W Bohdaniszkach wszystko dobrze. Maryni zdrowie też względnie niezłe, ale mizernieje. Czuje się silna, to znaczy silniejsza, niż była; zastrzyki dobrze jej robią; guzy w brzuchu na kiszkach się powiększyły.

Wczoraj wieczorem byłem w Towarzystwie Litewsko-Francuskim na odczycie Mandelsztama, na którym przewodniczyłem i zagajać musiałem. Potem byłem na dwóch balach studenckich – chóru akademickiego i korporacji oficerów rezerwy. Ten drugi był świetniejszy; było na nim dużo śmietanki towarzyskiej, paru ministrów i dyplomatów zagranicznych.

9 listopada, rok 1936, poniedziałek

Wieczorem miałem dziś posiedzenie u Mašalaitisa. Jak zawsze – są trudności z różnymi aktami i zarządzeniami dyrektorium, skierowanymi najoczywiściej do tłumienia cech litewskich i ewolucji litewskiej Kłajpedy, a wątpliwymi pod względem legalności statutowej. Gdy teraz chodzi o skutki tych aktów i zarządzeń, to się bieduje i nie znajduje dróg do zareagowania na nie, gdy zaś można było zareagować nie na skutki, ale na sam akt, zaskarżając go do sądu statutowego, który istnieje, ale którego dotąd ani razu nie uruchomiono, to nie zrobiono tego i stracono termin do zaskarżenia!

Byłem dziś u ministra oświaty Tonkunasa. Chodzi znowu o różne szczegóły projektu reformy statutu uniwersyteckiego, które utknęły w debatach w Gabinecie Ministrów. Ciekawe, że Gabinet Ministrów podnosi wątpliwości co do tych właśnie przepisów tego projektu, które uniwersytet uważa za dodatnie, zaś te przepisy, przeciwko którym uniwersytet zarzuty podnosi i oponuje, w Gabinecie Ministrów wątpliwości nie budzą. To mi nasuwa myśl, że nasza droga memoriału, którego projekt już opracowałem i w którym polemizujemy z tym, co nam się w projekcie nie podoba, praktycznie będzie chybiona, jeżeli nie poprzemy równolegle ważkimi argumentami tego, co w projekcie jest dodatnie i co jest w dyskusjach Gabinetu Ministrów zachwiane. Jeżeli chcemy, żeby nasz memoriał oddziaływał na opinię czynników sejmowych poprzez głowę rządu, to musimy argumentować nie tylko przeciwko temu, co nam się w projekcie nie podoba, ale także za tym, co w projekcie wydaje nam się dobre i co przez rząd zostanie na obrady sejmowe skreślone.

10 listopada, rok 1936, wtorek

Nic bardzo szczególnego dzisiaj. Projekt memoriału uniwersyteckiego na ministerialny projekt reformy uniwersytetu już ułożyłem i poleciłem kancelarii odbić go na maszynce i rozesłać do dziekanów wydziałów. We czwartek obradować będzie nad nim senat akademicki.

Feliks Mackus wyjeżdża dziś na drugi rok studiów do Paryża.

11 listopada, rok 1936, środa

Obiad Rotary-Clubu. Na obiedzie w charakterze gości byli obecni nasi profesorowie bazylejscy: Baumgarten i Szenger. Referacik kolejny wygłosił Zygmunt Toliušis o muzeach w Litwie.

Związek międzynarodowy radiodyfuzji w Genewie, do którego należą czy wszystkie, czy też w każdym razie większość radio narodowych i który funkcjonuje, zdaje się, pod egidą Ligi Narodów, zaprojektował taką oto wymianę radiową: z każdego kraju wybrani będą wybitniejsi przedstawiciele nauki, literatury i sztuki do wygłoszenia każdy ze swojej specjalności krótkiego referatu radiowego, nie przekraczającego pół godziny odczytania; referaty te zostaną utrwalone w płytach gramofonowych, przetłumaczone na wszystkie języki i przez wszystkie radia związkowe nadane w cyklu określonym. Każdy urząd radiowy krajów związkowych został proszony o wskazanie nazwisk prelegentów krajowych i ich specjalności, z których następnie komitet związkowy wybrał prelegentów zakwalifikowanych. Litwa też podała grono kandydatów, wskazanych przez uniwersytet. Z ich liczby komitet związkowy zakwalifikował mnie jednego. Specjalność moja podana – prawo międzynarodowe. Nie mogę się uchylić, bo to sprawa nie moja, jeno Litwy. Sam referacik ułożyć można później – np. w czasie świąt Bożego Narodzenia, ale trzeba zaraz wskazać temat i krótki konspekt tez albo plan referatu. Referat nie może dotykać żadnych aktualiów politycznych, żeby nie obrażał żadnego narodu. Zadanie dość trudne. Zaprosiłem więc dziś Dominika Kriwickiego i Konstantego Raczkowskiego, żeby z nimi ustalić temat. Po długich wahaniach i rozważaniach ustaliliśmy temat o „interdépendance" międzynarodowej. Konspekt ten zaprojektuje Raczkowski, a potem referat napiszę ja.

12 listopada, rok 1936, czwartek

Na dziś było wyznaczone posiedzenie senatu akademickiego dla przyjęcia projektu memoriału czy też uwag uniwersytetu na rządowy projekt reformy statutu uniwersyteckiego. Projekt ten ułożyłem ja i poświęciłem nań dużo pracy. Mam wrażenie, że jest dobrze ułożony. Opracowałem go metodą, której używam zawsze: nie wykrzykniki i szumne frazesy ogólników, ale argumentacja rzeczowa i ścisła, sięgająca w samą głąb zagadnień i wniosków, spokojna i równa, ale miażdżąca logiką i przekonywająca bardziej, niż frazes mityngowy, dobry li tylko dla psychologii tłumu. Tryb zaś użyłem taki: dałem odpowiedź na każdy poszczególny punkt bądź objaśnień ministra, załączonych do projektu, bądź poszczególnych przepisów tegoż projektu – oczywiście tylko na te, które uniwersytet uważa za ujemne.

Przede wszystkim powstawała kwestia, jak należy memoriał ten zużytkować. Że go zgłosimy na ręce ministra oświaty – to się samo przez się rozumie. Ale nie o to nam tylko chodzi, aby minister go przeczytał. Że go nie przekonamy – to pewne. Jeżeli nasz memoriał ugrzęźnie w biurku ministra – to będzie chybiony. Nie wystarczy też to, jeżeli trafi on nawet do Gabinetu Ministrów. Nie wszyscy ministrowie go przeczytają, nie wszyscy zrozumieją, a zresztą w Gabinecie Ministrów atmosfera jest przychylna dla projektu i wątpliwości tam budzą tylko te właśnie przepisy projektu reformy, które u nas w uniwersytecie uchodzą za dobre. Nam by chodziło o to, aby nasz memoriał trafił przede wszystkim do posłów sejmowych, a także do wiadomości szerszych kół społecznych – inteligencji. Będziemy prosili ministra, aby nasz memoriał załączył do akt projektu reformy jako materiał do obrad. Czy jednak minister będzie to uważał za właściwe – tego nie jestem pewny. Sądzę raczej, że nie. Był przez Žemaitisa na przeszłym posiedzeniu senatu podniesiony wniosek ogłoszenia tego memoriału w organie uniwersyteckim „Universiteto Žinios", redagowanym z urzędu przez sekretarza uniwersytetu prof. Blažysa. Ale po zastanowieniu się ja, a ze mną i inni (Blažys przede wszystkim,

Janulaitis, Lašas, Jodelė), doszliśmy do przekonania, że to się zrobić nie da i że aktu bądź co bądź służbowego publikować nie można, a jeszcze tym bardziej przez to, że łącznie z memoriałem należałoby publikować i sam tekst projektu reformy i nawet pismo ministra z motywami do projektu, zgłoszonego do Gabinetu Ministrów i nam udzielone tylko poufnie do wiadomości. Bez tego memoriał trudno byłoby zrozumieć, a ogłoszenie tych aktów jest niemożliwe.

13 listopada, rok 1936, piątek

W dalszym ciągu kontynuuję wczorajsze. Ostatecznie senat uznał, że istotnie memoriał uniwersytetu, zgłoszony do ministra, nie może być ogłoszony w organie prasowym publicznym uniwersytetu. Z pewnością przez dziekanów i profesorów rozejdzie się on prywatnie szeroko i trafi do kół sejmowych, ale będzie to nie na skutek rozgłoszenia urzędowego przez sam uniwersytet, jeno przez akty niedyskrecji, których oczywiście skontrolować niepodobna.

Senat rozpoznawał ułożony przeze mnie projekt memoriału także *in merito*. Wspominałem wczoraj w dzienniku, jaką stosowałem metodę krytyki: metodę ściśle rzeczową i treściwą argumentowania głębokiego i trafiającego w samo sedno rzeczy. Moim zdaniem, jest to zawsze metoda najsilniejsza i najskuteczniejsza. Nie wszyscy wszakże umieją ją ocenić. Umysły płytkie i umysły namiętne wolą metodę jaskrawych wykrzykników i ogólników albo zjadliwości, insynuacji, wielkich frazesów. Z tego też punktu widzenia niektórzy dziekani w senacie domagali się zreformowania lub uzupełnienia projektu memoriału. W ich liczbie byli: dureń Grinkiewicz, człowiek bez żadnej wartości ani naukowej, ani administracyjnej, ani moralnej, zazdrosny i mściwy, z gruntu zły i kapitalnie głupi (jest po prostu skandalem, że takie zero i złe zero jest dziekanem), Žemaitis, umysł płytki i na kilku stołkach zawsze siedzący, we frazesie topiący myśl, poza tym zazdrosny, i wreszcie Krėvė-Mickiewicz, człowiek polotu, wielkiego sarkazmu i zadziorności, namiętny i lubujący się w jaskrawym obnażaniu „des dessous". Na ogół jednak tezy mojego projektu podobały się większości członków senatu i zyskały ich uznanie. Wszakże uchwalono uzupełnić go wstępem ogólnikowym, w którym mają być zaznaczone zwłaszcza dwa momenty ogólne: a. szkodliwość zbyt częstych reform generalnych statutu i b. rujnowanie samorządu akademickiego przez projekt reformy obecny. Wstęp ten polecono ułożyć mnie. Zrobię to, ale mnie osobiście się zdaje, że to osłabi skuteczność memoriału, bo po pierwsze te momenty ogólne uwydatniają się aż nadto w krytyce rzeczowej tez poszczególnych, a po wtóre ogólniki efektu nie zrobią, raczej przeciwnie, sprawią wrażenie, że uniwersytet jeździ na szablonach i tylko siebie broni, a odczytywanie ogólników zniechęci do dalszego czytania tego, co jest istotne i co ma w sobie moc argumentu. Dla przeciwników uniwersytetu, pragnących go pognębić, argumenty rzeczowe przeciwko przepisom projektu reformy są niepożądane, bo im przeciwstawić argumentów nie zdołają, natomiast ogólniki i operowanie komunałami autonomii akademickiej i autorytetu uniwersytetu ich jeno ucieszy; powiedzą, że oto uniwersytet brak argumentów pokrywa komunałami i że powtarza swoją piosenkę odwieczną, która zgoła żadnej dla nich mocy przekonywającej nie ma i posłuży im jeno do ośmieszania opozycji akademickiej.

14 listopada, rok 1936, sobota

Od tygodnia toczą się wielkie walki już nie tylko pod Madrytem, ale o sam Madryt i poniekąd nawet w Madrycie. Wojska powstańcze nacjonalistów podsunęły się pod same miasto, ale siły rządowe tzw. „Frontu Ludowego" bronią stolicy. Cały świat przygląda się tej walce tragicznej hiszpańskiej wojny domowej, która wychodzi szeroko poza ramy li tylko „domowe" i stanowi głęboki epizod krwawy dwóch koncepcji, dzielących ludzkość: koncepcji nacjonalistycznej i koncepcji humanistycznej, w której zblokowały się czynniki demokracji, socjalizmu, rewolucji narodów ujarzmionych (Katalonia, Baskowie). I cały świat nie tylko się tej wojnie przygląda, ale się roznamiętnia i dzieli na dwa wielkie obozy. Nacjonaliści całego świata, faszyści i wszystkie siły reakcji, wszystkie czynniki starego porządku oraz czynniki imperializmu, pięści i przebudowy państwa na zasadach autorytetu wodza – są po stronie nacjonalistów, wszystkie czynniki demokracji

i rewolucji – po stronie rządowców hiszpańskich. Gazety jednego i drugiego obozu kłamią i podają wiadomości stronnicze, które zresztą są wciąż przez fakty obalane. Czytając prasę nacjonalistyczną i prawicową z naszym „Lietuvos Aidasem" u nas na czele, ma się wrażenie, że nacjonaliści w Hiszpanii już są u kresu zwycięstwa, obóz zaś rządowy rozkłada się i ginie. Już kilkakrotnie ukazywały się wieści o zdobyciu Madrytu przez nacjonalistów. Ale rządowcy nie tylko się trzymają, lecz dzielnie się biją. Już sam ten fakt, że wojna ta trwa miesiące, a walka o sam Madryt, walka otwarta u wrót Madrytu i nawet poniekąd w samej stolicy trwa tydzień – wskazuje, że dzielność sił i czynników rządowych demokracji i rewolucji jest nie mniej wspaniała, niż impet reakcji. A gdyby nawet Madryt został zdobyty, to nie świadczyłoby to o triumfie nacjonalistów. Cała poludniowo-wschodnia ogromna część Hiszpanii pozostaje w ręku rządowców, a tam uwydatnia się też zespolony z demokracją i rewolucją czynnik narodowy Basków i Katalonów jako pierwiastek nowego zasięgu społecznego przeciwko ofensywie reakcji. We „Froncie Ludowym" i w tragicznej wojnie domowej hiszpańskiej stara demokracja europejska, która już była w Europie postarzała i przetworzyła na siłę konserwatywną, a w leciech po Wielkiej Wojnie stanowiła okopy przeciwko rewolucji komunistycznej, odmłodniała pod wpływem oporu przeciwko faszyzmowi, odzyskała romantyzm i rycerskość rewolucyjną z czasów swej młodości i zbratała się z rewolucją komunistyczną w wielkim zespole walki społecznej z reakcją. Taką demokrację, ale tylko taką, kocham. Powiadają ludzie, że „*on revient toujours à ses premieres amours*" i że „na starość garnek trąci tym, czym za młodu nasiąknie". Takim jest mój instynkt sympatii do rewolucji społecznej, w której czuję wieczną młodość jutra i wiarę w ideał, choćby formy i drogi walki były często bolesne, a nawet brzydkie. Niech żyje rewolucja społeczna i człowiek kochający ludzkość i wpatrzony w jutro, bo on jest twórcą.

15 listopada, rok 1936, niedziela

Ukończyłem uzupełnienie memoriału uniwersyteckiego w sprawie reformy statutu, zalecone przez senat akademicki na posiedzeniu czwartkowym. Wstęp utrzymałem jednak w tonie poważnym i ścisłym, podnosząc w nim, jak chciał senat, dwa momenty zasadnicze krytyki projektu reformy: a. zasadniczą szkodliwość częstych reform radykalnych i podstawowych statutu uniwersyteckiego i b. niebezpieczeństwo łamania samorządu akademickiego. Właściwie oba te momenty – zwłaszcza drugi – aż nadto się uwydatniły w argumentacji *ad rem* co do poszczególnych artykułów projektu, tak że zbytniej potrzeby wynoszenia ich za nawias w pewny wstęp ogólny nie było, ale skoro senat tak chciał – to wykonałem ten wstęp. W każdym razie uniknąłem tych trzech metod, do których wzdychali w senacie krytycy pierwotnego projektu memoriału; nie dałem: a. ani płytkiej deklamacji komunałów w stylu Grinkiewicza, b. ani melodramatycznej wodnistej frazeologii w stylu Žemaitisa, c. ani zaczepnej demaskującej satyry pod hasłem „im gorzej – tym lepiej" w polemicznie namiętnym stylu Krėvė-Mickiewicza. Co do Grinkiewicza i poniekąd Krėvė-Mickiewicza – to nimi, zwłaszcza pierwszym, kieruje świadomość, że wykonanie projektu reformy zapewne dotknie ich osobiście, bo są oni tymi właśnie dziekanami, na których minister toczy ząb. Co do Grinkiewicza – to wyrzucenie go nie tylko z dziekanatu, ale z uniwersytetu byłoby tylko ulgą: to pasożyt, jak weszka; nicość moralna, naukowa i charakteru. Jego osoba, która jest skandalem na stanowisku dziekana wydziału, jest właśnie tą okolicznością jedyną, która usprawiedliwiać może reformę statutu co do konieczności zatwierdzania dziekanów, bo gdy takich dziekanów wydział wybiera, to zaiste ten wydział nie jest wart samorządu. Ewentualne niezatwierdzenie jego po przyjęciu projektu reformy miałoby tylko tę jedną okoliczność ujemną, że mogłoby go pasować na „ofiarę" przemocy zewnętrznej nad samorządem akademickim. W głośnej sprawie prof. Sągaiły zachowanie się dziekana Grinkiewicza, fałszywe, tchórzliwe, dwulicowe jest po prostu skandaliczne i wstrętne. Natomiast usunięcie ewentualne dziekana Krėvė-Mickiewicza w drodze niezatwierdzenia go na zasadzie reformy, o ile ona przyjdzie, byłoby bardzo ujemne, bo jest to człowiek wartościowy i dziekan doskonały.

Obawiam się, ze nasz memoriał będzie łyżką po obiedzie.

16 listopada, rok 1936, poniedziałek

Nic szczególnego do zanotowania nie ma. W Hiszpanii republikanie (obóz rewolucyjny) biją się jak lwy. Nacjonaliści-powstańcy zdobyć Madrytu nie mogą. Gdybym był młody, gdybym nie miał Jadzi – gotów byłbym pojechać do Hiszpanii bić się za sprawę ludzkości, jak przed laty przeszło 20, romantycznie, narażając życie, stawiając na kartę całą przyszłość moją i los, narażając się gorzej, niż na śmierć od kuli na polu walki, bo na śmierć na stryczku albo przez rozstrzelanie w razie przyłapania mię przez Rosjan, pojechałem z Rosji przez Rumunię do Austrii i stamtąd do Polski walczyć pod Józefem Piłsudskim za „wolność naszą i waszą”! W życiu romantyzm czynu wart nie mniej, niż piękna twórczość naukowa, którą w obecnej chwili (zdaniem moim – skutecznie) uprawiam.

Był dziś u mnie Glikman na obiedzie. Wyjeżdża do Paryża. Zwolniono go już z wojska. Obiecuje mi pracować na rzecz propagandy mojej i wyboru mojego do Trybunału Międzynarodowego w Hadze. Twierdzi, że zdoła poruszyć wszystkie sprężyny i doprowadzić do skutku. Ma stosunki w profesurze paryskiej i ma ruchliwość zabiegliwą, ale czy bodaj nie przecenia swojej mocy cudownej. Bo sprężyny tych wyborów są skomplikowane i zależą od wielkiej gry czynników rozmaitych, a nieraz bardzo potężnych. Chcieć – to bym chciał, ale przekonania o perspektywach, jak je ma Glikman, nie mam.

17 listopada, rok 1936, wtorek

Brzydki mamy czas. Głęboka jesień. Słota, deszcz pomieszany ze śniegiem, mokro, ciemno.

Wieczorem na godz. siódmą miałem mój wykład zwyczajny prawa konstytucyjnego litewskiego, ale jednocześnie na tę samą godzinę była wyznaczona tradycyjna uroczystość obchodu rocznicy niepodległości Łotwy, urządzana corocznie przez zespół kilku stowarzyszeń akademickich studentów. Uroczystość ta była wyznaczona nie tylko na tę samą godzinę, ale też w sali, to znaczy w tym samym lokalu, gdzie się odbywają moje wykłady. Kto tak tę uroczystość wyznaczył – nie wiem, bo uczyniono to bez porozumienia ze mną. Gderałem za to prorektora Purėnasa, który tych pozwoleń lokalu udziela, ale Purėnas myślał, że inicjatorowie porozumieli się uprzednio ze mną. Wygderałem też studentów inicjatorów. Ale oczywiście już nie było co robić, bo o uroczystości było już ogłoszone i zaproszenia były wysłane. Jednak wykładu nie zaniechałem, tylko przeniosłem go do innego audytorium i odłożyłem na pół godziny, aby samemu móc wystąpić na uroczystości i wypowiedzieć zagajenie. Sala była na uroczystości pełna; uroczystość składała się z części urzędowej – przemówienia, hymny – i z części koncertowej, w której brali udział: chór akademicki i soliści i solistki litewskie i łotewskie. Uroczystość była rozgłaszana przez radio. Wypowiedziałem moje zagajenie i uciekłem na mój wykład i colloquium.

18 listopada, rok 1936, środa

Colloquia są u mnie w pełnym toku. Najprędzej postępują one na I semestrze sekcji prawniczej, bo tam są one najczęstsze (dwa razy na tydzień – robię je zawsze po wykładzie), studentów zaś jest najmniej – zaledwie koło setki, tak że może na tym semestrze colloquia zakończę do świąt Bożego Narodzenia albo zaraz po świętach. Na I semestrze sekcji ekonomicznej liczba studentów jest co najmniej w dwójnasób, albo jeszcze więcej, większa, a wykład, przeto i colloquium ma miejsce tylko raz na tydzień. Na kursie prawa konstytucyjnego litewskiego, wspólnym dla prawników i ekonomistów III semestru, wykład ma miejsce też tylko raz na tydzień, a słuchaczy jeszcze więcej, niż ekonomistów I semestru. I tam więc colloquia zaciągną się aż pod Wielkanoc, po czym bezpośrednio bez żadnej przerwy rozpoczną się colloquia semestru wiosennego. Liczba studentów sekcji prawniczej z roku na rok stale i systematycznie spada. Ciężki filtr stażu aplikantów sądowych, zależnego od zgody ministra sprawiedliwości jako warunek dostępu do magistratury sądowej i adwokatury, odstrasza młodzież od studiów ściśle prawniczych, zwłaszcza gdy ministrem tym jest Šiling, dopuszczający faktycznie do stażu li tylko Litwinów i tylko tych, którzy mu się wydają godni. W liczbie tych studentów prawników I semestru, którzy dziś do colloquium byli wezwani, był

Michaś Chmielewski z Poniewieża, były uczeń Stefana Römera z gimnazjum polskiego poniewieskiego, gdy Stefan był tam nauczycielem rysunku. Michaś Chmielewski i jego brat Bodzio przyjeżdżali potem kilkakrotnie do Bohdaniszek do Maryni na wakacje. Michaś Chmielewski – chłopiec dość oryginalny i niegłupi, choć osobiście nie bardzo mi się podobał, bo jest strasznie zarozumiały. Babka tych Chmielewskich była rodowitą Indianką czerwonoskórą i Michaś Chmielewski ma pewien typ indyjski. Ćwiczy on wolę swoją, wyznaje zasady woluntaryzmu i panowania nad ludźmi i okolicznościami siłą racjonalizmu, chłodu i skupienia woli; wierzy w hipnotyzm i uważa się za hipnotyzera. Jako student – jest bardzo pilny, jest zawsze na wykładach, przynajmniej moich, i na colloquiach i widocznie się interesuje i śledzi tok myśli na wykładzie. Colloquium zdał dobrze. W ogóle jest studentem dobrym i wartościowym, ma głowę i zainteresowanie do problemów myślowych.

Byłem dziś na obiedzie Rotary-Clubu i stamtąd poszedłem do teatru na uroczystość obchodu rocznicy niepodległości Łotwy. Uroczystość składała się z dwóch części: przemówienia i hymny (przemawiali: prezes Towarzystwa Litewsko-Łotewskiego Merkys, minister spraw zagranicznych Lozoraitis, łotewski minister komunikacji Einbergs, poseł łotewski w Kownie Sēja i prezes Towarzystwa Łotewsko-Litewskiego w Rydze Ritters, i po przerwie – część koncertowa, na którą złożyły się skrzypce, fortepian i śpiew artystów łotewskich oraz śpiew artystki litewskiej p. Zauniusowej. Koncert był trochę za długi i pieśni oraz kawałki muzykalne były jakieś dziwnie dobrane – smutne i ponure.

19 listopada, rok 1936, czwartek

Rozpoczynam opracowywanie zapisek do nowego kursu wykładów, który od roku przyszłego mam objąć na I i II semestrze sekcji ekonomicznej. Dawniej wykładałem kurs części ogólnej prawa konstytucyjnego wspólnie dla prawników i ekonomistów, potem od lat mniej więcej trzech-czterech kurs ten dla ekonomistów został skrócony (dwie godziny zamiast czterech) i wykładany jest przeze mnie osobno. Obecnie zarządzona została nowa reforma, która od roku przyszłego wyjdzie w życie. Mianowicie na sekcji ekonomicznej kurs części ogólnej prawa konstytucyjnego zostaje zlany z kursem prawa administracyjnego w jeden kurs zbiorowy; zamiast tych dwóch kursów osobnych, które były wykładane pierwszy przeze mnie i drugi (wspólnie z prawnikami) przez prof. Wacława Biržiškę, będzie wykładany przeze mnie dla ekonomistów jeden kurs zbiorowy prawa publicznego (konstytucyjnego i administracyjnego), na który są przeznaczone cztery godziny tygodniowo. W ciągu tej zimy i lata muszę się do tego kursu należycie przygotować i ułożyć dlań zapiski. Jest to robota dość przyjemna. Na ogół do prawa administracyjnego miałem zawsze pociąg. To prawo jest młode i przeżywa stadium twórczości intensywnej, której wyrazem wspaniałym jest jurysdykcja w stylu pretoriańskim francuskiego „Conseil d'État". Admirowałem zawsze tę twórczość Conseil d'État i ciekawą ewolucję tego prawa. W szczególności wystudiowałem ją częściowo w mojej książce „Administracinis teismas", wydanej w roku 1927. Był nawet czas – właśnie około roku 1927-1929 – kiedy nosiłem się z zamiarem zamienić wykłady prawa konstytucyjnego na wykłady prawa administracyjnego, to znaczy zamienić się katedrą z Wacławem Biržišką, bo prawo konstytucyjne już studiować skończyłem i całą dokonaną dynamikę mojej pracy osobistej w tym zakresie krystalizuję już w odpowiednim traktacie, którego część I pod nazwą „Valstybė" już wyszła w dwóch tomach, obecnie zaś piszę część II. Wolałem do wykładów wziąć nową dziedzinę, w której miałbym jeszcze dynamikę studiów samych. Tylko że Wacław Biržiška się na tę zamianę nie zgodził (nie dlatego, żeby kochał prawo administracyjne, bo w ogóle jego specjalność jest inna – jest nią historia kultury, zwłaszcza litewskiej, i bibliografia – ale dlatego, że w wykładach prawa administracyjnego ma on już pewna rutynę, podczas gdy prawo konstytucyjne, którego on nie lubi tak samo, jak nie lubi administracyjnego, byłoby dla niego nowym ciężarem, którego na barki brać nie chciał).

Ale w związku z objęciem przeze mnie tego nowego kursu w roku przyszłym wypadnie mi za wiele godzin wykładowych, bo ogółem aż 10. Więcej ponad osiem podjąć się nie mogę. Toteż

wypadnie mi część wykładów – zapewne prawa konstytucyjnego – przełożyć na asystentów moich – Konstantego Raczkowskiego albo Feliksa Mackusa.

20 listopada, rok 1936, piątek

Co roku w jesieni zmiana pogody odbija się na mnie jakąś dolegliwością, pochodzącą z przeziębienia. Jest to widocznie tzw. grypa pod rozmaitymi postaciami. Sezonowe cierpienie jesienne. Mam to już od lat wielu. Jednego roku to jest katar uciążliwy i uparty, który potem utrwala się w kaszlu na całe tygodnie; innym razem – influenza; jeszcze innym – lumbago; czasem – newralgia w kościach policzkowych; albo znowu, jak w roku zeszłym – wrzody. W tym roku objawiło się to w newralgii bolesnej, ogarniającej całą lewą stronę twarzy: górnej szczęki, kości policzkowej i czaszki; i oko lewe się łzawi, i nosa lewa strona boli, a najwięcej – jedyny ząb w lewej szczęce górnej. Ból ten to ustaje, to nagle wyrasta i staje się niezwykle ostry, zwłaszcza męczy mnie w nocy. Postanowiłem więc się zaszanować i użyć środków zwykłych na rozgrzanie z wewnątrz przy przeziębieniu; wziąłem więc wczoraj aspiryny na noc, wypiłem mleka gorącego z miodem, a dziś z domu nie wychodziłem wcale i na noc znowu aspiryny wezmę. I już lepiej się czuję.

Wieczorem wpadł do mnie Julek Komorowski, który przyjechał do Kowna dla swoich interesów bankowych. Dużo mi opowiadał o biedach kowaliskich. Właściwie nic wyraźnego w akcji ratunkowej nie ustalono. Na razie zatyka się dziura, ale sytuacja katastroficzna trwa. Pan Zaborski, który miał dać 10 000 litów pod trzeci zastaw i roztoczyć pewien rodzaj protektoratu nad Kowaliszkami, waha się czy cofa. Na razie dziura się i bez tego zatka; coś daje Przeździecki, ja dam tysiąc, jeszcze się coś od innych naskrobie, Julek z dochodów szkółki owocowej parę tysięcy zebrał, Elizka z pieniędzy antonoskich pożyczyła... Ale to są paliatywy. I zresztą tego nawet nie wystarcza, aby przetrzymać na razie. Trzeba by dla chwilowego prawdziwego zatkania dziury – 14 000 litów. Ale to są tylko środki doraźne. Ratunek ma być szukany w tym, aby centrum kowaliskie Julka wydzierżawić za 7000 litów rocznie, by z tego procenty bieżące opłacać, Julkowi zaś zostałaby zostawiona szkółka, która daje kilka tysięcy rocznie, i poza tym wziąłby małą dzierżawę pod Telszami – folwark Gorskich, gdzie by też szkółkę założył i eksploatował. Ale i wydzierżawienie Kowaliszek za 7000 nie będzie łatwe. Stan Hektora też ciężki bardzo, kto wie, czy lepszy od Julka. Na 80-hektarowej schedzie Litki, która należy do Hektora, jest 70 000 długu, na schedzie Litki, która też do niego należy, i na resztce jego własnej – 40 000 długu. Sytuacja jest rozpaczliwa. Absolutnie wszystko opisane i zaaresztowane. Julek – przygnębiony i bardzo źle wygląda.

21 listopada, rok 1936, sobota

Dopiero dziś kancelaria uniwersytecka sporządziła ostatecznie odpisy memoriału uniwersyteckiego w sprawie projektu reformy statutu. Trzeba było porobić te odpisy na maszynie z brulionu rękopisu mojego. W druku maszynowym memoriał wynosi 18 dużych stron formatu arkuszowego. Egzemplarz główny, podpisany przeze mnie jako oryginał, skierowałem do ministra oświaty Tonkunasa, inne egzemplarze, ponumerowane numerami porządkowymi i zaświadczone przeze mnie jako odpisy, będą rozdane obu prorektorom, sekretarzowi uniwersytetu i wszystkim dziekanom wydziałów. Czy memoriał będzie łyżką po obiedzie i czy wyjdzie z gabinetu ministra oświaty – tego oczywiście nie wiem. Zdaje się, że Gabinet Ministrów projektu reformy statutu jeszcze rozpoznawać nie skończył, zapewne więc na obecną sesję sejmową projekt nie trafi, bo sesja ta ma być zamknięta 30 listopada, a następna ma być otwarta w lutym. Ale ponieważ w przerwach między sesjami Sejmu władzę ustawodawczą ma w myśl konstytucji Prezydent Rzeczypospolitej, więc projekt reformy statutu może być i przez Prezydenta przyjęty. Krėvė-Mickiewicz powiada, że minister Šiling, z którym on gawędził prywatnie, wyraża się o projekcie reformy sceptycznie. Mnie się jednak coś widzi, że Šiling jest właśnie najistotniejszym wszelkich wolności akademickich wrogiem i że jeżeli jest on temu projektowi reformy niechętny, to właśnie dlatego, że projekt jest za mało radykalny w tępieniu tych swobód tak co do władz akademickich, jak co do młodzieży.

22 listopada, rok 1936, niedziela

Dziś w przeddzień rocznicy stworzenia wojska litewskiego młodzież akademicka litewska z inicjatywy korporacji akademickiej oficerów rezerwy urządziła obchód święta wojska. Na obchód złożyła się uroczystość w ogródku Muzeum Wojennego, na której osobiście nie byłem, stamtąd pochód przed pałac Prezydenta Rzeczypospolitej jako naczelnika sił zbrojnych i o godzinie piątej uroczystość na uniwersytecie. W tej ostatniej oczywiście udział wziąłem. Wzięli też udział obaj prorektorowie, minister wojny prof. Dirmont, naczelnik sztabu generalnego, prezes związku byłych ochotników z walk o Niepodległości – adwokat Gužas, burmistrz Merkys, grono wyższych oficerów, delegacje korporacji ze sztandarami, chór akademicki, trochę gości i profesorów i całe morze głów studenckich. Uroczystość ładnie się udała, była translowana przez radio i niezbyt długa. Wystąpiłem z piękną podniosłą mową. Przemówienie wygłosili też: prezes korporacji oficerów rezerwy – student Venclovas, minister wojny, szef sztabu generalnego i przedstawiciele kilku korporacji studenckich – „Neo-Lithuanii", Związku „Ateitininków", „Filiae Lithuaniae", akademickiego oddziału Związku „Šaulysów", zrzeszenie „Samburis". Wykonane też były: hymn narodowy i hymn akademicki „Gaudeamus!". Między przemówieniami chór akademicki odśpiewał kilka pieśni.

23 listopada, rok 1936, poniedziałek

Nic szczególnego do zanotowania. Wilgoć, mgła, brzydko i ciemno. Newralgia w lewym policzku niezupełnie ustała, choć jest mniejsza. Obawiam się, że nie pozbędę się tego do wiosny.

24 listopada, rok 1936, wtorek

I dziś pisać dłużej nie będę, bo czasu nie mam.

25 listopada, rok 1936, środa

Nie mam czasu.

26 listopada, rok 1936, czwartek

Wieczorem posiedzenie senatu akademickiego. Sprawy na porządku dziennym przeważnie podrzędne i detaliczne.

W ogóle okres jest cichy, żadnych osobliwych wypadków nie ma. Dla pracy mojej jest to okres dobry. A prac mam w domu i na uniwersytecie dużo. Moja książka, która jest w druku – pierwsza część wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego, obejmująca genezę państwa litewskiego, jego powstawanie w dobie Wielkiej Wojny i okupacji, konstytucje tymczasowe i pierwszą konstytucję stałą z roku 1922 – kończy się drukować pod dozorem Janulaitisa i może już w grudniu wyjdzie z druku; jeszcze tylko Andrzej kończy układać skorowidz alfabetyczny do tekstu książki. Połowę części drugiej tej pracy, obejmującą okres konstytucyjny Sejmów i oba przewroty z lat 1926 i 1927 aż do konstytucji z roku 1928, tej jesieni też już napisałem, ale ją oddam do druku dopiero po napisaniu w roku przyszłym drugiej połowy – analizy konstytucji z r. 1928, a tymczasem tę pierwszą połowę użyję w tym roku do wykładów. Piszę ciągle po trochę tom I drugiej części mojego zaprojektowanego cyklu „Valstybė ir jos konstitucinė teisė", którego część I pod nazwą „Valstybė" już przed paru laty w dwóch tomach wyszła. Teraz zacząłem układać plan do wykładów kursu prawa konstytucyjnego i administracyjnego dla ekonomistów na rok przyszły i niebawem, po ułożeniu planu, zacznę układać zapiski do tych wykładów. Inne prace są drobniejsze i bardziej okolicznościowe, aczkolwiek także merytorycznie solidne: a. memoriał do rządu w sprawie projektu reformy statutu autonomicznego – ten już ukończony; b. studium w sprawie przepisów dyrektorium kłajpedzkiego w przedmiocie nabycia obywatelstwa autonomicznego w Kłajpedzie – studium to stanowi owoc dyskusji w komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich – dziś zakończyłem tę pracę; c. dłuższy artykuł po francusku na temat organizacji wschodu europejskiego na zasadach solidaryzmu regionalnego – pracę tę także już zakończyłem, ale nie zdecydowałem się jeszcze na jej zużytkowanie; d. artykuł po francusku o sądzie statutowym kłajpedzkim w odpowiedzi

niemieckiemu prof. Bramsowi – przeznaczam go dla „Revue Française de Droit International". Nie jest to jeszcze wszystko.

Dziś, jako w przeddzień mojego wyjazdu do Kłajpedy i w związku z otrzymaniem pensji miesięcznej z uniwersytetu, zaprowadziłem Jadźkę, Andrzeja i Diskina do restauracji „Metropol" na kolację. Zabawiliśmy tam na tańcach i kabarecie do późnej nocy. Program kabaretu jest ciekawy. Występuje tancerka estońska, dobrze wykwalifikowana i technicznie bardzo wartościowa, dwie tancerki Łotewki, dziewczyny ładne i stylowe, wysokie i zgrabne, subtelne i silne, występujące przeważnie w tańcu stylowym i poważnym, wreszcie para komiczna – ogromny mężczyzna i malutka kobieta, która między innymi artykułami programu wykonywa bardzo ciekawą grę na cymbałach nogami w tańcu. Duże cymbały stawiają się na stolik, ona na nich staje i tańczy po klawiszach, wygrywając nogami, raczej wytańcowując różne melodie i piosenki.

27 listopada, rok 1936, piątek

Wczoraj w nocy po dwóch dniach mrozu suchego leciutko pośnieżyło, dziś wieczorem znów śnieżyło trochę. Śnieg jest suchy, ale jeszcze go bardzo mało, prawie że nie znać; tylko tyle, żeby się zrobiło ślisko na trotuarach. Ale już jest nadzieja na śnieg i sanną. Może święta Bożego Narodzenia będą śnieżne, co daj Boże. I weselej, i przyjemniej. Suche powietrze na mróz od dwóch dni jak ręką mi ujęło newralgię w twarzy. Ból był na słotę, na mróz – ustał zupełnie. Suche powietrze podziałało radykalniej od aspiryny. Dzień spędziłem w domu, wyegzaminowałem pięciu studentów, w ich liczbie studentkę Zofię Narkiewiczównę, która zdała doskonale, jak rzadko która studentka; dzielna to i energiczna dziewczyna, pełna temperamentu i energii nieposkromionej, aż miło. Rezolutniejsza od nie lada mężczyzny. Umiała dobrze i twierdzenia swoje, gdym chwilami wątpił w ich ścisłości, narzucała zdobywczo z taką stanowczością przekonywającą, że się jej oprzeć trudno. Wprawiała mię w podziw, toteż nagrodziłem ją komplementami poza stopniem celującym. Druga – Volodkaitė – subtelniejsza dziewczyna, typ bardzo litewski, pełna wdzięku, miękka i delikatna, niegłupia, ale w egzaminie ani się umyła do swojej koleżanki, bo się peszyła i otwierała usta jak rybka chwytająca wodę i powietrze.

Z domu wychodziłem tylko do rektoratu na godziny urzędowania od południa do drugiej. Na obiedzie był Justyś Stawski, wieczorem zaś wpadli Julkowie Komorowscy. Zdecydowali się już oni na dzierżawę folwarku od rodziców Madzi pod Telszami. Julek zaraz opłaci Bank Ziemski i zdejmie centrum Kowaliszek z licytacji; da ogłoszenie o wydzierżawienie centrum Kowaliszek, rezerwując dla siebie tylko szkółkę, której połowę, jako rzecz dochodową, ustępuje Hektorowi dla wyrównania z nim pewnych rachunków. Czy zdołają oni wybrnąć i ocalić Kowaliszki – nie wiadomo. Na razie dziura zatkana, ale jeżeli wydzierżawienie zawiedzie, to dziura się rychło znowu otworzy. Mój przyrzeczony tysiąc dałem Julkowi. Wydał mi on rewers, opiewający na 6% i na spłatę ratami rocznymi po 200 litów. Żeby zdołał spełnić kiedykolwiek – wątpię.

Wyjeżdżam dziś do Kłajpedy. Jedziemy z Antonim Tamošaitisem. Jutro mam w Kłajpedzie posiedzenie komisji do egzaminów referendarskich. Do egzaminu staje zresztą tylko jeden kandydat – niejaki Karpus, Żyd. Jadzia odprowadziła mię na dworzec kolejowy. Rzeczy biorę ze sobą mało, toteż szliśmy pieszo. Jadzia dziś jest „biedaczyńka". Ma to pewne znaczenie specyficzne w naszym języku poufnym, którego sekret my tylko sami mamy.

28 listopada, rok 1936, sobota

Rano przyjechaliśmy z Antonim Tamošaitisem do Kłajpedy. Zajechaliśmy do hotelu „Viktorija" na śniadanie. Tamošaitis dziś na noc wyjeżdża z powrotem do Kowna, ja wszakże zostaję w Kłajpedzie do jutra wieczorem, toteż wziąłem w hotelu numer. Choć mógłbym wrócić jutro rano do Kowna, wyjeżdżając dziś na noc, ale to mi się nie opłaca, bo zostając w niedzielę poza Kownem zyskuję swobodę od wszelkich uroczystości, które by mię w Kownie czekały. Niedziela w Kownie – to pańszczyzna dla mnie. Wolę nie wracać, wtedy bowiem jestem usprawiedliwiony i mogę nie brać udziału w uroczystościach, na których zawsze też przemawiać muszę.

Wziąłem tu ze sobą prace moje i w ciągu tych dwóch dni w Kłajpedzie popracuję rzetelnie w hotelu. Z tego względu wziąłem wygodny duży pokój w hotelu, złożony z pokoju sypialnego i gabinetu z biurkiem. Drogo ten numer kosztuje – 25 litów, ale do pracy będę miał wygodę, a honorarium egzaminacyjne pozwala mi na to.

Do egzaminu mieliśmy jedynego kandydata, niejakiego Karpusa, Żyda miejscowego. Zdał dobrze, lepiej, niż którykolwiek inny spośród tych, których nasza komisja dotąd egzaminowała. Ale, choć po litewsku wcale nieźle mówi, odpowiadał stale po niemiecku, nie tylko na pytania prezesa Riffarta i sędziego Kairysa, którzy pytania zadają po niemiecku, lecz także na pytania nasze z Tamošaitisem, zadawane po litewsku. Jest to charakterystyczne dla Żydów, że choć są naturalnie teraz usposobieni przeciwko Niemcom, albowiem antysemityzm rasowy niemiecki jest brutalny i traktuje Żydów wprost nieludzko, ale Żydzi, działając tu w Kłajpedzie po cichu przeciwko Niemcom, okazywać na zewnątrz i manifestować wobec Niemców swojego usposobienia antyniemieckiego nie odważają się, owszem – raczej są skłonni okazywać pozory niemieckości; nie wiedzą, co będzie w przyszłości i czują, że sprawa niemiecka w Kłajpedzie jest mocna i że Niemcy są tu stroną silniejszą, toteż boją się Niemcom narazić i potwierdzać zarzuty niemieckie, że grają na rękę wrogów Niemiec i że są czynnikiem ze stanowiska niemieckiego destrukcyjnym. Co prawda, Niemców tym nie zjednają i ich antysemityzmu rasowego nie złagodzą, ale... wolą być ostrożni i argumentów przeciwko sobie dawać Niemcom nie chcą. Jako słabi – są podli. Trudno ich zresztą winić. Trzeba przyznać, że i u Litwinów serca dla siebie nie mają, a choć Litwini dalecy są od tego dzikiego egoizmu rasowego, jaki się manifestuje w Niemczech współczesnych, jednak szczególnego entuzjazmu dla Litwy Żydzi mieć nie mogą, a Litwini są dla nich tutaj stroną słabszą – stroną, której się mniej boją. Nie wszyscy Żydzi są tacy i nie wszędzie są oni tacy, ale tam, gdzie los ich osobisty zależy raczej od Niemców, jak w tym wypadku los referandarza sądowego w sądzie autonomicznym, którym dysponują czynniki niemieckie, tam wszelką ewentualną sympatię albo choćby preferencję litewską chowają starannie pod korzec, aby im nie zarzucono, że w grze autonomicznej litewsko-niemieckiej robią coś z ujmą dla interesu niemieckiego.

Przepisy egzaminów sądowo-referendarskich, ogłoszone przez poprzednie dyrektorium litewskie Bruvelaitisa, przetrwały i komisja egzaminacyjna może zwalniać od egzaminów tych kandydatów, którzy zdali analogiczny egzamin w Niemczech do d. 30 września 1935. Dyrektorium Baldžiusa utrzymało przepisy, ale zniosło termin 30 września 1935, wobec czego przepisy tu w znacznym stopniu straciły swoją wagę, bo kandydaci Litwini i Żydzi zdają egzaminy przed naszą komisją, ale kandydaci Niemcy mogą je zdawać nadal w Niemczech. I właśnie taki był precedens. Prezes Riffert przysłał nam do Kowna z góry już przez niego i sędziego Kairysa podpisany projekt rezolucji komisji o zaliczeniu kandydatowi niejakiemu Peterstowi (nazwisko litewskie, ale Niemiec zdecydowany) egzaminów referendarskich, które zdał w Dreźnie w tym roku. Zastanawialiśmy się z Tamošaitisem w Kownie, jak nam postąpić. Gdybyśmy stanęli sztorcem, to nic byśmy nie wskórali, bo dwa nasze głosy przeciwko dwom (Riffarta i Kairysa) nie przeważyłyby szali, przeciwnie – ponieważ Riffart jest prezesem komisji, głos jego by przeważył. Wybraliśmy drogę oportunizmu. W sprawie Petersta zgodziliśmy się na wniosek Riffarta i Kairysa, jako że oni już rzecz rozważyli (oczywiście względów politycznych nie wysuwamy i trzymamy się na terenie ściśle rzeczowym, niby nikomu o nic by innego nie chodziło), ale podnieśliśmy wzgląd trzymania się w tej mierze pewnej linii przewodniej – mianowicie uwzględnienia tego, jak kandydat zdał egzaminy w Niemczech; jeżeli zupełnie dobrze – można go zwolnić od egzaminów, ale jeżeli słabo – to należałoby sprawdzić i ponowić egzaminy, a jeżeli choćby średnio, ale nie celująco, to zarządzić przynajmniej egzamin częściowy w stosunku do ustaw obowiązujących w Kraju Kłajpedzkim i w ogóle w Litwie, z czego w Niemczech przecie nie egzaminują. Riffart i sędzia Kairys zasadniczo nasze stanowisko zaakceptowali, bo przecie jest ono rozsądne i zarzucić mu żadnej szykany nie można.

29 listopada, rok 1936, niedziela

Odwiedził mię wczoraj w hotelu, aby pogawędzić o sprawach kłajpedzkich i poskarżyć się, młody Litwin kłajpedzki, rodem z powiatu Pogiegie, Armonas Tumas, referendarz sądowy w Kłajpedzie, mój były uczeń. Był on parę lat na uniwersytecie naszym w Kownie na prawie, potem kontynuował i zakończył studia prawnicze w Niemczech i już trzeci rok jest tu refendarzem. Jest to Litwin uświadomiony, ale jak wszyscy Litwini kłajpedzcy, nawet narodowcy, którzy się przeciwstawiają Niemcom, ma wybitne poczucie odrębności lokalnej, jest Litwinem – ale Litwinem-Kłajpedczykiem, nie zlewającym się całkowicie z Litwinami z tzw. Wielkiej Litwy. Ci Litwini narodowcy Kłajpedczycy, którzy są jeszcze nieliczni, ale których liczba narasta, mają sytuację trudną między z jednej strony Niemcami i niemiecko usposobioną masą rodaków w swojej dzielnicy i z drugiej – Litwinami stuprocentowymi z Litwy Wielkiej. Od jednych się oderwali, do drugich przystać nie mogą. Tymczasem walka polityczna toczy się między Niemcami i Litwinami Litwy Wielkiej; to są dwie strony właściwe, które dysponują siłą i są czynnikami politycznymi, podczas gdy oni, Litwini-Kłajpedczycy narodowcy, są po środku między jednymi i drugimi, przez jednych zwalczani, przez innych nie popierani. Są oni bardzo wrażliwi na wszystkie błędy i wahania polityki litewskiej, na którą wpływu nie mają i która przez błędne posunięcia dyskredytuje sprawę litewską w opinii ich rodaków zniemczonych i daje oręż agitacji niemieckiej, osłabiając wpływy tych narodowców na rodaków. Młody Tumas zna mię dobrze z Kowna i ma zaufanie do mnie, toteż przyszedł się poskarżyć, licząc zarazem, że przez stosunki i wpływy moje u rządu coś z jego skargi może dotrze do sfer decydujących i podziała skutecznie. W szczególności skargi te i zarzuty redukują się do punktów następujących: a. Litwini z Litwy Wielkiej rozwijają tu akcję katolicką, która wywołuje zaniepokojenie bogobojnych ewangelików w Kłajpedzie i daje Niemcom okazję do podniecania nieufności do Litwy jako gotującej zagładę ewangelizmu; budują tu kościół katolicki w Kłajpedzie i mają budować w Prekule; w mieście budowa kościoła nie jest jeszcze tak gorsząca, ale na prowincji – gorszy to i straszy ludność miejscową; nasadzany też jest i rozwijany ruch katolicki „ateitininków" wśród młodzieży akademickiej Instytutów Pedagogicznego i Handlowego; pełno jest dziennikarzy i działaczy katolickich, którzy przyjeżdżają z Kowna i osiadają tu w Kłajpedzie bądź w gubernaturze, jak Sokołowski, bądź jako korespondenci Elty, jak Radziewicz, bądź pod innymi tytułami; tworzy się gniazdo akcji katolickiej, kompromitujące sprawę litewską w oczach ludności miejscowej, ulegającej podszeptom niemieckim; b. założono w Kłajpedzie Instytut Pedagogiczny, ale studentów i studentki instytutu izolowano, osadzając ich w interesie w Girulach jak w klasztorze jakimś; byłoby pożądane, żeby ta młodzież litewska mieszała się z ludnością miejscową, nie zaś była od niej sztucznie izolowana i fermentowana ruchem katolickim we własnym zamkniętym środowisku; c. przyjezdni Litwini z Wielkiej Litwy traktują ludność litewską miejscową z góry i nieco pogardliwie, jako rasę pośledniejszą, nie łączą się z nią, separują się, jak panowie od ludu, nie obcują z nią towarzysko, nie dają serca Kłajpedczykom, poza tym obrażają ją, uważając Kłajpedczyków za materialistów, nie rozumiejących innego argumentu poza argumentem interesu, nie rozumieją sami i nie chcą poznać psychiki kłajpedzkiej, wychowanej na innej kulturze i innych tradycjach, ale bardzo religijnej i bardzo głęboko przywiązanej do swoich zwyczajów, konserwatywnej, mocnej, ale wcale nie zmaterializowanej; d. często nawet na najniższe posady kurierów i woźnych w urzędach i instytucjach powoływani są przez panów litewskich przybysze z Wielkiej Litwy, Kłajpedczycy zaś są pomijani. Słowem, Kłajpedczycy czują się pokrzywdzeni. Litwini z Litwy Wielkiej zachowują się tu jak panowie, nie zaś bracia, są obcy ludności miejscowej, są czymś zewnętrznym i mechanicznym; w autonomii zaś dominują Niemcy, którzy bardzo zręcznie wyzyskują błędy Litwinów i broniąc niemczyzny mają wszelkie pozory bronienia pierwiastków i zwyczajów lokalnych od brutalnego zalewu ich z zewnątrz.

30 listopada, rok 1936, poniedziałek

Przez noc wróciłem do Kowna. Wczoraj w Kłajpedzie zaproszony byłem przez gubernatora Kubiliusa na obiad. Gubernator Kłajpedy, następca Kurkowskiego, Juras Kubilius, jest moim uczniem. Przed laty 13, w roku akademickim 1923-1924 (w drugim roku istnienia naszego Wydziału

Prawniczego), był on, jako młody oficer, studentem I semestru prawa i przeto moim słuchaczem. Był bardzo pilnym i zdyscyplinowanym studentem, obecny był na każdym wykładzie, siedział zawsze w pierwszym rzędzie na tym samym miejscu naprzeciwko prelegenta. Był cichym i bardzo zrównoważonym chłopcem, takim też pozostał: jest cichy, spokojny, bardzo równy, systematyczny i staranny. Czy jest zdolny – nie wiem. Robi wrażenie człowieka bez temperamentu, ale ludzkiego, a w każdym razie sumiennego i bardzo akuratnego. W każdym razie, uchodzi za dobrego administratora. Był naczelnikiem powiatu w Szawlach, ostatnio zaś – starszym notariuszem. Na obiedzie obecny byłem ja, gubernator Kubilius z żoną, która jest córką gospodarską spod Świadość w powiecie rakiskim i o której w Kłajpedzie mi mówiono, że na stanowisku żony gubernatora jest bardzo czynna w stosunkach towarzyskich i ruchu społecznym, co się bardzo ceni w stosunkach kłajpedzkich, prezes dyrekcji portu kłajpedzkiego inżynier Bolesław Sližys (były minister za rządów chrześcijańsko-demokratycznych, niegdyś przed wojną kochał się w mojej siostrze Maryni w Wilnie) z żoną i Franciszek Morkus, który jest urzędnikiem gubernatury z misją specjalną nawiązywania stosunków towarzyskich w tym kraju.

Przy i po obiedzie rozmawialiśmy o różnych sprawach, związanych z zagadnieniami aktualnymi kłajpedzkimi. Do najaktualniejszych należą teraz: a. kwestia lokalnego obywatelstwa autonomicznego, nad którą się i w Kownie biedziła nasza komisja konsultantów do spraw kłajpedzkich, czekając z wysiłkiem, ale dotąd na próżno, sposobu zareagowania na przepisy dyrektorium w tej sprawie – przepisy, które ze stanowiska zasad statutowych dałyby się obalić, ale które nie były w terminie właściwym zaskarżone do sądu statutowego, obecnie zaś są w ręku dyrektorium bardzo ważkim środkiem paraliżowania wpływów imigracji robotniczej litewskiej w kraju; b. sprawa odwołania przez dyrektorium z dyrekcji portu przedstawiciela Kłajpedy Litwina Gailiusa i zastąpienia go przez Niemca Wiese i c. sprawa ustawy autonomicznej o szkolnictwie prywatnym; Litwini kłajpedzcy (narodowcy) bardzo się tej ustawy boją i zarzucają gubernatorowi, że nie założył przeciwko niej veta; jednak jest ona tak zredagowana ostrożnie, że, jakeśmy to w naszej komisji konsultantów w Kownie stwierdzili, wetować jej niepodobna; jeżeli wszakże w drodze interpretacji dyrektorium poczyni z niej wnioski na rzecz tłumienia szkolnictwa prywatnego litewskiego, stanowiącego obecnie jeden z głównych czynników akcji narodowej litewskiej, to te wnioski administracyjne dadzą się zaskarżyć do sądu statutowego. Co do zarzutów, czynionych działalności i polityce litewskiej w kraju przez narodowców kłajpedzkich, o czym przy obiedzie gubernatorowi i jego gościom opowiadałem, to nasi Litwini nie biorą tych zarzutów do serca i traktują na ogół tych unarodowionych Litwinów kłajpedzkich jak kapryśne dzieci, które same nie wiedzą, czego chcą. Powiadają, że nigdy i nic im dogodzić nie może i że krzycząc ciągle i gwałt podnosząc o każde poruszenie litewskie, nie odważają się nic otwarcie Niemcom zarzucić i oponują przeciwko każdemu zarządzeniu władz litewskich, dotykającemu doraźnie Niemców. Dla mnie to jest zrozumiałe. Ponieważ ci unarodowieni Litwini kłajpedzcy są w kontakcie z nieuświadomioną masą ludu lokalnego, wrażliwą na niemczyznę, więc sami stają się wrażliwi na wszystko to, co tę ludność lokalną zraża i gorszy i co przeto im utrudnia zdobywanie tego ludu dla litewskości. W każdym razie, jest dość wielkie załamanie między akcją Wielkiej Litwy w Kłajpedzie a akcją lokalnych narodowców litewskich. Jedni drugich nie rozumieją i wzajemnie się oskarżają.

1 grudnia, rok 1936, wtorek

Miałem ostatni w semestrze jesiennym wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Przyszły bowiem wtorek – 8 grudnia – święto, wykładu nie będzie, a drugi wtorek to już 15 grudnia – początek wakacji świątecznych. Po wykładzie miałem całe mnóstwo, ze 60-70, książeczek studenckich do podpisu. W ciągu semestru bowiem na każdym wykładzie daję podpisy tylko tym studentom, których nazwiska zaczynają się na pewne określone litery – za każdym razem inna, zawsze z góry przeze mnie ogłaszana. Dziś więc, na ostatnim wykładzie, dałem możność otrzymania podpisu wszystkim, którzy dla jakichkolwiek względów nie byli obecni lub nie mogli zgłosić do podpisu książeczki wtedy, gdy była ogłoszona ich litera. Takich spóźnionych okazało się

nadspodziewanie dużo. Wszystkim dałem podpisy. W ich licznie był też Wacław Sidzikowski, człowiek z imieniem w dyplomacji i polityce, długoletni i jeden z najwybitniejszych dyplomatów i posłów litewskich w Berlinie i Londynie, człowiek ustosunkowany w Lidze Narodów, były agent Litwy wobec Trybunału w Hadze w sprawie kłajpedzkiej w roku 1932. Proces karny o pobieranie darów od zależnych odeń jako posła konsulów litewskich w Niemczech, wytoczony mu na skutek rewelacji prasy niemieckiej, mszczącej się na nim za przegraną w Hadze w roku 1932, złamał jego świetną karierę dyplomatyczną. Sidzikowski został odwołany ze stanowiska posła litewskiego w Londynie i musiał ustąpić z Ministerium Spraw Zagranicznych. Do wytoczenia mu tego procesu przyczynił się też jego wróg i konkurent w dyplomacji litewskiej – dr Jerzy Šaulys, obecny poseł litewski w Berlinie. Proces Sidzikowskiego był skandaliczny i rzucił nań plamę, która zaciążyła na jego imieniu. W pierwszej instancji Sidzikowski był skazany, apelował, w drugiej instancji został uniewinniony. Ale plama na opinii pozostała. Ludzie nie zapomnieli o tym. Sidzikowski jest bardzo ambitny i niewątpliwie bardzo zdolny. Cierpi dużo, ale jest rozumny i wie, że to jest konieczność, bo wie, że opinia publiczna nie zapomina łatwo i nie darowuje takich zarzutów ludziom, nawet sądownie uniewinnionym. Co prawda, brawuje on tę opinię i trzyma się zasady, ze należy tak się zachowywać, jak żeby się nie dostrzegało tego cienia. Toteż usiłuje wszędzie się pchać, pokazywać się, wysuwać na czoło, gdzie się da, licząc na to, że powoli z biegiem czasu ludzie zapomną o zarzutach i że on powróci do stanowiska w społeczeństwie, jeżeli nie tego samego, co miał dawniej, to innego. Nie tylko „*les vaineus*", ale także „*les absents – out toujours tort.*" Toteż świeci czołem wszędzie i nie daje się zbić z tropu, choć aż nadto dobrze czuje, że ludzie go trochę unikają. Jest prezesem „Vakarų Sąjungos" – organizacji społecznej dla propagandy aktywizmu Litwy w Kłajpedzie, na morzu i w ogóle na kresach zachodnich. Postanowił on też po namyśle skorzystać z tego okresu zastoju musowego w swej karierze, aby zdobyć dyplom prawnika, bo po wojnie dla kariery dyplomatycznej przerwał, jak wielu innych (jak Lozoraitis, jak Klimas) swoje studia uniwersyteckie. Wstąpił więc na uniwersytet na VII semestr prawa, przesłucha w tym roku wszystko, co mu jeszcze brakuje, zda egzaminy i zdobędzie dyplom. Wstąpi wtedy zapewne na adwokaturę. Adwokatem będzie świetnym, bo ma wielkie kwalifikacje po temu. A zdobywszy stanowisko wybitne w adwokaturze – łatwiej zdoła z czasem wrócić do stanowiska w społeczeństwie. To jest człowiek, który może jeszcze mieć przyszłość.

2 grudnia, rok 1936, środa

Šiling wraz z Radą Stanu odważył się podjąć wielkiego dzieła – ułożenia Litewskiego Kodeksu Cywilnego, który ma ustanowić jednolite (z wyjątkiem naturalnie Kłajpedy) prawo cywilne litewskie i zastąpić dotychczasowe kodeksy, działające w różnych częściach i cząstkach państwa: Kodeks Napoleona w Suwalszczyźnie, X tom rosyjskiego „Swoda Zakonow" po tej stronie Niemna i Kodeks Cywilny Bałtycki (właściwie skodyfikowane z pewnymi lokalizmami prawo rzymskie) w okolicach Połągi. Jest to naturalnie przedsięwzięcie kapitalne, ale dla Šilinga nie ma rzeczy, której by on i ludzie przezeń dobrani nie zdołali dokonać, a taka praca potrzebna mu do reklamy i podniesienia mocno już w opinii publicznej zachwianej reputacji Rady Stanu. Członkowie Rady Stanu też radzi są zabłysnąć tym czynem, zwłaszcza zaś najsłabszy z nich, „cywilista" Jan Vileišis, który dlatego właśnie bagatelizuje trudność takiego przedsięwzięcia, ze nie pojmuje swojej własnej niemocy twórczej. Jemu zdaje się wszystko łatwe, w myśl przysłowia: nie święci garnki lepią. Zapomina tylko, że co może człowiek rozumny, nie będący świętym, to niekoniecznie może także głupi, który co prawda także świętym nie jest. I zapomina także, że kodeks cywilny – to nie garnek. Słowem, Jan Vileišis, najzacniejszy i kochany człowiek, ale bardzo słaby umysł, a poza tym mocno już starzejący psychicznie, jest przekonany, że przedsięwzięcie to jest bagatelką i że właśnie on ma do tego kwalifikacje. Podjął się też sam ułożenia projektu kodeksu, który będzie stanowił „osnowę" obrad do odpowiedniej komisji i bardzo gorliwie nad układaniem tego projektu pracował i pracuje, biorąc za punkt wyjścia głównie były rosyjski projekt kodeksu cywilnego z uwzględnieniem także przepisów kodeksu szwajcarskiego i niemieckiego BSB. Do komisji projektu kodeksu cywilnego Šiling

powołał: prezesa Trybunału Ciplijewskiego jako przewodniczącego, sędziego Trybunału i prezesa sekcji kłajpedzkiej w Trybunale Danowskiego, członków Rady Stanu Bylę i Jana Vileišisa, referenta Rady Stanu i mojego asystenta na uniwersytecie Konstantego Raczkowskiego, docenta Antoniego Tamošaitisa jako profesora prawa rzymskiego i młodego asystenta katedry prawa cywilnego na uniwersytecie Čepasa. Skład komisji nie jest zły, ale daleki od doskonałości. Najtęższe w niej głowy i fachowcy – to Ciplijewski, Danowski i Raczkowski. Przed kilku dniami Šiling otworzył uroczyście pierwsze posiedzenie komisji, wygłaszając naturalnie przy tej okazji wielką mowę. O początkach i metodach pracy tej komisji powiem jeszcze jutro ze słów Raczkowskiego i Tamošaitisa.

3 grudnia, rok 1936, czwartek

Lubię poznawać i zbliżać się do moich słuchaczy studentów, zwłaszcza do lepszych – pilniejszych i zdolniejszych. Ułatwia mi to colloquia. Na ogół przywiązuję się do nich. Co prawda na krótko, bo co roku się zmieniają: napływają nowi, dawni po dwóch latach przestają był słuchaczami moimi – idą na wyższe semestry, potem już tylko jak meteory ukazują mi się na chwilę na egzaminie, czasem pracę dyplomową piszą u mnie i wreszcie – wypadają z uniwersytetu. Dziś na I semestrze ekonomistów odkryłem rzadkość – Węgierkę. Jest nią studentka Wanda Veselytė, która w liczbie innych była wezwana do colloquium. Ładna dziewczyna – wysoka, szczupła, malutka główka. Odpowiadała bardzo dobrze – umiała i rozumiała wszystko doskonale, toteż wezwałem ją potem do profesorium, jak to zawsze czynię – do pomocy mi przy podpisywaniu książeczek studenckich. Nazwisko brzmi zupełnie po litewsku: Veselytė. Gdym się z nią rozmówił, okazało się, ze ojciec jej jest z pochodzenie Węgrem, matka zaś – rodowita Warszawianka, Polka. Sama zaś dziewczyna jest... Litwinką, ukończyła gimnazjum litewskie w Kibartach i mówi lepiej po litewsku, niż po polsku, po węgiersku zaś nie umie. Nazwisko jej ojca – Vesely; znane to i słyszane nazwisko węgierskie. Ojciec jej jest przemysłowcem w Kibartach. Tak oto przez tę ładną dziewczynę krew węgiersko-polska wpłynie jako kropelka do rezerwuaru narodowego krwi litewskiej.

Jeszcze słówko o komisji kodeksu cywilnego w Radzie Stanu. Projekt kodeksu, ułożony przez Vileišisa, jest podobno do niczego; nie dziwię się temu; nie projekt to, ale kasza, jak kasza jest w głowie Jana Vileišisa, który wszakże sam bardzo wysoko ceni swój utwór i w debatach namiętnie swych tez i konstrukcji broni, gniewa się, gorącuje i obraża. W projekcie komplikuje on różne elementy projektu rosyjskiego i kodeksów niemieckiego i szwajcarskiego, często łącząc w jednym artykule wręcz sprzeczne przepisy i konstrukcje i nie zdając sobie zgoła sprawy ze sprzeczności. Komisja też nie traktuje projektu Vileišisa jako punktu wyjścia, jeno jako materiał i w istocie materiał pośledniejszy, ale wobec Vileišisa musi lawirować, oszczędzając jego drażliwość autorską. Vileišis jest raczej zawalidrogą prac komisji. Aby go zneutralizować, przewodniczący Komisji Ciplijewski wpadł na ten koncept, że podzieliwszy komisję na dwie podkomisje – Vileišisa, jako rzekomego projektodawcę i referenta, włączyć do obydwóch podkomisji, z czego Vileišis był bardzo rad. Ale w istocie był to numer w celu pewnego uniezależnienia prac od krępującej osoby Vileišisa, bo gdy obie podkomisje będą równocześnie pracować, Vileišis będzie z konieczności tylko w jednej, a wtedy druga będzie korzystała z jego nieobecności.

4 grudnia, rok 1936, piątek

Wczoraj odwiedził mię i długo mi o Kłajpedzie i stosunkach kłajpedzkich szczegółowo informował dr Sokołowski, nasz były członek komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich, obecnie od lat kilku wyższy urzędnik gubernatury w Kłajpedzie i zastępca gubernatora. Cenię w nim szczerość i wielką prawość, choć mu zarzucają pewną ostrość i skłonność do bezwzględności radykalnej, która go czyni dość kanciastym i niepopularnym. Niewątpliwie jest człowiekiem rozumnym, trochę tylko jednostronnym. Wziął bardzo do serca zarzuty referendarza Tumasa, czynione polityce litewskiej w Kłajpedzie, które mu wyłuszczyłem przed paru dniami na posiedzeniu u Mašalaitisa, i odpowiadał mi na nie w długim wywodzie, wykazującym winy samych Kłajpedzian.

Na obiedzie miałem wczoraj Eugeniusza Römera i Zosię Römerową. Eugeniusz wrócił świeżo z Warszawy, gdzie spędził cały miesiąc u swej siostry Ani Virionowej. Zapytywałem go o córkę moją, Celinę. Nie widział Celiny, choć Ania ją wzywała, żeby przyszła odwiedzić Eugeniusza. Celina nie przyszła, a choć Ania ją spotkała na ulicy i ponowiła zaproszenie, Celina, choć przyrzekła zatelefonować i przyjść, nie uczyniła jednak tego. W ogóle Celina nie kwapi się do bliższych stosunków z rodziną i raczej tych stosunków unika. Na przykład u Maciejostwa Römerów nie bywa wcale i nie zna nawet swoich kuzynek, córek Macieja – Marii Podoskiej i Teresy, wychodzącej za mąż za Iwanowskiego. Mnie się ta nieskwapliwość Celiny do roztopienia się w stosunkach krewieńskich dosyć podoba; może ona świadczyć o pewnej głębi indywidualności Celiny, jeżeli tylko nie jest sztucznym rezultatem intrygi izolacyjnej panny Elizy Courtôt, która oderwała się od Reginy i obecnie mieszka z Celiną; jak dawniej panowała nad matką, tak teraz przyczepiła się do córki i mocno ją we wpływach swoich trzyma. Zosia mi mówiła, że słyszała od p. Hilchenowej, Komarówny z domu, córki Jerzego Komara i przeto siostry cioteczno-rodzonej Reginy, że podobno Celina jest zaręczona. Mnie Celina nic o tym i w ogóle o sferze „*intime*” swojego życia nie pisze. Chciałbym, żeby wyszła za mąż. Spytam ją o to listownie, wysyłając jej teraz pieniądze.

5 grudnia, rok 1936, sobota

Poseł sowiecki Karski, który był na tym stanowisku przez lat sześć, został odwołany. Będzie dyrektorem Departamentu Krajów Bałtyckich (z Polską włącznie) i Skandynawskich w Ministerium Spraw Zagranicznych w Moskwie. Składa obecnie wizyty pożegnalne; dziś mnie wizytę złożył. Na jego miejsce przyjedzie do Kowna dotychczasowy sekretarz poselstwa sowieckiego w Warszawie. Sądzę, że nie jest to li tylko zbiegiem okoliczności, że na stanowisko dyplomatyczne w Kownie Sowiety (zresztą tendencja ta zaznacza się i u niektórych innych państw, mających aktywną politykę nad Bałtykiem) wyznaczają ludzi, którzy poprzednio byli na placówkach w Polsce: Sowiety są bardzo wrażliwe na kwestię układu stosunków Litwy z Polską i dlatego trzymają tu ludzi zdolnych do orientowania się w czynnikach politycznych polskich.

Gdym był dzisiaj w moim gabinecie rektorskim, przyszedł do mnie dziekan prof. Krėvė-Mickiewicz, aby mię uprzedzić o rzekomym ruchu, przygotowującym się wśród młodzieży akademickiej. Ruch ten ma być zwrócony przeciwko studentom Polakom i ma się wzorować na analogicznych metodach, świeżo stosowanych przez młodzież akademicką w Polsce przeciwko studentom Żydom. W Polsce – w Wilnie i następnie w Warszawie – młodzież akademicka polska wystawiła żądanie wyznaczenia studentom Żydom specjalnych miejsc w audytoriach, aby się Żydzi nie mieszali wśród ogółu studentów. Jest to naturalnie akcja młodzieży endeckiej, która jest w Polsce ultraantysemicką, hołdująca skrajnemu „rasizmowi”, zapożyczonemu od nacjonalsocjalistów niemieckich. W żądaniu tym mieści się takież samo traktowanie Żydów, jakim jest traktowanie Murzynów w demokratycznych Stanach Zjednoczonych. Żydzi naturalnie protestowali przeciwko takim żądaniom narodowej młodzieży polskiej, zasadnie upatrując upokorzenie w takim wyznaczeniu dla nich specjalnych miejsc do siedzenia w audytoriach. Senaty uniwersytetów i rektorzy odmówili spełnienia żądań narodowców polskich, wskazując, że byłoby to przeciwne konstytucyjnie zagwarantowanej równości obywatelskiej. Wtedy młodzież narodowa polska w Wilnie „okupowała” jeden z lokalów akademickich, zablokowała się w nim i ogłosiła „strajk głodowy” do czasu zaspokojenia ich żądań. Głodówka studentów wywołała poruszenie w społeczeństwie. Tłumy zaczęły się gromadzić przed gmachem, współczując młodzieży i wyrażając jej sympatię. Z łona tych tłumów rozpoczęły się ekscesy – wycieczki w dzielnice żydowskie i pogromy sklepów żydowskich. Do zablokowanych głodujących studentów, gdzie się rozpoczęły wypadki mdlenia wycieńczonych studentek, wyruszali pośrednicy w osobach byłych rektorów i biskupów. Choć formalnie rektor Staniewicz w Wilnie żadnego ustępstwa nie ogłosił, pośrednicy ci zdołali wmówić młodzieży jakieś półśrodki kompromisowe, które zostały rozdmuchane jako rzekome „zwycięstwo” młodzieży, po czym młodzież narodowa zlikwidowała „głodówkę” i opuściła gmach „okupowany”, udając się w pochodzie (wszakże chodnikami, bo policja nie pozwoliła na

pochód środkiem ulicy) do kościoła św. Jana, gdzie arcybiskup Jałbrzykowski (sam z przekonania endek) odprawił dla niej specjalnie nabożeństwo uroczyste. Za przykładem Wilna poszła młodzież endecka w Warszawie.

6 grudnia, rok 1936, niedziela

Młodzież endecka w Warszawie pośpieszyła pójść za przykładem wileńskiej. Przykład jest zaraźliwy. Jest to rzecz znana. Zwłaszcza przykład zły, bo dobre, niestety, tak zaraźliwe nie są. Ale w Warszawie efekt był słabszy. Na jakimś wiecu akademickim, na którym było zebranych 900 studentów, akademicy endecy (szczegóły te podaję z opowieści Eugeniusza Römera, który świeżo wrócił z Warszawy) zgłosili wniosek takiegoż jak w Wilnie okupowania gmachu akademickiego i ogłoszenia strajku głodowego na rzecz wyznaczenia studentom Żydom osobnych miejsc w audytoriach. Większość na wniosek się nie zgodziła, ale trzystu studentów wykonało pomysł. Zajęli oni część lokalu akademickiego, zabarykadowali się w nim, poniszczyli meble, rozebrali cegły i z nich urządzili barykadę i rozpoczęli „głodówkę”. Atoli wdała się w tę rzecz policja. Z jednej strony, policja rozpędziła kontrmanifestację młodzieży socjalistycznej, komunistycznej i żydowskiej, która urządziła pochód przeciwko endekom, krocząc z pięściami zaciśniętymi, co stanowi obecnie manierę „Frontu Ludowego”. Rozpędzając tę manifestację, policja pofolgowała sobie i potłukła socjalistów. Z drugiej wszakże strony, policja atakowała zablokowaną „głodującą” młodzież endecką. Zostały puszczone w ruch pompy strażackie i gazy łzawiące. Rychło „barykady” endeków zostały zdobyte i młodzież usunięto. Większość po sprawdzeniu dokumentów została uwolniona, innym spisano protokoły. Znalazło się też kilku nic z akademikami nie mających wspólnego. Na tym się na razie rzecz skończyła w Warszawie.

Otóż Krėvė-Mickiewicz przyszedł do mnie wczoraj i uprzedził, ze młodzież litewska u nas zamierza zainicjować to samo, tylko w stosunku nie do studentów Żydów, jeno studentów Polaków. Ba, cóż, Polacy sami dali przykład, a co w Polsce, ich zdaniem, wolno przeciwko Żydom, to gdzie indziej, w myśl tychże zasad czy „ideałów”, wolno przeciwko Polakom. Kij ma zawsze dwa końce. W Polsce studenci narodowcy twierdzą, że Żydzi zanadto się panoszą na uniwersytecie i drażnią młodzież polską swoją arogancją; to samo narodowcy litewscy twierdzą u nas o studentach Polakach, że głośno rozmawiają po polsku, że się panoszą i obrażają uczucia Litwinów. Krėvė-Mickiewicz powiada, że inicjatywa wychodzi od Neo-Lithuanów, że zamierzone jest takie okupowanie lokalu akademickiego i ogłoszenie strajku protestacyjnego. Powiada, że ma to być wykonane w tygodniu, który obecnie nastaje, i że Neo-Lithuani zwrócili się o poparcie tej akcji do stowarzyszenia skrajnie narodowego „Lietuva”, uchodzącego za zespół voldemarosowców i nawet do innych grup mniejszościowych, mianowicie do stowarzyszenia studentów Rosjan, których to wprawia w kłopot, bo po pierwsze z młodzieżą polską tutaj stosunki ich są poprawne, a po wtóre rozumieją oni, ze to jest obosieczne, bo co dziś stosowane do jednej mniejszości, to jutro może być zastosowane do innej. O informacji Krėvė-Mickiewicza uprzedziłem prorektora do spraw studenckich Purėnasa, który mi oświadczył, że nic o tym nie słyszał. Niebawem wszakże Purėnas znów do mnie przyszedł i poinformował, że szydło już z worku wylazło, ale rzecz nie jest tak straszna, jak twierdził Krėvė, który jest skłonny do alarmów. Zgłosił się mianowicie do prorektora cały szereg stowarzyszeń litewskich, w tej liczbie sekcja Związku Wyzwolenia Wilna, Neo-Lituanii, ateitininki, varpasowcy (to znaczy od nacjonalistów do ludowców włącznie, a więc takich grup także, które o skłonność do ekscesów przeciwko mniejszościom nie mogą być posądzone), prosząc o pozwolenie na zwołanie we wtorek wiecu młodzieży w sprawie protestu przeciwko nowym aktom przeciwlitewskim władz polskich w Wilnie. Objaśniali oni, że żadnych ekscesów „retorsyjnych” nie projektują, jeno chcą wyrazić protest i ogłosić jednodniową głodówkę (bez wszakże siedzenia zbiorowego w uniwersytecie) w celu ofiarowania zaoszczędzonych na pożywieniu codziennym pieniędzy na pomoc dla Wilnian, dotkniętych przez zarządzenia władz polskich.

7 grudnia, rok 1936, poniedziałek

Purėnas jest usposobiony optymistycznie. Sądzi, że z wiecu jutrzejszego żadnych ekscesów nie wyniknie. Ja tej pewności nie mam. Młodzież jest z natury zapalna – nawet młodzież litewska, która na ogół jest rozważna – i łatwo daje się podniecić, a w tłumie i w atmosferze wiecowej nawet starsi ludzie tracą głowy i zlewają się w wielkie morze namiętności. Materiału zaś palnego nie braknie. Stosunki polsko-litewskie są od szeregu lat bolączką, w której wszystkie uczucia są napięte, a świeże i ciągle się powtarzające zarządzenia władz polskich w Wileńszczyźnie, skierowane przeciwko Litwinom, budzą naturalny odruch protestu i oburzenia w opinii litewskiej. Zwłaszcza u młodych, którzy są najwrażliwsi. Spodziewać się w tych warunkach chłodnej rozwagi, umiarkowania, połowiczności – zaiste trudno. Tłum zawsze jest jednostronny i jednostronnie reaguje. A kto sieje wiatr – ten zbiera burzę. Polska w roku 1920 skrzywdziła Litwę i Józef Piłsudski rozwiązania łagodzącego znaleźć nie zdołał, a po jego śmierci tym bardziej nie ma nikogo, który by się na rozwiązanie jakieś zdobył. Polska brnie w konsekwencje logiczne swego pierwszego czynu, który posiał wiatr w zbałkanizowany stosunek Litwy do Polski i wiatr ten rozwija się w burzę. A poza tym młodzież polska sama dała młodzieży litewskiej przykład w akcji co prawda przeciwko Żydom, ale co w Polsce w stosunkach akademickich było antyżydowskie, to u nas w tychże stosunkach może się stać antypolskie.

Purėnas jest przekonany, że młodzież do ekscesów się nie posunie. Sam on z lekkim sercem wyjeżdża dziś do Szawel na mający się jutro odbyć pogrzeb uroczysty zwłok śp. Wacława Bielskiego, sprowadzonych z Warszawy, gdzie on przed paru miesiącami umarł. W zastępstwie nieobecnego Purėnasa wydelegowaliśmy na wiec jutrzejszy drugiego prorektora – Jodelę, ale mam wrażenie, że Jodelė mniej się nadaje do funkcji dozoru na wiecu, niż prorektor Purėnas. Że wiec jutrzejszy zapowiada się niedobrze – to wnoszę z ulotek, zapraszających młodzież do udziału w wiecu. Ulotki te zostały przez inicjatorów wiecu zgłoszone do zawizowania przez prorektora Purėnasa. Purėnas przyniósł mi je do pokazania. Jego zdaniem, nie są one niedopuszczalne i obawy ani wątpliwości nie budzą. Wszakże moim zdaniem ulotki te są złe. Ułożone są w tonie namiętnym i roznamiętniającym. Jest w nich mowa o orle białym, który szarpie ciało litewskie, jest wezwanie do protestu. Właściwie do wizowania nie nadają się. Ostatecznie gdyby rzecz się na wiecu zredukowała do uchwał protestacyjnych przeciwko uciskowi Litwinów w Wileńszczyźnie i w ogóle przeciwko Polsce i jej polityce, to rzecz nie byłaby straszna ani zbyt gorsząca, nawet wcale nie gorsząca, ale obawiam się, żeby nie doszło do uchwał konkretnych przeciwko studentom Polakom i do akcji w tym kierunku. A co do „strajku głodowego", to sama idea głodowania jednodniowego na rzecz ofiarowania zaoszczędzonych pieniędzy na akcję wileńską sama w sobie byłaby nieszkodliwą, jeżeli tylko nie będzie połączona z okupowaniem lokalu przez strajkujących dla dopilnowania głodówki. W każdym razie podniecenie się uwydatnia, a co z tego będzie – zobaczymy jutro. Nie jestem wcale dobrej myśli.

8 grudnia, rok 1936, wtorek

Wiec protestacyjny młodzieży litewskiej, skierowany przeciwko Polsce, odbył się. Nie wiem, jaki był jego przebieg, bo siedziałem w domu, a prorektor prof. Jodelė, który musiał być na tym wiecu, nie wstąpił potem do mnie, aby mię poinformować. Trochę mię zaalarmowała Jadzia, która koło godz. 4-5 po obiedzie wyszła z Renią na miasto i niebawem wróciła, mówiąc, że się bała chodzić, bo ulice są pełne policji, która brutalnie rozpędza wszelkie skupienia, Laisvės Alėja cala przepełniona i poruszona, gromadki studentów wałęsają się, na ulicy Mickiewicza w kierunku uniwersytetu ruch wstrzymany... Obawiałem się, że dojdzie albo doszło do demonstracji lub ekscesów, że może w gmachu uniwersyteckim coś się dzieje. Koło godziny szóstej wyszedłem sam na ulicę. Poszedłem ulicą Donelaitisa, minąłem oba gmachy uniwersyteckie – wszędzie spokojnie i cicho. Ulicą Maironisa wyszedłem na Laisvės Alėję, przeszedłem się nią i wróciłem do domu: żadnych demonstracji, zajść ani skupień policji. Byłem zaproszony na koncert chóru akademickiego w gmachu uniwersyteckim, ale nie wiedząc, jaki był przebieg wiecu i czy coś nie zaszło, nie

poszedłem. Przez radio z Kowna z mowy Andrzeja Rondomańskiego dowiedziałem się tylko tyle, że młodzież tylko „demonstrowała pokojowo”. Jutro będę wiedział.

W Wilnie władze polskie zamknęły Komitet Litewski, który istniał i funkcjonował od roku 1920 jako ośrodkowa organizacja Litwinów krajowych. Zawiesiły też na całym pograniczu litewskim działalność wszelkich oddziałów oświatowo-kulturalnej organizacji litewskiej Towarzystwa św. Kazimierza. Ludzie i narody się żrą i wściekają wzajemnie. Ohyda. Jakże daleką jest Polska od ideałów „braterstwa” względem Litwy, jak daleką jest od zasad Rzeczypospolitej „wspólnej”, od tego wzoru państwowości, która by się stać mogła atrakcją dla ludów mniejszych! Jest państwem nacjonalistycznym, eksterminacyjnym dla ludów współżyjących.

9 grudnia, rok 1936, środa

Mało mam czasu na dziennik.

Na wiecu wczorajszym na uniwersytecie nic szczególnego nie zaszło. Były pewne epizody mów namiętniejszych i jątrzenia, ale prorektor Jodelė potrafił łagodzić, były jakieś nieporozumienia w prezydium wiecu, ale konsekwencji nie miały. Do demonstracji ulicznej po wiecu policja nie dopuściła. Żadnych uchwał o charakterze ekscesów przeciwko studentom Polakom nie powzięto. Wieczorem po wiecu koncert chóru akademickiego odbył się normalnie.

Gdym rano przyszedł do audytorium na wykład – było spokojnie.

W Rotary-Clubie mieliśmy dziś obiad uroczysty: w obiedzie wziął udział Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona, który jest prezesem honorowym Rotary-Clubu kowieńskiego. Członkowie klubu byli w wielkim komplecie. Było też kilku gości – poseł czechosłowacki Skalicki, profesorowie Baumgarten i Saenger, prof. Gaigalaitis z Kłajpedy, malarz Żmujdzinowicz, gość z Niemiec. Prezydent wygłosił piękną humanitarną mowę. Po obiedzie była kawa przy stolikach i fotografia wspólna. Nasz prezydent jest typu raczej Masaryka, niż Piłsudskiego, Mussoliniego lub Hitlera.

Wieczorem przyjechała z Bohdaniszek biedna Maryńka na ponowienie kuracji rentgenologicznej. Wygląda nieźle i czuje się względnie nieźle, tylko ten brzuch ma niezmiernie wydęty, który jej bardzo ciąży, i bóle miewa, wprawdzie nie nazbyt wielkie. Niestety – rak bądź co bądź postępuje i zbawienia nie ma.

10 grudnia, rok 1936, czwartek

Maryńka była oglądana przez prof. Mažylisa, przez prof. Gudowicza i przez dr Mačysa, który, jako asystent, zdaje się, Mažylisa, jest przydzielony do uniwersyteckiego gabinetu rentgenologicznego w szpitalu Czerwonego Krzyża. Jej samej nie mówią oni otwarcie, co znaleźli, ale mówili Jadzi. Wszyscy trzej stwierdzili, że stan jej jest zły, ale we wnioskach leczenia różnili się: Mažylis był zdania, że należałoby wypuścić z brzucha wodę, która się zebrała; Gudowicz jest przeciwny temu i obawia się, że sprawi to niebezpieczny krwotok. Skończy się więc na rentgenizowaniu. Właściwie o leczeniu w ścisłym znaczeniu słowa nie ma mowy, bo stan jest nieuleczalny. Całe zagadnienie polega na przedłużeniu życia i ewentualnie oszczędzeniu chorej bólów. Gdyby nie niepokój, który trawi Maryńkę, i nie męka tego brzucha ogromnego, który jej ciąży i sprawia często, zwłaszcza w pozycji siedzącej, boleści, to stan Maryńki w chwili obecnej nie byłby jeszcze najgorszy – co do poczucia podmiotowego przynajmniej. Wydaje się mniej osłabiona, niż podczas kuracji wrześniowej. Je Maryńka bardzo mało, jest cicha i łagodna. Zalokowaliśmy ją w pokoju jadalnym, który Jadzia bardzo ładnie dla niej urządziła i który jej oddaliśmy do wyłącznego użytku; sami zaś jadamy w pokoju Jadzi. Andrzej z zarobionych u mnie za korektę mojej drukującej się książki i za sporządzenie wykazu alfabetycznego do niej pieniędzy zafundował sobie maszynę do pisania i na kursach pisania maszynowego nauczył się sztuki tego pisania. Jest teraz w siódmym niebie i będzie zarabiał, przepisując na maszynce moje rękopisy do druku.

Zakończyłem dziś wykłady w semestrze jesiennym. Za cztery dni wyjeżdżam do Bohdaniszek.

Wieczorem miałem posiedzenie senatu akademickiego. Aktualne są w tej chwili sprawy różnych narachowań na profesurę przez Kontrolę Państwową i sprawa zareagowania na obrazę sądu uniwersyteckiego, dokonaną przez nie dającego się umitygować prof. Šivickiego w liście do mnie jako do rektora. Długo by się o tym rozwodzić. Może nadmienię o tym, pisząc dziennik w Bohdaniszkach.

11 grudnia, rok 1936, piątek

Przed paru laty nasza Komisja Międzynarodowa Współpracy Intelektualnej za inicjatywą swego ówczesnego sekretarza generalnego dr Soblysa była zwołała pierwszą konferencję towarzystw, utrzymujących stosunki z zagranicą, to znaczy wwiązanych w stosunki międzynarodowe. Konferencja udała się, była ożywiona. Wielka ilość towarzystw wzięła w niej udział. Uchwalono ponawiać takie konferencje corocznie. W roku ubiegłym jednak z powodu zmiany sekretarza generalnego komisji (na miejsce Soblysa, który został mianowany dyrektorem Instytutu Pedagogicznego w Kłajpedzie, sekretarzem generalnym komisji został Trimakas) konferencja taka nie była zwołana. W tym roku wszakże ją wznowiliśmy i oto dziś została ona zwołana i odbyła się w lokalu Towarzystwa Litewsko-Francuskiego. Była ona trochę mniej liczna, niż pierwsza. Zaproszonych było 30 towarzystw, przysłało delegatów przeszło 20 towarzystw i organizacji. Mnie z urzędu, jako prezesowi Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej, wypadło otworzyć konferencję i zagaić obrady. Tekst zagajenia, które odczytałem, ułożył mi Trimakas. Sam dość krótko zabawiłem na konferencji, bo miałem wyznaczoną wizytę u prof. dr Gudowicza. Do prezydium konferencji zaproszeni zostali Jan Vileišis, generał prof. Daukantas i de Faria-e-Castro. Pierwszą część porządku dziennego konferencji wypełniły sprawozdania towarzystw, biorących udział w konferencji. Było to dość ciekawe; było to jak kalejdoskop stosunków społecznych Litwy z zagranicą. Potem musiała być omawiana inicjatywa naszej komisji utworzenia stałej rady, centralizującej czy też koordynującej te stosunki. Nie byłem na tej części obrad, ale sądzę, że inicjatywa ta została przyjęta i że została wyłoniona komisja organizacyjna na rzecz utworzenia takiej rady.

12 grudnia, rok 1936, sobota

Miałem dziś przykry obowiązek udzielenia w obecności całego zespołu rektoratu (obu prorektorów i sekretarza uniwersyteckiego) przestrogi prof. Šivickiemu, który w październiku w liście do mnie jako do rektora, wymawiając się od udziału w herbatce pożegnalnej dla Czapińskiego i innych, podał ten motyw, że nie życzy sobie spotkać się z takimi „sprawiedliwymi” sędziami, jak Janulaitis i inni, którym bardziej chodzi o pognębienie profesora, który się odważył poskarżyć, niż o ustalenie prawdy. Żadnej potrzeby podawania motywu nie było, ale taki motyw stanowi obrazę uniwersyteckiego sądu dyscyplinarnego. Gdybym ten list podał urzędowo do wiadomości senatu akademickiego, musiałaby być wytoczona Šivickiemu nowa sprawa dyscyplinarna. Prywatnie pokazałem wtedy ten list Janulaitisowi i Žemaitisowi i powiedziałem im, że nie chciałbym listu tego wytaczać przed senatem, ale nie mogę nań nie zareagować, bo Šivicki sam może się kiedykolwiek powołać na to, że w ten sposób wyrażał się o sądzie dyscyplinarnym akademickim w liście do rektora i że mu to płazem uszło. Žemaitis nie oponował, Janulaitis sam prosił o to, aby tej sprawy nie wywlekać na wielkie forum. Na posiedzeniu rektoratu uchwaliliśmy wezwać Šivickiego do mego gabinetu, gdzie ja w obecności prorektora Jodeli udzielę Šivickiemu przestrogi. Potem zamieniliśmy nieco tę uchwałę, postanawiając, żeby udzielenie przestrogi odbyło się w obecności całego gremium rektoratu. Byłoby to już dotąd uczynione, gdyby nie to, że dziekan Žemaitis zwrócił się do mnie listownie, domagając się wytoczenia tej sprawy przez senat. Nie bardzo mi się to podobało, bo w domaganiu się Žemaitisa wyczuwałem mściwe pragnienie pognębienia Šivickiego, z którym drą oni osobiście koty w Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym. Ten moment porachunku osobistego raził mię w tym żądaniu Žemaitisa. Musiałem jednak na ostatnim posiedzeniu senatu sprawę tę poufnie podnieść. Senat jednak większością głosów przeciwko trzem (Žemaitisowi, Lašasowi i Purėnasowi)

zaaprobował obraną przeze mnie drogę i nie zechciał brać tego urzędowo do wiadomości, aby wytoczyć Šivickiemu sprawę dyscyplinarną. Dziś więc na posiedzeniu rektoratu uczyniłem odpowiednią uwagę i wymówkę wezwanemu Šivickiemu. Jest to człowiek tępy i zaciekły, ciasny i aspołeczny, którego nic przekonać nie jest w stanie i który jest przekonany o słuszności swoich zarzutów tak względem swoich byłych sędziów dyscyplinarnych, jak względem swoich kolegów z wydziału i całego uniwersytetu. Jego zdaniem, wszyscy są winni i wszyscy się na nim mszczą za to, że on innym nie potakuje i że odważa się mówić wszystkim prawdę w oczy. Wysłuchał jednak mojej przestrogi nie oponując. Nadmienił wprawdzie, że nie rozumie, dlaczego w liście do rektora nie może mówić szczerze tego, co myśli, ale ostatecznie na moją uwagę, że posądzanie sędziów akademickich o jakieś podstępne intencje jest zgoła niedopuszczalne, umilkł – i na tym się to niemiłe spotkanie zakończyło.

Po obiedzie byłem dziś na ładnym obchodzie szwedzkiego tradycyjnego święta Łucji, urządzonego wraz z herbatką przez Towarzystwo Litewsko-Szwedzkie i potem na wieczorku literackim na uniwersytecie, urządzonym przez akademicką młodzież socjalistyczną z okazji 15 rocznicy śmierci literatki litewskiej Žemaitė. Ale o tym napiszę jutro.

13 grudnia, rok 1936, niedziela

Miałem niedzielę – wigilię wyjazdu do Bohdaniszek na święta – wolną. Zaproszony byłem tylko na obchód rocznicy założenia akademickiego towarzystwa młodzieży postępowej (ludowców) „Varpas”, ale nie poszedłem, jeno na piśmie im pozdrowienie przesłałem.

Powiem słówko o dwóch zabawach wczorajszych, na których byłem. Jedna – to święto Łucji, urządzone przez Towarzystwo Litewsko-Szwedzkie, którego prezesem jest prof. Pakštas. Święto Łucji – to święto tradycyjne szwedzkie, nieco podobne do naszego ludowego święta Trzech Króli. Święto Łucji ma prastare pochodzenie pogańskie. Jest to święto przesilenia słonecznego, narodziny słońca, zapowiedź wiosny. Po wioskach szwedzkich w tym dniu chodzą orszaki z Łucją – dziewczyną w bieli – na czele; Łucja ma na głowie koronę z płonącymi świecami i długą białą suknię do ziemi; towarzyszą jej w białych długich szatach podlotki i dzieci – podlotek z gwiazdą papierową osadzoną na kiju i kilka par dzieci z długimi spiczastymi kapeluszami białymi w kształcie rogu. Zabawa odbyła się w sali klubu oficerskiego „Ramovė”. Łucją była przystojna blondynka Szwedka, żona szwedzkiego *attaché* wojennego. Śpiewał chór żeński (pieśni szwedzkie) i chór akademicki męski. Gości było bardzo dużo, bo wiedziano o atrakcji pochodnej Łucji, a zresztą sympatie szwedzkie bardzo wzrastają w Litwie i kto wie, czy nie są dziś żywsze od łotewskich, estońskich i fińskich. Była herbatka, raczej kawa z kanapkami i ciastami, był punch szwedzki i jeszcze jakiś trunek gorący szwedzki z migdałami. Były tańce.

Druga zabawa – wieczór literacki na uniwersytecie, urządzony przez socjalistyczną młodzież akademicką na uczczenie pamięci zmarłej przed 15 laty literatki postępowej litewskiej Žemaitė. Na wieczór ten złożyły się odczyty o Žemaitė i odczytywanie utworów własnych przez poetów i literatów obozu lewicowego. Utwory były wybrane bardzo jaskrawe, wybitnie rewolucyjne. W referatach brzmiał ostry ton opozycyjny. Budziło to refleksje na temat głuchej pracy podziemnej, minującej społeczność filistrów, którzy się rozsiedli na szczycie i zagarnąwszy posady i władzę, żyją szczęśliwie, gdy pod nimi wróg działa i gryzie fundamenty. Są to fermenty przedrewolucyjne, idealizujące wszystko, co jest nieszczęśliwe, brudne, niekulturalne, upośledzone, tchnące męką, nienawiścią i zemstą, i co czeka rewolucji, żeby dojść do głosu i rzucić się na obalanie i pomstowanie. Przez to stadium przejść musi każda rewolucja i komunizm sowiecki, uosabiający dziś rewolucję powszechną, podnieca te uczucia w masach i ekscytuje nastroje, ale sam u siebie – w państwie Sowietów – po dokonaniu rewolucji – zdyscyplinował masy i w miejsce niechlujstwa, brudu, fermentu, narzekania, ustanawia ład, energię, nastrój twórczy i patos radosny.

14 grudnia, rok 1936, poniedziałek

Dziś wieczorem wyjeżdżam na święta do Bohdaniszek. Na cały miesiąc. Nasi prorektorowie, tak obecni (Purėnas i Jodelė), jak poprzedni (Česnys i tenże Jodelė), są dla mnie tak uprzejmi, że pozwalają mi zawsze na wyjazd do Bohdaniszek na całe ferie miesięczne Bożego Narodzenia i całe ferie dwutygodniowe wielkanocne i zgadzają się mię zastąpić na uniwersytecie. Obowiązku tego nie mają, mogliby żądać, ażebyśmy się wszyscy trzej podzielili dyżurami w czasie ferii. Ale ponieważ sami z Kowna nie wyjeżdżają, więc mi to ułatwienie świadczą, za co im bardzo wdzięczny jestem. Tym razem śpieszyłem wyjechać jeszcze dlatego, ze się obawiałem, iż będą się odbywały uroczystości 10-lecia przewrotu z d. 17 grudnia 1926 i że odpowiednie czynniki zechcą i mnie do tego wciągnąć. Uniwersytetowi nie warto się wdawać w manifestacje polityczne, zwłaszcza takie, które są sporne i które poruszają namiętności aktualne. Dzień 17 grudnia 1926 jest właśnie takim aktem spornym. Dla jednych jest on dniem wybawienia Litwy, dla innych – znienawidzonym dniem, który zabił wolne rządy w kraju. Gdy wyjadę – rzecz ta sama przez się odpadnie; uniwersytet w osobie rektora pozostanie na uboczu. Ale – wbrew memu oczekiwaniu – zdaje się, że wielkiego urzędowego obchodu tego 10-lecia zamachu stanu nie będzie. Stronnictwo narodowców, ich komitety i organizacje zapewne będą święciły rocznicę, ale widocznie tylko w swoim kole zamkniętym. Święta ogólnonarodowego, obchodu powszechnego, zdaje się, nie będzie. Gdyby miało być – rzecz byłaby już głośna.

Widziałem się dziś z Mašalaitisem. Dowiedziałem się od niego, że jednak minister Tonkunas załączył nasz złożony przeze mnie memoriał uniwersytetu w sprawie reformy statutu akademickiego do akt projektu tejże reformy, jakem go o to prosił. Sądziłem, że nie zrobi tego. Projekt reformy był w Gabinecie Ministrów debatowany i obecnie Mašalaitis go przeredaguje. Mašalaitis powiada, ze argumentacja tego memoriału zbiła go nieco z tropu i że teraz sam nie bardzo wie, jak się do rzeczy zabrać, bo dużo z argumentów naszych zachwiało jego pogląd na poszczególne pomysły reformy. Co do trzech punktów ministerialnego projektu reformy, sam minister Tonkunas po zapoznaniu się z naszym memoriałem przyznał mi rację i zdecydował się na poczynienie zmian (dotyczy to: a. wykreślenia instytucji „znawców” – speców – którą zastąpi instytucja „adiunkt-profesorów” z wolnego najmu, stosownie do wniosków Wydziału Prawniczego, b. regulaminu uniwersyteckiego, w stosunku do którego minister już nie rości pretensji do zatwierdzenia go i zadawala się prawem veta, i c. projektowanego prawa rektora do przenoszenia każdej kwestii z senatu akademickiego do ministra oświaty).

Ponieważ Marynia miała jeszcze co najmniej tydzień kuracji rentgenowej w Kownie, więc została, a wraz z nią Jadzia, która ma jej towarzyszyć i nią się opiekować; miała wróci z Kowna do Bohdaniszek dopiero w nadchodzącą niedzielę. Ale aparat rentgenizacyjny zepsuł się i do świąt nie zostanie naprawiony. Marynia więc z Jadzią wraca do Bohdaniszek we czwartek. Niedługo więc będę osierocony w Bohdaniszkach. Biedna Maryńka trapi się bardzo swoim stanem zdrowia; wie, że od niej ukrywają prawdę, więc nic dokładnie nie wie. Niepokoi się, gryzie się, nie czuje się tu dobrze, bo doświadcza już ciągłego bólu w wydętym straszliwie brzuchu. Bóle te dokuczają jej zwłaszcza w pozycji siedzącej. Energii, sił ma jeszcze dosyć, ale ten ból – to zwiastun nadchodzącego coraz gorszego stanu i męki. Ta straszna nieubłagana choroba jest jedną z najcięższych i najbardziej wyczerpujących oraz bolesnych. Przyjechał dziś do Maryni z Szaszewicz jej syn Stefan Römer.

Wyjechałem z Kowna wieczorem odprowadzony na kolej przez Jadźkę i Andrzeja.

15 grudnia, rok 1936, wtorek

O godzinie piątej rano przyjechałem do Abel. Spotkał mię na dworcu kolejowym ekonom Pumpol. Przyjechał po mnie w dużych parokonnych saniach. Na dworze odwilż, pada duży śnieg. Noc ciemna jeszcze, ale zanim dojechaliśmy do Bohdaniszek – już zaczęło dnieć. Sanna – doskonała, śniegu mało, ale jedzie się jak po maśle. W domu ciepło, napalono w piecach, na ganku powitali mię Kazimierz, Adela z córeczką Felą, Barbutia Pranckunasówna. Dawniejsza galeria, którą tego lata przedzieliłem przepierzeniem poprzecznym i oszklonym na dwa osobne pokoje, z których w jednym

zainstalowałem mój gabinet z oknami i wyjściem na balkon, już wykończona. Przepierzenie z obydwóch stron otynkowane, w gabinecie postawiony nieduży piec kaflowy. Gabinet ciepły, doskonały, tylko na razie powietrze w nim ciężkie i duszne po napaleniu, pełne wilgoci ze świeżego tynku. Obejrzałem gospodareczkę moją, zwłaszcza żywy inwentarz. Saima zdrowa, bażant ma się doskonale, krówki zdrowe, ładne cielątko, byczek porasta, konie mają się dobrze, Dubisa – źrebna, świnie, gęsi, kaczki, kury, indyki – prosperują. Odwiedziła mię Marysia Stefanowa Römerowa ze Stenią i Budkiewicz, sam zaś odwiedziłem Elwirę. Elwira doskonale wygląda i niczego jej nie brakuje, tylko ogromnie żałuje biednej Maryńki, skazanej, niestety, na mękę i śmierć. U mnie przez jesień Bieliunas nasadził dużo nowych drzewek, zwłaszcza dekoracyjnych, także owocowych, stosownie do wskazówek moich. Pochodziłem trochę, pracowałem w domu, czułem się dobrze, wypoczywam. Jednak samemu bez Jadzi dosyć pusto. O ósmej już się do łóżka kładę. Poczytam trochę na sen i wyśpię się znakomicie.

16 grudnia, rok 1936, środa

Wstałem doskonale wyspany, wypoczęty, rozkosznie zagrzany w ciepłym łóżku pod moją puchówką w ciepłym i suchym moim pokoju sypialnym. Choć mi tu samotnie bez Jadzi i czas monotonnie upływa, jednak cieszę się i rozkoszuję w moich Bohdaniszkach, które są dla mnie jak woda dla ryby, bo stanowią najistotniejszą i najgłębiej mojej naturze odpowiadającą atmosferę. Aż się dziwię nieraz, jak mi są drogie i jak potrzebne do życia Bohdaniszki. Jest związek mistyczny najgłębszy, który mnie, *hominem sapientem*, z tym niedużym specyficznym ośrodeczkiem powierzchni ziemskiej łączy i stapia. I Bohdaniszki są tym, co mię najwięcej związało i wiąże z Litwą, co jest pierwiastkiem litewskim w duszy mojej, bo Bohdaniszki są dla mnie całością osobową z ziemią, powierzchnią, widokiem, drzewami i ludźmi. Bohdaniszki, a nie co innego – to klucz do moich ciążeń litewskich, które się zarodziły we mnie od dzieciństwa, które się odzywały potem na obczyźnie – w Petersburgu i Paryżu, dotarły w roku 1904 w Paryżu do świadomości rozumowej mojej i dziś mię ostatecznie posiadły.

Odbyłem przed obiadem spacer dłuższy. Poszedłem do Gaju na Karwieliszki, wyszedłem na gościniec w Karwieliszkach i wróciłem do domu nową drogą wzdłuż granicy mojej, której pomysł mi podał przed półtora rokiem geometra p. Reniger i którą tej jesieni zrobili mi najęci Moskale – Szerszniow z towarzyszami. Przez całą jesień ekonom nawoził zrobioną drogę żwirem i dziś jest ona wykończona i mocna. Prosta jest jak strzała, znacznie krótsza do gościńca, niż na Gaj i mniej górzysta. Cieszę się z niej, a drogę gajową na Karwieliszki zamknę i radykalnie skasuję.

Po obiedzie o zmroku poszedłem do Marysi Stefanowej Römerowej i Budkiewicza, a gdym o godzinie czwartej już zupełnie po ciemku do domu wracał, zobaczyłem jakieś latarnie i postacie ludzkie, poruszające się pod moim domem. Okazało się, że to Elizka Komorowska ze swym furmanem, szukający wejścia do domu lub żywego ducha, bo drzwi od podjazdu były zamknięte i nikt nie otwierał. Elizka przyjechała niby na krótko. Przyjąłem ją herbatą, dałem jeść. Rozgadała się Elizka i ostatecznie nie odważyła się po ciemku iść do Elwiry, do której miała interes, toteż postanowiła zanocować. Siedziała do godziny dziewiątej. Rozmawialiśmy, raczej ona mówiła, a ja milczałem i tylko coś z rzadka odpowiadałem. Ciekawa rzecz, że wobec moich starszych sióstr, zwłaszcza Elizki i Elwiry, czuję się zawsze skrępowany i nie mam swobody wypowiadania się. Coś mię wobec nich onieśmiela. Zapewne pozostało to jeszcze z dzieciństwa, kiedy siostry panowały nade mną, a ja, najmłodszy i z natury cichy, byłem zahukany przez nie. A może ma to inną jeszcze przyczynę psychologiczną. Siostry moje są z natury arbitralne i twardych, kanciastych, jednostronnych i prostolinijnych przekonań, co mają po Papie. Nie umieją cieniować myśli i argumenty nie mają do nich dostępu, gdy chodzi o to, co za „zasadę” uważają. A te ich „zasady”, nie samodzielnie przez nie przemyślane, ale wsiąknięte z otoczenia i tradycji, nieruchome i pozarozumowe jak tabu, odbiegają bardzo od moich, na wskroś nacechowanych osobistymi przeżyciami moimi i przemyśleniem. Wobec ich „zasad” staję bezradny i czuję, że to coś, co jest podobne do ściany, do której na próżno byś przemówił. Milczę i nie próbuję argumentować.

Zraniłbym je jeno, bo dla nich to są dogmaty. A te zasady-dogmaty same przez się nie są ani piękne, ani zbyt szlachetne, zwłaszcza Elizki. Raczej niesmak we mnie budzą. Ale Elizka tego nie czuje, przekonana o doskonałości niewzruszonej tej maniery myślowej i tej „prawdy" utartej. A ta jej „prawda" zasad przepoiła się utylitaryzmem i jest poniekąd cyniczna, co mię razi nieraz bardzo, zwłaszcza że w dziedzinie uczuciowej sama Elizka jest nawet subtelna.

Elizka zanocowała u mnie – na łóżku nieobecnej Jadziuńki.

17 grudnia, rok 1936, czwartek

Po przenocowaniu u mnie Elizka Komorowska była u mnie jeszcze na kawie, po czym wstąpiła do starego domu do Elwiry i następnie odjechała do Kowaliszek. W sobotę wyjeżdża ona do Polski, w Grodnie wstąpi do Ewy Meyerowej, po czym jedzie do Katowic do córek na święta i na cały miesiąc. Sprawy kowaliskie siako tako uporządkowane, zgłaszają się dzierżawcy na centrum kowaliskie i jeżeli uda się dobrze oddać dzierżawę i dostać poza tym kilka tysięcy, brakujących na razie na najniezbędniejsze natychmiastowe wypłaty, to jakoś się tam może niebezpieczeństwo zażegnać. Julek wyjeżdża pod Telsze, Hektor zostanie w Kowaliszkach na swojej schedzie, ale jak on sobie da radę i czy wybrnie – bo jego sytuacja bardzo trudna – to jeszcze nie wiadomo. Obcowanie z Elizką trochę mię podrażniło. Nie znoszę tego defetyzmu ludzi samolubnych i aspołecznych, którzy mieszkając w kraju, czują się jego wrogami i cieszą się ze wszystkiego, co może kraj ten kompromitować i jemu szkodzić. Mają oni węch szczególny i wrażliwość na wszystko, co jest szwankujące, niedoskonałe i to zawsze dostrzegają, podnoszą, najsubtelniej cieniują, podczas gdy nie umieją, bo nie chcą, widzieć tego, co zdrowe, dodatnie, żywe i rosnące. Na wszystko, co ujemne, są przeczuleni i wrażliwi, zaś na to, co dodatnie – gruboskórni, nieczuli i ślepi. Ale jest w nich coś gorszego jeszcze, niż defetyzm. Jest drapieżne przeciwstawianie siebie i swojego dobra – społeczeństwu krajowemu i państwu jako organizacji politycznej kraju. Dobrem jest dla nich oszukanie państwa na rzecz ich korzyści własnej. Cynicznie się chwalą umiejętnym oszukaniem państwa, nabraniem władz, urzędów, obejściem prawa i to uważają za zasługę i za czyn wartościowy. Apoteozują pierwiastek aspołeczny; robią kubek w kubek to samo, co antysemici zarzucają Żydom: działanie na szkodę kraju, w którym żyją, przeciwstawianie swojego interesu interesowi powszechnemu. Społeczni i solidarni są oni tylko w ramach swojego społeczeństwa stanowo-klasowego: szlachty polsko-ziemiańskiej. Zupełnie jak Żydzi. I pokrywają to „polskością" swoją, która jest płaszczykiem zaiste wygodnym, zwalniającym od obowiązku, usprawiedliwiającym szkodzenie krajowi i w kraju „obcym" nie wymagającym żadnej ofiary patriotycznej i dyscypliny, bo wszak wszystko jest dokoła „obce" i „wrogie", a to, co jest rzekomo „swoje", jest dalekie i nie potrzebujące świadczeń. Elizka ma to w stopniu najwyższym i nie wyczuwa nienormalności tego stanowiska. Opowiada rzeczy dla mnie do słuchania ohydne i opowiada je z naiwnością rozbrajającą, na którą jest jedyna odpowiedź: *„o, sancta simplicitas!"*. Tak rozbrajająco dobrodusznym i cnotliwym musi być wilk, gdyby się chwalił w kole wilków o swoich przedsięwzięciach. Dla mnie to jest niepojęte, a raczej zupełnie przeciwne mojej naturze społecznej. Słuchałem jej opowiadań o tym, jak oszukiwała Litwinów i państwo litewskie, jak kłamała i inscenizowała fałsz na odparcie zarzutów prawdziwych. Bo ci ludzie sami szerzą korupcję i sami najgłośniej o korupcji rozgłaszają i cieszą się nią podwójnie: raz dlatego, że im jest osobiście dogodna, a po wtóre dlatego, że kompromituje znienawidzony ustrój obcy. Dziwnie się te szkodnictwo społeczne, ten brak zupełny krajowego zmysłu społecznego, kojarzony z sercem skądinąd bardzo dobrym i nawet gorącym dla jednostek ludzkich. Tak, zaiste, ta polskość ziemiaństwa krajowego jest gangreną społeczną Litwy. Ilekroć się z Elizką zetknę, tylekroć otwiera się przede mną głąb tej roli rozkładowej społeczeństwa polsko-ziemiańskiego, którego frazes „polskości" jest tylko maską instynktów egoizmu drapieżnego. Są to pasożyty, których pasożytnictwo stało się ich naturą, tak że i dla tej Polski, którą mają na ustach co chwilę, nie zdobyliby się na żadną ofiarę, na żadną rezygnację czynną z czegokolwiek bądź.

Wieczorem z pociągu przyjechała z Kowna Jadźka z Renią i Onutią. Przywiozła też biedną Maryńkę zbolałą, wymęczoną i strapioną, bo poza chorobą czekają tu ją jeszcze ciężkie troski materialne.

18 grudnia, rok 1936, piątek

Sanny już nie ma. Co dzień odwilż, pada deszcz, śnieg ucieka. Na mniejszych dróżkach jeszcze jest lodek, ale pola już czernieją, na wielkich drogach goła ziemia. Wczoraj Jadzia i Marynia przyjechały z Abel z pociągu już kołami. Obecność Jadzi, która jest moim ministrem skarbu i głównym intendentem ponad ekonomem do wszystkich decyzji gospodarskich ogólnych, dała się wyczuć od razu. Poczyniła ona dziś szereg wypłat, obejrzała inwentarz i zboże, powzięła decyzje o sprzedaży nadmiaru zboża, o hodowaniu cielęcia, które się urodziło i które otrzyma imię Wenty, o świniach, o ptactwie. Zrobił się ruch i wyklarowało się to, co było do jej przyjazdu w zawieszeniu. Ja osobiście mało się w te rzeczy wtrącam, zdając to na Jadzię, która jednak zawsze mię o wszystkim informuje i radzi się, utrzymując pilnie moje zwierzchnictwo formalne. Moja sfera własna, w której decyzje rezerwuje całkowicie sobie – to Gaj, drzewka dekoracyjne i dosadzanie sadu owocowego oraz takie zabawki, jak gołębie, bażanty, *in spe* łabędzie, no i także remonty wszelkie i zabudowania. Bażantów już mam parkę, bo zamiast samiczki, którą w listopadzie Jadzia tu przywiozła wraz z samczykiem i która w drodze zdechła (zadziobana przez swego kawalera), otrzymałem teraz od prof. Tadeusza Iwanowskiego z Kowna drugą, którą wczoraj Jadzia przywiozła. Bażanty te zalokowane są w kurniku, gdzie im ekonom odgrodził siatką drucianą dobre obszerne miejsce. W Bohdaniszkach od dwóch dni pracuje młocarnia z motorem Vaičiulisa, która młóci koniczynę nasienną. Wczoraj wymłócono moją, dziś przez cały dzień młóci się koniczyna różnych ludzi z okolicy, którzy ją tu przywożą do młócenia, od jutra maszyna młócić będzie u Elwiry, która ma koniczyny nasiennej najwięcej.

Maryńka wróciła z Kowna w ciężkim stanie. Wygląda źle, ma bóle, jest znerwowana i niespokojna; droga, a zwłaszcza jazda nocna w linijce z Abel do Bohdaniszekk, bardzo ją zmęczyła. Ledwie żyje, płacze, gryzie się i gderze zarazem. Prawdziwa męczennica. Niepokoi ją stan jej zdrowia, te guzy w brzuchu, boleści, których doświadcza coraz więcej. Dziwi się i gorszy, że lekarze, którzy ją leczą i oglądają w Kownie i których jest aż trzech – prof. Mažylis, prof. Gudowicz i rentgenolog Mačys – nie dają jej żadnych lekarstw, właściwie nie leczą wcale, co najwyżej dają coś na uśmierzenie bólów, co jest tylko paliatywem i jedyne mają panaceum – rentgenizowanie, które jej się wydaje szablonem i które wymaga męczącego jeżdżenia do Kowna. Marynia czuje, że jest źle, że jest coraz gorzej; chciałaby przeto czuć, ze coś się robi, że jest jakieś energiczne leczenie, a nie zwlekanie niedołężne, gdy tym czasem choroba postępuje. Nie wie biedaczka, że stan jej jest bez ratunku i że żadnego leczenia dla niej już nie ma, chyba rentgenizacja, która jedynie przewleka nieco proces choroby. Ale jednocześnie męczą Marynię ciężkie interesy materialne, terminy wekslowe, wypłaty, zaległości itp. i to, że wszystkiemu musi podołać tylko ona sama, bo ani mąż, ani synowa nie umieją tych interesów ogarnąć, są niedołężni do tych spraw, nie mają głowy, energii, wykrętności pomysłowej, umiejętności wykręcania bicza z piasku, jak to robić umie, bo musi, biedna Maryńka. Wszystko na jej głowie, nikt jej w kłopotach nie wyręczy, a jej już sił brak. Rzeczywiście jej stan majątkowy jest rozpaczliwy, mimo że ja pomagam, ile mogę.

19 grudnia, rok 1936, sobota

Taki dzień, jak żeby dnia wcale nie było. Z natury dzień jest o tej porze roku u nas bardzo krótki – najkrótszy w całym roku, ale że śnieg spędziło do reszty, deszcz padał, była mgła i chmury ciężkie wisiały, więc było tak przez ten cały krótki dzień między godziną ósmą a trzecią ciemno, że właściwie był to ciągły zmrok. Ohydna pogoda. Za to pracuje się, wieczorami zwłaszcza, doskonale, a o godzinie dziewiątej idzie się spać, aby rano przed świtem być już tak wyspanym, że się ledwie doczekać można świtania dnia.

Siedząc w Bohdaniszkach w tych nocach jesienno-zimowych, daleko się ma za sobą i tragedię wojny domowej w Hiszpanii, i ciekawy epizod romantyczny, ale także konstytucyjny, miłości króla Edwarda VIII i pani Simpson, i abdykacji tegoż króla „z porady" premiera Baldwina, i wszystko inne, co się na wielkim świecie dzieje i ludzkość roznamiętnia. Tu niczego nie ma. Jest tylko noc długa i ciemny krótki dzień, jest szkielet natury obumarłej, inwentarz żywy po chlewach i ptasznikach i ludzie cisi i senni po chatach. I snują się różne myśli i różne wspomnienia przeszłości w Bohdaniszkach, czasem przy odwiedzaniu sióstr – Elwiry i Maryni – jakiś epizod daleki z lat dziecinnych odżywa. Na przykład taki oto kawałek, znany nam i pamiętny już tylko z tradycji od Rodziców, choć nas bezpośrednio dotyczy. Było to w dniu 5 maja roku pańskiego 1880 starego stylu. Byłem dopiero co urodzony. Miałem ledwo kilka godzin wieku (szczęśliwy wiek!). Moja siostrzyczka pięcioletnia Elwira dopiero się była nauczyła sylabizować litery i kreślić niezdarnie znaki jako początek sztuki pisania. Nauczyła się tego sama, starsze siostry jej trochę dopomagały. I oto Elwira kroczy przez korytarz do pokoju, w którym leży Mama po połogu i w którym ja nowonarodzony rezyduję. Kroczy z elementarzem pod pachą i ołówkiem w ręku. Papa czy któraś z sióstr starszych ją zapytuje, dokąd i po co idzie. Elwira z miną poważną odpowiada, że idzie uczyć mnie czytania i pisania. Prozelityzm nauki nie dawał jej spokoju. Wszystkich ona słuchać musiała, wszyscy ją uczyli, ona – nikogo. Aż tu znalazł się mały braciszek jeszcze mniejszy i jeszcze głupszy od niej. Wreszcie ma kogo uczyć i ona. Jakże tu nie skorzystać z takiej okazji! Wspominając ten epizod, Elwira żartuje, że jeżeli stałem się uczonym, to ona już to pierwsza przewidziała i pierwsza mię na tory nauki kierować chciała.

20 grudnia, rok 1936, niedziela

Pogoda nieco lepsza. Koło godziny dziesiątej rano nawet wyjrzało na chwilę słoneczko kochane – rzadki u nas gość o tej porze roku. Ale znów się zachmurzyło niebawem. Deszcz nie padał, ale odwilż trwa. Ponieważ na starym księżycu mróz się nie ustalił, a księżyc się już przewrócił na nów, więc zimy do następnego starego miesiąca nie będzie, a przynajmniej nie będzie trwała. Tak mówi mądrość obserwacji ludowej.

Przyjeżdżał z Gaczan Piotr Rosen z synem Lutusiem (Stanisławem), który już wzrostem dorósł ojca i kończy rok osiemnasty (urodzony za okupacji bolszewickiej w roku 1919 w lutym). Lutuś, który uczył się w gimnazjum polskim w Poniewieżu i tam hultaił, po sześciu klasach, gdy dalej ani rusz nie postępował, został przez rodziców z konieczności z gimnazjum wycofany i skierowany do szkoły rolniczej w Polsce, w Cieszynie na Śląsku, na pograniczu czeskim. Piotr Rosen tę szkołę, która prawdopodobnie jest średnia, bo Lutuś został tam przyjęty bez matury, nazywa szumnie „akademią", a Lutusia – akademikiem. Sam Lutuś udaje mędrca i nosi się z wysoka. Kłamie, blaguje o swej szkole, wypowiada arbitralne sądy o rolnictwie jak autorytet, lekceważąco traktuje wszystko, jak ktoś, który przybył z wyżyn i raczył się zniżyć do pospólstwa. Tam naturalnie wszystko doskonałe, wielkie, mądre, godne uwagi i podziwu i on w sobie posiada cząstkę tej wielkości, tu – wszystko marne, pospolite, szare, ubogie, upośledzone i godne politowania. Na tle stosunków polsko-litewskich to posyłanie młodzieży na studia do Polski wykoleja ją. Rzeczywistości polskiej nie poznają i nie zgłębiają i wszystko, co tam po łebkach pochwycą, wydaje im się przesadnie wielkie i wspaniałe, a tu rzeczywistości krajowej zgoła nie widzą i nie rozumieją, bo obserwację im zagradza uprzedzenie. Tylko może im to do emigracji pomoże. Sam Piotr Rosen zawsze ten sam – pełny kłamstwa i namiętności imponowania. Ale dowiedziałem się od niego paru szczegółików ciekawych. Radio wileńskie pomstuje na Litwę i robi krzyk wielki o rzekomy ucisk polskości w Litwie i o rzekome hece antypolskie na uniwersytecie naszym, a naturalnie zapomina o akcji systematycznej antylitewskiej wojewody Bociańskiego w Wilnie. Podobno Wielhorski, który jest posłem do Sejmu, wystąpił z mową, wprost się domagającą wystąpienia zbrojnego przeciwko Litwie. W kowieńskim „Dniu Polskim" był podobno przedrukowany jakiś artykuł Herbaczewskiego, w którym jest mowa i o mnie, i o Krėvė-Mickiewiczu, Voldemarasie, Zauniusie, Piłsudskim. Podobno w artykule tym Herbaczewski mówi o potrzebie zawarcia przez Litwę unii z Polską. Dowodzi, że

unia ta jest zupełnie możliwa i doskonale litewska, skoro Józef Piłsudski miał 75% krwi litewskiej, Krėvė-Mickiewicz był organizatorem PPS (Polskiej Partii Socjalistycznej) na emigracji w Rosji, Michał Römer organizował Legiony Polskie z Litwinem Piłsudskim; jeżeli tacy 75-procentowi Litwini rozumieli swoje wspólnictwo z Polską, to dlaczegoż nie byłaby możliwa i wskazana unia, na którą powinni się zgodzić tacy zaledwie 50-procentowi Litwini, jak Zaunius i Voldemaras, którzy są właśnie tym czynnikiem, co stoi na czele akcji przeciwnej. Herbaczewski jest zawsze ten sam w swoim hołdowaniu paradoksom, które zwraca w pewnych okresach na rzecz Polski, w innych przeciwko niej.

21 grudnia, rok 1936, poniedziałek

Mam zmartwienie: zginęła mi wczoraj wieczorem samiczka bażanta. Znowu mam tylko bażanta-koguta, ale nie mam parki. Pierwsza samiczka zdechła w drodze, druga szczęśliwie dojechała, ale oto zginęła. Nie mam odwagi prosić prof. Iwanowskiego o trzecią. Jadzia mię uspakaja i przyrzeka, że potrafi sama znaleźć sposób wystarania się dla mnie w Kownie o nową. Samiczka bażanta zaginęła nie wiadomo w jaki sposób. Wczoraj wieczorem o zmroku stwierdzono, że drzwiczki klatki, w której siedzą bażanty, są otwarte i samiczki nie ma. Sądzono, że wybiegła. Szukano wieczorem z latarnią, ale ani w ptaszniku, ani w pobliżu nie znaleziono. Dziś od świtu ekspedycja, złożona z ekonoma i wszystkich dzieci parobczanych, szukała jej po całym dworze. Przyrzekłem pięć litów nagrody za znalezienie. Poszukiwania pozostały bezowocne. Sądziłem, że uciekła w pole lub do lasu. Jednak potem doszedłem do wniosku, że ukradła ją z klatki Cyganka, która wczoraj wieczorem kręciła się po dworze. Jednocześnie bowiem zginął z mego ptasznika kaczor, a u Elwiry zginęły trzy indyki. To podłe stworzenie ta Cyganka. Zamieszkała ona z mężem i dziećmi na zimę u Kulisa w wiosce bohdaniszkiej i naturalnie łazi po okolicy i żebrze, wycyganiając wszystko od ludzi, a przy okazji kradnąc w dodatku. Zły jestem na Cygankę okropnie, ale jestem bezsilny, bo szukajże wiatru w polu.

Miałem dziś trzech studentów na egzaminie.

Jadzia jeździła do Rakiszek.

Pogoda taka sama, jak co dzień. Odwilż, pochmurno, ciemno. Lód na sadzawkach kończy topnieć.

22 grudnia, rok 1936, wtorek

Dziś miałem znowu trzech studentów do egzaminu. Byli to: Stankiewicz, Kumpis (zięć byłego ministra sprawiedliwości Żylińskiego) i Żyd Abram Berzak, który zdał najlepiej. Do nowego roku mało się studentów zapisało do egzaminów w Bohdaniszkach, tylko trzy grupy: wczorajsza, dzisiejsza i trzecia na 30 grudnia. Ale po Nowym Roku między 5 i 13 stycznia będzie aż siedem grup, a więc prawie co dzień egzaminy. Szkoda, że teraz, kiedy pod tym względem mam czasu więcej, nie ma sanny na przejażdżki zimowe. Na zimę wciąż się nie zbiera: ani śniegu, ani nawet mrozu. Coraz bardziej mokro.

Praca za to domowa idzie u mnie doskonale w Bohdaniszkach. Czasem dużo, spokojnie, wystarcza na cały program dzienny. A koło dziewiątej wieczorem już wszystko skończone i wtedy już się do łóżka kładę, gdzie jeszcze czytam trochę przed snem i spożywam parę jabłek na noc.

Oto dla przykładu program mojej pracy dziennej:

1. Lektura.

2. Układanie zapisków do wykładów kursu prawa konstytucyjnego i administracyjnego dla ekonomistów na rok przyszły.

3. Lektura.

4. Pisanie bieżące książki (I tom części drugiej cyklu „Valstybė ir jos konstitucinė teisė“).

5. *Varia*, to znaczy cokolwiek drobnego okolicznościowego, co do innych rubryk stałych nie wchodzi (tu należy na przykład odczytanie paru prac seminaryjnych studenckich, które zostaną na seminarium debatowane pod moim kierunkiem, ułożenie mojego preliminarza budżetowego na

styczeń, przeczytanie odezw i sprawozdania „RUP'u", to znaczy „Rassemblement Universal pour la Paix" itd.).

6. Lektura.

7. Notowanie bibliograficzne literatury z prac przeczytanych, klasyfikując te notowania do poszczególnych działów mego kursu.

8. Artykuł, obstalowany u mnie do Międzynarodowej Radiodyfuzji.

9. Lektura.

10. Dziennik.

11. Układanie mowy rektorskiej na 16 lutego 1937 (15-letnia rocznica uniwersytetu).

12. Lektura.

13. Rejestracje studenckie (spisy alfabetyczne i porządkowe, rejestr odbytych egzaminów, notowanie odbytych colloquiów itp.).

14. Powtarzanie z pamięci mowy na 16 lutego – co dzień o jeden frazes naprzód.

15. Lektura.

16. List.

17. Studiowanie mowy na wizytę prof. Curmana ze Sztokholmu.

Ogółem więc jest 17 numerów. Następnego dnia porządek się podług pewnego stałego i dość skomplikowanego klucza zmienia, ewentualnie przechodzę pewne nowe numery, tu nie wymienione, a wtedy niektóre z wymienionych odpadają. Lektura zaś zajmuje zawsze trzy książki – jedną beletrystyczną, której odczytuję 14 stron dziennie, drugą – z mojej specjalności naukowej, z której przeczytuję 12 stron i zaznaczam do notowań bibliograficznych, wreszcie trzecią – poważną nie z mojej specjalności, z której przeczytuję 10 stron dziennie.

23 grudnia, rok 1936, środa

Padał lekki śnieg, ale topniał. Ku wieczorowi jednak wzmógł się wiatr północno-zachodni i ujawniła się skłonność do mrozu. Termometr przekroczył 0 w dół. Księżyc na I kwadrę zaświecił wesoło, rozjaśniając noc na mróz. Dałby Bóg, aby podmarzło i zaśnieżyło.

Tymczasem cicho i dobrze w domu. Pracuję świetnie, tylko przechadzki brak, bo po błocie w deszcz lub śnieg mokry chodzić na spacer wcale przyjemnie nie jest.

Ze świata żadnych wieści. Radia tu nie mam, na pocztę do Abel już przeszło od tygodniu – to znaczy od mojego przyjazdu – nie było okazji, nie ma więc ani gazet, ani listów.

Cyganie, którzy mieszkali w zaścianku Kulisa, należącym do wioski Bohdaniszek i którzy mi taką szkodę wyrządzili, kradnąc mi samiczkę bażanta (bo jestem pewny, że to oni zrobili), chwała Bogu, się wynieśli. Dokuczyli już byli całej okolicy swoim włóczeniem się i wypraszaniem datków i jałmużny. Pracowici rolnicy nie cierpią tych próżniaków, którzy nie znają i nie chcą poznać pracy. Gdy kradną i szkody robią, ja także ich nie cierpię. Co gorsza – Cyganka była w ciąży, toteż w myśl zabobonu popularnego nie wolno takiej kobiecie odmawiać, gdy o co prosi. Gdy się odmówi – szczury będą szkody wyrządzać. Jadzia, Adela – są święcie przekonane, że związek taki istotnie zachodzi i tym tłumaczą, że szczury pogryzły ubranie Adeli i Barbuti: nie każdą bowiem razą coś dano Cygance, gdy przychodziła prosić. Są one oburzone na Cygankę, że będąc w ciąży cygani i wyprasza, zmuszając przez to do datku albo narażając na szczury.

U Elwiry wszystkie dzieci w komplecie. Wczoraj przyjechał z Poniewieża na święta Michaś, który jest w IV klasie gimnazjum polskiego. Ale Helcia Mieczkowska za parę dni odjeżdża.

Marynia czuje się trochę lepiej, o tyle przynajmniej, ze nie doświadcza bólów, bo przyjmuje dwa razy na dzień lekarstwo znieczulające ból. Lekarstwo te przepisał Gudowicz. Jest to jakiś narkotyk, ale działa dobrze. Gdy jej pomóc nie można, niechże choć bólu nie ma.

24 grudnia, rok 1936, czwartek

Dzień, kucji. Przede wszystkim stwierdzam, że w myśl mądrości rolników przyszłe lato będzie dobre na pszczoły, to znaczy na miód, bo powiadają, że gdy na kucję śnieży, to się będą pszczoły

wiodły. Co prawda, niedużo śnieżyło, ale bądź co bądź śnieżyło. Stopniał wprawdzie ten śnieg zaraz, bo była odwilż i deszcz potem padał z wichrem, ale w każdym razie dzień kucji widział śnieg. Późnym zaś wieczorem rozszalała prawdziwa burza wietrzna.

Kucję mieliśmy dobrą. Sinica przyniósł nam wczoraj ryby doskonałej z jeziora Sart: niedużego suma, trzy szczupaki, z których jednego ofiarowałem Maryni, i okonia. Cały dzień Jadźka zajęta była w kuchni przyrządzaniem wieczerzy tradycyjnej. Piekła, smażyła, przyprawiała. Zwyczajem doskonałym, zaprowadzonym od lat kilku przez Jadzię, odkąd prowadzimy tu gospodarkę własną, do kucji zasiada u nas cała czeladź domowa, nie wyłączając nikogo ze służby, będącej na stole dworskim. Dziś przeto zasiedli: ja, Jadźka, Renia, ekonom Pumpol, stary lokaj Kazimierz Jankowski, który był lokajem u Rodziców moich, gdym się ja jeszcze rodził, a który dziś liczy 76 lat, ale trzyma się bardzo dobrze, ochmistrzyni Adela Jankowska, synowa Kazimierza, wdowa po jego synie Barnabie (Bernuku), z córeczką Felą, nasza służąca kowieńska Onutė Skirmuntowa i dziewczyna folwarczna Barbutė Pranckunasówna. Stół naturalnie był pokryty sianem pod obrusem; u każdego nakrycia pod obrusem była niespodzianka, stanowiąca prezent świąteczny; ja miałem trzy mydła toaletowe i piękny krawat, Renia – całkowity materiał na piękny kostium narodowy, Pumpol – rękawiczki ciepłe, Kazimierz – skarpetki, Adela, Onutė i Barbutė – materiał na sukienki, Fela – majteczki i coś jeszcze. Wszystko to wybrała i kupiła Jadźka; tylko ona jedna niespodzianki nie miała.

Menu kucji było obfite i tradycyjne: konserwy z ryb (szproty, sardynki, śledziki szwedzkie, łososina, śledzie marynowane i pieczone w tomacie), barszczyk czysty z doskonałymi uszkami, sum gotowany, szczupak faszerowany po żydowsku, okoń smażony, do tego sałata kartoflana i chrzan, groch pieczony, pszenica pieczona, śliżyki z makiem, mleko makowe, podsyta, wino żydowskie, kisiel, kompot, bułka.

Po kucji zapalono choinkę. Ale właściwa choinka dla dziatwy służbowej – to dopiero jutro.

25 grudnia, rok 1936, piątek

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Wicher i mrozik. Trochę podśnieżyło, ale bardzo mało. Gruda.

„Clou” święta Bożego Narodzenia u mnie – to gwiazdka dla dzieci parobczanych. Weszło to u mnie w tradycję i robi się co roku. I tej tradycji inicjatorką jest moja poczciwa Jadźka. W pokoju jadalnym ustawia się piękna choinka z Gaju. W tym roku była ona nieco mniejsza, niż lat poprzednich, ale na tym zyskała tylko, bo ozdoby się bardziej uwydatniły; drzewko samo jest w tym roku bardzo ładne, równomiernie ze wszystkich stron gałązkami otoczone, bardzo proporcjonalne. Choinka uwiesza się ładnymi błyskotkami szklanymi kolorowymi – są to kule, domki itd.; u góry gwiazdka papierowa, kilka kolorowych dziadków papierowych wisi. Choinkę pokrywa gaza imitująca śnieg i płoną migotliwe świeczki kolorowe. Pod choinką – śnieg watowy, na którym w ładnych przezroczystych kolorowych woreczkach papierowych rozłożone są upominki. W każdym woreczku – cukierki, orzechy, pierniczki, figi. Na dużym stole jadalnym, odsuniętym pod kanapę, leżą rozłożone prezenty na gwiazdkę dla dzieci: pistolet pistonowy, organki do wygrywania ustami, małpa nakręcana, parostatek nakręcany, indyk na kółkach, pistolecik drewniany korkowy, automobilek drewniany do ciągania na sznurku, aeroplanik, wprawiany w ruch gumką, kot-arlekin pociągany za sznurek. Te prezenty z góry są przeznaczone dla określonych dzieci. Poza tym są fajerwerki, płonące gwiazdkami ognistymi. Do rozegrania na loterii pomiędzy wszystkich uczestników gwiazdki jest jeszcze orzech kokosowy autentyczny, czekoladowa świnka i piesek. Radość była wielka. Z dzieci parobczanych do podziału prezentów były: Fela Jankowska, córka Adeli, Janek i Antosia Bieliuniuki, dwoje dzieci młodszych Butkusa, troje dzieci szeryka Pagirysa i mała córeczka Juszkiewiczów – Elwira. Obecni byli poza tym: matki tych dzieci, Bieliunas, starsza córka Bieliunasa Anytė ze swoją przyjaciółką z Rakiszek, bawiącą u niej w gościnie, gimnazistką Dagytią, bardzo dystyngowaną dziewczynką, stary Kazimierz Jankowski, ekonom Pumpol, dziewczyny służące Onutė i Barbutė, Helena Kligisowa z synem Alfredem, prawdziwym żywym

srebrem, pięknym i zdolnym, a gorącym jak ogień chłopcem, starszy syn Butkusa, matka Jadzi z wnuczką Birutią, ładną i żywą dziewczynką trzyletnią, córką Janką Čepasa, no i my z Jadźką. Cieszyli się wszyscy i choinką, i upominkami, i prezentami, i zabawą. Dzieci i niektórzy dorośli chodzili w kółku dokoła choinki ze śpiewem piosenek chorowodowych, dzieci deklamowały. Na ostatek Jadzia dała dzieciom u stołu kakao z miodownikiem, bułką, ciastem francuskim. Zabawa bardzo pięknie się udała. Trwało to ze trzy godziny. Tylko mężczyzn (parobków) nie było (prócz Bieliunasa), bo mieli oni własną zabawę u Juszkiewicza – upili się kapitalnie.

26 grudnia, rok 1936, sobota

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Mrozik, ale bardzo zimny, bo z silnym wiatrem północnym. W pokojach, wychodzących na północ w moim domu, chłód wściekły, mimo że piece gorące: dotyczy to przedpokoju z korytarzem i mojego nowego gabinetu na górze w dawniejszej wielkiej salce czy galerii, obecnie przedzielonej przepierzeniem na dwa osobne pokoje. Za to w jadalnym, u ekonoma, w sypialnym moim – bardzo ciepło. Na dworze gruda. A jednak z powodu świąt, które w tym roku wypadły długie, bo się do nich dołącza jutrzejsza niedziela, ludzie na wsi się bardzo ruszają: jeżdżą w gościnę, odwiedzają się. We dworze u parobków – pijatyka. Mężczyźni zbierają się to u Juszkiewicza, to u Pagirysa, gdzie pokój jest czystszy z podłogą, i piją, śpiewają ochrypłymi głosami, grają w karty. Dzieci biegają po choinkach. Choinka jest dzisiaj u gospodarza Diržysa w wiosce bohdaniskiej. Dziewczyny zbierają się też gdziekolwiek, plotkują z babami, czasem śpiewają lub tańczą, czasem upolują jakiegoś chłopca.

U Elwiry i Maryni przewijają się jacyś goście ze sfer polsko-ziemiańskich i drobnoszlacheckich, Budkiewiczówny u Maryni, panna Tupalska z Głyńców i stara panna Koźmianowna z Jezioros, potem Roseniuki z Gaczan – u Elwiry.

Tylko u mnie cicho i samotnie. Ja siedzę przy pracy mojej i dobrze mi z tym, Jadźka była w swoim zaścianku u rodziców i braterstwa, potem w domu siedziała ze mną przy kominku.

Z poczty miałem list od Mackusa z Paryża i od Stefana Römera.

27 grudnia, rok 1936, niedziela

Wciąż lekki mróz. Wiatr zmienił się na zachodni. Gruda. Czekają śniegu, ale może też być odwilż. Święta Bożego Narodzenia upłynęły.

Nic szczególnego do pisania nie mam.

28 grudnia, rok 1936, poniedziałek

Pogoda taka sama. W nocy księżyc w pełni i pogoda zupełna, we dnie zachmurzenie przejściowe, przeplatane słońcem. We dnie termometr podniósł się nad zero. Leciutki śnieżek, bielejący gdzieniegdzie na łąkach i drogach, znikł. Na wieczór wiatr zaczął się zmieniać z zachodniego na północny. Chodziłem na spacer do Gaju.

Marysia Stefanowa Römerowa miała list od męża. Stefan jest rzeczywiście dziwacznie kapryśny. Humor i gniew oraz serdeczność zmieniają się u niego i następują kolejno po sobie tak, jak przy przekręcaniu kalejdoskopu. Miał zawsze skłonność do kaprysu, a teraz z biegiem lat i zapewne nie bez wpływu skutków choroby (syfilisu i ataku paraliżu przed trzema laty, który pozostawił ślady w postaci braku pamięci do nazw wszelkich i rzeczowników i zapewne początków paraliżu postępowego) stał się fantastą niepohamowanym. Niedawno był się zagniewał na mnie za to, że napisałem do jego matki i żony o pożyczeniu przezeń od Diskina 50 litów do oddania przeze mnie z pieniędzy, które odkładam po trochę na rzecz spłacenia długów szaszewickich, to znaczy nie moich, lecz ich własnych długów. Gdy się zagniewał – napisał do mnie list, na początku i końcu co prawda bardzo serdeczny, ale w środku pełny goryczy i różnych pretensji i wyrzutów. Zły jakiś bowiem był na mnie za to, że mu cofnąłem subsydium po 100 litów miesięcznie, które im, Stefanostwu, od lat trzech udzielałem, bo teraz postanowiłem to subsydium wypłacać Maryni, która więcej tego potrzebuje na zatykanie dziur. W liście „groził”, że nigdy więcej nie poprosi mię o najmniejszą

pożyczkę i pomoc. Wymawiał mi, że nigdy mi nie darował wykonanego przezeń portretu Michasia Mieczkowskiego, który oprawiłem w ramy i który teraz wisi u mnie w Kownie, on zaś mógłby ten portret sprzedać za 350 litów. Ale że płacąc przez trzy lata po 100 litów miesięcznie, czyli ogółem przeszło 3000 litów, sowicie mu zapłaciłem za wszystkie możliwe portreciki i obrazki jego, które mam, a których większość zresztą kupiłem i cenę za nie zapłaciłem osobno, to mu na myśl nie przyszło. Ludzie bardzo często zapominają o dobrym, którego doświadczyli. Gdy się im dobrze robi i dopóki się robi – jest dobrze; ale gdy się dobrodziejstwo czynić zaniecha, to gniewają się i obrażają, jak gdyby im ktoś prawo złamał. Co prawda, na Stefana się nie gniewam, bo i niepodobna się gniewać: jest właściwie niepoczytalny, a zresztą to tylko jego kaprys przelotny, po którym znów przychodzi fala serdeczności.

Teraz znów zagniewał się na Marysię i o co? – że nie przyjechała na święta Bożego Narodzenia do swoich kuzynostwa Sokołowskich i do Burń do Narbutów, dokąd była zaproszona i gdzie także był Stefan. Że Marysia pielęgnuje chorą matkę Stefana, że jest tutaj potrzebna, że nie ma pieniędzy na jazdę i nie chce ich przyjmować od Narbutów i od Maryni, że nie ma może sukien na wizyty – o tym nie myśli. Zresztą Marysia nigdy przyjechać tam nie obiecywała – to ją tylko zapraszano. W liście do Marysi Stefan, dramatyzując zawód, który mu ona zrobiła i zarzucając jej „kłamstwo”, zapowiada, że „nigdy jej tego nie zapomni”, że teraz już jej „wierzyć” nie może, prowadzi to do ich rozstania się, że nie będzie już do niej pisywał, że od niej już listów nie chce, że może ona sobie siedzieć w Bohdaniszkach lub w Kownie i bawić się jak chce, że on natomiast w Szaszewiczach (które są przecie nie jego, lecz jej własnością) zlikwiduje interesy (Stefan niedołęga i „likwidowanie interesów” – to są dwa pojęcia, które się wykluczają) i po zlikwidowaniu tych interesów wyjedzie z Litwy jak najdalej i postara się zapomnieć o żonie złej, chorego to będzie dużo kosztować cierpienia... Mogłoby się zdawać, że któż wie co się stało, że Marysia dopuściła się niewierności małżeńskiej. A że on ją kiedyś wiele gorzej oszukał, że utaił przed nią swoją chorobę i że taił aż do ataku paraliżu, nie lecząc się, że siedzi na jej fartuszku, że jest już jako mężczyzna niezdatny na męża, gdy ona go kocha i jest dlań żoną doskonałą – to mu na myśl nie przychodzi. Ale naturalnie w następnym liście już ją będzie przepraszał i stanie się serdeczny. Ale Marysia nie powinna go tak rozpieszczać i folgować wszelkim kaprysom, a dawać się traktować jak niewolnica. Ale Marysia nie ma dla niego granic wyrozumiałości.

29 grudnia, rok 1936, wtorek

Dziś był śliczny słoneczny dzień. Przez cały dzień ani jednej chmurki na niebie. Mrozik trzymał do 4 stopni niżej zera w cieniu. Wiatr – północny, stopniowo jednak ustał. Kto wie, czy ta wielka pogoda nie sprowadzi, czy też raczej nie jest zapowiedzią wiatru wschodniego, którego się lękam, bo ten wiatr wystudza pokoje sypialne i czyni w nich pobyt nieznośnym. Słoneczna pogoda bez śladu śniegu i bez liści na drzewach czyni patrząc przez okno takie wrażenie, jak żeby to był czas nie Bożego Narodzenie i Nowego Roku, lecz Wielkiejnocy.

Byłem z ekonomem w Gaju – wyznaczałem drzewa do wyrębu w odcinkach odpowiednich.

W domu pod wieczór bawiłem się z dziećmi w dżenkinsa. W zabawie tej wzięliśmy udział: ja, Jadzia, Renia, Stenia i dzieci parobczane – Elenytė, Janek i Antosia Bieliuniuki i Fela Jankowska.

Poza tym pracowałem, siedziałem przy kominku, czytałem głośno Jadzi „Życiorys własny przestępcy” Urki Nachalnika.

30 grudnia, rok 1936, środa

Przyjechało dwóch studentów do egzaminu z prawa konstytucyjnego litewskiego: Witold Abraitis i Andrzej Skiepinaitis. Chłopcy dość solidni, ale Skiepinaitis nie zdał. Wyciągnął jeden z biletów końcowych z tej części kursu, którą w roku ubiegłym uzupełniłem w wykładach i której nie ma w konspektach, wydanych przez studentów. Po wyciągnięciu biletu sam się cofnął od egzaminu.

W starym domu bawili goście – Stawski Justyś, potem Stawski Józef – ojciec. Wpadli na chwilę i do mnie.

Ekonom powiózł wykę i żyto na sprzedaż do „Lietukisu" do Abel. Powiezie jeszcze jutro. Za zboże to wezmę 500-600 litów. Oprócz tego będzie 6 cetnarów nasienia koniczyny na sprzedaż, co da jeszcze kilkaset litów, zależnie od ceny, która na koniczynę bardzo się waha. Za zboże przeto będę miał do 1000 litów. Oprócz tego mleko daje miesięcznie koło 70-80 litów. Ogółem więc z Bohdaniszek mam gotówką koło 2000 litów w tym roku. Względnie znośnie. Pewien zasiłek jest, choć to jeszcze nie opłaca rozchodów rocznych. Zresztą w Bohdaniszkach najwięcej mię kosztują remonty i budowanie się.

31 grudnia, rok 1936, czwartek

Ostatni dzień w roku. Te dni w Bohdaniszkach są tak do siebie podobne, to gdyby nie to, że jest ostatni w roku, nie warto by o nim osobno wspominać. Niczym się nie zaznaczył i nie wyróżnił od innych. Na dworze gęsta mgła. Znowu odwilż, tylko tym razem niewielka. Drzewa są całe mokre od mgły, która się na nich skrapla i z ich gałązek kapie. Jadzia jeździła do Abel na pocztę po moją pensję, przysłaną z uniwersytetu i wieczorem jeszcze kiełbasy robiła.

Ze względu na sprzedane zboże, którego dziś drugą partię ekonom z parobkami do Abel odwiózł i pieniądze przywiózł, z inicjatywy Jadzi urządziliśmy mały festyn wieczorem dla parobków. W pokoju ekonoma zestawiono dla nich stół, do którego zasiedliśmy ja, ekonom Pumpol i czterech parobków – Bieliunas, który jest zarazem ogrodnikiem, Antoni Juszkiewicz, Michał Butkus i szeryk Pagirys. Podano doskonałej kiełbasy świeżej z kapustą i litr wódki, którą wypito zdrowie moje, ekonoma, parobków i Jadzi. Każdy z parobków dostał ponadto po 5 litów (oprócz 10 litów gościńca świątecznego).

Jak zwykle, Nowego Roku nie czekaliśmy. Poszliśmy zwykłym trybem spać. Nowy Rok nie zawiedzie – obudzimy się w nim bez czekania. A zresztą czegoż czekać i czego się spodziewać po nim – chyba, niestety, śmierci biednej Maryńki. Niechby sobie pozostał rok stary. Ale takich pragnień czas nie usłucha.

1 stycznia, rok 1937, piątek

Nowy Rok. Co on mi da i co ludzkości przyniesie. Poprzedni zakończył smutnie losy Abisynii i rozpętał wojnę domową w Hiszpanii. Te dwa epizody, aczkolwiek jaskrawe same przez się i dramatyczne, są tylko symptomami dokonywających się o wiele głębszych procesów społecznych dziejowych w ludzkości współczesnej. Nie jest w ludzkości dobrze bynajmniej. Brak jakichś punktów mocnego podłoża, jakimi była wiara i Kościół w Średniowieczu, prawa człowieka i demokracja w czasach nowszych, ideologia rewolucyjna socjalizmu aż do Wielkiej Wojny i w Sowietach dotąd. Co do osobistych spraw i stosunków moich – to jestem tak mocno unormowany w zawodzie moim profesorskim, że o ile by jakaś katastrofa światowa nie wytrąciła mię z tego łożyska, nic nowego ten rok mi pod tym względem przynieść nie może. Marzę tylko o Trybunale w Hadze, ale to jeszcze nie na rok 1937. W moim życiu „*intime*" tęsknię o ulegalizowania mojego związku z Jadzią. Śmierć Reginy by mi tę możliwości otworzyła, ale na to się nie zapowiada, zdaje się. Skądinąd wątpię, aby mi coś w tym względzie pomogło: wyrok rozwodowy konsystorza reformackiego w Wilnie, zapadły już w roku 1932, chyba mi drogi do zawarcia nowego małżeństwa cywilnego w Kłajpedzie nie otworzy. Będę próbował kwestię tę wyjaśnić i odpis wyroku z Wilna zdobędę, ale wątpię, aby się coś legalnie zrobić dało, skoro sam nie należę do wyznania reformackiego i skoro wyrok ten jest zagraniczny. W stosunkach rodzinnych rok 1937 jest dla nas niebezpieczny: jedno z nas, z naszego rodzeństwa – Maryńka biedna – jest mocno zagrożona. Kto wie, czy przeżyje ten rok.

Pieniędzy chyba będę miał w tym roku dużo, bo dziś je obliczałem i dysponowałem na preliminarz styczniowy. Z pensji uniwersyteckiej mojej i ze sprzedaży zboża uzbierała się suma niemała, pomimo że inne wypłaty w Bohdaniszkach z preliminarzu grudniowego i styczniowego łącznie z niespodziewanymi wypłatami, które tu zawsze się znajdują jak Filip z konopi, kosztowały 1069 litów!

2 stycznia, rok 1937, sobota

Pogoda kiepska. Znowu odwilż. Na wieczór wreszcie zaczął padać śnieg. Jest już stary miesiąc: jeżeli teraz zaśnieży i stanie mróz – to będzie zima. Ale czy zaśnieży i czy stanie mróz – pewności nie ma, bo wiatr zawrócił się na zachodni, a zachodni wiatr u nas, wiatr od morza – to wiatr ciepły zimą.

Miałem w tych dniach listy rodzinne Römerowskie – od Antoniego Römera z Janopola i od Heli Römer-Ochenkowskiej z Wilna. Hela narzeka – na stosunki w Polsce po śmierci Piłsudskiego, karierowiczostwo, niezdarność, brak idei i woli w obozie spadkobierców Piłsudskiego, czyli rządowym, natomiast podnosi zwartość i ścisłość akcji dwóch skrzydeł skrajnych opozycji – komunizmu i endecji. Narzeka też na stosunki w redakcji „Kuriera Wileńskiego", w którym pracowała, na oportunizm, na kierunek kompromisu z tendencjami chadecko-endeckiemi, zapowiada swe ustąpienie z pisma. Narzeka też na kłopoty majątkowe, na Karolinów, którego nie lubi i z którego sporą część chce sprzedać. Antoni, który mi przysyła list Heli, jest oburzony na nią, zwłaszcza za ów zamiar sprzedaży ziemi. Występuje on z projektem utworzenia specjalnego związku rodzinnego Römerów wraz z funduszem Römerów, mającym tak majątkowo *status quo* fortuny materialne Römerów i utrzymać, jak ich archiwa i owoce pracy pokoleń Römerowskich ześrodkować i stworzyć z nich (bodajże w Wilnie) placówkę kulturalną, opartą o imię rodu. Wątpię, aby coś z tego wyszło, bo po pierwsze trudno to prawnie zorganizować bez konstrukcji majoratów i podobnych instytucji, nie dających się pogodzić z ustrojem własności prywatnej, i po drugie – szczepy i osobniki naszego rodu Römerów są już zbyt rozpierzchłe i rozprzężone.

W chwili obecnej w rodzie naszym najstarsze wiekiem są kobiety. Składają się na tę warstwę szczytową trzy ostatnie szczątkowe postacie, należące jeszcze do pokolenia ojców i stryjów naszych. Są to: a. ciocia Marynia Römerówna, zwana antokolską od willi na Antokolu, w której mieszka, córka dziada Seweryna i siostra śp. stryja Kazimierza, a więc ciotka rodzona Antoniego z Janopola, bezwzględnie najstarsza z wieku, licząca lat 89-90; b. nieco młodsza od niej, licząca lat koło 86-87, jest stryjenka Wanda Alfredowa Römerowa, Sulistrowska z domu, dziedziczka Karolinowa w powiecie święciańskim, matka Heli Ochenkowskiej, obecnie u Heli w Wilnie zamieszkała; c. trzecią, znacznie młodszą, liczącą siedemdziesiąt kilka lat wieku, jest stryjenka Kazimierza Kazimierzowa Römerowa, Skirmuntówna z domu, matka Antoniego Römera i czterech Römerówien, z których jedna, bodajże Renia czy Jola, jest zamężna za hrabią Platerem. Dwie – Jola czy Renia i Kazia – za dwoma braćmi Wańkowiczami, i czwarta – Marynia – za hrabią Łubieńskim. Z mężczyzn Römerów seniorami rodu, bo najstarszymi z wieku, byliby trzej Römerowie z gniazda ciskadzkiego w Łotwie, synowie Felicjana: Józef bezdzietny, zamieszkały w Ciskadach, najstarszy, Leon Römer w Wilnie, żonaty ze Świdówną, po której ma tylko parę młodziutkich panien córek, i Michał Römer, mający po żonie Domejkównie majątek Ozierany w Nowogródzkim; ten ma dwóch synów, Michała i Antoniego ozierańskich. Wszyscy trzej – Józef, Leon i Michał, jak również ich siostra Hela tzw. Czarna (zresztą od dawna już osiwiała i bielutka) Römerówna, malarka w Wilnie, uczennica śp. Edwarda-Mateusza Römera – mają po lat przeszło 70. Nie są oni jednak pomimo wieku uznanymi seniorami rodu, bo należą do linii młodszej, do gałęzi, która się z nami rozeszła od Stefana-Jerzego Römera w wieku XVIII z drugiej jego żony Szadurskiej (Stefan-Jerzy w stosunku do mnie jest dziadem mojego pradziada: Stefan-Jerzy z Sulistrowską, Stefan-Dominik z Anna Pacówną, Michał z Rachelą de-Raesówną, Michał-Stefan z Witalią Kobylińską, Michał-Kaziemirz z Konstancją Tukałłówną, wreszcie ja).

3 stycznia, rok 1937, niedziela

Ponieważ nic osobliwego nie zaszło i przeto nic szczególnie do pisania w dzienniku nie ma, a złość bierze na odwilż, która znów obróciła śnieg wczorajszy w błoto, więc czas, przeznaczony w trybie prac dzisiejszych na dziennik, użyję na kontynuowanie *sui generis* rejestru rodzinnego Römerów na wstępie roku 1937.

Grupa starszego pokolenia Römerów ciskadzkich (Józef – Leon – Michał – Hela Czarna), najstarsza dziś w męskich osobnikach rodu, a druga z kolei za grupą sędziwą stryjenek (ciocia Marynia Römerówna antokolska – stryjenka Wanda Alfredowa – stryjenka Kazimierzowa), niezupełne ma uznanie tytułu do senioratu, ponieważ gałąź ciskadzka jest linią młodszą, mniej w rodzie mającą blasku i mniej w społeczeństwie zasłużoną, i mniej znaną od linii pierworodnej, w rodzie „świetnej" – linii pradziada Michała Römera. Ta linia pradziada Michała, choć się dzieli na trzy gałęzie podług trzech synów pradziada – gałąź najstarsza Edwardowiczów czyli antonoska, gałąź Sewerynowiczów – janopolska i gałąź Michałowiczów bohdaniska – nie zatraciła jednak swojej jedności. Tradycja świetnego imienia pradziada Michała nie zatarła się w rodzie i utrzymała jedność tej linii rodowej zasadniczej. W linii tej pokolenie najstarsze stanowią już dziś prawnuki pradziada; z pokolenia wnuków ostatnią żyjącą jest 90-letnia c. Marynia antokolska (do tegoż pokolenia należą dwie ostatnie wdowy wnukowe, wymienione poprzednio stryjenki Alfredowa i Kazimierzowa). Z mężczyzn w tym pokoleniu majoralnej w linii pradziada są: w gałęzi Edwardowiczów ze szczepu Izydorowiczów są Eugeniusz i Stanisław i ze szczepu Bronisławowiczów Maciej i Tadeusz, w gałęzi Sewerynowiczów – po synie Kazimierzu – Antoni i w gałęzi Michałowiczów – po Michale-Kazimierzu – ja. A więc ogółem nas, mężczyzn w tej linii w pokoleniu prawnuków pradziada Michała, jest sześciu. Z nich tylko trzej – Eugeniusz, Maciej i Antoni – mają synów: Eugeniusz z Zofii Dembowskiej ma dwóch – Rocha-Edwarda i Andrzeja, Maciej z Marii Daszkiewiczówny ma jednego – Bronisława, Antoni z Anny Sołtanówny ma kilku (bodajże trzech) synów, których imion dokładnie nie pamiętam. Stanisław, brat Eugeniusza (Izydorowicz), niedawno ożeniony z Marią Platerówną z Dagdy czy Krasławia w Inflantach (Łatgalii), zdaje się, dzieci (może tylko jeszcze) nie ma. Staś mieszka w Wilnie, jest urzędnikiem, w roku ubiegłym rękę złamał. Tadeusz Bronisławowicz antonoski ma tylko córki. Macieja córka jedna jest za Padoskim, druga zaręczona z Iwanowskim, synem naszego profesora Tadeusza Iwanowskiego. Ja, jedyny spadkobierca męski w gałęzi Michałowiczów, mam tylko córkę Celinę. W mojej osobie przeto gałąź Michałowiczów skazana jest na wymarcie. Gałąź Edwardowiczów (szczep Izydorowiczów) ma żywą latorośl w synach Eugeniusza, gałąź Sewerynowiczów ma ją przez synów Antoniego. Z nas sześciu seniorów męskich linii pradziada Michała najstarszy wiekiem i pierworodny w majoracie męskim jest Eugeniusz. Dwóch z nas – Eugeniusz i ja – mieszkamy w Litwie, jeden – Antoni – w Łotwie i trzech – Stanisław, Maciej i Tadeusz – w Polsce i w służbie państwowej polskiej; w służbie zaś państwowej litewskiej – ja jeden.

4 stycznia, rok 1937, poniedziałek

Jeszcze o rejestrze Römerów. Żeńskimi osobnikami ród Römerów jest bogatszy, niż męskimi. Należą tu żony Römerów jako matki pokoleń nowych oraz Römerówny, które przeważnie tracą nazwisko i wychodzą formalnie z rodu. Trafia się jednak, że niektóre, nawet po wyjściu za mąż, zachowują najściślejszy związek z rodem i są *par excellence* Römerównami, bardziej niż należącymi do rodu męża. Taką jest przede wszystkim Hela, zwana w rodzinie Białą, która się urzędowo pisze Helena Römer-Ochenkowska, bo była zamężna za Ochenkowskim, z którym się po kilku leciech pożycia rozstała bezdzietna. Hela Römer-Ochenkowska jest w ogóle jedną z wybitniejszych osobników w rodzinie. Jest literatką i publicystką, obdarowana wielkim zmysłem artystycznym i społecznym, zdolna, wrażliwa, ludzka, pełna życia, samodzielna. Dziś i ona jest już stara, ma lat przeszło 60, ale się nie poddaje starości, ducha jest młodego i nawet fizycznie nieźle wygląda i zachowała figurę. Kochano się w niej i ona się umiała kochać, a przez szereg lat łączył ją związek nieślubny z Ludwikiem Abramowiczem, z którym przez cały czas wojny w Warszawie mieszkała razem. Hela Ochenkowska należy do naszej linii pradziada Michała, a nawet jest ona w tej linii latoroślą najstarszego szczepu w najstarszej (pierworodnej) gałęzi Edwardowiczów. Jej szczep jest Alfredowy, po najstarszym synie Edwarda – stryju Alfredzie, znanym i wybitnym malarzu. Gdyby kobiety były w rodzie równe mężczyznom, to Hela, a nie Eugeniusz, byłaby pierworodna, bo Alfred szedł przed Izydorem. Hela była i pozostała Römerówną, pomimo zamążpójścia. Była ona w czasie

Wielkiej Wojny entuzjastką Legionów i Piłsudskiego, ma order polski, zdaje się „Polonia Restituta". Piękny to charakter i typ ludzki. W linii pradziada Michała w pokoleniu jego prawnuków, to znaczy naszym, latorośle kobiece, dotychczas żyjące, prócz Heli, są jeszcze następujące: w gałęzi Edwardowiczów jest Izydorówna Ania, siostra Eugeniusza i Stasia, zamężna za Adamem Virionem w Warszawie, który był jej szwagrem; był żonaty z jej siostrą Zosią, a gdy owdowiał przed laty kilkunastu, mając już dzieci dorosłe, ożenił się z Anią; w tejże gałęzi jedyną ze szczepu malarza Edwarda-Mateusza, jest Regina, moja była żona, matka mojej córki Celiny, właścicielka Łunny pod Grodnem, żyjąca obecnie nieślubnie w Warszawie z jakimś jegomościem, którego nawet nazwiska nie wiem; poza tym w szczepie Bronisławowiczów jest Jadzia Römerówna antonoska, siostra Macieja i Tadeusza, niezamężna, zamieszkała w Genewie, gdzie ma posadę w biurach Rady Ligi Narodów. W gałęzi Sewerynowiczów są aż cztery kobiety naszego pokolenia, siostry Antoniego z Janopola – Renia, Jola, Marynia i Kazia (Lula), wszystkie cztery zamężne – Renia hr. Platerowa, Jola i Lula Wańkowiczowe i Marynia hr. Łubieńska. Wreszcie w naszej gałęzi Michałowiczów są także cztery moje siostry: Kotunia, wdowa Ezachielowa Pruszanowska, Eliza, wdowa hr. Zygmuntowa Komorowska, Elwira Mieczkowska i Marynia 1° voto Witoldowa Römerowa, 2° Justynowa Budkiewiczowa. Tyle na razie.

Dziś – mały mrozik. W Gaju rozpoczęto wyrąb drzewa na opał. Oprócz tego wyznaczałem z ekonomem dalej drzewa na wyrąb. Czas prędko upływa. Już więcej niż połowa moich wakacji świątecznych ubiegła. Gdyby ode mnie zależało – pociągnąłbym te wakacje do maja.

5 stycznia, rok 1937, wtorek

Miałem trzech studentów do egzaminu. Byłem w Gaju. Ekonom Pumpol jeździł do Rakiszek i przywiózł stamtąd maneż do sieczkarni, który kupiłem na kredyt za 350 litów. Odwilż wielka, kilka stopni ciepła, zamróz puszcza, błoto na drogach. Wieczorem tak ciemno, że choć oko wykol.

Dokończę jeszcze o stanie personalnym Römerów na początku roku 1937. Linię pradziada Michała wyczerpałem całą. Stwierdziłem, że w trzech pokoleniach tej linii żyjące dziś są następujące osobniki: a. w pokoleniu wnuków pradziada mężczyzny nie ma już ani jednego, pozostały tylko: jedna wnuczka (ciocia Marynia Römerówna antokolska) i dwie wdowy wnukowe (stryjenki Wanda Alfredowa i Kazimiera Kazimierzowa); b. w pokoleniu prawnuków pradziada: 6 mężczyzn (Eugeniusz, Stanisław, Maciej, Tadeusz, Antoni i ja), 12 kobiet prawnuczek Römerówien (Hela Biała Römer-Ochenkowska Alfredówna, Ania Virionowa Izydorówna, Regina Römerowa Edwardówna-Mateuszówna, Jadzia Römerówna Bronislawówna antonoska, hr. Platerowa, dwie Wańkowiczowe i hr. Łubieńska Kazimierzówny i Kotunia Pruszanowska, hr. Eliza Komorowska, Elwira Mieczkowska i Marynia Römerowa-Budkiewiczowa Michałówny bohdaniskie) oraz 5 prawnukowych (Zosia z Dembowskich Eugeniuszowa, Stasiowa z domu hr. Platerówna, Maria z Daszkiewiczów Maciejowa, Tadeuszowa i Hania z hr. Sołtanów Antosiowa); c. w pokoleniu praprawnuków pradziada: z mężczyzn Roch-Edward i Andrzej po Eugeniuszu, Bronisław po Macieju i dwóch czy trzech po Antonim (imion i liczby nie pamiętam), z dziewczyn zaś trzy Eugeniuszówny (Zosia, Gienia i Hela), dwie Maciejówny (jedna zamężna Podoska, druga – Teresa zaręczona z Iwanowskim) zdaje się – dwie małe Tadeuszówny, bodajże trzy Antosiówny i jedna moja córka Celina Michałówna. Tyle w linii pradziada, która ma żywych osobników, łącznie z żonami i wdowami Römerowymi, 43-44 sztuk (płci męskiej w tej liczbie tylko 10 czy 11). Z młodszych linii mocniej rozrodzoną jest tylko linia ciskadzka Felicjanowiczów, która w starszym pokoleniu liczy trzech mężczyzn (Józef, Leon i Michał) i bodajże dwie kobiety (Hela Czarna Römerówna i wdowa Janowska w Łatgalii) oraz żony Leona (Świdówna) i Michała (Domejkówna), w pokoleniu następnym dwóch synów Michała – Michał i Antoni (ten był żonaty ze Świdówną, siostrą swej stryjenki Leonowej, z którą się rozstał i ożenił z Józią Pruszanowską, córką Kotuni, z którą się także następnie rozstał) i zdaje się – dwie córki Leona. Z innych linii są tylko latorośle szczątkowe: a. z linii niegdyś władykiskiej po Bolesławie już wszystko wymarło, ale po jego bracie została jeszcze stara przeszło 70-letnia Landsbergowa Römerówna z domu i już ± 60-letnia, wiecznie romantyczna i „młoda" Kamilka

Römerówna, obie zamieszkałe w Litwie Niepodleglej, i b. z linii niegdyś zamoszańskiej alias ikaźnienskiej po Witoldzie, który był żonaty z moją siostrą Marynią pozostała córka Ewa Konstantowa Meyerowa i Stefan, żonaty z Marynią Narbutówną, który ma tylko jedną córkę Stenię i, zdaje się, już więcej nadziei na dzieci mieć nie może. Oto wszystko. Wreszcie jest jeszcze parę mocno, zdaje się, rozrodzonych dalekich linii – kleryska, poniewieska – wywodzących się od synów wspólnego protoplasty z wieku XVII, generała Matiasza Römera, ale ich genealogii i ewidencji personalnej nie wiem. Wiem, ze niektórzy z młodych tej linii wyemigrowali do Polski, jeden (Olgierd, syn Michała) jest na naszym uniwersytecie w Kownie i jest Litwinem, członkiem stowarzyszenia akademickiego ludowców „Varpas”...

6 stycznia, rok 1937, środa

Trzy Króle. Wesele mojej dziewczyny folwarcznej Barbuti Pranckunasówny, która wychodzi za mąż za dobrego gospodarza na 5 ha ziemi w wiosce Kalniszkach – Szarkowskiego. Mamy widocznie z Jadzią lekką rękę, bo oto już trzecie małżeństwo kojarzy się u nas. Przed kilku laty ożenił się mój pierwszy gospodarz Piotr Skrebys, który teraz gospodarzy na własnej zagrodzie między Prapultinią a Janówką, gdzie kupił sobie 8 ha ziemi od Kazimierza Jankowskiego. Drugie następnie małżeństwo było naszej gospodyni dworskiej Nasty, która wyszła stąd za mąż za Gaspara Jachimowicza do wioski Bohdaniszek. Teraz Barbutia – trzecia. Wszystkie te trzy wesela odbyły się w moim domu, w którym nikt dotąd nie umarł, natomiast już trzecie wesele w swoich ścianach gości. Barbutia dwa lata przesłużyła u mnie. Ale jej tytułem do wyprawienia wesela w moim domu było nie tylko to, że dwa lata tu przesłużyła, ale to, że jej rodzice służyli we dworze za dawnych jeszcze czasów. Jej ojciec Wincenty Pranckunas kilka lat przed wojną służył u Rodziców moich za furmana i wtedy się ożenił tutaj z praczką dworską, matką Barbuti. W przeszłym roku Pranckunas służył u mnie za szeryka, a tego lata, już po odejściu, umarł.

Do ślubu koło południa cały orszak weselny na pięciu czy sześciu furmankach udał się do Krewien do kościoła. Ja nie pojechałem, bo droga kiepska po błocie, a wracać trzeba wieczorem po ciemku. Pojechała Jadzia, ekonom Pumpol z Adelą, Renia z Jankiem Bieliuniukiem, państwo młodzi (naturalnie – w drodze do kościoła rozdzieleni, a z powrotem – we dwójkę), swatowie i podmłodzieńcy oraz drużki ze strony panny i młodego – brat młodego, jego krewni i bliscy z Kalniszek i Montowszczyzny, brat starszy Barbuti i jej kuzynostwo Wasilewscy spod Antuzowa. Pod ich nieobecność młodzież okoliczna za moim pozwoleniem zbudowała przy wyjściu na schody od podjazdu do domu bramę tryumfalną z jodełek, pięknie ubraną naciętymi kolorowymi wstążeczkami z papieru i trzema chorągiewkami o barwach narodowych czerwono-zielono-żołtych u szczytu i na bramie podwiesiła kilka latareczek kolorowych, sfabrykowanych *ad hoc*. Już od zmroku cały tłum młodzieży i dzieci z całej okolicy oraz dorosłych ze dworu czekał przez bramę na przyjazd państwa młodych i orszaku, tańcząc trochę na balkonie i w przedpokoju pod dźwięki muzyki, złożonej z dwóch muzykantów i wygrywającej przeraźliwe polki i suktinie. Kazimierz i matka panny młodej doglądali ładu. Dopiero koło piątej, w noc ciemną, powrócono z kościoła. W pokoju jadalnym był zastawiony duży stół do obiadu weselnego. Dałem butelkę wina, mężczyźni z orszaku przyjętym zwyczajem dali wódkę, przedtem nakupili w miasteczku pannom cukierków i obarzanków. Na obiad złożyły się trzy duże półmiski kotletów wołowych z kartoflami, indyk, kisielek z jabłek suszonych. Potem tańczono w kuchni, a o godz. dziesiątej odbyła się kolacja w pokoju jadalnym – cielęcina, pączki, chrust, bułka, tort w kształcie serca, herbata. O północy uroczystość i zabawa weselna były skończone. Młodzi z orszakiem usunęli się do izby szeryka Pagirisa na folwarku, aby czekać na wschód księżyca nad ranem, bo noc do jazdy była bardzo ciemna, a myśmy spać poszli. Wesele udało się ładnie. Barbutia była wzruszona i wdzięczna.

7 stycznia, rok 1937, czwartek

Mam teraz codziennie studentów do egzaminu. Od 5 stycznia do 13 stycznia będę miał siedem grup, co dzień po grupie za wyjątkiem dnia Trzech Króli i niedzieli, wypadającej w międzyczasie.

Dziś przyjechało trzech, dwóch Litwinów – kapitan Gedmont i urzędnik pocztowy Kubilewicz – i trzeci Żyd Szloma Lewusz. Z nich najlepiej zdał Kubilewicz, a kapitan Gedmont był najprzyjemniejszy.

Maryńka śniła sen, który ją bardzo poruszył i przejął. Śniła, że do łóżka jej przyszła śp. Mama, bardzo wesoła, w dobrym humorze, położyła się z nią w łóżku, głaskała ją i zapraszała do siebie, mówiąc, że tam jest dobrze i że Maryni będzie lepiej niż tu. Marynia mówi, że tak wyraźnie widziała i czuła Mamę, nawet zapach mamy czuła, że zrobiło to na nią wielkie wrażenie. Obudziła się o drugiej w nocy i już nie mogła zasnąć przejęta tym snem. Modliła się płakała. Ci, co tłumaczą sny – a na wsi wiara w proroczość snu jest bardzo upowszechniona – powiadają, że taki sen wróży rychłą śmierć. Nieboszczyk zza grobu przychodzi i wzywa – wezwanemu czas przestąpić granicę tragiczną, dzielącą życie od grobu. Podobny nieco sen śnił Kazimierz Jankowski przed śmiercią Mamy. Śnił, że Mama szła bardzo prędko, śpiesząc górą za gumnem do p. Antoniego Wyessenhoffa z Pokrewnia, który był umarł przed rokiem i który Mamę wzywał. Mama, która była ciężka i powolna w ruchach w ostatnich latach życia, bo była chora na serce i otyła, a właściwie nalana i wybrzękła (chorowała tak samo, jak ja w roku 1934), szła bardzo lekko i prędko, tak że Kazimierz nie mógł nadążyć i prosił, aby zwolniła kroku, ale Mama śpieszyła. Po tym śnie przyszła depesza, że Mama umarła. Mam nadzieję, że śmierć Maryńki tak zaraz w najbliższym czasie jeszcze nie nastąpi, ale na ogół jest ona, niestety, bliską kandydatką do grobu.

Pogoda wciąż taka sama: śnieży i odwilż trwa. Błoto wielkie. Jazda wszelka – okropna.

8 stycznia, rok 1937, piątek

Dziś miałem partię studentów ekonomistów – trzech studentów, którzy przyjechali z Kowna, i studentkę Helenę Reutównę (pisownia nazwiska zlitwinizowana: „Riautaitė") – z Jezioros. Zdali egzamin wszyscy – mniej lub więcej dobrze. Nie zazdroszczę Reutównie powrotu do Jezioros furmaneczką – 10 godzin jazdy na Abele-Aleksandrówkę-Suweki. Wyjechała ze studentami koło godziny trzeciej po południu przed zmrokiem. Noc ciemna, w dodatku zimny wiatr północny, jazda krokiem furmanką co najmniej do północy. Brrr!

Zostaje mi już tylko tydzień słodkiej ciszy i wypoczynku w spokoju bohdaniskim. Przez cały czas, niestety, z wyjątkiem tylko pierwszego dnia przyjazdu (15 grudnia), nie było sanny. Wciąż odwilż, deszcz albo śnieg mokry, błoto, czasem gruda, potem znowu błoto. Zima w stylu chyba paryskim, ale tylko nie litewskim. Tak jest dotąd przynajmniej. Pod wieczór zaczęło się dziś wypogadzać i marznąć, a jednocześnie wiatr się znów zawrócił na północy, bardzo gwałtowny i ostry. Zapowiada się na dobry mróz. Natychmiast wiatr wystudził przedpokój z korytarzem i mój gabinet na górze. Wtedy na nic palenie pieca. Zimno też w pokoju sypialnym Jadzi, który pośrednio przez drzwi otwarte studzi i mój pokój sypialny. Za to ciepło jest w pokoju jadalnym i u ekonoma. Ale ta zmienność ciągła – wiatr, mróz, deszcz, odwilż, ciepło, gruda, błoto, śnieg topniejący w wielką odwilż, to znów mróz suchy bez śniegu, te kaprysy natury – są charakterystyczne dla okresu starego księżyca, okresu prawdziwej histerii przyrody. Na starym księżycu powietrze jest u nas zawsze... histeryczne, przerzucające się, kapryśne, jak kobieta w dniach swojej choroby miesięcznej. Jest to też czas, kiedy lunatycy ulegają swojej chorobie, kiedy osoby wrażliwe i nerwowe krzyczą i rozmawiają po nocach, kiedy mięso zarżniętego o tej porze zwierzęcia jest nietrwałe i łatwo się psuje, kiedy na ogół wszystko w naturze ulega jakiemuś wpływowi niespokojnemu. Ale za to gdy zima lub inny stan pogody stanie na starym księżycu, to już potem trwa przez następne fazy i utrzymuje się aż do nowego kryzysu histerii na przyszłym starym miesiącu. Za kilka dni księżyc się już przewróci za słońce i rozpocznie się nów, idący na zdrowie crescendo przez tężyznę pierwszej kwadry do pełni. Kazimierz powiada, że i sny na starym miesiącu i nowiu, przynajmniej początku nowiu, są jakieś zwodnicze, mieszające się, przerywane i kapryśne, bez wątku i bez konsekwencji, podczas gdy prawdziwie treściwe i prorocze są sny na pierwszej kwadrze i pełni.

9 stycznia, rok 1937, sobota

Nic szczególnego z dnia dzisiejszego. Dosyć pogodnie.

W czasie mojego pobytu tutaj napisałem też artykuł po francusku, uzasadniający zupełną legalność instytucji sądu statutowego, utworzonego przez Litwę w roku 1935 dla kontroli tak aktów autonomicznych kłajpedzkich, jak aktów władzy centralnej, kwestionowanych przez organy autonomiczne Kłajpedy. Uzasadniłem tak legalność tej instytucji ze stanowiska konwencji i statutu autonomicznego Kłajpedy, jak liberalizm tego zarządzenia. Jest to odpowiedź na artykuł niemieckiego profesora Brunsa, umieszczony w październikowym zeszycie „Esprit International". Artykuł ten wysłałem do paryskiej „Revue Internationale Française du Droits de Gens", która podaje moje nazwisko na liście swoich współpracowników firmowych. Odpis posłałem do Glikmana w Paryżu. Mam jeszcze inny dłuższy artykuł francuski, dotyczący organizacji solidarstycznej Wschodu Europejskiego. Wyślę go do Glikmana dla ewentualnego opublikowania w jakimś wydawnictwie, o ile się będzie nadawał. Nie jestem bowiem pewny, czy ten artykuł nie ma felerów.

10 stycznia, rok 1937, niedziela

Cały dzień – ostry wiatr północny, trochę słabszy na wieczór. Pogoda śliczna, niebo bez skazy, słońce jeszcze przez dzień cały, wieczorem – gwiazdy iskrzące. Mróz – 6 do 8°.

Egzaminowałem studentów, którzy w liczbie czterech przyjechali. W ich liczbie byli dwaj dawni znajomi – moi pilni słuchacze sprzed kilku lat – Bolesław Sadowski i Jan Dangutis. Jeden ze studentów – Feliks Valys – nie zdał. Najlepiej zaś zdał najmłodszy, Danilewicz, który w roku ubiegłym przesłuchał mój kurs wykładów.

Napisałem artykulik do międzynarodowej radiodyfuzji. Nie jest długi, ale na audycję 30-minutową może nieco za długi. Posyłam go do mojego asystenta Konstantego Raczkowskiego do zaopiniowania, bo jest to wystąpienie odpowiedzialne, a głowie Raczkowskiego ufam. Te artykuliki do radiofuzji międzynarodowej mają być przetłumaczone na wszystkie języki i nadawane jednocześnie przez wszystkie stacje radiowe we wszystkich językach. Z ramienia Litwy wybrany zostałem do tego występu ja jeden. Zaszczyt, ale też odpowiedzialność. Artykuły te powinny być naukowe, ale czysto akademickie, nie dotykające żadnych aktualiów politycznych, aby broń Boże nikogo nie uraziły. Wybrałem temat oryginalny, stanowiący skrót mojej „socjokratycznej" teorii prawa i państwa, i nie tylko państwa, ale też międzynarodówki międzypaństwowej i prawa międzynarodowego. Artykulik mi się udał, ale czy nie będzie zbyt uczonym i przez to czy będzie dostatecznie umysłowo „strawnym" dla profanów, jeżeli chodzi o wykład „popularny"? Za to nie ręczę. W każdym razie, zaczekam na opinię i uwagi Raczkowskiego.

11 stycznia, rok 1937, poniedziałek

Znowu egzaminy. Tym razem z prawa konstytucyjnego litewskiego. Przyjechało trzech studentów – Witold Raczkowski, Władysław Radziewicz i Antoni Bukowski. Dwaj zdali dobrze, jeden – Radziewicz – bardzo dobrze.

Marynia bardzo zbiedzona. Wielki spadł na nią ciężar w postaci odpowiedzialności za weksle śp. Pawła Koziełły, żyrowane przez nią do spółki z jej mężem, Justynem Budkiewiczem. Suma tego długu wynosi koło 6000 litów, a z procentami – przeszło. Nie miała baba kłopotu – zażyrowała... teraz kłopot ma. Nie dość jej własnych długów, z którymi się uporać nie może, tu jeszcze spadły cudze. Elwira się szczęśliwie wykręciła, bo dawniej i ona weksle z tytułu tego długu Koziełły żyrowała, ale gdy potem Koziełło się na nią gniewał w trakcie nieporozumień z okazji flirtu Stefana Mieczkowskiego z córką Pawła Koziełły Niutą, to nie poprosił o odnowienie żyra. Daj Boże, aby wszyscy bankruci, potrzebujący żyra, gniewali się na żyrantów i za karę od nich żyra nie brali. Gniew Koziełły sowicie się opłacił Elwirze. Jak Marynia z tych interesów swoich wybrnie i co będzie z jej Bohdaniszkami po jej śmierci – nie mam pojęcia. Właściwie jest ona bankrutką. Dla niej samej, a może i dla jej dzieci byłoby już najlepiej, żeby umarła, albo... żebym ja został wybrany na sędziego do Trybunału w Hadze, bo wtedy bym ją z długów poratował. Już i sama Marynia jest tak swoimi długami znękana i tak zmęczona kołowrotem zatykania dziur i opłacania terminowych

procentów, że często wzdycha do śmierci jako ukojenia. Nie długowieczna ona ze swym rakiem, ale jeszcze pociągnąć może. Po jej śmierci sytuacja też się mało poprawi. Gdyby jeszcze Ewa mogła po niej wziąć Bohdaniszki, to może z moją pomocą dałaby radę. Ale Stefan Römer i Marysia Stefanowa – oboje niedołęgi i do żadnego interesu niezdatni. Chyba że Marysia sprzedałaby Szaszewicze i z uzyskanej sumy spłaciła długi Maryni, ale z warunkiem, że dług Piotrowi Rosenowi w sumie kilkunastu tysięcy przełożony by został na kamienicę wileńską, a dług w Państwowej Kasie Oszczędnościowej spłacałbym, jak dotąd, ja. Zostałby tylko dług w Banku Ziemskim, który jest nieuciążliwy.

12 stycznia, rok 1937, wtorek

Przyjechało dziś aż sześciu studentów do egzaminu, w tej liczbie pięciu chłopców i jedna dziewczyna – Ewa Olszewska. Wesołe się dobrało grono. Egzamin ciągnął się do godziny szóstej wieczorem. Ci, którzy zdali pierwsi, spacerowali, obejrzeli wszystkie budynki i gospodarstwo, ptactwo, świnie, oborę, konie, fotografowali. Fotografowali Bohdaniszki, grupę swoją ze mną na balkonie, fotografowali Kazimierza osobno i siebie z Kazimierzem, który jest bardzo popularny u studentów, jest ich konwersatorem, podczas gdy czekają oni kolejki do egzaminowania; Kazimierz bawi ich opowiadaniem przeszłości świetnej dworu, przyjęć dawnych, zabaw pańskich przed wojną, zamożności dawnej, kroniki rodzinnej bohdaniskiej. Studenci go lubią i słuchają ciekawie, a Kazimierz rozpowiada. Lubią też studenci te wycieczki egzaminowe do Bohdaniszek, które stanowią dla nich rozrywkę, co prawda połączoną z tremą egzaminową, ale przyjemną, gdy się egzamin uda. Te wycieczki egzaminowe do Bohdaniszek stały się popularne u studentów i są anegdotyczne. Przyjmuję tu ich gościnnie, daję im herbaty, wędliny, chleba i bułki z masłem, czasem nawet obiad. Na ogół studenci mnie lubią i cenią, choć mój egzamin uchodzi za jeden z najtrudniejszych, bo kurs jest bardzo obszerny. Ale uważają ten przedmiot za najciekawszy. Mogę z przyjemnością stwierdzić, że zdołałem moich studentów zainteresować przedmiotem i stworzyłem względnie już bogatą literaturę przedmiotu, pochodzącą przeważnie spod mojego pióra albo przynamniej spod mojej redakcji. I ja też lubię studentów, a szczególnie tych, co dobrze zdają. Jest między nami kontakt i dobre porozumienie. Nie ma nigdy konfliktów i nieporozumień, nie ma żadnych skarg i pretensji do mnie. Studenci mię cenią i szanują, mają dobre wyobrażenie o moich kwalifikacjach naukowych, wiedzy, autorytecie i sprawiedliwości. Kazimierz też ciągnie pewne korzyści z egzaminów studenckich, bo wpadają mu do kieszeni przy wyjeździe studentów drobne napiwki, po parę mniej więcej litów na każdą partię, a były wypadki, że jakiś student dał i 5 litów naraz. Z dzisiejszej grupy klasycznie doskonale zdała egzamin studentka Olszewska, mądra inteligentna dziewczyna, lniana blondynka, starannie ubrana i podmalowana, nie tyle piękna, ile powabna, posiadająca śliczne długie i czarne rzęsy, bodajże sztuczne nawet – naklejone. Z wesołym studentem Janem Perlebachem była na stopie bardzo koleżeńskiej, na „ty", tak że sądziłem nawet, że to para małżeńska, co się jednak nie sprawdziło.

Zanotuję tu, że miałem w tych dniach wiadomość o mojej córce Celinie z listu p. Hilchenowej, Jerzówny Komarówny z Poławenia z domu, cioteczno-rodzonej siostry Reginy, a więc dosyć bliskiej ciotki Celiny. Wspominała mi w Kownie Zosia Eugeniuszowa Römerowa, że słyszała od p. Hilchenowej, jakoby Celina miała jakiegoś starającego się, który się kręci koło niej. Ponieważ miałem okazję napisania do p. Hilchenowej, więc spytałem ją o to. Odpisała mi, że z listu swej siostry, zamieszkałej w Warszawie, wie, że Celina istotnie ma kogoś, który się nią interesuje i który nawet jej dopomaga materialnie, ale kto to taki – tego nie wie. Pisze, że Celina skarży się na brak środków, bo od matki, której fundusz się kończy, nic nie dostaje, a posady znaleźć nie może, bo uchodzi za „bogatą". Podobno bardzo to ją krępuje, bo od starającego się pomocy nie bardzo chce przyjmować, a do mnie trudno jej trafić. Ja wszakże posyłam od czasu do czasu pewne subsydię pieniężne Celinie, aczkolwiek nie jest to pensja regularna. Skądinąd są pewne trudności techniczne w przesyłaniu gotówki do Warszawy, albowiem stoją temu na przeszkodzie ograniczenia walutowe. Wszakże oto teraz przed samymi świętami Bożego Narodzenia przesłałem jej przez Sztokholm przez

posła litewskiego Sawickiego 300 litów. Kilka razy do roku zawsze jej posyłam. W listach do mnie Celina nigdy mi o swoich sprawach osobistych nic nie pisze. Nic od niej nie wiem o żadnym jej starającym się czy narzeczonym ani też w ogóle o jej życiu prywatnym, o jej stosunkach osobistych, z kim przestaje, jakie ma znajomości, jak spędza czas, co ją interesuje itd.

13 stycznia, rok 1937, środa

Ostatni dzień egzaminów studenckich w Bohdaniszkach. Ogółem wyegzaminowałem przez te wakacje świąteczne tutaj trzydziestu kilku studentów. Dziś ich było czterech, z których trzech zdało celująco, czwarty – tylko zadawalająco.

Teraz jeszcze tylko dzień jutrzejszy i jazda do Kowna. Sanny przez cały miesiąc wakacji nie doczekałem się. Mróz jest kilkostopniowy, ale śniegu ani rusz.

14 stycznia, rok 1937, czwartek

Na sam wyjazd zachorowałem. Nie jest to choroba wielka – przeziębienie, może grypa. Już od wczoraj trochę głowa bolała i kaszlałem. Dziś w kościach łamało. Jednak chodziłem cały dzień, obszedłem z Jadzią gospodarstwo, byłem w Gaju, gdzie drzewo rąbią na przygotowania zapasu opału. Ale wieczorem pośpieszyłem wcześnie zakończyć pracę i w dobrze nagrzanym pokoju po wzięciu aspiryny położyć się do łóżka, co jest środkiem zazwyczaj najradykalniejszym na przeziębienie. Niedobrze, że akurat na jutro wypada podróż w mróz i po grudzie.

15 stycznia, rok 1937, piątek

Wyjazd z Bohdaniszek do Kowna. Mój tegoroczny zimowy pobyt w Bohdaniszkach był rekordowy przez to, że przez cały miesiąc pobytu – od dnia 15 grudnia do dnia 15 stycznia – nie wykroczyłem z granic Bohdaniszek. 15 grudnia przyjechałem tu z Abel, utkwiłem i 15 stycznia wyjeżdżam. Nie jeździłem przez cały ten czas absolutnie nigdzie. Zresztą przez cały ten czas, oprócz dnia przyjazdu, nie było sanny, a zimą tylko saniami jeździć przyjemnie.

Wyleżałem się w łóżku i wyspałem dobrze przed wyjazdem, bo wczoraj z wieczora już się do łóżka położyłem. Nie czułem się jednak zupełnie dobrze dziś rano po aspirynie, którą wczoraj przyjąłem i która mię osłabiła. Lękałem się trochę podróży. Wyjechaliśmy, żegnając Bohdaniszki co najmniej do Wielkiejnocy. A może i na Wielkanoc tylko na same dwa dni świąt zajrzę, jeżeli się utrzyma mój projekt wyjazdu w maju do Nanheim, jak mi dr Gudowicz zaleca. Nie jestem jednak tego projektu pewny, bo obawiam się, że, niestety, Maryńka umrzeć może do wiosny i że wtedy spadną na mnie jakieś nadzwyczajne ciężary i wydatki. Marynia teraz z nami jedzie do Kowna na rentgenizację. Stan jej jest bardzo ciężki. W ostatnich dniach zaczęła doświadczać wymiotów. Nic prawie jeść nie może. Co zje – to wymiotuje. Kto wie, czy rak nie dostał się do żołądka.

Wyjechałem mocno okutany. Nie było zimno w drodze i do Abel dobrze dojechałem. Jako rektor uniwersytetu – musiałem jechać II klasą, podczas gdy Maryńka pod opieką Jadzi i Renia Bohdanówna jechały III klasą. W wagonach było gorąco nieznośne. Skracałem sobie czas rozmową ze studentem Dangutisem, który jechał ze mną. Dojechaliśmy dobrze.

Jadzia przed wyjazdem z Bohdaniszek najęła nową służącą do nas od lutego – Annę Kundrotasówną z Rukiel, niemłodą dziewczynę, na miejsce Onuti, która odchodzi.

16 stycznia, rok 1937, sobota

Roboty uniwersyteckiej w Kownie jeszcze tak, jakżebym nie miał. Byłem w gabinecie rektorskim, załatwiłem sprawy bieżące, interesantów nie miałem. Nic nowego na uniwersytecie nie ma.

Prócz tych paru godzin, spędzonych w gabinecie rektorskim, siedziałem w domu. Podróż nie zaszkodziła mi. Grypy, zdaje się, nie mam.

W gazetach dużo nowych szczegółów o nagonce na Litwinów w Wileńszczyźnie. Tak zwane „retorsje", którym, niestety, początek dał Piłsudski, trwają i pogłębiają się. Uczniowie Piłsudskiego

idą w ślady mistrza. Tylko robią to brutalniej i głupiej niż on. Organizacje kulturalne i społeczne litewskie kończą niknąć. Jeszcze przed świętami zamknięty został z rozkazu władz Komitet Litewski w Wilnie, który od lat 17 ześrodkowywał całą akcję litewską w tej nieszczęsnej dzielnicy i stanowił poniekąd nieurzędową polityczną ekspozyturę sprawy litewskiej tamże, i zabroniona została działalność towarzystwa oświatowo-kulturalnego litewskiego św. Kazimierza w pasie pogranicznym z Litwą, stanowiącym właśnie główną strefę zamieszkania Litwinów. Teraz nowa wiadomość – aresztowanie byłego prezesa Komitetu Litewskiego Stašysa, zapowiedź zamknięcia gimnazjum litewskiego w Święcianach. Nie można zaiste przyznać, aby traktowanie Litwinów przez Polskę zachęcało do „unii", którą tak gorąco zalecali i stręczyli Litwinom ich „bracia" polscy, powołujący się na współżycie historyczne i braterstwo. Inaczej się gada, gdy się chce kogoś pozyskać, a zgoła inaczej się działa, gdy się już coś posiadło. Niestety!

17 stycznia, rok 1937, niedziela

Dzień spędziłem cicho w domu. Chodziłem tylko pod wieczór na spacer z Jadzią, zaszliśmy do cukierni „Moniki" na czekoladę i wróciliśmy do domu. Napisałem do prof. Gudowicza, prosząc go, aby przyszedł obejrzeć Marynię do mieszkania i coś obmyślił na jej uspokojenie – np. wypędzenie wody z organizmu, aby chora miała wrażenie, że coś się przecie robi; podniosłem także wzgląd na to, że może należałoby ją na czas rentgenizacji zalokować w szpitalu, bo chodzić pieszo na te seanse i wracać po schodach do mieszkania Marynia już sił nie ma. Mam wrażenie, że już szybko zbliża się katastrofa, która przetnie nić życia biednej chorej. Ratunku właściwie nie ma. Kwestia czasu i już zapewne krótkiego.

18 stycznia, rok 1937, poniedziałek

Już miałem wykład rano na II semestrze prawa. Przyjechała jakaś Anna-Maria O'Rourke'ówna, osoba w starszym wieku, lat przeszło 60. Przyjechała z Polski, powiada, że jest siostrą stryjeczno-rodzoną Karola O'Rourke'a i ma majątek w Nowogródzkiem, w pobliżu Wsielubia. Nie słyszałem jednak nigdy od Karola O'Rourke'a o takiej kuzynce jego. Co dziwniejsze – że nie zna Kotuni Pruszanowskiej, która już od lat kilkunastu we Wsielubiu mieszka, widocznie więc we Wsielubiu nie bywa. Ale pokazywała mi paszport z fotografią, przepustką, wizą – wszystko w porządku i na jej imię. Powoływała się na pokrewieństwo ze mną przez Pusłowskich i w ogóle z tego, co mówiła, robiła wrażenie autentycznej osoby, za jaką się podawała. Ale jest niesympatyczna. Przyjechała tu dla podjęcia pieniędzy, pozostałych ze sprzedaży z licytacji jej majątku ziemskiego tutaj i dla zlikwidowania innych swoich spraw majątkowych w Litwie. Ale oświadczyła, że na razie nie ma pieniędzy i prosiła o pożyczenie jej 100 litów. Telefonicznie sprawdziłem w Zarządzie Reformy Agrarnej, że rzeczywiście taki majątek był, że został sprzedany z licytacji i że pozostały ze sprzedaży pieniądze w kwocie 1500 litów, złożonych w depozycie sądu. Udzieliłem jej wskazówek co do adwokatów, dałem jednak tylko 20 lt., ale ona jutro chce więcej. Ciężko mi, ale trudna rada, jeżeli rzeczywiście jest kuzynką Karola O'Rourke'a, który mię wspierał w r. 1916 w Warszawie, gdym był w biedzie po wyjściu ze Szczypiorny i który tak szlachetnie przygarnął moją siostrę Kotunię we Wsielubiu.

Prof. Gudowicz obejrzał dziś Marynię. Będzie ona zalokowana w szpitalu. Będą się starali wypuścić z niej wodę, będą rentgenizowali także.

Byłem zaproszony do pp. Sidzikowskich na lunch z okazji przyjazdu z Genewy księżniczki Radziwiłłówny, która ma posadę w biurach Ligi Narodów i która tam jednocześnie reprezentuje faktycznie Litwę. Uważa się ona za Litwinkę, ale po litewsku nie umie. Na lunchu oprócz obojga pp. Sidzikowskich, księżniczki Radziwiłłówny i mnie byli: Michał Ślażewicz, Gustainis, burmistrz Merkys z żoną i Jan Vailokaitis z żoną.

19 stycznia, rok 1937, wtorek

Byłem na herbatce, urządzonej w „Metropolu” przez Towarzystwo Litewsko-Estońskie. Siedziano grupami przy stolikach, gawędząc i popijając kawę lub herbatę z likierami i ciastami, tańczono. Naturalnie, jak zawsze, moje stanowisko rektorskie – chcę czy nie chcę – daje mi miejsce u stolika honorowego, gdzie zasiadają dyplomaci i grube fisze. Często nie jest to towarzystwo najweselsze. Nowy poseł estoński, p. Oeppik, następca Lepika, jest bardziej sztywny od swego poprzednika, ale za to ma ładną i bardzo miłą subtelną żonę, rodowitą Norweżkę z Oslo. Na herbatce tej zabawiłem zaledwie godzinkę. Musiałem śpieszyć na wykład prawa konstytucyjnego litewskiego.

Biedna stroskana chora Maryńka, prawdziwa męczennica, zalokowana będzie jutro w szpitalu Czerwonego Krzyża. Nie mogę myśleć spokojnie o niej i o jej męce strasznej. Gorsza to męka niż moja przed dwoma laty, gdym był bliski śmierci, bo ja drzemałem ciągle i byłem półświadomy, podczas gdy ona ma całą świadomość. Nic już prawie jeść nie może. A gryzie się jeszcze ciągle troskami materialnymi długów swoich. Biedactwo. I lęka się męki umierania. A męczy ją już teraz niesłychanie ten brzuch potwornie wydęty, toczony przez raka. I nie ma ratunku. A płacze ciągle, a pokorna jest i słodka. Mój Boże, złe jest Twoje urządzenie świata, gdy mękę zostawiasz na koniec. Trzeba było od starości zaczynać życie i prowadzić je ku młodości, kończąc na dzieciństwie, a nie odwrotnie.

20 stycznia, rok 1937, środa

Rano Maryńka biedna odeszła do kliniki Czerwonego Krzyża, odprowadzona przez Jadzię i przez Stefana Römera, który bawił w Kownie, ale który zresztą mało sobie robi z choroby matki. Co prawda zastrzegam się zaraz, że to mówię nie w złej myśli na Stefana i Stefan sam jest właściwie psychicznie chory i do niego stosować miary moralnej zwykłej niepodobna; wrażenia u niego przemijają jak w kalejdoskopie; na chwilę jest serdeczny, żałuje matki szczerze, ale jak opętaniec – za chwilę zapomina o wrażeniu i żyje tym, co stanowi jego życie. Ciągłości uczucia i serca, jak i ciągłości myśli u niego nie ma.

Niesłychanie mię poruszyło i wzruszyło odejście Maryńki do szpitala. Wychodziła zbiedzona, słaba, ledwie żywa. Znerwowana też była. Trudno jej i leżeć, i siedzieć, a stać lub chodzić sił nie ma. Brzuch potwornie wydęty, olbrzymi. Czuje, że nic nie pomaga, że już jest chora śmiertelnie. I nie ma spokoju o los dzieci, o los Bohdaniszek swoich, które kocha i które zostawia obarczone długami ponad siły i wartość, podczas gdy syn i synowa są niedołężni i żadnymi interesami zająć się nie mogą, a córka, która by miała głowę do wyratowania Bohdaniszek, jest obcą poddaną i ani tu zamieszkać, ani własności posiadać nie może. Zbiedzona, stroskana, znerwowana i zmęczona, upadająca na siłach, bo prawie nic jeść nie może, wyczerpana do reszty moralnie, fizycznie i materialnie, bez promyka nadziei, bez żadnego wesela w sercu wychodziła ona z domu cicha, pokorna jak baranek prowadzony na rzeź. Uścisnąłem ją, a ona, już za drzwiami, schodząc ze schodów, poprosiła mię jeszcze, abym ją pobłogosławił tradycyjną formułą błogosławieństwa, której używała Mama a którą ja jeden pamiętam. Ta formuła brzmi: „*Qua Diem te benisse et la Sainte Vierge – je te benis de tout mon coeur!*” Byłem tak wzruszony, że słów tych wymówić na razie nie mogłem. Przeżegnałem ją i dopiero za chwilę zdławionym głosem wymówiłem błogosławieństwo Mamy. Maryńka odeszła. Ja się rozpłakałem w domu. I kilka razy jeszcze w ciągu dnia tak w domu, jak w uniwersytecie, gdy mię nikt nie widział, płakałem gorzko. Mam takie wrażenie, jak żeby Maryńka, idąc do szpitala, szła już na śmierć.

Byłem na obiedzie w Rotary Clubie, wieczorem pracowałem do godz. jedenastej w domu, ale ciężaru się pozbyć nie mogłem. Ciężaru, troski i goryczy.

21 stycznia, rok 1937, czwartek

Wreszcie wychodzi już z druku część pierwsza moich wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego w wydaniu Wydziału Prawniczego uniwersytetu. Kancelaria wypisała mi już rachunek na honorarium, które wynosi wcale pokaźną sumę, większą, niż się spodziewałem: po potrąceniu odpowiednich odsetków dla Janulaitisa za pracę redakcyjną i korektę pozostaje mi jeszcze przeszło

8000 litów. Co prawda, z tego będę musiał opłacić podatku budżetowego przeszło 1000 litów, koło 1000 winien jestem p. Oškinaitė za przepisanie rękopisu na maszynie, 200 litów Andrzejowi za korektę i wykaz alfabetyczny, 500 lt. – Jadzi obiecanych. Otóż pod wpływem uczucia serdecznego dla biednej stroskanej Maryńki, śmiertelnie chorej i trapionej ciężkimi interesami, prawdziwej męczennicy na łożu śmiertelnym, postanowiłem 1000 litów jej ofiarować. Dla niej to ukojenie ogromne, dające jej chwilkę radości i pogody w tym smutnym okresie gasnącego życia, a dla mnie to ostatecznie nic wielkiego nie stanowi. Ucieszyła się niezmiernie, gdym jej to powiedział, odwiedzając ją w szpitalu. Na ogół jest ona dziś w szpitalu raźniejsza. Zaprzyjaźniła się już naturalnie ze służbą szpitalną i siostrami, z którymi się zapoznała jeszcze latem i kąpie się w atmosferze gawędek i serdeczności; jest ona faworytką całego personelu szpitalnego. Zalokowana jest w osobnym pokoju w starym skrzydle szpitala, ma tam piec zamiast centralnego ogrzewania, ma szafkę ścienną, lampeczkę elektryczną przy łóżku, ma książki i gazety. Robiono jej analizę krwi i moczu, wydzielin białka nie ma, nerki są zdrowe, od poniedziałku będą próbowali wypędzić z niej przez urynę wodę, zastrzykując „salyrgan", jak mnie przed paru laty.

22 stycznia, rok 1937, piątek

Już kilka dni piszę o Maryni, bo jej męka gaśnięcia wśród cierpień fizycznych i trosk materialnych leży mi ciężarem ogromnym na sercu. Dziś znowu ją odwiedziłem w szpitalu. Czuje się raźniejszą. Stan człowieka chorego, nawet w najcięższej chorobie fizycznej, ogromnie dużo zależy od jego usposobienia psychicznego, od wrażeń dodatnich czy ujemnych. Darowane wczoraj przeze mnie Maryńce 1000 litów o wiele lepiej na nią podziałały od wszelkich lekarstw i zarządzeń medycyny, stosowanych przez lekarzy. Uspokoiła się, marzy o tym, co z tych pieniędzy zrobi, jakie dziurki pozatyka, jakie i czyje potrzeby zaspokoi. Cieszy się tym, bawi, rozmyśla, kombinuje. Wobec jej potrzeb – to drobiazg, ale bądź co bądź to już drobiazg duży dla tego, który wobec wielkich i licznych potrzeb nie ma na nic. Trochę jest na procenty i raty z długów, trochę się ukroi i na kupienie prosiąt, na ziarno na siew, na parę potrzeb gospodarskich, na obuwie dla męża, na jakieś ubrańko dla Steni, na coś jeszcze dla Marysi, dla Stefana... I humor się poprawił, i w sercu trochę słońca, i w myślach ład większy. Doktorowie Mažylis i Gudowicz też się troszczą serdecznie i starannie o Marynię. Dobrze jej w szpitalu. Cieszę się, że za tę cenę 1000 litów dałem biednej umęczonej siostrze trochę ukojenia i słodyczy, której ma tak mało. Jest to „towar", za który mi nie szkoda tę cenę zapłacić.

Przyszedł też list od Kotuni Pruszanowskiej, który Maryńce zaniosłem. W liście tym Kotunia donosi, że wyczytała z gazet, iż za upaństwowione lasy Zamosza rząd złożył do depozytu odszkodowania dla spadkobierców Wacława Römera pewną sumę w gotówce i w papierach wartościowych renty państwowej, co ogółem wynosi koło 140 000 złotych. Pieniądze są już podobno do wzięcia. A Marynia mówi, że w depozycie są także inne sumy jakieś. Zdaje się więc, że Ewa Meyerowa i Stefan Römer będą mogli niebawem coś z tego nieszczęsnego spadku zamoszeńskiego zrealizować. Jest bądź co bądź jakaś nadzieja, choć to odszkodowanie względnie nieduże i dalekie od tego, o czym dawniej spadkobiercy marzyli. Oprócz dzieci Maryni, są tam jeszcze spadkobiercami Siwiccy i Szwańscy. Cokolwiek i Maryni kapnąć może na rzecz jej długów. Kto wie jednak, czy Stefan swego udziału w spadku nie zmarnował przez nowe głupstwo, które ostatnie popełnił.

23 stycznia, rok 1937, sobota

Wypłacono mi honorarium za moją książkę, stanowiącą część I moich wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego (od początków odbudowy państwa litewskiego do konstytucji z roku 1922 włącznie). Druk książki już ukończony, komisja wydziałowa już sporządziła akt przyjęcia, ale książka się jeszcze broszuruje i oprawia. Nie ma jej jeszcze w sprzedaży i nie ma w kancelarii wydziału. Nie otrzymałem jeszcze moich egzemplarzy autorskich i w ogóle nie widziałem jeszcze żadnego egzemplarza drukowanego. Honorarium mi ustanowiono uchwałą komisji wydziałowej po 200 litów za arkusz. Ogółem po potrąceniu tysiąca kilkuset litów Janulaitisowi za korektę i redakcję

(Janulaitis jest redaktorem wydawnictw wydziałowych i z tego tytułu pobiera procentowe wynagrodzenie z honorarium autorskiego) wypłacono mi gotówką 8069 litów. Jest to więcej, niż się spodziewałem. Z tego wszakże będę musiał opłacić 1511 litów podatku kryzysowego, który nosi nazwę „podatku na zbalansowanie budżetu" i który wynosi 18% poborów. Z pozostałej sumy darowuję Maryni 1000 litów, Jadzi obiecałem 500 litów, mam zwrócić 400 litów, pożyczonych z akademickiej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej na opłacenie Andrzeja i Jadzi w związku z pracą nad tą książką, wreszcie muszę zapłacić pannie Oškinaitė 480 litów za odbicie na maszynce rękopisu książki. Zostaje mi więc netto z tego honorarium – 4135 litów. Dobre i to.

Przed kilku dniami zgłosił się do mnie pułkownik Karvelis, naczelnik kursów oficerskich Generalnego Sztabu w sprawie cyklu wykładów dla słuchaczy tych kursów. Kursy te od lat kilku funkcjonują stale, ale w taki sposób, że dopiero gdy jeden komplet słuchaczy ukończy całe kursy, w których nauka jest dwuletnia, a z egzaminami i praktyką trwa dłużej jeszcze, wtedy dopiero przyjmuje się nowy komplet, który zaczyna znowu studia od początku. Do kompletu słuchaczów wyznaczeni są *ex officio* najzdolniejsi i najbardziej wykwalifikowani oficerowie w stopniu majora, a nawet pułkownika, wyjątkowo – kapitana. Jest to właściwie akademia nauk wojennych dla elity zawodowej wojska. Wykładane są przeważnie nauki specjalne fachu wojennego, ale dodany jest do nich krótki cykl wykładów nauk pomocniczych, mianowicie pięciu następujących przedmiotów: a. prawo konstytucyjne, b. prawo międzynarodowe, c. historia dyplomatyczna, d. ekonomia polityczna i e. psychologia. Przedmioty tego cyklu są wykładane przez 20 godzin każdy – jednorazowo dla jednego kompletu, to znaczy raz na trzy lata. Egzaminów z tych przedmiotów nie ma, ale przesłuchanie jest konieczne. Pierwszy raz – dla pierwszego kompletu słuchaczy – ten cykl wykładów miał miejsce w roku akademickim 1933-1934. Wtedy prawo konstytucyjne wykładałem ja, ekonomię polityczną – prof. Jurgutis, historię dyplomatyczną – Natkiewicz, prawo międzynarodowe – prof. Jaszczenko (psychologii wtedy nie było). Teraz Natkiewicz jest w Paryżu, a Jaszczenko umarł. W przeszłym roku zwrócono się do mnie jako rektora, uprzedzając, że w roku bieżącym cykl tych wykładów będzie powtórzony dla drugiego kompletu słuchaczy i proszono o wyznaczenie prelegentów na miejsce Jaszczenki i Natkiewicza oraz prelegenta psychologii. Na miejsce Jaszczenki zgodził się podjąć wykładów prawa międzynarodowego Kriwicki, na miejsce Natkiewicza – Janulaitis, który się wszakże zaraz cofnął, a do wykładania psychologii, po naradzie z prof. Krėvė-Mickiewiczem i za zgodą zwierzchności kursów, wyznaczyłem prof. Łazersona, Żyda, który się bardzo chętnie zgodził, uważając to za zaszczyt (Żydzi są bardzo wrażliwi na takie zaproszenia).

24 stycznia, rok 1937, niedziela

Jeszcze słówko o wykładach cywilnych na Wyższych Kursach Oficerskich Sztabu Generalnego. Cykl tegoroczny tych wykładów rozpocznie się w drugiej połowie lutego. Wczoraj wezwałem do gabinetu rektorskiego prelegentów – prof. Jurgutisa, Kriwickiego i Łazersona, rozdałem im programy wykładów, w których mogą oni poczynić pewne zmiany, poprawki i uzupełnienia, poinformowałem, poprosiłem o wskazanie dni i godzin wykładowych. Piątego prelegenta – do wykładów historii dyplomatycznej – tymczasem nie mamy. Janulaitis odmówił, Kriwicki także się nie podejmuje. Kandydatami odpowiednimi na prelegentów do tego kursu mogliby być albo adwokat Jakub Robinzon, albo Wacław Sidzikowski. Obaj by się zgodzili. Zaproponuję ich zwierzchności kursów; ale są oni poza uniwersytetem.

Wczoraj wieczorem odwiedził mię syn starszy Eugeniusza Römera, Roch-Edward Römer, tzw. Redzio. Przyjemne na ogół sprawia wrażenie. Ładny młody chłopiec dwudziestoczteroletni, rezolutny, pewny siebie, grzeczny i dobrze ułożony. Ukończył on studia na Politechnice Lwowskiej, egzaminów jeszcze wszystkich nie zdał, obecnie odbywa powinność wojskową litewską w batalionie technicznym, stacjonowanym w Szańcach. Rozmawia rozsądnie i swobodnie. Trzeba go będzie kiedykolwiek zaprosić na obiad lub do teatru. Ładny z niego żołnierzyk.

Przyjechał do Kowna Stefan Römer, który ma zabawić tutaj kilka dni. Był u matki w szpitalu i trochę się z nią pokłócił, bo mu zaczęła wymawiać wydanie plenipotencji Iwanowiczowi. Stefan jest słaby na umyśle i każdy zdoła go obałamucić i podejść. Iwanowicz i niejaki Montwiłł, aferzyści, choć może w gruncie nie nazbyt szkodliwi, przyjechali do niego do Szaszewicz, gdzie on sam jeden siedzi, nagadali mu o pieniądzach do wzięcia od rządu polskiego za upaństwowione lasy w Zamoszu, byli naturalnie bardzo dlań „mili", pewno przy okazji wypili i Stefana przywieźli do Kowna, gdzie on im wydał plenipotencję na „podjęcie" pieniędzy oraz dał przyrzeczenie wypłacenia im za tę „pracę" 50% otrzymanej sumy. Jakie są ich zamiary i kombinacje – nie wiadomo. Ale 50% wynagrodzenia – to szerokie szafowanie, a po wtóre, zachodzi niebezpieczeństwo, że i na resztę części Stefana, o ile się okaże, że on się zgłasza do spadku, rzucą się wierzyciele Stefana, którym on przed kilkunastu laty, bawiąc jeszcze w Winie, powydawał różne zobowiązania i weksle i którzy teraz naturalnie czatują na okazję łupu. I kto wie nawet, czy ci pośrednicy obecni nie działają w kontakcie z tamtymi „wierzycielami". Ale Stefan, nic nie sprawdzając, bez zbadania sytuacji, na słowa Iwanowicza i Montwiłła, wydał im wszystko, co chcieli. Tymczasem plenipotentką jego jest Ewa, która miała sama z mężem tego interesu pilnować i nie ujawniać udziału Stefana. Stefan wszystko Ewie pokrzyżował. A w ogóle cała ta afera spadku zamoszańskiego – to jakiś sfinks.

Wieczorem byliśmy z Jadzią i Stefanem w kinie i potem na kolacji i kabarecie w restauracji „Metropolu".

25 stycznia, rok 1937, poniedziałek

Wśród całego pakietu listów, które mię tu czekały przez czas mojego pobytu świątecznego w Bohdaniszkach, zastałem też list od publicysty Korsaka z redakcji miesięcznika „Kultura". Jest to miesięcznik obozu lewicowego, ciążącego do socjalizmu albo co najmniej do demokracji, jedyne pono poważniejsze pismo lewicowe, które ocalało. Korsak prosi mię o artykuł o nowej konstytucji sowieckiej (tak zwanej konstytucji Stalina). Chętnie to uczynię i cieszę się z tej oferty, bo ideowo bądź co bądź zaliczam siebie do sympatyków lewicy, nawet rewolucyjnej. To prawda, że kierunek moich studiów i wniosków naukowych oddalił mię od demokracji formalnej, co stwarza pewne nieporozumienie i pozory mojego oddalenia się od lewicy, która dziś u nas skłonna jest utożsamiać demokrację ze wszelkim postępem, rewolucją i przeciwstawieniem reakcji. Ale moje oddalenie od demokracji i zwrot ku temu, co nazywam socjokracją albo socjo-demokracją, jest zgoła inny. Moim zdaniem, czynnikiem ruchu jest nie ilość mechaniczna jednostek, jeno związki społeczne i jakość organizacyjna. Demokracja formalna, oparta na mechanizmie liczby, oraz liberalizm – są kategoriami przeżytymi i nie odtwarzającymi rzeczywistości społecznej. Utożsamienie demokracji większościowej i liberalizmu z rewolucją i postępem społecznym – to błąd.

Piszę teraz artykulik o faszyzmie do Encyklopedii Litewskiej.

Otrzymałem z Paryża od redaktora Geneta list, dziękujący za artykuł, który mu z Bohdaniszek posłałem do „Revue Internationale Française du Droit de Gens". Jest to artykuł o trybunale statutowym w odpowiedzi na artykuł niemieckiego profesora Brünse'a, drukowany w październiku w „Esprit International". Artykuł Brünse'a został przetłumaczony na niemiecki i będzie z pewnością propagowany w Kłajpedzie. Trzeba się będzie postarać, aby i ten mój artykuł ukazał się w kłajpedzkich pismach litewskich (litewskich i niemieckim o orientacji litewskiej) w tłumaczeniu, aby paraliżował wykrętne i politycznie agitacyjne wywody Brünse'a, które w Kłajpedzie są nader szkodliwe.

26 stycznia, rok 1937, wtorek

Mało mam dziś na dziennik czasu. Zanotuję tylko urywkowo parę rzeczy.

W sprawie zdrowia Maryni. Wczoraj zastrzyknięto jej salyrganu. Mocz po zastrzyku odchodził przez czas jakiś obficie. Marynia się cieszyła. Byłem u niej wczoraj. Dziś prof. Gudowicz wypuścił jej mechanicznie wodę z płuc. Przekłuł jej ciało między żebrami do płuc i przez rurkę utoczył wody. Ile wyszło wody i czy to było na serio, czy może raczej dla uspokojenia chorej – nie wiem. Marynia

się dziś czuje bardzo słaba i senna. Nie byłem u niej, ale była Jadźka, która ją co dzień systematycznie odwiedza. Gdy wstawała i wychodziła do pi-pi, słaniała się. Ale nie wymiotowała. Piła mleko. Ma wrażenie, że brzuch trochę zmiękł i nie jest tak strasznie wydęty.

Mówiono mi, że przez radio z Polski była ogłoszona nominacja Tadeusza Römera, który dotąd był posłem polskim w Lizbonie w Portugalii, na stanowisko posła polskiego w Tokio w Japonii. Ciekawe stanowisko.

Trzecia rzecz – ale na dziś krótko tylko. Zgodziłem się podjąć krótkiego referatu o konferencjach regionalnych bałtyckich współpracy intelektualnej na zjeździe komisji narodowych międzynarodowej współpracy intelektualnej w lipcu w Paryżu.

27 stycznia, rok 1937, środa

Piszę krótko. Marynia dziś trochę lepiej się ma, ale tylko trochę. Byłem u niej. Męczennica. W każdym razie nie wymiotuje. Pije mleko. Lekarze ją pocieszają, ale ona nie ma już nadziei. Sama wciąż zapowiada, że umrze w kwietniu, bo uważa, że zwykle ludzie umierają koło rocznicy urodzin. Może trafnie przewiduje. Na dłużej niż do kwietnia chyba jej życia nie wystarczy. Ale kto wie nawet, czy nie prędzej umrze.

O niczym innym pisać nie chcę.

28 stycznia, rok 1937, czwartek

Kto wie, czy nieunikniona katastrofa, która przetnie życie Maryni, nie nastąpi prędzej niż sądziłem? Dziś był dzień szczególnie ciężki. Nie miałem czasu być u niej, ale biegała do niej i krzątała się w jej interesach Jadzia. Zastrzyknięto rano Maryni dawkę salyrganu, podwójną w porównaniu do pierwszej. Moczu wyszło 1 ½ litra. Ale chora tak osłabła, że trzeba było jej zastrzyknąć kamfory na podtrzymanie działania serca. Marynia bała się umrzeć dziś jeszcze. Właściwie nie bała się, nawet pragnęła tego, ale chciała uporządkować sprawę testamentu i bała się, że umrze przed zakończeniem tego aktu. Sama jeszcze ostatkiem sił zrobiła nowy dopisek do testamentu i jak zbawienia czekała Jadzi, aby ta pozbierała dziś jeszcze podpisy świadków na testamencie. Odwiedzał ją Stefan, ale ten jest w ogóle niepoczytalny i z niego Marynia nic nie ma, a nawet nie może mu nic polecić w sprawie testamentu, bo Stefan nie tylko by nic zrobić nie potrafił, ale i nie chciał i zniszczyłby lub schował testament, który go obraża, gdyż nie jemu, ale jego córce Steni jego schedę zapisuje. Ze Stefanem nawet pomówić Marynia nie może, bo w ogóle u niego mgła w głowie. Ucieszyła się Maryńka, gdy Jadzia przyszła. Jadzia po obiedzie załatwiła wszystko, co do testamentu należy. Zebrała podpisy świadków, prof. Mażylisa i p. Mašiotasowej, i sama się podpisała i wieczorem o siódmej odniosła gotowy testament Maryni. Zastała Marynię w ciężkim stanie, ale znowu niesłychanie podnieconą oczekiwaniem Jadzi, którą przyjęła jak anioła. Testament dała Jadzi dla wręczenia mnie i udzieliła jej zleceń szczegółowych na wypadek śmierci i pogrzebu. Jadzia z Onutią umyła jej nogi, Maryńka jej powiedziała, jak ją ubrać do trumny, co włożyć do rąk i do trumny, jak i dokąd zawieźć ciało, gdzie i kiedy pochować itd. Bała się, że już nocy nie przeżyje. Chciała też sprowadzić księdza na jutro rano, mianowicie ks. Lausa, jedynego księdza Polaka, patriotę polskiego tutaj, *sui generis* biskupa narodowego polskiego w Litwie. Jadzia zaraz to wieczorem załatwiła. Przez p. Mašiotasową ksiądz Laus został zaproszony na jutro rano do szpitala do Maryni, którą wyspowiada i da ostatnie namaszczenie. Z polecenia też Maryni Jadzia wyszukała Stefana na dworcu kolejowym, gotującego się do wyjazdu do Bohdaniszek, i zatrzymała go (Stefan z polecenia Iwanowicza, który nim teraz kieruje, jechał na poszukiwanie fotografii Wacława Römera). U łoża Maryni czuwa siostrzyczka, bo zachodzi niebezpieczeństwo śmierci. Zapewne jutro wezwiemy telegraficznie Elwirę. Do Ewy mam list napisany, ale okazję wysłania będę miał dopiero we czwartek czy środę przez p. Nowakasową, wyjeżdżającą za granicę. Kto wie jednak, czy ten list nie spóźni się. W razie śmierci Maryni będę telegrafował do Ewy przez Antoniego Römera w Łotwie.

29 stycznia, rok 1937, piątek

Maryni dziś jest trochę lepiej. Krytyczny stan wczorajszy przeminął. Tak źle było wczoraj i we wtorek. Był to z pewnością skutek salyrganu; wypędzenie wody z organizmu nie mechanicznie, ale fizjologicznie, przez działanie samych organów ciała, w tym wypadku nerek i serca, które pędzą mocz, osłabia chorego. Toteż serce Maryni, sforsowane, było wyczerpane. Dlatego była tak słaba i dlatego trzeba było zastrzykiwać kamforę. Wszakże przez dwa zastrzyki salyrganu wody z moczem wyszło trzy litry. Zważywszy, że Marynia nic prawie nie je i nie pije, bo nie może, w tej ilości moczu były niewątpliwie i zastoje wody. Marynia sama teraz czuje, że wybrzękłość brzucha zelżała; więcej jednak salyrganu brać nie będzie i prof. Mažylis też jej powiedział, że więcej nie potrzeba. Salyrgan – to środek prof. Gudowicza. Marynia trochę jest na Gudowicza nastawiona, gorszy się jego radykalizmem i gwałtownością środków. W istocie jednak Gudowicz to robił bez wiary w skuteczność, bo nic już Maryni uratować nie może, jeno na naszą prośbę, żeby jej uczynić wrażenie leczenia energicznego i podnieść jej poczucie moralne. Marynia dziś już mówiła o tym, że niebawem wyjdzie ze szpitala, wróci do mieszkania mego i stamtąd chodzić będzie do szpitala na seanse rentgenizacji. Chory, leżąc w łóżku, zawsze przecenia siły swoje; myśli, że będzie mógł chodzić, że już jest dobrze. Ale o jakim tu powrocie do sił mówić można, skoro Marynia od miesiąca prawie nic nie je. Raz na kilka dni coś zje, skądinąd zaś co zje – to zwymiotuje albo taką już czuje do wymiotów dyspozycję na sam widok albo myśl o jedzeniu, że jeść nawet nie próbuje. Rano dziś był u Maryni ksiądz Laus, który ją wyspowiadał i dał ostatnie namaszczenie.

Wieczorem wrócił z Bohdaniszek Andrzej Mieczkowski. Elwira czeka w Bohdaniszkach wezwania, gotowa do przyjazdu do łoża chorej lub umierającej Maryni. Pisze, że odbyła jakąś świętobliwa pobożną „adorację" na intencję zdrowia Maryni. Kotunia Pruszanowska znów ma przysłać dla Maryni przez powracającą z Polski Elizkę Komorowską „cudowną" „wodę z Lourdes". Jedni dają Maryni „adorację" lub „wodę cudowną", ja zaś – nic cudownego ani dającego tanim kosztem miejsce w niebie, jeno 1000 litów. „Adorację" dać byłoby z pewnością taniej. Ale to, co ja dałem, dałem z tego, co sobie odebrałem. Zresztą każdy daje – co może i co uważa za główne.

30 stycznia, rok 1937, sobota

Marynia miała się dziś znowu znacznie lepiej. Nie byłem u niej. Odwiedzała ją Jadzia z Andrzejem. Jest silniejsza, siada, rusza się, je po trochę. Nosi się już z zamiarem wypisania się wkrótce ze szpitala. Chory zawsze lubi zmieniać miejsce.

Wieczorem dziś miał miejsce wielki bal francuski. Właściwie mnie, jako prezesowi Towarzystwa Litewsko-Francuskiego, wypadało być na nim. Ze względu jednak na chorobę Maryni wymówiłem się. Ochoty do balu w ogóle nie miałem. Do uniwersytetu przyszło zaproszenie od akademickiego związku zbliżenia z Bałtyką w Sztokholmie wydelegowania czterech studentów naszego uniwersytetu na specjalne kursy, które ten związek studentów szwedzkich zorganizował dla grupy studentów z krajów bałtyckich (Litwy, Łotwy i Estonii) i które mają się rozpocząć w końcu lutego. Jest to bardzo ładna inicjatywa i bardzo użyteczny pomysł. Szwedzi są praktyczni i rzeczowi i swoje zainteresowanie do krajów bałtyckich realizują w formach bardzo konkretnych. Na kursy te złoży się cykl wykładów o Szwecji, o jej cywilizacji, o kraju, o gospodarstwie, przemyśle, postępach techniki. Będą też zarządzone wycieczki krajoznawcze i wycieczki do różnych wielkich przedsiębiorstw i urządzeń, które mają zapoznać kursantów ze Szwecją praktycznie. Zwierzchnikiem kursów będzie rektor uniwersytetu w Sztokholmie prof. Tunberg. Przejazd statkiem z Kłajpedy do Sztokholmu i z powrotem na parowcu „Marieholm", mieszkanie i utrzymanie w Sztokholmie, wykłady, jazda autobusami i koleją żelazną na wycieczki – bezpłatne. Śliczny pomysł i wspaniały akt kontaktu. W grudniu już uprzedzał nas o tym poufnie nasz poseł Sawicki.

31 stycznia, rok 1937, niedziela

Jadźka coś niedomaga. Zdaje się – nic ciężkiego, ale jakiś feler jest. Doświadcza często wydęcia i zgagi. W ostatnich zaś czasach doświadcza jakiegoś brzęknięcia. Szczególnie ręce jej

brzękną. Analiza wszakże wykazuje, ze nerki są zdrowe, a dr Ławrynowicz, który jest jej lekarzem od lat wielu, stwierdza, że w ogóle organy wewnętrzne – serce, wątroba, płuca – są zdrowe. Doktor przypuszcza, że to brzęknięcie pochodzi od żołądka i że pewien rodzaj pokarmów jest da Jadzi ujemny. Ale jaki to rodzaj pokarmów – tego określić nie może i to usiłuje stwierdzić doświadczeniem, nakazując Jadzi zmieniać pożywienie tak, aby jednego dnia jadła wyłącznie owoce (jabłka) i piła wodę, następnie parę dni była na mleku, potem znów na jarzyny, obserwując, jaki będzie skutek każdego rodzaju pokarmu. Dziś więc Jadzia ma post ścisły. Nic nie je przez cały dzień oprócz jabłek i nie pije ani kawy, ani herbaty. Ciężkie to doświadczenie.

Jadzia więc jest na diecie, a jej wychowanka Renia przeziębiła się, gorączkuje i leży w łóżku. Szpital w domu.

Zmieniła się dziś u nas służąca. Onutė odeszła. Miła była i bardzo dobrego charakteru, miękka, łagodna, bardzo kobieca, ale lekkomyślna i kochliwa, a raczej nie tyle kochliwa, ile lgnąca do zabawy, do chłopców, do wszystkiego, co tchnie zmysłami. Trudno jej było wybyć za służącą domową, bo choć jest pracowita i w pracy sumienna, jednak myśli tylko o tym, żeby odbyć pracę i lecieć w gwar zabawy, schadzek, flirtu, spotkań, spacerów, wieczorków. Ale bardzo ładnie zakończyła swą służbę, wszystko w mieszkaniu uprzątnęła, zostawiła czyściutko i uchodzi pogodna i wesoła. Zamieszka na razie u siostry zamężnej i będzie szukała pracy w fabryce lub jakim zakładzie, żeby po pracy mieć czas wolny dla siebie. Na jej miejsce przyjechała Anna Kundrotówna, rodem z Rukiel, dziewczyna już podżyła, lat zapewne przeszło 40, którą Jadzia w Bohdaniszkach jeszcze najęła. Służyła już ona w Kownie i podobno jest dość wykwalifikowana.

Bardzo się udało „Lietuvs Audasowi"dać odprawę radio polskiemu i polskiej agencji telegraficznej „PAT", która rozgłosiły w Polsce znany wypadek zamordowania barbarzyńskiego pięciu osób w sklepie Fögla w jednym z miasteczek litewskich. Morderca, niejaki Pogużyński, dla zrabowania pieniędzy w sklepie wymordował całą tę rodzinę uderzeniami młotka po głowie. Morderca został wykryty i już jest osądzony na karę śmierci – czeka obecnie egzekucji. Otóż radio polskie i „PAT" rozgłosiły o tym wypadku jako o cechującym dzikie barbarzyństwo panujące w Litwie. Na to „Lietuvos Aidas" odpowiedział krótko, ograniczając się do stwierdzenia, że właśnie językiem domowym mordercy Pogużyńskiego był język – polski!

Ogłoszona została dość sensacyjna ustawa o wykonywaniu kary śmierci przez gazy trujące. Zdaje się, że to jest nowela w tej dziedzinie. Dotąd wykonywano karę śmierci przez rozstrzelanie, ale wojsku nie bardzo się podoba wykonywanie egzekucji, a zresztą rozstrzelanie stosować się może tylko do wyroków sądów wojennych. Dla wyroków sądów karnych zwyczajnych ustawy dotąd przepisywały powieszenie, ale w Litwie faktycznie powieszenie nie było stosowane i nie było kata. Gazy trujące będą prostsze niż powieszenie i automatyczne. Ma być wybudowana kamera śmierci w więzieniu w Kownie.

1 lutego, rok 1937, poniedziałek

Zwołałem posiedzenia rektoratu z udziałem dziekana i sekretarza Wydziału Prawniczego (Janulaitisa i Antoniego Tamošaitisa) dla omówienia zaproszenia szwedzkiego na kursy miesięczne społeczno-ekonomiczne w Sztokholmie dla grupy studentów Litwinów, Łotyszów i Estończyków. Obecny był też lektor języka szwedzkiego Falk. Byliśmy wszyscy zachwyceni tą inicjatywą młodzieży szwedzkiej. W tych dniach upatrzeni zostaną kandydaci do udziału w tych kursach. Z naszego uniwersytetu weźmie udział czterech studentów; upatrzeni są już dwaj ewentualni kandydaci, umiejący nieco po szwedzku – ekonomista Sabalis i technik Manumaitis. Wypadnie i nam pomyśleć o zrewanżowaniu się Szwedom. Przychodzi mi na myśl pomysł taki, aby analogiczne kursy dla grupy studentów Szwedów urządzić w przyszłym roku wspólnie u nas, w Łotwie i Estonii, po dziesięć dni w każdym kraju. Z pewnością Szwedzi nie nauczą się od nas niczego, ale poznanie naszych krajów bałtyckich ze stanowiska gospodarczego jako ewentualnych rynków i zarazem dostawców surowców, a może poniekąd i współpracowników politycznych może mieć dla Szwedów walor. Moglibyśmy ich zapoznać z rezultatami reformy agrarnej u nas, z usiłowaniami urbanizacji,

bardzo skromnymi co prawda, ale bądź co bądź postępowymi w porównaniu z tym, od czego zaczęliśmy, z organizacją eksportu i kooperacji u nas, z takimi przedsięwzięciami społecznymi, jak „Maistas", „Lietukis", „Pienocentras". Łotysze i Estończycy też by zaprezentowali siebie. Obraz organizacji społecznej i ewolucji Bałtyki Wschodniej mógłby być ciekawy do wystudiowania dla Szwedów.

2 lutego, rok 1937, wtorek

Po dłuższym okresie dość wielkich mrozów, które dochodziły do 20 i więcej stopni Celsjusza, mróz obecnie spada. Ale śniegu wciąż nie ma – ziemia ledwie przyprószona, sanny ani śladu.

Stan Maryni wciąż bardzo ciężki. Po paru dniach polepszenia, które nastąpiły po krytycznym czwartku, znów się stan pogorszył; chora jest bardzo słaba, wymęczona i wyczerpana, ledwie żyje, schnie; najstraszniejsze są paroksyzmy wymiotów, które ją strasznie męczą, a które byle co wywołuje. Właściwie żyje ona bez pokarmu. Wczoraj ją znowu rentgenizowano, ale już nie znosi ona tego. Już byłoby dobrze, żeby umarła, choć mi jej straszny żal; żal utraty biednej siostry, ale i jej męki żal; boli mię nawet samo myślenie o niej, tak strasznie cierpiącej na swoim łożu w samotnym pokoiku szpitalnym. Trzeba będzie choć na kilka dni sprowadzić Elwirę. Odwiedza ją po parę razy dziennie Jadzia, odwiedza Andrzej, odwiedza teraz Stefan, który znów na parę dni przyjechał, ja odwiedzam co drugi dzień. Co to za straszna okrutna choroba – rak.

Poza innymi pracami mymi mam teraz do napisania krótkie wspomnienia o Ludwiku Krzywickim do wydawnictwa zbiorowego o nim, wydawanego w Warszawie na rzecz jego jubileuszu naukowego. Michał Biržiška i Purėnas już mi doręczyli swoje krótkie artykuliki o Krzywickim.

Miałem dziś na uniwersytecie posiedzenie komisji współpracy intelektualnej. Omawialiśmy rewanż akademicki dla młodzieży szwedzkiej oraz kwestię utworzenia podkomisji historyków, geografów, etnografów i archeologów dla odpierania ataków niemieckich na pochodzenie litewskie Kraju Kłajpedzkiego, opartych, niestety, na fałszowaniu nauki. Miałem też wykład wieczorem.

Gazety ogłosiły już stracenie w Moskwie trzynastu skazanych w drugim procesie trockistów. Ciekawe, że jednak Karola Radka i Sokolnikowa sąd wojenny na śmierć nie skazał. Wpłynęły na to chyba ich stosunki osobiste za granicą. Straszne są jednak takie egzekucje gremialne w tak późnym okresie rewolucji; dziki jest ten terror formalny, skierowany do opozycji, ale to logiczne i w naturze rzeczy w rządach opartych na dogmacie wykluczającym tolerancję. Wszak to to samo, co Święta Inkwizycja i jakobinizm Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

3 lutego, rok 1937, środa

Na dzisiejszym obiedzie Rotary-Clubu referacik o myślistwie w Litwie wygłosił członek klubu, dyrektor Departamentu Leśnego Rukuiża. Referacik ten wraz z wymianą zdań, która się po nim wywiązała między Rukuiżą i prof. Pakštasem, był bardzo ciekawy. Z grubszej zwierzyny doprowadzono już do zadowalającego stanu łosia i dziki. Łosi, których po wojnie pozostało na terytorium Litwy, nie licząc łosi umiejscowionych na Mierzei Kurońskiej, zaledwie kilka sztuk, jest obecnie 200. Główna ich ilość jest w tzw. Puszczy Zielonej na pograniczu powiatów wiłkomierskiego i poniewieskiego, poza tym w różnych innych miejscach. Na większą ilość łosi w Litwie już brak miejsca; w Puszczy Zielonej ilość łosi już jest za wielka; szkodzą one porostowi młodego lasu, bo kaleczą drzewka i ogryzają wierzchołki drzew młodych; wszystkie młode drzewa w tej puszczy są uszkodzone. Łosie względnie mniej robią szkód w polu, ale są wielkimi szkodnikami lasów. Natomiast dziki są plagą rolnika w okolicach podleśnych, gdzie się one mnożą. W lesie dzik jest użyteczny, bo ryjąc spulchnia ziemię. Natomiast pod jesień rzucają się one na pola i niemiłosiernie niszczą kartofle. Trochę jest też jeleni. Saren natomiast już jest pełno, a zajęcy – bez liku. W stosunku do ptactwa wodnego utworzono rezerwat na jeziorze Żuwintach, upaństwowionym. W grupie jezior metelskich pierwsza para przyleciała tam przed kilku laty i zagnieździła się, obecnie zaś jest już ich do 18 sztuk. W zimie, kiedy jeziora te zamarzają, odlatują one na południowy

wschód, ale z wiosną wracają. Są one strzeżone przez specjalne organy straży leśnej. Głuszców jeszcze jest mało, ale są one w lasach łabonarskich i mają być zainstalowane także gdzie indziej. Co do możliwości hodowania w lasach litewskich żubrów i niedźwiedzi, jak to sądzi Pakštas, Rukuiża ma wątpliwości, chociaż w Estonii niedźwiedzie już są zahodowane. Pakštas podnosił kwestię utworzenia większych rezerwatów leśnych, czyli narodowych parków natury na wzór istniejących w Stanach Zjednoczonych, aczkolwiek na mniejszą skalę, i zakładanych teraz w innych krajach. Wskazywał szczególnie na duży las puński (koło Puni) w pętli Niemna; jest tam przeszło 2000 ha przepięknego lasu, podobno jednego z najpiękniejszych w Europie, a jak mówi Rukuiża – jodły są w tym lesie fenomenalnej rekordowej wysokości. Rukuiża wskazał jednak na szereg trudności na rzecz utworzenia tego rezerwatu. Las ten daje państwu parę tysięcy litów dochodu rocznie, poza tym wciąż jeszcze są debatowane pomysły wykorzystania tej pętli Niemna na utworzenie wielkiej stacji hydraulicznej, służącej do elektryfikacji kraju. Gdyby to doszło do skutku, większa część lasu puńskiego zostałaby zatopiona. Rezerwat lokalny leśny utworzony został świeżo przez ministra Putwińskiego w lesie sosnowym pod Łabonarami.

4 lutego, rok 1937, czwartek

Bawi w Kownie Julek Komorowski. Szuka tu korepetytora do nauki swoich chłopców. Z Kowaliszkami nic jeszcze nie zdecydowano. Dzierżawców na Kowaliszki nie znaleziono. Zgłaszających się było dużo, ale albo nie dawali ewikcji wypłatności, albo proponowali za niską cenę dzierżawczą. Na razie jest tam zacisze, ale gdy znowu przyjdzie termin płacenia – będzie znowu źle. Wyjeżdżać na dzierżawę pod Telsze Julkowie się nie zdecydowali, bo byłby wielki koszt. Co będzie dalej – nie wiadomo. Julek myśli o oddaniu swojej schedy Bankowi Polskiemu, zastrzegając prawa Hektora, zastanawia się nad oddaniem synów do korpusu kadetów w Polsce, co sam ze sobą zrobi – nie wie. Zresztą wszystko jest w zawieszeniu, a tymczasem Kowaliszki są wciąż zagrożone.

Julek odwiedzał Marynię. Płakał, gdy ją zobaczył tak schorowaną i wynędzniałą.

Miałem dziś w gabinecie rektorskim naradę z generałem Aleksandrem Kurkowskim i młodym Aleksandrem Broel-Platerem w przedmiocie dalszych losów naszego krajowego związku Pan-Europy. Zainteresowanie tą ideą jest u nas małe, w ogóle zresztą w tych czasach stała się ona niezbyt popularna i zakrawa na utopię wobec zbrojeń i szerzenia się w świecie ducha imperializmu i militaryzmu (Niemcy, Włochy, Japonia, powstanie generałów w Hiszpanii). Ale bez utopii nie byłoby postępu. Wszystkie idee zaczynają się od utopii. Naszemu krajowemu związkowi Pan-Europy nie powodzi się w naszym społeczeństwie. Zainteresowanie – minimalne. Na ogólne zebranie nikt nie przychodzi. Byliśmy więc już zdecydowani z generałem Kurkowskim dać zamrzeć tej organizacji. Ale oto znalazło się kilku młodych (Aleksander Broel-Plater, młody prawnik Buszacki, Kutra), którzy się żywo tą ideą interesują. Mamy więc w przyszłym tygodniu zwołać naradę tych kilku z nami i powziąć decyzje.

5 lutego, rok 1937, piątek

Studenci często narzekają, że mają trudność z egzaminami u mnie, bo listy zapisanych do egzaminu są tak ogromne, wynoszące po kilkaset nazwisk, że nie ma sposobu doczekać się kolejki. Ponieważ są trzy rodzaje egzaminu u mnie – a. egzamin z części ogólnej prawa konstytucyjnego dla prawników, b. egzamin z części ogólnej prawa konstytucyjnego dla ekonomistów i c. egzamin z prawa konstytucyjnego litewskiego, więc są trzy listy kandydatów. Egzamin się robi raz z jednego, następnie z drugiego, wreszcie z trzeciego przedmiotu i tak w kółko. Egzaminuję przez cały rok okrągły, gdy jestem w Kownie, jeden dzień w tygodniu, nie więcej jak po czterech studentów naraz. Tylko będąc w Bohdaniszkach pozwalam przyjeżdżać do egzaminu częściej i w nieco większej ilości (po pięciu naraz); jest to klapa bezpieczeństwa, która daje możność pewnego wyfiltrowania nadmiaru zastojów. Z pewnością taki mechanizm likwidowania egzaminów jest dosyć ciężki i może powodować dłuższe zastoje oczekiwania kolejki. Ale skądinąd studenci nie mają racji narzekania na taki tryb egzaminów, skoro sami te kolejki opuszczają. Oto w ubiegłym tygodniu na dzień

egzaminów nikt się do kompletu egzaminujących się nie stanął. Ani jeden. A znów na dziś znalazło się ledwie dwóch. A przecież jeżeli pierwsi z kolejki nie stają, to ich miejsca mogą zająć inni, dalej zapisani, którzy by tą drogą mogli skrócić swój czas oczekiwania. Skarżą się, że im za mało czterech na tydzień, a oto zdarzają się tygodnie, że nikt nie staje, a bardzo częste jest zjawisko, że zamiast czterech staje do egzaminu tylko trzech albo nawet dwóch.

O Maryńce biednej nie ma nawet co pisać. Jest źle.

Miałem dziś naradę z profesorami ekonomistami w sprawie wyboru kandydatów na kursy w Sztokholmie.

6 lutego, rok 1937, sobota

Wpadł dziś do mnie do gabinetu rektorskiego poseł czechosłowacki p. Skalicky dla zakomunikowania propozycji przyjazdu do Kowna i wygłoszenia na uniwersytecie naszym dwóch wykładów przez wybitnego uczonego czeskiego profesora uniwersytetu czeskiego w Pradze prof. Hroznego. Prof. Hrozny jest jednym z wynalazców (może nawet właściwym wynalazcą) starożytnej, do ostatnich czasów nauce społecznej nieznanej cywilizacji tzw. hetyckiej, która istniała bodajże w Azji Mniejszej na kilka tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa. Odkrycie tej cywilizacji w ostatnich leciech jest jedną z wielkich sensacji naukowych. O cywilizacji tej świadczą wykopaliska gdzieś w pustyni i zwłaszcza do poznania jej przyczyniło się wyczytanie pisma klinowego na tabliczkach bogatej biblioteki, znalezionej w tych wykopaliskach. Prof. Hrozny, uczony sławy światowej w tej dziedzinie, mając trochę czasu wolnego między 22 lutego a 7 marca, wyraził chęć odbycia wycieczki z wykładami do trzech ośrodków uniwersyteckich bałtyckich w Kownie, Rydze i Tartu. Wykłady mają być ilustrowane epidiaskopem. Z pewnością będzie to dla nas bardzo ciekawe, tak dla studentów, jak dla profesury. Nie wątpię, że uniwersytet przyjmie tę propozycję z radością, toteż z góry podziękowałem Skalickiemu, a dla omówienia szczegółów wniosę tę kwestię na posiedzenie zarządu akademickiego (rektoratu) w poniedziałek z udziałem dziekana Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewicza i prof. geografii Pakštasa.

Wieczorem, raczej już w nocy, wybrałem się dziś na wielki bal dziennikarzy, jeden z największych balów obecnego karnawału. Bal odbywał się w sali nowego gmachu klubu oficerskiego „Karininkų Ramovė” przy ulicy Mickiewicza. Nie znałem tego lokalu, który zresztą niedawno został otwarty, a pierwszy bal w nim się odbył w ubiegłą sobotę (bal francuski). Bal był wspaniały i ilość gości była ogromna, że trudno było się ruszać, a tłum taneczny poruszał się w ścisku zupełnym, tym bardziej, że część wielkiej sali była zastawiona stolikami, przy których siedziano i raczono się. Wentylacja co prawda niezła, choć sufity niskie, bo sufit jest oszklony w kwadraty, przez które z góry spływa światło zmieniając kolory – czerwony jaskrawy, zielony, żółty, błękitny, różnych odcieni – od jaskrawych do matowych i przyćmionych, co ładny efekt czyni. Był też bar z whisky, kruszonem itd. Była wielka loteria fantowa z sensacyjnymi losami. Bal był filmowany. Kilkakrotnie i mnie na film złapano, raz w barze, drugi – na sali przy słuchaniu kupletów. Śpiewane były kuplety dziadowskie na aktualia, wykonywane przez uosobione trzy wielkie dzienniki – „Lietuvos Aidas”, „XX amžius” i „Lietuvos Žinios”; był także śpiew charakterystyczny przez solistów Opery. Jest to jedyny bal, na którym byłem w tym karnawale. Choć nie tańczę, ale lubię pójść czasem na taką zabawę publiczną, gdzie mam okazję spotkania się i zobaczenia z wielu ludźmi, z którymi moja praca fachowa nie daje mi okazji stykania się zwyczajnego. Wielu było ministrów i posłów zagranicznych. Byłem przez gospodarzy balu także zainstalowany w gabinecie gości honorowych, ministrów i posłów, ale mało tam przebywałem; przeważnie się kręciłem po sali, siedziałem też długo przy stoliku Vileišisów, gdzie siedzieli pp. Janostwo Vileišisowie i ich córki sympatyczne z zięciami. Zabawiłem się nieźle, ale już przed drugą wyszedłem.

7 lutego, rok 1937, niedziela

Niewyspany byłem i z domu cały dzień nie wychodziłem, tylko wieczorem koło dziewiątej poszedłem na koncert chóru akademickiego do uniwersytetu. Śpiewał chór, śpiewały solistki Opery

panie Kardelienė i Lipčienė, grał na skrzypcach artysta Motiekaitis, na fortepianie wykonywał własne kompozycje kompozytor Nabažas. Po koncercie byłem proszony o krótkie przemówienie z podziękowaniem dla solistów, którzy bezinteresownie zasilają koncerty chóru akademickiego. Nasz chór akademicki powziął śmiały projekt udania się na Wystawę Powszechną w Paryżu tego lata i tam koncertami swymi zasilać atrakcje pawilonu bałtyckiego. Oczywiście zależy to od decyzji bałtyckiego (litewsko-łotewsko-estońskiego) komitetu wystawowego (pawilon bałtycki jest wspólny dla tych trzech państw) i od sfinansowania podróży przez rząd. W tym celu na koncert dzisiejszy zaproszona była panna Avietinaitė z sekcji propagandy Ministerium Spraw Zagranicznych; chodziło o to, aby się przekonała o wartości artystycznej chóru. Zdaje się jednak, że „egzamin" wypadł nienajlepiej, bo p. Avietinaitė, wychodząc, wyraziła mi zdziwienie, ze chór akademicki odważa się na takie śmiałe przedsięwzięcie. Chór jednak spodziewa się poparcia jeżeli nie Ministerium Spraw Zagranicznych, to przynajmniej Departamentu Kultury Ministerium Oświaty. Jeżeli jednak opinia Ministerium Spraw Zagranicznych będzie ujemna, to wątpię, aby się coś udało wskórać w sprawie tej jazdy.

Z Bohdaniszek dziś rano przyjechała do Kowna Adela z Felą. Ja jej tę wycieczkę zafundowałem. Dzień spędziła u nas. Była z Jadzią u Maryni, wieczorem Jadzia ją i Felę oraz Renię do teatru zaprowadziła na przedstawienie dowcipnej i doskonale granej sztuki w tłumaczeniu z łotewskiego „Wesoły dzień krawca z Siłuczów" (zdaje się, że taki jest tytuł czy coś podobnego). Byliśmy przed Bożym Narodzeniem na tej sztuce z Jadzią i Andrzejem; bardzo się nam podobała, pełna werwy i bardzo charakterystyczna. Mała Fela jednak nie rozumiała akcji i pod koniec się nudziła i chciała wychodzić; a gdy na scenie ukazał się Żyd z kramą, przestraszyła się i przykucnęła pod fotel, żeby Żyd jej nie porwał.

8 lutego, rok 1937, poniedziałek

Miałem dziś długie i pracowite, przeszło dwugodzinne posiedzenie naszego zarządu akademickiego, czyli rektoratu, którego zebranie, dające się zwołać na poczekaniu, stanowią innowację, zarządzoną za mojego rektoratu. Zarząd akademicki – to rektor, oboje prorektorzy i sekretarz uniwersytetu, to znaczy kolegium tych osób zwierzchności uniwersyteckiej, które pochodzą z wyborów całej profesury (Rady Uniwersyteckiej). Ten organ funkcjonalny „zarządu akademickiego" („universiteto vadovybė"), aczkolwiek nieurzędowy i nie wspomniany wcale w statucie, jest jednak bardzo użyteczny. Nie ma on żadnej kompetencji formalnej, jest łatwy do zwołania, giętki, o wiele giętszy od senatu, który jest i liczniejszy, i bardziej skomplikowany, bardziej przez dziekanów związany z wydziałami. Zarząd uniwersytecki – to rada rektora, w której można się naradzić i lepiej trudniejsze rzeczy obmyślić.

Mieliśmy dziś wyznaczyć czterech studentów, delegowanych na kursy społeczno-ekonomiczne w Sztokholmie. Dwaj pierwsi kandydaci, których byliśmy upatrzyli na początku – Sabalis i Mamunaitis – odpadli: pierwszy nie może jechać dla przyczyn służbowych, drugi – nie jest ekonomistą. Profesura sekcji ekonomicznej wraz z dekanatem Wydziału Prawniczego po dokonaniu selekcji zgłosiła nam sześciu kandydatów. Z nich musieliśmy wybrać czterech. Wybór nasz padł na czterech następujących studentów ekonomistów: a. Władysław Żyliński, ekonomista VIII semestru, służy w Ministerium Spraw Zagranicznych, zna trochę język szwedzki, był w Szwecji, umie po duńsku, niemiecku, francusku i angielsku; b. Edward Meškas, ekonomista VIII semestru, zalecany przez profesurę; c. Ribikowski, prawnik dyplomowany, obecnie na VI semestrze sekcji ekonomicznej; d. Józef Bačkis, ekonomista VI semestru, oficer, słuchacz kursów oficerskich Sztabu Generalnego sekcji intendentury. Po niemiecku umieją wszyscy. Dwóch pozostałych wybrakowaliśmy. Kandydaci, którzy zostali ostatecznie zakwalifikowani, cieszą się bardzo. Rzeczywiście będą to dla nich ciekawe kursy w Szwecji. Użyteczne to będzie i dla nich, i dla nas.

9 lutego, rok 1937, wtorek

Zapusty. Wtorek tłusty. W godzinach zwykłych byłem na stanowisku w rektoracie. Od godziny szóstej do siódmej byłem na herbatce tanecznej Towarzystwa Litewsko-Francuskiego w lokalu towarzystwa. Lubię te herbatki. Widzi się tam różnych ludzi, ma się okazję do załatwienia różnych potrzeb. Nastrój był wesoły.

Maryńka, u której dziś nie byłem, pali się cała do wypisania się ze szpitala, który się już jej bardzo uprzykrzył. Na razie nazywała szpital „rajem dla chorych". Teraz uważa, że dopiero po wyjściu ze szpitala wróci nieco do sił i odchwyci się. Chce ze szpitala wyjść wpierw do mego mieszkania, a dopiero stąd wyjechać do Bohdaniszek. Chciałaby już zaraz, już jutro wypisać się ze szpitala i przenieść się do mego mieszkania. Ale mnie bardzo trudno trzymać w mieszkaniu tak ciężko chorą. Trzeba jej dać pokój jadalny, ale gdzie wtedy będzie spać Renia i gdzie będzie miał swój stolik do pracy Andrzej? A cóż jeszcze będzie, gdy przyjedzie Elwira, którą już wezwałem. I samej Maryni byłoby u mnie ciasno i o opiekę, o dozór fachowy trudno. Biedna chora jest kapryśna i niecierpliwa.

10 lutego, rok 1937, środa

Popielec.

Byłem na uniwersytecie i na obiedzie Rotary-Clubu.

Moja tegoroczna „seniunė", czyli moja zastępczyni w porządkowaniu studentów w sprawach mojej katedry – p. Danutė Gudowiczówna, córka prof. Gudowicza, okazała się cierpiąca na płuca (pozostałości starego plewrytu) i wyjeżdża na kurację do Szwajcarii w góry. Zrzekła się przeto z konieczności swego obowiązku przed upływem roku akademickiego. Bardzo starannie i umiejętnie zresztą te czynności wykonywała. Wyznaczyłem na jej miejsce pilną i bardzo miłą studentkę moją z IV semestru sekcji prawniczej, cichą i subtelną, a bardzo staranną i akuratna młodą mężatkę (bodajże już wdowę) p. Zofię Skirgaiłównę-Hermanowiczową, Polkę, jedną z najsympatyczniejszych studentek moich o bardzo ładnych łagodnych oczach i drobniutkiej twarzyczce. Bardzo mi była wdzięczna za ten dowód zaufania, choć to przecie praca dość żmudna.

11 lutego, rok 1937, czwartek

Był list Elwiry, że przyjeżdża jutro wieczorem pociągiem prędkim. Przyjeżdża, żeby odwieźć Maryńkę biedną do Bohdaniszek.

Byłem dziś wezwany, jak co roku przed dniem 16 lutego, na posiedzenie Rady Orderu Wielkiego Księcia Giedymina w gabinecie sekretarza prezydentury Bielskusa, który jest kanclerzem orderu. Rada zebrała się w komplecie pod przewodnictwem swego prezesa generała Šniukšty, obecnie już dymisjonowanego emeryta, w osobach członków: przestarzałego przeszło 80-letniego generała Buloty, księdza kanonika profesora Kazimierza Šaulysa, burmistrza Merkysa, dr Zauniusa i mnie. Odczytywaliśmy całą litanię zgłoszonych przez różnych ministrów kandydatów do orderu i medalu Giedymina różnego stopnia. Zanotuję, że przez ministra oświaty spośród profesury uniwersytetu przedstawiony jest do orderu (III stopnia) jedyny prof. Albin Rimka. Dlaczego właśnie on – nie wiem ani ja, ani sam Rimka, również jak nie wiedzieliśmy w roku ubiegłym, dlaczego był przedstawiony także jedyny prof. Končius. Rimka należy do opozycji, jest ludowcem partyjnym i był ministrem w rządzie lewicowym z roku 1926, który został obalony przez przewrót grudniowy. Ludowcy na ogół są przeciwnicy orderów, wprowadzonych przez rządy obecne. Rimka jednak, zapytany przed tygodniem przeze mnie urzędowo, czy zgadza się przyjąć order, do którego go minister przedstawił, oświadczył, że (choć go nigdy nie nałoży, bo zresztą w ogóle fraku nie posiada) nie odmawia przyjęcia, żeby to nie zakrawało na demonstrację.

Przyjął mię też na audiencji prezydent Smetona, któremu doręczyłem zaproszenie na akt uroczysty uniwersytetu w dniu 16 lutego (w tym roku będzie to rocznica 15-ta założenia uniwersytetu). Przy tej okazji porozmawialiśmy ze Smetoną o sprawach uniwersyteckich i innych – w tej liczbie o pracach Šilinga i Mašalaitisa nad projektowaną reformą konstytucji.

Wieczorem z okazji pobytu w Kownie Adeli Jankowskiej, która zna się na różnych zabobonach i praktykach ludowych oraz podaniach, zaprosiłem do siebie prof. Krėvė-Mickiewicza na herbatkę, aby go zetknąć z Adelą. Krėvė-Mickiewicz bowiem jest znawcą podań, zabobonów i praktyk i posiada tego duże zbiory, które też publikuje. Sądziłem, że zachce zapisywać opowieści Adeli. Okazało się jednak, że nie tylko wszystko to, co mu Adela opowiadała, było mu dobrze wiadome, ale nawet wiedział daleko więcej od niej.

12 lutego, rok 1937, piątek

Ten rok jest rokiem jubileuszu Aleksandra Puszkina. W tych dniach minęła 100-letnia rocznica śmierci tragicznej poety w pojedynku. Sowiety bardzo uroczyście i z wielkim rozmachem propagandy obchodzą ten jubileusz i wielką twórczość Puszkina. Trzeba przyznać, że Sowiety wcale nie doktrynarsko traktują przeszłość i historię cywilizacji i przestrzegając bezwzględnie dogmatyzmu swej polityki obecnej i bezwzględnie reprymując wszelkie odchylenia, szeroko i giętko oceniają zjawiska społeczne w ich wartościowaniu ewolucyjnym. Jubileusz Puszkina święci też cały świat cywilizowany. U nas sfery rządowe, obawiające się jakichkolwiek przebłysków zbliżenia z komunistami (co zresztą nie przeszkadza pewnemu kontaktowi politycznemu z Sowietami w zakresie polityki międzynarodowej), na razie nie bardzo chciały święcenia rocznicy Puszkina; potem wszakże, gdy się przekonały, że nie tylko w Sowietach, ale i gdzie indziej urządzane są obchody puszkinowskie, zaniechały czynienia przeszkód. Przed dwoma dniami odbył się wieczór Puszkina w teatrze – z odczytami i produkowaniem utworów poety, dziś – odbył się obchód akademicki Puszkina w uniwersytecie. Inicjatywa i wykonanie należały do Wydziału Humanistycznego, ale firma była ogólnoakademicka i dlatego przewodniczyłem i zagajałem ja. Zaproszony też był połpred sowiecki (nowy od kilku tygodni) – towarzysz Podolski i sekretarz poselstwa Pozdniakow. Referat zasadniczy wygłosił prof. Balys Sruoga, przemówienie o Puszkinie wygłosił też dziekan prof. Krėvė-Mickiewicz. Przemówienie Krėvė-Mickiewicza, ilustrowane cytatami z Puszkina i poświęcone roli poety w społeczeństwie jako proroka i kapłana wolności, było bardzo głębokie i piękne, zaprawione nieco duchem opozycji politycznej. W drugiej części były deklamacje, ale myśmy już nie zostali.

Wieczorem miałem jeszcze posiedzenie senatu akademickiego.

Przyjechała Elwira z Bohdaniszek. Wygląda dobrze, poradzi się tu u lekarzy i odwiezie Maryńkę do domu.

Na dzień 16 lutego ma przyjechać z Moskwy szef sztabu generalnego Sowietów, marszałek Jegorow, który następnie uda się do Rygi i na dzień Niepodległości Estonii – do Tallina. Jest to naturalnie wizyta demonstracyjna, która podrażni szczególnie Niemców, ale także Polskę, której szef sztabu czy też minister wojny przed rokiem objeżdżał stolice bałtyckie (prócz Kowna naturalnie). Słyszałem, że jednak Sowiety trochę się krzywiły na to, że akurat w tych dniach Tubelis, bawiący na kuracji we Włoszech, był przyjęty przez Mussoliniego, a „Lietuvos Aidas" poprzednio zaznaczył (po co to było potrzebne), że Tubelis, jadąc do Włoch, jechał tym samym pociągiem (ale tylko tymczasem pociągiem), co Göbbels. Rzeczywiście nie wiadomo *qui bono* się ta okoliczność podkreśliła. Litwa trzyma się w polityce międzynarodowej linii francuskiej i sowieckiej, bo do tego ją zmusza sytuacja obiektywna, ale w tęsknotach swoich nasi rządowcy wzdychają do faszyzmu Włoch i Niemiec.

13 lutego, rok 1937, sobota

Zgłosił się do mnie do gabinetu rektorskiego poseł hiszpański p. Palencia, świeżo mianowany przez rząd legalny Hiszpanii do krajów bałtyckich. Jak większość poselstw państw obcych, nie mających szczególnych interesów w tym rejonie Europy, poselstwo hiszpańskie jest jedno na wszystkie trzy małe rzeczpospolite wybrzeża bałtyckiego – Litwę, Łotwę i Estonię – z rezydencją stałą w Rydze. W obecnej hiszpańskiej wojnie domowej większość dyplomatów hiszpańskich starej daty opowiedziało się rządem powstańczym generała Franco przeciwko lewicowemu rządowi legalnemu tzw. Frontu Ludowego, na który się składają grupy lewicy demokratycznej, radykałów,

socjalistów, komunistów i anarchistów. Ponieważ jednak znaczna większość państw obcych z Francją i Anglią na czele, za wyjątkiem tylko Włoch Mussoliniego, Niemiec Hitlera, Portugalii i może jeszcze jakichś pomniejszych satelitów Niemiec i Włoch, rządów powstańczych generała Franco w Burgos nie uznała i dyplomatów, którzy przeszli na stronę powstańców nacjonalistów, nie uznaje za przedstawicieli Hiszpanii, więc rząd lewicowy Madrytu-Walencji mianował na miejsce starych dyplomatów – nowych. Takim nowym posłem, który z zawodu dyplomatą nie jest, jest też nasz p. Palencia, literat, radykał, mąż przedstawicielki dyplomatycznej Hiszpanii, mianowanej do Szwecji. P. Palencia przyjechał do Kowna dla wręczenia Prezydentowi Rzeczypospolitej kredencjałów i zarazem na święto Niepodległości Litwy 16 lutego, kiedy wszyscy posłowie do państw bałtyckich zjeżdżają się z Rygi do Kowna. Otóż poseł hiszpański p. Palencia zgłosił się do mnie nie tylko z wizytą formalną, ale w sprawie następującej: rząd nacjonalistyczny powstańców w Burgos skazał na śmierć rektora uniwersytetu w Oviedo profesora Leopalda Alasa, syna głośnego pisarza hiszpańskiego tegoż imienia i nazwiska i także byłego rektora tegoż uniwersytetu. Pokazał mi odpowiednie pismo rządu w Walencji i mówił oraz tym pismem stwierdził, że wielu profesorów Sorbony, uniwersytetów angielskich i wielu innych, w tej liczbie także niektórych uniwersytetów katolickich, interweniowało do rządu Burgos na rzecz rektora Alasa. Palencia zaproponował mi także wysłanie depeszy do rządu w Burgos. Zgodziłem się chętnie i zaraz z prorektorem prof. Purėnasem zredagowałem odpowiednią depeszę i poleciłem kancelarii ją wysłać. Treść tej depeszy: „*Espagne. Gouvernement de Burgos. Profondément ému par la nouvelle de la condamnation à mort du professeur Leopold Alas Recteur de l'Université d'Oviedo je considère comme mon devoir de conscience humaine de Vous prier de sauver la vie du savant espagnol. Michal Romer'is Recteur de l'Université à Kaunas Lithuanie*“[3].

14 lutego, rok 1937, niedziela

Korzystam z niedzieli dla cichej pracy w domu, albowiem na szczęście nie mam dziś, przed gorącą kampanią reprezentacyjną, która mię czeka jutro i zwłaszcza na pojutrze, żadnej uroczystości okolicznościowej. Wychodziłem z domu tylko wieczorem dla odwiedzenia naszej biednej chorej w klinice Czerwonego Krzyża. Maryńka z wielkim utęsknieniem i podnieceniem czeka tego wyjazdu do Bohdaniszek, który ma nastąpić już jutro na noc. Lęka się, żeby coś nie przeszkodziło i wytęża całą wolę i moc psychiczną, aby opanować swoją słabość. Chwaliła się, że dziś nie wymiotowała wcale. Funkcja Elwiry, która będzie towarzyszyć Maryńce i opiekować się nią w drodze, jest odpowiedzialna i trudna. Ale na nią kolej teraz zająć się siostrą, co zresztą bardzo chętnie i słodko Elwira robi. Ze szpitala Maryńkę odwiozą karetką Czerwonego Krzyża na dworzec kolejowy, tam ją sanitariusze wniosą do wagonu sypialnego, z Abel zaś pojedzie leżąca w poduszkach saniami.

Adela Jankowska odjechała do Bohdaniszek wczoraj. Powiozła samiczkę bażanta, którą z Anielką Buchówną kupiła w folwarku prof. Iwanowskiego dla mnie za 15 litów. Kazałem strzec ją jak oka w głowie. Będę miał wreszcie parkę bażantów. Oby się udało rozmnożyć to piękne ptactwo.

W ciągu ubiegłych paru tygodni parę razy mi się trafiło, że mię nieco zmroczyło po wykładzie, ale tylko na chwilę. Gdym o tym we czwartek wspomniał Jadzi, podniosła alarm i zmusiła mię pójść zaraz do prof. Gudowicza. Ten znów się uwziął kurować. Raz na tydzień kazał mi głodować – jeść tego dnia wyłącznie jabłka, co też będę robić sobotami i wczoraj po raz pierwszy wykonałem (jednak poza owocami wypiłem dwie szklanki mleka), i zapisał mi żelazo na krew z digitalisem na serce.

15 lutego, rok 1937, poniedziałek

Z dnia dzisiejszego do zanotowania dwa fakty: a. wyjazd, raczej wywiezienie ze szpitala i razem z Kowna – Maryńki i b. obchód Basanowicza z okazji 10 lat od dnia jego śmierci. Zacznę od Maryńki. Tak się już ona rwała precz ze szpitala i do Bohdaniszek, że wywiezienie jej stało się

[3] „Hiszpania. Rząd w Burgos. Głęboko poruszony wiadomością o skazaniu na śmierć profesora Leopolda Alasa Rektora Uniwersytetu w Oviedo uważam za swój obowiązek sumienia ludzkiego prosić Was o ratowanie życia hiszpańskiego uczonego. Michał Römer Rektor Uniwersytetu w Kownie Litwa“.

wprost koniecznością, mimo że w szpitalu miałaby opiekę lepszą i byłaby izolowana od troski nerwujacej ciężkiego stanu interesów. Gdyby była jakakolwiek nadzieja wyleczenia albo zatrzymania postępów choroby śmiertelnej, można by się oprzeć jej chęci wyjazdu i leczyć ją, trzymając w szpitalu. Ale nadziei tej nie ma zgoła. Wszelkie leczenie jest już na nic. Śmierć rychła jest nieunikniona. Wobec tego opierać się jej gorączkowej chęci wyjazdu czy powrotu do domu – nie można i nie należy. Czułaby się nieszczęśliwa i cierpiałaby więcej. Tęskni do Bohdaniszek, wzdycha do opieki Elizki Komorowskiej, która już zapewne wróciła z Polski od córek, chce być czynna w porządkowaniu interesów i zadecydowaniu o przyszłości swego spadku i swojej gospodareczki bohdaniskiej, wierzy, że w Bohdaniszkach na swoich biednych kochanych śmieciach w swoim domku dozna pewnej ulgi. Trzeba więc było pośpieszyć z wywiezieniem, póki są jeszcze ostatnie resztki możliwości. Już parę ostatnich dni Maryńka całą siłą nerwów i woli starała się utrzymać resztki swoich sił w napięciu dla wyjazdu, bojąc się panicznie tego, aby w ostatniej chwili słabość nie przeszkodziła wyjazdowi. Wczoraj się już chwaliła, że nie womitowała ani razu, dziś na obiad zdobyła się na zjedzenie kotleta (w jej stanie jest to coś takiego, jak gdyby zdrowy człowiek zjadł całego barana, bo od szeregu tygodni nic prócz mleka i pomarańcz jeść nie mogła, a nawet po tych pokarmach zwykle womitowała zaraz). O godzinie ósmej wieczorem Jadzia poszła do szpitala ją ubrać i odwieźć na dworzec; poprzednio już wypisała ją ze szpitala, kupiła bilety do wagonu sypialnego dla niej i dla Elwiry i obstalowała do przewiezienia jej karetkę pogotowia. My z Elwirą i Andrzejem pojechaliśmy na dworzec z mieszkania. Niebawem przybiegła do nas Renia, że już Maryńkę przywieziono i że trzeba Andrzeja do pomocy. Okazało się, że karetka pogotowia nie przyjechała i że trzeba było przywieźć Maryńkę ze szpitala w taksi. Niebawem ujrzeliśmy z Elwirą Maryńkę, prowadzoną przez Jadzię i Andrzeja, którzy ją raczej nieśli niż prowadzili, ona zaś sunęła cała podana swym wybrzękłym brzuchem naprzód ledwie dotykając stopami ziemi, ale nie opierając się wcale na nich. Szła blada, wymizerowana, zsiniała, boleśnie nieco uśmiechnięta, o dużych oczach na wynędzniałej twarzyczce, której drobne i regularne rysy bardzo wysubtelniały i wypiękniały. Tak prowadzona „doszła” do ławki i usiadła. Elwira z Andrzejem i tragarzem zanieśli rzeczy do pociągu przez tunel, a następnie dwóch tragarzy ją zaniosło na krześle przez tory kolejowe na wprost i wsadziło do wagonu. Pożegnaliśmy się i niebawem pociąg ruszył, uwożąc Maryńkę pod opieką Elwiry. Smutniśmy wrócili do domu. Jutro z Abel Elwira wyśle nam pocztówkę z wiadomością, jak Maryńka dojechała. Na dworzec odprowadzić Maryńkę przyszedł także poczciwy Diskin.

16 lutego, rok 1937, wtorek

Mało dziś mam czasu na dziennik. O dniu przeto 16 lutego – dziewiętnastej rocznicy Niepodległości i piętnastej rocznicy założenia uniwersytetu – napiszę jutro.

Dziś tylko nadmienię krótko o obchodzie uroczystym ku czci Jana Basanowicza w dziesiątą rocznicę śmierci wielkiego Litwina, patriarchy Odrodzenia narodowego; obchód miał miejsce wczoraj u Grobu Nieznanego Żołnierza i następnie w gmachu Muzeum Witolda Wielkiego w pięknej sali posiedzeń uroczystych. Urządzony był staraniem Muzeum Wojennego i dwóch organizacji akademickich, których członkiem honorowym był Basanowicz: korporacji medyków „Fraternites Lituanica” i korporacji „Neo-Lithuania”. Uroczystość była translowana przez radio. Przemawiali prezesi odpowiednich organizacji i ja w imieniu uniwersytetu. Referat o Basanowiczu wygłosił prof. Michał Biržiška, drugi referat o Basanowiczu jako lekarzu wygłosił generał Nagiewicz. Grała orkiestra Radiofonu, śpiewał chór akademicki. Uroczystość była piękna.

17 lutego, rok 1937, środa

Święto Niepodległości upłynęło w tym roku pod znakiem wizyty marszałka Jegorowa, szefa sztabu generalnego Sowietów. Ta wizyta – to była sensacja. Wizyta wojennego dygnitarza sowieckiego w trzech stolicach bałtyckich, nawiązana w dodatku do uroczystego święta Niepodległości dwóch spośród tych krajów (Litwy – wczoraj i Estonii – w d. 24 lutego) i w obliczu ciągłego krzyku Niemiec o grożącej z Sowietów wojnie (ten, kto sam się do wojny szykuje, ten

najgłośniej woła o niebezpieczeństwie wojennym, grożącym rzekomo od innych) – to jest rzut prawie że prowokacyjny. Zaraz w te pędy Göring pośpieszył do Polski „na polowanie w Puszczy Białowieskiej". Będą miały Niemcy okazję do krzyku. Do prowokacyjnych twierdzeń o oddaniu się Czechosłowacji do dyspozycji Sowietów, o aerodromach sowieckich w Czechosłowacji itp. dodadzą się nowe twierdzenia o tym, że kraje bałtyckie, a Litwa w pierwszym rzędzie są już tylko kolonią wojenną sowiecką, awanpostem do wylotu ofensywy sowieckiej na Niemcy i Europę. Niemcom to jest dobre i potrzebne. Wspólnie z Włochami kończą oni zadręczać nieszczęsną Hiszpanię, z której Targowica Franca gotuje się uczynić nowe ogniwo osaczające Francję i izolujące Anglię od Afryki i Wschodu, a tu na wschodzie europejskim pod pretekstem obrony przed agresją sowiecką kto wie, czy się nie gotują z Polską do podziału między siebie Czechosłowacji i Litwy.

Marszałek Jegorow i jego asysta podbiły serca Litwinów. Wielu u nas jest wielbicieli wojskowości rosyjskiej i uczuciowych sympatyków Rosji. A marszałek Jegorow ma być istotnie człowiekiem mądrym, silnym, towarzysko także gładkim. Jest on byłym oficerem armii carskiej, w czasie Wielkiej Wojny dowodził już pułkiem, potem przeszedł na stronę rewolucji, konsekwentnie i dzielnie się zaznaczył w wojnie domowej przeciwko białym. Ci, co go tu teraz poznali i mieli okazję się z nim zetknąć osobiście, są pod jego urokiem. Co do mnie – tylko dziś na raucie w poselstwie sowieckim go widziałem, ale rozmawiać nie miałem sposobności, bo był otoczony ciągle gronem wojskowych i rozrywany. Z wyglądu i zachowania się wrażenie robi miłe.

W uroczystościach wczorajszych Niepodległości prawie że nie brałem udziału. Byłem tylko na nabożeństwie uroczystym w Bazylice (zdaje się, że na nabożeństwie był też marszałek Jegorow, choć na pewno twierdzić tego nie mogę; nie byłoby w tym zresztą nic bardzo dziwnego, bo ludzie sowieccy umieją być kurtuazyjni i za granicą zastosowują się do zwyczajów lokalnych), byłem też na okolicznościowym posiedzeniu uroczystym Sejmu, na którym prezes Sejmu Šakenis wygłosił stosowną mowę, w której było wszystko, co się należy – i wzmianka o Wilnie, i apoteoza przewrotu grudniowego z r. 1926, i hołd prezydentowi Smetonie – i było wreszcie słówko o zamierzonej reformie konstytucji, której warianty układu teraz i studiuje pilnie w Radzie Stanu Šiling z Mašalaitisem, mając Konstantego Raczkowskiego do pomocy. Potem odbyłem też pańszczyznę złożenia podpisu w księdze gości u Prezydenta Rzeczypospolitej. Następnie miałem pracowite posiedzenie doroczne na uniwersytecie, toteż, będąc zmęczony, nie poszedłem już na uroczyste przedstawienie do teatru i na raut tradycyjny u ministra spraw zagranicznych.

18 lutego, rok 1937, czwartek

Cofam się o dwa dni wstecz – do dnia 16 lutego. Napiszę o naszym akademickim dorocznym akcie rocznicy założenia uniwersytetu. W tym roku obchodziliśmy piętnastą rocznicę (od roku 1922). Szczególnej uroczystości nie robiliśmy. Choć w naszych warunkach krajowych jubileusz 15-letni – to już dużo, jednak na miarę światową – to data skromna jeszcze. Jeszcze się nie wyczerpało pierwsze pokolenie profesury. Wprawdzie ci, co przed laty 15 wstąpili do kadrów profesury jako względnie młodsi, dziś należą już do starych w profesurze, jednak rdzeń profesury dotąd się składa z ludzi pierwszej generacji akademickiej; oni też zajmują jeszcze stanowiska kierownicze. Ta okoliczność, że rocznica założenia uniwersytetu zbiega się z rocznicą Niepodległości państwowej, choć niby dodaje blasku uniwersytetowi, jednak wpływa obniżająco na podniosłość fet jubileuszowych uniwersytetu, bo obchód Niepodległości zaćmiewa święto akademickie. Tak oto i w tym roku na naszym jubileuszu 15-letnim nie mieliśmy żadnych dostojnych gości. Nawet minister oświaty prof. Tonkunas nie był obecny, bo rząd go delegował do Rygi dla asystowania na obchodzie Niepodległości Łotwy w stolicy łotewskiej. Prezydent Rzeczypospolitej Smetona, choć wyrażał chęć zaszczycenia uniwersytetu swą obecnością, jednak w ostatniej chwili zawiadomił, że nie przyjedzie, bo dla niego dzień 16 lutego jest dniem uciążliwym pracy. Wizyta też sowieckiego marszałka Jegorowa tak skupiła na sobie uwagę wszystkich, że o skromnym jubileuszu akademickim nikt nie pomyślał. Wszakże profesura stawiła się na uroczystość w wielkim komplecie. Salę też zapełnili licznie studenci. W zastępstwie nieobecnego ministra oświaty obecny był i przemawiał wiceminister

Masiliunas. Było też kilka depesz gratulacyjnych: od Instytutu Pedagogicznego w Kłajpedzie, od Uniwersytetu Łotewskiego w Rydze, od młodzieży akademickiej tegoż uniwersytetu, od trzech profesorów łotewskich z Rygi, od zespołu artystów Teatru Państwowego w Kownie, od jednego z gimnazjów żydowskich w Kownie. Centrum uroczystości stanowiła moja duża mowa rektorska, złożona z dwóch części: część pierwszą – okolicznościową i uroczystą, poświęconą 15-lecia uniwersytetu – wygłosiłem ustnie, część drugą, poświęconą wyczerpującemu omówieniu różnych aktualiów, wygłosiłem z rękopisu. W tej części omówiłem następujące rzeczy: kursy socjo-ekonomiczne dla młodzieży bałtyckiej w Sztokholmie, wizyty Le Fur'a, prof. Hrozny'ego, ewentualną wizytę prof. Rosloba, budowę klinik uniwersyteckich, budowę laboratorium Wydziału Technicznego, budowę oranżerii dla kolekcji rektorskiej rzadkich palm i roślin, potrzebę budowy audytoriów dla Wydziału Prawniczego i sali aktowej akademickiej, sprawę reformy statutu, przedstawicielstwo akademickie studentów, projekt nadania statutu i budżetu Akademickiej Kasie Chorych. Po posiedzeniu uroczystym odbyło się jeszcze niepubliczne posiedzenie Rady Uniwersytetu, na którym wśród innych załatwionych spraw uchwalono w drodze głosowania tajnego nadanie tytułu profesora honorowego emerytowanemu prof. Czapińskiemu, byłemu wieloletniemu rektorowi uniwersytetu.

19 lutego, rok 1937, piątek

Dużo dziś pisać nie będę.

Zanotuję tylko wiadomości, które nas doszły z Bohdaniszek o Maryni – od niej samej, od Elwiry i od Marysi Stefanowej. Marynia do Bohdaniszek dojechała względnie, nawet nadspodziewanie dobrze. Musiały ją podtrzymywać nerwy – wielkie z całej skupionej mocy pragnienie powrotu do domu, gwałtowne wytężenie energii do tego celu.

Podróż zniosła nieźle. W wagonie sypialnym spała w nocy spokojnie, raz sama o własnych siłach bez pomocy Elwiry i w biegu pociągu poszła do pi-pi. W Abelach nie wynoszono jej z wagonu; wyszła sama, tylko jej pomożono zejść ze stopni wagonu na peron i sama poszła do sań, gderząc naturalnie Justyna Budkiewicza, który się stropił i nie bardzo wiedział, jak się zachować i co robić. Sama wsiadła do sań i na poły leżąc pojechała. Rada była, że wzięto latarnię i że przyjechał po nią jej były parobek (obecnie właściciel działki, którą kupił od niej) Stankiewicz. W Bohdaniszkach czuje się dobrze, cieszy się, przeważnie leży, ale trochę wstaje i pisze listy, do czego ma pasję, ma apetyt, je nieźle, przeważnie krupnik, do którego stęskniła – krupniku spożywa po kilka szklanek dziennie i nie womituje. Czeka przyjazdu Elizki Komorowskiej. W nocy wykombinowała nowy sposób ulżenia interesom bohdaniskim – mianowicie przez zbycie Piotrowi Rosenowi swojej schedy w kamienicy wileńskiej za dług tegoż Rosena i nałożenia nań w dodatku spłaty 10 000 litów innych jej długów. Gdyby się Rosen na to zgodził – odciążyłoby to bardzo Bohdaniszki, choć zapewne nie podobałoby się to wcale Ewie, która się łakomi na schedę Maryni w kamienicy, a nie bardzo by się jej podobała trudna do zrealizowania spłata z Bohdaniszek.

20 lutego, rok 1937, sobota

Dziś rozpocząłem cykl moich dwudziestu wykładów nauki o państwie i prawie konstytucyjnym na kursach wojennych Sztabu Generalnego. Po raz drugi odbywam ten cykl wykładów. Pierwszy raz miało to miejsce przed trzema laty. Wykład dzisiejszy, pierwszy w tym cyklu, był wyznaczony na godzinę 11 przed południem (dwie godziny wykładu). Lokal ten sam, co przed trzema laty: jedna z kamieniczek-oficyn, należących do grupy zabudowań Sztabu Generalnego i Ministerium Wojny; wejście od ulicy Leśnej (Miškų gatvė). Gdym przyszedł – spotkał mię naczelnik kursów pułkownik Karvelis, który mię zaprowadził do swego gabinetu i zapoznał z lektorami wojskowymi kursów. Po dzwonku udaliśmy się do sali wykładowej. Towarzyszyli mi pułkownik Karvelis i lektorzy. Słuchacze, jak zawsze tutaj, stanęli przy moim wyjściu na baczność. Pułkownik przedstawił mię słuchaczom, po czym zająłem miejsce na katedrze, a pułkownik Karvelis wraz z lektorami pozostali na sali, usiedli w pierwszych rzędach i słuchali mego wykładu przez obie godziny (z przerwą

dziesięciominutową). Trochę mię ta obecność zwierzchności peszyła, ale potem, zwłaszcza w drugiej godzinie, już się z tym oswoiłem. Słuchacze kursów są kapitanami i majorami, ludźmi dojrzałymi. Audytorium oficerów jest bardzo przyjemne przez to, że jest bardzo dyscyplinowane, poważne, grzeczne, prawdziwie dżentelmeńskie i kulturalne.

Na lunchu byłem u posła francuskiego p. Dulonga z okazji wizyty działaczki humanitarnej (dozór rannych, służba sanitarna miłosierdzia na wojnie) francuskiej pani Charvet, która wygłosi w Towarzystwie Litewsko-Francuskim odczyt pod tytułem: „La Francaise Inconnue" (a w poniedziałek demonstrowany będzie w związku z tym odczytem film „L'infirmiere en desert" (Tunis, Sachara). Na lunchu byli gospodarze – poseł Dulong z żoną, pani Charvet, lektor francuskiego na uniwersytecie p. Schmitlein z żoną, prof. Pakštas z żoną, prof. Galaunė z żoną, ja i trzech redaktorów trzech wielkich dzienników litewskich – Alautas z „Lietuvos Aidas", Kardelis z „Lietuvos Žinios" i Iwiński z „XX amžius".

21 lutego, rok 1937, niedziela

Wychodziłem tylko na otwarcie wystawy amatorów fotografii, ciekawie się przedstawiającej, urządzonej w jednej z sal Izby Rolniczej. Fotografie są piękne, starannie i ściśle wykonane, o technice artystycznej, dużego formatu. Stanowią ciekawy materiał ilustracyjny do krajoznawstwa. Przeważają widoki, fragmenty piękne, epizody etnograficzne. Wystawa ta daje popis ciekawych okazów ilustracyjnych, z których ciekawsze zostaną zakwalifikowane do pawilonu bałtyckiego na Wystawie Powszechnej w Paryżu.

Poza tym wychodziłem przed wieczorem z Jadzią na spacer. Przeszliśmy się po Zielonej Górze i zeszliśmy w dół nowymi tarasami, świeżo urządzonymi w głębi tzw. Kaukių gatvė. Zakończyliśmy nasz spacer podwieczorkiem w cukierni Moniki.

22 lutego, rok 1937, poniedziałek

Dziś dużo pisać nie będę. Miałem wykład, sprawy bieżące w rektoracie, posiedzenie zarządu akademickiego, po obiedzie piękny pokazowy film francuski o Tunisie, Sacharze i Bretanii w kinie „Kapitol", podwieczorek z Jadzią i Andrzejem w kawiarni „Monika", poza tym pracowałem w domu.

23 lutego, rok 1937, wtorek

Zajęty jestem bardzo przygotowaniem naraz trzech mów, których się muszę nauczyć: jedną na dziś na obchód akademicki święta Niepodległości Estonii, którego rocznica wypada jutro, ale która się przez naszą młodzież akademicką obchodzi co roku w wigilię, drugą mowę – w połowie po litewsku i w połowie po rosyjsku – na pojutrze na otwarcie wykładu prof. Hroznego, naszego gościa z Czech, wreszcie trzecią – po francusku – także na pojutrze na uroczystą kolację akademicką dla tegoż prof. Hroznego.

Dziś po obiedzie wyszedłem na godz. piątą do uniwersytetu na obchód Niepodległości Estonii. Z Estończyków były tylko artystki i poseł estoński p. Öppik; członek rządu estońskiego, delegowany do Litwy na uroczystości Niepodległości Estonii, jak to jest praktykowane od roku 1935 między naszymi krajami bałtyckimi, jeszcze nie przyjechał, więc nie był. Z ramienia Litwinów był minister spraw wewnętrznych Čaplikas i wiceminister Giedraitis, prezes Towarzystwa Litewsko-Estońskiego Jan Vileišis, burmistrz Merkys, wielu gości, trochę profesury i morze studentów. Obchód był translowany przez radio. Wypowiedziałem moje przemówienie dobrze, poza tym przemawiali: w imieniu inicjatorów student Alfons Kairelis, poseł Öppik, Vileišis, wreszcie był referat jednego studenta o Estonii. Chór akademicki odśpiewał hymny narodowe litewski i estoński i hymn akademicki „Gaudeamus". W drugiej części były śpiewy solowe. Artystkom doręczałem bukiety osobiście. Program skrócono, żeby salę opróżnić na mój wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. O godz. 7.30 mogłem już mój wykład rozpocząć. Wykład dwugodzinny, colloquium – dopiero o dziesiątej, zmachany wróciłem do domu. Jutro znowu pracowity dzień – uczenie się pilne mów na

pojutrze. A mów tych nie tylko się jeszcze w całości nie nauczyłem, ale jeszcze ich komponować nie skończyłem.

24 lutego, rok 1937, środa

Już wir trzydniowy wizyty profesora Hroznego dziś mię wciągnął. Dobra ta wizyta i użyteczna, ale dla mnie jako rektora, z konieczności jest uciążliwa. Na razie na pisanie brak mi czasu.

25 lutego, rok 1937, czwartek

Dziś prawie cały dzień poświęcony prof. Hroznemu. Jestem bardzo zmachany i o dniu dzisiejszym napiszę jutro. Dziś tylko wspomnę o przyjeździe prof. Hroznego wczoraj. Profesor te parę tygodni poświęcił wizytom z odczytami do krajów bałtyckich. Tak mu jednak rozłożono dni między Rygą, Kownem i Tartu, że wypadło mu wpierw wygłosić odczyty w Rydze, z Rygi do nas przyjechać, a dopiero od nas znowu przez Rygę pojedzie do Tartu. Przyjazd profesora był zapowiedziany na wczoraj wieczór. Pisał, że przyjedzie z córką. Ponieważ prof. Hrozny jest sławą europejską, którego wynalazki w zakresie odczytania hieroglifów hetyckich są epokowe, sprawiające przewrót w nauce historii cywilizacji na Wschodzie, więc na spotkanie jego wybrałem się na dworzec kolejowy osobiście wraz z dziekanem Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewiczem. Był też na dworcu sekretarz poselstwa czeskiego. Prof. Hrozny przyjechał niebawem z córką. Mężczyzna wysoki, wygląda jeszcze w sile wieku, jest o rok starszy ode mnie, nie siwy jeszcze wcale. Jest bardzo grzeczny, sprawia bardzo miłe wrażenie, łatwy. Lepiej mówi po francusku niż po rosyjsku, choć odczyty ma wygłosić po rosyjsku. Odprowadziliśmy go autem do hotelu i zaproponowaliśmy kolację, ale nie chciał. Córka jego, już zamężna, ładna nie jest, ale jest także miła i łatwa.

26 lutego, rok 1937, piątek

Dwa dni pobytu prof. Hroznego w Kownie upłynęły. Wizyta ta była pod względem naukowym bardzo wartościowa, osobiście też przyjemna, bo prof. Hrozny jest człowiekiem bardzo miłym i tak skromnym, jak skromnym bywa prawdziwie wielki uczony, który im jest większy, tym mniej się nadyma; poza tym wizyta ta stanowi pierwszy kontakt osobisty naszego uniwersytetu z nauką czechosłowacką (prof. Hrozny bowiem jest profesorem Czeskiego Uniwersytetu Karola w Pradze). Czas wizyty prof. Hroznego był nieźle zapełniony. Jako asystent i cicerone był doń przydzielony asystent Wydziału Humanistycznego na katedrze archeologii dr Purėnas. Wczoraj rano prof. Hrozny w towarzystwie Purėnasa składał wizyty (u ministra oświaty prof. Tonkunasa, u mnie i u posła chechosłowackiego Skalickiego) i następnie zwiedzał Muzeum Witolda Wielkiego i w szczególności galerię Czurlanisa, na śniadanie zaś (lunch) profesor był zaproszony do mnie. Na śniadaniu u mnie był prof. Hrozny, poseł czeski Skalicky, dziekan prof. Krėvė-Mickiewicz, prof. Karsawin i dr Purėnas. Zaraz po śniadaniu o godz. czwartej odbył się w sali uniwersyteckiej pierwszy odczyt prof. Hroznego. Prof. Hrozny wygłasza oba swoje odczyty po rosyjsku, odczytując je z tekstu. Świeżo odbył on dużą wycieczkę odczytową po Sowietach – był i wygłosił odczyty w Moskwie, na Ukrainie, w Gruzji, Armenii, Azerbejdżanie. Wszędzie wygłaszał te same dwa odczyty, co u nas i wszędzie wygłaszał je po rosyjsku. Chociaż słabo mówi po rosyjsku i nawet nie wszystko rozumie, to jednak wprawił się w odczytywaniu tych tekstów odczytów i wygłasza je dość biegle, choć z wyraźnym akcentem czeskim. Ciekawe, że po rosyjsku prawie że nie rozmawia, a odczyty ma po rosyjsku. Po francusku i niemiecku mówi biegle. W propozycji swojej proponował nam do wyboru języki rosyjski, niemiecki i francuski, ale Skalicky nam poradził wybrać rosyjski, mówiąc, że niemiecki jest dla Czecha niewłaściwy, a rosyjski jest dla prof. Hroznego dostępniejszy od francuskiego. W Rydze prof. Hrozny wygłosił te same odczyty po niemiecku. Temat pierwszego odczytu był: „Ludy hetyckie i język hetycki”; drugiego: „Hieroglify hetyckie”. Odczyty były ilustrowane obrazami świetlnymi. Oba były ciekawe, rewelacyjne dla nas, jak rewelacyjną jest młoda, a już wspaniała w swoich zdobyczach nauka w „hetytologii”, w której prof. Hrozny jest najznakomitszy.

27 lutego, rok 1937, sobota

Znowu nie mam czasu na dziennik, którego pisanie wypadło mi na ostatni punkt programu dziennego pracy.

28 lutego, rok 1937, niedziela

Materiału do dziennika się nagromadza, a czasu co dzień mało. Mój Boże, ileż by mi było potrzeba czasu codziennie na to, abym wszystko, co trzeba, zrobił, wszędzie, gdzie trzeba, był i jeszcze miał czasu zapasik do rozporządzenia swobodnego dla siebie, dla Jadźki itd. Nigdy chyba tego mieć nie będę, chyba, chyba kiedyś na emeryturze, która, choć jeszcze powoli, ale już się zbliża, już jest nie za górami i już za lat dziesiątek stanie się zagadnieniem realnym. Ale wolę już nie mieć czasu w pracy, niż mieć czas na emeryturze, o której myślę ze strachem i – muszę wyznać – ze wstrętem. Ale przyjdzie i to, a wtedy i z tym się oswoję. Człowiek ze wszystkim się oswaja.

I oto proszę: zacząłem od braku czasu, a skończyłem na jałowych rozmyślaniach o przyszłej emeryturze.

Postaram się dziś skończyć o wizycie prof. Hroznego, który zabawił u nas czwartek i piątek, a w sobotę odjechał do Tartu, skąd już powróci ze swej wycieczki bałtyckiej do Pragi. Pierwszy wykład wygłosił u nas we czwartek, drugi i ostatni w piątek. Audytorium oba razy miał bardzo liczne. Zebrało się dużo profesorów, sporo publiczności z miasta, studentów. Wykłady podobały się bardzo, były nawet poniekąd rewelacją. Słyszeliśmy i czytaliśmy tu i ówdzie przygodnie w prasie o cywilizacji hetyckiej, o zdobyczach nauki w tym zakresie, o sensacji tych nowych odkryć, związanych zwłaszcza z odczytaniem hieroglifów hetyckich, dokonanym przez prof. Hroznego. Odkrycia te odsłoniły cały nowy świat. Ale dla nas były to raczej tylko bardzo po łebkach znane. Tu zaś mieliśmy przed sobą wielkiego uczonego, twórcę tej nowej wiedzy hetytologii. W Pradze na Uniwersytecie Karlowym Czeskim jest i hetytolog, i egiptolog, i asyriolog, u nas – zaledwie jedyny promyczek egiptologii i to w postaci kobiecej, profesorki Arcimowiczowej, kobiety zacnej i szczerej a naiwnej, entuzjastki, zakochanej w Egipcie starożytnym, w hieroglifach, mumiach i sarkofagach (jedną mumię i sarkofag ma sprowadzoną z Egiptu, ale i tej nie bardzo gdzie ma umieścić, bo nikt się nią nie entuzjazmuje i na razie jest zalokowana w Muzeum Pedagogicznym); prof. Arcimowinowa ma niewątpliwie zalety duszy i charakteru, zna też i kocha swój przedmiot, ale jest dziwaczna i sama do mumii podobna i w nauce gwiazdą nie jest, choć jest poczciwą i czystą adeptką nauki. Nie sposób mi naturalnie streścić wykładów prof. Hroznego i to jest zgoła niepotrzebne; choćby się chciało o nich pomówić; zanotuję tylko te parę szczegółów, że język hieroglifów hetyckich jest niewątpliwie indoaryjski, ale rasa Hetytów (zresztą na cywilizację hetycką i na ich państwo złożyło się kilka plemion, wśród których twórcy tej cywilizacji, którzy dali jej język hieroglifów, aryjscy jej członkowie, stanowili tylko jeden z elementów) rasa – powiadam – Hetytów, przynajmniej w ich masie dominującej, była kaukaska – Armanoidów; płaskorzeźba, przedstawiająca żołnierzy hetyckich, przedstawia doskonały typ Żydów z długimi wielkimi haczykowatymi nosami. A potomkami rasowymi Hetyków są... nasi Żydzi o długich zakrzywionych nosach (sic!). Żydzi w wywodach nauki hetytologii nie są Semitami z rasy!!

Oto i nie dokończyłem dziś o wizycie prof. Hroznego.

1 marca, rok 1937, poniedziałek

A więc jeszcze raz o prof. Hroznym. Nie tylko jego wykłady nas interesowały i jego wiedza nam dużo dała, ale i sam profesor bardzo się podobał. Jest to, zdaje się, prawdziwy wielki uczony, nie tylko pod względem wiedzy i zasług, co nie ulega wątpliwości, ale także pod względem charakteru i psychiki. Jest bardzo naturalny i skromny; nie ma w sobie nic aplombu, arogancji, wyniosłości. Bardzo miła jest także jego córka, z zawodu nauczycielka, obecnie już mężatka; także jest bardzo skromna i naturalna, zarazem bardzo równa, grzeczna, łatwa i wesoła. Podobna jest z twarzy i wyrazu do Danutė Gudowiczówny, córki profesora.

Z okazji wizyty prof. Hroznego mieliśmy szereg przyjęć. Przydzielony do niego Purėnas pokazywał mu muzeum Witolda Wielkiego, nazajutrz obwoził go po okolicach Kowna, pokazywał mu klasztor w Pożajślu. Na śniadaniu we czwartek prof. Hrozny był u mnie. Tegoż dnia wieczorem wyprawiliśmy mu kolację akademicką w gabinecie restauracji „Karininkų Ramovė" w nowym gmachu tej organizacji. Na kolacji prócz prof. Hroznego i jego córki był cały senat akademicki *in corpore*, to znaczy ja, obaj prorektorowie, sekretarz prof. Blažys i wszyscy dziekani wydziałów, także profesorowie Wydziału Humanistycznego – Karsawin, Łappo, Arcimowiczowa, Jonynas, Purėnas, Salys, Baltrušaitis, panie profesorowa Karsawinowa i Krėvė-Mickiewiczowa (obie Rosjanki, Krėvė-Mickiewicz w ogóle ma słabość do Rosjan i specjalnie nalegał na zaproszenie Karsawina i jego żony oraz Łappy – trochę może to zanadto robiło na Hroznym wrażenie rosyjskości u nas, bo i sam Krėvė wciąż li tylko po rosyjsku z nim rozmawiał i dawał upust swoim reminiscencjom rosyjskim). W siódmym niebie była Arcimowiczowa, którą posadziliśmy przy Hroznym; topniała przy nim jak biedne zwierzątko na słońcu; nawet mówkę odczytała po kolacji. Mowę też wygłosiłem ja – po francusku. Miałem przygotowaną ładną mowę, ale tak się przyzwyczaiłem do przemawiania w wielkich salach, że w małym i ciasnym gabinecie restauracyjnym, zapełnionym ludźmi, brakło mi przestrzeni i to mię jakoś peszyło; nie mogłem się zastosować do tej atmosfery i miałem wrażenie, że mowa jest zanadto uroczysta, za mało poufna; nieźle wprawdzie ją wygłosiłem, ale coś mię w niej raziło i nie miałem zwykłej swady. Przemawiał jeszcze Łappo i Krėvė. Na kawę przeszliśmy do wielkiej sali restauracyjnej. Tam grała orkiestra, która na uczczenie prof. Hroznego wystąpiła z potpourri z opery Smetany „Sprzedana narzeczona", na sali tańczono, były numery kabaretu, przyjechał też poseł czeski Skalicky z piękną żoną. Nazajutrz w piątek było śniadanie u Skalickiego. Był Hrozny z córką, ja, Krėvė-Mickiewicz z żoną, Karsawin z żoną, Arcimowiczowa, Purėnas, pani Lanckorońska (Belgijka rodem) i jeszcze parę osób (wiceminister oświaty Masiliunas, dyrektor Departamentu Kultury Juška...). Tegoż dnia w piątek wieczorem po wykładzie prof. Hroznego zaprowadziliśmy go z córką na operę „Radvila Perkūnas" Karnowicza. Na operze był także Krėvė z żoną i Purėnas. Miałem być i ja, ale źle się czułem, więc oddałem mój bilet prof. Salysowi.

2 marca, rok 1937, wtorek

Spóźniłem się o kilka dni w dzienniku. Z prof. Hroznym skończyłem. Wyjechał on z córką w sobotę rano do Tartu, aby tam jeszcze swe dwa ciekawe wykłady powtórzyć – dla Estończyków. Stamtąd już się uda z powrotem do Pragi. Nie odprowadzałem go na dworzec kolejowy. Odprowadził go Purėnas. Właściwie formalnie się z nim nie pożegnałem, bo po wyjściu z jego wykładu w piątek miałem się z nim spotkać jeszcze w teatrze na operze, na którą wszakże nie poszedłem, a nazajutrz rano profesor już wyjechał. Zresztą to nic wielkiego. W tych dniach napiszę doń do Pragi serdecznie, dziękując raz jeszcze za tę piękną wizytę. Wizyta prof. Hroznego była dla nas pierwszym kontaktem akademickim z nauką czeską. Byłoby dobrze, gdyby się ten kontakt rozwinął, ale to by już zależało teraz od inicjatywy czeskiej. Właściwie mnie był okazany (a w mojej osobie – Litwie) zaszczyt z ramienia nauki czeskiej przed paru laty, gdy Akademia Czeska Nauki i Sztuki w Pradze wybrała mię na swojego członka zagranicznego, co miało być aktem kurtuazji nie tylko dla Litwy, ale dla całej trójpaństwowej Bałtyki. Wszakże ta rzecz jakoś się dziwnie urwała. O wyborze moim telegrafował mi poseł litewski w Pradze Turowski, potem Akademia mię o tym zawiadomiła, na co ja wystosowałem do niej list z podziękowaniem, prosząc ją o przysłanie mi statutu i poinformowanie łaskawe o moich ewentualnych obowiązkach członka Akademii. Sądziłem, że mi przyślą dyplom formalny i może coś poinformują jeszcze. Niczego się wszakże nie doczekałem. Formalnie jestem więc członkiem, ale kontaktu z Akademią tą nie mam żadnego i prawie nic o niej nie wiem i żadnych jej wydawnictw nie otrzymuję. Trochę mię to nawet dziwi.

Ale wracam do aktualiów. Po wyjeździe prof. Hroznego czułem się trochę źle. Wymęczyły mię śniadanie (u mnie, u Skalickiego) i kolacja akademicka oraz niewyspanie z powodu późnego kładzenia się. Trochę jednak starzeję się, mimo że się na ogół czuję po wyzdrowieniu przed dwoma

laty dobrze; nie znoszę już zgoła jedzenia wieczorem (w domu w życiu codziennym od przeszło roku żadnej kolacji nie jadam i po obiedzie, który spożywam między godz. drugą a trzecią, wypijam wieczorem między godz. szóstą i dziewiątą jedną lub najwyżej dwie szklanki herbaty bez żadnych dodatków i bez chleba, a kładąc się spać w łóżku zjadam jeszcze na noc gruszkę lub jabłko) i nie znoszę też alkoholu; dosyć lubię – zwłaszcza wino, także trochę wódki lub koniaku, mniej – piwo, ale zawsze mi to źle robi. I teraz więc po wizycie i przyjęciach Hroznego czułem się trochę gorzej – niewyspany, o ciężkim żołądku... W sobotę to sobie naprawiłem dniem postnym, w którym wypiłem tylko dwie szklanki mleka i na obiad talerz owsianki, ale bez chleba i poza tym nic nie jedząc. Poszedłem też wcześniej spać. Niedzielę miałem dość przyjemną: żadnej reprezentacji, uroczystości, mowy. Tylko na wieczór miałem zaproszenie od prof. Šalčiusa i jego żony na obiad, co mię dość dziwiło. Skądinąd dzień spędziłem cicho i po domowemu. Pogoda była ładna, słoneczna; śliczna sanna. Odprowadziłem Jadzię saniami za miasto do góry (raczej wału wielkiego), z którego przez Kownian się uprawia sport saneczkowy i gdzie Jadzia z Renią na saneczkach zjeżdżała, ja zaś wróciłem do domu. Potem z Jadzią, Andrzejem i Justysiem Stawskim byliśmy na obiedzie w restauracji „Karininkų Ramovė" (obiady zresztą nędzne, choć restauracja wielka).

3 marca, rok 1937, środa

Jestem spóźniony w dzienniku, ale nic mię nie nagli, toteż mi się nie śpieszy.

W niedzielę na wieczór zaproszony byłem do prof. Šalčiusa „na obiad". Byłem wielce zdziwiony tym zaproszeniem, bo choć z Šalčiusem od dawna i dobrze się znam (kolegujemy z nim przecie na Wydziale Prawniczym) i znam także jego żonę, jednak nigdy u nich w domu nie bywałem i nie mogłem się domyślić, jaka jest okazja dla tego zaproszenia i samego obiadu. Spytałem o to przez telefon Šalčiusa niby pod pretekstem poinformowania się, jaki jest wskazany strój do obiadu; odpowiedział mi, że będzie to obiad ot tak sobie – zaproszono kilka osób. Trudno mi było odmówić, choć ochoty wcale nie miałem; trochę się buntowałem na p. Šalčiusową, licząc, że to ona, trawiona gorączką „działalności" i obcowania towarzyskiego „wysokich sfer kulturalnych" (bo jest ona „działaczką" i powieściopisarką i jest na ogół pretensjonalna, zarozumiała, trochę histeryczna społeczniczka), wymyśliła zainicjowanie ot takiego sobie obiadku towarzyskiego; byłem trochę zły, że takie próżniacze społeczniactwo bez potrzeby odciąga ludzi czynnych od pracy. Przekonałem się jednak, że był to obiad okolicznościowy w związku z przyjazdem do Kowna posła litewskiego w Paryżu Piotra Klimasa. Na obiedzie byli oprócz gospodarzy: Klimas, prof. Piotr Leonas, minister oświaty prof. Tonkunas z żoną, dr Zaunius z żoną, Wacław Sidzikowski z żoną i ja. Po obiedzie panie poszły do innego pokoju grać w karty, my zaś, mężczyźni, rozmawialiśmy w gabinecie przy kawie i owocach, a raczej nie tyle rozmawialiśmy, ile gawędził nam o Francji Klimas, który jest doskonałym gawędziarzem i bardzo inteligentnym człowiekiem, trochę się w paradoksach lubującym, ale to jeno ujaskrawia jego słowa. Na ogół dość przyjemnie mi ten obiad zeszedł.

Zanotuję w dzienniku, że w tych dniach przysłano mi z Paryża zeszyt ostatni „Revue Internationale Francaise du Droit des Gens", w którym jest wydrukowany mój artykuł o sądzie statutowym naszym do spraw kłajpedzkich, napisany w odpowiedzi profesorowi niemieckiemu Brünsowi, który w jesieni w „Esprit International" (organ Dotacji Carnegie) ogłosił artykuł zjadliwy przeciwko Litwie i tezom litewskim w sprawie Kłajpedy; artykuł prof. Brünsa był skierowany przeciwko artykułowi Mandelsztama w tymże „Esprit International". Brüns usiłował konstruować stanowisko prawno-państwowe Kłajpedy jako „Staatsfragment" i zaczepił także mnie, z przekąsem nadmieniając o mojej tezie sądu statutowego w jednym z moich artykułów, przedrukowanych z mojego wykładu publicznego w Paryżu z grudnia 1935. Artykuł Brünsa został następnie ogłoszony w tłumaczeniu w prasie niemieckiej i jest kolportowany w Kłajpedzie jako teza naukowa, miła propagandzie niemieckiej. Z tego względu mój artykuł obecny, który mocno i trafnie zbija bałamutne tezy Brünsa, jest bardzo użyteczny, zwłaszcza zaś byłoby dobrze, żeby go przedrukowała prasa litewska w Kłajpedzie, szczególnie prasa litewska w języku niemieckim.

Słówko jeszcze dodam z ostatnich wiadomości o Maryńce. Zdaje się, że jest z nią bardzo źle. Po przyjeździe do Bohdaniszek miała się niby nieco lepiej, w każdym razie teraz je trochę więcej niż jadła w szpitalu w Kownie i nie womituje tyle. Ale przed tygodniem bardzo osłabła i stan nerwowy bardzo się pogorszył. Przez niespełna 30 godzin jednym ciągiem mówiła, oskarżała siebie, gryzła się, miała halucynacje. Wreszcie Elwira i Elizka sprowadziły felczera Klišinisa, który jej zastrzyknął kamforę, która jej się teraz ciągle zastrzykuje. Jest słaba, stale leżąca, trochę spokojniejsza.

4 marca, rok 1937, czwartek

Na bardzo pięknym byłem wczoraj podwieczorku w lokalu restauracyjnym „Karininkų Ramovė”. Była to herbatka towarzyska, zarządzona przez Towarzystwo Litewsko-Szwedzkie, na której się odbył pokaz tańców ludowych szwedzkich i litewskich. Występowały dwie grupy czy dwa zespoły taneczne, utworzone ze studentów i studentek, jeden – do tańców szwedzkich, drugi do tańców litewskich, oba w strojach narodowych, szwedzkich względnie litewskich. Poza tym był komplet taneczny dzieci – chłopców i dziewczynek ze szkoły początkowej imienia Jabłońskiego – także w strojach litewskich. W tańcach szwedzkich wyćwiczyli naszych studentów instruktorzy ze Szwecji – para, mężczyzna i panna, którzy sami tańczyli także bardzo efektownie. Były to tańce ludowe z figurami, stylizowane, czasem tańce rodzajowe, sceny choreograficzne, mające wybitne piętno teatru. Tańce ludowe, tak litewskie, jak szwedzkie, nadają się bardzo do stylizacji i są prawdziwie pięknymi; mają one w sobie pierwiastek artystyczny gry, są bardzo archaiczne, odtwarzają obyczaje, czynności i formy towarzyskie, uczucia. Jest w nich nie rytm tylko i nie banalne ruchy lubieżne, ale temperament życia w całej różnorodności jego przejawów etnicznych. Najpiękniejszy był taniec szwedzki tkaczy. Ogółem było przeszło 20 numerów. Komplety taneczne spisały się znakomicie. Publiczności było mnóstwo i podwieczorek był bardzo ożywiony.

5 marca, rok 1937, piątek

Mam do zanotowania list Celiny, może najciekawszy, jaki kiedykolwiek od niej otrzymałem, przynajmniej najjaskrawszy w wyrazie jej usposobienia i uczuć, bo przeważnie jej listy, które otrzymałem dotąd, były mdłe i zdawkowe, pisane jakby z urzędu i na obstalunek, że tak powiem – fachowe listy do ojca, w których nie czuć było żywego człowieka indywidualnego. Jedynym może listem Celiny energiczniejszym i namiętniejszym był list, pisany, zdaje się, w roku 1932, w którym oznajmiała mi ona o opuszczeniu jej przez matkę, która ulotniła się z mieszkania do swego ukochanego, by z nim rozpocząć nowe pożycie małżeńskie. Czy tamten list jednak był szczery, a nie teatralny – nie wiem. Późniejsze dane o jej stosunku do matki zdają się zaprzeczać temu, co wtedy w tamtym liście pisała ona o matce, zwalając na nią najbrzydsze oskarżenia i dając wyraz najgorszym swym uczuciom do niej. Obecny list Celiny sprawił na mnie duże wrażenie, ale zastanawiając się później nad nim, znów wątpić zaczynam w jego szczerość, może trochę przez to, że doświadczenie z poprzednim z roku 1932 zachwiało moje przekonanie i że w trybie pisania Celiny dostrzegam wielkie podobieństwo do maniery listów Reginy: teatralność i dramatyzowanie sytuacji oraz uczuć swoich. Może nie trafnie określam, mówiąc o nieszczerości; osoby, dramatyzującej teatralnie swoje uczucia i sytuacje, bywają szczere i podniecają się same swoją własną przesadą: jest to *sui generis* histeria. Nie odważam się twierdzić, że istotnie taką jest natura listu Celiny; daj Boże, żebym się mylił; jeżeli jest to szczere i głębokie uczucie Celiny – to bym był zachwycony; boje się tylko w to uwierzyć, znając bardzo podobne listy Reginy, łudząco sugestionujące szczerością i szlachetnością pozorów, które następnie pryskały jak bańka mydlana, ukazując wnętrze próżne rozkochania się w sobie i takiego podniecenia gry, w którym aktor naprawdę wierzy w to, czego nie czuje, a co jeno udaje.

6 marca, rok 1937, sobota

Dziś nie piszę dziennika, bo nie mam czasu. Wykład na kursach oficerskich, doroczne walne zgromadzenie Towarzystwa Historyków, na którym przewodniczyłem w mieszkaniu Janulaitisa, egzaminy wieczorem w domu.

7 marca, rok 1937, niedziela

Towarzystwo Historyków litewskich, na którego zebraniu dorocznym byłem wczoraj, istnieje od lat kilku. Nie jest liczne, ale członkowie jego są czynni i liczba młodych historyków Litwinów rośnie. Jest to towarzystwo naukowe, należą doń tylko ci historycy, którzy pracują naukowo; nauczyciele historii szkół średnich nie należą do towarzystwa, choć postanowiono nawiązać pewien kontakt organizacyjny z organizacją nauczycieli historii. Towarzystwo Historyków wydaje swój organ nieperiodyczny „Praeitis", w którym drukuje zarówno większe monografie, jak też przyczynki, artykuły, recenzje i czasem wydaje prace osobne, oryginalne i tłumaczone (np. monografię Šakenisa „Vabalninkas", zamierzone obecnie tłumaczenie litewskie pewnych części książki prof. Henryka Paszkiewicza z Warszawy „Jagiellonowie a Moskwa" etc. Na zebraniu wczoraj byli obecni: prof. Janulaitis, ja (jestem członkiem Towarzystwa z tytułu mojej pracy przedwojennej „Litwa"), prof. Ignacy Joninas, Tarasienko, młody Avižonis, grupa młodych docentów i asystentów – Iwiński, Šapoka, Wasilewski, prof. Galaunė, Konstanty Jabłoński, stary prof. Volter... Do wyborów nowego zarządu nie dosiedziałem.

Dziś zaproszony byłem na lunch do poselstwa szwedzkiego z okazji przyjazdu do Kowna profesora emeryta z Göteborga – prof. Lundströma, który ma jutro staraniem sekcji akademickiej Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego wygłosić na uniwersytecie odczyt o Szwecji, ilustrowany obrazami świetlnymi na ekranie. W śniadaniu wzięli udział: poseł szwedzki Westring z żoną, prof. Lundström, minister oświaty prof. Tonkunas z żoną, wiceminister oświaty Masiliunas, dyrektor Departamentu Kultury Ministerium Oświaty dr Juška, prezes Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego prof. Pakštas z żoną, lektor języka szwedzkiego na uniwersytecie Knut Falk, ja i p. Galaunienė. Śniadanie odbyło się po szwedzku, było zimne, złożone z przekąsek, wódki i wina, z toastami „skol", z mówką gospodarza, na którą musiał odpowiadać minister Tonkunas. Po śniadaniu kawa i herbata z punchem szwedzkim. Część gości śniadaniowych się wyniosła, ale za to przybyło dużo nowych, przeważnie z kolonii szwedzkiej i z młodzieży litewskiej spośród tych, co bądź byli w Szwecji, studiowali tam i umieją po szwedzku bądź uczą się języka szwedzkiego u Falka. Przekonałem się, że jednak spora już jest garść ludzi, zwłaszcza w młodszym pokoleniu, którzy mają kontakt ze Szwecją, byli w niej i mniej lub więcej znają język. Stosunki szwedzko-litewskie rozwijają się. Młodzież, która ma kontakt ze Szwecją, kocha ten piękny kraj.

8 marca, rok 1937, poniedziałek

Bawiący w Kownie profesor emeryt Uniwersytetu Göteborskiego w Szwecji, stary prof. Lundström, staraniem akademickiego Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego miał na uniwersytecie u nas wykład popularny po niemiecku, ilustrowany obrazami świetlnymi na ekranie – o miasteczkach historycznych szwedzkich. Dużo mają smutnego uroku te stare miasteczka, które niegdyś miały swoje dni wielkości i sławy, a dziś podupadły i wegetują w zieleni wsi wśród małych domków i uliczek odwiecznych, napiętowane tylko wielkością kościoła lub ruin monumentalnych. Pejzaż, nawet same miasteczko ma dla oka litewskiego wygląd swojski; jest podobieństwo do widoków naszych. Odczyt był niepretensjonalny, ale sympatyczny.

Wspominałem przed paru dniami o liście mojej córki Celiny. List jest pisany z temperamentem; pierwszy w tym rodzaju. Pisany w grudniu, ale go otrzymałem dopiero w marcu. W jednym z listów moich do Celiny, pisanym w listopadzie czy początku grudnia, uderzyłem w słabą strunę psychiczną Celiny i to wywołało odruch. Było to tak: w jesieni bawił w Warszawie Eugeniusz Römer. Chciał się widzieć z Celiną i przez swoją siostrę Anię Virionową wezwał listownie Celinę, by go odwiedziła. Celina jednak nie przyszła, a spotkana przez Anię na ulicy – wykręcała się. Eugeniusz mi o tym mówił po powrocie z Warszawy. Nie wziąłem tego za złe Celinie, przeciwnie –

podobało mi się nawet to, że z zamieszkałymi w Warszawie Römerami ze starszego pokolenia w szczególne konszachty się nie wdaje. Są to tam Ania i rodzina Macieja Römera. Jest u nich pewna zachłanność, plotkarstwo, kumoszkostwo, wścibstwo, chęć patronowania, połączona z namiętnością intrygi. Lubiliby, żeby Celina im się skarżyła i zwierzała, żeby mogli niby jej patronować i litując się nad nią mnie oskarżać oraz zbierać plotki o Reginie etc. Celina jednak, jako zresztą i Regina dawniej, nie garnie się do nich. Ma ona swoje stosunki własne, swój świat osobisty, w tej rodzinie zaś doznawałaby jeno upokorzenia „litości" i zdawkowego serca. Napisałem Celinie, że nie gderzę ją za to i nie wymawiam, owszem – że to mi się nawet podoba, bo świadczy o jej osobowości indywidualnej i samowystarczalności, choć się zastrzegłem, że buntować jej przeciwko rodzinie nie chcę i że grzeczność zachować jest dobrze. Celinę mój list zachwycił i zajął.

9 marca, rok 1937, wtorek

Dzień spokojny. Na pracę domową miałem czasu dość; ale pracy tej mam teraz bardzo dużo. Na dziennik mi już czasu nie zostało.

Krótko mówiąc, oto mój dzień dzisiejszy: w gabinecie rektorskim miałem posiedzenie Komisji Współpracy Intelektualnej z udziałem Jana Vileišisa w sprawie projektu statutu związku towarzystw, utrzymujących stosunki z zagranicą; wieczorem – wykład i colloquium prawa konstytucyjnego litewskiego. Resztę czasu – praca w domu.

10 marca, rok 1937, środa

Przed kilku laty, o czym są liczne ślady w dzienniku, z mojej inicjatywy, podjętej na posiedzeniu Towarzystwa Studiów Ekonomicznych, projektowane było założenie Wyższej Szkoły Nauk Politycznych. Wydelegowane do tego grono osób (Turowski, Juodeika, młody Mačys, Tomkus, Natkiewicz, Kavolis, ja) w całym szeregu zebrań ułożyło program i projekt statutu Szkoły Nauk Politycznych. Projekt statutu i programu złożyliśmy wtedy ministrowi oświaty. W rozmowie ze mną w tym czasie tak prezydent Smetona, jak prezes ministrów Tubelis byli dla sprawy tej usposobieni przychylnie. Minister oświaty Tonkunas nie był też przeciwny, ale rzecz utknęła na formie prawnej. Choć konstytucja uznaje swobodne zakładanie szkół, nie wyłączając wyższych, ale oczywiście musi być ustawa o trybie zakładania tychże, albowiem Ministerium Oświaty ma dozór nad całym szkolnictwem w państwie. Otóż ustawy takiej nie ma, wobec czego można założyć uczelnię tylko w drodze ustawy specjalnej *ad hoc* (tak było z Instytutem Handlowym Gałwanowskiego w Kłajpedzie). Minister Tonkunas oświadczył mi wtedy, że Ministerium Oświaty już opracowało projekt ustawy ogólnej o prywatnych wyższych zakładach naukowych i wniesie niebawem (następnie już wniosło) ten projekt do Gabinetu Ministrów; że trzeba więc zaczekać na tę ustawę. I oto czekaliśmy do nieskończoności, a tymczasem ja objąłem rektorat na uniwersytecie i po prostu nie miałem czasu zajmować się tą sprawą, a nawet poniekąd i dużo myśleć o tym nie mogłem. Tymczasem Gabinet Ministrów nie kwapił się z tą ustawą, bo gdyby ustawa taka została wydana, to skorzystalibyśmy z niej nie tylko my dla naszej zamierzonej Szkoły Nauk Politycznych, ale także klerykali dla swego prywatnego Uniwersytetu Katolickiego, którego rząd nie życzy. I tak oto sprawa poszła w odwłokę. Obecnie w Gabinecie Ministrów zapomniano już zgoła o tym projekcie ustawy, który gdzieś pewnie w archiwach spoczywa. Otóż dziś zwołałem kilka osób – Juodeikę, Kavolisa, Tomkusa i Wacława Sidzikowskiego, żeby się naradzić, czy warto coś dalej w tej kwestii robić. Co do mnie, to już bym nie mógł teraz stanąć na czele tej szkoły, gdyby została założona. Co najwyżej mógłbym się podjąć paru godzin wykładów tygodniowo. Przyjęto wniosek Juodeiki połączyć nasze usiłowania z analogiczną inicjatywą, która się rozwinęła z łona Instytutu Nauk Społecznych Izydora Tamošaitisa. My zaś z Juodeiką mamy przede wszystkim zwrócić się do Tubelisa i zbadać, czy można liczyć na aprobatę i poparcie rządu. Osobiście zapatruję się sceptycznie na wspólną inicjatywę z Instytutem Tamošaitisa, który ma jakieś niewyraźne tendencje o zabarwieniu faszystowskim.

11 marca, rok 1937, czwartek

Posiedzenie senatu akademickiego. Wytoczyła się nań wielka sprawa Wydziału Teologiczno-Filozoficznego. Rozpoczęła się ona od małej kwestii, na pozór detalicznej, podniesionej w styczniu przez ministra Tonkunasa, a dotyczącej wyznaczenia przez Wydział Teologiczny profesorom tegoż wydziału poszczególnych kursów z zakresu nie ich własnych katedr, na które zostali oni mianowani formalnie, lecz z zakresu innych katedr tegoż wydziału. To się praktykuje często na tym wydziale, ale praktykuje się też i na innych. Kwestia dotyczyła wszakże tylko Wydziału Teologicznego. Na razie nie zwróciłem na nią zgoła uwagi. Zapytanie ministra, na jakiej zasadzie się to robi, skierowałem do dziekana wydziału, który udzielił odpowiedzi, motywując zasadność tej praktyki. Odpowiedź dziekana przesłałem ministrowi. Niebawem, gdym się z ministrem spotkał (na balu prasowym), powiedział mi on, że do sprawy tej przywiązuje wielką wagę i uważa ją za zasadniczą i chce odpowiedzi ode mnie jako rektora, nie zaś wyjaśnień dziekana wydziału zainteresowanego. Wkrótce potem otrzymałem z ministerium żądanie ministra na piśmie, abym udzielił odpowiedzi. Dotąd jej nie dałem. Poleciłem kancelarii uniwersyteckiej sporządzić dla mnie wykaz wszystkich profesorów na wszystkich wydziałach, którzy wykładają poszczególne kursy z zakresu nie ich własnej katedry wraz z wykazem ilości godzin, wykładanych przez nich w zakresie własnej katedry. Kwestię wniosłem pod obrady zarządu akademickiego, który zaprojektował ustalenie dwóch kryteriów, legalizujących zlecenie profesorowi jakichkolwiek kursów poza jego katedrą: pierwsze kryterium, aby w zakresie własnej katedry miał co najmniej cztery godziny wykładowe (ta ilość godzin stanowi minimum statutowe obowiązku wykładowego profesora, która go uprawnia do pobierania pensji zasadniczej i honorarium za godziny wykładowe); drugie kryterium – żeby przedmiot, wykładany przez własną katedrę, nie wykraczał poza zakres naukowy wydziału. Po zestawieniu tych kryteriów z wykazem okazało się, że na Wydziale Teologicznym jest szereg poszczególnych wypadków, które nie odpowiadają tym kryteriom: są poszczególni profesorowie, którzy wykładają aż po trzy kursy z zakresu obcych katedr wydziałowych, z zakresu zaś własnej katedry mają zaledwie jedną godzinę wykładową (prof. Dovydaitis) albo nawet żadnej (prof. Totoraitis); są także tacy, którzy wykładają języki (niemiecki, francuski, litewski), podczas gdy na wydziale żadnych katedr filologicznych nie ma.

12 marca, rok 1937, piątek

Kontynuuję o sprawie Wydziału Teologiczno-Filozoficznego. Gdyśmy tak w zarządzie akademickim zaprojektowali pewne kryteria dla dopuszczalności wykładania przez profesorów poszczególnych kursów, wykraczających z zakresu ich katedry bezpośredniej, zwróciłem się do dziekana Wydziału Teologicznego. Przyszedł on do mnie na naradę w towarzystwie prof. Stanisława Szołkowskiego, filozofa, uchodzącego za jedną z najtęższych sił naukowych tegoż wydziału, człowieka rzeczywiście nieposzlakowanej prawości i czystości ideowej, światłego, katolika do szpiku kości. Ja zaś wezwałem do asysty prorektora Purėnasa. Teolodzy dali nam argumenty przeciwko naszym kryteriom. Wskazali oni, że na ich wydziale panuje system nie kursowy, lecz wykładowy, profesor wykłada swój kurs od razu dla kilku semestrów i dlatego nie powtarza co roku tegoż kursu, jeno go daje raz na kilka lat – mniej więcej co trzy lata. Wskutek tego te katedry, które są mniej skomplikowane, mogą nie być co roku obsługiwane wykładami, przynajmniej w całej pełni godzin wykładowych ich personelu. Tą drogą ekonomizuje się siła odnośnych profesorów, którzy w międzyczasie mogą być zużytkowani do wykładów na rzecz innych katedr bardziej skomplikowanych, wymagających większej obsługi i większej ilości poszczególnych kursów, jak zwłaszcza katedry takie, jak historii powszechnej, literatury powszechnej, filozofii i jej historii itp. Gdyby się wymagało, aby każdy profesor wykładał koniecznie choćby po cztery godziny w zakresie swojej katedry, byłoby to nieekonomicznym trwonieniem sił i środków, natomiast zaniedbywałoby się inne katedry. Ten argument sam przez się wydał się nam dość ważki. Co zaś do drugiego kryterium, to w zasadzie teolodzy się zgadzają zupełnie na to, że zlecać profesorom wydziału można tylko takie kursy, które należą do właściwości naukowej wydziału, określonej przez listę katedr wydziałowych. Ale twierdzą oni, że wykłady czy kursy niektórych języków, wykładane przez

profesorów i asystentów Wydziału Teologicznego, nie posiadającego żadnych katedr języków (filologii), nie wykraczają przeciwko tej zasadzie, albowiem nie są to właściwe kursy filologiczne jako takie, jeno pewne kursy pomocnicze w stosunku do literatury lub historii, np. kurs języka niemieckiego w średniowieczu jako środek do odczytywania dokumentów historycznych niemieckich średniowiecza; taki kurs specjalny na Wydziale Humanistycznych nie wykłada się wcale, przeto teolodzy zorganizowali go u siebie. Ten drugi argument nie bardzo nas z Purėnasem przekonał; może jest on zasadny w stosunku do języka niemieckiego w średniowieczu, ale na teologii wykłada się i język francuski, i litewski.

13 marca, rok 1937, sobota

Po ustaleniu tych wszystkich *pro* i *contra* nic wyraźnego i kategorycznego w głowie nie miałem. Nie lubię tego, gdy nie czuję mocnego gruntu prawnego pod nogami. Udałem się do ministra, by z nim wpierw ustnie o tym pomówić. Tonkunas rozumuje tak: dawniej, za czasów działania pierwszego statutu uniwersyteckiego, który przewidywał autonomiczne „werbowanie" profesorów przez uniwersytet (uchwałą wydziału, sankcjonowaną przez senat) bez żadnej ingerencji rządu w postaci nominacji, wydział oczywiście mógł autonomicznie polecać profesorowi wykładanie tego lub innego kursu w zakresie nie jego bezpośredniej katedry; ten, kto może mianować profesora i wyznaczyć mu katedrę, może go też przenosić całkowicie lub częściowo. Inaczej jest, zdaniem ministra, teraz, gdy statut udziela prezydentowi prawo nominacji kandydata, przedstawionego przez wydział. Prezydent przy nominacji liczy się z kwalifikacjami profesora, któremu przeznacza odpowiednią katedrę. Toteż profesor (to samo docent) może być użytkowany i opłacany tylko w zakresie tej katedry, na którą został mianowany; bez wiedzy rządu nie może on być zużytkowany do wykładów w zakresie innej katedry, a przynajmniej takie zużytkowanie nie może być opłacane bez wiedzy i zgody rządu z kredytów budżetowych, przeznaczonych na honoraria wykładowe w zakresie nominacji (za wyjątkiem tego wypadku, *expressio verbis* przez statut przewidzianego, kiedy katedra wakuje i kiedy wykłady w jej zakresie mogą być zlecone profesorom katedr pokrewnych). Zdaniem więc ministra, w tych wypadkach, gdy profesor wykłada kurs, należący nie do jego katedry, i o ile katedra, do której ten kurs należy, nie wakuje, trzeba co najmniej uzyskać sankcję ministra, aby móc takie wykłady legalnie opłacać. Dlatego też praktyka Wydziału Teologicznego jest, zdaniem ministra, niewłaściwa. Zwróciłem uwagę ministra, że to się praktykuje nie tylko na tym wydziale.

14 marca, rok 1937, niedziela

Na dziennik nie mam czasu.

15 marca, rok 1937, poniedziałek

I znowu nie mam czasu na dziennik. A do pisania miałbym wiele. Ale mi czasu na wszystkie roboty nie starczy. Dziś poza całym mnóstwem zajęć – wykład, czynności administracyjne rektorskie, posiedzenie zarządu akademickiego, miałem jeszcze ekstra posiedzenie u Mašalaitisa w sprawach kłajpedzkich (brali w nim udział Mašalaitis, ja, Urbšys, premier Tubelis, minister Šiling, prezes Trybunału Ciplijewski, prezes Sekcji Kłajpedzkiej Trybunału Danowski, prokurator Trybunału Valtis, prokurator Izby Apelacyjnej Arminas i członek prokuratury szawelskiej do spraw kłajpedzkich Bulota). O obradach tego posiedzenia chętnie bym napisał, bo kwestia ciekawa i charakterystyczna, ale to rzecz długa i możności nie mam. Stamtąd jeszcze pośpieszyłem do Izby Kultury Fizycznej („Kūno Kultūros Rūmai") na popis zespołu tańców szwedzkich i litewskich, powtórzony po raz drugi (pierwszy popis widziałem na herbatce w szwedzko-litewskiej w „Karininkų Ramovė". Piękny to popis. Zespół tancerzy wyćwiczony przez sprowadzonego instruktora szwedzkiego, bardzo sympatycznego p. Östmana. Jest to epizod bardzo dodatni i wdzięczny w rozwijających się pięknie stosunkach szwedzko-litewskich. Na popis ten dałem bilety i Jadźce z Renią.

16 marca, rok 1937, wtorek

Mam „*embarras de choix*" w wyborze tematu, o czym pisać. Zatrzymam się jednak na kontynuowaniu kwestii Wydziału Teologiczno-Filozoficznego. Referując o tym w dzienniku, zatrzymałem się pozawczoraj na mojej rozmowie z ministrem Tonkunasem w ubiegłą środę. Gdym zwrócił uwagę ministra na to, że jego zapytanie w kwestii zlecenia profesorom poszczególnych kursów z zakresu nie ich własnych katedr, skierowane do Wydziału Teologicznego, stosuje się właściwie do wszystkich wydziałów, bo we wszystkich to się zdarza, minister mi na to udzielił odpowiedzi, która od razu nadała inny charakter całej kwestii. Mianowicie minister wskazał, że gdy się to na innych wydziałach, a nawet na tym samym wydziale w stosunku do katedr ściśle teologicznych robi, to nie ma on nic przeciwko temu, bo tam to jest tylko okolicznościowe i zwykle uzasadnione pewną konkretną potrzebą tej lub innej katedry. Natomiast inaczej się rzecz zgoła przedstawia w stosunku do czterech katedr humanistycznych na Wydziale Teologicznym – katedr filozofii, historii powszechnej, literatury powszechnej i pedagogiki, które są pozostałością z byłej sekcji filozoficznej, którą wydział ten był utworzył za czasów działania dawnego statutu uniwersyteckiego. Sekcji takiej na Wydziale Teologicznym obecny statut nie przewiduje. Statut wymienia wszystkie sekcje, istniejące na różnych wydziałach, na Wydziale zaś Teologiczno-Filozoficznym nie wymienia żadnej. W myśl obecnego statutu, sekcje nie mogą już być tworzone dowolnie przez wydziały, bo są one zafiksowane w samym statucie. Mogłyby więc być tworzone nowe li tylko w drodze ustawodawczej. Owe cztery katedry humanistyczne na teologii są uzupełnieniem do studiów teologicznych, udzielone wydziałowi właściwie w tym celu, aby studiujący te logię, którym mogą być potrzebne odnośne nauki ogólnokształcące i związane z problemem światopoglądu katolickiego, nie byli zmuszeni studiować je na Wydziale Humanistycznym, którego profesorowie mogą hołdować innej ideologii i nie są związani zastrzeżeniem ortodoksji katolickiej. Tymczasem Wydział Teologiczno-Filozoficzny w drodze kontrabandy utworzył faktycznie z tych czterech katedr osobny cykl zamknięty studiów, stanowiący właśnie odrębną samodzielną „sekcję filozoficzną", czyli w miniaturze katolicki wydziałek humanistyczny, konkurencyjny w stosunku do urzędowego i legalnie statutowo jedynego Wydziału Humanistycznego na uniwersytecie. I nie tylko utworzył i utrzymuje ten nowotwór nielegalny, ale nawet udziela (i muszę przyznać, że za wiedzą i podpisem rektora, tak za mojego rektoratu, jak za rektoratu mojego poprzednika Czapińskiego) dyplomów ukończenia sekcji filozoficznej Wydziału Teologicznego. Otóż praktyka ta, którą minister uznaje za nielegalną ze stanowiska statutowego (i muszę mu w tym przyznać rację), jest obsługiwana przez to właśnie zlecanie wykładów i kursów z zakresu tych czterech katedr profesorom różnych innych katedr (często nawet ze szkodą własnych katedr tychże profesorów). Ta drogą wydział rozdmuchuje i rozciąga te cztery katedry do rozmiarów całkowitej sekcji, wypełniającej cały cykl studiów ośmiosemestrowych. Ponieważ praktyka ta służy do celu obejścia statutu i posługuje się profesorami, mianowanymi wcale nie do tego użytku, przeto minister tę kwestię podnosi i stawia i to w stosunku właśnie tylko do Wydziału Teologicznego, bo jeżeli na innych to się robi, to nie dla celów obejścia statutu.

17 marca, rok 1937, środa

Wczoraj z wielką pompą odbyło się w Kownie wesele syna Pejsacha Rucha z Rakiszek, Mejera Rucha, z córką zamożnych producentów i handlarzy futerek z Polwiszek, mających tu w Kownie magazyn futer, Chają Fridmanówną. Byłem zaproszony na to wesele. Zaproszenie otrzymałem wpierw pocztą, drukowane złotymi literami, a wczoraj wieczorem sam Pejsach osobiście z córką starszą Cipą, zamężną od lat kilku za fabrykantem oleju w Olicie Kreingoldem, i z jej mężem przyszli mię zapraszać. Wymówiłem się, bo miałem wykład, jak wymówiłem się również od herbatki, urządzonej przez „Spaudos Fondas" z powodu zakończenia druku tomu V Encyklopedii Litewskiej. Rodzina Ruchów mocno się podniosła w hierarchii społecznej żydowskiej, której zasadą jest pantokracja. Sam Pejsach Ruch jest synem zmarłego przed ośmiu laty Michela Rucha, Żyda jeszcze starego autoramentu, jednego z ostatnich kolonistów żydowskich w Kurkleciach, który

wszakże rolnictwem się nie trudnił. Trudnił się natomiast wszelkim handlem okolicznościowym i faktorstwem. W Kurkleciach miał kramkę, w której sprzedawał zapałki, tytoń, naftę, pod sekretem i wódkę, zresztą co się dało; po dworach i folwarkach kupował zboże, cielęta, skórki cielęce, dostarczał cielęciny i baraniny, kupował drzewo w lesie, był pachciarzem mleka, pośredniczył we wszystkim. Kręcił się po okolicy, był faktorem w Bohdaniszkach. Był to Żyd tradycyjny, bogobojny, Żyd typu faktorów z dziadów pradziadów, wszędzie obecny, wszystkowiedzący, usłużny, użyteczny, Żyd zwyczajów odwiecznych. Jego syn garbus Pejsach szedł w jego ślady. Przed laty przeszło trzydziestu byłem z Papą na weselu Pejsacha w Rakiszeczkach, gdzie Michel był wtedy pachciarzem. Pejsach wziął żonę z Libawy. Pejsach był tym synem Michela, który mu się najlepiej udał. Drugi syn był trochę wariatem, trzeci studiował Talmud i jest nauczycielem nauk talmudycznych w jeszywecie w Łomży. Pejsach jest Żyd mądry, nabożny, tradycyjny, uczciwy, umiejętny w interesach. W czasie wojny i okupacji niemieckiej wzbogacił się, po wojnie zamieszkał w Rakiszkach, założył tam magazyn żelaza, który stopniowo powiększył, wybudował dom na rynku, stał się jednym z najbardziej szanownych obywateli społeczeństwa żydowskiego w Rakiszkach. W synagodze, w *sui generis* kahale żydowskim, we wszystkich sprawach społecznych żydostwa rakiskiego ma posłuch i uznanie. Zna swoją godność, jest umiarkowany i do szpiku kości konserwatywny, ale w stosunkach ze społeczeństwem chrześcijańskim zachowuje tradycję więzi społecznej: wobec resztek ziemian i panów zachowuje pewną patriarchalną uległość, posyła mace, częstuje, żona jego i dzieci całują panów w rękę. Dzieci ma dużo, nie kształci ich jednak na inteligentów, dobrze wydaje za mąż córki i żeni synów, zapewnia im stanowisko. Mądry Żyd, zachowawczy, wobec Litwy lojalny, państwowo bez zarzutu. Dziś mię młodzi, pobrani od wczoraj, Mejer i Chaja Ruchowie, odwiedzili i złożyli uszanowanie. Przynieśli tort i zwyczajem tradycyjnym faktorów żydowskich – butelkę wódki. Przyjąłem ich kawą z koniakiem. Chwalili się, że wesele było bardzo piękne, 130 osób gości, rabini, zabawiano się po wieczerzy do godziny piątej rano, śpiewano. Depesz z powinszowaniem otrzymano koło 400, w tej liczbie 60 depesz z Rakiszek. Była i moja depesza, którą z wielkim honorem odczytano jako pochodzącą od rektora – splendor stosunków familii Ruchów.

18 marca, rok 1937, czwartek

Zwołałem dziś w gabinecie rektorskim naradę w sprawie ewentualnych kursów bałtyckich dla Szwedów, które by mogły stanowić zrewanżowanie się nasze za kursy socjalno-ekonomiczne, urządzone w Sztokholmie staraniem sekcji bałtyckiej młodzieży szwedzkiej dla grupy studentów ekonomistów Litwinów, Łotyszy i Estończyków. Na naradę byli zaproszeni i stawili się: Antoni Trimakas, prorektor Purėnas, prof. Janulaitis, prof. Pakštas, prof. Jonynas, przedstawiciele Towarzystwa Studiów Ekonomicznych (Wacław Sidzikowski),Towarzystwa „Maistas" (Sruoga), Towarzystwa „Pienocentras", Towarzystwa „Lietukis" i prof. Albin Rimka. Nie stawili się przedstawiciele Izby Rolniczej i Izby Handlowo-Przemysłowej. Nasz pomysł jest taki. Urządzić kursy miesięcznie, na które by się złożyły trzy kursy 10-dniowe w Litwie, w Łotwie i w Estonii – dla grona młodzieży szwedzkiej, litewskiej, łotewskiej i fińskiej, a może także, jak proponuje Pakštas i o ile poseł litewski w Skandynawii Sawicki to zaaprobuje, młodzieży norweskiej i duńskiej (w zasadzie nic byśmy nie mieli przeciwko rozciągnięciu tego kontaktu na Dunczyków i Norwegów, tylko że dotąd nie mieliśmy żadnych stosunków z uniwersytetami norweskimi i duńskimi i mnie się zdaje, że Norwegia i Dania nie bardzo się interesują krajami bałtyckimi, a w każdym razie bez żadnego porównania mniej od Szwecji, która w ostatnich czasach wykazuje ogromne i wciąż rosnące zainteresowanie i aktywizm w tym kierunku). Mamy na względzie szereg wykładów informacyjnych na tematy rozwoju gospodarczego i społecznego naszych krajów, także zapoznanie słuchaczy z odpowiednimi instytucjami, zakładami i urządzeniami oraz wycieczki krajoznawcze. Wielkie nasze organizacje eksportowe i społeczno-gospodarcze, jak "Maistas", „Pienocentras" i „Lietukis", także Izba Rolnicza i Handlowo-Przemysłowa i Towarzystwo Studiów Ekonomicznych dopomogłyby nam do sfinansowania tego przedsięwzięcia i do zaopatrzenia nas, łącznie z profesurą sekcji ekonomicznej i Instytutem Handlowym w Kłajpedzie, w siły techniczne prelegentów i kierowników wycieczek i

wizytacji. Ministerium Spraw Zagranicznych także by się przyczyniło. Wszyscy zebrani wyrazili uznanie dla naszego pomysłu. Wybrano komisję w osobach Purėnasa, Trimakasa i Rimki, która ma rzecz całą uplanować konkretnie. Następnie trzeba będzie porozumieć się z Łotwą i Estonią. Kursy socjalno-ekonomiczne dla młodzieży bałtyckiej w Sztokholmie niebawem się kończą i nasi kursanci wnet z nich powrócą. Z ich i ministra Sawickiego listów wiem, że się tam dobrze czują, dobrze są przez Szwedów przyjmowani i zapewne wykłady mają ciekawe oraz ciekawe wycieczki. Ciekawa będzie ich relacja, którą zresztą usłyszę dopiero po powrocie z Bohdaniszek ze świąt. Tymczasem za wskazówką Sawickiego wysłaliśmy do Sztokholmu prezenty dla akademickiej sekcji bałtyckiej studentów szwedzkich, która zorganizowała te kursy, i dla prezesa tej sekcji Adlersa, który był inicjatorem kursów. Dla sekcji bałtyckiej kupiliśmy ze środków naszego akademickiego funduszu reprezentacyjnego obraz rodzajowy Żmujdzinowicza za 300 litów i dla Adlersa – dywan wyrobu litewskiego w stylu ludowym ze zbiorów znawcy sztuki ludowej Tamošaitisa. Prezenty te doręczą im nasi kursanci.

Byłem dziś na lunchu proszonym w poselstwie amerykańskim. Było ze 20 osób ze sfer Ministerium Spraw Zagranicznych i uniwersytetu.

19 marca, rok 1937, piątek

Mieliśmy dziś posiedzenie zarządu akademickiego w osobach mojej, obu prorektorów i sekretarza uniwersytetu prof. Blažysa. Posiedzenie to zwołałem dla rozejrzenia się w nowej redakcji projektu statutu uniwersyteckiego. Po obradach nad projektem, zgłoszonym przez ministra oświaty, gabinet ministrów w jesieni polecił Mašalaitisowi przeradagowanie projektu w związku z uwagami, poczynionymi w gabinecie. Do tego doszedł także nasz memoriał akademicki, zredagowany przeze mnie i zaaprobowany przez senat akademicki, któryśmy przesłali ministrowi i który minister załączył do akt projektu reformy. Mašalaitis, który jest w tych czasach niezmiernie zajęty, bo dniami całymi wraz z Šilingiem i moim asystentem uniwersyteckim Konstantym Raczkowskim, który jest zarazem referentem w Radzie Stanu, ślęczy nad rozmaitymi kombinacjami reformy konstytucji państwowej, dopiero w tych dniach opracował nową redakcję projektu statutu. Troszeczkę, ale w bardzo znikomej dozie, uwzględnił uwagi naszego memoriału, skądinąd zaś pod niektórymi względami nawet wręcz zaakcentował pewne tendencje projektu na niekorzyść samorządu akademickiego. Tę redakcję nową projektu minister oświaty Tonkunas przejrzał i poczynił w niej jeszcze parę zmian i poprawek. W tych dniach Tonkunas mi ją doręczył, prosząc, abym się z projektem w tej redakcji ostatecznej, w której obecnie wpłynie on do Gabinetu Ministrów, zapoznał, gdyż w myśl naszej prośby mam być zaproszony na posiedzenie Gabinetu Ministrów, gdy projekt wejdzie tam pod obrady. Niewiele sobie wprawdzie tuszę po tym udziale moim w „obradach” w Gabinecie, bo wiem z doświadczenia, że Gabinet zbyt się w dyskusje nie wdaje i zwykle ma już poprzednio z góry powzięte przekonanie, na które wpłynąć i zmienić prawie że niepodobna. Ale ostatecznie zrobić to będę musiał. Chcę przeto się zorientować i w gronie odpowiedzialnych czynników akademickich projekt rozważyć. Wiem, że czynniki akademickie, które mu są niechętne, będą nieomal wszystkim „poprawkom” przeciwne. Nie zakończyliśmy dziś czytania. Zrobimy to po świętach. Nowa redakcja na ogół nie jest dla życzeń akademickich lepsza, raczej przeciwnie. Może o tym, cośmy już dziś zdążyli przejrzeć, powiem w dzienniku przez święta. Aczkolwiek będę miał dużo do omówienia w dzienniku w sprawie Wydziału Teologiczno-Filozoficznego, o czym już pisać w dzienniku zacząłem, a co się rozrosło w sprawę dosyć ciężką i przykrą, która też niewątpliwie uniwersytetowi i jego tezom w kwestii reformy statutu zaszkodzi, bo kompromituje sprawność samorządu akademickiego. Sprawa Wydziału Teologicznego odsłoniła akcję kontrabandy przeciwstatutowej, uprawnianej przez ten wydział pod osłoną administracyjnego samorządu akademickiego, uzasadniającą wzmocnienie ingerencji rządu.

20 marca, rok 1937, sobota

Ostatni mój dzień w Kownie przed wyjazdem na święta do Bohdaniszek. Miałem nieprzyjemne papiery, adresowane do uniwersytetu przez ministra oświaty Tonkunasa w sprawie zwłaszcza

Wydziału Teologiczno-Filozoficznego, poniekąd także w sprawie wydawnictw folklorystycznych („tautosaka”) Wydziału Humanistycznego, ale ta druga mniejszą ma wagę i mniej mię wzrusza. O tych aktach ministra wspomnę w toku relacji o sprawie Wydziału Teologicznego, którą zacząłem już referować w dzienniku i postaram się dokończyć. Pod tym względem patrz karty mojego dziennika z ostatnich dni dziesięciu.

Wydział Teologiczno-Filozoficzny za czasów pierwszego statutu uniwersyteckiego miał legalnie dwie sekcje: teologiczną i filozoficzną. Były to dla tego wydziału, zwłaszcza do roku 1926, dobre i tłuste czasy: rządy państwa spoczywały w ręku klerykalnej katolickiej Chrześcijańskiej Demokracji. Ale i potem było nieźle, bo choć przyszły inne rządy – lewicy na krótko, potem rządy poprzewrotowe Voldemarasa, to jednak Chrześcijańska Demokracja swój spadek w stosunku do Wydziału Teologicznego dobrze ufundowała prawnie, a w rządach Voldemarasa przez czas jakiś – od grudnia 1926 do wiosny 1927 – Chrześcijańska Demokracja, jako wspólniczka pierwszego przewrotu, była współrządzącą. Gorzej się, co prawda, pod względem politycznym dziać jej zaczęło od wiosny roku 1927, gdy narodowcy zerwali z nią kontakt i gdy Chrześcijańska Demokracja zepchnięta została do opozycji, dzieląc los ludowców i innych, których sama poprzednio z narodowcami strąciła. Ale za to przyszedł w tym czasie konkordat litewski ze Stolicą Apostolską, który wzmocnił, jak się zdawało, podstawy prawne Wydziału Teologii, tak dalece nawet, że gdy w roku 1930 zarządzona została reforma statutu uniwersyteckiego, nie odważono się na razie tknąć organizacji tego wydziału, który pozostał poza reformą i dopiero po roku reforma rozciągnięta została i na ten wydział.

Ze swej sekcji filozoficznej wydział korzystał na rzecz tworzenia w swoim łonie równoległego konkurencyjnego wydziału humanistycznego katolickiego. Właściwie na początku, za rządów politycznych Chrześcijańskiej Demokracji, stanowiących złotą erę teologów na uniwersytecie, Wydział Teologiczny szedł w swoich aspiracjach i zapoczątkowaniach jak najdalej: dążył do rozwinięcia tej sekcji filozoficznej w osobny mały uniwersytet katolicki w łonie ogólnego uniwersytetu państwowego pod skrzydłem Wydziału Teologicznego. Sięgał już poza humanistyką po pewne sfery prawa publicznego, nauk społecznych – nauki o państwie, socjologii, i przyrody. Założył u siebie katedrę geografii, wykłady o teorii państwa itd. Gdyby teolodzy zdążyli tę swoją ideę rozwinąć i zrealizować, to uniwersytet nasz stałby się dwoisty (utrakwistyczny): ogólny, świecki, podzielony na wydziały, i równoległy katolicki, streszczony w Wydziale Teologiczno-Filozoficznym. Powoli, oględnie zresztą, do tego zmierzali i gdyby panowanie polityczne Chrześcijańskiej Demokracji potrwało dłużej, to z pewnością wcześniej czy później do tego by doszło, a może nawet zachcieliby wtedy zlikwidować utrakwizm świecko-katolicki na rzecz monizmu katolickiego i jedyny uniwersytet państwowy litewski w państwie rządów katolickich stałby się uniwersytetem katolickim formalnie. Do tego wszakże doprowadzić nie zdążyli. Musiałoby to być dziełem dłuższego czasu. Ale katolicki równoległy wydział humanistyczny w postaci swojej sekcji filozoficznej już byli stworzyli i posiedli: to już było faktem. Katolicka całość uniwersytetu, ogarniająca utrakwistycznie cały cykl wydziałów – to była rzecz aspiracji dalszych, ale katolicki wydział humanistyczny – to była dla teologów rzecz pierwszorzędna i natychmiastowa, bo to było elementem opanowania przez nich szkół. Chodziło im o to, aby mieć w swym ręku formowanie nauczycieli do szkół publicznych. Chodziło im o to, aby swym pupilom dać cenzus nauczycielski, mogący konkurować z cenzusem Wydziału Humanistycznego świeckiego. Istotnie też tak za rządów Chrześcijańskiej Demokracji, jak za rządów narodowców później absolwenci sekcji filozoficznej Wydziału Teologicznego byli wciąż mianowani nauczycielami w szkołach średnich państwowych, nie w mniejszej i może nawet w większej ilości, niż absolwenci humanistyki świeckiej.

Dziś po 12-13 leciech zajrzałem do skrzynki, w której są złożone moje dawne dzienniki w depozycie Biblioteki Uniwersyteckiej. W roku 1924 złożyłem ten depozyt w ówczesnym Muzeum Kultury, utworzonym przez ks. Tumasa, z którym też spisałem umowę odpowiednią. Muzeum Kultury zostało zlikwidowane i depozyt przeszedł do Biblioteki Uniwersyteckiej. Klucz od skrzynki z depozytem dzienników jest u mnie i nikt z dzienników moich korzystać nie może. W razie mojej

śmierci depozyt przechodzi na własność Biblioteki Uniwersyteckiej, ale przez lat 25 od mojej śmierci dzienniki nie mogą być jeszcze otwarte do użytku publicznego. Dziś zajrzałem do skrzynki i wybrałem z niej zeszyty dziennika od roku 1914 do roku 1920, które będę odczytywał, złożyłem natomiast zeszyty nowsze od roku 1923 do roku 1933, które były u mnie na ręku. Po sprawdzeniu w domu stwierdziłem brak dwóch zeszytów z czasów wojny, obejmujących każdy po kilka miesięcy. Sądzę jednak, że chyba pozostały one na dnie skrzynki, bo nie brakowało mi ich, gdym składał, to nikt przecie do skrzynki nie zaglądał.

Do Bohdaniszek [wyjechały] dziś rano Jadzia z Renią, a ja wyjechałem pociągiem nocnym. Odprowadził mię na dworzec kolejowy Diskin.

21 marca, rok 1937, niedziela

Rano o godzinie piątej, jak świt, byłem już w Abelach. Spotkała mię Jadzia, która przyjechała po mnie parą koni z parobkiem Michałem Butkusem w dużych saniach parokonnych. W Kownie już ani śladu śniegu, tutaj wszakże śniegu jeszcze jest dosyć. Były tu w lutym wielkie śniegi, na drogach miejscami są głębokie zaspy. Przez jezioro się już nie jedzie, odwilże systematyczne mocno stopiły śnieg na polach, ale na drogach, gdzie śnieg jest ubity, trzyma się on jeszcze. Czas jest taki, co to między zimą a wiosną. Wczoraj Jadzia jechała ze stacji do Bohdaniszek kołami, ale w wielkich zaspach śnieżnych na drodze koła się wrzynają głęboko i trudno przejechać. Zimno było jechać, wielki wiatr południowo-wschodni. I w domu było niezbyt ciepło. Odwiedziłem Marynię. Jest leżąca, wygląda mizernie, brzuch jej znowu bardzo jest wybrzękły, ogromny. Przytomna jest zupełnie i zdaje się, że psychicznie jest silniejsza, niż była w Kownie w szpitalu. Gderze bardzo Marysię Stefanową Römerową, która jest idealną synową i bardzo dla Maryni dobrą. Męża, Justyna Budkiewicza, też gderze dużo. Na ogół jest Marynia w chorobie bardzo arbitralna i ciężka w domu. Energii ma dosyć, o wszystkim pamięta, zrobiła się bardzo skąpa, wszystkim w domu wymawia niedbałość i brak oszczędności, podejrzewa, że czekają jej śmierci i chcą panować.

Wracam do spraw Wydziału Teologiczno-Filozoficznego. Nowy statut uniwersytecki, działający od roku 1930, a w stosunku do Wydziału Teologicznego – od roku 1931, utrzymał dwoistą nazwę tego Wydziału, jako „Teologiczno-Filozoficznego" („Teologijos-Filosofijos Fakultetas"), ale osobnych dwóch sekcji nie wymienia. Ponieważ zaś wszędzie na wszystkich innych wydziałach sekcje są w samym tekście statutu wymienione, co samo przez się wskazuje na to, że sekcje mogą być tworzone li tylko w drodze ustawowej, więc stąd wniosek, że na Wydziale Teologicznym żadnej sekcji filozoficznej ani też osobnej teologicznej nie ma i że studenci tego wydziału muszą przejść cały cykl nauk wydziałowych, filozofia zaś, czyli cztery katedry humanistyczne, zachowane na tym wydziale (parę innych katedr z dawnej sekcji filozoficznej tego wydziału skasowano), nie stanowią już osobnego cyklu, jeno wchodzą do ogólnego wydziałowego cyklu studiów jako pomocnicze dla studiów teologii. Wydział Teologiczny wszakże konsekwencji tej nie przyjął i faktycznie utrzymał nadal dwie odrębne sekcje – teologiczną i filozoficzną, tworząc dwa odrębne zamknięte cykle studiów i wydając osobne dyplomy sekcji teologicznej i sekcji filozoficznej. Dla teologów sekcja filozoficzna – to rzecz najcenniejsza, to środek działania na szkołę publiczną. Chodzi im o to, żeby na swoim wydziale kształcić systematycznie przyszłych nauczycieli i przez nich wywierać wpływ na szkoły w kierunku katolickim. Gdyby z przedmiotów humanistycznych nie była u nich utworzona osobna sekcja i gdyby przeto wszyscy kształcący się na tym wydziale byli obowiązani odbywać studia ściśle teologiczne, to wydział straciłby znaczną część swych abiturientów, którzy przychodzą tu studiować li tylko nauki humanistyczne w duchu katolickim, spodziewając się uzyskać dyplom, otwierający im drogę na nauczycieli szkół ogólnych. Na fakt utrzymania przez Wydział Teologiczny sekcji filozoficznej, nie przewidzianej formalnie przez statut, nikt dotąd ani z ramienia czynników akademickich (rektorat, senat), ani z ramienia rządu i Ministerium Oświaty nie zwracał uwagi i nie reagował przeciwko temu. Mój poprzednik rektor Czapiński i ja podpisywaliśmy dyplomy sekcji filozoficznej Wydziału Teologicznego, Ministerium Oświaty też się z tym faktem liczyło, nieraz dyplomowanych „filozofów" Wydziału Teologicznego wyznaczało na stanowiska nauczycieli, nawet

czasem w aktach urzędowych wymieniało sekcję filozoficzną i sekcję teologiczną. Nagle się podniósł wielki rwetes.

22 marca, rok 1937, poniedziałek

Dziś długo nie piszę. Ulżę sobie.

Po dwudniowej odwilży i deszczu wczoraj – śnieg już bardzo puszcza. Gdyby nie zaspy, które były głębokie i które jeszcze są pełne śniegu, byłoby już prawie goło. Pola już czernieją wielkimi plamami, których przestrzeń znacznie przewyższa przestrzeń śniegu. Wszakże po obiedzie zaczął dziś wpierw mżyć deszczyk, potem stał się on mieszany ze śniegiem, wiatr się zmienił, zaczęło śnieżyć coraz więcej, znów wszystko się pokryło świeżym całunem bieli śnieżnej, jednocześnie zaś ku wieczorowi i na noc termometr zaczął spadać na mróz. Może znowu będziemy mieli suszę.

Zakłuto dziś u mnie ogromną świnię czarną, skarmioną doskonale na słoninę. Olbrzymia sztuka, jak krowa. Jadzia z Kazimierzem zajęci rozbieraniem tuszy – kobiety czyszczą kiszki i topią szmalec. Jutro będzie znowu rzeź formalna: padną pod nożem dwa kabanki i krowa. W gospodarstwie domowym te okrutne operacje morderstwa zwierząt są rzeczą nie tylko zwykłą, ale wprost uchodzącą za radosną, świadczącą o dostatku.

O spacerach po tych roztopach śniegu i błotu trudno marzyć.

23 marca, rok 1937, wtorek

Dzień dzisiejszy w dzienniku poświęcę znowu sprawie Wydziału Teologicznego. Utrzymując kontrabandą sekcję filozoficzną, na którą wydział złożył cztery swoje katedry (filozofia, historia powszechna, literatura powszechna i pedagogika), którymi musiał zapełnić cały cykl studiów na sześć semestrów, wydział rozciągnął, ile się dało, te cztery katedry, stwarzając w ich zakresie cały szereg kursów wykładowych, aby nimi zapełnić cykl. Ponieważ etatowy komplet profesorów z tych czterech katedr nie mógł obsłużyć tak rozwałkowanego cyklu wykładów, przeto wydział wypożyczał na rzecz tych wykładów profesorów z innych swoich katedr, ściśle teologicznych. Są wypadki, że niektórzy profesorowie katedr teologicznych albo wcale nie wykładają, albo mają jakąś jedną godzinę wykładową w zakresie własnej katedry, a cały swój czas i pracę oddają obsłudze katedr humanistycznych dla zapełnienia kompletu wykładowego sekcji. Na tę właśnie okoliczność zwrócił uwagę minister Tonkunas, który uderzył nie wprost w sekcję, ale w tę praktykę zlecania profesorom wykładów z zakresu katedr obcych. Wszakże tak sformułowane pytanie miało rozciągłość większą, niż w stosunku do jednego Wydziału Teologicznego, co utrudniało odpowiedź, nie dającą się zwęzić do tego wydziału. W motywach przecież minister mi w rozmowie wskazał, że chodzi mu o ten jeden wydział właśnie dlatego, że tu ta praktyka jest skierowana do obejście statutu i utrzymania sekcji, której statut nie przewiduje, podczas gdy na innych wydziałach takiego obejścia prawa nie ma i o ile tam się czasem posługuje jakimś profesorem na rzecz kursu z obcej katedry, to tylko z realnej potrzeby i nie dla szmuglu prawnego. Teologów ta wiadomość bardzo poruszyła. Zawrzało u nich jak w ulu. Bo poczuli, że dotknięto ich w miejsce najboleśniejsze, stanowiące dla nich środek do przemycania swoich pupilów na nauczycieli szkół publicznych. Walka o szkołę i o nasadzanie w niej wpływów katolickich jest dla teologów rzeczą najistotniejszą. Ale jednocześnie w rektoracie i senacie poruszyły się wszystkie inne elementy, wrogie zachłanności klerykalnej i ucieszone, że się znalazła okazja do ataku na tę sekcję filozoficzną. Na posiedzeniu senatu dziekani Lašas, Janulaitis, Krėvė-Mickiewicz, prorektor Jodelė, w mniejszym stopniu inni uderzali w nielegalność sekcji. Dziekan Wydziału Teologii Kuraitis bronił się memoriałami wydziału, usiłującymi uzasadnić istnienie legalne tej sekcji argumentami dosyć słabymi, jak dwoista nazwa Wydziału („Teologiczno-Filozoficzny"), uznawanie dotychczasowe faktu istnienia sekcji... Politycznie istotnie dosyć oryginalne jest dotychczasowe tolerowanie tej sekcji przez władze akademickie i rząd w ciągu lat sześciu, a potem nagłe podjęcie wielkiego hałasu o to. Dlatego też sądzę, że ta akcja obecna pochodzi nie od samego Tonkunasa i nie z Ministerium Oświaty, gdzie czynniki klerykalne są dosyć silne, ale od czynników wyższych, sądzę – od prezydenta Smetony. W każdym jednak razie – czy ta nagłość

ataku jest dziwna, czy nie, słuszna politycznie czy nie, konsekwentna czy nie – ten fakt, że stan przeciwny prawu był długo tolerowany, nie może tego stanu uprawnić. Senat akademicki wyłonił komisję w osobach dziekanów Kuraitisa, Lašasa, Janulaitisa i Krėvė-Mickiewicza pod moim przewodnictwem dla przedstawienia senatowi wniosku w przedmiocie legalności sekcji filozoficznej na Wydziale Teologii. Wszakże co do formalnie zgłoszonego przez ministra pytania w sprawie zlecenia profesorom kursów wykładowych z zakresu nie ich własnej katedry, to senat zajął stanowisko, uznające takie zlecenie za legalne i należące do wydziałów; w tym też duchu udzieliłem ministrowi odpowiedzi urzędowej.

24 marca, rok 1937, środa

Chory jestem dzisiaj. Coś mi musiało zaszkodzić. W nocy źle spałem, miałem żołądek wydęty, rano czułem nudzenie, zaraz po śniadaniu womitowałem. Przez cały dzień doświadczałem nudzenia, parokrotnie zrywało mię na wymioty, ciągle mi się odbijało zgniłym jajkiem, w brzuchu grała rewolucja wiatrów, przelewania się, warczenia i kotłowania jakichś soków, cały koncert wulkaniczny jakiejś cieczy, która jak lawa w kraterze gotowała się i przelewała, a pod łyżeczką w okolicach żołądka coś mię cisnęło, jak żeby tam coś utkwiło. Żołądek mam wolny stale już od lat kilku, od czasu mojej wielkiej choroby, odkąd z porady dr Gudowicza regularnie co dzień rano przed śniadaniem wypijam szklankę ciepłej wody z solami podobnymi do marienbadzkich, działającymi na zwolnienie. Ale dziś była to wolność szczególna, wyuzdana, objawiająca się gwałtownie i co chwila. Zaszkodziła mi chyba zupa wczoraj, buraczki bielone, które były jakoś szczególnie gęste i klejkie, niesmaczne, ale których zjadłem, jak zwykle, spory talerz. Okazało się później, że buraki do tej zupy były spleśniałe, a kucharka Anna wlała do buraczków cały garnek śmietany, aby było „smaczniej" i śmietana była stara. Zaszkodziło widocznie to, bo nic innego, co by mogło zaszkodzić, nie jadłem. Użyłem wszystkich środków na niestrawność, a więc oprócz wody z solami codziennej rano, brałem sodę, rabarbarum, zjadłem kwaśnego mleka, wreszcie rycyny. Miałem pod wieczór trochę gorączki, po obiedzie przeważnie leżałem i położę się do łóżka wcześnie.

Na dworze pogoda szpetna od kilku dni. Śnieży, to znów śnieg topnieje, błoto się robi, mgła, deszcz pada, znowu śnieży, wiatr się zrywa, potem ucicha i tak w kółko. Słońca od mego przyjazdu nie było ani razu. Brzydka wczesna wiosna. Nie byłem jeszcze ani razu w Gaju.

Elizka Komorowska przyjechała wczoraj wieczorem, nocowała u Maryńki, dziś zabawiła u niej do obiadu i odjechała. Jadąc tu, zajeżdżała w Rakiszkach do dr Žemaitisa w sprawie Maryńki i zdecydowała wieźć ją do Rakiszek do szpitala na wypędzenie z niej wody. Będą jej zastrzykiwać salyrgan, ale pod nazwą „novoritu", co w istocie jest to samo, ale Maryńka „salyrganu" się lęka i „nie znosi". Powiozą ją we czwartek za tydzień. Sama Maryńka bardzo chce do Rakiszek do szpitala, a zdaje się, że oprócz zmiany miejsca, które zawsze chorego nęci, i oprócz wanny w szpitalu, do której bardzo tęskni, wielką atrakcją jest dla niej sama podróż, właściwie zapach świeżego powietrza i ziemi, o którym marzy i dla którego gotowa chętnie znieść trud i niewygodę jazdy po złej drodze. Pojedzie leżąca w karach, a towarzyszyć jej będzie Marysia Stefanowa. Elizka Marysi Stefanowej teraz nie lubi, pomawia ją o chciwość i zarzuca jej drobiazgowość i małostkowość. Sympatyczna zbytnio i dla mnie Marysia nie jest, ale muszę przyznać, że niewesołe ma życie w swym małżeństwie ze Stefanem, a jednak znosi wszystko cierpliwie i z równowagą.

25 marca, rok 1937, czwartek

Ciężki i beznadziejny jest stan zdrowia Maryni, której dni życia są policzone i dla której ratunku ani nadziei już nie ma. Ile czasu pociągnie jeszcze i czy przynajmniej większych bólów i męki nie doświadczy, tego oczywiście wiedzieć dokładnie nie można. Lekarze wróżyli, że nie przeżyje i tego czasu, który dotąd przetrwała, więc kto może wiedzieć, czy nie pożyje jeszcze dłużej, np. do lata, a może nawet i przez lato. Katastrofa może być zaraz, ale może być i znacznie później. Bo ta choroba ma to do siebie, że nieraz człowieka doprowadza do tak ostatecznego wyczerpania wszystkich sił i soków żywotnych, że dopiero szkielet z niego zostawi, że mu aż włosy wszystkie z

głowy wyczerpie, a wtedy dopiero przyniesie mu w ostatecznym darze, gdy nic mu już do odebrania nie pozostaje – śmierć. Dla Maryni samej śmierć już byłaby teraz ulgą. Jej życie w łóżku teraz – to już nędza tylko. Wypiękniała na twarzy bardzo, prześliczną ma maskę suchą rysów, niezwykle szlachetny rysunek i rzeźba każdego szczegółu twarzy. Ma typ piękny Papy. Jest ładniejsza teraz na łożu śmierci, niż gdy była zdrowa.

Ale nie mniej ciężki jest stan materialny jej interesów. Katastrofa i tutaj wisi na włosku i nie daj Boże, aby katastrofa wybuchła, dopóki ona jeszcze żyje, bo to będzie cios dla niej najboleśniejszy. Oby ją śmierć litościwa od tego uratowała. A sytuacja materialna jest groźna. Suma długów przerasta o wiele wartość tej jej resztki schedy bohdaniskiej. Przez lat kilkanaście straciła lekkomyślnie znaczną część swej schedy pierwotnej, pozbyła się i zaścianków, i kawałków lasu, które miała, porobiła długi, przeszafowała i to, co z Banku Ziemskiego pożyczyła, i to, co ode mnie za sprzedaną mi drogo (na imię Jadzi) część Gaju otrzymała, i wreszcie te 10 000 lt., które z Państwowej Kasy Oszczędnościowej pożyczyła, a potem już tonąc w tych długach – na same opłaty procentów i wydatki bieżące oraz podatki coraz dalej i dalej brnęła. Jest i Bank Ziemski, i Kasa Oszczędnościowa, w której ja za nią już 4800 litów spłaciłem, a 5200 jeszcze pozostało, i kilkanaście tysięcy długu wekslowego Rosenowi, i po kilka tysięcy w Banku Litewskim w Rakiszkach i w Banku Polskim w Kownie, i jeszcze w bankach lokalnych, i różne weksle detaliczne u różnych osób w okolicy po kilkaset litów, i jeszcze jakieś drobiazgi, i nowy dług kilku tysięcy z roku ubiegłego z żyra za Pawła Koziełły. Marysia Stefanowa oblicza sumę ogólną długów Maryni na 16 000 litów. W tej chwili najdokuczliwsze są drobne długi wekslowe prywatne rozmaitym biednym włościanom okolicznym, dla których te kilkaset litów – to są duże sumy. Dwaj – Kligis i Dyržis z Bohdaniszek, już zaprotestowali weksle, inni tego jeszcze nie uczynili, ale się niepokoją, chodzą, kołaczą, dopytują się, chcieliby mego żyra. Dla spłacenia tych najdokuczliwszych Marynia prosiła w jesieni Bank Ziemski o udzielenie pożyczki dodatkowej. Bank nie odmówił, ale zawiadomił, że przyśle agenta obejrzeć stan gospodarstwa. Dotąd agenta nie przysłał, ale wątpię, aby co z tego było. Gdyby z tego coś wpłynęło, spłaciłoby się najdokuczliwsze okoliczne długi prywatne, najprzykrzejsze nie tylko przez swą dokuczliwość, ale także przez to, że ich niezaspokajanie stanowiłoby krzywdę ludzką. Ale co do całości interesów Maryni, to te operacje dopożyczenia z Banku Ziemskiego nie ocaliłyby losu Bohdaniszek Maryni. Ratunek byłby tylko w dojściu do skutku sprzedaży Piotrowi Rosenowi schedy Maryni na kamienicy wileńskiej. Sprawa ta jest traktowana z Rosenem, ale Rosen daje tylko 20 000 litów, a można się zgodzić co najmniej na 25 000. Rosen się wpierw kwapił, teraz wyczekuje. Jest sprytny i chytry. I kto wie, czy to robi tylko dlatego, że chce, abyśmy ze strony Maryni zaczęli nalegać i przez to naturalnie okazać się w pozycji słabszej od tego, któremu się nie śpieszy. Musi przecie wiedzieć, że czasu jest mało, bo można tej transakcji dokonać tylko za życia Maryni, a to już na włosku tylko wisi. Bardzo więc być może, że umyślił się ewentualnie zabezpieczyć w inny sposób: oto po wystawieniu Bohdaniszek Maryni na licytację po prostu spróbować kupić z licytacji za bezcen i tą drogą strącić masę niehipotekowanych wierzycieli, a samemu za swój dług posiąść Bohdaniszki, licząc może z czasem na skupienie sched Elwiry i mojej po naszej śmierci (jeżeli już nie samemu, to przez dzieci swoje). Jeżeli Rosen się nie da przesadzić na kamienicę w Wilnie z otrzymaniem od niego jeszcze co najmniej 10 000 lt. dopłaty na opłacenie najpilniejszych długów – a na to już coraz mniej czasu, a przeto i szans coraz mniej – to już ratunku dla bohdaniskiej schedy Maryni nie ma. Pozostanie katastrofa – licytacja, która oczywiście lwią część niehipotekowanych długów wekslowych utrąci. Mnie zaś to obchodzi także i to wielce, bo moich żyrów za Marynię jest dużo. Nie liczyłem dokładnie tych żyrów, ale mi się zdawało, że jest tego do 8000 litów, gdy tymczasem Marysia Stefanowa, która podliczała stan długów Maryni, twierdzi, że moich żyrów jest do 12 000!! Piękny interes! Za siostrę, która jest w ciągłych tarapatach, trudno było nie żyrować i cóż pomoże wymawianie jej tego dzisiaj, a ileż poza tym popłaciłem już jej długów, ratówek i procentów za nią gotówką – z pewnością do 10 000 przez te lat kilka, nie licząc tego 1000, który jej w styczniu darowałem i tych tysiąca i kilkaset, które już wydałem na jej chorobę. Jeżeli mię jej katastrofa nie zgubi, to w każdym razie poderwie bardzo.

26 marca, rok 1937, piątek

Przyjechało do mnie czterech studentów do egzaminu z prawa konstytucyjnego litewskiego: Augustyn Halecki, Pričkaitis, Władysław Stankiewicz i Lukša. Wszyscy czterej po raz drugi do Bohdaniszek zawitali, bo zdawali już tutaj pierwszy swój egzamin u mnie z prawa konstytucyjnego ogólnego. Dwaj pierwsi zdali bardzo dobrze, dwaj ostatni – tylko zadawalająco.

Wracam jeszcze do sprawy Wydziału Teologicznego, która też osobiście stała się dla mnie przykra. Mówiłem, że w myśl opinii senatu sprawa się rozdwoiła. Z jednej strony w kwestii, którą minister zgłosił formalnie w swoim zapytaniu na piśmie co do zlecania profesorom wykładów z poza zakresu tej katedry, na które zostali oni mianowani, czynniki akademickie uważają, że zasadniczo należy to do właściwości wydziałów, układających plan nauczania. W tym też duchu zredagowałem odpowiedź do ministra, zaznaczając, że co do szczególnego upowszechnienia tych praktyk na Wydziale Teologicznym, to, jak mię objaśnił dziekan wydziału, pochodzi to stąd, że wydział ten uprawia system przedmiotowy nauczania, nie zaś kursowy, wskutek czego poszczególne kursy wykładowe nie są regularnie co roku powtarzane, jeno się powtarzają co kilka (co trzy, co cztery) lat, a ponieważ przedmioty niektórych katedr są mniej skomplikowane i dają się zamknąć w jednym kursie wykładowym, więc profesorowie tych katedr mogą być w ciągu tych lat, kiedy ten kurs się nie powtarza, zużytkowani na rzecz wykładów tych katedr, które są bardziej złożone, jak filozofia, historia, literatura, pedagogika. Co zaś do kursów języków, wykładanych na tym wydziale, to, jak mię dziekan objaśnił, są to li tylko wykłady o charakterze seminaryjnym pomocniczym do studiów historii i literatury. Ostatecznie sam zdawałem sprawę, że ta moja odpowiedź jest mało rzeczowa i w stosunku do Wydziału Teologicznego jest tylko tym, co się po rosyjsku nazywa „otpiska" (wykręcenie się szermierką językową, dosyć giętką, ale nieistotną), bo operuje tylko informacją zainteresowanego wydziału, nie zanalizowaną należycie i nie biorącą na siebie odpowiedzialność (metoda Piłata), a co ważniejsze – unika tego, co jest istotne, mianowicie tego faktu, że wydział posługuje się tym wyraźnie na rzecz wyodrębnienia i utrzymania swojej sekcji filozoficznej, której statut nie przewiduje i która przeto legalnie istnieć nie może, bo w myśl statutu naszego sekcje mogą być tworzone li tylko ustawowo. Na tę szczególną tendencję wydziału, nadużywającą prawa zlecania wykładów profesorom innych katedr, aby tą drogą obsłużyć nielegalnie utrzymywaną sekcję, zamknąłem oczy w mojej odpowiedzi, ale bo to zapytanie ministra formalnie ograniczało się tylko do samego prawa zlecania takich wykładów, a o tej tendencji wydziału minister mi tylko ustnie mówił. W drugiej kwestii – w kwestii sekcji – senat wyłonił komisję do rozważenia legalności jej istnienia, której bronił Wydział Teologii. Komisja ta w osobach dziekanów Kuraitisa, Janulaitisa, Lašasa i Krėvė-Mickiewicza oraz delegowanego przez Wydział Teologiczny prof. Stanisława Szołkowskiego zebrała się następnie u mnie. Teolodzy, których ta kwestia bardzo porusza, bo upadek sekcji filozoficznej byłby dla nich klęską, na próżno usiłowali nam wmówić jakieś sztuczne i nędzne argumenty na rzecz legalności istnienia sekcji. Argumenty te były: a. dwoistość nazwy wydziału, b. okoliczność, że ten artykuł obecnego statutu, który się odnosi do Wydziału Teologicznego, był ogłoszony dopiero w rok po ogólnej reformie statutowej, a przeto reaakcja mogła być nie uzgodniona z brzmieniem artykułów, dotyczących innych wydziałów, czym się rzekomo może tłumaczyć proste przeoczenie faktu, że sekcje w stosunku do innych wydziałów są w tekście statutu wyszczególnione, przeto z niewyszczgólnienia sekcji Wydziału Teologicznego wniosku przeciwko legalności istnienia tychże czynić nie należy, c. długa praktyka dotychczasowa, jawna i tolerowana przez czynniki tak akademickie, jak rządowe, które nie tylko nie kwestionowały tego nigdy dotąd, ale też uczyniły z tego wnioski prawne. Sami teolodzy czuli, że ich argumentacja prawna na rzecz legalnego istnienia sekcji jest słaba. A dla teologów to rzecz niezmiernie istotna. Z upadkiem tej sekcji wymyka się im z rąk szkoła, mianowicie zasada do żądania obsady stanowisk nauczycielskich w szkole publicznej przez ich pupilów. Bolesne to jest dla nich, bo sekcję tą mieli dotąd nieprzerwanie od początku uniwersytetu, wpierw do roku 1931 legalnie, odtąd – w drodze kontrabandy tolerowanej. Poruszą oni wszystkie sprężyny do tego, aby ratować sytuację. Delegacja ich zwróciła się już do Prezydenta

Rzeczypospolitej, odwołają się z pewnością do episkopatu, do metropolity, do wszystkich wpływów ubocznych. Ale w komisji stwierdziliśmy oczywiście, że legalnie w myśl statutu sekcji takiej nie ma. Zakomunikuje się to na posiedzeniu senatu jako fakt skonstatowany i oczywiście dyplomów opiewających ukończenie tej lub innej „sekcji" na Wydziale Teologiczno-Filozoficznym podpisywać nie będę. Ale nie koniec bynajmniej trudności na tym.

27 marca, rok 1937, sobota

Wielka sobota, wigilia Wielkiejnocy. Zmartwychwstanie Boga Chrześcijańskiego Zbawiciela Ludzkości.

Dzień był słoneczny przepiękny, jak przystało na wigilię święta odrodzenia.

Wszędzie po domach kobiety zajęte przygotowaniami do święta i przyrządzaniem tradycyjnej uczty świątecznej, zwanej święconym, na ile kogo stać. Ale już przynajmniej ciasto się wszędzie piecze, choćby tylko bułki, a w domach bogatszych – i babki, mazurki, i torty, szpekuchy różne, pierniki czy miodowniki itd. Mięsa też napieczone albo przynajmniej przysposobione do pieczenia na jutro. To święto odrodzenia martwego, odkupienia win, oczyszczenia brudów przez cierpienie i mękę Krzyża, przez post wiernych, święto, które się tak doskonale harmonizuje z wiosennym po śmierci zimowej odrodzeniem życia roślinnym w naturze, wyraża się w obyczajach odzyskaniem obfitości dóbr i pełni używania po chudym niedostatku postu, a więc funkcją przede wszystkim jedzenia w bród. Wielkanoc i święcone – to wielka uczta jadła, to orgia nasycania się, to symfonia zmysłów smaku.

W naszych trzech domach dworskich w Bohdaniszkach dzień cały poświęcony wykańczaniu święconego. Najobfitsze święcone u Elwiry, bo tam najwięcej gąb i smakoszów z Andrzejem przede wszystkim na czele, który w obżarstwie, zwłaszcza na mięso, wszystkich zwycięży. A Helcia Mieczkowska ma manię święconego, zwłaszcza wypiekania mazurków, babek i ciasta, które tam już od kilku dni się fabrykują. U nas Jadźka z fraucymerem swoim (Adela, Ona, Kustutia) także zajęte od wczorajszego dnia na kuchni, choć święcone się robi nieduże: indyk wspaniały się piecze, świeża szynka z małego kabanka, musztarda domowa na miodzie i chrzan do tego, szpekuchy doskonałe; piróg nadziewany farszami z podrobów indyka, trzy maleńkie babki – cytrynowa, migdałowa i rodzynkowa, mazurek cygański, mazurek kruchy z żółtek i masła, miodownik, bułki, jajka farbowane. Nawet w zbiedzonym i zbolałym chorobą śmiertelną umierającej Marynki i grożącą katastrofą materialną długów dom Maryńki – nawet tam jest pewien ruch na rzecz święconego: i tam się piecze szynka i indyk, piecze się miodownik i coś jeszcze; Marysia Stefanowa krząta się w kuchni.

Nie są to wprawdzie dawne święcone przedwojenne domu bohdaniskiego za czasów Mamy, gdy się zastawiał cały stół ogromny, na którym z mięsiw oprócz jednego lub dwóch indyków, szynki pieczonej w chlebie, prosięcia pieczonego z jajem w zębach, głowy wędzonej świńskiej, kur, pieczeni wołowej i cielęcej ukazywały się czasem takie specjały, jak głuszec, upolowany i przysłany z powiatu wilejskiego lub bobrujskiego (od wuja Ignasia Tukałły lub od Ezechielostwa Pruszanowskich z Bielcza), jak szynka z dzika albo nawet pewnego razu szynka wędzona niedźwiedzia i pieczeń z łosia z Bryzlennego od Wołłowiczów z powiatu borysowskiego. A środek wielkiego stołu ustawiony bywał olbrzymimi babami, między którymi stały torty, po rogach zaś różne kategorie mazurków! To były święcone pańskie. To były przeżytki historyczne magnackie z czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dziś już wszystko bardziej chudopacholskie, zbliżone tak od dołu (na plus), jak od góry (na minus) do stanu średniego.

Ale dziś nie tylko w tej niwelacji na stan średni święcone swój charakter dawny straciło. Straciło go ono także w swoim wyrazie, że tak powiem, stylowym przejścia od krańcowości niedostatku do krańcowości nadmiaru obfitości, zwłaszcza w niższych warstwach ludu. I tutaj ten przewrót dokonał się za mojego życia, w obliczu naszego pokolenia. Przed wojną jeszcze Wielki Post przed Wielkanocą był w naszym kraju – u ludu zwłaszcza – postem prawdziwie wielkim. Przez siedem tygodni poszczono sucho, nie tylko bez mięsa, ale też bez mleka. Wtedy po takim poście

święcone, choćby niewyszukane, ale polegające na nasyceniu się bezgranicznym mięsem, ciastami na maśle i mleku, tłuszczem – to było przewrót i przeskok, to była rzeczywiście orgia i poezja człowieka zgłodniałego. Dziś to tylko smakoszostwo. Nikt już Wielkiego Postu nie pości tak, jak poszczono za naszej jeszcze pamięci. Znikły już i te dawne potrawy postne kuchni ludowej, jak płatki buraczane, pieczone z siemieniem konopi tłoczonych i cebulą, wielkie kloce rozcieranego grochu itp. Młodzi już tych potraw typowych u ludu z Wielkiego Postu nie znają wcale, nie wiedzą o nich. Toteż i święcone nie jest tym, czym było. Jest ucztą i zabawą, ale nie ma tej przyprawy umęczenia poprzedniego, nie ma tego kontrastu i tej tęsknoty fizjologicznej jadła.

28 marca, rok 1937, niedziela

O ile wczoraj, w przeddzień dnia Zmartwychwstania, pogoda słoneczna świadczyła o wiośnie i wyrażała odrodzenie natury, wszystkie stworzenie napawając czuciem życia, o tyle dziś, w pierwszy dzień Wielkiejnocy, brzydko było i smutno w powietrzu i na ziemi. Już wczoraj wieczorem zaczął mżyć deszcz, z którego wywiązał się śnieg i dziś rano, po lekkim mrozie nocnym, biały jednolity całun śnieżny zalegał ziemię. Niebawem jednak śnieg stopniał i zrobiła się słota mglista. Pod wieczór znów padać zaczął śnieg i temperatura spadła. Patrząc z ciepłego pokoju przez okno mogło się raczej zdawać, że to święto Bożego Narodzenia, nie zaś Wielkiejnocy. Zima się jeszcze na dobre łamie z wiosną.

Z Wielkiejnocy pozostało tylko jedno – święcone, to znaczy nasycenie się smaczne i obfite. Jadło się też rzeczywiście dobrze i dużo, bo wszystko było smaczne, a ilość duża. Po śniadaniu i obiedzie byłem już ciężki i wypchany jak bąk. Choć nic już wieczorem nie jadłem, czułem się przeładowany i wydęty. Dokoła, po chatach parobczanych śpiew. Między chatami przebiegają dzieci, aby się tłuc jajkami lub je taczać.

Święcone bez postu poprzedniego – to już tylko symbol bez treści, forma ujałowiona, jak skorupa bez zawartości, echu głosu, który już zamarł. Ale lud roboczy wiejski się bawi. Nie ma postu, ale miał pracę fizyczną o chłodzie i rozmaitości miał mało. W jego życiu jednostajnym to bądź co bądź święto towarzyskości, którą roznieca jadło i napój. Wszystko się bawi i cieszy, choć jest słota, ale się wie, że to przecie już wiosna.

Jedyny gość, którego miałem u siebie i którego nakarmiłem święconym, to był młodszy brat Feliksa Mackusa z Narkun. Przyszedł z polecenia brata, który mu z Paryża napisał, aby przyszedł. Chodzi o krzyż litewski, który chcę u siebie pod klonami starymi we dworze postawić. W Narkunach jest jeden znakomity majster krzyżów, który i dla mnie kiedyś (w roku 1912) krzyż robił, ten, co to stał w Karwieliszkach przy gościńcu pod Gajem, ale dawno już runął. Ale ten majster, Lašas, jest dziś wariatem. Jest tam inny stolarz zdolny, Dombrowski, głuchoniemy. Mackus z nim się porozumie, postara się dla mnie o dąb na krzyż, będzie się komunikował ze mną w tej sprawie listownie. Dałem mu na wzór moje album krzyżów litewskich (wydanie Lietuvių Dailės Draugijos w Wilnie z roku 1911) i wskazałem modele (nr 24 albo nr 30 z tegoż albumu).

29 marca, rok 1937, poniedziałek

Drugi dzień Wielkiejnocy i zarazem święconego jest lżejszy od pierwszego. Mniej jadłem mięsa i ciast i mniej się czuję obładowany, niż wczoraj. Rano dziś, korzystając ze śniegu, który napadał wczoraj z wieczora i utrzymał się przez noc, jeździłem z ekonomem Pumpolem saneczkami do Gaju. Po obiedzie przyjechał do Bohdaniszek Julek Komorowski z najstarszym synkiem Zysiem, chłopcem już tęgim dwunastoletnim. O synach Julka słyszałem, że są rozpuszczeni i swawolni. Julek wszakże powiada, że Zyś jest zdolny i rozwinięty chłopczyk; pisze dziennik, komponuje jakąś „powieść”, „koresponduje” z braciszkiem, z którym się zresztą razem wychowuje w domu i podobno te jego twory „literackie” są wcale dobre. Na wiosnę Julkowie posyłają swoich dwóch starszych synków na egzaminy gimnazjalne do Wilna. W Polsce chcą ich kształcić, bo nie wiedzą, jak się ich własna przyszłość materialna ułoży i czy będą mieli środki na kształcenie dzieci, w Polsce zaś mają więcej krewnych, rodziny, przyjaciół, znajomych niż tu, więc łatwiej będzie o pomoc. Skądinąd

słusznie liczą, że skoro są zdecydowani utrzymać stuprocentową polskość dzieci, to przyszłość ich (o ile na wszystkich funduszu tu nie starczy) trzeba zakładać w Polsce, nie zaś w Litwie, bo w miarę przyrastania sił fachowych litewskich będzie się coraz bardziej akcentowała „komasacja narodowa" między Polską a Litwą, a przeto Polakom w Litwie będzie coraz ciaśniej i o stanowisko do pracy coraz trudniej.

Ze stanem Maryni jest stopniowo, ale stale – gorzej. Leży cicha, mało mówi. Dziś czy wczoraj womitowała wydzieliny jakieś krwawe. Womituje stale, twardego nie je od dłuższego czasu zgoła nic, tylko pije, ale dotąd wydzielin krwawych w wymiotach nie było.

30 marca, rok 1937, wtorek

Miałem czterech studentów do egzaminu. Dwóch zdało bardzo dobrze, dwóch – średnio. Dosyć lubię te egzaminy w Bohdaniszkach. Dają mi one tu bliższy kontakt z tą młodzieżą, niż na egzaminach w Kownie, bo zawsze na wsi ludzie są bliżsi sobie. Ci studenci do egzaminu są tutaj zarazem gośćmi moimi, których przyjmuję obiadem lub herbatką, gawędzę, czasem im dwór mój i piękne widoki bohdaniskie pokazuję. Szczególnie lubią moich studentów i egzaminy: a. Kazimierz i b. furmani abelscy. Kazimierz opiekuje się nimi, bawi ich, gdy czekają na kolejkę swoją do egzaminu przed wyciągnięciem jeszcze biletu lub gdy już zdali i czekają na innych (egzaminy trwają prawie że do zmroku, bo egzaminuję po jednym z długimi przerwami), opowiada im dzieje przeszłości, jak to wielki był dwór za Rodziców moich przed wojną, jak się bawiono hucznie po dworach, jak to on towarzyszył panienkom (siostrom moim) na karnawał do Wilna, jak usługiwał na wielkich balach prywatnych i publicznych o zabarwieniu zawsze ściśle arystokratycznym. A szczególnie się łakomi Kazimierz na te parę litów, które mu kapną czasem napiwku od studentów na wyjezdnym. Furmani zaś abelscy lubią wozić studentów ze stacji do Bohdaniszek i po wysiedzeniu całego dnia w Bohdaniszkach odwozić z powrotem na stację. Słono zawsze studentów wyzyskują i zarabiają. Mój przyjazd do Bohdaniszek – to zawsze żniwo dla furmanów abelskich. Lubiliby oni, żebym rok okrągły siedział w Bohdaniszkach i zawsze egzaminował. Wiedzą oni wszystkie szczegóły o trybie egzaminów u mnie, bo nasłuchają się o tym od wracających po egzaminie do Abel studentów i informują tych, co dopiero jadą na egzaminy.

Na tegoroczną kampanię rozbudowy Bohdaniszek umówiłem już w tych dniach Sinicę do wymurowania z cegły na podmurówce kamiennej wędlarni (6 metrów wysokości, po 2 metry szerokości, ogółem z otynkowaniem 250 litów, oczywiście materiał cały mój) i podmurówki pod świrem, który zamierzam postawić w roku przyszłym. Dziś umówiłem Markowa do remontu jednej izby w chacie parobczanej (izba parobka Butkusa, podłoga, okna – ogółem 75 litów) i do remontu obory, czyli dawnej dworskiej stajni roboczych koni (ustawianie nowych belek na miejsce wygniłych, drzwi nowe itd. – ogółem 230 litów). Umówiłem też Szerszniowa do kopania rowów w Gaju i magistrali od Prudelisa do Gaju ze strzałkami bocznymi do nowej drogi karwieliskiej (po 60 centów sążeń rowu półtorametrowego i po 35 centów za sążeń rowu metrowego). Wszyscy majstrzy z robotnikami swymi będą na moim stole. Będzie to znów kosztowało słono, ale co robić. Ciekawe, że wszyscy lepsi wykwalifikowani majstrowie w naszych stronach – mularze, cieśle, rowokopy, tracze itp. – to są zawsze nie Litwini, lecz Moskale starowiery. Litwini do tych rzemiosł mniej się biorą, chyba do stolarki. Majstrzy Litwini są podrzędniejsi. Zawodowi są Moskale, zwłaszcza zza Abel, od granicy łotewskiej, spod Norejek, ze Strupejek, gdzie są ich gniazda wielkie. Krzyż litewski dębowy ozdobny w stylu kapliczkowym robić będę dopiero zimą. Balys Mackus umówił już do wykonania tego krzyża głuchoniemego zdolnego stolarza Dombrowskiego z Narkun, ale dopiero na zimę. Tym lepiej, bo trochę wytchnę po kosztach robót letnich. Dąb na krzyż kupię od Zaka w Abelach.

31 marca, rok 1937, środa

Dziś miałem znowu dwóch studentów i sympatyczną studentkę do egzaminu.

Pogoda była śliczna. Słońce, powietrze czyste i rzeźwe, ziemia pachnie, trudno usiedzieć w pokoju. Ptactwa coraz więcej. Wiosna wczesna prześliczna. W nocy pogoda gwiaździsta, w nocy spory mróz.

I znów wrócę do sprawy Wydziału Teologicznego, o której piszę w dzienniku z dużymi przerwami. Nasza akcja senacka sama przez się niewiele by zdziałała. Co prawda, ustalone by zostało stwierdzenie, że legalnie sekcja filozoficzna na Wydziale Teologiczno-Filozoficznym nie istnieje, jak nie istnieje też „sekcja", teologiczna, jeno jest wydział unitarny bez żadnych sekcji. Nie byłyby wydawane nadal dyplomy z ukończeniem jakiejkolwiek sekcji na teologii. Ale chociażby to było dla teologów bolesne, jednak faktycznie sekcji by to nie zlikwidowało. Teolodzy bowiem zdecydowani są korzystać z wszelkiej furtki. Faktycznie utrzymywaliby oni nadal cykl osobny studiów humanistycznych, tworząc z czterech katedr odnośnych całą sieć kursów detalicznych, do których by używali, jak dotąd, profesorów zapożyczanych z innych katedr swojego wydziału, w dyplomie zaś zamiast nazwy „sekcji" używaliby nazwy „specjalności", jak to czynią technicy analogicznie, tworząc precedens. Ale minister Tonkunas zdecydowany jest działać kategorycznie i do skutku. Zażądał przysłania mu regulaminu Wydziału Teologicznego. Załączając przysłany przez teologów egzemplarz regulaminu, zaznaczyłem w piśmie do ministra, że regulamin ten dotąd mocy legalnej nie ma, bo nie jest przez senat zatwierdzony. Kilkakrotnie w tym roku przypominałem Wydziałowi Teologicznemu, żeby przysłał senatowi do zatwierdzenia swój regulamin, ale wydział tego nie uczynił. Minister Tonkunas po stwierdzeniu, że Wydział Teologiczny dotąd, po upływie lat siedmiu, nie ma regulaminu zatwierdzonego przez senat, wystosował do mnie pismo urzędowe dosyć ostre, w którym oświadcza, że uważa to za opieszałość nie tylko wydziału, ale także rektora i senatu, powiada też, że będzie musiał spełnić swój obowiązek i wyciągnąć z tego wnioski (jakie wnioski – nie mówi), wreszcie żąda, aby regulamin wydziału był przez senat terminowo zatwierdzony do dnia 25 kwietnia. Pismo te otrzymałem w dniu wyjazdu z Kowna. Już z Bohdadniszek napisałem do dziekana wydziału prof. Kuraitisa, zadając terminowego dostarczenia mi regulaminu wydziału do zatwierdzenia senatu i uczyniłem jeszcze kilka innych uwag dziekanowi, bo i w niektórych innych szczegółach w tej sprawie wystrychnął mię trochę na dudka.

Taka nieakuratność czynników wydziałowych i akademickich jest przykra podwójnie. W szczególności szkodzi ona uniwersytetowi i samorządowi akademickiemu, który kompromituje, ujawniając brak sprężystości i zaniedbywanie się czynników akademickich, które przeto potrzebują interwencji z góry i bicza. Jest to woda na młyn tych, którzy dążą do zreformowania uniwersytetu przez ograniczenie jego autonomii. Dostarcza to argumentu przeciwko uniwersytetowi, który tak gorąco samorządu swego broni. Chcąc ten samorząd utrzymać – trzeba tak działać, aby nic zarzucić się nie dało. Przeciwnicy i krytycy tego samorządu twierdzą, że w kolegium akademickim ręka rękę myje i kruk krukowi oka nie wydziobie; że pod płaszczykiem samorządu akademickiego tolerują się różne praktyki niedokładne. Poniekąd to prawda. Senat akademicki, złożony w większości z dziekanów, nie jest skłonny kontrolować ściśle dziekanów. Natomiast dominuje w senacie traktowanie rządu i uniwersytetu jako dwóch stron przeciwnych i tendencja do „bronienia" wydziałów i w ogóle czynników uniwersyteckich przed rządem jako *sui generis* przeciwnikiem domniemanym. Szczególnie celuje w tym Krėvė-Mickiewicz, ale nie są od tego wolni i inni (Žemaitis, Lašas, Purėnas, Grinkiewicz). Tendencja ta nie jest właściwa. A ta kompromitacja z praktykami teologów jest dla uniwersytetu szczególnie niedobra teraz, gdy się debatuje projekt reformy statutu uniwersyteckiego. Senat poniekąd sam sobie winien.

1 kwietnia, rok 1937, czwartek

Dziś rano wywieziono biedną Maryńkę do Rakiszek do szpitala. Mają jej tam próbować wypuszczać wodę przez zastrzyki salyrganu pod nazwą „novoritu"; Maryńka nie wie, że to jest to samo. Chodzi o próbę ulżenia jej. Sama chciała tego i Elizka to zarządziła. Pogoda na wyjazd wypadła śliczna. Dzień jaskrawy słoneczny po nocy mroźnej. Ziemia pachnie, skowronki śpiewają, cała natura uśmiecha się jak młode dziewczę, wabione do łoża małżeńskiego. Maryńka wstała z

łóżka, ubrała się z pomocą Marysi Stefanowej i służącej, o własnych siłach wyszła z pokoju i domu. Na karach, zaprzężonych w parę koni, na słomie posłano materac i poduszki. Maryńkę położono i leżąco pojechała w towarzystwie Marysi Stefanowej. Cieszyła się na samą jazdę, na widok wiosny i natury. Wygląda jednak strasznie, mizerna, bezbarwna. Po obiedzie konie wróciły. Parobek przywiózł wiadomość, że dojechała szczęśliwie. Marysia Stefanowa została przy niej.

Kupiłem dziś klaczkę roczną od Kulisa z wioski Bohdaniszek, która pochodzi od Michasia Malca. Nastręczył mi ją Janek Čepas. Ładna klaczka po dobrym ogierze, tylko zanędzniała trochę. Wielka nie będzie, ale na matkę może być dobra. Kupiłem ją za 90 litów. Jasna kasztanka o światłym ogonie, na czole ma gwiazdkę białą.

Miałbym się zupełnie dobrze na Bohdaniszkach, gdyby nie ta bieda z Marynią. Jej samej już się uratować nie da, ale kto wie, czy się da uratować jej schedę. Bardzo wątpię, chyba że Marysia by się zdecydowała poświęcić Szaszewicze na ratowanie Bohdaniszek dla Steni. Bankructwo Maryni schedy w Bohdaniszkach mocno i mnie zaangażuje finansowo przez żyra.

2 kwietnia, rok 1937, piątek

Było na dziś zapisanych dwóch studentów Żydów do egzaminu, ale nie przyjechali.

Pogoda słoneczna, taka sama, jak wczoraj i pozawczoraj. Tylko dym idzie do dołu i ściele się po ziemi, co zdaje się wskazywać na nietrwałość pogody. Białe plamy śniegów już coraz mniejsze i rzadsze. Tylko w Gaju jeszcze dużo śniegu i dotąd nie ma wcale pierwiosnków. Już szpaki się kręcą i oglądają gniazda. Mały Janek Bieliuniuk porobił i ponasadzał dużo tych gniazd w postaci skrzynek drewnianych po drzewach w mojej części dworu. Szkoda tylko, że nie wypadnie mi tych miłych ptaków w czasie ich gnieżdżenia się widzieć i słyszeć. Bo nie będę w Bohdaniszkach zapewne aż do lipca.

Od Maryni były wieści z Rakiszek, że czuje się na ogół nienajgorzej. Zrobiono już jej pierwszy zastrzyk „novoritu" (salyrganu), który jej zbytnio nie osłabił. Skutek już jest – mocz pędzi. Marysia Stefanowa pozostała w szpitalu przy Maryni. Pielęgnuje ją, bo Marynia siostrzyczek i pielęgniarek szpitalnych nie znosi. O ile w roku ubiegłym w szpitalu w Kownie Marynia nie tylko lubiła, ale wprost bratała się z siostrzyczkami, o tyle teraz, gdy stan jej się pogorszył, nie lubi ona ludzi i unika obcych. Lubi mieć przy sobie tylko swoich, dla których zresztą jest bardzo ciężka i przykra. Trzeba przyznać, że Marysia Stefanowa jest bardzo dobrą nie tylko żoną, ale też synową. Właściwie od tej rodziny mężowskiej nie ma nic oprócz zmartwień i ciężarów, a przecie jest ofiarna i dobra. Marysia jest jakaś enigmatyczna. Dla mnie jest dziwna; nie bardzo umiem ją zrozumieć. Jest pesymistka, umie być uszczypliwa, nie ufa ludziom, mądrością także nie grzeszy, robi wrażenie trochę mizantropki, nic jej nie imponuje i wszystko traktuje trochę sceptycznie i niedowierzająco, jakby sama stała ponad tym i była mędrszą; ma się wrażenie, że wszystkich traktuje pobłażliwie, jakby zdawała się mówić: ot, pleć sobie i udawaj mądrego, a w gruncie rzeczy głupi jesteś i nie warto cię brać na serio, bo udajesz i chcesz zaimponować, a w istocie masz tylko jakąś śmieszną słabostkę; podejrzliwa jest i we wszystkim doszukuje się jakichś „dessous" małostkowych; małostkowa jest też sama; w ludzki idealizm, w czystość motywów, w szlachetność uczuć nie wierzy; ma skłonność dziwną do „demaskowania" i poniżania wszystkiego. To są jej cechy ujemne i rażące. Ale jednocześnie w uczynkach swoich jest niewątpliwie mocna i szlachetna. Do męża, który jest wykolejeńcem i moralnie oraz psychicznie chorym człowiekiem, jest jednak głęboko i rzewnie przywiązana, choć naturalnie bagatelizuje wszystkie jego pomysły i traktuje go jak dziecko. Ma dla niego serce matki. Córkę swą, Stenię, kocha nad życie. Maryni z pewnością nie lubi, ale przecie jest dla niej bez zarzutu dobra i opiekuje się nią cierpliwie i ofiarnie, choć od niej dużo znosi. Mieczkowskich szczerze lubi, natomiast nie lubi się z Elizką Komorowską i wspólnie ze Stefanem nie cierpi Ewy. Ma jednak dużo zalet w swej naturze biernej, upartej i tępej, naturze małej szlachcianeczki zaściankowej, której nauka w niej nie zabiła i nie zreformowała. Ma swoje tępe zaśniedziałe uprzedzenia społeczne i narodowe, swój horyzont zaściankowy myślenia i czucia,

wyssany chyba z mlekiem matki, swój „*petit genre*” drobnoszlachecki, najbardziej zacofany i uparty, mimo że religię straciła i jest wolnomyślną, wyzwoloną od „przesądów”.

Ciekawe mam teraz prace: w zakresie mojej nowej książki, którą piszę, także w zakresie pewnych uzupełnień do wykładów i pewnych artykułów. Siedzę w ustrojach konstytucyjnych sowieckim, faszystowskim, polskim z roku 1935, przygotowując też referacik o konferencjach bałtyckich współpracy intelektualnej na kongres paryski. Prac mam więcej, niż nadążyć mogę.

3 kwietnia, rok 1937, sobota

Od Marysi Stefanowej były wieści z Rakiszek o Maryni. Zastrzyk „novoritu” (= salyrgonu), który jej zrobiono wczoraj, był skuteczny i nie zaszkodził jej wcale. Moczu wyszło trzy litry – to już dobrze. Marynia po zastrzyku i w toku pędzenia moczu czuła się doskonale, o ile tak można określić jej ciężki stan choroby: była w lepszym usposobieniu, raz się nawet uśmiechnęła, siedziała trochę, jadła i nie womitowała.

4 kwietnia, rok 1937, niedziela

Wyjazd z Bohdaniszek. Jak zawsze – wyjeżdżać szkoda. Wiosna. Szczęśliwe ptaki, które zostają.

Wyjechaliśmy na pociąg popołudniowy do Abel. Jechaliśmy na Pokrewnie i Antonosz, bo tam jest suszej i śniegu nie ma, jak na górach gościńca abelskiego. Zaś przez rzekę w Pokrewniu przejechać można – rozlew już niewielki, choć most duży na rzece ledwie się trzyma.

Z Abel, jak zawsze, jechaliśmy pociągiem rozdzieleni: ja jechałem II klasą, bo mi jako rektorowi z urzędu to przystoi, Jadzia zaś z Renią i służącą Anną jechała III klasą. Między Poniewieżem a Radziwiliszkami siedzieliśmy z Jadzią w wagonie restauracyjnym. Na ogół pociąg był bardzo przepełniony. Wielki ruch poświąteczny.

Z Radziwiliszek jechałem z młodym księdzem, kończącym studia na Wydziale Teologicznym. Jest to więc student, który przez cztery lata był na uniwersytecie, a jednak mię nie znał jako rektora i nie poznał. Z rozmowy domyślił się, że jestem profesorem, ale z jakiego wydziału – nie wiedział. Nie ujawniłem się przed nim do końca. Cytował nawet moje prace, wymieniając moje nazwisko, ale że rozmawia z autorem tych prac i rektorem – nie dowiedział się. Jest to *curiosum* na uniwersytecie, ale w stosunku do studentów teologów to jest rzecz możliwa, bo są oni bardzo odosobnieni, jak goście na uniwersytecie. W życiu akademickim udziału nie biorą. Przychodzą na swoje wykłady wydziałowe i odchodzą.

5 kwietnia, rok 1937, poniedziałek

Rozpocząłem moją codzienną pracę kowieńską. Rano odbyłem mój wykład bieżący, byłem w gabinecie rektorskim, widziałem się z obu prorektorami, którzy mię w czasie świąt zastępowali. Nic szczególnego na uniwersytecie nie zaszło. Rząd jednak widocznie pogłębia akcję, rozpoczętą przeciwko teologom, której inicjatywa spoczywa niewątpliwie w ręku Prezydenta Rzeczypospolitej Smetony. Akcję tę, jakem wspominał, rząd rozpoczął nie wprost od zaatakowania sekcji filozoficznej, którą Wydział Teologiczny utrzymuje wbrew statutowi, ale od zakwestionowania legalności stwierdzonego przez ministra faktu, że Wydział Teologiczny zleca poszczególnym profesorom wykładanie kursów, nie wchodzących w zakres ich katedry. Na Wydziale Teologicznym robi się to na dużą skalę i właśnie na rzecz sekcji filozoficznej; tą drogą bowiem udziela się tej sekcji siły profesorskie, zapożyczone od katedr ściśle teologicznych; bez tej „pożyczki” nie wystarczyłoby bowiem tych sił profesorskich, które są przywiązane do tych czterech katedr, które stanowią jądro sekcji filozoficznej. Pozycja, którą zajął w tej kwestii uniwersytet (senat i ja), jest ta, że nielegalnym ze stanowiska statutowego może być nie samo zlecanie profesorom poszczególnych kursów, wychodzących poza zakres ich katedry, co się praktykuje i na niektórych innych wydziałach, ale ten cel nielegalny utrzymania wbrew statutowi sekcji, na rzecz którego teolodzy przemycają ów fakt zlecania kursów poza katedrą własną profesora. W mojej odpowiedzi na piśmie ministrowi

wskazałem wyraźnie, że zlecanie profesorom kursów poza ich katedrą własną praktykuje się nie tylko u teologów i samo przez się nie wydaje się nielegalne. Ustnie mówiłem o tym ministrowi także. Na to minister mi odpowiadał, że co do innych wydziałów rzecz ta nie budzi wątpliwości, bo tam się to robi na rzecz potrzeby rzeczywistej, podczas gdy u teologów to się robi na rzecz obejścia statutu. Tymczasem teologowie, broniąc się przeciwko bolesnemu dla nich zaatakowaniu ich sekcji filozoficznej, postarali się dotrzeć do Prezydenta Smetony, któremu ich delegacja złożyła odpowiedni memoriał i w tym memoriale powołała się na to, że w praktyce innych wydziałów też się profesorom zlecają kursy wykładowe spoza zakresu ich katedry własnej. I oto teraz minister Tonkunas, który wiedział ode mnie o tych praktykach na innych wydziałach i nie widział potrzeby kwestionowania tego, ograniczając się wciąż do Wydziału Teologicznego, teraz wystosował do uniwersytetu pismo, w którym, powołując się na ów memoriał teologów do Prezydenta, zażądał sprawdzenia i zakomunikowania mu odpowiednich faktów, praktykowanych na innych wydziałach. Rzecz się rozrasta i komplikuje.

6 kwietnia, rok 1937, wtorek

Z Bohdaniszek w czasie świąt wielkanocnych napisałem do Celiny w odpowiedzi na jej list grudniowy, który otrzymałem w marcu. Odpisałem obszernie. Z tego listu Celiny rad byłem bardzo. Był to bodaj pierwszy jej list, w którym się ona „rozkrochmaliła” przede mną, bo zwykle jej listy w naszej korespondencji były sztywne i tchnące pewną poprawnością urzędową, szablonem wzorków obmyślonych i starannie ułożonych, maskujących żywego człowieka. W tym liście ostatnim była pewna namiętność, a więc szczerość; może ten wylew jej uczuć dumy, „samotności”, odruchu przeciwko obłudzie stosunków rodzinnych ze strony tych krewnych (Ani Virionowej, Eugeniuszostwa, Macieja Römera), którzy ją traktują protekcjonalnie, żądając od niej względów dla siebie, a nie dając jej serca bynajmniej, niechęci do faryzeuszy, których wyczuwa w tych „szanownych” członkach rodu, może ten wylew jej uczuć miał w sobie coś nawet histerycznego, coś z autosugestii zacietrzewienia się własną szlachetnością, co miała Regina w wysokim stopniu i co mogła po niej odziedziczyć Celina. Bo Regina była mistrzynią doskonałej szlachetności i prawości w swoich listach, którymi nieraz i mnie sugestionowała. A kto wie, czy nie wyrobiła w niej tego panna Eliza Courtôt, która jest doskonałą aktorką szlachetności i która z Celiną obecnie mieszka i na nią oddziaływa, jak niegdyś oddziaływała na jej matkę. Faktem jest, że list Celiny był bliźniaczo podobny do takichże dobrze mi znanych listów Reginy. Gdyby nie to, byłbym listem Celiny zachwycony. Ale bądź co bądź nawet ze wszystkimi tymi zastrzeżeniami – cieszę się z listu Celiny, bo bądź co bądź był on indywidualny i szczery, gdyby nawet była to autosugestia i zacietrzewienie. Jest w tym liście i młodość „chmurna i górna”, i uniesienie szlachetne, powaga natury szczerej i głębokiej, choćby się podniecającej. Taka korespondencja może mię do Celiny zbliżyć. Staje mi się ona bliższą i droższą i wtedy ja też przemawiać do niej mogę nie jak do osoby formalnie tylko bliskiej, ale rzeczywiście obcującej ze mną uczuciami swymi i sokiem serdecznym swojej myśli i swojego nastroju. Ten list Celiny i moja odpowiedź – to już droga do stosunku ojca z córką. Ciekaw jestem, co mi napisze dalej Celina. Zbliżyła się do mnie. W drugiej połowie mego listu podniosłem zagadnienie, na które mi ona nigdy dotąd odpowiedzi nie dała: pisze, że kocha pracę i że w pracy, dającej samodzielność, streszcza całą wartość życia; ale praca dla pracy jako sport wysiłku lub jako środek wyłącznie do niezależności i swobody to albo banalność, albo pycha i sybarytyzm. Chodzi mi o to, jaki jest ideał społeczny tego ukochania pracy, jaki jest czynnik serca w samej pracy. Co Celina kocha, do czego dąży, w co wierzy.

7 kwietnia, rok 1937, środa

Znowu na dziennik czasu nie mam.

8 kwietnia, rok 1937, czwartek

Miałem posiedzenie zarządu uniwersyteckiego i senatu. Ciężka się zaczyna sprawa regulaminu Wydziału Teologiczno-Filozoficznego. Od lat sześciu wydział funkcjonuje pod działaniem obecnego statutu, w myśl którego każdy wydział ustanawia regulamin swego trybu działania, zatwierdzany przez senat akademicki, a jednak dotąd Wydział Teologiczny swego regulaminu do zatwierdzenia senatowi nie był zgłosił. Że wydział ten nie ma zatwierdzonego przez senat regulaminu, o tym na razie po objęciu rektoratu nie wiedziałem. Gdym się o tym w obecnym roku akademickim od naczelnika kancelarii uniwersyteckiej Gurewicza dowiedział, zażądałem go od dziekana wydziału w jesieni na posiedzeniu senatu, potem parokrotnie żądałem tego pismem urzędowym do dziekana, ale wciąż bez skutku. Nie posiadając regulaminu, wydział wymykał się spod kontroli i przemycał wszelakie kursy i sekcje nie przewidziane przez statut, konstruując w swoim łonie miniaturowy uniwersytet katolicki. Dopiero teraz, gdy akcja ministra Tonkunasa wszczęła nagle rwetes w sprawie praktyk Wydziału Teologicznego i gdy minister, po ujawnieniu przypadkowo tego braku regulaminu, skarcił za to ostro czynniki akademickie – rektora, senat i wydział – i kategorycznie wyznaczył termin 25 kwietnia dla zgłoszenia mu zatwierdzonego przez senat regulaminu wydziału – wydział, znowu ostro przeze mnie zainterpelowany, wreszcie projekt regulaminu zgłosił. Już z pobieżnego przejrzenia tekstu projektu ujawniło się, że Wydział Teologii tworzyć chce w swoim łonie nie tylko prawdziwy wydziałek humanistyczny, ale nawet miniaturę wydziału prawniczego. Słowem, zachłanność wydziału jest ogromna. Wydział idzie *va-banque*. Wpisał do projektu regulaminu od razu maximum tego, co chciałby posiąść. Widocznie teolodzy chcą się trzymać taktyki ofensywnej w defensywie. Im więcej się czują napastowani – tym więcej się domagają. Wpadli w psychologię bankruta. Że pozycji żądanych nie wygrają – o tym chyba wiedzą, przynajmniej że nie wygrywają ich w senacie, usposobionym przeciwko zachłanności katolickiej. Ale może chodzi im o wrażenie polityczne programu katolickiego i dlatego prowokują. Wśród członków senatu ten projekt regulaminu wywołał zdecydowaną opozycję. Formalnie jednak nie debatowano go dzisiaj. Zajmie się nim komisja, wyznaczona w osobach dziekanów: a. teologii (Kuraitisa), b. prawa (Janulaitisa) i c. humanistyki (Krėvė-Mickiewicza) pod moim przewodnictwem.

9 kwietnia, rok 1937, piątek

Rano miałem dziś egzaminy studenckie. Po obiedzie miałem zebranie przedstawicieli towarzystw, utrzymujących stosunki z zagranicą, w sprawie utworzenia związku tychże pod nazwą „Związek Współpracy z Zagranicą” („Su užsieniu bendradarbiauti Sąjunga”). Inicjatywa utworzenia takiego związku wyszła w swoim czasie od Komisji Współpracy Intelektualnej, której jestem z urzędu prezesem. Na konferencji tych towarzystw, zwołanej przez komisję naszą przed kilku miesiącami, wyłoniona została komisja do zaprojektowania statutu związku, która w kontakcie z komisją naszą projekt ten ułożyła i dziś był on debatowany. W zasadzie wypowiedziano się za tworzeniem związku, jeno z wielką niechęcią do składek członkowskich, a za to z nadzieją subsydiów od rządu. Poczyniono szereg poprawek do projektu statutu i w tej zreformowanej postaci odesłano jeszcze projekt do rozważenia towarzystwom reprezentowanym na zebraniu. Z urzędu wypadło mi na tym zebraniu przewodniczyć.

Wieczorem byłem na obiedzie proszonym w poselstwie sowieckim. Obiad był uroczysty, we frakach z orderami, na uczczenie premiera Tubelisa po powrocie jego z wypoczynku za granicą. Obecnych było koło 20 osób: ministrowie Tubelis, Šiling i Staniszewski z żonami, z Ministerium Spraw Zagranicznych Urbšys z żoną i Girdvainis, szef kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Bielskus, ja, z dyplomatów poseł czeskosłowacki Skalicky z żoną, żona posła łotewskiego pani Sēja i członkowie poselstwa sowieckiego z posłem Podolskim i jego żoną na czele.

10 kwietnia, rok 1937, sobota

Byli u mnie na obiedzie Eugeniuszostwo Römerowie z córką Gienią. Bardzo miła dziewczyna. Już dorosła panna, lat zapewne dwudziestu. Wysoka, bardzo zgrabna, przystojna. Ładniejszą jest może starsza, Zosienia, ale Gienia bardziej swojska, ma bardzo dużo wdzięku. Sprytna też, ma humor

i dowcip, ma ogromną pogodę młodości. Gienia ma dużo typu ojca, tylko w pięknej stylizacji, bo ojciec, Eugeniusz, jest brzydki. Zosienia i Gienia przypominają swoje ciotki (siostry Eugeniusza, „Izydorówny") Zosię i Anię, gdy te były młodymi pannami.

Moje kłopoty obecne na uniwersytecie są dla mnie nieprzyjemne, ale w gruncie są to rzeczy nieistotne. Najistotniejszą jest sprawa Wydziału Teologicznego. W gruncie rzeczy ja i czynniki akademickie (poza teologami) sprzyjamy akcji rządowej, skierowanej do zwalczenia usiłowań teologów przemycenia w miniaturze całej organizacji uniwersytetu katolickiego z konkurencyjnymi wydziałami w łonie Wydziału Teologicznego. Nie jesteśmy tylko pewni, czy rząd robi to gruntownie i kategorycznie, czy też tylko naciska, aby mieć z czego ustąpić w układach z Kościołem. Przykre jest tylko to, że tę akcję rząd prowadzi drogą napastowania czynników akademickich jako rzekomo winnych tolerowaniu kontrabandy wydziału. W istocie tolerował to i sam rząd. Mam odpisy dokumentów z podpisami tego samego ministra Tonkunasa, w których rząd z własnej inicjatywy sankcjonował nielegalną sekcję filozoficzną teologów (np. przy rozdawnictwie stypendiów minister przeznaczał pewną ilość stypendiów dla „sekcji teologicznej" i pewną – dla „sekcji filozoficznej" Wydziału Teologicznego). Rzecz ta była dotąd tolerowana ogólnie – tak przez czynniki akademickie, jak przez czynniki rządowe i nigdy nie czyniono z tego tajemnicy, a teraz minister napada na nas, jak gdybyśmy to my wyłącznie byli za to odpowiedzialni. Zaś teolodzy uprawiali to przemytnictwo pod osłoną tolerancji i nie kwapili się z zalegalizowaniem swego regulaminu, który mógłby tę kwestię postawić pod dyskusję w świetle dziennym.

Inna sprawa – to sprawa wydawnictw „tautosaki" na Wydziale Humanistycznym. Wydział i ministerium zawzięły się i walczą, a ja jestem między młotem a kowadłem. Usiłuję utrzymać dokładne stanowisko prawne, ale obie strony są nierade i chciałyby, abym stuprocentowo każdej z nich stanowisko popierał bez zastrzeżeń.

Trzecia rzecz jest mała, epizodyczna, ale może najprzykrzejsza. Ministerium domaga się, abym usunął ze stanowiska bibliotekarki seminaryjnej na Wydziale Humanistycznym studentkę Michalinę Navikaitė, która była jawną komunistką, podczas gdy ja nie mogę tego uczynić, bo nie uważam tego za powód formalny do usunięcia, gdy nic jej zarzucić nie mogę służbowo.

11 kwietnia, rok 1937, niedziela

Przed obiadem byłem na dorocznym posiedzeniu uroczystym korporacji akademickiej „Fraternitas Juvenum", której jestem „filistrem honorowym" i która obchodziła dziś swoje dziesięciolecie. Jest to korporacja litewska, hołdująca zasadom narodowym, ale nie specjalnie nacjonalistyczna i nie mająca żadnego zabarwienia ideologicznego. Jest ona na ogół tolerancyjna, a główną jej zasadą jest koleżeńskość i braterstwo członków. Ma swoje ceremonie, swoje obrządki rytualne, do których jest bardzo przywiązana i o które dba. W życiu akademickim młodzieży udział bierze, należy do zrzeszenia korporacji bezpartyjnych o pokroju umiarkowanie konserwatywnym (należy do wielkiego zrzeszenia, funkcjonującego pod nazwą „Prezidiumų Samburis"). Jest na ogół dość arystokratyczną – należą do niej przeważnie chłopcy rodziców zamożniejszych, synowie inteligentów. Na swoich komerszach („alutis") bracia piją tęgo, śpiewają, gawędzą, chwalą swoją korporację, rozprawiają o towarzyskości i koleżeńskości, o tradycjach korporacyjnych. Na członków przyjmują samych mężczyzn, żeby im kobiety nie psuły koleżeństwa i flirtem czy rywalizacją zmysłową nie dzieliły braci. Do korporacji tej garną się też elementy o narodowości niezupełnie litewskiej, chłopcy z rodzin o kulturze domowej polskiej, którzy mają instynkt krajowy i nie chcą się wydzielać zbytnio w organizacje jaskrawie polskiej, owszem – szukają kontaktu z młodzieżą litewską i litwinizują się; w organizacjach nacjonalistycznych litewskich czuliby się źle, w tej natomiast, dosyć neutralnej i tolerancyjnej, po trochę się asymilują, ale nie doznają zbyt namiętnych wstrząsów. Korporacja dobrała sobie „filistrów honorowych" spośród osób wysoko postawionych. Jej „filistrami honorowymi" są: Kipras Piotrowski, ja, prorektor Jodelė, minister spraw zagranicznych Lozoraitis i prezes Trybunału Ciplijewski. Ja jestem jednym z jej najstarszych filistrów honorowych – od roku 1928 za czasów pierwszego rektoratu mojego. Korporacja ta jest

poniekąd towarzystwem wzajemnej adoracji, choć wśród jej członków przez te lat 10 znałem wielu bardzo sympatycznych osobiście chłopców. Obecnym jej prezesem jest młody Ciplijewski, syn prezesa Trybunału, prawnik, zakochany w korporacji, trochę maniak w tym względzie. Uroczystość odbyła się z całą chińszczyzną rytuału, w której kochają się adepci korporacji akademickich litewskich. „Celebrowanie" zajęło 1 ½ godziny. Tego przedziwnego kultu ceremonialności nie umiem pojąć. Dla mnie jest on dziwaczny.

Po tej uroczystości byłem już wolny. Oddałem dzień ten Jadźce. Poszliśmy z nią na obiad do restauracji „Metropolu", stamtąd pojechaliśmy autobusem do Poniemunia, wysiedliśmy na moście, poszliśmy wybrzeżem Niemna do pięknego lasu sosnowego poniemuńskiego, zwanego parkiem Basanowicza, następnie przeprawiliśmy się łódeczką przez Niemen, wdrapaliśmy się na górę do lasu, wyszliśmy na Górze Szańce i następnie do szosy autobusowej z Pietraszun. Zrobiliśmy piękny kilkokilometrowy spacer pieszy z łażeniem po górach. Całą godzinę wyczekaliśmy na szosie na autobus z Pietraszun, którym wróciliśmy do Kowna i do domu. Śliczny i zdrowy spacer. Pogoda słoneczna piękna.

12 kwietnia, rok 1937, poniedziałek

Odbyło się dziś w moim gabinecie na uniwersytecie posiedzenie akademickiej komisji senackiej, wyznaczonej do rozpoznania projektu regulaminu Wydziału Teologiczno-Filozoficznego. Wzięli udział pod moim przewodnictwem dziekani Janulaitis, Krėvė-Mickiewicz i Kuraitis oraz prof. Stanisław Szołkowski z Wydziału Teologicznego, sprowadzony do pomocy przez dziekana Kuraitisa. Referował Janulaitis. Podniósł szereg wątpliwości detalicznych. Wszakże kwestią zasadniczą jest naturalnie kwestia dwóch sekcji – teologicznej i filozoficznej. Teolodzy wpisali do projektu obie te sekcje i z tego założenia zbudowali cały plan nauczania, w którym poza tym utworzyli w łonie sekcji filozoficznej całą serię sekcyjek poszczególnych. Ponieważ głosy w komisji się podzieliły, bo my z Janulaitisem i Krėvė-Mickiewiczem uważamy istnienie sekcji w łonie wydziału za przeciwne statutowi, podczas gdy prof. Kuraitis naturalnie istnienie tych sekcji popiera, przeto musieliśmy w komisji robotę naszą przerwać, żeby się odwołać do senatu, który winien kwestię legalności istnienia sekcji rozstrzygnąć, bo w myśl statutu zatwierdzenie regulaminu należy do właściwości senatu i on przeto w tym wypadku winien rozstrzygnąć wątpliwości.

Nadmienię w dzienniku o śmierci studenta Olgierda-Edwarda Römera, syna Michała, naszego dalekiego krewnego z linii zubożałej Römerów poniewieskich. Jest to ten sam, którego poznałem na uniwersytecie jako mojego ucznia na prawie przed laty kilku. O śmierci jego dowiedziałem się wczoraj przypadkiem: mianowicie na uroczystości korporacji „Fraternites Juvenum" odczytano listę zmarłych korporantów, których pamięć uczczono przez powstanie. W ich liczbie usłyszałem nazwisko Olgierda Römera. Sprawdziłem, że to ten sam. Był to, o ile wiem, jedyny z młodych Römerów, który się już miał za Litwina. Grawitował do litewskości nie tyle siłą przekonań i osobistego aktu psychicznego jak ja, ile przez inercję, bo skończył gimnazjum litewskie i obracał się w kołach młodzieży litewskiej. Był, zdaje się, w tym względzie dość bezbarwny. Był członkiem stowarzyszenia „Varpas", potem przeszedł do „Fraternitas Juvenum". Cichy był i zrównoważony chłopiec. Słyszałem o nim bardzo dobre opinie tych, którzy go bliżej znali z kolegów i koleżanek. Był bardzo koleżeński i ludzki. Szkoda młodego chłopca i szkoda mi Römera. Był, zdaje się, jedynym synem u matki, Januszkiewiczówny z domu, wdowy, żyjącej w Kownie z małej emeryturki. Zachorował zimą na pleuryt, był małokrwisty i umarł.

13 kwietnia, rok 1937, wtorek

Wreszcie robi się w Litwie ruch na rzecz utworzenia sądu administracyjnego. Dotąd wszystkie rządy, które się z kolei zmieniały, były mu przeciwne. A co ciekawsze, ze każda z grup społecznych czy stronnictw politycznych, które po kolei były u władzy lub w opozycji – chrześcijańscy demokraci, ludowcy, narodowcy – dopóki byli u władzy, dopóty byli sądowi administracyjnemu przeciwni, gdy zaś przeszli do opozycji lub dopóki byli w opozycji – byli gorącymi tej instytucji

rzecznikami. Obecnie jednak czynniki sejmowe narodowców dość kategorycznie zabierają się do utworzenia sądu administracyjnego. Szczególnie tę sprawę forsuje w Sejmie Merkys. Za jego inicjatywą zgłoszony już został projekt odpowiedniej ustawy, który w głównych zarysach, aczkolwiek z pewnymi poprawkami, wzorowany jest na projekcie, opracowanym przed kilku laty w Radzie Stanu przez komisję, na której czele ja stałem i do której projektu ustawy o sądzie administracyjnym ja w swoim napisałem motywy. Sejmowy projekt Merkysa przekazany został komisji sejmowej. Choć w Sejmie jest inny prąd na rzecz sądu administracyjnego, to jednak trudno jeszcze mieć pewność, że słowo stanie się ciałem. Rząd i, zdaje się, Prezydent Smetona, którzy zresztą bardzo słabe mają pojęcie o tej instytucji, nie są jej zwolennikami, bo się boją ingerencji sądowej w sprawy administracji. W komisji sejmowej jest też minister spraw wewnętrznych, który jest jednocześnie członkiem Sejmu; jest to wstecznik i ignorant, który z pewnością będzie tę instytucję szachować. A o ile chodzi o czynniki sejmowe, to większość posłów słabo się w tych sprawach orientuje i w ogóle głębszej kultury państwowej i prawniczej nie ma, a tak lub inaczej zależna jest od rządu. Dużo mamy jeszcze obskurantyzmu.

14 kwietnia, rok 1937, środa

Przysłano mi z Rady Stanu projekt nowej konstytucji, opracowany przez komisję w osobach ministra Šilinga, Mašalaitisa, Masiulisa i Konstantego Raczkowskiego. Nie przeczytałem jej jeszcze i w szczegółach nie znam, ale w głównych zarysach informowano mię o niej. Ma być dosyć oryginalna. Oczywiście, pod wpływem Šilinga, jest przepojona nacjonalizmem, władzę koncentruje jaskrawie w osobie Prezydenta Rzeczypospolitej, co się zgadza zupełnie z kierunkiem politycznym dominującym; skądinąd wszakże, czym się Šiling szczyci szczególnie, podkreśla ona mocno pierwiastek sądownictwa, ustalając sąd administracyjny i nawet konstytucyjny, któremu zleca funkcje szczególne. Mówię to na wiarę ze słów Šilinga i Raczkowskiego, bo sam jeszcze nie sprawdziłem. Projekt ten – to owoc żmudny kilkumiesięcznej zaciekłej pracy redaktorów projektu. Ale, jak się teraz dowiaduję (wspominał mi o tym przelotnie Šiling na obiedzie w poselstwie sowieckim i mówił też Raczkowski), cały ten projekt obecnie upada. Mnie był przysłany do zaopiniowania, ale zapewne będzie to już teraz zbyteczne. Albowiem Prezydent Smetona wypowiedział się przeciwko projektowi temu i udzielił instrukcji, podług których komisja cały projekt obecnie przerabia czy też układa nowy. Nie podobały się Prezydentowi te sądy i jeszcze mu pono za mało skupienia władzy w jego osobie. Kto wie, czy Smetona nie idzie za daleko i czy nie pragnie zrobić z prezydenta – wcielenie opatrzności. „*L'appétit vient en mangeant*". Władza bardzo rozpętuje apetyt i żądzę; więcej niż jedzenie. Raczkowski mi wspominał, że doszło do tego, iż chciano już zaprojektować, aby sądy wyrokowały „w imieniu prezydenta". Jest przesada w tych aspiracjach cezarystycznych, zwłaszcza gdy Cezara... nie ma.

15 kwietnia, rok 1937, czwartek

O południu odbyło się posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Głównym przedmiotem debat była reforma organizacji studiów na sekcji ekonomicznej wydziału, zaprojektowana przez profesurę tej sekcji. Projekt tej reformy był rozesłany przed posiedzeniem do wszystkich członków wydziału, ale nie zdążyłem się z nim zapoznać, a na posiedzeniu krótko byłem, więc z toku debat też go nie poznałem. Będę jednak musiał się z nim zapoznać z tytułu obowiązków rektorskich, żeby sprawdzić jego zgodność ze statutem uniwersyteckim, co zresztą też senat akademicki będzie musiał z urzędu uczynić. Rząd w osobie ministra oświaty teraz tak się wszystkiego czepia i, zdaje mi się, usiłuje kompromitować samorząd akademicki, aby mieć motyw do ograniczenia tego samorządu w drodze reformy statutu, że musimy być bardzo ostrożni i na zimne dmuchać, aby broń Boże jakiejś najmniejszej niedokładności nie przeoczyć. Ale w istocie Tonkunas jest niezbyt tęgim prawnikiem. Na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego omówiliśmy kwestię kandydatury do zgłoszenia w semestrze jesiennym na stypendium Rockefellera. Teraz ze stypendium tego korzysta nasz asystent młody Żakiewicz, żonaty z córką Michała Biržiški. Ma on to stypendium już drugi rok i studiuje

organizację administracji i prawo administracyjne. Był w roku ubiegłym na studiach w Stanach Zjednoczonych, w tym roku akademickim – w Londynie, w Belgii, w Paryżu. Zdaje się, że będzie z niego dla nas nabytek wielkiej wagi. W jesieni jego stypendium się kończy. Zgłosimy nowego kandydata. Przyjedzie, jak zwykle, jeden z dyrektorów fundacji Rockefellera, pan Kettridge, który osobiście objeżdża wszystkie kraje i bada kandydatów, o których potem decyduje zarząd fundacji w Paryżu. Jak nam doniósł Żakiewicz, możemy liczyć w roku przyszłym na stypendium sekcji nauk społecznych – w szczególności dla studiów gospodarstwa międzynarodowego albo prawa międzynarodowego prywatnego. Proponowałem kandydować mojemu asystentowi Konstantemu Raczkowskiemu, który pragnie tego; będzie to dla nas podwójnie dobre, raz że Raczkowski ma tęgą głowę i stanowić może poważną siłę naukową w przyszłości, a prawo międzynarodowe prywatne ma dla nas wybitny walor jako podstawa dla prawa cywilnego międzydzielnicowego, które jest u nas bardzo aktualne (mamy na małym terytorium naszej Rzeczypospolitej aż cztery kodeksy cywilne!!), a po wtóre dlatego, że dałoby to możność wyrwania Raczkowskiego z Rady Stanu, gdzie go przeciążają stanowczo pracą i wyzyskują jego siły wybitne ze szkodą dla jego studiów naukowych. Ekonomiści zgłosili także kandydata w osobie jednego z najwybitniejszych swoich asystentów Cesewicza. Rada Wydziału w zasadzie zaakceptowała obie kandydatury albo do wyboru przez zarząd fundacji Rockefellera, albo na dwa stypendia, wszakże pierwszeństwo popierania zastrzegło dla Raczkowskiego.

16 kwietnia, rok 1937, piątek

Wreszcie – „po długich i ciężkich cierpieniach” – wyszła z druku książka moja „Lietuvos Konstitucinės Teisės Paskaitos”, część pierwsza. Długo na nią czekałem i długo czekali na nią moi studenci, dla których będzie ona podręcznikiem do egzaminów prawa konstytucyjnego litewskiego. Wyszedł duży tom, bodajże najgrubszy z prac moich. Zawiera zresztą oprócz tekstu załączniki (odpowiednie konstytucje i akty o charakterze konstytucyjnym).

Niebawem – zapewne już tej jesieni – oddam do druku tom I drugiej części mojego cyklu „Valstybė ir jos konstitucinė teisė“, stanowiącej ciąg dalszy mojej pracy dwutomowej „Valstybė”.

Ukończyłem pisanie dwóch drobniejszych prac – referatu o konferencjach regionalnych bałtyckich współpracy intelektualnej na kongres paryski w lipcu i obszernego artykułu o faszyzmie dla Encyklopedii Litewskiej (może zbyt obszernego na potrzeby tego wydawnictwa).

Z Bohdaniszek są złe wieści o stanie zdrowia Elwiry Mieczkowskiej. Grypa czy pleuryt, gorączka silna, przeszło 39°. Andrzej siedzi w Bohdaniszkach przy chorej matce. Helcia także z Jeziorosów przyjechała. Niepokoją się o życie chorej Elwiry. W jej wieku i w jej stanie sił może to być groźne. Nie daj Boże, żeby umarła przed Marynią, już skazaną, niestety, na śmierć. W Bohdaniszkach szpital. Moje biedne stare siostry! Marynię w tych dniach przywiozą z Rakiszek ze szpitala.

Wczoraj na posiedzeniu senatu akademickiego uchwalono zwrócić Wydziałowi Teologiczno-Filozoficznemu jego projekt regulaminu dla skreślenia sekcji, których istnienie jest sprzeczne ze statutem. Za interpretacją statutu w myśl istnienia dwóch sekcji głosowali tylko: dziekan tegoż wydziału prof. Kuraitis i sekretarz uniwersytetu prof. Blažys. Dziekan Wydziału Technicznego prof. Grynkiewicz wstrzymał się od głosowania. Teolodzy będą obecnie przerabiali sekcje na „grupy” czy „gałęzie” w łonie wydziału i oczywiście pod nazwą „grup” będą usiłowali przemycić te same sekcje. W sprawie uchwały przeciwko sekcjom dziekan prof. Kuraitis zgłosił *votum separatum*. Walka nie skończona. Nie jest ona przyjemna. Charakterystyczne, że Žemaitis po raz drugi nie przychodzi na posiedzenie senatu, gdy się debatuje sprawa Wydziału Teologicznego. Nie chce się teologom narażać i nie odważa się ich w senacie popierać. Przysyła zastępcę w osobie prof. Končiusa. Mam wrażenie, ze Žemaitis nie stracił nadziei na to, że może, choć w roku 1939, wybiorą go na rektora, gdy się ja wyszepczę. Toteż chce zachować nieskalaną „czystość” i nikomu się nie narazić. To jest spekulant. Ano na zdrowie!

17 kwietnia, rok 1937, sobota

Seminarium prawa konstytucyjnego już od lat kilku prowadzę nie ja, lecz mój asystent – wpierw Kriwicki, obecnie Konstanty Raczkowski. W tym roku jednak trzy prace seminaryjne zarezerwowałem do przeprowadzenia osobistego. Dotąd zwlekałem, ale dziś pierwszą przeprowadziłem z udziałem Raczkowskiego. Referentem był student Klimkaitis z Kłajpedy, kontrrereferenta nazwiska nie pamiętam.

18 kwietnia, rok 1937, niedziela

Wykonaliśmy z Jadźką piękny spacer niedzielny, podobny do ubiegłej niedzieli. Zamierzamy co niedzielę ponawiać podobne spacery. Bardzo przyjemny i zdrowy spacer. Po spacerze człowiek się czuje silny i rzeźwy, śpi doskonale. Na obiad poszliśmy do „Pienocentrasu", stamtąd autobusem pojechaliśmy do stacji kolejowej, dalej – pieszo. Ulicą Tunelową wzdłuż ruczaju Girstupisu, który o tej porze roku płynie, latem zaś wysycha, dotarliśmy do przepięknego wylotu „Doliny Mickiewicza" i dalej w górę szosą pietraszuńską i z niej w bok na prawo do góry ponad wylotem tunelu kolejowego na stronę pietraszuńską. Stamtąd zeszliśmy szosą nad Niemen, przeszliśmy kawałek wzdłuż wybrzeża w kierunku Szańców, przeprawiliśmy się łódką przez Niemen do parku Basanowicza za Poniemuniem, pochodziliśmy po tym wspaniałym borze sosnowym i następnie z Poniemunia wróciliśmy autobusem do Kowna. Tu jeszcze zaszliśmy do kawiarni „Moniki" i do domu.

19 kwietnia, rok 1937, poniedziałek

Nic bardzo osobliwego do zanotowania nie ma, a czasu mi brak.

20 kwietnia, rok 1937, wtorek

Przed paru tygodniami, a nawet właściwie przed samymi świętami Wielkiejnocy minister oświaty Tonkunas doręczył mi nowy, z polecenia Gabinetu Ministrów przeredagowany i nieco jeszcze poprawkami samego Tonkunasa uzupełniony, projekt nowego statutu uniwersyteckiego. Projekt w tej nowej redakcji jest obecnie w Gabinecie Ministrów. Kiedy Gabinet Ministrów będzie go rozpoznawał, to z góry nie wiadomo, ale w każdym razie mam obiecane, że na posiedzenie Gabinetu, na którym projekt ten będzie rozpoznawany, zostanę zaproszony dla wyrażenia moich uwag i zastrzeżeń. Ten nowy projekt zaczęliśmy studiować w zarządzie akademickim (ja z prorektorami i sekretarzem), abym się należycie przygotował do „kampanii" w Gabinecie Ministrów. Ale ponieważ do posiedzenia w Gabinecie jeszcze nie doszło, więc poinformowałem o tym senat akademicki, aby on także wziął udział w naszych naradach orientacyjnych. Wszystkim dziekanom doręczyłem poufnie odpisy projektu. Senat wyznaczył komisję, do której wydelegował dwóch dziekanów – Lašasa i Krėvė-Mickiewicza, którzy wraz ze mną, prorektorami i sekretarzem mają przestudiować projekt statutu. Dziś komisja się zebrała. Co prawda, trochę się w niej ujawniło demagogii rządu itp., ale skądinąd wytkniętych zostało sporo uwag rzeczowych, które mi się mogą przydać dla krytyki projektu, a raczej jego poszczególnych przepisów o wartości wątpliwej albo wręcz szkodliwej lub niebezpiecznej dla funkcji akademickich. Mašalaitis mi przed kilku dniami mówił, że projekt tego statutu będzie rozpoznawany w Gabinecie Ministrów zapewne we czwartek, to znaczy pojutrze.

Tymczasem dziś byłem zaproszony na herbatkę proszoną do Antoniego Trimakasa. Było tam kilkadziesiąt osób ze świata dyplomatycznego i innej śmietanki, panów z paniami. Nie bardzo lubię takich zebrań towarzyskich, ale są one czasem użyteczne, bo dają okazję spotkania się z różnymi ludźmi i dowiedzenia się czegoś, o czym by się skądinąd nie dowiedziało. I oto na herbatce tej spotkałem się z pomocnikiem Mašalaitisa z kancelarii Gabinetu Ministrów, Żylińskim czy Żukowskim, który mi udzielił kilku informacji poufnych ciekawych w przedmiocie tego projektu statutu.

21 kwietnia, rok 1937, środa

Nie bardzo mam czas na dziennik.

W kilku słowach dopowiem to, czego nie dokończyłem wczoraj. Od tego zastępcy Mašalaitisa w Gabinecie Ministrów dowiedziałem się wczoraj na herbatce u Trimakasa, że jutro w Gabinecie Ministrów projekt statutu uniwersytetu na pewno jeszcze nie będzie rozpoznawany (Gabinet będzie zajęty projektem konstytucji). I w ogóle reforma statutu uniwersytetu nie jest w Gabinecie Ministrów aktualna. Za aktualną uchodzi ona tylko w Ministerium Oświaty. W Gabinecie Ministrów są w ogóle duże wątpliwości co do tej reformy statutu, którą forsuje minister oświaty. A ponieważ sesja Sejmu kończy się w ostatnich dniach kwietnia, więc już w obecnej sesji statut z pewnością nie będzie przyjęty (zresztą i prezydent Smetona mówił Janulaitisowi, że przed jesienią statut z pewnością nie będzie przyjęty).

Ale co ciekawsze – to to, że z całego projektu statutu najistotniejszym jest podobno dla Ministerium Oświaty przepis o zatwierdzaniu asystentów przez ministra oświaty (nie przez rektora, jak jest obecnie). Wiceminister oświaty Masiliunas miał się wyrazić, że gdyby ten przepis miał być uchylony, to cała reforma staje się dla ministerium nieaktualna. A właśnie ten przepis jest jeden z najgorszych, bo wprowadzi względy polityczne i protekcjonizm do doboru kandydatów do profesury. Co może o kandydatach tych wiedzieć organ administracyjny i polityczny? O tym mogą sądzić li tylko czynniki akademickie, które są w kontakcie naukowym ze studentami i mogą się przekonać, jak oni pracują i jakie mają kwalifikacje do nauki. Podobno wśród ministrów ten przepis projektu także budzi wątpliwości. Zaatakuję mocno ten przepis, gdy mi wypadnie wypowiedzieć się o projekcie w Gabinecie Ministrów.

22 kwietnia, rok 1937, czwartek

Żałobny dzień. Umarła Maryńka. Dowiedziałem się o tym po obiedzie koło godziny piątej, gdym siedział w domu i pracował przy biurku, zamierzając niebawem udać się do Towarzystwa Litewsko-Francuskiego na otwarcie wystawy obrazów malarza francuskiego (właściwie naturalizowanego Francuza-Żyda) Muna Katza. Jadzi nie było w domu; wyszła na miasto z Renią. Do mieszkania mego przyszła z dołu właścicielka domu stara p. Francziszkowa Mašiotasowa. W pierwszej chwili sądziłem, że wytropiła nieobecność Jadzi, aby mi oznajmić zamiar podwyższenia komornego, licząc na moją większą ustępliwość niż Jadzi. Niepotrzebnie o to posądziłem tę zacną i dobrą kobietę. Gdy usiadła, zaczęła od tego, że przychodzi mi oznajmić bardzo przykrą i smutną wiadomość. Domyśliłem się od razu: Maryńka umarła! Tak jest, umarła. Telefonuje do niej o tym z Rakiszek Elizka Komorowska. Maryńka umarła dziś o godzinie dziesiątej rano. Elizka nie była przy śmierci. Zawiadomiła ją o tym Marysia Stefanowa. Maryńka umarła cicho, bez męki konania. Przytomna była przed śmiercią, sama zażądała gromnicy. Ponieważ sam przez telefon nie rozmawiam (przynajmniej przez trąbkę), więc prosiłem p. Mašiotasową powiedzieć Elizce, która czekała przy telefonie, że przyjadę jutro pociągiem popołudniowym do Abel i że naturalnie biorę na siebie pogrzeb kochanej zmarłej. Po chwili znów p. Mašiotasowa wróciła: Elizka pyta, gdzie Marynia ma być pochowana, czy trzeba wieźć zwłoki do kościoła, czy pozwalam kupić trumnę dosyć ładną w Rakiszkach za 80 litów, czy też trzeba robić nową trumnę prostą, która będzie naturalnie tańsza, ale mniej ładna i spowoduje pewną zwłokę, podczas gdy dr Žemaitis mówił, że w obecnym stadium choroba Maryni jest już zaraźliwa i przeto trzymać zwłoki bez trumny może być dla żywych niebezpieczne. Odpowiedziałem, że Marynia sama prosiła pochować ją na cmentarzyku wiejskim bohdaniskim, że do kościoła wieźć zwłoki nie trzeba, że na trumnę z Rakiszek się zgadzam. Poczciwa p. Mašiotasowa potem jeszcze raz przyszła do mnie, zapytując, czy mi nie potrzeba kropel jakichś na uspokojenie. Popłakałem trochę, choć sam rozumiem, że dla Maryńki w tej strasznej chorobie raka śmierć była już ukojeniem i że ostatecznie lepiej jest, że umarła. W tej bezlitosnej chorobie śmierć jest litością natury czy Boga. No tak, ale bądź co bądź dla nas, którzy zostajemy, ciężką i bolesną jest myśl, że już jej nie ma i że to koniec. Dla mnie – szczególnie, bo była to moja siostra najbliższa, rówieśnica moja i towarzyszka lat dziecinnych. Wiązały mię z nią nici wielu przeżyć wspólnych, zwłaszcza z dzieciństwa, później z lat młodości i nieraz jeszcze później.

Subtelną też bądź co bądź i szlachetną była, a miała też wiele cech podobnych do mojej Jadźki (nie we wszystkim zresztą). Zatelegrafowałem zaraz do Stefana Römera, zatelegrafowałem też do Antoniego Römera w Janopolu w Łotwie, aby przesłał natychmiast depeszę do Ewy, dałem ogłoszenie o śmierci do dziennika polskiego „Dzień Polski". Ogłoszeniem odwołałem colloquia, które były wyznaczone studentom na dni najbliższe. Jadźka się poruszyła śmiercią Maryni, a jeszcze bardziej niepokojem o moje poruszenie. Chciała jechać ze mną, ale jej odradziłem. Zmartwiło ją to bardzo i była tym zgryziona.

W kwietniu umarła też Mama, w kwietniu przez 43 laty umarła nasza siostra Helcia Wołłowiczowa. Maryńka wciąż twierdziła tej zimy, że umrze w kwietniu. Przewidziała trafnie. Umarła w wigilię dnia swoich urodzin. Kończyła 59 rok życia. Ludzie ciężko chorzy bardzo często umierają w czasie, gdy pączki rozpękają na drzewach. Ma to jakiś związek. Nie przeżywają tej przełomowej chwili odrodzenia życia.

23 kwietnia, rok 1937, piątek

Jadę więc do Bohdaniszek na pogrzeb śp. Maryńki. Jadźka biedna, zmartwiona zostaje. Nie biorę jej nie tyle ze względu oszczędności, ile ze względu na ceremoniał, celebrowany przez Elizkę Komorowską, który, moim zdaniem, byłby tylko upokorzył kochaną Jadźkę. Byłaby ona bowiem w fałszywej sytuacji, wykluczona z liczby równych. Elizka bowiem nie traktuje Jadźki na stopie choćby względnej równości towarzyskiej i Jadzia wobec niej czuje się tylko małym kopciuszkiem, chrzestną córką hrabiny (bo Elizka jest jej chrzestną matką), ale tylko chrzestną córką z ludu, która wobec swojej hrabiowskiej chrzestnej matki nawet usiąść nie śmie, całuje ją w rękę i jest na stopie sługi. Elizka jest dobra i miłosierna, ma serce dla ludzi i Jadzię też lubi po swojemu, może nawet ceni jej towarzystwo i pomoc dla mnie, ale zasadniczo nierówność stanów zachowuje i pielęgnuje z całą bezwzględnością. W ceremoniale przeto, celebrowanym przez Elizkę, Jadzia byłaby strącona gdzieś do służby, między „panami" a „plebsem", ani do jednych, ani do drugich nie dopasowana, upokorzona. Moim zdaniem, w tych warunkach lepiej jej nie jechać wcale. Ale to ją boli i wytwarza poczucie krzywdy, bo w istocie *in meritum* zasługuje ona na więcej. Jest więcej warta, niż ogromna większość tych, których się przez Elizkę do „pańskości" dopuszcza. I mało kto wie, ile ona miała dla Maryńki serca i ile ona mię na rzecz świadczeń mojej rodzinie usposabia. Jest szlachetną i szlachetniejszą od tych „panów", którzy się „panoszą", bo im się to społecznie „należy", choć nieraz osobiście nic nie są warci. Ale dosyć tego.

Rano stawił się Stefan Römer, który po otrzymaniu wczoraj wieczorem mojej depeszy o śmierci matki przyjechał zaraz z Szaszewicz. Naturalnie, na jazdę do Bohdaniszek... nie miał pieniędzy. Musiałem go wziąć ze sobą, to znaczy zafundować mu bilet do Abel. Jadźka odprowadziła nas na kolej. O godzinie piątej przyjechaliśmy do Abel. Zastaliśmy już konie. Dzień dosyć chłodny, droga po wielkim deszczu bardzo mokra, ale tylko po wierzchu; krzaki zaczynają już zielenieć. Ładna wiosna. Dla Maryńki była już ona ostatnia, 59-ta w jej życiu. W Prapultini spotkał mię ekonom Pumpol. Zajechaliśmy na wiejski cmentarzyk bohdaniski, gdzie już pochowany jest w roku 1877 nasz braciszek ziedmiomiesięczny Michaś. 60 leciech jego kosteczki doczekały się kości siostry tuż obok, siostry, urodzonej w rok po jego śmierci. Ale jego szczątki są zamurowane w sklepie wymurowanym dla jego trumienki dlatego, że miał być tam pochowany tylko tymczasowo z tym, że kiedyś w przyszłości, gdy zemrze ktoś starszy albo w ogóle ktoś z rodziny, to go się stąd wybierze i przewiezie trumienkę wraz z trumną ojca lub matki do Trok, do grobów rodzinnych Römerów pod kaplicą w farze trockiej. Los zarządził inaczej. W lat 37 po jego śmierci umarła Mama, ale umarła w Wilnie, a choć pochowana została w Trokach, to jednak trudno już było wtedy wykopywać stąd i przewozić zwłoki małego Michasia. Potem umarł w Bohdaniszkach w roku 1920 Papa, ale wtedy cmentarzyk w Bohdaniszkach był opuszczony i zdegradowany i Papa pochowany został w Abelach obok dziadów Edwardostwa antonoskich, a o Trokach i mowy nie było, bo były wraz z Wilnem akurat wtedy przez Żeligowskiego zajęte. A oto teraz w lat 60 po śmierci Michasia na cmentarzyku bohdaniskim, pięknym jak poezja i już od lat kilku odrodzonym, omurowanym, poświęconym, obok

Michasia spocznie biedna Maryńka, która tak kochała Bohdaniszki i która sama tu właśnie chciała być pochowana. Wybrałem dla niej miejsce przy Michasiu; jej głowa będzie o jakiś metr od wielkiej płyty kamiennej z napisem wyrytym o śmierci Michasia. Nad grobem Maryńki stosownie do jej woli stanie wielki krzyż z najpiękniejszej sosny w sośniaku Gajowym, zasadzonym przed 60 laty przez Marynię naszą własnoręcznie.

W Bohdaniszkach odwiedziłem zwłoki Maryńki, złożone już do trumny otwartej. Otaczają ją wysokie jodełki, święte w Gaju, kilka wazonów z kwiatami i pierwiosnki błękitne z Gaju, rozrzucone w trumnie na zwłokach. U wezgłowia palą się świece. Z bliska twarz Maryńki zżółkła i bardzo zmieniona, ale patrząc od końca trumny od stóp główka jej, trochę przechylona na bok, ma ogólny wyraz towarzyszki ten sam, naturalny i charakterystyczny. To, Maryńka – ta sama siostrzyczka słodka i dobra, o sercu czystym i kochającym, odziedziczonym po Mamie. Łzy mi napływały do oczu, choć nie lubię widoku umarłych. Niech ci słodka będzie na wieki ziemia bohdaniska, Maryńko. Żadna katastrofa społeczna, rodzinna lub majątkowa cię już nie dotknie i z ziemi tej nie usunie na wieki. Tysiące lat przeminą. Bóg wie, jak się ta ziemia przemieni, wszakże twój proch w tej ziemi losy jej dzielić będzie jak cząstka tego, co było Bohdaniszkami twojej epoki, twojego serca i twór jego życia. Śpij, siostro, na wieki.

Elwira, która sama była ciężko chora na grypę i nawet miała lekkie zapalenie płuc, i miała gorączkę wielką – blisko 40° – i dotąd jest leżąca i chora, kaszle ciągle i oddech ma krótki (też nie długowieczna zapewne), nic jeszcze o śmierci Maryńki nie wie. Jej dzieci – Helcia i Andrzej, którzy ją bardzo starannie i serdecznie dopatrują – nie powiedzieli jej o śmierci Maryńki. Powiedziano jej, że mój przyjazd nastąpił na życzenie Maryńki, która miała mi coś do powiedzenia. Elwiry dzieci boją się, że śmierć Maryni zbyt wielkie sprawi na Elwirze wrażenie.

Elizka Komorowska jest tutaj. Ona wszystkim się zajęła i wszystko rozporządziła, co dotyczy pogrzebu itd. U Elizki jest serce wielkie, ale też teatralność nie mniejsza i naturalnie teatralność pańskości i tradycji stanowej, zachowawczej, pysznej. Z pogrzebem łączy ona dekorację staranną i wielką, wspaniałą stypę na dwa stoły: stół ludowy, pełny jadła, i stół pański dla gości z dworów, który ma być zastawiony w moim domu jutro po pogrzebie. A więc będą ciasta, torty, mięso, ryba, majonezy. Robi się to wszystko w Kowaliszkach na wielką skalę. Mieczkowscy się tym gorszą trochę, bo u Elizki wszystko na pokaz, na efekt, ale gorąco z serca. Zarządziła też Elizka dziś wieczorem śpiewy i modły ludowe u zwłok Maryńki. Tego sama Maryńka zawsze gorąco pragnęła i o to prosiła. Mieczkowscy tego nie lubią, ale bądź co bądź Eizka, choć się bardzo ostro od ludu stanowo separuje, ma większe uczucia serdeczne patriarchalizmu dla ludu, niż Mieczkowscy, którzy mają dla ludu zimną pogardę i wyraz „chamy”.

24 kwietnia, rok 1937, sobota

Relacja ze smutnego obrządku pogrzebu zwłok śp. Mayńki. Do kościoła na nabożeństwo żałobne nie pojechałem. Jeździła tam Elizka, Andrzej Mieczkowski, Budkiewiczówna... U zwłok Maryńki w otwartej trumnie płonęły świece w dużych lichtarzach. Obok w pokoju jadalnym przy kuchni lud zebrany śpiewał pieśni żałobne. Chorej Elwirze powiedziano już dziś o śmierci Maryńki. Zresztą Elwira była na to zupełnie przygotowana. Dla niej (jeżeli ona sama wyzdrowieje, bo jednak stan jej zdrowia jest groźny) strata Maryńki jest osobiście może najcięższa, bo z Marynią dzieliła ona od lat wielu przez zimę samotność w Bohdaniszkach. Sprzeczały się czasem, ale się kochały i potrzebowały się wzajemnie. Jeżeli któreś z dzieci nie zamieszka przy Elwirze, to będzie ją ciężko tutaj samej, zwłaszcza że i starość postępuje i sił coraz mniej. Straszna jest też dla Elwiry perspektywa ewentualnego zlicytowania posiadłości Maryni w Bohdaniszkach i usadowienie się ewentualne tuż pod jej nosem jakiegoś ewentualnego nabywcy folwarku Maryni. Koło godziny drugiej zaczęli się zjeżdżać na pogrzeb zawiadomieni i zaproszeni przez Elizkę sąsiedzi ziemianie. Przyjechał młody Wilhelm Budkiewicz z Rumiszek, pasierb Maryni, Lysander z żoną z Krewien i jego siostra pani Flor, młody Henryś Lisiecki z Opejkiszek, Piotr Rosen z żoną i synem Antosiem z Gaczan, Julkowie i Hektorowie Komorowscy z Kowaliszek, wreszcie splendor społeczeństwa

ziemiańskiego z okolicy – Przeździecki z Rakiszek, tylko nie sam p. Jan, jeno jego młodszy syn Leszek, bardzo podobny do matki, Sapieżanki z domu, mężczyzna już dorosły, dwudziestokilkuletni, ogromny, z nim przyjechała też Basia Rutkowska z Koźliszek, stara panna, nasza dawna znajoma jeszcze z lat dziecinnych i koleżanka szkolna Maryni. Wreszcie wróciła Elizka i inni z kościoła. Przywieziono księdza i organistę. Nadeszła chwila eksportacji zwłok. U trumny stanęły spłakana Elizka i Marysia. Mnie się też łzy kręciły i grymas płaczu tłumiony przebiegał przez twarz. Ksiądz odprawił modły, pokropił zwłoki. Zamknięto wieko trumny. Pod ganek podano konia, zaprzężono w wóz żałobny. Były to moje kary, wysłane dywanem, na który położono trumnę. Sześć jodełek zdobiło karawan. Ciągnęły konie moje – Huzar i Dragon. Wyniesiono trumnę z domu, ułożono ją na wóz. Pochód ruszył. Na czele ludzie w komżach – Ignacy Čepas (ojciec Jadzi), Jan Malec z Kowaliszek i Daubaras z Prapultini nieśli chorągwie żałobne i krzyż, za nimi kroczył ksiądz, dalej szedł karawan wiozący trumnę. Za trumną szedłem ja, Marysia Stefanowa Römerowa, Helcia Mieczkowska, Stefan Römer, Justyn Budkiewicz, Budkiewiczówna. Dokoła i za nami duży tłum ludzi. Na ostatku jechały powozy wiozące pańskich gości. Zabrzmiały śpiewy. Przejechano dokoła trawnika pod starym domem. Elwira, leżąca w łóżku, nawet przez okno na pochód pogrzebowy popatrzeć nie mogła, tylko śpiewy słyszała. Wyprowadzono zwłoki na drogę abelską pod Prapultinie i stamtąd zawrócono na cmentarzyk. Poważnie i smutnie sunął orszak żałobny z pieśniami przez odwieczne pola wioskowe bohdaniskie, wioząc na oddanie tej ziemi Maryńkę, tu w Bohdaniszkach urodzoną i z Bohdaniszkami całym życiem i sercem związaną. Łopotały na wietrze czarne chorągwie, śpiew płynął, ludzie szli, ludzie stali u drogi przy zaściankach. Wniesiono trumnę na cmentarz, spuszczono ją w dół głęboki szczerego piasku. Ksiądz, dobry zacny człowiek, młody i gorliwy, odprawił modły, pokropił trumnę. Złożono na mogile kilka wianków z zieleni iglastej i kwiatów leśnych – pierwiosnków błękitnych. Skończone. Amen na wieki. Wróciliśmy do domu. W moim domu odbył się obiad z gości ziemiańskich. Mięsa, ciasto, torty, majonez, ryby, kompoty, paszteciki – wszystko było z Kowaliszek przez Madzię Komorowską przywiezione. Do stołu tego zasiadło dwadzieścia kilka osób. Obiad był zimny, tylko bulion gorący i herbata po obiedzie. Rozmówiłem się potem z Rosenem w obecności Marysi Stefanowej. Chodzi o ewentualne przeniesienie długu Rosena na kamienicę w Wilnie, sprzedając mu część Maryni na jego dług i przełożenie na niego paru małych długów na ± 10 000 litów, co dałoby ewentualnie możność uratowania Bohdaniszek dla Steni. W zasadzie z Rosenem jesteśmy już bliscy dojścia do ładu. Rozchodzi się jeszcze o parę tysięcy. Ale sprzedaż mogłaby formalnie być dokonana li tylko przez Ewę Meyerową po zatwierdzeniu się jej do spadku. Będę się z Ewą porozumiewał, ale nie jestem pewny, czy nie będzie trudności ze strony Ewy. Nic określonego jeszcze się nie ułożyło. Dopiero się coś szkicować zaczyna. Na mnie spadają też żyra moje za Marynię. Jeżeli się uda ratować Bohdaniszki, mogę się z tych żyrów wyplątać, inaczej przycisną mię one dotkliwie.

25 kwietnia, rok 1937, niedziela

Zabawiłem jeszcze dzień dzisiejszy w Bohdaniszkach. I Elizka bawi jeszcze ze względu na chorą Elwirę, którą dopatruje Andrzej i poniekąd Marynia Stefanowa. Helcia Mieczkowska wyjechała wczoraj wieczorem na dwa dni do Jeziorosów. Nocuje Elizka u mnie i dziś u mnie była na obiedzie. Nie lubi ona Stefanowej ani Stefana i nie znosi pobytu w domu Maryńki, który ją tak przypomina i bez niej jest pusty, u Elwiry ona nie ma właściwie co jeść, bo nie ma tam dobrej kucharki ani służby i w ogóle jest bezład i brak elementarnego komfortu. Spędzała Elizka cały dzień to u mnie na gawędce przy śniadaniu, obiedzie i podwieczorku, to przy chorej Elwirze. Elwira ma się niby trochę lepiej, ale jest słaba, ma oddech krótki i męczy ją kaszel ciężki. Andrzej stawia jej bańki, Marysia robi zastrzyki. Powstał projekt sprowadzenia do Elwiry dr Andersa z Subocza łotewskiego i ewentualnie zalokowania jej w szpitalu rakiskim, gdyby nie nastąpiło rychło polepszenie.

Marysia Stefanowa jest dla mnie zawsze zagadką. Elizka jej nie lubi. Twierdzi, że jest małostkowa i chciwa. Że jest małostkowa w stylu drobnoszlacheckim – to prawda. Czy jest chciwa – nie wiem; zdaje mi się, że nie. Ale jest bardzo nieufna, podejrzliwa, nie ma w sobie prostoty i

szczerości, nie ma odruchów bezpośrednich. Dobra była na ogół dla Maryni w jej chorobie, poświęcała się, znosiła cierpliwie trud, niewygody, kaprysy i gderanie chorej, która czasem była dla niej prawdziwie przykra. Dla męża, Stefana, jest doskonała. Kocha go i troszczy się o niego jak o dziecko, jest dlań uległa i ustępliwa, choć go traktuje sceptycznie i nie łudzi się co do niego. Ale nie bardzo rozumiem, czego się ona trzyma w sprawie losów spadku po Maryni. Wiadome jest, że chciałaby się na Bohdaniszkach utrzymać, ale wciąż nawraca do tego, że nie ma już wyjścia z ruiny i że ona poświęcić Bohdaniszkom czegokolwiek ze swojej własności (Szaszewicz) nie może. Szczególnie to podkreśla wtedy, gdy z naszej strony słyszy coś na rzecz tego. Gdy zaś my się z tym nie kwapimy, to wtedy sama zaczyna o tym napomykać. Mam czasem wrażenie, że opornością chciałaby mnie sforsować do nowych ofiar na rzecz ratowania Bohdaniszek. Myśli zapewne, że dla nas, a w szczególności dla mnie uratowanie Bohdaniszek jest rzeczą tak wielką, że gdy ona się nie będzie na to kwapiła, to ja się zaangażuję więcej. Zdaje się, że stąd płynie jej podwójna gra i próbowanie spekulowania na oporności. Nie wie, że fanatycznie pragną odwrócenia klęski Bohdaniszek po Maryni i boją się jak ognia oraz nie mogą strawić myśli o przejęciu Maryni schedy Bohdaniszek ci właśnie (Mieczkowscy i Elizka), którzy sami żadnej ofiary na to nie poniosą, bo nie mogą czy nie chcą, podczas gdy dla mnie nie byłoby to klęską nie do strawienia i jeżeli ja chcę pomagać, to bynajmniej nie dla własnego interesu czy próżności rodzinnej, jeno o tyle, o ile dla Stefanostwa to jest ważne. Marysia, zdaje się, zbyt źle sądzi ludzi i zbyt się u innych doszukuje egoizmu. Przeto zraża i zniechęca. Nie garnie się ona, przeciwnie – ciągle coś posądza i spekuluje. Z jednej też strony przesadnie dba o ratowanie Budkiewicza od żyrów, które dał Kozielle z namowy Maryni, i jest na tym punkcie przeczulona, z drugiej – nie ufa Budkiewiczowi w Bohdaniszkach. Mnie dziś mocno dotknęła, cofając się od żyrowania weksli na wypadek, gdybym musiał za żyra moje dla Maryni odpowiadać własnymi wekslami. Traktuje mię trochę jak dojną krowę, a do solidaryzmu ze mną nie chce się poczuwać, choć na mnie przecie stracić nie może.

26 kwietnia, rok 1937, poniedziałek

Wczoraj wieczorem wyjechałem z Bohdaniszek ze Stefanem Römerem do Abel na pociąg nocny. Rano o pół do siódmej byłem w Kownie. Czuję się dosyć zmęczony, choć jechałem w wagonie sypialnym. Jadźkę zastałem poruszoną. Niepokoiła się bardzo o mnie, żeby mi wrażenie śmierci i pogrzebu śp. Maryńki nie zaszkodziło na zdrowie. Rzeczywiście trudno mi się oswoić z myślą, że Maryńki już nie ma i nie będzie. Jest to coś jakby przeciwne naturze.

W Kownie już wszyscy wiedzą o stracie siostry, którą poniosłem. Senat akademicki ogłosił w pismach kondolencję dla mnie. Z tej kondolencji wszyscy się o tym dowiedzieli. Janulaitis w imieniu własnym i Wydziału Prawniczego, także obaj prorektorowie przesłali mi kondolencje telegraficznie do Bohdaniszek. Tu przysłał mi wyrazy kondolencji poseł francuski p. Dulong, polska korporacja akademicka „Lauda" i „Związek Studentek Polaków z Litwy". Dzień spędziłem pracowicie. Miałem wykład na kursach oficerskich Sztabu Generalnego, odbyłem pracę w rektoracie, miałem po obiedzie colloquium w domu, wieczorem miałem posiedzenie senatu akademickiego, na którym znowu debatowana była kwestia regulaminu Wydziału Teologicznego.

Pisał mi Antoni Römer z Janopola, za którego pośrednictwem wysłałem do Ewy do Grodna depeszę o śmierci jej matki. Pisze, że dyrekcja poczty w Grodnie zawiadomiła go, że depesza nie została doręczona z powodu wyjazdu Ewy. Ewa nie wie więc jeszcze o śmierci Maryńki.

27 kwietnia, rok 1937, wtorek

Znowu nie mam czasu na dziennik. Zanotuję tylko – ale o tym jeszcze szczegółowiej pomówię innym razem (może jutro) – że otrzymałem list od Kotuni Pruszanowskiej z Wilna, w którym mi ona donosi o dokonanej wreszcie sprzedaży naszej kamienicy spadkowej po śp. Maryli O'Rourke'owej w Wilnie. Mieliśmy już poprzednio wiadomość od Kotuni, że nabycie tej kamienicy tentuje Kuria Arcybiskupia Wileńska i że Kotunia zażądała 175 000 złotych polskich, ale tyle już razy od lat blisko 10 zawiedliśmy się na tych perspektywach sprzedaży, że i tym razem nie liczyliśmy na skutek.

Jednak sprzedaż do skutku doszła – za 160 000 złotych. Wszyscy współspadkobiercy naturalnie się ucieszą, bo prawie wszystkim potrzebne są pieniądze, a nikt z nas nie chciał już tej wspólnej własności obiektu niby to cennego, ale wciąż nie dającego dla różnych przyczyn dochodu. Najmniej się może ucieszy Elwira, która nie będzie wiedziała, co zrobić z tymi pieniędzmi. Pod tym względem będę miał kłopot i ja; nie dlatego, żebym nie wiedział, jak je użyć, bo już przeznaczyłem je mojej córce Celinie, ale dlatego, że z lokatą tych pieniędzy będzie trudno.

Sprzedaż dokonana została w dniu 22 kwietnia, to znaczy w sam dzień śmierci Maryńki. Biedaczka. Gdyby się o tym za życia jeszcze dowiedziała, cieszyłaby się i kombinowała, jak te pieniądze użyć na ratowanie swoich interesów bohdaniskich.

28 kwietnia, rok 1937, środa

Ze sprzedaży naszej kamienicy wspólnej w Wilnie, na każdego ze spółwłaścicieli, to znaczy na mnie, na Elizkę Komorowską, na Elwirę Mieczkowską, na śp. Maryńkę i na Henrysia Wołłowicza, wypada gotówką po 20 266 złotych polskich, już po potrąceniu wszystkich należności, zaległości, wypłat i spłaty długu hipotycznego na rzecz Litki Geysztorowej. Ostatnia ze wspołwłaścicieli, szósta, Kotunia Pruszanowska, ma dwie części, bo oprócz własnej ma część wdowią Karola O'Rourke'a, który ją Kotuńce darował. Swoją więc część gotówki, wynoszącą 40 000 zł. p., Kotuńka tylko częściowo realizuje, zostawiając znaczną część na hipotece na kamienicy. Ja oprócz mojej własnej części gotówki w sumie 20 266 zł.p. mam otrzymać jeszcze 2297 zł. p., należących się mi od Henrysia Wołłowicza, czyli razem 22 563 złote polskie, czyli na lity koło 25 000 litów (oprócz tego od Henrysia dla mnie należy się 1145 zł. p., które darowałem Stefanowi Römerowi, i 1145 ł. p., które darowałem Elizce Tanajewskiej). Ze względu na obowiązujące w Polsce przepisy dewizowe na rękę wypłacono tylko część Henrysia Wołłowicza i część Kotuni, którą ona bierze w gotówce, gotówka zaś, wypadająca na część Elizki, Elwiry, śp. Maryńki i moją, jako osób zamieszkałych za granicą, została przez notariusza złożona w Banku Dewizowym na imię odpowiednich osób i jest „zablokowana", to znaczy nienaruszalna i nie dająca się podnieść do czasu uzyskania przez Komisję Dewizową w Warszawie zezwolenia na podjęcie tych pieniędzy ze wskazaniem, jak mają być zużytkowane bez wywiezienia wszakże z kraju. Dotyczy to tylko mojej własnej gotówki, nie zaś pieniędzy od Henrysia, który je na ręce dostał i z których Kotuńka już zatrzymała to, co mi się należy. Kotuńka zabawi jeszcze kilka tygodni w Wilnie, nim wszystko zarządzi i uporządkuje. Ale trochę za prędko pośpieszyła ona wystąpić w moim i Maryni imieniu jako plenipotentka do Komisji Dewizowej w Warszawie w sprawie przeznaczenia naszych pieniędzy zablokowanych. Wie ona ode mnie, że te pieniądze moje z kamienicy wileńskiej przeznaczam na posag mojej córki Celiny; i oto prosi ona w podaniu do Komisji Dewizowej, aby ta moja suma 20 000 zł. p. została przepisana na imię Celiny. Napisałem dziś zaraz do Kotuńki, aby żądanie to odwołała. To prawda, że przeznaczam te pieniądze dla Celiny, ale chcę, aby jej były wypłacone tylko bądź po mojej śmierci, bądź przy wyjściu za mąż. Celina jest za mało doświadczona, abym się odważał dać jej do rąk naraz tę sumę. Gotowe ją od niej wyłudzić Regina i Francuzka – panna Eliza Courtôt. A zresztą gdybym nawet miał Celinie te pieniądze częściowo lub w całku dawać, to wolę je dawać z rąk własnych, niż takim przekazem ogólnym przez plenipotenta. Chcę, aby te pieniądze, aby ta pomoc moja wiązała ją ze mną, aby to posłużyło do naszego zbliżenia, a nie było tylko jakimś rzutem raptownym, jakąś klapą mechaniczną, która się nagle otworzyła i wyrzuciła pieniądze do kieszeni Celiny, a co gorsze może – przez nią do kieszeni Reginy i panny Courtôt.

29 kwietnia, rok 1937, czwartek

W dniu sprzedaży kamienicy w Wilnie i pisząc do mnie list nazajutrz, Kotuńka Pruszanowska nic jeszcze o śmierci Maryńki nie wiedziała. Scheda Maryńki, wynosząca w gotówce 20 266 złotych polskich, została tak samo, jak nasze (Elizki, Elwiry i moja), zablokowana do decyzji Komisji Dewizowej w Warszawie. Oto w podaniach, które Kotuńka niezwłocznie wniosła od imienia każdego z nas do tej komisji, w stosunku do pieniędzy Maryni Kotunia prosiła o przekazanie ich do

dyspozycji jej, Kotuni, albo Ewy na rzecz spłaty różnych długów Maryni. Otóż uważam, że gdyby się te pieniądze dostały teraz do dyspozycji Ewy, to mogłoby być niebezpieczne, bo potem już mogłoby być trudno wydostać je od Ewy. Tymczasem w obecnym stanie interesów spadkowych Maryni bez tych pieniędzy Bohdaniszek w żaden sposób uratować nie można. I z tymi pieniędzmi to ledwo-ledwo może się jakoś uda wybrnąć, ale i to robiąc bokami, to znaczy ciężko dysząc. W liście do Kotuńki napisałem, żeby odwołała zaraz przekazanie tych pieniędzy do dyspozycji Ewy, albowiem ze śmiercią Maryńki upadły wszelkie jej plenipotencje, skądinąd zaś pieniądze te są objęte testamentem Maryńki, którego ja jestem egzekutorem. W liście zaś do Ewy namawiałem ją, aby przyjechała choć na krótko tutaj na otwarcie testamentu Maryńki i dla rozejrzenia się w interesach spadkowych, powzięcia wspólnie decyzji i ustalenia planu postępowania spadkowego. Nie jestem jednak pewny, czy Ewa zdecyduje się przyjechać. Sądząc z jej listów poprzednich – wątpię. W ogóle dużo zależeć będzie od tego, jak Ewa będzie reagowała na ratowanie Bohdaniszek, o które Stefanowej, zdaje się, bardzo chodzi, choć Stefanowa jest tajemnicza i usiłuje zamiary i życzenia swoje maskować wątpliwościami, zastrzeżeniami i bodaj nawet prowokowaniem ofiar z mojej strony. Ale ja dość już poniosłem ciężarów i więcej ponieść ich nie jestem w stanie. Teraz spadają na mnie długi wekslowe nowe za Marynię z tytułu żyrów – w pierwszym rzędzie w Banku Polskim na 3600 lt. i w oddziale rakiskim Banku Litewskiego na 5000 i kilkaset litów. Co prawda, mam regres do spadku po Maryni, ale wątpię, żeby ten regres był całkowity. Mam też w ręku pewien ciężarek, którym mogę naciskać – to spłata długu Maryni w Państwowej Kasie Oszczędnościowej, ale takie naciskanie jest przykre wobec trudnego stanu interesów i wobec stosunków krewieńskich.

Nie mogę się pozbyć żalu do Marysi Stefanowej za jej odmowę żyrowania weksla mojego w Banku Rakiskim z tytułu żyra mego za Marynię. Jest to przecie element akcji spadkowej, akcji, którą prowadzimy na rzecz ratowania własności Steni, córki Marysi, a więc bynajmniej nie mój jakiś interes osobisty. Marysia w takiej sprawie i w takiej chwili, gdy ja staję im do pomocy, nie tylko że nie poczuwa się do solidarności ze mną, ale zapomina, że ja przez trzy lata dawałem Stefanowi po 100 lt. zapomogi miesięcznie, że w lutym tego roku darowałem Maryni 1000 lt., że spłaciłem za Marynię 4800 lt. jej długu w Kasie Państwowej, że finansowałem całe leczenie Maryni, co mię kosztowało do 3000 lt., że gotów jestem spłacić resztę jej długu w Kasie Państwowej na 5200 lt., że w różnych czasach popłaciłem za Marynię jeszcze do 3000 lt różnych rat i zaległości, że żyrowałem za nią na sumy do 10 000 lt, że darowałem Stefanowi z pieniędzy wileńskich 1000 złotych polskich, że płaciłem w Banku Polskim i Ziemskim ratówki za Marynię, że żyruję na wekslach Marysi Stefanowej w Banku Polskim... Oto wdzięczność! Trudno się jej spodziewać u ludzi. Ma rację Elizka, że Marysia jest chciwa. Chciwa jest i wbrew pozorom wcale nie subtelna. Zdaje się, że uważa pomoc moją za mój obowiązek, a do solidarności ze mną się nie poczuwa. A może uważa, że mnie tak bardzo chodzi o to, żeby bohdaniska własność Maryni nie przeszła w obce ręce, że jej zadaniem jest po prostu eksploatować to moje zainteresowanie. Zdaje się, że nie rozumie ona mojego serdecznego pomagania, które jest już prawie ponad moje siły. Wyłazi z niej chamstwo gruboskórne. Gdyby nawet zgodziła się teraz żyrować, ja bym nie chciał tego.

30 kwietnia, rok 1937, piątek

A teraz w innej materii. Na skutek uchwały senatu akademickiego przed dziesięciu dniami zwróciłem Wydziałowi Teologiczno-Filozoficznemu projekt regulaminu wydziału dla przerobienia w nim tej części, która przewiduje dwie sekcje – teologiczną i filozoficzną. Senat bowiem większością głosów (przeciwko dwom głosom – Kuraitisa i Blažysa) przyjął tezę interpretacyjną, w myśl której statut akademicki nie przewiduje żadnych sekcji na tym wydziale i przeto sekcje takie są przeciwne statutowi i nie zostały też utworzone tym trybem, który statut przewiduje w sprawie tworzenia nowych sekcji. W odpowiedzi na to Rada Wydziału Teologicznego wystosowała do senatu memoriał, w którym uzasadnia tezę interpretacyjną przeciwną i prosi senat o ponowne rozpoznanie kwestii w związku z argumentami memoriału. Na posiedzeniu senatu w ten poniedziałek senat na wniosek prof. Augustaitisa, który zastępował nieobecnego dziekana Krėvė-Mickiewicza, uchwalił

skierować memoriał do Wydziału Prawniczego do zaopiniowania. Dziś na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego zlecono dwom członkom tejże – Antoniemu Tamošaitisowi i Kriwickiemu – zaprojektowanie motywowanej opinii wydziału.

1 maja, rok 1937, sobota

Rano przyszedł do mieszkania naszego Stefan Römer. Czy przyjechał wprost z Szaszewicz, czy spędził noc w Kownie na hulance – nie wiadomo. Przywiózł wazę dla Jadzi, którą mu ona dała ozdobić malowidłami dekoracyjnymi, i obrazki dla mnie przedstawiające ilustracje fantazyjne bardzo ładne do bajek (ilustracje te były reprodukowane w książce czeskiej, zawierającej bajki i wydanej w Pradze przed laty dzxesięciu, gdy Stefan był tam na studiach malarskich). Jadzia już w przedpokoju od razu spostrzegła, że Stefan ledwo się trzyma na nogach. Istotnie był niepoczytalny i zapewne pijany. Sam mówił, ze pił, ale tak się plątał w mowie, że nie można się było niczego dopytać. Nie byliśmy jednak pewni, czy tylko jest pijany, czy też jest to może atak paraliżu, porażenie paralityczne mózgu. Stefan bowiem po ataku paraliżu w roku 1933 choć się odchwycił, ale nie zupełnie. Nigdy szczególnie mądry nie był, ale po paraliżu osłabł na umyśle bardzo i ma defekt pamięci, zwłaszcza w zakresie mowy; nie pamięta słów, nie umie ich dobrać, zapomina zwłaszcza nazwy i rzeczowniki i w rozmowie ciągle się plącze i nie znajduje słów. A chociaż się leczy i wciąż co pewien czas ponawia kurację salwersanową, to jednak ma niewątpliwie początki paraliżu postępowego w zakresie władz psychicznych. Zdolności artystycznych nie stracił, ale władze umysłowe są w stanie wyraźnego regresu. Toteż nie jest wcale wykluczone, że pewnego pięknego dnia może po prostu zwariować. Był już niedawno taki wypadek, że nagle pewnego dnia w Bohdaniszkach, jeszcze za życia Maryńki, zaczął nagle mówić do żony tylko po litewsku, choć przecie rozmawiają oni w domu wyłącznie po polsku, a po litewsku i on i Marysia w ogóle prawie że nie umieją. Marysia się przestraszyła, ale potem to minęło. Otóż teraz przeraziliśmy się z Jadzią nie na żarty. Stefan zachowywał się jak wariat. Dostał po prostu ataku serdeczności, jakiejś serdeczności przeraźliwej i dzikiej, nieposkromionej. Chwytał mię za rękę, całował, trzymał rękę i przyciskał do niej swoją głowę, płacząc i rozczulając się, a razem potępiając i żałując siebie; przed Jadzią klękał słaniając się, całował jej ręce i aż je kąsał. Nie wiedzieliśmy, co robić. Nie chciał się położyć, ale wreszcie zasnął w pokoju jadalnym, oparty głową o ręce położone na stole. Ja musiałem wyjść, bo miałem wykład na kursach oficerskich Sztabu Generalnego, potem śniadanie w poselstwie francuskim u pp. Dulong i potem jeszcze seminarium prawa konstytucyjnego. Jadzia też pośpieszyła na miasto za różnymi interesami, aby nie zostać ze Stefanem. Bałem się, że znowu spadnie na mnie nowa troska i ciężar opieki nad chorym Stefanem. Nie wiedziałem, co przedsięwziąć i co robić ze Stefanem, jeżeli to u niego nie przejdzie. Wezwałem na godzinę piątą prof. Blažysa do domu jako psychiatrę. Wszakże dzięki Bogu Stefan wytrzeźwiał i odzyskał przytomność. Zanocował u nas i jutro odjedzie do domu.

2 maja, rok 1937, niedziela

Znowu niezwykłe zdarzenie. Niezwykłe i przykre. Od dawna wybierałem się z wizytą do pp. Stefanostwa Geysztorów w majątku Szałtupie pod Kownem. Łączy mię z nimi pokrewieństwo przez p. Geysztorową, Świdównę z domu – Marynię Świdównę z Hranicz w powiecie wilejskim (ze Świdami pokrewieństwo nasze jest przez Tukałłów: mój dziadunio po Mamie, Mieczysław Tukałło, rodził się z Konstancji Świdówny, mojej prababki, po której i Mama imię Konstancji otrzymała). Znałem kuzynkę Marynię Świdówną z Hranicz jeszcze jako młodziutką dziewczynkę w latach między rokiem 1894 a 1905, kiedy bywaliśmy co roku z siostrami po kilka tygodni w powiecie wilejskim i borysowskim, objeżdżając tam dwory rodziny Kasuty (babunia Zuzanna Tukałłowa), Ościankowicz (wuj Ignaś Tukałło), Obodowców (wujostwo Ottonowie Bohdanowie), Orpy (Romuś Bohdanowicz), Stajek i Maćkowców (Bohdanowiczów stajeckich), Nowego Dworu (wujostwo Wołodkowiczowie), Pleszczenic (ciocia Kasia Tyszkiewiczowa), a często i inne po drodze (Zawiszyn Falkowskich, Metliczyca Święcickich, Mściż i Łużki Wołłowiczów, Dziadziłowicze Śliźniów itd.). Spotykaliśmy się tam ze Świdami, choć w Hraniczach osobiście nigdy nie byłem. Raz nawet, jako

chłopiec lat 16-17, podjudzony przez kuzynów Wołodkowiczów i Ignasia Bohdanowicza, pocałowałem kuzynkę Marynię Świdówną, obecną Geysztorową. Poza tym z Geysztorami spowinowaceni zostaliśmy przez małżeństwo ich syna Emila Geysztora z Litką Komorowską, córką Elizki. Wybierałem się do nich od lat z tą wizytą jak kurka za morze. Wiele razy obiecywałem i nie wybrałem się dotąd. Otóż dziś zdecydowałem się pojechać. Wyjechałem o godz. dziewiątej rano autobusem, idącym na Olitę. Szałtupie jest położone nie dojeżdżając do Pren. Greysztor jest znakomitym i wzorowym gospodarzem. Jego żona mu sekunduje. Majątek teraz jest niewielki – 80 ha, stanowiące część Maryni Geysztorowej, bo część Geysztora została skonfiskowana ze względu na jego udział w głośnej przed laty sprawie peowieckiej, w której został on skazany za akcję przeciwko państwu. Autobusem dojechałem do Išlaužu, stamtąd poszedłem 1 ½ kilometra szosą pieszo. Dwór z zewnątrz z widzenia znałem, bo przejeżdżałem mimo po dworze do Birsztan. Zawróciłem z szosy do dworu, przeszedłem mimo zabudowań gospodarskich, stajni, wszedłem na dziedziniec i ujrzałem dwa domki mieszkalne, duże, ale niskie, pobielane, z ganeczkami. Nie wiedziałem, do którego iść, ale w jednym z ganków stał człowiek. Upewniłem się, że to Szałtupie, spytałem, czy pan Geysztor w domu, odpowiedział, że tak; spytałem jeszcze, czy pani także jest w domu, na co mi on coś odpowiedział, czego nie zrozumiałem. Wskazał mi wejście. Z ganku wszedłem do sieni, z której były drzwi na lewo i na prawo. Zapukałem do drzwi na prawo. Otworzyłem: u biureczka siedział Stefan Geysztor i coś pisał. Zobaczył mię, wstał, podszedłem do niego, przywitałem się i pocałowałem. A on do mnie: „Ach, kuzynie, jakże nieszczęśliwie trafiłeś!” i łzy miał w oczach. Zrobiłem minę dość zdziwioną, a razem zaniepokojoną czymś niezwykłym, a on mi na to: „Trafiłeś na pogrzeb... Żona mi dziś w nocy umarła”. Wzruszony, ucałowałem go, a on mię poprowadził przez cień do pokoju naprzeciwko, gdzie istotnie na deskach złożone były martwe zwłoki Maryni Geysztorowej. U wezgłowia płonęła gruba świeca woskowa, w pokoju modliła się jakaś kobieta i kilka dzieci. Oto mi wizyta! Chciałem zaraz pożegnać i odejść, ale Geysztor jeszcze mię zatrzymał. Parę godzin spędziłem u niego. Geysztor był dość spokojny, oprowadzał mię po ogrodach, które słusznie są chlubą jego, po plantacjach, pokazywał prześliczne budynki gospodarskie, oborę, przepyszne krowy holenderskie, dał mi obiad. O godzinie pierwszej pożegnałem go i odprowadzony przez niego do autobusu odjechałem. A to ci wizyta!

3 maja, rok 1937, poniedziałek

Z Bohdaniszek napływają alarmy. Właściwie jednak nie ma nic niespodziewanego. Rozumie się samo przez się, że drobni wierzyciele są w strachu i że się mnożą protesty wekselków Maryni. Jeszcze za życia Maryni zaprotestowali jej weksle dwaj drobni wierzyciele prywatni – Kligis i Diržis z wioski Bohdaniszek (razem na sumę ± 700 litów). Obecnie zaprotestował jeszcze Bohdan (dwa weksle po 300 z czymś litów z żyrem Elwiry i Justyna Budkiewicza) i zaprotestowany został weksel ostatni z długu Rosena – na 870 litów (z żyrem Elwiry). Uzyskanie z tych dwóch ostatnich weksli skierowane zostało do ruchomości Maryni i żyrantki Elwiry (także Budkiewicza). Wywołało to rwetes w Bohdaniszkach. Elwira, która nic nie kapuje w interesach, jest przerażona. Woła o pomoc do mnie, żebym coś radził na weksel Bohdana. O wekslu z długu Rosena (formalnie Rosen w tym nie figuruje, bo niby był tylko pośrednikiem) Elwira nawet nie wie, bo jej dzieci – Helcia i Andrzej, którzy sami są też bez głowy do interesów i umieją tylko się przerażać, ale nikt pomyśleć i zaradzić, bojąc się, żeby to nie zaszkodziło na zdrowie matki, ukrywają przed nią dotąd to napomnienie opłaty i tylko w przerażeniu odwołują się do mnie. Już sam weksel protestowany Bohdana tak nastraszył Elwirę, że aż gorączka się u niej znowu podniosła, a już się miała lepiej. Właściwie Elwira powinna się była tego spodziewać. A zresztą żadnej tragedii w tym jeszcze nie ma. Gdyby nawet musiała w ostateczności zapłacić, to nie zginęłaby z tego. Ma majątek czysty, ma dochody niezłe, ma teraz kapitalik ze sprzedaży kamienicy wileńskiej. Ale zresztą gwałtu nie ma. Zrobić na razie powinna to, co zrobiłem ja w stosunku do żyrowanych przeze mnie weksli Maryni (tylko że u mnie to wynosi na sumę już teraz 8000 lt., a u Elwiry na sumę jakiegoś 1100-1200 lt.). Trzeba przyjąć ten dług na siebie, pokrywając go własnymi wekslami na razie i zachowując regres do masy spadkowej po

Maryni. Ani gwałtu, ani strachu przeraźliwego nie ma. Jest oczywiście pewne utrapienie i kłopot, pewne ryzyko straty, ale nie tragedia. Elwira chciałaby już zaraz pokrycia z pieniędzy spadkowych wileńskich Maryni, jak gdyby ona była jedyna dotknięta tym załamaniem się interesów Maryni. Tymczasem ja moje odpowiednie ciężary reguluję. W Banku Polskim już zamieniłem weksel Maryni na mój i dałem wykupiony weksel Maryni do protestu dla zastrzeżenia sobie regresu. Wynosi teraz ten dług 13 000 litów. W banku rakiskim (filia rakiska Banku Litewskiego) robię to samo. Tam dług wynosi 4 ½ tysiąca litów. Posłałem już na to moje weksle do Bohdaniszek na ręce Marysi Römerowej.

4 maja, rok 1937, wtorek

Wieczorem przyjechał z Bohdaniszek Andrzej Mieczkowski. Długo się zasiedział po świętach wielkanocnych, bo musiał pielęgnować z Helcią chorą matkę. Teraz Elwira ma się lepiej i Andrzej wrócił kończyć swoje studia.

Na obiedzie byli u mnie Eugeniuszostwo Römerowie z synem Redziem.

Napisałem do Ewy, radząc jej i prosząc, aby w razie niemożności przyjazdu do Litwy dla wzięcia udziału w ustaleniu planu postępowania spadkowego zechciała wybrać arbitra. Jednego wybrałaby ona, dwóch innych Marysia i Budkiewicz, ci zaś – superarbitra. Na razie zamierzałem rolę superabitra zarezerwować dla siebie jako egzekutora testamentu Maryni, ale potem uznałem, że tak mogłoby być niedobrze. Ponieważ ja przyjąłem na siebie te długi Maryni, w których byłem żyrantem, przeto stałem się z tytułu regresu wierzycielem masy spadkowej, dlatego też mógłbym być posądzony o jakąś stronność. Poradziłem Ewie wybrać na arbitra Bichniewicza albo Eugeniusza Römera. Jeżeli Ewa się na to zgodzi, zwołam do Bohdaniszek zjazd dzielczy arbitrów, którym złożymy wszelkie wyjaśnienia i stan interesów, życzenia stron itd. Na tym też zebraniu otworzę testament Maryni. Na zebraniu tym trzeba będzie ustalić cały plan akcji spadkowej. Interes jest wielce skomplikowany, ale wydaje mi się, że sprawa nie jest beznadziejna. Chodzi tylko o to, żeby Ewa się zgodziła. Ze wszystkiego jednak widać, że Ewa chciałaby zagarnąć czystą połowę gotówki spadkowej ze sprzedaży kamienicy wileńskiej.

5 maja, rok 1937, środa

Sprawa regulaminu Wydziału Teologicznego trochę się komplikuje. Zdaje się, że wspominałem w dzienniku, że na ostatnim posiedzeniu senatu, gdy był rozważany memoriał teologów, broniący tezy istnienia legalnego dwóch odrębnych sekcji na tym wydziale, senat, na wniosek zastępcy dziekana Krėvė-Mickiewicza, prof. Augustaitisa, postanowił prosić Wydział Prawniczy o zaopiniowanie w tej kwestii. Na razie Wydział Prawniczy (raczej sekcja prawnicza tegoż wydziału) podjął się tego zadania i wyznaczył Antoniego Tamošaitisa i Kriwickiego do wystudiowania kwestii i zaprojektowania opinii wydziału. Uczynili to oni i złożyli projekt opinii, wypowiadający się przeciwko istnieniu statutowemu sekcji. Na posiedzeniu wszakże wydziału dzisiaj nastąpił zwrot. Merytorycznie przeciwko tej opinii wypowiedział się prof. Kazimierz Szołkowski, zapewne inspirowany przez swego brata prof. Stanisława Szołkowskiego, teologa. Pewne wątpliwości podniósł też jeden z projektodawców opinii – Kriwicki. Względy te i wątpliwości nie przekonałyby może większości, ale prof. Wacław Biržiška podniósł wątpliwości co do w ogóle stosowności wszczynania tej kwestii przez same czynniki akademickie przeciwko i na szkodę jednego z wydziałów, gdy te same czynniki dotąd tolerowały i sankcjonowały istnienie dwóch sekcji na Wydziale Teologicznym, a dopiero teraz skwapliwie się na to rzuciły, gdy czynniki rządowe wszczęły alarm. W rezultacie Wydział Prawniczy odmówił udzielenia senatowi opinii rzeczoznawczy. Poniekąd słusznie i zasadnie, gdyż był to ze strony senatu akt Piłata, przenoszącego odpowiedzialność z siebie na Wydział Prawniczy i umywającego ręce. Ta odmowa zaopiniowania wzmocni bardzo pozycję teologów i, moim zdaniem, zmusi nawet senat do usiłowań cofnięcia się od decyzji.

Może to i dobrze i z punktu widzenia „politycznego” może to lepiej, żeby rząd w trybie dozoru rzecz tę rozstrzygał, niż żeby to robiły same czynniki akademickie. W konstrukcji kolegialnej zawsze „ręka rękę myje”, a choć to nie bardzo by być powinno, ale tego się u nas nie zmieni. A ma to swoją logikę.

6 maja, rok 1937, czwartek

Wykonaliśmy z Jadźką śliczną wycieczkę w okolice Kowna. Święto Bożego Ciała. Pogoda słoneczna prześliczna. Bardzo ciepło. Kwitną ogrody owocowe, zakwita czeremcha. Zieleń świeżutka subtelna na drzewach. O godzinie dziewiątej rano pojechaliśmy autobusem do Pożajśla. Stamtąd poszliśmy pieszo przez las sosnowy i piaski rozległe na falistym gruncie, zasiane symetrycznie sosenką, do Niemna. Przeprawiliśmy się przez Niemen łódką i przez wspaniały bór sosnowy poniemuński, noszący imię parku Basanowicza, poszliśmy do kurhauzu, gdzie Jadźka zjadła obiad, a ja piłem napoje chłodzące na werandzie w lesie. Cały spacer nasz był w sosnach, pachnących jak marzenie. Następnie z Poniemunia, po dobrym spacerze kilkukilometrowym, wróciliśmy do Kowna autobusem do Pienocentrasu na mój obiad wegeteriański. Następnie jeszcze lody w zakładzie lodów włoskich i powrót do domu do pracy o godzinie trzeciej po południu.

7 maja, rok 1937, piątek

Janulaitis jest oburzony na wykręcenie się czynników akademickich od przykrego dokonania bolesnej operacji na Wydziale Teologiczno-Filozoficznym. Zaiste, prywatnie od wielu lat się gada i gorszy tym, że Wydział Teologiczny pod maską teologii przemyca miniaturę uniwersytetu katolickiego albo co najmniej katolickiego wydziału humanistycznego. Wyrzekano na to, oburzano się i gorszono. Gdy jednak znalazła się okazja zupełnie formalna do zaoponowania temu i ujawniła się mocna i kategoryczna zasada prawna przeciwko tym praktykom przemytniczym, to czynniki kolegialne akademickie zwlekają, krążą w kółko i „krępują się” poczynić wnioski kategoryczne. Każdy z organów chciałby zrzucić winę z siebie na innych, każdy chciałby, żeby operacja była dokonana nie jego rękami. Zaczyna się gra w Piłata. Gdy się przyciska, to powstają wykręty, subtelne zastrzeżenia, doszukują się wątpliwości. Senat chce się oprzeć na opinii Wydziału Prawniczego, żeby miał pretekst do tłumaczenia się wobec teologów, że to nie on rozstrzygnął kwestię, Wydział Prawniczy w osobach zwłaszcza Kriwickiego i Pietkiewicza, zagłębia się w subtelne zastrzeżenia i ostatecznie się uchyla od wyrażenia opinii, co naturalnie sprawia wrażenie, że rzecz bynajmniej nie jest wyraźna, wszyscy zaś pragną, aby operacji dokonał raczej sam rząd, niż uniwersytet. Gdy rząd interweniuje w sprawy uniwersyteckie, to czynniki akademickie podnoszą krzyk i wołają o pogwałcenie autonomii, a gdy chodzi o jakieś decyzje delikatne w zakresie władzy i kompetencji organów akademickich, to się wykręca i po cichu wzdycha do interwencji rządowej. Brak zupełny odwagi i poczucia twardej rzetelnej, ale i sumiennej odpowiedzialności. Kolektyw bez wodza, oparty na organach kolegialnych – to niedołęstwo i zanik zmysłu odpowiedzialności oraz unikanie decyzji wyraźnych. Ręka rękę myje, Piłat opiera się na Piłacie, faryzeusz cnotę wychwala, pokątnie się gorszy, a jawnie wystąpić się nie odważa.

Krzyczy się i włosy rwie na głowie pod pretekstem autonomii akademickiej, zagrożonej przez projekt statutu, a autonomii tej się nie używa, gdy zachodzi potrzeba. Obłuda!

8 maja, rok 1937, sobota

Rozpoczęła się trzydniówka intensywnej pracy reprezentacyjnej: przyjechał do uniwersytetu naszego z wizytą prorektor Uniwersytetu Szwedzkiego w Sztokholmie, prof. Nils Stjernberg. Fachowo jest to kryminolog, ale skądinąd wybitny uczony także w zakresie teorii prawa, wiedzy państwowej, socjologii, filozofii społecznej. Jego wizyta była nam od dawna zapowiedziana przez rektora uniwersytetu w Sztokholmie, prof. Tunberga. Jest to więc wizyta urzędowa. Wygłosi jeden wykład publiczny na uniwersytecie i jeden w Litewskim Towarzystwie Prawniczym, poza tym będzie też gościem Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego.

Prof. Stjernberg przyjechał do Kowna wczoraj wieczorem. Ja na dworcu nie byłem. Spotkali go prorektor Purėnas, dziekan Wydziału Prawniczego prof. Janulaitis, prezes Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego Pakštas, prof. Antoni Tamošaitis i kilku innych. Zatrzymał się w poselstwie szwedzkim u posła Westringe. Z góry ułożony został przez komisję specjalną, złożoną z Purėnasa, Janulaitisa, Antoniego Tamošaitisa, Pakštasa i aystenta Jurgutisa, program całej wizyty trzydniowej prof. Stjernberga, a młody asystent Jurgutis, którego specjalnością jest prawo karne, przydzielony został do gościa, aby mu towarzyszył gdzie trzeba i oprowadzał.

Dziś rano prof. Stjernberg składał wizyty i oglądał nieco miasto. Ja go rano nie widziałem, bo od godziny 11 do 13 miałem właśnie ostatnie dwie godziny wykładów na Wyższych Kursach Oficerskich Sztabu Generalnego. Na godzinę drugą pojechałem z prof. Stjernbergiem i posłem szwedzkim Westringiem na Fredę do prorektora Jodelė na śniadanie. Oprócz nas i gospodarzy w śniadaniu tym wzięli udział Purėnas, Janulaitis, profesorowa Wasilewska, prof. Kołupajło i kilku innych profesorów – ogółem 12-15 osób. Śniadanie było obfite, zakąsek i ryb – nadmiar i w dobrym gatunku, wina niedużo, ale doskonałe, szwankowała tylko trochę usługa i sztućce, ale serdeczność gospodarcza była wielka, pokoiki w domu wiejskim Jodelė malutkie, ale ogrody, drzewa kwitnące, piękna natura i wiosna dokoła. Nastrój był miły i śniadanie dobrze się udało.

O godzinie piątej w sali uniwersyteckiej odbył się wykład publiczny prof. Stjernberga w języku niemieckim. Zagajałem wykład ja przemówieniem litewskim, w którym zaprezentowałem gościa licznie zebranym słuchaczom, po czym w kilku zdaniach po francusku przywitałem serdecznie prelegenta. Temat wykładu prof. Stjernberga brzmiał bardzo sucho i egzotycznie: „Wielka epoka pokoju międzynarodowego w połowie drugiego tysiąclecia przed Narodzeniem Jezusa Chrystusa”. Zdawało się, że chodzi o jakieś studium uczone z czasów przedpotopowych, suche i nie mające żadnego związku z życiem współczesnym. Tymczasem całkiem niespodzianie prof. Stjernberg potraktował te zagadnienia bardzo aktualnie, nawiązując kontakt między metodami pacyfizmu społecznego w najodleglejszych okresach życia ludzkości a metodami organizacji społecznej współczesnej i opierając się na tożsamości natury ludzkiej i na zagadnieniach organizacji, zasadniczo tożsamych we wszelkich epokach ludzkości. Odczyt sprawił wielkie wrażenie i podobał się bardzo. Był utrzymany na wysokim poziomie humanizmu i znajomości natury ludzkiej trwałej. Zaimponował też wszystkim charakterystyczny dla Szwedów brak blagi, który sprawił, że profesor, mający właściwie rozpoznać jak najbardziej aktualny i wieczyście żywy problem rozwiązania metod pokoju, nie zawahał się nadać swemu wykładowi tytuł jak najbardziej archaiczny, mogący odstraszyć tych, co się uganiają za tanim efektem. Audytorium przekonywał on treścią swego odczytu, istotą swojej myśli, a nie sensacyjną reklamą tytułu, którą nawiązał nie do wniosków, ale do punktu wyjścia swego rozumowania, nie dbając o sensację i efekt. Wykład był rzeczywiście śliczny.

9 maja, rok 1937, niedziela

Drugi dzień wizyty prof. Stjernberga ze Sztokholmu. Rano byłem wolny, ale nie mogłem już wybrać się na naszą przechadzkę świąteczną z Jadźką, bo byłem wolny tylko do południa. Mieliśmy co prawda projekt wycieczki automobilem z Jadźką i Diskinem do Szaszewicz do Stefana Römera, ale Diskin, który się miał o auto postarać, nie dostał go, a autobusem puszczać się nie mogłem, bo mógłbym nie wrócić na czas.

Prof. Stjernberga rano obwoził po okolicach Kowna prof. Pakštas, a następnie przywiózł go do Poniemunia do pawilonu kurhauzu na śniadanie, na które zebrało się grono zaproszonych gości. Było to śniadanie Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego. Oprócz prof. Stjernberga, posła Westringa, prof. Pakštasa, wzięli udział w śniadaniu: ja, prof. Janulaitis, Antoni Trimakas, młody Jurgutis, prof. Kołupajlo, pułkownik Lesowski, pewien handlowiec Szwed z Kowna, parę osób jeszcze. Śniadanie, obfite i dobre, z wódką i winem, ale bez wina [?], jedliśmy w gabinecie pawilonu, dosyć ciasnym i ciemnym, ale z oknem na bór, a drzwi otworzyliśmy na werandę. Honory gospodarza robił Pakštas, który też wygłosił spicz stosowny, pełny, jak zawsze u niego, humoru. Po śniadaniu rozjechaliśmy się. O godzinie siódmej spotkaliśmy się znowu z prof. Stjernbergiem w ogródku Muzeum

Wojennego na pięknej ceremonii spuszczania wieczornego sztandarów na basztach muzeum. Jednocześnie do ceremonii tej stawili się z wieńcami na Grób Nieznanego Żołnierza młodzi sportowcy litewscy – zwycięzcy turnieju międzynarodowego golu[4] w Rydze, na którym zwyciężyli wszystkich współzawodników, biorących udział w turnieju (Włochów, Francuzów, Polaków, Estończyków, Łotyszów i Egipcjan) i zdobyli dla Litwy na rok bieżący imię czempiona europejskiego golu. Dzisiaj właśnie wrócili oni z Rygi do Kowna i byli fetowani i przez tłumy i delegacje ze sztandarami witani w mieście jak bohaterowie narodowi. Piękna była pogoda i zapał świąteczny w mieście. Entuzjazm tłumów – ogromny. Ambicja i duma narodowa zwycięstwa rozsadzała głowy i serca. Szczególnie masy brały do serca zwycięstwo nad współzawodnikami polskimi tak ze względu na szczególną wrażliwość stosunków litewsko-polskich, jak również przez to, że radio polskie poprzednio ogłaszało, że z Litwinami Polakom zapewne nie wypadnie walczyć w Rydze, albowiem Litwini zostaną już przez innych zdystansowani i zwalczeni, zanim dojdzie do ich spotkania z Polską. Tymczasem Litwini pokonali wszystkich i zajęli pierwsze miejsce.

Uroczystość spuszczania sztandarów w Muzeum Wojennym sprawiła wielkie wrażenie na prof. Stjernbergu. Stamtąd zaszliśmy z nim jeszcze do mnie, bośmy mieli trochę czasu przed kolacją, a następnie udaliśmy się na kolację, ofiarowaną mu przez senat akademicki w sali klubu narodowców „Pažanga". W kolacji tej wzięli udział prof. Stjernberg, poseł Westring, senat akademicki *in corpore* ze mną na czele, lektor języka szwedzkiego sympatyczny p. Falk, profesorowie Wydziału Prawniczego Wacław Biržiška, Kazimierz Szołkowski, Antoni Tamošaitis, Kriwicki, asystenci Karol Żołkowski i młody Jurgutis, prof. Pakštas, prof. Saenger, prof. Kołupajło.

10 maja, rok 1937, poniedziałek

Wczorajsza kolacja senatu akademickiego dla gościa ze Sztokholma, prof. Nilsa Stjernberga, upłynęła mile. W toku kolacji, gdy rozlano wino, przemówiłem do gościa po francusku, krótko, ale serdecznie, wyrażając zarazem uczucia nasze dla Szwecji. Prof. Stjernberg mi odpowiedział. Po kolacji zabawiliśmy przy kawie do północy. Prof. Stjernberg sprawia tu na wszystkich jak najlepsze wrażenie. Dziś ostatni dzień wizyty naszego gościa. Rano znów go obwoził po mieście Pakštas; pokazywał mu stare miasto, kościoły, widoki, zaprezentował mu Muzeum Witolda Wielkiego, galerię Czurlanisa. Lunch miał dziś miejsce u posła szwedzkiego p. Westringa (bez pań) w pięknym domu Klimasa przy ulicy Vaižgantasa w mieszkaniu, w którym przed śmiercią mieszkał i umarł ks. Tumas-Vaižgantas. W lunchu wzięli udział: poseł Vestring, prof. Stjernberg, ja, minister oświaty prof. Tonkunas, prorektor Jodelė, prof. Česnys, prof. Janulaitis, prof. Pakštas, lektor Falk, prof. Tamošaitis, Antoni Trimakas, podprokurator Domeika, student Sabalis, słowem – ci, którzy tak czy inaczej są do Szwecji zbliżeni. Dobrze, że tym razem był obecny minister Tonkunas, bo ani na wykładzie, ani na kolacji uniwersyteckiej, ani na śniadaniu wczorajszym w kurhauzie poniemuńskim nie było nikogo z przedstawicieli władz politycznych. Na lunchu dzisiejszym był także dyrektor Departamentu Kultury w Ministerium Oświaty dr Juška i wiceminister sprawiedliwości Drewiński. Na lunchu przemówienie wygłosił po francusku poseł Vestring, odpowiedział po niemiecku minister Tonkunas.

O godzinie siódmej w sali posiedzeń Trybunału Najwyższego odbył się drugi wykład prof. Stjernberga, ofiarowany Litewskiemu Towarzystwu Prawniczemu. Wykład był poświęcony historycznej osobie głównego sędziego amerykańskiego Johna Marshala. Wykład był piękny i bardzo plastyczny. Audytorium było pełne. Potem jeszcze wieczorem Litewskie Towarzystwo Prawnicze podejmowało prof. Stjernberga kolacją w gabinecie Metropolu, ale już na tę kolację nie poszedłem.

11 maja, rok 1937, wtorek

Prorektor uniwersytetu w Sztokholmie prof. Nils Stjernberg dziś rano odjechał na Rygę. Wizyta dobrze się udała. Sądzę, że i prof. Stjernberg jest zadowolony z przyjęcia, którego u nas

---

[4] Chodzi o mistrzostwo europejskie w koszykówce, zdobyte w tym roku przez Litwę.

doznał. Uniwersytet łotewski w Rydze dowiedział się o jego wizycie i zaprosił go na wykład w przejeździe. Jutro wygłosi on tam wykład, ale zabawi krótko i pozajutro odjedzie wprost do Sztokholmu. Odprowadziliśmy dziś profesora na pociąg. Zebrało się grono osób ze mną na czele, by się z nim pożegnać.

Wieczorem byłem w teatrze na jubileuszu 30-lecia pracy scenicznej artysty i reżysera dramatu Konstantego Glińskiego. Moje nazwisko było wypisane na liście członków komitetu jubileuszowego. Musiałem przeto pójść do teatru i opuściłem nawet na tę rzecz mój wykład. Ale komitet na scenę nie wychodził wcale, więc tylko w widowni siedziałem w pierwszym rzędzie. Grano dramat Ibsena „Wróg społeczeństwa" z Glińskim w roli dr Sztokmana. Gra nie nazbyt mi się podobała, choć dramat silny, jeden z najpiękniejszych Ibsenowskich. Po przedstawieniu szły niezliczone pozdrowienia. To jest nudna i długa ceremonia. Na wstępie prof. Mikolaitis-Putinas wygłosił piękny referat o jubilacie.

12 maja, rok 1937, środa

Spokojny dzień. Mało ich mam, zwłaszcza w maju, który jest miesiącem wielu rozmaitych wizyt, uroczystości, obchodów itd. Oto przemknęła choć na ogół miła, ale męcząca wizyta prof. Stjernberga ze Sztokholmu, która mię kosztowała dwie mowy, a oto niebawem nadchodzą inne uroczystości majowe z mowami: „święto studentów" w tę sobotę, które sobie młodzież akademicka ni z tego ni z owego wymyśliła, potem w przyszłym tygodniu otwarcie uroczyste „wystawy Napoleońskiej" z dwiema zapewne mowami moimi przy tej okazji, następnie w przyszłą sobotę „święto wojska", wreszcie w końcu maja duża wycieczka studencka ze Szwecji.

Ledwie mam czas na moje prace naukowo-literackie, które jednak zawsze po trochę się posuwają. Jedna – to moja książka, stanowiąca początek drugiej części mojego dzieła kapitalnego „Valstybė ir jos konstitucinė teisė"; w tej pracy piszę obecnie już od kilku miesięcy schemat rozwoju rozmaitych charakterystycznych systemów („*régimes*") konstytucyjnych, po czym mi pozostanie jeszcze studium o państwie unitarnym, centralizacji i decentralizacji (samorząd, autonomia), federacji, konfederacji i związku państw imperialistycznym. Dopiero wtedy oddam tę pracę do druku; wyniesie ona zapewne dwa tomy części drugiej cyklu.

Poza tym układam obszerny artykuł dla miesięcznika postępowego „Kultura" o konstytucji sowieckiej. Chciałbym go wykończyć do połowy czerwca – do wyjazdu za granicę, ale nie jestem pewny.

13 maja, rok 1937, czwartek

Odbyło się wieczorem posiedzenie senatu akademickiego, na którym wreszcie musiała być rozpoznana i rozstrzygnięta ostatecznie kwestia istnienia lub nieistnienia legalnego sekcji na Wydziale Teologiczno-Filozoficznym. Wobec odmowy zaopiniowania prawniczego tej kwestii przez sekcję prawniczą Wydziału Prawniczego decydować musiał bezpośrednio sam senat, albowiem statut uniwersytetu zleca mu obowiązek sprawdzania, czy regulaminy wydziałów nie są sprzeczne ze statutem; ponieważ zaś projekt regulaminu Wydziału Teologiczno-Filozoficznego przewiduje dwie odrębne sekcje – teologiczną i filozoficzną – przeto kwestia, która powstała o tym, czy takie sekcje są przewidziane przez statut czy nie, musiała być przez senat zdecydowana. Jest to kwestia delikatna, albowiem bardzo drażliwa i bolesna dla teologów, którzy przez sekcję filozoficzną chcą utrzymać w ręku kwalifikowanie konkurencyjne w stosunku do humanistów – nauczycieli szkół. Głosowanie przeciwko sekcjom jest obrazą dla teologów, jest ciosem, którego oni nie darują. Naturalnie, że Żemaitis był nieobecny. Unika on posiedzeń senatu, na których ta drażliwa kwestia się rozpoznaje; wyręcza się sekretarzem swojego wydziału, prof. Končiusem, który zresztą w tej kwestii jest zupełnie wyraźnym. Krėvė-Mickiewicz i Purėnas też chętnie by się wykręcali, ale gdy dochodzi do głosowania, nie odważają się głosować za teologami. Za to wyraźni są zupełnie i nie bawią się w odwłokę i w zastrzeżenia – Janulaitis, Lašas i Jodelė. W głosowaniu znaczną większością stwierdzono, ze istnienie sekcji jest przeciwne statutowi. Dziekan Wydziału Teologicznego prof.

Kuraitis był przygnębiony tą porażką. Teolodzy będą źli teraz i nie tak łatwo pogodzą się z porażką. Co przedsiębiorą – tego nie wiem jeszcze, ale że będą walczyć – tego jestem pewny.

14 maja, rok 1937, piątek

Po długiej przerwie byłem dziś u ministra oświaty Tonkunasa. Na ogół go lubię, choć się na niego nieco obraziłem za jego pismo sprzed miesiąca, w którym wyrażał on coś w rodzaju nagany władzom uniwersyteckim (rektorowi i senatowi) za tolerowanie przeciwnych statutowi praktyk Wydziału Teologiczno-Filozoficznego (tolerowanie sekcji filozoficznej, brak regulaminu). W istocie co do sekcji filozoficznej, to tolerowały ją tak władze akademickie, jak dotychczasowi ministrowie oświaty, nie wyłączając samego Tonkunasa (są wyraźne dokumenty, podpisane przez Tonkunasa, w których np. rozdziela on stypendia i wskazuje, ile ich przeznacza „sekcji teologicznej" i ile „sekcji filozoficznej" wydziału tego; a potem winę zwala na nas jednych); co zaś do regulaminu – to już od roku żądałem od teologów złożenia projektu regulaminu.

Znowu przyjechał Stefan Römer. Poczuł on już pieniądze, które mu przed laty darowałem z długu Henrysia, a które teraz ze sprzedaży kamienicy wileńskiej już są zrealizowane i które mi już Kotunia tu przekazała w drodze kompensacji z Awą Neefową. Oczywiście pieniądze te (1000 złotych = 1115 litów) użyję co do grosza na potrzeby Stefana, ale na ręce mu ich dać nie chcę, bo je puści bez sensu. Znaczną część tych pieniędzy użyję na spłatę jego długów, w szczególności chcę co najmniej 450 lt. spłacić za niego w Banku Polskim z jego długu wekslowego, żyrowanego przeze mnie. Musiałem z nim o to utoczyć walkę. Stawiał się, jak gdyby to były jego własne pieniądze, a nie z łaski mojej. Ci moi kuzynowie żebracy – to rozszarpaliby mię na kawałki. Pomagam im, sprawiam im prezenty i datki, a jeszcze im tego za mało. Zazdroszczą Jadzi, zazdroszczą Reni, zazdroszczą Maryni, której pomagałem, gotowi są uważać, że skoro pomagałem Maryni, to ich krzywdzę przez to, że mniej ode mnie mieli lub mają. Szczególnie Stefan. Oblepiają mnie i chcieliby doić jak krowę. Sami nie umieją nic zarobić, a u kogo czują pieniądze, to uważają je prawie za swoje, jak żeby prawo mieli do mnie i do mojej pracy, bo przecie tylko pracą moja pieniądze zdobywam i mam.

Mieczkowscy są delikatniejsi pod tym względem, ale Andrzej też zazdrości Jadzi, a teraz tak się uwziął do jazdy do Paryża na wystawę, którą mu warunkowo obiecałem, o ile znajdzie tani sposób na to z jakąś wycieczką, że chodzi jak lunatyk, stracił humor i tylko o Paryżu myśli, a gdyby mu się to nie udało i okazało się za drogo, to już z góry ma żal utajony do mnie. Żaden z nich nie pomyśli, czy mi wystarcza na pomoc dla córki mojej i jakie są granice tego, co dać mogę. Wydaje im się, że to studnia pieniędzy, z której udzielać muszę pomocy i datków wszystkim. Kto nic im nie daje – do tego pretensji nie mają, ale gdy się im daje trochę, to gotowi uważać za krzywdę, że się nie daje więcej. Ciekaw jestem, czy sami dawać będą, jeżeli kiedy mieć coś będą. Teraz matka Andrzeja ma więcej ode mnie, bo wzięła z kamienicy wileńskiej 20 000 złotych, podczas gdy ja z tej kamienicy moje pieniądze oddałem Celinie. Ale matka trzyma pieniądze i nic mu na rozrywki nie daje i o to do niej pretensji nie mają, podczas gdy mnie po prostu napastują, jak żebym miał dla nich obowiązki. A jeżeli czasem wspomnę półgębkiem, że może bym ewentualnie coś dał, to już mi tego nie darują, jak gdyby to już było ich własne.

15 maja, rok 1937, sobota

Byłem o południu u Prezydenta Rzeczypospolitej Smetony, aby go zaprosić na otwarcie Wystawy Napoleońskiej, mającej nastąpić we czwartek 20 maja. Wystawę tę urządziło Towarzystwo Litewsko-Francuskie, którego ja jestem prezesem. Chociaż prezesem jestem tylko nominalnym, bo zgodziłem się nim być tylko na prośbę posła Dulonga, aby dać moją firmę towarzystwu i w pracach zarządu towarzystwa udziału czynnego nie biorę, a nawet na posiedzeniach jego nie bywam, to jednak ciężary reprezentacyjne w okazjach uroczystych spadają z tego tytułu na mnie. Ta Wystawa Napoleońska też mię będzie dużo zabiegów reprezentacyjnych kosztowała. Postarano się o nadanie jej pompy i manifestacji franko-litewskiej. Z Paryża przyjeżdżają na jej otwarcie sekretarz Komisji Spraw Zagranicznych Izby Poselskiej poseł Rion i poseł baron de Grandmaison, potomek generała

armii Napoleońskiej, który wraz z tą armią w roku 1812 był w Kownie. Minister spraw zagranicznych Francji p. Dalbos zgodził się udzielić swojej firmy komitetowi honorowemu, patronującemu wystawie. Środę i czwartek będę miał całkowicie pochłonięte uroczystościami. We środę śniadanie u posła francuskiego, herbatka w Towarzystwie Litewsko-Francuskim i wieczorem obiad w Metropolu, ofiarowany gościom paryskim od mojego imienia jako prezesa towarzystwa (faktycznie obiad ten urządza i opłaca nasze Ministerium Spraw Zagranicznych, ale formalnie gospodarzem obiadu będę ja i naturalnie będę musiał wygłosić przemówienie). We czwartek mam śniadanie u premiera Tubelisa, następnie uroczystość otwarcia wystawy, na której mam wygłosić przemówienie po litewsku po pośle francuskim Dulongu i ministrze oświaty Tonkunasie, wreszcie wieczór w poselstwie francuskim. Muszę więc teraz śpiesznie i terminowo ułożyć dwie mowy dłuższe – francuską i litewską – i wyuczyć dobrze. Robota to uciążliwa. Nie mogę wypocząć na Zielone Świątki.

Rano dziś wyjechała na tydzień do Bohdaniszek Jadzia.

Dziś miałem też ceremonię reprezentacyjną, ale akademicką. Studenci wymyślili ogłosić swoje święto. Urządzili wieczorem pochód do Muzeum Wojennego, gdzie złożyli wieńce na Grób Nieznanego Żołnierza, po czym ruszyli na Laisvės Aleją z pochodniami smolnymi i do gmachu uniwersyteckiego głównego pod balkon gabinetu rektorskiego, gdzie mi urządzili owację. W myśl programu, musiałem do nich przemówić z balkonu. Pierwszy raz przemawiałem z balkonu na ulicę. Przemówienie wygłosiłem naturalnie krótkie, nastrojowe i stosowne, serdeczne. Wielką mi urządzili owację, odpowiedzieli przemówieniem z dołu, odśpiewali „Gaudeamus igitur” i po ponownych okrzykach odeszli do parku Witolda, gdzie się zabawiali.

16 maja, rok 1937, niedziela

Dzień świąteczny Zielonych Świątek spędziłem cicho i przeważnie na pracy w domu. Poza innymi pracami bieżącymi zwykłego porządku dziennego – uczyłem się forsownie moich mów na środę i czwartek, związanych z Wystawą Napoleońską, obie mowy – francuską do gości paryskich i litewską na otwarcie wystawy – wyuczyłem się nieźle.

Wyjeżdżałem z domu tylko na obiad z Andrzejem i Renią do kurhauzu w parku Basanowicza w Poniemuniu. Pogoda pochmurna, ale ciepło i powietrze pachnące bez wiatru. W lesie było ładnie, ale publiczności w kurhauzie niedużo, bo publiczność kowieńska śpieszyła na aerodrom na Aleksocie, więc do Poniemunia nie jechała. Nad Niemnem pod parkiem Basanowicza koczują już od paru tygodni Cyganie, w ich liczbie są i nasi z Rakiszek i Poniewieża, którzy w przeszłym roku stali w Gaju. Cyganki kręcą się pod kurkauzem, wypraszają datki od gości, wróżą.

Po godzinie trzeciej na aerodromie było wielkie święto awiacji. Nie poszedłem. Posłałem tylko Andrzeja.

17 maja, rok 1937, poniedziałek

Drugi dzień Zielonych Świątek. Prawie nigdzie z domu nie wychodziłem. Korzystałem z dnia wolnego do pracy w domu. Dużo przez ten dzień zrobiłem. Tylko na obiad poszedłem do Pienocentrasu, bo w czasie nieobecności Jadzi w domu nie jadam: obawiam się latem jeść mięso, kupowane nie osobiście przez Jadzię, lecz przez służącą. Żywię się kwaśnym mlekiem, chłodnikiem i jarzynami w Pienocentrasie. W domu miałem jednak wizyty: a. Jana Zemana, niegdyś wychowanka Komorowskich, obecnie studenta II semestru Wydziału Humanistycznego naszego uniwersytetu, b. Redzia Römera i c. prof. dr Gudowicza.

Teraz mam parę dni spokoju, ale za to za parę dni będę się wiercił jak w kołowrocie.

18 maja, rok 1937, wtorek

Trzeci i ostatni dzień zacisza domowego, kiejfu i odpoczynku przed gorączką ceremonii reprezentacyjnych, które nastąpią jutro i pojutrze z okazji otwarcia Wystawy Napoleońskiej i

przyjazdu posłów Izby Deputowanych francuskiej – p. Riona, sekretarza komisji spraw zagranicznych, i barona de Grandmaison.

Spędziłem dzień dzisiejszy cicho, przeważnie na pracy w domu. Przed obiadem odbyłem moją godzinę urzędowania rektorskiego na uniwersytecie, obiad zjadłem w Pienocentrasie, miałem w domu colloqium studentów, wieczorem odbyłem ostatni w tym semestrze wykład prawa konstytucyjnego litewskiego.

19 maja, rok 1937, środa

Męczący dzień. Skądinąd byłby przyjemny, bo Francuzi są mili, mowę moją też dobrze umiałem i wygłosiłem ją po francusku doskonale. Już to francuszczyzna w mowach moich jest doskonała, nie ustępująca w formie najczystszym Francuzom, że aż się wszyscy zdumiewają zawsze. Ale ciężki był na te przyjęcie upał szalony, a zwłaszcza ten wieczór parny we fraku na obiedzie w Metropolu.

Zaczęły się uroczystości od śniadania o godzinie drugiej w poselstwie francuskim u pp. Dulong. Ranek miałem więc jeszcze swobodny. Odbyłem mój wykład na II semestrze sekcji prawniczej i colloquium, załatwiłem moje urzędowanie w rektoracie, wróciłem jeszcze na całe dwie godziny do domu i dopiero udałem się do poselstwa francuskiego. Towarzystwo składało się z ministrów litewskich z żonami – Šiling, Tonkunas z żoną, Dirmantas z żoną, Putwiński, generał Černius z żoną, pani Viliušisowa, córka Prezydenta Smetony z mężem, pp. Dulong, sekretarz poselstwa francuskiego, sympatyczny p. de Neyzac, ja i gość francuski p. Gaston Rion. Drugi gość, poseł baron de Grandmaison, jeszcze nie był przyjechał. P. Rion jest także posłem do Izby Deputowanych francuskiej, dosyć wybitny członek stronnictwa rządowego radykałów-socjalistych, należący przeto do obozu „Frontu Ludowego”, bliski współpracownik lidera Herriota. Jest to były oficer z czasów Wielkiej Wojny, obecnie polityk zawodowy, sekretarz komisji spraw zagranicznych w Izbie Posłów, co jest bądź co bądź w stosunkach parlamentarnych stanowiskiem wybitnym, zwłaszcza w systemie parlamentaryzmu francuskiego. Jest to mężczyzna kwitnący fizycznie, w wieku lat 53, wyglądający na młodego, wysoki, postawny, pewny siebie, o oczach pięknych i wyrazistych, doskonały „*causeur*”, umiejący do każdego przemówić, wyrazić komplement, niezrównany w rozmowie z paniami, zapewne pogromca serc. Zdolny jest, giętki, ładnie mówi, sprawia wrażenie. Nie jest tylko świeżo upieczonym przyjacielem okazyjnym krajów bałtyckich na czas wizyty; przeciwnie – jest sekretarzem generalnym Towarzystwa Franko-Bałtyckiego w Paryżu, którego prezesem jest p. Bestide. Ma więc tytuły trwałe do reprezentowania naszych sympatyków francuskich na otwarciu naszej Wystawy Napoleońskiej. Podkreśla, że przyjechał tu zresztą nie tylko z inicjatywy własnej, ale także na prośbę ministra spraw zagranicznych Delbora, który zgodził się przyjąć patronat naszej Wystawy Napoleońskiej.

20 maja, rok 1937, czwartek

Jestem w samym ośrodku uroczystości francuskich, które nabrały charakteru gorącego zbratania. Trudno mi o czas na pisanie dziennika. Spróbuję choć trochę, a zresztą w ciągu dni następnych dopowiem.

Pan Rion jest nie tylko *charmant homme*, pięknym mówcą, causerem, filutem serc niewieścich, wybitnym politykiem i zarazem mającym w sobie, jak typowy Francuz starej krwi galijskiej i wesołej krainy wina (jest bowiem południowcem znad Rodanu), coś z Rabelais’a, ale jest też wybitnym i dystyngowanym pisarzem, publicystą wielkiej miary, o czym z góry nie wiedziałem. Jest autorem kilku książek, które miały wielki rozgłos. Pierwsza jego książka, jeszcze sprzed wojny, mówiła coś o losach i przeznaczeniu Francji. Po wojnie, w której brał udział jako oficer czy może żołnierz i spędził dziesięć miesięcy niewoli niemieckiej (tam się był poznał z późniejszym marszałkiem sowieckim Tuchaczewskim, będącym obecnie w niełasce w Sowietach), napisał książkę na temat dziennika pospolitego żołnierza, podobno jedną z najlepszych książek z przeżyć wojennych, która w swoim czasie zdobyła wielki rozgłos i szeroko się rozeszła. Potem wydał jeszcze kilka innych książek, z

których dwie dotyczyły idei pan-Europy (najbardziej znana jest książka pod tytułem „*Europa – ma patria!*”, w każdym razie coś podobnego). Nie czytałem tych książek, ale chcę je poznać, bo autor jest interesujący.

Wczoraj w programie po śniadaniu w poselstwie francuskim była o godzinie piątej herbatka u żony p. ministra spraw zagranicznych pani Lozaraitisowej. Lozoraitis nie wrócił jeszcze do Kowna z podróży na koronację króla angielskiego Jerzego VI. Z Londynu po uroczystościach koronacyjnych, w których brał udział w towarzystwie szefa sztabu generalnego litewskiego Raštikisa, zajechał jeszcze do Paryża. Herbatka u p. Lozoraitisowej była urządzona w ogródku gmachu Gabinetu Ministrów pod pięknymi brzozami płaczącymi i wśród klombów. Było na niej kilkadziesiąt osób zwykłej śmietanki towarzyskiej, pięknych pań, dygnitarzy, dyplomatów zagranicznych itd. Pan Rion był rozchwytywany i był lwem towarzyskim. Łatwość ma towarzyską ogromną.

21 maja, rok 11937, piątek

Kontynuuję relację wizyty gości francuskich. Pozawczoraj, to znaczy pierwszego dnia wizyty i po śniadaniu w poselstwie francuskim i herbatce u p. Lozoraitisowej, mieliśmy jeszcze wieczorem w restauracji „Metropol” w gabinecie „Trzech Książąt” obiad Towarzystwa Litewsko-Francuskiego na cześć gości francuskich. Formalnie nazywało się, że to ja ten obiad wydaję jako prezes tego towarzystwa, faktycznie zaś obiad był urządzony, dysponowany i opłacony przez Ministerium Spraw Zagranicznych z funduszów reprezentacyjnych. Ja byłem gospodarzem obiadu, gospodynią była kochana panna Avietinaitė, dusza i sprężyna służby reprezentacyjnej i łącznikowej Ministerium Spraw Zagranicznych w stosunkach towarzyskich ze wszelkimi przyjaciółmi i gośćmi zagranicznymi, sprężyna, zawsze niezmiernie miła, propagandystka niezrównana, specjalistka swego fachu idealna. Pań było tylko trzy: Avietinaitė, p. Raulinaitisowa z Towarzystwa Litewsko-Francuskiego i p. Baltrušaitisowa młoda, Francuska rodowita, ale już patriotka litewska, przystojna, bardzo dystyngowana i miła, osoba z kół wysokiej kultury, pasierbica prof. Focillona. Z mężczyzn byłem ja jako gospodarz obiadu, skarbnik towarzystwa adwokat Raulinaitis, lektor języka francuskiego, wielce przez studentów, a jeszcze bardziej przez studentki ceniony Schmitlein, docent Baltrušaitis, pułkownik Lesiecki, dwóch ceremonialnych urzędników służby protokołu Ministerium Spraw Zagranicznych – Kajecki i Łancewicz i bodaj że wszystko, wreszcie gość paryski – poseł Rion. Drugi gość, deputowany baron de Grandmaison, jeszcze nie był przyjechał. Ze stanowiska tego, co uchodzi za wysoką śmietankę towarzystwa litewskiego, skład osobisty uczestników tego obiadu był dość skromny – żadnych ministrów, potentatów, dam modnych wielkiego świata. Nawet poseł francuski p. Dulong z żoną nie uważali za konieczne przyjść. Z ramienia poselstwa był tylko sekretarz p. de Neyzac. P. Rion emablował Avietinaitė, ale też improwizował na temat swojej wiary w wartość szczególną Litwy i w jej wielkie przeznaczenie. W toku obiadu przyszła wiadomość, że baron de Grandmaison już przyjechał, przebierze się we frak i przyjdzie do nas. Wobec tego z przemówieniem moim zaczekałem na jego przyjście. De Grandmaison jest młodszy od Riona, należy w Izbie Deputowanych do prawicy, a więc do opozycji.

Dalszy ciąg do jutra.

22 maja, rok 1937, sobota

Skończyła się moja służba trzydniowa francuska, a jednocześnie dziś wróciła z Bohdaniszek Jadźka.

Ale o tej służbie francuskiej mam jeszcze do pisania. Cofam się aż do środy, pierwszego dnia wizyty gości francuskich – deputowanych pp. Riona i de Grandmaison. Mówiłem o obiedzie we środę wieczorem, obiedzie męczeńskim w upał duszny we frakach w gabinecie restauracyjnym. Pomimo tej męki fizycznej usposobienie na obiedzie było przyjemne. Po przybyciu p. de Grandmaison, który dopiero co przyjechał do Kowna i wprost z dworca przebrał się we frak i stawił się na obiad, któryśmy już kończyli, wypowiedziałem po francusku mowę powitalną do obu tych panów; mowa była starannie ułożona i udało mi się ją dobrze wypowiedzieć. Wyraziłem w niej

znaczenie ciągłych odruchów wolności w dobie niewoli naszego kraju, zaznaczyłem stały kontakt tych odruchów z wielkim ruchem politycznym i ideowym we Francji, oddałem hołd narodowi francuskiemu i zwróciłem się do gości naszych serdecznie. Obaj mi odpowiedzieli. De Grandmaison podkreślał katolicki charakter Litwy, nawiązywał analogie między Litwą a Lotaryngią, symbolicznie się wyrażające o krzyżu dwuramiennym w herbie Lotaryngii francuskiej i herbie Litwy, wreszcie analizował swoje uczucia rodzinne w ziemi, w której przed przeszło 100 lat był w szeregach Wielkiej Armii Napoleona jego przodek bohaterski. Po nim przemawiał Rion; przemawiał siedząc, po gawędziarsku, długo. Ładnie przemawiał, nawiązując do głębokiego humanizmu francuskiego, o którym w mowie mojej mówiłem. Stwierdzał, że istotą humanizmu jest uznanie bezwzględnej wartości człowieka, jego godności i wolności; mówił o Europie, wspólnej ojczyźnie naszej, która może się stać organizacją jedynie ludzi i narodów wolnych, nie zaś przeklętą organizacją gwałtu i panowania jednych nad innymi; mówił też o swej wierze w powołanie Litwy do przeznaczeń wielkich... Po obiedzie, który trwał trzy godziny, przeszliśmy wszyscy do ogólnej sali restauracyjnej, gdzie nam podano kawę i owoce i gdzie na rozmowie przy muzyce i przy popisach tancerek spędziliśmy jeszcze ze dwie godziny.

Nazajutrz we czwartek zaproszony byłem na śniadanie do pp. Tubelisów w ich pięknym domu-willi na skraju Zielonej Góry, dominującym Dolinę Kowieńską z prześlicznym widokiem na miasto, na Niemen, na wzgórze Aleksoty i Fredy... Było to śniadanie na ± 15 osób na rzecz pp. Riona i de Grandmaison. Było paru ministrów z żonami, poseł Dulong z żoną, jeszcze kilka osób (Urbšys w zastępstwie nieobecnego ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa)... P. Tubelisowa zaabsorbowała p. Riona i gorąco go kokietowała. U tej wcale pięknej Tatarki oczy się iskrzą ogniem drapieżnym, gdy flirtuje z mężczyznami, którzy na nią działają widocznie.

23 maja, rok 1937, niedziela

Dziś w Kownie wielki dzień wojskowości: urządzany tradycyjnie corocznie tzw. dzień zbliżenia wojska i społeczeństwa. Miasto ozdobione flagami narodowymi, w ogródku Muzeum Wojennego uroczystość stosowna, pochód przez miasto, orkiestry wojskowe, przemarsze oddziałów wojska, przemówienia, rozgłaszane po całym mieście przez wielkie głośniki, parada wojenna na aerodromie, w różnych instytucjach i stowarzyszeniach posiedzenia uroczyste z przemówieniami, poświęconymi wojskowości i oddającymi hołd wojsku. Wczoraj, w przeddzień dnia wojskowości, odbyło się, jak zawsze, wielkie zebranie młodzieży akademickiej z udziałem przedstawicieli wojskowości, na którym co roku bywałem i wygłaszałem odpowiednie przemówienie, ale w tym roku, zmęczony uroczystościami francuskimi dni poprzednich, nie poszedłem, jeno wystosowałem pozdrowienie na piśmie, a na samym posiedzeniu zastąpili mię prorektorzy Purėnas i Jodelė. Nie brałem też udziału w uroczystościach dzisiejszych. Wypoczywałem. Rano o godzinie siódmej pojechałem automobilem z Diskinem, Jadzią, Renią i Andrzejem do Szaszewicz do Stefana Römera, u którego zabawiliśmy parę godzin, zakąsiliśmy, trynknęliśmy, odbyliśmy spacerek do pięknego wąwozu pobliskiego i wróciliśmy na południe do Kowna. Więcej tego dnia z domu nie wychodziłem, na obiedzie zaś był Diskin.

Cofam się do czwartku do uroczystości francuskich. Tego dnia o godzinie piątej było „clou” uroczystości – akt otwarcia Wystawy Napoleońskiej w salach gmachu Muzeum Witolda Wielkiego. Goście byli za zaproszeniami – był Prezydent Rzeczypospolitej, ministrowie, wysocy dostojnicy, najwyższa generalicja wojskowa, korpus dyplomatyczny zagraniczny, śmietanka towarzyska, zarząd Towarzystwa Litewsko-Francuskiego, kwiat literatury i nauki, dziennikarze... no i naturalnie nasi goście francuscy z Paryża, pp. Rion i de Grandmaison, wszędzie wyróżniani, przyjmowani, obwożeni, na rękach noszeni. Ogółem na otwarciu wystawy było ze 200 osób. Otwarcie wystawy było translowane przez radio. Pierwszy wygłosił przemówienie po litewsku minister oświaty prof. Tonkunas, do którego właściwości należą sprawy kultury i przeto też Muzeum Witolda Wielkiego. Drugim przemawiał poseł francuski p. Dulong, którego mowa, na ogół bezbarwna, składała się co najmniej w 2/3 częściach z podziękowań różnym osobom i komplementów kurtuazyjnych (poseł

Dulong żyłki krasomówczej nie posiada, w ogóle przemawiać może tylko z rękopisu i orłem nie jest). Po nim przemawiałem ja, także po litewsku, jeno w zakończeniu mowy zwróciłem się do gości z Paryża po francusku. Zdaje mi się, że mowa moja była treściwa i głęboka, ja sam z niej rad byłem, ale zaćmiła ją naturalnie przez osobę mówcy, a także efektownością formy i treści mowa p. Rion, który przemawiał bezpośrednio po mnie.

24 maja, rok 1937, poniedziałek

Cofam się znowu do otwarcia Wystawy Napoleońskiej we czwartek. Ostatni dwaj przemawiali deputowani francuscy pp. Rion i de Grandmaison. Przemówienie Riona było bardzo efektowne i pięknie wypowiedziane. Myśli, które wyraził, były podobne do tych, które dnia poprzedniego zawarł w swoim przemówieniu na obiedzie Towarzystwa Litewsko-Francuskiego. Wszakże nieco je pogłębił, wystylizował i w pewnych elementach bardziej do Litwy zastosował. Mówił mianowicie o kulturze humanistycznej, której cechą i istotą jest uznanie wartości bezwzględnej człowieka, osobnika. Jest to kultura francuska, a do tejże charakterystycznej cywilizacji, a bodaj nawet natury humanistycznej należy Litwa, kraj i naród o wielkiej przeszłości, w którym osobnik ludzki zawsze dużo ważył i który się zaznaczył wybitnymi i silnymi indywidualnościami ludzkimi; Litwa, jak to słusznie Rion podkreślił, wydała znakomitych ludzi czynu, wodzów i książąt, dynastie królewskie, zwłaszcza administratorów pierwszorzędnych, umiejących rządzić; dała ona tych synów swoich innym narodom i krajom, których historii są oni chlubą i którzy stwierdzili niepospolitą siłę indywidualną Litwinów; dała też wielkich poetów, jak Adam Mickiewicz. Naród to niepospolity i nie podrzędny, w którym są ukryte wielkie skarby mocy charakteru i woli. Rion wierzy w przyszłość wielką Litwy, ojczyzny bohaterów. Tym trudniejszy jest zapewne problem rządzenia Litwą. Ustalenie tej równowagi między charakterem indywidualnym i dyscypliną zbiorową – to jest zadanie państwowości litewskiej. Na dwóch dalekich skrajach Europy Francja i Litwa są siostry wspólnej ojczyzny, Europy, która zaiste jest ojczyzną cywilizacji humanistycznej, wspólną dla wszystkich jej ludów. Zrealizowaniu tej ojczyzny europejskiej przeszkodą są tylko prądy drapieżne niektórych jej ludów, ale albo Europa będzie ojczyzną humanizmu i wolnego człowieka, albo jej nie będzie. Oto jest mniej więcej sens ogólny pięknej mowy Riona. Czytał on ją z rękopisu, który ułożył tegoż dnia o szóstej rano, ale czytał żywo, gestykulując i cały w ruchu, jak gdyby improwizował.

Po deputowanym Rionie przemawiał drugi gość paryski, deputowany de Grandmaison. Ten powtarzał także motywy swego przemówienia z obiadu dnia poprzedniego. Mówił znowu o krzyżu Lotaryngii w litewskim herbie Pogoni, o swoich uczuciach pietyzmu rodzinnego do ziemi, na której toczyły się czyny jego bohaterskiego przodka w Wielkiej Armii Napoleona, o dziejach i awansach tegoż przodka – „*aide-de-camp*" Napoleońskiego w kampanii moskiewskiej roku 1812, demonstrował i odczytywał dokumenty autentyczne z tej epoki, wreszcie kończąc swoją mowę ofiarował mnie, jako prezesowi Towarzystwa Litewsko-Francuskiego, podobiznę swego przodka z *facsimile* autografu i nadpisem odpowiednim.

25 maja, rok 1937, wtorek

Dziś zrobię przerwę w mojej relacji o wizycie gości paryskich – deputowanych pp. Riona i de-Grandmaison. Nie mam czasu na dziennik.

Upały ogromne mamy od paru tygodni. Zupełnie jak w najgorętszy czas w lipcu. I susza wielka od dłuższego czasu, która trapi wielce rolników.

26 maja, rok 1937, środa

Będę pisać jeszcze o naszych gościach paryskich z ubiegłego tygodnia. Obecnie już ich nie ma u nas, ale do Francji jeszcze nie wrócili. W tej chwili bawią oni gdzieś między Rygą a Tallinem.

Mowa Riona na otwarciu Wystawy Napoleońskiej w ubiegły czwartek powszechnie się podobała. Słuchano ją przez radio, poza tym była podana przez gazety litewskie w tłumaczeniu. Sama Wystawa Napoleońska niewątpliwie jest ciekawa i starannie urządzona. Są obrazy, sztychy,

pamiątki, akty (dokumenty), mundury. Znaczna część pięknych eksponatów sprowadzona została z Paryża, ze zbiorów wersalskich i z Luwru.

Tegoż dnia we czwartek wieczorem odbył się raut publiczny (za zaproszeniami, ale „*en masse*") w poselstwie francuskim. Nie poszedłem, bo byłem zmęczony. Nazajutrz, w piątek rano, p. Avietinaitė woziła Francuzów łodzią motorową po Niemnie do Sapieżyszek i z powrotem do Poniemunia, gdzie w kurhauzie w parku sosnowym Basanowicza czekał ich ze śniadaniem marszałek Sejmu Šakenis. W ogóle przez te kilka dni pobytu pp. Rion i de Grandmaison, poza przyjęciami i uroczystościami, rankami i nawet nocami byli obwożeni po Kownie i pięknych okolicach kowieńskich. Obwozili ich bądź pani Dulong, bądź p. de Neyzac, bądź panna Avietinaitė. Toteż nie nudzili się wcale, tym bardziej, że są weseli i że temperamentu im nigdy nie brak tak podczas uroczystości, jak na zabawie lub wycieczce wolnej. Zachwyceni też byli Kownem, Litwą, towarzystwem, uprzejmością pań, serdecznością przyjęcia. W depeszy do żony p. Rion pisał: „*Accuceil sublime!*"; wszystko też Francuzów, dzieci rozwiniętej cywilizacji, zajmowało w naszym świeżym kraju. Osobliwością był dla nich na przykład śpiew słowika, którego słuchać woził ich w nocy po długim obiedzie środowym w Metropolu i po balecie kabaretowym p. de Neyzac. We Francji trzeba daleko od Paryża odjechać, aby słowika usłyszeć. Tu u nas można go słuchać pod samym Kownem, a nawet pono w Kownie w zaroślach na półwyspie niemeńskim koło portu zimowego. Wycieczek i *parties de plaisier* mieli tu nasi Paryżanie dużo, a nawet nie na wszystkie starczyło czasu. Wycieczka z p. de Neyzac pod linią administracyjną do Mereczanki na pstrągi i do jezior litewskich nie doszła do skutku, nie doszła też do skutku wycieczka z prezydentem pod Ucianę na oglądanie gospodarstw włościańskich wzorowych.

27 maja, rok 1937, czwartek

Dziś święto Bożego Ciała. Wielka procesja religijna na ulicach miasta. Nie oglądałem jej. W obecnych czasach jest ona wielką uroczystością tylko dla klerykalnych mas ludowych, zwłaszcza dla służących i dewotek, które w niej biorą udział i czują się aktorkami wielkiego teatru publicznego. W ludziach bowiem jest głęboki zmysł aktorski, dla którego niezbędne jest wyładowanie w takich oto ceremoniach masowych. Dla innych kół i środowisk społecznych, jak inteligencja, młodzież akademicka i szkolna, nawet urzędnicy, rzemieślnicy, robotnicy etc. w państwie narodowym niepodległym i w stolicy są niemal codziennie inne okazje manifestacji ulicznego i masowego zmysłu teatralnego, czyli igrzysk: różne święta i obchody narodowe, święta awiacji, wojskowości, matki, sportowe, skautowskie i inne, nawet święto policji, strażaków etc., nie licząc przeróżnych zebrań, jubileuszów, rocznic, wieców propagandowych itp., które o wiele więcej dają jaskrawości i podniety uczuć zmysłu aktorskiego, niż stare ceremonie religijne. Te dziś stały się udziałem tych rzesz upośledzonych, które do innych ceremonii i igrzysk nie są dopuszczane i nie zostały do nich wciągnięte. O ileż inną barwę i wagę miały te procesje Bożego Ciała u nas przed laty trzydziestu w dobie niewoli, kiedy inne obchody publiczne były zabronione i kiedy po roku 1905, po długim okresie głębokiego prześladowania religijnego, te procesje publiczne zostały wznowione. Wtedy tkwił w nich pierwiastek emancypacji, były one żywym symbolem zwycięstwa nad niewolą, wytężenia sił do wszelkiej wolności, były one, słowem, i narodowe, i społeczne w zakresie wszelkich spraw publicznych. Dziś są li tylko religijne i nie budzą tego entuzjazmu ogólnego.

Byłem z Jadzią w Poniemuniu przed obiadem. Upał chyba jeszcze większy niż dotąd. Aż wreszcie na wieczór zachmurzyło się i po szalonym wichrze, po którym zdawało się, że wybuchnie burza, nastąpił deszcz ciepły na noc całą.

Miałem o godzinie piątej zebranie na uniwersytecie, na które miałem nieostrożność przyrzec się udać. Był to akt „zamknięcia" tzw. „semestru studiów" w zakresie „Litwinów za granicą". Po co było to uroczyste „zamknięcie" potrzebne – nie bardzo rozumiem. W upał duszny zgromadzono się w sali uniwersytetu i tam się posypały mowy. Niedługie były wprawdzie, ale było ich dużo. Naturalnie, że publiczności, to znaczy młodzieży akademickiej, było na zebraniu bardzo mało, bo kto żyw – był wyjechał na wycieczkę za miasto. Musiałem przemawiać i ja naturalnie. Trwało to aż dwie

godziny ku wielkiemu zgorszeniu mojemu. Przemawiał Pakštas, Kołupajło, Skipitis, Jodelė, były konsul litewski w Brazylii Mačiulis, Amerykanin Zdankus.

28 maja, rok 1937, piątek

Już by trzeba było skończyć z tą przydługą relacją wizyty Francuzów w ubiegłym tygodniu. Bo już to nawet przebrzmiało. Toteż skończę już dzisiaj.

W piątek ubiegły – na trzeci dzień wizyty pp. Riona i de Grandmaison – spotkałem się z nimi jeszcze dwa razy. Na śniadaniu, które im wyprawił marszałek Sejmu Šakenis, nie byłem, ale o godzinie piątej wziąłem udział w herbatce, którą dla nich w swoim lokalu urządziło Towarzystwo Litewsko-Francuskie. Na herbatce, jak zawsze w tym towarzystwie, dużo był pań i w ogóle członków zwyczajnych towarzystwa. Goście paryscy, a zwłaszcza p. Rion, byli tu, jak zresztą przez cały czas ich wizyty i przyjęć, tak rozchwytywani i sami się tak temperamentem swym udzielali na wszystkie strony, że sztuką było zamienić z nimi kilka słów. Po herbatce Towarzystwa Litewsko-Francuskiego towarzyszyłem tym panom wraz z posłem Dulong, de Neyzaciem, Schmitleinem, prof. Pakštasem, urzędnikiem Ppotokołu Lancewiczem i kilku innymi osobami na uroczystość spuszczanie sztandarów w Muzeum Wojennym. Honory gospodarza czynił generał Nagiewicz. Ta piękna i wzruszająca uroczystość ceremonialna, podczas której goście złożyli wieniec na Grób Nieznanego Żołnierza i Rion wypowiedział kilka słów przemówienia, sprawiła na nich wrażenie bardzo wielkie. Wychodzili oni stamtąd żegnani okrzykami zebranej na uroczystości młodzieży szkolnej. Stamtąd, po szybkim przebraniu się we fraki w domu, pośpieszyliśmy znów na obiad do Metropolu, ofiarowany tym razem przez gości nam. Była p. Tubelisowa, kilku ministrów z żonami, marszałek Sejmu Šakenis, kilku oficerów, kilka osób z Ministerium Spraw Zagranicznych, z Towarzystwa Litewsko-Francuskiego itd., ogółem do 30 osób. Obiad był dość krótki, bo wprost z obiadu Rion i Grandmaison we frakach, jak stali, odjechali na dworzec kolejowy – do Kłajpedy, gdzie zabawili całą sobotę. W niedzielę znowu byli w Kownie, obwożeni po uroczystościach dnia wojskowości. Wieczorem w niedzielę odjechali do Rygi, odprowadzeni na dworzec kolejowy przez grono osób (w tej liczbie i ja byłem). Na tym się wizyta skończyła. Ciekawa rzecz, jakich doznają wrażeń w Łotwie i Estonii. U nas przypuszczają, że Łotyszy i Estończycy nie umieją tak serdecznie przyjmować jak Litwini i że przeto goście wywożą najlepsze wrażenie z Litwy. Może po powrocie do Paryża zamanifestują gdzieś oni swoje wrażenia z tej swojej wycieczki bałtyckiej.

29 maja, rok 1937, sobota

Oto już rok akademicki 1936-1937 dobiega końca. Za parę tygodni rozpoczną się wakacje. Mój plan wakacji jest następujący: na razie koło 15 czerwca wyjadę na kilka dni do Bohdaniszek. Tymczasem Jadzia zostanie jeszcze w Kownie, gdzie Renia będzie zdawała egzaminy do gimnazjum „Aušry". W Bohdaniszkach chciałbym w tym czasie odbyć zjazd arbitrów w sprawie spadku po Marynce. Ewa już przysłała na moje ręce upoważnienie dla Eugeniusza Römera jako arbitra z jej ramienia. Ale Marysia Stefanowa i Justyn Budkiewicz jeszcze mi swoich arbitrów nie zakomunikowali. A dopiero trzeba będzie wybrać superarbitra. Ponieważ to jest akcja rodzinno-ziemiańska, więc zdaje mi się, że na superarbitra ze sfer ziemiańskich najlepszym byłby p. Władysław Bichniewicz z Poniemuńka. Jego też zamierzam arbitrom zaproponować. Ale wątpię już, czy do 15 czerwca wszystko będzie gotowe. Koło 20-22 czerwca chcę wyjechać z Jadzią wprost z Bohdaniszek za granicę. Pojedziemy wpierw do Nauheim, ale tylko dla porady lekarskiej. Kuracji tam odbywać nie zamierzam. Stamtąd chcę odbyć krótką tygodniową wycieczkę po Szwajcarii i koło 5 lipca być w Paryżu. Tam mam dwa kongresy, którym jednak zbytnio udzielać się nie zamierzam (kongres Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej, na którym mam mieć referat, i kongres „Alliance Francaise"). Chcę swobodnie używać Paryża. Na 15 lipca chcę już wrócić do Bohdaniszek. Wtedy też przyjedzie do Bohdaniszek na wakacje myśliwskie Gudowicz. W Bohdaniszkach zabawię do 15 sierpnia. Od 15 sierpnia muszę już być w Kownie na stanowisku rektorskim, ale w pierwszych dniach września będę miał jeszcze koło 10 dni na Bohdaniszki.

Poseł francuski Dulong doręczył mi od „Alliance Francaise” upominek – medal brązowy, na którego jednej stronie scena ze szkoły, na drugiej księga otwarta, w której wyrzeźbiono: „Recteur Roemeris. Kaunas. 1937”. Jest to upominek wdzięczności za moje zabiegi w przedmiocie przyjęcia gości paryskich z okazji otwarcia Wystawy Napoleońskiej.

30 maja, rok 1937, niedziela

Przed kilku dniami przyjechała do Kowna pierwsza wycieczka studentów szwedzkich w liczbie kilkunastu osób, w tej liczbie cztery studentki. Wycieczka jest zorganizowana przez sekcję bałtycką szwedzkiej organizacji młodzieży akademickiej w Sztokholmie „Nordiska Studentenvereningen”. Sekcja ta, założona w ubiegłym roku akademickim przez młodego aspiranta do doktoratu, Adlersa, który przed rokiem przyjeżdżał do Kowna, Rygi i Tartu i jest wielkim entuzjastą zbliżenia szwedzko-bałtyckiego, jest bardzo ruchliwa. Z jej to inicjatywy odbyły się w tym roku w marcu kursy socjoekonomiczne w Sztokholmie dla grupy studentów z Litwy, Łotwy i Estonii. Z wycieczką tą przyjechał znowu prezes sekcji bałtyckiej Adlers, paru innych członków zarządu sekcji, młody filolog Sandberg, który reflektuje na stanowisko lektora języka szwedzkiego u nas na miejsce Falka, który na rok jeden opuszcza to stanowisko dla uzupełnienia swoich studiów w Uppsali, i kilku jeszcze studentów i studentek Szwedów i Szwedek. Wycieczka była przez te dni kilka podejmowana serdecznie przez naszą młodzież litewską. Były herbatki, śniadania, obiady, wieczorki, zebrania towarzyskie, ekskursje, odczyt Wacława Sidzikowskiego o rozwoju gospodarczym Litwy, a dziś wieczorem – kolacja pożegnalna w lokalu „Pažangi”, albowiem jutro wycieczka szwedzka, po zabawieniu jednego dnia w Kłajpedzie i kilku dni w Kownie, udaje się dalej – do Rygi. Na kolację pożegnalną byłem też ja zaproszony, był poseł szwedzki Westring z żoną, kilka osób z kolonii lokalnej szwedzkiej, z Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego, Wacław Sidzikowski, lektor Falke, uczestnicy wycieczki szwedzkiej i spore grono młodzieży litewskiej z ramienia różnych stowarzyszeń i korporacji, a przede wszystkim z sekcji szwedzkiej Akademickiego Związku Bałtyckiego z prezesem tejże studentem Sabalisem na czele. Kolacja, na którą zapomogi udzieliło Ministerium Spraw Zagranicznych na moją interwencję, była skromna, ale humory dopisywały i usposobienie było serdeczne. Przemawiał Sabalis po litewsku i szwedzku, ja po francusku, Adlers, Falk, Sidzikowski, prezes chóru akademickiego Ingaunis, śpiewano pieśni litewskie i szwedzkie, rozmawiano. Bardzo mili są ludzie Szwedzi. Nie sztywni bynajmniej, gdy się rozochocą, kulturalni, serdeczni, ludzcy. Adlers ofiarował mi ładne propagandowe wydawnictwo widoków szwedzkich, innym też darował różne książki w upominku od sekcji. Przyjemnie upłynął ten wieczór.

Stosunki nasze ze Szwedami są coraz bardziej ożywione. Ujawniać się też w nich zaczyna moment polityczny. Za kilka dni przyjeżdża do Litwy, Łotwy i Estonii szwedzki minister spraw zagranicznych.

31 maja, rok 1937, poniedziałek

Wykłady już kończę. Przed paru tygodniami zakończyłem już wykłady prawa konstytucyjnego litewskiego, dziś zakończyłem wykłady prawa konstytucyjnego części ogólnej prawnikom II semestru, we czwartek zakończę ekonomistom. Zostaje mi jeszcze sporo colloquiów, które muszę pędzić forsownie co dzień grupami po 10 studentów w mieszkaniu. Tego wystarczy do końca semestru. Kampania egzaminowa zapowiada się na lato gorąca: od połowa lipca do połowy września, wpierw w Bohdaniszkach, potem w Kownie, będę miał trzy razy tygodniowo po 5 studentów do egzaminu. Te egzaminy w Bohdaniszkach dosyć nawet lubię; lubią je i studenci. Jest to też żniwo dla furmanów abelskich. A Bohdaniszki stają się popularne w młodym pokoleniu inteligencji litewskiej.

W tych dniach Wacław Studnicki z Wilna przysłał mi odpis wyroku sądu kościelnego (konsystorza) ewangelicko-reformowanego z roku 1932 w sprawie rozwodowej między mną a Reginą. Mam więc akt rozwodu, ale kto wie, czy uda mi się prawnie zeń skorzystać bez zmiany wyznania, czego bym chciał uniknąć. Zdecydowany jestem uprawnić formalnie mój związek z Jadzią przez małżeństwo legalne, aby dać Jadzi imię i stanowisko, co się jej należy uczciwie, a może nawet

doczekać się jeszcze... syna w małżeństwie. Chciałbym to osiągnąć przez małżeństwo cywilne w Kraju Kłajpedzkim. Nie jestem jednak pewny, czy ten rozwód kalwiński będzie skuteczny do tego. Będę się dowiadywał.

1 czerwca, rok 1937, czwartek

W tych dniach, gdym był w Ministerium Spraw Zagranicznych u dyrektora departamentu Bizonowskiego, który zastępuje nieobecnego wiceministra Urbšysa, do którego miałem interes w sprawie udzielenia zapomogi studentom na przyjęcie wycieczki studenckiej szwedzkiej, otrzymałem propozycję przyjęcia nominacji do Komisji Pojednawczej Litewsko-Duńskiej. Od wielu lat jest członkiem z ramienia Litwy takiejże Komisji Litewsko-Szwedzkiej, która jednak nigdy dotąd nie zasiadała. Co do Komisji Litewsko-Duńskiej, to przewiduje się jednak jej zwołanie tej jesieni, bo wypłynął pewien konflikt w sprawie rozrachunku jakichś wypłat (chodzi o interpretację tzw. klauzuli złotej, czy należy wypłatę ustalić w dolarach pełnego kursu złotego, czy też w dolarach zdewaluowanych kursu obecnego). Zgodziłem się. Zadanie może być niełatwe, ale praca dość ciekawa, a może wypadnie odbyć posiedzenie za granicą, to się przejadę, co zawsze lubię bardzo. Prezesem Komisji tej jest Holender, członków zaś ma dwóch – Duńczyka i Litwina.

2 czerwca, rok 1937, środa

Od dawna nie mam listu od Celiny, córki mojej. Na jej list grudniowy, długi i zawierający bodajże pierwszą, trochę egzaltowaną spowiedź jej uczuć, który otrzymałem dopiero w lutym czy marcu, odpisałem jej, ale odtąd nowego listu od niej nie otrzymałem. Napiszę do niej znowu. Korespondencja nasza jest albo zdawkowa, zwłaszcza z jej strony, albo nierówna. Nie nawiązał się, niestety, między nami stosunek serdeczny i szczery, jakiego bym pragnął. Mam przekonanie, że jest to sprawa panny Elizy Courtôt, która, zdaje się, wciąż mieszka z Celiną i jest dla niej całą jej rodziną. Nie winię już panny Courtôt; być może, jak mi to Celina nieraz w listach starała się dać do zrozumienia, panna Courtôt wcale się nie stara odciągnąć Celinę od rodziny i ode mnie, może nawet ją skłania do uległości. Ale ona posiada jej duszę, ona nią kieruje, ona nią dysponuje, jak dysponowała niegdyś jej matką. I Celinie to wystarcza. Nie ma ona potrzeby ani matki, ani ojca.

Teraz oddaję Celinie cały kapitalik, osiągnięty ze sprzedaży kamienicy wileńskiej – 20 tysięcy złotych. Nie oddaję jej do rąk kapitału, który oddam dopiero przy jej zamążpójściu albo po mojej śmierci, ale wszystkie dochody z tego kapitału będą należały do niej. Oddać jej do rąk tego kapitaliku nie odważam się, bo może go stracić; może ją wyłudzić od niej matka lub panna Courtôt.

Mam córkę i nie mam córki. Taki mój los. W przyszłym roku latem chcę jechać do Polski. Będę w Warszawie i postaram się zbliżyć do Celiny. Tylko że ja nie należę do tych, którzy się łatwo zbliżają do ludzi. A zdaje mi się, że i Celina tej łatwości nie ma.

Chciałbym, żeby ona wyszła za mąż. Kończy już 27 rok. Małżeństwo, gdyby trafiła na mężczyznę dzielnego, wyrwałoby ją z tego zaścianka czy trójkąta, w którego ciasnych i kto wie, czy nie histerycznych ramach rosła i dojrzewała. Zresztą bardzo mało ją znam i nie mam pojęcia o sferze jej życia, stosunków osobistych i ukochań społecznych, które chyba ma.

3 czerwca, rok 1937, czwartek

Nie tylko ja, ale i Jadzia ma już paszport do wyjazdu za granicę prawie gotowy. Ja mam mój stały paszport dyplomatyczny z wizami dyplomatycznymi – wyjazdową wielokrotną litewską na termin roczny do 31.V.1938 i wizami takimiż niemiecką, francuską i belgijską. Jadzia ma paszport zagraniczny i ma już wizy litewską, niemiecką i francuską; brak jej tylko jeszcze belgijskiej. Tym razem z paszportem i wizami Jadzi idzie łatwo. Wystawa paryska daje cel wyraźny wszelkim podróżom.

Cieszę się na tę podróż. Najmniej mię nęci Neuheim, w którym zresztą zabawię króciutko tylko dla porady lekarskiej, ale kuracji odbywać nie zamierzam. Dużo przyjemności spodziewam się po wycieczce szwajcarskiej. Jazda po Szwajcarii będzie kosztowała minimalnie. Lektor Studerus

wystarał się dla mnie i Jadzi o specjalne bilety wycieczkowe. Taki bilet na dni 15 kosztuje na lity 90 litów i daje prawo jazdy przez cały czas wszystkimi pociągami, parostatkami po jeziorach i nawet autobusami. W wycieczce tej zaczepię też fragment Włoch.

4 czerwca, rok 1937, piątek

Jeszcze tylko tydzień i koniec roku akademickiego: wyjazd na krótko do Bohdaniszek i następnie podróż – moja namiętność, do której zawsze tęsknię i o której marzę. Bohdaniszki i podróż – to są dwie rozkosze moje. Obie mieć będę, bo po podróży przyjdzie cały miesiąc w Bohdaniszkach.

Zjazd dzielczy w spadku po śp. Maryńce odroczymy zapewne do lipca. Trudno już będzie bowiem zwołać arbitrów, gdyż jeszcze i superarbiter nie uproszony (ja go już upatrzyłem w osobie Władysława Bichniewicza z Poniemuńka, ale jeszcze nie otrzymałem zgody od arbitrów Stefanostwa i Budkiewicza, to znaczy od Jana Narbuta i Elwiry); co zaś najważniejsze, że akurat w tym czasie, kiedy mógłby się odbyć zjazd arbitrów, Stenia przyjedzie tu do Kowna na egzaminy w gimnazjum polskim, a więc i Marysia Stefanowa musi jej towarzyszyć; bez Marysi zaś robić zjazdu dzielczego nie warto. Wypadnie go więc do lipca odroczyć, to znaczy do mojego powrotu zagranicznego.

5 czerwca, rok 1937, sobota

Nie mam czasu na dziennik.

6 czerwca, rok 1937, niedziela

Bawi w Kownie wybitny gość szwedzki – minister spraw zagranicznych Sandler. Napiszę o tej wizycie, o ile się z nią zetknąłem, jutro.

7 czerwca, rok 1937, poniedziałek

Wizyta szwedzkiego ministra spraw zagranicznych, socjalnego demokraty Sandlera, nie jest oczywiście wizytą akademicką, więc męczącą jest nie dla mnie, jeno dla dyplomatów litewskich i polityków oraz dla kół kierowniczych Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego z prof. Pakštasem na czele. Jednak i mnie wypadło dwa wieczory z kolei poświęcić tej wizycie. Wczoraj byłem zaproszony na wielki raut u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa, dzisiaj byłem zaproszony na obiad uroczysty u posła szwedzkiego Westringa, po którym byłem na balu Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego w sali Karininkų Ramovė. Wszędzie trzeba było być we fraku z orderami, co latem nie należy bynajmniej do rzeczy przyjemnych. Szwedzi ordery cenią i są tradycjonaliści, przywiązani do form towarzyskich i do ceremonii nie mniej, niż Anglicy. A choć rządy w Szwecji są od szeregu lat po wojnie w rękach socjaldemokratów, to jednak ten socjalizm szwedzki, na wskroś reformistyczny i nie rewolucyjny, godzi się doskonale nie tylko z monarchią tradycyjną, ale także z takimi instytucjami społecznymi starego porządku, jak szlachectwo, tytuły i ordery. Prawda, że sam minister Sandler, jako socjalny demokrata, osobiście orderów dla siebie nie uznaje, nie przyjmuje ich i nie nosi, ale otoczenie ministra, np. wiceminister i dyplomata fachowy p. Günter, który mu towarzyszy w tej podróży do Bałtyki, nosi ordery, i poza tym ceremoniał szwedzki od wszystkich innych wymaga, aby ordery w tych uroczystościach kontaktu z ministrem szwedzkim nosili. Na uroczystościach w poselstwie sowieckim np. lub w razie wizyty gości sowieckich nigdy się orderów nie żąda i zawsze się zastrzega zupełne „*désintéressement*" co do prezentowania się nie tylko w orderach, ale nawet we fraku. Tymczasem tu już samo poselstwo szwedzkie z góry powiadomiło wszystkich zaproszonych na obiad, aby przyszli w orderach. Nasza też służba protokołu w Ministerium Spraw Zagranicznych, amatorka wszelkiego ceremoniału, skwapliwie zastrzegła konieczność paradowania w całym rynsztunku orderów. W tych warunkach ukazywanie się ministra Sandlera osobiście bez orderów jest tylko rodzajem kokieterii socjalizmu salonowego.

W każdym razie, przyjazd szwedzkiego ministra spraw zagranicznych do Litwy i krajów bałtyckich jest u nas ewenementem wielkiej wagi. Litwa, zwłaszcza ze względu na swój zatarg z Polską, który ją czynił w dyplomacji światowej poniekąd trefną (w ostatnich leciech to się nieco

zmieniło), a przynajmniej jeżeli nie trefną, to ekscentryczną i narażającą gości na pewną kompromitację angażowania się antypolskiego, żadnych głów koronowanych w gościnie u siebie nie miała, a już minister spraw zagranicznych państwa mocno ustalonego, jak Szwecja – to dla Litwy wizyta doniosłości pierwszorzędnej.

8 czerwca, rok 1937, wtorek

Po szwedzkim ministrze socjaliście Sandlerze – Anglik konserwatysta lord Plymouth. Miałem zaproszenie na wieczór u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa na cześć lorda Plymoutha, ale już nie poszedłem, bo się czułem zmęczony dwoma poprzednimi wieczorami na rzecz Sandlera.

Wybitni goście zagraniczni częściej obecnie nawiedzają Litwę i kraje bałtyckie. Świadczy to niewątpliwie o coraz większym uobywatelnieniu tych młodych niewielkich państw narodowych w tej części Europy, które na razie były ignorowane lub lekceważone, jako *quantite negligeable*, z którą nie wiadomo co robić i nie warto się liczyć jako z pewnego rodzaju produktem szumowin w tej dzielnicy między Niemcami a Rosją. Jednak czas robi swoje, a jeszcze więcej robi ten fakt, że jednak te młode państewka, które uchodziły za dziwacznych parweniuszy, nie tylko zdołały się ostać, ale ujawniły także zmysł organizacyjny nie gorszy od innych. Nawiązanie związku bałtyckiego tych trzech republik także ich walory podniosło, co się już ujawniło w wyborze Łotwy do Rady Ligi Narodów. Im więcej Europa poznaje kraje bałtyckie, tym więcej zdobywają one szacunku i utrwalają się w swoim stanowisku państwowym w społeczności międzynarodowej. Europa powoli dokonywa ich „odkrycia", jak niegdyś Kolumb odkrył Amerykę. Każdy nowy gość odjeżdża zdziwiony i ujęty po przekonaniu się, że jest coś więcej jednak, niż się spodziewał. A sytuacja geograficzna młodej Bałtyki narodowej na odcinku mocno zaawansowanym i eksponowanym wśród przecinających się wzajemnie wpływów i ambicji grubych ryb sąsiednich podnosi zainteresowanie się nie tylko bliskich, ale i odleglejszych państw w Europie.

Szwedzi szczególnie się interesują nami. Ich zainteresowanie się jest może mniej spekulacyjne, bardziej stateczne. Anglia dopiero studiuje, bada, sama zachowuje się dotąd biernie. Francja, której polityka na wschodzie europejskim jest zawsze czynniejsza i która poza tym szczególne ma dla nas atrakcje przez swoje promieniowanie ideowe, bardzo serdecznie do nas się zaczyna ustosunkowywać.

9 czerwca, rok 1937, środa

Przed wyjazdem, jak zawsze, czasu mam mało. Różne zajęcia, różne wykończenia zbiegają się i wymagają śpiesznego załatwienia. A upał szalony, który się wznowił, męczy.

Dziś miałem *entre autres* jeszcze jedną ceremonię, bodaj ostatnią – otwarcie nowego gmachu laboratoriów Wydziału Technicznego na Aleksocie na Placu Uniwersyteckim pod aerodromem. Pierwotnie miało być poświęcenie religijne budynku i lokalu, ale potem pod wpływem opozycji innych dziekanów zaniechano ceremonii religijnej. Zebrało się grono gości i profesury Wydziału Technicznego. Prof. Šimalunas referował o budowie gmachu, następnie oglądano lokale i maszyny, po czym odbyła się herbatka z przemówieniami dziekana Grynkiewicza, ministra Tonkunasa, moim, prezesa Sejmu Šakenisa, ministra wojny Dirmantasa, sekretarza Wwdziału Moszyńskiego, przedstawiciela studentów techników itd. Ten nowy gmach laboratoriów Wydziału Technicznego, niezbyt duży, ale wygodny i dający możność obsłużenia kilku katedr, nie zaspakaja jeszcze wszystkich wymagań wydziału, ale bądź co bądź stanowi poważny krok naprzód. Jest tam duża kolekcja maszyn, częściowo nowych, ale zwłaszcza zebranych po różnych instytucjach i zakładach wojennych i Ministerium Komunikacji, gdzie leżały one bez celu i bez użytku, nieraz zdemontowane i przeznaczone na szmelc. Tu zostały one zmontowane, odrestaurowane i wiele z nich stanowią bardzo ciekawe i użyteczne okazy. W ogóle dużo widać staranności i umiejętności w urządzeniu tych laboratoriów.

10 czerwca, rok 1937, czwartek

Odbyło się ostatnie przed wakacjami posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego i ostatnie posiedzenie senatu akademickiego. W moich wykładach w roku przyszłym zajdą małe zmiany: ekonomistom wykładać zacznę nowy kurs połączonego prawa konstytucyjnego i administracyjnego, do którego wejdzie także szkicowo prawo konstytucyjne litewskie; specjalnego kursu prawa konstytucyjnego litewskiego w roku przyszłym wykładać nie będę; kurs ten pozostaje wprawdzie nadal dla prawników, ale w roku przyszłym nie będzie wykładany, a wznowię go dopiero w roku pozaprzyszłym dla dwóch semestrów naraz. W ogóle kurs prawa konstytucyjnego litewskiego, który dotychczas doprowadziłem do konstytucji r. 1928, po wykończeniu go (w to wejdzie konstytucja roku 1928, a zapewne i nowa konstytucja, która się obecnie opracowuje i która będzie konstytucją roku 1937 czy 1938) zamierzam po paru leciech przekazać któremuś z moich asystentów – Raczkowskiemu lub Mackusowi (być może, że Raczkowski wymknie się z rąk moich, o ile mu się uda otrzymać stypendium Rockefellera na studia prawa międzynarodowego cywilnego).

Na posiedzeniu Rady Wydziału zakwalifikowaliśmy też dwie prace studenckie konkursowe na temat sytuacji prawnej kościołów i związków wyznaniowych w Republice Litewskiej. Są to prace studentów Antoniego Żuka i Jana Łobanowskiego, obie bardzo dobre, z których wszakże druga – Żuka – została, głównie na interwencję Raczkowskiego, zakwalifikowana nieco niżej od pracy Łobanowskiego (premium przyznano Łobanowskiemu 400 litów i Żukowi 300 litów). W ogóle wśród studentów naszych nie brak tęgich głów, doskonale się do nauki nadających i pełnych entuzjazmu naukowego.

11 czerwca, rok 1937, piątek

Mam co dzień całą gromadę studentów do colloquium, poza tym miałem dziś egzaminy. Oprócz tego, szereg interesów do załatwienia w domu i na mieście w związku z wyjazdem w niedzielę na wakacje, które obejmują podróż zagraniczną i po niej miesiąc w Bohdaniszkach. Bilety kolejowe do podróży już mam. Z powodu wystawy paryskiej są redukcje znaczne: we Francji 50% redukcji na kolejach, w Niemczech 60%, w Litwie – 35%. Bilety wziąłem z Abel do Berlina i z Berlina do Abel II klasy, z Berlina przez Nauheim do Bazylei, z Bazylei do Paryża i z Paryża przez Liege-Akwizgran-Kolonię do Berlina – III klasy. Kosztuje to ogółem na dwie osoby 462 lity – rekordowo tanio. Na Szwajcarię kupię w Bazylei bilety wycieczkowe osobno.

Projekt statutu uniwersyteckiego został już w Gabinecie Ministrów przedyskutowany i z pewnymi zmianami w zasadzie przyjęty. Przekazany jest do przeredagowania Mašalaitisowi i jego pomocnikowi Żylińskiemu. Ale minister oświaty Tonkunas jeszcze raz zaprojektował cały szereg poprawek detalicznych ze swojej strony. Na żądanie senatu akademickiego jeszcze w grudniu prosiłem Tonkunasa, aby mi pozwolono wziąć udział w posiedzeniu Gabinetu Ministrów przy rozpoznawaniu projektu statutu. Było mi to obiecane i wciąż mówiono, że oto niebawem statut już wpłynie pod obrady Gabinetu i że zostanę powiadomiony i wezwany na posiedzenie dla zakomunikowania moich obserwacji. Tymczasem nie wezwano mnie. Dowiedziałem się o tym posiedzeniu *post factum*, kiedy projekt został już w zasadzie przyjęty, choć jeszcze poddany przeredagowaniu. Tonkunas tłumaczy się, że uważano, iż wpierw sam Gabinet Ministrów chciał się zorientować, a dopiero po zorientowaniu się własnym wysłuchać moich uwag. Dał mi projekt z dopiskami poprawek Gabinetu Ministrów i nowych jego własnych. Ponieważ wyjeżdżam – prosił mię, bym jutro przyszedł do niego i pomówił o tych poprawkach. Skądinąd i Żyliński z Mašalaitisem mają polecenie skomunikowania się ze mną przy redagowaniu poprawek. Mam wrażenie, że na tych porozumiewaniach się moich z Tonkunasem i z redaktorami skończy się cała moja rola i że na żadne posiedzenie Gabinetu Ministrów w tej sprawie nie będę już wezwany. Oczywiście to mniej skuteczne, niż krytyka na posiedzeniu Gabinetu. A zresztą już wyjeżdżam, projekt zaś statutu ma być przekazany Sejmowi na sesji nadzwyczajnej w sierpniu.

12 czerwca, rok 1937, sobota

Szczęśliwy dzień, bo ostatni przed wakacjami letnimi. Wszystko jeszcze na przedzie. A dreszcz oczekiwania, nadzieja, perspektywa przed siebie – są przyjemniejsze od samego spełnienia.

Dzień był upalny, gorąco przeraźliwe, słońce piekło bez wiatru. Suszę mamy w tym roku z wiosny szaloną, którą na pewno skompensują deszcze w okresie sianokosu i żniw. Tymczasem pieczemy się w upale, jak się piekliśmy w maju. Tylko jeden tydzień na przełomie maja i czerwca mieliśmy zimny, ale i wtedy deszczu nie było. Cały dzień dzisiejszy literalnie w pocie czoła.

Miałem dużo zajęcia dzisiaj przed wyjazdem. I na uniwersytecie, i na mieście. Ale już wszystko uporządkowałem, załatwiłem i gotów jestem do wyjazdu, którego już pragnę, jak spragniony podróżny w pustyni – wody.

Byłem u ministra oświaty Tonkunasa. Wyraziłem mu moje obserwacje i zastrzeżenia co do szeregu przepisów i poprawek projektu statutu uniwersytetu. Minister się jednak bardzo śpieszył na audiencję u Prezydenta. Nie zdążyłem mu nawet wszystko dopowiedzieć. Mam wrażenie, że chodziło raczej o formalną satysfakcję dla uniwersytetu, że się oto pozwoliło wypowiedzieć rektorowi. I potwierdza mi się wrażenie, że ta rozmowa będzie ostatecznym surogatem udzielenia rektorowi możności wypowiedzenia się wobec rządu. Naturalnie, że efekt takiej rozmowy i argumentów na cztery oczy z ministrem, od którego cały ten projekt wyszedł i który zdecydowany jest go forsować, nie może się równać krytyce na posiedzeniu Gabinetu Ministrów. O tym, żeby się dało przekonać samego projektodawcę na cztery oczy, trudno marzyć. Jedno wszakże jest w tej reformie uniwersyteckiej wyraźne i zdrowe: to pogrzebanie radykalne zakusów klerykalizowania szkoły i bodaj samego uniwersytetu przez teologów. Na memoriał Wydziału Teologicznego przeciwko uchwale senatu akademickiego, zaprzeczającej istnieniu sekcji filozoficznej na tymże wydziale, minister Tonkunas udzielił odpowiedzi kategorycznej, że uważa, iż senat powziął tę uchwałę w zakresie swojej kompetencji statutowej przy zatwierdzaniu regulaminu wydziałowego i że merytorycznie uchwała ta jest zupełnie zgodna z przepisami statutu. Teolodzy nasi liczyli, że jeżeli nawet uchwały senatu nie przełamią, to w drodze pewnej presji na rząd zdołają jednak (poniekąd z pomocą dyplomatyczną Kurii Apostolskiej i episkopatu) odtworzyć swoją sekcję filozoficzną w trybie nowego statutu. Tymczasem do nowego statutu wpisany obecnie został nowy przepis przechodni, wymagający właśnie ostateczne konsekwencje ze stwierdzonego przez senat nieistnienia tej sekcji i likwidujący radykalnie dotychczasową kontrabandę tej sekcji. Mianowicie w myśl tego przepisu studenci, którzy odbywali studia na tej istniejącej faktycznie, ale nie istniejącej legalnie sekcji Wydziału Teologicznego, mogą dokończyć te rozpoczęte studia... na Wydziale Humanistycznym, gdzie im mają być zaliczone semestry i egzaminy odbyte. A więc likwidacja tej sekcji wprost jest od teologów odebrana i przekazana humanistom. Ostatnia nadzieja i deska ratunku teologów, wychodząca z założeń jeżeli nie prawa, to faktu, będzie im odebrana. Będzie krzyk i gwałt u teologów. Ta akcja jest bodaj że pierwszą i jedyną radykalną u nas przeciwko klerykalizmowi. Dotąd takiego posunięcia radykalnego nie mieliśmy nigdy. To jest krok pierwszy i mocny.

13 czerwca, rok 1937, niedziela

Wreszcie przyszedł oczekiwany dzień wyjazdu na wakacje. Pierwszy epizod wakacji składać się będzie z tygodnia wiosennego w Bohdaniszkach, który poprzedzi podróż za granicę. Nazywam ten tydzień wiosennym, bo wypadnie on jeszcze na przyrost dnia, na rosnące słońce, a więc na czas, kiedy jeszcze ptaszki śpiewają i natura jest świeża, dorastająca, kiedy wszystko się rozwija i postępuje, kiedy jest młodość i przyrost życia przed dojrzewaniem. To przednówek, niegdyś „głodny" na wsi, ale piękny i bogaty nadzieją i życiem pulsującym. Ten tydzień będę miał samotny: Jadzia pozostaje jeszcze w Kownie przy swojej wychowance Reni, która będzie zdawała egzaminy do rządowego gimnazjum żeńskiego „Aušry". Ten tydzień bohdaniski przed zagranicą – to będzie wiosna moich wakacji.

Na wyjazd ochłodło powietrze. Jest dosyć ciepło, ale akurat w miarę. Nie ma upału, rano niebo zachmurzone, wiatr dosyć silny. Jadzia mię odprowadziła na dworzec kolejowy. Odjechałem. W Radziwiliszkach zmieniłem pociąg. Podróż pociągiem nie była nudna. Nie było gorąco, jechało się

wygodnie. W III klasie ścisk, ale w II swobodnie. Część drogi z Kowna spędziłem w towarzystwie gościa z Palestyny p. Ari Ibra-Sahava, sekretarza uniwersytetu żydowskiego w Jerozolimie, rodem z Prus Wschodnich, który objeżdża kraje europejskie. Był w Litwie i jedzie teraz do Rygi, skąd udaje się samolotem do Wilna. Interesuje się naturalnie kwestią żydowską, ale także chodzi mu o stosunki oświatowe, o nawiązanie stosunków akademickich. Wczoraj był także w naszym uniwersytecie, ale nie mając czasu go przyjąć skierowałem go do prorektora Purėnasa. W wagonie wskazano mu mnie jako rektora, toteż przedstawił się i spędził ze mną parę godzin na rozmowie. Wykształcony i przyjemny człowiek, mocnej kultury żydowskiej bardzo humanistycznej. Trochę mi było trudno z nim rozmawiać po niemiecku, bo po francusku nie umie. Nagadał mi komplementów o Litwie, zdaje się – szczerze. Jemu, jak i wielu innym cudzoziemcom, imponuje mocne i niezłomne *quand même* stanowisko małej Litwy w sprawie wileńskiej, stanowisko bardzo charakterystyczne dla psychiki litewskiej. Z Radziwiliszek do Poniewieża jechałem w wagonie restauracyjnym w towarzystwie posła litewskiego w Moskwie p. Baltrušaitisa i jego żony. Oboje mili ludzie, zwłaszcza on, poeta o wybitnej kulturze, czyniący wrażenie starego lorda. Zapraszał mię w gościnę do Moskwy jako gościa poselstwa litewskiego. Chętnie bym skorzystał. Może się wybiorę kiedykolwiek; lubiłbym tak na jakieś dziesięć dni w dobie wakacji noworocznych się wybrać.

W Abelach spotkał mię ekonom Pumpol. Przyjechał po mnie parą koni. Ponieważ jest susza szalona i przeto kurze na drodze, a płaszcza żadnego nie miałem, więc pojechałem do miasteczka Abel i tam wynająłem automobil Radžiunasa, którym przyjechałem do Bohdaniszek.

Prześlicznie tutaj. Natura w całej krasie. Kukułka ciągle kuka, wieczorem chóry żab rechoczących w sadzawkach, słowik kilka razy się jeszcze odezwał w zaroślach Gaju. Pełno kurcząt, indyczęta, kaczęta, gęsięta. Moje drzewka pełne liści, bujnie się rozrastają. Tylko susza okropna, jerzyny nędzne, łąki słabo porosłe, koniczyna zupełnie marna – nie ma co kosić. Ale drzewa owocowe pełne owocu i na noc zjadłem talerzyk truskawek świetnych, do których ani się umyły truskawki, sprzedawane po sklepach w Kownie.

14 czerwca, rok 1937, poniedziałek

Zjazd arbitrów dla likwidacji spadku po śp. Maryńce odroczony został do 20 lipca, to znaczy do czasu powrotu mojego z zagranicy. Jeszcze się nie wyjaśniło ostatecznie, czy superarbitrem będzie Bichniewicz z Poniemuńka, czy Lisiecki z Opejkiszek, jak projektowała Marysia Stefanowa i Elwira. Wolę Bichniewicza – mędrszy jest, poza tym mam większe zaufanie do jego uczciwości. Trudne będzie zadanie, ale zdaje się, że nie jest bez wyjścia. Co do mnie, gotów jestem przyjąć na siebie dług Maryńki na 8000 litów (w Banku Polskim i w oddziale rakiskim Banku Litewskiego), który był oparty na żyrach moich, to znaczy gotów byłbym zrzec się regresu do spadku na tę sumę, która spadła na mnie z tytułu żyrów, nabywając za tę cenę 8 hektarów ziemi ze schedy spadkowej Bohdaniszek wzdłuż całej mojej granicy. Byłoby to ładne i dogodne zaokrąglenie mojej posiadłości. Nabyłbym tą drogą część starego ogrodu owocowego Maryńki od wielkiej sadzawki dworskiej prostą linią na brzeg nowego gumna Maryni w dole ogrodu, razem sadzawkę wielką i pas pola wzdłuż mojej granicy od ogrodu dworskiego aż pod Wielką Łąkę, gdzie siedzi Stankiewicz. Granica szłaby równą linią. Pozyskałbym kilka kawałków pola pod dworem, które znam i lubię, poza tym odsunąłbym przez to nieco granicę moją w samej siedzibie dworskiej, rozszerzyłbym się w mojej siedzibie i nie miałbym tej granicy łamanej tuż pod nosem, będąc oddzielony od najbliższego sąsiada dworskiego sadzawką i kawałkiem ogrodu dochodowego. Nabyłbym to bez budynków: parobczaną chatę i stajnie nad sadzawką, które stoją na tej ziemi, mogliby sobie zabrać spadkobiercy. Nie miałbym żadnych zabudowań gospodarskich cudzych pod moją siedzibą, wyemancypowałbym, powiększył nieco i rozszerzył mój dwór. Byłaby toteż nowinka i zabawa. Gospodareczka wzrosłaby nieco, wreszcie mógłbym spełnić moje marzenie zapuszczenia pod las i dołączenia do Gaju paru hektarów ziemi polowej po zboczach Gaju, bo nabyta ziemia skompensowałaby mi ten zabór od pola na las. Bawię się tym pomysłem. Zdaje się, że dla spadku po Maryńce byłoby to też dogodne, bo odciążyłoby 8 tysięcy długu, a choć odebrałoby trochę ziemi, to jednak z pomocą pieniędzy, które się

ma w Wilnie ze sprzedaży kamienicy, dałoby bodaj możność uratowania Bohdaniszek dla Steni. Cena zaś 8000 lt. za 80 ha bez zabudowań jest bardzo dogodna dla spadkobierców, tym bardziej, że zapewne i Bank Ziemski przełożyłby cokolwiek długu na mnie. Słono bym to nabył, ale ratować trzeba, zaś ratując trzeba i siebie zastrzec. Tylko gdyby to doszło do skutku, to już bym nie mógł opłacać Maryni długu na 5000 lt. w Państwowej Kasie Oszczędnościowej.

15 czerwca, rok 1937, wtorek

Nic bardzo szczególnego do zanotowania nie mam. Pięknie jest w Bohdaniszkach. Drażni nieco susza, drażni to próżne powszechne wyczekiwanie deszczu i to zmęczenie natury roślinnej brakiem wilgoci. Czuje się pewną litość ludziom i florze. Wszakże co do fizycznej przyjemności pobytu na wsi – susza jest dobra, a w każdym razie milsza od deszczu i słoty. Tym bardziej, że od mego przyjazdu do Bohdaniszek upału nie ma. Jest pogoda, słońce, ale nie gorąco; jest nawet pewien chłodek w powietrzu.

Prace remontowe i budowlane w Bohdaniszkach u mnie się dopiero rozpoczęte. Markow odremontował już oborę, ale drzwi jeszcze nie zrobił. Odremontował też izbę parobczaną, w której mieszka ordynariusz Butkus, ale jeszcze podłogi nie wstawił, a Sinica piec tam dopiero buduje. Sinica zrobił podmurówkę wędlarni, ale jeszcze wędlarni nie stawia, bo cegły nie ma. Teraz zacznie stawiać podmurówkę świronka. Nawożą się na tę podmurówkę i na przyszłe ściany świronka kamienie z podmurówki byłej części domu starego bohdaniskiego, rozebranej przed dwoma laty przez Marynię. U Elwiry na miejscu tej rozebranej przez Marynię części domu buduje się piękny dwupiętrowy balkon na kolumnach, który ślicznie ozdobi stary dom Elwiry, dając mu front podjazdowy na tarasie od ogrodu. Bohdaniszki, jak wszystko na świecie, po trochę się przekształcają, ale grunt jest ten sam, pozycja, widoki, zadrzewienie – przepiękne.

16 czerwca, rok 1937, środa

Michaś Mieczkowski, uczeń klasy IV (a może dopiero III, bo jest spóźniony w nauce, lat ma 18 – urodzony w lutym roku 1919 w Wilnie za okupacji bolszewickiej) gimnazjum polskiego w Poniewieżu, po zdaniu egzaminów do klasy wyższej (z jedną poprawką z litewskiego), wrócił wczoraj do Bohdaniszek do matki na wakacje. Dziś, gdym jeszcze leżał w łóżku, stary mój lokaj Kazimierz, przynosząc mi wody do zębów, oznajmił mi patetycznie, że wczoraj wieczorem „Michaś zabił się: poszedł oglądać budujący się balkon, wlazł na górę i spadł na kamienie”. Okazało się jednak, że „zabił się” – to tylko „stłukł się” – jest nieprzytomny, Helcia go powiozła do Rakiszek do szpitala. Gdym jednak poszedł do Elwiry, rzecz się okazała nie tak straszna: Michaś i Andrzej spali, w ciągu nocy Helcia zawiozła Michasia do Rakiszek i po obejrzeniu go przez doktora odwiozła. Michaś jest potłuczony, ale nic niebezpiecznego nie ma. Nie z balkonu spadł na kamienie, ale z sufitu nad ciemna salką spadł na podłogę drewnianą na lufcie. Lazł z Andrzejem na sufit ciemnej salki, żeby obejrzeć daszek nad balkonem i chcąc schodzić – po ciemku nie obliczył kroków, przekroczył krawędź sufitu i spadł na strych na podłogę drewnianą. Na razie rzeczywiście stracił przytomność i Andrzej zawlókł bezwładnego po schodach w dół, gdzie go cucono. Żadnego uszkodzenia na szczęście nie ma.

Andrzej gotuje się do wyjazdu do Francji, który mu funduję. Ma należeć do ekskursji z ramienia Towarzystwa Litewsko-Francuskiego na kursy miesięczne języka francuskiego w Nancy lub Grenoble. Koszt tej wycieczki (podróż, utrzymanie, kursy) – 300 litów. Zarząd Towarzystwa Litewsko-Francuskiego już zakwalifikował Andrzeja; teraz chodzi tylko o to, żeby władze państwowe nie wykreśliły go z listy ze względu na to, że Andrzej nie ma obywatelstwa litewskiego (jest on bez żadnego obywatelstwa, ponieważ jego ojciec nie jest obywatelem litewskim, choć matka, Elwira, jest obywatelką litewską). Złożyłem w zarządzie Towarzystwa Litewsko-Francuskiego list do ministra spraw wewnętrznych, polecający Andrzeja, prosząc, żeby mu pozwolono do tej wycieczki należeć. Andrzej pali się do tej jazdy, gdyby mu odmówiono, byłby to cios bolesny dla niego. Z Nancy lub Grenoble będzie mógł się przejechać do Paryża na wystawę. Daję mu na cała tę wycieczkę

500 litów. Choć to dla mnie ciężar, ale tak się chłopiec zapalił, że skoro mu to raz obiecałem – niepodobna się cofnąć.

Byłem dziś na grobie Maryńki na pięknych mogiłkach bohdaniskich. Ciche pogodne mogiłki wiejskie wśród drzew dorastających. Grób pięknie porosły kwiatami, które posadziła Marysia Stefanowa.

17 czerwca, rok 1937, czwartek

Wiatr dziś był wielki przez cały dzień, południowo-wschodni, suszący, ale podług prognostyków doświadczenia wróżący deszcz. Był to wiatr szczególny, wścibski, wwiercający się w każdą szparkę, huczący i szumiący w drzewach, gwiżdżący i wyjący w kominach i oknach. Mówią, że taki wiatr zapowiada deszcz. Bo różne bywają wiatry. Czasem jest silniejszy, ale niemy, bez wycia i szumu, czasem zaś drze się przeraźliwie jak potępieniec, jakby w nim dusze ludzkie wyły z bólu i skarżyły się o wszystkie krzywdy natury. Ale pogoda trwała. Na wieczór wprawdzie chmury się zaczęły po skraju horyzontu zbierać, ale potem koło zachodu prawie że się rozproszyły. Barometr też po trochę się posuwa systematycznie na deszcze, mozol na palcu prawej nogi od dwóch dni mię boli. To wszystko na deszcz, którego bardzo spragniona jest natura, zwłaszcza flora. Ale Elwira znów zaprzecza temu, bo nów już minął bez zmiany pogody i rozpoczęła się pierwsza kwadra księżyca. Ano, na dwoje babka wróżyła. Zobaczymy.

Ostatni, zdaje się, mój dzień wolny tego wstępu do wakacji. Jutro i pojutrze zapowiedziane są przyjazdy grup studenckich na egzaminy. Pojutrze przyjeżdża Jadźka. A w poniedziałek już wyjazd za granicę.

Cieszy mię perspektywa ewentualnego przyrostu ziemi do mojej własności Bohdaniszek ze schedy spadkowej Maryni. Chciałbym, żeby to doszło do skutku, choć to będzie kosztowne dla mnie. Ale wszystko jedno – tak czy owak regresu tych 8000 litów pożyrowanych za Marynię nie zrealizuję. Więc skoro już tak jest – niechże mam choć tę kompensatę.

Parobcy przez cały dzień zwozili kamienie ze starej podmurówki byłego domu mieszkalnego, rozwalonego przez Marynię, na miejsce, gdzie się będzie stawiał mój świronek. Nawieziono już dużą gromadę kamieni. Znaczną część pochłonie podmurówka, ale na ściany jeszcze nie wystarczy.

18 czerwca, rok 1937, piątek

Przede wszystkim – zachmurzenie, a koło godziny 9-10-tej już deszcz. Nieduży co prawda deszcz, leniwy, drobny, mało co większy od rosy, ale przecie deszcz, wilgoć. Ogrody się choć trochę odchwycą. Ale naturalnie to kropla w morzu suszy. Deszcz był z przerwami.

Miały być dziś egzaminy. Zapisanych było pięciu. Ale przyjechał tylko jeden – Piotr Stankiewicz. W Kownie przy zapisywaniu studentów na terminy egzaminów do Bohdaniszek była szalona konkurencja; kandydatów było aż zanadto, nie mogli się pomieścić w terminach wskazanych (po trzy grupy na tydzień po pięciu ludzi w grupie), kłócili się, przybiegali na skargę do mnie, napraszali się. Słowem – była gorączka zapisywania się. Tymczasem teraz ci, co się zapisali i zajęli miejsca, przeszkadzając innym, oto nie przyjeżdżają. Będę się gniewał na nich i każę p. Hermanowiczowej, żeby ich wpisała na sam koniec listy i pozbawiła wszelkich pierwszeństw. Trzeba ich dyscyplinować. Studenta Stankiewicza nie egzaminowałem. Został on w Bohdaniszkach do jutra – nocuje. Jutro przyjadą inni, z nimi i on zda.

Po obiedzie przysłała Elizka z Kowaliszek duży krzyż sosnowy, pomalowany na biało, na grób Maryńki. Niebawem i sama tu przyjechała. Z ekonomem Pumpolem, trzema naszymi parobkami i dwoma kowaliskimi udaliśmy się na cmentarz, gdzie wkopano krzyż, owinięty w dole papką i obsypany gliną i kamieniami. Maryńka chciała, żeby jej na mogile krzyż postawić z sosny, wyciętej w Gaju z tych sosen, które przed laty przeszło 60 własnoręcznie zasadziła Mama. Ale nim zdążyłem to zrobić, już Elizka zafundowała krzyż. Z sosny z Gaju będzie krzyż na drugi raz, gdy ten zgnije. Na krzyż Elizki mękę dała Elwira. Krzyż jest ładny i pięknie ozdabia cmentarzyk. Cmentarzyk leży na ziemi zaścianka Kulisów. Ładna 13-letnia córeczka Kulisowej, Anna, dziewczynka dziwnie kobieca,

o wielkich poważnych i trochę szelmowskich oczach, jak mała Messalina, jak Astarte, bogini zmysłów i rozpusty, mała jeszcze dziewczynka, ale mająca w sobie coś „*qui trouble*" – jakiś eter zmysłowy czy fluid, patrząca wprost w oczy głęboko jak poważny gnom rozpusty świadomej i kapłańsko-ceremonialnej, rozkoszy wyrafinowanej, celebrowanej z namaszczaniem, powolnej i łakomie kroplami wypijanej, jak mądrość nauki, a nie szał namiętności burzliwej – dziwna zaiste dziewczynka – kręci się tam na mogiłkach, ogląda i zna groby, kwiaty na nich pielęgnuje. Takiej dziewczynki trudno spotkać. Że też w ludzie litewskim, ludzie włościańskim, są takie przedziwne kwiaty wyrafinowania, subtelności głębokiej, złożoności niezrównanej, jakie tylko u szczytów cywilizacji, zdawałoby się, spotkać można. Co to będzie za kobieta z tej małe Anny Kulisówny z Bohdaniszek – ciekaw jestem bardzo. Trzeba by ją gdzieś umieścić w wyśnionych egzotycznych kaźniach miłości i rozpusty.

19 czerwca, rok 1937, sobota

Źle spałem tej nocy, bo mi przeszkadzał nietoperz, który wczoraj wieczorem wleciał przez okno do pokoju i całą noc tłukł się, trzepocąc się i budząc mię swym szelestem ze snu.

Rano przyjechała z Kowna Jadzia. Wychowankę Renię, która dobrze zdała egzamin do gimnazjum „Aušry", odesłała z Rakiszek do swojej siostry Stefci Boreišisowej, sama zaś przyjechała ze służącą Paulinką Nowicką. Te dwa dni przed wyjazdem za granicę Jadzia poświęci dyspozycjom. Wszystko już do naszej podróży przygotowane.

Przyjechali studenci do egzaminów. Ze wczorajszym Stankiewiczem, który nocował u mnie, czekając na nich, było ich czterech: tenże Stankiewicz, stary student Józef Krygeris, podprokurator sądu okręgowego, oficer rezerwy lotnictwa, człowiek już w sile wieku i dzielny, ale student słaby, następnie niejaki Józef Šarka i wreszcie Romuald Kolokša, syn inżyniera komunikacji, chłopiec wykształcony, znający języki, mający pojęcie o wszystkim.

Dzień był pogodny. Rano była mgła, ale opadła. Pięknie jest teraz na wsi – jagody, nawet już trześnie dojrzewają. Ale w przeddzień podróży – chce się wyjechać, rozerwać się i porzucić pracę na czas pewien.

Gudowicz mi pisze i nalega, abym odbył dłuższą systematyczną kurację w Nauheimie, ale ja tego nie chcę. Poradzę się tylko i wyjadę.

20 czerwca, rok 1937, niedziela

Duszny gorący dzień. Zbierało się na burzę, po obiedzie trochę grzmiało, ale chmury rozeszły się gdzieś po krańcach horyzontu i na wieczór się wypogodziło.

Jutro wyjeżdżamy z Jadzią. Pozajutro już Berlin i zapewne tegoż dnia wieczorem Nauheim. Nauheim mię nie pociąga bynajmniej – to najnudniejszy epizod podróży. Tam nudna porada lekarska, przewojowanie lekarzy, którzy zechcą mię zatrzymać na kurację. Ale za to stamtąd piękna Szwajcaria, podróż w okolicach górskich, widoki piękne, jeziora alpejskie, lodowce, kolejki osobliwe, piękny spacer autobusem przez skrawek Włoch Północnych, Genewa, Bazylea, Zurych, Lucerna itd. – a potem Paryż kochany. Na Paryż się cieszę bardzo, tylko się boję, żeby mię tam nie pochłonęły stosunki kongresowe i towarzyskie z przyjaciółmi akademickimi i z kolonią litewską. Będę się od tych stosunków wykręcał. Nawet fraka nie biorę wcale. Ile będę mógł – chcę być w Paryżu incognito i *privatissime*, włóczyć się z Jadźką po Paryżu kochanym, cieszyć się swobodnie jego urokiem. Podróż przyjemna i krótka. 16 lipca chcę być z powrotem w Bohdaniszkach.

21 czerwca, rok 1937, poniedziałek

Najdłuższy dzień w roku, przesilenie słoneczne na schyłek zimowy i zarazem szczyt lata. Dzień, który wraz ze swym antypodem, dniem 21 grudnia, jest najwierniejszym odbiciem dialektyki natury: w najpełniejszym dniu lata mieści się zaród śmierci, która z tego dnia swój początek wywodzi, jak odwrotnie – w dniu najzupełniejszej śmierci lęgnie się początek życia.

Z tym dniem symbolicznym zbiegł się mój wyjazd za granicę. Od rana było gorąco i wietrzno. Wstaliśmy z Jadźką bardzo wcześnie i do południa mieliśmy czas na wszystkie przygotowania do podróży. Jeszcze ekonom Pumpol przywiózł z Abel lustro, obrazy i inne rzeczy, które były wysłane z Kowna do Bohdaniszek, jeszcze Jadźka nazbierała jagód na drogę, pobiegła pożegnać się do rodziny, ja pożegnałem się z Elwirą, spakowałem rzeczy i wreszcie o południu odjechaliśmy. Kurz był wielki, gorąco i wietrzno. W Abelach o godzinie drugiej wsiedliśmy do pociągu, który ma nas zawieść bezpośrednio do Berlina. Jeszcze w Abelach zaczęły się zbierać chmury ciężkie, zapowiadające burzę, a może i grad. Robiło się coraz gorącej i duszniej. Do Radziwiliszek jazda była szablonowa, jak zwyczajnie do Kowna. Między Rakiszkami a Poniemuńkiem przejeżdżając koło wsi Spieniuny u toru kolejowego żegnały nas Stefcia Boreiszysowa z dziećmi i Renią, którym Jadźka rzuciła przez okno jagody i książki Reni. W Radziwiliszkach lunął ulewny deszcz z burzą. Nam jednak przesiadać nie trzeba było. Rychło dojechaliśmy do Pogiegów. Tylko że podróżnych dużo, w wagonach gorąco, na dworze zimno, okna trudno otwierać, bo padał deszcz, przez zadżdżone szkła nic nie widać, słowem – jazda, choć w II klasie, niewygodna i męcząca. W Pogiegiach przeszliśmy do wagonu sypialnego. W Tylży, na granicy niemieckiej, ceremonia graniczna, zwłaszcza najnudniejsze – rejestrowanie waluty wwożonej. Wprost z Tylży położyliśmy się na nocleg.

22 czerwca, rok 1937, wtorek

Wstaliśmy w wagonie sypialnym wcześnie, przed szóstą. Pociąg dobiegał do Kostrzynia (Köstrin) nad Wartą. Wypiliśmy kawę i przyglądaliśmy się niezbyt ciekawym widokom na wschód od Berlina, potem coraz gęstszym miastom i ogrodom przedmieść wschodnich berlińskich. Koło godziny ósmej przyjechaliśmy do Berlina i wysiedliśmy na dworcu Friedrichstrasse. Rzeczy mamy niedużo i lekkie; sami je dźwigamy. Na dworcu wymieniłem kupon Registermarek na gotówkę w kwocie 100 marek, poinformowałem się o dalszej jeździe do Nauheim (raczej Bad-Nauheim, bo zwyczajnych Nauheimów jest w Niemczech bardzo dużo), dowiedziałem się, że pociąg do Bad-Nauheim odchodzi z Dworca Poczdamskiego (Potsdamer-Bahnhof) o godzinie 8.55, zjedliśmy małe śniadanie na dworcu Friedrichstrasse i odjechaliśmy automobilem taxi na Potsdamer-Bahnhof. Wnet stamtąd odjechaliśmy. Z Berlina jedziemy już III klasą. Wagony dosyć pełne. Miejsca przy oknie nie mamy. Obok nas dwa przedziałki zajęte są przez transport jakichś małych dziewczynek, które wysyłają pod eskortą jakiegoś sanitariusza czy dozorcy w białym chałacie ze swastyką hitlerowską na rękawie – gdzieś zapewne do kolonii letnich. Na dworcu żegnają dzieci rodzice, rodzeństwo, babunie, ludzie z ludu, z uboższej ludności miejskiej, może bezrobotni. Dziewczynki zdyscyplinowane, dozorca srodze je trzyma w rygorze, ale serdecznie i troskliwie; cały czas stoi w korytarzu i dozoruje przez oszklone drzwi obu przedziałek. Dziewczynki siedzą grzecznie, czasem śpiewają. Okolice Berlina na Poczdam są ładniejsze od wschodnich. Przedmieście zastępuje piękny las. Długą mamy drogę, od dziewiątej do pół do szóstej. Jedziemy przez Poczdam, Magdeburg, Kassel, Giessen, w kierunku na Frankfurt nad Menem. Niebawem Jadzia źle się czuje. Po nocy spędzonej w wagonie, choć sypialnym, jest zmęczona, a szybki bieg pociągu wywołuje u niej nudzenie. Co chwila biegnie do ustępu i womituje. Jest ona na wszelką jazdę bardzo nieodporna i na zmęczenie wrażliwa. Nic jej nie bawi, nie interesuje się widokami, nie obserwuje, co zwykła bardzo staranie robić, gdy się czuje dobrze. Siedzi zasępiona, ponura, odpowiada półgębkiem na moje uwagi i zapytania. Gdy jest zmęczona i źle się czuje, to nie staje się potulna i miękka, słodka i litość budząca, ale przeciwnie – staje się opryskliwa i na lada uwagę reaguje płaczem. Robi wrażenie, jak żeby jechała na pogrzeb lub jak żeby się nieszczęście stało, a ona była ofiarą. Nieznośna jest i nie umitygowana wtedy, jak histeryczka. Żal jej, ale nie umie ona tego żalu utrzymać słodyczą, raczej wtedy wzbudza gniew swoją przekorą i jakąś kamienną twardością. No ale mniejsza z tym. Wraz ze zmęczeniem to przejdzie, a wtedy potrafi być słodka i przytulna, przywiązana, wierna i oddana.

Niemcy są w podróży zupełnie grzeczni. Wobec cudzoziemców są bez zarzutu. Na zewnątrz swych nacjonalsocjalistycznych usposobień nie manifestują – oprócz pozdrawiania się przez podnoszenie ręki. Ale to podnoszenie ręki nie jest zwyczajnie sztywne i ceremonialne, jak u nas się

zwykle myśli, jeno dosyć niedbałe wyrzucenie ręki, podobne do machnięcia. Pozdrowienia „Heil Hitler!” – nie słyszałem ani razu. Wszakże epizodzik antysemityzmu był, ale taki, który by się i w Polsce mógł zdarzyć w obecnych czasach (tylko bodaj nie w Litwie). Jechał w tym samym wagonie wysoki charakterystyczny Żyd brodaty, typowy Żyd z ludu, typu Żydów wschodnich, choć w ubraniu krótkim czyczumczowym czarnym. Już w biegu pociągu przyszedł z walizką szukać miejsca dla siebie i dla rzeczy. Pytał o miejsce delikatnie, uniżenie, widocznie nastraszony, czując się w Niemczech pariasem. Wskazałem mu, że miejsce w naszym przedziale jest. Ulokował walizę, kręcił się niespokojnie, po chwili wyszedł i wrócił – niosąc worek. Po pierwszym worku poszedł po drugi, po trzeci. Worki brudne, może nawet cuchnące. Niemki, co siedziały przy oknie, zaczęły się między sobą burzyć. Żyd kręcił się, siadał przy Niemkach, potem znów poprawiał i przekładał rzeczy, wreszcie ostatni worek już się nie mieścił na górze, więc go na ławkę postawił i przykrył paltem, bo już go konduktor upominał, że ma rzeczy w wagonie za dużo. Żyd posłyszał, że rozmawiamy z Jadzią po polsku i zaczął do nas po polsku przemawiać. Był to Żyd z Baranowicz, jechał do Frankfurtu. Dał mi jakąś brukową gazetkę warszawską, ucieszył się, gdy się dowiedział, że my z Jadzią jesteśmy z Litwy, która ma dobre imię u Żydów byłych ziem historycznych litewskich w Polsce, narzekał na stosunki w Polsce. Zbiedzony i zahukany był i czuł się tutaj jak zwierzę szczute; tchórzliwy, cichy, wdzięczny, gdy go nie depczą, jeszcze bardziej, gdy po ludzku traktują. Smutne to upokorzenie człowieka, które się wobec Żydów stosuje i wyczuwa w Niemczech, a do którego i w Polsce Żydzi przywykli, niestety Niemki litości i uczuć ludzkich dla Żyda nie miały. Śmierdziały im jego worki i śmierdział on sam. Pobiegły skarżyć się innym Niemcom w wagonie i konduktorowi, żeby odebrał rzeczy od Żyda i uwolnił je od jego towarzystwa. Konduktor kazał Żydowi zabierać rzeczy i ciągnąć je na bagaż, a jego samego też przelokował do jakiegoś innego przedziałku. Smutny to taki obrazek nienawiści rasowej, dziś modnej i powszechnej w Niemczech. Przed wieczorem przyjechaliśmy do Nauheimu.

23 czerwca, rok 1937, środa

Dzień słoneczny bardzo ciepły. Ale tu w Nauheimie powiadają, że to pierwszy dzień ciepły, bo dotąd było zimno. Nie tak więc, jak u nas. Wczoraj po przyjeździe do Nauheimu zajechaliśmy do hotelu, który się nazywa „Schechresadts Privat Hotel” , położonego w dogodnym punkcie przy centralnej ulicy „Adolf Hitler Strasse”, która biegnie wzdłuż Parku Kurhauzowego w górę do pomnika żołnierzowi niemieckiemu. Nazwa ulicy „zhitleryzowana” ale samo imię „Führer” wskazuje, że ulica jest główna albo do głównych należy. Jedną stronę ulicy stanowi ściana otwarta wspaniałego parku, drugą – kamienica ze sklepami. Hotel nie kolosalny, ale i nie najgorszy, bardzo czysty, porządny, dogodnie położony. Mamy dwa pokoje obok. Wzięliśmy je z pensjonatem; kosztuje dziennie po 10 marek od osoby. Utrzymanie: kawa rano, obiad o godz. pierwszej, złożony z zupy, lekkiego dania, pieczystego i słodkiego, wieczorem o siódmej kolacja: potrawa mięsna z dodatkami, poprzedzona jakimś „*intermêt*”, i owoce, kompot lub ser. Jedzenie bardzo smaczne, dużo jarzyn na dodatek i ciasta.

Naturalnie, że kapitalna rzecz w Nauheimie – to porada lekarska. Gudowicz mi pisał do Bohdaniszek, prosił i zaklinał, abym w Nauheimie posiedział dłużej i odbył kurację. Zdecydowany jednak jestem nie usłuchać go. Czuję się dobrze, a podróż więcej mi daje satysfakcji i więcej wypoczynku intelektualnego, którego potrzebuję, niż siedzenie w kurorcie. Podróżowanie, zmiana miejsca, zmiana wrażeń, ich bezpośredniość i siła – to moja namiętność i rozkosz jedyna, na którą sobie co roku po pracy pozwolić muszę, aby znowu sił nabrać. Poszedłem z listem Gudowicza do dr Wachtera, młodego człowieka, lekarza miejscowego i asystenta w Instytucie Badania Serca. Ten po przeczytaniu listu powiedział mi, że skoro Gudowicz chce zasięgnąć opinii prof. Webera, dyrektora Hesseńskiego Państwowego Instytutu Medycyny, to muszę się wpierw udać do tego profesora, aby mię obejrzał, zbadał itd. wszystkimi przyrządami, bo ten li tylko bada i orzeka o stanie serca, ale sam nie leczy, a dopiero wtedy udał się do dr Wachtera, który poczyni wnioski lecznicze. Zdaje mi się, że Wachter nie bardzo był rad, że zażądano opinii Webera, bo się uważa za równie kompetentnego,

ponieważ sam był asystentem słynnego kierownika Instytutu Kharchewa. Prof. Weber w Instytucie Hesseńskim przyjął mnie w ogromnej hali-pracowni. Przeczytał list Gudowicza, osłuchał, ostukał, zbadał puls, ciśnienie krwi, wszystko tak, jak to Gudowicz robi – tylko nie ważył, potem posadził mię u jakiegoś aparatu bardzo skomplikowanego, z licznymi drutami dokoła, zgasił światło, puścił aparat w ruch, następnie posadził mię w malutkiej komórce białej, gdzie się przebierałem i skąd mię zabrała asystentka, która dokonała na mnie jakichś zdjęć fotograficznych działania serca. Zostałem położony na kuszetce; na lewą nogę w kostce i na obie ręce u przegubu dłoni, gdzie się mierzy puls, nałożono mi po kompresie mokrym, na który założono klamerkę, połączoną drutem z aparatem, który puszczono w ruch. Były to „elektrodiagrama" i „orthodiagrama". Prof. Weber nic bardzo złego u mnie nie stwierdził, bo w porównaniu do ciężko chorych na serce, którzy tu się leczą, jestem prawie zdrowy, ale jednak na odbitce z kliszy stwierdził pewne odchylenie funkcji serca w porównaniu do stanu normalnego. Kazał mi tylko zmniejszyć palenie o połowę przynajmniej, skądinąd zaś nic nie zalecił. Upewnił mię, że mogę dożyć do 70 lat, co jednak mnie nie zadowala, bo zdecydowany jestem dożyć do roku 1966, to znaczy jeszcze 29 lat, a ponadto – ile jeszcze Bóg da. Całe badanie prof. Webera kosztowało mnie 36 marek. Po obiedzie byłem jeszcze raz u dr Wachtera. Nie miał on jeszcze zakomunikowanych od prof. Webera informacji. Obejrzał mię także, na ogół uważał, że jest nieźle, a stan nóg moich, zupełnie suchych bez najmniejszego obrzęknięcia, tak go zachwycił, że zawołał: „*Magnifique!*". Do Wachtera mam jeszcze jutro przyjść po instrukcje. Ani prof. Weber, ani dr Wachter nie usiłowali mię zatrzymać w Nauheimie. Zresztą obaj doszli do wniosków dobrych, przynajmniej tak mi w oczy oświadczyli. Wachter udzieli Gudowiczowi informacji listownej o moim stanie.

Poza tym dzień spędziłem z Jadzią na łażeniu po Nauheimie. Robiliśmy sami „odkrycia" *expromptu*. Tak „odkryliśmy" Instytut Kharchewa, wielką fontannę wód żółtych (żelaznych?) słonych z figurą lwa hesseńskiego, pawilonu wód do picia, wielkiego kurhauzu itd. Nauheim jest bardzo ładnie i nawet imponujaco urządzony, pod tym względem przewyższa nawet Marienbad, tylko okolice ma Marienbad ładniejsze. Przepiękne są tutaj parki i drzewa dekoracyjne. Ładne też i wspaniałe nieraz gmachy, epizody ornamentacyjne placów i alei. Trochę czasami przypomina mi Hagę. Jest to kurort bogaty i niezmiernie kulturalny, wielkoświatowy. W głębi na górze jest dzielnica rdzennego miasta tubylczego, okolice zaś parku, gmachów kąpielowych, wód i dworca kolejowego – to dzielnica kuracyjna, która zamiera na zimę i odżywa na zjazd kuracyjny. Ponieważ jestem tu po raz pierwszy – nie mogę sądzić, jak było dawniej, ale mam wrażenie, że ruch jest mniejszy w stosunku do wielkości i ilości hotelów, kawiarni, magazynów. Cudzoziemców jest zapewne niedużo, choć już stwierdziłem obecność Anglików, Holendrów, nawet jednej pani Murzynki. W każdym razie, jest to pełną gębą wielki kurort wielkoświatowy o wysokim poziomie piękna i cywilizacji.

24 czerwca, rok 1937, czwartek

Trzeci i ostatni dzień w Nauheimie. Poszedłem jeszcze raz do dr Wachtera. Miał już on od prof. Webera „elektrokardiogramę", czyli zdjęcie wibracji serca mego, i „orthodiagrammę", czyli szkic sytuacyjny mego serca w klatce piersiowej oraz diagnozę. Zdjęcie i szkic wraz z wnioskami swymi na zasadzie badania własnego i diagnozy prof. Webera prześle on do Kowna w liście do Gudowicza. Zdaję się, że nic bardzo złego nie ma, choć pewne zboczenia funkcjonalne są. Na moje zapytanie, czy warto mi w roku przyszłym przyjechać do Nauheimu na kurację, dr Wachter gorąco mi to zalecał. Powiada, że kuracja w Nauheimie (wanny, masaż, dieta) działa bardzo skutecznie i stawia na nogi takich chorych, którzy już chodzić nie mogą. Poinformowałem się o digitalisie, czy nie może mi on szkodzić. Niektórzy bowiem mię ostrzegali przed digitalisem, który mi przepisuje czasem Gudowicz, mający skłonność do używania środków radykalnych. Dr Wachter oświadczył, że stan mojego serca jest właśnie w tym stanie, który wymaga digitalisu i który jest w stosunku do digitalisu po prostu klasycznym. Digitalis powinienem brać zawsze, tylko z przerwami periodycznymi. Honorarium zażądał dr Wachter 20 marek. Razem więc porada lekarska w Nauheimie kosztowała mię 50 mk. (30 mk. prof. Weber i 20 mk. dr Wachter), hotel zaś z

pensjonatem na dwie osoby – ± 70 mk., ogółem 126 mk., nie licząc wydatków drobnych ekstra. Dr Wachter mniej mi się podobał od starego prof. Webera, ale mi mówiono w hotelu, że jest to lekarz dobry i wzięty. Był on asystentem słynnego prof. Grödela, byłego kierownika Instytutu Werbhofa w Nauheimie. Sam mi to dr Wachter mówił. Ten prof. Grödel, znakomity uczony i specjalista od serca, był chlubą Nauheimu. Żyje on jeszcze, ale jest w Ameryce. Zdaje się, że go z Niemiec usunęły rządy Hitlera. Może był Żydem z pochodzenia albo lewicowcem, bo tym dwom kategoriom ludzi nie ma miejsca w Niemczech nacjonalsocjalistycznych, choćby byli oni najstaranniejsi i najbardziej zasłużeni. Zresztą prof. Weber, który bodajże jest następcą Grödela, i przynajmniej uchodzi obecnie za najpoważniejszą siłę w Nauheimie, jest także specjalistą wybitniejszym.

Uciekamy więc jutro z Nauheimu. Ładny jest Nauheim, szczególnie urządzony bardzo starannie i ślicznie, cudowne ma zwłaszcza parki i w ogóle zadrzewienie, bardzo też gustowne fragmenty gmachów, placów, uliczek, alei itd., ale siedzieć w nim dłużej byłoby nudno i monotonnie, no i drogo. Napisałem serdecznie do Gudowicza, prosząc, żeby się nie gniewał, że nie usłuchałem jego rozkazów lekarskich i nie pozostałem w Nauheimie na kurację. Właściwie nie było to konieczne, choć może byłoby niezłe.

Żadnych nie tylko ekscesów hitleryzmu nie doświadczyłem, ale nawet nic rażącego nie spostrzegłem. Ani razu nie słyszałem okrzyku „Heil Hitler!”, nigdy do mnie się nie zwrócono z pozdrowieniem nacjonalsocjalistycznym przez podnoszenie ręki. Cudzoziemcy są traktowani bez zarzutu, przynajmniej o ile są Aryjczykami. Tolerancja zupełna – nic się nie czuje nawet specyficznego, mniej tutaj, niż w Berlinie lub Prusiech Wschodnich. Naturalnie, że dotyczy tylko obserwacji powuerzchownej w pobycie przelotnym i nie przecenia istoty rzeczy. Natomiast z obserwacji powierzchownej na korzyść trybu obecnego da się zanotować zwłaszcza dwie rzeczy: a. ogromne wydyscyplinowanie ludności, brak objawów chuliganizmu i wygadywania ciągłego o sprawach politycznych, co się obserwowało dawniej po wojnie, i b. zupełny zanik narzucających się kobiet i afiszującej się prostytucji, co było plagą Niemiec w pierwszym dziesięcioleciu powojennym i co się rażąco rzucało w oczy i przy ledwo przelotnym zetknięciu z Niemcami. Ale pod tymi dodatnimi cechami dyscypliny, powagi, ustatkowania czuje się jednak i ostrą reakcję rasizmu w stosunku przynajmniej do Żydów. U wystaw do sklepów spotyka się co krok plakacik ze swastyką („Hakenkreuz”) i napisem „Deutsches Geschäft”, czego oczywiście Żydom czynić nie wolno i co stanowi środek bojkotu systematycznego Żydów. Te małe plakaty dużo mówią i dużo czynią, dobijając Żydów. Sklepy żydowskie upadają, Żydzi są rugowani twardo i bez krzyku, ale z systematycznością niemiecką, która jest straszna.

25 czerwca, rok 1937, piątek

Wyjechaliśmy z Nauheimu do Szwajcarii. Mały szczególik: gdyśmy rano szli pieszo w Nauheimie na dworzec kolejowy (rzeczy nasze dostawił do pociągu służący hotelowy) – w pobliżu dworca spotkaliśmy nagle... panią Urbšysową, która dopiero co przyjechała tutaj z Kowna na kurację i szła do miasta szukać hotelu czy pensjonatu. Ma ona początki basedowej choroby, która ma związek z sercem i leczyć się będzie w Nauheimie. Wskazaliśmy jej „Schuckings Private Hotel”, w którym sami mieszkaliśmy i byliśmy bardzo zadowoleni tak z lokaty, jak z utrzymania bardzo dobrego i smacznego. Niespodziane spotkanie na dalekiej obczyźnie kogoś z kraju zawsze jest ewenementem w podróży.

Odjechaliśmy niebawem z Nauheimu. Jedziemy wagonem prostym komunikacji przez Magdeburg, Mannheim, Karlsruhę, Freiburg do Bazylei. Jedziemy przeważnie doliną Renu. Miejscowość coraz ładniejsza. Trochę żałuję, że nie jedziemy na Czarny Las, który mamy wciąż z boku od wschodu, ale za to im dalej na południe i im bardziej dolina Renu się zwęża między wyżynami Czarnego Lasu i Alzacją francuską za Renem, tym jest piękniej. Kraj ożywiony, cywilizowany i bardzo wesoły. Zaczynają się ogrody, winnice na zboczach w kierunku Renu, pola zasiane drzewami owocowymi – jabłonie, trześnie, kasztany jadalne, grusze, krzewy, jagody, uprawa warzyw, cała dolina i zbocza zielenieją drzewami i krzewami, za Renem także obszerna przestrzeń

ogrodów, zarośli, topole piramidalne, dolinę przecina struga Renu. Śliczny kraj. Podróżni też w wagonie mili, rozmowni, uprzejmi, weseli, grzeczni. Niemcy zachodni znad Renu z Mannheim, z Badenu, z pogranicza Alzacji i Szwajcarii – zgoła inny gatunek ludzi, niż ciężcy i brutalni Prusacy lub Niemcy z Berlina, Pomorza, nawet Saksonii i bodaj całej północy i centrum Reichu. Są to Europejczycy. I gdyby nie specyficzny antysemityzm nacjonalsocjalizmu i nie aspiracja zaborcza tego ruchu, to może by się nawet miało sympatię do tych rządów w ich akcji wewnętrznej, dyscyplinującej wolę zbiorową i głęboko uspołeczniającej życie zbiorowe. Zamiast chaotycznego liberalizmu, który pozostawia jednostki i grupy ich własnemu losowi i własnym środkom działania, ruch ten, tak samo jak komunizm sowiecki, stapia jednostki w społeczność skonsolidowaną i solidarystyczną, która obejmuje wszystkie grupy i udziela im pomocy oraz, że tak powiem – integruje ich potrzeby w akcję zbiorowości państwowej. W miastach, przez które przejeżdżamy, widzę całe pociągi, oddane do dyspozycji zrzeszeniom robotniczym, które wiozą ich członków czasami na wycieczki wypoczynkowe kilkutygodniowe bądź nad morze, bądź do Jeziora Bodeńskiego, bądź w inne okolice kraju. Wszystko to wesołe, radosne, żywe, czujące, że się państwo troszczy o nich, że ich potrzeby są przedmiotem funkcji zbiorowej, że państwo jest nie tylko mechanizmem policyjnym i fiskalnym, ale nade wszystko wielkim wykonawcą solidaryzmu. To jest w tych rządach dodatnie i to się widzi. Naturalnie, że to się robi za cenę kupowania dusz tych ludzi na rzecz haseł rasizmu i nacjonalsocjalizmu wojowniczego, zaczepnego, drapieżnego wobec obcych i wobec tych obywateli, którzy albo są pariasami rasy (Żydzi), albo hołdują ideałom socjalizmu i demokracji klasycznej albo liberalizmu. Ale Niemcy zachodni, nawet nacjonalsocjalistyczni, mają mniej arogancji w sercu. Są bardziej ludzcy.

Przed godziną czwartą przyjechaliśmy do Bazylei. Stanęliśmy w hoteliku „Continental” przy dworcu głównym. Zjedliśmy obiad w jednej z restauracji na placyku przed dworcem, obstalowałem abonament ośmiodniowy na jazdę wszelkimi kolejami i parostatkami szwajcarskimi, co na III klasę kosztuje 50 funtów szwajcarskich (bodajże 75 litów czy coś koło tego) od osoby – bajecznie tanio. Potem przeszliśmy się po ulicach miasta na wybrzeżu Renu, zaszliśmy do kawiarni na pięknym placu ratuszowym, Jadźka miała rozkosz oglądania witryn sklepowych, interesowała się biżuterią, kamieniami, wyszywaniem na bieliźnie itd. Na tym zakończyliśmy dzień.

26 czerwca, rok 1937, sobota

Rano załatwiłem wszystko, czego było potrzeba do rozpoczęcia naszej wycieczki po Szwajcarii. Zrealizowałem czek na 735 franków szwajcarskich (przekaz od Litewskiego Banku Komercyjnego w Kownie na Związek Banków Szwajcarskich). Suma ta ma sfinansować naszą przejażdżkę mniej więcej dziesięciodniową po Szwajcarii dokoła. 100 franków szwajcarskich zapłaciłem za dwa abonamenty kolejowe na dni osiem. Jak obliczam teraz na mapie, tych dni ośmiu może nam być trochę za mało na wykonanie całego programu wycieczki, ułożonego dla mnie w Kownie przez naszego lektora języka niemieckiego na uniwersytecie, Szwajcara Studeriusa. Tym bardziej, że jeden cały dzień chcę poświęcić Genewie. No, co robić – jeżeli zabraknie czasu, to dokupię poza abonamentem bilety na ostatnią część podróży. W każdym razie, abonament jest bardzo tani. Na dwie osoby na osiem dni jazdy – 100 franków szwajcarskich (w to wliczona jest także dopłata na pociągi pośpieszne), a przy przedstawieniu biletu do kasy kolejowej po zakończeniu abonamentu otrzymuje się jeszcze po 5 franków na osobę zwrotu, czyli że ostatecznie dwa abonamenty ośmiodniowe kosztują nie 100, lecz 80 franków szwajcarskich. Stosownie do programu naszej wycieczki wyjeżdżamy dziś z Bazylei w północną część Szwajcarii, stamtąd kierujemy się na wschód, dalej objeżdżamy południową Szwajcarię na zachód i wreszcie przez centralną wracamy na północ do Bazylei. Dwie cięższe walizki zostawiamy w Bazylei na przechowanie w hotelu, ze sobą bierzemy tylko moją malutką walizeczkę ręczną i Jadzia bierze trochę różnych rzeczy, zawiniętych w papier. To wszystko. Jedziemy właściwie jak stoimy. Ja nawet wyjechałem z Bohdaniszek w całą tę podróż bez kapelusza i bez paltotu, jak stałem w Bohdaniszkach w domu.

Wyjechaliśmy z Bazylei po godz. dziesiątej pociągiem „omnibus" do Schafhuzy, drogą na Stein, Sickingen, Koblenz, Eglisau, przesiadając w Stein i w Eglisau. Pociąg omnibus, choć marudniejszy, jest poniekąd ciekawszy, zwłaszcza w III klasie, jedzie się bowiem bardziej w terenie i w etnografii, staje się na każdej stacyjce, widzi się w wagonie ruch ludzi miejscowych. Pociąg biegnie przez śliczny kraj doliny Renu: sady, ogrody (właściwie prawie jeden nieustający ogród), wioseczki wesołe, miasteczka, wszystko schludne, czyste, zamożne. Ludność spokojna, flegmatyczna nawet, dobroduszna, bardzo grzeczna i uprzejma, wszakże bez żadnej uniżoności ani maniery. Piękny swobodny kraj. Po obu stronach doliny – po szwajcarskiej i po niemieckiej na Czarny Las – pas wzgórz lesistych ciemnawych, ślicznie okalających wesołą dolinę-ogród, przeciętą smugą seledynowego bystrego potoku Renu. Jesteśmy w Szafhuzie (Schafhausen). Tramwajem dojeżdżamy wstecz do Neuhausen do poziomu wodospadu Renu. Od przystanku tramwaju droga zbiega dosyć stromo w dół, niebawem słyszymy szum wodospadu i oto się nam przedstawia szalony, wspaniały, spadający z wyżyny wśród głazów sterczących, cały w kaskadach dzikich i potężnych, z hukiem pędzący wściekłe masy wód, które, spadając i rozbijając się o skały, skacząc na nie dęba, rozpryskują się i rozpylają w mgłę wodną, którą unosi powietrze jak kurz mokry. Śliczny imponujący widok. Przypominają mi się potoki i wodospady fińskie i lapońskie (Imatra, potoki Oulu, Janiskoski...). Imatra może potężniejsza w biegu, ale na dłuższej przestrzeni wąskiego kanału, tam jest bieg dziki, ale nie wodospad bezpośredni, Janiskoski – to już dosłownie wodospad, ale słabszy o wiele od Szafhuzy. Chodzimy, siadamy, schodzimy dróżką i schodami wzdłuż wodospadu, którego jedno ramię opryskuje nas pyłem wodnym. Za wodospadem Ren, spieniony i wirujący, zawraca łożysko; zawracamy i my i ze zwrotem, naprzeciwko wodospadu, dochodzimy do wielkiej kawiarni i restauracji na tarasie nad Renem. Obstalowujemy i spożywamy lunch z widokiem na wodospad – nasz obiad, który jest doskonały i smakuje nam wybornie, bo już jest koło trzeciej, apetyt dobry, kuchnia wyśmienita, dodatki do mięsa znakomite, widok lepszy od wszelkiej atrakcji i od wszelkiego koncertu. Jadzia parokrotnie fotografuje. Wreszcie pora odjazdu. Śpieszymy na pociąg. Żegnamy wodospad, pniemy się po spadzistej, ale dzięki Bogu krótkiej drodze w górę, wracamy tramwajem do Szafhuzy na dworzec, odjeżdżamy na Zurych, z okna wagonu raz jeszcze widzimy jak na dłoni wodospad Renu i po wszystkim. Do Zurychu przyjeżdżamy między siódmą a ósmą. Znam Zurych. Wielokrotnie w nim bywałem i za studenckich czasów i potem. Ostatni raz, zdaje się, w roku 1914 z Anną. Hotelu nie pamiętam jednak. Idziemy pieszo na poszukiwanie hotelu. Idziemy główną ulicą Bahnhofstrasse, którą pamiętam. Kierujemy się na jezioro, żeby tam hotel znaleźć niewielki. Chodzi o to, żeby było tanio i żeby było nad jeziorem, bo jutro jeziorem odjeżdżamy. Koło jeziora są hotele, ale wspaniałe, a więc niewątpliwie drogie. Zawracamy, przechodzimy most na lewo, tu, na placu, znajdujemy hotelik niewielki z jakąś gwarną knajpką ludową na dole i restauracją na piętrze. Wchodzimy. Jadzia, nie przywykła i nie obeznana ze zwyczajami szwajcarskimi, jest zaniepokojona. Sądzi, że to jakiś spelunek pijacki i może rozpustny. Dają nam pokoje, z których pokój Jadzi na innym piętrze niż mój. Jadzia w płacz. Nie może się pohamować. Drażni mię to, uspakajam ją i gniewam się, ale na próżno. Numerowy, bardzo sympatyczny chłopiec, bierze to do serca i załatwia rzecz tak, aby Jadzia miała pokój na tym samym piętrze, co ja. Zresztą hotelik okazał się dobry i zupełnie wygodny i porządny. To Szwajcaria.

27 czerwca, rok 1937, niedziela

Szwajcaria – to kraj swoisty. Lud szwajcarski, sprytny i dobroduszny, bawi się szczerze w knajpie, pije, gawędzi głośno, śmieje się, ale ani arogancji, ani zaczepności nie ma. W gruncie w wesołości i swobodzie nie przesadny. Toteż hotelik „Gewert", w którym nocowaliśmy w Zurychu i który wczoraj gwarem swej knajpy ludowej przeraził Jadzię, okazał się i wygodny, i czysty, starannie obsłużony, nawet serdeczny. Trochę myśmy jeszcze wczoraj wieczorem wyszli na miasto, przeszliśmy się ulicą Bahnhofstrasse aż do dworca kolejowego, Jadzia się napatrzyła na wystawy sklepowe, wróciliśmy do jeziora, zaszliśmy do kawiarni na terenie u wylotu jeziora i poszliśmy do hotelu spać. Rano o siódmej po śniadaniu wyszliśmy z hotelu, na mieście mieliśmy widok ciekawy

jakiegoś pochodu stowarzyszeń i organizacji w strojach ludowych lub w fartuchach stylizowanych; były i muzyki, i bębny, i Wilhelm Tell symboliczny, i dwa niedźwiedzie małe, maszerujące w pochodzie na czterech łapach, i jeźdźcy konni, i małe dzieci paroletnie w strojach miejscowych. I oto wszystko, cośmy w Zurychu widzieli. Udaliśmy się na przystań, tam zaraz statek został podany, wsiedliśmy. Dołączyliśmy do I klasy (2 franki szwajcarskie za dwie osoby do Rapperswilu) i zajęliśmy stolik na pokładzie wyższym. O wpół do dziewiątej statek odjechał. Znałem tę drogę, jeździłem nią do Rapperswilu przed dwudziestu kilku czy trzydziesty laty, ale zawsze sprawia ona wrażenie. Ludne, zamożne wybrzeża Jeziora Zuryskiego są śliczne. Miasteczka, wille, fabryki, ogrody – na łagodnych zboczach wybrzeża są prześliczne i pełne życia i wdzięku. Jadzia była pod wrażeniem tego widoku. Obserwowała ciekawa. Zbliżamy się do Rapperswilu. Przed wojną było to miejsce dla nas drogie i prawie święte. Polskie Muzeum Narodowe, Polskie Muzeum Niepodległości na dalekiej ziemi obcej, na wolnej ziemi szwajcarskiej w zamku rapperswilskim była świątynią wolności. W emigracji polskiej toczyły się walki i intrygi stronnictw i klik o rządy przyszłe w kraju, ale dla wszystkich było ono drogie i święte. Choć ja osobiście od dawna miałem sympatie krajowe litewskie, jednak przed wojną dla ludzi jak ja Polska była nie tylko metropolią unii, dla której mam kult mój narodowy osobisty, ale także ośrodkiem sprawy wyzwolenia całego bloku ziem i narodów byłej Rzeczypospolitej. Nie była ona pojęciem li tylko etnicznie polskim albo pojęciem panowania Polaków nad ludami tej dawnej Rzeczypospolitej. Dopiero wojna i wydarzenia powojenne rozbiły to dawne pojęcie Polski. Wprawdzie sama Polska zachowała aspiracje do całego zespołu przedrozbiorowego ziem dawnej Rzeczypospolitej i sama nadała im wyraz właśnie dominacji i monopolu polskiego, zaniechała sprawy wspólnej i zastąpiła ją przez ideę polonizacyjną: Polska dla Polaków, dla Polaków Polska cała na ziemiach nie tylko polskich, ale też litewskich, ukraińskich, białoruskich. Toteż Polska przestała być tym, czym była w sercach naszych i straciła swą atrakcję. Dla mnie solidaryzm tych ziem nie przestał być żywym i aktualnym i chcę wierzyć, że kiedyś spełni się on i zrealizuje, ale nie przez wcielenie się do Polskiej poszczególnych narodowości, jeno właśnie przez ustalenie się odrębnych wolnych państw narodowych tych ziem, które dopiero po zrealizowaniu tej niepodległości w szacunku wzajemnym uświadomią sobie solidaryzm, który nigdy nie może być imperializmem i zapanowaniem jednostronnym – idei solidarystycznej dawnej Rzeczypospolitej lepiej służy ostry separatyzm Litwy, niż narodowe państwo polskie na tych ziemiach. Toteż idea Rapperswilu, zużytkowana na cele nacjonalizmu jednostronnego, nie budzi już tych uczuć, jakie budziła dawniej. Zresztą mury Rapperswilu już dziś puste. Zbiory rapperswilskie zostały przewiezione do Polski Niepodległej. W Rapperswilu natrafiliśmy na grupę młodzieży, bodajże uczniów szkoły w Lucernie. U przystani tłum ludzi, orkiestry, zbiórki jakichś stowarzyszeń i organizacji, wycieczki. Dużo jest z hitlerowskich Niemiec przyjezdnych. Jeżeli Niemcy hitlerowskie szczycą się swoją akcją solidaryzmu narzuconego z góry, przez państwo i partię rządzącą „Führera", to wolna Szwajcaria dawno już wcieliła ten solidaryzm społeczny przez swobodne organizacje i związki. I też są symbole, pochody, tylko symbole solidaryzmu rozwijającego się demokratycznie, swobodnie, podczas gdy tam przez rodzaj cezaryzmu z góry, narzucony przez państwo. W Rapperswilu pośpieszyliśmy z przystani na stację kolejową, aby zaraz wyjechać pociągiem do Ragaz. Podług rozkładu mieliśmy 18 minut czasu, ale widocznie parostatek spóźnił się czy myśmy szli powoli, dość że nam przed samym nosem pociąg umknął. Było go nam nie dogonić, co rozprzęgało cały program podróży. Po pewnym przeto wahaniu zdecydowaliśmy się nie czekać na następny pociąg, ale jechać automobilem taxi. Służba kolejowa na dworcu nam udzieliła uprzejmie wyjaśnień, rozmówiła telefonicznie z szoferem, sprowadziła taxi. Do Ragaz z Rapperswilu 80 kilometrów. Szofer zażądał 45 franków szwajcarskich, ponieważ z drogą powrotną wyniesie mu to 160 kilometrów. Wydatek taki jest ciężki, bo w budżecie podróżnym mam ogółem na Szwajcarię po 60 franków szwajcarskich na jeden dzień. Ale zdecydowałem się, tym bardziej, że jazda automobilem sama przez się jest atrakcją. Szofera mieliśmy bardzo miłego, który udzielał wyjaśnień bardzo inteligentnie i wiózł dobrze. Droga naturalnie świetna i bardzo ładna i ciekawa. W okolicach Jeziora Zuryskiego, pełnych miasteczek, wsi i ogrodów – ruch na szosie asfaltowanej większy niż w Kownie

na Lasvės Alei. W okolicy kanału między Jeziorem Zuryskim a Wallensee ruch mniejszy, w pobliżu jeziora Wallensee szofer nasz powrócił szosą na podgórze, skąd z wysokiego punktu oglądaliśmy prześliczną panoramę z widokami jak z aeroplanu – na jezioro Wallesee i dolinę. We dwie godziny dojechaliśmy do Ragaz. Poszliśmy się przejść w Ragaz do tzw. „Tamina-Schlucht" – źródeł gorących, wytryskających w wąskiej szczelinie górskiej i wpadających do potoku w sąsiednim wąwozie. Szliśmy przepięknym wąwozem potoku w górę, przypominającym Dolinę Kościeliską pod Zakopanem, jeno węższym od tej doliny, ściśniętym między dwiema potężnymi ścianami granitu. Szliśmy długo, aż wreszcie zawróciliśmy, żeby zdążyć wrócić zjeść obiad i trafić na pociąg do Davos, gdzie dziś nasz nocleg wypada. Do „Tamina-Schlucht" przeto już nie dotarliśmy. Ragaz leży u podnóża gór. Stamtąd przez Landquart wjeżdża się już w dolinę i wąwozy górskie i pnie się w górę coraz wyżej i wyżej, dolinami miast i potoków, wąwozów, tunelami przebitymi z wąwozu do wąwozu – w okolice wysokogórskie, aż do Davos, położonego na ± 1500 metrów wysokości. Wreszcie Davos, nocleg. Chłodno, deszczyk kropi, chmury nas otaczają, wyżyny i zbocza gór gęsto pokryte płatami śniegu.

28 czerwca, rok 1937, poniedziałek

Przenocowaliśmy w Davos. Nazwa Davos obejmuje długi pas doliny, na którym jest siedem stacji kolejowych pod tą samą nazwą z takim lub innym dodatkiem (Davos-Laret, Davos-Wolfgang itd.). Czwartą z kolei, czyli środkową stację stanowi Davos-Platz, na której też wysiedliśmy, bo ta nazwa była mi najwięcej znana. Zresztą stacja Davos-Platz jest trochę niżej, niż Davos-Dorf (trzecia stacja). Davos – słynna na cały świat stacja klimatyczna dla suchotników w Alpach, znana jest co najmniej ze słyszenia każdemu. Miejscowość jest tu już wybitnie wsysokogórska, 1500 metrów nad poziomem morza, a więc wyżej od Morskiego Oka w Tatrach, bodajże na wysokości Czarnego Stawu. Zaszliśmy z Jadzią do hoteliku niewielkiego w pobliżu stacji kolejowej i tu wzięliśmy dwa pokoje na noc. Hotelik, choć niewielki, bardzo czysty i porządny, jak wszystkie w Szwajcarii, klasycznym kraju turyzmu i przeto przemysłu hotelarskiego i restauracyjnego. Przeszliśmy się następnie po „promenadzie", dosyć odludnej w tym sezonie. Powietrze było chłodne, chmury gęste w górach, deszczyk kropił. Czuć tu jeszcze wczesną wiosnę. Flora też wysokogórska. W Davos – sezon martwy turyzmu. Sezon letni zacznie się niebawem w lipcu. Przeszliśmy się, nic nie jedliśmy, albowiem syci jeszcze byliśmy z Ragazu, zaszliśmy tylko na kawę do kawiarni kurhauzu, gdzie nas uraczono wyśmienitą kawą, najlepszą, jaką kosztowaliśmy w Szwajcarii. Ładny mieliśmy wieczór i cichą dobrą noc w hoteliku w Davos. Oddycha się tu lekko, głęboko, powietrze rzeźwe i chłodne. Rano po obowiązkowym śniadaniu w hotelu (spożywanie śniadania w swoim hotelu stanowi w Szwajcarii obowiązek lokatora, jak również spożycie co najmniej jednego zasadniczego posiłku – obiadu lub kolacji; za śniadanie płaci się bez względu na to, czy się je spożyło czy nie, co zaś do jednego posiłku zasadniczego, to jeżeli się nie spożyło, to się dopłaca po franku od jednego numeru) – odjechaliśmy z Davos do St.-Moritz, położonego na wysokości przeszło 1800 metrów. Jest to stacja sportowa sławy światowej, zwłaszcza w sportach zimowych: ma w górach okolicznych doskonałe tory do biegu i skoków na ski. Teraz w St.-Moritz, jak tu wszędzie w Alpach wysokich, jest okres zacisza. Sezon sportowy zimowy skończony, sezon turyzmu letniego w sporcie alpinizmu jeszcze się nie rozwinął w pełni. Bądź co bądź, w drodze z Davos do St.-Moritz spotkaliśmy już sporo turystów cudzoziemskich, w tej liczbie młodych alpinistów Niemców, jednego Polaka, Anglików obojga płci, Holendrów. Prognozy mojej wycieczki szwajcarskiej przewidywały specjalną wycieczkę z St.-Moritz do Pontresiny i Berniny, miejscowości, położonych jeszcze wyżej w górach już u samych stóp lodowców. Jedzie się tam pociągiem złożonym z dwóch wagonów, przynajmniej w tym sezonie małego ruchu, idącym przez góry do Włoch do Tirano. Złożyliśmy nasze małe pakunki ręczne na dworcu w St.-Moritz na przechowanie i pojechaliśmy. Jechało niewielkie grono turystów Anglików i kilku górali lokalnych, brodaczy szczepu Ritt-Ramoshing, zaludniającego te wysokogórskie okolice kantonu Grizonów. Pociąg od razu mocno się pnie w górę. U każdej stacyjki wielkie hotele, restauracje, domy dla turystów. Poza tym dzika okolica górska, pastwiska, piękne krowy rasy

szwyckiej z dzwoneczkami, szałasy dla pasterzy i obory dla bydła, nie widać już zbiorów siana, a zboża lub uprawy jakiejkolwiek roślin i warzyw nie ma już od dawna. Okolice coraz dziksze. Lasy modrzewiowe i jodłowe wysokie, ale wątłe, na gruncie zasianym kamieniami i głazami, dalej już sosnowe tylko, przypominające puszcze Dalekiej Północy lapońskiej w okolicach arktycznych Oceanu Lodowatego, na razie jeszcze dużo łoneczek pięknych, pełnych wiosennego kwiecia drobnego o kolorach błękitnych, białych, żółtych i czerwonych; modrzewie ledwie rozpuszczają igiełki swoje, są jeszcze szare. Potoki biegną barwy mlecznozielonej po szerokich i przeważnie pustych łożyskach z drobnego kamienia. Coraz wyżej i wyżej. Płaty śniegu zimowego coraz gęstsze i większe, wyżej w górach bieleją wielkie pola śniegowe. Przed Bernin już las, zaczyna się wielka pustynia przedlodowcowa nagich głazów, gdzieniegdzie jeszcze łoneczka, gdzie indziej szarozielone łachy mchów, jeziorka zielone, potoki spadają ze śniegów górskich, kilkakrotnie ukazują się w pobliżu wyloty wąwozów górskich. Na stacji Bernina (jest kilka stacji tej nazwy jedna po drugiej) osiągamy wysokości przeszło 2400 metrów. Dzika pustynia polarna. Po drogach i ścieżkach, pod górami i lodowcami widać czasem szusujących turystów. W okolicach Berniny już i pastwisk, a więc i bydła nie ma. Rodzaj nierównego płaskowzgórza z jeziorkami w zagłębiach, zamkniętego ścianami piętrzących się pochyło gór, upstrzonych płatami śniegu i bielejących dużymi plamami śniegów u szczytu pomiędzy nagimi wystrzałami postrzępionych wierchów. Szczyt wielkiej góry Berniny ma przeszło 4000 metrów wysokości. Kropi, czasem formalnie pada przerywany deszcz. Nie wysiadamy jednak na stacji Bernina-Hospity, bo wczorajszy nasz szofer z Rapperswilu poradził nam dojechać do następnej stacji Alp-Grüm, która już jest za przełomem i z której widoki mają być wspanialsze, a lodowce widoczne i dostępne także, jak przy stacji Bernina. Dojeżdżamy więc do stacji Alp-Grüm i wysiadamy. Pada deszcz, jesteśmy w gęstej ciemnej chmurze. Alp-Grüm jest już nieco niżej stacji Bierniny, ma wysokość 2189 metrów. Mała stacyjka samotna, aczkolwiek nieco wyżej kilka kamieniczek z szyldami hoteli i restauracji. Od tej stacyjki tor kolejowy zbiega ostrymi zygzakami mocno w dół i ginie w tunelu. Zamiast wielkiej nierównej płaszczyzny, jak pod Berniną, cypel między ścianą pochyłą góry na lewo a głębokimi wąwozami i perspektywą łamaną gór na przedzie, na prawo zaś pod stacyjką dość głęboka wklęsłość terenu z małym jeziorkiem lazurowo-mlecznozielonym o nierównych kształtach i w pobliżu za nim charakterystyczne ujście lodowca, podobne do jakiejś łapy gęsiej albo do delty rzecznej. Jednak całego widoku nie widzimy, bo chmury gęste ciemne wciąż biegną, pędząc nie nad nami, lecz wprost przez nas, przez góry, wąwozy, szczeliny, zbocza, żadnej panoramy widoku nie dając. Widok poznajemy tylko w przybliżeniu z poszczególnych fragmentów tu i ówdzie odsłanianych przelotnie. Nawet wylot lodowca na zboczu za jeziorkiem rozpoznajemy przed samym odjazdem. Gdybyśmy o nim wiedzieli i gdyby deszcz nie padał, moglibyśmy doń dotrzeć. Zimno i mokro. Próbujemy przeczekać deszcze. Stacyjka puściutka, tylko dwóch mężczyzn służby kolejowej, gospodyni restauracji i młoda służąca ładna zimnego typu blondynki lombardzkiej, podobnej do Szwedki – wszyscy czasowo z nudów grają w karty. Siadamy obok w pokoju i jemy obiad. Chmury i deszcze ani myślą ustać. Spędzamy tu trzy godziny, ale bez żadnego skutku. Na koniec wychodzimy troszeczkę na małą niby łoneczkę przy stacji nad przepaściami i wąwozami wielkiego otworu panoramy na południu, ale na tym też kończymy całą imprezę. Mamy tylko smak wrażenia wysokogórskiego, nic więcej. Skąd jest przełom górski Berniny na południu w kierunku włoskim. Jest toteż przedział naturalny etnograficzny. Na północy do Berniny – panuje mowa retoromańska ludu, od Alp-Grüm i dalej – włoska. Po trzech godzinach przechodzi pociążek i zabiera nas z powrotem do St.-Moritz, w którym spędzamy resztę dnia i nocujemy.

29 czerwca, rok 1937, wtorek

Po powrocie wczoraj z wycieczki do Berniny pozostaliśmy już na resztę dnia i na noc w St.-Moritz, żeby dziś pojechać autobusem pocztowym do Lugano. Zrobiliśmy małą przechadzkę po osadzie St.-Moritz, która jest położona znacznie wyżej od stacji kolejowej i do której przeto dojechaliśmy autobusem, nie odważając się iść tak wysoko pieszo. Dużo tu wspaniałych hoteli, jak

przystało na wielką międzynarodową stację sportową, jedną z najsłynniejszych dziś na świecie w sporcie zimowym, i cała niewielka mieścina Moritz-Dorf przedstawia się pięknie – czysta i elegancka. Zresztą St.-Moritz jest rozrzucone po wybrzeżach jeziora i zboczach gór. Pogoda przed wieczorem się poprawiła, chmury się przeważnie rozproszyły, tylko gdzieniegdzie jeszcze po górach pełzały, słońce oblało zbocza i szczyty. Dziwny i charakterystyczny jest zapach w St.-Moritz, jak w Davos, bardzo subtelny i przyjemny, ledwie uchwytny, ale przecie wciąż się powtarzający, jakby go jakiś powiew powietrza unosił i w falowanie wprawiał. Jadzia go nie czuła. Ja czułem ciągle, to mniej, to więcej, czasem niezmiernie wyraźnie. Podobny zapach uchwyciłem na czerwonych kwiatkach, które tu na łąkach rosną i które ludzie bukietami całymi noszą albo poszczególne kwiatki mają zwyczaj w ustach trzymać, nie wypuszczając kwiatka nawet podczas rozmowy lub pracy...

Pokoje na noc w St.-Moritz wzięliśmy w hotelu „Marque" w pobliżu stacji kolejowej. Hotel bardzo duży, w ogromnym gmachu. Zdawało nam się, że jest pusty, a więc drogi nie będzie. Okazał się jednak nie tylko drogi, ale i niesłychanie pretensjonalny na modłę bogatej klienteli turystów. Służby co niemiara, więcej niż gości – na każdego gościa w restauracji po kilka panien usługujących, z których każda co innego robi, i oprócz tego ich dozorczyni, *maitre d'hotel* – wszyscy biegają dokoła gościa z powagą, jak gdyby celebrowali obrządki święte podług rytuału ścisłego, aby go nakarmić, napoić i... wydoić. Przypomniał mi się „Vieux Doulon" w Hadze i hotele w Scheveningen. Oprócz tego bez liku innej służby – *chasseurów*, panien służących, portierów etc. – cały sztab z dokładnym podziałem funkcji i hierarchią, jak w ministerium. Chyba to już ekwipunek na zbliżający się sezon. Sale bogate, meble, dekoracje. Wolę prostsze hoteliki.

Dziś rano wyjechaliśmy autobusem pocztowym do Lugano. Na abonament ta jazda się nie rachuje. Za dwa bilety zapłaciliśmy 38 franków szwajcarskich. Na moją kieszeń to dosyć drogo. Ale podróż autobusem była śliczna. Jechaliśmy na skrawek Włoch północnych. Droga szła wpierw szeroką równiną wysokogórską wzdłuż pasma jeziorem między górami do Maloji, stamtąd od razu po krętej łamanej drodze, wijącej się wzdłuż zbocza spadzistego, zjeżdża się głęboko w dół i wciąż się dalej pędzi coraz niżej, coraz niżej z gór w dolinę. Jest to spadek na południe ku Włochom. Pod Chiavenną granica włoska. Trzeba tylko pokazać paszporty, wiz nie potrzeba. Walutę się deklaruje; walizki ręczne zaplombowuje się bezpłatnie na przejazd przez terytorium włoskie. Jedziemy przez Chiavennę, potem wzdłuż jeziora Como. Ciepło, słonecznie, pięknie, wesoło – Włochy. Natura bogata, flora i wegetacja – bujna, ogrody piękne, figusy, palmy, oleandry kwitnące, drzewa oliwkowe i figowe, winnice, wszystko błyszczy w słońcu i cieszy się życiem. Jadzia zachwycona. Dla nas, ludzi Północy, to jakiś raj egzotyczny. Lśnią wody jeziora. W Menaggio stajemy na krótko. Tłumy Włochów u wybrzeża, wszystko żywe, gestykuluje, nawołuje się, podchodzą i odpływają statki, w pobliżu gra orkiestra. Dzień św. Piotra. Nabożeństwa w kościołach, gdzieś natrafiamy na procesję religijną. Przez Candrię wjeżdżamy znów na terytorium szwajcarskie. Oto zaraz Lugano. Jesteśmy w Szwajcarii włoskiej. I tutaj palmy, egzotyka, słońce, ludność i miasto eleganckie, dokoła pełno życia, ruchu, ślicznie. Autobus nas dowiózł do dworca kolejowego, tam upatrzyliśmy za dworcem hotelik, skromny, solidny i charakterystyczny (hotelik nazywa się „Luzerna"). Zjechaliśmy funikiulerem od dworca na wybrzeże jeziora, tam w restauracyjce jakiejś na placu nad jeziorem zjedliśmy doskonały obiadek, spacerowaliśmy nad jeziorem, cieszyliśmy się, jedliśmy owoce wspaniale, w szczególności śliwki pachnące czerwone, jakich nigdy nie jadłem, fotografowaliśmy, piliśmy kawę w cukierni na ulicy i słuchaliśmy koncertu. Jadzię rozmarzały aleje palm, oleandry w kwiecie, figusy ogromne, drzewa kaktusowe przepiękne, fontanny, elegancja publiczności, miasta, jeziora, słońca, barw. Jezioro Lugano – jak fiord lśniący w ramach gór. Kolację zjedliśmy w naszym hotelu „Luzerna" na tarasie nad miastem i na tym zakończyliśmy dzień.

30 czerwca, rok 1937, środa

Pożegnaliśmy Lugano, bardzo miłe i ładne miasteczko, które nam sprawiło wrażenie jak najlepsze w tej podróży i rano odjechaliśmy znowu dalej. Śpieszy mi się trochę, bo w tę sobotę upływa termin naszego abonamentu ośmiodniowego na jazdę po Szwajcarii i muszę przeto do soboty

włącznie zakończyć wycieczkę i wrócić do Bazylei, a obiecałem Jadzi jeden cały dzień zabawić w Genewie. Skądinąd zaś mój zapas pieniędzy szwajcarskich, choć nie jest jeszcze zupełnie na wyczerpaniu, ale już mocno jest nadwerężony i przeto trudno by mi było zdobyć się na kupowanie biletów jazdy poza abonamentem. Muszę więc jutro dotrzeć do Genewy, a chcę jeszcze poprzednio zboczyć z Visp do Zermattu dla specjalnej extra przejażdżki wysokogórskiej do Gornergratu. Gdyby nie potrzeba pośpiechu, zostałbym jeszcze dzień w Lugano dla przejechania się stąd do pobliskiego Mediolanu we Włoszech. Proponowano mi tam tę jazdę dziś rano autokarem; kosztowałoby w obie strony, łącznie z obejrzeniem kompletnym wszystkiego, co w Mediolanie jest do zwiedzania – 8 franków szwajcarskich od osoby. Wiz nie potrzeba, tylko paszporty, które mamy. Tentował nas bardzo Mediolan. Jadzia dużo słyszała o pięknej marmurowej białej katedrze mediolańskiej, ja Mediolan znam trochę z roku 1914, kiedy w nim byłem z Anną; pociągał mię zarówno sam Mediolan, jak przejechanie się po prześlicznej Dolinie Lombardzkiej, jednej z najpiękniejszych w Europie. Wczorajsza jazda przez skrawek Włoch od Chiavenny do Menaggio zachwyciła Jadzię, bardzo wrażliwą na egzotyczne piękno i bogactwo flory – kwiatów, drzew, ogrodów, winnic, a cóż dopiero, gdyby ujrzała winnice w ogrodzie lombardzkim rozpięte między drzewami morwowymi i gaiki oliwkowe. Ogród Lombardii jest piękny jak raj. Musiałem jednak poskromić tę tentację. Jadzia, choć się nie przyznawała do tego, przez cały dzień bolała nad tą wycieczką chybioną do Mediolanu, a gdy się potem okazało, że wycieczka do Zermatt-Gornegratu wymaga dopłaty, bo nie jest objęta abonamentem, to się tak przejęła jak dziecko tą stratą Mediolanu, że zupełnie straciła na humorze i łez powstrzymać nie mogła. Rzeczywiście, gdybym wiedział, że to zboczenie do Zermattu tyle będzie kosztować, to bym je na Mediolan zamienił bardzo chętnie i nie wypadłoby drożej. Chłodu i dzikości gór Jadzia ma już trochę dosyć, woli żyzne bogate doliny i cywilizację kwitnącą, a ja także wolałbym Mediolan, zwłaszcza tańszy. No, ale już odjechaliśmy. Do Airola przez Szwajcarię włoską jechaliśmy dolinami kwitnącymi, ale po przejechaniu Tunelu Gotardzkiego do Göschenen na stronę północną do Szwajcarii niemieckiej trafiliśmy znów w chłód przenikliwy. W Göschenen na dworcu zjedliśmy obiad i małą kolejką łącznikową elektryczną po dzikich wąwozach i skałach wspięliśmy się do Andernset, skąd drogą wysokogórską przez Furkę i Gletsch potoczyliśmy się do Brig. Jechaliśmy coraz wyżej i wyżej. Ze sfery lasów wjechaliśmy w pustynię wysokogórską na blisko 2000 metrów wysokości. Nędzne pastwiska, wielkie stada krów z dzwoneczkami, czyniącymi prawdziwy koncert w tych pustynnych polach, gęste połacie śniegów, rozkopane na torze i unoszące się czasem prawie że do wysokości wagonów, tak że pociąg sunie przez nie jak przez korytarz... Wreszcie koło stacji Gletsch lodowiec się ukazał. Zimno. Pada drobniutki śnieg. Dzika i posępna natura. Dalej zaczynamy zjeżdżać stopniowo niżej. Oto Brig, zmiana pociągu na Zermatt. Okazuje się, że trzeba kupić bilet, bo abonament na tę boczną kolejkę wysokogórską nie działa. Dopłata droga, na dwie osoby do Zermatt wynosi przeszło 38 franków szwajcarskich, a jutro do Gornergratu będzie nowa dopłata. Chwilę się waham, ale się decyduję. Jadzia milczy, ale czuję, że nie bardzo zadowolona. Gór ma dosyć, trapi ją Mediolan, poświęcony tej extra wycieczce górskiej, w dodatku drogiej. W pociągu na Zermatt pełno ludzi. Są to wycieczkowcy i turyści obojga płci i różnego wieku, alpiniści, włóczędzy angielscy itd. Droga ładna. Znowu coraz wyżej dolinami w góry, przez wąwozy i tunele. Zermatt na wysokości ± 1700 metrów. Chłód przenikliwy. Zachodzimy do nędznego hoteliku, robimy malutką wyprawę do miasteczka, pełnego hoteli i żyjącego z turyzmu i alpinizmu, zachodzimy gdzieś na kawę i wracamy do hotelu. Co robić – lepszy byłby Mediolan, ale stało się.

1 lipca, rok 1937, czwartek

Choć żałowaliśmy oboje z Jadzią, że zamiast do Zermatt nie wybraliśmy się wczoraj z Lugano do Mediolanu, co nas by mniej więcej to samo (w wycieczce autokarem) kosztowało, to jednak, skorośmy już do Zermatt przyjechali, należało jechać stąd jeszcze na górę Gornergrat. Albowiem być w Zermatt i nie być w Gornergrat – to mniej więcej to samo, co być w Rzymie i nie widzieć papieża. Ponieważ jednak postanowiłem dziś jeszcze dotrzeć do Genewy, więc, więc na Gornergrat mieliśmy

tylko tyle czasu, ile trzeba na to, by dojechać i najbliższym pociążkiem powrotnym, odchodzącym co pół godziny, powrócić do Zermatt. Wycieczka do Gornergrat zakwalifikowana była w moim programie podróżnym przez lektora Studerusa jako „pasakiško grožio kalnų kelionė". Nowa dopłata za bilety – na dwie osoby 32 franki szwajcarskie. Abonament generalny, który mamy, na tę kolejkę wysokogórską specjalną nie działa; daje tylko pewien rabat na cenie biletu: zapłaciliśmy 32 franki zamiast czterdziestu. W każdym razie, zboczenie z Viss do Zermatt i dalej do Gornergrat kosztowało nas 36+32 franki = 68 franków szwajcarskich ekstra. Na moją kieszeń podróżną to już niemało. Ale – „назвался груздем, полезай в кузов" – powiada przysłowie rosyjskie. Utracony Mediolanus przeto tym bardziej zabolał. Ale gdyśmy wsiedli do kolejki, której dwa wagoniki były przepełnione wielką rzeszą turystów i alpinistów i gdyśmy pojechali na tę górę Gornergart – to zapomnieliśmy o Mediolanie i o 68 frankach dopłaty i nie żałowaliśmy już niczego. To najlepsze świadectwo wartości tej wycieczki. Jej piękno samo nas zdobyło i przekonało. Zaiste – jest to wycieczka bajecznego, wprost klasycznego piękna górskiego. Już w Zermatt spoza gór wyziera rogaty śnieżny szczyt Materhorn, który wygląda jak szczątek góry, jak jeden jej fragment boczny, pozostały po odłamaniu większej części jej cielska. Z Zermatt kolejka bezpośrednio wspina się coraz wyżej i wyżej po brzegach zbocza gór nad dolinami coraz wyższymi, które pozostają głęboko w przepaścistym dole. Ta droga – to cud techniki komunikacyjnej. Przez parę tunelów przerzuca się droga nad inne wąwozy i ukazuje się cały łańcuch śnieżnych szczytów potężnych. Kolejka się wije, w pobliżu pierwszej stacyjki Riffelalp już się kończą lasy, które u dołu w Zermatt były jodłowe i modrzewiowe, a u góry składały się już tylko z samotnych sosen. Materhorn nam świeci, jesteśmy prawie na wysokości jego podstawy śnieżnej, ale oddzieleni od niego przepaścią i wielkimi polami pustyni po jego i po naszej stronie. Jedziemy dalej coraz wyżej i wyżej. Nie widać już żadnych dolin, jeno wielkie przestrzenie nierównej pustyni, na której dużo płatów śnieżnych i gdzieniegdzie ubogie łoneczki, mchy, trochę kosodrzewiny, ale dużo widać kwiatków czerwonych i ciemnobłękitnych fiołków alpejskich, rosnących grupkami. Głazy, kamienie, jeziorka, stawki, strumienie ubogie, błotka zielonkawe. Pogoda śliczna. Druga stacyjka – Riffellberg. Ciągle bez przerwy jedziemy w górę, krążąc po zboczach wielkich gór, ale już bez przepaści i wąwozów. W pobliżu każdej stacyjki wielkie hotele dla turystów, których się tu snuje po tych wyżynach mnóstwo obojga płci – przeważnie Anglików. Dojeżdżamy do kresu kolejki: stacja Gornergart. Dość powiedzieć, że Zermatt leży na wysokości 1620 metrów, podczas gdy Gornergart – na wysokości 3102 metrów. Żadnych już tam nie ma nawet mchów i kwiatków. Głazy, pustynia zupełna, dzikie, wielkie śniegi, w pobliżu lodowców błyszczy Materhorn i inne szczyty. Na mnie rozrzedzone powietrze wysokogórskie na tej wysokości 3100 metrów już działa. Ja, który się nie boję żadnego trzęsienia i kołysania, który znoszę wszelkie środki komunikacji, nie doświadczam nigdy choroby morskiej i nic mi jazda aeroplanem nie czyni, czuję się na tej wysokości nieswojo. Coś jakby mi brak tchu, jakby się w głowie kręci i słabo robi, jakiś niepokój czuję. Na razie bałem się nawet, że nie będę mógł wstać i iść, ale mogłem. Trochę się pokręciliśmy z Jadzią, wykonaliśmy kilka zdjęć fotograficznych i zaraz musieliśmy wracać. Wracaliśmy sami jedni. Cała wataha turystów rozsypała się w Gornergrat i pozostała. Powrót w dół był równie piękny i pełny efektów widokowych i florowych. Zaraz też wyjechaliśmy z Zermatt, w Visp-Viage trafiliśmy na pociąg pośpieszny ekspres Mediolan-Paryż, którym dojechaliśmy do Montreux, tam wysiadliśmy, spożyliśmy obiad w jakiejś pięknej restauracji w ogrodzie nad Lemanem i wsiedliśmy na statek po Lemanie do Lozanny i stamtąd do Genewy. Do Genewy dojechaliśmy wieczorem po godzinie dziewiątej. Ponieważ to czwartek – dzień „wielkich wód" – natrafiliśmy na Genewę wspaniale iluminowaną i na wielką fontannę na jeziorze, oświeconą i wspaniałą jak słup świetlny rozwichrzony kosą spadających wód dokoła mocnego pnia, strzelającego wodą w górę. Jadzia była zachwycona. Przeszliśmy przez most i ulicę do dworca kolejowego, gdzie na rogu placu zaszliśmy na noc do hotelu „Hotel Suisse", w którym mieszkałem w roku 1923.

2 lipca, rok 1937, piątek

Cały dzień spędziliśmy w Genewie. Eleganckie miasto. Włóczyliśmy się. Oto w jednym słowie cały nasz program dnia. Prawie cały dzień byliśmy na nogach. Przysiadaliśmy czasem na ławeczkach na Quai du Mont Blanc, na wyspie Jana-Jakuba Rousseau... Obiad doskonały zjedliśmy w brasserie przy ulicy wiodącej od dworca do mostu, byliśmy w paru kawiarniach, pojechaliśmy autobusem popatrzeć na nowy pałac Ligi Narodów („Palais des Nations"), przyglądaliśmy się łabędziom i innym ptakom wodnym, Jadzia z upodobaniem oglądała witryny sklepów i kupiła kilka serwetek wyszywanych. Słowem – chłonęliśmy swobodnie Genewę, że tak powiem – piliśmy ją wrażeniowo. Nous avons flané. Et c'est tout. Czujemy Genewę, widzimy jej kształty, jej ruch.

Jutro wyjeżdżamy. Wracamy wprost do Bazylei. Jutro się kończy nasz abonament kolejowy i kończy się piękna wycieczka szwajcarska. W programie moim była jazda z Genewy do Neuchatel, stamtąd na Bern, Spieg, Interlaken, Brünig, Jezioro Czterech Kantonów, Lucernę, do Bazylei. Ale jesteśmy syci wrażeń i czasu jest mało, więc pojedziemy na Neuchatel, Biel, Olten – prościutko.

Pozajutro w niedzielę jedziemy do Paryża. Niepokoi mię wielce zapowiadany na jutro, sobotę, lokaut hoteli, restauracji, kawiarni – w całej Francji. Konflikt socjalny w zakresie przemysłu hotelarskiego i restauracyjnego we Francji doszedł do zenitu.

Chodzi o 40-godzinowy tydzień pracy w tej branży. Pracownicy tego przemysłu i ich syndykaty żądali bezwzględnego zastosowania tej normy, pracodawcy opierali się, pracownicy i syndykaty grozili strajkiem, rząd ogłosił dekret o 40-godzinowym tygodniu, pracodawcy, zorganizowani w odpowiednich izbach, zareagowali zapowiedzią lokautu na jutro. Zamknięcie wszystkich hoteli, restauracji, kawiarni, sklepów spożywczych – zadałoby cios turyzmowi i Wystawie Międzynarodowej, ale obie strony są usposobione radykalnie i nie chcą ustąpić. Rząd z udziałem bezpośrednim nowego premiera Chautempsa pośredniczy w rokowaniach między organizacjami pracodawców i pracowników i usiłuje doprowadzić do kompromisu. Na naszą jazdę do Paryża podziałałoby to fatalnie. Ja sam dałbym jeszcze radę i znalazłbym gdzie się podziać, choćby w poselstwie litewskim, u Klimasa, u Natkiewicza, wreszcie u profesorów Le Fura lub Mestre'a, ale gdzie bym podział Jadzię. Chyba mię poratowałby Władek Terlikowski, mój stary przyjaciel, albo Glikman, albo by Mackus Jadzi swój pokój ustąpił. W każdym razie, sytuacja byłaby bardzo trudna. Gazety dużo o tym piszą, bo to wielka sensacja, ale nic wyraźnego co do wniosków dotąd nie ma. Ale trudno uwierzyć, żeby do tego doszło, zwłaszcza w pełnym sezonie Wystawy Powszechnej. Byłby to cios dla Wystawy, ale i dla Francji, byłoby to szaleństwo. Byłby to akt rewolucyjny anarchii gospodarczej, akt wojny społecznej, kompromitującej cały ustrój. Trudno uwierzyć, żeby pracodawcy rzeczywiście na tę drogę wkroczyli. Kto wie, czy nie byłaby to z ich strony walka o zwycięstwo Pyrrusowe. W każdym razie ten problem mię dotyczy tym razem bezpośrednio i niepokoi. Gdyby chodziło tylko o mnie – przyjmowałbym to filozoficznie i nawet bym był ciekaw takiej ewentualności, ale w podróży z Jadzią to by było komplikacja bardzo trudna.

3 lipca, rok 1937, sobota

Dzień dosyć bezbarwny w naszej z Jadzią podróży szwajcarskiej. Zakończenie ośmiodniowego abonamentu kolejowego i przeto finał podróży. Rano po raz ostatni przeszliśmy się po Genewie, nad jezioro na Wyspę Rousseau i o godzinie dzesiątej z minutami odjechaliśmy pociągiem pośpiesznym wprost na Bazyleę równiną przez Lozannę, Neuchatel, Biel i Olten. Gór, to znaczy szczytów śnieżnych, nawet z okien wagonu nie widzieliśmy, bo tonęły w chmurach, choć na równinie dzień był pogodny, słoneczny i gorący, tylko charakterystyczne piękne zielone jeziora szwajcarskie oglądaliśmy po raz ostatni (Leman, jeziora Neuchatelskie i Bielskie). W Bazylei zjedliśmy obiad, przeszliśmy się jeszcze na miasto kupić owoców, czekolady i koloniki dla mnie i na tym zakończyliśmy dzień. Wcześnie udaliśmy się na spoczynek. Jutro wyjeżdżamy do Paryża. Chwała Bogu – gazety przynoszą wieści uspakajające w sprawie ewentualnego zamknięcia hoteli, restauracji i kawiarni, która to sprawa mocno mię w ciągu kilku dni niepokoiła. Rząd zdołał doprowadzić do kompromisu. Ani strajku, ani lockoutu nie będzie. All right.

4 lipca, rok 1937, niedziela

Wreszcie Paryż. Trzeci i ostatni, bodaj najczynniejszy wielki etap naszej podróży. Nauheim, Szwajcaria, Paryż. Wyjechaliśmy rano z Bazylei na Alzację do Francji. Jechaliśmy pociągiem pośpiesznym, który wychodzi z Bazylei koło godziny ósmej rano, zatrzymuje się w drodze tylko kilka razy (Mulhouse, Belfort, Troyes) i w Paryżu (Gare de l'Est) staje o pół do trzeciej po południu. Jazda przez Francję do Paryża od wschodu jest dosyć banalna. W Alzacji giną już pola-ogrody na wzór Równiny Szwajcarskiej, wprost usianej drzewami owocowymi. Znika też stopniowo podgórze. Wielka równina, wielkie pola zbożowe, laski, łąki, rzeki gdzieniegdzie. Osad ludzkich, miasteczek, nawet wiosek – mało. Ogromne przestrzenie wsi szczerej, nieraz wprost jak okiem sięgnąć. Nie ma tego gęstego zasiania miasteczek, osad i wiosek, jak w Niemczech i Szwajcarii, ani też sieci zaścianków izolowanych, jak np. u nas po reformie agrarnej, która wygubiła piękne zadrzewione stare wioski i wieś obróciła w mrowisko małych zaścianków-ferm włościańskich. We Francji Wschodniej wieś co się zowie.

Wjazd do Paryża od strony Gare de l'Est też nie jest imponujący. Baulieu dość banalne, potem nagle urządzenia i instalacje kolejowe, wielkie rozgałęzienia toru i już Gare de l'Est. Wychodzimy z Jadzią, żadnego tragarza, sami niesiemy walizki, idę poszukać taksi, jedziemy. Trochę zgiełku, olśnienia żadnego. Paryż przedstawia się Jadzi na razie ponury. Prędko przebiegamy bulwar Sebastopol, wskazuję Jadzi Tour St. Jacques, oto Cité, Jadzia sama poznaje Notre Dame, przecinamy Boulevard St. Germain, wjeżdżamy w małe uliczki górne i na koniec jesteśmy na rue de l'Ecole Politechnique u małego hoteliku Mackusa, gdzie mieszkałem w roku 1935. Mackus teraz już tam nie mieszka, ale miał nam tutaj pokoje zamówić. Pokojów nie ma, gospodarze jacyś nie tacy serdeczni, jak w roku 1935. Jedziemy dalej na rue de la Sorbonne do hoteliku des Facultés (pod nr 8), w którym mieszka Mackus. Nie ma go w domu; wyruszył rano na jakąś ekskursję. Zresztą nie był uprzedzony dokładnie o terminie naszego przyjazdu. Ale pokoje dwa dostajemy. Są one na IV piętrze, wysoko, ale wcale dobre, zwłaszcza mój, o dwóch oknach na ulicę na wprost gmachu Sorbony, dosyć ładnie umeblowany i wygodny. Hotelik mały. Typowy hotelik. Typowy hotelik kwartału studenckiego; ale schludny, służby najętej – żadnej, sprzątają sami gospodarze. Zresztą bywając w Paryżu – nigdy w życiu nie mieszkałem gdzie indziej, niż w Quartier Latin, który kocham i któremu wierny jestem. Cena pokojów niedroga. Za dwa pokoje płacić będę dziennie po 10 franków, co wobec spadku kursu franka jest bardzo tanio. Pieniędzy mam, zdaje się, dosyć; mam prawo wydawać do 500 franków dziennie. Idziemy z Jadzią na obiad, który jemy w brasserie Dupont na Bul-Michlu. Zakład ten i publiczność pstra, i jakieś rozprzężenie nie robi na Jadzi dobrego wrażenia. Paryż zaczyna się jej nie podobać. Porównuje z Genewą, która się jej szczególnie podobała. Znajduje Paryż brudnym i Paryżanie wydają się blagierami i partaczami. Po posiłku wiozę ją kolejką Métro na wielkie bulwary do Porte St. Denis. Métro zupełnie pusty, nudny, a rednel wielki. Wrażenie Jadzi coraz gorsze. Idziemy przez bulwary do Opery. Ruch automobilowy wielki, pieszy – jeszcze większy, ale magazyny prawdziwe – przeważnie zamknięte z powodu niedzieli, witryny zasłonięte, natomiast brzegi chodników zastawione budkami jarmarcznymi z tandetą i blagą oszustów i kłamców, którzy krzyczą, reklamują się, naciągają, prawią historie gapiom. Wrażenie Jadzi nie poprawia się. Na Placu Opery siadamy w Café de la Paix, idziemy stamtąd rue de la Paix, ale że tam wszystko pozamykane, więc przechodzimy na avenue de l'Opére, wchodzimy następnie w dziedziniec Louvre'u w przepiękną perspektywę Luwru, Tuileries, Concordy, wychodzimy na Pola Elizejskie ku Arce Triumfalnej. Wrażenie Jadzi się poprawia. Piękno i elegancja zaczynają zdobywać. Siedzimy w kawiarni na Polach Elizejskich, wieczór zaczyna zapadać, zaczynają się zapalać efekty świetlne, wracamy automobilem taksi do hotelu. Tyle na dziś Paryża. Niebawem przychodzi też Mackus. Pracuje on za przewodnika, raczej tłumacza ekskursji turystycznej litewskiej. Zarabia trochę na tym, bo mu za to płacą po 75 franków dziennie, co za pięć dni daje mu 425 franków – dobry dodatek do jego pensyjki, jaką ma od nas z uniwersytetu. Otrzymuję list, który przyszedł na moje imię od Celiny. List pełny fantazji, z którego wypiera harda dusza mojej córki, która mi przypomina trochę

moje przeżycia psychiczne z młodości. Podoba mi się to, choć jest trochę egzaltowana. Odpisuję do niej zaraz.

5 lipca, rok 1937, poniedziałek

Do obiadu chodziłem z Jadźką po Paryżu. Na obiad byłem się umówił z Mackusem, że się spotkamy w restauracji Rouriera na placu St. Michel. Na stopę studencką Mackusa jest to już restauracja bardzo droga i elegancka. Spotkaliśmy się tam o oznaczonej godzinie i dobrześmy zjedli. Jako osobliwość, której nigdy dotąd nie tylko Jadzia, ale i Mackus nie kosztował, zafundowałem im na przekąskę... żaby! Ja sam tę potrawę także mało praktykowałem. Raz tylko jadłem żaby w Bordeaux w roku 1903 czy 1904. Po obiedzie oddałem Jadzię pod opiekę Mackusa, który ją powiózł na wystawę, gdzie miał pełnić obowiązek tłumacza dla ekskursji litewskiej z Kowna. Ja zaś pośpieszyłem na posiedzenie Konferencji de la Coopération Intellectuelle Internationale, która dziś rano została otwarta i ma miejsce w ubikacjach Palais Royal. Zastałem tam posiedzenie w toku. W konferencji bierze udział kilkadziesiąt komisji narodowych, w tej liczbie są też komisje nasze bałtyckie – litewska, którą reprezentuję ja i sekretarz generalny naszej komisji Trimakas (miał być także Soblys, ale nie przyjechał), łotewska, którą reprezentuje jej prezes prorektor Adamovics, estońska w osobach prof. Puusepsa i paru innych profesorów, w ich liczbie dziekan Wydziału Literackiego czy Humanistycznego; jest też delegacja komisji szwedzkiej w osobie sympatycznego p. Knösa. Na konferencję zgłoszony też jest mój referat o współpracy intelektualnej regionalnej międzybałtyckiej. Ponieważ referat mój, jak inne, jest z góry opracowany i wydrukowany, więc sądziłem, że nie trzeba będzie go wygłosić ustnie. Okazało się jednak, że trzeba. Jest on na porządku dziennym siódmy z kolei. Dziś wygłoszony był tylko referat zasadniczy prof. Focillona z Sorbony (teścia naszego młodego prywat-docenta Baltrušaitisa) i gdym przyszedł, to do godziny szóstej toczyły się dyskusje nad referatem Focillona. Dyskusja na ogół była mało rzeczowa i treściwa. Głównymi punktami spornymi były kwestie: czy współpraca intelektualna ma być ograniczona do elity intelektualnej (teza zwłaszcza delegacji szwajcarskiej), czy też ma sięgać do mas, następnie jaki ma być zakres akcji itp. Niektóre mowy były jednak ciekawe. Jeden z mówców bardzo dosadnie charakteryzował szablonowość nauczania szkolnego, gdy się dzieciom w koloniach francuskich wpaja z podręczników szkolnych takie tezy, jak np.: „*Nos ancêtres Gaulois avaient des yeux bleus et portaient des grandes moustaches blondes*”[5]. Oczywiście, że się przez to dzieciom murzyńskim wpaja fałsz, bo ich przodkowie nie mieli zgoła ani oczu błękitnych, ani wąsów blond.

Do następnych referatów dziś nie doszło. Poinformowano mię, że mój referat będzie miał miejsce jutro na posiedzeniu popołudniowym. Na przyjęcie po posiedzeniu konferencji nie pojechałem. Wróciłem do domu. Tu już i Glikman się zgłosił. Poszliśmy z nim, Mackusem i Jadzią do kawiarni tradycyjnej studenckiej „La Source” na Bul-Miszlu. Glikman jest pełny pomysłów. Urządza dla mnie obiad u prof. Mestre'a, zaprasza mię na śniadanie pojutrze z Jadzią, będzie na referacie moim na konferencji, gada o forsowaniu mojej kandydatury do Trybunału Międzynarodowego w Hadze.

6 lipca, rok 1937, wtorek

Dzielę mój czas w Paryżu między prywatnym moim życiem z Jadzią a moim udziałem formalnym w kongresach i w reprezentacji międzynarodowej Litwy.

W tych dniach zbiegły się dwa kongresy, w których formalnie udział brać miałem: w konferencji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej i Kongresie Nauk Społecznych. W konferencji musiałem brać udział przede wszystkim, bo mi się to należało z tytułu prezesa narodowej Komisji litewskiej Współpracy Intelektualnej i referatu, zgłoszonego przeze mnie na konferencję i opłaconego w kwocie 1000 franków. Konferencja ta trwa od 5 do 9 lipca. Kongres zaś Nauk Społecznych trwa tylko dwa dni, 5-6 lipca: wczoraj się rozpoczął, dziś się zamyka. I tylko ze

[5] Nasi przodkowie Galowie mieli niebieskie oczy i nosili długie blond wąsy (fr.).

względu na to, że ja w tym czasie w Paryżu jestem, naraz Wydział Prawniczy upoważnił mię do reprezentowania naszego uniwersytetu na tym kongresie. Jednak trudno było te dwa przedstawicielstwa pogodzić. Całe poobiedzie wczoraj poświęcić musiałem Konferencji Współpracy Intelektualnej, czekając mojej kolejki referatu. Dziś na posiedzeniu poobiednim od godziny trzeciej znów na konferencję śpieszyć musiałem, aby znów mojej kolejki referatu wyczekiwać. Na Kongres Nauk Społecznych (socjologii i dyscyplin pokrewnych) zostawał mi tylko ranek dzisiejszy. Toteż po śniadaniu odprowadziłem Jadzię do hoteliku i udałem się na poszukiwanie tego kongresu. Pod adresem, który mi udzieliło nasze poselstwo litewskie, znalazłem tylko biuro, gdzie mi wskazano, że kongres odbywa się w Sorbonie. Poszedłem do Sorbony, błądziłem po korytarzach, dopytywałem się, ale znaleźć miejsca posiedzenia kongresu nie zdołałem. Dałem więc spokój i wróciłem do Jadzi, z którą udałem się do wielkich magazynów „Samaritaine”. Jadzia parę drobiazgów kupiła, zresztą włóczyliśmy się i oglądaliśmy. Potem zjedliśmy śniadanie i ja pośpieszyłem na Konferencję Współpracy Intelektualnej i stawiłem się na godzinę trzecią na otwarcie posiedzenia popołudniowego. Przed moim referatem na porządku dziennym były jeszcze cztery inne referaty. Były to referaty o współpracy intelektualnej międzyamerykańskiej o współpracy intelektualnej Ameryki z Europą, referat japoński i jeszcze jakiś. Szły one po dwa pokrewne sobie, po czym szła dyskusja. Wszystko się toczyło mniej więcej w sferze ogólników. Wniosków konkretnych nie było. Siedziałem do końca posiedzenia i czekałem mojej kolejki. Nie doczekałem się jej dzisiaj. Mój referat o regionalnej współpracy intelektualnej międzybałtyckiej jest wyrazem nie tylko naszej akcji litewskiej, ale także litewskiej, estońskiej i fińskiej, a poniekąd i szwedzkiej. Wszystkie te delegacje czekają na mój referat. W delegacji litewskiej oprócz mnie i Trimakasa zasiadał dziś także Glikman. Na ogół wszystkie delegacje czterdziestu kilku narodów są rozmieszczone w porządku alfabetycznym u trzech długich stołów. Stół pierwszy, na prawicy od prezydium, zasiadają delegacje krajów od litery A (Argentyna, Australia, Austria) do litery bodaj F Finlandia, reprezentowana przez posła fińskiego w Paryżu, nikt bowiem z komisji narodowej fińskiej nie przyjechał na konferencję). Stół drugi, środkowy, zajmują delegacje krajów na literę G, H, I, K, a więc na przykład Węgry (Hungaria), Włochy (Italia), Japonia. Nasza delegacja litewska siedzi przy tym stole ostatnia – po Łotwie (Lettonia) i Libanie, którego miejsce świeci zresztą pustką, tak że mamy naprzeciwko siebie Łotysza prof. Adomovicsa, jedynego z Łotwy, i w najbliższym sąsiedztwie trzech grzecznych dystyngowanych, jak zawsze, gentlemanów japońskich. W porządku alfabetycznym za nami następuje Luksemburg, którego delegacja siedzi już u trzeciego stołu – na lewicy od prezydium. U tego stołu siedzi, też Polska, Szwecja i wreszcie na ostatku Čechosłowacja (Tchecoslovaquie) i Jugosławia (Yugoslavia), a za nami jeszcze grupa księży katolickich, stanowiących osobną Organizację Katolickiej Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. Charakterystyczne, że Niemcy nie są wcale reprezentowane i manifestacyjnie udziału w międzynarodowej współpracy intelektualnej pod egidą Ligi Narodów nie biorą. U Niemców we wszystkim jest szorstkość i bezwzględność. Faszystowskie Włochy, imperialistyczna Japonia, chociaż politycznie z Ligi Narodów się wycofała, do organizacji współpracy intelektualnej należy i w konferencji występuje czynnie. Naturalnie, że Japonia, która na Dalekim Wschodzie rządzi się jak szara gęś metodami imperializmu i siły z nikim i niczym się nie licząc i tworząc wielkie imperium swoje, kpi sobie w sercu z wszelkiej współpracy egalitarnej w duchu humanizmu francuskiego lub indywidualizmu angielskiego, ale zachowuje na zewnątrz wobec świata europejsko-amerykańskiego wszelkie pozory solidaryzmu humanitarnego i ma na ustach frazes popularny, który ją nic nie kosztuje. Przewrotni Azjaci są chytrzy. Niemcy walą obstrukcję prosto z mostu.

7 lipca, rok 1937, środa

Wczoraj na posiedzeniu poobiednim Konferencji Współpracy Intelektualnej do mojego referatu kolejka nie doszła. Prezes Instytutu Międzynarodowego tej „Coopération Intellectuelle” w Paryżu, p. Bonnet, uprzedził mię, że dziś posiedzenie ranne rozpocznie się od mojego referatu. Toteż stawiłem się akuratnie na godzinę dziesiątą. Okazało się atoli, że jeszcze jest zapisanych do głosu szereg

mówców w dyskusji nad wczorajszymi referatami amerykańskimi. Czekałem przeto. Ciągnęło się to długo. Nie była to właściwie dyskusja, jeno przeważnie informacyjne uzupełnienia różnych delegacji południowo-amerykańskich (Kuba, Chili, Meksyk...) o tym, jak która z komisji narodowych tych różnych krajów działała, co uczyniła, jak pojmuje zadania i drogi współpracy intelektualnej w zakresie narodowym i międzynarodowym itp. Dużo było wody, powtarzania się, ględzenia. Prezydium się już niecierpliwiło. Nie dawano wcale tłumaczeń angielskich tych mów. Wreszcie popisy południowo-amerykańskie się wyczerpały. Ale po nich przemawiał jeszcze delegat Luksemburga, w którym współpracę, intelektualną wewnętrzną charakteryzuje zagadnienie dwóch grup językowych ludności – niemieckiej i francuskiej, wreszcie ładne przemówienie wygłosił delegat Egiptu, przedstawiciel grup arabskich, ślepy młody poeta egipski, bardzo owacyjnie przyjęty. Po nim wreszcie, już między dwunastą a pierwszą, przyszła kolej na mój referat, należący do sekcji zagadnień organizacji regionalnej tej współpracy. Złożyły się na tę grupę dwa referaty: mój – o współpracy regionalnej międzybałtyckiej i profesora Rumuna Tzitzeicei, prezesa komisji narodowej rumuńskiej, o współpracy regionalnej międzybałkańskiej. Różnica była jednak na korzyść naszą ta, że podczas gdy w naszym referacie bałtyckim mówiliśmy o tym, co u nas już dokonane i co stało się faktem żywym i czynnym, to referat bałkański zawierał dopiero *desiderata*, wnioski, zamierzenia, raczej dopiero pożądania. Na ogół odczytałem mój referat dobrze i dobitnie. Zdaje się – sprawił wrażenie dobre. W dyskusji, otwartej nad tymi dwoma referatami ze strony bałkańskiej zabierała głos Bułgaria i ktoś jeszcze, w stosunku zaś do mego referatu bałtyckiego Łotysze i Estończycy, na ogół solidaryzujący się ze mną i radzi z mego referatu, nic do powiedzenia nie mieli, natomiast zabrał głos poseł fiński w Paryżu jako delegat komisji fińskiej, i p. Knös, stanowiący delegację szwedzką. Finlandia jest naszą partnerką współpracy intelektualnej bałtyckiej, Szwecja w ostatniej naszej konferencji międzybałtyckiej w Tartu w jesieni roku 1936 wzięła także udział w charakterze obserwatorki, ale rezolucje konferencji podpisała. Obaj delegaci, fiński i szwedzki, zasadniczo tezy mojego referatu potwierdzili. Obaj tylko zaznaczyli, że poza tym i przede wszystkim należą oni do regionalnej grupy skandynawskiej, zaś delegat szwedzki Knös, który mi poprzednio wyraził obawę, czy czasem mój referat o współpracy regionalnej bałtyckiej nie obrazi Polaków, których się w tej współpracy nie uwzględnia, i który bał się widocznie, aby mój referat nie uczynił wrażenia, że Szwecja się zamyka specjalnie w regionalnej współpracy z nami, zastrzegł jeszcze, że Szwecja naturalnie chętnie się z nami solidaryzować we współpracy zamierza, jak się skądinąd solidaryzuje we współpracy bardzo czynnej z szeregiem innych państw i grup, jak np. z Polską, i że w ogóle Szwecja zawsze na północy Europy jest i chce być czynnikiem twórczym cywilizacji zachodniej w kontakcie z narodami sąsiednimi. Te zastrzeżenia odcieniowe i precyzyjne nie osłabiły jednak bynajmniej tez zasadniczych mojego referatu. Potem przemawiał jeszcze o współpracy intelektualnej małych narodów delegat węgierski i wreszcie z pewnymi wnioskami wystąpił delegat austriacki, w szczególności o dopuszczeniu ewentualnym w podkomisjach i debatach rzeczoznawców współpracy intelektualnej języków niemieckiego, włoskiego i hiszpańskiego. Na tym posiedzenie poobiednie zamknięto.

Moja rola w Konferencji Współpracy Intelektualnej Międzynarodowej skończona. Nadal delegację litewską reprezentować będzie na konferencji już tylko Trimakas. W związku z konferencją odbywa się szereg przyjęć, obiadów i rautów. Ja w nich wszakże udziału nie biorę. Wyręcza mię Trimakas. Byłem tylko na jednej herbatce, raczej na szampanie, wczoraj w jednym z pawilonów wystawy. Używam Paryża prywatnie i w uroczystości przedstawicielskie bawić się nie chcę, bo one mię nie pociągają.

Wieczorem byliśmy jeszcze z Jadzią w wielkiej efektownej kawiarni „Coupola” na Montparnasie.

8 lipca, rok 1937, czwartek

Wolny dziś byłem. Na posiedzeniu Konferencji Współpracy Intelektualnej już więcej, po odbyciu mojego referatu, nie chodzę: zastępuje mię tam Trimakas. Podobno dziś były tam nawet

ładne przemówienia, dotyczące perspektyw i organizacji współpracy intelektualnej międzynarodowej, co stanowi główny punkt programu konferencji i będzie stanowiło podstawę dla rezolucji. Ale już moja obecność nie jest konieczna, a w gruncie rzeczy nie bardzo się lubuję w posiedzeniach i mowach, szczególnie w Paryżu i latem. Mam jeszcze Kongres „Alliance Française", na który przywiozłem raport naszego Towarzystwa Litewsko-Francuskiego w Kownie, którego prezesem jestem, ale czynnie się w prace tego kongresu angażować nie zamierzam. Kongres ten dziś został otwarty, ale ja dopiero jutro się tam udam, złożę mój raport i ewentualnie pomówię z panami z zarządu. „Alliance Française", której celem jest propaganda kultury francuskiej na szerokim świecie, jest w kontakcie ze wszystkimi towarzystwami narodowymi dla stosunków z Francją, a więc i z naszym, i proteguje je, udziela subsydiów i pomocy wszelkiej.

Jeździłem dziś z Jadzią do Lasku Bulońskiego, byliśmy na szczycie Arki Triumfalnej na Placu Etoile, lunch jedliśmy w restauracji Prunier, której specjalnością są wszelkie „*frutti di mare*", o godzinie piątej byłem na herbatce proszonej u posła litewskiego ministra Klimasa, na której zebrało się do 30 osób wybitniejszych Litwinów, bawiących w Paryżu bądź w charakterze członków różnych kongresów (jest ich powódź cała obecnie), bądź zabawiających się tu turystów z okazji wystawy. Jest burmistrz Kowna Merkys wraz z burmistrzami Mariampola, Szawel i Wiłkomierza, jest kilku wojskowych, są urzędnicy wyżsi, są panie i panienki.

Na wieczór umówiliśmy się z Mackusem i Glikmanem na kolację w restauracji węgierskiej na terenie wystawowym. Wczoraj Glikman i Mackus nam z Jadzią fundowali śniadanie w restauracyjce włoskiej na rue des Ecoles w Quartier Latin, dziś je im rewanżowałem. Najedliśmy się gulaszu, papryki i innych pieprznych potraw doskonałej kuchni węgierskiej, napiliśmy się dobrego wina węgierskiego, nasłuchaliśmy się wygrywanych przez orkiestrę czardaszów i innych melodii cygańsko-węgierskich. Wystawę obeszliśmy tylko trochę na zewnątrz wśród pawilonów zagranicznych, a po kolacji oglądaliśmy iluminację i efekty świetlne. Trzeba przyznać, że wystawa jest dekoracyjnie wspaniała i w pewnych szczegółach stanowi kompozycję architektoniczną niezrównaną. Architektura i efekty świetlne święcą należne im triumfy. Widok jest z fantazji, piękniejszy od bajki. Nie wyobrażałem, że jest tak pięknie. Do wnętrza pawilonów nie wchodziłem, a zresztą na studia wnętrz trzeba byłoby więcej czasu i pracy poświęcić. Ale samo przejście się po wystawie daje rozkosz. Zaiste rozkwit renesansu architektury, który się dokonał na oczach naszych w ostatnich paru dziesięcioleciach, jest imponujący. Po zupełnej dekadencji architektury w wieku XIX, kiedy spadła ona w latach naszej młodości do poziomu szpetoty bez żadnego stylu i idei, mamy dziś styl w architekturze przepiękny, zbliżający ją do wzorów antycznych z dodatkiem pomysłów śmiałych o polocie i wyrazistości zdumiewających. A bogactwo i rozmaitość efektów świetlnych, które rozwinęła elektryczność, prześciga w sztuce dekoracyjnej wielkich placów i perspektyw terenu wszelkie najśmielsze wzory, jakie kiedykolwiek były w przeszłości. Jest to początek jakiejś nowej ery piękna, którego ludzkość nie znała nigdy. Są to rzeczy prawdziwie wielkie.

Andrzej Mieczkowski pisał, że w sprawie jego wyjazdu na kursy francuskie do Nancy zaszła pewna komplikacja. Paszport i wizę litewską otrzymał, ale poselstwo francuskie w Kownie bez pozwolenia z Paryża z Quai d'Orsay nie może mu dać wizy jako nie mającemu obywatelstwa żadnego. Poselstwo więc zwróciło się do Paryża z zapytaniem. Wczoraj sam pojechałem osobiście do Quai d'Orsay i pozwolenie dla Andrzeja uzyskałem. Przyrzeczono wysłać depeszą do poselstwa w Kownie, aby wizy udzieliło. Andrzej będzie zachwycony i zaraz wyjedzie. Podróż, kursy i utrzymanie, jak dla kursanta, kosztować go będzie 300 litów. Ja mu na to ofiarowałem 500 litów, może mu też matka coś doda, aby miał na drobne wydatki i na wycieczkę z Nancy do Paryża, bo i wizy go trochę kosztowały.

9 lipca, rok 1937, piątek

Miałem dziś udać się na Kongres Alliance Française. Nie miałem zamiaru brać w nim udziału czynnego, ale bądź co bądź chciałem się zgłosić – „*faire acte de présence*" – złożyć sprawozdanie naszego Towarzystwa Litewsko-Francuskiego na piśmie, rozejrzeć się trochę i posłuchać obrad. Ale

zanim się dowiedziałem w poselstwie litewskim adresu tego kongresu i udałem się tam, już było po posiedzeniu porannym. Trafiłem na samą przerwę. Rozchodzono się właśnie. Przyjął mię jednak p. Paul Labbé, wiceprezes „Alliance Française" (okazało się, że go znam trochę, bo się z nim poznałem, gdy bawił w Kownie na obiedzie u ówczesnego posła francuskiego p. Ristelhubera). Okazało się, że sprawozdanie akcji francuskiej w krajach Europy postawione było właśnie na dzisiejsze posiedzenie i że ponieważ nikogo z Litwy na posiedzeniu nie było, przeto streszczenia naszego sprawozdania dokonał sam p. Labbé, który przewodniczył. Moja więc rola w tym względzie stała się zbyteczna. W każdym razie, wpisałem się na listę członków kongresu, otrzymałem wszystkie legitymacje, opłaciłem nawet udział w ekskursji do Chantilly na poniedziałek, bo trudno mi było odmówić temu wobec gorących nalegań p. Labbé, ale w ekskursji tej na pewno udziału nie wezmę i zapewne w ogóle już na ten kongres się nie zgłoszę.

W poselstwie litewskim złożyłem dziś wizytę p. Miłoszowi, byłemu w pierwszych leciech po wojnie posłowi litewskiemu w Paryżu. Jest to człowiek 60-letni, wyrafinowanej kultury, jeden z najsubtelniejszych poetów francuskich, syn bogatej rodziny ziemiańskiej z powiatu sieńskiego byłej guberni mohylewskiej, która pochodziła jednak z Litwy rdzennej, człowiek, który miał zawsze sentyment wielki dla Litwy, choć po litewsku nie mówi, Litwin z przekonania i sympatii, z urodzenia spolonizowany kulturalnie, następnie radykalnie sfrancuziały. Ale jego miłość dla Litwy jest głęboka i romantyczna, bez cienia zresztą karierowiczostwa lub polonofobii. Lubię tego człowieka i rozmowa z nim czyni na mnie wielkie wrażenie. Jest to mistyk głęboki, samotnik radykalny, rozkochany w zagadnieniach religijno-filozoficznych, oddany studiom Biblii i prahistorii, mający bardzo ciekawe i głębokie poglądy na dzieje ludzkości, człowiek, który ma pasję dociekań i hipotez konstrukcyjnych, szczery i idealistyczny, zabobonny i całą istotą zatopiony w swoich studiach i spekulacjach, oderwany od świata jak zakonnik średniowieczny. Jest w nim wielkość i siła indywidualności, jest pewna wszechludzkość tragiczna w samotności zupełnej. Wydział Teologiczno-Filozoficzny naszego uniwersytetu ofiarował mu niedawno tytuł doktora honorowego, na co on odpowiedział pięknym listem do mnie jako rektora. Chciałem go widzieć w Paryżu i pozdrowić jako naszego doktora uniwersyteckiego. Miałem z nim ciekawą i ładną rozmowę. Lubię takich ludzi, w których nie ma blagi ani kariery, jeno najczystsza miłość i entuzjazm, powaga studiów i skromność z wulkaniczną pracą Syzyfa. Są to wielcy tragicy, jak Michał Anioł, ludzie zupełni.

Na obiad Glikman zaprowadził mnie, Jadzię i Mackusa do restauracji chińskiej w Quartier Latin. Jedliśmy oryginalne potrawy chińskie z ryżem zamiast chleba, zapijane herbatą doskonałą zamiast wina.

Po obiedzie składałem wizyty, raczej rozwoziłem bilety wizytowe – do proferostwa Focillon, do deputowanych Riona i Grandmaisona, do prof. Lapradelle'a, do pp. Natkiewiczostwa. Wieczorem znowu z Glikmanem, Jadzią i Mackusem byliśmy na wystawie, jedliśmy kolację w restauracji szwedzkiej, gdzie usługują studentki Szwedki, potem w czasie iluminacji i efektów świetlnych przejechaliśmy się parostatkiem wystawowym po Sekwanie wzdłuż całego terenu wystawy tam i z powrotem. Jest to prześliczna wycieczka z tysiąca i jednej bajki. Iluminuje się cała wieża Eiffla, strzelają w górę, pękają i spadają kaskadą ogni kolorowych rakiety świetlne, w rzece tryskają fontanny i kaskady fantastyczne, oświetlone z dołu różnymi i zmieniającymi się barwami całej tęczy – zielona, błękitna, żółta i innych barw i odcieni fontanny, parostateczki jaskrawo iluminowane i świecące jak roztopione światło w wodzie, po rzece biegają lotem strzały motorówki i kilka razy przelatują uczepione na sznurkach zapewne do motorówki figury nagie ludzi na ski wodnych, słowem pełno atrakcji i dekoracyjności, że niepodobna opisać i wyrazić tego piękna i efektu. A wszystko to na tle wielkiej iluminacji gmachów, reklam i urządzeń wystawowych.

10 lipca, rok 1937, sobota

Nie mam czasu na dziennik. Piszę krótko. Dosyć się napisałem dziennika przez cały czas podróży. Byłem na ogół bardzo akuratny w tej pracy. Mogę sobie pozwolić na przerwę.

Przyjechał do Paryża Diskin. Zajechał do tego samego hotelu, co my z Jadzią i Mackus. Zamiast Glikmana będę miał teraz na ostatnie dni pobytu w Paryżu – Diskina. Zresztą do wieczora z Diskinem mało się dziś włóczyłem. Byłem z Jadzią rano w muzeum Luwru na malarstwie, w godzinach poobiednich w pięknym Panteonie, gdzieśmy oglądali malowidła ścienne Puvisa de Chavannesa, rzeźby etc.

Na obiedzie byłem u prof. Mestre'a, którego wycieczka z odczytami do Kowna już ustalona na październik. Quai d'Orsay ją finansuje. Mestre z Kowna chce jeszcze udać się do Rygi i Tartu, toteż zaprosił dziś na obiad nie tylko mnie i ministra litewskiego Klimasa z żoną (także Glikmana), ale także bawiących w Paryżu profesorów: Łotysza Adamovicsa i Estończyków Puusepa i Travela. Wieczorem byłem krótko na wystawie z Jadzią i Diskinem. Oto dzień dzisiejszy.

W Paryżu szerzy się strajk kawiarni, restauracji i hoteli. Powszechnym nie jest, ale bardzo dużo większych zakładów jest zamknięte.

11 lipca, rok 1937, niedziela

Dzień dzisiejszy przeznaczyłem na St. Cloud i na Wersal (Versailles). Zwłaszcza z St. Cloud łączą mię wspomnienia serdeczne młodości z czasów, gdym tu na wiosnę roku 1905 mieszkał. Tu się kochałem w pięknej piętnastoletniej Suzanne Richard, tu ją odbiłem od jej poprzedniego narzeczonego pana Jonbeana, zdobyłem jej serce i serce jej pięknej matki, tu się z nią zaręczyłem. Nic z tego nie wyszło *à la longue*, opór moich Rodziców zniszczył ten zamiar, może nieco dziecinnie i hardo powzięty, który by nam z Suzanne zapewne szczęścia nie dał, ale który był pięknym snem mojej młodości. Chciałem tu pojechać sam jeden z Jadzią, ale grzeczność wymagała zaprosić na wycieczkę także Diskina. A skoro już jechał z nami Diskin, to zaprosiłem i Mackusa. Wybraliśmy się więc we czworo. Do Sèvres dojechaliśmy tramwajem od Luwru i stamtąd do St. Cloud – koleją żelazną wzdłuż Sekwany, którą przed trzydziestu dwoma laty jeździłem setki razy z St. Cloud do Paryża lub z Paryża do St. Cloud. W St. Cloud na placu u mostu nad Sekwaną wszystko, jak było dawniej. Kawiarnie, stacyjka kolejowa, wielka restauracja „Pavillon Bleu" przy wejściu do parku nad Sekwaną. Poszliśmy ulicą stromą wiodącą do wielkich tarasów parku. Tu przy tej ulicy u wylotu bocznicy w pobliżu wejścia do parku mieścił się w domu rogowym hotelik z restauracją i kawiarnią pp. Richard, w którym mieszkałem i stołowałem się i gdzie właśnie nawiązał się mój poemat miłosny z Suzanne-Germaine. Hotelik ten odwiedzałem kilkakrotnie potem, bywając w Paryżu – w roku 1909, w roku 1923, może w 1931, ale już pp. Richard tam nie było i nic o nich nie wiedziano; tylko tyle, że zbankrutowali i wyjechali. Teraz nie ma już nawet budynku, w którym był hotelik i nie ma uliczki bocznej. Wszystko to zniesiono i na tym miejscu buduje się pono wielka autostrada z tunelem pod parkiem. Przeszliśmy się po parku, którego poszczególne epizody są dla mnie pełne wspomnień, Jadzia porobiła kilka fotografii i znów wyszliśmy na plac nad Sekwaną. Zjedliśmy obiad i pojechaliśmy z górnej stacji do Wersalu. Pałac Wersalski, jego wspaniałe wnętrza i jego ogrody – wielkie dzieło sztuki i elegancki pomnik królewskiej wielkości Francji – sprawiły głębokie wrażenie na moich towarzyszach wycieczki, z których Jadzia i Diskin oglądali to po raz pierwszy. Niestety – nie była to niedziela „wielkich wód" w Wersalu, kiedy to fontanny są na stawach wersalskich puszczane.

Z Wersalu wróciliśmy do Paryża, bo na godzinę szóstą zaproszony byłem do pp. profesorostwa Focillon na szklankę wina z ciastami. Starego prof. Fosillona, znanego profesora Sorbony, poznałem po raz pierwszy. Słyszałem o nim dużo. Robi wrażenie spokojnego grzecznego staruszka. Rozmówić się z nim obszerniej i głębiej nie miałem sposobności. U pp. Focillon zastałem naszego docenta prywatnego Baltrušaitisa (syna poety i posła litewskiego w Moskwie) z żoną, która jest córką pp. Focillon (czy też może tylko pani Focillon z pierwszego jej małżeństwa, ale zupełnie adoptowaną faktycznie przez profesora).

Wieczorem byliśmy jeszcze z Jadzią, Diskinem i Mackusem na wystawie. Byliśmy na „II piętrze" wieży Eiffla, potem przejechaliśmy się wedetą (parostatkiem wystawowym) po Sekwanie w czasie iluminacji. Oglądaliśmy fontanny kolorowe, iluminację wystawy, widzieliśmy motorówki

pędzące i popis efektowny kobiety nagiej na ski wodnych, ciągnionych w pędzie szalonym przez łódź motorową w kilku kołach między dwoma mosteczkami. Oświetlona też była wieża Eiffla. Ale nie było rakiet i nie było muzyki i śpiewu z głośników w rzece. W piątek efekty były wspanialsze. Wtedy też na ski wodnych latała po rzece nie jedna kobieta, jak dziś, lecz troje ludzi. Jedliśmy kolację w restauracji francuskiej na wystawie. Więcej już wystawy nie zobaczymy. Wnętrze pawilonów obejrzałem trochę tylko wczoraj, ale tylko w pawilonie bałtyckim, w którym Litwa, Łotwa i Estonia mają po jednym pokoju (pawilon jest wspólny) i w pawilonie polskim. Innych zwiedzić nie miałem możności. Pawilon bałtycki jest dosyć skromny, ale niebrzydki. W pokoju litewskim prawie wyłącznie folklor i wyroby zdobnictwa ludowego. Niektórzy Litwini są bardzo nieradzi z pawilonu bałtyckiego i pokoju litewskiego w tymże, ale ja znajduję, że jest niezły, a od Francuzów też słyszałem, ze się podoba. Przed paru tygodniami bawił tu nasz chór akademicki z zespołem tanecznym w swym łonie. Tańce ludowe litewskie w strojach ludowych demonstrowała nasza grupa taneczna chóru akademickiego kilkakrotnie, na wielkich popisach konkursowych i osobno. Podobno powodzenie było wielkie. Nasze stroje narodowe i nasze stylizowane tańce charakterystyczne litewskie należały do najpiękniejszych.

12 lipca, rok 1937, poniedziałek

Ostatni dzień w Paryżu. Przed wyjazdem rozmaite jeszcze interesy i potrzeby, którym poświęciłem dzień dzisiejszy. Na pozawczoraj i wczoraj odczepiłem się trochę od Glikmana, który ma żyłkę faktorską, bardzo częstą u Żydów, i który gdy kogoś weźmie w obroty i zacznie się koło niego kręcić, to się staje uprzykrzonym. Chce się nim opiekować, chce towarzyszyć wszędzie, narzuca się uczynnością, po prostu bierze człowieka w pacht i nie wypuszcza z rąk. Ciągle mi prawi o mojej kandydaturze do Trybunału w Hadze, o promocji na komandora Legii Honorowej, obiecuje wszystko to urządzić, poruszyć wszystkie sprężyny, chwali się swymi stosunkami, sądzi, że próżność zaszczytów i bogactwa jest moją słabością. W istocie chce na moich stosunkach zdobywać i umacniać stosunki własne, liczy też ewentualnie na moją protekcję, tym skuteczniejszą, im wyżej zajdę. W Paryżu chciałby nie odstępować mię na krok. Muszę się od niego wyzwalać. A lubi wszystko w dobrym gatunku i dobre: jak jechać – to tylko automobilem, jak jeść – to tylko w dobrej restauracji, jak pić – to tylko doskonałe wino. Za wszystko zaś płacę ja. I namawia mię do spekulacji giełdowej, przyrzeka mi na zarobkach spekulacyjnych sfinansować wszystkie koszta podróży. Nie wiem – może jest szczery, może rzeczywiście żywi sympatię i wdzięczność dla mnie – może za to, że mu przez moje stosunki poczyniłem pewne ułatwienia w odbywaniu powinności wojskowej w Kownie, może za to, że go dobrze przyjąłem i że go traktuję na stopie przyjaznej, podczas gdy inni Litwini stronią trochę od niego. Ale już go mam dość, bo nie zna miary. Lubię go nawet i jest mi on przyjemny, ale do czasu. On zaś jest taki, co jak pijawka się przyczepia. Dziś go znowu mieć musiałem, bo po dwóch dniach przerwy należało mi się z nim pożegnać okazyjnie przed wyjazdem. Zaprosiłem go na obiad, a razem i Mackusa. Nie mogłem wyłączyć i Diskina, który zresztą jest bardzo delikatny, nie narzuca się nigdy i nie stara się spaść na moją kieszeń. Słowem – miałem obiad aż na pięć osób ze mną i Jadzią. A na pożegnanie trzeba było i szampana zafundować. Wyprawiliśmy ten obiadek u Ruziera, ale już na tym koniec. Glikmana pożegnałem. Jadzia dziś była pod opieką Mackusa i Diskina. Byłem u prof. Le Fura, który mię był zaprosił listownie na obiad na czwartek. Musiałem go uprzedzić, że we czwartek już mię nie będzie w Paryżu. Miałem jeszcze Terlikowskiego do odwiedzenia i wieczorem odczyt Estończyka z Tartu prof. Tarvela – w Sorbonie – o wpływach kulturalnych francuskich w Estonii. Włodek Terlikowski, dziś sławny malarz, żonaty z córką byłego ministra Leyguesa, osobą bardzo bogatą, śpiewaczką i tancerką, o lat 30 a może i więcej młodszą od niego, ale w nim zakochaną, która się dla niego rozwiodła z pierwszym mężem, jest moim przyjacielem z moich lat studenckich. Jest to typowy Cygan z bohemy artystycznej w Paryżu, przed laty 30-35, gdyśmy się znali, nędzarz zupełny, bogaty li tylko fantazją i pomysłowością do kawałów najdziwaczniejszych. Pomagałem mu nieraz i naciągał też on mnie i innych młodych studentów Polaków w Paryżu w sposób zaiste klasyczny, ale robił to z fantazją i dla

uciechy, z czego się sam śmiał i śmieszył innych. Nigdy grosza nie miał, a gdy naciągnął i miał, to rozdawał wszystko. Serce złote, fantazja, humor, pomysłowość, kawały szalone. Sprzedawał nam dziesięciu czy trzydziestu to same płótno i farby dla robienia portretu, który zaczynał węglem, aby potem zetrzeć i zaczynać następnego, od każdego biorąc awans na płótno i farby dla portretu. Umiał zaprosić młodego chłopca nowicjusza do droższej restauracji, tam go zapraszać do jedzenia i picia, aby wreszcie umknąć przed opłatą rachunku i nieopatrznego fuksa narazić na płacenie, z czego potem sam mu śmiał się w oczy i opowiadał zabawnie innym. Wciągał nas w orgie „czarnych" czy też „białych" „mszy" z dziewczynami nagimi na „ołtarzu". Były z nim u nas tysięczne kawały. Z prostytutkami, z naiwnymi dziewczątkami – wyprawiał niestworzone rzeczy. Burżujom bogatym potrafił na schodach przed wejściem do mieszkania nabrudzić i zadzwonić, a sam uciekał, podczas gdy z eleganckiego mieszkania otwierając na dzwonek drzwi – zastawano dymiący gnój ludzki bez śladu sprawcy. Był to Cygan artystyczny legendarny w bohemie młodzieży polskiej w Paryżu przed laty 30. Nie zmienił się i teraz, choć jest bogaty i sławny, ma kilkadziesiąt orderów, zna osobiście Mussoliniego i króla włoskiego, maluje portret sułtana marokańskiego, uchodzi za mistrza w malarstwie. Z wielkich magazynów Luwru, które należały do jego teścia Leyguesa, zafundował trzy fortepiany trzem muzykantom pewnego kabaretu, na skutek czego cofnięto mu kredyt, że nawet skarpetek nie pozwolono na kredyt kupować. Ponieważ wszystko, co ma, rozdaje i trwoni, więc rodzina żony roztoczyła nad nim, a raczej nad jego obrazami, opiekę, bez której nie może on nimi rozporządzać. Wszakże darował mnie i Jadzi po jednym ładnym obrazie w pracowni swojej, do której nas zaprowadził. Byłem bowiem u niego wpierw sam, a potem po odczycie Tarvela, powróciłem do niego na jego życzenie – z Jadzią i Mackusem. Piękne ma mieszkanie, śliczne obrazy swoje, bogatą pracownię na dwa piętra w kamienicach żony, które chałupami nazywa. Zawiózł nas do kawiarni „Rotunde" na Montparnasie, poił kawą z likierem i niestworzone dziwy wyprawiał, jak za dawnych czasów studenckich. Przedrzeźniał namalowane kobiety, speszył młodą dziewczynkę, sprzedającą papierosy, że ta wydała resztę i uciekła, zapominając zabrać pieniądze (potem ją dognał i po pieniądze przyprowadził), żebraczce dał pieniądze, wysypał do jej worka cały cukier i zaczął szklanki i spodki pchać do worka, że się służba kawiarniana zbiegła, szklanki odebrała i żebraczkę wypędziła, sprowadził do stołu naszego jakąś dziewczynkę Francuzeczkę, którą napoił i nakarmił, kojarząc ją z Mackusem i niestworzone kawały z Mackusem wyprawiając. Zabawiliśmy się świetnie. Jadzia była roześmiana i zachwycona.

13 lipca, rok 1937, wtorek

Wyjazd z Paryża. Droga powrotna do kraju. Podróż skończona.

Nie ma już pociągu, który wychodził z Paryża z Gare du Nord o siódmej rano, był w Berlinie przed północą i dawał możność przesiąść się tam zaraz na pociąg do Dyneburga i być w Abelach nazajutrz o godzinie piątej. Teraz jest z jazdą gorzej. Wyjeżdżać trzeba albo z wieczora pociągiem pośpiesznym, ale tylko II klasą, albo rano o ósmej do Kolonii. Rano też o ósmej wyjechaliśmy dziś z Jadzią. Na dworzec odprowadzili nas Mackus i Diskin, a niebawem przyjechał pożegnać się z nami i Glikman, który ofiarował Jadzi bukiet pięknych róż pąsowych. Odjechaliśmy, żegnając serdecznie miły i piękny Paryż, ale ciesząc się też z powrotu do Bohdaniszek, bo podróż za granicę jest przyjemna i ładna, ale po paru tygodniach już fizycznie męcząca, toteż wraca się do domu z prawdziwą przyjemnością. Zmęczenie fizyczne podróży i wrażeń dało wypoczynek umysłowy, ale wymaga znów odpoczynku fizycznego.

Pociąg, którym jechaliśmy był pośpieszny, ale szedł tylko do Kolonii. Do granicy Belgijskiej mieliśmy klasę II, dalej III. Byliśmy zmęczeni i niewyspani po wczorajszej bibie nocnej z Terlikowskim w cafè de la Rotonde. Lękałem się trochę komór celnych na granicach belgijskiej i niemieckiej, bo Jadzia nakupiła dużo drobiazgów w Paryżu, które mogą stanowią kontrabandę, a chociaż ja mam paszport dyplomatyczny, który zawsze stanowi wybitny atut na granicy, to jednak urzędnicy celni mogą przy rewizji nie wiedzieć o paszporcie, który sprawdzają nie oni, jeno żandarmi. Jednak granicę belgijską przejechaliśmy dobrze. Nic nam nie patrzano. Przez Belgię się

jedzie przez zagłębia węglowe – okolice Charleroi, Namur, Leodium – wszystko czarne, smród miału węglowego, czad. Jadzia źle się czuje. Nudzi ją, womituje. Ale oto granica niemiecka. Akwizgran. Znowu paszporty, rewizja celna, deklaracje walutowe. I tutaj rewizja celna nam się udaje. Niemcy coś sprawdzają, zapytują, co wieziemy w osobnym pakunku nie rozwiązanym; mówię, że farby (istotnie – dla Zosi Römerowej i dla Stefana Römera); farby – to rzecz „trefna" na granicy niemieckiej, ale urzędnik celny sam mi pomaga, pyta, czy tranzytem i dokąd, odpowiadam, że tak, że do Litwy, a więc wszystko dobrze. Niebawem Kolonia. Tu musimy zabawić pięć godzin do pociągu na Berlin. Idziemy się trochę przejść, rozmienić Register-marki, kupić płaszcz od deszczu dla mnie. Z dworca wychodzimy na piękny stylowy plac ze słynną prześliczną katedrą kolońską. Krążymy trochę po uliczkach pobliskich w okolicy katedry, załatwiamy sprawunki, pijemy kawę na dużym tarasie naprzeciwko frontu katedry. Widok majestatyczny. Ale bezpośrednio po Paryżu nic nam nie imponuje, choć Kolonia na ogół jest ładna. Wreszcie wyjeżdżamy. Jesteśmy bardzo zmęczeni, a przed sobą mamy całą noc w wagonie III klasy, dosyć pełnym zmieniającej się publiczności. Do Berlina przyjedziemy dopiero jutro rano o godzinie szóstej.

14 lipca, rok 1937, środa

Przez noc dojechaliśmy z Kolonii do Berlina. Ciężka była noc. Męcząca. W wagonie dużo ludzi. Jadzia trochę się kładła na ławce, dopóki jej nie spędzano, ja przesiedziałem całą noc, o leżeniu ani mowy nie było. W Berlinie i przez cały dzisiejszy dzień podróży czuliśmy się bardzo zmęczeni po dwóch nocach niewyspanych. O ile miła była cała podróż i najmilszy był Paryż, o tyle ciężki był ten powrót z Paryża.

W Berlinie spędziliśmy dwie godziny i pojechaliśmy dalej – na Królewiec, gdzie dziś nocować będziemy. W drodze częściowo drzemałem. Ale czas płynie i chwała Bogu wszystko ma swój koniec. Przejechaliśmy tzw. „korytarz" polski, Wisłę, Prusy Wschodnie. Jedziemy już II klasą. A oto Królewiec wreszcie. Większe walizki oddaliśmy na przechowanie i ruszyliśmy na miasto. Gdzieś na jakiejś uliczce znaleźliśmy hotelik maleńki, który się okazał bardzo nędzny i obskurny, połączony z jakąś karczemką na dole. Kazano się nam zapisać, zapełnić z góry, dano dwa małe i dość brudne pokoiki, wprawdzie tanie. Poszliśmy jednak na miasto na staw zamkowy, stanowiący jeden z efektowniejszych punktów Królewca, tam zjedliśmy obiad, potem jeszcze zrobiliśmy parę sprawunków na mieście i wróciliśmy do naszego hoteliku spać. Byliśmy bardzo senni. Po Paryżu Królewiec nie tylko że nie imponował nam, ale wydał się nędzną miasteczkową dziurą. Przed godziną dziewiątą już leżeliśmy i spaliśmy. Z dołu z karczemki dolatywały w nocy jakieś śpiewy, krzyki pijackie, muzyka. Ale sen przemagał wszelkie przeszkody. Nogi mi w tym powrocie z Paryża wybrzękły dosyć mocno. Trochę mię to niepokoi.

Drogę powrotną z Paryża skracam sobie lekturą komunistycznego organu „Humanité". Mam dwa numery. Ciekawe. We Francji zwalczanie się wzajemne prądów ideowych jest żywe i pełne temperamentu. Ciekawy jest flirt komunistów francuskich z katolikami, raczej komplementy i kadzidła, które komuniści roztaczają katolikom i zwłaszcza młodzieży katolickiej. O ile w obozie socjalistycznym pokutują jeszcze pewne ostre prądy antyklerykalne, o tyle w prasie i przemówieniach komunistycznych ani śladu antyklerykalizmu lub napaści na religię nie ma. Komuniści wprost otwierają ramiona katolikom i wzywają ich do jedności przeciwko faszyzmowi. Reklamują i z entuzjazmem cytują słowa legata papieskiego kardynału Pacellego, który odbywa objazd po Francji, przyjmowany z honorami królewskimi. Komuniści szeroko i z wielką atencją piszą o Pacellim, opisują jego podróż i przemówienia, gorąco podnoszą idealizm i ofiarność („*charite*") młodzieży katolickiej, podkreślają braterstwo z katolikami w ucisku, stosowanym w Niemczech przez hitleryzm. Ciekawe to są ewolucje taktyki politycznej. O haśle „Religia – opium dla ludu" – ani słowa. Wszędzie sympatia, uznanie, wzywanie do braterstwa, wyciąganie dłoni. Czy katolicy tę dłoń przyjmują – nie jestem w stanie stwierdzić. Ale są wskazówki na realny kontakt młodzieży komunistycznej („komsomołu") z młodzieżą katolicką w Alzacji. W Paryżu toczy się

właśnie wielki i dosyć hałaśliwy kongres młodzieży komunistycznej (komsomolskiej) francuskiej, podczas gdy w Marsylii – kongres partii socjalistycznej.

15 lipca, rok 1937, czwartek

Wstaliśmy z Jadzią raniutko, udaliśmy się z hotelu na dworzec kolejowy i tam po śniadaniu odjechaliśmy z Królewca, kończąc podróż naszą. Wsiedliśmy do wagonu, który miał nas dowieźć wreszcie do samych Abel. Prędko nam przebiegła droga przez Wytruć (Insterburg, Įsrutė) do Tylży, skąd przez most na Niemnie stanęliśmy wreszcie na terytorium Litwy w Pogėgiach. Na granicy nie doznaliśmy żadnych trudności. Urzędnik celny litewski stropił się trochę, gdy mu Jadzia wskazała na skrzynkę z farbami, mówiąc, że to są farby, ale zaraz ułatwił rozwiązanie, zaznaczając w formie zapytania, że to wiozę zapewne nie na sprzedaż, jeno dla siebie, co też naturalnie potwierdziłem. Na tym się skończyło. Dalej już jechaliśmy przez skrawek Kraju Kłajpedzkiego, przez Żmudź, dalej na Radziwiliszki, Poniewież itd. do Abel. Wreszcie Abele. Spotkał nas parobek i para koni. Przyjechaliśmy do domu. Wieś litewska przyjęła nas na swoje łono. Piękna jest. Pachnie tu powietrze, unosi się aromat drzew liściastych i pól, którego nie czułem za granicą (może to ułuda, ale przynajmniej podmiotowo tak jest w istocie), cicho, wilgoć po deszczach, ciepło, dobrze. Derkacz się odzywa w polu, po trochę już grają koniki polne. Opowiadanie wrażeń, rozdawnictwo prezencików służbie, oglądanie i pokazywanie przywiezionych rzeczy zajęły nam z Jadzią wieczór. Słodkie Bohdaniszki.

16 lipca, rok 1937, piątek

Zaczyna się mój miesiąc wakacji bohdaniskich. Będę miał dużo egzaminów w tym czasie, po trzy dni na tydzień, grupami do pięciu studentów naraz. Pierwszy dzień egzaminowy – jutro. Na pojutrze zwołany jest zjazd dzielczy czy likwidacyjny spadku śp. Maryni. Zjadą się arbitrowie: arbiter z ramienia Ewy – Eugeniusz Römer, arbiter z ramienia Steni i Stefana – Jan Narbut (przyjazd jego jest niepewny, o ile nie przyjedzie – to go zastąpi Marysia Stefanowa), arbiter z ramienia Justyna Budkiewicza, któremu w testamencie Maryni zapisane dożywocie – Lisiecki i superarbiter Władysław Bichniewicz z Poniemuńka. Eugeniusz i Bichniewicz mają przyjechać już jutro wieczorem. W niedzielę zaś pod wieczór przyjeżdża do mnie na swoje wakacje myśliwskie, co najmniej na miesiąc, prof. dr Gudowicz.

Sprawa spadku po Maryni przedstawia się dość skomplikowanie. Długi pomimo wszystko są wielkie. Dla ułatwienia sprawy, aby umożliwić spadkobiercom zrealizowanie choć skromnej resztki, robię maksymalną ofiarę: biorę 8 ha ziemi, poniekąd w samej siedzibie (sadzawka, część ogrodu owocowego Maryni) i pas ziemi wzdłuż mojej granicy, w zamian za co zrzekam się regresu za żyrowane przeze mnie weksle Maryni w Banku Rakiskim i Banku Polskim na 8000 litów, przyjmuję na siebie resztę długu Maryni w Państwowej Kasie Oszczędnościowej na 5200 lt. i dług w Banku Ziemskim na te 8 ha w wysokości do 2000 lt., czyli razem za te 8 ha płacę (odciążam pasywa spadkowe) 15 000 lt. Wynosi to po 2000 litów hektar. Wielki to dla mnie ciężar, ale robię to dla pamięci Maryńki, a te 8 ha, choć wielką ofiarą nabyte, są mi przyjemne, bo to jest cząstka kochanych Bohdaniszek.

Tymczasem mam jeszcze poza tym tego lata dosyć wielkie ciężary remontów, budowania się i kopania rowów. Słowem – wydatków mam po uszy.

17 lipca, rok 1937, sobota

Dziś pierwsze po powrocie z podróży egzaminy. Przyjechało na egzaminy pięciu studentów ekonomistów. Daje mi to roboty na cały dzień, bo egzaminuję po jednym z przerwą między każdym, aby się nie przeciążać i przeplatać egzaminy przechadzką, rozmaitą inną pracą i w ogóle zajęciami bieżącymi.

Wieczorem przyjechał z pociągu z Abel Eugeniusz Römer na zjazd jutrzejszy arbitrów, przyjechał też końmi z Poniemuńka superarbiter Bichniewicz. Nocują u mnie. Narbut, po którego

Marysia Stefanowa posyłała konie na stację, nie przyjechał. Zastąpi go sama Marysia jako opiekunka nieletniej Steni. Lisiecki, arbiter Justyna Budkiewicza, przyjedzie jutro rano. Z wieczora prywatnie poinformowałem trochę Bichniewicza i Eugeniusza o stanie interesów spadkowych, przedstawiłem im wykaz długów, pokazałem na planie spadkową część Bohdaniszek. Stan wydaje się opłakany. Arbitrowie są usposobieni nieco pesymistycznie. Zaczekamy jednak do jutra. Może się ujawnią jakieś znośne kombinacje. Przede wszystkim świetną jest dla spadku kombinacja moja, która odciąża spadek na 14-15 tysięcy litów długów i kosztuje 8 ha ziemi bez zabudowań. Bez tej kombinacji sytuacja byłaby zgoła beznadziejna.

Bichniewicza lubię. Jest to człowiek dzielny w pracy, niezła głowa, człowiek bezwzględnie uczciwy. Ale jest przecie ale. Nie tylko jest konserwatysta ziemiański do szpiku kości i zajadły nacjonalista polski bez cienia ugodowości litewskiej, ale też przesiąknięty jest klasycznie ideologią zdawkową naszych sfer ziemiańskich nawet w kategoriach pojęć towarzyskich. To się widzi, gdy jest on na cztery oczy w kole ziemiańskim, bo jest o tyle gładki i rzeczowy, że z Litwinami nie ujawnia tego i czyni doskonałe wrażenie umysłu otwartego i wolnego od przesądów. Jest kulturalny bardzo, ale w istocie swoich pojęć ciasny i nietolerancyjny.

18 lipca, rok 1937, niedziela

Nie mam czasu na dłuższe pisanie dziennika i na szczegółowy opis dzisiejszego zebrania dzielczego po śp. Maryńce. Dzień był pracowity. Wszelką zwykłą pracę moją poniechałem. Rezultat obrad i kalkulacji zadawalający. Krótko mówiąc, przedstawia się on tak. Bohdaniszki dla spadkobierców Maryni, właściwie dla Steni Römerówny, bo Ewa Meyerowa na nie reflektować nie może, nie zostały uratowane i zdaje mi się, że Marysia Römerowa Stefanowa trochę tego żałuje, ale za to dla spadkobierców pozostanie do podziału nieźle zaokrąglona sumka pieniężna w gotówce, która wyniesie do 16 000 w walucie litowej. Zaznaczę bowiem, że testamentem Marynia wyznaczyła spadkobiercami córkę Ewę i wnuczkę po Stefanie – Stenię, a „dożywocie” na Bohdaniszkach dała mężowi Justynowi Budkiewiczowi. Syn Maryni Stefan Römer został przeto osobiście od spadku usunięty. Powody usunięcia są zrozumiałe: Stefan jest nieobliczalny i majątkowo z nim się rachować nie można. Ze spadku na Bohdaniszkach 8 ha biorę ja w cenie 14 do 15 tysięcy, przyjmując w tej sumie odpowiedzialność za długi spadkowe. 5 ha z samej siedziby i przyległego pola (z wyjątkiem sadzawki i części ogrodu z siedziby, które biorę ja) – kupuje Elwira za 10 000 litów. W to wchodzi dom mieszkalny Maryni, murowanka, sklep na kartofle i gumno drewniane na dole ogrodu. Reszta ziemi w ilości 36 ha z dodatkiem do niej pozostałych budynków na rozbiórkę (dwa z części nabywanej przez Elwirę, mianowicie mała chatka parobczana, stojąca na miejscu dawnej oficyny, i szopa na owoce w ogrodzie, i trzy z części, nabywanej przeze mnie, mianowicie obora, chata parobczana i chlewki) idzie na sprzedaż w obce ręce w cenie od 500 do 750 za ha, stosowanie do umowy, jaką się zrobi. Dług Rosenowi zbity został z 14 do 10 tysięcy litów. Reszta – wszystkie drobne długi – są płatne akuratnie. Pozostaje jeszcze koło 16 000 litów wolnych dla spadkobierców. Justyn Budkiewicz zamiast „dożywocia” otrzymuje zapewnienie spłaty wszystkich jego żyrów dla Maryni i dla Pawla Koziełły. Oto w kilku zarysach plan zjazdu i kalkulacji.

Przyjechał ze stacji na lato Gudowicz ze swym wiernym psem myśliwskim Aitvarasem.

19 lipca, rok 1937, poniedziałek

Arbitrowie Bichniewicz, Gienio Römer i Lisiecki odjechali wczoraj. Spisali protokół wniosków zaaprobowanych i zlecili wykonywanie całego programu akcji mnie jako egzekutorowi testamentu, w porozumieniu z superarbitrem p. Bichniewiczem. Zrobili jednak małe przeoczenie przez to, że nie ustalili żadnej gotówki na koszta akcji wykonawczej oraz na niezbędne zaspokojenie drobnych natarczywych wierzycieli, którzy się nerwują i burzą i już się gotują wystąpić zaczepnie, opisując dwór na licytację lub nakładając areszt na inwentarz. Nie są to rzeczy straszne i wystarczyłoby na to paru tysięcy, ale to jest konieczne do zrobienia, to się wtedy będzie miało spokój. Nie byłoby to arbitrom trudne do ustanowienia, ale się o tym nie pomyślało, bo zresztą czasu już nie było. Trzeba

było zobowiązać Elwirę do zaawansowania paru tysięcy litów na konto tych 10 000, które się będą od niej należały za nabywane przez nią centrum, na razie w postaci pożyczki procentowej. Dałoby się łatwo uzyskać przez naciśnięcie Elwiry, która obecnie gotówkę z Wilna ma w dyspozycji. Skoro się jednak jej nie zobowiązało, to teraz trudno się na to zdecydować. Tymczasem drobni wierzyciele się poruszyli, zaniepokoiły ich wieści o rozprzedaży ziemi spadkowej, toteż ani słyszeć nie chcą o czekaniu cierpliwym. Skądinąd zaś trzeba pieniędzy na rozchody bieżące zatwierdzenia testamentu, wyznaczenia opieki itd. Trzeba też skłonić Ewę do wydania plenipotencji, bez której nie można ani dokonać działu między nią i Stenią, ani ewentualnie wyprzedawać ziemię od imienia ich obydwóch – Ewy i Steni. Sporządzenie zaś plenipotencji będzie dla Ewy kosztowne i uciążliwe, bo połączone z jazdą do Łotwy lub Niemiec, ja zaś ze swej strony będę musiał wystarać się, aby nasze Ministerium Spraw Zagranicznych upoważniło odpowiedni konsulat litewski do zaświadczenia plenipotencji Ewy. Słowem w ustaleniu akcji wykonawczej są pewne luki w uchwałach arbitrów, które utrudniają działanie, ja zaś osobiście nie jestem już w stanie więcej na te interesy łożyć, bo już nie bardzo mogę podołać temu, co teraz mam do wypłacania z tytułu przyjętych zobowiązań.

Program likwidacji został dobrze obmyślony, ale wykonanie będzie długie i uciążliwe.

Piotr Rosen buntuje się. Pod naciskiem ustąpił wczoraj, ale narzeka, wygaduje, nawet płacze – oczywiście są to łzy krokodyle, bo bez tych kombinacji straciłby więcej. Niestworzone rzeczy wygaduje, udaje ofiarę, uważa, że go obrażono i zmaltretowano, zwłaszcza oburza się na Eugeniusza, który go traktował dosyć ostro, i na Marysię, która cierpko i w sposób przykry wypomniała mu niektóre rzeczy i parokrotnie przyłapała publicznie na kłamstwie i na praktykach lichwiarskich. Rosen usiłuje uderzać w strunę mojej szlachetności, że go nie dam „skrzywdzić” i że ja mu „wynagrodzę straty”, które ponosi na ustępstwach, wymuszonych przez arbitrów. Słowem – zanosi się na długą jeszcze historię.

20 lipca, rok 1937, wtorek

Po raz pierwszy wydzierżawiłem mój młody ogród owocowy. Już w przeszłym roku dawano mi za ogród 100 litów, ale nie oddałem, a wyjeżdżając do Kowna sprzedałem wszystkie owoce na drzewach już tylko za 40 litów. W tym roku jabłek na drzewach jest więcej. Wydzierżawiłem ogród (właściwie uczyniła to Jadzia) Żydowi za 150 lt. z zarezerwowaniem trzech drzewek oliwnych dla nas i z ekscepcją po 30 opadków dziennie i cetnar jabłek z drzewa. Cieszę się, że mój poczciwy ogródek, który sam sadziłem, już zaczyna mi dawać dochód. Im dalej, tym będzie więcej.

Przyjechało pięciu studentów na egzaminy. Przeważnie starsi. W ich liczbie Tatar Aleksander Chalecki, student sprzed lat kilkunastu, blisko 50-letni. Dwaj inni, Bilewicz i Żyd Krasowski, także już ukończyli studia. Z młodszych byli Skorupski i Rogowski. Zdali: Skorupski – bardzo dobrze, Krasowski i Rogowski – dobrze, Bilewicz i Chalecki – zadawalająco. Zresztą wszyscy byli radzi. Kąpali się, fotografowali, łazili po dworze i po Gaju, cieszyli się wsią i pięknymi widokami bohdaniskimi.

Z poczty otrzymałem list od adwokata Hirsza Rolnika z Płungian. Jest on moim współpracownikiem w dziale prawa publicznego Encyklopedii Litewskiej. Człowiek wykształcony, doktor prawa. Skończył studia i doktoryzował się za granicą. Rozprawę doktorską napisał na temat konstytucji krajów bałtyckich – Litwy, Łotwy i Estonii. Przed wyjazdem za granicę pisałem do niego. Ponieważ, mieszkając w Płungianach, jeździ on i praktykuje także w Kraju Kłajpedzkim, więc go prosiłem o pewne informacje prawnicze co do możliwości zawarcia małżeństwa cywilnego w Kłajpedzie na zasadzie rozwodu, udzielonego przez sąd kościelny kalwiński, w wypadku, gdy rozwiedziony nie jest osobiście kalwinem i gdy rozwiedzione jest małżeństwo kościelne katolickie. Jest to właśnie mój wypadek (zresztą nie pisałem Rolnikowi, że to dotyczy mnie). Pisze mi on, że taki rozwód kalwiński, o ile będzie on potwierdzony przez urzędy kalwińskie krajowe (rozwód bowiem udzielony był w Wilnie), jest zupełnie wystarczający do zawarcia małżeństwa cywilnego w Kraju Kłajpedzkim. Daj Boże!

21 lipca, rok 1937, środa

Równo miesiąc temu wyjeżdżałem z Jadzią w naszą miłą podróż nauheimsko-szwajcarsko-paryską. A oto już prawie od tygodnia znów siedzę w ciszy głębokiej mojej kochanej wsi litewskiej. Ileż wrażeń, ile rozmaitości w ciągu tego pięknego miesiąca!

Dziś kąpałem się po raz pierwszy w tym roku. Kąpałem się w mojej sadzawce kąpielowej dolnej. Rozkoszna kąpiel. Woda ciepła, kąpiel orzeźwiająca w upał. Popływałem trochę przez sadzawkę tam i z powrotem. Chciałbym jeszcze raz kiedykolwiek przepłynąć jezioro, choćby tylko Antonoskie pod Antonoszem, które tam jest względnie wąskie. Przepływałem dawniej szersze jeziora, np. Gaczańskie pod Gaczanami tam i z powrotem w roku 1898, rakiszeckie jezioro Audra (Ołdra) w roku 1908 czy 1909. Sadzawka kąpielowa w Bohdaniszkach ma wodę czystą kryniczną i w miejscu, gdzie się kąpiemy, naprzeciwko domu, gdzie jest ławeczka, dno ma twarde i gładkie, ale z roku na rok coraz bardziej zarasta w głębi trawami, utrudniającymi pływanie. Trawy te czynią ją podobną do kawy tureckiej, które ma z wierzchu cienką warstwę płynu, pod którą zaraz są fusy. I tutaj warstwa płynna i czysta wody jest cienka, a zaraz pod nią są trawy wodne, których sięga ręka przy pływaniu i ciało płynącego miejscami się sunie po trawach. Dawniej tego nie było. Spuszczałem ją przed kilku laty, ale dobrze nie wyszlamowałem, a w środku na dnie nawet wody całej spuścić nie zdołałem i odtąd rozwinął się szczególnie ten porost bujny traw wodnych, coraz wyżej się podnoszących z roku na rok ku powierzchni.

Po podwieczorku wybrałem się z Gudowiczem na spacer myśliwski. Dziś pierwszy dzień polowania na kaczki. W tym roku z kaczkami nie jest dobrze, bo długa i niezwykła susza wiosenna osuszyła wszelkie bagienka. Gdzie się gnieździły zwyczajnie kaczki – teraz ich nie ma. W tym roku skupiły się one nad jeziorami i rzeczkami moczarowymi. Rano Gudowicz chodził sam z psem Aitvarasem. Był nad jeziorem Kumszańskim, Pakieńskim i Zacharewicza. Przyniósł tylko dwie kaczeczki drobnego gatunku. Ze mną poszedł do Wiwieliszek. Po drodze wytropił gniazdo kaczek w sadzawce Dirżysa przy drodze, zastrzelił starą matkę i jedno młode kaczę, które jeszcze nie latało, reszty nie ruszał, żeby podrosły. Potem byliśmy na mogile śp. Maryńki, stamtąd udaliśmy się do Wiwieliszek na wielką łąkę błotnistą, przez którą sączy się, a raczej w niej grzęźnie ruczaj Birżupis, należącą w połowie do Zybolisa i w połowie do Sadowskiego. Niestety – i tutaj susza zrobiła swoje. Gniazd kaczych nie ma. Jest tylko czajka i są bekasy, ale pouciekały gromadnie, a Gudowicz raz strzelił i chybił, a więcej już ich nie znalazł. Zrobiliśmy dobry spacer, wróciliśmy przez Karwieliszki i Gaj.

22 lipca, rok 1937, czwartek

Zwyczajny dzień letni na wsi. Pracowałem w gabinecie, kąpałem się, byłem w Gaju. Gudowicz pojechał do Opejkiszek szukać kaczek do polowania. Marysia wciąż rozmyśla o kombinacjach spadkowych, chciałaby sama odkupić część Bohdaniszek, chciwa jest i tchórzliwa razem, nie ufa Ewie, lęka się, niepokoi się albo stwarza atmosferę niepokoju w przedmiocie drobnych długów, których wierzyciele (Kligys, Dirżys) zabierają się do opisu majątku przez komornika na licytację, do której naturalnie nie dojdzie, ale która wytwarza pewną atmosferę nerwową. Nie odważa się Marysia prosić mię wprost o zakredytowanie spłaty tych drobnych wierzycieli, ale drogą okrężną nawraca do tego. Ani myślę łożyć więcej; dość mam tego, co mi wypada do spłacenia i za co biorę kompensaty nędznych 8 ha, spłacając za nie długów spadkowych po 2000 lt. za hektar, to znaczy przepłacając przeszło podwójnie. Właściwie tylko dzięki tej mojej ofierze obetnie się spadkobiercom do podziału ta sumka ± 15 000 litów, która pozostanie czysta po likwidacji długów. Ale Marysia jest nienasycona, a wdzięczności za to dla mnie nie ma żadnej. Nie tylko nie ocenia mojej ofiary, ale gotowa jest uważać, że to mój obowiązek i że robię jeszcze na tym interes. Nie jest ona wcale przyjemną kontragentką. Dobrze się poznała na niej Elizka. Jest ona chciwa i zachłanna, poza tym zazdrosna. Dopóki sądziła, że nam bardzo chodzi, aby na Bohdaniszkach pozostała ona, dopóty udawała, że jej o to nie chodzi i że może Bohdaniszki przyjąć tylko w bardzo niskiej ocenie. Teraz żałuje Bohdaniszek, gdy się jej z rąk wymykają i chciałaby je zatrzymać. Dlatego Elwirę i jej dzieci

zniechęca do kupowania centrum, ewentualnie chce zatrzymać sobie ostatki, przeznaczone na parcelację, to znów zazdrości, że ja biorę 8 hektarów przy mojej granicy z częścią ogrodu, to wreszcie usiłuje podsuwać myśl kupienia przeze mnie tych 5 hektarów, co to ma brać Elwira. W istocie z takimi osobami, jak Marysia i jak Elwira z jej dziećmi, co to wiecznie się wahają, trzęsą się nad groszem i same nie wiedzą, na co się decydować, robiąc krok na przód i zaraz się w przestrachu cofając, aby obmyślać nowe kombinacje, nie można nigdy być pewnym, czy to, do czego doprowadzili arbitrzy, dojdzie do skutku czy nie. Bo w pomysłach i intencjach co godzina – to nowina. A w rezultacie chciałaby Marysia wszystko zepchnąć na mnie, abym się dał jeszcze i jeszcze doić. A zaiste dla niej ani jednej kropelki więcej wydoić z siebie bym nie chciał. A oto znalazł się jeszcze jeden weksel Maryni, żyrowany przeze mnie. To dług w banku abelskim na 970 litów. W wykazie długów jest on zanotowany, ale nie wiedziałem, że jest oparty na moim żyro. Dziś otrzymałem wezwanie z banku abelskiego. Będę musiał odpowiadać, ale go w te długi, które biorę na 8 hektarów, nie wliczam. Zachowam regres i zażądam spłaty.

23 lipca, rok 1937, piątek

Znowu dziś egzaminy studenckie. Przyjechało czterech studentów, samych młodych, którzy dopiero w tym roku przesłuchali kurs moich wykładów na I-II semestrze (część ogólna prawa konstytucyjnego) i zaraz zdają egzamin. Tacy są zawsze na egzaminie najlepsi. O ile najtępsi na egzaminie są starzy studenci, którzy przesłuchali kurs przed 10 lub kilkunastu laty, bo zwykle już nie umieją i nie chcą się uczyć, o tyle zwykle najpojętniejsi i najprzyjemniejsi do egzaminu są ci, co zdają egzamin bezpośrednio po przesłuchaniu kursu. Jest u nich świeżość i giętkość myśli, pojętność i chciwość wiedzy. Co prawda, zaraz po przesłuchaniu zdają zwykle najlepsi, stanowiący elitę. Dziś w liczbie zdających egzamin była panna Rauzuli-Helena Skipitisówna, córka adwokata, doskonała i pilna studentka, której egzamin stanowił przyjemną wymianę myśli, nie zaś piłowanie mozolne ogólników, następnie student Józef Milukis, równie inteligentny, wreszcie młody ksiądz Puleikis, który ukończył Wydział Teologiczny i uzupełnia go studiami prawniczymi, kapelan w gimnazjum Rugenisa w Kownie i kolega tegoż z Teologii, diakon Povilauskas. Zarówno Puleikis, jak Povilauskas byli w stroju cywilnym. Puleikis jest sprytny, gładki, żywy. Obawiałem się, żeby Gudowicz swoim zwyczajem nie zaczął przy nich wygadywać na księży lub drwić z religii, co lubi robić przy lada okazji i co z góry zapowiadał. Ale nie zrobił tego, rozmawiał, jak zawsze, dużo, ale nie zaczepiał ani księży, ani religii.

24 lipca, rok 1937, sobota

Egzaminów tego lata do syta, może do przesytu. Po trzy razy tygodniowo. Dziś było znowu czterech studentów ekonomistów do egzaminu. Zdawali słabo.

Nic szczególnego skądinąd z dnia dzisiejszego. Przyszły pieniądze z Kowna z pensji uniwersyteckiej za czerwiec. Jak zwykle – wszystkie pieniądze z góry rozdysponowane, dla siebie nie zostaje nic. Do dawnych wydatków bieżących przybyły teraz nowe duże – nadpłaty długów wekslowych, które spadły na mnie za śp. Marynię. Dopóki jestem rektorem, mogę temu, choć z pewnym trudem, podołać, ale potem, gdy odpadnie rektorski tysiąc litów miesięcznie. to będzie orzech ciężki. Wybawi mię chyba honorarium za następną książkę. Ale te książki jeszcze są dopiero *in spe*. Nie drukują się jeszcze, lecz się dopiero piszą.

25 lipca, rok 1937, niedziela

Ponieważ prof. dr Gudowicz wybierał się dziś na polowanie na jezioro Sorty i umówił się w tym celu z Sinicą o łódki, więc wybraliśmy się i my z Jadzią. Pojechaliśmy razem z doktorem. Sinica miał dostarczyć łódki na godzinę dziesiątą rano do brodu na rzece Krewnia na Pakieniach. Łódek i Sinicy z synem na razie nie zastaliśmy. Wypadało czekać. Tu się zdarzył wypadek, który mógł się gorzej skończyć. Chcieliśmy u brodu zboczyć na łoneczkę u brzegu rzeki i tam konie postawić czekając na Sinicę. Ledwo Juszkiewicz, który powoził, wjechał na łoneczkę, konie zaczęły zapadać.

Była to łoneczka kryniczna, niebezpieczna. Jeden koń zapadł po brzuch i położył się, drugi grzązł, niecierpliwił się i rwał. Na szczęście, choć z wielkim trudem, udało się Juszkiewiczowi wyprząc konie, które w podskokach wydostały się z niebezpiecznego moczaru. Powiadają, że zawsze coś się staje tym, co w niedzielę w czasie nabożeństwa używają przyjemności i jadą na rozrywki, zapominając o kościele. A dziś był właśnie fest wielki w Krewniach, święto patrona parafialnego Jakuba. Przesąd, ale tym razem tak się właśnie wydarzyło. Zresztą skończyło się szczęśliwie. Gudowicz ze swoim psem ruszył brzegiem rzeki, my z Jadzią położyliśmy się. Przyjechał Sinica i jego syn z łódkami, z nimi Żyd, dzierżawiący jezioro od rządu i właściciel łódek, i rybak jeden. Do jednej łódki zabrał się Gudowicz, do drugiej my z Jadzią. Popłynęliśmy rzeką na jezioro, odnogę łaszowską na Bobryszki i na wyspę na jeziorze między zatoką szczurską i bradeską, ogółem do 4 kilometrów drogi wodą. Gudowicz jechał powoli, wysiadając na wysepkach i w trzcinach dla polowania na kaczki. Na wyspie, na której wylądowaliśmy po przyjeździe Gudowicza, zakąsiliśmy i my z Jadzią wróciliśmy, a Gudowicz został jeszcze dla polowania na kaczki. Śliczne jest jezioro z wyspami swymi i ptactwem wodnym, wielka osobliwa karta przyrody, tchnąca jeszcze świeżością dziewiczą i stanowiąca światek osobny w krajobrazie i w układzie bytowania. Na godzinę piątą po południu my z Jadzią już wróciliśmy, Gudowicz – w parę godzin po nas. Przywiózł trzy kaczki (oprócz tego dwóch zastrzelonych nie odnalazł w sitowiach), derkacza i czajkę upolowane. Zmókł i zmęczył się, bo go deszcz z burzą w drodze powrotnej złapał. Przyjemna wycieczka, tylko mi dziś żołądek nie dopisuje. Mam rznięcia i bóle i wolność dziką. Żyd dzierżawca jeziora, który odwiózł Gudowicza, obdarował nas jeszcze rybą i kilku młodymi linami na zarybek w sadzawce kąpielowej. Niestety – wszystkie liny w drodze się udusiły. Żyd przyrzeka dać linów na zarybek innym razem. Gudowicz twierdzi, że liny w mojej sadzawce znakomicie się zaaklimatyzują.

26 lipca, rok 1937, poniedziałek

Napisałem długi list do Ewy Meyerowej, który jej wyślę przez Mackusa przez Paryż do Karoleńców pod Widzami, gdzie spędza ona lato u p. Anny Pisaniowej. Razem z listem poślę jej odpis testamentu Maryni i odpis protokółu zjazdu arbitrów. Napisałem jej dość szczegółowo o kalkulacjach, jakie się poczyniły na zjeździe arbitrów i które względnie szczęśliwie rozwiązują problem spadkowy, jeżeli się wszystko wykona tak, jak zostało obmyślone.

Są wszakże pewne rzeczy, co do których będę musiał się odwołać do superarbitra p. Bichniewicza. Po pierwsze, chodziłoby o upewnienie się wyraźne co do nabycia przez Elwirę 5 hektarów z siedzibą za 10 000 litów. Choć wobec mnie Elwira nie cofa się od tego, ale bądź co bądź wyraźnie i kategorycznie tego nie traktuje, Marysia zaś twierdzi, że Elwira i jej dzieci cofają się i chcą dać tylko tyle, ile dałby ktoś inny. Oczywiście kto inny tyle nie da, bo obiekt ten dla nikogo takiej wartości szczególnej nie ma, jaką ma dla Elwiry. Tymczasem na zebraniu dzielczym Elwira już się była zgodziła na tę kombinację i jej zgoda jest zaprotokołowana przez arbitrów, tylko od niej podpisu nie wzięto. Druga rzecz – to konieczność zdobycia i zapewnienia pewnej sumy pieniężnej w kwocie choćby paru tysięcy na niezbędne rozchody spadkowe i na spłatę paru najbardziej natarczywych i wichrzących drobnych wierzycieli. Trzecia rzecz, którą Marysia podnosi, to kwestia, czy zatwierdzać testament. czy też bez testamentu zatwierdzić na część spadku litewską Stefana Römera tak samo, jako się na część spadku wileńską zatwierdza bez testamentu Ewę. Zatwierdzenie Stefana z pominięciem testamentu miałoby dwa plusy: nie potrzeba byłoby plenipotencji Ewy na dokonanie później aktów likwidacyjnych sprzedaży etc. ani też pozwolenia od Trybunału na sprzedaż majątku nieruchomego nieletniej spadkobierczyni testamentowej Steni. Ja wszakże Stefana się boję i opierać akcję na jego prawie formalnym uważam za niebezpieczne, bo jest on nieobliczalny i pod wpływem chwili może powydawać weksle, które potem spadną na fundusz spadkowy i całą kalkulację oczywiście wniwecz obrócą. Są jeszcze inne rzeczy do omówienia z Bichniewiczem.

Dr Gudowicz jezdził dziś znowu na polowanie do Opejkiszek. Przywiózł cztery kaczki i bekasa.

27 lipca, rok 1937, wtorek

Po wielu leciech dziś po raz pierwszy wsiadłem na konia. Zdaje się, że ostatni raz jechałem konno w roku 1909 czy 1910. Dawniej, w dzieciństwie i w młodości, dużo jeździłem konno. Moje siostry, Elwira i Marynia, Elwira szczególnie, były amatorkami koni i miały pasję konnej jazdy. Jeździły jeszcze po damsku, na siodłach damskich specjalnych, posiadających dwa łąki o kształcie rogu, obszytego poduszką skórzaną, u góry po lewej stronie siodła. Dolny łąk przyciskał nad kolanem lewą nogą, której stopa była w strzemieniem, na górny łąk zakładała się noga prawa. Obie nogi były przeto po lewej stronie siodła. Jeździło się po damsku w długiej amazonce, której spódnica zakrywała całkowicie nogi. Teraz jazda konna po damsku i siodła damskie wyszły z mody. O ile dziś kobiety jeżdżą konno, jeżdżą po męsku, na siodłach męskich, to znaczy mają konia między nogami, zwieszającymi się po obu stronach siodła i opartymi w strzemionach. Odbywaliśmy z siostrami, a zwłaszcza z Elwirą, wielkie i dalekie jazdy konno, nie tylko do sąsiedztwa do dworów okolicznych, ale też wycieczki po kilkadziesiąt i nawet przeszło 100 wiorst, trwające po kilka dni, na przykład z Bohdaniszek do Ikaźni przez Kałkuny i Grzywę pod Dyneburgiem albo przez Jeziorosy i Turmont oraz Brasław, albo z Kasuty w powiecie wilejskim do Pleszczenic i nawet Dziedziłowicz w powiecie borysowskim. Było to w latach między 1894 a 1905. Później i ja rzadziej bywałem w Bohdaniszkach (z wyjątkiem całego roku 1908, który w Bohdaniszkach spędziłem) i nie jeździliśmy już tyle po powiecie wilejskim i borysowskim; konno też mniej jeździliśmy, tylko w Bohdaniszkach trochę – do Gaczan, do Kowaliszek, do Abel... Mniej więcej od roku 1905 zacząłem się więcej bać konnej jazdy, bo mi się zdarzyło kilka wypadków. Bałem się zwłaszcza potykania się konia, słabych nóg wierzchowca. Od roku 1909 przestałem jeździć konno. Dziś spróbowałem. Klacz Dubisa była osiodłana, bo Jadzia jeździła na niej do Popiel. Spróbowałem usiąść. Siodło Jadzi jest doskonałe. Przejechałem się też trochę po dworze, zajechałem pod dom Elwiry i pokazałem się jej, wróciłem potem do siebie. Jednak podjechać prędzej lękałem się, bo Dubisa ma słabe nogi. Ale jazda, choć krótka i ostrożna, sprawiła mi przyjemność. Gdybym miał dobrze wyjeżdżonego spokojnego konia o stalowych nogach – jeździłbym chętnie więcej.

Żyto dziś skończono wozić u mnie. Miały być egzaminy studenckie, ale studenci nie przyjechali.

Prof. Gudowicz zmęczony – większej wyprawy myśliwskiej nie robił, wypoczywa. Ale nie wytrzymał i przed wieczorem poszedł z psem do Kumsz i przyniósł trzy cietrzewie.

28 lipca, rok 1937, środa

Dzień upłynął bez żadnych przygód czy wrażeń szczególnych. Powietrze jest dość chłodne, kąpać się nie można, za to do przechadzek dobre i przyjemne. Byłem w Gaju, oglądałem młodniak na zapuszczonym przed kilku laty pod las kawałku pola pod sośniakiem Mamy. W przyszłym roku na wiosnę tam posiałem na pagórku żwirowatym trochę sosenek. Sosenki malutkie już kiełkują, jest ich tam dużo, Bieliunas poutykał pałeczki tam, gdzie wyrastają sosenki. Jest tam już dobra setka sosenek, ale jeszcze mało widoczne. Oprócz zasianych pozasiewały się też w różnych miejscach same od starych sosen Mamy. Poza tym na tej parceli młodniaku jest w kilku miejscach egzotyczny porost białej olchy, gdzieniegdzie też porastają gęsto brzózki. Ale oprócz białej olchy, drzewka są jeszcze miniaturowe, w stanie niemowlęcym. Obchodziłem też z Bieliunasem dokoła mój ogród owocowy. Z trzech stron go ogradzam krategusem, który dość już jest gęsty i mocny tam, gdzie był sadzony najpierw, ale jeszcze są miejsca nie zasadzone. Z czwartej strony, północnej, od Gaju, pójdzie poza ogrodem linia dwurzędu jodeł. Jodełki były zasadzone, ale znaczna większość wyginęła, trzeba będzie odsadzać. Młody ogród owocowy od alei brzóz za gumnem na opadzie południowo-wschodnim już prawie zakończony; ostatnie drzewka posadzę tu tej jesieni i będzie szlus. Drugi ogród – od alei brzozowej na spadzie zachodnim, w kierunku Prudielisa i wioski Bohdaniszek, dopiero się szkicuje. Są tam dopiero dwa pierwsze rzędy i tymczasem dalej tam nie dosadzam jeszcze. Ale może, po dołączeniu nowych 8 ha ziemi ze spadku Maryni, popędzę i ten ogród dalej. Trzeci będzie mój ogród stary, stanowiący część dawnego ogrodu bohdaniskiego, który

nabędę w 8 hektarach ze spadku Maryni. A może jeszcze będzie czwarty na spadku góry za oficyną; namawia mię do zasadzenia tam ogrodu Jadzia.

29 lipca, rok 1937, czwartek

Jeździłem z Jadzią do Abel dla uregulowania długu wekslowego śp. Maryni w banku abelskim na sumę 970 litów, za który odpowiadam jako żyrant. Jest to dług, którego na siebie w cenie 8 ha nie przyjmuję. Chodziło tylko o nadpłacenie procentów. Były też inne interesy w Abelach, dla których jechała Jadzia, w szczególności kupienia mięsa i wódki na ucztę, którą mamy wyprawić jutro z powodu tłoki na zwózkę cegły z Rakiszek.

Po obiedzie Żyd, dzierżawca jeziora Sort, przywiózł mi żywych linów na zarybek do mojej sadzawki kąpielowej.

Oto bodaj wszystko na dzień dzisiejszy.

Bohdan (Bagdonas) z Boniuszek, zięć Danilewicza z Kumsz, tentuje gorąco o kupno ziemi bohdaniskiej spadkowej po Maryni, pozostającej za potrąceniem 8 ha, odchodzących do mnie. Miałby ochotę kupić z siedzibą i tymi 5 ha, które na zjeździe dzielczym decydowała się brać Elwira. Na Elwirę, która z dziećmi już się zaczynała cofać, to działa dobrze, bo dla niej usadowienie się Bohdana w siedzibie bohdaniskiej pod jej nosem byłoby fatalne. Już się nie cofa teraz, bo Bohdan proponuje za te 5 ha nie 10, ale 11 tysięcy litów, więc Elwira poczuła niebezpieczeństwo. Za resztę, bez tych 5 ha, Bohdan daje po 550, a da zapewne po 600 litów za hektar. Marysia i Budkiewicz triumfują.

30 lipca, rok 1937, piątek

Dziś u mnie we dworze tłoka na zwózkę wspólnymi siłami cegły, kupionej zza Rakiszek na budowę wędzarni. Cegły na tę wędzarnię mam kupionej 3000 sztuk od Justyna Budkiewicza z Rumiszek, ale ponieważ mularz Sinica tę cegłę Budkiewiczowską brakuje (pójdzie ona na ścianę od środka), więc kupiłem 5000 sztuk cegły (po 7 litów setka, razem za 350 litów) z Velniakalnia za Rakiszkami. W tłoce wzięli udział sąsiedzi, liczni gospodarze zaścianków wioski Bohdaniszek, Ginduryszek i Prapultini, także Sinica, Budkiewicz i Elwira. Ogółem razem z moimi końmi pojechało po cegłę przeszło 20 furmanek, przeważnie jednokonnych (dworskie były parokonne). Wodzem taboru był ekonom Pumpol. Przywieziono 3800 cegieł. Dla uczestników tłoki było przygotowane przyjęcie we dworze. Do pracy były zaprzęgnięte niewiasty dworskie na kuchni, Kazimierz i Bieliunas, pod wodzą Jadzi. Na dziedzińcu koło oficyny był ustawiony z desek długi stół i dokoła sklecone ławy. Kilkadziesiąt osób zasiadło do stołu koło godziny trzeciej po wyładowaniu przywiezionych cegieł. Były trzy butle wódki, smacznie zaprawionej przez Jadzię sokiem z czarnych porzeczek, śledzie w occie z cebulą, kapuśniak na kościach wołowych, niezliczona ilość kotletów wołowych z kartoflami i sałatą ogórkową, wreszcie kwas szumiący. Ludzie się najedli i napili, po czym się rozeszli w dobrych humorach.

31 lipca, rok 1937, sobota

Trzech studentów ekonomistów do egzaminu. Ale jacyś nudni i niemrawi, zwłaszcza dwaj.

Pod wieczór przyjechała Elizka Komorowska. Zabawiła kilku godzin u mnie, po kolacji poszła na noc do Elwiry.

Skądinąd nic szczególnego do zanotowania. Deszcz wielki wypadł, ale to jest u nas teraz rzeczą powszednią. Jak tylko są żniwa albo sianokos, to z reguły pada deszcz. Za to na początku lata, kiedy na jarzyny i ogrody potrzebny deszcz – jest susza. Tak jest w naszym klimacie zawsze. Powiadają, że gdy Bóg stworzył świat i podniósł kwestię deszczu, ludzie poprosili Boga, aby zsyłał deszcz, „gdy będziemy prosić”. Ale staruszek Bóg nie dosłyszał; wydało mu się, że ludzie powiedzieli: „gdy będziemy kosić”. Toteż deszcz pada nie wtedy, gdy ludzie o deszcz proszą, ale wtedy, gdy koszą. *Si non e vero – e ben travato*.

1 sierpnia, rok 1937, niedziela

Przed kilku dniami była u mnie p. Augaitisowa z Pokrewnia pożyczyć centryfugę do miodu. Wspominała, że w niedzielę, to znaczy dziś, odbędzie się w Pokrewniach jakieś przyjęcie, na które zapraszała przyjechać i mnie, i Jadzię, i Gudowicza. Ochoty wielkiej jechać nie miałem, bo nie lubię zebrań towarzyskich, a nie mogę ani dużo pić, ani objadać się wieczorem na kolacji, w karty nie grywam, do tańca się nie nadaję, gadatliwy nie jestem, w gromadzie ludzi obcych nie czuję się dobrze, z natury jestem samotnikiem i kocham tylko moją pracę oraz ludzi bliskich albo człowieka w ogóle, w jego dobrym wyrazie, nie zaś byle człowieka konkretnego w zdawkowym obcowaniu towarzyskim. Nudzę się w banalnych zebraniach towarzyskich i nie mam o czym rozmawiać. Jestem w dużym stopniu, że tak powiem, człowiekiem społecznym, ale nie człowiekiem towarzyskim. Chociaż nic mię do tej jazdy nie nęciło, jednak ciągle się wahałem – jechać do Augaitisów czy nie jechać. Wolałbym nie jechać, ale skądinąd Augaitisowie stanowią dom litewski w najbliższym sąsiedztwie Bohdaniszek. Są to pionierzy nowej burżuazji ziemiańskiej litewskiej. Nie bywać u nich jak nie bywa ziemiaństwo okoliczne polskie – to mogłoby zakrawać na bawienie się w pańskość, na manifestowanie swojej wyższości społecznej wobec „chłopów" Litwinów, bo Augaitisowie są chłopami i Litwinami. Takie separowanie się od „chłopów" i od Litwinów nie odpowiada moim pojęciom społecznym oraz mojej działalności całej i mojej pozycji litewskiej. Należę przecie do tych, którzy choć tkwią korzeniami w społeczeństwie krajowym polskim i szlacheckim, a nawet pańskim, jednak właśnie się łączą wyraźnie i czynnie z Litwą narodową i ludową.

Ani Jadzia, ani Gudowicz nic dziś od rana o jeździe do Pokrewnia do Augaitisow nie mówili. Ale mnie ta rzecz ciągle leżała na sercu i czułem pewnego rodzaju niepokój i wyrzut, że się nie wybieramy. Po obiedzie Gudowicz wybierał się na polowanie do Pakień na cietrzewie i już mu zaprzęgano konia. Kazimierz i Adela zaczęli napomykać o tym, że należałoby pojechać do Augaitisów, że tam czekają, że tam gotują przyjęcie, że „chłopom" będzie honor, gdy ich „panowie" odwiedzą itp. Zdecydowałem się pojechać. Odprowadziłem Gudowicza do Pakień i tym samym konikiem z małym Butkusiukiem za furmana pojechałem do Pokrewni. Natrafiłem tam na zjazd liczny. Na razie osób było niedużo, z parę dziesiątków, przeważnie urzędnicy z Rakiszek i ich żony, trochę dzieci, parę jakichś panienek. Ale wciąż przyjeżdżali nowi, aż do samej kolacji. Urzędnicy z Rakiszek, wójt Mackus z Abel, goście z folwarków okolicznych i aż z Łotwy i tacy, co jeszcze zachowali styl ubioru i manier włościańskich, bardzo dużo dzieci, panny, mężatki, młodzieży męskiej niedużo, większość w średnim wieku, byli i starsi. Ile było ogółem – trudno przeliczyć, ale że nie mniej, niż 60 osób – to pewne, a może i do stu. Był też i Choynowski z Junkun, pochodzący ze starej rodziny ziemiańskiej, który w dzieciństwie źle się uczył i sprawiał dużo zmartwienia rodzicom, a potem (jeszcze przed wojną) ku zgryzocie rodziców i zgorszeniu całego ziemiaństwa (co zwłaszcza w tym czasie uchodziło w kołach polsko-ziemiańskich za zgrozę) ożenił się w młodym wieku – o, zgrozo! – z „prostą" dziewczyną „chłopką", ale z zamożnej rodziny „gospodarskiej"; żona ta, Merkisówna z domu, której brat otrzymał wykształcenie i został adwokatem, a za bolszewików był prokuratorem w Petersburgu, ale zakończył tragicznie, bo został rozstrzelany (jego syna, chłopca bardzo inteligentnego i zdolnego, znałem dobrze, był on studentem, moim uczniem na uniwersytecie w Kownie, potem był w Paryżu, przyjeżdżał jako korespondent Elty do Hagi w czasie sprawy kłajpedzkiej w Trybunale Międzynarodowym, następnie, niestety, odebrał sobie życie) – żona, powiadam, Choynowskiego okazała się bardzo dzielną, gospodarną i mądrą kobietą, co później przyznali też ci, którzy się sami gorszyli małżeństwem Choynowskiego, i męża potrafiła utrzymać na dobrej drodze i majątek dobrze administrowała. Dziś Choynowski jest człowiekiem ustatkowanym, wcale nie głupim, ma humor i dowcip, jest typowym szlachcicem z fantazją, w społeczeństwie litewskim należy do arystokracji, a dom jego i rodzina, jak on sam, są już zupełnie litewskie. Przyjechał do Pokrewnia z córką, bardzo sympatyczną panienką, pełną wdzięku i słodyczy, a przecież rezolutną i żywą, która ukończyła w tym roku Instytut Pedagogiczny w Kłajpedzie, a z nimi przyjechali ich goście letni – doktorowa Trukanasowa, żona znanego działacza społecznego w Kłajpedzie, jej brat oficer, były adiutant prezydenta i jeszcze paru innych. Choynowscy ze swoimi

gośćmi stanowili najkulturalniejszą i najciekawszą grupę towarzystwa w Pokrewniu. Natomiast najmniej sympatyczną grupę stanowili urzędnicy z Rakiszek, udający zblazowanych, karciarze i snobi, trzymający się swojej kupy, banalni w swoich gawędach, cyniczni nawet. Urzędnicy prowincjonalni – to najbardziej zdeprawowany światek, słusznie też w literaturze litewskiej ostro satyrą smagany. Mam do nich wstręt, bo też zasługują nań w zupełności. Jest w nich coś plugawego. Inni goście – to poczciwcy wiejscy przeważnie, ludzie „*simples*". Nudziłem się w tej atmosferze, zresztą chyba mało kto się bawił. Czekano kolacji, kręcono się przed gankiem, po ogrodzie, nad rzeką, siedziano w salonie, gdzie darł się patefon, lub na balkonie. U wszystkich bodaj była jedna myśl – doczekania się kolacji, która miała poprawić humory, nastroić, rozgrzać i podhumorzyć, otwierając wrota tańcom, zabawie, kartom itd. Ja zaś czekałem kolacji, aby uciec, gdy wszyscy siądą do stołu, bo przed kolacją na oczach wszystkich gości nie było jak odjechać. Tak też zrobiłem. Gdy siadano do kolacji – wyniosłem się, uprzedziwszy gospodarza i pożegnawszy kilka osób, które mię odprowadziły do konia. Ładniej mi było wracać do domu poprzez mgły nizin w okolicy Busiszek, niż „bawić się" u stołu przy kolacji i wódce.

2 sierpnia, rok 1937, poniedziałek

Ciągle deszcz. Kiedy panuje susza, to choć się najczarniejsze chmury dokoła gromadzą, jednak deszczu nie dają i w decydującej chwili gdzieś się rozpływają i nikną. Za to w okresie dżdżystym każda chmurka sprowadza deszcz. Tak jest teraz. Najmniej pół dnia pada deszcz i zawsze wypadnie strumieniem. U mnie w gospodarstwie tymczasem jest to obojętne, bo żyto zwiezione, a pszenicy i jarzyn Pumpol jeszcze nie kosi, zwlekając tymczasem. Ale u Elwiry staje się to już groźne. Całe jej żyto, późno skoszone, stoi na polu; słoma poczerniała i już zachodzi niebezpieczeństwo, że żyto zacznie porastać.

Z powodu deszczu Gudowiczowi trudno polować. Jednak nie daje za wygraną i na krótkie poobiednie wycieczki myśliwskie wybiera się. Wczoraj na Pakieniach upolował trzy cietrzewie, dziś w sadzawce Diržysa upolował dwie młode kaczki i kurkę wodną.

W Gaju jest dużo saren. Prawie co dzień ktoś je widzi wychodzące na pole pod las na koniczynę. Przebiegają z Gaju przez Kumsze do Pakień i nazad. Gudowicz ostrzy zęby na kozła.

3 sierpnia, rok 1937, wtorek

Znowu deszcz. Przyjechało trzech studentów ekonomistów na egzamin. Zdawali marnie, jeden – niejaki Senulis – nie zdał, dwaj inni – Karecki i Klemas – zdali nędznie. Wszyscy trzej z policji politycznej, co w moich poglądach tradycyjnych źle świadczy o człowieku.

Sinica rozpoczął murowanie wędzarni mojej z cegły, którą mi w ubiegłym tygodniu zwiozła tłoka. Lubię patrzeć, jak się robota posuwa.

Zresztą – nic szczególnego dzisiaj.

4 sierpnia, rok 1937, środa

Pojechałem dziś do Rakiszek, Poniemuńka i Kowaliszek. W Rakiszkach miałem wypłaty. Ogółem wypłaciłem 1320 litów! Mianowicie w oddziale Banku Litewskiego z długu wekslowego, przejętego ze spadku po Maryni w sumie 4550 litów, nadpłaciłem 350 litów na kapitał i 60 lt. na procenty od pozostałej sumy 4250 lt. wraz ze zmianą weksli na następne trzy miesiące. Dalej Pejsachowi Ruchowi zapłaciłem 200 na opłatę weksli za nabrany towar. Wreszcie wysłałem do Kowna na imię p. Mašiotasowej 760 litów za dwa miesiące komornego. Opróżniłem więc radykalnie kieszeń. Miałem jeszcze parę sprawunków w Rakiszkach i poza tym wniosłem w sądzie testament Maryni do zatwierdzenia i prośbę o wyznaczenie opieki nad Stenią, wskazując jej matkę Marysię na opiekunkę. Jak zawsze, w Rakiszkach zatrzymałem się u Pejsacha Rucha, przyjaciela tradycyjnego naszego domu. Pejsach – mądry Żyd. Mądry i bardzo stylowy. Przyjemnie zawsze z nim pomówić. Ma wyraźny praktyczny pogląd na życie, dużo zdrowego rozsądku, treściwie traktuje zagadnienia społeczne i sprawę żydowską. Jest ortodoksem chasydem. Chasydzi, których w Polsce jest dużo, u

nas w Litwie są tylko w Rakiszkach, poniekąd w Abelach, Kupiszkach, Ponedelu. To nie tyle sekta, ile pewien wariant nabożności żydowskiej i może nieco uproszczonego, bardziej naiwnego i pogodnego poglądu na świat czy metody uczuciowej w ideologii. Mówiliśmy o polityce, o przyszłości Żydów, o ich prześladowaniu społecznym w Polsce, o ruchu Żabotyńskiego w żydostwie, o angielskim projekcie podziału Palestyny, o zagadnieniu inteligencji żydowskiej. Pejsach ma na wszystko pogląd trzeźwy i realistyczny, ale w podziale Palestyny uwzględnia też kwestię Jerozolimy, którą traktuje bardzo podobnie do tego, jak Litwini traktują kwestię Wilna: *non possumus* – bo to jest nasze serce. Pchanie się Żydów do coraz wyższych szczebli inteligencji formalnej Pejsach, który sam w kształceniu swoich dzieci tego pchania się świadomie nie chciał, powiedział mi taką przypowieść: do jakiejś miejscowości przyjechał skądś Żyd i tam musiał osiąść; aby mu dać możność utrzymania się, Żydzi miejscowi dali mu miejsce dozorcy bożnicy; gdy się jednak okazało, że jest analfabetą – musiano go usunąć; Żyd jął się handlu i dorobił się milionów; został potentatem bankowym, brał udział w radach banków; raz go spytano, dlaczego, będąc na tak wysokim stanowisku, nie nauczył się choćby tylko podpisywać się i czy nie żałuje, że jest tak zaniedbany w wykształceniu; Żyd odparł: gdybym umiał pisać, nie byłbym multimilionerem, jeno bym był dozorcą bożnicy. Stąd wniosek, że nie zawsze wykształcenie formalne i wysoka nauka daje człowiekowi środki do osiągnięcia większych celów życiowych. Z Rakiszek po obiedzie pojechałem do Poniemuńka do p. Bichniewicza. Jechałem przez Kowaliszki nowym gościńcem, który idzie dawną bliższą drogą. Pierwszy raz tą drogą jechałem. Dawniej była ona krótsza, ale nędzna, trudna do przebycia. Teraz jest wyborna. Bardzo piękna droga, przez laski, wiejskie i poetyczne. Do p. Bichniewicza jechałem jako do superarbitra w sprawie spadku po Maryni. Chodziło o cały szereg zagadnień i trudności, które się wyłaniają na drodze wykonania programu, uchwalonego na zjeździe arbitrów w dniu 18 lipca.

5 sierpnia, rok 1937, czwartek

Z p. Bichniewiczem wczoraj omówiłem wszystkie kwestie, powstające w przedmiocie wykonania programu likwidacji spadku po śp. Maryni w myśl kalkulacji arbitrów. Kwestii tych jest niemało i są one, a przynajmniej niektóre z nich, dosyć trudne. Chodzi o zafiksowanie zobowiązań Elwiry, Rosena i Budkiewicza, o zabezpieczenie się przeciwko wekslom, posiadanym przez Rosena, którymi mógłby on przeszkodzić sprzedaży Bohdaniszek, o ile nie zostanie do tej pory spłacony z pieniędzy wileńskich, co wymaga dłuższego czasu, a więc ewentualnie o zlokowanie tych weksli w trzecie ręce, skądinąd o zabezpieczenie spłaty Rosena przez odpowiednie zobowiązanie Ewy, która swoją drogą może chcieć zabezpieczenia przeciwko interwencji Stefana na kapitał wileński, dalej o zafiksowanie oferty Bohdana na kupno części Bohdaniszek, o zabezpieczenie pieniędzy wileńskich na wypadek śmierci Ewy przed rozrządzeniem tychże, o zabezpieczenie na rzecz Steni tych pieniędzy, które po likwidacji zostaną na jej rzecz opłacone jej matce, o zapewnienie gotówki na wydatki bieżące spadku i na spłatę kilku wierzycieli najbardziej natarczywych i nie mających żyranta, do którego by się uczepili itd. Diagnozę tych wszystkich kwestii przedstawiłem Bichniewiczowi, z którym zupełnie się co do tego porozumiałem, ale chodzi o ich załatwienie. W tym przedmiocie Bichniewicz we środę przyjedzie do Bohdaniszek. Sprowadzimy też wtedy Elizkę Komorowską dla oddziaływania na Elwirę. Sprowadzę także Rosena i Bohdana.

U pp. Bichniewiczów zabawiłem wczoraj do wieczora. Sam Bichniewicz i jego szwagierka panna Szostakowska są mili, on jest bardzo dzielny, światły, obywatelsko bardzo dodatni człowiek. Jest gospodarzem kulturalnym i dzielnym, uprawia buraki cukrowe, ma centralę mleczarską, wzorowe racjonalne gospodarstwo kurze, rolnictwo pierwszorzędne, rozpoczyna eksploatację torfu. Jego żona p. Bichniewiczowa jest mniej przyjemna. Zarozumiała, choruje na pańskość, jest dosyć złośliwa, polskość jej jest agresywna – antylitewska i antyludowa. Dwie córki pp. Bichniewiczów – ładne miłe panienki, zresztą nie miałem okazji rozmawiania z nimi, a do ogólnej rozmowy się nie mieszały. Bichniewiczowa wraz z Komorowskim z Kowaliszek i Rutkowskim z Koźliszek i Szokel tworzą klikę adoracji Przeździeckich. Są to satelici dworu Przeździeckich, chorują na arystokracje,

pną się, żeby dorównać stopie wielkopańskiej, od Przeździeckich biorą modę i ton, orientują się na „Rakiszki", to znaczy na tychże Przeździeckich. Teraz zajaśniał tam nowy splendor i nowa podnieta tej manii – młode małżeństwo Aleksandra (Leszka) Przeździeckiego z Kasią Komarówną z Rogówki, córką Konstantego. Wesele Aleksandra Przeździeckiego, potem przyjmowanie wizyt sąsiedzkich młodej pary, kwiaty, obiady, szampan, mowy. Prawdziwa mania arystokratyczna, tworząca *sui generis* celebrowanie tych uroczystości z zachwytami nad młodą parą, wysilaniem się na dorównanie Przeździeckim z zupełnym odseparowaniem się hermetycznym od otaczającego świata i przekonaniem o niesłychanej doniosłości społecznej i „narodowej" tych aktów próżności. Że lecą na to te wszystkie panie – temu się nie dziwię, ale dziwię się trochę Bichniewiczowi i Zygmuntowi Rutkowskiemu.

Z Poniemuńka pojechałem wczoraj na noc do Kowaliszek. Dziś po wczesnym obiedzie w Kowaliszkach wróciłem do Bohdaniszek.

6 sierpnia, rok 1937, piątek

Prof. dr Gudowicz stał się takim przyjacielem Bohdaniszek, że dla podzielenia się swoimi wrażeniami, dla zaprezentowania Bohdaniszek umyślił sprowadzić tu na dni kilka żonę. Na dziś właśnie był wyznaczony przyjazd p. Gudowiczowej. Przyjechała rano pociągiem o piątej do Abel, gdzie ją na stacji czekał zamówiony dla niej automobil Radżiunasa. Czekaliśmy ją wszyscy od wczesnego rana ze śniadaniem. Jej przyjazd był bądź co bądź ewenementem, bo to przecie pani, mężatka, osoba poważna. I Jadźka moja nie przywykła do pań u mnie. Formalnie bowiem nie tworzymy z Jadzią rodziny legalnej i mój dom jest domem „samotnego" mężczyzny, w którym panie z reguły nie bywają, a zresztą i dla mężczyzn mojego środowiska obecność u mnie Jadźki jest enigmą, a ona sama nie jest „damą z towarzystwa" ani osobą poziomu intelektualnego im równego.

Pani doktorowa przyjechała. Jest ona pod pantoflem męża, ale osoba miła, ludzka, stara już, ale jeszcze usiłująca dotrzymać placu mężowi. Zamieszkała w jego pokoju na pięknej mojej kanapie rzeźbionej herbowej z mebli niegdyś janopolskich, które Papa był przed laty 70 odziedziczył po swoim stryju Antonim Römerze. Pani Wanda Gudowiczowa jest Chrząstowska z domu, pochodzi z rodziny ziemiańskiej ze Żmudzi. Rodzina ta była polską i językiem domowym obecnej p. Gudowiczowej był język polski. Jej bracia i krewni i dotąd mają się za Polaków i niektórzy mieszkają w Litwie, inni w Polsce. Ale ona sama była kursistką na kursach żeńskich Bestużewa, oddana prądom postępowym i ludowym, które ją w kierunku litewskim zorientowały. Gdy zaś wyszła za mąż za studenta Litwina Gudowicza, esdeka podówczas i posła do Dumy, z pochodzenia chłopa, pozostała już na zawsze Litwinką i litewski jest dom Gudowiczów.

Prof. Gudowicz oprowadzał żonę po Gaju, wodził ją do Kumsz. Nie przerywał zresztą dla niej swego trybu. Kilka godzin spędzał na lekturze naukowych dzieł medycznych, jak zwykle, wykonał drzemkę poobiednią. Ale skądinąd cieszył się z żony, wszystko jej pokazywał, tłumaczył, udzielał jej swych wrażeń. P. Gudowiczora rozmawiała też z Jadzią, oglądała z nią gospodarstwo, ogród itd. Żeby ją rozerwać i dogodzić Gudowiczowi, zarządziłem po obiedzie wycieczkę. Pojechaliśmy z obojgiem Gudowiczami i Jadzią, sami się powożąc, nową drogą moją na Karwieliszki, Gaj, Busiszki i na gościniec nowy popielski przez Ażubale, przez folwark Juchny nad jeziorkiem do Popiel, gdzie wdrapaliśmy się na piękną pilkalnię z prześlicznym rozległym widokiem-panoramą.

Poza tym miałem dużą pracę egzaminową. Przyjechał cały komplet pięciu studentów, młodych prawników, którzy przesłuchali świeżo mój kurs w tym roku; jeden tylko w ich liczbie był starszy (niejaki Pranckunas z Szawel). Czterej inni to byli: garbusek Daukantas ze Żmudzi, Piotr Vilutis spod Komaj – „seniunas" semestru, Laurynas Zozas z Kupiszek i Żyd Dawid Izykowicz z Kowna. Daukantas przyjechał już wczoraj, z Abel przywędrował pieszo, nocował u mnie na górze. Pranckunas zdał egzamin i zaraz odjechał, inni siedzieli do wieczora, nim skończyłem egzaminować wszystkich. Zdawali bardzo dobrze, jak zawsze młodzi, którzy dopiero co kurs przesłuchali. Najpiękniej zdał Daukantas. Furmanki ani auta nie mieli. Umówili się iść z Bohdaniszek pieszo do

Vilutisa pod Komaje. Jednak deszcz wieczorem zaczął padać i było ciemno. Jadzia ich zatrzymała na noc i zalokowała w moim archiwum na górze na dwóch łóżkach i kuszetce.

7 sierpnia, rok 1937, sobota

Do egzaminu przyjechało dziś znowu aż sześciu studentów. Tym razem był to egzamin z prawa konstytucyjnego litewskiego. Studenci byli przeważnie starsi. Egzamin potrwał długo, bo się ciągnął, jak zawsze, z przerwami. Najlepiej zdali: Żyd Simcha Krasowski i Żmudzin typowy Józef Šarka, powolny, pozornie nie obiecujący, jak Longinus Podbipięta, ale doskonale przygotowany i umiejący myśleć. Dwaj zdali dobrze – Bačiulis i podstarzały jowialny i głupkowaty, ale chytry komornik sądowy Jachiewicz. Wreszcie dwaj zdali ledwie zadowalająco – zacinający się nerwowo Wincenty Mikucki i tępy Józef Taškunas. Pogoda była śliczna, dzień słoneczny gorący po kilku tygodniach przeważnie deszczu. Studenci, którzy już zdali albo na których jeszcze nie przyszła kolejka, przechadzali się, kąpali się, chodzili do Gaju, oglądali ogród i stary dwór. Dla nich egzaminy w Bohdaniszkach – to poniekąd także wycieczka, którą oni przeważnie lubią. Przyjmuję ich zresztą gościnnie, karmię, daję herbatę lub obiad, Gudowicz z nimi żartuje i rozwesela ich.

Gudowicz z panią Gudowiczową i Jadzią wybrali się po podwieczorku na wycieczkę myśliwską do Narkun i Mełduć. Pojechali autem Radžiunasa, który przywiózł studentów. Ja im nie towarzyszyłem tym razem. Wszakże zamiast na Narkuny zawrócili z Łasz na Rakiszki i dotarli przez Kurklecie tylko do Mełduć, gdzie nad oryginalnym jeziorem mełduckim, położonym w głębokiej kotlinie, zasiedli otoczeni gromadką ciekawych i prowadzili gawędkę, w której Gudowicz celuje. Gudowicz pochodził po brzegach jeziora, upolował dwie kaczki. P. Gudowiczowa jest bardzo miła, swojska, z Jadzią dobrze kwadruje, towarzyszy jej do gospodarstwa, udziela rad, jest dla niej bardzo uprzejma. Moja Jadźka to bardzo lubi i ceni.

Budowa wędzarni przez Sinicę posuwa się. Ściany już wyrosły mniej więcej do poziomu człowieka. W poniedziałek Sinica będzie już zakładał rusztowania.

W środowisku, w którym się tu obracam – Gudowicz, studenci, służba domowa – tonę w środowisku litewskim, w którym mi jest zresztą dobrze. Ale zawsze jest we mnie także sentyment polski, przynajmniej do języka. Używam języka polskiego tylko z Kazimierzem i z Jadzią. Jest to moja wyspa polska w postaci przynajmniej języka w tym zalewie litewskim.

8 sierpnia, rok 1937, niedziela

Pogoda coraz bardziej się ustala. Od czwartku, jeszcze w pełnym deszczu, barometr zaczął iść wyraźnie na pogodę, pomimo że zachmurzenie było jeszcze bardzo wielkie i że deszcze wielkie padały aż do samej nocy z piątku na sobotę. I wczoraj jeszcze chmury się od czasu do czasu przesuwały ciężkie. Barometr jednak stał wysoko. Dziś już była pogoda wyraźniejsza, chmur mniej. Jutro już powiozą pszenicę, niebawem i owies, który już skoszono, a zaraz skosi się i jęczmień, potem groch, w końcu zaś miesiąca, po moim wyjeździe, Jadźka sama dokona młócki, a tam już siewy ozimin, jesień, orki przedzimowe i kampania rolnicza skończona.

Ten tydzień będzie już moim ostatnim w Bohdaniszkach przed powrotem do Kowna. We wrześniu przyjadę tu jeszcze na tydzień. W tygodniu następnym mam dużo jeszcze do zrobienia: wtorek, piątek i sobotę będę miał egzaminy, we środę przyjedzie superarbiter spadku po Maryni p. Bichniewicz i Elizka Komorowska. Będą obrady, dyskusja, sprowadzę Rosena i Bohdana. Poza tym Bieliunas będzie mi malował ściany domu mieszkalnego czerwoną farbą szwedzką „falu”. Trzeba też przywieźć od Skevelasa dąb na krzyż ozdobny litewski, cement i żelazo na wędzarnię.

Wczoraj otrzymałem depeszę od szefa protokółu Girdvainisa z Ministerium Spraw Zagranicznych. Wzywa mię do przyjazdu śpiesznego do Kowna dla wzięcia udziału w raucie i obiedzie uroczystym we czwartek i w piątek na rzecz przyjeżdżającego do Kowna sekretarza generalnego Ligi Narodów Avenola. Nie zdecydowałem się jednak jechać i odpowiedziałem odmownie, tłumacząc się zajęciami terminowymi. Gdybym miał przekonanie, że to może mieć jakiś związek z ewentualną kandydaturą moją do Trybunału Międzynarodowego w Hadze (wybory w

roku, zdaje się, 1938), to bym może pojechał, ale sądzę, że chodzi im o mowę moją na obiedzie dla Avenola, ponieważ uchodzę za najlepszego mówcę po francusku.

Pod wieczór wybraliśmy się na wycieczkę w bryczce parą koni – prof. Gudowicz, jego żona, Jadzia i ja. Pojechaliśmy na Pietraszuny i mieliśmy jechać do dolnego biegu rzeki Audry, pełnego błot i zarośli, gdzie mogą być kaczki i cietrzewie. Ale nie dojeżdżając Gudowicz zawrócił na Ostrów (obecnie urzędowo przezwany „Margėnai") i tam na łąkach po rzadkich zaroślach zaczął łazić z psem. Nic nie upolował, choć powiada, że widział z daleka cietrzewie, które poleciały do lasu. Zmęczył się, a już wieczór nadchodził, bo doktorowa dziś na noc wyjeżdża. W drodze powrotnej mieliśmy między Dogilami i Boniuszkami wypadek. Koń Dragunas, który ma słabe nogi, potknął się i upadł. Byliśmy bezradni, bo nie mogliśmy dać rady z wyprzężeniem. Dopiero gdy ludzie nadjechali, jeden mężczyzna nam pomógł, wyprzągł konia, Dragunas wstał (nałykałem się strachu, żeby nie zamęczył się); nasz pomocnik nam znów zaprzągł konia i wróciliśmy szczęśliwie. Na noc p. Gudowiczowa odjechała do Kowna.

9 sierpnia, rok 1937, poniedziałek

Zwieziono u mnie pszenicę. Nie koszony dotąd jest tylko jęczmień. Owies cały leży, baby go dziś wiążą w snopki. Ekonom przywiózł z Abel ze stacji farbę szwedzką, z Rakiszek przywieziono witriol, mąkę żytnią pytlową i pokost jako dodatki do tej farby „falu". Jutro rano Bieliunas podbierze miód z uli, po czym zabierzemy się do malowania ścian domu, żeby choć rozpocząć to przy mnie.

Budowa wędzarni postępuje. Wznosi się już ona na dwa metry, a wyniesie 7 metrów wysokości. Ta wędzarnia, rzecz mała i luksusowa w gospodarstwie, będzie mię dosyć drogo kosztowała. Kosztowały cegły, kosztowało żelazo. Kiedy się zdołam wykopać z tych budowli? Mam jeszcze spichrz przed sobą, którego tylko podmurówkę w tym roku stawiam.

Projektowałem dziś w głowie ewentualne granice tych 8 ha, które mam nabyć od Maryni. W tym celu chodziłem z ekonomem do granicy Stankiewicza i wracając kalkulowałem i rozglądałem się w planie.

Dzień był pogodny i ciepły.

10 sierpnia, rok 1937, wtorek

Na egzamin przyjechało dziś trzech studentów prawników. Dwie studentki, wpisane do grupy, nie przyjechały. Wszyscy trzej studenci – Norbert Tarulis (brat asystenta Alberta Tarulisa), Jan Radzivonas i Bolesław Kapustyński – zdali dobrze.

Prof. Gudowicz był zaproszony dziś do Kowaliszek na wycieczkę myśliwską z Komorowskimi i Rutkowskimi na jezioro czadoskie jutro. Pojechał nie nazbyt chętnie. Gudowicz jest jednak typem psychicznym oryginalnym. Posłuchać go w rozmowie – to by się mogło zdawać, że jest próżniakiem jałowym, gadatliwym i pospolitym. Nie gada, lecz po prostu miele językiem; z radością też podchwytuje każdą sensacyjną nowinkę, ploteczkę wyczytaną, zna anegdoty, sam anegdoty czyni ze zdarzeń życiowych, zna wszystkie ploteczki o wszystkich i o każdym. W towarzystwie nie daje nikomu dojść do słowa, gada, gawędzi, opowiada, rezonuje. A jednak pod tymi pozorami hultaja i plotkarza pustego jest w nim serce gorące, ludzkość wielka i – co dziwniejsze – instynkt samotnika. Jest wrażliwy i miękki pod szorstkim pozorem rubaszności. Nie lubi wielkich zebrań, nie cierpi pompy, blagi uroczystej, blichtru próżności ludzkiej w zebraniach towarzyskich. Lubi towarzystwo ludzi w pojedynkę lub po kilku i tylko na krótko. Chętnie ucieka od nich i zamyka się w samotności głębokiej. Samotności tej potrzebuje i ją kocha. To znak najlepszy indywidualności silnej i głębokiej. W polowaniu też lubi samotność, obcowanie głębokie z naturą, nie znosi gromadnych wypraw myśliwskich.

11 sierpnia, rok 1937, środa

Przyjechał superarbiter do spraw spadkowych po śp. Maryni – p. Władysław Bichniewicz. Wraz z nim przyjechała Elizka Komorowska. Obiad zjedli u mnie, po czym zebraliśmy się do pracy

nad ładzeniem spraw spadkowych w myśl uchwał zjazdu arbitrów z d. 18 lipca. Chodziło o postawienie kropek na i, o ustalenie ścisłych zobowiązań poszczególnych osób, na których słowie oparte były kalkulacje, słowem – o szereg zarządzeń wykonawczych. Przyjechał też Piotr Rosen, wezwany przeze mnie, obecna była Elwira z Helcią Mieczkowską, Marysia Stefanowa Römerowa, wezwany był też Bohdan (Bagdonas) z Boniuszek jako ewentualny pretendent do kupna części ziemi spadkowej w Bohdaniszkach. Z Rosenem rzecz poszła gładko, ale nie wiadomo, o ile gładko się spełnią te zastrzeżenia i warunki, na których oparta jest kombinacja z Rosenem. Rosen potwierdził podpisem ustępstwo, uczynione przezeń na zjeździe lipcowym – to znaczy zrezygnowanie z weksli na 13 000 lt. w zamian za wypłacenie mu z wileńskiego kapitału spadkowego 9009 złotych polskich (10 000 litów) i podpisał zgodę na zdeponowanie weksli na 13000 lt. na ręce superarbitra Bichniewicza z chwilą, gdy Ewa złoży weksle na 9009 zł. p. do rąk p. Kazimierza Świąteckiego w Wilnie. Chodzi nam tu o to, aby móc tu załatwić akty likwidacyjne na Bohdaniszki bez przeszkody ze strony Rosena i nie czekając na wypłatę Rosenowi pieniędzy w Wilnie, zależną od zatwierdzenia w Wilnie praw spadkowych Ewy. To zatwierdzenie bowiem nastąpi znacznie później, niż ewentualnie tutaj będzie zatwierdzony testament Maryni i będzie można rozpocząć likwidację. Ale Rosen może efektywnie zrzec się wszelkiej interwencji w Bohdaniszkach i dopuścić do wyprzedaży tutaj ziemi tylko o tyle, o ile będzie miał realną gwarancję, że zostanie później w Wilnie spłacony. Ponieważ pieniądze wileńskie będą w dyspozycji Ewy, więc musi mieć takie zobowiązanie Ewy, które by mu pozwoliło samemu, nie czekając na jej łaskę i niezależnie nawet od ewentualnej jej śmierci, położyć rękę na pieniądze w Wilnie z chwilą zatwierdzenia Ewy do spadku. Do Ewy o tym napiszę i będę wpływać na nią, żeby to zrobiła. Ochoty do tego z pewnością mieć nie będzie, ale może uczyni. Wszakże i Ewa, dając takie zobowiązanie (weksle), musi być zabezpieczona od ewentualnego zgłoszenia się do spadku Stefana, który jest nieobliczalny. W tym celu będzie się wpływało na Stefana, aby dał zrzeczenie się rejentalne wszelkich pretensji i praw do spadku. Czy Stefan da to zrzeszenie – to też jeszcze nie wiadomo. Stefan jutro ma być w Bohdaniszkach.

Druga kwestia – z Elwirą. Ani słyszeć nie chciała ona o tym, żeby się zobowiązać do nabycia 5 ha centrum Maryni za 10 000 lt., jak to było ułożone w d. 18 lipca i zaprotokołowane, ale przez nią nie podpisane wówczas. Uparła się, że do niczego się nie zobowiązała, że to były tylko gawędy, że tak drogo płacić nie może. Cały dzień z nią zbałamucono. Giętszą od Elwiry okazała się Helcia, pod której wpływem Elwira wreszcie po długich ceregielach i kłóceniu się z Elizką zdecydowała się na kupno 5 ha z siedzibą nie za 10, lecz za 9 tysięcy litów, ale za to bez gumna, które pójdzie na rozbiórkę na rzecz spadkobierców. Inne kwestie poszły gładziej; ja dałem zobowiązanie o kupnie 3 ha za przyjęcie długów na ± 15 000 litów, Budkiewicz podpisał deklarację, że po spłaceniu za niego 3200 lt., żyrowanych za Koziełłę, zrzeka się dożywocia i żadnych więcej pretensji i wierzytelności do spadku nie ma. Pieniądze na pierwsze potrzeby akcji likwidacyjnej polecono wystarać się Marysi w drodze pożyczki. Z Bohdanem gadano, ale jeszcze się nie domówiono. Chce on kupić, ale jeszcze tyle nie daje, a zresztą aktu jeszcze robić nie można.

12 sierpnia, rok 1937, czwartek

Niespodziewanie przyjechało dziś pięciu studentów do egzaminu z prawa konstytucyjnego litewskiego. Ponieważ stałe dni egzaminowe podczas wakacji były wtorki, piątki i soboty, więc spodziewałem się ich przyjazdu na jutro. Okazało się, że termin był dziś. Ci studenci – to dobrze mi znani Stanisław Tomaszewicz (syn byłego ministra komunikacji, znanego z olbrzymich wąsów, i jego żony Dowgirdówny z domu, kuzynki mojej ex-żony Reginy, która nawet, jako młoda panna, była na ślubie moim z Reginą 17 października roku 1909 w Wilnie), Algis Šimkus, syn kompozytora Stanisława Šimkusa, Noreika, syn zamordowanego przed laty 10 adwokata Ludwika Noreiki, Janowicz, syn generalnego sekretarza stronnictwa narodowców, i Petecki. Jest to grupa najlepszych studentów obecnego IV semestru sekcji prawniczej. W przeszłym roku w Bohdaniszkach zdali oni u mnie celująco egzamin z części ogólnej prawa konstytucyjnego litewskiego, teraz przyjechali zdać egzamin z prawa konstytucyjnego litewskiego. Był to egzamin I klasy, świetny.

Od wczoraj Bieliunas, mający do pomocy swojego synka Janka, maluje mi ściany zewnętrzne domu mieszkalnego farbą szwedzką „falu”. Ściana północna, front od podjazdu – już pomalowane. Mnie się podoba. W guście finlandzkim.

Moja suka newfoundlandka czy ternewka „Saima”, sprowadzona zimą przed półtora rokiem z Niemiec, bardzo piękny okaz rasowy psa, ale stróż żaden i głupia, choć poczciwa bardzo i wierna – jest wreszcie szczenna. Lada dzień się oszczeni. Zalokowałem ją pod gankiem wejściowym. Ma tam słomę, dużo miejsca dla szczeniąt. Może szczenięta będą ładne, bo są po ładnym psie gospodarza Klemki z Montowszczyzny, ale szkoda że nie będą czyste rasowe. Przed rokiem Saima zrobiła nam zawód. Posyłałem ją wtedy do Kiejdan dla połączenia z psem p. Telksnisa tejże rasy, bodaj jedynym tej rasy w kraju, aby mieć szczenięta czystej krwi, ale Saima wtedy się nie pobiegała.

13 sierpnia, rok 1937, piątek

Przyjechał wczoraj Stefan Römer. Teraz, gdy Elwira już kupuje cząstkę z centrum Bohdaniszek spadkowych po Maryni, Stefan żałuje i myśli sam tę cząstkę odkupić i zachować. Moim zdaniem, nie ma to sensu dla niego i dla Steni. Ale w Stefanie działa bądź co bądź sentyment do Bohdaniszek. Gotów rzeczywiście odkupić. Marysię też nęci dom bohdaniszki, pewne pozory dworu, przynajmniej w dekorum drzew i ogrodu, mleczarnie itd. Ano zobaczymy, co z tego będzie. Ja jednak moje 8 hektarów za spłatę części długów spadkowych wezmę.

14 sierpnia, rok 1937, sobota

Ostatni dzień w Bohdaniszkach przed powrotem do Kowna. Przyjechało jeszcze czterech studentów na egzamin, samych osłów, sądząc przynajmniej z wyniku egzaminu, bo wszyscy czterej zdali jeno „zadawalająco”, to znaczy ledwie-ledwie, choć z pozoru wyglądali niegłupi.

Bieliunas z synem skończyli malować drugą ścianę domu – wschodnią. Mnie się dom pomalowany podoba.

Przyjechali Cyganie i, jak co roku, stanęli obozem w Gaju. Przeważnie ród Tumarewiczów ze starą Tumarewiczową na czele. Wśród Cyganów są dwie ładne Cyganki, śpiewaczki i tancerki, które występowały w kabarecie „Wersalu” w Kownie. Obecnie są już mężatki – Hela i drugiej imienia nie pamiętam, mają dzieci. Śpiewały i tańczyły przed domem moim. Podśpiewywała też i tańczyła niezmiernie wdzięcznie i zalotnie malutka kilkuletnia Cyganeczka, przepiękne rozkoszne dziecko dzikie i subtelne, chciwe na podarki, zazdrosne, pełne temperamentu, niezmiernie wyraziste i w ruchach zgrabne i delikatne. Tańczy, przebiera nóżkami, gestykuluje, pali papierosa, a lat liczy może najwyżej pięć. Hela tańczyła nie tylko nogami, ale i brzuchem, piersiami, całym ciałem, drgającym rytmicznie. Gudowicz był na polowaniu; Cyganki go czekały. Ale Gudowicz jest wrogiem zaciekłym Cyganów. Toteż gdy wrócił, zaczął łajać Cyganki, nazywać ich wszami Litwy, pasożytami i rozzłościł się na dobre – Cyganki uciekły. Nie widziałem Gudowicza tak brutalnego, jak dziś wobec Cyganów.

Saima jest na oszczenieniu się. Pod wieczór zginęła. Schowała się gdzieś i nie odzywała się na wołanie. Zapewne już rodzić będzie.

15 sierpnia, rok 1937, niedziela

Wyjazd do Kowna. Szkoda. Ze mną wyjeżdża też prof. Gudowicz, który zaraz z Kowna jedzie do swojej córki jedynaczki Danuti Gudowiczówny, mojej studentki, która, chora na płuca, od stycznia siedzi w Szwajcarii w sanatorium w Leysin w górach w okolicach Lozanny. Przed wyjazdem miałem w Bohdaniszkach małą nowinkę, która była już zresztą spodziewana. Moja młoda suka rasy newfoundlandzkiej, którą przed półtora rokiem sprowadziłem z Niemiec i która mię kosztowała koło 300 litów, oszczeniła się wreszcie. Jako rasy północnej – oszczeniła się po raz pierwszy późno, będąc dwulatką. Niestety – szczenięta nie są czystej rasy. Chciałem Saimę złączyć z psem tejże rasy, takiego psa ma p. Telksnys, dyrektor oddziału Banku Litewskiego w Kiejdanach – jest to podobno jedyny pies tej rasy w Litwie. W przeszłym roku w maju, gdy Saima kończyła

pierwszy rok życia i zdawało się, że chce się biegać, posłałem ją do Kiejdan do tego psa p. Telksnysa. Woził ją tam Kazimierz, ale skutku nie było żadnego. W tym roku, gdy się biegała w marcu, nie posłałem jej do Kiejdan, bo to kosztowne, a bałem się, że znowu nic nie będzie. Na wszelki jednak wypadek zalokowałem ją wtedy na kilka dni u zamożnego gospodarza Klemki w Montowszczyźnie, który ma ładnego dużego psa, choć nie tej rasy. I oto Saima zaszła w ciążę i oszczeniła się. Do oszczenienia się wybrała sobie miejsce w gumnie w głębokiej jamie pod materiałem z rozbiórki domu mieszkalnego śp. Maryni. Tam w improwizowanej norze urodziła swoje szczenięta. Adela wytropiła jej schówkę, co zresztą nie było trudne, bo pisk szczeniąt zdradził miejsce. Gdy zaczęto wybierać szczenięta z nory, naliczono ich jedenaście sztuk. Adela złożyła je do kosza i zaniosła do dużej nory pod gankiem wejściowym, gdzie Saima z dziećmi będzie miała wygodne legowisko na słomie. Saima sama zaczęła ściągać dzieci z kosza do nory, ciągnąc je za ogonek. Potem znaleziono jeszcze dwoje w starej norze. Ogółem więc Saima urodziła od razu 13 szczeniąt. Długo kazała na nie czekać, ale za to obficie sypnęła. Wszystkie są czarne jak ona. Czy mają płetwy między palcami nóg do pływania jak matka – nie stwierdzono jeszcze. Chciałem hodować wszystkie, ale przekonano mię, że tak dla matki, jak dla szczeniąt będzie lepiej, gdy się część straci. Wybrano wiec pięć nędzniejszych i suczynek i zaduszono je, zakopując żywcem do ziemi. Saima ani się spostrzegła. Leży ona krukiem w norze przy dzieciach, grzeje je i karmi. Szczęśliwa. Dla siebie hodować będę jednego pieska. Resztę rozdam z łatwością. Ochotników na pieski już mam sporo: Elwira, Jadzia na parkę, Klemka... Ten rok jest w mojej gospodarce pod znakiem płodności: klacz Dubisa, która odkąd ją przed pięciu laty kupiłem, nie miała dzieci – ożrebiła się i przyprowadziła śliczną klaczkę; świnia się świeżo oprosiła i przyprowadziła dziewięć pięknych prosiąt, które się wszystkie ślicznie hodują, teraz Saima się oszczeniła bujnie, ogród owocuje pięknie, ptactwo dobrze rośnie. I dwa białe duże gołębie o wydatnych piersiach, które jako nową odmianę do gołębnika mego nabyłem i które dotąd nie wysiadywały jajek, teraz kończą wysiadywać. Tylko bażanty mi zawód uczyniły, pozostając bezpłodne, a teraz bażanta samca straciłem i samiczka została sama jedna. Postaram się dla niej jednak o samca z Płungian, a na przyszły rok może się już i przychówku doczekam i łabędzi parkę mieć będę.

Jadzia odprowadziła nas z Gudowiczem do Abel. Ponieważ Gudowicz, jadąc z psem, jedzie III klasą, więc i ja wziąłem bilet trzeciej. Ale z Radziwiliszek tyle ludzi jechało (letnicy, wracający z Połągi), że dopłaciłem do II klasy, bo ani nadziei na miejsce w trzeciej nie było.

16 sierpnia, rok 1937, poniedziałek

Po przyjeździe wczoraj wieczorem do Kowna w mieszkaniu moim zastałem Feliksa Mackusa, który przed kilku dniami wrócił z Paryża, gdzie już zakończył ostatecznie swoje dwuletnie dokształcenie się i po spędzeniu w Kownie jeszcze dni paru pojedzie na resztę wakacji letnich do Narkun. Jeżeli mój obecny asystent Konstanty Raczkowski, którego wystawiliśmy kandydaturę na stypendium Rockefellera, otrzyma to stypendium i wyjedzie za granicę, to Mackus, który jest moim drugim asystentem, już w tym roku będzie musiał objąć kierownictwo seminarium prawa konstytucyjnego. Czy dorówna Raczkowskiemu – wątpię. Mackus nie jest głupi, ma głowę wcale dobrą, ale ma pewną skłonność do lenistwa, pewną nonszalancję artystyczną, nie ma tego entuzjazmu do nauki i tej ścisłości, które ma Raczkowski, nie jest też może tak zręczny w wysławianiu się.

Mieszkanie zastałem ciemne. Ponieważ wyjechałem z Kowna w czerwcu, więc za czerwiec nie było zapłacone za zużytą energię elektryczną, bo zresztą wtedy przed końcem miesiąca i obliczone to jeszcze nie było – i oto urzędnicy stacji elektrycznej wyłączyli tok za „nieopłacenie w terminie”, bo już dwa miesiące upłynęły. Mogłaby być stacja względniejsza latem dla klienta, który bądź co bądź gwarancję płatności przedstawia zupełną. Słowem, musiałem pożyczyć świece od pp. Mašiotasów. Samemu w mieszkaniu jest pusto i nudno. Mackus tylko nocować przychodzi. Miałem też innego rodzaju niedogodność tej pierwszej nocy. Położyłem się na sofie, służącej za łóżko Jadzi i oto opadły mię pluskwy tak, że musiałem uciekać na moje łóżko, naładowane pościelą. Nie wiem, co to jest, że w tym mieszkaniu nie ma sposobu pozbyć się pluskiew. Jadzia z nimi wojuje ciągle i na wszelkie

sposoby; zdaje się, ze wszystkie wytępione, że więcej już nie ma, a oto po pewnym czasie znów się znajdują, to w kuchni, to w jadalnym za obrazami, to w moim pokoju sypialnym. W pokoju Jadzi ich nie było, a oto teraz w jej sofie znalazło się dużo, że aż mi spać nie dały. Jadzia będzie tym zmartwiona.

W Kownie bawi Andrzej Mieczkowski, który mieszka nie u mnie, lecz u kolegi. Już od tygodnia przyjechał on tutaj, żeby zakończyć formalności związane z wyjazdem wycieczkowym do Paryża na wystawę. Jedzie z wycieczką Związku Turystów. Ma na to danych ode mnie 500 litów, trochę mu też matka dopłaciła. Jest uszczęśliwiony. Rwał się na tę wycieczkę aż do nieprzytomności; stało się to jego manią. Ale młody jest, wrażliwy, toteż dobrze, że pojedzie. Wyjeżdża z wycieczką jutro. Wycieczka zabawi w Paryżu 10 dni i w drodze powrotnej dwa dni w Berlinie. Wiele pieniędzy Andrzej mieć nie będzie, ale z wycieczką bądź co bądź dużo ciekawego zobaczy. Może tylko zmęczenie, na które jest wrażliwy, i niedojedzenie, bo apetyt ma Andrzej wprost dziki, a utrzymanie wycieczkowe zapewne będzie skromne – trochę mu dokuczą i osłabią siłę wrażeń paryskich.

Rozpocząłem już dziś urzędowanie na uniwersytecie. Zresztą roboty tam prawie że nie ma o tej porze roku. O losach projektu statutu uniwersyteckiego nic nie słychać. Od Mašalaitisa przysłano mi dziś nowy projekt konstytucji, opracowany przez Radę Stanu (komisję Šilinga-Mašalaitisa-Raczkowskiego).

17 sierpnia, rok 1937, wtorek

Po przyjeździe z Bohdaniszek, wczoraj jeszcze, czułem się jeszcze poniekąd w atmosferze na poły bohdaniskiej. W moim mieszkaniu siedział Mackus, w Kownie był Andrzej Mieczkowski, który zabiegał do mnie, miałem jeszcze kontakt z Gudowiczem, który ze mną wrócił z Bohdaniszek i u którego byłem na obiedzie, spożywając jeszcze cietrzewia z Pakień. Dziś wszyscy trzej się rozjechali. Mackus pojechał do matki do Narkun, Andrzej – z wycieczką do Paryża, Gudowicz – do Leysin w Szwajcarii pod Lozaną do córki. Urwały się moje kontakty z atmosferą bohdaniską. Dwa tygodnie spędzę tu w mieszkaniu smutny. Jedyna rozmaitość – to egzaminy studenckie trzy razy na tydzień. Dziś wyegzaminowałem pięciu studentów z prawa konstytucyjnego litewskiego, w ich liczbie kilku świetnych, jak ksiądz jezuita Puleikis, teolog skończony i kapelan gimnazjalny, człowiek bardzo gładki i inteligentny, Białorusin z Łotwy Afinogen Zeiglisz, jeden z najlepszych studentów, który już przesłuchał cały kurs wykładów i zdaje egzaminy dyplomowe, a chce się starać o naturalizację litewską, czego mu szczerze życzę, bo to człowiek wartościowy, który ewentualnie, choć na obczyźnie, może i w swoim narodzie rolę w pewnych okolicznościach odegrać, wreszcie młodziutki, ale bardzo sprytny i miły studencik Staś Obuchowicz.

Przed wyjazdem z Bohdaniszek rozmawiając z Elwirą – parokrotnie poruszyłem, a raczej poruszyła ona, dosyć drażliwą, jak mi się zdawało, kwestię losów spadku po mnie w Bohdaniszkach. Rzecz ta nie jest w moich decyzjach ostatecznie dotąd ustalona. W każdym razie rozumiem, że córce mojej Celinie Bohdaniszki nie powinny być zostawione, bo nie ma ona dla nich żadnego sentymentu, nie zna ich nawet i sprzedałaby zaraz. A ja Bohdaniszki kocham i chciałbym, żeby ich los nie zależał od przypadku i był przeze mnie ustalony. Dużo zależy od tego, czy mi się uda doprowadzić do skutku małżeństwo z Jadzią. Ale gdyby się nawet udało, wątpię już teraz, czy bym jeszcze mógł mieć potomstwo z Jadzią. Gdyby to się stało, to wszystko byłoby rozstrzygnięte. Ale w przeciwnym razie, który jest najprawdopodobniejszy, sam nie wiem, co i jak robić. Ja bym najbardziej lubił, żeby Bohdaiszki moje przeszły na własność uniwersytetu i posłużyły za kolonię letnią dla niezamożnej młodzieży studenckiej albo coś w tym rodzaju. Chodziłoby też o zabezpieczenie choć dożywocia Jadzi. Druga kombinacja, która mi czasem przychodziła do głowy – podział Bohdaniszek między Jadzią i Elwirą (dawniej myślałem – i Marynią, co już dziś odpada) na własność. Ale wszystkim kombinacjom staje na przeszkodzie ten fakt, że w myśl ustaw krajowych własność nieruchoma rodowa może być przekazana tylko spadkobiercom legalnym, to znaczy że Celina mogłaby wszelkie dyspozycje moje obalić sądownie. Co do przekazania Bohdaniszek uniwersytetowi (po ewentualnym dożywociu Jadzi) – to sądziłem, że siostry moje są temu radykalnie przeciwne tak ze względu na

litewskość uniwersytetu, jak ze względu może na własne apetyty na ten spadek. W swoim czasie śp. Marynia dość kategorycznie takim pomysłom moim, o których jej wspominałem, oponowała. Toteż byłem przyjemnie zdziwiony, gdy Elwira sama zaczęła za tym przemawiać, skłaniając mię, w imię mojej chluby rektorskiej, do zapisania Bohdaniszek uniwersytetowi z dożywociem dla Jadzi, ostrzegając jeno przed udzieleniem Jadzi własności, która mogłaby być dla samej Jadzi fatalna, bo zdaniem Elwiry mogłoby grozić niebezpieczeństwo, że ktoś z rodziny Jadzi mógłby ją otruć nawet na starość, aby dla dziedziczenia prędszego po niej.

18 sierpnia, rok 1937, środa

Wracam jeszcze do tego, com pisał wczoraj o Bohdaniszkach, Jadzi, uniwersytecie, Elwirze, słowem – o (daj Boże – dalekim) spadku po mnie. To pewne, że dla Jadzi, bez względu na to, czy zalegalizuję nasz związek małżeństwem, czy nie, lepiej będzie mieć na Bohdaniszkach dożywocie, niż własność, chyba że pozostałyby po mnie u niej dzieci, na co wielkiej nadziei nie mam, bo im później by to małżeństwo nastąpiło, tym mniej byłoby szans na dzieci. Jeżeli bowiem będzie to własność Jadzi, to jej rodzina czekać będzie jej śmierci dla spadku po niej. A choćby i przesadzała Elwira, że bracia czy bratowe albo ich dzieci gotowi by ją nawet otruć dla przyśpieszenia spadku (zdarza się to niewątpliwie, ale nie chcę posądzać), to w każdym razie mogę ją na starość krzywdzić i życzyć jej śmierci. Przy dożywociu zaś byłoby wręcz odwrotnie. A zresztą kochając Jadzię nie jestem bynajmniej w jej rodzeństwie rozkochany i nie życzę bynajmniej przekazania pośrednio moich Bohdaniszek w ród Čepasów. Zapis uniwersytetowi na jakieś cele jeżeli nie nauki, to przynajmniej społeczności akademickiej, zwłaszcza na cele młodzieży akademickiej, bardzo mi się uśmiecha. Tylko jeszcze nie wiem, jak to się da zrobić ze względu na formalnie rodowy charakter mojej własności na Bohdaniszkach. Zresztą mam czas na to. Na razie cieszy mię tylko to, że ze strony Elwiry, którą to najbliżej z rodzeństwa mego dotyka, myśl ta znajduje nie sprzeciw, lecz przeciwnie – zrozumienie i poparcie. Przykro by to bowiem było robić na przekór rodzinie. Inne siostry mało mię obchodzą. Tylko Elwira jest na miejscu i tylko ją to może bezpośrednio obchodzić. Ale, powiadam, mam jeszcze lata czasu na to.

W Kownie cisza i pustka. Nikogo prawie nie widuję. Do mieszkania zgłaszają się do mnie tylko studenci w interesach studiów – egzaminów, prac dyplomowych. Poza tym zgłaszają się tylko albo żebracy, albo proszący jakiejś rekomendacji. Na uniwersytecie, dokąd zaglądam co dzień na jakąś godzinkę dla spraw bieżących i podpisania papierów w kancelarii, pustka. Nie widzę nikogo z profesury i czynników akademickich. Prawda – co dzień prawie bywa prorektor Jodelė, ale zawsze wtedy u niego jest jakieś posiedzenie, związane z komitetem budowy klinik uniwersyteckich, którego on jest prezesem. Obiad jadam w Pienocentrasie. Po obiedzie załatwiam sprawunki, kupuję owoce na wieczór i chleb oraz ser lub coś z konserw na śniadanie ranne i wracam do domu. W domu pracuję dzień cały – z rana do południa i po obiedzie od godziny trzeciej albo czwartej do nocy. Jest to zwyczajny coroczny mój tryb życia w Kownie w czasie mojego samotnego letniego dyżuru rektorskiego.

19 sierpnia, rok 1937, czwartek

Zacząłem czytać projekt konstytucji, opracowany przez Radę Stanu, który mi przysłał nazajutrz po moim powrocie z Bohdaniszek Mašalaitis. Sam Mašalaitis bawi teraz na urlopie i wyjechał za granicę – zapewne do Paryża – ale widocznie on polecił mi ten projekt do zaopiniowania przysłać, bo przyniesiono mi go z kancelarii Gabinetu Ministrów z przypiętym doń biletem wizytowym Mašalaitisa. Jest to już drugi projekt, ułożony przez komisję Rady Stanu (Šiling, Mašalaitis, Raczkowski i Bolesław Masiulis – ten ostatni zresztą tylko w charakterze stylisty językowego, bo merytorycznie na zagadnieniach konstytucyjnych się nie zna). Pierwszy projekt, ułożony przez tę komisję na wiosnę czy też zimą, został przez Gabinet Ministrów, a raczej przez samego prezydenta Smetonę, odrzucony i Šilingowi polecono ułożyć nowy. Obecny projekt jest właśnie owocem wykonania tego polecenia. Pierwszy projekt, chociaż bardzo mocno rozwijał władzę prezydenta

kosztem Sejmu, jednak w akcję i władzę prezydenta wwiązał ściśle sąd konstytucyjny i poniekąd administracyjny, ograniczając przeto tę władzę zasadą ścisłą legalności w formie najbardziej kategorycznej, bo sądowej. Ten element konstrukcji konstytucji mnie się podobał, ale on to właśnie poskutkował odrzuceniem projektu. Prezydent nie chce tego ograniczenia, boi się formalizmu sędziowskiego i powołuje się na przykład Stanów Zjednoczonych, w których prezydent Roosevelt walczy i szuka ratunku od konserwatyzmu sędziów Sądu Związkowego, którzy władzą interpretacji konstytucji narzucają władzy państwowej swoje zaśniedziałe i niewzruszone koncepcje prawnicze, pętając rozwój funkcjonalny polityki tak rządowej, jak ustawodawczej. Nie sądzę, żeby nam to niebezpieczeństwo groziło, raczej przeciwnie – legalizm ma u nas za mało siły i uznania. Nie przeczytałem jeszcze całego nowego projektu konstytucji, ale sądząc z pierwszych kilku rozdziałów, traktujących zresztą nie o organizacji władzy, jeno o zasadach przewodnich, o prawach obywateli, o różnych dziedzinach funkcji i zadań państwa (jak opieka społeczna, praca, oświata itd.), w tym projekcie konstytucji jest więcej deklamacji, niż przepisów prawnych. Rzeczywiście jest to jakaś górnolotna deklaracja, pełna pięknych i napuszonych, ale w treści jałowych, ogólników i morałów, tchnących mocno faryzeuszostwem. Nie podoba mi się to wcale. Poznaję w tym Šilinga, który lubi krasomówcze zwroty retoryczne, ale sam w duszy, a na cztery oczy zupełnie cynicznie drwi z nich i pogardza nimi, uznając li tylko ich walor dla prostych umysłów.

20 sierpnia, rok 1937, piątek

Byłem dziś w kancelarii Gabinetu Ministrów i widziałem się z zastępcą Mašalaitisa, Żylińskim. Miałem do niego interes, ale zgadaliśmy się też o nowym projekcie konstytucji. Dotąd przeczytałem tylko początek tego projektu; nie czytałem jeszcze rozdziałów o organizacji władzy. Jeżeli cały projekt konstytucji jest taki, jak te kilka pierwszych rozdziałów, to projekt jest zupełnie chybiony. Nie zdarzyło mi się widzieć podobnej deklamacyjnej konstytucji. Jest to nie konstytucja państwa, ale kazanie Šilinga, zresztą jałowe i mdłe, choć silące się na podniosłość. Żyliński potwierdził w zupełności moje wrażenie. Powiada, że projekt nie był jeszcze wniesiony na posiedzenie Gabinetu Ministrów, ale że nie ulega wątpliwości, iż w tej formie nie będzie zaakceptowany. Żyliński wprost drwi z projektu i wskazuje na niedołęstwo tej pracy, bo jest to przecie owoc pracy całorocznej i bardzo intensywnej. Komisja z Šilingiem na czele siedziała krukiem dniami całymi od rana do wieczora nad tą pracą przez szereg miesięcy; dla tej pracy Šiling, który jest jednocześnie ministrem sprawiedliwości, zaniedbał zupełnie obowiązki ministra, Rada Stanu, której Šiling jest prezesem i głową, przez cały czas nic nie robiła, Mašalaitis był oderwany radykalnie od swych obowiązków kierownika spraw Gabinetu Ministrów – i w rezultacie... taki projekt! Zaiste *testimonium paupertatis*. Nie dziwię się Šilingowi, który jest narwany i fantasta, ale że do takiej „produkcji konstytucyjnej" przyłożył rękę realista Mašalaitis, to mię dziwi. Konstanty Raczkowski, który też w charakterze referenta Rady Stanu był przydzielony do komisji i razem z nią ślęczał nad tą „pracą", jest od Šilinga zależny, więc oczywiście oprzeć mu się nie mógł. Ale bez Šilinga Raczkowski sam o wiele lepszy by projekt ułożył, choćby w zakresie wskazówek od prezydenta. Słusznie mówi Żyliński, że jeżeli się nie potrafi całkowity projekt ułożyć, to już mądrzej byłoby zrobić kilka istotnych poprawek do konstytucji istniejącej i nie kusić się o twórczość samodzielną. Dopóki sprawa konstytucji nie będzie złożona w ręce kompetentnej komisji ludzi poważnych i rzeczowych, a pozostanie w ręku i w kierownictwie Šilinga, dopóty nic z tego nie będzie, a jeżeli będzie – to karykatura. Trzeba, żeby była jakaś myśl przewodnia wyraźna, żeby się wyraźnie wiedziało, o co chodzi, a nie balansowało tylko w próżni frazesów, żadnych instytucji nie rozbudowując.

21 sierpnia, rok 1937, sobota

Wczoraj miałem pierwszy list Andrzeja z jego podróży do Paryża. Pocztówka z widokiem katedry kolońskiej. Pisana jeszcze z drogi, z Kolonii. Zachwyca się Andrzej katedrą, o Berlinie zaś (co mię zgorszyło) pisze, że jest „cudny". Dla mnie Berlin jest najohydniejszym miastem, zawsze mi się takim wydawał. Być może, że to moje wrażenie jest uczuciowe. Berlin uważam za typowego

parweniusza. „Cudnym” może go nazwać tylko bardzo niewytrawny profan, który nic pięknego nie widział i któremu imponuje ordynarny ciężar „kolosalności”. Natomiast co do katedry w Kolonii, to się Andrzejowi nie dziwię. Jest ona jednym z najpiękniejszych ogniw tej poezji zbiorowej wyzwolenia i tęsknoty przedrenesansowej, którą kilka wieków później średniowiecze zaczarowały w kamieniu wielkich katedr.

Andrzej jedzie z wycieczką turystów. W drodze są naturalnie przygody: jeden z uczestników wycieczki zagapił się na dworcu w Eytkunach i został; drugiemu w przejeździe przez „korytarz” pomorski Polacy odebrali aparat fotograficzny, ponieważ usiłował sfotografować dworzec kolejowy w Chojnicach.

22 sierpnia, rok 1937, niedziela

W południe wyrwał mię z mojego pracowitego zacisza Diskin. Miałem, jak co dzień, iść na obiad do „Pienocentrasu”, którego obiady jarskie, oparte na mleku, jarzynach i jajach, bez mięsa, doskonale mi służą, ale Diskin zaciągnął mię na obiad do jakiejś restauracyjki na Laisvės Alei za ulicą Maironisa. Jest tam ogródek w dziedzińcu i jedzenie dobre, świeże. Naturalnie, że się przy tej okazji wypiło karafeczkę. Smaczne to i przyjemne z rzadka, ale alkohol zawsze mi na zdrowie trochę szkodzi.

Wieczorem poszedłem się przejść trochę. Wykonałem spacer do stacji kolejowej i z powrotem dla ruchu. Dziwiłem się sam sobie, idąc tak samotnie ulicą. Jak ja daleki jestem od tego tłumu miejskiego, od tych powszednich ludzi, których przecie kocham! Oto mijają mię, idą pareczki, grupki, wracają gdzieś zza miasta, spacerują, flirtują, kochają się, śmieją, mają swoje uciechy, namiętności, troski... Ulica... A ja wśród nich samotny, niczym osobistym z nimi nie związany, osobny, inny. I tak co dzień: oni chodzą, śmieją się, bawią, zapełniają swym życiem ulicę, knajpki, sklepiki, mieszkania, jak motyle krążą i żyją swym życiem osobniczym w zbiorowości, podczas gdy ja samotny w moim mieszkaniu pracuję jak pustelnik zamknięty w myślach i świecie prac moich. Szalony kontrast. Zawsze byłem trochę taki. Dawniej ogarniała mię często o zmroku tęsknota, jakiś „Weltschmerz” nieokreślony, tęsknota do ludzi, pragnienie stopienia się z tym tłumem swobodnym i pustym, z braćmi bezimiennymi. W okresach, wolnych od wielkiej miłości, posiadanie dziewczyny gdzieś na schadzce miłosnej lub w domu rozpusty dawało na chwilę złudzenie zbratania i utopienia siebie w pospolitości i powszechności ludzkiej jako rodzaju. Teraz takich tęsknot dotkliwych prawie nie doświadczam. Jestem pustelnikiem i mnichem pracy mojej, którą kocham i w której jestem społeczny, a indywidualnie dla siebie mam moją Jadzię cichą, samotnicę takąż z natury jak ja.

W pracach moich obecnej chwili mam trzy większe i istotne: praca bieżąca nad kontynuacją cyklu książek moich z prawa konstytucyjnego – analizuję tu teraz faszyzm włoski; artykuł o nowej konstytucji sowieckiej, obstalowany u mnie przez „Kulturę” (miesięcznik postępowy litewski) – ale ta praca się rozrosła do formatu dobrej książeczki, bo rozwinąłem w niej całe studium o ewolucji społecznej i w konsekwencji prawno-konstytucyjnej Sowietów; wreszcie zapiski do wykładów dla ekonomistów. Inne prace – to tylko technika różnych drobiazgów, jak dziennik, korespondencja, mowa na akt immatrykulacji etc.

23 sierpnia, rok 1937, poniedziałek

Już od tygodnia Diskin mię zaprosił na dziś na obiad z okazji czwartej rocznicy urodzin swego ukochanego synka Beby. Ale zaprosił nie do siebie do mieszkania, jeno na wycieczkę na obiad do letniska Kułautuwy nad Niemnem pod Kownem. Miał od znajomego inżyniera automobil na tę wycieczkę. Z żoną Diskin źle żyje, wciąż się nosi z myślą o rozstaniu się, ale w synku swoim jest zakochany; rzeczywiście jest to bardzo miłe i mądre dziecko. Beba wszakże jest chory na koklusz, toteż wycieczka i obiad na jego intencję odbyła się bez samego solenizanta – „в придумку”, jak mówią Rosjanie o piciu herbaty bez cukru, jeno z myślą o cukrze.

Na tę wycieczkę obiadową Diskin zaprosił mnie, starą pannę Piotrowiczówną, poczciwą osobę, z którą jest w wielkiej przyjaźni, i jednego z dyrektorów Banku Komercyjnego, którego nazwiska nie

pamiętam. Towarzystwo mało się znające, ale ludzie dobrzy. Spacer do Kułautuwy autem był przyjemny, choć na gościńcu kurz szalony (jakże się naprasza wyasfaltowanie dróg, przynajmniej pod stolicą); obiad w najokazalszym hotelu i kurhauzie prywatnym Kułautuwy – „Veta" – był doskonały. Po obiedzie przeszliśmy się jeszcze po parku sosnowym letniska i przed zmrokiem wróciliśmy do Kowna.

Panna Piotrowiczówna, niemłoda już i otyła, osoba dobra i bardzo „*simple*", jest autochtonką kowieńską z gatunku staroświeckiego „tutejszych"; mówi po polsku, po litewsku swobodnie rozmawiać nie może. Jest ona siostrą p. Paknysowej, żony jednego z dyrektorów Banku Litewskiego, byłego socjaldemokraty, człowieka złotego wielkiej wartości osobistej i państwowej, na którym cały bank i polityka finansowa państwa się trzyma. Nie wiedziałem jednak, że panna Piotrowiczówna i p. Paknysowa są siostrami rodzonymi Zygmuntowej Nagrodzkiej w Wilnie, którą dobrze znałem i do której rzeczywiście Piotrowiczówna jest podobna. Miło mi z nią było przeto pomówić o Nagrodzkich i dowiedzieć się szczegółów o śmierci Zygmunta Nagrodzkiego, człowieka wielkiej wartości społecznej i zacnego, o którego śmierci wiedziałem tylko z artykułów w „Przeglądzie Wileńskim", poświęconych jego pamięci. Był to człowiek światły, sam z ludu (z rzemieślników) pochodzący i oddany całym sercem ludowi krajowemu i sprawie jego oświaty i jego uświadomienia społecznego. Pod tym względem był wielkim idealistą, ale łączył idealizm z realizmem i zmysłem praktycznym. Sam się wybił, miał w Wilnie wielki skład narzędzi rolniczych i firmę znaną, a przez ten handel utrzymywał kontakt z ludem. On sprzęgał akcję ludowców w Wilnie, jego mieszkanie było ośrodkiem ruchu kulturalno-społecznego dla ludu, wydawał swoim nakładem broszury popularne dla ludu, był w kontakcie z ludowcami w Warszawie, działał na rzecz rozwoju samodzielności ludu. On miał kontakt z różnymi emisariuszami konspiracyjnymi, w roku 1905 u niego się ześrodkowywały nici ruchu społeczno-politycznego na wsi. Przed rokiem 1905 brał udział w ruchu kulturalno-oświatowym białoruskim, potem się ześrodkował na polskim. Był świetnym interpretatorem białoruskiego dowcipu i sprytu ludowego, deklamował po białorusku i grał w teatrzykach białoruskich. Ja go znałem już z tego okresu, kiedy ustalił się w ruchu ludowym polskim w kraju.

24 sierpnia, rok 1937, wtorek

Dzień spędziłem znowu cichy, prawdziwie pustelniczy. Na uniwersytecie widuję z profesury czasem tylko Krėvė-Mickiewicza, Žemaitisa, Wacława Biržiškę, Lašasa i prorektora Jodelę; ale tylko przelotnie albo gdy jest jakiś interes i w zakresie tego interesu. Jodelė dużo przesiaduje w swoim gabinecie, który przez balkon tylko jest oddzielony od mojego, tak że gdy teraz drzwi na balkon są otwarte, to z jednego gabinetu słychać, co się w drugim mówi. Rozpoczęta budowa wielkich klinik uniwersyteckich w okolicy VII fortu zmusza Jodelę, który jest prezesem komitetu budowy, siedzieć w Kownie i mieć ciągle jakieś posiedzenia, narady, konferencje. Żywy też udział w tej pracy bierze Lašas, który jest członkiem tegoż komitetu i poza tym, jako dziekan Wydziału Medycznego, do którego te kliniki będą należały, musi wglądać we wszystkie szczegóły. Teraz mają oni kłopot ze strajkiem robotników budowlanych w tej budowie. Co prawda, formalnie to ich nie dotyczy, bo samą budowę wykonywa przedsiębiorca, ale ponieważ chodzi o pośpiech, więc i oni biorą tę sprawę do serca i medytują, co robić. Strajk ten jest, jako oni powiadają, sztuczny, z zewnątrz przez czynniki obce forsowany. Wybuchł on już przed kilku tygodniami. Ta budowa klinik jest największą budową, wykonywaną obecnie w Kownie. Robotnikom się tu płacą maksymalne normy wynagrodzenia. Na innych budowach strajku jednak nie ma, tylko na tej. Chodzi oczywiście strajkującym o to, aby osiągnąć tu w drodze strajku zwyżkę cen i wtedy domagać się rozciągnięcia zdobytych norm na inne przedsiębiorstwa budowlane. Jest to więc strajk inicjatywy. Podobno (tak twierdzi przedsiębiorca i tak twierdzą Jodelė i Lašas) ogromna większość robotników nie sprzyja temu strajkowi, zgadza się na warunki dotychczasowe i chce pracować, ale lęka się agresywnych kierowników strajku. Co dzień od rana wielka gromada jakichś bezrobotnych, młokosów i rozmaitych elementów niewyraźnych, nie należących przeważnie do zespołu robotników tej budowy, zbiera się na placu budowy, rozkłada się tam na dużej kilku- czy kilkunastohektarowej parceli ziemi, należącej do tych klinik i siedzi tam

dzień cały; grają w karty, śpią, śpiewają, jedzą, piją, gawędzą i pilnują, żeby się ktoś nie podjął roboty; jest to pogotowie przeciwko łamistrajkom, które terroryzuje tych, co chcieliby stanąć do roboty. Nie pozwolili nawet skosić koniczyny, rosnącej na tej parceli, zasianej w roku zeszłym jeszcze przed wywłaszczeniem ziemi na rzecz klinik. Są tam wśród tego zbiegowiska jacyś kierownicy (domyślają się, że to są agenci „Kominternu" czy w ogóle akcji komunistycznej z Sowietów), którzy kierują tłumem, karmią wichrzycieli, płacą im zapomogi i utrzymuje wrzenie. Posługują się nie tyle robotnikami, ile armią agentów swoich. Robotnicy boją się końca sezonu budowlanego i chcieliby pracować na warunkach istniejących, podobno niezłych, ale zbiegowisko agentów strajkowych nie dopuszcza. Podobno widziano, jak kierownicy akcji wypłacają zapomogi i zasiłki gorliwym agentom tłumu i fundują im jedzenie i picie w kantynie, którą przedsiębiorca budowy założył dla robotników, a z której teraz ci goście nieproszeni korzystają. Sytuacja podobno jest paradoksalną. Przedsiębiorca i Jodelė z Lašasem zwracali się do ministra spraw wewnętrznych, do policji, do inspekcji pracy, żeby likwidowano ten pseudostrajk, ale urzędy te usiłują uchować neutralność, dopóki nie ma ekscesów z tłumu.

25 sierpnia, rok 1937, środa

Załatwiłem dla Elizki Komorowskiej zalegalizowanie jej wyjazdu do Polski i wzięcie ze sobą małego 12-letniego jej wnuka Zysia, najstarszego syna Julka Komorowskiego i Madzi. Na razie minister Čaplikas, do którego się zwróciłem, miał pewne zastrzeżenia i zgodził się tylko na to, aby Zysia wpisano do paszportu zagranicznego Elizki, a co do Elizki, aby jej żadnego specjalnego pozwolenia nie dawano, ale żebym ja złożył na imię ministra oświadczenie, że ona jedzie do Polski czy Litwy okupowanej, to wtedy minister będzie o tym wiedział i tolerował, a żadna jej stąd przykrość nie spotka. Dziś jednak dowiedziałem się, że minister zrobił więcej, niż ustnie mówił i że Elizka otrzyma wszystko to, o co jej chodziło, to znaczy osobny ulgowy paszport uczniowski dla Zysia i w jej wizie zamiast zwyczajnej formułki „wolno jechać do wszystkich krajów oprócz Polski i Hiszpanii" formułkę „wolno jechać do Łotwy i stamtąd do wszystkich innych krajów", co usuwa zakaz jazdy do Polski i pośrednio stanowi pozwolenie.

Ucieszy się Elizka i zaraz będzie mogła wyjechać. Czeka ją już w Katowicach Zitka, z którą Elizka zamieszka, wychowując zarazem wnuka – Zysia, i która już najęła dla siebie i dla nich mieszkanko pod Katowicami, bodajże w Sosnowcu. Tym razem Elizka już eksportuje się definitywnie i zwija swoje mieszkanie w Kowaliszkach. Oczywiście, chce czasem przyjechać do Kowaliszek spojrzeć na swoje stare gniazdo i synów odwiedzić, jeżeli się zdołają na Kowaliszkach utrzymać, co nie jest zupełnie pewne, ale już mieszkać tu nie ma nigdy. Z pewnością, rozum nakazuje jej ten wyjazd. Samotna jest ona i samotna Zitka, toteż naturalnie, żeby były razem, bo synowie w Kowaliszkach mają własne rodziny i Elizka tutaj jest tylko emerytką i do niczego nie przypiętą. Tam natomiast z Zitką stworzą sobie własną harmonię, będą stanowiły quasi-rodzinę, a w dodatku będą miały na wychowanie Zysia, co Elizce da miły obowiązek i żywą pracę oraz cel życia. Dla niej to bardzo potrzebne, bo jest jeszcze pełna życia i energii. Nie tylko więc rozum, ale i serce ma udział w tym jej wyjeździe do Polski. Ale serce jest rozdwojone. Kowaliszki bowiem są dla niej drogie. Tu przeżyła całe swoje życie, tu panowała, tu własne gniazdo i rodzinę miała, tu pozostaje grób jej męża, tu wszystko – i dom, i ludzie – są swoi.

26 sierpnia, rok 1937, czwartek

Jestem zmęczony – idę spać.

27 sierpnia, rok 1937, piątek

O projekcie naszego statutu uniwersyteckiego słychać, że ma być wniesiony na najbliższą sesję Sejmu, która ma się odbyć w początku września. Wielkiej potrzeby tej reformy statutu nie ma. Nie jest ona wprawdzie tak straszna, jak ją przedstawić usiłuje opozycja, ma nawet poszczególne przepisy dodatnie, ale też wiele zgoła niepotrzebnego, a niektóre przepisy – ujemne. Ale niech się

tam Tonkunas cieszy swoją „reformą”. Muszę wyznać, że miałem go dawniej za mądrzejszego, niż się okazał; a już w uporze prym może trzymać.

28 sierpnia, rok 1937, sobota

Wczoraj i dziś miałem egzaminy studenckie. Wczoraj byli to ekonomiści, dziś – z prawa konstytucyjnego litewskiego. Wczoraj w liczbie zdających była piękna studentka Anna Mačernisówna, siostra asystenta na wydziale naszym, dziewczyna rosła, poważna, chłodna, w moim stylu fizycznym.

Porządkując po trochę i odczytując stopniowo moją korespondencję, która się tu nagromadziła przez wakacje letnie, natrafiłem dziś na obwieszczenie żałobne z Trybunału Międzynarodowego w Hadze o śmierci sędziego tegoż Trybunału, Szweda Åke („Å” po szwedzku czyta się jak „o”, ściślej – w brzmieniu francuskiej „au”) Hammarskjölda (czytaj: Hammarszjelda), zmarłego w lipcu. Znałem go dobrze w czasie, gdym był sędzią narodowym w tymże Trybunale w sprawie statutu kłajpedzkiego (w roku 1932). Oczywiście Hammarskjölda znał każdy, kto się tylko zetknął z tym Trybunałem. W tym czasie był on „graffier” (kanclerzem czy naczelnikiem kancelarii Trybunału). Stanowisko to zajmował od samego założenia Trybunału i był wzorowym urzędnikiem, który znakomicie zorganizował kancelarię, znał cały mechanizm Trybunału, jego procedurę, wyroki i decyzje incydentalne, znał wszystkie precedensy i stanowił prawą rękę prezesa. Był on niezastąpiony w Trybunale. Przed paru laty został wybrany na sędziego na wakans jakiś. Jego ojciec jest czy był profesorem w Szwecji (w Upsali?) i wybitnym znawcą prawa międzynarodowego. Hammarskjöld nie był stary jeszcze. Musiał być jednym z najmłodszych sędziów w Trybunale. Miał zapewne lat koło 50. Była to osobistość wybitna i wpływowa w Trybunale, człowiek wartościowy i z głową, choć suchy i osobiście dla mnie mało sympatyczny. W jego osobie miały w Trybunale mandat sędziowski państwa skandynawskie.

29 sierpnia, rok 1937, niedziela

Pracowałem w domu, tylko przed wieczorem byłem z Diskinem na smacznym szaszłyku w specjalnej knajpce przy ulicy Dowkonta, gdzie szynkują wino owocowe krajowe i podają szaszłyk barani i kilka innych specyficznych potraw wschodnich z baraniny. Jest to knajpka na wzór małych winiarni kaukaskich sprzed wojny. Potem byliśmy w kawiarni Konrada.

Ostatnich kilka dni mojej samotności były „osłodzone” pewnymi wrażeniami zmysłowymi. W mężczyźnie drzemie zawsze zwierzę. Budzi się czasem tęsknota ostra do ciała dziewczęcego, choćby tylko symbolicznie, której się oprzeć trudno, gdy są szanse jej spełnienia. Znowu była Bronia Rothengerytė, charakterystyczna dziewczyna, przypominająca panią Zauniusową w wydaniu młodzieńczym, i była złocista senna Adela Bohdanowiczówna, uległa i miękka, choć nie efektowna. Po spełnieniu wolałbym, gdyby tego nie było. Skądinąd wszakże jest to tak, jak papieros lub inny narkotyk ostry. Zażyje się go i to przechodzi. Śladu psychicznego w uczuciach nie zostawia.

30 sierpnia, rok 1937, poniedziałek

Fe, źle robiłem to, com pisał wczoraj. A może lepiej było przynajmniej nie wspominać w dzienniku... Czasem tak bywa. Czy lepiej brud i namiętność schować? Ale czy nie gorsze jest jeszcze pozorowanie się w kształty świętoszka, tolerując grzech w ukryciu? Wolę stwierdzić grzech, niż drapować się w obłudę. Ba, człowiek jest tak ułomny, że nie tylko wpada w grzech, ale jeszcze sam nie wie, jak się trzeba wobec niego zachować. Dość o tym. Nie uważałbym narkotyku namiętności zmysłowej za grzech, gdyby nie myśl o Jadzi, która jest wierna i oddana i dla której mam uczucie głębokie i serdeczne, a wobec niej ten grzech ciąży mi na sumieniu. O, Jadźko, gdybyś Ty wiedzieć mogła, jak mię samego to boli!

31 sierpnia, rok 1937, wtorek

Dziś wyjeżdżam do Bohdaniszek na ostatni tydzień wakacji letnich. Jak pierwszy tydzień w Bohdaniszkach przed wyjazdem za granicę w czerwcu otworzył mi wakacje, tak obecny – zamyka je. Ostatnia kropla słodyczy, po czym długa jesień pracy zawodowej. Pracę tę nawet lubię, ale jest ona męcząca i jej perspektywa znowu straszy jak coś, co sprawia wrażenie przykucia człowieka do taczki. Nie tyle ciężką jest sama praca, jak to przykucie do niej. Człowiek kocha nie próżnowanie, bo ja nie próżnuję nigdy – nawet w odpoczynku moim, ale kocha swobodę: wakacje mi ją dają i w tym jest ich słodycz. A symbolem czy wyrazem tej swobody są dla mnie zawsze Bohdaniszki albo podróż.

W Kownie zabawiłem do godziny drugiej po południu. Rano przyjechały Renia ze Stenią i służąca nasza Paulinka. Jadzia została w Bohdaniszkach dla mnie. Stenia, która zdała egzaminy do gimnazjum polskiego w Kownie, gdzie się uczyć będzie, będzie mieszkała u mnie. Zajmie ona miejsce Andrzeja Mieczkowskiego, który ukończył studia uniwersyteckie i już naszym domownikiem nie będzie. Nie bardzo się cieszę z tej nowej domownicy Steni, której zwłaszcza matki nie lubię, a która sama wydaje mi się mocno narowista, ale nie mogłem tego jej rodzicom odmówić. Uważają oni wujaszka poniekąd za krowę dojną, która ma obowiązek pomagania im, podczas gdy oni sami są do niczego nie zdatni i żyć potrafią tylko jak pasożyty.

Ułożyłem rzeczy moje, odbyłem moje urzędowanie na uniwersytecie, obiad zjadłem w Pienocentrasie, skąd wróciłem do mieszkania, aby już jechać na dworzec. W domu zastałem Andrzeja Mieczkowskiego, który dziś wrócił ze swej podróży do Paryża. Wrócił pod wielkim wrażeniem, cały wniebowzięty. Dziś w nocy jedzie do Bohdaniszek. Wrócił wyszeptany z pieniędzy, na jazdę do Bohdaniszek musiał pożyczyć u mnie. Ale jednak zaoszczędził tyle, że wracając kupił w Berlinie garnitur i obuwie.

Wyjechałem z Kowna pociągiem, w Radziwiliszkach zaś przesiadłem na automatrycę, którą dojechałem do Abel na godzinę dziewiątą wieczorem. Spotkała mię tam naturalnie Jadźka. Serdeczna, kochana. Stęskniona, pełna nowinek z Bohdaniszek, uradowana. Z nią i przy niej czuję, że jestem dla kogoś na świecie światem całym. Dla niej mają cenę nie pieniądze moje, nie taka czy inna użyteczność, którą ma przeze mnie, ale ja sam osobiście. Ja jestem osią jej życia, ja osobiście jestem jej wartością i ukochaniem. To jest najdroższe w jej stosunku do mnie. To mam tylko w siostrach i w niej, w niej wszakże spotęgowane najbardziej i to jest tym, co jest najistotniejsze i jedyne.

1 września, rok 1937, środa

Postanowiłem w tym ostatnim tygodniu wakacji, które spędzę w Bohdaniszkach, jak najmniej pracować. Zupełnie nic nie robić – nie umiem, ale w każdym razie nie będę się zmuszał do wykonania całego programu roboty dziennej, jak w Kownie. Napiszę tylko co dzień dziennik, list, zrepetuję moją mowę rektorską na akt immatrykulacji i napiszę kawałek mojego dłuższego artykułu o konstytucji sowieckiej dla redakcji „Kultury” w Kownie. To postaram się zrobić co dzień; z innych rzeczy – tylko coś okolicznościowo, a może być i nic. Chcę drzewka moje opatrzyć dobrze, ułożyć plan drzewek do zasadzenia w jesieni, będę chodzić do Gaju, z Jadźką po gospodarstwie itd. Dziś wyznaczyłem w naturze punkt zwrotny mojej przyszłej nowej granicy tych 8 hektarów, które dokupuję ze spadku po Maryni. Chodziło tylko o ustalenie tego jednego punktu, od którego jedna prosta linia granicy pójdzie do nowego gumna Maryni w dole jej ogrodu, druga – do punktu, gdzie się zaczyna granica moja z zaściankiem Jadzi. Ten punkt zwrotny ustaliłem ściśle podług planu Bohdaniszek z zachowaniem skali, na planie zaś jest on zaznaczony przez mego studenta geometrę Šlepetysa, który mi na planie wyliczył dokładnie 8 ha i wyznaczył linię granicy. Ekonom z Bieliunasem wytykają w naturze tę linię. W Bohdaniszkach w gospodarstwie moim płodność dobra w tym roku. Dubisa ma piękną klaczkę czteromiesięczną, którą dziś Jadzia prowadziła do Rakiszek, gdzie ją zarejestrowano do Izby Rolniczej jako kandydatkę na przyszłą matkę i udzielono 10 lt. „pašalpy” na zachętę; Saimy ośmioro szczeniąt hoduje się dobrze, pieski są ładne, czarne jak żuczki, już widzą; maciora chodzi jeszcze z pięcioma ślicznymi prosiętami, które Jadzia dla nas zachowała,

sprzedawszy resztę – też pięcioro; jedna z krów – ocielona. W ogrodzie owocowym jabłka ślicznie się przedstawiają – duże, czyste, wspaniałe; gatunki są doskonałe. Żyd, który dzierżawi ogród, dobrze zarobi. Tylko Sinica jeszcze nie pracuje przy budowie wędzarni i podmurówki pod świronek.

2 września, rok 1937, czwartek

Słodko mi płyną dni w tym skradzionym tygodniu wakacji w Bohdaniszkach.

Tego lata nie obcinałem moich drzewek dekoracyjnych. Za to rozpocząłem tę czynność teraz i w ciągu tego tygodnia chcę opatrzyć wszystkie. A jest tego niemało, bo co roku mi drzewek przybywa i mój „dwór" stopniowo się zadrzewia i zdobi. Drzewa lubię przeważnie strzeliste, rosnące wysoko w górę, toteż po trochę obcinam im gałęzie z dołu. Zajęcie to lubię bardzo, bo przy tej okazji obchodzę szczegółowo je wszystkie, kwartał po kwartale, i porządkuję oraz planuję dalsze dosadzenie.

Miło mi jest także stwierdzić piękny rozwój mego ogrodu owocowego. Starsza część jego zaczyna dobrze rodzić i owoce są piękne i bujne. Zdawało mi się już przed paru laty, że mój ogród owocowy marnieje. Owoców było mało i były one drobne. To mię zniechęcało. Ale podobno szkodzi ogrodowi koniczyna, którą przez lat kilka mój ogród był porośnięty. Teraz od paru lat wyorywał się on i zasiewał zbożem, dawano mu też nawóz, Bieliunas okopywał drzewka, obcinał wilki, na wiosnę opryskiwał drzewka przeciw robactwu. Skutek tych zabiegów i zmian jest bardzo dobry. Ogród coraz bardziej idzie na awantaż. Od roku przyszłego zacznę go dalej powiększać i dosadzać. W roku przyszłym w ogrodzie będą posadzone buraki i kartofle. Uprawa okopowych działa na ogród bardzo dobrze.

Przyjeżdżał Piotr Rosen; chciał, abym pisał do delegata Ministerium Oświaty w gimnazjum polskim w Poniewieżu, prosząc go, aby ponownie egzaminował jego córkę, która poprawki z litewskiego nie zdała. Oczywiście nie zgodziłem się prosić o to, jeno dałem zaświadczenie, że wiem, iż dziewczynka przez lato się uczyła litewskiego i miała nauczyciela. Obrzydły mi te prośby o rekomendacje i protekcje, zwłaszcza gdy prosi taki Rosen, który w ogóle cały się urządza na kłamstwach i korupcji, chcąc mieć wszystko dla siebie, a nic nie poświęcić, jeno kpić z kraju, łżyć go i oszukiwać. Obłudnik to pierwszego stopnia, którym się po prostu brzydzę. Nie wiem, może się staję mizantropem, ale w ludziach widzę coraz więcej prywaty, obłudy i kłamstwa. Spotykam się z tym ciągle, a sam w moich pracach oddalam się coraz bardziej w świat prawdy i szczerości, w którym się odosabniam od ludzi otoczenia i środowiska towarzyskiego tak sfery polsko-ziemiańskiej, jak nawet litewskiej. Szczęśliwy jestem tylko w moim zaklętym świecie samotnej pracy i w odosobnieniu z moją Jadźką wierną, kochającą i szczerą jak kryształ i z moimi Bohdaniszkami drzewek, budynków, Gaju i zwierząt, a także domowników służby, których lubię, wreszcie studentów, których lubię także.

3 września, rok 1937, piątek

Miałem dziś wezwanie do sądu do Rakiszek na skutek wniesionego przeze mnie podania o wyznaczenie dla Steni opieki w osobie jej matki Marysi Stefanowej Römerowej ze względu na zapis testamentowy Maryni na rzecz Steni. Wezwany byłem ja i Marysia. Jednocześnie wezwany był też Justyn Budkiewicz w sprawie o wyznaczenie opieki nad masą spadkową Maryni na prośbę wierzycieli – Jana Kligisa i Diržysa z wioski Bohdaniszek, którzy uzyskują z masy spadkowej swoje długi wekslowe na sumę zresztą niewielką, bo wynoszącą ogółem 750 litów. Kligis i Diržys wskazali Budkiewicza na opiekuna. Miałem już jechać z Bieliunasem do Rakiszek, ale przyjechało pięciu studentów na egzamin do mnie. Przyjechali z Abel autem, wobec czego nająłem to auto do Rakiszek i pojechaliśmy z Jadzią. Tam załatwiłem mój interes w sądzie, gdzie opiekunką Steni wyznaczona została Marysia, Jadzia też załatwiła swoich parę interesików gospodarskich i niebawem byliśmy z powrotem. Egzaminy szły ze skutkiem zmiennym. Jeden student – Józef Stankiewicz – nie zdał, dwaj zdali bardzo dobrze, jeden – dobrze i jeden – zadawalająco.

Pod wieczór, po wyjeździe studentów, otrzymałem drzewka dekoracyjne moje. Tak mi zeszedł dzień przyjemnie. Byłem też w Gaju kochanym w młodniaku, który wspaniale porasta, jak puszcza dziewicza w zwrotnikowym kraju.

4 września, rok 1937, sobota

Zboże moje – żyto, pszenicę, owies i jęczmień – wymłócono w sierpniu. Ale została jeszcze mieszanka – owies z wyką – i groch, które młócono dziś młocarnią motorową, sprowadzoną z Rudel. Jadźka cały dzień siedziała przy wagach. Ekonom przyjmował zboże do spichrza i był zły, jak zawsze przy młóceniu (nie podoba mu się to, że Jadzia siedzi przy wagach i kontroluje ilość zboża, choć się to już stało tradycją). Przyjeżdżał do mnie z Narkun Feliks Mackus. Ukończył on już swoje studia uzupełniające w Paryżu i musi się zabierać do dysertacji i doktoratu. Jest moim asystentem. Wszakże w tym roku zostaje poza etatem, bo miał „pożyczony" etat Juliusza Smetony, który odbywał powinność wojskową. Smetona wraca do swego etatu. Dla Mackusa trzeba będzie wystarać się o etat dodatkowy dla niego i dla Aleksandra Platera, który jest asystentem Janulaitisa na katedrze historii prawa litewskiego i który ma jechać na dalsze studia do Wiednia); w przeciwnym razie – jeżeli dla Mackusa nowego etatu nie zdobędziemy – będzie on musiał na razie znaleźć inną posadę zarobkową, pozostając asystentem nadetatowym.

5 września, rok 1937, niedziela

Niedziela. Wielki fest doroczny w Rogielach. Cała obszerna okolica społeczności włościańskiej w wielkim promieniu jest z powodu tego festu w ruchu. Jesień, większość robot polowych ukończona; tylko jeszcze sprzęt lnu, młócka, siewy ozimin, w dalszej perspektywie kopanie kartofli i buraków, orka zimowa – pozostały, ale to już na długą jesień; w stodołach i zasiekach pełno, jest grosz, czuć dostatek jesienny. Czasu dosyć, wieczory długie. Ludzie po gorącej kampanii letniej chcą wytchnienia i użycia rozrywek towarzyskich. Młodzież ma zawsze swoje wakaruszki, tańce, muzykę i śpiewy. Ale rozrywki towarzyskiej pragną i starsi. Nie dla nich wakaruszki etc., nie co dzień zaś są wesela lub inne okazje. Jest co prawda targ w miasteczku, można na targu i spotkać kogoś, pogawędzić, wypić. Ale starym zwyczajem doskonałe są dla towarzyskości festy, zwłaszcza jesienne. Na takie festy doroczne ciągną furmanki nieraz z dalekich okolic, prezentują się zaprzęgi, ogiery wyjazdowe z temperamentem i fantazją, a z festu w kościele, gdzie się spotykają krewni i dalecy znajomi, goście z dalszych okolic zjeżdżają na wieczór, a czasem i na noc, i na dwa dni do swoich przyjaciół i bliskich, zamieszkałych w parafii odpustowej i sąsiednich. Jest to okazja tradycyjna do odwiedzania się wzajemnego, do odświeżania wspomnień i stosunków. Fest rogielski jest taką okazją, a za parę dni znowu fest abelski „czterdziestogodzinnego nabożeństwa". Co do mnie osobiście, to oczywiście jestem poza tym. Ale Jadzia tę okazję miała. Na feście w Rogielach przyjechała jej siostra Stefcia Boreišisowa z mężem i córeczką. Jadzia w Rogielach nie była, ale potem cała rodzina się zjechała u jej brata Baluka w Janówce, dokąd i ona poszła z matką. Mnie przyniosła stamtąd smacznego piwa domowego.

6 września, rok 1937, poniedziałek

Dziś były ostatnie egzaminy studenckie w Bohdaniszkach. Miało przyjechać pięciu studentów. Koło godziny dziewiątej rano nadjechało auto naładowane studentami. Atoli wraz ze studentami wyskoczył z auta... nasz lektor uniwersytecki języka francuskiego Schmitlein. Okazało się, że jechał on przez Abele i Łotwę do Wilna i Warszawy dla jakichś studiów w archiwach nad epoką Napoleońską w Litwie, ale w Abelach na stacji przy śniadaniu prześlepił swój pociąg, który odszedł tymczasem. Zmuszony był zostać do wieczora. Na stacji jednak dostrzegł grupę studentów, od których się dowiedział, że jadą do mnie na egzaminy. Wpadł więc z nimi do mnie. Ale tylko na króciutko, bo korzysta z auta, aby udać się do Rakiszek do Przeździeckiego, od którego chce dostać list polecający do jego brata Reynolda w Warszawie, posiadającego archiwum rodzinne z materiałami, dotyczącymi epoki Napoleońskiej. Schmitlein więc przeszedł się tylko ze mną do Gaju i

następnie wypił u mnie herbatę, po czym odjechał. Pozostali studenci. Było ich pięciu, w ich liczbie studentka, panna Ona Bitaitė. Egzaminowałem ich, jak zwykle, powoli, z przerwami, do wieczora. W ich liczbie był „seniunas" semestru, Juozas Čekauskas, studenci Chmielewski, Kriukelis i Gieczewski. W przerwach oprowadzałem ich po gospodarce, chodziłem z nimi do Gaju, rozmawiałem, pokazywałem ogród, w którym zachwycali się oni obfitymi gronami jabłek na drzewach młodych; pomagali mi też w obcinaniu gałązek na moich drzewkach dekoracyjnych. W ogóle byli mili i wszystkim się interesowali. Miłą też była studentka Bitaitė, dziewczyna rozsądna i łatwa w rozmowie, pracownica biblioteki uniwersyteckiej. Toteż mi było bardzo przykro, gdy podczas egzaminu prawie od razu się speszyła i tak zacięła, że potem na żadne elementarne pytanie nie była wstanie dać odpowiedzi i po prostu straciła zdolność myślenia i orientowania się i zatraciła funkcję pamięci. Pomimo moich starań dopomóc jej i uspokoić – nie odzyskała władzy intelektualnej, tak że musiałem wreszcie stwierdzić, że egzaminu nie zdała. Biedne są te studentki, które mają takie zacinanie się na egzaminie ze strachu. Jest to rodzaj choroby, na którą w czasie egzaminu nie ma rady. Po egzaminie odzyskuje władze umysłowe, czasem nawet nieźle umie, ale to nic nie pomaga, bo egzaminu zdać nie jest w stanie. Zdarza się to i u mężczyzn, ale rzadziej. Jest to chyba gatunek histerii. A szkoda, bo bywają to studentki niegłupie i na ogół w rozmowie roztropne i przyjemne.

7 września, rok 1937, wtorek

Nic bardzo szczególnego. Kończą się moje wakacje – wrócę już zaraz na kampanię jesienną do uniwersytetu, a do Bohdaniszek znów przyjadę w grudniu. Będzie już zima, mróz, daj Boże, żeby było sucho i śnieżnie. Inne są jednak wtedy Bohdaniszki. Nie mniej ładne, ale w innym rodzaju. Tylko perspektywa widoku przepięknego zasadniczo ta sama.

Dom mój już cały pomalowany, czerwony. Dla mnie to ładnie. Wędzarnia tak rośnie, wynosi 4 metry, a wyrośnie do 6-7 metrów. Jest niewielka, zgrabna, ma z boku wspaniałą grupę starych klonów. Jest z czerwonej cegły; pozostawię ją nietynkowaną, tak będzie ładniej. Zakończenie u góry będzie miała okrągłe. Coś niby kaplica. Ale kosztowna jest to zabawka budowlana w Bohdaniszkach. Sama wędzarnia – to jeszcze byłoby znośne; robota kosztuje 250 litów, ale cegły wyjdzie za jakichś 700 litów i cementu za jakieś 200-250 litów. Ale przeraża mię budowa świronka – w tym roku ma być tylko podmurówka. Ale ponieważ teren jest nierówny, więc podmurówka będzie wysoka. Kosztuje mi jej robota suma po 20 litów od metra kwadratowego, a cementu też wychodzi niemało. Już się na te ekstra roboty – na budowę, remonty i rowy – wyekspensowałem teraz tak, że do 1000 litów zadłużyłem się na te wydatki (choć się „zadłużyłem" tylko u siebie samego), a jeszcze nie koniec temu, co na ten rok wypada. Jak będzie w roku przyszłym z budową pierwszego piętra ścian świronka – sam nie wiem. Długi Maryni, które przyjąłem, bardzo mi kieszeń przewietrzają, co też utrudnia te wydatki nadzwyczajne na Bohdaniszki. Jestem w ciągłych opałach finansowych, bo więcej mi wychodzi, niż wpływa z poborów miesięcznych.

8 września, rok 1937, środa

Dzień wyjazdu z Bohdaniszek. Cały dzień spędziłem jednak w Bohdaniszkach, bo wyjechaliśmy z Jadźką jeno na pociąg nocny.

Szkoda Bohdaniszek. Nigdy nie żałuję Kowna, gdy wyjeżdżam stamtąd do Bohdaniszek. Natomiast wyjeżdżając z Bohdaniszek – żałuję je opuszczać zawsze.

Skończyły się wakacje letnie, które były bardzo miłe w tym roku. Z Jadźką też kochaną miałem w Bohdaniszkach latem i zwłaszcza w naszej niezapomnianej podróży za granicą kontakt taki, jakiego w Kownie przy pracy ciągłej nie mam, choć w mieszkanku kowieńskim jesteśmy fizycznie niby bliżej siebie. Jadźka jest dla mnie czymś jak studnia wody orzeźwiającej i czystej dla samotnego podróżnika w pustyni. Kocham ją i wrosłem w nią tak, jak wrasta drzewo w glebę. Nie jest ona „inteligentką", wielu myśli moich uchwycić nie może, nie orientuje się w wielu pojęciach złożonych, ale ma intuicję głęboką, serce wielkie i dzielną siłę uczucia, które prawdą uchwycić zdoła lepiej i

głębiej, niż rozum i dialektyka. Ma ona ogromny zmysł szczerości i duszę piękną a niepospolitą, subtelną i szlachetną, która jest więcej warta, niż kwalifikacje mądrości naukowej.

9 września, rok 1937, czwartek

Pierwszy dzień w Kownie. Przyjechaliśmy tu z Jadzią rano. W mieszkaniu zastaliśmy służącą Paulinkę Nowicką i obie dziewczynki, które mieć będziemy w tym roku na zimę – Jadzi wychowankę Renię i córkę Stefanową Stenię Römerównę. Stenia chodzi do gimnazjum polskiego, Renia - do rządowego gimnazjum „Aušry” dla dziewczynek.

Od razu miałem dwa posiedzenia rano: jedno od godziny dziesiątej – komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich z udziałem gubernatora Kubiliusa i jego zastępcy Sokołowskiego, i drugie – od południa – posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Odbyłem też moje urzędowanie w rektoracie.

W domu dzień smutny. Jadzia mię o coś podejrzewała, była głęboko poruszona, nabuntowana. Skąd coś wzięła i co mianowicie sobie do głowy wbiła – nie bardzo wiem. Chodziły jej po głowie jakieś posądzenia, choć w uczuciach moich zawsze jestem jej wierny. Jej domysły i męka wewnętrzna działały na mnie przygnębiająco. Dopiero wieczorem stopniała i w serdeczności wszystko się rozproszyło. Ale dzień był zły i ciężki.

16 września, rok 1937, czwartek

Mam zwyczaj robić wszystko po trochę, w pewnej systematyczności i kolejności. Tak samo postępuję z papierami i korespondencją moją, która się uzbierała przez dłuższy czas nieobecności mojej: nie otwieram jej całej i nie odczytuję od razu, ale przez szereg dni, po trochę, rano przy ubieraniu się i wieczorem przy rozbieraniu. W ten sposób do każdego listu lub papieru dotrę, ale do niektórych dopiero po kilku dniach. Dziś rano kończyłem właśnie otwieranie korespondencji, która się uzbierała przez czas mego tygodniowego pobytu w Bohdaniszkach na początku tego miesiąca. Na samym dole leżał duży pakiet w ogromnej kopercie. Widziałem, że jest z Hagi. Miał pieczęć: Cour permanente d’Arbitrage. Nie zastanowiłem się na tym, że „Cour d’Arbitrage” jest odrębną instytucją, niż „Cour permanente de Justice Internationale”. „Cour permanente d’Arbitrage” jest kreacją Konferencji Pokojowej z roku 1907, podczas gdy „Cour permanente de Justice Internationale” (Trybunał Haski) jest instytucja Ligi Narodów. Nie zwracając na tę dystynkcję uwagi, sądziłem że pakiet zawiera jakieś wydawnictwa lub ankiety Trybunału Haskiego, który mi je stale przysyła, odkąd zasiadałem w tym Trybunale w roku 1932, jako sędzia narodowy (*juge ad hoc*, *juge national*) z ramienia Litwy w procesie kłajpedzkim. Toteż nie śpieszyłem się z otwarciem pakietu. Dziś jednak przyszła nań kolejka i otworzyłem. Znalazłem w nim dokumenty do sporu między Litwą a Danią w przedmiocie tzw. „klauzuli złotej” i wezwanie dla mnie.

Chodzi o to, że między Litwą a Danią jest spór w sprawie rozrachunków z pewną firmą duńską, która miała koncesję na budowę kolei żelaznej, zdaje się, z Szawel do Kretyngi przez Telsze. Spór polega na tym, czy Litwa ma płacić w przerachowaniu dolarów amerykańskich podług waluty złotej, czy też podług kursu obecnego dolarów, obniżonego prawie o połowę. Przedmiot sporu jest bardzo wielki, bo na każdym dolarze różnica wynosi 4 lity (czy 10 litów za dolar, czy 6 litów?). Podług konwencji duńsko-litewskiej spór taki rozstrzyga komisja mieszana, która się składa z czterech członków, po dwóch od Danii (w ich liczbie jeden Duńczyk i jeden neutralny) i od Litwy (w ich liczbie jeden Litwin i jeden neutralny), i piątego superarbitra neutralnego. O sporze tym i o tym, że ma on być przez komisję rozstrzygany, słyszałem na wiosnę; na początku lata minister spraw zagranicznych Lozoraitis zaproponował mi w imieniu rządu nominację na stanowisko członka tej komisji rozjemczej z ramienia Litwy. Ofertę przyjąłem i zostałem mianowany. Teraz oto sekretariat „Cour d’Arbitrage”, który pośredniczy i spełnia czynności sekretariatu tej komisji, zwraca się do mnie, proponując wyznaczenie daty na pierwsze zebranie komisji dla omówienia procedury – w drugiej połowie października w Hadze w Pałacu Pokoju, który znam tak dobrze z roku 1932. Sprawy jeszcze nie znam, w ogóle jeszcze nie jestem zorientowany. Byłem u Urbšysa w Ministerium Spraw Zagranicznych, aby z nim pomówić o tym prowizorycznie. Na termin w październiku się zgodzę. Z

radością do Hagi pojadę. Pojechać wypadnie może parokrotnie. To mię nęci. Hagę pokochałem. Ale bodajże sprawa nie będzie łatwa do wygrania. Agentem Litwy ma być Mandelsztam, którego pomocnikami i doradcami są Tadeusz Pietkiewicz i Kriwicki.

17 września, rok 1937, piątek

Wykłady rozpocząć zamierzam dopiero w ostatnich dniach września. Przyszły tydzień muszę jeszcze poświęcić pewnemu epizodowi kuracji zdrowia. Mianowicie prof. dr Gudowicz postanowił mię położyć na pięć dni do łóżka na diecie mlecznej, zastrzykując jednocześnie salyrgon. Stwierdził, że jednak w nogach u dołu jest pewna mała obrzękłość, wskazująca na zastój wody w organizmie. Właściwie nogi nie są wcale wybrzękłe, kostki zawsze, rano czy wieczorem, zaznaczają się wyraźnie, ale gdy doktor mocno naciska palcem skórę na nodze, to po odjęciu palca na razie krótko pozostaje mały znak białawy wklęsły, co ma dowodzić jednak pewnego obrzęknięcia. Ano, poleżę skoro trzeba. Na ogół czuję się dobrze. Po obiedzie teraz nic nie jadam; wieczorem wypijam tylko jedną szklankę herbaty z konfiturami lub miodem, bez żadnych innych dodatków, bez jedzenia. Waga w ciągu paru lat wprawdzie nieco przybyła, jest teraz 86-87 kilo (bez ubrania, całkiem nago), ale trzyma się mniej więcej stale na tym poziomie; w roku 1935 było wprawdzie mniej, bo tylko 83 kilo, ale i 86 – to nie nazbyt dużo. Zresztą wolałbym trochę wagę zmniejszyć i będę dążył do tego.

18 września, rok 1937, sobota

Co roku o tej porze jestem osaczony prośbami różnych osób, abym się wstawił za kogoś z ich krewnych lub przyjaciół, aby został lub została przyjęty (przyjęta) na Wydział Medyczny. Na ten wydział jest pęd studentów największy i to zarówno na medycynę właściwą, jak na farmację i odontologię, bo zawód lekarski, względnie dentystyczny lub, choć w mniejszym stopniu, aptekarski, należy dziś jeszcze do najpopłatniejszych i dostępniejszych niż inne. Sądzę, że gdyby Wydział Medyczny był otwarty dla wszystkich bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń, to wydział ten miałby najliczniejszą ilość studentów i przelicytowałby nawet Wydział Prawniczy, na którym teraz, od czasu wydania ustawy o sądownictwie z roku 1933, ilość studentów corocznie się zmniejsza (a ilość studentów Żydów prawie że spadła do zera, podczas gdy w pierwszych latach procent studentów Żydów dochodził czy nawet przekraczał 25 na 100). Ale Wydział Medyczny przyjmuje tylko ograniczoną ilość studentów. Wydział motywuje to tym, że dla należytego wyszkolenia medyków musi się stosować do ilości i objętości klinik, laboratoriów, środków technicznych i sił profesorskich. Ponieważ ilość miejsc jest mniejsza, niż ilość kandydatów, więc trzeba przyjąć jakieś kryterium do selekcji. Wydział przyjął za kryterium konkurs dyplomów, ale z zastrzeżeniem pierwszeństwa dla gimnazjów państwowych. Wskutek tego, ponieważ i dla kandydatów z dyplomami gimnazjów państwowych miejsc nie wystarcza, abiturienci gimnazjów prywatnych, a ponieważ wszystkie gimnazje mniejszościowe są prywatnymi, więc zwłaszcza abiturienci gimnazjów mniejszościowych – Żydzi, Polacy, Niemcy – na Wydział Medyczny faktycznie trafić nie mogą. Właściwie też, aczkolwiek to się publicznie nie mówi, to zastrzeżenie pierwszeństwa dla gimnazjów państwowych miało właśnie na celu z jednej strony zarezerwowanie zawodu medycznego dla Litwinów, z drugiej zaś – nacisk na młodzież mniejszościową, aby szła do gimnazjów państwowych litewskich, nie zaś do swoich mniejszościowych prywatnych. Intonacja taka jest niewątpliwa i poufnie się jej nie zaprzecza, choć urzędowo motywu tego się nie wysuwa, a nawet go się kryje. Ale oto Żydzi bardzo licznie posyłają swe dzieci do gimnazjów państwowych litewskich. Profesura Wydziału Medycznego, wśród której są prądy antysemickie, i na to znalazła środek. Tym, którzy są zakwalifikowani do przyjęcia, zarządzone są oglądy lekarskie przez komisję wydziałową, a w tej komisji zasiada prof. Żyliński, znany z niechęci do Żydów. Ta komisja bardzo znaczny procent zakwalifikowanych Żydów, którzy w ogóle są słabszej, niż Litwini, komplekcji, brakuje. Toteż w jesieni zabiegów o protekcję i o wstawiennictwo – ze strony zwłaszcza Żydów i Polaków – mnóstwo, że się im opędzić nie można, a w istocie ja żadnego wpływu na to nie mam, bo to należy do Wydziału Medycznego wyłącznie.

19 września, rok 1937, niedziela

Wybrałem się dziś z Jadzią na spacer pieszy na Fredę do Ogrodu Botanicznego, kierowanego przez naszego profesora botanika, prof. Regela, jednego z najpracowitszych profesorów na uniwersytecie, wielkiego miłośnika swego fachu, obywatela szwajcarskiego. Instytucja ta rozwija się ładnie. Wybraliśmy się dla obejrzenia budującej się tam dużej oranżerii-palmiarni, wysokiego budynku ze szkła i betonu, do którego zostanie przeniesiona piękna kolekcja palm z Retowa, z byłych oranżerii książąt Ogińskich. Chodziło nam też o zobaczenie łąbędziątka młodego, tegorocznego, które jest przez prof. Regela zarezerwowane dla mnie do Bohdaniszek. Chciałem parkę i Regel mi był parkę obiacał, ale z siedmiu jajek, na których siedziała samica, wykluły się tylko dwa, a z nich jedno matka rozcisnęła. Chcę w Bohdaniszkach prowadzić łabędzie w sadzawce przy domu; budkę już w przeszłym roku postawiłem, ale z dostaniem łabędzi mam biedę. W przeszłym roku miałem obiecaną parkę młodych z Kułautuwy, ale młodych nie było, w tym roku zdaje się, że już mieć będę tego jednego, jeżeli mu się nic w drodze nie stanie i jeżeli się dobrze zaaklimatyzuje w Bohdaniszkach.

W ogrodzie Botanicznym hoduje się też kilka zwierząt i ptaków; jest para saren, jest lis, są łabędzie, gęsie palestyńskie, jakiś gatunek kaczek, jest też, jako osobliwość, para ogromnych mięsożernych ptaków gryfów drapieżnych, które w przeszłym roku z Europy Południowej, z Bałkanów, gdzie się one gnieżdżą, zabłądziły aż do Litwy i zostały ujęte w powiecie rosieńskim. Ładnie jest w Ogrodzie Botanicznym, chociaż jesień już jest widoczna, na klombach kwiaty już powarzone. Przekąsiliśmy w pawiloniku Pienocentrasu w ogrodzie, pochodziliśmy, popatrzeliśmy... W drodze powrotnej złapał nas deszcz. Wróciłem do miasta przemoczony. Jadzia miała parasol. Obiad zjedliśmy improwizowany w winiarence przy ul. Dowkonta. Jedliśmy szaszłyk i pilaw z baraniny.

20 września, rok 1937, poniedziałek

Prof. Gudowicz, z którym się dziś z uniwersytetu przez telefon rozmówiłem, położy mię do łóżka i zastrzyknie salyrgonu dopiero w przyszły poniedziałek. Wobec tego cały przyszły tydzień wyleżę, a wykłady rozpocznę dopiero za dwa tygodnie, to znaczy w początku października. W końcu tego tygodnia czekają mię przemówienia na uroczystościach akademickiej olimpiady sportowej SELL (SELL – związek młodzieży akademickiej międzybałtycki z Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy złożony). W październiku wizyta prof. Mestre'a z Paryża i naturalnie szereg przyjęć, „uroczystości" i oczywiście przemówień moich, do których będę się musiał gotować. Następnie pod koniec października – wyjazd do Hagi na pierwsze posiedzenie komisji rozjemczej litewsko-duńskiej. Zdaje się, że na tym posiedzeniu ma być ustalona tylko procedura, to znaczy będzie to tylko posiedzenie porządkowe, administracyjne, ale jeszcze nie sądowe. Mam więc w perspektywie na sezon jesienny sporo czynności, a znajdą się też inne.

21 września, rok 1937, wtorek

Miałem egzaminy studenckie, poza tym urzędowałem w gabinecie rektorskim, pracowałem w domu. Prorektor Purėnas mię uprzedza, że pewne koła studenckie zaczynają się burzyć, gotując się do jakiejś wystąpień czy akcji „w obronie autonomii uniwersytetu" przeciwko forsowanej przez ministra oświaty reformie statutu uniwersyteckiego. Ta reforma statutu ma swoje strony ujemne, ma też dodatnie. Są wprawdzie pewne ograniczenia samorządu administracyjnego akademickiego, ale opozycyjna opinia publiczna, podniecana zresztą przez niektórych z profesury, rozdmuchuje przesadnie to zagrożenie „autonomii". Ze wszystkich przepisów projektu, które mogą ograniczać samorząd akademicki, najgorszym mi się wydaje ten, który zatwierdzanie czy nominację asystentów przenosi z rektora na ministra oświaty. Będzie to dawało pole intrygom, protekcji i karierowiczostwu. Dobór asystentów powinien być zamknięty w ramach akademickich, bo o kwalifikacjach naukowych kandydatów sądzić mogą nie władze administracyjne, ale wydziały;

wystarcza więc zatwierdzenie przez rektora. W przeciwnym razie kandydaci będą obijali progi ministerialne i decydować będzie protekcja oraz względy polityczne. Na ogół jednak przepisy projektu są mniej „straszne", niż to opozycja głosi. Interwencja studentów, raczej studenckich kół lewicowych i opozycyjnych, gdyby miała nastąpić, zaszkodziłaby jeno sprawie; nie wskórałaby nic, wywołałaby jeno nowe ataki rządowe na uniwersytet, zamąciłaby stosunki. Skoro już reforma jest w kołach rządowych zdecydowana, to byłoby zdrowiej, żeby była dokonana prędko. Przewlekanie tej sprawy jest niezdrowe, utrzymuje ferment i wpływa na stan nerwowy młodzieży akademickiej. Jedno z dwojga: albo trzeba projektować reformę jawnie i poddać ją krytyce i dyskusji, albo jeżeli się dyskusji i komentarzy nie chce, to trzeba pośpieszyć.

22 września, rok 1937, środa

Rejestrując w tekach archiwum listów z lat dawnych, które tworzą trzy serie – seria A stanowi korespondencję mieszaną (listy różnych osób do różnych osób) ogarniającą 2 ½ wieku, oczywiście z końca wieku XVII jest tylko kilka egzemplarzy, z wieku XVIII – więcej, z XIX jeszcze więcej, a najliczniejsze są listy z końca wieku XIX i z poczatku XX do wojny, seria B ogarnia cały zbiór listów do mego Ojca z młodego życia jego, wreszcie seria C, najzasobniejsza i dotąd z roku na rok coraz bardziej narastająca, obejmuje wszystkie listy pisane do mnie; każda seria obejmuje cały szereg tek; otóż rejestrując to archiwum w tekach, czytam czasem w toku tej pracy stare listy rodzinne. Czytam je Jadzi, która tę lekturę lubi bardzo. Otóż w tych dniach czytałem jej listy z dwóch różnych serii i z dwóch różnych tek; były to przeważnie: a. listy Mamy, pisane do Papy (do męża) sprzed lat 63 (z roku 1874), kiedy Mama z dwiema kilkuletnimi (trzyletnią i dwuletnią) córeczkami (Kotunią, obecną Pruszanowską i Elizką, obecną Komorowską) i służącą Apolonią bawiła na wodach za granicą w Kreutznach, i b. listy Mamy do mnie sprzed lat 34 (z roku 1903), kiedym był na studiach w Paryżu. Ciekawe jest odczytywanie tych starych listów, zwłaszcza listów Mamy, która miała talent do pisania i miała myśl i serce bardzo rozwinięte i bogate. Zawsze w każdej epoce – swoje troski, swoje biedy, swoje niepokoje. Inni byli ludzie, inna była technika życia, ale człowiek w istocie był ten sam. I to wielkie serce Mamy w listach tych tętni życiem, drga troską, kocha. O, Mamo moja! Dziś już i ja, Twój syn ukochany, jestem stary, a Tyś od lat 23 w grobie. Przejdzie lat ze dwadzieścia – i już wszyscy wyjdziemy z życia, a listy Twoje, ślady materialne Twojego serca i myśli, zostaną. O, Mamo! Jak to wszystko mija i jak straszne, że to wszystko bezpowrotne i że już Ciebie, Mamo, nie mam.

23 września, rok 1937, czwartek

Odbyło się pierwsze po wakacjach posiedzenie prezydium komisji międzynarodowej współpracy intelektualnej. Obecni byli członkowie tego prezydium – ja, Trimakas, Janulaitis i Galaunė oraz zaproszony Purėnas. Głównym przedmiotem obrad była konferencja bałtycka komisji narodowych (już trzecia z rzędu), która ma się w tym roku odbyć w Helsinkach w Finlandii. Komisja fińska, której prezesem jest prof. Langfors, stały uczestnik tych konferencji, zawiadomił, że zwołanie konferencji zamierzone jest na 4 listopada. Oprócz czterech komisji narodowych bałtyckich (litewskiej, łotewskiej, estońskiej i fińskiej), które od początku w tych konferencjach udział biorą, w roku ubiegłym w konferencji w Tartu wzięła także udział w charakterze na razie tylko obserwatorki komisja narodowa szwedzka w osobie ekscelencji Knöse. Obecnie komisja fińska zaprosiła na konferencję wszystkie komisje narodowe skandynawskie – szwedzką, norweską i duńską. Ja osobiście do Helsinek na konferencję nie będę mógł się udać, albowiem mogę być w tym właśnie czasie zajęty w Hadze w komisji pojednawczej litewsko-duńskiej w sporze o dolary. Na konferencję przeto do Helsinek wydelegujemy Trimakasa i prorektora Purėnasa. Omówiliśmy też sprawę międzybałtyckich odczytów akademickich przez radio. Program ma zaprojektować Janulaitis.

Na obiedzie miałem dziś Eugeniuszostwo Römerów i Stefana Römera, który przyjechał z Szaszewicz. Stan umysłowy biednego Stefana jest kiepski. Uważam, że jest coraz gorszy. W głowie ma chaos, z trudem myśli i słabo kombinuje; mowa mu się plącze, zwłaszcza gdy usiłuje coś

opowiadać. Ma też rodzaj manii wielkości. Talentu nie stracił, w ostatnich paru latach poza malowaniem dekoracyjnym on wyćwiczył się w projektowaniu rysunków kart do gry. Ucieszył się teraz bardzo, gdy się dowiedział o konkursie, ogłoszonym na zaprojektowanie kart. Jest uszczęśliwiony i zaraz zacznie pracować. Pracowity zaś jest bardzo, biedaczek.

24 września, rok 1937, piątek

Nie będę dziś pisać długo, bo czasu nie mam. Zaczynam się starać o to, aby zebrać materiał do zapoznania się z istotą konfliktu litewsko-duńskiego, w którego rozpoznaniu mam brać udział. Bawi tutaj Mandelsztam, który ma występować w tej sprawie jako agent litewski. Studiuje obecnie tę sprawą, a do pomocy mu są dodani Tadeusz Pietkiewicz i Kriwicki. Mandelsztam ma niebawem wyjechać. Nie widziałem się z nim jeszcze, ale chciałbym się przed jego wyjazdem zobaczyć. W Ministerium Spraw Zagranicznych do czuwania technicznego nad tą sprawą wyznaczony jest urzędnik Montwiłł. Byłem dziś u niego i prosiłem, aby mi wszystkie materiały do wystudiowania sprawy dostarczył. Komisja ta, w której wezmę udział, jest tylko komisją pojednawczą (koncyliacji), która nie wyrokuje, jeno uchwala wniosek, który zgłasza obydwóm rządom – litewskiemu i duńskiemu, gdyby zaś wniosek nie został przez oba rządy przyjęty, to pozostaje otwarta droga arbitraży albo skargi do Trybunału Międzynarodowego w Hadze.

25 września, rok 1937, sobota

Dziś miało miejsce otwarcie olimpiady sportowej bałtyckiego związku młodzieży akademickiej „SELL" (S – Suomi, Finlandia, E – Eesti, Estonia, L – Latvija, Łotwa, L – Lietuva, Litwa). Olimpiada ta odbywa się co roku w innym mieście czterech państw bałtyckich, reprezentowanych w SELL: raz w Helsinkach, potem w Tartu (czy Tallinie?), w następnym roku w Rydze, na ostatku w Kownie i znowu *da capo*. Otwarcie miało miejsce na stadionie państwowym na Górze Witolda przy Izbie Fizycznej (Kūno Kultūros Rūmai). Ponieważ ze sportem kontaktu właściwie nie mam, więc pierwszy raz byłem na tym stadionie. Przedstawia się ładnie, jest otoczony lasem dębowym, droga sportowa dokoła stadionu wynosi 500 metrów. Na olimpiadę zjechało się z Finlandii uczestników najmniej – siedmiu, z Estonii – dwudziestu kilku, z Łotwy – trzydziestu kilku. Na razie publiczności było bardzo mało, ale potem, w toku zawodów, trybuny zapełniły się gęsto ludźmi. Na otwarcie przymaszerowały w ordynku cztery grupy narodowe współzawodników – grupa fińska w uniformie sportowej o dominującej barwie błękitnej, estońska – o dominującej barwie czarnej, łotewska – o dominującej barwie szarej i litewska – o dominującej barwie zielonej. Ustawiły się one naprzeciwko trybuny. Z gości honorowych byli ministrowie wojny – prof. Dirmantas i oświaty – prof. Tonkunas, ja, obaj prorektorzy, prof. Lašas, dyrektor Izby Kultury Fizycznej Augustowski... Przemówił (po litewsku) minister Tonkunas. Miałem przygotowaną mowę i ja, ale okazało się, że nie trzeba. Po przemówieniu Tonkunasa orkiestra odegrała cztery hymny narodowe: litewski, fiński, estoński i łotewski. W grupach uczestników były też dziewczyny w bluzach sportowych i szerokich spodniach. Bardzo ładnie wyglądały zwłaszcza Estonki, wysokie, szczupłe, delikatne, blondynki wiotkie w czarnym stroju sportowym męskim, bardzo wydłużającym ich figury szczupłe; wyglądały jak amfibie. Łotewki – w innym rodzaju; bardziej krępe, kościste, twarde, ale twarzyczki wyraziste, nacechowane wolą i kaprysem fantazji. Finowie byli tylko mężczyźni. Rozpoczęły się zawody. Było kilka biegów – po 100 metrów męski i takiż kobiecy, 110 metrów ze skokiem przez przeszkody, na 800 metrów, na 3 kilometry, skoki na długość, skoki na wysokość, rzucanie oszczepów, pędzanie ciężkiej kuli metalowej. Pierwsze miejsce zajmowali prawie zawsze Estończycy, którzy mają oczywiście najdzielniejszych sportowców, Finowie poszczególni też się pięknie prezentowali, ale mało ich było; Litwini i Łotysze słabiej się prezentowali. I miejsce zdobyli Litwini tylko w biegu kobiecym na 100 metrów (Šiputienė). W skokach w biegu i na wysokość z grupy litewskiej najładniej się prezentował wybitny sportowiec Komar (syn Konstantego Komara z Rogówka), ale i ten zajął tylko II miejsce – po Estończyku.

Wysiedziałem na tym widowisku koło trzech godzin i wyszedłem o zmroku, ale jeszcze przed końcem. Pośpieszyłem do domu na spóźniony obiad, po czym jeszcze byłem na posiedzeniu u Mašalaitisa.

26 września, rok 1937, niedziela

Niedziela. Dziewczynki – Renię i Stenię – wysłaliśmy do Szaszewicz, do Stefana Römera, Steni ojca. Niech użyją wsi i pogody. Sami z Jadzią też mieliśmy jechać, ale ostatecznie nie wybraliśmy się, bo trzeba byłoby bardzo wcześnie wyjechać (o godzinie siódmej), a komunikacja wakacyjna z Bobtami już skończona i autobusy chodzą rzadko, więc kto wie, czy zdążylibyśmy wrócić do Kowna przed godziną ósmą wieczorem, to znaczy na czas, kiedy muszę się udać w charakterze reprezentacyjnym na kolację uczestników olimpiady „SELL". Siedziałem więc z Jadzią w domu i tylko na obiad poszliśmy do odrestaurowanej restauracji hotelu „Wersal", gdzie obiad spożyliśmy zresztą kiepski, tylko się trochę przewietrzyliśmy „na budżet".

O ósmej wieczorem poszedłem do klubu „Karininkų Ramovė", gdzie w górnej sali restauracji była wyznaczona kolacja olimpiadowa. Przedtem w jednej z sal odbyła się uroczystość rozdawnictwa nagród uczestnikom zakończonej olimpiady. A tego dokonał minister oświaty Tonkunas w asystencji prezesa naszego przedstawicielstwa studenckiego. Nagrody były dwojakie – dla zespołów narodowych i (żetony) dla zwycięzców indywidualnych (po trzy żetony dla trzech pierwszych w każdym turnieju poszczególnym). Klasyfikacja zespołów narodowych była następująca: I miejsce, które się im bezwzględnie i w zespole, i w indywidualnych zwycięstwach należała – zdobyli Estończycy, którzy w szeregach „SELL" są prawdziwymi i niezrównanymi mistrzami sportu; II miejsce – Łotysze, III – Litwini i ostatnie, IV – Finowie. Właściwie Finowie ponieśli tę porażkę główną przez to, że zespół ich w porównaniu do innych był bardzo nieliczny i przeto ilość punktów, zdobytych przez nich w indywidualnych zwycięstwach, musiała być z konieczności bardzo mała. Litwini niestety, są w sporcie w rodzinie bałtyckiej bardzo zaniedbani. Na akt złożyło się przemówienie Tonkunasa i samo rozdawnictwo nagród i żetonów. Kurtuazja była wielka. Potem była kolacja. Była ona prawdziwa, obfita i dobrze obsłużona. Zawody olimpijskie ściągnęły do stadionu dużo publiczności, toteż nasz „Akademicki Klub Sportowy" miał spory dochód i mógł sobie na wystawne przyjęcie gości pozwolić nie tylko ze skromnej zapomogi, udzielonej przez Ministerium Spraw Zagranicznych, ale i z tego dochodu. Było dużo alkoholu, obfite zakąski, kolacja z trzech dań. Osobiście jadłem i piłem mało, bo w ogóle wieczorem mi jeść niezdrowo, od jutra mam się przez kilka dni głodzić, więc się trenować trzeba. Ale młodzież bawiła się wesoło, niektórzy się pod koniec nawet mocno podchmielili, na ogół było podochocenie i fantazja. Z gości oficjalnych był tylko Tonkunas, ja i *attaché* wojskowy estoński – prorektorowie i posłowie Łotwy, Estonii i Finlandii nie przyszli. Jeszcze przy przekąskach studenci zaczęli śpiewać chóralnie. Łotysze śpiewali swoje pieśni, Litwini i Estończycy – swoje. Nastrój kwitł wesoły między obojgiem płci. W czasie deseru nastąpiły mowy. Przemawiał po litewsku i niemiecku prezes naszego przedstawicielstwa, następnie przemówiłem po francusku do młodzieży sportowej bałtyckiej ja, potem po niemiecku – kierownicy zespołów narodowych. Po kolacji całe gremium zaszło na kawę do restauracji ogólnej. Tańczono. Ja siedziałem przy stoliku z Tonkunasem, *attaché* estońskim, prezesem przedstawicielstwa studenckiego naszego i prezesa naszego Akademickiego Klubu Sportowego. Do naszego stoliku zaproszono także młodego sportowca Komara z Rogówki z zespołu litewskiego, gwiazdę sportową litewską, i jego młodą żonę; także sportsmenkę, która w zespole litewskim zdobyła kilka nagród indywidualnych w tej olimpiadzie. Komarowa młoda jest Polką rodowitą z Poznańskiego, aczkolwiek po matce pochodzi z rodziny polsko-ziemiańskiej z dalekich kresów białoruskich, aż spod Witebska. Wyszła za mąż przed trzema laty i wtedy dopiero mąż ją tu przywiózł do Litwy. Nie bardzo jeszcze mówi po litewsku, aczkolwiek już rozumie i usiłuje próbować. Jest bardzo dystyngowana, naturalnie ładna. Ma bardzo wiele taktu, i wyrazistość, rasowa kobieta i krew z mlekiem, obraz zdrowia. Sport ją z mężem łączy. Niestety – język polski jest w kołach litewskich publicznie nie przyjęty – rozmawialiśmy z nią przy stoliku po francusku. Młodzi Komarowie

dzierżawią od Putwińskich Bubie pod Szawlami, majątek po Zubowie, i tam mieszkają. Wracając w nocy do domu – spostrzegłem wielki pożar. Poszedłem w tym kierunku i natrafiłem na pożar w dziedzińcu I gmachu uniwersyteckiego, ale ogień okazał się w sąsiednim ogrodzie, gdzie spłonął garaż. Straż ogniowa prędko zgasiła pożar.

27 września, rok 1937, poniedziałek

Rozpocząłem dziś moje rekolekcje głodowe, które trwać mają dni pięć czy sześć, to znaczy przez cały ten tydzień. Leżę w łóżku i jem tylko owoce. Nie należy to do rzeczy przyjemnych – ani jedno, ani drugie. Zjadłem przez dzień pół kilograma śliwek węgierek i dwie gruszki, na wieczór zaś pozwoliłem sobie wypić jedną szklankę herbaty z konfiturami śliwkowymi zamiast cukru. Jadzia mię pilnuje, żebym nie wstawał i nie jadł; to drugie jest zresztą zbyteczne. Pilnuje pedantycznie i zaciekle, jak zwykle kobieta, choćby ta ścisłość i bezwzględność miała zaszkodzić. Nie rozumie, że doktor zawsze nakazuje maksimum i że pewne odstępstwo, pewna elastyczność w przestrzeganiu maksymalnych zleceń lekarskich zwykle jest zupełnie dopuszczalna. Ale kobieta chce być wściekle dokładna. Zapewne robi to z dobrego serca, ale przysparza mię męczarni trochę niepotrzebnie. Właściwie to i jeść mógłbym trochę jarzyny przynajmniej, zapewne i mleka, ale skoro doktor mówił o owocach, to już Jadzia tylko na owocach mię trzyma, a wstawać ani na krok nie pozwala, co jest nieznośne.

Właściwie zdrów jestem i nic mi nie dolega. Tę extra kurację Gudowicz zalecił mi z gorliwości nadmiernej, bo ciskając palcem nogi moje – znajduje, że skóra spod palca nie od razu odskakuje do poziomu, lecz na razie pozostaje mała wklęsłość, która po trochę się tylko wygładza (zresztą bardzo prędko), co Gudowicz uważa za pozostałość obrzęknięcia. Potrzyma mię w łóżku, zastrzyknie salyrganu na pędzenie moczu, podgłodzi... Ale już bez salyrganu po leżeniu i owocach wypędziło mi dziś przeszło dwa litry moczu. Ciężko leżeć nie chorując. Głodu największego doświadczałem dziś tylko w porze obiadowej, pod wieczór już mniej czułem głodu.

Odwiedzali mię – zresztą za interesami – malarz Ejdukiewicz, dziekan Wydziału Teologii prof. ksiądz Kuraitis, członek Rady Stanu i redaktor „Teisė" Jerzy Byla. Byli i studenci.

Wstawałem dziś rano trochę, bo miałem dziś egzaminy, a w liczbie czterech kandydatów do egzaminu były akurat dwie studentki, obie młode, piękne i eleganckie – poetka Koleta Chmielewska i Węgierka z pochodzenia Wanda Venly (Węgierka po ojcu, Polka po matce, osobiście – Litwinka). Nie mogłem ich egzaminować w łóżku lub w szlafroku. Wyegzaminowałem je pierwsze, po czym położyłem się znowu. Nie zdały jednak tak celująco, jak się po nich spodziewałem, bo to dziewczyny zdolne, inteligentne, wartościowe.

28 września, rok 1937, wtorek

Drugi dzień leżenia kuracyjnego w łóżku. Dziś uczucia głodu doświadczałem mniej, ale za to osłabienie dużo większe. Od wczoraj południa do dziś rano wyszło przez dobę dwa litry uryny. Rezultat dobry, bo przecie wczoraj nie jadłem nic prócz jednego jabłka, dwóch gruszek, ½ kilo śliwek i jednej szklanki herbaty. Zawdzięcza się to zapewne wzmocnionemu działaniu serca, bo na wzmocnienie serca Gudowicz na czas tego leżenia zapisał mi potrójną dozę digitalisu. Gudowicz przyszedł w południe mię obejrzeć. Powiada, że zgłodzenie się radykalne nie jest na ten czas konieczne. Wystarczy jeść niedużo z przewagą owoców i tylko bez soli. Można jeść ryż, jaja, oładki nawet, nawet mięso, byle bez soli, bo sól pochłania i zatrzymuje w organizmie wodę. Na obiad przeto dziś zjadłem kalafior, ale z wody, bez masła i oczywiście bez chleba. Chleba nie można, bo jest z solą, ale można sucharki, można nawet masło. Jednak nic więcej prócz owoców (trzy gruszki i dwa jabłka), kalafiora z wody i wieczorem szklanki gotowanego soku naturalnego z pomidorów – i dziś nie jadłem. Obszedłem się nawet bez herbaty. Uryny dziś już odchodziło dużo mniej. Do wieczora odeszło zaledwie 500 gramów (1/2 litra), bo zresztą nie ma z czego.

Było wczoraj wieczorem depesza od prof. Mestre'a z Paryża i dziś list od Natkiewicza w tejże sprawie. Prof. Mestre zapowiada pierwszą swoją „conférence" w uniwersytecie na 7 października,

następna zaś (to znaczy w „Lietuvos Teisininkų Draugii” i w Towarzystwie Litewsko-Francuskim) – po powrocie z Estonii (bo prof. Mestre ma być z odczytami także w Rydze i Tartu). Zwołałem więc dziś u mnie przy łóżku posiedzenie w tej sprawie w osobach dziekana Janulaitisa, prorektora Purėnasa i sekretarza prof. Blažysa. Chodziło o ustalenie różnych szczegółów wizyty i przyjęcia prof. Mestre'a. Natkiewicz pisze, że Mestre pragnąłby pewnej gratyfikacji od uniwersytetu, pisze, że przyjedzie z żoną, a jego podróż koleją finansuje francuskie Quai d'Orsay tylko dla niego, ale nie dla żony. Janulaitis miał dobrą myśl, żeby za jego odczyt w Towarzystwie Prawniczym, wzięty do druku w „Teisė”, zapłacić mu kwotę, o którą mu chodzi (± 3000 franków – 400-500 litów), w postaci honorarium; kwotę tę wyasygnowałoby Ministerium Spraw Zagranicznych. Byłaby to dobra forma. Z Mestrem wybiera się przyjechać Glikman jako niby jego „sekretarz”. Ten jest bardzo niepotrzebny. Glikman – człowiek niezły, ale niepoważny i strasznie wścibski. Nie rozumie, że takie jego uczepienie się Mestre'a i narzucanie swego przyjazdu jest niewłaściwe. Mam list i od niego. Traktuje on siebie jako „gościa” Wydziału Prawniczego – i naszego, i łotewskiego, i estońskiego. I chce, żeby wydział nasz opłacił (*quo titulo?*) jego pobyt w Kownie – hotel Metropol i jedzenie tamże. Jako asystujący gościowi – może być zapraszany na obiady, kolacje i herbatki oraz przyjęcia dla profesora, ale żeby go lokować naszym kosztem i utrzymywać – to nie ma racji ani tytułu. Cóż to za gość wydziału raptem!

29 września, rok 1937, środa

Dzień świętego Michała. Imieniny w łóżku. Przede wszystkim w sprawie zdrowia i kuracji. Już wczoraj z wieczora i dziś rano czułem się osłabiony. Osłabia samo leżenie, a jeszcze bardziej głód. Ale już dzisiaj przestałem tak głodować, jak dni poprzednich. Zresztą sam prof. Gudowicz pozwolił mi jeść, byle nie za dużo i byle bez soli. Rano więc na śniadanie zjadłem jajko na miękko (bez chleba i bez soli), co mię od razu znakomicie wzmocniło. Na obiad kochana Jadźka wykombinowała mi talerz makaronu wermiszelu z naturalnym sosem pomidorowym (pomidory roztarte gotowane). Pod wieczór zjadłem jajecznicę z jednego jajka z pomidorem i wypiłem szklankę naturalnego soku pomidorowego gotowanego. Oprócz tego zjadłem trzy sucharki angielskie. Z owoców zjadłem dwa jabłka i ½ kilo melona. Czułem się zupełnie syty. Moczu przez dobę ubiegłą do rana wyszło 1 litr i 100 gramów – więcej nie było z czego. O południu prof. Gudowicz zastrzyknął mi porcję salyrganu. Jednak moczu nie pędziło, bo znowuż nie ma z czego.

Miałem szereg depesz gratulujących i wizyt. Były depesze zwyczajne od pp. Rosenów, od Jana Vileišisa, od moich byłych uczni prawników braci Rapoportów, depesza ozdobna od mego asystenta Konstantego Raczkowskiego z żoną, od akademickiego związku studentów ateitininków i od członka Rady Stanu Papečkisa, bilety wizytowe i pocztówki z powinszowaniem od Adolfa Grajewskiego, od Józefa Šukysa z Rakiszek, od studenta Chwerenca, od całego domu Eugeniuszostwa Römerów, od prof. Janulaitisa, od ekonoma Pumpola (z Bohdaniszek od Elwiry, Andrzeja, Marysi były listy już zawczasu, tak samo od Antoniego Römera z Janopola). Miałem też kilka prezentów: a. kosz kwiatów od dwóch studentek dawnych, którym w swoim czasie okazałem pewną pomoc i które mi są stale wdzięczne – od Mašy Zivaitė, Żydówki, zamężnej obecnie za Litwinem Szweykowskim i Emilii Januszewiczówny (podobno była „zakochana” we mnie); b. od jednego z kurierów uniwersyteckich – Józefa Kulikowskiego, któremu posadę dałem i który mi jest stale wdzięczny – tablicę gipsową z „Pogonią” litewską do zawieszenia na ścianie (dar skromny ubogiego człowieka, ale z serca, a dla niego może nawet kosztowny); c. parę koloników bursztynowych do mankietów – od Diskina. Wizyt miałem sporo. Jedną wizytę miałem nie związaną wcale z imieninami. Rano przyszedł do mnie Zygmunt Ugiański, mój były uczeń, student ekonomista, obecnie redaktor polskiego pisemka ludowego „Chata Rodzinna”, który bawił dłuższy czas w Wilnie, i powiedział mi, że wraz z nim do Kowna przyjechał były rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie prof. Staniewicz (Staniewicza matka ma własność po stronie litewskiej koło Jewja i tam mieszka, Staniewicz ją co roku odwiedza) i chciałby mi złożyć wizytę, a bawi króciutko. O południu przyjąłem Staniewicza, naturalnie leżąc w łóżku. Zresztą podczas tej wizyty był u mnie także Gudowicz, przeto ze

Staniewiczem pomówić bardziej poufnie nie mogłem. Imieninowych wizyt miałem dużo zwłaszcza pod wieczór: Stefan Römer, Redzio Römer, Feliks Mackus, Diskin, prof. Zygunt Žemaitis...

30 września, rok 1937, czwartek

Zdrowie – tak samo. Jem jak wczoraj. Jajka na miękko rano, jajecznica z jednego jajka z pomidorem wieczorem, na obiad – talerz wermiszelu z pomidorowym sokiem. Wszystko bez soli i bez chleba. Poza tym zjadłem jedno jabłko rano i ¼ kilo melona pod wieczór. Płynów żadnych – ani herbaty, ani soku pomidorowego. Wreszcie w ciągu dnia zjadłem 5-6 płaskich okrągłych biskwitów angielskich żytnich czy jęczmiennych. Oto cały posiłek dzienny, ale wystarczający zupełnie. Głodny się nie czuję. Wielkiego osłabienia też nie doświadczam. Wczoraj po salyrganie wyszło w ciągu doby 1300 gramów moczu. Dziś moczu prawie nie ma, bo nie ma z czego. Waga dosyć znacznie spadła. Z 86-87 kilogramów spadła do 84 kilo. Pozajutro już wstanę.

Trochę wstaję i piszę przy biurku w szlafroku i teraz, ale tylko gdy Jadzi nie ma w domu, bo mię pilnuje starannie i nie pozwala. Ogółem więc moje wstawanie trwa na dzień może godzinkę lub półtorej, gdy Jadzia wychodzi.

Gości odwiedzających dziś nie miałem. Był tylko dwukrotnie prorektor Purėnas, który mię zastępuje, ale był za interesami.

Jadzia siedzi prawie że stale przy mnie. To mię rozrywa, nie czuję się smutny. Jest bardzo poczciwa. Czyta mnie gazetę. Ja jej i dziewczynkom zacząłem dziś czytać głośno „Potop" Sienkiewicza.

1 października, rok 1937, piątek

Ostatni dzień stałego leżenia. Jutro będę mógł już wstawać z łóżka, ale nie wychodzić jeszcze. Wieczorem był prof. dr Gudowicz. Rad był z rezultatów kuracji, z upadku wagi, ze stanu serca. Istotnie wagi ubytek jest wyraźny. Uryny wszakże co dzień odchodzi coraz mniej. Ale bo też nic nie piję. Przez dobę uprzednią do ranka dzisiejszego wyszło 700 gramów uryny.

Miałem wizytę docenta Antoniego Tamošaitisa i asystentów Konstantego Raczkowskiego i Żakiewicza.

2 października, rok 1937, sobota

Dziś nie ubierałem się jeszcze, ale w szlafroku większą część dnia siedziałem i tylko z rzadka przy czytaniu kładłem się do łóżka. Dietę zachowuję jeszcze ścisłą. Ani herbaty, ani żadnego płynu dziś nie piłem. Na śniadanie zjadłem jajko na miękko bez chleba i bez soli, na obiad Jadźka zafundowała mi całego karpia, ale tylko gotowanego i także bez soli i bez chleba. Wieczorem nic już więcej nie jadłem. Z owoców zjadłem jabłko i ½ kilo melona. W toku tego leżenia kuracyjnego – sam nie wiem od czego – rozwinął mi się jakiś bolesny reumatyzm w kościach głównie lewej ręki u góry i w słabszym stopniu w kościach tułowia – karku, klatki piersiowej, kości pacierzowej u góry, szyi i czaszki. We dnie ból w kościach lewej ręki i lewego pleca jest mniejszy, ale w nocy – nieznośny: nie mogę leżeć na lewym boku, a górna część lewej ręki boli zupełnie tak, jak ból zębów. Ze strachem myślę o nocy. Dziś wieczorem Jadźka mi natarła bolące miejsca „amolem", takim lekarstwem o zapachu smoły sosnowej, która ma działać przeciwko reumatyzmowi.

Miałem dziś list od prof. Mestre'a z Paryża i depeszę z sekretariatu generalnego Trybunału Arbitrażu w Hadze z zawiadomieniem, że prezes komisji koncyliacyjnej duńsko-litewskiej wzywa mię na pierwsze posiedzenie tej komisji we wtorek 19 października rano. Trzeba więc już będzie wyjechać do Hagi koło 15 października. Profesor zaś Mestre przyjedzie do Kowna we środę 6 października, we czwartek 7 będzie miał wykład na uniwersytecie, po czym wyjedzie do Rygi i Tartu, wróci do Kowna 18 października i dwa pozostałe wykłady – w Towarzystwie Prawniczym i w Towarzystwie Litewsko-Francuskim wygłosi 19-go i 20-go. Wtedy też zapewne, a więc już beze mnie, odbędą się główne przyjęcia prof. Mestre'a. W najbliższym więc czasie będę musiał przestudiować starannie sprawę duńsko-litewską.

3 października, rok 1937, niedziela

Dziś wreszcie wstałem ostatecznie, ubrałem się i nie kładłem się wcale. Wagę ciała znacznie poprawiłem – dziś rano ważyłem już tylko 82-83 kilo. Znakomity jest skutek zwłaszcza jedzenia bez soli: wcale się nie chce pić. A w mojej skłonności do zatrzymywania wody w organizmie brak pragnienia i przeto trunków jest, zdaje się, rzeczą kapitalną. Będę się starał powtarzać kurację abstynencji od soli jak najczęściej. Znakomicie mi też pomogły nacierania „amolem" od reumatyzmu. Ból w lewej ręce prawie ustał; w nocy spałem lepiej, mogłem się nieco przewracać z boku na bok. Z domu dziś prawie nie wychodziłem; tylko wieczorem przeszedłem się trochę po ulicy w towarzystwie Jadzi.

Na dziś był odroczony mój obiad imieninowy w gronie moich bliższych *minorum gentium*, którzy bywają u mnie prywatnie i dla których mój dom w towarzystwie Jadzi jest domem naturalnym, niestrefionym konwenansami o nieślubnym związku naszym z Jadzią. Wszystko, co w społeczeństwie kowieńskim wśród moich znajomych jest „stateczniejsze", bardziej filiterskie, „poważne", a więc i faryzeuszowskie (bez wyjątku!), jest przez ten konwenans mieszczańskiej cnoty od mego domu prywatnego wyłączone. Na obiedzie więc imieninowym byli: Stefan Römer, Diskin, Jan Zeman, wychowanek Komorowskich i obecnie student humanista, studencik Pauža, kolega Andrzeja, i mój asystent Feliks Mackus. Byliśmy naturalnie i my z Jadzią oraz nasze dziewczynki domowe – Renia Bagdonaitė i Stenia Römerówna. Bawiono się dobrze i z humorem. Jadzia dała nalewkę mocną na czarnych porzeczkach jej własnej roboty bohdaniskiej, doskonałą, której wypito sporo, bo to wszystko, prócz Paužy, bractwo tęgo pijące, i dała świetnie przyrządzony obiad z zakąskami. Na ostatku zaś do kawy był wspaniały tort z „Aldony", zafundowany przez prof. Gudowicza.

4 października, rok 1937, poniedziałek

Dziś nareszcie rozpocząłem wykłady na I semestrze sekcji prawniczej Wydziału Prawniczego. W tym roku przeniosłem te wykłady na godziny wieczorne, bo w godzinach rannych (ze względu na to, że znaczna ilość, jeżeli nie większość, studentów prawników ma jakąś posadę i rankami uczęszczać na wykłady nie może) – ilość słuchaczy bywa bardzo mała. Wykłady dla prawników mieć będę w tym roku akademickim w poniedziałki i środy od godziny szóstej do ósmej wieczorem. W ogóle na naszym uniwersytecie ilość studentów od roku 1932 stale z roku na rok się zmniejsza (składa się na to wiele rozmaitych przyczyn), na sekcji zaś prawniczej Wydziału Prawniczego, która dawniej była najliczniejszą w cały uniwersytecie, zmniejsza się szczególnie. Przyczyniła się do tego zwłaszcza nowa ustawa o sądownictwie z roku 1933, która bardzo skomplikowała i utrudniła dostęp do sądownictwa i do adwokatury, a niektórym elementom ludności, jak zwłaszcza Żydom i zwłaszcza dopóki ministrem sprawiedliwości jest Šiling, ten dostęp nieomal zamknęła. Dawniej na Wydziale Prawniczym, który zawsze był i zresztą jest dotąd względnie najliczniejszy, ogromną większość stanowili prawnicy i jeno mniejszość – ekonomiści. Dziś stosunek ten jest odwrotny i z roku na rok coraz bardziej się akcentuje na korzyść sekcji ekonomicznej. Żydzi zaś z sekcji prawniczej prawie że zupełnie znikli. A stanowili oni przecie na tej sekcji zespół nie tylko liczebnie silny, ale także zdolny, bo wielu Żydów było bardzo dobrych prawników.

Na pierwszym wykładzie, jak zawsze, słuchacze byli prawie w komplecie. Ilość ich wynosiła na oko ± 60 głów. W tej liczbie sporo studentek. Jeszcze się nie przyjrzałem audytorium i nic o nim sądzić nie mogę.

5 października, rok 1937, wtorek

Zdaje się, że mój wyjazd od Hagi ulegnie jeszcze odwłoce. Słyszałem dziś bowiem ze sfer Ministerium Spraw Zagranicznych, że drugi członek komisji rozjemczej litewsko-duńskiej z ramienia Litwy, Łotysz Ozolinš, przewodniczący wydziału cywilnego w Senacie (Sądzie Najwyższym kasacyjnym) łotewskim, ma depeszować do prezesa Komisji w Hadze, że na wskazany termin

posiedzenia w d. 19 października przyjechać do Hagi nie może i że będzie wolny dopiero od 9 listopada. Zatem należy się spodziewać, że termin pierwszego posiedzenia będzie odroczony. Mam wrażenie, że na tę decyzję Ozolinša wpłynął Mandelsztam, który jest agentem Litwy w tej sprawie wobec komisji i który, zdaje się, jest w kontakcie z Ozolinšem (bodajże to za jego wskazówką Ozolinš został przez Litwę do komisji wyznaczony). Mandelsztamowi chodzi o pewną zwłokę, aby się przygotować do umotywowania tezy litewskiej w replice, do czego chce jeszcze wykonać pewne studia w bibliotekach zagranicznych. Ja z mojej strony zawiadomiłem sekretariat generalny Trybunału Arbitrażu, pośredniczący w komunikacji pocztowej między członkami komisji i między komisją a stronami, że gotów jestem przyjechać na wskazany termin 19 października, jak również na wszelki inny, któryby został później wyznaczony.

6 października, rok 1937, środa

Miałem dziś dzień mocno zapełniony od rana. O południu posiedzenie Komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich z udziałem gubernatora Kubiliusa u Mašalaitisa, potem praca bieżąca w rektoracie, następnie wezwany byłem do ministra oświaty Tonkunasa, potem miałem obiad Rotary-Clubu, od szóstej do ósmej wieczorem wykład na I semestrze prawników, wreszcie spotkanie prof. Mestre'a na dworcu kolejowym.

Ciekawą nowinę wymiarkowałem z rozmowy z ministrem Tonkunasem. Rząd, zdaje się, już się cofa wobec akcji kleru na rzecz restytucji sekcji filozoficznej na Wydziale Teologicznym w projekcie nowego statutu. Cała historia, wszczęta na wiosnę z wielkim hałasem przeciwko tej sekcji, kończy się wielkim fiaskiem. Kler postawi na swoim. Burza była tylko burzą w szklance wody. Tonkunas stwierdza, że kler uruchomił taką akcję i nacisnął takie sprężyny wpływów, że oprzeć się im jest bardzo trudno. Wskrzeszenie sekcji „filozoficznej" na tym wydziale jest więc nawrotem do dawnej konstrukcji uniwersyteckiej chrześcijańskich demokratów, którzy Wydział Teologiczny wykoncypowali jako zalążek równoległego uniwersytetu katolickiego na uniwersytecie ogólnym; nie jest to już tylko Wydział Teologii. Na razie ten zalążek ma zakres li tylko nauk humanistycznych, najistotniejszych dla teologów, bo chodzi im przede wszystkim o preparowanie nauczycieli dla opanowania szkoły średniej, ale w dalszej konsekwencji, gdyby rządy wróciły do rąk klerykałów, mogłoby to być rozszerzone i na inne działy w postaci nowych „sekcji", równoległych do istniejących wydziałów i rywalizujących z nimi. Minister mię wezwał, aby się poradzić, czy nie ma jakich nowych argumentów prawniczych przeciwko roszczeniom kleru i teologów do posiadania własnej katolickiej sekcji humanistycznej pod firmą „filozoficznej". Jakież tu mogą być argumenty prawnicze? Jeżeli Wydziałowi Teologicznemu da się konstrukcję statutową małego uniwersytetu katolickiego w łonie uniwersytetu nauk wolnych, to i konsekwencje prawne muszą być odpowiednie. Jeżeli się zaś tej konstrukcji nie da i zachowa się konstrukcję taką, jaką od wiosny chciano ustalić, to znaczy konstrukcję wydziału li tylko teologii katolickiej, to dopiero wtedy oczywiście można mówić o wnioskach prawnych przeciwko usiłowaniom tworzenia (co wtedy byłoby już przemycaniem) uniwersytetu katolickiego w ogólnym.

7 października, rok 1937, czwartek

Dzień, poświęcony wizycie profesora Mestre'a i spędzony pod jego znakiem wyłącznym (przynajmniej spędzony przeze mnie). Przyjazd prof. Mestre'a nastąpił wczoraj z wieczora. Na dworzec kolejowy na spotkanie gości zebrali się: ja, dziekan Wydziału Prawniczego Janulaitis, sekretarz poselstwa francuskiego p. de. Neyzac, p. Valiušisowa i adwokat Raulinaitis z Towarzystwa Litewsko-Francuskiego, mój asystent Konstanty Raczkowski i asystent Żakiewicz, przydzielony przez nas do gości. Prof. Mestre przyjechał z żoną. Jadą oni z Paryża małymi etapami, bo pani Mestre długiej jazdy koleją nie znosi. Nocowali w Kolonii, potem parę dni spędzili w Berlinie, gdzie byli gośćmi posła francuskiego p. Francois Pouceta, którego Mestre jest przyjacielem, następnie dwie noce nocowali w Królewcu. Z Niemiec wywieźli wrażenia najgorsze. Z kołami akademickimi w Berlinie i Królewcu Mestre się nie stykał, bo dla tych kół profesor Francuz z Paryża nie jest gościem

miłym, a zresztą z tego, co słyszeli od posła francuskiego i konsula w Królewcu, odnieśli wrażenie, że rektorowie uniwersytetów niemieckich są nie tyle rektorami, ile „Führerami" politycznymi uniwersytetów w duchu nacjonalsocjalistycznym, a cała nauka akademicka w Niemczech jest w stanie upadku i przekształca się w narzędzie polityki nakazanej. Barbaryzacja młodzieży akademickiej w Niemczech też ma być jaskrawa. Zresztą ilość studentów i ich poziom się bardzo obniża podobno, w ogóle inteligencja niemiecka degeneruje. Widzieli się pp. Mestre na obiedzie u posła francuskiego w Berlinie z ministrem sprawiedliwości niemieckim. Z rozmowy z nim stwierdzają, że i w sądownictwie niemieckim jest upadek; podobno już nawet zachodzi bardzo wielka trudność w kompletowaniu sędziów. Ale o ile barbaryzacja postępuje w inteligencji, o tyle wzrasta szał mas. PP. Mestre trafili w Berlinie na obchód święta zbóż. Widzieli tłumy ludzi zgromadzone i przyjazd Hitlera. Powiadają, że taka była wściekłość zapału mas, taki wyraz jednolity tłumu, taki dziki entuzjazm stadowy, takie napięcie wszystkich nerwów i zestrojów rąk i twarzy, że nie mogli na to patrzeć, bo im, Francuzom, źle się na ten widok robiło: był to dla nich obraz niesamowity stada czy ciała zbiorowego, w którym ginął zgoła człowiek, jego myśl i inteligencja, a wyrastał żywioł. Tak – to horda zaiste, jakiś atawistyczny dziki opętańczy nawrót do instynktu, w którym się iści zagłada inteligencji i osobowości. Mestre mię pytał, czy u nas byłoby możliwe coś podobnego. Odrzekłem, że jesteśmy zbyt indywidualistami na to. Tak, Niemcy stają się jakimś klinem, który rozsadza Europę. Z pp. Mestre wysiadł z wagonu też Glikman, który im towarzyszy nie wiadomo w jakim charakterze. Uczepił się Mestre'a i zdaje się, że jedzie na jego koszt. Jak się dziś z rozmowy wyjaśniło, Mestre Glikmana wcale ze sobą nie brał, jeno się sam Glikman narzucił. Narzuca się jak jakiś impresario tej wizyty, Mestre'owi wmawia, że ja go zaangażowałem do towarzyszenia jemu, nam mówi, że Mestre go wziął ze sobą. Jak tylko wysiadł z wagonu, pośpieszył witać się ze wszystkimi, którzy byli przyszli na spotkanie Mestre'a i tak się za pan brat witał i kręcił ze wszystkimi, jak żeby to on był główną osobą, a nie spostrzegał czy nie chciał spostrzegać, ze nikt się do niego nie kwapi. I wsiadł z Mestre'ami, ze mną i Żakiewiczem do automobilu i w hotelu szastał się, aby wszystko urządzić tak, aby i samemu się zalokować na koszt rządowy, jak Mestre, a wreszcie zalokował się w saloniku, należącym do numeru zarezerwowanego dla pp. Mestre. Gdyśmy z Żakiewiczem pożegnali pp. Mestre, Glikman wyszedł z nami i mówiąc, że chce z nami wszystkie szczegóły omówić, zaciągnął nas na herbatę do restauracji (oczywiście zresztą na mój koszt), gdzie zaczął się domagać cenzurowania całego programu przyjęć, twierdząc bez ceremonii, że wszystko ma być ułożone z nim, a nie z Mestrem, bo Mestre jest jak dziecko i sam się na tym nie zna.

8 października, rok 1937, piątek

Kartę dzisiejszą dziennika poświęcę wizycie wczorajszej prof. Achillesa Mestre'a. Jeno wpierw zanotuję, że otrzymałem wczoraj wieczorem list od prezesa komisji rozjemczej duńsko-litewskiej z Hagi, wyznaczający kategorycznie termin pierwszego posiedzenia tej komisji w Pałacu Pokoju w Hadze na dzień 19 października, dziś wszakże wieczorem otrzymałem depeszę, donoszącą, że ze względu na członka Komisji p. Ozilinsza, który stawić się na wskazany termin nie może, posiedzenie zostało odroczone na 10 listopada.

Wizyta prof. Mestre'a zajęła na razie jeden dzień wczorajszy, po czym dziś rano prof. Mestre odjechał z żoną do Rygi, gdzie wygłosi odczyty na uniwersytecie i stamtąd do Tartu w Estonii w tymże celu, skąd za tydzień znów wróci na dwa dni do nas dla wygłoszenia odczytów w Towarzystwie Litewsko-Francuskim i w Litewskim Towarzystwie Prawniczym.

Zaczęło się wczoraj od wizyt grzecznościowych prof. Mestre'a. Profesor wizytował posła francuskiego p. Dulonga, następnie Urbšysa, zastępującego nieobecnego ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa, następnie ministra oświaty prof. Tonkunasa. W tych wizytach towarzyszył mu przydzielony doń przez nas Stanisław Żakiewicz. Ja przez ten czas byłem wolny, miałem od godz. dziewiątej rano do jedenastej pierwszy wykład na I semestrze ekonomistów. O południu prof. Mestre złożył wizytę formalną mnie w rektoracie. Dzień wypadł piękny, słoneczny, prof. Mestre nazwał Kowno Niceą Północy. Z uniwersytetu prof. Mestre pojechał ze mną z wizytą do

prezesa ministrów Tubelisa, który nas przyjął w Ministerium Finansów. Zastaliśmy tam także posła Dulonga. Choć Tubelis po francusku nie mówi, jednak za moim jako improwizowanego tłumacza pośrednictwem rozmowa szła gładko i była ożywiona. Mówiło się o wrażeniach, o koncercie chóru akademickiego naszego i zespołu tanecznego chórzystów na Wystawie Powszechnej w Paryżu tego lata (powodzenie tych występów chóru i tańców ludowych litewskich było zaiste bardzo wielkie), etc. Od Tubelisa pojechaliśmy na audiencję do Prezydenta Rzeczypospolitej. Poseł Dulong udał się razem. Smetona przyjął Mestre'a bardzo uprzejmie i serdecznie, po francusku Smetona mówi już wcale nieźle. Na Mestre'a nasz prezydent sprawił wrażenie bardzo dodatnie. Po audiencji zabraliśmy panią Mestre z hotelu i pojechaliśmy na śniadanie do poselstwa francuskiego. Pani Dulong nie ma w Kownie, toteż na śniadaniu pani Mestre była jedyną kobietą. Poza tym obecni byli: sam poseł Dulong, prof. Mestre, ja, dziekan Janulaitis, prof. Wacław Biržiška, Schmittlein, Raczkowski, Kriwicki, de Neyzac, paru jeszcze i naturalnie Glikman, który się sam wprosił swoim zwyczajem, uzyskując w ostatniej chwili zaproszenie za pośrednictwem urzędu tzw. protokółu w Ministerium Spraw Zagranicznych, do którego się sam zwrócił, a z czego Dulong był bardzo nierad.

9 października, rok 1937, sobota

Jak co roku, obchód żałobnej rocznicy straty Wilna, w tym roku w 17 rocznicę trochę mniej uroczystości, tylko kwesta uliczna Związku Odzyskania Wilna, minuta skupienia o południu i szereg odczytów popularnych o Wilnie w godzinach poobiednich, w szkołach zaś wszędzie – odpowiednie wykłady i rozpamiętywanie. To Wilno stracone – jest to żądło, przez które się sączy trucizna nienawiści sąsiedzkiej. Niestety – jakże nieopatrznie i niezręcznie, a jak boleśnie i krzywdząco uczynił to Józef Piłsudski. Był to nóż bratobójczy w serce Litwy i zarazem rozcięcie współżycia obojga narodów. Ale wracam do pozawczorajszej wizyty prof. Mestre'a.

Po śniadaniu w poselstwie francuskim, o godzinie czwartej odbył się odczyt (*conférence*) akademicki prof. Mestre'a na uniwersytecie. Temat odczytu: „*Caracteres généraux du droit public français*". Sala była pełniutka studentów, dużo profesury, sporo gości. U stołu prezydialnego zasiedliśmy: ja, prof. Mestre, poseł francuski Dulong i wiceminister oświaty Masiliunas. Zagaiłem odczyt przemówieniem w połowie po litewsku i w połowie po francusku. Mestre ładnie mi odpowiedział i wygłosił swój odczyt żywo, bez rękopisu, stojąc u katedry. Myśl odczytu była ładna. Wpierw były charakterystyczne „*generalites*" założeń prawa publicznego francuskiego: zasady Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z roku 1789 i zasada podziału władz. Najładniejszą i najbardziej pouczającą dla audytorium litewskiego była ta część odczytu, w której Mestre mówił o budowie administracyjnej. Prawo publiczne – oparte na nierówności między osobami publicznymi administracji i osobami prywatnymi podwładnych; wyrazem tej nierówności są przywileje władzy, przywileje rozkazu i obowiązek posłuszeństwa; ale przywileje te są oparte na interesie powszechnym, na dobrze publicznym; władza, rozkaz, przymus są uzasadnione li tylko w zakresie interesu publicznego; gdy wykraczają przeciwko niemu – tracą uzasadnienie i stają się nieuzasadnionymi aktami gwałtu; to jest doktryna jurysprudencji Rady Stanu Francuskiej, która na tej doktrynie zbudowała całe prawo administracyjne współczesne, humanizując, i, powiedziałbym, uspołeczniając przywilej władzy, jak niegdyś pretor humanizował w Rzymie stare formalne prawo cywilne. Myśl bardzo słuszna i nam bardzo właściwa do przemyślenia. Bo u nas nie ma właśnie tej jurysprudencji i nie ma sądownictwa administracyjnego, a bez niego przywilej władzy jest faktem brutalnym przemocy nie zhumanizowanym. Jest to podkreślenie dobre tej kampanii, którą prowadziłem zawsze na rzecz sądownictwa administracyjnego. Wieczorem tegoż dnia w jednym z lokali Klubu Oficerskiego w nowym gmachu „Karininkų Ramovė" odbyła się akademicka kolacja dla pp. Mestre. Byli dziekani wydziałów, poseł francuski i p. Neyzac, wiceminister Masiliunas, żony dziekanów, p. Valiušisowa z Towarzystwa Litewsko-Francuskiego, Byla z Towarzystwa Prawniczego, grono młodej profesury (Antoni Tamošaitis i Kriwicki) i asystentów Wydziału Prawniczego (K. Raczkowski, Żakiewicz). Wystąpiłem z wielką mową francuską, która mi się

dobrze udała. Odpowiedział ładnie prof. Mestre. Siedziałem między panią Mestre i panią prorektorową Purėnasową. Po kolacji – kawa. Oczywiście był i Glikman.

10 października, rok 1937, niedziela

W akcji przeciwlitewskiej, ostro obecnie i bez ceremonii prowadzonej przez władze polskie (zamykanie szkół litewskich w Wileńszczyźnie i Suwalszczyźnie – należałoby już może powiedzieć „zamknięcie", a nie „zamykanie", bo już bodaj nie ma co zamykać, zamykanie towarzystw i organizacji kulturalnych i społecznych litewskich, w ogóle rozbijanie całej pracy narodowej litewskiej na terenach anektowanych Litwy), jednym z niewielkich epizodów, który poruszył u nas litewską młodzież akademicką, jest zakaz przez władze administracyjne państwowe odznak litewskiemu stowarzyszeniu akademickiemu na Uniwersytecie Wileńskim. Jak wszystkie stowarzyszenia akademickie, tak też litewskie, miały swoje odznaki – znaczki, barwy, rodzaj uniformy w postaci bądź czapeczek, bądź innych wyróżnień w szczegółach stroju. Dopóki zatwierdzanie odznak i uniformy należało do władz uniwersyteckich, dopóty przeszkód nie było, ale obecnie w Polsce oddano to do właściwości administracji państwowej, która stowarzyszeniu litewskiemu zatwierdzenia odznak odmówiła. W naszej młodzieży litewskiej wywołało to ferment odwetowy, żądający zastosowania tegoż do stowarzyszeń akademickich polskich na uniwersytecie litewskim. Wczoraj delegacja stowarzyszeń akademickich litewskich złożyła mi memoriał, w którym żąda: a. zwrócenia się do organizacji związku międzynarodowego uniwersytetów z protestem przeciwko takiemu traktowaniu zrzeszonej młodzieży akademickiej na Uniwersytecie Wileńskim; b. jeżeli to nie poskutkuje – to zastosowanie takiegoż zarządzenia w drodze odwetowej do zrzeszeń akademickich polskich na uniwersytecie naszym i c. wzmocnienia ścisłej kontroli nad działalnością stowarzyszeń akademickich polskich i cofnięcia wszelkich ulg dla tychże, jak w szczególności ulgi funkcjonowania bez posiadania przepisowej ilości członków (regulamin uniwersytetu przewiduje pewne przepisowe minimum ilości członków, ale senat udziela często poszczególnym drobnym stowarzyszeniom pozwolenia istnieć i działać bez przepisowej ilości, jeżeli wszakże faktyczna ilość członków nie jest zbyt rażąco mała; z takiej ulgi od lat paru korzysta polska korporacja „Lauda"). Sprawa jest przykra i o ile chodzi o punkt zwłaszcza drugi, ciężka, a co do punktu pierwszego dość niewyraźna technicznie. Wszakże psychologicznie w nastrojach obecnych młodzieży jest zrozumiała. Memoriał ten zgłoszę do naszego senatu akademickiego.

11 października, rok 1937, poniedziałek

I znowu słychać, że jednak rząd się domaganiom teologów i kleru o restytucję sekcji „filozoficznej" na Wydziale Teologicznym opiera. Może więc prognostyki, które wyciągnąłem z rozmowy z ministrem Tonkunasem i o których przed kilku dniami w dzienniku pisałem, o tym, że rząd nie oprze się presji duchowieństwa i ulegnie, okażą się mylne. Kler i teolodzy nacisnęli wszystkie sprężyny wpływów w Sejmie i poza nim. I poselstwo Stolicy Apostolskiej, i episkopat z metropolitą, i jezuici, i wszystko, co żyje pod znakiem władzy i hierarchii kościelnej, zostało puszczone w ruch. Trzej posłowie księża w Sejmie unisono wystąpili z żądaniem odrestaurowania utrakwizmu katolicko-świeckiego na uniwersytecie. Nic ich (jak również naszych profesorów teologów) nie obchodzi, czy statut uniwersytetu będzie taki lub inny, byle tylko restytuował tę sekcję. Jest to walka Kościoła o szkołę, bo przez tę „sekcję filozoficzną" katolicką chce on zachować przywilej kwalifikowania nauczycieli do szkół powszechnych i średnich. Ta kwestia stała się teraz najaktualniejsza i najbardziej palącą w problemie reformy statutu. Podobno Smetona się jednak opiera i trzyma mocno: klerowi odpowiada, że sprawa statutu jest obecnie w ręku Sejmu i że Sejm jest przeciwny takiej sekcji filozoficznej, a prezydent nie życzy sobie z tego powodu wchodzić w konflikt z tym Sejmem.

Wypoczywam teraz między jedną a drugą wizytą prof. Mestre'a. W sobotę i niedzielę, gdy prof. Mestre wróci z Łotwy i Estonii, znowu będę miał dwa dni rozgardiaszu reprezentacyjnego w

przyjmowaniu gościa i ciągłym mu towarzyszeniu. Teraz wypoczywam, bo mogę pracować spokojnie i równo, co jest największym szczęściem ludzi nauki.

Nie wiadomo, jak się tam dzieje Glikmanowi, bo tak się tu narzucał wszystkim, tyle nietaktów popełnił, tak się ośmieszył i zbłaźnił, a dokuczył już nawet pogodnemu Mestre'owi, że z inicjatywy poselstwa francuskiego i za działaniem Ministerium Spraw Zagranicznych przy udziale Żakiewicza i Raczkowskiego wszczęto przeciwko niemu kampanię i ostrzeżono Łotyszów przed nim. Była nawet myśl zatrzymać go w Janiszkach na granicy po drodze do Rygi, ale Ministerium Spraw Zagranicznych nie zdecydowało się na takie zarządzenie radykalne.

12 października, rok 1937, wtorek

Jadzię moją spotkała dziś wielka niespodzianka i radość. Już od paru tygodni miała ona wiadomość od siostry swojej, Stefci Boreišisowej, że córeczka pięcioletnia tejże, także Stefcia, ma jakiś wyrzut na główce, który matka od dłuższego czasu smarowała jakąś maścią, udzieloną w aptece, ale bez skutku. Wreszcie lekarz w Rakiszkach wyraził przypuszczenie, że może to być liszaj złośliwy i że należy dziecko zawieźć do Kowna do specjalisty dla zastosowania środków właściwych. Wtedy Jadzia mi napomknęła o tym nieśmiało, ja naturalnie z całą gotowością zaproponowałem przywieźć dziecko i przyjąć je w mieszkaniu. Jadzia sama przedsięweźmie wszystko, co trzeba, aby dziecko nie zaraziło liszajem nikogo w mieszkaniu – da mu pościel osobną, będzie je trzymało z główką obwiązaną itd. Rad byłem i ja, że mogłem dogodzić Jadźce w jej sprawie rodzinnej, i rada i wdzięczna mi była ona. Napisała o tym do siostry i wciąż czekała na list albo na wiadomość, że dziecko już przyjedzie. Nie wiedziała, czy ktoś je przywiezie osobiście, czy też je wyślą same, oddając pod opiekę komuś z podróżnych aż do spotkania dziecka w Kownie na dworcu przez Jadzię. Żadnej wiadomości aż dotąd nie było. Aż tu nagle dziś rano, bez żadnego uprzedzenia, przyjechała z dworca do naszego mieszkania matka Jadzi, Ignasowa Čepasowa z chorą wnuczką. Jadźka nie posiada się z radości. Kocha ona matkę więcej, niż kogokolwiek z rodziny, a nie spodziewała się zgoła jej przyjazdu. W szarym i monotonnym życiu Jadźki, która z natury jest wrażliwa i która ma fantazję bardzo rozwiniętą, a więc potrzebowałaby więcej rozmaitości i bujnego życia, niż ma u mnie, bo choć jest samotnicą, lubiącą głęboko sama przetapiać w swoim marzeniu doznane wrażenia, jednak pokarmu tych wrażeń bardzo potrzebuje, a ma ich biedaczka w tym odciętym od obcowania ludzkiego związku ze mną za mało na swoje potrzeby wyobraźni i świata swoich marzeń; ten przyjazd kochanej matki, jak również te starania i ruch w zabiegach o dziecko siostry – to dla Jadźki radość i ogrom pulsu życia. Cieszę się za nią, moją biedaczkę kochaną, której tak mało dać tego mogę w tym społecznie nie uznanym jej związku ze mną.

Dziewczynka mała, Stefcia Boreišisówna, to typowe i charakterystyczne dziecko nowej wsi litewskiej, rozparcelowanej na izolowane zaścianki. Dawniej w wiosce dziecko włościańskie litewskie rosło w gromadzie dzieci wioskowych, obcowało w społeczności dziecinnej, cywilizowało się społecznie (uspołeczniało). Teraz w zaścianku izolowanym poza rodziną nie widzi nic. Jaskrawy indywidualizm gospodarczy w nowej konstrukcji zaściankowej wsi kojarzy się ze skrajnym indywidualizmem życia, zwłaszcza u dzieci w rodzinach włościańskich. Dzieci rosną w zaściankach jak wilczęta w lesie. Na problem uspołecznienia ten indywidualizm skrajny może działać wielce ujemnie, tym bardziej, że Litwini z natury są wybitni indywidualiści. Przejaskrawienie indywidualizmu, skutkowanie przez ten system dokonanej reformy agrarnej może być dla Litwy niebezpieczne. Kto wie, czy szkoła w nauczaniu przymusowym i powszechnym zdoła to przejaskrawienie indywidualizmu w dzieciństwie zniwelować w wieku szkolnym. Dzieci z tych zaścianków nie widzą ludzi, nie znają ich i boją się. W oderwaniu od swojego domu i wobec innych ludzi czują się jak ryba wyjęta z wody.

13 października, rok 1937, środa

Wykłady, które mam teraz u prawników i u ekonomistów, rozpoczęte od przyszłego tygodnia (poniedziałki i środy w godzinach poobiednich u prawników, we czwartki w godzinach rannych i w

piątki w godzinach poobiednich u ekonomistów), udają mi się dobrze. Swoją drogą, profani nie pojmują, jaką trudną pracą umysłową jest wykład nauki. Zaiste w nauce im więcej się wie – tym się wie mniej. Nie ma kresu poznawania, nie ma punktu, do którego można byłoby posunąć analizę naukową i stanąć, mogąc sobie powiedzieć, że oto już wiem wszystko i że w danym zagadnieniu nie pozostało mi już nic do rozwiązania, bo wszystko już jest rozwikłane i jak na dłoni wyjaśnione. Wykład i u prawników, i u ekonomistów rozpocząłem od elementarnego, corocznie powtarzanego w wykładach i już w książce mojej „Valstybė", zdawałoby się, zupełnie i ostatecznie rozwałkowanego tematu klasycznego o trzech elementach zasadniczego objęcia państwa: narodu, terytorium i władzy. Zdawałoby się, że tu już wszystko jest wyraźne, określone, ścisłe. W tym, co w wykładzie mówię studentom, którzy dopiero od abecadła zaczynają, bo to są nowicjusze zupełni, muszę być oczywiście i jestem kategoryczny i wyraźny. A jednak w każdym zdaniu wykładu, w każdej myśli, którą wyrażam, jest całe morze zastrzeżeń, powstających w mózgu i świadomości mojej, całe potoki prądów myślowych, które myśl moją unoszą w różne strony pogłębienia, precyzowania, niuansowania wykładanych pojęć. Wiem i czuję, że każda myśl wyrażona zawiera ledwie cząstkę minimalną, ledwie mały błysk prawdy głęboko ukrytej, która jeszcze jest spowita w mgławicę nieścisłości różnych, z których należałoby ją dopiero wydobyć. Ale na to precyzowanie i pogłębianie nie ma ani czasu, ani możności psychicznej, bo umysł audytorium jest jeszcze tak surowy, że dla niego i to, co mówię, jest już rewelacją, a dalszego precyzyjnego pogłębienia po prostu by już nie zniósł. Ale dla mnie samego mój wykład jest tylko lekkim dotykaniem prawdy, której jądro głęboko jeszcze i za całą chmurą zastrzeżeń jest ukryte. Jest on czymś zaledwie bardzo z gruba ciosanym, bardzo połowicznym i ledwie dotykającym istoty rzeczy. Dla słuchaczy profanów – to już wielka mądrość, dla uczonego – elementarz, przez który dopiero mu świta przebłysk prawdy i budzi w nim tęsknotę, pociągając ku sobie. Wykład dobrze mi się udaje, ale ja sam czuję w nim dopiero aluzję nauki, nie zaś jej owoc dojrzały i ostateczny.

14 października, rok 1937, czwartek

Posiedzenie senatu akademickiego. Zlikwidowana została w drodze interpretacji statutu uniwersyteckiego instytucja tzw. asystentów nieetatowych, których, zwłaszcza na niektórych wydziałach, było dużo. Minister oświaty miał zawsze wątpliwości co do tego, czy tacy asystenci nieetatowi mogą istnieć, ale o ile wydziały nie polecały im żadnej samodzielnej pracy naukowej lub nauczającej z ramienia uniwersytetu, minister zachowywał „*desinteressement*". Wszakże zaczęły się sporadycznie zdarzać wypadki ogłaszania na uniwersytecie wykładów przez takich asystentów, a na jednym wydziale – naturalnie na Teologii – wypadki te zaczęły być systematyczne (Wydział Teologii używa tego jako środka do przemycania i rozwijania statutowo nieistniejącej swojej sekcji „filozoficznej", a raczej humanistycznej). Wtedy minister zaoponował. Po rozejrzeniu całości zagadnienia w senacie doszliśmy do przekonania, że „asystenci nieetatowi" nie dadzą się pogodzić z przepisami statutu, wobec czego wypadnie mi rezolucją specjalną anulować wszystkie moje akty o zatwierdzeniu takich asystentów. Tacy praktykanci czy kandydaci, którzy dotąd pod tą firmą „asystentów nieetatowych" istnieli, będą mogli być dopuszczeni w wydziałach do praktyki przy profesorach bez żadnego tytułu i bez żadnego stanowiska prawnego na uniwersytecie, a więc i bez żadnej formy zatwierdzenia, przepisanej przez statut dla nominacji asystentów właściwych, którzy mogą być li tylko etatowi. Naturalnie, że o wykładaniu przez tych praktykantów bez stanowiska nie może być mowy, nawet gdyby chodziło o wykłady kursów nieobowiązujących. Decyzja ta dotknie nieco Wydział Teologiczno-Filozoficzny, chociaż dziekan prof. Kuraitis na posiedzeniu senatu specjalnie nie oponował. Na Wydział Teologiczny w ogóle sypią się teraz ciosy, choć uderzają one tylko w to, co jest w praktyce tego wydziału kontrabandą statutową, bardzo szeroko i na wszystkie sposoby przez ten wydział praktykowaną na rzecz przemycania produkowania nauczycieli szkół.

15 października, rok 1937, piątek

Chciałbym napisać o losie memoriału organizacji akademickich litewskich w sprawie ewentualnych „retorsji" względem organizacji akademickich polskich w Kownie, mających stanowić odwet względem niezatwierdzenia przez władze polskie w Wilnie barw i odznak stowarzyszenia akademickiego litewskiego tamże. Chciałbym napisać też o pewnej uchwale senatu akademickiego wczoraj, która wywołała dziś ostry odruch ze strony prof. Wacława Biržiški. Nie mam jednak czasu na to. Postaram się napisać o tym w przyszłym tygodniu. Tymczasem czekają mię dwa dni gorączki w przyjmowaniu prof. Mestre'a z żoną, którzy dziś wrócili już do Kowna z Tartu i Rygi i zabawią do niedzieli wieczorem.

Dziś wieczorem odjechała z Kowna matka Jadzi ze swą wnuczką Stefcią Boreišisową, którą leczono tutaj od liszaja na główce. Mojej Jadźki wakacyjka w towarzystwie słodkim matki – skończona.

16 października, rok 1937, sobota

Wczoraj pod wieczór przyjechał w drodze powrotnej z Rygi i Tartu prof. Mestre z żoną. Zabawią u nas do niedzieli wieczorem. Tu zrobię małą dywersję o Glikmanie. Glikman był wyjechał z nimi do Rygi razem i chciał im towarzyszyć i w Łotwie i Estonii, ale niebawem wrócił. Co tam dokładnie z nim zaszło – dobrze nie wiem, nie chwalił się. W każdym razie, nie udało mu się tam odgrywanie roli jakiegoś asystenta prof. Mestre'a czy nawet impresario, obwożącego profesora, jak to usiłował robić u nas za pierwszej części pobytu Mestre'a. Choć wiedziano u nas, że Glikman sam się narzuca, ale ponieważ bądź co bądź Mestre go wziął ze sobą i nawet jego podróż opłacił z własnej kieszeni, więc go traktowano na razie jako bądź co bądź gościa. Był zaproszony urzędowo na kolację uniwersytecką, sam się wprosił na śniadanie do poselstwa francuskiego i zaproszenie otrzymał. Nie dano mu wprawdzie numeru w hotelu „Metropol" na koszt Ministerium Spraw Zagranicznych, ale on sam się bez ceremonii zainstalował w saloniku, należącym do numeru, zarezerwowanego dla pp. Mestre. Wszakże Żakiewicz, przydzielony przez uniwersytet do asystowania prof. Mestre'a i członkowie poselstwa francuskiego pośpieszyli rozszyfrować samozwańczy narzucający się charakter tego towarzyszenia Glikmana profesorostwu Mestre. Glikman fundował tę swoją rolę na grze podwójnej. Z jednej strony mnie i w ogóle nam wmawiał, że jest szczególnym współpracownikiem i przyjacielem prof. Mestre'a i że to Mestre go ze sobą tutaj bierze i chce jego jazdy, a pierwszego dnia po przyjeździe wprost nam z Żakiewiczem mówił, że co do wszelkich szczegółów programu przyjęć prof. Mestre'a należy się porozumiewać nie z prof. Mestrem, który jest naiwny i w ogóle się na tym nie zna, jeno z nim, Glikmanem, a nawet napraszał się na to, aby towarzyszyć profesorowi na audiencji u Prezydenta Smetony i w wizytach urzędowych u prezesa ministrów i u ministrów oświaty i spraw zagranicznych; słowem, podawał się za zaufanego Mestre'a, za jego prawą rękę, bez której Mestre się nie może i nie chce obchodzić; z drugiej strony – profesorowi Mestre podawał się za mojego przyjaciela, że to niby ja go zaangażowałem do towarzyszenia profesorowi w jego wizycie. Sam Mestre, zapytywany poufnie przez posła francuskiego Dulonga i przez Żakiewicza, oświadczył, że Glikman sam się narzucił jako rzekomy mąż zaufania szczególnego rektora, to znaczy mój i że wcale mu o towarzystwo Glikmana nie chodzi, a wprawdzie Glikman mu nastręczył parę konsultacji obywateli litewskich (Juniena i Choiseula), ale jego współpracownikiem i stowarzyszonym nie jest wcale. Wówczas tak poselstwo francuskie, jak Żakiewicz z Konstantym Raczkowskim rozpoczęli tu akcję przeciwko Glikmanowi. Sam Mestre nie chciał, aby Glikman jechał z nim do Rygi i Tartu; wszakże Glikman pojechał z nim. Gdy Mestre odjechał i Glikman wsiadł do wagonu i pojechał razem, *attaché* poselstwa francuskiego de Neyzac, który odprowadzał Mestre'ów na dworzec, zwrócił się do obecnego tam Raczkowskiego, prosząc, aby w jakikolwiek sposób oswobodzono Mestre'a od tej figury, która się go uczepiła i która go jeno kompromitować może swoim wścibstwem i nietaktem, narzucającym się nieznośnie. Raczkowski z Żakiewiczem wskazali, że jedyny chyba sposób – to zatrzymać Glikmana w Janiszkach na granicy. De Neyzac prosił, aby to zrobiono. Raczkowski z Żakiewiczem udali się zaraz do Ministerium Spraw Zagranicznych. Urbšys jednak nie zgodził się na zastosowanie środka tak

radykalnego, jak zatrzymanie Glikmana na granicy bez żadnego wykroczenia formalnego z jego strony, gdy paszport i wizy są w porządku i w obecności Francuza, profesora prawa administracyjnego, gościa Litwy, z którym Glikman bądź co bądź razem jedzie. Zrobiono więc tylko tyle, że zawiadomiono poselstwo litewskie w Rydze, aby ono uprzedziło Łotyszów, że Glikman samozwańczo się podaje za jakiegoś asystenta prof. Mestre'a i że nie jest on żadną osobą kwalifikowaną, towarzyszącą prof. Mestre.

17 października, rok 1937, niedziela

Rozpisałem się wczoraj o Glikmanie i nic o wizycie prof. Mestre'a nie napisałem. O Glikmanie dopowiem jeszcze tyle, że po dwóch dniach wrócił on z Rygi i z prof. Mestrem do Tartu wcale nie jeździł. Co tam zaszło; dlaczego zaniechał jazdy do Tartu, jak się wobec niego zachowali Łotysze w Rydze – nie wiem. Sam się tym nie chwalił, ale sądzę, że został przez Łotyszów zignorowany i nigdzie nie był zapraszany ani przyjmowany, a może mu nawet wizy do Estonii nie dano. Po powrocie tu Glikmana w tygodniu ubiegłym, gdy jeszcze Mestre był w Łotwie i Estonii, Glikman, który już wyczuł, że coś się tu ma przeciwko niemu, a może i dowiedział czegoś w Rydze, zaczął się tu kręcić i zabiegać gorączkowo, aby ubić „intrygę" wrogów i utrzymać się na stopie męża zaufania Mestre'a, towarzyszącego mu w jego wizycie akademickiej. Tu już z Ministerium Spraw Zagranicznych było rzucone hasło, że po powrocie Mestre'a należy Glikmana ignorować zupełnie, nie zapraszać go nigdzie i nie przyjmować, izolować go zupełnie od przyjęć Mestre'a. Skądinąd hotel „Metropol", który właściwie należy do kilku ministeriów, odmówił lokaty Glikmanowi. Glikman poczuł się wysadzony z siodła, ale nie dał za wygraną. Zły był na Żakiewicza, domyślał się we wszystkim jego „intrygi" i „zazdrości", węszył i szukał tropów akcji przeciwko niemu. Latał do mnie, do urzędników Ministerium Spraw Zagranicznych, zabiegał, tłumaczył, naprawiał. I gdy przyjechał Mestre – gdzie mógł, tam się wciskał i kręcił koło niego – na dworcu przy przyjeździe, nazajutrz w Muzeum Wojennym, chciał też być na przyjęciu studenckim dla Mestre'a, był naturalnie na wszystkich jego wykładach, a już koniecznie chciał być zaproszony przeze mnie na śniadanie dla Mestre'a u mnie. Długo się wahałem, tłumaczyłem się przed Glikmanem, że to nie ode mnie zależy, że ceremoniał wszelkich przyjęć jest ustanawiany przez Ministerium Spraw Zagranicznych, ale Glikman nie dawał mi spokoju. Rozmówiłem się z Mestre'em i ostatecznie Glikmana zaprosiłem. I nic się złego nie stało. Choć Glikman jest natrętny i do niemożliwości wścibski, jednak Żakiewicz i inni, którzy się tak strasznie nim gorszą, przesadzają. Nie jest to człowiek ani zły, ani szkodliwy. Owszem – przez ruchliwość swoją może być czasem użyteczny. Np. faktem jest, że pierwszą myśl i inicjatywę mojej wizyty w r. 1935 do Paryża, z której się następnie wyłoniły wizyty Le Fura i Mestre'a u nas, powziął Glikman i on pierwszy myśl tę podsunął profesorowi Niboyetowi, który już od siebie ją podjął w poselstwie litewskim w Paryżu i w Radzie Paryskiego Wydziału Prawniczego. A oba razy, gdym w Paryżu był na obiedzie u Mestre'a, był tam i Glikman. A teraz bądź co bądź z Mestrem przyjechał nawet jego kosztem, był na naszej kolacji uniwersyteckiej dla Mestre'a, był na śniadaniu w poselstwie francuskim, więc trudno mi go było nie zaprosić i do mnie, zwłaszcza gdy sam mię o to prosił. A zresztą cały ten huczek o Glikmanie już przebrzmiał i nic niewart.

Ale chcę jeszcze zreferować te dwa dni wizyty Mestre'a. Gdy pp. Mestre pozawczoraj z Rygi przyjechali, nie byłem na ich spotkaniu. Miałem wykład, ale po wykładzie poszedłem do restauracji „Metropolu", gdzie mieli oni jeść obiad. Był to obiad prywatny. Oprócz pp. Mestre, mnie i Żakiewicza, wzięli w nim udział także Merkys i Sidzikowski, którzy zawczasu nas prosili o to, aby im dać możność spotkania się i porozmawiania z prof. Mestrem, którego opinii chcą oni zasięgnąć co do układanego przez nich projektu sądu administracyjnego. Inicjatorem sądu administracyjnego jest w Sejmie Merkys i obecnie specjalna komisja sejmowa, której główną sprężyną jest Merkys, układa ten projekt. Za podstawę do swego projektu wzięli oni mój projekt, opracowany w roku 1930 czy 1931 przeze mnie w Radzie Stanu, ale wprowadzili doń wiele zmian bardzo istotnych, kompromisowych, na to, aby nie straszyć rządu, który dość sceptycznie do sądu administracyjnego jest usposobiony. Dziś dopiero Merkys dał mi do przejrzenia ich projekt („*avant-projet*").

Wprawdzie Merkys mi niegdyś mówił, że zamierzają się oni ze mną naradzić, ale dotąd nie naradzali się wcale, jeno weszli w kontakt i za doradcę swego przyjęli Sidzikowskiego, który, co prawda, mało się zna na tym, ale jest rzutki i sprytny.

18 października, rok 1937, poniedziałek

Prof. Mestre już wyjechał, ale jeszcze opiszę jego wizytę szczegółowo. Wspominałem, że w piątek w dniu jego powrotu z Rygi na obiedzie prywatnym w restauracji „Metropolu" Merkys i Sidzikowski konferowali z nim na temat ich projektu sądu administracyjnego, ułożonego dla komisji sejmowej. Konferowanie to było stanowczo przedwczesne. Obaj, a zwłaszcza Merkys, są profanami w przedmiocie sądu administracyjnego. Choć projekt swój, który sami nazywają „avant-projet", oparli na moim projekcie z roku 1931, do którego są załączone motywy wyjaśniające, ale projekt ten bardzo zdeformowali i zasady mojego projektu zeszpecili. Nie powiem, żeby pewien regres od zasad wzorowych nie był w naszych warunkach konieczny, bo trzeba się liczyć z niechęcią rządu, który boi się sądu administracyjnego i uważa go za luksus i wymysł prawników, a rząd ma wielkie wpływy w Sejmie obecnym, więc można tę instytucję kreować tylko bardzo ostrożnie i połowicznie, aby rząd nie zaoponował radykalnie i nie zniweczył całego dzieła w samym zalążku; ale i połowiczność tę, niestety – niezbędną, trzeba robić z pewnym umiarem i umiejętnością, aby bądź co bądź ostatecznie coś z niej osiągnąć; tymczasem ci panowie, którzy prawie nic o niej nie wiedzą, robią z aplombem, polegając na własnej intuicji. Choć mało mamy znawców prawa administracyjnego i sądu administracyjnego, a jeszcze mniej znawców wspaniałej i niezrównanej jurysprudencji francuskiego „Conseil d'Etat", jednak bądź co bądź mamy już przynajmniej kilku ludzi, którzy coś o tym wiedzą i którzy to studiowali: jestem ja, z młodych są Żakiewicz, Konstanty Raczkowski, poniekąd Kriwicki i Mackus. Nie przeczę, że i Wacław Sidzikowski może się wyrobić wcale nieźle: jest zdolny, bardzo sprytny, bardzo szybko się orientujący w zagadnieniach prawnych, umie być pracowity, gdy trzeba. Ale należało im wpierw się porozumieć z nami, wejść w kontakt ze specjalistami własnymi. Zapewne – Mestre lepiej i więcej wie od nas w samych zwłaszcza finezjach zagadnienia, ale konsultować go w finezjach należało dopiero po dobrym przemyśleniu u siebie samych założeń i szkieletu konstrukcji. Konsultacja Mestre'a bez konsultacji sił własnych ma tę wadę, że Mestre nie zna warunków lokalnych ani okoliczności, w jakich trzeba tę wielką dla nas reformę u nas budować i jego konsultacja będzie przeto bardziej akademicką czy abstrakcyjną, a ci, co go konsultują, nie bardzo są w stanie sami... tezy swojego projektu uzasadnić fachowo z należytym uwzględnieniem potrzeby i istoty zagadnienia. W każdym razie Mestre, któremu wykład ustny zasad projektu przez tych panów nie zaimponował wcale i na ogół zrobił wrażenie czegoś niepoważnego i bardzo niefachowego, poprosił o przysłanie mu projektu w tłumaczeniu francuskim i obiecał uwagi swoje ułożyć na piśmie i przysłać je nie Sidzikowskiemu i Merkysowi, lecz na moje ręce, żeby szły one przez moją krytykę fachową. Daj Boże, żeby ten projekt sądu administracyjnego, choć niedoskonały, wszakże cokolwiek, ile się da, poprawiony, doszedł do zrealizowania. Mam wielką ochotę przyłożyć do tego głowę i ręce i w związku z uwagami, które nadeśle Mestre, przestudiować go także z naszą młodzieżą fachową i z Sidzikowskim, jako mentorem komisji sejmowej i Merkysa.

Nazajutrz rano, w sobotę, prof. Mestre w towarzystwie Żakiewicza zwiedzał i oglądał Muzeum Witolda Wielkiego, tak jego dział wojenno-niepodległościowo-historyczny, kultywowany przez Nagiewicza, jak jego dział sztuki ludowej i galerię Čurlanisa. Ja się z Mestrem tego dnia spotkałem dopiero na śniadaniu u Lozoraitisa.

19 października, rok 1937, wtorek

Wracam do soboty – dnia wizyty prof. Mestre'a. Na śniadaniu u ministra spraw zagranicznych, wydanym na rzecz Mestre'a, obecni byli: pp. Lozoraitisowie, prof. Mestre z żoną, poseł francuski minister Dulong, ja, dziekan Wydziału Prawniczego prof. Janulaitis z żoną, wiceminister spraw zagranicznych Urbšys, komendant kawalerii Valiušis z żoną, Żakiewicz i parę osób jeszcze. Był to akt uczczenia francuskiego gościa akademickiego przez rząd. Z Francją stosunki Litwy są

szczególnie dobre i Litwa zabiega gorliwie o manifestowanie swojej przyjaźni francuskiej i o zjednywanie przyjaciół w kołach tak politycznych, jak intelektualnych paryskich. Podjęta jest inicjatywa na rzecz szczególnego uhonorowania obu naszych gości akademickich Paryża: prof. Le Fura, który nas wizytował przed rokiem, i prof. Mestre'a. Le Fur ma być mianowany doktorem *honoris causa* przez nasz Wydział Prawniczy (wniosek już zgłoszony do wydziału), Mestre ma w rocznicę niepodległości Litwy otrzymać Order Giedymina II stopnia. Szczególnym też zamanifestowaniem sympatii francuskich jest zarządzenie o wprowadzeniu we wszystkich szkołach średnich Litwy obowiązkowego nauczania języka francuskiego, co się już realizuje od roku bieżącego, a na co Francuzi są bardzo wrażliwi. W związku z tym jest ufundowanie Instytutu Francuskiego na Wydziale Humanistycznym. Wahano się u nas między wyborem francuskiego i angielskiego jako języka obowiązkowego; nasi sąsiedzi i wspólnicy bałtyccy, Łotysze i Estończycy, wybrali sobie angielski. U nas też wielu jest zwolenników angielskiego, zwłaszcza w kołach handlowych i przemysłowych, które się powołują na to, że nasze stosunki handlowe nas coraz bardziej łączą z Anglią, podczas gdy z Francją stosunki te są bierne i perspektyw rozwoju nie mają. Kwestia ta była w ciągu dwóch lat bardzo dyskutowana na międzybałtyckich konferencjach współpracy intelektualnej, gdzie przedstawiciele nauki łotewskiej razem z nami bronili tezy francuskiej, podczas gdy Estończycy (zwłaszcza Piip) energicznie i radykalnie stanęli po stronie angielskiego. Zwyciężyły u nas względy polityczne na rzecz francuskiego, a mnie się zdaje, że i względy kultury intelektualnej oraz społecznej przemawiają na rzecz francuskiego przed angielskim, albowiem Litwa, jak zresztą większość krajów kontynentu europejskiego, jest w zakresie idei i instytucji społecznych (a więc i prawa) w sferze wpływów kultury francuskiej, podczas gdy idee i instytucje angielskie są nam obce, a jeżeli nawet działają, to działają poprzez ich interpretację francuską.

Po śniadaniu u Lozoraitisów udaliśmy się z pp. Mestre do ogródka Muzeum Wojennego, gdzie asystowaliśmy ceremonii spuszczenia wieczornego sztandarów z odpowiednim rytuałem u grobu Nieznanego Żołnierza i pomnika poległym w walkach o Niepodległość. Ceremonia ta, ładna i wzruszająca, sprawia zawsze wielkie wrażenie na gościach. Stamtąd udaliśmy się do Pałacu Sprawiedliwości, gdzie w sali posiedzeń Trybunału Najwyższego miał miejsce drugi odczyt (*conférence*) prof. Mestre'a pod firmą Towarzystwa Prawników. Tematem odczytu był francuski Conseil d'Etat. Sam temat ze względu na funkcje sądu administracyjnego jest u nas bardzo aktualny. Prof. Mestre wygłosił ten odczyt po mistrzowsku. Był to stanowczo najlepszy z jego trzech odczytów kowieńskich. Był znakomity. Żywy, barwny, skonstruowany, jak arcydzieło „*alerté*" umysłu francuskiego. Odczyt był stenografowany. Bardzo ładnie przemówił po odczycie adwokat Löwensztein, dziękując Mestre'owi w imieniu Towarzystwa i podnosząc wpływy humanistyczne cywilizacji społecznej i prawniczej francuskiej.

20 października, rok 1937, środa

Dziś także miałem przemówienie po francusku. Mianowicie ponieważ znany jestem, jako najlepiej mówiący po francusku, więc prezes naszego Rotary-Clubu kowieńskiego Karol Żołkowski [prosił], żebym w jego zastępstwie w imieniu Klubu przemówił do posła czeskosłowackiego Skalicky'ego w odpowiedzi na referacik, który on chce wygłosić na obiedzie Klubu o zmarłym prezydencie Czechosłowacji Tomaszu Masaryku. Skalicky jest wiernym przyjacielem naszego klubu. Choć nie jest jego członkiem, ale bywa na obiadach klubowych stale. Zdaje się, że robi to ze względów kariery, ponieważ ruch rotariański jest wśród Czechów bardzo rozwinięty i jego rodacy w Czechach są zadowoleni z jego kontaktu z rotarianami litewskimi, o czym dowiaduję się z naszych biuletynów klubowych, publikowanych po francusku i rozsyłanych do innych klubów po całym świecie. Skalicky postarał się teraz o przetłumaczenie na litewski mowy obecnego prezydenta Czechosłowacji Benesza, wygłoszonej na pogrzebie Masaryka, wydał tę mowę w tłumaczeniu litewskim na pięknym papierze i rozesłał wszystkim członkom naszego Rotary-Klubu, a sam dziś wygłosił po francusku wspomnienia pośmiertne o Masaryku. Nasz prezes klubu Żołkowski po

francusku nie mówi, a po niemiecku do posła czechosłowackiego przemawiać nie wypada (ze względu na zaostrzone stosunki czesko-niemieckie), dlatego też prosił mnie o przemówienie w odpowiedzi. Uczyniłem to w imieniu Klubu.

Wracam do wizyty prof. Mestre'a, mianowicie do dnia sobotniego. Po świetnym odczycie Mestre'a o francuskim Conseil d'Etat w Litewskim Towarzystwie Prawniczym w sali posiedzeń Trybunału, zakończonym ładnym przemówieniem adwokata Löwensteina w imieniu Towarzystwa, prof. Mestre z żoną udał się w towarzystwie Stanisława Żakiewicza i jego żony (córki Michała Biržiški) na obiad do restauracji „Wersalu", wieczorem zaś w tymże towarzystwie i z udziałem moim prof. Mestre z żoną udał się do teatru na przedstawienie opery „Faust". Ponieważ prof. Mestre zdecydował się nazajutrz w niedzielę wieczorem wyjechać, więc wypadło na wieczór sobotni, zajęty operą, przełożyć także przyjęcie dla profesora i studentów, połączone z występem chóru akademickiego i akademickiego zespołu tanecznego. Wobec tego wypadło wizytę w operze skrócić do trzech aktów. Lokal teatru naszego nie mógł bardzo zaimponować gościowi, bo teatr jest mały. Prof. Mestre jednak chwalił jego czystość, a w przedstawianiu podobały mu się zwłaszcza dekoracje ładne, barwne i dekoracyjnie efektowne sceny masowe (zabawa ludowa w II scenie opery), chwalił także solistkę Augaitytė w roli Małgorzaty, podobał mi się Mefistofel, natomiast żadnej pochwały nie wyraził dla Kipra Piotrowskiego, który grał Fausta i który u nas jest gwiazdą i słońcem. Zdaje się, że Mestre'owi więcej od naszego teatru zaimponował teatr łotewski w Rydze, mianowicie balet łotewski, uchodzący za szczególnie piękny, na który go Łotysze zaprowadzili. Mestre z bardzo wielkim uznaniem wyrażał się o balecie łotewskim.

Z teatru koło godziny pół do dziesiątej pojechaliśmy do gmachu „Neo-Lithuanii", gdzie miały się odbyć popisy chóru akademickiego i tańców ludowych litewskich, wykonanych przez zespół taneczny akademicki w strojach litewskich, wykonanych przez zespół taneczny akademicki w strojach ludowych. Pomysł takiego wieczorku studenckiego w programie przyjęć prof. Mestre'a powstał na audiencji Mestre'a u Prezydenta Rzeczypospolitej i u premiera Tubelisa. Ale o tym już do jutra.

21 października, rok 1937, czwartek

Posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Dziekan wydziału dawno już podnosił myśl o tym, że dla młodych asystentów Wydziału Prawniczego, gotujących się do profesury, zwłaszcza w zakresie prawa cywilnego i karnego, pożądane byłoby ustanowienie odpowiedniego stażu praktycznego w sądach lub w kancelariach adwokackich; w pojęciu Janulaitisa, można byłoby zużytkować do tego instytucję tzw. kandydatów sądowych, przez którą musieliby przejść odnośni asystenci. Ponieważ obecnie, po ustąpieniu przed paru laty prof. Bieliackina, katedra prawa cywilnego jest w ręku prof. Kazimierza Szołkowskiego, człowieka zresztą bardzo niezdarnego i mało inteligentnego, więc Janulaitis poprosił Szołkowskiego o zaprojektowanie odpowiedniego wniosku ustawodawczego. Dziś na porządek dzienny wpłynął ten projekt prof. Szołkowskiego. Szołkowski zaprojektował w nim ni mniej, ni więcej, jak *sui generis* powszechną i ciągłą powinność sędziowską względnie adwokacką dla wszystkich profesorów, nakładając na nich obowiązek bądź służby sędziowskiej, bądź zawodu adwokackiego – i nie czasowo nawet, ale stale. Projekt oczywiście szkodliwy i niesłychany. Wszyscy się wypowiedzieli przeciwko takiemu pomysłowi dziwacznemu i projekt został odrzucony, a Janulaitisowi polecono ułożyć projekt w przedmiocie stażu praktyki sądowej dla asystentów.

Rada Wydziału uchwaliła mianowanie Aleksandra Broel-Platera asystentem, Konstantego zaś Raczkowskiego awansowała na starszego asystenta.

Wracam jeszcze do wizyty Mestre'a, do ubiegłej soboty. Wspomniałem o wieczorku studenckim, urządzonym dla prof. Mestre'a. Prof. Mestre i jego żona byli obecni latem na koncercie naszego chóru akademickiego i popisach akademickiego zespołu tanecznego na Wystawie Paryskiej. Te występy miały w Paryżu wielkie powodzenie. Prof. Mestre, który sam jest utalentowanym muzykiem, był zachwycony tak koncertem chóru i pieśniami ludowymi litewskimi, jak

stylizowanymi tańcami litewskimi w wykonaniu zespołu. Mówił nam tu o tym i wyraził chęć usłyszenia chóru tutaj. Zajęliśmy się tym zaraz i zaaranżowaliśmy bardzo niepretensjonalny wieczorek studencki. Lokalu udzieliła korporacja „Neo-Lithuania". Program wieczorku: kilka pieśni, odśpiewanych w sali przez chór, kilka tańców litewskich w kostiumach narodowych, potem tzw. „alutis" (piwko) studenckie w sali jadalnej: herbata, piwo, biskwity, ser suszony litewski po studencku, skromnie, ale raźnie, wesoło, jak to u młodzieży, z pieśnią u stołu. Powołani zostali tylko wyborowi członkowie chóru w ilości koło 80 osób obojga płci z dyrygentem Kaweckim na czele, zarząd „Neo-Lithuanii", prezydium przedstawicielstwa akademickiego studentów; z profesury nikogo; tylko prof. Mestre, jego żona, ja, Żakiewicz z żoną i Feliks Mackus. Chór odśpiewał kilka charakterystycznych pieśni litewskich i jedną piosenkę ludową francuską z okolic Wandei, kraju rodzinnego profesorowej Mestre. Zespół taneczny w strojach ludowych wykonał kilka tańców litewskich stylizowanych, bardzo efektownych. Następnie przemówił do studentów po francusku prof. Mestre. Mowa była bardzo ładna; mowę tłumaczył na litewski jeden ze studentów. Następnie sam prof. Mestre zagrał na fortepianie marsz turecki Mozarta i coś jeszcze tegoż kompozytora. Mestre jest wirtuozem – sam dawał koncerty w Paryżu na biednych studentów. Potem był „alutis"; śpiewano, usługiwali fuksi, było ochoczo i wesoło. Wznoszono toasty, pito zdrowie. Przemawiał po francusku jeden ze studentów – francuszczyzna była słaba, były czasami zwroty dziwaczne („*Madame lie professeur! Monsieur lie professeur!*" – sic!), ale serdeczne. Przemówił też po francusku Kawecki i nawet lepszą francuszczyzną, niż poprzednik. Mestre'owie byli zachwyceni tym wieczorkiem w atmosferze serdecznej i ochoczej młodzieży. Jeżeli „clou" tego, co nam dał Mestre, był jego odczyt o Conseil d'Etat w Towarzystwie Prawniczym, to „clou" tego, co myśmy mu dali, był ten studencki wieczorek , pieśni, tańców i piwa. Koszta tego wieczorku finansowałem z kredytów reprezentacyjnych rektorskich.

22 października, rok 1937, piątek

Może dokończę już dziś o wizycie prof. Mestre'a. Pora. Tydzień dobiega, jak wizyta skończona. Zreferowałem sobotę. Pozostaje niedziela – ostatni dzień tej wizyty. W niedzielę rano byłem wolny. Żakiewicz z żoną i Konstanty Raczkowski z żoną obwozili prof. Mestre'a w automobilu po mieście i okolicy. Ja siedziałem w domu. Ale w domu szły wielkie przygotowania do śniadania, które tego dnia ja u siebie wyprawiałem pofesorowi Mestre'owi i pani profesorowej. Ponieważ poprzednio poseł francuski p. Dulong przejmował u siebie prof. Mestre'a z żoną w towarzystwie wyłącznie męskim, gdyż pani Dulong była nieobecna, więc to samo mogłem zrobić i ja, przyjmując u siebie bez pań panią profesorową. Jadźka przyrządziła smaczny obiad litewski z przekąskami i doskonałą nalewką na czarnych porzeczkach, z rozmaitymi specjałami w rodzaju powideł z brusznic do cielęciny (NB. państwo Mestre w Kownie pierwszy raz w życiu jedli brusznice, a ten specjał tak się pani Mestre podobał, że kupiłem i ofiarowałem jej parę kilo powideł brusznicowych w upominku do Paryża), wino zaś było dobre od Kuszyńskiego, prawdziwe francuskie, fundowane z kredytów reprezentacyjnych rektorskich. Dla usługiwania do obiadu sprowadzona była nasza dawna służąca Anielka Buckówna.

W śniadaniu u mnie wzięli udział: prof. Mestre z żoną, poseł francuski Dulong, dziekan Wydziału Prawniczego Janulaitis, prorektor Purėnas, adwokat Robinzon, Konstanty Raczkowski, Żakiewicz, Glikman, Feliks Mackus i ja. Choć Robinzon nie należy do sfer akademickich formalnych, ale go zaprosiłem, bo ma on tytuły i kwalifikacje szczególne: wybitny adwokat, ma gust do nauki, jest autorem prac poważnych w nauce prawa, ma jedną z najlepszych u nas bibliotek prawniczych prywatnych, doskonale mówi po francusku, ma umysł bardzo giętki i elegancki, doskonały jest do konwersacji. Wszystkie te tytuły ja przedstawiłem profesorowi Mestre'owi i przy śniadaniu posadziłem go obok profesora. Śniadanie udało się dobrze, a po kawie udaliśmy się już wprost do uniwersytetu, który udzielił swego lokalu Towarzystwu Litewsko-Francuskiemu na odczyt prof. Mestre'a na temat „*Le paysan français*". Nie dokończę już dzisiaj. Jutro dokończę na pewno. Jestem już bowiem bliski epilogu wizyty prof. Mestre'a, która na ogół bardzo dobrze się udała.

23 października, rok 1937, sobota

L'homme propose – Dieu dispose: nie dokończę jeszcze dzisiaj relacji z wizyty prof. Mestre'a, bo w ogóle na dziennik nie mam czasu.

Miałem dziś szereg spraw ważniejszych w rektoracie, w szczególności sprawę stypendium Rockefellera na studia specjalizacyjne dla Konstantego Raczkowskiego i Dominika Czesewicza.

Wieczorem – posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich u Mašalaitisa. Znowu łamigłówka znalezienia takiej konstrukcji wyborów do Sejmu, która by zadowoliła wymaganiom rządu w stosunku do Sejmu państwowego i zarazem byłaby dogodna dla celów narodowych litewskich w sejmiku kłajpedzkim. Jedno drugie wyklucza i w tym jest właśnie łamigłówka.

24 października, rok 1937, niedziela

Zaczynam od dokończenia opisu wizyty prof. Mestre'a. Dziś właśnie tydzień upływa od dnia jego wyjazdu. Niedużo mi już pozostało do skreślenia w tym przedmiocie. Opisałem śniadanie u mnie dla prof. Mestre'a w niedzielę. Wprost ze śniadania udaliśmy się na godzinę czwartą po południu do uniwersytetu, gdzie w sali odbył się wykład prof. Mestre'a pod firmą Towarzystwa Litewsko-Francuskiego. Jako prezes tego Towarzystwa zagaiłem zebranie po francusku, po czym udzieliłem słowa prof. Mestre'owi. Odczyt był na temat „*Le paysan français*". Była to więc raczej publicystyka tym razem, niż nauka ścisła. Na ogół odczyt był niezły, ale słabszy od dwóch poprzednich. Niektórych nawet zgorszyły nieco pewne twierdzenia w konkluzji Mestre'a, który na ogół bardzo ładnie mówił o „*paysan français*" jako o pewnej sile społecznej najbardziej statecznej i zarazem szlachetnej w swojej spoistości, łączącej człowieka z jego pracą i warsztatem w pewien zespół kosmiczny, pełny wyrazu, siły, uczucia i mądrości. Ale gdy w końcu odczytu Mestre zaczął wyliczać szkodników włościaństwa, to znaczy te czynniki, które w rozwoju współczesnym społeczeństwa działają rozprzęgająco na świat włościański, i w liczbie tych czynników wymienił ustawodawstwo społeczne ochrony robotników fabrycznych, powinność wojskową powszechną, szkołę i system parlamentarny rządowe, to wielu się zgorszyło. W gruncie rzeczy to jest jednak prawdą. Są to czynniki, które poniekąd urbanizują wieś, które do psychiki włościańskiej wlewają nowe pożądania lub pokusy, które wnoszą niepokój i „*trouble*" do umysłów i uczuć tradycyjnych tych synów ziemi, które im inny świat i nowe perspektywy oraz pożądania podsuwają. To jest prawda niewątpliwa. Są to czynniki demoralizacji starego świata włościańskiego, jeno że w moim przekonaniu nie należy stąd wyciągać wniosków na rzecz zachowania starej formy świata włościańskiego. Te czynniki, demoralizujące i rozkładające stare formy bytowania społecznego, zakładają podwaliny konstrukcyjne form nowych, których się bać nie należy. W tym względzie Sowiety torują drogi właśnie tym formom nowym i w tym się iści postęp i przyszłość. W starym natomiast świecie stosunków jedni widzą wyraźnie działanie rozkładające pewnych czynników współczesnych, ale nie ufając twórczości społecznej form nowych i ujęci pięknem ginącego świata – chcieliby zatrzymać rozkład i galwanizować to, co stopniowo zanika pogodnie i co zresztą, choć miało swoje piękno, miało jednak także swoje bóle i krzyże bolesne, inni, strojący się w pióropusze rycerzy postępu, zaprzeczają działaniu destrukcyjnym tych czynników, bo sami też boją się światła świtających form nowych i usiłują wmówić, że te czynniki postępu dają się pogodzić z konserwacją form starych... Po odczycie prof. Mestre'a udaliśmy się z nim jeszcze do lokalu Karininkų Ramovė, gdzie była wyznaczona herbatka Towarzystwa Litewsko-Francuskiego. Zebrało się tam duże towarzystwo i herbatka zapowiadała się ożywiona (zapewne też taką była potem), ale pp. Mestre pobyli tam zaledwie pół godziny i musieli już odjechać na pociąg. Przed odjazdem sfotografowaliśmy się jeszcze. Następnie odprowadziliśmy ich na dworzec kolejowy. Wieczorem otrzymałem jeszcze depeszę od prof. Mestre'a z granicy litewsko-niemieckiej. W kilka dni potem otrzymałem od niego list z Paryża.

25 października, rok 1937, poniedziałek

Byłem wczoraj na obchodzie piątej rocznicy akademickiej Korporacji Oficerów Rezerwy „Ramovė”. Korporację tę tworzą ci studenci, którzy przeszli przez szkołę oficerską i wyszli do rezerwy armii w stopniu oficerskim. Jest to więc korporacja ściśle męska, w której kwitnie kult wojska, metod organizacji wojskowej, dyscypliny i rycerstwa. Korporacja ta, choć młoda, zdobyła duży autorytet w środowisku młodzieży akademickiej i jest jedną z najbardziej wpływowych. Jest też bardzo czynna. Prowadzi wielką propagandę nie tylko wśród młodzieży akademickiej, ale też w społeczeństwie poza uniwersytetem na rzecz wyszkolenia i przygotowania wojennego, kontaktu społeczeństwa z wojskiem, w ogóle rozwoju zmysłu obrony i czynnego zbrojnego poparcia państwa. Ona też jest najczynniejszym agentem Funduszu Broni (Ginklų Fondas). Bierze też udział czynny w życiu akademickim i trzeba przyznać, że jest na tym gruncie czynnikiem dodatnim, właśnie na skutek swego zmysłu dyscypliny, ładu, rozwagi, stanowiska wyraźnego, pozbawionego wszelkich przejaskrawień i namiętności politycznych, bo jest zupełnie pozapartyjną, choć państwową i narodową. Jest czynnikiem mitygującym względem wszelkich przejaskrawień krańcowych. Nie zapędza się w żadnym kierunku, ma wybitny zmysł konstrukcyjny i liczy się z głosem rozsądku, co jest bardzo rzadkie w kołach młodzieży. Korporacja ta jest naturalnie bardzo ceniona przez organy władz wojskowych, naturalnie też mile widziane przez rząd z prezydentem Smetoną na czele (prezydent jest jej szefem). Ze względu na szczególną powagę i wpływy tej młodej skądinąd korporacji wziąłem udział w obchodzie jej 5-lecia i naturalnie, skoro już wziąłem udział, musiałem przemówić. Uroczystość odbyła się w wielkiej sali Klubu Oficerskiego „Ramovė”, z wielką pompą, ze sztandarami i delegacjami innych korporacji w barwach i uniformach, z udziałem prezydenta Smetony i licznego zespołu wysokich dygnitarzy wojskowości. Była i orkiestra, i chór własny korporacji. Przemawiał prezydent Smetona, ja (ze stanowiska akademickiego), szereg wojskowych. Charakterystyczne dla Smetony było jego przemówienie, bardzo odbiegające od tonu przemówień wojskowych, brzęczących bronią, odwołujących się li tylko do siły, do czynu zbrojnego, do czynnika potęgi w przeciwstawieniu do poniewieranych haseł humanizmu, pacyfizmu, solidaryzmu ludzkiego i międzynarodowego, nawet (przynajmniej domyślnie) prawa. Smetona zaś mówił właśnie o prawie, o Hugonie Grotiusie, twórcy prawa międzynarodowego, o współżyciu narodów lojalnym, opartym na prawie i sprawiedliwości, stwierdzając jeno nieuniknioną w obecnym ustroju międzynarodowym pomocniczą i ostateczną rolę czynnika siły zbrojnej tam, gdzie prawo zawodzi i gdzie gwałt je zastępuje, który słusznym jest odeprzeć przez gwałt („*vim vi repellere*”), albowiem inne argumenty tu już zwodzą. Prezydent Smetona jest bądź co bądź człowiekiem kultury, inteligentem typowym. Nie ma on w sobie nic z dyktatora wojennego i ideologa gwałtu.

Ceremonialność w tym obchodzie była taka sama, jak w innych. Nasza młodzież lubuje się w ceremoniale, etykiecie, dekoracji grandiosa.

26 października, rok 1937, wtorek

Pierwsze posiedzenie Komisji Pojednawczej Duńsko-Litewskiej (Commision Permanente de Conciliation Dano-Lithuanienne) został ostatecznie przez prezesa tejże, jonkheera Karnebeeka, ustalona na dzień 12 listopada na godzinę 10 rano w Pałacu Pokoju w Hadze. Wobec tego wyjadę z Kowna do Hagi zapewne 8 listopada wieczorem pociągiem pośpiesznym, żeby być w Hadze 9 listopada na noc i mieć dwa dni wolne przed posiedzeniem komisji. Chodzi bowiem o poczynienie wizyt i o nawiązanie kontaktu z moim kolegą z ramienia Litwy, Łotyszem Ozolinszem, sędzią i prezesem wydziału (czy departamentu) cywilnego w senacie łotewskim (sądzie kasacyjnym). Nęci mię też powałęsanie się swobodne po Hadze i Scheveningen, budzące we mnie miłe wspomnienia z roku 1932. Przypuszczam, że obecna sesja komisji długo nie potrwa, bo chodzi tylko o ustalenie procedury (względnie też o wyznaczenie stronom terminów dla kontrmemoriału strony pozwanej, repliki i dupliki). Na razie prezes Karnebeek zawiadomił, że strony na to pierwsze posiedzenie nie będą wzywane, bo ustalenie procedury należy do samej komisji, obecnie jednak zawiadomił mię dodatkowo, że zdecydował się jednak wezwać strony, aby dać im możność wypowiedzenia się co do procedury. Uprzedza też prezes, że członkom komisji udzielone zostaną do ich dyspozycji gabinety

w Pałacu Pokoju. Ciekaw jestem, który gabinet i z jakim widokiem wypadnie dla mnie. Lubiłbym otrzymać ten sam kochany nr 200, w którym tyle czasu w roku 1932 spędziłem.

Prezes tej Komisji jonkheer Karnebeek, jak z samego tytułu widać, jest Holendrem. Z ramienia Danii członkami komisji są Duńczyk i Francuz, z ramienia Litwy – ja i Łotysz Ozolinš. Drugim członkiem stałym Komisji z ramienia Litwy był (a pono i jest) Norweg (zdaje się – Lange), ale że w myśl konwencji litewsko-duńskiej każda strona może przy wyniknięciu sporu zmienić członka ze swego ramienia na inną osobę, więc Litwa, (za staraniem jej agenta, prof. Mandelsztama), mając powody do przypuszczenia, że Norweg w tej sprawie konkretnej nie będzie podzielał stanowiska Litwy i poprze tezę duńską, zastąpiła go przez Ozolinša.

Wybraliśmy się dziś całym domem – ja, Jadzia i obie dziewczynki, Renia i Stenia – do teatru na operę. Chciałem pokazać operę Steni, która nigdy w życiu tego widowiska nie widziała. Grano „Fausta”. Bilety dostaliśmy w I rzędzie – nie bardzo rad z tego byłem (bo i kosztowało słono). Wieczór na operze spędziliśmy przyjemnie. Dziewczynki były zachwycone. Stenia robiła obserwacje naiwne, a Mefistofalesa szczerze nienawidziła. Miłe z niej i wrażliwe a niegłupie wcale dziecko, mimo że ma wiele wad po ojcu i w szczególności naukę zaniedbuje i nic sobie z tego nie robi, bo lekkomyślna jest bardzo. Ale jest w niej świeżość i natura artystyczna, trochę cygańska.

27 października, rok 1937, środa

Z Sejmu przysłano mi dziś projekt statutu uniwersyteckiego w redakcji, przyjętej przez komisję sejmową. Przysyła prezes komisji sejmowej „dla zapoznania się” („susipažinti” – czy tylko w celach informacyjnych? Czy może dla zasięgnięcia opinii mojej – dla wysłuchania uwag rektora?). W szczegóły na razie się nie wdaję – projekt w redakcji komisji jest w istocie taki sam, jak w redakcji projektu rządowego. Zapewne wypadnie mi jeszcze raz ułożyć memorialik w uzupełnieniu do zgłoszonego już w roku poprzednim do tegoż projektu. Chcę jednak podnieść tu jedną rzecz charakterystyczną. W ostatnich czasach cała walka o ten projekt skupiła się zwłaszcza na jednym punkcie – na kwestii sekcji filozoficznej na Wydziale Teologii. Walka toczyła się między rządem a duchowieństwem. Stanowisko rządu, dążące do negowania tej sekcji, było w tym względzie popierane przez większość społeczeństwa, nie wyłączając całej opozycji lewicowej, która skądinąd jest tej „reformie” statutu w ogóle przeciwna, i przez cały uniwersytet (za wyjątkiem tylko teologów). I oto w projekcie, nadesłanym z komisji sejmowej, sekcja filozoficzna na Wydziale Teologii odżyła. Okazało się, że nie zdołano się oprzeć presji kleru. Wobec tego stwierdzić należy, że rząd się był zabrał do rzeczy bardzo nieumiejętnie. Projektując reformę statutu, która w tym względzie miała jeno utrzymać to, co już w obecnym było, bo i obecny statut takiej sekcji nie przewidywał, nie trzeba było na wiosnę podnosić wielkiego alarmu o przemycanie tej sekcji w praktyce, jeno zaczekać na uchwalenie nowego statutu, który w tym względzie byłby identyczny z istniejącym, i dopiero wtedy upomnieć się o zaniechanie praktyki przeciwnej. Tymczasem przez wszczęty alarm teolodzy i kler obejrzeli się, co się święci i zmobilizowali wszystkie swoje siły, aby w nowym projekcie sekcja taka była zastrzeżona. Projekt był dla nich drogą otwartą do odzyskania i zalegalizowania tego, co istniało w drodze kontrabandy. Nie upomnieliby się o to, gdyby w tej niewłaściwej porze nie wytknięto im kontrabandy. Gdy im ją wytknięto – potrafili użyć drogi nowego projektu rządowego, aby swoją kontrabandę ulegalizować. Siły zaś ich okazały się dość mocne na to. Zwyciężyli i zdobyli swoje, albowiem wątpię, aby plenum Sejmu uchyliło tę poprawkę komisji, zwłaszcza że już i rząd ustępuje i nie odważa się nalegać i formować swojego stanowiska poprzedniego.

Wieczorem u Żmujdzinowiczów zebrał się stary zarząd „Lietuvių Dailės Draugijos”, uśpionej od lat dziesięciu. Ten zarząd składają: Żmujdzinowicz z żoną, Jan Vileišis, prof. Žemaitis, dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych Šlapelė i ja. Jest tam nieład wielki w rachunkowości. Postanowiono odnowić legalizację Towarzystwa w myśl nowej ustawy o stowarzyszeniach i doprowadzić do uporządkowania sprawozdania i do uzdrowienia tej starej, zasłużonej w dziejach odrodzenia litewskiego instytucji.

28 października, rok 1937, czwartek

Rano miałem wykład bieżący u ekonomistów. W rektoracie miałem kilka posiedzeń, w szczególności w przedmiocie zapowiadającej się nowej wizyty gościa akademickiego zza granicy, mianowicie szwedzkiego profesora historii sztuki na uniwersytecie w Sztokholmie, prof. Roosvala. Z inicjatywą zaproszenia go wystąpił w depeszy, którą otrzymałem wczoraj, poseł litewski w Skandynawii, minister Sawicki. Prof. Roosval jedzie via Kowno z odczytami do Rygi i Tartu w tygodniu przyszłym. Podług zebranych o nim informacji z wydawnictw almanachowych takich, jak „Minerva" i „European Who's Who", uzupełnionych przez naszego lektora języka szwedzkiego, Sandberga (zastępca Felka na rok bieżący, ponieważ Felk dla doktoratu swego wyjechał na ten rok do Upsali), dowiedzieliśmy się, że prof. Roosval jest wybitnym znawcą historii sztuki nie tylko szwedzkiej, ale w ogóle północnej (skandynawskiej i bałtyckiej) i wielką powagą międzynarodową w tej dziedzinie. W Kownie zamierza wygłosić odczyt bardzo specjalny, ale mogący być bardzo interesującym, na temat: „Sentymentalizm proletariacki w sztuce szwedzkiej z epoki walk niepodległościowych w wieku (zdaje się) XV". Wykład ma być ilustrowany obrazami świetlnymi na ekranie. Wieczorem senat akademicki zaaprobował zaproszenie prof. Roosvala w imieniu uniwersytetu (chodziło bowiem o to, czy ma on być gościem uniwersytetu, czy tylko Wydziału Humanistycznego.

Po obiedzie byłem krótko na herbatce składkowej Towarzystwa Litewsko-Włoskiego. Zrobiłem tylko „*acte de présence*", wypiłem filiżankę kawy i wysłuchałem występów solistek Opery – panny Augaitytė i pani Zauniusowej. Od tańców uciekłem. Zabawił też krótko minister spraw zagranicznych Lozoraitis, z korpusu dyplomatycznego był oczywiście zastępca nieobecnego posła włoskiego poseł argentyński z żoną, Litwinką rodowitą, z którą tu się ożenił. Osób na herbatce było kilkadziesiąt, przeważnie z kół „Lietuvos Aidasu" i w ogóle narodowców, bo dla panującego we Włoszech faszyzmu koła lewicowe i w ogóle nasze opozycyjne nie garną się do kontaktu z Włochami.

Następnie miałem posiedzenie senatu akademickiego na uniwersytecie. Były znów wałkowane sprawy pewnych szczegółów w zmianie dyspozycji lokalów – sprawy to są bardzo nudne i dokuczliwe, bo lokale uniwersyteckie w stosunku do potrzeb licznych instytucji akademickich są bardzo ciasne i gdy tylko chodzi o jakiekolwiek rozszerzenie którejś z instytucji, której jest tak ciasno, że już wytrzymać nie może, to robi się wielki harmider, bo czegokolwiek się tylko dotknie, zaraz powstaje krzyk i protesty tych, których się ma zaczepić, aby coś od nich odebrać. W tych kwestiach jedyny znawca i autorytet jest prorektor Jodelė, który wszakże ma z tego tytułu dużo wrogów. Były też inne sprawy na posiedzeniu senatu, ale o nich już pisać nie mam ani miejsca ani czasu, jak to, niestety, często w dzienniku bywa.

29 października, rok 1937, piątek

Rano wyjechała, jak co roku na Wszystkich Świętych, do Bohdaniszek Jadzia. Odprowadziłem ją na stację kolejową. Wiezie też do Bohdaniszek młodego łabędzia, urodzonego w tym roku w Ogrodzie Botanicznym na Fredzie. Otrzymałem go od prof. Regela, kierownika Ogrodu Botanicznego. Ile będzie kosztował – nie wiadomo jeszcze. Miałem przyrzeczoną parkę, ale z siedmiu jaj wykłuły się tylko dwa pisklęta, z których jedno matka zacisnęła. Zostało tylko jedno. Na razie przez zimę mój łabędź będzie mieszkał w ptaszniku, gdzie będzie miał swój lokal, odgrodzony siatką drucianą. Na wiosnę wypuszczę go na sadzawkę przy domu, którą ogrodzę. Z czasem postaram się dlań o towarzysza czy towarzyszkę, bo jeszcze niewiadoma jest płeć mojego ptaka.

Był u mnie Hektor Komorowski ze swą kuzynką panią Renią Komorowską ze Skrobiszek i jej bratem Leonem (Lorenem) Komorowskim. Naturalnie – nie ma karesu bez interesu: przywykłem do tego. Jak przycisnęła bieda, to przyszli „na radę", a zapewne w nadziei, ze może się uda moja „protekcja". Chodzi o to, że Leon Komorowski, który ukończył studia handlowe w Belgii, mieszka w Warszawie, gdzie ma jakąś posadę w banku. Jest żonaty. Formalnie jednak kontaktu z Litwą nie

zrywa, bo ma tu własność, na której dzielnie gospodarzy siostra. Jeździ więc do Polski za paszportem litewskim, który odnawia regularnie. Oto i teraz przyjechał i miał wyjechać znowu, ale... nie może dostać paszportu zagranicznego (wizy wyjazdowej litewskiej). Był w tej sprawie u ministra spraw wewnętrznych Čaplikasa, ale niewiele wskórał. Stosunki między Polską a Litwa są tak w tej chwili zaognione (areszt i proces Stašysa w Wilnie, akcja władz polskich przeciwko organizacjom litewskim, nagonka na Litwę w prasie polskiej, wielki krzyk w Polsce o prześladowanie Polaków w Litwie, polityka Becka, traktująca Litwę pogardliwie i wrogo), że o ulgach w jeżdżeniu Polaków litewskich do Polski nie ma mowy. Zresztą Čaplikas zgadza się na wydanie Leonowi Komorowskiemu wizy wyjazdowej, ale tylko w takim razie, jeżeli Komorowski złoży oświadczenie, ze wyjeżdża na zawsze i nie wróci. Zapewne byłoby to przyjęte za zrzeczenie się obywatelstwa litewskiego. Gdy sam minister odmówił – ja na to nic poradzić i pomóc nie mogę, tym bardziej, że tu wchodzą w grę względy polityczne. Siedzieli u mnie długo, biedowali, kombinowali, rozważali, co robić. Hektor radził drapnąć przez zieloną granicę bez żadnych wiz i formalności, ale Leon Komorowski boi się i nie odważa. Ostatecznie wyszli. Leon Komorowski bodajże się decyduje na złożenie oświadczenia o wyjeździe bezpowrotnym, licząc zresztą, że może potem to się da cofnąć jakoś. Zostawił tam żonę w ciąży i musi jechać. A zresztą ta posada w Warszawie – to jego źródło utrzymania.

30 października, rok 1937, sobota

Dzień miałem spokojny. W rektoracie miałem tylko dosyć długie posiedzenie komisji, zwołanej dla ustalenia programu przyjęcia prof. Roosvala ze Sztokholmu. Komisję składają sekretarz uniwersytetu prof. Blažys, dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewicz, profesor historii sztuki Galaunė i lektor języka szwedzkiego Sandberg. Oprócz tego przydzielony będzie do prof. Roosvala w charakterze asystenta Purėnas. Na program złoży się zapewne śniadanie u posła szwedzkiego Westringa, zwiedzanie Muzeum Witolda, kolacja akademicka (czwartek), nazajutrz zaś wycieczka prof. Roosvala z Galaunią do Sapieżyszek (Zapyškis) nad Niemnem, gdzie jest najstarszy kościołek litewski, śniadanie prywatne, wykład akademicki prof. Roosvala i herbatka Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego.

Musiałem się też zająć skompletowaniem delegacji litewskiej na III konferencję regionalną bałtycką narodowych komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej, która ma się w przyszłym tygodniu odbyć w Helsinkach i w której, oprócz komisji bałtyckich (litewskiej, łotewskiej, estońskiej i fińskiej), mają także wziąć udział delegaci komisji skandynawskich (szwedzkiej, norweskiej i duńskiej). Z ramienia komisji litewskiej jedzie na tę konferencję sekretarz generalny naszej komisji Trimakas i miał jechać prof. Jonynas; Jonynas wszakże zachorował, trzeba przeto znaleźć innego delegata z profesury, aby skład delegacji litewskiej miał należytą powagę. Chciałem prosić Pakštasa, ale go nie ma, prosiłem Žemaitisa – nie może, ale przyrzekł uprosić Tadeusza Iwanowskiego.

W domu dużo i dobrze pracowałem. Nudną i dość uciążliwą robotę stanowi ponowne uzupełniające układanie zastrzeżeń, które mam przesłać komisji sejmowej w przedmiocie projektu statutu uniwersyteckiego. Wątpię, żeby to poskutkowało, ale trzeba to zrobić ze względu na obowiązek rektorski.

31 października, rok 1937, niedziela

Nie miałem żadnego interesu w mieście, żadnej uroczystości, posiedzenia i reprezentacji. Wolna niedziela. Toteż siedziałem w domu i odbywałem moją zwyczajną pracę domową, której program dzienny jest zawsze obfity, a w tej chwili jeszcze dodatkowo obciążony śpiesznym ułożeniem komentarzy i zastrzeżeń do nadesłanego mi z komisji sejmowej projektu statutu uniwersyteckiego. Wyszedłem z domu tylko o godzinie czwartej z dziewczynkami, Renią Bagdonasówną i Stenią Römerówną, którym kupiłem na święta łakoci (figi, czekolada, marmeladki) i zaprowadziłem do kawiarni „Monika". Siedziały tam moje panny w niezwykłym dla nich dekorum

publiczności kawiarnianej i całego urządzenia wielkiej kawiarni (świateł, szkieł, ścian malowanych, stolików, aquarium etc.), piły czekoladę z ciastkami, potem przez słomkę (nowa dla nich sensacja!) piły oranżadę, słuchały muzykę (orkiestrę) i bawiły się dobrze. Niewiele im trzeba! Co nowe i niezwykłe – to je bawi. A że są dziewczynkami – to lubią wszystko, co jaskrawe, co świeci, rusza się, mieni. Dziewczynki – to poniekąd stworzenia pośrednie między małpą a mężczyzną. A z dwóch tych dziewczynek bardziej „dziewczynkowa" jest niewątpliwie Stenia, która ma po ojcu naturę artystyczną. Renia jest bardziej sensatką, bardziej praktyczną, więcej ma męskości. Potem zaszedłem jeszcze do uniwersytetu telefonować z mojego gabinetu.

W pracach moich domowych niedawno ukończyłem jedną większą: studium o konstytucji sowieckiej nowej z roku 1936, która mi zimą obstalowała redakcja „Kultury". Obstalowała jako artykuł do miesięcznika, ale praca się rozrosła w całe studium, które, odbite na maszynce (na maszynce mi je przepisał Andrzej Mieczkowski w Bohdaniszkach) wynosi 70 stron arkuszowych. Z pracy tej jestem rad. Studium to obejmuje całą społeczno-konstytucyjną ewolucję Sowietów, której wnioskiem bardzo logicznym jest ta „stalinowska" konstytucja z roku 1936. Pracę te prześlę do redakcji „Kultury", bo jest ona owocem ich obstalunku, ale nie wiem, czy „Kultura" będzie mogła i jak ją zużytkować. Gdyby nie mogła – wydam ją w wydawnictwie Wydziału Prawniczego albo ewentualnie sam osobiście.

1 listopada, rok 1937, poniedziałek

Nic szczególnego do zanotowania z dnia dzisiejszego nie mam. Wychodziłem z domu tylko z dziewczynkami – Renią i Stenią – na obiad do Pienocentrasu, gdzie spotkaliśmy Diskina. Po obiedzie zaszliśmy jeszcze do kawiarni Konrada i na tym „ekskursja" na miasto się skończyła. Poza tym pracowałem w domu. Wzywałem tylko prorektora Purėnasa dla poradzenia się w sprawie pewnych punktów memoriału do projektu statutu, i Żakiewicza – w sprawie załatwienia w Ministerium Spraw Zagranicznych wypłaty honorarium dla prof. Mestre'a za rękopisy jego odczytów kowieńskich, które już nadesłał. Miałem też trzech studentów Żydów (jednego studenta i dwie studentki) do egzaminu. Jedna ze studentek – Asia Szwelbaitė – wprost rozpaczliwie zdawała – nie umiała i nie rozumiała nic zgoła, nie wiem, po co przyszła. Naturalnie że nie zdała, choć targowała się do upadłego, bo egzamin ten był jej potrzebny do minimum.

2 listopada, rok 1937, wtorek

Dzień Zaduszny. Nie chodzę nigdy na cmentarz, ani w dzień zaduszny, ani w ogóle. Nie lubię cmentarzy i grobów. Ludzi, którzy umarli, lubię nie w ich zwłokach, jeno w ich pamięci, żyjącej w umysłach i sercach ludzkich. Tylko w swoim czasie dla Aninki robiłem wyjątek. Obrządków zadusznych nie widziałem nigdy. W Kownie są one jednak bardzo praktykowane i należą do folkloru lokalnego. W dniu tym wielki cmentarz się roi od ludzi i wieczorem groby, ozdobione kwiatami, jarzą się światłem lampek i świeczek. Wiem o tym tylko z opowiadania i z łuny, którą widywałem w tym dniu nad cmentarzem.

Zaniosłem dziś do ministra Tonkunasa mój nowy memoriał uwag do projektu statutu uniwersyteckiego. Mała nadzieja na to, żeby poskutkował czy nawet wyszedł poza ręce ministra. Komisja sejmowa już nawet nie może go rozpoznawać, bo projekt statutu już został przekazany do plenum. We czwartek wpłynie on na rozprawy plenum. Tonkunas nie wyklucza ewentualności odrzucenia projektu statutu przez plenum Sejmu z powodu wpisania przez komisję sekcji filozoficznej na Wydziale Teologiczno-Filozoficznym, przeciwko której minister był się wypowiedział w imieniu rządu. Jeżeli projekt będzie odrzucony, to tylko w redakcji obecnej; wpłynie on ponownie, ale już tylko w następnej sesji. A gdyby projekt w obecnej redakcji został przyjęty, to Tonkunas zdecydowany jest interpretować tę sekcję filozoficzną u teologów bardzo restrykcyjnie jako ściśle i wyłącznie filozoficzną, analogiczną do sekcji filozoficznej u humanistów. Będzie to więc źródłem nowych tarć między rządem a teologami i klerem i nowych kwasów wewnątrz uniwersytetu, bo teolodzy będą usiłowali interpretować tę sekcję tak, jak ją organizowali dotąd,

obejmując nią i historię, i literaturę, i pedagogię, i nawet filologię, to znaczy tworząc z niej cały katolicki wydział humanistyczny.

3 listopada, rok 1937, środa

Byłem dziś wezwany do ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa dla krótkiego pomówienia o dezyderatach naszego rządu w sprawie sporu duńsko-litewskiego, którą ma w przyszłym tygodniu w Hadze rozpoznawać nasza komisja koncyliacji. Sam prosiłem ministra, aby mi w tej kwestii audiencję wyznaczył. Chodzi mi nie tyle o merytoryczne traktowanie sprawy przez rząd litewski, bo to będzie wobec komisji przedstawiane i uzasadniane przez agenta Litwy, p. Mandelsztama, ile o wytyczną – czy mianowicie rząd litewski chciałby utrzymać sprawę, ile możności, w ramach formalnych zagadnienia ściśle prawnego, czy też skłonny jest do jej traktowania kompromisowego. Oczywiście nie będzie to zależało wyłącznie od życzenia rządu litewskiego czy nawet członków komisji z ramienia Litwy, ale chodzi mi o zorientowanie się co do życzeń Litwy dla uzgodnienia z nimi moich usiłowań w komisji. Z rozmowy z Lozoraitisem odniosłem wrażenie, że Litwa wolałaby utrzymać sprawę na gruncie ściśle prawnym. Nie dziwię się temu, bo ten grunt jest dla tezy litewskiej w tym sporze dogodniejszy. Przewiduję jednak, że prezes komisji, p. jonkheer van Karnebeek, będzie dążył do kompromisu takiego, w którym byłoby wykluczona stuprocentowa satysfakcja jednej strony, a więc stuprocentowa porażka drugiej. Zresztą to się pokaże, bo skądinąd p. Karnebeeka nie znam osobiście i nic o nim nie wiem.

4 listopada, rok 1937, czwartek

Przyjechał prof. Roosval, Szwed, profesor uniwersytetu w Sztokholmie, wybitny historyk sztuki. Poznałem go na śniadaniu u posła szwedzkiego p. Westringa. Sprawia bardzo miłe wrażenie. Mówi bardzo dobrze po francusku, po niemiecku (jest zresztą doktorem Uniwersytetu Berlińskiego), po angielsku. Jest w wieku moim (o rok starszy). Jest zrównoważony, spokojny, ale „fiu”. Czuć w nim wysoką kulturę, subtelność, szczerość. Wieczorem odbyła się dlań kolacja akademicka w restauracji „Pažangi”, w której wzięli udział oprócz mnie, jako rektora i przeto gospodarza, i oprócz gościa, prof. Roosvala, poseł szwedzki Westring, prorektor Purėnas, dziekan Wydziału Prawniczego Janulaitis, prof. Pakštas, który jest prezesem Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego, prof. Augustaitis w zastępstwie dziekana Wydziału Humanistycznego, prof. Galaunė, z młodszego personelu naukowego Purėnas, Baltrušaitis, lektor języka szwedzkiego Sandberg... Miałem przygotowaną mówkę do Roosvala i drugą mniejszą do Westringa. Nie bardzo mi się pierwsza udała, bo się raz zaciąłem i przeto nieco speszyłem, tak że pod koniec powiązałem tylko kilka fragmentów przemówienia, dużo opuściłem i na tym zakończyłem. Drugą mówkę, jeszcze krótszą, wypowiedziałem gładziej. Odpowiadał Roosval i Westring.

Sejm przyjął projekt statutu uniwersyteckiego. Reforma, która narobiła względnie dużo hałasu (względnie, bo u nas na wielki hałas nie ma miejsca), staje się ciałem. Sekcja filozoficzna na Wydziale Teologicznym została przyjęta. Ale będzie jeszcze wielka i ciężka walka w łonie uniwersytetu o istotę i treść tej sekcji. Minister Tonkunas interpretuje ją jako ściśle i li tylko filozoficzną w najwęższym znaczeniu, nie wykraczającą ani o jotę poza zakres analogicznej sekcji na Wydziale Humanistycznym. Teolodzy natomiast traktują ją jako restaurację tej sekcji, którą byli rozwinęli do poziomu konkurencyjnego katolickiego wydziału humanistycznego, obejmującą prócz filozofii historię, literaturę, pedagogię i nawet filologię, jako szereg gałęzi. Wydziały świeckie uniwersytetu poprą bezwzględnie interpretację restrykcyjną, teolodzy będą usiłowali przeforsować swoją linię. Przewiduję ostrą i przykrą walkę, która się zapewne skoncentruje na regulaminie wydziału.

5 listopada, rok 1937, piątek

Dania mobilizuje swoje siły do sporu z Litwą w komisji koncyliacyjnej. Otrzymałem list z sekretariatu Trybunału Arbitrażu w Hadze, obsługującego komisję, z zawiadomieniem, że Dania

mianowała drugiego agenta do popierania w komisji swej sprawy – profesora prawa międzynarodowego w Genewie p. Senser-Halla (nic o nim nie wiem). Pierwszym agentem Danii jest p. Hoest (także nie wiem, kto on). Litwa poprzestaje na jednym agencie – prof. Mandelsztamie, który zresztą będzie miał do pomocy dwóch „adwokatów" – prof. Tadeusza Pietkiewicza i Dominika Kriwickiego.

Drugi i ostatni dzień wizyty prof. Roosvala. Rano jeździł on w towarzystwie Galaunė, Baltrušaitisa i Purėnasa do Sapieżyszek (Zapyškis), gdzie oglądał archaiczny kościołek, jeden z najstarszych ciekawy zabytek architektury w kraju. O godzinie czwartej po obiedzie odbył się odczyt prof. Roosvala na uniwersytecie na temat: „Sentymentalność proletariacka w sztuce szwedzkiej w początkach wieku XV w okresie wojen o wyzwolenie". Odczyt był wygłoszony po niemiecku, ilustrowany obrazami świetlnymi. Ciekawy był i ładny. Dotyczył przeważnie traktowania figury Chrystusa w rzeźbie ówczesnej szwedzkiej, także w pasji i w pietà. Można by rzec, że był to odczyt „bezbożny", bo uwydatniał tę prawdę, że Bóg jest tworzony na modłę uczuć i aspiracji ludzkich, które go tworzyły. To znaczy – nie Bóg tworzył ludzi, lecz ludzie go tworzyli. Chrystus ruchów wyzwoleńczych ludowych w omawianym okresie historii Szwecji, zresztą bliźniaczo podobny do znanych litewskich i żmudzkich „smutkelisów", które u nas dotrwały do dziś (podług teorii Baltrušaitisa, ten naiwny zbiedzony Chrystus współczesnych „smutkelisów" litewskich, który w innych krajach dawno zginął, przechował się wiernie u nas dlatego, że psychika litewska w dobie przyjęcia chrześcijaństwa została tak zafrasowana tą wyrazistością prymitywu w tym Chrystusie, że przechowała to wrażenie dotąd i w tym archaizmie formy chrześcijańskiej w ludowej litewskiej rzeźby religijnej jest jej wielka swoistość – smutkelisy litewskie przechowały Chrystusa średniowiecznego) – otóż ten Chrystus ruchów wyzwoleńczych szwedzkich, w których się wyrażał pierwiastek bezpośredni ludowy, jest uosobieniem nędzy, zbiedzenia, ubóstwa i prostoty człowieka naiwnego z ludu, człowieka cierpiącego, nieszczęśliwego, zmęczonego. Z Chrystusem ludowym tej epoki Roosval zestawił Chrystusa sprzed lat kilkudziesięciu, które poprzedziły te ruchy, gdzie Chrystus jest eleganckim kawalerem rycerskim, arystokratą romantycznym, który nawet swoją ranę przebitego boku pokazuje eleganckim pełnym gracji ruchem ręki, jako że rana była przedmiotem chluby rycerskiej. Innym znów jest Chrystus triumfujący z epoki późniejszej, Chrystus zwycięzca lub Chrystus-atleta, Chrystus pan królewski imponujący; nawet Chrystus rozpięty na krzyżu z epoki triumfującej jest Chrystusem dumnym i pańskim, który zwyciężył śmierć i z pogardą umiera jako pogromca wrogów, którzy go umęczyli. Każda epoka miała i tworzyła swojego Chrystusa.

O godzinie szóstej była jeszcze skromna herbatka Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego w liczbie kilkunastu osób. Następnie prof. Roosval wyjechał do Rygi.

6 listopada, rok 1937, sobota

Wczoraj wieczorem wróciła z Bohdaniszek Jadźka. Wróciła w doskonałym humorze i bardzo serdeczna. Posadziła w Bohdaniszkach drzewka, zarżnęła i powędziła gęsi na półgęski, popłaciła należności i zasługi, zarządziła, co należy, w oborze, chlewach, ptaszniku etc., nagadała się z Elwirą i Marynią...

Wybieram się już do Hagi. Obstalowałem już bilet kolejowy, w Ministerium Spraw Zagranicznych wziąłem paszport i awans w sumie 3000 litów, załatwiłem terminowe interesy przed wyjazdem.

Po obiedzie w lokalu restauracyjnym Klubu Wojennego „Karininkų Ramovė" odbyła się herbatka, urządzona przez „Towarzystwo zbliżenia się kulturalnego z narodami SSSR" z okazji 20-tej rocznicy Sowietów, która jest obchodzona jutro. Poselstwo sowieckie w Kownie urządza jutro wieczorem wielki raut, na którym jednak nie będę, bo przed wyjazdem chcę pozostać z Jadźką. Napiszę tylko słówko powinszowania serdecznego do posła sowieckiego. Na herbatce dzisiejszej były tłumy gości tak ze sfery rządu, jak działaczy społecznych, profesury, artystów, dziennikarzy itp. Z mową w połowie po litewsku i w połowie po rosyjsku wystąpił prezes towarzystwa prof. Krėvė-

Mickiewicz, na którą odpowiedział zastępca posła sowieckiego Pozdniakow. Były też deklamacje, śpiew solistek Opery, fortepian. Potem już były tańce.

Moje studium o konstytucji sowieckiej przyjęte zostało do miesięcznika „Kultury”. Redaktor tego miesięcznika przyrzekł mi dać 50 odbitek tej pracy po wydrukowaniu jej w miesięczniku. Będzie drukowana przez trzy numery pisma. W kronice „Lietuvos Žinios” zapowiedziano już dziś ukazanie się tej pracy.

Na uniwersytecie mieliśmy dziś posiedzenie zarządu akademickiego (ja, obaj prorektorowie i sekretarz prof. Blažys) z udziałem dziekana Wydziału Prawniczego prof. Janulaitisa. Chodziło o rzecz przykrą. Profesorem honorowym jest były dziekan Wydziału Wrawniczego Piotr Leonas, który od lat kilku z powodu przekroczenia granicy wieku i nieprzedłużenia mu terminu usunął się z profesury. W roku ubiegłym za wiedzą i zgodą wydziału wygłosił on kurs wykładów socjologii. Był to kurs nieobowiązujący. W tym roku akademickim sekcja ekonomiczna wydziału wcieliła socjologię do programu i kurs wykładów Leonasa został ogłoszony za obowiązkowy. Obecnie minister Tonkunas zwrócił na to uwagę i podniósł rezerwę co do prawa wykładania akademickiego przez profesora honorowego, albowiem statut nie zalicza profesorów honorowych do personelu nauczającego akademickiego. Rzecz tę minister na razie skierował do rozważenia poufnego przez rektora, ale potem zamierza reagować oficjalnie. Leonas jest opozycjonistą i w wystąpieniach swoich zalewa rządowi sadła za skórę. Toteż jest u rządu *persona non grata*. Formalnie jednak kursu obowiązującego wykładać z pewnością nie może, zwłaszcza po przekroczeniu granicy wieku, dla której w myśl statutu przerwana zostaje działalność akademicka profesora.

W sprawie Leonasa będzie konferował z ministrem po moim wyjeździe mój zastępca prorektor Purėnas wraz z Janulaitisem. Sprawa jest niewątpliwie nieprzyjemna.

7 listopada, rok 1937, niedziela

Ostatni dzień przed wyjazdem do Hagi. Jak długo tam będę – nie wiem. Spodziewam się, że na razie to potrwa krótko, ale Bóg raczy wiedzieć. Miło mi pojechać do Hagi, miło odświeżyć wspomnienia z roku 1932, ale sprawy samej trochę się boję. Dania jest państwem ustosunkowanym, mądrym, kupieckim, umiejącym zmobilizować potrzebne jej na swą obronę czynniki...

Dzień poświęciłem domowi. Z rana nie wychodziłem. Na obiad, na indyka, którego z Bohdaniszek przywiozła Jadzia, a także na sarninę zimną, która pozostała z obiadu wczorajszego i wraz z półgęskiem bohdaniskim poszła dziś na przekąskę do wódki, zaprosiłem Jana Zemana i Feliksa Mackusa (sarninę miałem od Gudowicza, który w dniu Wszystkich Świętych upolował sarnę).

Po obiedzie byłem z Jadźką na mieście. Odbyliśmy przechadzkę i zaszliśmy do kawiarni. Harmonia i serdeczność jest między nami z Jadźką w tych paru dniach między jej Bohdaniszkami a moją Hagą – doskonała. Jak by to było miło i rozkosznie, gdybym był mógł ją ze sobą zabrać do Hagi. Konwenanse dyplomatyczne nie pozwalają na to.

8 listopada, rok 1937, poniedziałek

Wyjazd do Hagi. W domu już żadnej bieżącej pracy nie robiłem, przerwałem już ją, bo dzień dzisiejszy zaliczam już do dni podróży. Miałem jednak roboty na mieście. W konsulacie francuskim zaświadczyłem notarialnie zrzeczenie się Stefana Römera praw do spadku Maryni, które wraz z dwiema metrykami ślubnymi Maryni wyślę zaraz z Hagi do Ewy Meyerowej, aby mogła podjąć kapitał spadkowy w Wilnie, pochodzący ze sprzedaży kamienicy. Potem z Jadźką chodziłem do biura podróży Coocka, w którym opłaciłem i wziąłem mój bilet kolejowy do Hagi i z powrotem. II klasą tam i z powrotem (w ramach terminu dwumiesięcznego), wliczając w to jeszcze miejsce w wagonie sypialnym z Kowna do Berlina – 263 lity. Bajecznie tanio! Po prostu za bezcen. Jeszcześmy zaszli na czekoladę do „Moniki”, po czym udałem się na ostatnie urzędowanie rektorskie na uniwersytecie. Miałem tam jeszcze wizytę burmistrza Merkysa i Wacława Sidzikowskiego, którzy przyszli poradzić się ze mną w sprawie swojego projektu sądu administracyjnego z ramienia komisji sejmowej. Projekt

ten, który polecam moim asystentom Konstantemu Raczkowskiemu i Feliksowi Mackusowi przetłumaczyć na francuski, wyślemy w tłumaczeniu profesorowi Mestre'owi do zaopiniowania.

Po obiedzie w domu Jadzia spakowała moje rzeczy i przed godziną piątą pojechaliśmy z nią na dworzec kolejowy. Choć czeka mię tam w Hadze praca w tej komisji koncyliacji duńsko-litewskiej i nie jestem pewny, czy dobrze dam sobie tam radę i czy podołam zadaniu, toteż boję się trochę tej pracy i mam tremę, ale cieszę się z jazdy i miło mi wrócić do Hagi kochanej, jednak skądinąd i rozstawać się z Jadzią smutno. Niestety – dlaczegoż jej ze sobą wziąć nie mogę. Na dworzec odprowadzić mię przyszedł też Mackus i Inncjen, którzy mię interpelowali o terminie wyjazdu; mówiłem, że wyjeżdżam jutro, bo nie lubię, żeby wiedziano, kiedy wyjeżdżam: odprowadzania formalnego nie lubię, i oprócz tej na ostatni dzień zawsze się tłoczą interesanci; zmyleni – poczekają. Ale oto i odejście pociągu: Jadźka miała łzy w oczach. Do widzenia, pa! Odjechałem. Wierzbołów-Eytkuny. Granica niemiecka. Wszystko w porządku. Prusy Wschodnie, noc. Za Królewcem o jedenastej kładę się spać.

9 listopada, rok 1937, wtorek

Noc w wagonie sypialnym źle spędziłem. Męczył mię kaszel ciężki, powtórzył się też dotkliwy ból reumatyczny w lewym ramieniu, który miałem na św. Michał. Zdaje się, że się przeziębiłem w Królewcu, patrząc dosyć długo bez koszuli przez otwarte okno. W listopadzie to jest niebezpieczne. Pociąg przyszedł do Berlina o godzinie siódmej rano. Wysiadłem na banhofie Friedrichstrasse. O dziewiątej z minutami jest pociąg na Bentheim na granicę holenderską. W Berlinie tylko wypiłem śniadanie, napisałem i wysłałem kilka pocztówek i już się wybrałem na peron. Berlin nigdy mię nie nęci. Nie cierpię tego miasta. Jest on etapem koniecznym w drodze na zachód, ale nie jest dla mnie nigdy celem, nawet celem pośrednim. Poczułem się już szczęśliwy w wagonie, idącym wprost do Holandii. Do Holandii czuję taką sympatię, wydaje mi się ona taka swojska i kochana, jak żebym prawie do ojczyzny jechał. O ile Niemcy z ich swastyką hitlerowską są dla mnie antypatyczne, o tyle Holandia mię pociąga i cieszy. W pociągu czas mi dosyć prędko schodził. Miałem naprzeciwko siebie parę zabawną dwóch Niemców, z których jeden chudy bez ustanku coś opowiadał i tłumaczył drugiemu, grubemu, który z mimiką niezmiernie komiczną potakiwał: „ja, ja!" „aber natürlich!" „eben, eben!" „ganz gewitzt!" „selbstverständlich" itd. i głową kiwał, i oczy wznosił do góry, i wyrażał najgłębsze przekonanie, jak gdyby w gawędziarstwie towarzysza mieściły się najgłębsze rewelacje. Przed Hanowerem jadłem obiad w wagonie restauracyjnym. Senność mię jednak często ogarniała, a wieczorem w Hadze, idąc spać, stwierdziłem znaczną obrzękłość nóg – widocznie więc źle mi jest. Dzień był przeważnie słotny, deszcz, mgła, ale przed granicą holenderską wypogodziło się i słońce piękne zabłysło. Do Holandii wjechaliśmy koło czwartej. Oto Odendaal, Lieventer, migają światełka i niewyraźne kontury miasteczek i lasków holenderskich, noc staje się coraz ciemniejsza. Apeldoorn, Amersfoort, Utrecht. Gdzieś wypijam filiżankę kawy, zjadam buterbrod na świeżutkiej pulchnej bułeczce z doskonałą szynką, gdzieś kupuję winogron, pudełeczko „Rademaker's hopjes". Zbliżamy się do Hagi. Serce mi bije, wrażenie – wielkie. Przyjeżdżamy i oto jestem w Hadze. Nie śnię. To jawa. Biorę taksi, jadę do hotelu „Vieux Doelen". Haga pełna ruchu wieczornego, pędzą automobile, tramwaje, reklamy świetlne i kolorowe, z boku kanał, na prawo wielkie ciemne pole, na którym śpią stada saren, jeleni, antylop, przejeżdżamy most, poznaję najbliższe okolice Vieux Doelen i oto zajeżdżamy przed hotel. Wchodzę. Wszystko, jak przed pięciu laty, znane, swojskie. Tylko z ludzi ze służby nikogo nie znajduję znajomego. Prawie cały hotel zajęty przez jakąś delegację niemiecką. Wolnego numeru z pojedynczym łóżkiem i bez wanny – nie ma. Muszę wziąć pokój o dwóch łóżkach i z wanną, może za parę dni oswobodzi się inny. Ale względnie niedrogo. W roku 1932 za pokój o jednym łóżku z wanną na II piętrze (licząc po europejsku) płaciłem 10 guldenów, co wynosiło podług ówczesnego 40 litów na nasze pieniądze. Teraz pokój z wanną na dwa łóżka na I piętrze i ze śniadaniem rannym – 8 guldenów, podług obecnego kursu ± 26 litów. Pokój mam śliczny i stylowy „vieux doelenowski": foteliki stylu Ludwika XVI białe, obite aksamitem ciemnozielonym, biureczko, piękny parawan u łóżka, stół

nakryty kapą zieloną, mały stoliczek okrągły z wielkim miękkim fotelem kiejfu, podłoga, zasłana pięknym dywanem, kanapy piękne z abażurem i alabaster przeświecający pod lampą wiszącą, na ścianach obrazy szkoły flamandzkiej w bogatych ramach złoconych, sztychy oprawione, okno zasłonięte ciężką zasuwaną portierą pluszową czerwoną z galonowym obramieniem złoconym, kominek z lustrem dużym, toaletka do czesania się i kosmetyki z lustrem z trzech części, szafy ścienne na ubranie i na drobne rzeczy, lustro z jednej ze ścian rozsuwanych szafy ściennej, w drugim pokoju wanna, stół, umywalnia, a oprócz tego pokoik z pi-pi. Rozkosznie i echt „Vieux Doelen”. Pokój cichy, okno na dziedzińczyk ze sztuczną sadzawką, porosłą winoroślami i sztucznymi górkami, posypanymi kamieniem i porosłymi krzewami dekoracyjnymi. Jakżeby się cieszyła Jadźka, gdyby tu ze mną była. Nie wychodziłem już na miasto. Kazałem sobie dać herbaty z winem, pisałem listy, dziennik i cieszyłem się kochanym hotelem w samotnym uczuciu obcowania z czymś drogim, w czym jakby odzyskałem cząstkę samego siebie, zmaterializowaną w tym hotelu z przeżyć sprawy kłajpedzkiej przed pięciu laty. I Haga, i Vieux Doelen mają równą atrakcję dla mnie.

10 listopada, rok 1937, środa

Dzień poświęciłem Hadze. Jest to jeszcze dzień całkowicie wolny – mój własny prywatny. Od jutra zacznie się wciąganie stopniowe w rygor urzędowania. Jutro będzie dopiero dzień wizyt formalnych i może pierwszych kontaktów, pozajutro – pierwsze posiedzenie komisji, inauguracji pracy rzeczowej. Dziś nie znam jeszcze nikogo, jestem tylko Michałem Römerem bez żadnego stanowiska i funkcji. Odnawiam mój kontakt osobisty z Hagą. Niewiele mi potrzeba. Nie szukam ani rozrywek szczególnych, ani osobliwości. Wrażenia przeżywam w sobie. Materialnie nie ma żadnych godnych uwagi i notowania faktów: chodziłem po kilku ulicach bliższych i dobrze mi znanych, byłem na poczcie dla kupienia marek pocztowych i ekspedycji listów, byłem w paru sklepach, które znam z poprzedniego pobytu, mianowicie w sklepie bielizny Broermana, w sklepie owocowym, w pięknej cukierni Krula, zaglądałem do pełnej ptactwa wodnego sadzawki Gevangenpoort, przeszedłem się przed białym pałacem Królowej, przejechałem się tramwajem nr 8 do Scheveningen, który przechodzi przed Pałacem Pokoju... Oto i wszystko z dziedziny „faktów” materialnych. Śniadanie ranne i lunch jadłem w restauracji hotelowej Vieux Doelen. Wieczór spędziłem u siebie w pokoju. Zdawałoby się, że wszystko tak powszednie, równe, banalne, jak mogłoby być równie dobrze w Kłajpedzie i w Rakiszkach. A jednak wrażeń przeżytych mam całe mnóstwo. Należę bowiem do samotników, którzy wrażenia tworzą w sobie, w swoich przeżyciach psychicznych, nie w ilości i potędze faktów materialnych. Malutkie fakty, jak widok znanej mi ze wspomnień ulicy, magazynu, sytuacji itd. – wprawiają w ruch cały mój aparat psychiczny wyobraźni, pamięci, czucia, myślenia i doprowadzają do bardzo intensywnych, głębokich i silnych przeżyć. Jeszcze lepiej niż samotnie tworzy się i potęguje te wrażenia przez impulsy malutkich faktów materialnych, gdy się jest we dwoje, ale tylko z kobietą i mianowicie kobietą kochaną i kochającą i właśnie taką samą, umiejącą żyć psychicznie, bogatą duchowo czy też, jak się mówi, marzycielką, jaką była moja Annin dawniej i jaką jest moja Jadzia teraz. U Anny było to bardziej intelektualne, u Jadzi – bardziej czuciowe, ale obie były wielkie samotnice i mianowicie samotnice typu samotnego we dwoje, to znaczy dwojga samotnych wobec obcego świata, izolowanych od niego, ale między sobą zlanych i wykluczających izolację wzajemną. Z Jadzią też te przeżycia moje byłyby jeszcze bogatsze i radośniejsze, ale i tak były one silniejsze i dla mnie ciekawsze, niż gdybym tu był w jakiejś gromadzie lub gdybym był w wirze i ruchu faktów. W Scheveningen byłem króciutko, ale pełny jestem jego. Napoiłem się nim przez krótką chwilę. Pustynny jest wielki plac, zabudowany hotelami dokoła u wylotu na plażę, pusta plaża sama, wiatr ostry wieje, fala się pieni na daleką od brzegu przestrzeń, rzadko ktoś przejeżdża rowerem lub autem po asfalcie wybrzeża, hotele, kawiarnie, sklepy, pałace hotelowe – bezludne, zamknięte. Wrócę tu jeszcze jutro.

Znalazłem jednak w hotelu Vieux Doulen dwóch ludzi ze starej służby, z którą się w roku 1932 znałem: portier dzienny, Niemiec rodem, ślicznie mówiący po francusku, ten sam, co nam z Jadzią w roku 1932 pokazywał pałac królowej, i posługacz Holender, który czyści obuwie gości, nosi rzeczy

itd. W restauracji panny usługujące nowe, tryb ten sam, panny są Szwajcarki, dziewczęta posługujące (kelnerki) i panny starsze kierujące, ten sam styl służebny „*à Votre service!*”, ta sama miękkość doskonałej usługi kwalifikowanej żeńskiej. Chłopcy chasseursy naturalnie nowi, dawniejsi już powyrastali, ale w stylu tacy sami, ładne chłopaki, zgrabne, obcisłe, jeden szczególnie, piękny, jak obrazek.

11 listopada, rok 1937, czwartek

Dziś dzień już ostatni przed rozpoczęciem formalnym pracy komisji duńsko-litewskiej. Jeszcze niby wakacje, ale już przedsmak pracy, dzień pierwszego kontaktu. Przede wszystkim chodziło o wizyty, następnie o rodzaj wywiadu przygotowawczego. Udałem się rano do Pałacu Pokoju. Na wstępie – u drzwi – spotkałem tegoż woźnego, którego pamiętam z roku 1932. Zdaje się, że i on mię przypomniał, choć nie arcyświetnie mówi po francusku, więc na dłuższą rozmowę nie było właściwego terenu. Wprowadził mię na wspaniałe schody i wezwał urzędnika Trybunału Arbitrażu. Ten, za okazaniem mu mojego biletu wizytowego, wprowadził mię do gabinetu, zarezerwowanego do mojej dyspozycji. Jest to gabinet nr 36 w przeciwną od schodów stronę względnie do korytarza, przy którym mieścił się mój gabinet nr 200 z roku 1932. Gabinet ten jest mniejszy niż tamten, ale ma formę podobną, okno wychodzi na południe. Urzędnik poszedł mię zameldować sekretarzowi (greffier) Izby Arbitrażu i prosił zaczekać. Tymczasem oglądałem mój gabinet, który jest położony też obok sali Bol, o kilka stopni niżej od niej, na korytarzu, który się przy wejściu do sali Bol zaczyna. Sala ta, pięknie udekorowana wspaniałymi wielkimi obrazami mistrzów, ofiarowanymi przez Holandię Pałacowi Pokoju, do których zastosowana jest architektura sali, jest mi dobrze znana z posiedzeń sędziowskich Trybunału Międzynarodowego w sprawie kłajpedzkiej w roku 1932. W gabinecie moim porozwieszane są fotografie oprawione delegacji narodowych różnych państw na Konferencji Pokojowej w Hadze w roku 1899. Niebawem zostałem wprowadzony do gabinetu greffiera de la Com d’Arbitrage – pana Grommelina. Złożyłem mu krótką wizytę i na tym się skończyło. W gabinecie moim na biurku znalazłem dwa listy do mnie – jeden od Elizki Komorowskiej z Polski (z Sosnowca), drugi od prezesa naszej komisji – jonkheera van Karnebeeka z zaproszeniem na jutro na obiad na godzinę ósmą wieczór. Pytałem greffiera Grommelina, czy trzeba do fraka na obiad wziąć ordery; powiedział, że tylko miniatury orderów, ponieważ ich jednak nie mam, powiedział, że ujdzie bez orderów i że wystarczy tylko rozetka Legii Honorowej w butonierce, którą widzi u mnie. Innych wizyt nie składałem; posłałem tylko przez chasseura hotelowego moje bilety wizytowe do prezesa komisji van Karnebeeka, do członków komisji z ramienia Danii – Vicenta de Fontency, do ambasadora francuskiego w Hiszpanii i Watykanie, i p. Oldenberga, posła duńskiego w Paryżu, którzy zamieszkali w Hôtel des Indes, oraz członka komisji z ramienia Litwy – Łotysza Ozolinša, prezesa Departamentu Cywilnego Sądu Kasacyjnego (Senatu) w Rydze, który zamieszkał w hotelu Victoria. Po śniadaniu przyszedł do mnie z wizytą Ozolinš, a niebawem też agent litewski prof. Mandelsztam. Zaczęła się rozmowa kontaktowa. Najwięcej mówili Ozolinš z Mandelsztamem. Językiem konwersacji był rosyjski, bo Ozolinš lepiej nim włada niż francuskim. Ozolinš, jak widać, bardzo starannie wystudiował sprawę i w ogóle sprawia wrażenie umysłu rzeczowego i dalekiego od blagi lub maniery zblazowania, którą grzeszy nieco Mandelsztam. Ozolinš mi się podobał. Mandelsztam jest trochę zanadto rozwiązły i lubiący się popisywać, co go czyni płytszym, niż może nawet jest. Są oczywiście w tej spawie wielkie trudności prawnicze i bodajże jeszcze większe trudności merytoryczne *d’equite* dla sprawiedliwej koncyliacji, chcąc dotrzeć do sedna kompromisu drogą ustalenia faktów, do czego się zapewne komisja orientować będzie. W każdym razie jednak stwierdziliśmy, że do czasu złożenia przez strony memoriałów i kontrmemoriałów niepodobna jest nie tylko żądać wymiany zdań prowizorycznej w komisji, ale nawet niepodobna ustalić niezbędnych aktów procedury. Cała rzecz winna się na razie prowadzić do udzielenia stronom terminów dla złożenia ich oświadczeń i konkluzji. Takie będziemy usiłowali zająć stanowisko w komisji, gdyby się tam zamanifestowały dążenia do dotykania istoty sprawy lub nakreślania obecnie dalszej procedury na rzecz koncyliacji.

Byłem dziś jeszcze raz w Scheveningen. Przekonałem się, że plaża nie jest tak pustynna, jak mi się wczoraj wydała. Po plaży uwija się dużo jeźdźców konnych, wielu też spaceruje, zwłaszcza z psami. Most (pomost) w morze oraz z pawilonem „Pier" – funkcjonuje. Można tam chodzić za opłatę 19 centów, jak latem, a w pawilonie jest nawet kawiarenka, choć klientów ma mało. Na pomoście sporo amatorów rybaków, łowiących rybę na wędkę.

299

12 listopada, rok 1937, piątek

Na koniec dzień posiedzenia komisji koncyliacyjnej. Posiedzenie wyznaczone było na pół do jedenastej. Wezwane też były strony, to znaczy agent litewski Mandelsztam i obaj agenci duńscy. Przed godziną wskazaną wszyscy członkowie komisji oraz agenci stron zebrali się w gabinecie prezesa van Karnebeeka. Sam prezes, mężczyzna stary, wysoki, smutny, bardzo zrównoważony i wytworny, towarzysko bardzo dystyngowany, mądry. Członkowie komisji duńskiej – Francuz Vicente de Fontenay, człowieczek wzrostu niewielkiego, średniej tuszy, stary, robi wrażenie człowieka poczciwego i trochę jowialnego, dyplomaty emerytowanego nie nazbyt wielkiej głowy, ale serca raczej dobrego, człowiek, jak się mówi, dobrej duszy czy dobrotliwy, drugi – Oldenberg, Duńczyk rodowity, wysoki i bujny, pięknego typu nordyckiego (skandynawskiego), dyplomata profesjonalny, spokojny, pewny siebie, ale bez tupetu i arogancji czy wyniosłości, bardzo grzeczny i naturalny. Obaj agenci Danii – Duńczyk i profesor szwajcarski – bardzo ugrzecznieni, pełni kurtuazji. Słowem, od razu stosunek się ułożył najlepszy. Prezes van Karnebeek od razu nas uprzedził (zdaje się, że na razie nas dwóch z Ozolinšem, bośmy pierwsi przyszli, że przedmiotem naszych obrad będzie zwłaszcza ustalenie terminów dla pisemnych wypowiedzeń się stron i niektóre inne detale procedury. Cechą przesądzającą poszczególnych aktów będzie postępowanie, które dziś przeto omówione byłoby ustnie, dopóki strony się nie wypowiedziały i dopóki o ich użyteczności niepodobna sądzić. Tą drogą prezes ubił od razu nasze obawy, że się na pierwszym posiedzeniu będzie usiłowało prowokować jakąś merytoryczną wymianę opinii członków komisji lub choćby tylko omawianie poszczególnych konkretnych aktów procedury do wykonania, co także byłoby w obecnym stadium niewłaściwe i przedwczesne. Otwarcie formalne posiedzeń komisji odbyło się w pięknej sali Bol, w której komisja ma obradować stale. Obecny był też sekretarz generalny Cour Permanente d'Arbitrage, p. Crommelin i młody urzędnik tegoż sekretariatu, Holender, który odbył studia w Paryskiej Ecole des Sciences Politiques i którego Crommelin wyznaczył do protokołowania obrad lub uchwał komisji. Prezes zagaił posiedzenie komisji przemówieniem właściwym, odczytanym z rękopisu, pełnym godności i doskonałej przedmiotowości, kurtuazji zupełnej dla stron i tchnącej duchem głębokiej sprawiedliwości i życzliwości. W zagajeniu tym Karnebeek podkreślił ten fakt, którego nie wiedziałem, że nasza komisja koncyliacyjna jest pierwszą, która ma funkcjonować realnie. Wprawdzie instytucja komisji koncyliacyjnych, która dopiero po Wielkiej Wojnie się znalazła, bardzo się rozwinęła w umowach bilateralnych między państwami i ma już obszerną literaturę teoretyczną w prawie międzynarodowym, które studiuje jej naturę, zadania i walory, to jednak dotąd w praktyce nie było precedensów jej funkcjonowania. Konwencja Pokojowa Haska z roku 1907 tej instytucji jeszcze nie zna i wspomina jeno o pokrewnych jej komisjach ankiety dla ustalenia faktów i okoliczności na wypadek sprawy, ale koncyliacyjnych funkcji tym komisja na ankiety nie daje. Komisje koncyliacyjne powstały spontanicznie w umowach bilateralnych powojennych jako pewna nowa forma likwidowania zatargów międzypaństwowych w duchu Paktu Unii Narodów, bardziej giętka i odwołująca się do dobrej woli ugody, niż forma sądowa lub arbitrażu, ale też efektywniejsza, niż instytucja ankiety. Obecnie jest już bodaj przeszło 80 stałych (*permanentes*) bilateralnych komisji koncyliacyjnych, z których wszakże ani jedna nie funkcjonowała dotąd, bo instytucja ta nie wyszła ze stadium teorii i formy potencjalnej. Ten fakt, że nasza jest pierwszą, która zaczyna funkcjonować, czyni naturalnie naszą pracę szczególnie odpowiedzialną i narażoną na obserwację czynników międzynarodowych. Praca naszej komisji będzie pierwszym precedensem. Co do procedury i co do metod postępowania ustanawiać ona będzie

pierwsze zręby konstrukcji funkcjonalnej tej instytucji. Był wprawdzie jeden wypadek w roku 1936, że jedna z takich komisji, mianowicie komisja koncyliacji szwedzko-łotewska, była powołana do czynu przez skargę Szwecji przeciwko Łotwie, ale przed rozpoczęciem postępowania, choć już po wyznaczeniu przez jej prezesa, Holendra także, terminów stronom do złożenia memoriałów i kontrmemoriałów, replik i duplik, Łotwa ze Szwecją same doszły bezpośrednio do ugody i Szwecja swoją skargę cofnęła. Posiedzenia żadnego tamta komisja nie odbyła. Nasza więc jest pierwsza, która rozpoczęła funkcjonowanie. Posiedzenia odbyliśmy dziś dwa – przedpołudniowe i popołudniowe. Pod wielkim wrażeniem szedłem rano na komisję, bo sądziłem, że mogą nastąpić starcia, że trzeba będzie się od razu orientować, poczyniać zastrzeżenia, nie popełnić jakiegoś błędu, nietaktu lub zaniedbania, ale prezes Karnebeek pokierował doskonale i wszystko się odbyło spokojnie, łatwo i w zupełnej harmonii. Prezes podniósł następujące zagadnienia proceduralne do ustalenia: a. kwestia terminowa dla kontrmemoriału litewskiego, repliki duńskiej i dupliki litewskiej; b. kwestia rozprawy ustnej stron (czy strony życzą jej czy też im wystarczą oświadczenia na piśmie); c. kwestia języka i postępowania komisji; d. kwestia protokołu zamykającego czynności komisji i e. ewentualne zwrócenie przez członków komisji uwagi agentów na pewne szczegóły i fakty czy twierdzenia, które członkowie komisji uważają za potrzebne ustalić przez agentów. Co do terminów dla memoriałów, to w porozumieniu z agentami stron przyjęto: dla kontrmemoriału litewskiego termin 15 grudnia, dla repliki duńskiej – 1 lutego, dla dupliki litewskiej – 15 marca, po czym po miesiącu od dnia złożenia przez strony ostatniego papieru procedury pisemnej, to znaczy koło 15 kwietnia, rozprawa ustna w posatci debat stron wobec komisji. Ciekawe jest, że obie strony, litewska i duńska, posądzały siebie wzajemnie o to, że przeciwna strona chce swego przeciwnika przycisnąć tym przepisem formalnym umowy litewsko-duńskiej, który przewiduje zakończenie czynności komisji w ciągu sześciu miesięcy od dnia zgłoszenia skargi (ten termin w tym wypadku jest 1 marca, bo skarga duńska była zgłoszona 1 września. Obie strony posądzały się, że przeciwnik będzie spekulował na krótkim terminie, aby im nie dać dobrze obmyślić i przygotować swojego ataku czy obrony i, że tak powiem, przyłapać. Litwini ciągle posądzali Danię, że chce ona przycisnąć Litwę, Duńczycy obawiali się, że Litwa będzie się upierać na terminie, żeby Danii utrudnić rozwinięcie jej tez.

13 listopada, rok 1937, sobota

Okazało się więc, że udzielenie terminów dłuższych na memoriały, repliki i dupliki stron jest dla obu stron pożądane; Litwa chciała terminu dłuższego dla siebie, ale sądziła, że Duńczycy będą temu przeciwni i że będą usiłowali skracać terminy. Duńczycy kubek w kubek to samo myśleli o Litwie. Udzielenie dłuższych terminów zadowoliło obie strony. Sami agenci stron porozumieli się co do tych terminów (15.XII, 1.II, 15.III, 15.IV). Komisja je tylko zafiksowała. Naturalnie, że musiała wobec tego powstać kwestia prolongowania terminu prac samej komisji albowiem uprzednio był on prolongowany, co wpływało z umowy litewsko-duńskiej, do 1 marca (6 miesięcy od dnia zgłoszenia skargi duńskiej). Ponieważ jednak sami agenci stron powyznaczali dla swych czynności terminy, wykraczające daleko poza dzień 1 marca, więc oczywiście w konsekwencji oba rządy zgodzą się na wniosek prezesa komisji odroczyć termin ostateczny przez komisję na cztery miesiące, to znaczy do 1 lipca 1938. Co do rozpraw ustnych, przyjęto na życzenie zresztą stron, że będę one miały miejsce. W kwestii języka w postępowaniu komisji przyjęliśmy na wniosek prezesa Karnebeeka język francuski jako jedyny. Wszystkie więc dokumenty i pisma stron będą podawane po francusku choć albo w tłumaczeniu na francuski. Dalej ustalono, że redakcja protokołu ostatecznego, zamykająca czynności komisji, będzie zlecona Sskretariatowi Izby Arbitrażu pod kierunkiem prezesa komisji. Wreszcie ustalono, że wszelkie papiery od agentów stron będą zgłaszane w 12 egzemplarzach, z których jeden zasadniczy podpisany przez agenta, pozostałe 11 – z zaświadczeniem i za zgodnością z prawnym oryginałem. Na razie innych tez proceduralnych nie ustalono, bo to przedwczesne. Te zaś tezy przyjęte, stanowiące pierwszy precedensowy charakterystyczny wyjątek, na wniosek komisji koncyliacyjnej zostały zafiksowane przez sekretariat pod kierunkiem prezesa i dziś na trzecim i ostatnim w tej sesji wstępnej posiedzeniu komisji, został za zgodą stron zatwierdzone przez komisję.

Prezes i sekretarz komisji zadali jeszcze agentom stron, zwłaszcza agentom duńskim; następujących kilka pytań co do stanu faktycznego; proszono o udzielenie na nie informacji w dalszych papierach procedury pisemnej: a. aby były wykonywane poprzednie zasady, w jakich okolicznościach i jakie wypłaty w litach? b. jaka jest dokładna wysokość zarobkowa Litwy na zdeprecjonowanych dolarach w razie płacenia dolarami? c. czy przedsiębiorca duński asekorował się od ryzyka? Te pytania są oczywiście potrzebne na rzecz tezy duńskiej. My z Ozolinšem żadnych pytań nie zgłosiliśmy. Przychodziło mi wprawdzie na myśl żądanie doprecyzowania przez Danię tytułów, które ona rości do traktowania tej sprawy jako sporu międzynarodowego, bo pod tym względem skarga duńska jest bardzo mętna, a właściwie od tytułu dużo zależy na prawie, ale po naradzie z Ozolinšem uznaliśmy że nie warto na razie tego pytania podnosić, bo, po pierwsze, byłoby to poniekąd przesądzaniem sprawy, czego dotąd w tym stadium unikano, a następnie będzie to niewątpliwe podniesione w contra-memoriale litewskim, co samo przez się zmusi Danię do precyzowania tytułów i kwestię przeto w komisji zaktywizuje. Na tym trzecim dzisiejszym posiedzeniu południowym komisja sesję zamknęła. Jak wczoraj po pierwszym posiedzeniu komisji członek duński Komisji p. Oldenburg podziękował prezesowi, co ja też ze strony litewskiej potwierdziłem, solidaryzując się z kolegą duńskim, tak dziś przy zamykaniu sesji z mową dziękującą prezesowi wystąpił agent duński Hoest, po czym i agent litewski Mandelsztam dorzucił słowo dziękczynne. Rzeczywiście, nasz prezes Karnebeek bardzo ładnie się zabiera do rzeczy i traktuje sprawę, każdy szczegół postępowania z wielką uwagą, bezstronnie, z taktem i z usiłowaniem uwzględnienia wszelkich życzeń i względów stron czy członków komisji. I trzeba przyznać, że usposobienie w komisji panowało w tej pierwszej sesji doskonałe, kurtuazja wzajemna, koleżeństwo bez zarzutu między wszystkimi członkami, dobra wiara. Zapewne potem w rozprawie merytorycznej rozegra się walka o prawo, ale będzie to walka, spodziewam się, rycerska, walka argumentów. Z pierwszej sesji mam wrażenie dobre, a zwłaszcza doskonałe wrażenie osoby prezesa Karnebeeka.

Praca więc komisji w tym stadium skończona. Członkowie komisji duńscy i Ozolinš rozjeżdżają się. Ja zostaję do poniedziałku, bo chcę jeszcze coś niecoś kupić, a w niedzielę sklepy zamknięte w mieście. Zresztą jest jeszcze kilka ewentualnych listownych próśb Jadzi.

Dowiedziałem się wczoraj na wielkim obiedzie u prezesa Karnebeeka, na którym był też prezes Trybunału Międzynarodowego, Guerrero, że w Trybunale już została przeciwko Litwie wytoczona sprawa przez Estonię. Skargę Estonii prezes otrzymał przed dziesięciu dniami. Słyszałem w Kownie, ze Estonia grozi wytoczeniem sprawy Litwie, ale nie wiedziałem, że sprawa jest wytoczona. Chodzi o jakieś pretensje cywilne prawne z tytułu akcji byłego towarzystwa kolejki wąskotorowej Poniewież-Święciany, która była przed wojną własnością prywatną, obecnie zaś jest państwową. Szczegółów tej sprawy i roszczeń estońskich nie znam. Guerrero wspominał, że spodziewa się mnie w tej sprawie powitać w Trybunale jako litewskiego sędziego narodowego *ad hoc*. Czy Litwa mię wyznaczy, nie wiem tego. Dotąd nic mi w Kownie nie mówiono.

14 listopada, rok 1937, niedziela

Niewiele co dziś w Hadze robiłem. Po śniadaniu pojechałem do Rotterdamu, w którym byłem w roku 1923, to znaczy przed 14 laty, podczas mojego pierwszego pobytu turystycznego w Holandii. W Rotterdamie pospacerowałem trochę, ale że deszcz padał, schroniłem się do wielkiej kawiarni „Atlanta" przy ulicy Coolsingel. Ulicę tę przypomniałem sobie z roku 1923. W kawiarni byłem na wielkim koncercie orkiestrowym, połączonym ze śpiewem. Na wieczór wróciłem do Hagi.

Nie zdążyłem zanotować w dzienniku wielkiego obiadu, który się odbył u prezesa naszej Komisji p. Karnebeeka w piątek wieczorem. Goście byli we frakach z orderami. Byli członkowie komisji duńsko-litewskiej *in corpore*, agenci stron, obecny prezes Trybunału Międzynarodowego Guerrero, znajomy mi dobrze, bo przewodniczył on w roku 1932 w sprawie kłajpedzkiej, poseł duński w Hadze, sekretarz generalny Izby Arbitrażu p. Crommelin, jeszcze parę osób, w ich liczbie jakiś dziwaczny fizycznie pan malutkiego wzrostu o rączkach krótkich i niedorozwiniętych, o wargach zmysłowych i łakomych, uchodzący za najwybitniejszego prawnika Holandii, stały od wielu

lat członek delegacji holenderskiej na Lidze Narodów, ten sam, który jest prezesem komisji koncyliacyjnej szwedzko-łotewskiej, jedynej przed naszą, która w roku 1936 była powołana do funkcjonowania, ale z powodu cofnięcia skargi przez Szwecję nie zaczęła funkcjonowania faktycznego. Były też panie. Pierwszy raz widziałem mieszkanie prywatne holenderskie bogatego człowieka. Karnebeek mieszka we własnym domu przy Korte Vornit i zajmuje cały dom piętrowy. Co za bogactwo, co za urządzenie mieszkania! Ile dywanów, srebra, kryształów, obrazów, mebli najróżniejszych, służby! Sztućce do obiadu były złocone. U nas o takim komforcie i zbytkach nie mają pojęcia nawet ci, co uchodzą za bogatych. Bo tu w Holandii nie ma wojen ani rewolucji i każde pokolenie przysparza coś do bogactw odziedziczonych i przekazuje dom spadkobiercom, podczas gdy u nas są zawsze katastrofy, które wszystko niszczą, i każde pokolenie zaczyna od początku.

15 listopada, rok 1937, poniedziałek

Od rana robiłem sprawunki na mieście. Płótno kupiłem już w ubiegłym tygodniu, także trzy pudełka cukierków specyficznych haskich „*hopjes*”, także koszule i kilka upominków srebrnych – lustro ręczne, szczotka do włosów, kółko do serwetki i bransoletka. Teraz pozostało mi kupić: cebulek tulipanowych, parę chusteczek czy serwetek z koronką lub haftami ręcznej roboty, jakiś upominek srebrny dla Diskina, mydła, ananas... Łaziłem i kupowałem. Byłem też na poczcie, zjadłem krótkie śniadanie w doskonałym „lunch-roomie” przy placu i sadzawce „Gevangenpoort” w pobliżu mojego hotelu – prawdziwym raju smakoszów (Holendrzy lubią i umieją jeść – są oni smakoszami zawołanymi, lubiącymi sobie dogodzić, zwłaszcza przynajmniej burżuazja). Pieniądze płyną, Holandia jest droga. Dużo jest ładnych rzeczy do kupienia, ale i ceny dobre.

Od godziny trzeciej siedziałem już w salonach hotelu, spakowany i gotowy do jazdy. Opłaciłem rachunek hotelowy. Wyniósł on za mieszkanie i restaurację razem za tydzień (od poniedziałku do poniedziałku), wliczając i służbę – 92 floreny i 40 centów. W tej liczbie hotel wynosi 42 floreny, jedzenie w restauracji 21 floren 25 ct., trunki – 15.95, procenty służbie, jakieś taksy itp. – 11 florenów 20 ct. Naturalnie, że musiałem też sporo dodać służbie gościńców z kieszeni poza napiwkami urzędowymi. Znają mię we „Vieux Doelen” z bogatych czasów mojego pobytu w roku 1932 i to mię obowiązuje do napiwków: portierowi dałem 6 florenów, posługaczowi Wiljamowi – 3 fl., chasseurom 3 fl., pokojowej 3 fl., służbie restauracyjnej – 5 florenów. Ostatecznie rachunek słony.

O godzinie szóstej odjechałem taksi na dworzec kolejowy, gdzie wsiadłem do coupé wagonu sypialnego. O godzinie siódmej pociąg odjechał. Zaraz się położyłem spać. W Bentheimie na granicy niemieckiej zostałem obudzony, ale w ogóle żadnego kłopotu na granicy nie miałem.

Paszport dyplomatyczny – to wielka broń w podróży.

16 listopada, rok 1937, wtorek

Przyjechałem o siódmej rano do Berlina. Wysiadłem na dworcu Friedrichstrasse, jak zawsze. Wahałem się jeszcze, czy zatrzymać się w Berlinie, czy jechać dalej. Ten zamiar zatrzymania się w Berlinie w drodze powrotnej powstał u mnie jeszcze jadąc w tamtą stronę – do Hagi. Motywy miałem różne. Chciałem tą drogą przedłużyć i urozmaicić nieco tę moją wycieczkę za granicę, przy tej sposobności chciałbym też odwiedzić mego dawnego przyjaciela z czasów wileńskich, obecnie posła litewskiego w Berlinie dr Jerzego Šaulysa. Na ten cel zarezerwowałem czek registermarkowy na 50 marek, którego nie spieniężyłem jadąc w tamtą stronę. Przyznam się, że teraz ochota na Berlin mi odpadła. Kilka godzin – dobrze, ale spędzić tu cały dzień – to za dużo. Po tygodniu pobytu za granicą chce mi się już do domu. Nie znudziłem się w Hadze, ale mam dosyć, a skoro już wracam – to chcę wrócić prędzej. Miałem pociąg za dwie godziny – o dziewiątej i byłbym już wieczorem w domu. To mię bardziej tentowało, niż siedzieć do wieczora w Berlinie bez mieszkania, tłukąc się po mieście i znowu noc spędzać w wagonie. Ale chodziło o register-marki, na które czek mógłby zginąć, gdybym go nie zrealizował, bo jest przecie imienny, a gdybym go zrealizował i zaraz wyjechał nie zdążywszy wydać pieniędzy, to na granicy niemiecko-litewskiej Niemcy mogliby

powziąć podejrzenie, że zrealizowane z czeku pieniądze wywożę, bo zrealizowanie czeku register-markowego zanotowuje się w paszporcie i mogliby pieniądze te znaleźć, a wywóz marek niemieckich jest zabroniony. Choć mam paszport dyplomatyczny, który mię strzeże, ale bądź co bądź Niemcy mogliby mię interpelować, na co wydałem 50 marek, na co bym nie potrafił dać im rozsądnej – naturalnie kłamliwej odpowiedzi, i kto wie, czy nawet paszport dyplomatyczny (nie angielski przecie, nie amerykański, francuski czy włoski, ale litewski – a z Litwą Niemcy nie bardzo się liczą) osłoniłby mię od rewizji osobistej dla znalezienia pieniędzy. Po krótkim więc wahaniu zostałem. Trzeba było jakoś czas zająć na cały dzień w mieście bez domu i bez pracy, czego nie umiem. Zrealizowałem czek register-markowy i do dziewiątej spacerowałem po Unter den Linden, czekając na otwarcie sklepów. O dziewiątej w biurze podróży „Mitropa" kupiłem sobie bilet sypialny do sleeping-caru na jazdę nocną do Eytkun, po czym poszedłem na śniadanie do wielkiej kawiarni na rogu Friedrichstrasse i Unter den Linden. Tu pisałem pocztówki do różnych osób, piłem kawę, zjadłem jajko, później „Wuerstchen". Tak doczekałem południa. Stamtąd pojechałem kolejką miejską do „Zoo" i przedłem się Kurfürstendamm. Tam porobiłem parę sprawunków, żeby użytecznie wydać marki niemieckie, których nadmiar miałem. Kupiłem trzy pary delikatnych najcieńszych pończoch damskich i śliczną morelowo-słoneczną w kwiatki przejrzystą koszulę nocną dla Jadźki, a dla siebie koloniki do mankietów i kilka mydełek. W jakiejś też wielkiej piwiarni przekąsiłem znowu. Do poselstwa litewskiego do Šaulysa jakoś się nie bardzo kwapiłem. Stamtąd więc znowu wróciłem na Friedrichstrasse do tejże kawiarni, wysiedziałem się do piątej czy szóstej, poszedłem na dworzec, ale nie wytrzymałbym tam do północy, a pieniędzy nie miałem już dużo, żeby sobie jakieś zbytki pozwalać. Do Šaulysa już stanowczo leniłem się, więc zdecydowałem się ostatecznie na kino. Na Friedrichstrasse znalazłem kino, malutkie wprawdzie i mocno ustępujące naszym kowieńskim, bez komfortu i żadnej poczekalni, ale za to film był ładny. Zabawiłem się więc nieźle i już było koło jedenastej, gdym udał się na dworzec. Niebawem też odebrałem moje rzeczy z przechowania i udałem się na peron. Podano pociąg, wszedłem do wagonu sypialnego i odjechałem. Berlina nie lubię, ale bądź co bądź jest w nim ruch wielki i przeładowanie skupienia wielkomiejskiego na niektórych ulicach, przetwarzające wieczorem te ulice w jakąś feerię blasków, światła, życia. Taka Friedrichstrasse wieczorem i w nocy – to jakaś lawa tłumu i barwnego blasku. Ładny też jest Kurfürstendamm, jeden z ładniejszych dla mnie centrów berlińskich. Ani w cukierniach, ani na ulicach berlińskich nie manifestuje się i nie afiszuje prostytucja, jaka to miało miejsca za czasów republiki liberalnej. Pod tym względem rządy nacjonalsocjalistyczne Hitlera bardzo radykalnie uzdrowiły atmosferę Berlina i Niemiec. Zdyscyplinowały one i ujęły w karby rozwiązłość.

17 listopada, rok 1937, środa

Wróciłem do Kowna. Wyspałem się w wagonie sypialnym z Berlina dobrze i obudziłem się dopiero koło ósmej rano w Prusach Wschodnich. Ujrzałem ziemię, pokrytą śniegiem, krajobraz zimowy. Były to okolice Labian. Nieco dalej wszakże – koło Wehlau (litewska Veliava) – śniegu już było mniej. Ale i dalej, do końca podróży, pozostały ślady śniegu; śniegiem pokryte są dachy, deski, śniegu płatki świecą między grudkami ziemi na oranym polu. Insterburg, Gumbinen, Stołupiany, Eytkuny. Granica prusko-litewska. Żadnej rewizji celnej na granicy litewskiej. W dwie godziny dojeżdżamy do Kowna. Na dworcu spotyka mię ucieszona Jadźka. Jedziemy do mieszkania automobilem. Rozpakowywanie rzeczy, oglądanie tego, com przywiózł z Hagi i Berlina. Wszystko się bardzo podoba. Jadźka ucieszona z pięknej koszuli nocnej i pończoch z Berlina, ze szczotki srebrnej, lusterka srebrnego i bransoletki srebrnej z Hagi, z płótna holenderskiego na nawleczki. Okazało się, że wszystko mi się udało kupić dobrze do gustu. Nożyk kościany do rozcinania książek w oprawie srebrnej i obrączka srebrna do serwetki są rozlosowane między Stenią i Renią. Stenia zdobywa nożyk, Renia – obrączkę do serwetki. Służąca Paulinka dostaje jedną parę ażurowanych pończoch. Wszyscy radzi. Jadźka ma naturalnie lwią część gościńców. Z domu już nie wychodziłem. Czuję się po podróży trochę jak pijany. Lewe oko mię boli, powieka z dołu mocno opuchła, co trochę

niepokoi Jadzię, która mię namawia jutro do okulisty prof. Avižonisa. To brzęknięcie powiek, jęczmienie jakieś, często się powtarzają u mnie. Mam do nich skłonności; szczególnie mi się to trafia w podróżach.

18 listopada, rok 1937, czwartek

Byłem już dziś na uniwersytecie. Przez czas mojej nieobecności nic szczególnego nie zaszło. Przyjeżdżał tylko ze Szwecji sekretarz stanu Knös, dla którego były przyjęcia w poselstwie szwedzkim i u ministra oświaty Tonkunasa, na które był też zapraszany rektor (Purėnas w moim zastępstwie). Ogłoszony też już został w „Vyriausybė Žinios" nowy statut uniwersytetu, który działa od dnia ogłoszenia. W przyszłym tygodniu na posiedzeniu senatu akademickiego omówimy wszystkie kwestie, związane z wprowadzeniem nowego statutu w życie, o ile to do nas należy.

Męczy mię trochę moje oko (lewe), które (właściwie powieka, zwłaszcza dolna) jest mocno wybrzękła i sprawia mi pewien ból i swędzenie. I w ogóle wskutek tego cała głowa mię jakoś ni to boli, ni to ciąży, co mi odbiera swobodę myślenia i sprawność działania. Po obiedzie poszedłem z Jadzią do prof. Avižonisa, najlepszego okulisty w Kownie. Obejrzał mi oko starannie, nic nie wziął za wizytę i stwierdził zwyczajny jęczmień, tylko bardzo głęboko i nisko osadzony wewnątrz dolnej powieki. Zapisał krople do oka i kompresy na oko na noc. Nic zgoła niebezpiecznego ani złego nie ma. Chwała Bogu! Ale to jest bądź co bądź męczące i przykre.

Na uroczystości rocznicy Niepodległości Łotwy nie chodziłem. Jeden akt tej uroczystości odbył się na uniwersytecie. Zastąpił mię Purėnas. Wieczorem była wielka uroczystość z ramienia Towarzystwa Jedności Litewsko-Łotewskiej. Przemawiał nasz minister spraw zagranicznych Lozoraitis, łotewski minister oświaty prof. Tentel, poseł łotewski Seja... Niezwykłym było w tym roku to, że na uroczystość przyjechał nie tylko prezes ministrów Tubelis, ale sam prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona. Słuchałem tych przemówień w domu przez radio.

19 listopada, rok 1937, piątek

Trapi mię wciąż moje oko. Nieznośne to jest cierpienie. Nie tyle bolesne, ile nerwujące, przykre i jakoś dziwnie niepokojące. Co roku w jesieni coś się takiego rzuca na człowieka: jednego roku lumbago w krzyżu, innego – forunculus i wrzody, jak w roku 1935, to newralgia w szczękach i kościach głowy, to katar dziki, to, jak oto teraz, jęczmień w oku. Skłonność do jęczmienia w oczach mam zawsze, ale tym razem ten jęczmień uformował się szczególnie głęboko i całą mi dolną powiekę wypęcznił, a te krople, smarowane i okłady, które przepisał Avižonis, nie przyśpieszają dotąd procesu choroby. Nie lepiej mi było dziś, niż wczoraj, raczej gorzej jeszcze. I całą głowę mam jakąś ciężką z tego powodu. Wykład miałem wieczorem u ekonomistów. Ten jęczmień przeszkadzał mi też w wykładzie. Nie miałem potrzebnej swobody umysłu i werwy.

Byłem dziś u Urbšysa w Ministerium Spraw Zagranicznych. Referowałem mu o sesji naszej komisji duńsko-litewskiej w Hadze i dałem mu dla dokonania odpisów protokóły trzech posiedzeń komisji, nadesłane mi z biura międzynarodowego Izby Arbitrażu. Mówiłem mu też o mojej rozmowie z Karnebeekiem w przedmiocie wynagrodzenia dla członków komisji. Ponieważ to wynagrodzenie dotyczy też osobiście Karnebeeka jako prezesa komisji, Karnebeek nie chce sam wobec rządów duńskiego i litewskiego wszczynać tej sprawy, w myśl konwencji zaś wynagrodzenie to ma być ustalone w drodze porozumienia się obu rządów, czego one dotąd nie uczyniły. Członkowie komisji bowiem nie są płatni respektywnie przez odnośne „swoje" rządy, z których ramienia zasiadają w komisji, jeno są płatni podług normy, ustalonej przez porozumienie obu rządów. Urbšys mi powiedział, że rząd duński właśnie się już zwrócił do litewskiego, proponując polecenie agentom stron porozumienia się w tej mierze w zastępstwie rządów i zatem ustalenia stopy wynagrodzenia. Rząd litewski uważa (moim zdaniem – bardzo słusznie), że to powinno być zrobione nie przez agentów, lecz przez same rządy w ich porozumieniu bezpośrednim. Rzeczywiście polecanie tego agentom wydaje mi się niewłaściwe. Agenci stron – to *sui generis* funkcja quasi-sądowa, zależało od adwokatów – to jest trochę krępujące dla komisji i nieco ją poniżające. Lepiej,

żeby to uczynili zawczasu same rządy państw. Zapewne więc niebawem ta kwestia zostanie rozstrzygnięta. Bardzo ciekaw jestem, ile też wyniesie to wynagrodzenie nasze.

W Bohdaniszkach u Mieczkowskich nowe wojny. Elwira nie może, żeby się z kimś nie kłócić i nie wojować. Kiedyś – z Mamą, potem – ze Stefanem, swoim mężem, teraz z Andrzejem. Sprawa staje się coraz ostrzejsza.

20 listopada, rok 1937, sobota

Z okiem nie lepiej. Powieka wybrzękła jeszcze bardziej; tworzy ona dwa albo nawet półtrzecia worka, mocno napęczniała i ciemnej barwy. Do uniwersytetu jednak chodziłem, ale wieczór spędziłem w domu i jutro nie wyjdę na miasto. Nie jest to zwyczajny jęczmień na brzegu powieki, ale prawdziwy wrzód we wnętrzu powieki.

Nie mam dobrego usposobienia do pisania dziennika, bo w ogóle tylko jednym okiem patrzę, drugie trzymając zamknięte. Dlatego tylko kilka słów zanotuję o Andrzeju w Bohdaniszkach, a wrócę zapewne jeszcze do tego tematu. Andrzej zadarł z Elwirą. Wyemancypował się z rygoru domowego, nic w domu i gospodarstwie nie robi, nie stosuje się do żadnego trybu, nie liczy się z nikim i niczym. Elwira skarży się, że stał się „krnąbrny", że ciągle wylatuje z domu, że przyjaźni się z młodszym od siebie i małej wartości chłopcem Antosiem Rosenem, a co w pojęciu Elwiry jest najgorsze i co stanowi największą jej troskę i przedmiot oburzenia – to jego flirt z Lingiówną ze Staczerag. Doszło do tego, że, jak Elwira pisze, Andrzej wręcz zapowiada, że Lingiównę kocha i że się z nią ożeni. Znając Andrzeja, sądzę, że nie jest to poważne i że w istocie ani kocha Lingiówny, ani chce się z nią żenić. Z mojego stanowiska nie gorszyłbym się wcale tym, czym się gorszy Elwira: nie uważałbym za przedmiot zgrozy ani tego, że Lingiówna jest Litwinką, ani tego, że jest ona chłopką z pochodzenia stanowego. Ale małżeństwo takie uważałbym, sądząc z tego, co sądzić mogę, za nieszczęśliwe. Po pierwsze, nie wierzę w „miłość" Andrzeja. „Kocha się" on w tej, jaką przed sobą w tej chwili ma; tak samo „kochał się" na wiosnę w Wandzie, służącej pp. Mašiotasów w Kownie, i bałamucił dziewczynę; tak samo przed rokiem „kochał się" w Bortkiewiczównie, siostrze pani Najowej Wojnarowskiej, tak samo „kochał się" czy bałamucił się w różnych koleżankach w Kownie. Zdaje się, że w jego obecnym usposobieniu i wieku „kochałby się" z tym samym skutkiem w lada spódniczce, zawieszonej na kółku, zwłaszcza gdyby spódniczka miała aromat dziewczęcy. Po drugie, Andrzej ma głęboko wpojone przesądy stanowe, wyróżniające „panów" od ludu czy chłopów, i zarazem ostry nacjonalizm polski, który w jego pojęciach jest jakimś patentem wyższości, czyniącym polskość czymś doskonałym, a litewskość – pośledniejszym. Być może, że w tej chwili, w swoich zapałach miłosnych na bezrybiu do Lingiówny i w swojej odporności przeciwko opozycji Elwiry zapomina on o tej „wyższości polskiej"; ale gdyby się ożenił z Lingiówną – to rychło by do tych swoich pojęć nałogowych wrócił i na tym gruncie doszłoby do ciągłych scysji z tą biedną żoną; i sam by swoje życie wykoleił, i dziewczynę unieszczęśliwił.

21 listopada, rok 1937, niedziela

Chwała Bogu – wrzód w dolnej powiece lewego oka pękł w nocy. Skonstatowała to rano Jadzia, gdy przy opatrunku (wpuszczeniu kropli) zajrzała w głąb powieki. Jednak rano wybrzęknięcie powieki było olbrzymie: tworzyła ona trzy twarde fioletowe koperty, idące od oka w dół do policzka. I przez cały dzień wybrzękłość trwała, choć się cokolwiek może zmniejszyła; oko i powieki były w stanie zapalnym, z oka sączyły się po trochę łzy i wraz z nimi materia z wrzodu, ale materia wydostawała się na zewnątrz bardzo powoli. Czułem się jeszcze źle i z domu nie wychodziłem wcale. Tym serdeczniejszy jest w chorobie i cierpieniu mój stosunek z Jadźką. Jest ona dla mnie wtedy jedynym portem słodkim pociechy i ukojenia. Proszony byłem pójść na pierwszy w tym roku akademickim koncert chóru akademickiego. Byłem przyrzekł pójść i przemówić, ale z takim okiem nie zdecydowałem się na to. Wezwałem prezesa chóru, przeprosiłem go, że nie przyjdę i doręczyłem mu pozdrowienie dla chóru na piśmie.

Jeszcze o Andrzeju. Nie biorę tych jego miłostek i wyłamywania się z rygoru domowego tak tragicznie, jak to czyni Elwira. Są w tym, jak mi się zdaje, dwie rzeczy. Jedna – to jest choroba młodości. Wiara zarozumiała i dumna w to, że swoją głową, swoim uczuciem i wolą zwycięży się świat. Stąd niechęć do wszelkiego autorytetu i posłuchu, lekceważenie opinii starszych, odrzucanie wszelkich więzów. Bodajże każdy młody kiedykolwiek przez to przechodzi, jeden wcześniej, drugi później, jeden łagodniej, drugi ostrzej. I zdaje się, że im szczerszą ma młody naturę, tym ten kryzys przełamania się jest bardziej zapalny. A szczególnie bywa on zapalny i ostry u tych, którzy nie zaznali samodzielności poprzednio i byli wychowani w atmosferze cieplarnianej albo chuchani i pieszczeni w domu u spódnicy matki i fraucymeru, albo hodowani za paniczyków, albo wychowani w sztucznej atmosferze egzaltacji religijnej lub dyscypliny duchowej klasztoru. Im bardziej zeń tam uczyniono pobożną lalkę, opanowaną i wytresowaną, jak cacko cnotliwe i nie znające życia, tym ostrzej się teraz przejawia usamodzielnienie i rewanż natury z jej rozrostem bujnym uczuć i wrażliwości gwałtownej. Potem cztery lata uniwersyteckie spędził u mnie w rygorze domowym bardzo ścisłym i surowym. Tu się trochę zaczął w życiu studenckim rozglądać, nawiązywać stosuneczki koleżeńskie, flirciki etc., ale rygoru domowego jeszcze nie łamał. Teraz w domu, w otoczeniu kobiet i morałów, trochę myszką pleśni trącących, które mu mało imponują i których się nie boi, rozpasał się i rozwydrzył. Poszedł i wypłynął na swobodę. Próżniactwo w Bohdaniszkach, nuda – dopełniają reszty. To się mści wychowanie jezuickie. Choć ściśle biorąc – nic strasznego dotąd nie zrobił. Drugie, co mi się by wydaje w jego stanie obecnym, to robienie na przekór, może nawet na złość. Andrzej ma dużo przekorności kapryśnej w sobie. Im więcej go matka i domowi gryzą, bardziej się gorszą, tym on bardziej na przekór im robi. Ale gotów na przekór się nawet żenić, a to już by mogło być nieszczęście.

22 listopada, rok 1937, poniedziałek

Dziś już z okiem znacznie lepiej. Łzawiło ciągle, materia się sączyła powoli, stan zapalny trwa, ale jest mniejszy. Zmniejszyła się zwłaszcza wybrzękłość powieki. Nie ma też nacisku wrzodu na mięśnie i kości okoliczne. Czułem się lepiej. Od rana do wieczora postęp znaczny. Daj Boże, żeby to już prędzej przeszło. Byłem wieczorem na wykładzie. O południu miałem w rektoracie posiedzenie zarządu akademickiego w sprawie zagadnień, powstających w związku z nowym statutem uniwersytetu.

Wczoraj napisałem w sprawie Andrzeja długi list do Elwiry. Dziś do samego Andrzeja napisałem. Andrzejowi nic nie wspominałem o jego miłostkach i rzekomych zamiarach „matrymonialnych” z Lingiówną, które uważam zgoła za niepoważne i wyrażane przez Andrzeja li tylko na przekór i na złość matce i otoczeniu domowemu, zgorszonemu i przerażonemu tą fantazją młodości, a przeto dokuczliwemu. Jak mówiłem – ja osobiście, wbrew opinii Elwiry i domu Mieczkowskich (a pono, jak przypuszczam, wbrew opinii samego Andrzeja), nie gorszyłbym się wcale małżeństwem Andrzeja z Litwinką i „chłopką” Lingiówną, siostrą Michałowej Nemeikšysowej gdybym był pewny, że u Andrzeja jest miłość głęboka i szczera i gdybym nie uważał, że przekonania nacjonalistyczne i przesądy pańsko-stanowe Andrzeja, wpojone mu i głęboko w jego psychice tkwiące, oraz jego usposobienie kapryśne i przekorne uczyniłoby takie małżeństwo, dokonane na przekór i wywalczone na rodzinie dla kaprysu, nieszczęśliwym tak dla Andrzeja, jak dla jego dziewczyny. Trzeba byłoby tylko Andrzeja wyrwać z Bohdaniszek zaraz. Trzeba go uwolnić od demoralizującego wpływu próżniactwa i humorów w zatargach domowych. Przedstawia się do tego okazja ewentualna, choć jeszcze niepewna, którą wysuwa Diskin. Jest tu w Banku Komercyjnym posada sześciomiesięczna bezpłatna praktykanta. Co prawda, jest bezpłatna, ale cóż robić. Kosztowałoby to Elwirę na pół roku 600 litów, ale oderwałoby Andrzeja od Bohdaniszek, zajęłoby go pracą dyscyplinowaną, dałoby mu staż i praktykę, stanowiącą wyszkolenie poważne. Trzeba by, żeby zaraz przyjechał i zgłosił się do dyrektora Banku Sołowiejczyka, któremu Diskin już mówił o nim. Uważam, że byłoby to dobre, gdyby się udało. Wtedy by się też okazało, czy jest to miłość poważna do Lingiówny, czy tylko fantazja, którą by tu zaćmiły nowe wrażenia i flirciki.

23 listopada, rok 1937, wtorek

Stan oka coraz lepszy. Jest jeszcze lokalne zapalenie, nie tyle powieki, ile samego oka i ciągle się jeszcze sączy trochę materii z pękniętego wrzodu, ale już mniej, niż dni poprzednich. Bardzo znacznie się też zmniejszyła obrzękłość powieki. Trochę jeszcze materia, sącząc się spod wieki na zewnątrz, gryzie i piecze skórę w samym węgłowych punktach, gdzie się schodzą dwie powieki i którędy się zwłaszcza materia wydostaje. Ale na ogół jest już bez żadnego porównania lepiej. Odzyskuję już humor. Miałem dziś w domu egzaminy studenckie ekonomistów, które na ogół były dobre. Z czterech egzaminujących się trzech (dwie studentki i jeden student Żyd) zdało celująco, czwarty – dobrze. W rektoracie miałem posiedzenie zarządu akademickiego i następnie posiedzenie prezydium komisji intelektualnej współpracy międzynarodowej w osobach Trimakasa, Janulaitisa i mojej. Wieczór spędziłem na cichej pracy domowej.

24 listopada, rok 1937, środa

Oko już prawie zdrowe.

Dzień dość pracowity. Byłem też na obiedzie w Rotary-klubie, a o godzinie piątej na wielkiej herbacie proszonej u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa. Była to herbatka tańcząca. Osób parę setek, mniej więcej te same, co wszędzie na uroczystościach i wielkich zebraniach towarzyskich „śmietanki" – śmietanki nie tyle intelektualnej, ile tej, co się ugania za orderami, za błyszczczeniem, za pokazywaniem się wszędzie, gdzie są ministrowie, gdzie jest element władzy. Są to wierzchołki społeczne, mizerne zasługi, pracy i wartości, za to bardzo często wierzchołki pasożytnictwa. Jest tu naturalnie przede wszystkim dyplomacja, tak swoja, jak zagraniczna, są wysokie sfery wojskowe, ministrowie, wysocy urzędnicy, zbliżeni do ministrów, różni dostojnicy, dygnitarze i naczelnicy wielkich instytucji, te same zawsze panie, działaczki albo matrony zajadłe, albo znów flirciarki, szukające okazji do zabawy itd.

25 listopada, rok 1937, czwartek

Na I semestrze tak prawników, jak ekonomistów rozpocząłem w tym tygodniu colloquia semestralne. Miałem dziś o południu posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, wieczorem zaś – posiedzenie senatu akademickiego. W myśl nowego statutu uniwersyteckiego, na posiedzeniu Rady Wydziału dokonano wyborów dziekana, który musi być obecnie zatwierdzony przez ministra oświaty. Wybrany został ponownie Janulaitis. Z pewnością wszystkie wydziały wybiorą tych samych dziekanów. Domyślano się i szerzono pogłoski w czasie długiego szykowania projektu nowego statutu, że nowy przepis o zatwierdzeniu dziekanów wydziałów przez ministra oświaty jest zaprojektowane *ad hominem* – mianowicie dla pozbycia się dwóch niepożądanych dziekanów obecnych: Hrynkiewicza na Wydziale Technicznym, który jest niezdatny, i Krėvė-Mickiewicza na Wydziale Humanistycznym, który jest nieugięty i wciąż ma zatargi z Ministerium Oświaty. Ale Hrynkiewicza już obecnie nie ma; przekroczył on granicę wieku (65 lat) i minister nie prolongował mu terminu, zastąpił go więc znowu jego poprzednik Wasilewski, Krėvė-Mickiewicz zaś pojednał się z ministrem i ministerium, odkąd z ministerium usunął się dr Juška, i teraz komitywa jest dobra.

26 listopada, rok 1937, piątek

Umarł generał Żukowski, wódz naczelny litewski z czasów wojen niepodległościowych. Umarł nagle na serce wieku lat 77. Był to czysty, rycerski, żołnierz doskonały. Cześć jego pamięci.

27 listopada, rok 1937, sobota

Na uniwersytecie zacisze. Prorektor Purėnas zaczyna mieć teraz dużo roboty. Na niego spadło przewodniczenie w komisjach, wyznaczonych przez senat akademicki do opracowania: a. regulaminu uniwersytetu, b. statutu przedstawicielstwa studenckiego na uniwersytecie, c. statutu studenckiej akademickiej Kasy Chorych, d. przepisów o organizacjach studenckich. Jest to cała gałąź

opracowań regulaminowych do wykonania na zasadzie nowego statutu uniwersyteckiego, z którymi trzeba pośpieszyć. Te projekty, ułożone przez odpowiednie komisje, muszą być następnie zaakceptowane przez senat akademicki, a niektóre jeszcze poza tym zatwierdzone przez ministra oświaty. Prace różnych komisji jednoczy prorektor Purėnas.

W rozterce jest Wydział Teologiczno-Filozoficzny. Zwyciężył on o tyle, że komisja sejmowa restaurowała sekcję filozoficzną na tym wydziale i że w statucie uniwersyteckim, uchwalonym przez Sejm, sekcja ta już figuruje. Ale rząd w osobie ministra oświaty od razu zastrzega restrykcje interpretacyjne, zaznaczając, że ta sekcja filozoficzna u teologów może obejmować li tylko filozofię z pedagogią i nie obejmuje w żadnym razie historii i literatury jako pewnych rzekomo gałęzi specjalnych tej sekcji, oraz że dyplom tej sekcji nie daje żadnych kwalifikacji na stanowisko nauczycieli szkół powszechnych, o co teologom właśnie najbardziej chodzi. Teologów to bardzo drażni i niepokoi: mieli oni wrażenie, że zwyciężyli, tymczasem zwycięstwo ich się kwestionuje i nie nadaje mu się tego znaczenia, o jakie im właśnie chodziło.

28 listopada, rok 1937, niedziela

Dzień pogrzebu generała Sylwestra Żukowskiego, pierwszego wodza naczelnego wojsk narodowych Litwy i bohatera wojny niepodległościowej z lat 1919-1920. Zwłoki zmarłego na wsi pozawczoraj generała zostały tegoż dnia sprowadzone do Kowna i w trumnie pięknie wystawionej na widok publiczny w krypcie Muzeum Witolda Wielkiego pod posągiem Witolda, opartego na mieczu. Wieńce, ordery, portret zmarłego na koniu, olbrzymie wstęgi żałobne, zwieszające się z pułapu, wielkie dekorum wspaniałego apartamentu, straż honorowa oficerów i nawet generałów po czterech rogach trumny, stojących bez ruchu i drgnienia jak żywe kolumny – wszystko czyniło wrażenie dość imponujące. Nawiedziłem wczoraj zwłoki i podpisałem się w dwóch księgach kondolencyjnych – dla armii i dla rodziny zmarłego. Obrzęd pogrzebowy rozpoczął się dziś o godzinie drugiej. Apartament, gdzie były ustawione zwłoki, napełnił się wyborową reprezentacyjną publicznością z rządem na czele oraz szczytami wojskowości. Ulice dokoła były pełne ludu i uszykowanych oddziałów wojska różnych gatunków broni. Nabożeństwa żałobnego u zwłok dopełnił superintendent wyznania ewangelicko-reformowanego ksiądz profesor Jakubėnas w asystencji kapelana reformackiego wojskowego Šernasa, albowiem zmarły generał był kalwinem. Pod koniec nabożeństwa i przemówienia wyznaniowego prof. Jakubėnasa przyjechał i wygłosił u zwłok mowę prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona. Następnie wyniesiono wieńce, ordery i trumnę. Nim się wieńce i ordery uformowały w pochód, trumnę ustawiono przed grobem Nieznanego Żołnierza i pomnikiem poległych w walkach o Niepodległość, po czym w obliczu trumny ze zwłokami generała dokonano zwykłej ceremonii uroczystej spuszczenia chorągwi z udziałem inwalidów. Następnie trumnę wyniesiono z ogródka Muzeum Wojennego i ustawiono na lawecie działa, zaprzężonej w sześć koni. Z dwóch stron wozu żałobnego niesiono dwa długie rzędy wielkich płonących pochodni smolnych, za trumną zaś prowadzono pięknego wierzchowca osiodłanego. Kondukt żałobny szedł ulicą Donelaitisa, Dowkonta, Laisvės Aleją i prospektem Witolda. Ja osobiście doszedłem tylko do prospektu Witolda. Kondukt był tak długi, że gdy jego głowa, stanowiąca wieniec prezydenta Rzeczypospolitej, doszła do mogiły, to ogon był jeszcze na ulicy Dowkonta. Wzdłuż całej drogi – wielkie tłumy ludu po bokach. Na pogrzeb przyjechała też nieco spóźniona córka jedyna generała – pani Kowalewska, zamężna i zamieszkała w Polsce, w Warszawie, zawiadomiona pozawczoraj telegraficznie o śmierci ojca. Dane było rozporządzenie do wszystkich posterunków pogranicznych, aby przepuściły p. Kowalewską, gdy się zgłosi. Przyjechała przez Jewje. Do władz polskich zwrócono się z ramienia Litwy za pośrednictwem posła litewskiego w Berlinie Jerzego Šaulysa, prosząc, aby zezwoliły na przyjazd p. Kowalewskiej do Litwy na pogrzeb ojca bez żadnych formalności. Zmarły osierocił też swą staruszkę żonę, która z nim mieszkała tutaj.

29 listopada, rok 1937, poniedziałek

Zaprosiłem dziś do siebie na obiad naszych dwóch profesorów Niemców, wykładających u nas prawo obowiązujące cywilne i karne kłajpedzkie – prof. Baumgartena i prof. Saengera, do towarzystwa zaś im – dwóch naszych asystentów, którzy współpracują z nimi – Jurgutisa młodszego i Čepasa. Prof. Baumgarten, który jest też profesorem czynnym na Wydziale Prawniczym Uniwersytetu w Bazylei, a u nas wykłada li tylko w ciągu semestru jesiennego, niebawem wyjeżdża do Bazylei, gdzie się już rok akademicki rozpoczął. Saenger, którego rodzina też w Bazylei mieszka, nie jest tam jednak profesorem i wykłada u nas przez cały rok akademicki. Saenger jest z pochodzenia Żydem i jako taki stracił katedrę na Uniwersytecie Frankfurckim, albowiem rządy nacjonalsocjalistyczne Hitlera nie tolerują tych, co nie są „rasowymi" Aryjczykami. Baumgarten jest Szwajcarem naturalizowanym, toteż jego nie dotyczą przepisy rasizmu niemieckiego, ale zdaje mi się, że też Aryjczykiem czystej krwi nie jest. Są oni obaj ludźmi pracowitymi i wartościowymi, Baumgarten zaś jest szczególnie sceptyczny. Ponieważ tej jesieni mało miałem okazji do obcowania z nimi, więc teraz przed wyjazdem Baugartena zaprosiłem ich do siebie.

30 listopada, rok 1937, wtorek

Z domu mało wychodziłem. Miałem egzaminy studentów z prawa konstytucyjnego litewskiego. Poza tym musiałem się przygotować do odczytu, który mam mieć jutro w Rotary-Klubie w przedmiocie instytucji międzynarodowej komisji koncyliacyjnych w związku z moim udziałem w komisji koncyliacyjnej duńsko-litewskiej. Jest to temat dosyć delikatny dla pogadanki publicznej, bo o istocie tej instytucji, mało dotąd wypróbowanej, dużo się powiedzieć popularnie nie da, o samej zaś istocie sporu duńsko-litewskiego, będącego przedmiotem tej komisji konkretnej, można nadmienić tylko bardzo ostrożnie i przedmiotowo, unikając wszelkiego wartościowania dwóch tez przeciwnych, albowiem jako członkowi komisji, która ma spór dopiero rozpoznać i której funkcje są badź co bądź quasi-sądowe, nie wypada i nie wolno mi wchodzić w szacowanie argumentów stron. Boję się więc, żeby mój referacik nie był blady i zasadny. Miał to być referacik skromny, jak przeciętny referacik obiadowy naszego klubu, atoli na ten jutrzejszy obiad klubowy zgłosił swoją wizytę w charakterze gościa premier Tubelis, który to uczynił właśnie ze względu na mój referat, który go interesuje. Uczyni to obiad klubowy szczególnie uroczystym i da wielkie dekorum mojemu odczytowi, przez to samo zwiększając moją, jako prelegenta, odpowiedzialność.

1 grudnia, rok 1937, środa

Miałem dziś wielki sukces w Rotary-Klubie. Mój referacik na obiedzie klubowym udał się świetnie. Trochę się go obawiałem, bo się obawiałem mianowicie, żeby się nie wydał blady i wodnisty. W istocie bowiem w całokształcie systematycznym form i środków utrzymania pokoju i porządku prawnego w obcowaniu międzynarodowym komisje koncyliacyjne, o których mówić miałem, stanowią dotąd formę zgoła niewypróbowaną i jeno teoretyczną, której brak wyrazistości żywej i czynnej. W meritum zaś sporu duńsko-litewskiego wchodzić głęboko nie mogłem jako członek komisji, która ma dopiero spór ten rozpoznać i której członkowie przeto nie mogą z góry i publicznie wypowiadać się *in merito* sporu. W tym zakresie wolno co najwyżej ściśle przedmiotowo określić przedmiot sporu i same tezy stron, nie wdając się w analizę i wartościowanie tych tez. Dla zwykłego pospolitego obiadu Rotary to by uszło, ale obiadowi temu nadano właśnie charakter szczególnie uroczysty i to właśnie w związku z referatem moim tak co do jego treści, jak co do osoby prelegenta. Albowiem właśnie ze względu na ten referat zaproszono na obiad klubowy prezesa ministrów Tubelisa, który też sam swoją wizytę klubowi zechciał nawiązać do mojego odczytu o komisjach koncyliacyjnych w związku z rozpoczęciem czynności przez komisję duńsko-litewską. W związku zaś z wizytą premiera prezydium klubu rozesłano do wszystkich członków specjalne wezwanie do jak najliczniejszego stawienia się. Co prawda, przygotowałem się wczoraj i dziś rano starannie, wynotowałem sobie wszystko, co się da istotnego i ciekawszego o tych komisjach powiedzieć... Gdym przyszedł na obiad, zastałem już bardzo liczną asystencję członków klubu i dużo gości. Do obiadu był nakryty w drugiej sali w głębi stół specjalny w kształcie rosyjskiej litery П (p),

jak za wizyty prezydenta Smetony przed rokiem. Niebawem i Tubelis przyjechał. Całe towarzstwo zasiadło do stołu. Siedziałem między Tubelisem a posłem czesko-słowackim Skalickym. Przed deserem prezes Rotary-Klubu kowieńskiego Karol Żołkowski wygłosił przemówienie do Tubelisa, po czym przyszła kolej na mój referat. Wygłosiłem go stojąc i z pamięci, z rzadka tylko dla pewnych stwierdzeń precyzyjnych posługując się notatką. I stwierdziłem raz jeszcze, że im uroczystsze jest zebranie, tym lepiej mi się udaje mowa. Jest to charakterystyczne u mnie. Okazało się, że nie tylko nie znudziłem, ale niezwykle zainteresowałem słuchaczy. Zresztą wszystko w moim odczycie było dla nich rewelacją. Odczyt zaś im dałem bardzo dobrze uporządkowany i logicznie prawniczo zbudowany. Medycy, którzy byli pośród słuchaczy, mówili potem, że referat mój stanowił studium „histologiczne" organizmu funkcjonalnego międzynarodowego, to znaczy dał doskonałą analizę rozbudowy tkanek i komórek pewnego procesu funkcjonalnego. Zainteresowano się powszechnie problemem naszej komisji duńsko-litewskiej, zainicjowującej w praktyce funkcje tej instytucji międzynarodowej. Winszowano mi i stwierdzono, że dopiero przez mój jasny i logiczny wykład zaświtało im w głowie i rzecz stała się niezwykle ciekawa. Ja mu też rad byłem.

2 grudnia, rok 1937, czwartek

Nic bardzo szczególnego w dniu dzisiejszym. Miałem zaproszenie na śniadanie do posła francuskiego p. Dulonga. Żadnej okazji szczególnej dla tego śniadania nie było. Zdaje się, że to było śniadanie na rzecz utrzymania kontaktu ze społeczeństwem. Zaproszeni i obecni byli: ja, prof. Pakštas, mój asystent Konstanty Raczkowski, adwokat Robinzon, redaktor „Lietuvos Aidasu" Alantas-Jakšewič, redaktor „Lietuvos Žinios" Kardelis, docent czy asystent na Wydziale Teologicznym Dailininkaitis, który, zdaje się, ma jakiś kontakt z redakcją katolickiego dziennika „XX amžius" i lektor języka francuskiego na uniwersytecie Schmittlein. Po śniadaniu miałem rozmowę z posłem Dulongiem w aktualnej i dosyć drażliwej sprawie obsadzenia katedry francuskiej na Wydziale Humanistycznym, wakującej po śmierci prof. Dubasa. Poselstwo francuskie życzyło sobie bardzo zainstalowania na tej katedrze Schmittleina. Ale Schmittlein, który ma bardzo wielki mir u swoich słuchaczy – studentów i studentek – i jest bardzo zdolnym wykładowcą, nie ma wcale miru ani wśród profesury i w dziekanacie Wydziału Humanistycznego, ani też w kołach kierowniczych Towarzystwa Litewsko-Francuskiego (zwłaszcza u p. Urbšysowej). Zresztą wydział podnosi przeciwko kandydaturze Schmittleina wzgląd formalny – że nie ma on stopnia naukowego (skądinąd podnosi i to, że jest zaangażowany w dziennikarstwo polityczne jako korespondent agencji Havasa i pisujący artykuły natury politycznej w klerykalnym „XX amžius"). Rada wydziału ogłosiła konkurs na rzecz objęcia katedry po Dubasie. Kamieniem obrazy poselstwa francuskiego jest to, że dziekanat wydziału, ogłaszając konkurs, zwrócił się nie tylko do czynników francuskich, ale także do konsulatu szwajcarskiego i bodajże belgijskiego. Francja uważa, że wtedy, gdy rząd litewski zarządził nauczanie powszechne języka francuskiego w szkołach średnich, Francja zaś, reagując na to, przysłała dwóch nowych lektorów języka francuskiego, których sama dodatkowo opłaca, i ofiarowała duże zbiory książek tak dla Biblioteki Uniwersytetu, jak dla tworzonego przy Wydziale Humanistycznym specjalnego Instytutu Francuskiego w związku z tym wprowadzeniem nauczania francuskiego w szkołach średnich, należało się jej przynajmniej tyle, żeby było zastrzeżone stanowisko na wakującej katedrze li tylko Francuzowi bez konkurencji ze Szwajcarami lub Belgami. Teraz jest już zgłoszona kandydatura Francuza ze wszystkimi formalnymi kwalifikacjami naukowymi i jest nadzieja, że wydział tę kandydaturę przyjmie, zwłaszcza że i rząd ją poprze, ale bądź co bądź to traktowanie konkurencyjne Francji ze Szwajcarią i Belgią bardzo obeszło Francuzów, jak również nie podoba się im to, że Wydział Humanistyczny usiłuje nazwać tworzony z inicjatywy rządowej Instytut Francuski Instytutem Romanistyki, co nie jest to samo.

Mamy dobrą sanną, przejechałem się z Jadźką sankami po mieście i korzystając z ciemnego wieczora i słabego oświetlenia ulic... pocałowałem ją w sankach na ulicy Donelaitisa w usta.

3 grudnia, rok 1937, piątek

Konferowałem dziś poufnie z naszymi byłymi profesorami Bielackinem i Stankiewiczem w sprawie ewentualnego ich powrotu do uniwersytetu. Jak wiadomo, byli oni zmuszeni usunąć się z uniwersytetu w roku 1935, albowiem w myśl nowej ustawy o sądownictwie połączenie adwokatury ze służbą państwową zostało zabronione, oni zaś ze względów materialnych nie zdecydowali się na porzucenie adwokatury. Obecnie nowy statut uniwersytecki przewiduje nową kategorię quasi-profesorów pod nazwą „lektorów nieetatowych", dla których nie są wymagane kwalifikacje formalne i którzy tytułu profesora ani docenta nie mają, ale mogą zasiadać w Radzie Wydziału; angażowani być mogą na zasadzie umowy prywatnej i nie mają praw służby państwowej. Ponieważ tacy lektorzy nieetatowi nie są zaliczani do służby państwowej, więc zdawałoby się, że mogą być w tym charakterze angażowani i adwokaci, którym ustawa o sądownictwie zabrania li tylko „służby państwowej". Dla Wydziału Prawniczego odzyskanie tych dwóch sił straconych, a bądź co bądź wartościowych byłoby bardzo pożądane, nim się wzmocnią młodzi asystenci, którzy dziś zamiast nich wykładają i którzy są jeszcze słabi. Jest jednak pewne ryzyko, że minister sprawiedliwości Šiling, który jest inicjatorem tego zakazu łączenia adwokatury „ze służbą państwową" i który tę inicjatywę zakazu stosował poniekąd „*ad personam*" do Stankiewicza i Bielackina, może ten zakaz interpretować rozciągle i przeto rozciągać go i na stanowisko lektorów nieetatowych, jako quasi-służbowe, a wtedy, o ile by zostali oni zaangażowani i o ile by umowę z nimi minister oświaty zatwierdził, gotów byłby (Šiling) usunąć ich na tej zasadzie z adwokatury. Jednak Bielackin i Stankiewicz chcą ryzykować. Na razie chodziło mi tylko o konfidencjalne wybadanie Stankiewicza i Bielackina, jak by się oni stosowali do ewentualnej propozycji wydziału, bo jeszcze formalnie kwestia nie wszczęta. Wydział tej kwestii jeszcze nie rozpoznawał.

4 grudnia, rok 1937, sobota

Odwiedziłem chorego obłożnie prezesa Trybunału Ludwika Ciplijewskiego, który we wrześniu zachorował poważnie i odtąd leży. Uformował mu się jakiś skrzep krwi, pono w samym sercu, bardzo niebezpieczny. Zachodziła obawa o życie. Leczy go Gudowicz, były konsylia. Życie uratowano, ale niebezpieczeństwo usunięte nie jest. Ciplijewski jest odtąd ciągle trzymany w łóżku i to tak ściśle, że nie wolno mu nie tylko wstawać i chodzić, ale nawet siadać i ruszać się. Sił miałby dość, ale każdy ruch jest dlań niebezpieczny. Przewracają go na łóżku, przenoszą z jednego łóżka na drugie. Przytomny jest zupełnie, w pełni sił psychicznych, ale kto wie, czy odzyszcze zdolność do pracy. Szkoda go byłaby, bo jest to człowiek rozumny i wartościowy bardzo. Ciężki jest taki stan.

Po obiedzie jeździłem z Jadzią po mieście, korzystając z sanny, byliśmy też w kawiarni. Następnie byłem u Janulaitisa na zebraniu Towarzystwa Historyków, które jednak bardzo rośnie. Oto pokaźna (względnie) grupa osób, która dziś była w charakterze członków na odczycie Purėnasa o zjeździe prahistoryków w Elblągu w Niemczech: Janulaitis, ja, Volter, p. Urbšysowa, p. Novakasowa, Jonynas, Purėnas, Iwiński, Šapoka, młody Avižonis, Wasilewski, Galaunė i jeszcze paru innych. I oto nie są wszyscy jeszcze.

Wieczorem był u mnie Hektor Komorowski, który niedawno jeździł do Berlina na wystawę międzynarodową łowiecką z ramienia Litewskiego Towarzystwa Myśliwskiego i stamtąd wpadł na trzy dni do Polski i odwiedził w Katowicach i Sosnowcu matkę i siostry swoje.

5 grudnia, rok 1937, niedziela

Rano, korzystając z doskonałej sanny i ślicznej pogody słonecznej, pojechaliśmy z Jadzią w okolice VII fortu w głębi rejonu Zielonogórskiego miasta aż het nad zboczami Wilii, gdzie rozpoczęta została w tym roku wielka budowa całego bloku klinik uniwersyteckich. Jest tam na co popatrzeć. W pięknej miejscowości z rozległymi widokami na dolinę Wilii i linię jej zboczy, już właściwie za miastem, wyrastają z ziemi potężne korpusy gmachów zasadniczych i różnych oficyn, dokoła różne instalacje, baraki, korytarze, wydrążone w ziemi... Byliśmy sami, nikt nas nie oprowadzał i nie udzielał wyjaśnień, kręcili się tam robotnicy i pracownicy administracji, ale nikt z nich nie wiedział, że jestem rektorem uniwersytetu, do którego będą należały te kliniki, toteż nikt na

nas uwagi nie zwracał. Stamtąd ulicą Utenos i brzegiem Wilii wróciliśmy do miasta i do domu. Na obiad poszliśmy do restauracji Metropolu, a potem jeszcze, od godz. ósmej do dziesiątej do kina na przedstawienie filmu sowieckiego „Poszukiwacze szczęścia" z życia osadnictwa żydowskiego w Birobidżanie w tajgach nad dalekim Amurem.

6 grudnia, rok 1937, poniedziałek

Projekt konstytucji, opracowany przez Šilinga z Mašalaitisem, rozpoznany przez Gabinet Ministrów w długim szeregu posiedzeń, przerobiony nieco, został świeżo wydrukowany, ale nie do użytku publicznego. Otrzymałem go konfidencjalnie z rąk Mašalaitisa i ja. Nie wystudiowałem go jeszcze szczegółowo, jeno go nieco przejrzałem. Nie jest on jeszcze, zdaje się, ostateczny i kategoryczny. Z rozmowy z Mašalaitisem zrozumiałem, że mogą być jeszcze uwzględnione różne obserwacje. Poczyniłem dziś w rozmowie z Mašalaitisem kilka takich obserwacji, zresztą raczej epizodycznych i tylko jedną bardzo istotną. Oczywiście, gdyby chodziło o całokształt obserwacji, to należałoby przede wszystkim rozpocząć od najistotniejszej, od samego tytułu konstytucyjnego tej zamierzonej rewizji konstytucyjnej. Moim zdaniem – i w tym się zgadzam z całą opozycją, która zresztą głosu w tej sprawie nie ma – takiego tytułu nie ma. Konstytucja obowiązująca z roku 1928 takiego tytułu nie daje. Mówi ona wprawdzie o tym, jak może być reformowana konstytucja, udzielając w tym względzie uprawnień Sejmowi i rządowi, ale chodzi o to, że ona sama nie jest jeszcze zalegalizowana tak, jak ona to uroczyście przewiduje. Była ona oktrojowana przez rząd poprzewrotowy, ale nie jako akt ostateczny, jeno jako wniosek, zgłoszony narodowi, który w ciągu 10 lat ma o niej orzec. Dano jej więc podstawę demokratyczną. Uprawnić się ona winna przez akceptację ludową. Termin akceptacji upływa w maju 1938, ale dotychczas procedury akceptacji nie zarządzono. Pozostaje więc ona wnioskiem, któremu wprawdzie nadano moc działania, ale oczywiście w charakterze prowizorium konstytucyjnego. W tej konstrukcji stać się ona może konstytucją ostateczną dopiero po akceptacji demokratycznej. Wtedy, o ile zostanie zaakceptowana, może ona być reformowana tak, jak ona to przewiduje. Ale czy może być wniosek uczyniony – reformowany w trybie przezeń przewidzianym dla reformy konstytucji, nie zaś wniosku, albo czy może być wniosek cofnięty? Sądzę, że i jedno, i drugie łamie konstrukcję z roku 1928.

7 grudnia, rok 1937, wtorek

Minister spraw zagranicznych Lozoraitis, który jutro udaje się do Tallina w Estonii na zjazd ministrów spraw zagranicznych trzech państw Związku Bałtyckiego (Litwy, Łotwy i Estonii), zwrócił się dziś do mnie listownie z propozycją urzędową przyjęcia stanowiska sędziego narodowego *ad hoc* z ramienia Litwy w Trybunale Międzynarodowym w Hadze w sprawie, wytoczonej Litwie przez Estonię w przedmiocie kolejki wąskotorowej Poniewież-Święciany. Lozoraitis prosił mię o szybką odpowiedź przed wyjazdem jego do Estonii. Zgodziłem się. Oczywiście Lozoraitis przewiduje, że na zjeździe ministrów w Tallinie może być potrącone o tę sprawę, toteż chce, żeby ze strony Litwy wszystko było w tej sprawie formalnie ustalone, a więc i osoba sędziego narodowego w Trybunale. Formalnie oczywiście wytoczenie tej sprawy Litwie przez Estonię nie stanowi aktu wrogiego, albowiem chodzi o spór cywilno-prawny, nie polityczny, metoda zaś sądowa do likwidacji sporu jest metodą kulturalną i pokojową, której nic zarzucić formalnie nie można. Ale sam fakt istnienia sporu, dla którego strony nie zdołały ustalić rozwiązania i porozumienia się bezpośrednio, rzuca bądź co bądź pewien cień na stosunek „sojuszniczy" tych dwóch państw, należących do Związku Bałtyckiego. Ze stanowiska związkowego arbitraż byłby tu może właściwszy. Skądinąd Związek Bałtycki jest wciąż podminowany zjednywaniem Łotwy i zwłaszcza Estonii przez Polskę, co także wyraziło się świeżo w pewnych krokach Polski. Estonia jest bardzo pochopna na wszelkie zbliżenia z Polską, a w ostatnich czasach w prasie estońskiej były dość jaskrawe, chociaż tylko prywatne, wystąpienia przeciwko kierunkowi zbliżenia bałtyckiego z Łotwą i Litwą. Związek Bałtycki z roku 1934 zbyt mocny nie jest – to fakt.

Co do mojego udziału w sprawie estońsko-litewskiej w Hadze, to sam nie wiem, czy mam się tego cieszyć czy nie. Sprawa kłajpedzka w Hadze z roku 1932, trudniejsza i odpowiedzialniejsza, bo wybitnie polityczna i dotycząca bardzo żywotnych interesów Litwy, zakończona bardzo pomyślnie, zostawiła mi wspomnienia przyjemne o Trybunale. Zawsze też tęskniłem do tego, aby znów w Trybunale w Hadze zasiąść. Teraz jednak, gdy to się staje konkretne, odczuwam niepokój. Niełatwe to zadanie i wielki trud. Materialnie to dla mnie dobre, może mi pomóc nadpłacić długi po Maryni i wybudować w Bohdaniszkach świronek, ale kosztować będzie nerwów i będzie męczące, a co do skutku – to zawsze babka na dwoje wróżyła. Sprawy tej spodziewam się na maj-czerwiec.

8 grudnia, rok 1937, środa

Zaprosiłem dziś do restauracji „Metropolu” na obiad Eugeniusza Römera i jego syna Redzia (Rocha-Edwarda), który niebawem kończy odbywać powinność wojskową (służy w oddziałach technicznych i dosłużył się stopnia podoficerskiego kaprala) i który po odbyciu wojskowości w kraju jedzie znów do Lwowa, aby tam dokończyć egzaminy na Politechnice i uzyskać dyplom. Rozmawiałem z Eugeniuszem o Andrzeju Mieczkowskim. Do Eugeniusza zwracała się Elwira i Andrzej, prosząc, aby wyrobił dla Andrzeja posadę w Banku Polskim (właściwie „Polskim Towarzystwie Drobnego Kredytu”), w którego Radzie Eugeniusz zasiada. W kowieńskim „Banku Polskim” Eugeniusz nie obiecuje nic dla Andrzeja znaleźć, ale powiada, że byłyby szanse przyjęcia go na praktykę – wprawdzie bezpłatną – w takimże „Banku Polskim” w Poniewieżu. Uważam, że to byłoby dobre zaczepienie się na początek i oderwanie Andrzeja od próżniactwa w Bohdaniszkach i od kwasów rodzinnych, powstałych na gruncie jego amorów z Lingiówną, mogących w tej atmosferze i w przekornym usposobieniu Andrzeja, podniecanym przez dogryzanie Elwiry, doprowadzić do konsekwencji nieobliczalnych. Naturalnie, że Elwira już napisała do Eugeniusza wszystkie swoje żale na Andrzeja. Co do wysłania Andrzeja do Polski bez uzyskania dyplomu uniwersyteckiego w Kownie dla skierowania go do szkoły podchorążych w Polsce, Eugeniusz uważa ten projekt za chybiony, po pierwsze dlatego, że będzie to zmarnowaniem jego czteroletnich studiów uniwersyteckich, a po wtóre dlatego, że ta podchorążówka bez wykształcenia akademickiego wepchnie na tory zawodu oficerskiego bez żadnej przyszłości i perspektyw. Jest to droga osłów i rozmaitych niedouczonych wykolejeńców, których rodzina, nie wiedząc, co z nimi począć i gdzie ich w Litwie wepchnąć, wysyła do Polski, byle ich gdzieś wścibić. Nie wiem, czy Eugeniusz pisał o tym do Elwiry i czy ją przekona. Mam wrażenie, że przekonać ją trudno, bo z jednej strony jest ona przejęta strachem panicznym przed Lingiówną i w przerażeniu nie potrafi na chłodno rozważać, zwłaszcza że już w ogóle ciężko się orientuje, z drugiej zaś strony nastraja ją na rzecz wysłania Andrzeja do Polski Helcia, która zdobyła duży wpływ na Elwirę i która w ogóle jest mało inteligentna i jest zupełnie opanowana przez ślepą niechęć do Litwy i idealizowanie naiwne wszelkich doskonałości Polski, a może, może... i przez podświadomą chęć zlikwidowania Andrzeja na terenie Bohdaniszek, stanowiących jej podstawę bytu.

Wieczorem byłem na koncercie chóru akademickiego na uniwersytecie. Wykonywano utwory kompozytora Jokubėnasa, syna profesora. Był śpiew chóru, śpiew solowy piękny p. Zauniusowej, gra na skrzypcach, wiolonczeli i fortepianie. Musiałem też ja przemawiać.

9 grudnia, rok 1937, czwartek

Na posiedzeniu nieformalnym sekcji prawniczej Wydziału Prawniczego ustalony dziś został wniosek o zaangażowanie w charakterze tzw. „lektorów nieetatowych” byłych profesorów naszych – adwokatów Bielackina (prawo cywilne) i Stankiewicza (prawo karne i ewentualnie historia filozofii prawa). Uchwalono ich angażować od nowego roku akademickiego. Wniosek sekcji prawniczej zostanie zgłoszony do rezolucji na najbliższym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Że Rada rezolucję tę przyjmie – to nie ulega wątpliwości, bo nasza Rada Wydziału, złożonego z dwóch sekcji, wnioski, zgłaszane przez sekcję, właściwie tylko rejestruje; ale czy się to uda – to zależy od aprobaty rządu – tak ministra oświaty, jak prezydenta Rzeczypospolitej, a to nie jest jeszcze pewne. Przede

wszystkim Šiling może upierać się przy interpretowaniu zakazu służby państwowej dla adwokatów jako rzekomo obejmującego także stanowisko „lektorów nieetatowych", stworzonych przez nowy statut uniwersytecki, choć interpretacja ta nie byłaby ścisła. Ale poza tym może być też sprzeciw ze względu na osoby, zwłaszcza Stankiewicza, który jest traktowany jako „*enfant terrible*" i któremu nie zapomniano jego wystąpień w procesie kłajpedzkim Sassa, Neumanna i towarzyszy. Bielackin tego odium na sobie nie ma, ale jest Żydem, toteż zbytnio się kwapić na jego osobę sfery rządowe nie będą.

Wieczorem były posiedzenia senatu akademickiego, względnie krótkie.

Zachodzą jakieś dziwne tarcia w kwestii obsadzenia katedry romanistyki (właściwie języka i literatury francuskiej) na Wydziale Humanistycznym, wakującej po zmarłym prof. Dubasie. Na razie ze strony poselstwa francuskiego był forsowany Schmittlein. Ministerium Oświaty też, zdaje się, jego kandydaturze sprzyjało, ale wydział był jej niechętny i rozpisał konkurs. Wtedy kwestia skoncentrowała się na tym, żeby wybór został udzielony obywatelowi francuskiemu, nie zaś szwajcarskiemu lub belgijskiemu. Ze strony francuskiej kandydat bardzo dobry się znalazł i były już wszelkie szanse, że Rada Wydziału, która ma w tej kwestii obradować jutro, wybierze Francuza. Zdawało się, że wszystko jest na dobrych torach, choć wśród młodzieży (słuchaczy Schmittleina, romanistów), także z kół klerykalnych i wreszcie ze strony prof. Jonynasa nie ustawały zabiegi na rzecz osoby Schmittleina. Aż oto nagle dziś wprawdzie poufnie, ale bardzo kategorycznie zainterweniował minister Tonkunas, zastrzegając, że niezbędne jest wybranie li tylko takiego kandydata, który zna język litewski. Wszakże w konkursie takiego warunku nie było, a przeto byłoby dosyć dziwne odrzucić kandydatury zgłoszone i mające wszelkie kwalifikacje – li tylko dla braku tego warunku nie zastrzeżonego w konkursie. Dziekan Krėvė-Mickiewicz pójdzie jutro rano konferować w tej kwestii z ministrem. Kandydatura kandydata francuskiego jest zgłoszona przez rząd francuski, zalecona przez posła Klimasa i Ministerium Spraw Zagranicznych nasze. Jakże je odrzucić dla... nieznajomości języka litewskiego. A jeżeli wydział ją przyjmie, to jakże minister oświaty ją odrzuci? Będzie to względem Francji co najmniej niewłaściwe. Czyżby się ta presja robiła na rzecz Schmittleina i czyżby to była jego i jego przyjaciół intryga, jak sądzi Krėvė-Mickiewicz?

10 grudnia, rok 1937, piątek

Na godzinę pierwszą wezwany zostałem przez prezesa ministrów Tubelisa do lokalu Gabinetu Ministrów. Okazało się, że chodzi o zasięgnięcie mojej opinii co do legalności rewizji czy reformy konstytucji (o czym przed kilku dniami w dzienniku pisałem) i ewentualnie o sposób zalegalizowania konstytucyjnego tej operacji. Powiedziałem to, co ze stanowiska prawnego uważam za niewzruszone. Ponieważ konstytucja z roku 1928, ogłoszona przez rząd faktyczny, wyłoniony z zamachów stanu 1926 i 1927 r., przewiduje jej potwierdzenie przez lud w drodze referendum w przeciągu lat 10, to znaczy do 15 maja 1938, przeto jest ona formalnie li tylko wnioskiem konstytucyjnym, który się przetworzy w konstytucję formalną dopiero po akceptacji wniosku władzy faktycznej przez lud. Taka jest konstrukcja demokratyczna reformy konstytucyjnej z roku 1928, która cofnięta nie została. Jednocześnie do czasu akceptacji ludowej wniosek konstytucyjny z roku 1928 działa w charakterze prowizorium konstytucyjnego. Cofnięcie wniosku konstytucyjnego lub arbitralne jednostronne zreformowanie go przez organy władzy, działające prowizorycznie, byłoby nowym aktem przewrotu konstytucyjnego, łamiącym konstrukcję. Jasne jest, że prowizorium nie może obejmować kategorycznego i ostatecznego reformowania konstytucji wnioskowej, choćby ono było dokonane w trybie, przewidzianym we wniosku na rzecz reformowania konstytucji. Chcąc więc obecnie dokonać reformy konstytucji, nie zrywając z konstrukcją demokratyczną z roku 1928, należałoby przede wszystkim dokonać aktu akceptacji wniosku konstytucyjnego i dopiero reformować ją w trybie, przewidzianym w niej. Wszelka inna droga jest drogą bądź co bądź przewrotową. W naradzie dzisiejszej, która miała poprzedzić jutrzejszą naradę nieco szerszą (mają w niej wziąć udział niektórzy wybitniejsi członkowie Sejmu – Merkys, Indrišiunas... – także rzeczoznawcy – ja, prezes Sądu Apelacyjnego Gudowski, Konstanty Raczkowski...), brali udział tylko prezes ministrów

Tubelis, minister sprawiedliwości Šiling, który jest głównym inspiratorem reformy konstytucyjnej i w ogóle zawodowym kombinatorem wszelkich wykrętów i sztuczek, naciągających formę prawną do tendencji politycznych, Mašalaitis i ja. Chodziło o przedwstępną naradę specjalnie ze mną. Czynniki rządowe nie chcą jednak dokonywania aktu referendum w przedmiocie konstytucji z r. 1928. Nie ufają ewentualnym wynikom tego referendum, boją się akcji agitacyjnej, związanej z takim referendum, skądinąd podnoszą też ten wzgląd, że poddawanie głosowaniu konstytucji, którą się właśnie zamierza reformować, po pierwsze, zakrawa na komedię, a po drugie, utrudnia jej reformowanie, albowiem w razie jej zaakceptowania wzmocniłoby jej autorytet demokratyczny. Tak czy owak – rząd nie chce tego referendum. Toteż na naradzie dzisiejszej przyjęto kombinację pośrednią. Chodziłoby o to, żeby jednocześnie z uchwaleniem przez Sejm zreformowanej konstytucji uchwalić ustawę o jej akceptacji demokratycznej, wychodząc z założenia, że zaakceptowanie zreformowanej konstytucji pokrywa i obejmuje akceptację i jej poprzedniczki, w której trybie dokonano reformy, a przeto odchyla wszelką potrzebę specjalnego aktu akceptacji tego poprzedniego wniosku konstytucyjnego. Ale akceptacja demokratyczna reformy konstytucyjnej byłaby dość wykrętna (jest to koncepcja Šilinga): referendum byłoby zarządzone, gdyby w ciągu trzech miesięcy zażądało go 50 000 obywateli; w przeciwnym razie – akceptacja byłaby dokonana w drodze *tacitus consensus*.

11 grudnia, rok 1937, sobota

Jak wczoraj, tak dziś miałem dzień bardzo przepełniony pracą. Wczoraj bowiem, oprócz udziału w naradzie zarządzonej przez Tubelisa w sprawie legalizmu reformy konstytucyjnej, miałem też całe poobiedzie zajęte: o godzinie piątej w sali uniwersyteckiej miał miejsce odczyt znanego uczonego geografa angielskiego (nazwiska nie pamiętam), kierownika wielkich wypraw na szczyt najwyższy na świecie góry Everest w Himalajach, który mówił o takiej wyprawie, ilustrując odczyt obrazami świetlnymi i małym zdjęciem filmowym kinematograficznym; choć odczyt był zarządzony przez Ministerium Spraw Zagranicznych, ale ponieważ odbywał się w lokalu akademickim, wypadło mi być na nim, pomimo że prelegent przemawiał po angielsku, więc nic nie rozumiałem i pocieszałem się widokami na ekranie; po tym odczycie sam miałem wykład akademicki bieżący dla ekonomistów i coloquium następnie, a potem jeszcze u Mašalaitisa posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich.

Dziś dzień był równie pracowity, zwłaszcza po obiedzie, choć i w rektoracie miałem dosyć roboty. Po obiedzie miałem dwie czynności. Na godzinę piątą wyznaczony był w Towarzystwie Prawniczym (w sali posiedzeń Trybunału Najwyższego) mój odczyt, który miał być powtórzeniem mego odczytu o instytucji komisji koncyliacyjnych, wygłoszonego niedawno na obiedzie Rotary-Klubu. Wygłoszenie czy też powtórzenie tego odczytu sam zaproponowałem zarządowi Towarzystwa Prawniczego, którego jestem członkiem honorowym. Zarząd chętnie propozycję przyjął. Wszakże dziś o południu telefonował do mnie do rektoratu w tej sprawie Bizowski z Ministerium Spraw Zagranicznych, zastępujący na razie nieobecnego ministra Lozoraitisa i wiceministra Urbšysa. Zwracał on moją uwagę, czy taki odczyt, wygłoszony przeze mnie jako członka komisji koncyliacyjnej duńsko-litewskiej, nie będzie kolidował z zasadą poufności działania tych komisji. Odpowiedziałem Bizowskiemu, że mówić będę tylko o instytucji tych komisji, nie zaś konkretnie o komisji duńsko-litewskiej i jej działalności, jak również o sporze duńsko-litewskim. Ponieważ odczyt w Towarzystwie Prawniczym jest bądź co bądź bardziej publiczny, niż referacik członkowski na obiedzie Rotary-Klubu, więc tutaj tym razem nie dotknąłem nawet samego przedmiotu sporu duńsko-litewskiego ani przedmiotowej ekspozycji tezy duńskiej i tezy litewskiej w tym sporze, co zrobiłem w Rotary-Klubie. Tutaj w Towarzystwie Prawniczym mówiłem wyłącznie o komisji koncyliacyjnej jako takiej, jako instytucji, jako pewnej formy w systemie środków utrzymania pokoju i ładu prawnego w społeczności międzypaństwowej. Osób na odczycie było niedużo – ze 25-30, ale była to na ogół elita prawników zawodowych (prof. Leonas, prof. Bielackin, prof. Tumėnas, prezes Sądu Apelacyjnego Gudowski, Byla, Toliušis, Robinzon, Fridsztein, Sugintas,

wiceprezes Trybunału Maciej Čepas i inni). Odczyt był niezły, dla większości był rewelacyjny, ale na ogół nie tak świetny, jakim był poprzedni na tenże temat w Rotary-Klubie.

Od godziny pół do ósmej do pół do dziesiątej w lokalu Gabinetu Ministrów byłem na zebraniu czy raczej naradzie, zwołanej przez podkomisję prawniczą Komisji Konstytucyjnej sejmowej. Ponieważ tak w samym Sejmie, jak w Komisji Konstytucyjnej sejmowej ujawniły się bardzo poważne i bez wątpienia zasadne wątpliwości co do legalizmu konstytucyjnego zamierzonej przez rząd reformy konstytucyjnej bez odwołania się do ludu w przedmiocie konstytucji zasadniczej, uprawniającej reformę, pomimo że konstytucja ta przewiduje i ustanawia takie odwołanie się w celu nadania jej tytułu demokratycznego, więc komisja konstytucyjna wyłoniła z siebie podkomisję, złożoną ze wszystkich prawników, należących do Sejmu; a jest ich ogółem w Sejmie czterech – Merkys, Indrišiunas, Pimpė i Borkowski. Otóż ta podkomisja prawników urządziła naradę z rzeczoznawcami konstytucyjnymi w osobach mojej, Mašalaitisa, prezesa Izby Apelacyjnej Gudowskiego i mojego asystenta Konstantego Raczkowskiego (tego ostatniego nie znaleziono, toteż nie był). Ale o tej ciekawej naradzie i na ogół o tej materii napiszę już w Bohdaniszkach.

12 grudnia, rok 1937, niedziela

Kwestia i narady w sprawie reformy konstytucji odkładam do Bohdaniszek. Przed wyjazdem już o tym pisać nie będę.

Dziś niedziela – miałem dzień wolny. Pracy poza domem żadnej. W domu pracowałem zwyczajnie i w przerwach między czynnościami programu dnia przygotowywałem rzeczy do pakowania do Bohdaniszek. Zawsze mi to dużo czasu zabiera, gdy jadę do Bohdaniszek na czas dłuższy: książek, papierów, notatek zbiera się cała góra. Pakuje to potem Jadzia.

Z Jadzią poszedłem zamiast obiadu na szaszłyk do winiarenki przy ulicy Dowkonta, potem do kawiarni Konrada.

Mam teraz na sercu los Anieli Buckusówny, naszej dawnej służącej, która zachowała dobry stosunek z domem naszym. Anielka służyła potem przez siedem lat czy koło tego u młodych Griniusów, w przeszłym roku odeszła od nich, trochę służyła doraźnie gdzie indziej, potem miała czasową posadę w Pienocentrasie. Za mąż nie wyszła, ale ma kawalera, którego kocha i który ją bałamuci i obiecuje się żenić, jak dostanie posadę! Dla Anielki zrobiłem to, że przyjąłem jej kawalera, Ribakowskiego, na posadę stróża na uniwersytecie. Teraz zawakowała posada żeńska stróżówki, bo poprzednią złapano na kradzieży, wskutek czego ją oddaliłem. Na tę posadę wakującą za poradą Jodeli i Gurewicza przeznaczyłem Anielkę, która mię gorąco o to prosiła i była uszczęśliwiona. Dobra to dziewczyna, wysoce kwalifikowana służąca, pracowita, zręczna, sumienna. Ale każdy kandydat lub kandydatka musi u nas przejść przez komisję sprawdzenia zdrowia, której przewodniczy prof. Żyliński, człowiek ciężki i okrutny, postrach studentów, Żydów i kandydatów na stróżów. Już miałem kilka wypadków zabrakowania zaproponowanych przeze mnie kandydatów przez tę komisję Żylińskiego. I oto zabrakował Anielkę. Była ona poruszona tego dnia, nie spała w nocy, miała katar i komisja stwierdziła lekko podniesioną temperaturę. Anielka była w rozpaczy. Jednak za poparciem poczciwego Jodeli i Gurewicza zdecydowałem się ją mianować czasowo na miesiąc z tym, że po miesiącu znowu się sprawdzi stan jej zdrowia. Anielka jest dobrej myśli. Spodziewa się, że się ostoi.

Wczoraj w Kownie na Szańcach zaszła wielka katastrofa budownicza, pierwsza w kronikach Litwy. Runął wznoszony potężny żelazobetonowy gmach garażu autobusowego miejskiego. Wielki skandal. Robotnicy uciekli i tylko jeden został zabity, ale straty ogromne i kompromitacja wielka.

13 grudnia, rok 1937, poniedziałek

Dzień wyjazdu z Kowna do Kłajpedy, a właściwiej na zimowe wakacje świąteczne do Bohdaniszek, bo Kłajpeda zajmie mi tylko jeden dzień (egzaminy sądowo-referendarskie jutro) i wprost z Kłajpedy udam się pojutrze do Bohdaniszek.

Wyjeżdżam jednak dopiero dziś na noc. Cały dzień zeszedł mi jeszcze w Kownie. Na uniwersytecie są jeszcze sprawy komplikujące się, wymagające wciąż interwencji albo pośrednictwa rektorskiego, które jednak spadną na razie na barki mego zastępcy prorektora Purėnasa. Są to sprawy: a. obsady katedry języka i literatury francuskiej oraz utworzenie Instytutu Francuskiego i b. nacisku czynników dyplomatycznych na rzecz utworzenia (bez żadnej zgoła potrzeby realnej i wbrew logice nauczania) drugiego równoległego lektoratu języka i literatury włoskiej li tylko dlatego, że rządowi włoskiemu spodobało się przysłać do Litwy jakąś swoją protegowaną lektorkę, którą sami Włosi mają opłacić, ale która nam zgoła jest zbyteczna, zważywszy, że lektora języka włoskiego mamy, że zadowolony jest z niego uniwersytet, słuchacze i same nawet poselstwo włoskie, które w swoim czasie jego kandydaturę zgłosiło, a studentów, studiujących język włoski, jest bodaj aż... czterech (!), dla których chyba dwaj lektorzy nie są potrzebni.

Ale przed samym moim wyjazdem znalazła się sprawa trzecia, dotycząca tegoż Wydziału Humanistycznego – rzecz ciężka i przykra. Oto przyniesiono z Ministerium Oświaty papier, donoszący urzędowo, że minister nie zatwierdził wybranego przez Radę tego wydziału, dziekana prof. Krėvė-Mickiewicza. Jest to i sensacja, i cios. W myśl nowego statutu uniwersyteckiego, wybór dziekanów ulega teraz zatwierdzeniu ministra. Po ogłoszeniu statutu wszyscy dziekani musieli być na nowo wybrani i przedstawieni do zatwierdzenia. Wszystkie wydziały wybrały tych samych dziekanów. I oto Krėvė-Mickiewicz nie został zatwierdzony. Jego popularność na tym wzrośnie, ale niemniej stwarza to sytuację ciężką i kryzysową. Dawno mówiono i domyślano się, że reforma powoływania dziekanów jest pomyślna *ad personam* i ma na celu pozbycie się Krėvė-Mickiewicza, który miał cały szereg zatargów i tarć z ministrem Tonkunasem i Ministerium Oświaty i był solą w oku rządowi. Ale w ostatnich czasach, chociaż były nowe tarcia w sprawie obsady katedry francuskiej etc., jednak nastąpiło pewne zbliżenie między Krėvėm a Tonkunasem i zdawało się, że nastąpiło „*detente*" i że Krėvėmu nie grozi niezatwierdzenie. Krėvė chodzi do ministerium, porozumiewa się bezpośrednio z Tonkunasem, już nawet satyra dziennikarska podniosła „kapitulację" Krėvėgo przed ministrem. A oto niespodzianka. Niewątpliwie nie tylko Krėvė, ale i wydział, a może i uniwersytet weźmie to do serca. Choć formalnie jest to oparte na przepisie ustawowym, ale zastosowanie tego przepisu jest bądź co bądź ciosem i precedensem. Takich precedensów dotąd nie było w wyborze tych funkcjonariuszy akademickich, którzy ulegali zatwierdzeniu (rektor, prorektorzy, profesorowie). Sytuacja się skomplikuje, jeżeli wydział w całości lub profesorowie wydziału indywidualnie pójdą na tor protestu i na przykład wydział nikogo nie wybierze na miejsce Krėvėgo albo nikt nie zechce przyjąć wyboru na zajęcie miejsca usuniętego kolegi. W takim razie w myśl statutu kandydata na stanowisko dziekana przedstawia ministrowi rektor. Sytuacja może się stać delikatna. Napiszę z Bohdaniszek do Purėnasa, zapytując, jaki kierunek nabiera ta sprawa.

Słówko o nowym futrze moim, które zafundowałem z namowy Jadzi i Diskina. Sam bym go nie obstalował. Jest bowiem bardzo drogie. Kosztować mię będzie 1300 litów! Po raz pierwszy dziś w nim spacerowałem i wyjeżdżam. Ładne jest wprawdzie, ale na moją obciążoną kieszeń ciężkie, choć fizycznie jest bardzo lekkie, co stanowi jego wielką zaletę. Podbite jest on futerkiem skórek siwych wiewiórek syberyjskich z ogonkami, bardzo miękkich, delikatnych, leciutkich i ładnych, kołnierz z ładnego futerka wydry krojonej. Jadźka więcej się z tego futra cieszy ode mnie.

14 grudnia, rok 1937, wtorek

Przyjechaliśmy z docentem Antonim Tamošaitisem do Kłajpedy przed godziną ósmą rano. Trochę się czułem zmęczony, bo z wieczora w pociągu prawie że do godziny drugiej po północy gawędziliśmy z Tamošaitisem w wagonie. Do rozmowy bowiem tematu nie brakło: problem reformy konstytucji, niezatwierdzenie przez ministra wyboru Krėvė-Mickiewicza na dziekana Wydziału Humanistycznego, obsadzenie wakującej katedry języka i literatury francuskiej, nielogiczne forsowanie drugiego lektora języka i literatury włoskiej, sprawa duńsko-litewska w komisji koncyliacyjnej, sprawa estońsko-litewska w Trybunale Haskim... Cały szereg spraw i zagadnień, z

którymi tak lub inaczej mam do czynienia i które mię żywo obchodzą, są ciekawe i bardzo aktualne, a przechodzą różne perypetia. Spaliśmy więc w nocy w wagonie sypialnym krótko. Zaraz po szóstej rano już trzeba było wstawać, aby się umyć i być gotowym do przyjazdu. Z dworca kolejowego pojechaliśmy do hotelu „Viktorija" na śniadanie ranne, a ja tam i numer wziąłem, ponieważ tu nocuję.

Na godzinę dziesią-tą stawiliśmy się do sądu okręgowego na posiedzenie komisji egzaminacyjnej. Komisja była w komplecie – prezes Riffart, sędzia z Šilutė Kairys (pisze się, zdaje się z niemiecka „Kairies"), ja i Tamošaitis. Do egzaminowania mieliśmy dwóch kandydatów, z których jeden studiował na uniwersytecie w Królewcu i choć jest Litwinem z pochodzenia, niejaki Kairys czy Kairies z Pogiegiów (nie krewny sędziego), jest zniemczony i po litewsku ledwie trochę rozumie, drugi zaś, młody Stikliorius, syn znanego starego działacza litewskiego w Kłajpedzie, studiował w Berlinie. Obaj zdali już takiż egzamin referendarski w Niemczech, ale komisja nasza na nasze z Tamošaitisem żądanie nie zaliczyła im całkowicie tamtych egzaminów i zarządziła egzaminy uzupełniające, wprawdzie tylko ustne, tutaj. Choć Riffart i Kairys, którzy są naturalnie orientacji niemieckiej i przeto jako tacy skłonni są zawsze egzaminy referendarskie w Niemczech zaliczyć kandydatom jako zupełnie wystarczające, rozporządzają w naszej komisji większością przeciwko mnie i Tamošaitisowi (albowiem głos Riffarta jako prezesa przeważa w razie równowagi podziału głosów), jednak nie chcieli oni wyzyskać tej przewagi swojej i na nasz wniosek zgodzili się na ponowienie egzaminów, które właśnie zostały na dziś wyznaczone. Trzeba przyznać, że wobec nas, w tej Komisji Riffart jest zawsze bardzo kurtuazyjny i zupełnie „*correcte*" i unika wszelkiego forsowania niemieckości. Przeciwnie – jest bardzo lojalny państwowo, przynajmniej w komisji, usiłuje z nami rozmawiać po litewsku, co mu zresztą przychodzi z wielkim trudem, egzaminując – uwzględnia też prawo litewskie. Oczywiście, że i my z Tamošaitisem usiłujemy też zachować doskonałą kurtuazję i unikać wszystkiego, co może drażnić. Skądinąd, zwłaszcza ja, mamy wielką trudność w układaniu pytań do egzaminu, bo egzaminując z zakresu prawa konstytucyjnego, zwłaszcza dotykając statutu kłajpedzkiego, bardzo trudno znaleźć kwestię, która by nie była w interpretacji sporną między zapatrywaniem litewskim a niemieckim. Spornych zaś punktów interpretacyjnych unikamy tak ze względu na tych dwóch kolegów Niemców, jak ze względu na kandydatów, których pozycja byłaby trudna w przedmiocie, stanowiącym różnicę zdań samych egzaminatorów. Egzamin trwał cztery godziny. Jak zawsze – Riffart i Kairys egzaminowali po niemiecku, my z Tamošaitisem – po litewsku. Kandydat Kairys na nasze pytania litewskie odpowiadał po niemiecku, co tutaj ze względu na równouprawnienie formalnie obu języków krajowych jest dopuszczalne, ale co oczywiście stanowiło trudność, bo nie zawsze się z egzaminującym się mogliśmy porozumieć. Zdali obaj – Stikliorius nieco lepiej, niż Kairys. Po egzaminie na posiedzeniu komisji wypłynęła pewna sprawa trudna, ale zasadnicza. Dotąd do tych egzaminów referendarskich zgłaszali i bywali dopuszczani tylko Kłajpedczycy i tylko tacy, którzy byli na uniwersytecie w Niemczech. Ani razu nie chodziło o kandydata, który odbył studia prawnicze na naszym uniwersytecie w Kownie. Dawniej przeszkodą było to, że u nas na Wydziale Prawniczym nie jest wykładane prawo kłajpedzkie. Od kilku lat, żeby ten brak usunąć, wprowadzone u nas zostały specjalne wykłady prawa cywilnego i karnego kłajpedzkiego, obu procesów, a teraz i administracyjnego. Są to kursy, które nam prowadził nieboszczyk prof. Sokołowski, obecnie zaś – Benngarten i Saenger. Przepisy dyrektorium kłajpedzkiego o tych egzaminach przewidują co prawda dyplom prawniczy uniwersytetu w Kownie i nawet przywilej komisji uznać ekwiwalent tego dyplomu i zwolnić od egzaminu referendarskiego wobec komisji naszej. Ale dotąd precedensu nie było. Słychać było, że w tym roku zgłosił się do komisji na rzecz egzaminów referendarskich nasz były student Wilkis, który jednak, choć ma nazwisko o brzmieniu litewskim, jest ewangelikiem i zagorzałym Niemcem. Ale prośby Wilkisa komisja nie rozważała – sądziliśmy, że prezes Riffart osobiście go przekonał, aby cofnął podanie i nie robił precedensu, nieporządanego ze stanowiska niemieckiego. Wszakże teraz znalazł się inny aspirant – Abram Lipman, Żyd, który już dawno uzyskał dyplom naszego uniwersytetu, był nawet pomocnikiem adwokata przez półtora roku, ale ze

względu na nową ustawę o sądownictwie z roku 1933 nie dostał się u nas do adwokatury. Przesłuchał on wtedy dodatkowo kurs prawa kłajpedzkiego u nas, zdał dodatkowo odpowiednie egzaminy i oto teraz zgłosił się do Komisji, żądając wyznaczenia mu egzaminów referendarskich i nawet ewentualnego zwolnienia go od nich przez uznanie ekwiwalentu dyplomu i egzaminów uniwersyteckich.

15 grudnia, rok 1937, środa

Wracam jeszcze do wczorajszej uchwały komisji egzaminacyjnej w Kłajpedzie w sprawie Lipmana. Z Lipmanem Riffart nie mógł ubić sprawy, jak z Wilkisem. Lipman był zdecydowany postawić na swoim. Riffart jego prośbę wniósł pod obrady komisji, rad by zresztą ją jakoś uchylić. Zaczął wyrażać swe wątpliwości, w sposób zresztą dość wstrzemięźliwy, a w każdym razie nie kategoryczny. Nie mógł zaprzeczyć, że przepisy dyrektorium pozwalają na dopuszczenie do egzaminów kandydata, mającego dyplom uniwersytecki z Kowna. Ale podnosił skrupuły prawne: że nie jest pewny, czy te przepisy w tym względzie nie są sprzeczne z ustawą, na której się opierają. Ustawa ta – stara ustawa niemiecka, datująca się z wieku XIX – przewiduje, że kandydatem może być tylko ten, który przesłuchał co najmniej sześć semestrów prawa na uniwersytecie w Niemczech. Oczywiście, że teraz, gdy Kraj Kłajpedzki należy do Litwy, to przepis o studiach na uniwersytecie w Niemczech czy niemieckim należy przez analogię rozumieć jako identyczny z wymaganiem odbycia studiów na uniwersytecie w Litwie czy litewskim, to znaczy na uniwersytecie krajowym: czym były dla Kłajpedy dawniej Niemcy jako państwo „swoje", tym teraz jest dla niej Litwa. Ale Riffart, którego aspiracjom to oczywiście nie dogadza, usiłuje to interpretować jako żądanie studiów nie na uniwersytecie krajowym w znaczeniu państwa, do którego dzielnica należy, ale na takim uniwersytecie, na którym studia prawnicze i wykłady prawa opierają się na ustawach obowiązujących w kraju, czyli w tym wypadku w dzielnicy kłajpedzkiej. A ponieważ w Kraju Kłajpedzkim obowiązują zasadniczo ustawy i kodeksy dawne niemieckie, przynajmniej o ile nie zostały one bądź w Niemczech po oderwaniu Kłajpedy uchylone albo tu przez nowele ustawodawcze autonomiczne zniemczone, więc uniwersytetami właściwymi są w myśl tej ustawy uniwersytety właśnie niemieckie, nie zaś litewski w Kownie, w którym wykłady i studia prawnicze są zastosowane do prawa obowiązującego litewskiego, zasadniczo różnego od kłajpedzkiego. Taka jest interpretacja Riffarta, który usiłował przeto sugestionować tezę, jakoby przepisy dyrektorium o dostępie do referendarstwa sadowego na zasadzie dyplomu naszego uniwersytetu, tu w Kownie są pod względem ich zgodności z naturą wątpliwe i przeto mające być przez komisję nie stosowane. Ale Riffart nie twierdził tego zbyt kategorycznie, wahał się, raczej powątpiewał i widoczne było, że choć pragnąłby takiej interpretacji komisji i że sam taki pogląd podziela, jednak miarkuje się wobec nas i nie odważa się nastawać kategorycznie, mimo że członka komisji Kairysa miałby po swej stronie i przeto mógłby taką interpretację przeforsować i zyskać uchwałę komisji na rzecz odrzucenia prośby Lipmana i niestosowania przepisów dyrektorium jako przeciwnych ustawie. Widocznie jednak względy dyplomacji politycznej nakazywały mu unikać forsowania w tym względzie i doprowadzenia do konfliktu. Ja odparłem na to, że choć motywów dokładnie nie wystudiowałem, to jednak wydaje mi się, że interpretacja Riffarta nie jest zasadna, albowiem doprowadziłaby do absurdu. Jeżeli bowiem chodziłoby o uniwersytet taki, w którym wykładane jest prawo krajowe, identyczne z prawem, obowiązującym w dzielnicy, gdzie się odbywa przyjęcie referendarzy, to faktem byłoby że nie tylko uniwersytet litewski w Kownie, ale i uniwersytety państwowe niemieckie byłyby już dziś niezupełnie właściwe, a im dalej, tym stawałyby się bardziej niewłaściwe, albowiem z jednej strony prawo cywilne i karne niemieckie ewolucjonuje szybko i wciąż się bardziej oddalające się od kłajpedzkiego, z drugiej – prawo kłajpedzkie też się rozwija przez nowe ustawy, uchwalone przez sejmik i przeto też pogłębia odchylenie od prawa, obowiązującego w państwie niemieckim. W takim razie żaden uniwersytet nie byłby właściwy, a ponieważ w dzielnicy kłajpedzkiej uniwersytetu nie ma, więc rychło wypadłoby stwierdzić, że w ogóle przyjmowanie referendarzy sądowych w Kłajpedzie jest niemożliwe. Riffart się nie przekonał, bo przekonać się nie chce, ale nie poszedł na konflikt,

uwzględniając pojednawcze stanowisko Kairysa, który zaznaczył, że może rozpatrzyć prośbę Lipmana, nie przesądzając kwestii zasadniczej, zaznaczył też, że wypadnie kierować się li tylko przepisami dyrektorium, nie wchodząc w analizę ustawy. Wobec tego podpisano uchwałę o dopuszczeniu Lipmana do egzaminów i nawet o zwolnieniu go od głównej pracy egzaminowej pisemnej. Uchwała ta stanowiła bardzo poważny precedens – pierwszy wyłącznie w praktyce dotychczasowej. Otwiera ona dostęp do sądownictwa kłajedzkiego abiturientów naszego uniwersytetu; jest to zwycięstwo poważne. Dotąd Litwini kłajpedzcy, chcący pracować w sądownictwie swojego kraju, nie mogli dojść do tego przez nasz uniwersytet i zmuszeni byli udawać się do uniwersytetów niemieckich. Kursy dziś prawa kłajpedzkiego, wykładane u nas przez Benngartena i Saengera, świeciły pustką i miały bodaj po kilku słuchaczy, a nawet wyglądało, że wypadnie je zlikwidować dla braku słuchaczy. Teraz droga się bądź co bądź otwiera.

Po obiedzie wczoraj złożyliśmy z Tamošaitisem wizytę gubernatorowi Kubiliusowi, na wieczór zaś byliśmy zaproszeni na kolację do pp. Stiklioriusów. Choć wolałbym kolacji tej nie mieć i posiedzieć w hoteliku, wypocząć i wcześnie się spać położyć, jednak trzeba było pójść. U Stiklioriusów było cała ich rodzina, złożona ze starego, jego żony, z pochodzenia Litwinki, ale po litewsku bardzo słabo mówiącej, w odróżnieniu od dwóch synów, z których młodszy właśnie zdał w komisji naszej egzaminy, starszy zaś był przez parę lat moim uczniem na Uniwersytecie w Kownie. Był też gubernator Kubilius, referendarz sądowy Litwin Prakas i lektor języka francuskiego w Instytucie Pedagogicznym w Kłajpedzie, Francuz z Sabaudii.

Dziś rano wyjechałem z Kłajpedy i jestem już w Bohdaniszkach.

16 grudnia, rok 1937, czwartek

Jestem w Bohdaniszkach. Przyjechałem tu wczoraj wprost z Kłajpedy. Jechałem na Pogiegie, bo do Abel tak jest jechać wygodniej: parę godzin do Pogiegiów, tam się przesiada na pociąg prędki, przychodzący z Berlina przez Tylżę, i jedzie się już wprost jednym ciągiem z jednego końca Litwy do drugiego – od granicy niemieckiej do granicy łotewskiej. Niewygodne jest tylko to, że z Kłajpedy się wyjeżdża między godz. siódmą a ósmą rano, trzeba więc wcześnie wstać, co zimą jest dosyć ciężko, zwłaszcza gdy się z wieczora późno spać położyło. W Kłajpedzie, gdym wyjeżdżał, wagon II klasy napełnił się publicznością przeważnie żydowską. Dokąd Żydzi tą drogą jeżdżą – nie wiem, bo zdaje się na wjazd do Niemiec. Niemcy, przejęci szałem antysemickim, wizy im nie dają albo dają bardzo niechętnie i tylko wyjątkowo na tranzyt. Ciekawe jest, że Żydzi, zamieszkali w Kłajpedzie, których teraz tam jest dużo i którzy prawie wszyscy są „Ost-Juden", przybyli tu z Wielkiej Litwy, bardzo powszechnie używają języka rosyjskiego, którego się wśród nich słyszy o wiele więcej, niż w Kownie. Żydzi kowieńscy coraz bardziej mówią po litewsku i rosyjskiego starają się unikać. Tymczasem Żydzi w Kłajpedzie po litewsku między sobą mniej mówią, a po niemiecku mówić, jak to robili Żydzi tak w Kłajpedzie, jak w Niemczech za czasów przedhitlerowskich, może mówić nie chcą właśnie ze względu na ostry antysemityzm niemiecki, toteż mówią chętnie i powszechnie po rosyjsku. W Pogiegiach wypadło mi czekać godzinę, poczym już jechałem spokojnie wskroś aż do Abel. Przed Lidowianami zjadłem w wagonie restauracyjnym obiad. W Radziwiliszkach do wagonu mojego wsiadło duże towarzystwo litewskie. Była to delegacja „Maistasu", udająca się dla jakichś układów handlowych z Kowna do Moskwy. Na czele tej delegacji jechał prezes „Maistasu" agronom Tallat-Kiełpsz. Zaraz po godzinie czwartej pociąg przyszedł do Abel. Spotkał mię ekonom Pumpol. Przyjechał po mnie saneczkami jednokonnymi koniem Dragonem. W drugich sankach Dubisą przyjechał po rzeczy parobek Butkus. Jak w całym kraju, śniegu tu jest dużo, sanna zupełna. Śniegu tu aż zanadto, były wielkie zawieje, toteż miejscami są zaspy wielkie. Wszakże były już odwilże, toteż śnieg już ubity na drodze, kiepsko nie jest, sanna jest lekka, ale miejscami są jamy i krzywizny, trudne jest rozmijanie się, bo się zapada do śniegu, łatwo się wywrócić. Ale Pumpol wiózł mię ostrożnie i do Bohdaniszek dojechałem szczęśliwie. Ciepło też było jechać, bo nie było ani wiatru ani mrozu, a księżyc oświecał drogę. W Bohdaniszkach spotkał mię Kazimierz, Adela i reszta służby. Napiłem się herbaty, pofolgowałem sobie jedząc doskonałego półgęska, uwędzonego w nowej

wędzarni mojej, sera białego tłustego, świeżego chleba razowego i ragajsza z masłem. Wyspałem się w moim łóżku doskonale. Było ciepło i wygodnie. Dziś obszedłem gospodareczkę moją. Pieski Sajmy wyrosły i dobrze się mają – zapewne je wyślemy do Kowna do Kagana na sprzedaż jako rasowe, tylko zostały dwa, bo trzecie – suczynka, która była zostawiona, przed paru dniami zginęła – zapewne udusiła się w pętli na zające, których tu dużo po polach zimą rozstawiają brakonierzy. Konie, krowy, świnie ładnie się hodują, chlewy ciepłe i wygodne. Mała klaczka Dubisy – Gulbė – jest śliczna i ogromna. W ptaszniku oprócz kur, kaczek, gęsi i indyków, razem spędza zimę moje ptactwo egzotyczne, które wyróżnia się bardzo ze wszystkiego zainstalowanego tu inwentarza. Jest więc samotny łabędź w zagrodzie z drutu, jest w drugiej zagródce samiczka bażanta samotna, jest samotna biała samiczka dużego gatunku gołębia z opuszeniem na nóżkach, jest samotna kaczka jakiegoś specjalnego gatunku.

17 grudnia, rok 1937, piątek

Z Elwirą widziałem się i rozmawiałem już poważnie. Naturalnie, że była mowa o Andrzeju, bo to Elwirze leży szczególnie na sercu. Dziś przy tej rozmowie była i Helcia Mieczkowska. Słyszałem też nieco o tym i od Stefana Römera i Marysi. Odniosłem wrażenie, że nie tylko nic strasznego w tym zakochaniu się Andrzeja w Stefci Lingiównie i jego rzekomych projektach matrymonialnych nie ma, z mego stanowiska w ogóle nic bym w tym strasznego i gorszącego nie widział, gdybym tylko wierzył w stateczność i głębię uczuć Andrzeja i gdybym nie znał jego charakteru kapryśnego i przekornego, a zarazem jego pojęć, nie przekaczających szablonu, w jakim go wychowano, mimo że go lubię i że go za dobrego chłopca uważam, ale w ogóle wydaje mi się to niepoważne. Może ma rację Marysia, która to określa jako burzę w szklance wody. Z samym Andrzejem w konfidencje na ten temat się nie wdawałem, bo jeżeli to jest poważne u niego, to nie potrzebuje mojego utwierdzenia ani zwierzeń przede mną, a tak banialuki gadać o tym nie warto; odradzać mu nie widzę potrzeby, bo w zasadzie nawet nie jestem przeciwny i odradzanie skądinąd może jeszcze podniecać jego przekorność, a przemawiać za tą miłością i utwierdzać go w rzekomych zamiarach matrymonialnych byłoby nielojalne wobec Elwiry i nie byłoby dobre, gdyż te sprawy winny być przez człowieka decydowane samodzielnie, a jeżeli opierają się na naradach i potakiwaniu, to są nic nie warte. Coraz bardziej mi się potwierdza wrażenie, że cała rzecz jest rozdmuchana przez Elwirę, a jeszcze bardziej przez Helcię, która prowadzi krecią robotę podjudzenia Elwiry i szczucia jej na Andrzeja. Ze strony Andrzeja jest flirt i podkochanie się dziecinne, któremu nadaje powagi i tragiczności nie co innego, jak właśnie opór Elwiry i sceny z jej strony, gryzienie ciągłe, robienie z tej uciechy dziecinnej i motylkowatej – ciężkiego słonia. W atmosferze kwasów rodzinnych, wygryzania, nerwów, czepiania się Andrzej na przekór upiera się i brnie. Że to jest dziecinne i że w tym stosunku nic głębszego nie ma, jak tylko szum młodości i zawrót głowy – to mogę świadczyć najlepiej. Choć fakty, jeżeli są prawdziwe, że podobno sam Andrzej śmiał się raz przed Stefanem Römerem z tej swojej miłości jako w istocie nic poważnego, ale jeszcze bardziej to, że podobno Andrzej ze swym młodocianym „przyjacielem" i towarzyszem sentymentalnym Antosiem Rosenem, który ma też sobie jakąś upatrzoną pannę w Rakiszkach, układali się, że się z tymi pannami swoimi pożenią i przez przyjaźń będą się zamieniali żonami. Tak mi mówiła Elwira, że podobno sam Andrzej tak się śmiał do niej wyrazić. Jeżeli to prawda - a nie jestem tego pewien – to powinno to ubić wszelkie obawy Elwiry, bo kobiety, którą mężczyzna tak traktuje, nie może on kochać w istocie, a tylko się nią bawi, jak młody samczyk z samiczką przygodną. Jest to, zdaje się, miłostka paniczyka, co bym gotów brać za złe Andrzejowi, bo dziewczyna może się zbałamucić i może boleśnie ucierpieć na tym, a on się tylko bawi. Ale podejrzane mi się wydaje już to samo, że się okazuje, iż nie tylko Elwira z Helcią, ale i Andrzej chce wyjechać do Polski. A wyjazd jego do Polski, który jest równoznaczny z opuszczeniem Litwy na zawsze, rozbija całą tę miłość i wszelkie jej perspektywy. Raz dlatego, że Lingiówna, świadoma Litwinka, chyba do Polski ekspatriować się nie zechce, tym bardziej, że zresztą Andrzej długo jeszcze nie będzie nawet miał za co ją tam sprowadzić i utrzymywać jako żonę, a po wtóre dlatego, że w tym wieku i z charakterem Andrzeja dłuższe rozstanie się i nowe znajomości samiczek

w Polsce są grobem dla tej „miłości" niewczesnej. Moje sympatie osobiste na zasadzie moich wrażeń, które są zresztą tylko domniemaniami logicznymi, są po stronie nie Elwiry i nie Helci, ale też nie po stronie Andrzeja, jeno po stronie Stefci Lingiówny, która się łudzi głupio.

Swoją drogą jednak, jak to łatwo i jak bez troski, a nawet z pewną radością wyjeżdżać się śpieszą do Polski młodzi Polacy litewscy! Byle coś dmuchnęło – już się zabierają do odjazdu. Może nawet mają rację. Tu w Litwie narodowej, będąc obcy krajowi i narodowi, nie zrośli z tym, co społeczeństwu tu jest drogie i serdeczne, a „kariery" nie zrobią, aż cóż ich tu za kariera, skoro serce nie z tym krajem trzyma. Litwa Polakom litewskim, niestety, ufać nie może, bo serce ich jest dla niej obce. Ale przez nich nie ufa ona i tym, których serca może by biło dla niej. Są tacy – ja sam jestem ich wzorem najjaskrawszym. Z wychowania, z kultury, z wielu uczuć osobistych i nawet czynów jestem Polakiem, ale serce moje bije przede wszystkim dla Litwy i jestem tyleż Litwinem co najmniej, ile Polakiem. Prawda, że ja nie doświadczam tej nieufności litewskiej do Polaków na sobie; przeciwnie – mam wielkie i szczególne zaufanie i uznanie w społeczeństwie litewskim. Ale dlatego, że zdążyłem ujawnić moje żywe uczucia prolitewskie przed wojną, wtedy kiedy ani ja sam, ani inni przewidzieć nie mogli rychłej niepodległości Litwy i kiedy przeto moje uczucia i czyny prolitewskie nie mogły uchodzić za podyktowane względami jakiegoś interesu. Dałem Litwie dowody wtedy, gdy czyny odpowiednie mogły zawierać wizję dowodową. Inaczej i ja bym z całym moim sercem dla Litwy nic nie wskórał i nie zajął tego wyjątkowego stanowiska, które zajmuję obecnie. Odbiłbym się o mur nieufności do „Polaków". Byłbym podejrzany. Człowiek sam sobie w młodości wykuwa przyszłość. Gdym pisał moją książkę „Litwę" w izbie bielonej w prostej chałupie włościańskiej na wigiliaturze w Kruszowicach w roku 1907, gdym mozolnie i pracowicie gromadził i porządkował materiały i notatki do tej pracy w Krakowie przy ulicy Szewskiej i w pięknym lesie na wzgórzu między Kruszawicami i Czernią – wykuwałem nie spekulacją karierowiczowską, ale sercem gorącym i miłością Litwy moje rektorstwo obecne i całe moje stanowisko piękne w Litwie Niepodległej. Wykuwałem tam przede wszystkim imię moje.

18 grudnia, rok 1937, sobota

Odwilż i deszcz kropi przez dzień cały. Śnieg mocno opadł, ale było go tak dużo, że ziemia cała jeszcze pokryta grubą warstwą śniegu. Konie się już przesuwają na drodze, toteż jazda jest gorsza, choć sanna – lekka. Jeżeli taka odwilż z deszczem potrwa dni parę, to sanna ucieknie. Gospodarze życzą tego, bo ziemia pod śniegiem nie zamarzła, toteż obawiają się uszkodzenia ozimin. Nie jeździłem dzisiaj na spacer. Do Gaju iść nie próbowałem, bo nie ma drogi, a śnieg – głęboki. W ogóle w Gaju jeszcze nie byłem, tylko raz przed paru dniami przejechałem się gościńcem. Byłem u Stefanostwa Römerów, którzy spędzają zimę w domu śp. Maryni. Marysia zabiega o likwidację spadku, to znaczy własności spadkowej Bohdaniszek, Justyn Budkiewicz kieruje szczątkami gospodarstwa i prowadzi mleczarnię, Stefan pracuje nad projektami kart do konkursu. Wykonał już pięć projektów; wszystkie są bardzo piękne. Mniej ładne są może figury, ale rysunki barw, a zwłaszcza układ dekoracyjny strony odwrotnej i asów – są wprost prześliczne. Miały być dziś egzaminy studenckie, ale przyjechał tylko jeden student. Zlitowałem się nad nim i wyegzaminowałem. Zdał słabo.

Chciałem wieczorem wcześnie zakończyć pracę i położyć się do łóżka, bo jutro muszę wstać wcześnie na przyjazd Jadźki z Kowna, żeby ją między szóstą a siódmą ze śniadaniem czekać. Wszakże zawsze coś stanie na przeszkodzie i ubije najlepsze zamiary. Przyjechał wieczorem Lysander z Krewien, niby na 10 minut, ale wizyta się zaciągnęła na dobre dwie godziny, bo Lysander jest gaduła niewyczerpany. Radził mię się w różnych swoich kłopotach prawnych i skarżył. Ma biedak trudną nie lada sytuację tak pieniężną, jak moralną między żoną a dawną matką jego dziecka nieślubnego. Kręci się jak w ukropie i wyjścia nie ma. Skutki grzechów młodości i starokawalerstwa.

19 grudnia, rok 1937, niedziela

Raniutko, po ciemku jeszcze, wstałem na spotkanie Jadziuńki, po którą w nocy poszły konie do Abel. Kazimierz zrobił kawę, lampy pozapalano w jadalnym i przedpokoju, obecny był i ekonom, przyszła i Adela z córeczką Felą. Wreszcie doczekaliśmy się. Jadźka przyjechała w doskonałym humorze. Zaraz po śniadaniu obeszliśmy z nią całą gospodareczkę, żywy inwentarz w ptaszniku, chlewach, stajni i oborze. Cały dzień był bardzo miły. Po obiedzie Jadzia poszła do swojego zaścianka – do rodziców i rodziny brata Janka, a ja potem o zmroku pojechałem po nią sankami. Odwilży już nie ma, marznie, zaczyna się podnosić wiatr północny. Pod wieczór leciutko śnieżyło. Dzień był bardzo miły, humory pogodne, nawet – wesołe.

Dowiedziałem się od Jadźki, że nie zatwierdzony został przez ministra wybór nie tylko dziekana Krėvė-Mickiewicza na Wydziale Humanistycznym, ale także dziekana Kuraitisa na Wydziale Teologicznym. Tego się nie spodziewałem, bo Kuraitis, choć oczywiście szczerze i gorąco broni stanowiska i domagań się Wydziału Teologicznego, jednak jest człowiekiem spokojnym i dobrym. Podobno, jak słyszała Jadźka w Kownie, miejsce Kuraitisa ma zająć ksiądz profesor Česnys.

20 grudnia, rok 1937, poniedziałek

Wiatr północny, zimno. Było czterech studentów ekonomistów na egzaminie. Jeden z nich – [K...][6] – zdał rzeczywiście doskonale, jeden – Jankunas – ściął się z miejsca.

Cofam się teraz do sprawy reformy konstytucji, w której wezwany byłem przed dziewięciu dniami do Prezydenta, wpierw z prezesem ministrów Tubelisem, ministrem Šilingiem, następnie z podkomisją prawników (był Merkys, Indrišiunas, Pimpė i Borkowski). [...]. Rząd przez reformę konstytucji [idzie naprzeciwko] swoim aspiracjom budowy ustroju państwowego, ale chce znaleźć sposób na wykręcenie się od konstytucyjnego obowiązku akceptacji ludowej na rzecz jej aprobaty. To zobowiązanie, wpisane do konstytucji oktrojowanej z roku 1928, które jej zapewnia charakter demokratyczny, skonstruowane jest warunkowo: w ciągu 10 lat akceptacja konstytucji w drodze referendum. Rząd trochę się boi tego, niezupełnie jest pewny jego wyników, po drugie, akceptacja konstytucji, gdyby nawet nastąpiła, też nie bardzo by rządowi dogadzała, bo wzmocniłaby autorytet konstytucji i przez to samo utrudniłaby jej reformę, której rząd życzy, wreszcie sam fakt głosowania ludowego niezbyt jest sympatyczny rządowi. Zdecydowano się więc – za inspiracją głównie Šilinga jako zawodowego kombinatora – reformować konstytucję przez Sejm, nie oglądając się na zobowiązania akceptacji, byle tylko przed terminami zobowiązania, aby w terminie tym już miał miejsce fakt dokonany nowej konstytucji, nie przewidujący już żadnej akceptacji ludowej. Komisja specjalna Rady Stanu, działająca pod batutą Šilinga, ułożyła jeden projekt zreformowanej konstytucji, następnie, gdy pierwszy dla niektórych względów został przez Smetonę zabrakowany, ułożyła drugi, który następnie uległ pewnym przeróbkom w Gabinecie Ministrów i w obecnej swej formie stanowi projekt rządowy, gotowy do zgłoszenia do Sejmu. Rząd przypuszczał, że w Sejmie trudności nie napotka. Dla Šilinga trudności prawne w ogóle nie istnieją. Choć jest on z wykształcenia prawnikiem, jednak ma swoisty pogląd na prawo: uważa, że przepisy prawa, przynajmniej publicznego, a zwłaszcza konstytucyjnego, istnieją li tylko po to, aby głupcom dawać iluzję jakiejś legalności, w istocie zaś mogą być w drodze interpretacji nakręcane na wszelki użytek przez tych, którzy nimi operują. Toteż twardej dyscypliny prawnej Šiling zgoła nie uznaje i uważa ją za naiwność głupców. Stąd też jego upodobanie do takich przepisów, które w szumnych frazesach i ogólnikach nie posiadają żadnej treści konkretnej i ścisłej, za wyjątkiem przepisów ścisłych li tylko tam, gdzie chodzi o zastrzeżenie na rzecz, ale nie na ograniczenie władzy. Tymczasem okazało się nadspodziewanie, że w kołach sejmowych powstały skrupuły i zastrzeżenia właśnie co do możliwości pogodzenia reformy konstytucyjnej z zobowiązaniem poddania konstytucji z roku 1928 głosowaniu ludowemu. Skrupuły te wyjaśnia obecnie podkomisja prawników, która w pierwszym rzędzie postanowiła się zwrócić poufnie do opinii rzeczoznawców, a więc przede wszystkim mojej jako uchodzącego za najwyższy autorytet w zagadnieniach konstytucyjnych. Dopóki rząd spodziewał

[6] Górna połowa kartki pod tą datą, zapisana ołówkiem, ze startym tekstem, jest mało czytelna.

się, że sprawa reformy pójdzie w Sejmie gładko i skrupułów w Sejmie nie przewidywał, dopóty ani Gabinet Ministrów, ani w szczególności Šiling nie widzieli potrzeby zwracania się formalnego do mnie. Šilingowi się zapewne zdawało, że moje obserwacje skomplikowałyby jeno zagadnienia reformy (w tym się nie mylił), a to mu się wydawało niepotrzebne. Gdy wszakże podkomisja sejmowa postanowiła zwrócić się do mnie, wtedy Šiling pośpieszył uprzedzić mój kontakt z tą podkomisją, aby z góry mię nakłonić i zjednać do nowych kombinacyjek spekulacyjnych, mających upozorować uzgodnienie faktu formy konstytucyjnej z zobowiązaniem głosowania ludowego na rzecz akceptacji konstytucji dotychczasowej. Chodziło o to, żeby mię dostosować do wniosków rządowych przed naradą z podkomisją prawników sejmowych. I trzeba przyznać, że to się poniekąd Šilingowi udało.

21 grudnia, rok 1937, wtorek

Mróz porządny, przeszło 10° i wiatr północny. W ciągu dnia wiatr nieco osłabł i zawrócił nieco na północny zachód. W konsekwencji wystygł natychmiast pokój jadalny, w moim gabinecie na górze zimno, siedzieć niepodobna. Kazimierz już nawet nie palił w piecu, bo nie opłaca się. Zimno też w przedpokoju i korytarzu, natomiast pokój sypialny Jadzi stał się znośniejszy.

Przejechaliśmy się z Jadzią Nemunasem saneczkami do Boniuszek i z powrotem, ale z parobkiem Butkusem, bośmy się bali jechać sami. Nemunas bowiem jest młody, silny, mało chodzi, karmiony jest owsem, ma twardy pysk i ma fantazję, toteż czasem unosi.

O Bohdaniszki spadkowe po Maryni kupcy zabiegają. Najpoważniejsi są dwaj – Mikulionis z Rukiel, brat nauczyciela ludowego bohdaniskiego, człowiek ze wszech miar znany, który kupuje 20 hektarów dalszych na pograniczu Kumsz w okolicach dawnych pasiek i wielkiej łąki i daje po 500 litów za ha, i Bohdan (Bagdonas) z Boniuszek, ten, co ma kramkę, zięć Danilewicza z Kumsz, szczwany lis i prawdziwy „kułak“ wiejski, człowiek, umiejący wyzyskać każdą sytuację i ze wszystkiego wycisnąć pieniądz. Bohdan chciałby kupić całość – 36-38 ha, które zostają po potrąceniu 8 ha, nabywanych przeze mnie, i 5 ha, nabywanych w samym centrum przez Elwirę. Ale Bohdan jest spekulant. Choć pieniądze ma – chciałby kupić jak najtaniej. Toteż nie daje tymczasem więcej od Mikulionisa, ale go wciąż pilnuje i dowiaduje się tutaj, żeby trzymać rękę na pulsie i w ostatniej chwili ubiec Mikulionisa i przelicytować go choć troszeczkę, oczywiście jak najmniej, ale tak, żeby tylko przeważyć szalę na swoją korzyść. Mikulionis sympatyczniejszy o wiele i tak Marysia, jak ja , chętnie byśmy mu dali pierwszeństwo, ale że to jest własnością nieobecnej Ewy i nieletniej Steni, więc nie można z ich kieszeni robić gesty hojności i uwzględniać sympatię do nabywcy, mam zaś wrażenie, że w ostatniej chwili chytry i pieniężniejszy Bohdan zawsze ubiegnie zacnego i natchniejszego, ale uboższego Mikulionisa.

Przed wyjazdem z Kowna nie zdążyłem zanotować w dzienniku mojego kroku w kierunku zalegalizowania naszego związku z Jadzią. Ponieważ rozwodu katolickiego otrzymać nie mogę w żadnym razie, więc małżeństwo kościelne katolickie, dopóki żyje Regina (a żyć będzie z pewnością długo i może mnie przeżyje, jest młodsza i nic jej fizycznie nie brakuje) – jest wykluczone. Zmieniać spekulacyjnie wyznania dla zawarcia małżeństwa nie chcę, bo choć katolikiem wierzącym nie jestem, to jednak zmiana wyznania, zwłaszcza spekulacyjna dla osiągnięcia celu ubocznego, ma dla mnie jakiś przykry smak, jakby coś brudnego i tchnącego frymarką sumienia. Może to przesąd, ale tak czuję i chciałbym tego uniknąć, jeżeli się da. Bo jeżeli nie jestem wierzącym katolikiem, to nie jestem też wierzącym żadnego innego wyznania, ukonstytuowanego kościelnie, a przynajmniej nie jestem wierzącym stuprocentowo. Chciałbym więc zalegalizować nasz związek przez małżeństwo cywilne w Kraju Kłajpedzkim, które ma u nas na terytorium całego państwa uznanie prawne formalne. Zapewne – dla rodziny mojej, dla naszego społeczeństwa ziemiańskiego a także dla ludu *en masse* w naszych stronach bohdaniskich takie małżeństwo „cywilne“ bez udziału Kościoła jest „trefne“. Ale cóż robić, jeżeli „koszerne“ jest nam niedostępne. Dla mnie wystarczy i takie, choć dla Jadzi nie zastąpi ono w zupełności katolickiego. Mnie chodzi zwłaszcza o zalegalizowanie formalne, o tytuł prawny. Innego Jadzi dać nie jestem w stanie. Zresztą kto wie, czy małżeństwo kościelne

niekatolickie, połączone ze zmianą wyznania, byłoby dla Jadzi dogodniejsze niż cywilne. Sądzę, że nie. „Zgorszenie" wszelkich kumoszek i „opinii" rodzinnej i pospolitej byłoby zapewne jeszcze większe. Dla uzyskania małżeństwa cywilnego w Kraju Kłajpedzkim chcę się oprzeć na wyroku rozwodowym kalwińskim, udzielonym nam z Reginą, udzielonym w roku 1932 w Wilnie na jej żądanie. Regina przyjęła bowiem poprzednio kalwinizm właśnie w celu uzyskania tego rozwodu, z którego zresztą potem nie skorzystała i nawet odpisu wyroku rozwodowego nie wybrała i żyje ze swym drugim mężem, którego nawet nazwisko jest mi nieznane, nieślubnie. Ja zamierzam się na tym wyroku rozwodowym oprzeć; jakie tu zachodzą jeszcze dla mnie wątpliwości prawne i co na razie przedsięwziąłem – o tym postaram się napisać jutro.

22 grudnia, rok 1937, środa

Do Gaju ani rusz dotrzeć nie mogę. O zimno mniejsza, ale droga jest trudna: albo śnieg głęboki, albo dziury nierówne i śliskie w wydeptanych i stwardniałych miejscach.

Na wieczór Jadzia i Stefanowa Römerowa pojechały do Rakiszek na spotkanie dziewczynek – Reni i Steni, które ze służącą Paulinką przyjeżdżają z Kowna na święta. Jednocześnie Jadzia powiozła do Rakiszek do wysłania koleją do Kowna na imię Kagana dwa ostatnie pieski czteromiesięczne Sajmy na sprzedaż. Szkoda trochę tych poczciwych zwierzątek, ale ostatecznie nie będzie im tam gorzej. Mogą się dostać w dobre ręce. Kagan, kupiec w Kownie, właściciel sklepu artykułów sportu, handluje psami. Przez niego sprowadziłem przed dwoma laty z Niemiec Sajmę jako patentowaną rasową suczkę newfoundlandkę i przez niego spróbuję sprzedawać jej szczenięta. Jednego pieska darowuję Kaganowi, drugiego sprzeda on na mój rachunek.

Wracam jeszcze do tematu, o którym pisałem wczoraj: zalegalizowania naszego związku z Jadzią przez małżeństwo cywilne w Kłajpedzie. Wyrok rozwodowy kolegium kalwińskiego w Wilnie byłby podstawą do tego małżeństwa, bo zresztą jednocześnie z orzeczeniem rozwodu dla mnie z Reginą zastrzega on wyraźnie prawo wolnego wstępowania w związki małżeńskie tak dla mnie, jak dla Reginy. Ale czy to wystarczy? W wyroku powiedziano wyraźnie, że Regina jest wyznania ewangelicko-reformowanego, ja zaś – „rzymskokatolickiego". Czy więc rozwód kalwiński jest dla mnie rozwodem formalnym? Ze stanowiska kościelno-katolickiego – nie jest nim, ja zaś jestem określony jako katolik. To jest jedna kwestia. Zapytywałem w tej kwestii latem listownie adwokata Rolnika z Płungian, który prowadzi sprawy takie w Kraju Kłajpedzkim. Odpisał mi, że to przeszkodą nie jest. Zupełnie jednak pewny tego nie jestem. Może jednak w warunkach wolności wyznania określenie mię jako „katolika", nie będzie przeszkodą, skoro się sam za takowego uważać nie chcę. Jest wszakże inna jeszcze komplikacja ewentualna. Wyrok rozwodowy jest orzeczony przez urząd kalwiński w Polsce – ogłoszony formalnie „w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej". Dla rządu cywilnego kłajpedzkiego jest to akt, sporządzony za granicą i nawet nie poświadczony przez urząd konsularny litewski, bo w Polsce tych urzędów litewskich nie ma. Akt, dokonany przez urząd państwowy w Polsce, tu sam przez się mocy prawnej nie ma. Chodzi więc o jego „nostryfikację". Zwróciłem się o to przed paru tygodniami do prof. Jokubėnasa, który jest superintendentem, to znaczy głową Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Litwie. Wszakże Jokubėnas dokonał tylko tłumaczenia tego wyroku z polskiego na litewski, zachowując nawet tytuł „w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej", zaświadczył tłumaczenie i autentyczność aktu i zaznaczył, że wyrok ten jest wydany stosownie do kanonów Kościoła Ewangelicko-Reformowanego Litewskiego. Czy to wystarczy? Kto wie? Będę próbował. Może nawet, gdyby się okazała potrzeba, przyjąłbym wyznanie kalwińskie, ale i w takim razie małżeństwo zawarłbym nie kościelno-kalwińskie, jeno cywilne w Kłajpedzie. Gdybym zmienił wyznanie w ostateczności – to tylko dla ulegalizowania rozwodu, ale nie dla kościelnego aktu małżeńskiego. W każdym razie to pewna różnica, choć w istocie dosyć subtelna.

23 grudnia, rok 1937, czwartek

Dziś przyjechało czterech studentów prawników do egzaminu. W ich liczbie był młody Marcin-Freeland Yčas, syn znanego – głównie sprzed wojny – działacza narodowego litewskiego Marcina Yčasa, człowieka zdolnego i ruchliwego, ale łączącego w sobie działacza społecznego ze spekulantem prywatnym, który obecnie, choć nie jest jeszcze zbyt stary, wybitniejszej roli odegrać już nie jest w stanie (ochoty i zdolności ani sił mu nie brak, warunków nie brakłoby także, bo jest zbliżony do obozu panującego narodowców) – głównie dlatego, że się skompromitował radykalnie w spekulacjach dosyć drastycznych, zwłaszcza zaś na bankructwie Banku Przemysłu i Handlu. Bogaty jest, ma spory fundusz na imię żony, bo sam formalnie niby nic nie ma, ale tak jest skompromitowany przez nieczyste wzbogacenie się na bankructwie i z krzywdą innych i przez sprawę karną, która mu była wytoczona i w której, jeżeli nie szedł do kozy, to tylko na skutek zastosowanego doń przez sąd przedawnienia, że dziś jego przyjaciele, narodowcy rządzący, nie odważają się go używać i wysuwać na jakie bądź stanowiska. Młody Marcin-Freedland Yčas zdał egzamin doskonale. Zdolny to i sprytny bardzo chłopiec, wykształcony, doskonale mówiący po angielsku, umiejący też po francusku i niemiecku, błyskotliwy.

Szkoda mi Andrzeja. Ciężkie ma tu życie. W domu ma atmosferę trudną. Matka i siostra są wrogo usposobione do jego miłości, on zaś, zdaje się, radykalnie zadurzony w Lingiównie. Matka i siostra z zajadłością, na którą są zdolne tylko kobiety, starają się go kąsać, rozpowiadają i nawet rozpisują do wszystkich krewnych i znajomych najgorsze i najzjadliwsze rzeczy o nim i o jego pannie, nie szczędząc barw i potwarzy, zgęszczając i przejaskrawiając szczegóły w kierunku ujemnym, dokuczają Andrzejowi, robią mu sceny, zatruwają mu każdą chwilę, zohydzają mu dom. W domu czuje się śledzony, napastowany, deptany, otoczony atmosferą wrogą. Tym ciężej mu, że jest materialnie zupełnie od matki zależny. Jak wilk samotny musi się tu czuć i odgryzać, wymykając się pod lada pozorem i tylko poza domem, tam, sekretnie, w rozmaitych kombinacjach spotykać ze swą ukochaną. Lingiówna podobno jest uzdolniona dziewczyna – gra na gitarze, śpiewa, zna się na balecie, umie balet urządzać. Ukończyła ona seminarium nauczycielskie, jest dziewczyna wykształcona i niegłupia. Wątpię tylko, czy Andrzej wytrzyma. Nie jest hartowany, ma naturę przekorną i kapryśną. Wyrywa się z Bohdaniszek w świat – trudno mu się dziwić, bo takie życie tu w zależności od matki podrażnionej i zajadłej i od siostry stetryczałej i jeszcze zajadlejszej, a mającej wpływ zupełny na matkę, jest piekłem. Ale, idąc po linii najmniejszego oporu, bo jest słaby, decyduje się na wyemigrowanie do Polski, bo to mu zapewni zasiłek materialny od matki i łatwiejsze urządzenie się bez walki o byt, skoro zaś już wyemigruje, to jestem pewien, że tam się cały ten epizod romantycznej miłości z Lingiówną rozwieje jak dymek od papierosa w wicherkach nowych wrażeń i nowych zapewne miłostek, a gdyby nawet upierał się wytrwać, to czyż się zdecyduje ekspatriować Lingiówna, świadoma Litwinka, która tam doświadczy pewno nieraz poniewierki od rodziny, a może kiedyś i od samego Andrzeja. Wątpliwe są perspektywy tego skądinąd ładnego epizodu romantycznego tych dwojga młodych.

24 grudnia, rok 1937, piątek

Tradycyjny dzień kucji. Na kuchni cała fabryka. Zwyczajem stałym, ustalonym przez Jadzię od czasu, jak mieszkamy w moim domu własnym w Bohdaniszkach, kucję spożywamy u stołu wspólnego z całą czeladzią służby. Stół pokryty tradycyjnie sianem pod obrusem, na sianie, a więc też pod obrusem, u każdego nakrycia położone są prezenty, przeznaczone dla danej osoby. Dziś prezenty były te: dla mnie – dwa cukierki holenderskie hopjes w małym pudełeczku na wacie (najskromniejszy prezent, bo dla najbogatszego od najbiedniejszych); dla Jadzi – staniczek dobry i majteczki z delikatnego jedwabiu różowego (kupione przeze mnie dla niej w Kłajpedzie); dla ekonoma Pumpola – chusteczki do nosa; dla Kazimierza – koszula dzienna ciepła flanelowa długa, bardzo mocna; dla Adeli, Paulinki i Kostusi – po sztuce materiału na sukienki; dla Reni – wstążki i lita; dla Feli – lita. Wszystkie wymienione osoby zasiadły do stołu. Zaczęło się naturalnie od opłatka tradycyjnego, połączonego z życzeniami wzajemnymi. Wieczerza była obfita i smaczna. Na początek były przekąski: szproty, konserwy rybne w tomacie, kilki, jajka z kilką, śledzie zwyczajne, śledzie

smażone w sosie pomidorowym, śledzie marynowane z cebulą, szczupak faszerowany po żydowsku, winegret doskonały z buraków, kapusty, fasolki i śledzi. Wino tokaj, ale produkcji krajowej z jagód, zresztą wyjątkowo niezłe. Barszcz z uszkami grzybowymi – wyśmienitymi. Ryba smażona, do niej kartofla, ogórki solone, kapusta kwaszona biała i czerwona. Śliżyki, „mleko" makowe, pszenica gotowana, znakomity kisiel żurawinowy. Bułki świeżo pieczone. Wstaliśmy od stołu opchani jak wory naładowane. Po kucji zapaliliśmy dużą choinkę, pięknie ubraną świecidełkami szklanymi i połyskującą pajęczyną srebrną, imitującą szron. Pod choinką saneczki, obłożone watą, jakby zaśnieżone, obładowane prezentami dla dzieci parobczanych – zabawkami, woreczkami z przezroczystego papieru kolorowego, napełnionymi cukierkami i bakaliami. Właściwa choinka z rozdawnictwem prezentów i zabawą dziecinną – jutro wieczorem.

Gdy my tak ucztujemy i na kucję objadamy się do zbytku, biedne ptaszki polne cierpią głód i nędzę na polach śnieżnych, stanowiących dla nich pustynię. Liczne stadka kuropatw krążą co dzień dokoła zabudowań, dochodzą bezpośrednio do ganku, napuszone, zziębnięte, głodne. Wszędzie ich pełno, nie bardzo się boją ludzi, szukają jeść. Biedne kochane ptaszki. Kruszę im chleb, ekonom sypie poślady.

25 grudnia, rok 1937, sobota

Dzisiaj, w dzień Bożego Narodzenia, zaprosiłem na obiad świąteczny do siebie całą rodzinę ze wszystkich naszych domów bohdaniskich. Domów tych jest jeszcze trzy, tak jak było bezpośrednio po naszym dziale po Papie z roku 1921, to znaczy mój dom, dom Elwiry i dom Maryni. Ale to już ostatnie święta, w których się jeszcze zachowały te trzy domy. Dom Maryni po jej śmierci już się likwiduje i niebawem zniknie. Zostanie mój i Mieczkowskich. Z domu Mieczkowskich zasiedli u mnie do obiadu: Elwira, Helcia, Andrzej i Michaś Mieczkowscy. Z domu szczątkowego Maryni: Stefan, Marysia i Stenia Römerowie. Ostatnie już święta spędzają oni tutaj. Wraz z wyprzedażą schedy spadkowej tej wiosny wyniosą się już stąd na zawsze. Wreszcie z mojego domu zasiedli do stołu: ja, Jadźka Čepasówna, Renia Bohdanówna i ekonom Pumpol. Ogółem zasiadło 11 osób. Jadźka wystąpiła z obiadem wspaniałym. Były zakąski obfite i bardzo smaczne z kucji wczorajszej, bulion na pomidorach z pierożkami z mięsem, kiełbasa świeża, pieczyste indyka, kompot z truskawek. Podczas obiadu przyjechali Stawscy, ojciec Józef i syn Justyś. Justyś tyje, szczególnie twarz staje się podobna do księżyca w pełni. Od Stawskich dowiedziałem się o śmierci Jana Rosena, w Murmiszkach po stronie polskiej – obecnie w powiecie brasławskim. Umarł w wieku lat 81. Znałem go dość młodego jeszcze w domu jego rodziców w Gaczanach.

Wieczorem była u mnie choinka dla dzieci parobczanych. Dzieci większych i mniejszych, od bobasów do podlotków włącznie, było ze 20, dzieci w młodszym wieku dostały każde po zabawce. Ile tu było radości, ruchu, zabawy. Grały trąbki, biegały nakręcone automaty, kręciły się wilki, beczała głosem cielęcym zabawka komiczna z Paryża, wiły się zwoje węży z popiołu, trzaskały z hukiem tzw. żabki, rzucając się po pokoju, paliły się gwiazdkami iskierek fajerwerki, śpiewały i rytmicznie się kręciły kółeczka dzieci, kilkoro dzieci deklamowało. Radość była wielka i ogólna. Sensację robił orzech kokosowy; każdy z uczestników otrzymał poza tym paczkę łakoci w papierku barwnym, zawierającym parę orzechów, figę, cukierki i rodzynki. Największy prezent otrzymał Janek Bieliuniuk – łyżwy prawdziwe. Wesoło upłynął gwiazdkowy wieczór dziecinny. Ta choinka u mnie jest tradycyjną. Dzieci dworskie marzą o niej i czekają jej tęsknie przez czas dłuższy z jesieni. Uchodzi za ładniejszą od szkolnej, bo jest połączona z prezentami osobistymi.

26 grudnia, rok 1937, niedziela

Dziś dzień dosyć bezbarwny. Nie ma też jakoś humoru. Będę pisał o konstytucji. Na naradzie prawników sejmowych ze mną w dniu 11 grudnia głównym punktem była kwestia legitymizmu reformy konstytucyjnej. Reformy tej pragnie cały Sejm obecny, przynajmniej tak się oni wypowiadają, ale chce zastosowania zasady legalnej (legitymistycznej). Propozycja Šilinga, aczkolwiek zawiera pewne naciąganie, jest bodaj względnie najwłaściwsza dla pogodzenia reformy

konstytucyjnej, skoro o nią koniecznie chodzi, z zasadą legitymizmu demokratycznego, sankcjonowanego przez obecną konstytucję. Oczywiście najprostszą i najszczerszą drogą, ściśle odpowiadającą przepisom aktu konstytucyjnego z roku 1928 (§106 tej konstytucji), byłoby zarządzenie niezwłoczne i proste referendum (czy plebiscytu) na rzecz przyjęcia lub odrzucenia konstytucji (raczej wniosku konstytucyjnego) z roku 1928. Formalnie to by jeno właśnie ułatwiło pożądaną przez rząd i Sejm reformę konstytucji. Bo gdyby plebiscyt potwierdził tę konstytucję, to przez to samo zostałaby zalegalizowana demokratycznie i droga dla reformowania jej przez Sejm w trybie przez nią przepisanym. Formalnie nie byłoby wtedy żadnej przeszkody ani trudności na rzecz dokonania reformy, jakiej tylko władze obecne sobie życzą. Gdyby zaś plebiscyt odrzucił sytuację z roku 1928, to przez to samo upadłby wniosek konstytucyjny, uczyniony ludowi przez rząd faktyczny, powstały z zamachu stanu, a wtedy władza ustawodawcza, której rząd ten się wyrzekł, czyniąc wniosek ludowi, wróciłaby do rządu jako faktycznie dyktatorskiego, wpływającego z zamachu stanu, który obalił poprzednio ustrój konstytucyjny. Byłby to powrót do *tabula rasa*, uczynionej przez przewroty z lat 1926-1927. Wtedy rząd stałby się znowu władzą faktyczną, niczym formalnie nie skrępowaną, odzyskującą wszystkie tytuły do dowolnego skonstruowania ustroju konstytucyjnego. Byłby to powrót z tą tylko różnicą, że „*le puissance constituel*" spoczywałaby obecnie w ręku nie samego tylko prezydenta faktycznego wraz z jego Gabinetem Ministrów, jeno w ręku prezydenta z Gabinetem, bądź co bądź wybranego przez pośrednie zgromadzenie elektorów, i Sejmu. Oczywiście, że wtedy można by było formalnie oktrojować taką konstytucję, jaka jest obecnie przewidziana w projekcie reformy. Sejm bowiem stałby się Konstytuantą, dzielącą władzę z prezydentem Smetoną i mianowanym przezeń rządem Gabinetu Ministrów. Ale ta droga prosta, formalnie najłatwiejsza i dająca wyraźne wyjście prawne, jest dla władzy obecnej politycznie niepożądana. Politycznie bowiem akceptacja wniosku konstytucyjnego z roku 1928 dodałaby mu autorytetu i utrudniłoby dokonywanie reformy wnet po tej akceptacji. Zaś wynik negatywny plebiscytu w ogóle kompromitowałby politycznie władzę obecną i sprawiał wrażenie dla niej ujemne, że oto nie posiada ona w „narodzie" poparcia dla swych wniosków. Kombinacja Šilinga jest to: uchwalić reformę bez względu na kwestię akceptacji konstytucji z r. 1928 przez „naród", ale za to natychmiast poddać akceptacji dokonaną reformę, uzależniając samą jej moc prawną od tej akceptacji. Jeżeli akceptacja nastąpi, to tytuł demokratyczny, uzyskany dla reformy, pokryje braki trybu dokonania reformy. Wszakże Šilingowi i całemu obozowi reformy chodzi o to, aby, jak mówią Rosjanie, - „*и невинность соблюсти, и капитал приобрести*", inaczej mówiąc – i akceptację demokratyczną pozyskać, i nie narazić się na fiasko odmowy akceptacji. A to by się dało spróbować osiągnąć w ten sposób, że zarządzenie głosowania plebiscytowego na rzecz akceptacji byłoby nie bezwzględne i kategoryczne, jeno uzależnione od „reklamacji" (veto protestacyjne), zgłoszonej powiedzmy w ciągu екяуср miesięcy przez 50 000 obywateli uprawnionych do głosowania, licząc na to, że reklamacja taka nie nastąpi, bo się nie nabierze takiej ilości głosów na odpowiedniej petycji, a wtedy akceptacja nastąpi *tacitus consensus* bez głosowania plebiscytowego, albowiem „*volatbis non fit injuria*". Wszakże oczywiście musiałaby być skonstruowana taka procedura tej „reklamacji", która by w ogóle uczyniła reklamację możliwą do ogłoszenia. Naturalnieб mogłaby być pewna presja przeciwko podpisywaniu petycji reklamacyjnej, mogłaby być z łatwością powstrzymane od udziału w reklamacji całe urzędnictwo i wszyscy od rządu zależni, można byłoby zmobilizować do akcji przeciwko reklamacji różne organizacje prorządowe, jak „Jaunalietuviai" etc., ale pomimo wszystko kto wie, czyby się dało zapewnić niedojście reklamacji do skutku?

27 grudnia, rok 1937, poniedziałek

Między śniadaniem rannym a obiadem byłem z ekonomem Pumpolem w Gaju. Powietrze jest miłe, mróz niewielki, koło 5 stopni, wiatru nie ma, drzewa, pokryte szronem, czynią widok śliczny. Trudne jest tylko dojście do Gaju, bo drogi dla jazdy do Gaju i przez Gaj w tym roku już, chwała Bogu, nie ma (jest droga tylko naokoło na gościniec, który przecina Gaj w odcinku лarwieliskim, ale to wielkie koło i wszystko jedno stamtąd trzeba iść przez las pieszo). Jest tylko ze dworu ścieżka, ale

nią iść bardzo niewygodnie, bo jest nierówna, miejscami śliska, pełna wybojów stwardniałych od stóp ludzkich, miejscami się noga zapada. Przez las i w lesie też chodzić mozolnie, bo śnieg głęboki. Poszliśmy do odcinka, w którym od szeregu lat wycinam drzewa na pasiekę. Jest to odcinek przedkarwieliski, który się ciągnie od brzegu lasu od strony karwieliskiej przed rowem, którym spływają wody z systemu łąk Prudelisa, aż do wielkiej drogi środkowej przez Gaj wzdłuż granicy mojej części Gaju z częścią Jadzi. Jest tam w środku kawałek, dotąd nie cięty, rozdzielający dwie połowy wyciętej tej pasieki. Ten kawałek przeznaczam na tegoroczny wyrąb zimowy na opał dworski. Tam wyznaczaliśmy z ekonomem drzewa na wyrąb, także jodły dla Nasty Jachimowiczowej i dla Nemeikšysowej na budulec. Po tym wyrębie pasieka otworzy się wielka na całej przestrzeni tego dużego pasa gajowego. Ładny i przyjemny był ten spacer po Gaju. Zwłaszcza był piękny.

28 grudnia, rok 1937, wtorek

Śliczny dzień w krajobrazie zimowym. Mróz dość ostry – 14° Celsjusza; wiatr ustał. Pogoda, słońce nieskalane świeci, niebo czyste; drzewa pokryte gęstą szacią szronu. Szron już bodaj że od dni 10 trzyma się na drzewach, ale dziś z nocy stał się jeszcze gęstszy. Ta delikatna gęsta tkanina szronu, pokrywająca wszystkie gałązki drzew, jak również żelazo, a więc i płoty z siatki drucianej, barierki na moście moim i na balkonie – nadaje śliczny wyraz przedmiotom, które pokrywa. Białe pióropusze drzew na tle błękitu nieba, białe krzewy puszyste, wyrastające z pól śnieżnych, wszystko to w słońcu staje się szczególnie wyraziste i piękne, a zarazem tworzy krajobraz fantastyczny i daje niepokalane barwy natury północnej. O zachodzie słońca wysokie drzewa, opromienione blaskiem słonecznym, nabierają barwy różowożółtej na tle bladego błękitu nieba i bieli śniegu oraz stalowosinawych tonów miejsc zacienionych. W tę piękną pogodę w przepięknym krajobrazie zimowym przejechaliśmy się z Jadzią saneczkami moim rączym Nemunasem drogą dokoła Gaju: Bohdaniszki – zaścianek Jadzi – Ginduryszki – gościńcem przez Gaj na Karwieliszki, nową drogą Karwieliszki-Bohdaniszki. Znakomity spacer, zwłaszcza takim koniem.

Parobcy wozili dziś szlam z dna spuszczonej sadzawki przy oborze mojej (dawnej stajni roboczych koni) – na mój ogród. Sadzawkę ekonom spuścił w jesieni i szlam woził na ogród, ale dużo go jeszcze zostało niewywiezionego. Nie jest zmarznięty pod śniegiem, a jest już podsuszony, toteż doskonale się kopie i ładuje na sanie. Jest jego gruba warstwa na parę metrów na dnie sadzawki. Skopują go parobcy aż do twardego dna gliniastego, a już tak podsechł, że stoi jak ściana, którą się stopniowo od brzegu skopuje i wywozi. Doskonały to nawóz na ogród owocowy i ogrody warzywne, które tego lata będą na moim młodym ogrodzie owocowym uprawiane.

29 grudnia, rok 1937, środa

Byłem dziś w Rakiszkach. Rzadko się zdarza, żebym w czasie wakacji zimowych wyjeżdżał gdzieś dalej z domu poza małymi spacerkami okolicznymi. Ale byłem się umówił listownie zawczasu z viršaitisem abelskim Mackusem, że w dniu dzisiejszym przyjedzie on do Bohdaniszek, skąd udamy się razem do Rakiszek do notariusza dla zrobienia aktu darowizny przeze mnie 1 hektara ziemi w Karwieliszkach za gościńcem samorządowi gminnemu abelskiemu na rzecz budowy szkoły. Od dwóch lat ta rzecz jest w toku, ale dotąd aktu nie zrobiono. Jechałem do Rakiszek w saneczkach jednokonnych Nemunasem. Jechał ze mną i powoził Bieliunas. Niebo zachmurzone, lekka mgiełka, drzewa w szronie, sanna doskonała, koń gorący, jazda znakomita. Mróz nieduży, wiatru nie ma, na sobie futro nowe z wiewiórek sybirskich z kołnierzem z wydry, na głowie czapka futrzana z klapami futrzanymi na uszy, na nogach futro baranie, na rękach rękawiczki – użmołki. Ciepło było jechać i prędko. Droga ładna, między zaściankami i wioskami Bohdaniszek, Prapultini, Janówki, Wiwieliszek, Rudel, Czelek, przez piękny w szronie las rudelski, tzw. Puszczę Rudelską, która zachowała tradycyjną nazwę „puszczy”, choć jest tylko szczątkiem niegdyś puszczy i daleko jej do rzeczywistości tego pojęcia. Ale piękną jest nie mniej w szaci szronowej. W puszczy tej na drogę przed nami wybiegł lis, spojrzał, zawrócił i popędził nazad w las. Na wielkim gościńcu jużynckim

jechać było już gorzej. Środkiem gościńca wzdłuż biegnie rów głęboki, wybity w śniegu torem kopyt końskich, a wtedy sanki jedną płozą biegną w rowie, przekrzywione paskudnie. Wyjeżdżamy wprawdzie tor bokiem tego rowu, ale miejscami ten nowy tor się zwęża, tak że płoza znowu wpada do tamtego rowu. Najgorzej w lesie tak zwanym szyłańskim (należał bowiem niegdyś do pobliskiego dworku pani Szyłańskiej, dziś Dudonisów, czyli „Dudoniów", jak się tu w kołach ziemiańskich wymawia w spolszczeniu nazwisko Dudonisa, żonatego z panną Szyłańską i przyjętego do społeczności ziemiańskiej). Za torem kolejowym pojechaliśmy do Rakiszek przez lasek na prawo, bo tam droga lepsza. W Rakiszkach miałem dużo interesów. Z tą darowizną hektara na szkołę los mię prześladuje. Znowu nic nie wyszło. Okazało się, że dla sporządzenia aktu trzeba, żeby była uchwała rady gminnej o przyjęciu darowizny, zatwierdzona przez naczelnika powiatu, i upoważnienie viršaitisa do sporządzenia aktu. Tych rzeczy nie było, więc aktu nie zrobiliśmy. Byłem w sądzie w sprawie pozwolenia na sprzedaż nieruchomości nieletniej Steni w Bohdaniszkach, u adwokata Trifskina, na poczcie, u fryzjera, w sklepach dla sprawunków. Na obiad zaprosił mię do siebie Mejer Ruch, syn żonaty Pejsacha. Ma on z żoną ładne mieszkanko, a obiad był sporządzony kuchnią żydowską, która jest bardzo smaczna: na przekąskę sardynki i śledź siekany z cebulą, posypany drobno posiekanym jak pyłek jajkiem, kiełbasa krajana z wołowiny z czosnkiem i ozór świeżo wędzony, bulion z naleśnikami, nadziewaniem mięsem, befsztyki i kotlety bite cielęce z borówkami w konfiturze i ogórkami solonymi, kompot ze śliwek, piwo, kisielek żurawinowy płynny ciepły jako napój, chała. Na obiedzie byłem ja, Mejer Ruch z żoną, pochodzącą z Pilwiszek, córką właściciela wielkiej firmy handlowej futer, Pejsach Ruch i Basieńska Ruchówna, córka Pejsacha, ładna i słodka dziewczyna, brunetka czarna. Rodzina Ruchów jest tradycyjna, mocno przywiązana do zwyczajów, należąca do kierunku chasydów, których ośrodkiem jedynym i gorliwym są właśnie Rakiszki i Abele. W czasie obiadu gospodarz domu, Mejer Ruch, nakrył głowę czapką i przez cały obiad, jak tego wymaga zwyczaj żydowski, pilnie przestrzegany przez tradycyjnych, dobrych i radosnych chasydów, siedział u stołu w czapce.

30 grudnia, rok 1937, czwartek

Miałem czterech studentów do egzaminu z prawa konstytucyjnego litewskiego. Egzaminowałem ich, jak zawsze w Bohdaniszkach, z długimi przerwami, przeto egzaminy zaciągnęły się na cały dzień.

Naśnieżyło znowu sporo. Ziemia, drzewa, zabudowania – toną w delikatnym puchu śnieżnym. Widok, jak w bajce feerycznej, jak najpiękniejsza dekoracja baletu. Nie pamiętam tak pięknych świąt Bożego Narodzenia, w których by tak długo – przez blisko dwa tygodnie – trwał szron i śnieg na drzewach. Zwykle u nas drzewa pokrywają się szacią śnieżną tylko wyjątkowo i na krótko – na kilka godzin, na dzień. Dla sportów zimowych wymarzone warunki. Dzieci jeżdżą na saneczkach, na nartach, które coraz bardziej się u nas upowszechniają.

Bohdan z Boniuszek, który tak gorąco tentował o nabycie całości 36 ha z Bohdaniszek po Maryni i który już był Mikulionisa przelicytował i usunął, jakoś przestał nalegać i zaczął o drobiazgi się targować albo wcale nie zgłaszać, nie robiąc umowy wstępnej i nie opłacając zadatku. Skorzystał z tego Mikulionis i zgłosił się dziś znowu ze swym szwagrem Jachimowiczem. Wszyscy wolimy Mikulionisa od Bohdana. Toteż Marysia skończyła dziś z Mikulionisem, wzięła zadatek i spisała umowę. Być może, że ze strony Bohdana były to tylko manewry, gdy się już czuł pewny swego po usunięciu konkurenta. Może będzie teraz żałował i gniewał się, ale już klamka zapadła. Zresztą Mikulionis kupił tylko 20 ha po 500 litów na kresach kumszańskich pola Maryńki. Zostaje 16-18 ha w połowie pola między dworem a kresami kumszańskimi. Ten odcinek liczony jest po 600 lt. za 1 ha. Mikulionis zarekomendował na tę cząstkę jakiegoś kandydata z Lajbgala, ale ten jeszcze niepewny. Zdaje się jednak, że trudności nie będzie. Po parę hektarów gotowiśmy dobrać ja i Elwira, ewentualnie na kilku ha może reflektować Stankiewicz i Bohdanówna, służąca Maryni, a zaczyna się też zapalać do kupna jakichś 10-12 ha Ignacy Čepas, ojciec Jadźki. Tak czy inaczej, skończymy zapewne rychło.

Miałem list od prorektora Purėnasa. Kryzys dziekanatu na Wydziale Humanistycznym i Teologii już zakończony. Na miejsce nie zatwierdzonych przez ministra dziekanów Krėvė-Mickiewicza i Kuraitisa wybrani zostali i już zatwierdzeni nowi dziekani: prof. Michał Biržiška na Humanistycznym i prof. Malakowski na Teologii. Michał Biržiška dopiął swego. Był on kiedyś dziekanem, ale gdy się w roku 1925-1926 pokwapił na rektorat, miejsce jego w dekanacie zajął Krėvė-Mickiewicz, który się był utrzymał dotąd. Michał Biržiška (a jego żona tym bardziej) tęsknił do rektoratu lub dziekanatu, ale obie te godności go omijały. Teraz przez upadek Krėvė-Mickiewicza wdrapał się. Wolę i o wiele bardziej cenię Krėvė-Mickiewicza od Michała Biržiški, rozkochanego w sobie i celebrującego swoją małą wielkość. Krėvė-Mickiewicz jest anarchista, w opozycji wiecznej do wszystkiego, co tchnie władzą, ale lubiący i umiejący trzymać władzę tam, gdzie ona do niego należy. Krėvė ma wady i usterki – skłonny do demagogii przez namiętność opozycyjną, choć nie znoszący opozycji sobie, zaczepny, czupurny, zbyt lgnący do kultury rosyjskiej i w ogóle słowiańskiej, za to nie mający czucia i nawet niechętny kulturze zachodniej, kanciasty na ogół. Ale człowiek szczery, utalentowany, żywy. Dobrze kierował wydziałem, miał autorytet i umiał nakazać sobie posłuch. Michał Biržiška – to mała bańka ambicji i próżności, pozorująca się w prostotę i skromność, człowiek szablonu i drobiazgowych studiów pedantycznych bez wielkiego polotu i głębi, choć wciąż się maskująca głębią udaną. A stoi za nim zarówno ambitna i namiętna jego żona, trawiona pragnieniem wpływów władzy, zaszczytów.

31 grudnia, rok 1937, piątek

Ostatni dzień roku 1937. Dzień upłynął spokojnie i równo tak, że się niczym zgoła nie zaznaczył. Jadzia jeździła do Abel na pocztę po pieniądze, przysłane mi z uniwersytetu na rzecz mojej pensji grudniowej. Ekonom Pumpol z parobkami powiózł do Rakiszek 21 cetnar pszenicy, sprzedanej przeze mnie kupcowi Żydowi po 14 ½ litów za cetnar. Po powrocie ich z Rakiszek daliśmy im podwieczorek gorący w pokoju jadalnym, złożony z wódki i kiełbasy z ogórkami i kapustą. W domu Mieczkowskich, jak zawsze teraz, kwasy z Andrzejem. Co dzień lata on do Lingiówny albo spotyka się gdzieś z Antosiem Rosenem i wozi z nim Lingiównę do Rakiszek, gdzie na stacji kolejowej mieszka panna, w której się kocha Antoś – córka naczelnika stacji i koleżanka Lingiówny. Wytworzyła się cała chewra czwórki zaczarowanej: Andrzej – Stefka Lingiówna – Antoś Rosen – córka naczelnika stacji w Rakiszkach. Jest to jakaś miłość we czworo, kółko zaczarowane, jazdy, latanie, zawrót głowy. Jakiś obłęd miłosny i koło naiwne. Zdaje się, że przeważają tu zmysły. Andrzej nie ma powagi i głębi w miłości, ale ma temperament i pęd do stadności, do rui. Dom jest dla niego teraz tylko hotelem czy domem zajezdnym, do którego wpada tylko po to, żeby się najeść, przespać, wycyganić konia z saniami pod jakimś pretekstem. Ze mną Andrzej sprawdza tekst przepisanego przezeń na maszynce rękopisu mojej nowej książki, przygotowanej do druku. Po parę dni nie przychodzi, bo go nie ma w Bohdaniszkach, albo czasu nie ma, gdy się śpieszy do swojej panny. A gdy przychodzi, to albo śpieszy się i z takim pośpiechem czyta rękopis, którego odpis maszynowy ja sprawdzam, jak żeby pędził pociągiem pośpiesznym, a wtedy to znaczy, że mu pilno do Staczerag do panny, albo czyta sennie i ziewa i gotów zadrzemać, a wtedy to znaczy, że wrócił od panny i jest w apatii i na wyczerpaniu. Stan jego rzeczywiście patologiczny. Do pracy jest zupełnie niezdatny. Musi być albo stąd wyrwany, albo żenić się. Taki, jaki jest, jest nieprzytomny i do niczego.

Miałem dziś z Jadźką czekać północy, aby spotkać rok nowy. Zawsze spotykaliśmy tradycyjnie rok nowy w łóżkach w objęciach Morfeusza, zasypiając w starym roku i budząc się w nowym. Tym razem mieliśmy czuwać i urządzić spotkanie uroczyste, ponieważ na rok 1938, o ile mi się moje zamiary powiodą, gotuję ewenement radykalny, stanowiący zwrot zasadniczy w naszym z Jadźką związku. Chcę dokonać małżeństwa formalnego, oczywiście tylko cywilnego w Kraju Kłajpedzkim, bo małżeństwo kościelne katolickie jest dla nas nieosiągalne, zaś zmiany wyznania i małżeństwa kościelnego w innym wyznaniu chcę uniknąć. Czy mi się mój zamiar uda – nie jestem pewny. Ale usiłować będę i rok 1938 będzie zapewne decydujący. W projekcie było, że Jadźka położy się spać o

szóstej pod wieczór, wyśpi się i na spotkanie nowego roku wstanie. Ale z wieczora bawiła u niej matka, toteż projekt upadł, a wreszcie nie wytrzymała i o dziewiątej rozebrała się i położyła. Stanęło na tym, że ja się doczekam sam północy i wtedy ją w łóżku obudzę i złożymy sobie życzenia. Tak też się stało. W czasie gdy kukułka na zegarze szwabskim w pokoju jadalnym kukała dwunastą godzinę, złożyłem Jadźce życzenia, byśmy się w tym roku 1938 pobrali i żeby w końcu roku czekała już ona synka, na co już, niestety, nie liczę poważnie. A może?.. Kto wie!

Wytrwale się doczekała północy tylko Renia w jadalnym z drzemiącą Felą. Wymęczyła się długim oczekiwaniem po to tylko, aby o północy w toku kukania kukułki napisać życzenia na kartce i kartkę spalić, nim kukułka wykuka.

1 stycznia, rok 1938, sobota

Dzień nowego roku upłynął mi cicho i na ogół samotnie. Jadzia jeździła do swojej siostry Stefci Boreišisowej w Spieczunach wraz z ojcem, Ignacym Čepasem, który pojechał stamtąd do wioski Šednitiszek pod Kowaliszkami dla omówienia z dzierżawcą zaścianka rodowego swej żony w tej wiosce sprzedaży mu tego zaścianka na rzecz kupienia pozostałych kilkunastu ha ziemi ze spadku po śp. Maryni w Bohdaniszkach.

Ja siedziałem w domu, nie jeździłem nigdzie. Odwiedziłem Elwirę i Stefanostwo. Powietrze wciąż takie same. Mrozu kilka stopni, wiatru nie ma, drzewa w szaci i śniegu, sanna znakomita. W domu kominek, praca cicha, herbatka z powidłami porzeczkowymi lub miodem, na obiad rosół z kury. Oto i cała introdukcja nowego roku.

Andrzej szaleje. Nie ma go nigdy, w domu u matki jest tylko gościem. Opętany miłością. Taka miłość – to prawdziwa choroba. Jest w kochaniu namiętny. Jest to u niego silne niewątpliwie, a czy jest głębokie – nie wiem. Wątpliwość budzi tylko ten fakt, że zanadto się tą miłością afiszuje, publikuje się z nią, rozpowiada i zwierza się wszystkim na cztery wiatry. Wszystkim – tylko nie mnie. Mnie się nie spowiada z tego i zachowuje dyskrecję zupełną.

2 stycznia, rok 1938, niedziela

Jeździliśmy dziś z Jadźką naszym miłym koniem Nemunasem do Narkun do Feliksa Mackusa. Pogoda wciąż taka sama, wszystko w bieli, zwłaszcza drzewa przepiękne, a sanna jak stworzona do spacerów i wycieczek. Okolice Narkun są ładne: wzgórza, dużo małych lasków między usianymi zaściankami wsi Dogil i Narkun. Krótko u Mackusów zabawiliśmy i wróciliśmy o zmroku do domu.

3 stycznia, rok 138, poniedziałek

Miałem studentów do egzaminu. Ostatnia partia w toku tych wakacji zimowych. Było czterech. Dwóch zdało bardzo dobrze, jeden – dobrze i czwarty, najstarszy, już przeszło 40-letni – zadawalająco, a właściwie kiepsko, ale zdał.

Zresztą nic szczególnego. Jak dotąd – nowy rok 1938 nie obfituje w treść, przynajmniej w moim tutaj życiu.

4 stycznia, rok 1938, wtorek

Nie mam humoru i dużo pisać nie będę. Byłem w Gaju z ekonomem, wyznaczyłem dodatkowo drugi odcinek lasu do wyrębu na opał. W Gaju w tym roku sprzedałem trochę jodeł – po kilka sztuk Pupielisowej z Poługi i Janowi oraz Kazimierzowi Malciusom z Ginduryszek za 142+110+109, razem ze 361 litów. Dobre i to. Popyt jest. Gdybym chciał sprzedawać – sprzedałbym dużo więcej, zwłaszcza że cenę biorę względnie bardzo niską, mianowicie połowę tej, którą ustanowiła za swój las Elwira. Zresztą las Elwiry w Staczeragach jest dużo lepszy na budulec od mojego w Gaju: las tam wysokopienny, jodły wyniosłe; w Gaju na lepszej ziemi – niższe. Ale ja na ogół nie sprzedaję lasu, robię tylko wyjątek dla bliższych sąsiadów.

5 stycznia, rok 1938, środa

Jestem bardzo przeziębiony. I w nocy źle spałem. Co mi się stało, że się obudziłem w nocy – musiała być godzina druga czy trzecia nad ranem – i nie mogłem zasnąć, a jakieś myśli czarne jak koszmary ze wszystkich stron mię nachodzić zaczęły. W nocy bezsennej, a jednak przeplatanej jakąś półsennością, przewracając się w łóżku, na poły myślałem, na poły czułem i tęskniłem; zamieniłem się w jakąś wegetację o bardzo ostrym czuciu i słabej potędze myśli. Wszystko mi się przedstawiało w barwach czarnych, graniczących z rozpaczą. Doznawałem literalnie uczuć Fausta w noc bezsenną, kiedy nań naszła rozpacz i tęsknota za młodością i życiem, kiedy przeklął on wiedzę i rozum, i swoją pracę i znienawidził starość swoją i całe dzieło swego życia. Poczułem obrzydzenie do mojej pracy, moją izolację odludną, gotów byłem przekląć życie moje i pragnąłem śmierci. Dwa tylko jeszcze płomyczki miłości świeciły mi w tym obrazie tragicznym znienawidzonej starości: to miłość Jadźki mojej przywiązanej i wiernej towarzyszki, która jest zawsze moją w złym i dobrym losie, i miłość drzewek moich, które zasadzam w Bohdaniszkach i które tworzą moją dekorację ukochanego widoku bohdaniskiego; wszystko inne zdawało mi się nic niewarte – i uniwersytet, i praca naukowa moja, i tym bardziej zaszczyty i pieniądze... Był to rodzaj kryzysu histerii psychicznej. Co tak oddziałało na mnie – sam nie wiem. Może to, że z wieczora, pisząc list do Diskina, dotknąłem życzeń moich dla siebie na rok nowy, w szczególności co do małżeństwa z Jadzią, uprzytamniając sobie jednocześnie jałowość zaszczytów i pieniędzy, których mam dosyć i których powiększenie nic mi dać treściwego nie może, bo zaszczyty i wpływy czy władza jeno izolują człowieka od serc ludzkich, zbliżając go natomiast do interesów ludzkich, a im więcej pieniędzy wpływać mi będzie do jednej ręki, tym więcej jeno z drugiej wypływać będzie. Ludzie do mnie przychodzą, zwracają się, ale zawsze w interesie, nie z serca – nawet w rodzinie. Czuję się izolowanym, obcym, potrzebnym tylko dla rady, protekcji, pomocy, nie dla serca. Im człowiek wyżej stanął, tym dotkliwiej i boleśniej czuje i stwierdza, że – nie ma karesu bez interesu. Tylko Jadzia mi daje serce i tylko drzewka moje rosną i spełniają moje marzenie, nie zgłaszając interesu do mnie. Boleśnie mię dotyka Andrzej, którego polubiłem, a który dziwnie sztywny się stał wobec mnie, unikając wszelkiej rozmowy i zbliżenia ze mną. Nie chcę jego konfidencji, ale chciałbym szczerości w rozmowie. Tymczasem jest on wobec mnie jak złapany i zamyka się na siedem zamków. Ale już dosyć o tym. Nie chcę i nie lubię się grzebać w różnych doznaniach przykrych.

Z powodu zaziębienia nie wychodziłem dziś z domu. Była u mnie Elwira, starsza siostrzyczka serdeczna, choć nie zupełnie ze mną swoimi poglądami zespolona. Po obiedzie odwiedził mię Julek Komorowski, który przyjechał ze swą kuzynką panną Renią Komorowską ze Skrobiszek.

6 stycznia, rok 1938, czwartek

Trzy Króle. Jutro wyjeżdżamy z Bohdaniszek. Czuję się jeszcze zakatarzony. W nocy spałem nieźle co prawda, ale oddychałem ciężko z powodu ciężaru na piersiach; widocznie zaflegmienia płuc. Toteż i dzisiaj Jadzia mię nie wypuszczała z domu. Jak zawsze – nachodzili mię różni interesanci. Był także Mackus młodszy, brat Feliksa, z majstrem głuchoniemym z Narkun, który się podjął wykonania dla mnie z mojego materiału (dąb i deski brzozowe lub jesionowe) – krzyża ozdobnego litewskiego, raczej kapliczki ozdobnej, której wzór mu dałem z albumu krzyżów litewskich. Lubię bardzo te piękne wzorki starego folkloru architektonicznego litewskiego. Chcę dwa takie krzyże zafundować w moich Bohdaniszkach, jeden typu kapliczkowego, drugi – z krzyżowaniem poprzecznym.

7 stycznia, rok 1938, piątek

Dzień wyjazdu z Bohdaniszek. Nie lubię nigdy dnia przeznaczonego na wyjazd. O południu na pociąg dzienny wysłaliśmy służącą Paulinkę z obiema dziewczynkami – Stenią i Renią. My z Jadzią wyjeżdżamy dopiero wieczorem na pociąg nocny.

Zdecydowałem się przed odjazdem sprowokować rozmowę z Andrzejem Mieczkowskim w drażliwym przedmiocie jego miłości i jego zamiarów. Unikałem z nim konfidencji dotąd i on unikał ich także ze mną, a ponieważ ta kwestia jest teraz dla niego najżywotniejsza, w której streszcza się na

razie cała jego energia, więc nie mogąc ze mną o tym mówić, a czując dobrze, że o tych rzeczach słyszę, rozmawiam z Elwirą i mam o tym taką czy inną opinię, Andrzej czuł się wobec mnie cały czas skrępowany, w kontakcie ze mną był jak złapany. Było między nami niedomówienie, które fałszowało szczerość naszego stosunku. Mnie to nieco drażniło, choć właściwie sam obrałem taktykę niedopuszczania do konfidencji, jego zaś, jako młodszego i osobiście dotkniętego, to konfundowało i onieśmielało. Z tego, co tutaj przez ten czas słyszałem z różnych stron o tej miłości Andrzeja do Lingisówny, o zachowaniu się jego i w pewnych jego odezwaniach się co do przyszłości, odniosłem wrażenie i nabrałem przekonania, że miłość Andrzeja jest wprawdzie silna i namiętna, ale nie głęboka i nie poważna. Źródła moich informacji były zwłaszcza trzy: a. skargi Elwiry, stanowiące nastawienie jej i Helci, kategorycznie wrogie uczuciom Andrzeja, zaciekłe, zgryźliwe a przeto nieścisłe; b. relacja Stefana Römera, Marysi i Justysia Stawskiego, operujące poniekąd zwierzeniami samego Andrzeja, poniekąd obserwacją; c. plotki, czyli *vox populi*, który stanowi raczej legendę, zaprawioną łakomstwem sensacji, niż *vox Dei*. Kombinując wiadomości z tych trzech źródeł, zresztą kombinując je krytycznie, wyrobiłem sobie wrażenie mniej więcej takie. Miłość ta jest sezonowa, ot, taka sobie emanacja młodego temperamentu. Jest to jakaś miłość kółkowa we czwórkę – Andrzej, Antoś Rosen, Stefcia Lingisówna i jej koleżanka gimnazjalna – piękna córka naczelnika stacji w Rakiszkach. Cała ta czwórka adoruje się wzajemnie i tworzy jakieś kółko zaczarowane, pełne gry i barw uczuć na tle nudów wiejskich, bezczynności i szarego środowiska poprzedniego w rodzinie. Matka i siostra, to znaczy Elwira i Helcia Mieczkowskie, zgorszone i oburzone mezaliansem stanowym i narodowym miłości Andrzeja („chłopka" i „Litwinka"), dotknięte w najgłębszej rutynie poglądów tradycyjnych, a u Helci zwłaszcza ultranacjonalistycznych (może wchodzi tu w grę także podświadoma zazdrość Helci, która sama uczuć takich nie doznała i w nikim nie zbudziła, a jej „zabawy" w towarzystwie gości z sąsiedztwa, bez temperamentu i gorętszej podniety, zdawkowe i nudzące młodzież, ani się umyły do tych żywych jaskrawych przeżyć romantycznych Andrzeja z Antosiem Rosenem), z zaciekłością iście kobiecą gryzą Andrzeja i obrzydzają mu dom, za co on odpłaca im brutalnością i bezwzględnością i naturalnie ucieka z domu i gotów im na przekór i na złość brnąć tym bardziej w ten stosunek radosny z dziewczyną i kółkiem wzajemnej adoracji. W domu Andrzej jest tylko gościem, wpada do domu jak do hotelu: nic go tu nie ciągnie, wszystko mu ten pobyt w domu obrzydza: tu piekło – tam raj barwny. Pędzi do panny, gdy ona jest u rodziców w Staczeragach, albo przez Gaczany pędzi sam z Antosiem Roseniukiem lub sam za Jużynty, gdzie Lingisówna zajmuje posadę nauczycielki ludowej. Ewentualnie rozbijają się oni we czwórkę między Rakiszkami, Staczeragami, Rogielami i Jużyntami. Szuka pretekstów do wyjazdu z domu, żeby tylko schwycić konia – a tam już jazdy, schadzki umówione, ekstra. W domu zaś układanie długich rzewnych listów, stylizowanie ich rozkoszne, otrzymywanie listów od niej. Podobno Andrzej lubi odczytywać te listy Stefanowi i różnym przyjaciołom z młodzieży, lubi też prezentować pannę swoim znajomym z młodzieży lub wozić młodych mężczyzn do niej, aby się zachwycali i zazdrościli. Byłaby więc w tym afiszowaniu się, demonstracyjna manifestacja uczuć na pokaz. Panna niby się uczy po polsku, oboje są zdecydowani czekać 3-4 lata, aby się pobrać, gdy Andrzej ułoży swój los w Polsce i zdobędzie stanowisko.

8 stycznia, rok 1938, sobota

Podróż z Bohdaniszek do Kowna przeszła dobrze. Wyjechaliśmy z Jadzią z Bohdaniszek wczoraj przed godziną dziewiątą wieczorem. Na ogół w ciągu trzech dni ostatnich droga się nieco zepsuła: trochę śnieżyło, ale zwłaszcza wiatr się podniósł, który z jednej strony spędził szać i śnieg z drzew, pozbawiając widok fantastycznego piękna, z drugiej – zawiał drogi suchym śniegiem. Sanna jest nadal dobra, ale droga często nieznaczna, zwłaszcza na drogach mniej wyjeżdżonych. Wiózł nas Bieliunas Nemunasem. Bałem się trochę z początku jechać w nocy Nemunasem po zawianej drodze, ale potem oswoiłem się. Dojechaliśmy do Abel dobrze i prędko. Tradycyjnym zwyczajem moim, zafundowałem w Abelach w bufecie kolację moim furmanom – parobkom Bielinasowi i Butkusowi (ten ostatni wiózł rzeczy) i niebawem doczekaliśmy się pociągu. Jechaliśmy w wagonie sypialnym

III klasy. Spałem w nocy dobrze. Rano byliśmy dziś w Kownie. Przed obiadem poszedłem do uniwersytetu i objąłem urzędowanie rektorskie. Nic bardzo nowego na uniwersytecie nie ma.

Poświęcę jeszcze kartkę dzisiejszą dziennika Andrzejowi Mieczkowskiemu. Kółkowy charakter tej miłości Andrzeja i nadmierne jej afiszowanie, połączone ze zwierzaniem się ciągłym na prawo i na lewo, z konfidencjami przyjaciołom, demonstrowaniem swej korespondencji z panną – czyniło na mnie wrażenie niepoważne. Stefan Römer powiada, że Andrzej chętnie odczytuje swoje listy do Lingisówny, stylizuje je godzinami, radzi się ze Stefanem, zasięga jego opinii. Grając w karty z młodzieżą u Stefanostwa Andrzej wciąż coś gada o Lingisównie, popisuje się miłością i panną, deklamuje jakieś wierszyki o niej, które układa („Świeci księżyc, droga równa, Idzie panna Lingisówna...” itp.), słowem, włóczy tę swoją miłość bez względu na to, czy słuchacze to traktują na serio, czy drwiąco. Elwira zaś powiada, że Andrzej trzyma na stoliku swym otwarte całe stosy listów od Lingisówny, jakby prowokując, żeby je czytano, a swoje najbardziej „*intimes*” listy do niej także nie strzeże bynajmniej, rozrzuca, dając możność ich odczytywania i obracania na pośmiewisko. Na przykład, jeden z listów jego walał się na podłodze; podniosła go Budkiewiczówna (córka Justyna) i śmiejąc się odczytywała głośno Helci i Elwirze; w liście tym był taki oto zwrot: „*Kada gi mes vėl darysime jepsim-piepsim, tirli-manirli?*“, a dalej znów jakaś wzmianka o tej części ciała Lingisówny, gdzie się kończy „inteligencja“ – chyba więc zadek? Naturalnie, że to naraża pannę i stosunek na śmiech i złośliwe domysły. To „*jepsim-piepsim, tirli-manirli*“ rozeszło się po całym dworze. W tych warunkach cała ta miłość nabiera pozorów wcale niepoważnych, zwłaszcza że najserdeczniejszym wspólnikiem i przyjacielem Andrzeja w zalotach do Lingisówny i wyprawach kółkowych jest Antoś Rosen, chłopiec niespełna 18-letni, dziecko zupełne. Wyjazd też do Polski, zawieszenie małżeństwa na całe 4 lata – to wszystko razem nie zdaje się świadczyć o powadze uczuć i zamiarów Andrzeja, choć są one, zdaje się, najszczersze. Rozmówiłem się wczoraj o tym z Andrzejem. Spytałem go wprost, co myśli o tym swoim uczuciu, jakie ma zamiary prawdziwe, dlaczego kompromituje dziewczynę i jak pogodzić jego rzekomą miłość głęboką z tym błaznowaniem i rozwlekaniem stosunku na plotki i obmowę ludzką. Andrzej zaprzeczył kategorycznie większości tych szczegółów, na których moją opinię opierałem. Powiada, że nigdy nikomu listów Lingisówny nie odczytywał, że listy te trzyma na stoliku, bo nie ma dla nich żadnej schówki i że w domu nie dają mu żadnej szuflady czy szafki pod kluczem; jeżeli ktoś w domu go śledzi i czyta jego listy prywatne, to jest to tylko dowodem złośliwości i podłości babskiej; nigdy żadnych mężczyzn do Lingisówny nie woził i raz tylko jeden poszedł z nią na spacer do Gaju i przedstawił Justynowi Stawskiemu, który polował, ale zrobił to w dobrej myśli. Tylko z Antosiem Rosenem parę razy był u Lingisów, zresztą z nikim innym. We czwórkę i w towarzystwie córki naczelnika stacji w Rakiszkach nigdy nie jeździł. Zdecydowany jest z Lingisówną się ożenić po kilku leciech, gdy się urządzi w Polsce i zdobędzie stanowisko samodzielne. Ona pozostanie Litwinką, ale po polsku się nauczy i już się uczy. Oboje żałują, że nie są jednej narodowości, ale pod tym względem nie będą krępowali siebie. Lingisówna wolałaby, żeby Andrzej pozostał w Litwie, ale gotowa jest pojechać z nim po ślubie do Polski.

9 stycznia, rok 1938, niedziela

Kocham wieś zawsze, kocham ją i w zimie, kocham nawet w jesieni. I jesień ma swój urok na wsi, nawet ta najcięższa, ślepa, pełna mgły, słoty i szarugi, jesień listopadowa. Zima bywa nawet bardzo piękna. W jesieni głębokiej nigdy w mieście w mieszkaniu nie jest tak rozkosznie, jak w mieszkaniu ciepłym na wsi u ogniska, np. u kominka, kiedy wiatr huczy na dworze i świszczy w kominie, deszcz smaga w szyby okien i dokoła za ścianami jest morze żywiołu ślepego i szalejącego w opętaniu tragicznym. I ładnie jest wtedy nawet wyjść na dwór, gdzieś jechać, iść, coś robić w tej naturze rozpętanej, w chaosie szarugi z myślą o ucieczce i o schronisku, które czeka. A jednak, mimo że kocham wieś o wszelkiej porze i że lubię się zanurzyć na czas jakiś w ten kontakt dziewiczy z naturą, jednak wracając z wakacji zimowych do miasta, do mego mieszkania miejskiego, posiadającego komfort, którego na wsi w moim domu kochanym w Bohdaniszkach nie mam, stwierdzić muszę, że na starość miasto jednak daje cenne atrybuty wygody i zdrowia, których brak

jest dotkliwy na wsi: światło elektryczne, ogrzewanie centralne, w dobrze urządzonym mieszkaniu temperaturę równą, radio z głośnikiem bez różnych baterii i skomplikowanych urządzeń itd. Dziś się tym wygodom oddawałem przez dzień cały przy pracy u biurka mego, a pod wieczór przeszedłem się z Jadzią po mieście w śnieżycę, posiedzieliśmy w kawiarni z muzyką, wróciliśmy saneczkami do domu.

Na uniwersytecie nic szczególnego nie zaszło. Prace nad regulaminami w myśl nowego statutu szły przez całe święta pod kierunkiem prorektora Purėnasa bardzo intensywnie. Z poszczególnych drobiazgów zanotuję to, że Fundancja Rockefellera z dwóch kandydatów Wydziału Prawniczego do stypendium na studia „społeczne" zakwalifikowała ekonomistę Cesewicza, docenta prywatnego na wydziale naszym, człowieka wybitnych zdolności i bodaj najlepszego *in spe* ekonomistę litewskiego, natomiast kandydaturę mojego asystenta, Konstantego Raczkowskiego, który reflektował na specjalizację w zakresie międzynarodowego prawa prywatnego, odrzuciła. Jest to cios dosyć bolesny dla Raczkowskiego. Nie wiem, czy Raczkowski nawróci do swojej linii poprzedniej, kontynuując rozpoczętą dysertację na temat stanowiska prawnego kościołów w Litwie, ażeby z czasem objąć wykłady prawa kościelnego (prawa kościołów) na wydziale, czy też pomyśli o skierowanie się na co innego w zakresie nauki. Ma pociąg do cywilistyki. Gdyby Raczkowski wyszedł z asystentury u mnie, pomyślałbym o nowym asystencie w osobie Antoniego Żukasa. Z Feliksa Mackusa, jako reflektanta do nauki, wielkich rzeczy się nie spodziewam. Jest on zanadto wygodny i leniwy.

10 stycznia, rok 1938, poniedziałek

W tym tygodniu mam aż trzy dni egzaminów studenckich – dziś, we środę i w piątek. Wykłady rozpoczną się dopiero w tygodniu przyszłym. Wszakże posiedzenie senatu akademickiego zwołuję już w tym tygodniu. Będziemy mieli w senacie cały szereg regulaminów do przyjęcia: a. regulamin akademicki ogólny; b. statut przedstawicielstwa studenckiego; c. statut akademickiej kasy chorych; d. przepisy szczególne o organizacjach studenckich; e. zatwierdzenie wszystkich regulaminów wydziałowych. Będzie z tym roboty na długo.

Nic jeszcze nie wiem o losach projektu konstytucji.

11 stycznia, rok 1938, wtorek

Roboty na uniwersytecie mam jeszcze niedużo. Kownu i sprawom publicznym jeszcze się nie zacząłem udzielać. Pracuję spokojnie w domu i załatwiam niektóre pilniejsze sprawy bohdaniskie. Dałem geometrze, niejakiemu p. Vertelce, zaprojektować na planie w myśl moich wskazówek parcele z zamierzonej wyprzedaży części spadkowej Bohdaniszek po śp. Maryni. Parcela, którą ja kupuję (ogółem 10 ha), i parcela, którą kupuje Elwira (ogółem 7 ha), idące od siedziby dworskiej, mają się kończyć w jednej linii; moja będzie szersza, Elwiry węższa, obie równoległe jednostajnej długości. Granice tej mojej parceli będą teraz inne, niż były zaprojektowane poprzednio i nawet już przeze mnie w naturze wyznaczone: parcela moja będzie krótsza, ale za to znacznie szersza, tym bardziej, że wynosić będzie teraz 10 ha zamiast ośmiu. Pod Kumszami będzie duża parcela 20 ha, nabywana przez Mikulionisa, do której będzie dotoczona parcela czterohektarowa Stankiewicza. To, co pozostanie między parcelą Mikulionisa i naszymi, pozostaje do sprzedania. Geometra ustali, ile tam pozostaje ziemi; powinno być od 12-14 ha. Zobaczymy, jaka będzie figura.

Druga rzecz bohdaniska. Na wyjezdnym z Bohdaniszek stwierdziliśmy, że moja suczka newfoundlandka Sajma zaczyna się biegać. Została ona zamknięta w drwalni, a ja napisałem stąd do p. Telksnysa, dyrektora oddziału Banku Litewskiego w Kiejdanach, który ma psa importowanego tejże rasy (nazywa się „Kanis"), prosząc go o pożyczenie mi psa dla skrzyżowania z Sajmą. Otrzymałem dziś od p. Telksnysa odpowiedź, że psa wyśle we środę w nocy pociągiem z Kiejdan do Abel w skrzyni bagażem. Telegrafowaliśmy do ekonoma Pumpola w Bohdaniszkach, żeby psa w Abelach zabrał. Może uda się doczekać szczeniąt czystej rasy.

12 stycznia, rok 1938, środa

Byłem na obiedzie Rotary-Clubu. Niedużo było członków, gości nie było wcale. Referacik – o szpiegostwie – wygłosił członek klubu pułkownik Leonas, prezes Sądu Wojennego. Problem dosyć ciekawy.

Z rozmowy z tymże prezesem Leonasem, który był moim sąsiadem przy obiedzie, dowiedziałem się, że wszelki ruch komunistyczny w Litwie zanikł i zlikwidował się. Ponieważ wszystkie sprawy o przynależności do organizacji komunistycznej należą do właściwości Sądu Wojennego i prokuratura oraz organy śledcze tego sądu mają wciąż z tymi kwestiami do czynienia, przeto opinia prezesa Leonasa jest miarodajna. To samo zresztą potwierdza adwokat prof. Stankiewicz, którego opinia jest także miarodajna, bo jest on najwybitniejszym adwokatem karnym z wielką praktyką także w szczególności w sprawach politycznych. Ruch komunistyczny w duchu prawowiernym sowieckim zanikł wobec jaskrawej degeneracji rządów sowieckich w kierunku dyktatury. Podobno wszystko to, co pozostało z ruchu komunistycznego w Litwie, jest na wskroś „trockistowskie", to znaczy opozycyjne w stosunku do prądów rządowych, panujących w Sowietach. A jak powiada prezes Leona, ten prąd „trockistowski" jest już dziś nie tylko nie zwalczany, ale nawet popierany przez władze polityczne krajowe i subsydiowany przez nie...

13 stycznia, rok 1938, czwartek

Mieliśmy dziś pierwsze po świętach posiedzenie senatu akademickiego. Mamy teraz w senacie dwóch nowych dziekanów: prof. księdza Małakowskiego na Wydziale Teologiczno-Filozoficznym (zamiast niezatwierdzonego prof. ks. Kuraitisa) i prof. Michała Biržiškę na Wydziale Humanistycznym (zamiast niezatwierdzonego prof. Krėvė-Mickiewicza). Co do prof. Małakowskiego, to nie wiem, mało go znam. Sprawia wrażenie giętszego od Kuraitisa, jest też ekspansywniejszy, towarzysko łatwiejszy, uśmiechnięty, gładki, mniej kanciasty w dyskusji i w obstawaniu przy swoim zdaniu, ale, jak powiadają, bardziej szczwany lis w klerykalizmie, niż jego poprzednik Kuraitis, człowiek szczery i bardziej prostolinijny. Zobaczymy. Co zaś do Michała Biržiški, to o wiele bardziej cenię Krėvė-Mickiewicza. Krėvė jest szczerszy, trochę kanciasty i ostry, ale samodzielny, czujący i działający bezpośrednio. Michał Biržiška – w dużym stopniu faryzeusz i purchawka ambicji, podniecanej przez żonę. Z trzech braci Biržišków w profesurze najwięcej cienię i szczerze z całego serca lubię Wacława; najmniej Michała, który w ich rodzinie uchodzi za największego i jest rodzajem papieża. Na posiedzeniu dzisiejszym senatu dziekana Michała Biržiški nie było, bo właśnie umarła 80-letnia matka Biržišków. Głównym przedmiotem posiedzenia dzisiejszego były dwa projekty regulaminowe: projekt statutu przedstawicielstwa studenckiego i projekt statutu studenckiej Kasy Chorych. Oba projekty z małymi poprawkami zostały uchwalone i będą przedstawione do zatwierdzenia ministra oświaty. Zresztą prorektor Purėnas już się porozumiał z ministrem w toku układania projektu, toteż zatwierdzenie jest bodaj zagwarantowane. Studenteria i czynniki władz akademickich cieszą się, że wreszcie sprawa przedstawicielstwa studenckiego została szczęśliwie rozstrzygnięta. Bliska jednak przyszłość pokaże dopiero, czy ten optymizm jest uzasadniony. Jeżeli na wyborach koła narodowców wśród młodzieży uzyskają większość albo choćby znaczną ilość mandatów w mniejszości, to może instytucja ta rozwinie się gładko. Jeżeli wszakże narodowcy kampanię przegrają i wpływów w przedstawicielstwie nie osiągną, to rozpocznie się podkopywanie instytucji, dyskredytowanie jej i wreszcie sabotaż lub bojkot, jak to już miało miejsce przed paru laty. A że koła młodzieży narodowców są pokrewne kołom rządzącym w państwie, to ostatecznie o losach instytucji zadecydyje ich stanowisko, które zresztą zależeć będzie od tego, o ile instytucja im służyć będzie.

14 stycznia, rok 1938, piątek

Zaproszony byłem dziś na herbatkę do ministra oświaty Tonkunasa. Jaka była dla tej herbatki okazja – nie wiem. Zdaje się, że żadnej szczególnej i że chodziło tylko o pewien akt kontaktu towarzyskiego czynników oświaty. Z kół uniwersyteckich byłem zaproszony ja, obaj prorektorowie (Purėnas nie przyszedł) i sekretarz uniwersytetu prof. Blažys. Poza tym byli dyrektorowie

departamentów Ministerium Oświaty, wiceminister Masiliunas, dyrektor Izby Kultury Ciała Augustowski, żony tych panów, wreszcie minister komunikacji Staniszewski. Była herbata, kawa, kanapki, różne ciasta, torty, cukierki, marcepany, liczne likiery. Gospodarze – minister Tonkunas i jego żona – byli bardzo gościnni. Herbatka trwała do trzech godzin. Po herbatce toczyła się przy likierach gawędka.

Wieczorem odwiedził mię prof. Gudowicz, niewyczerpany w gawędzie, ale miły i bardzo serdeczny.

15 stycznia, rok 1938, sobota

Wypadło mi dziś o południu wybrać się do szpitala miejskiego (przy Placu Ratuszowym na Starym Mieście) dla poddania się procedurze fotografowania funkcji mego mięśnia sercowego. Właściwie potrzeby nie było żadnej. Latem wykonano już na mnie takiej fotografii w Nauheimie. Ale ponieważ obecnie klinika uniwersytecka chorób wewnętrznych, która tymczasem (do czasu wybudowania wielkiego kompleksu klinik uniwersyteckich w dzielnicy VII fortu) jest zainstalowana w szpitalu miejskim, kierowana przez profesorów Bujniewicza i Gudowicza, nabyła taki aparat do fotografowania funkcji elektrycznej mięśnia sercowego, więc Gudowiczowi chodziło o zademonstrowanie mnie i na mnie tego aparatu. Polecił mi udać się dziś do szpitala i poddać się tej procedurze. Powiadam – potrzeby nie ma, bo pod względem serca czuję się doskonale, bodajże lepiej niż kiedykolwiek. Chodziło tylko o fantazję Gudowicza. Nic mię to jednak nie kosztuje, więc poddałem się tej procedurze, która zresztą uciążliwa nie jest: na ręce w kostkach i na lewą nogę w kostkę nakłada się mokre szmatki, w które się zawija blaszka i do blaszki wstawia drut, który przekazuje tok elektryczny z ciała do aparatu, gdzie ulega on wzmocnieniu i zafiksowuje na kliszy linię łamaną tego toku. W szpitalu Gudowicz mi pokazywał lokale, użytkowane przez klinikę uniwersytecką internistów; zaiste lokale te wołają o prędsze wyzwolenie kliniki uniwersyteckiej ze starego szpitalu miejskiego, co już, chwała Bogu, iści się w budowie wielkiego kompleksu tych klinik, odpowiadającego potrzebom i technice klinicznej. Obecne lokale są stare, ciasne, ciemne, pierwotne. Natłok chorych ogromny; trzeba ich lokować po korytarzach, a barak tuberkuliczny w dziedzińcu, przepełniony nieuleczalnymi suchotnikami, skazanymi na śmierć, z powietrzem ciężkim i dusznym, robi wrażenie wzruszające.

Wieczorem byłem w teatrze na obchodzie 15 rocznicy Powstania Kłajpedzkiego, które w roku 1923 przesądziło o wcieleniu Kłajpedy do Litwy. Akt był dobrze zainscenizowany, krótki, przeto nie nużący i ładny. Składał się z dwóch części: z aktu właściwego i z działu artystycznego. W części pierwszej na scenie zasiadł komitet jubileuszowy, ułożony z prezesa, poety Ludwika Giry i ogromu członków, wśród których zasiedli dwaj, nierównych zresztą zasług, starzy weterani narodów z czasów „Aušry", przeszło 80-letni generał Bulota, którego jedyną bodaj zasługą jest to, że żył w czasach „Aušry" i był jej sympatykiem, i niespełna 80-letni „patriarcha Małej Litwy" Marcin Jankus, duch niespokojny, patriota Litwy gorący, trochę warchoł, ale temperament gorący i wielka namiętność patriotyzmu, jeden z czynnych organizatorów wydawnictwa „Aušry" i wszystkich poczynań litewskich w Litwie Pruskiej; poza tym w prezydium zasiadło dwóch byłych gubernatorów Kłajpedy, Merkys i Kurkowski, paru działaczy litewsko-kłajpedzkich, poseł sejmowy Kviklis i paru innych. Przemówień było kilka krótkich. Żadnych pozdrowień („sveikinimai") nie było – to jest w uroczystościach i obchodach zazwyczaj najnudniejsze, jak plaga prawdziwa. W dziale artystycznym były deklamacje (artyści Pilka, Rymutis), śpiew solowy (Zauniusowa, Grigaitisowa), chór teatru i orkiestra.

16 stycznia, rok 1938, niedziela

Przed obiadem pojechaliśmy z Jadzią na Zieloną Górę aż pod VII fort do niejakiego Borkowskiego, šaulysa, pracującego w Związku Strzelców (Šaulių Sąjunga"), który ma tu na kresach miasta domek z ogrodem i jest amatorem hodowcą rozmaitego dekoracyjnego ptactwa i drobnych zwierzątek dzikich. Chodziło mi o obejrzenie odmian gołębi i bażantów dla dokompletowania moich

braków w Bohdaniszkach. Z gołębi nic nie wybrałem, ale za to kupiliśmy (co prawda drogo – za 50 litów) ślicznego samczyka bażanta złotego, wspaniale upierzonego, i (tym razem tanio – za 25 litów) całe gniazdo kaczek osobliwych, złożone z dużego starego kaczora i dwóch czy trzech kaczek. Bażant potrzebny mi jest do mojej samotnej samiczki, choć nie wiem, czy będzie się nadawał dla niej na parkę, bo samiczka moja jest z gatunku bażantów myśliwskich, podczas gdy ten jest złoty dekoracyjny. Ale jest tak piękny, że wart jest trzymania, jako okaz *sui generis*. Z kaczek, które kupiliśmy, jedną taką samą mamy w Bohdaniszkach, bo Jadzia w przeszłym roku kupiła u tegoż Borkowskiego kilka jajek, ale z nich wyhodowała się tylko jedna kaczka. Kaczki te osobliwe nie są, ale zupełnie osobliwy jest kaczor – ogromny jak gęś, płaski i szeroki, z krótką kaczą szyją i czerwonym gołym bez opierzenia nosem w okolicy dzioba, złośliwy, ciągle ruszający ogonem.

Jadzia ze Stenią i Renią była wieczorem na choince i wieczorku Gimnazjum Polskim imienia Adama Mickiewicza. Zabawiły się nieźle. Były ładne produkcje taneczne dziewczynek, deklamacje, obrazki i śpiew. Chodziło mi o to, żeby Renia nie nabrała zbytniego nacjonalizmu jaskrawego i przyzwyczaiła się traktować ludzko element polski w kraju. Niestety, wątpię, czy to się stanie, bo gimnazja litewskie (tak samo zresztą, jak polskie) rozwijają skrajną wyłączność nacjonalistyczną, a Renia jest z natury wrażliwa i bardzo poddająca się prądom dominującym; zdolna jest dziewczyna ale zawsze namiętnie idzie z prądem i nawet ma skłonność dogmatyzowania tego, co jest popularne i modne. Dzieci w większości – to nic innego, jak gatunek małpy. Naśladownictwo, mówność, popularność, nasiąkanie otoczeniem – to cała ich mądrość. Gdzie takie dziecko zalokujesz – takim się ono stanie, nasiąknie atmosferę otoczenia i skategoryzuje się w nim; potem chyba w młodości dorosłej zindywidualizuje się i wyrobi w sobie krytycyzm samodzielnego myślenia i czucia. Ale i to wątpliwe i rzadkie.

17 stycznia, rok 1938, poniedziałek

Rozpocząłem już dziś wykłady semestru wiosennego. Miałem wykład i colloquium na II semestrze sekcji prawniczej. Słuchaczy zebrało się na ten pierwszy wykład mało, zaledwie dwunastu. Zresztą jest to dopiero sam początek semestru i inni profesorowie wykładów jeszcze nie wznowili.

18 stycznia, rok 1938, wtorek

Znowu egzaminy.

Wieczorem byłem na posiedzeniu komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich, na którym zresztą były rozpoznawane tylko drobne sprawy małej wagi.

Zresztą pracowałem w domu i odbyłem moje zwyczajne godziny urzędowania rektorskiego na uniwersytecie.

Z Hagi z Trybunału Międzynarodowego przysłano mi odpis „*mémoire*'u" estońskiego w sprawie przeciwko Litwie o kolejkę wąskotorową Poniewież-Saldutiškis. Sprawa ta „dojrzeje" do rozpoznania chyba znacznie później, niż sprawa duńsko-litewska w komisji koncyliacyjnej. W tej drugiej sprawie bowiem już przed miesiącem był złożony „*contra-mémoire*" litewski i niebawem nastąpi już replika duńska, podczas gdy w sprawie estońsko-litewskiej jeszcze mamy „*contra-mémoire*" przed sobą.

19 stycznia, rok 1938, środa

Obiad Rotary-Clubu. Referacik prof. Włodzimierza Stankiewicza – o bibliotekach. Przeważnie o urządzeniu i wzroście wielkich bibliotek, największych na świecie, z rzutem oka na końcu na wzrost i warunki naszej Biblioteki Uniwersyteckiej, oczywiście drobnej wobec takich, jak Bibliothéque Nationale, Biblioteka w Waszyngtonie, British Museum, Biblioteka Berlińska itp., ale bądź co bądź intensywnie się rozwijającej i stanowiącej dziś duży dorobek krajowy pod energicznym i umiejętnym kierownictwem rozmiłowanego w książkach Wacława Biržiški. Referat był bardzo ładnie ujęty, z wielkim talentem krasomówczym Stankiewicza.

Bądź co bądź jednak doznaję zawsze wrażenia, gdy słyszę o kolosalnym rozwoju wielkich bibliotek współczesnych, że świat dochodzi do jakiegoś wprost potwornego przerostu nagromadzenia książek, który nabiera cech jakiegoś rozpętania żywiołu, jak powódź, potop, pożar, wybuchy wulkanów. Niebawem wypadnie dobudowywać corocznie gmachy na przechowywanie corocznego dopływu książek, następnie budować dla nich corocznie miasteczka, miasta całe... Po kilku setkach lat trzeba będzie odprawiać modły publiczne o to, żeby się znaleźli Wandale, którzy spalą te ogromy stosów książkowych (odpowiedziano mi zresztą na to, że Wandale i bez modłów się znajdą). Same katalogi rozrosną się do tylu setek tysięcy tomów, że dla nich samych potrzebne będą gmachy. A przecie książka, jak wszystko inne na świecie i jak każde dzieło ludzkie, ma swoją funkcję społeczną dla której żyje i następnie umiera. Przechowywać na wieki wszystkie trupy książek – czy to mądre? Dziś jesteśmy w wieku dziecinnym bibliotekarstwa, ale musi nastać czas, kiedy trzeba będzie zrewidować i radykalnie zreformować to bałwochwalcze gromadzenie książek. Miliony i miliardy trupów książek wypadnie chyba złożyć do jednej jedynej biblioteki archiwalnej na cały świat, do której przy rozwoju komunikacji (lotnictwo) poszukiwacze osobliwości, archeolodzy i prahistorycy będą mogli jeździć na wyprawy kopalniane, zaś biblioteki zachowane będą li tylko dla książek żywych, które jeszcze nie umarły.

20 stycznia, rok 1938, czwartek

Mieliśmy posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Zapadła uchwała o awansowaniu profesora nadzwyczajnego Jurgutisa na profesora zwyczajnego. Mamy obecnie od dłuższego czasu tylko trzech profesorów zwyczajnych na wydziale: Janulaitisa, Wacława Biržiškę i mnie. Z sekcji ekonomicznej nikt dotąd tytułu profesora zwyczajnego nie miał. Jurgutis będzie pierwszym, jeżeli rząd uchwałę wydziału zatwierdzi. Wykłada on finanse publiczne dobrze, pracuje dużo i starannie, zna i lubi swój przedmiot; prac naukowych wprawdzie wydał niedużo, drukował tylko artykuły, raczej naukowo-popularne i niezbyt głębokie, zresztą nie na temat finansów, ale teraz świeżo wydał kurs nauki o finansach, pracę oryginalną, porządnie opracowaną, stanowiącą dobry i kapitalny podręcznik dla studiów.

Po obiedzie złożyła mi wizytę stara pani Kairiukštisowa, wdowa po starym pedagogu wileńskim Kairiukštisie, zmarłym przed rokiem w wieku lat koło 90. Sama p. Kairiukštisowa ma lat przeszło 70, ale jeszcze pełna energii i żywa. Jest ona matką czterech synów, z których dwóch doktorów medycyny, praktykujących w Kownie; jeden z nich jest jednym z najlepszych lekarzy kowieńskich, drugi jest jednym z najgorętszych szermierzy ruchu wolnomyślnego, z którym się też solidaryzuje matka. Z dwóch córek p. Kairiukštisowej jedna jest żoną adwokata prof. Antoniego Tumėnasa, antyteza wolnej myśli, katoliczka gwałtowna, jak jej mąż, druga – piękna pani Jacynowa, artystka malarka, niedawno zamężna po raz drugi za jakimś malarzem łotewskim. Pani Kairiukštisowa jest Polką i otwarcie stanowczo się do tego przyznaje, mówi po polsku, ale Litwę kocha i ma dla narodowości litewskiej sympatię, a zresztą Litwinami są wszystkie jej dzieci. Jest ona literatką, poetką i tłumaczką na polski poezji litewskich – autorką wydawnictw polskich antologii litewskiej. Ciekawa to i gorąca pani, a choć jest stara, to jednak gdy siedzi i mówi, a ożywi się bardzo, to jest prawie piękna i jest bardzo charakterystyczna i wcale ciekawa i sympatyczna pani. Przypomina trochę Zosię Eugeniuszową Römerową, trochę Mamę. Przyjemna mi była jej wizyta. Zna Polskę, jej ruch umysłowy: mieszka obecnie w Kownie, ale mieszkała dawniej w Wilnie i teraz jeździ często do Warszawy, do Wilna. Chciała się ze mną poznać, bo podziwia moją umiejętność godzenia polskości z litewskością, co jej imponuje i co ją do mnie skłania. Jest bardzo ludzka pani i więcej ceni człowieka, niż narodowość, ale narodowość szanuje i hardo mocno się trzymając polskości, jako swej szaty naturalnej, rozumie Litwinów lepiej, niż tacy podający się za Litwinów Polacy, jak śp. Marszałek Piłsudski, Aleksander Prystor z żoną, poetka Iłłakowiczówna, których zna i z którymi obcowała towarzysko lub obcuje. Nie znając mnie – podziwiała zawsze mój spokój i równowagę w godzeniu tych dwóch pierwiastków narodowych, które dziś tyle namiętności dzieli.

21 stycznia, rok 1938, piątek
Nie mam czasu na dziennik. Zresztą powszedni dzień.

22 stycznia, rok 1938, sobota
W towarzystwie sekretarza poselstwa francuskiego pana de Neyzaca złożył mi dziś wizytę i zaprezentował się nowy profesor języka i literatury francuskiej na naszym uniwersytecie, następca śp. Dubasa na tej katedrze, świeżo mianowany prof. Prioult, Francuz. Przyjechał z Paryża dopiero przed trzema dniami, od razu z całą rodziną, mieszka jeszcze w hotelu i naturalnie zajęty jest głównie znalezieniem mieszkania i zainstalowania się. Jest to mężczyzna w wieku lat 51, robiący sympatyczne wrażenie. Wygląda jeszcze czerstwo, żywy, twarz wyrazista, przystojny. Przypomina nieco deputowanego Izby Poselskiej pana Riona, który na wiosnę bawił w Kownie z okazji naszej wystawy napoleońskiej; przypomina go głównie z oczu, wyrazu i poniekąd postawy czy maniery. Prof. Prioult pochodzi z Normandii. Mówił mi o swoim pochodzeniu, z dumą podkreślając, że jest synem odwiecznej rodziny chłopskiej normandzkiej, dopiero w pierwszym pokoleniu sam bezpośrednio, osobiście, oderwany od wsi i ziemi. Jego ród chłopski Prioultów posiada dokumentami ustanowiony rodowód, sięgający cały szereg wieków wstecz aż do czasów bodaj Rolanda i najazdu normandzkiego. Jest więc z pochodzenia dalekiego Normanem, Skandynawem, którego po wielu wiekach los, jak powiada, skierował znowu na północ – do Bałtyku, z którego wyszedł. Jest to więc potomek daleki awanturniczych romantycznych wikingów i zarazem syn ziemi rodu chłopskiego. Szczyci się chętnie tym, że należy do społeczności, która stanowi „*Noblesse de la terre et du travail*”, która jest równa „*Noblesse de l'épée*”, albowiem pełniła w kraju służbę społeczną nie mniej szlachetną – na ziemi i roli. Ta jędrność chłopska, którą w sobie nosi i podkreśla chętnie, jest w nim czynnikiem sympatycznym. Mam wrażenie, że będziemy w nim mieli nabytek dobry.

Zwołałem dziś u siebie w gabinecie rektorskim małe zebrańko w przedmiocie utworzenia sekcji narodowej litewskiej Międzynarodowego Instytutu Nauk Administracyjnych. Instytut ten, młody i czynny, jak młodą i czynną, a nawet dynamiczną, jest współczesna nauka administracji, ma siedzibę w Brukseli. Z czynnikami tego Instytutu nawiązałem kontakt w Kownie przed kilku laty. Następnie z Instytutem tym zetknął się nasz młody asystent Żakiewicz w czasie swych studiów administracyjnych za granicą jako stypendysta Fundacji Rockeffelera. Na skutek tego kontaktu władz Instytutu mianowały mię w roku ubiegłym członkiem Instytutu, prosząc mnie o dobranie i przedstawienie Instytutowi do mianowania dziewięciu kandydatów z Litwy na członków, aby w myśl statutu Instytutu mogła się utworzyć sekcja narodowa litewska (trzeba na to 10 członków). Zakrzątnęliśmy się w tym z Żakiewiczem i upatrzyliśmy kandydatów, których dziś zaprosiłem. Przyszli nie wszyscy, mianowicie: wiceminister spraw wewnętrznych Giedraitis, członek Rady Stanu i redaktor organu Towarzystwa Prawników Byla, adwokat Robinzon, mój asystent Konstanty Raczkowski i asystent katedry prawa administracyjnego, przyszły sekretarz tej sekcji narodowej Instytutu Stanisław Żakiewicz. Zaproszeni byli ponadto, ale nie przyszli, chociaż z góry akces obiecali – profesor prawa administracyjnego Wacław Biržiška, prof. Tadeusz Pietkiewicz, burmistrz Merkis, dyrektor Banku Litewskiego Zygmunt Starkus i sekretarz generalny Gabinetu Ministrów Wincenty Mašalaitis. Bez żadnego sprzeciwu i zastrzeżeń zaaprobowano wniosek o tworzeniu takiej sekcji. Zatem przedstawię tych wszystkich kandydatów Instytutowi w Brukseli na członków.

23 stycznia, rok 1938, niedziela
Jesteśmy z Jadzią zmęczeni, bo byliśmy z nią wczoraj na kolacji w restauracji Metropolu (na kolacji i kabarecie). Zaprosił nas Diskin, który zapoznał mię tam z młodym fabrykantem Żydem Finhelszteinem, właścicielem fabryki drutu, siatek drucianych i ćwieków pod firmą „Livėle” przy ulicy Janowskiej nad Wilią. Diskin chciałby, abym zgłosił kandydaturę tego Finhelszteina do Rotary-Clubu. Zapewne uczynię to, choć nie jestem pewny, czy przejdzie. Mamy w Rotary-Clubie dwóch Żydow, dyrektora Sołowiejczyka i adwokata Robinzona, ale jest tam dużo ludzi, zwłaszcza z Ministerium Rolnictwa, co do których nie wiem, czy nie będą uważali, że mnożyć ilość Żydów w

klubie tym nie warto. Teraz, niestety, prądy antysemickie są mocne. Co prawda, nie ma u nas rasizmu w stylu niemieckim, polskim czy rumuńskim, ale odgraniczanie się od Żydów istnieje. Przemysłowiec Finhelsztein, młody jeszcze człowiek z wykształceniem uniwersyteckim w Niemczech, synowiec już nieżyjącego adwokata i działacza społecznego w Kownie Finkelszteina, sprawia przyjemne wrażenie; jest dobrze ułożony, pełny rezerwy, inteligentny. Spędziliśmy wieczór do późnej nocy. Poszliśmy spać koło trzeciej. Toteż byliśmy dziś zmęczeni. Jednak pod wieczór poszliśmy z Jadzią do kina na piękny film dramatyczny z udziałem Jana Kiepury.

24 stycznia, rok 1938, poniedziałek

Pani Urbšysowa, która jest wiceprezeską Towarzystwa Litewsko-Francuskiego (ja jestem prezesem jeno tytularnym tego Towarzystwa), urządziła dziś lunch proszony dla uczczenia prof. Prioulta, naszego nowego profesora Francuza na katedrze romanistyki na uniwersytecie. Ogółem na śniadaniu było 15 osób (p. Urbšysowa z mężem, p. Valiušisowa z mężem, poseł francuski Dulong z córeczką kilkunastoletnią, sekretarz tegoż poselstwa de Neyzac, prof. Prioult z żoną i córeczką kilkunastoletnią, lektor francuskiego na uniwersytecie Schmittlein, adwokat Raulinaitis z żoną, p. Jołkowska, ja). Śniadanie było z kawiorem, ale bez wina, wszakże z wódką, piwem i likierami do kawy. Prof. Prioult – bardzo miły. Rozmawiałem z nim dużo przy kawie; zajął się starannie klasyfikacją i systematyzacją programową wykładów francuskich całej grupy swoich współpracowników lektorów (Schmittlein, Prou i Gintz), w ogóle zabiera się poważnie do planowego układu pracy na katedrze. Żona prof. Prioulta jest dosyć młoda jeszcze, lat musi mieć ± 35-40, przystojna, miła, rodem z Normandii, jak mąż, sympatyczna.

25 stycznia, rok 1938, wtorek

Miałem egzaminy studenckie.

Po obiedzie byłem na zebraniu przedstawicieli stowarzyszeń, utrzymujących kontakt z zagranicą, które z inicjatywy litewskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej łączą się w związek natury federacyjnej dla racjonalizacji planowej tego kontaktu w porozumieniu ze wskazaną komisją. Na poprzednim zebraniu przedstawicieli tych stowarzyszeń była wybrana komisja dla ułożenia projektu statutu związku. Obecnie projekt został przedstawiony. Zebrali się przedstawiciele kilkunastu stowarzyszeń, wśród których najliczniejszą grupę stanowią towarzystwa zbliżenia litewskiego z poszczególnymi narodami, jak Towarzystwa: litewsko-francuskie, lit.-szwedzkie, lit.-fińskie, lit.-estońskie, lit.-łotewskie, lit.-włoskie, lit.-szwajcarskie, litewsko-sowieckie itp., poza tym szereg naszych, jak np. Związek Pisarzy, Związek Artystów, Rotary-Club, Klub Automobilistów, Związek Turystów, przedstawicielstwo studenckie itd. Byłem tylko na samym początku tego zebrania dla otwarcia go jako prezes Komisji Współpracy Intelektualnej. Na przewodniczącego wybrano prezesa Izby Apelacyjnej Gudowskiego, przedstawiciela Towarzystwa Prawników, sekretarzem był sekretarz generalny Komisji Trimakas.

Przed obiadem byłem na otwarciu sekcji prahistorycznej Muzeum Kultury w gmachu Muzeum Witolda Wielkiego. Otwarcie było poufne, bez mów i ceremonii. Na otwarcie przyjechał też prezydent Rzeczypospolitej Smetona, który się tymi kwestiami interesuje. Ogółem było osób ze trzydzieści. Zbiory prahistoryczne są dobrze usystematyzowane i starannie zaklasyfikowane. Asystent Puzinas, kierownik tej sekcji i staranny badacz prahistorii litewskiej, udzielił szczegółowych wyjaśnień; był to cały wykład praktyczny i poglądowy. Otwarcie sekcji filmowano. Puzinasa chciałbym ściągnąć do Bohdaniszek dla studiów archeologicznych okolicy.

26 stycznia, rok 1938, środa

Dziś byłem króciutko na herbatce publicznej w lokalu Klubu Oficerskiego „Karininkų Ramovė”, urządzonej przez Towarzystwo Jedności Litewsko-Łotewskiej. Były tańce narodowe zespołu tanecznego akademickiego, koncert, potem tańce publiczne. Ludzi było dużo. Zabawiłem

króciutko; chodziło mi tylko o zrobienie „*acte de présence*". Musiałem zaraz uciekać, bo miałem wykład na uniwersytecie.

Mašalaitis mi przysłał zreformowany blok projektu konstytucji. W jakiej formie ma być przyjęta i ogłoszona nowa konstytucja – tego dokładnie nie wiem. Czy będzie to proste zreformowanie konstytucji na zasadzie przepisów poprzedniej, co byłoby równoznaczne nowemu aktowi przewrotu, skoro ta poprzednia nie została zalegalizowana w drodze plebiscytu, jak to w niej zastrzeżone było, czy też zostanie poprzednio zalegalizowana ta obecna, czy może nowa, po przyjęciu i przed uzyskaniem mocy legalnej, zostanie poddana aprobacji ludowej i czy wprost, czy z zastrzeżeniem reklamacji terminowej (referendum fakultatywne) – nie wiem. Jakaś formuła musiała być przyjęta. Widocznie, że została przyjęta na specjalnych naradach u prezydenta, o których wiem, że miały miejsce, bo oto już w akcie zwołania sesji nadzwyczajnej Sejmu zapowiedziana jest urzędowa kwestia nowej konstytucji. Powiadają powszechnie, że decyzja w sprawie nowej konstytucji zostanie przystosowana do dnia 16 lutego, to znaczy do 20 rocznicy Niepodległości.

O zreformowanym projekcie konstytucji nadmienię jutro.

27 stycznia, rok 1938, czwartek

Wieczorem – posiedzenie senatu akademickiego. Różne sprawy bieżące i debaty nad przepisami o organizacjach studenckich akademickich. Projekt tych przepisów, ułożony przez komisję regulaminową i przejrzany przez zwierzchność akademicką, powinien być w myśl statutu uchwalony przez senat i zatwierdzony przez ministra oświaty. Znalazło się dużo kwestii spornych, zwłaszcza co do dopuszczalności zebrań uroczystych, odczytów i innych wystąpień stowarzyszeń akademickich na zewnątrz poza zakres ich członków. Projektu dziś jeszcze nie uchwalono.

Wracam do projektu konstytucji. W projekcie zreformowanym, który już ma obecnie wpłynąć oficjalnie pod obrady Sejmu, zmienione te dwa punkty poprzedniej redakcji projektu, ułożonej przez komisję Šilinga, co do których na naradzie z prawnikami sejmowymi w grudniu wyraziłem główne zastrzeżenia. Jeden z tych punktów – to konstrukcja nacjonal-demokratyczna państwa taka, która zwierzchnictwo nominalne w państwie rezerwuje na rzecz Narodu Litewskiego w znaczeniu narodowościowym, ustanawiając delegację wykonywania całej władzy narodowi terytorialnemu w znaczeniu demokratyczno-ludowym. Teraz konstrukcja takiej delegacji znikła i dwa pojęcia narodu odpadły. Drugi punkt – to zastrzeżenie zwierzchnictwa prezydenta w stosunku nawet do funkcji sądowej, co czyni z prezydenta czynnik ponadustawowy, nie tylko oddziaływający na ustawodawstwo, ale mogący konkurować z mocą ustaw działających. Teraz to zreformowano i władza sądowa, subordynowana prawu (ustawie), została wyzwolona od zwierzchnictwa funkcjonalnego prezydenta.

28 stycznia, rok 1938, piątek

Miałem bardzo miły list od mego dawnego kolegi paryskiego i przyjaciela serdecznego młodości – Leona Altera z Warszawy, zasymilowanego Żyda polskiego, komunisty. Od czasu do czasu Alter pisuje do mnie i ja do niego. Niedawno jeździł on do Madagaskaru jako członek komisji, wydelegowanej przez Polskę dla zbadania warunków emigracji kolonizacyjnej Żydów z Polski do Madagaskaru. Alter bowiem uchodzi za jednego z najpoważniejszych znawców spraw emigracyjnych w Polsce, zwłaszcza w przedmiocie emigracji żydowskiej. Kochałem zawsze i kocham Altera. Jest to natura głęboka, szczera, kochająca piękno i prawdę, wrażliwa, bogata, pełna temperamentu. Był też pięknym mężczyzną. Zachował żywą wrażliwość społeczną i idealizm, choć był i jest pesymistą i nieco kapryśnym. W listach swoich Alter mię informuje często o różnych ludziach z dawnej naszej kolonii młodzieży polskiej w Paryżu z pierwszych lat wieku XX, których przygodnie czasem spotyka i to lub owo wie z ich życia. Ogromna ich ilość już nie żyje, ale są niektórzy, którzy przeszli różne dziwne koleje życia i o których Alter mi pisze. Odżywają oni na krótko w mojej pamięci, czasem nie bardzo jestem w stanie ich w pamięci odtworzyć. Ciekawe i zawsze bardzo treściwe są zawsze te listy Altera. Jednocześnie z listem przysłał mi Alter numer

czasopisma polskiego „Epoka", organu widocznie bloku elementów radykalnych demokratycznych w Polsce. Wobec zachłanności nacjonalistyczno-antysemickiej w Polsce, grawitującej wprost do „ideałów" hitleryzmu, miło jest skonstatować, że jednak żywe są w Polsce pewne ogniska humanizmu i wolnościowych ideałów ludzkich. W „Epoce" figuruje też Wincenty Rzymowski, który pozostał wierny swym ideom. Z listu Altera i z „Epoki" dowiedziałem się bardzo ciekawego dla mnie faktu o dawnym znajomym z młodzieży polskiej w Paryżu z moich czasów – Stefanie Czarnowskim, wtedy jednym z przywódców „Koła", organizacji endeckiej młodzieży. Znałem go dobrze; nie miałem do niego nabożeństwa jako do zaciętego nacjonalisty, wodza tego odłamu młodzieży, któremu ja się przeciwstawiałem, wyznając ideały wolnościowe ludzkie z pewnym nawet zabarwieniem anarchistycznym i należąc do organizacji postępowej „Spójni" i „Związku Postępowej Młodzieży Polskiej", w którego kierownictwie udział czynny brałem. Na samym jednak początku pobytu mego w Paryżu w jesieni roku 1902 byłem na razie trafił do sfer „Koła" w osobach jego trójcy kierowniczej, złożonej ze Stefana Czarnowskiego, Kazimierza Woźnickiego i Gustawa Simona. Rychło się od nich odstrychnąłem w kierunku „Spójni". Nigdy bym nie pomyślał, że Czarnowski w biegu życia odbędzie ewolucję od skrajnego nacjonalizmu do skrajnego radykalizmu społecznego. A jednak dowiaduję się, że tak się stało. Był też legionistą i potem profesorem. Umarł teraz i jego imię i pamięć jest sztandarem dla kół wolnościowych w Polsce. Stefan Czarnowski! Nigdybym tego nie pomyślał.

29 stycznia, rok 1938, sobota

Miałem audiencję u prezydenta Antoniego Smetony. Chodziło o zaproszenie go na bal francuski w dniu 5 lutego i na posiedzenie uroczyste uniwersytetu w dniu 16 lutego. Jako prezes Towarzystwa Litewsko-Francuskiego i jako rektor uniwersytetu – musiałem doręczyć zaproszenie te osobiście. Na bal prezydent obiecał przybyć, co zaś do posiedzenia uniwersyteckiego, to powiedział, że się postara, ale osobiście wątpię, aby przyjechał, bo dzień 16 lutego jako rocznica Niepodległości w tym roku rocznica 20-ta, jest dla prezydenta wielkim dniem roboczym. Zawiozłem też prezydentowi podziękowanie uniwersytetu za darowane przezeń Bibliotece Uniwersyteckiej rzadkie druki stare litewskie.

Lubię się z prezydentem spotkać i porozmawiać. Jest on zawsze bardzo przyjazny dla swoich dawnych znajomych z czasów przedwojennych i ma sentyment szczery dla ludzi ówczesnych. Rozmawia bez etykiety, przyjaźnie i szczerze. Opowiadał mi o swojej własności, którą nabył i urządził, skupiwszy szereg parceli od gospodarzy w swoich Użulanach rodzinnych w powiecie wiłkomierskim. Mówił też o Lidze Narodów, o Polsce. Bądź co bądź w Smetonie tkwi jeszcze stary inteligent romantyk. Ma on poczucie szacunku człowieka i tolerancji oraz sprawiedliwości w traktowaniu stosunków narodowych. Nacjonalizm litewski, na którego czele on stoi, dzięki niemu i dopóki on jest u szczytu, nie zbacza na manowce „rasizmu" i różnych kwiatków ideologii hitlerowskiej. W młodszych szeregach tego obozu zaznaczają się wprawdzie prądy najdziksze, ale ideologia i stylizacja Semtony je hamuje. W jego przemówieniach jest ludzkość i są zasady sprawiedliwości. Gorzej będzie, gdy go nie stanie. Dziś jego słowa i idee trzymają narodowców na wodzy. Chociaż formę nadaje on państwu „autorytarną" i „totalistyczną", jednak treść w nią wkłada jeszcze humanistyczną. Niestety – to, co za jego czasów jest jeszcze dzięki niemu niedopowiedziane, może być z łatwością dopowiedziane, gdy on odejdzie. Bądź co bądź forma jest niebezpieczna i niepokojąca. W tym względzie Smetona jest idealistą i wierzy głęboko, że charakter i tradycja narodowa litewska uchronią nacjonalizm litewski od dróg, na które w tychże formach zboczyły lub zbaczają inne nacjonalizmy.

O godzinie piątej wziąłem udział w pierwszym uroczystym wykładzie inauguracyjnym nowego profesora języka i literatury francuskiej, p. Prioulta. Było trochę profesury i studenci. Wykład odbył się w sali aktowej. Ja mu przewodniczyłem w asystencji zastępcy dziekana Wydziału Humanistycznego prof. Augustaitisa, posła francuskiego ministra Dulonga i p. de Neyzaca. Prof. Augustaitis zagaił po litewsku, poświęcając kilka słów pamięci poprzednika, śp. prof. Dubasa i

osobie oraz pracy profesora Prioulta. Następnie ja wypowiedziałem po francusku powitanie prof. Prioulta w imieniu uniwersytetu, co mi się dobrze udało. Prof. Prioult wygłosił wykład o Balzaku w roku 1834. Zdaje się, że Balzac – to jego specjalność specyficzna. Mówi ładnie, wyraziście i jasno, ale co do treści – to wykład nie wydał mi się zbyt głęboki. Bardzo sympatyczne wrażenie robi żona prof. Prioulta i jego córka starsza. Zresztą on sam też miły człowiek.

30 stycznia, rok 1938, niedziela

Na obiad poszliśmy z Jadźką do winiarni win krajowych przy ulicy Dowkonta naprzeciwko Pienocentrasu, gdzie można do lampki wina, kiepskiego zresztą produkcji krajowych z jagód, dostać doskonałego szaszłyku, pilafu i innych dań w stylu tatarsko-kaukaskim z baraniny, ryżu i cebuli. Mieliśmy tam umówione spotkanie z Diskinem. Wziął on paszport Jadzi dla zameldowania go w Kłajpedzie. Jest to pierwszy krok do zalegalizowania naszego z Jadzią związku faktycznego przez ślub cywilny. Czy to się już uda – mam wątpliwości. Można będzie próbować w pół roku po zameldowaniu Jadzi. Za tydzień Diskin dostaje z banku urlop miesięczny i na pierwszy tydzień urlopu pojedzie do Bohdaniszek i zamieszka w moim domu.

Wieczorem byłem na tzw. wieczoru wileńskim, urządzonym przez stowarzyszenie studentów Wilnian „Vilnija". Początek wieczoru stanowił koncert, złożony z dwóch części o programie przeładowanym. Potem miały być tańce. Wieczór miał miejsce w lokalu klubu oficerskiego „Karininkų Ramovė". Było dużo osób, była też pani prezydentowa Smetonowa. Ja osobiście byłem tylko na pierwszej części koncertu: pieśni chóru akademickiego, śpiew solowy (Grigaitisowa, Kutkowski-Kutkus), deklamacje (Babicki i inni), gra na fortepianie (Biržiškówna, córka Michała). Po przerwie uciekłem.

Słyszałem od studenta Olgierda Voldemarasa, że jego stryj, prof. Augustyn Voldemaras, ma być aktem łaski prezydenta w dniu 16 lutego uwolniony z więzienia, w którym czwarty rok siedzi. Jest to już podobno obiecane. Prof. Voldemaras po wyjściu z więzienia ma niebawem wyjechać za granicę.

31 stycznia, rok 1938, poniedziałek

Miałem całe poobiedzie mocno zajęte. O godzinie trzeciej w gmachu prezydentury zwołane było przez p. prezydentową Smetonową, jako prezeskę honorową, posiedzenie nieśmiertelnego Komitetu Pomocy Litwie Północnej, który, założony w roku 1929 dla organizacji pomocy społecznej ludności powiatów, dotkniętych przez nieurodzaj, żyje odtąd i w żaden sposób umrzeć nie może. Nie może umrzeć dlatego, że zebrane na pomoc środki pieniężne nie zostały na potrzeby tej pomocy wyczerpane. Remanent w sumie koło 300 000 litów pokutuje odtąd i utrzymuje istnienie komitetu, który składa się z prezydentowej Smetonowej, głównego kapelana wojskowego księdza Mironasa, mnie, adwokata Zygmunta Toliušisa, dyrektora Zygmunta Starkusa i redaktora Szymona Aleksandrowicza (dwóch umarło: Władysław Putwiński i nieszczęśliwy Jan Lapėnas). Mniej więcej co roku komitet ofiarowywał odsetki od kapitału na pomoc poszczególnym wsiom lub gminom, dotkniętych przez grad, pożar lub inne nieszczęścia. Ostatnio daliśmy pewną sumę z kapitału na rzecz zainstalowania pewnych urządzeń leczniczych w Likienach pod Biržami, posiadających wody siarczane i błota lecznicze. Teraz znów chodziło o asygnowanie środków na ułatwienie gminie poswolskiej eksploatacji na cele lecznice źródeł siarczanych przez nabycie na razie pewnej parceli ziemi, posiadającej najlepsze źródła.

Stamtąd pośpieszyłem na posiedzenie plenum Komisji Intelektualnej Współpracy Międzynarodowej, której jestem prezesem z urzędu rektorskiego. Z 18 członków tej Komisji obecnych było 10: ja, sekretarz generalny komisji Trimakas, Soblys, dyrektor Radiofonu Bieliunas, docent Delininkaitis, prof. Kuzma, prorektor Purėnas, rektor Akademii Rolniczej w Datnowie Puzinas i ktoś jeszcze. Przewodniczyłem i odczytałem sprawozdanie roczne prezydium. Z kolei omówione zostały rozmaite sprawy i wnioski – w przedmiocie radiodyfuzji międzybałtyckiej i międzynarodowej, organizacji kursów dla młodzieży szwedzkiej i bałtyckiej w Litwie, Łotwie i

Estonii, rewizji podręczników szkolnych, sprawozdania z kongresów współpracy intelektualnej – powszechnego w Paryżu i miedzybałtyckiego oraz skandynawskiego w Helsinkach... Wybrano też dwóch członków do prezydium komisji na nową kadencję trzyletnią w osobach prorektora Purėnasa i prof. Janulaitisa.

1 lutego, rok 1938, wtorek

Miałem dziś dzień spokojniejszy. Tylko egzaminy, a na obiedzie Eugeniusza Römera z rodziną: Eugeniusz, Zosia Eugeniuszowa, ich syn Redzio (Roch-Edward), który właśnie skończył odbywanie powinności wojskowej jako podoficer oddziałów technicznych i ich trzecia córka Hela Römerówna. Hela Römerówna Eugeniuszówna jest mniej ładna, niż dwie jej starsze siostry – Gienia i zwłaszcza najstarsza Zosienia.

W Sejmie mają miejsce wielkie posiedzenia, poświęcone projektowi konstytucji.

2 lutego, rok 1938, środa

Kapitalnym epizodem dnia dzisiejszego była obrona dysertacji doktorskiej asystenta Wydziału Prawniczego młodego Konstantego-Witolda Čepasa, syna starego sędziego Macieja (Mateusza) Čepasa, wiceprezesa Trybunału Najwyższego. Młody Čepas po ukończeniu studiów prawniczych na uniwersytecie naszym uzupełniał studia na uniwersytetach w Zurychu i Wiedniu. Wyspecjalizował się w dziedzinie prawa cywilnego. Dysertację napisał o różnych formach opieki nad dorosłymi. Obrona dysertacji była wyznaczona na godz. piątą w sali uniwersyteckiej (z tego powodu utrącony został mój wykład bieżący). Posiedzenie publiczne wydziału odbyło się z całą uroczystością. Przewodniczył dziekan wydziału Janulaitis; członkowie wydziału *in corpore* zasiedli ze stołem prezydialnym w dwa rzędy (Janulaitis, ja, Wacław Biržiška, Jurgutis, Šalčius, Rimka, Tamošaitis, Kazimierz Szołkowski, Kriwicki, Bučas, Seenger...), wśród nich młody doktorant. Sala była przepełniona. Studenci lubią obrony dysertacji doktorskich – jest to dla nich widowisko i słuchowisko. Była też garstka prawników spoza uniwersytetu. Procedura była długa. Sekretarz wydziału Tamošaitis odczytał biografię doktoranta, sam doktorant Čepas wyłożył i krótko uzasadnił tezy dysertacji, z kolei wystąpił z zarzutami oponent oficjalny prof. Kazimierz Szołkowski, oponowali też prof. Tamošaitis i dziekan Janulaitis. Na końcu wystąpił z obroną swych tez i pracy przeciwko zarzutom doktorant Čepas. Nie był błyskotliwy, ale bronił się nieźle. Cały ten akt zajął bite trzy godziny. Powietrze było nieznośnie duszne – była męka wysiedzieć. Rada Wydziału jednogłośnie uchwaliła przyznać Čepasowi stopień doktora praw, kwalifikując obronę, jako dobrą „*cum laude*”.

3 lutego, rok 1938, czwartek

Z oryginalną inicjatywą towarzyską wystąpiło dziś poselstwo amerykańskie USA. Od jesieni mamy nowego *chargé d'affaires* amerykańskiego, którego nazwiska nie pamiętam. Jest on specjalnym *chargé d'afaires* na Litwę, pierwszym takim, albowiem dotąd legacja amerykańska była wspólna dla trzech państw bałtyckich i poseł rezydował w Rydze, a w Kownie był tylko jego zastępca. Nowy poseł amerykański na Litwę nie jest dyplomatą zawodowym; podobno był poprzednio z fachu pastorem. Jest to człowiek ruchliwy, naturalny, nie mający w sobie nic ze sztywności dyplomatycznej, taki sobie powszedni zwyczajny człowieczek, wesoły i łatwy, pełny życia. Otóż urządził on dziś wielkie przyjęcie – wieczór towarzyski, na który zaprosił ministrów, korpus dyplomatyczny, różnych dostojników i wielu wysokich urzędników, z paniami – na obiad i zabawę taneczną. Ale w myśl tradycji i obyczajów amerykańskich, zaprosił ich nie do siebie, jeno do restauracji Wersalu, którą wraz z muzyką, kabaretem i barem zarezerwował na ten wieczór dla swoich gości. Zabawa była taka, jak co dzień wieczorem w „Wersalu”: ta sama usługa, ten sam program kabaretu z „numerami” tancerek i śpiewek, ta sama orkiestra restauracyjna, ten sam bar, te same stoliki osobne po cztery osoby na stolik, ten sam dancing w środku restauracji przed orkiestrą. Tylko wszystko opłacone przez gospodarza amerykańskiego – z kolacją, przekąskami, winem, kawą

z likierami, trunkami w barze. Restaurację zapełniła publiczność doborowa w wielkim dekorum fraków, balowych strojów pań wydekoltowanych itd. Miejsca przy stolikach były powyznaczane. Mnie wypadło siedzieć przy stoliku nr 14 przy samym kole tanecznym w towarzystwie starej tęgiej Szwedki o srogiej twarzy, urzędnika protokółu z Ministerium Spraw Zagranicznych Kojeckiego i konsula honorowego węgierskiego Brande (Żyda miejscowego). Zabawa szła ochoczo. Dużo tańczono; młode kobiety, wśród których dużo jednak jest pięknych, bawiły się wesoło. Był flirt i ruch, nastrój swobodny. Po północy uciekłem do domu. Osobiście niezbyt lubię te zabawy – dla siebie, choć w ogóle im sprzyjam. Tylko że ja należę już do starszej generacji i nie dla mnie już są młode i piękne kobiety.

4 lutego, rok 1938, piątek

Dowiedziałem się od burmistrza i członka Sejmu Merkysa, że te zastrzeżenia co do zachowania legalizmu konstytucyjnego przy przyjmowaniu projektu nowej konstytucji, które były podniesione w łonie Sejmu w grudniu i co do których toczyły się wtedy narady z wysuwaniem różnych pomysłów kombinacyjnych na rzecz utrzymania pozorów tego legalizmu, zostały odrzucone. Podobno sam prezydent Smetona wypowiedział się przeciwko wszelkim kombinacjom i na rzecz prostej reformy konstytucji bez żadnych prób kombinacyjnych legalizowania dotychczasowej konstytucji prowizorycznie. W szeregu narad poszczególnych prezydent zdołał przekonać koła sejmowe i dziś Sejm jest zdecydowany po prostu tę nową konstytucję – bez żadnych ceremonii legitymistycznych – przyjąć i w kontakcie z prezydentem i rządem nadać ją państwu. Jest to niewątpliwie przywłaszczenie władzy konstytucyjnej, zbliżone do przewrotu konstytucyjnego.

5 lutego, rok 1938, sobota

Bal francuski doroczny w pięknej sali balowej na piętrze Klubu Oficerskiego „Karininkų Ramovė”. Jako prezes tytularny Towarzystwa Litewsko-Francuskiego, musiałem oczywiście być na tym balu, zwłaszcza że prezydent Rzeczypospolitej Smetona, którego zresztą sam jeździłem przed kilku dniami osobiście zapraszać na ten bal, przyrzekł przyjechać. Przyrzekła także przyjechać prezydentowa. Względy dla Francuzów i Francji obowiązują oczywiście. Zresztą w zarządzie Towarzystwa jest też córka prezydenta Smetony, p. Valiušisowa, piękna pani, rozbawiona i rozmiłowana w strojach i zabawach, mająca po matce namiętność do kultu towarzyskiego i rozpływająca się w pieszczotach, które ją otaczają z tytułu tego, że jest córką prezydenta Smetony – „Wodza Narodu” („Tautos Vadas”), jak go zwykli nazywać narodowcy. Przed godziną dziesiątą stawiłem się na bal. Publiczności było jeszcze niezbyt dużo, ale salon i lokale otaczające zaczęły się już szybko napełniać gośćmi. Gdy p. Valiušisowa skomunikowała się telefonicznie z pałacem prezydentury w sprawie wyjazdu prezydenta na bal, zarząd Towarzystwa Litewsko-Francuskiego *in corpore* w osobach mojej jako prezesa, pań Urbšysowej i Valiušisowej i pp. de Neuzaca, Raulinaitisa, Raczkowskiego – zeszedł ze schodów na spotkanie prezydenta i pani prezydentowej u drzwi wyjściowych dla gości honorowych. Niebawem prezydent przyjechał. W asystencji adiutantów, ministrów i zarządu Towarzystwa prezydent z żoną przeszli przez salę balową, powitani tuszem, wykonanym przez orkiestrę (i udali się po schodach na jedną z galerii nad salą balową; galeria ta była zarezerwowana dla szczytów towarzyskich, złożonych z przedstawicieli rządu i korpusu dyplomatycznego z paniami. Tam przy kilku stolikach rozsadzono gości honorowych. Mnie, jako prezesowi Towarzystwa, wypadło siedzieć u stolika, gdzie zasiadł pan prezydent, pani prezydentowa, pani Staniszewska, żona wicepremiera, zastępującego bawiącego za granicą dla zdrowia Tubelisa, poseł francuski Dulong z żoną. Wszakże pierwszym odruchem prezydenta było zejść na salę i otworzyć bal przetańczeniem walca z panią Staniszewską, zaś do walca z panią prezydentową stanął de Neuzac. Po ich powrocie podano kawę, były ciastka, torty, likier francuski. Smetona, który już się nauczył mówić znośnie po francusku, jednak na długą rozmowę z panią Dulong wysilać się nie odważył i niebawem umknął do innego stolika, gdzie się lżej poczuł i wdał w obszerną dyskusję. Tymczasem do naszego stolika, gdzie siedziała prezydentowa, zaczęli się po

trochę garnąć dyplomaci zagraniczni i niebawem grono się mocno rozrosło; zasiadł poseł włoski Franzoni, poseł angielski Preston, żona posła łotewskiego pani Seja, profesor Mandelsztam... Wypiłem parę filiżanek herbaty i choć widok z galerii na salę był ładny, źle się poczułem w tym zespole dyplomatów, z którymi nie umiem rozmawiać, bo organicznie nie mogę się nagiąć do ich maniery zblazowanej i lekko się po wszystkim przesuwającej z poczuciem mędrców, którym wszystko jest wiadome i którzy wszystko traktują jako komedię ludzką. Pokręciłem się trochę po galerii, zamieniłem kilka słów z posłem czeskim Skalickym, człowieczkiem bardziej „*simple*", z ministrem wojny Dirmantasem i wkrótce uciekłem na salę, gdzie się zmieszałem z szerszą publicznością. Tam spotykałem znajomych, swoich studentów byłych, w ogóle ludzi żywych i obserwowałem zabawę oraz mieszałem się w tłum. Wypiłem u kiosku szampana z gronem osób, których tam spotkałem, pokręciłem się, pogawędziłem z tym lub owym, poszedłem do loterii fantowej, gdzie wrzało życie. Kupiłem biletów kilka, które mi mile panie pomogły rozwinąć i fanty odebrać. Wygrałem zabawkę dziecinną ładną (obrazki do układania z tabliczek), koszulkę, serwetkę wzorzystą na wierzch do poduszki na kanapę, sznurek paciorków szklanych dużych czerwonych i puszkę konserw pomidorowych.

6 lutego, rok 1938, niedziela

Dziś po trudach balów miałem dzień zupełnego wypoczynku. Żadnych zajęć urzędowych, żadnych uroczystości, posiedzeń, obchodów, zabaw i reprezentacji. Siedziałem w domu cicho, wypoczywałem przy pracy spokojnej w zaciszu biurka mego. Pogoda była ładna, ciepła i słoneczna a sucha, już wiosenna, toteż zmęczenia po niewyspaniu nie czułem. Dziewczynki – Stenia i Renia – które Jadzia wysłała na spacer w okolice tunelu na przedmieściu, twierdziły nawet, że słyszały w polu skowronka. Nie bardzo wierzę, bo to początek lutego (podług starego stylu kalendarza toć dopiero styczeń), ale samo wrażenie śpiewu skowronka, choćby imaginacyjne, wskazuje na nastrój wiosenny w naturze, udzielający się wrażeniom ludzi. W każdym razie, ze spaceru Jadzia przyniosła pączek rózeg wierzbowych z kocikami żywymi, jak w niedzielę palmową. A przecież mamy jeszcze cały miesiąc do zapust. Wieczorem wybrałem się z Jadzią do kina na film, poświęcony awiacji sowieckiej.

Wracam jeszcze do wczorajszego wieczoru balowego. Na balu francuskim zabawa była huczna. Pełno gości, tańce ożywione, piękna sala balowa, jakiej Kowno nie miało dotąd, życie i ruch u kiosków, a zwłaszcza u loterii fantowej, swoboda i łatwość poruszania się i krótkich rozmów przelotnych z ludźmi, których się skądinąd spotyka rzadko – to był urok i przyjemność tego balu. Lepiej się na takim balu poruszać swobodnie w tłumie, niż siedzieć u stolika honorowego przy kawie w gronie wysokich figur dostojników państwowych, przeplatanych figurami ceremonialnymi zblazowanych dyplomatów. Ale na balu francuskim nie skończyła się moja „zabawa". Przyrzekłem korporacji studentek „Filiae Lithuaniae" odwiedzić ich bal w gmachu „Neo-Lithuanii". Na bale studenckie na ogół nie chodzę, w tym roku nie byłem na żadnym i nie wybieram się, ale na ten wyjątkowo się zgodziłem dla dwóch przyczyn. Główna przyczyna była ta, że skoro już nałożyłem frak dla jednego balu, to można za jednym zamachem i drugi odbyć; to już nie tak trudno. Druga przyczyna była ta, że mię bardzo gorąco i serdecznie zapraszała na ten bal moja sympatyczna ex-uczennica, studentka ekonomistka VI semestru, p. Irena-Karolina Butkiewiczówna, która należy do zarządu „Filiae Lithuaniae". Ta dziewczyna malutka, niezmiernie słodka i serdeczna, a zresztą dobrze się ucząca, budzi we mnie sentyment szczególny przez to, że mi przypomina swoją ciotkę rodzoną, Gienię Butkiewiczówną z roku 1896 w Słobódce pod Krakinowcem u Zawiszów, w której się kochałem wtedy jako chłopczyk 16-letni. Studentka Irena Butkiewiczówna jest nawet trochę do swej ciotki podobna. Wie ona o tej mojej miłości romantycznej do jej ciotki i jest dla mnie bardzo serdeczna. Wdzięczna mi jest też za to, że jej pomogłem uzyskać zwolnienie od opłaty za studia. Butkiewiczówna tak gorąco i szczerze mię prosiła na ten bal, że jej to obiecałem. Udałem się tam po północy. Zastałem też tam prezydenta z żoną, którzy też tam z balu francuskiego pośpieszyli. Był tam koncert – śpiew solistki p. Grigaitisowej, popis zespołu tanecznego studentek w strojach

ludowych, potem rozpoczął się bal właściwy na sali, podczas gdy gości honorowych zaprowadzono na dół do pokoiku restauracyjnego na kawę. Usadowiono nas tam u dużego stołu i unieruchomiono przez to. Mnie siedzieć wypadło między prezydentem i prezydentową. Gawędziłem cały czas z prezydentem Smetoną. Studentki śpiewały. Panuje w „Filiae Lithuanice" rodzina Nasvitisów, rodzina zachłanna, która przez ożenek syna prezydenta Juliusza Smetony z panną Nasvitisówną podniosła się do szczytów społecznych i zadziera nos jak „arystokracja". Była tam i mama Nasvitisowa, a Nasvitisówna, siostra Juliuszowej Smetonowej, tylko mniej ładna, jest prezeską „Filiae Lithuaniae". Dzięki Bogu, że prezydent tam niedługo bawił. Gdy wyszedł, to zaraz wymknąłem się i ja, odprowadzony serdecznie przez kochaną Butkiewiczówną.

7 lutego, rok 1938, poniedziałek

Miałem jedno z najnudniejszych posiedzeń, które mi co roku wypada koło 16 lutego. Jest to posiedzenie Rady Orderu Giedymina. Ponieważ ten order nadaje się zwykle w dniu 16 lutego, więc rada jest zwoływana przed tym terminem dla rozejrzenia wniosków co do osób, przedstawianych prezydentowi na rzecz nadania orderu. Kadencja nasza w radzie już się zakończyła, ale na nową kadencję prezydent wyznaczył te same osoby. Skład więc Rady Orderu Giedymina jest następujący: prezesem rady jest generał Šniukštas, były prezes Sądu Wojennego i były minister wojny, obecnie już dymisjonowany i osiadły w swoim majątku pod Kretyngą, członkami są: przestarzały, przeszło 80-letni generał Bulota, dostojnik Kościoła, członek Kapituły Kurii Metropolitalnej ksiądz profesor Kazimierz Šaulys, ja, burmistrz Merkys i były minister spraw zagranicznych Zaunius. Prezes jest z nominacji, wiceprezes i sekretarz są wybierani przez radę; rada na wiceprezesa wybrała mnie, na sekretarza – Zauniusa. Zaunius i Merkys byli dziś nieobecni. Wysiedzieliśmy na posiedzeniu prawie trzy godziny, zanim rozpatrzyliśmy całą listę osób, przedstawionych przez poszczególnych ministrów (także kontrolera państwowego, marszałka Sejmu i gubernatora kłajpedzkiego) do nominacji. Jest to zajęcie niezwykle nudne. Zresztą funkcje rady są bardzo ograniczone. Jej opinia nie jest obowiązująca i sprowadza się głównie do sprawdzenia, czy stopień orderu lub medalu, proponowany dla danej osoby, odpowiada kategorii jej pozycji służbowej; czasem, choć bardzo rzadko, rada wypowiada się przeciwko nadaniu orderu jakiejś osobie, co do której ma pewne zarzuty natury moralnej czy honorowej. Zaznaczę, że z kół uniwersyteckich w liście ministra oświaty są przedstawieni do orderu: Schmittlein, docent Zubkus i prywatdocent Łappo. Z uniwersytetu zawsze się przedstawia bardzo niewielu i, niestety, nie ma zwyczaju zasięgania poprzednio opinii rektora. Zwykle co roku przedstawia się po jednym kandydacie: w roku pozaprzeszłym był to prof. Končius, w roku ubiegłym – prof. Rimka, obecnie – Zubkus. Schmittlein przedstawiony został oczywiście dlatego, aby mu osłodzić przykrą pigułkę zawodu, jaki go spotkał co do obejścia go przy obsadzie przez Wydział Humanistyczny katedry romanistyki, której on bardzo pragnął, a która udzielona została profesorowi Prioultowi. Ciekawa rzecz, że moi koledzy w radzie (Šniukšta, ks. Šaulys, Bulota), wszyscy trzej Litwini, wszyscy trzej synowie gospodarzy włościańscy, okazali się zdecydowanymi przeciwnikami udzielenia gospodarzom orderów i chcieli uchwalić wniosek rady jako jej opinię, że gospodarzom wiejskim (także wójtom gmin mogą być udzielane li tylko medale, nie zaś ordery Giedymina. Dziwna by to była klasyfikacja stanowo-społeczna, dyskwalifikująca włościan-rolników jako takich, jako pewną kategorię społeczną. A przecież ta kategoria społeczna jest podstawową w kraju rolniczym i chłopskim, jak Litwa, w którym stanowi ona rdzeń narodu panującego. Dla mnie to jest dziwne zjawisko narastania zmysłu arystokratycznego w świeżutkiej burżuazji litewskiej, która dopiero się naradza, a już usiłuje wykrystalizować się w śmietankę szczytową, odseparowaną specyficzną granicą honoru od masy chłopskiej, z której dopiero co wyszła. Zaoponowałem temu ja jeden.

8 lutego, rok 1938, czwartek

Byłem dziś u posła francuskiego p. Dulonga na śniadaniu proszonym. Było to śniadanie akademickie, raczej wydziałowe, na które poseł francuski zaprosił nowego profesora języka i

literatury francuskiej p. Prioulta i jego kolegów, stanowiących profesurę Wydziału Humanistycznego, dla zbliżenia ich towarzyskiego, z udziałem w mojej jako rektora osoby zwierzchności akademickiej i z udziałem czynników Ministerium Oświaty w osobach ministra prof. Tonkunasa, wiceministra Masiliunasa i nowego dyrektora Departamentu Kultury dr Soblysa. Z profesury Wydziału Humanistycznego obecni byli profesorowie: sekretarz wydziału i zastępca dziekana Augustaitis, Karsawin, Jonynas, Brander, Izydor Tamošaitis, Mykolaitis-Putinas, Baltrušaitis i lektor francuskiego Schmittlein. Nieobecny był nowy dziekan wydziału Michał Biržiška, który przed paru tygodniami miał atak sercowy i obecnie musi przez czas dłuższy wypoczywać; nieobecny był także były dziekan prof. Krėvė-Mickiewicz, który, jak przypuszczam, musiał być zaproszony, ale dla bardzo zrozumiałych przyczyn nie zachciał przyjść, po pierwsze dlatego, że z poselstwem francuskim w przedmiocie właśnie obsady katedry romanistyki stanął trochę na bakier i że to właśnie było jednym z powodów, które wpłynęły na jego niezatwierdzenie na stanowisku dziekana, a po wtóre zapewne też dlatego, że się nie zechciał spotkać z ministrem Tonkunasem, który odmówił zatwierdzenie jego. Krėvė-Mickiewicz jest ambitny.

Krėvė-Mickiewicza po świętach Bożego Narodzenia, to znaczy od czasu jego usunięcia ze stanowiska dziekana przez niezatwierdzenie go przez ministra, nie widziałem do dnia wczorajszego. Spotkałem się z nim wczoraj na schodach w gmachu uniwersyteckim. Zwróciłem się do niego z przywitaniem serdecznym, ale on jakoś chłodno i prędko, nie zatrzymując się, podał mi rękę; zagadnąłem go uprzejmie, co słychać u niego, na co mi on zdawkowo odrzekł, że nic właściwie; wyczułem w nim jakąś niechęć do rozmowy, toteż rozeszliśmy się. Nie wiem, czy mi Krėvė coś zarzuca i nie mogę pojąć ani domyślić się, co mi może mieć do zarzucenia. Może to tylko duma człowieka, który w ogóle, choć nie przeze mnie, czuje się dotknięty i ma odrazę do zwierzeń lub obawę niespokojną przed współczuciem i litością, które nie są mniej przykre, niż obraza. Nie wiem zresztą. Przykre mi to, bo tego człowieka lubię i cenię. Chcę właśnie zaproponować w senacie urządzenie pożegnania koleżeńskiego dla obu usuniętych dziekanów – Krėvė-Mickiewicza i Kuraitisa, ale wątpię, czy Krėvė zaproszenie przyjmie, bo jest na to za dumny. Odmówił on wydziałowi stawienia się na kolację koleżeńską, którą wydział chciał go uczcić.

9 lutego, rok 1938, środa

Obiad w Rotary-Clubie, na którym prezes klubu Karol Żołkowski referował o swoim pobycie w Egipcie w charakterze delegata Litwy na konferencję w sprawie kodyfikacji międzynarodowej prawa karnego. Poza tym wykład i praca bieżąca w rektoracie.

Kartę dzisiejszą dziennika poświęcę sprawom bohdaniskim. Likwidacja własności spadkowej po śp. Maryni w Bohdaniszkach posuwa się szybko naprzód. Już nie tylko testament zatwierdzony, ale i pozwolenie udzielone przez Trybunał na sprzedaż nieruchomości nieletniej Steni. A dziś już i Bank Ziemski udzielił pozwolenia na sprzedaż wszystkich parceli ze spadku po Maryni i rozłożył dług na kupujących. Prosiłem Bank Ziemski, żeby parcelę 10-hektarową, którą ja kupuję, uwolnił od długu. Chodzi mi bowiem o to, aby na nią został przełożony dług hipoteczny Maryni Państwowej Kasie Oszczędnościowej w sumie pozostałej 4600 litów, który ja na siebie przyjąłem. Na czystą parcelę Kasa zgodzi się zapewne ten dług przełożyć. Bank Ziemski to życzenie uwzględnił. Dla innych nabywców jest to także dogodne, bo im chodzi o to, żeby jak najwięcej długu bankowego pozostało na ich parcelach, żeby trzeba było mniej wykładać gotówki przy kupnie. Bank rozłożył ten dług tak, że na parcelę 7 ha Elwiry wypada 4000 długu (po 571 lt. na hektar), na parcelę Čepasowej – 4200 lt. (po 323 lt. na hektar), na parcelę Mikulionisa – 4800 lt. (po 240 lt. na hektar) i na parcelę 4-hektarową Staszkiewicza – 1200 lt. Spodziewam się, że na Wielkanoc będziemy już mogli sporządzić akty sprzedaży.

W Bohdaniszkach bawi na wypoczynku Diskin. Mieliśmy już listy od niego i o nim. Czuje się tam dobrze, ma wygodę i jemu są tam radzi.

10 lutego, rok 1938, czwartek

Dziś miałem posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego i wieczorem posiedzenie senatu akademickiego.

Minister oświaty zażądał od uniwersytetu przedstawienie planu pięcioletniego i dziesięcioletniego działalności i potrzeb akademickich naprzód. Jest to modna obecnie forma racjonalizowania akcji państwowej, zainicjowana przed dziesięciu laty przez Sowiety i praktykowana dziś przez wiele innych państw, zwłaszcza tych, które grawitują ku tzw. „totalizmowi”. Niektórzy uważają to za blagę i niedorzeczność. Ja osobiście nie jestem przeciwnikiem metod racjonalistycznych. Wszakże na ułożenie takiego planu, choćby tylko dla uniwersytetu, termin dwutygodniowy (od 1 lutego do 16 lutego) jest stanowczo za krótki. Nawet poszczególne wydziały w tak krótkim czasie nie są w stanie ułożyć starannie planu, a cóż dopiero mówić o racjonalnym uzgodnieniu wniosków wydziałów i o ułożeniu ścisłego planu całego uniwersytetu. Będziemy żądali udzielenia dłuższego terminu.

Jutro ma już być przyjęta przez Sejm nowa konstytucja. Komisja sejmowa poczyniła jeszcze pewne poprawki. Pracowała ona długo i do współpracy stałej był do niej zaproszony mój asystent Konstanty Raczkowski. Poseł burmistrz Merkys, który jest, zdaje się, prezesem tej komisji, miał też odbyć naradę ze mną, ale to się jakoś nie udało. Umówiliśmy się na wtorek, ale ja termin ten odwołałem, bo nie miałem czasu. Odłożyłem na środę, ale Merkys nie przyszedł, a dziś mi telefonował, przepraszając, że zapomniał i chciał przyjść dziś, ale ja nie miałem czasu. A jutro już za późno. Ale właściwie jest to nie bardzo potrzebne, bo tekst projektu już jest ułożony i o poprawki trudno, a zresztą chodziłoby nie o redakcję, bo pod tym względem i Raczkowski jest kompetentny, jeno o zasady, a te zależą nie od wiedzy, jeno od polityki, w której ja mistrzem Sejmu być nie mogę i nie chcę. Konstytucja ta jest kompromisem tzw. „autorytaryzmu” czy prezydentokracji i – demokracji. Sejm ciągnie nieco na rzecz demokracji i przewagi albo przynajmniej równoległości Sejmu z prezydentem, prezydent Smetona ciągnie do autokracji władzy prezydenta.

11 lutego, rok 1938, piątek

W sobotę na balu studenckim „Filiae Lithuaniae”, siedząc przy kawie obok prezydenta Smetony, miałem z nim rozmowę na temat o projekcie konstytucji. Komisja sejmowa mało poczyniła zmian w projekcie rządowym. Z łona kół sejmowych uwydatniły się wprawdzie pewne tendencje do rozwinięcia władzy Sejmu kosztem autokratycznych elementów władzy prezydenta, ale dążenia te, wciąż hamowane przez interwencję prezydenta, zredukowały się w rezultacie do bardzo nieznacznych poprawek. Nie zmieniły one ogólnego nastawienia konstytucji w kierunku prezydentokracji czy prezydentarchii (którą by też określić można mianem rządów zmonarchizowanego prezydenta) z pewnym zabarwieniem kompromisu na rzecz przeżytków demokracji formalnej, streszczonej w Sejmie. Prezydent jednak i z tych poprawek nieznacznych jest niezadowolony, a zwłaszcza niezadowolony z tendencji, które się ujawniły w Sejmie, tendencji zresztą bardzo umiarkowanych. Broniąc każdej pozycji władzy i prerogatywy formalnej prezydenta – prezydent Smetona gniewa się na Sejm i zarzuca mu to, że z góry z uprzedzeniem traktuje prezydenta, nie ufa mu i *à priori* posądza, że prezydent koniecznie wykorzysta faktycznie wszystkie udzielone mu uprawnienia formalne, choćby nie zachodziła żadna potrzeba szczególna, podczas gdy w istocie uprawnienia te, zdaniem prezydenta, są potrzebne zapasowo na wypadek konieczności, aby w każdym razie było zapewnione wyjście i przesądzenie kategoryczne, streszczone w jednej woli, usuwające wszelką możliwość postawienia państwa w stan bezradności. Smetona, zdaje się, nie rozumie, że konstytucja i władza konstytucyjna prezydenta jest ustanawiana nie dla niego osobiście, lecz dla określonego organu państwowego. On osobiście może z jakiegoś uprawnienia szczególnego nie skorzysta, ale inny prezydent może skorzystać i dążyć do autokracji efektywnej. Gdy mowa w konstytucji o prezydencie – to się ma na myśli nie tylko prezydenta Smetonę, ale wszelkiego prezydenta x, y, z. U Smetony zarysowuje się trochę nałóg utożsamienia państwa z jakimś folwarkiem prezydenta Smetony. W istocie jednak te tendencje i poprawki sejmowe są tak mdłe, że Smetona nie ma się o co gniewać.

Dziś na posiedzeniu Sejmu projekt konstytucji, po wygłoszeniu przez posła burmistrza Merkysa wielkiej mowy, został przyjęty.

Okazuje się jednak, że kombinacja grudniowa o zachowaniu dla tej konstytucji przepisów o referendum fakultatywnym na rzecz jej akceptacji demokratycznej, mająca zastąpić przewidzianą w dotychczasowej konstytucji sankcję demokratyczną (art. 106 konstytucji z roku 1928), nie została zaniechana. Ma to być dokonane w trybie art. 104 dotychczasowej konstytucji, który przewiduje, że uchwalona przez Sejm reforma konstytucji („Konstitucijos pakeitimas ar papildymas") ulega ogłoszeniu prowizorycznemu z tym, że jeżeli w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia prezydent Rzeczypospolitej lub 50000 obywateli-wyborców tego zażąda, to ogłoszony akt reformy konstytucji zostaje oddany do głosowania ludowego w drodze referendum, jeżeli zaś w ciągu trzech miesięcy takie żądanie zgłoszone nie będzie, to ten akt, uchwalony przez Sejm i ogłoszony, zyskuje moc prawną i staje się konstytucją obowiązującą. Otóż w związku z tym wyłoniły się delikatne kwestie, którymi się wieczorem zajął Gabinet Ministrów. Ale o tym powiem już jutro. Zanotuję jeszcze, że projekt nowej konstytucji uchwalony został przez Sejm wszystkimi głosami obecnych posłów z wyjątkiem jednego, który się powstrzymał od głosowania. Pięciu posłów było nieobecnych.

12 lutego, rok 1938, sobota

Chcę koniecznie napisać o posiedzeniu Gabinetu Ministrów wczoraj wieczorem, na które zostałem zaproszony w charakterze patentowanego rzeczoznawcy zagadnień konstytucyjnych. Niestety, nie mam dziś na to dużo czasu, więc szczegółowiej powiem o tym jutro – koniecznie. Tutaj tylko zagaję to w krótkich słowach. Byłem wczoraj wieczorem na wykładzie moim w uniwersytecie, gdy w czasie przerwy wpadł do profesorium Konstanty Raczkowski, prosząc, żebym zaraz pośpieszył do Gabinetu Ministrów, gdzie czekają na mnie. Nie bardzo chciałem, ale trzeba było. W krótkich słowach Raczkowski mię poinformował, o co chodzi. Chodzi o to, jak ma być ogłoszony urzędowo nowy przez Sejm tegoż dnia wczorajszego uchwalony akt konstytucji. Tak rządowi, jak Sejmowi chodzi o zachowanie legalizmu, czyli kontynuitetu konstytucyjnego, to znaczy o to, aby były ściśle zachowane przepisy trybu reformy konstytucji, przewidziane w art. 104 konstytucji obecnej i mające służyć razem akceptacji demokratycznej całej konstrukcji konstytucyjnej z roku 1928 wraz z jej reformą obecną. Tryb ten przewiduje ogłoszenie uchwalonego przez Sejm aktu, który nie jest jeszcze konstytucją i nie może być promulgowany jako takowa, bo dopiero w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia tego bądź prezydent Rzeczypospolitej może przekazać ten akt głosowania ludowemu (referendum), bądź może tego zażądać reklamacja, zgłoszona przez 50000 obywateli-wyborców. Dopiero po upływie trzech miesięcy, o ile nie będzie reklamacji takiej albo o ile prezydent *motu proprio* nie zarządzi referendum, uchwalony przez Sejm akt reformy konstytucyjnej stanie się konstytucją obowiązującą, o ile zaś referendum nastąpi, to zadecyduje oczywiście ono. Chodzi więc o to, jaka ma być formuła ogłoszenia aktu: czy akt ma być nazwany projektem konstytucji (tak wnioskuje Raczkowski), czy konstytucją (tak chcą ministrowie) i czy ogłoszenia aktu w „Vyriausybės Žinios" ma dokonać prezydent (zachodzi obawa, że może to sprawić wrażenie promulgacji albo zrezygnowania prezydenta z prawa konstytucyjnego przekazania aktu *motu proprio* na referendum, z czego prezydent w obecnym stadium z góry rezygnować nie chce, aby zachować wolne ręce na wszelkie ewentualności, dziś jeszcze nie dające się przewidzieć i zdyskontować), czy też ogłoszenia ma dokonać prezes ministrów (czy ma do tego tytuł).

13 lutego, rok 1938, niedziela

Cofam się do pozawczorajszego posiedzenia Gabinetu Ministrów, na który wezwany byłem w charakterze rzeczoznawcy zagadnień konstytucyjnych. W posiedzeniu tym brali udział: zastępca nieobecnego premiera Tubelisa minister komunikacji Staniszewski, ministrowie Lozoraitis, Šiling, Dirmantas, Tonkunas i Putwiński, wiceminister finansów Indrišiunas (jednocześnie będący wicemarszałkiem Sejmu), kontroler państwowy Šakenis, który jest zarazem marszałkiem Sejmu, sekretarz generalny Gabinetu Ministrów Mašalaitis, mój asystent Konstanty Raczkowski jako stały

rzeczoznawca w sprawie tej reformy konstytucyjnej i doradca prawny w tym względzie komisji sejmowej, i zaproszony *ad hoc* ja.

Wskazałem w dzienniku wczoraj, o co chodziło. Co do tego, czy w formule ogłoszenia trzeba nazwać uchwalony przez Sejm akt konstytucyjny projektem konstytucji czy konstytucją, kwestia ta moim zdaniem większych trudności nie nastręczała; odpowiedni bowiem przepis obecnej konstytucji, nakazujący ogłosić uchwalony przez Sejm akt konstytucyjny, nazywa go „Konstitucijos pakeitimas” (zmiana czy reforma konstytucji), nie zaś projektem; tak więc też należy go nazwać w formule ogłoszenia: „Seimo priimtas konstitucijos pakeitimas”. Chodzi jednak o to, żeby z samego ogłoszenia wypływało wyraźnie, że nie jest to jeszcze konstytucja oktrojowana, jeno uchwalony przez Sejm wniosek konstytucyjny, którego losy są uzależnione bądź od reklamacji lub apelacji prezydenta i w następstwie od referendum ludowego, bądź od upłynięcia odpowiednich terminów. W tym celu w formule ogłoszenie musi być albo *expressis verbis* wyrażone, że promulgacja ogłoszonego aktu nastąpi w zależności od zaistnienia warunków konstytucyjnych dla jego legalizacji, albo co najmniej kategoryczne powołanie się na ten ustęp artykułu 104 konstytucji działającej (ustęp 2 artykułu 104), który te warunki ustanawia. Wszakże dla zachowania zupełnej precyzyjności legalizmu powinna być koniecznie jednocześnie z ogłoszeniem przyjętego przez Sejm aktu ogłoszona ustawa o procedurze reklamacji, albowiem bez takiej ustawy termin trzymiesięczny dla reklamacji jest pustym dźwiękiem, opóźnienie zaś wydania takiej ustawy skracałoby termin i kompromitowało ścisłość kontynuitetu konstytucyjnego, o którego zachowanie samemu rządowi chodzi (właściwie rządowi chodzi o zachowanie tylko pozorów, ale o ich zachowanie chodzi mu, a zwłaszcza chodzi Sejmowi – bardzo). Ostatnia kwestia – to kwestia, kto ma dokonać ogłoszenia: prezydent czy premier. Mnie by się zdawało, że raczej prezydent, bo dla ogłoszenia aktów formalnych Sejmu, choć nie stanowiących ustawy ostatecznej, ale bądź co bądź należących do procedury ustawodawczej, a zwłaszcza w zakresie konstytucji, premier sam bez prezydenta kwalifikacji nie posiada, ale ostatecznie kategorycznie twierdzić tego nie mogę i ogłoszenie aktu przez premiera w każdym razie za wielką herezję bym nie poczytywał. Jurydycznie przeciwko ogłoszeniu tego aktu przez prezydenta można podnieść ten wzgląd, że prezydent w tym wypadku jest poniekąd stroną albo jednym z czynników procedury dalszej, albowiem konstytucja rezerwuje jemu późniejszą interwencję w drodze ewentualnego zarządzenia referendum. Dla niego więc uchwalenie aktu przez Sejm nie jest czymś ostatecznym, jeno mu otwiera dopiero drogę do interwencji w terminie trzymiesięcznym. Politycznie ogłoszenie aktu sejmowego przez prezydenta może być niepożądane dlatego, że może czynić wrażenie asocjowania prezydenta z aktem sejmowym i wyrzeczenia się z góry interwencji, czego prezydent sobie nie życzy i co może być przeciwne zasadom procedury konstytucyjnej, wyraźnie dysocjującej funkcję i uprawnienia prezydenta jako czynnika ewentualnej interwencji późniejszej od funkcji i uprawnień Sejmu.

14 lutego, rok 1938, poniedziałek

Rząd zdecydowany jest *conte que conte* jutro ogłosić uchwalony przez Sejm akt konstytucyjny i jednocześnie ustawę o trybie zgłoszenia reklamacji 50000 wyborców na rzecz referendum. Do daty jutrzejszej rząd i Sejm przywiązuje wagę zasadniczą, albowiem w myśl art. 104 obecnej konstytucji reklamacja może być zgłoszona w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia aktu konstytucyjnego, toteż jeżeli akt konstytucyjny będzie ogłoszony 15 lutego, to termin trzymiesięczny upłynie akurat 15 maja. A ponieważ ta procedura ewentualnie reklamacji ma pokryć tę akceptację demokratyczną konstytucji z r. 1928, która jest przewidziana w art. 106 tej konstytucji i dla której termin dziesięcioletni od daty 15 maja 1928 upływa w dniu 15 maja 1938, więc dla zachowania kontynuitetu konstytucyjnego (ciągłości konstytucyjnej) obecnej reformy konstytucyjnej chodzi o ścisłe zachowanie terminów, a więc obecnie o ustalenie początku dla ewentualnej reklamacji od dnia 15 lutego. Ustawa o trybie reklamacji musiała być pośpiesznie sfabrykowana w ciągu trzech dni, aby została jutro przez Sejm przyjęta i wnet ogłoszona. Jeżeli zresztą nic się nie zmieni w kombinacjach!

Bo cała ta robota nad reformą konstytucyjną robi się tak nerwowo i na poczekaniu, że nie można ręczyć, iż coś nie wystrzeli nagle niespodziewanego.

Zdaje się, że rząd zdecydował się już ostatecznie na ogłoszenie przyjętego przez Sejm aktu konstytucyjnego – nie przez prezydenta, jeno przez prezesa Gabinetu (zastępczo – przez wicepremiera Staniszewskiego). Prezydentowi chodzi o to, żeby się formalnie do tej sprawy w obecnym stadium procedury nie mieszać, aby zarezerwować formalnie zupełną bierność i bezstronność wobec aktu konstytucyjnego, będącego formalnie aktem Sejmu (chociaż istotnym *spiritus movens* całej imprezy jest niewątpliwie prezydent Smetona, a wszystkie też poprawki, poniekąd bardzo istotne, które Sejm czy komisja sejmowa wniosła do projektu pierwotnego, zostały ustalone w drodze przetargów i kompromisu z prezydentem Smetoną). Formalnie prezydent jest na uboczu. W myśl przepisów konstytucji obowiązującej, prezydent może w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia przyjętego przez Sejm aktu *motu proprio* przekazać do referendum ludowego. Jest on jednym z dwóch czynników, mających władzę sprowokowania referendum; te czynniki są to: a. prezydent Rzeczypospolitej *motu proprio* i b. 50000 obywateli-wyborców w drodze reklamacji zbiorowej. Prezydent chce mieć to prawo zarezerwowane, zapewne na wypadek, gdyby się okazało, że reklamacja dochodzi do skutku. Że rząd poczyni wysiłki, aby do reklamacji nie doszło, że użyje presji, aby powstrzymać od udziału w reklamacji wszystkie czynniki, którymi może dysponować i które są od niego zależne – to pewne. Ale z góry przewidzieć, że do reklamacji nie przyjdzie, niepodobna, jeżeli tylko ustawa o trybie reklamacji nie będzie komediancką, co by ją oczywiście kompromitowało. Otóż sądzę, że gdyby do reklamacji realnie dochodziło, to prezydent zechce zainterweniować i wytrącając inicjatywę z rąk reklamujących, sam mocą władzy własnej zarządzić referendum, *en faisant bonne mine an mauvais jeu*. Tego atutu prezydent z rąk wypuścić nie chce. Czy zeń skorzysta – będzie to zależało od postępów akcji reklamacyjnej. Będzie to problem najbliższego okresu.

15 lutego, rok 1938, wtorek

Nic nie wiem, jak został w „Vyriausybės Žinios" ogłoszony uchwalony przez Sejm akt konstytucyjny. Słyszałem, że ustawy o trybie reklamacji na rzecz referendum w „Vyriausybės Žinios" ogłoszonej nie ma. Czyżby zaniechano tej myśli? Sądzę, że chyba nie zdążono ją ułożyć i przez Sejm uchwalić i promulgować. W przeciwnym bowiem razie legalizm, czyli ciągłość konstytucyjna reformy konstytucji byłaby pogwałcona. Czynnikom zaś rządowym i sejmowym o zachowanie pozorów tej ciągłości bardzo chodziło. Już samo opóźnienie wydania tej ustawy o kilka dni stanowi pewną nieścisłość konstytucyjną, albowiem skraca termin trzymiesięczny ewentualnej reklamacji, który się liczy od dnia ogłoszenia uchwalonego przez Sejm aktu konstytucyjnego, zaś to ogłoszenie zdaje się, że dziś już nastąpiło.

W akcie konstytucyjnym Sejmu są na ogół następujące główne poprawki w stosunku do projektu pierwotnego, który był zgłoszony przez Gabinet Ministrów już po pewnym zreformowaniu przezeń redakcji komisji Šilinga w Radzie Stanu: a. odpadło odróżnienie narodu litewskiego w znaczeniu narodowościowym od narodu w znaczeniu terytorialnym ogółu obywateli; pierwotna konstrukcja była taka, że zwierzchnictwo było przyznawane tylko narodowi litewskiemu, który w myśl konstytucji „zleca" wykonanie władzy państwowej ogółowi obywateli; teraz tego nie ma; b. pierwotnie konstrukcja władzy konstytucyjnej państwowej była, że tak powiem, prezydentokratyczna: u góry był postawiony prezydent, a „w jego zwierzchnictwie" był dopiero Sejm, rząd i sąd (konstrukcja, zapożyczona z konstytucji polskiej z roku 1935); przeciwko takiej konstrukcji, zwłaszcza w stosunku do sądu, który powinien funkcjonować „w zwierzchnictwie ustawy", a nie „prezydenta", bardzo mocno oponowałem wobec komisji sejmowej w grudniu i zdaje się, że moje argumenty zaważyły; obecnie wykładnia jest równoległa, złożona z czterech członów: prezydent, Sejm, rząd i sąd; o zwierzchnictwie się nie mówi; ślad jego pozostał tylko na początku konstytucji, gdzie się mówi, że prezydent przewodzi państwu; c. odpadł przepis o dożywotniej prezydenturze w wypadku, gdy prezydent był wybierany trzykrotnie na trzy kadencje z kolei i gdy

ogółem zajmował stanowisko prezydenta przez lat 20; Sejm tego nie chciał; dawały się z ust członków Sejmu prywatnie słyszeć zdania, że narzucanie konstytucyjne krajowi prezydenta, który może być przestarzały i niedołężny i za którego rządzić zaczną jego familianci i klika, nie jest wcale potrzebne ani użyteczne; sam prezydent Smetona nie nalegał; d. odebrane zostały prezydentowi prerogatywy władzy arbitralnej budżetowej. Inne poprawki są mniej istotne. Na razie kończę. Wrócę jeszcze do konstytucji po dniu 16 lutego, który jest pracowitym dniem służby reprezentacyjnej w dwudziestolecie Niepodległości.

16 lutego, rok 1938, środa

Dzień dwudziestej rocznicy ogłoszenia Niepodległości Litwy. W jesieni z kół narodowców był powstał pomysł nadania tej rocznicy 20-letniej wielkiego rozgłosu i obchodzenia jej z wielką pompą. Było zwołanych kilka posiedzeń dla narady w tej kwestii, dla ustalenia głównych wytycznych obchodu i dla wyboru komitetu uroczystości. Na te posiedzenie byłem i ja zapraszany, ale na żadnym być nie mogłem dla różnych przyczyn. Wszystko miało być długie, rozciągnięte niemal na rok cały i naturalnie byłyby kosztowne. Imprezę tę wszakże ubił Tubelis, który jako szef rządu i minister finansów oblał inicjatorów zimną wodą i ostudził ich zapał. Wielki obchód 20-lecia uznał on za rzecz zbyteczną, wskazując, że raczej należy zarezerwować inicjatywę i energię na zbliżający się za lat pięć jubileusz 25-lecia. Tymczasem nie ma potrzeby zanadto się wysilać, zwłaszcza że młoda Litwa w ogóle zbyt jest rozmiłowana w obchodach, uroczystościach, jubileuszach i ceremoniach, których jest aż do zbytku i które raczej hamować, niż rozwijać należy. Wielkie zamiary spaliły na panewce. Prezydent Smetona także nie okazał się skłonny do wielkiego obchodu. Ograniczono się więc do jednego dnia rocznicowego, któremu tylko nadano trochę więcej uroczystości, a poza tym jeszcze zarezerwowano pewne epizody obchodowe na lato, na okres wycieczek Litwinów z Ameryki i inne okoliczności odpowiednie.

W zasadzie program dnia dzisiejszego nie różnił się od programu corocznego dnia 16 lutego: wielkie nabożeństwo w Bazylice, celebrowane przez księdza metropolitę arcybiskupa Skwireckiego, uroczystości w ogródku Muzeum Wojennego u Grobu Nieznanego Żołnierza z przemówieniami ministrów, posiedzenie uroczyste kół wojskowych w Muzeum Witolda Wielkiego, posiedzenie uroczyste publiczne Sejmu z przemówieniem prezydenta Smetony, koncert okolicznościowy w teatrze i bal z ramienia prezydenta Rzeczypospolitej z kolacją *á la fourchette* w pięknych salonach Klubu Oficerskiego „Karininkų Ramovė”. Trochę tylko więcej uroczystości, niż zwykle, no i firma prezydenta dla balu. Poza tym naturalnie szereg odczytów publicznych o Niepodległości, defilady wojska z pieśnią po ulicach miasta, aeroplany nad miastem, salwy armatnie, głośniki radiowe na ulicach ryczące jak potwory, kina bezpłatne, wieczorem piękna i bogata iluminacja. Co do mnie – to miałem być tylko w Bazylice, w Muzeum Wojennym, w Sejmie i na balu. Ale w toku tych wielkich uroczystości publicznych musiała się odbyć i nasza poszczególna uroczystość akademicka, która do publicznego programu uroczystości nie wchodzi. Dla uniwersytetu bowiem dzień 16 lutego jest świętem podwójnym: jako rocznica Niepodległości i rocznica założenia uniwersytetu w roku 1922. Dla mnie jako rektora uroczystość akademicka jest naturalnie centralna. To mój wielki dzień, dzień wielkiej mowy akademickiej rektora, jeden z dwóch dni akademickich w roku: 15 września i 16 lutego. Aby pogodzić naszą uroczystość akademicką z uroczystościami publicznymi, musieliśmy ją wyznaczyć na godzinę 11 minut 30. Z tego też względu nie poszedłem wcale do Muzeum Wojennego, gdzie mię wyręczył prorektor Jodelė, a do Bazyliki pójść spróbowałem, ale się trochę spóźniłem i już nie wchodziłem do środka, jeno postałem w zakrystii, bo musiałem wyjść wcześniej.

17 lutego, rok 1938, czwartek

Wracam jeszcze do wczorajszego 20-lecia Niepodległości. Dla mnie punktem ośrodkowym uroczystości było posiedzenie uroczyste uniwersytetu, na którym wygłosiłem moją wielką mowę. Nie mieliśmy nikogo z przedstawicieli rządu na naszej uroczystości akademickiej. O wizycie prezydenta nie było mowy, bo prezydent w dniu rocznicy Niepodległości sam jest zajęty przyjęciami.

Co do ministra oświaty Tonkunasa, to ten wyjechał na dzień 16 lutego do Tallina dla wzięcia udziału w uroczystościach, poświęconych w Estonii Litwie w dniu jej Niepodległości. Zebrało się tylko dużo profesury, ale studentów było niezbyt wiele, bo program publicznego obchodu niepodległościowego rozproszył młodzież akademicką. Wszakże delegacja korporacji ze sztandarami i chór akademicki – stawiły się. Uroczystość, jak zwykle, rozpoczęła się od odśpiewania hymnu narodowego. Następnie chór wykonał kantatę, ułożoną specjalnie na 20-lecie Niepodległości – „Sveika buk, tėvų šalie", muzyka profesora konserwatorium Banaitisa, słowa poety księdza Aleksandra Dąbrowskiego-Jakštasa. Potem była moja wielka mowa rektorska, która zajęła pół godziny. Mowa była zastosowana do rocznicy Niepodległości. Mówiłem o znaczeniu aktu 16 lutego roku 1918. W drodze analizy stwierdziłem, że w istocie państwo litewskie w dniu 16 lutego 1918 jeszcze nie zaistniało i że pod tym względem nie jest ścisłe utożsamianie tej daty z datą realnego faktu państwa. Wszakże w dalszym ciągu stwierdziłem, że akt 16 lutego był tym aktem syntezy, który streścił w sobie całą energię dokonanego poprzednio odrodzenia narodowego Litwy jako wyraz tejże, jako jej słowo twórcze, z którego wyłonił się już bezpośrednio fakt narodzin państwa i że zatem słusznie geneza Niepodległej Litwy jest lokowana w tym akcie historycznym. Mowa moja udała mi się dobrze i konstrukcja podobała się słuchaczom. Akt 16 lutego 1918 był istotnie wielkim. Ja sam niegdyś, będąc daleko od Litwy, nie doceniałem jego głębokiej treści, jak w ogóle też nie doceniałem wielkiego historycznego dzieła Litewskiej Rady Stanu (Taryby) z owych czasów, z daleka, z Polski, w atmosferze oblanej łuną narastającej ze wschodu rewolucji, i w świetle poczynań rządu ludowego Daszyńskiego w Polsce oraz wielkiej postaci Józefa Piłsudskiego, zdającego się być wcieleniem ideałów wolności i humanizmu, miałem wrażenie ubóstwa i zacofania akcji Taryby w Litwie. Na tle rewolucji sowieckiej i niemieckiej oraz rewolucji narodowej Piłsudskiego w Polsce dzieło Taryby wydawało się jakimś żałosnym epizodem retoryki bez zapału i rozmachu. Myliłem się głęboko. Moje iluzje co do rewolucji, zwłaszcza niemieckiej i polskiej, jak też co do Józefa Piłsudskiego okazały się zgoła mylne; było w nich więcej moich własnych ideałów, niż stwierdzenia rzeczywistości. Zjawiska te obserwowałem przez szkła moich ukochań i tęsknot doby przedwojennej, które mi przesłaniały okrutną rzeczywistość barbarzyństwa, tkwiącego w aspiracjach tych społeczeństw. Nie doceniałem bolesnych i głębokich, acz mniej efektownych usiłowań mojej Litwy, którą przecież ukochałem najwięcej. Pamiętam, jak płytką i zgoła przepojoną subiektywizmem tych iluzji była moja diagnoza sytuacji w Litwie w jesieni roku 1918. Dopiero w głębokim ustroniu w roku 1919 do umysłu i serca mego świtać zaczęła prawda i głęboka treść syntezy litewskiej. Nie była to droga łatwa od tych iluzji podmiotowych i płytkich do wyczucia i poznania prawdy. Tylko przez moją miłość głęboką Litwy, przez intuicję moich ukochań dawnych odzyskałem utraconą busolę i nawróciłem do prawdziwego łożyska mojej własnej idei. Ale Ojczyzna dobra jest i słodka dla tych, którzy błądzili i wrócili do niej, bo ją kochali.

18 lutego, rok 1938, piątek

Stefan Kairys, jeden z najzacniejszych i najczystszych ludzi starszej generacji społeczeństwa litewskiego, długoletni wódz socjalnej demokracji litewskiej, jeden z tych, którzy w swoim czasie jako członkowie „Taryby" podpisali dziś już historyczny akt 16 lutego 1918 o Niepodległości Litwy i który zawsze był i pozostał niezłomnie wierny swoim ideałom społecznym, chociaż dziś już ten ruch polityczny, do którego on należał, został rozbity i organizacyjnie nie istnieje, powiedział mi pozawczoraj po uroczystym posiedzeniu akademickim w dniu 20-lecia Niepodległości (Kairys, jako docent prywatny na Wydziale Technicznym, należy do uniwersytetu i przeto był na tym posiedzeniu), że właściwie w rocznicę 20-lecia Niepodległości i wobec jeszcze nowego aktu konstytucyjnego, uchwalonego przez to zgromadzenie, które się dziś tytułuje Sejmem, chodzi nie u uczczenie aktu z dnia 16 lutego 1918, lecz raczej o jego pogrzeb i obchód żałobny. W akcie bowiem 16 lutego była mowa o Litwie Niepodległej, budowanej na zasadach demokratycznych, to znaczy Litwie wolnej nie tylko na zewnątrz, ale wolnej w organizacji życia i stosunków wewnętrznych, Litwie ludowej, podczas gdy to, co jest w Litwie obecnej, ma z tym, co tworzyć chciano i co

ogłoszono, bardzo mało wspólnego; Litwa stała się państwem „autorytarnym”, wydanym na żer kliki panującej, która rządzi krajem i urządza się w nim przede wszystkim sama pod firmą narodową... Że w tej uwadze Kairysa jest duże źródło prawdy – to fakt. Faktem jest przecież, że ewolucja w kierunku „autorytarnym”, w kierunku rządów brutalnych klik panujących, w kierunku bezwzględnego zapanowania tych, co sobie tytuły reprezentacyjne bez wielkich ceremonii przywłaszczyli i siebie z emanacją prawowitą narodu utożsamiają, jest prawie że powszechna w Europie. Kraje starej demokracji należą już tylko do wyjątków szczątkowych. Różnica pomiędzy krajami grawitującymi do „autorytaryzmu” jest tylko ta, że podczas gdy jedna – z Włochami Mussoliniego i Niemcami Hitlera na czele – doprowadziły tę ewolucje do logicznego końca z całą brutalnością bezwzględną, to inne jeszcze tej ewolucji nie dopowiedziały i błąkają się po rozdrożach, usiłując utrzymać pewne kompromisy mniej lub więcej pozorne lub mniej lub więcej istotne z pewnymi przeżytkami instytucji i nałogów demokratycznych. Litwa, nawet w tym ostatnim swoim akcie konstytucyjnym, jeszcze tendencji arbitralnych nie dopowiada, jeszcze się kompromisu trzyma i nawet czepia. Pod tym względem jest ona jeszcze znacznie bliższa demokracji, niż jej sąsiedzi – Łotwa i zwłaszcza Polska. I zdaje się, że jeszcze tego niedopowiedzenia pozostało w Litwie sporo i jeszcze go starczy na długo, przynajmniej dopóki starsze pokolenie rządzących nie ustąpi ze sceny. Gdy młodzi narodowcy zepchną wreszcie pokolenie starsze, to dopowiedzenie ewolucyjne może nastąpić szybciej, o ile tylko nie zaistnieją czynniki przeciwne. Obawiam się istotnie, że nie tylko co do Litwy, ale i co do większości innych krajów, które się trzymają niedopowiedzenia, w bliskiej przyszłości, o ile tylko coś szczególnego nie zajdzie, dopowiedzenie takie będzie musiało nastąpić, bo logika ludzka jest zawsze i wszędzie ta sama i że niepodobna zatrzymać pewną ewolucję w pół drogi wbrew jej logice – i że to dopowiedzenie będzie straszne, okrutne i barbarzyńskie. Wolałbym go już nie widzieć. Chociaż wierzę niezłomnie, że nie będzie ono wieczne i że po nim przyjdzie nawrót do tego, co jest w społeczności ludzkie i szlachetne. Ale co do Litwy jest jeszcze jedno zastrzeżenie szczególne, jedno wielkie „ale”.

19 lutego, rok 1938, sobota

Umarł śp. prałat Aleksander Dąbrowski, znany w literaturze pod popularnym pseudonimem Adama Jakštasa, profesor honorowy i doktor honorowy kilku wydziałów naszego uniwersytetu. Umarł ze starości, w wieku lat 78. Zmarły był postacią wybitną i charakterystyczną, a niewątpliwie zasłużoną. Był cichy, skupiony w sobie, bardzo pracowity, samotny, mało udzielający się i unikający wszelkiej ostentacji oraz ceremonii. Ale w przekonaniach swoich i pracy był twardy, nieugięty, nie wdający się w kompromisy. Był poetą, publicystą, matematykiem i filozofem, nieugiętym katolikiem i narodowcem, ale nie politykiem chrześcijańsko-demokratycznym. Pisywał jeszcze do „Aušry”, wydał wiele książek, napisał niezliczoną ilość artykułów, recenzji, krytyk. Przez wiele lat redagował i wydawał miesięcznik „Draugija”, który zwłaszcza przed wojną miał wpływ na ruch narodowy litewski i stanowił jedno z wybitniejszych wydawnictw periodycznych o poziomie kulturalnym i naukowym bądź co bądź wysokim.

Dąbrowski-Jakštas umierając zastrzegł się przeciwko wieńcom i mowom na pogrzebie jego. Gdyby nie to, wypadłoby mi wygłosić na pogrzebie jego mowę w imieniu uniwersytetu. Pogrzeb odbędzie się zapewne we wtorek. Schodzi z placu jedna z postaci charakterystycznych.

20 lutego, rok 1938, niedziela

Mówiąc pozawczoraj w dzienniku o trudnym losie demokracji w Litwie, zakończyłem zastrzeżeniem „ale”. Rzecznicy demokracji, dawni lewicowcy z obozu ludowego lub socjalistycznego, opłakują upadek demokracji i z bólem serca konstatują utrwalenie się i stopniowe rozpanoszenie rządów autokratycznych. Że taka jest linia, po której idzie ewolucja ustroju – to fakt. Ale szczerzy demokraci muszą mieć ból większy. Nawrót bowiem do form demokratycznych prowadziłby u nas do autokracji bodajże jeszcze gorszej, choć osłoniętej pozorami instytucji demokratycznych. To jest tragedią demokracji litewskiej. Pasożytem demokracji jest u nas

klerykalizm. Demokracja jest już, niestety, stara, dawno straciła ona swój gorący temperament ludowy i rewolucyjny. Jej instytucje są dawno oswojone i ci, przeciwko którym była ona niegdyś skierowana, dawno się nauczyli eksploatować te instytucje na swój użytek jak krowę dojną. Instytucje demokratyczne u nas – to woda na młyn spekulacji klerykalnej, która w rdzeniu swoim jest autokratyczna. Najkonsekwentniejszymi dziś u nas i najbardziej zdecydowanymi rzecznikami litery demokratycznej i jej instytucji – to są klerykali. Gdyby ta koteria wróciła do rządów, mielibyśmy zapanowanie klerykalne. To jest tragedią demokracji w Litwie.

Słyszałem dziś, że rząd zaniechał wydania ustawy o reklamacji na rzecz referendum konstytucyjnego. Zaniechanie to tłumaczone jest tym, że trudno było w terminie do 15 lutego ułożyć i przyjąć odpowiedni projekt ustawy, a teraz jest rzekomo już po czasie. Powiada się, że gdyby znalazły się czynniki, rozpoczynające akcję reklamacyjną, to rząd może tę akcję uregulować przepisami bez ustawy specjalnej. Oczywiście stało się tak jednak nie dla czego innego, jak dla tego, że w istocie czynniki rządowe nie życzą sobie tej reklamacji i boją się jej. Wydanie ustawy o reklamacji sprowokowałoby taką akcję. Tłumaczy się poufnie możnością wydania przepisów „o ile by zaszła potrzeba", ale w istocie liczy się na to, że taka „potrzeba" nie zajdzie, bo nikt w szerszych kołach o takiej ewentualności przepisów nie wie i trudno przeto lansować początek akcji reklamacyjnej. A o to właśnie rządowcom chodzi.

21 lutego, rok 1938, poniedziałek

Na eksportację zwłok śp. prałata Aleksandra Dąbrowskiego-Jakštasa do Bazyliki nie poszedłem. Prosiłem prorektora Purėnasa, żeby mnie zastąpił. Pójdę jutro na nabożeństwo żałobne w Bazylice i na pogrzeb. Zwłoki będą złożone na razie w krypcie Bazyliki, następnie pochowane na cmentarzu tejże. Zmarły był doktorem honorowym trzech wydziałów naszego Uniwersytetu – Teologiczno-Filozoficznego, Humanistycznego i Matematyczno-Przyrodniczego. Wydziały te zarządziły zawieszenie wykładów dziś i jutro.

22 lutego, rok 1938, wtorek

Byłem na nabożeństwie żałobnym za zmarłego prałata Aleksandra Dąbrowskiego-Jakštasa w Bazylice. Żadnych wieńców. Ale dużo delegacji stowarzyszeń społeczno-katolickich i młodzieży akademickiej ze sztandarami. Szkoły też w komplecie. Mów na pogrzebie nie będzie, ale kazanie, poświęcone pamięci zmarłego, było. Wygłosił je poeta ksiądz Vaitkus, człowiek młody, ale przyjaciel zmarłego starca. Nabożeństwo celebrował metropolita Skwirecki w asyście licznego duchowieństwa. Oprócz metropolity obecnych było trzech biskupów: arcybiskup Karewicz, biskup Matulaitis (czy Matulionis?) i biskup obrządku wschodniego Buršys, niegdyś rektor naszego uniwersytetu, w charakterystycznym stroju archijereja prawosławnego o długich włosach i brodzie. Potem o godzinie czwartej byłem znowu na pogrzebie. Zwłoki Dąbrowskiego-Jakšasa złożono do sklepu bocznego w Bazylice. Mów, zgodnie z wolą zmarłego, nie było. W osobie Dąbrowskiego-Jakštasa ubył człowiek wielkiej prawości i życia ascetycznego, człowiek pracy, woli i niezłomnej siły przekonań, twardy i silny. Poglądy miał zacofane, ale prawność miał i serce. Kiedyś miałem z nim starcie. Wystąpił on w roku 1907 w swoim piśmie „Draugija" z ostrą krytyką i napaścią na mnie za mój artykuł „Stosunki etnograficzno-kulturalne na Litwie", tropiąc w nim, nie wiadomo dlaczego, jakieś rzekomo tendencje polsko-antylitewskie, czego zgoła nie było. Sam się potem na mojej „Litwie" przekonał, że tak nie jest. Czy na starość pamiętał o tym swoim wypadzie na mnie – nie wiem.

Na obiedzie byłem dziś u Konstantego Raczkowskiego: byliśmy ja, burmistrz Merkys, poseł Borkowski i dyrektor Banku Litewskiego Zygmunt Starkus.

Wieczorem egzaminowałem parę studentów. W ich liczbie była też moja faworytka, milutka p. Zofia ze Skirgajłów Hermanowiczowa, pilna studentka, Polka, młodziutka ładna wdowa z dwojgiem dziatek, której mąż popełnił samobójstwo. Jest ona w tym roku mianowaną przeze mnie tzw. „seniunė" seminarium prawa konstytucyjnego i do niej należy też prowadzenie list kandydatów do

egzaminów. Okazało się, że należy ona do gatunku trapiacych się i zacinających nerwowo na egzaminie, co się często u studentek zdarza.

23 lutego, rok 1938, środa

Wieczorem byłem zaproszony do poselstwa sowieckiego na wieczór galowy z okazji jubileuszu 20-letniej rocznicy Czerwonej Armii. Było to wielkie przyjęcie na paręset co najmniej osób – wszakże tylko samych mężczyzn. Byli członkowie rządu, dygnitarze i dostojnicy państwa, wysokie sfery wojskowe, dużo dziennikarzy i literatów, sporo profesury. Jak zawsze na sowieckich przyjęciach, są też takie czynniki społeczne, które na innych wielkich przyjęciach publicznych nie bywają albo rzadko i tylko epizodycznie się pokazują: są to elementy lewicowe i Żydzi. W ogóle należy stwierdzić, że poselstwo sowieckie starannie dobiera na swe przyjęcia gości i dba o to, aby poziom kulturalny gości był wysoki; podkreśla przez to, że chodzi mu o kontakt nie tylko z patentowaną śmietanką rządową i towarzyską, ale także z tym, co w społeczeństwie jest wartościowe i żywe, choćby nie było patentowane. Na przyjęciu był już nowy poseł sowiecki, który dopiero od kilku dni objął te stanowisko, był naturalnie sekretarz poselstwa Pozdniakow, człowiek dosyć ruchliwy i miły, oraz *attaché* wojskowy sowiecki, od wielu lat już tutaj bawiący i obecnie awansowany na generała. Sowiety zyskują przyjaciół w Litwie. Do takich należy niewątpliwie Michał Ślażewicz, Ludwik Gira, obecnie wreszcie Janulaitis, który dawniej był wrogiem zajadłym Sowietów, ale teraz „nawrócił się" i podkreśla, że należy do zwolenników właśnie Stalina, nie zaś Trockiego z jego teorią „rewolucji permanentnej i powszechnej". Coraz bardziej się utrwala przekonanie, że Sowiety z ich Armią Czerwoną są bodaj jedynym, a w każdym razie najpoważniejszym efektywnym czynnikiem pokoju, trzymającym na wodzy militaryzm imperialistyczny. Przyjemnie spędziłem czas na tym przyjęciu, gdzie dokoła stołów, zastawionych doskonałymi trunkami i wyborowymi przekąskami, jakich nigdzie indziej nie ma, można krążyć i gawędzić z grupami ludzi, których się skądinąd rzadko spotyka, a którzy jednak są z tego lub innego względu ciekawi.

24 lutego, rok 1938, czwartek

Dzień dosyć pracowity. Rano – wykład, po obiedzie o godzinie czwartej uroczysty obchód 20-tej rocznicy Niepodległości Estonii, urządzony na uniwersytecie staraniem odpowiednich kół młodzieży akademickiej, od szóstej posiedzenie senatu akademickiego.

Zwyczajem ustalonym od lat kilku, rocznice niepodległości trzech państw bałtyckich są obchodzone we wszystkich trzech państwach; i mianowicie to państwo, które jest solenizantem, posyła na dzień swojej rocznicy swoich ministrów do dwóch państw pozostałych dla wzięcia udziału w ich obchodach tej uroczystości sąsiedzkiej. Na dziś do Litwy przyjechał z Tallina estoński minister oświaty. Obchód ten u nas składa się z dwóch elementów programu: posiedzenie na uniwersytecie i wielkie posiedzenie galowe wieczorem we frakach i orderach z przemówieniami ministra spraw zagranicznych i ministra gościa. Na posiedzeniu akademickim zagajałem ja, następnie przemawiał estoński *chargé d'affaires*, potem – studenci. Były naturalnie i delegacje korporacji ze sztandarami, i hymny narodowe oraz piosenki, wykonane przez chór akademicki. Po przerwie była jeszcze część koncertowa, na której występowali artyści i artystki estońscy. Na wieczornym posiedzeniu gala nie byłem obecny; uratował mię od tego senat.

Na posiedzeniu senatu akademickiego podjęta została bardzo słusznie myśl wystąpienia uniwersytetu naszego z protestem z powodu zamknięcia przez władze polskie wileńskie zasłużonego w dziejach odrodzenia narodowego litewskiego Litewskiego Towarzystwa Naukowego („Lietuvių Mokslo Draugija"), stworzonego niegdyś po rewolucji z roku 1905 przez dr Basanowicza. Towarzystwo to, stanowiące przedmiot szczególnego pietyzmu Litwinów, posiada wielkie i ciekawe zbiory i jest główną spuścizną po Basanowiczu. Zamknięcie go jest aktem barbarzyństwa i okrucieństwa. Senat wybrał komisję, złożoną z Janulaitisa, Žemaitisa i Michała Biržiški, dla zaprojektowania formy, w jakiej Uniwersytet Litewski wyrazi swój protest.

25 lutego, rok 1938, piątek

Dzień miałem spokojniejszy: tylko godzinkę pracy bieżącej w rektoracie i wieczorem wykład bieżący. Poza tym nic poza domem.

Napisałem do Andrzeja Mieczkowskiego; list ten wyślę do niego jutro przez Jadzię, która jedzie do Bohdaniszek na zapusty. Andrzej mię znowu prosił o radę, co ma robić: czy zostać w kraju i starać się o obywatelstwo, czy też emigrować do Polski i naturalnie zerwać z Litwą. Elwira i Helcia forsują to rozwiązanie drugie; są one zdecydowane kategorycznie i wszelkimi siłami wypychają Andrzeja; szczególnie Helcia, która jest zajadła i fanatyczna nacjonalistka polska i Litwy nienawidzi, a w Polsce widzi wszelkie doskonałości; w Litwie wszystko jest dla niej złe, a w Polsce wszystko dobre; wypiera ona Andrzeja do Polski i tam do wojska. Poza tym mają one z Elwirą wzgląd ten, że wyjazd Andrzeja do Polski zlikwiduje miłość Andrzeja do Stefci Lingisówny i jego niemiłe dla nich zamiary małżeńskie, uważane przez nie za klęskę dla Andrzeja i rodziny i niemal za hańbę zdrady narodowej, bo wszak Lingisówna jest Litwinką i poza tym chłopką, a jej siostra rodzona, Anna Nemeikšysowa, była zwyczajną służącą u Elwiry! A więc małżeństwo z Litwinką i „koligacja" chłopska! *Horrible dictus!* Wyjazd do Polski – to jeszcze to, że to droga najmniejszego oporu i wysiłku, bo Elwira zgodziłaby się na początek finansować Andrzeja. Skądinąd wszakże Andrzej nie chciałby zrywać z domem, z Bohdaniszkami, czuje też, że to mu utrudnia stosunek z Lingisówną, którą kocha i dla której ekspatriowanie się byłoby trudne, ma też pewne wątpliwości co do doskonałości warunków, jakie znalazłby w Polsce, a nie jest zupełnie przekonany o radykalnej niemożności urządzenia się materialnego w Litwie. Piszę mu, że radzić mu tego lub innego wyboru nie decyduję się, bo nie mogę brać na siebie odpowiedzialności i gwarancji za skutki tego, co bym radził. Zresztą względy podmiotowe odgrywają tu rolę większą od przedmiotowych, a tych podmiotowych oszacować i ważyć ściśle nie mogę. Decyzję powziąć musi Andrzej sam. Że może być ona trudna i że może zajść pomyłka – to pewne, ale przede wszystkim sam musi ustalić, czego chce i musi się oswoić z tym, że jest dorosłym i sam sobie musi życie układać, a nie być popychadłem lub manekinem, za którego inni myśleć będą i jego życie układać, dając mu rozwiązanie gotowe. Obie drogi, które ma do wyboru przed sobą – droga Litwy i droga Polski – nie są beznadziejne: na obydwóch utrzymać się można, jeżeli się człowiek wysiłku nie boi i zdecydowany jest wytrwać. Żadna z dwóch dróg nie jest rozpaczliwa. W razie wyboru Litwy trzeba przede wszystkim postarać się o odbycie służby wojskowej i wystaranie się o obywatelstwo litewskie, co zdaje się być możliwe, następnie zdobyć dyplom akademicki, to znaczy skończyć egzaminy na uniwersytecie, a tymczasem utrzymać się jakkolwiek pracą, jak się utrzymują jego koledzy – Zeman, Pauža i inni, którzy żadnych środków nie mają, a Zeman tak samo jak Andrzej i obywatelstwa nie ma... A przecież żyją i studiują, pracują, kształcą się i idą przez życie do celów swoich. A może mu i Diskin jakąś pracę stałą znajdzie gdzieś w instytucjach finansowych, w administracji przemysłu, w zakładach handlowych...

26 lutego, rok 1938, sobota

Wieczorem wyjechała do Bohdaniszek na kilka dni zapust Jadzia. Odprowadziłem ją na dworzec kolejowy, a przyszedł także odprowadzić Diskin. Wyjechała Jadźka w dobrym humorze.

Zgłosił się dziś do mnie do gabinetu rektorskiego prof. Prioult. Ponieważ w rozmowie z ministrem Tonkunasem Prioult usłyszał od ministra życzenie, aby były zorganizowane kursy kultury francuskiej, przeto prof. Prioult opracował program takich kursów ewentualnych. Program jest bardzo obszerny, obejmuje tak organizację społeczną, instytucje prawno-publiczne i konstytucyjne, jak gospodarstwo, sztukę, literaturę, technikę. Byłyby to kursy otwarte, w których braliby udział w charakterze prelegentów profesorowie różnych wydziałów i nawet specjaliści spoza uniwersytetu. Kursy takie byłyby rozłożone na cały rok akademicki, stanowiłyby cykl systematyczny. Byłyby one obowiązujące dla wszystkich studentów romanistów, a mogliby się też na nie zapisać studenci innych wydziałów i w charakterze hospitantów ludzie spoza uniwersytetu. Wykłady na kursach byłyby

prowadzone w języku bądź francuskim, bądź litewskim. Szkic organizacji takich kursów (program i zasad regulaminu) prof. Prioult zgłosił do Rady Wydziału Humanistycznego, która przyjęła tę inicjatywę bardzo przychylnie i wyłoniła komisję dla wystudiowania tej kwestii, a teraz przedstawił mnie i prosił mię o referowanie tej inicjatywy ministrowi Tonkunasowi.

27 lutego, rok 1938, niedziela

W ostatnich czasach, mając dużo roboty i późno kładąc się spać, zmęczyłem się. Potrzebowałbym wypoczynku. Nadarza się to właśnie przez to kilka dni zapust, które dla mnie karnawałem nie są. Ale to jeszcze nie dziś, bo dziś mam jeszcze wieczór studencki, na którym obiecałem być i nawet przemawiać. Ale będzie to już ostatni występ, poza którym mam cały tydzień wolny od wszelkich uroczystości i obowiązków, oprócz tylko godzinki codziennej na załatwianie spraw bieżących w rektoracie.

Dzisiejszy wieczór studencki – to wieczór redakcji pisemka akademickiego „Studentų Dienos", wcale dobrze redagowanego i zbliżonego do kół „ateitininków", to znaczy młodzieży katolickiej. Są dwa pisemka akademickie studentów – „Akademikas", wydawany przez narodowców, i „Studentų Dienos", wydawane przez młodzież katolicką o zabarwieniu demokratycznym. Pisemka oba są ilustrowane i konkurują ze sobą. Redagowane są oba starannie i na ogół są żywe. Ale „Akademikas" narodowców, jako zbliżony do obozu rządowego i czujący plecy polityczne za sobą, traktuje nieraz lekceważąco władze akademickie i profesurę uniwersytetu i na ogół hołduje zasadom *sui generis* faszyzmu. Na wieczór dzisiejszy złożyła się część koncertowo-literacka i bal. Dział koncertowy był translowany przez radio. Początek o dziewiątej wieczorem. Wieczór był w gmachu „ateitininków". Sala była udekorowana karykaturami akademickimi, a samo tło sceny było zajęte przez karykaturę moją, na której przedstawiony jestem czytający „Studentų Dienos". Na wstępie było moje krótkie przemówienie inauguracyjne, następnie chór „ateitininków" odśpiewał „Gaudeamus" i kilka piosnek litewskich, potem oktet „ateitininków" śpiewał piosnki satyryczne studenckie, wcale dowcipne, których tematem była głównie nędza materialna studentów i pieski-faworytki pań oraz różne bolączki życia studenckiego, wesołego pomimo wszystko. Potem śpiewał jeszcze chór męski korporacji oficerów rezerwy „Romuva". Dział koncertowy trwał godzinę. Następnie rozpoczął się na sali bal, nas zaś, gości honorowych ze mną na czele, zaprowadzono do osobnego pokoju na herbatkę czy kawę z likierem, ciastkami, owocami i sokiem owocowym. Wynudziłem się trochę na tej herbatce, ale wysiedzieć wypadło blisko do północy. Było tam kilku profesorów (obaj prorektorowie, dwaj dziekani wydziałów, kilka profesorów Wydziału Teologii, wybitniejsi studenci spośród „ateitininków", paru literatów itp.

28 lutego, rok 1938, poniedziałek

Miałem dzień cichy. Poza dom mało wychodziłem. Dużo słuchałem radia, pracowałem w domu przy biurku. Dziewczynki – Renia i Stenia, które przez czas nieobecności Jadzi są pod opieką naszej dobrej sługi Paulinki Nowickiej i pod moim dozorem zwierzchnika – są w dobrym humorze i na ogół grzeczne. Mają wakacje na zapusty i do gimnazjum teraz nie chodzą. Co dzień rano odbywają dużą wycieczkę, którą im Jadzia na każdy dzień wyznaczyła: wczoraj chodziły pieszo za Dolinę Mickiewicza do tego miejsca, gdzie zimą jest główny punkt saneczkowania w Kownie, dziś – na aerodrom. Wczoraj wieczorem wysłałem je z Paulinką do teatru na przedstawienie Szekspirowskiego „Króla Lira", z czego były bardzo ucieszone (a Paulinka była pierwszy raz w życiu w teatrze i wróciła zachwycona, jak wniebowzięta), dziś puściłem je z Paulinką do kina.

Stenia i Renia są to charaktery bardzo różne. Podoba mi się więcej Stenia; wcale nie dlatego, że jest mojej krwi jako wnuczka rodzona mojej siostry Maryni; jest to dziewczynka wartościowa, mająca bardzo dużo indywidualności, pogody i humoru, natura subtelna i artystyczna; ładna też będzie. Renia do nauki jest zdolniejsza, bardziej zakochana w sobie, ambitna, aby wszędzie i zawsze zwrócić na siebie uwagę, zazdrosna, ale daleko mniej indywidualna niż Stenia; przede wszystkim zwraca uwagę na to, co inni robią i myślą, co jest przyjęte i uświęcone modą i szablonem. Nie ma

ona ostoi we własnych przekonaniach i popędach, jeno się zawsze pnie do modelów przyjętych. Będzie to kobieta szablonu. Imponuje jej to, co jest w szkole, co mówią koleżanki, co się wbija dzieciom do głowy w przemówieniach i agitacji tych kół, które dziś rządzą. Krytycyzmu nie ma, choć jest nie głupia. Stenia – to śliczne dziecko, tylko trzeba jej było być w Polsce, nie w Litwie, bo tu matka, która ma na nią wielki wpływ, urabia ją w duchu niechętnym dla kraju i jego społeczności, sama będąc nasiąknięta małostkowym drobnoszlacheckim uprzedzeniem pochodzenia bobtowskiego do Litwinów.

1 marca, rok 1938, wtorek

Siedzę cicho w domu. Z dziewczynkami – Renią i Stenią – byłem w kawiarni „Monika". Lubią one taką wycieczkę. W domu egzaminowałem studentów. Stawały do egzaminu trzy studentki ekonomistki i jeden student. Choć się niewiele po tych studentkach spodziewałem, to jednak okazało się, że są starannie przygotowane: jedna zdała celująco, dwie – dobrze. Student zdał gorzej.

Z poczty otrzymałem list od Jadźki z Bohdaniszek. Pisze, że jednocześnie z nią przyjechał do Bohdaniszek jakiś kawaler, sprowadzony przez Marysię Stefanową Römerową, jej znajomy, zapewne w charakterze epuzera do Helci Mieczkowskiej. Marysia bowiem ma namiętności swatania Helci, z którą żyje w wielkiej przyjaźni. Podobno ten epuzer jest dość obskurny, z typu drobnoszlacheckiego, jak sama Marysia. Ale jest w Bohdaniszkach u Mieczkowskich niejaki Choromański (czy o podobnym nazwisku), młody człowiek, krewny Lisieckich z Opejkiszek, który ma prowadzić mleczarnię i pomagać w gospodarstwie, który, jak sądzę, jest upatrzony na kandydata do małżeństwa z Helcią. Jadzia pisze, że sprawia wrażenie dodatnie. Dziwnie (a może jest to właśnie znamienne), że Elwira w listach swoich nigdy mi nic o nim nie wspomina. „Na bezrybiu i rak ryba" – toteż myślę, że Helcia rychło się w tym młodzieńcu zakocha i że od jego dobrej woli czy tej kombinacji spekulacyjnej będzie zależało, czy się z nią ożeni czy nie. Jakem wspominał, posłałem przez Jadzię list do Andrzeja, ale z tym, żeby Jadzia dała mu ten list tylko do przeczytania i odebrała, nie zostawiając mu go, bo choć nie namawiam Andrzeja w liście tym do pozostania w Litwie, wskazując mu, że sam musi się decydować samodzielnie, jednak nie namawiam go też kategorycznie do wyjazdu do Polski, a to właśnie może być kamieniem obrazy Elwiry i zwłaszcza Helci, które chcą gwałtownie usunąć go z Litwy do Polski; toteż nie chcę, aby się ten list dostał do ich rąk, a w Bohdaniszkach korespondencja Andrzeja często kursuje po rękach niepowołanych. Wszakże Jadzia nie mogła doręczyć mego listu Andrzejowi, bo na cały tydzień zapust, ku największemu zgorszeniu Elwiry i Helci, wymaszerował on do swojej panny za Jużyntami, gdzie ona jest nauczycielką ludową.

Andrzej marnuje się w bezczynności w Bohdaniszkach, demoralizowany próżniactwem i atmosferą złości domowych oraz miłości niespełnionej i pozbawionej wyraźnych decyzji. Dziwnie jest on bezradny. Powzięcie decyzji takiej lub innej jest dlań konieczne, bo takie wegetowanie nędzne może być fatalne dla charakteru i nerwów. Musi albo wyjechać do Polski, albo zdecydować się na Litwę i w takim razie starać się o odbycie wojskowości, o poddaństwo, szukać pracy, kończyć uniwersytet... Jest młody, ma siły, ma zdolności i wstydzić się powinien swego niedołęstwa. Wskazałem mu na samego siebie. Ileż to razy w życiu decydowałem się na drogi o wiele trudniejsze, niż te, o których on ma decydować teraz i szedłem drogą obraną mocno. Szedłem i zawsze dochodziłem do czegoś. Zdecydowałem się niegdyś na studia w Paryżu, zdecydowałem się na moją książkę „Litwa", zdecydowałem się na wyjazd do Legionów na początku wojny, co było przedsięwzięciem w warunkach ówczesnych śmiesznym i niebezpiecznym, zdecydowałem się w roku 1917 na odmowę przysięgi niemieckiej, za co siadłem do obozu jeńców, zdecydowałem się na sądownictwo polskie, następnie na powrót do Litwy, wreszcie na profesurę. Były to zawsze decyzje radykalne.

2 marca, rok 1938, środa

Leży mi na sercu pewien niepokój. Chodzi o Jadzię; zawsze miała ona reguły miesięczne (w naszej gwarze poufnej nazywa się to, że jest ona „biedaczyńka") bardzo regularne; krótkie, nigdy nie

dłuższe nad dwa dni, ale ściśle się powtarzające co cztery tygodnie. Tym razem powinna była mieć reguły koło 22-23 lutego. Jednak nie miała ich do wyjazdu z Kowna, to znaczy do 26 lutego. Z Bohdaniszek mi pisze, że nie ma ich dotąd. Pisze, że się zaczyna niepokoić, że to jest może skutek roentgenizacji żołądka i kiszek, któremu się w początku lutego poddała. Może też być, że opóźnienie nastąpiło wskutek osłabienia z powodu diety dość ciężkiej, którą z rozkazu doktora stosuje od trzech tygodni; nie je mięsa ani nawet jaj, żywi się prawie wyłącznie jarzynami, masłem i pomarańczami; na żołądek to jej działa dobrze, ale osłabia; słyszałem, ze osłabienie organizmu kobiety zakłóca czasem prawidłowy periodyczny bieg reguł. Ale a nuż to jest symptom ciąży. Zupełnie wykluczone to nie jest. Od ostatnich reguł były dwa wypadki, które ewentualnie mogłyby mieć ten skutek. Co prawda, nie jest to zupełnie wyraźne i nie chcę się w te szczegóły wdawać. Jednak fakt jest, że nasienie męskie dotknęło w tym czasie dwukrotnie odpowiednich organów Jadzi, a z całą bezwzględnością zaręczyć, że zapłodnienie nie nastąpiło (*quand même*), nie można. To mię niepokoi. Właściwie mieć dziecko (zwłaszcza syna) byłoby moim życzeniem głębokim i szczerym. Ale nasz związek z Jadzią nie jest jeszcze formalnie zalegalizowany. Choć pewne przygotowania poczyniłem, ale jeszcze bynajmniej nie jestem pewny, że nie zajdą przeszkody bardzo istotne. W ogóle mógłbym tego dokonać w Kłajpedzie nie prędzej, niż za pięć miesięcy, bo trzeba żeby upłynęło sześć miesięcy od czasu zarejestrowania Jadzi jako rzekomo zamieszkałej w Kraju Kłajpedzkim (zarejestrowanie już dokonane przed miesiącem). Ale czy urząd małżeński cywilny w Kłajpedzie zgodzi się na udzielenie mi ślubu na zasadzie orzeczenia rozwodowego kalwińskiego, podczas gdy ja formalnie należę do Kościoła katolickiego (u nas, niestety, oddzielenia Kościoła od państwa nie ma), tego bynajmniej pewny nie jestem. Gdyby się okazało, że Jadzia w istocie jest w ciąży, musiałbym za wszelką cenę, choćby w drodze zmiany wyznania, ulegalizować nasz związek przez małżeństwo. Gdyby to była ciąża, to dla Jadzi byłoby to źródłem ciężkich niepokojów i przeżyć moralnych.

3 marca, rok 1938, czwartek

Šiling usunął się ze stanowiska prezesa Rady Stanu. Słusznie, bo zmarnował i zepsuł tę instytucję, która mogła być użyteczna. Od pewnego czasu zapowiadały to pogłoski (zresztą podobne pogłoski o ustąpieniu Šilinga bądź z Rady Stanu, bądź ze stanowiska ministra sprawiedliwości powtarzały się już wielokrotnie poprzednio, ale dotąd nigdy się nie sprawdzały), teraz zostało to już ogłoszone w pismach urzędowo. Czy Šiling sam zechciał ustąpić, czy go do tego skłoniono – nie wiem. Ale Rada Stanu, z której już dawno uciekły elementy zdolne do pracy twórczej (zaliczam do nich i siebie, także Ciplijewskiego, Zygmunta Starkusa), jest dziś w stanie takiej dezorganizacji, że następca Šilinga na tym stanowisku będzie miał duże trudności z uporządkowaniem tego spadku po nim. W obecnym składzie Rady Stanu są prawie wyłącznie rozbitki, którzy powypadali z innych stanowisk i których nie wiedziano gdzie podziać, a więc zepchnięto do tego archiwum gratów ludzkich (były burmistrz Jan Vileišis, najzacniejszy człowiek, ale niedołęga, były gubernator kłajpedzki Novakas, nie mający żadnych kwalifikacji do Rady Stanu, były prokurator i były sędzia Trybunału Byla, usunięty przez samego Šilinga z sądownictwa za pewne przemówienie z krytyką rządu, wygłoszone w Estonii, względnie znośniejszy od innego, były sędzia Pičilingis, były prokurator Trybunału Kalvaitis, wybitny specjalista prokuratury, ale człowiek już przestarzały, były minister „lewicowy” Papečkis, karierowicz, odpokutywujący swą ex-lewicowość i gorliwy prorządowiec, wiceprezes Rady Stanu Bolesław Masiulis, safanduła, człowiek absolutnie nie twórczy, którego jedyną kwalifikacją jest to, że jest dobrym znawcą języka litewskiego)... Wśród tzw. członków-współpracowników figuruję jeszcze formalnie ja, ale jako nieczynny ze względu na stanowisko rektorskie i nie pobierający żadnego wynagrodzenia, figuruje i Ciplijewski, który blisko od roku jest przykuty ciężką chorobą do łóżka, jest też prof. Jurgutis, specjalista rzeczowy w kwestiach finansowych, ale tylko doraźnie *ad hoc* czynny, a wśród referentów jedyny czynny i dzielny, wszędzie do wszystkiego zużytkowany w Radzie Stanu – jest mój asystent akademicki Konstanty Raczkowski. W Radzie Stanu nie miewają miejsca żadne posiedzenia plenarne, faktycznie nie działa żaden regulamin, nie ma żadnej stałej organizacji pracy, wszystko się odbywa tylko przez

zadanie pracy *ad hoc* przez Šlinga poszczególnym członkom lub grupom, funkcjonują i dłubią się *ad infinitum* pewne luźne komisje, większość członków albo wcale nie przychodzi do Rady, albo przychodzi, kiedy chce, pogawędzi, poplotkuje, czasem niby odbędzie jakieś posiedzeńko tej lub innej odwiecznej chronicznej „komisji" i na tym poprzestaje. Organizacji, powtarzam, nie ma żadnej. Od czasu tylko do czasu Šiling raptem co do jakiejś jednej kwestii lub projektu wpada w gorączkę, a wtedy robi się wielki ruch i jakaś *ad hoc* odnośna komisja, złożona zresztą nieraz z ludzi spoza Rady z małym dodatkiem z łona Rady, zaczyna pracować forsownie, prawie że literalnie dzień i noc, bez wytchnienia, aż do nie przytomności, podczas gdy cała Rada sobie po dawnemu śpi i chrapie... Są to stajnie Augiasza.

Jadźka wróciła wieczorem z Bohdaniszek. Reguł wciąż nie ma. W drodze powrotnej w wagonie doznawała nudzenia i miała wymioty. Mogą to być symptomy podejrzane, chociaż skądinąd w wagonie było bardzo ciasno i duszno, a Jadzia na ogół źle znosi podróże, więc może to było zjawisko bardzo zwykłe. Jadźka się jednak nie niepokoi wielce. Żartuje wesoło co do możliwości urodzenia synka lub córki, nie wierząc w taką możliwość i spodziewając się lada dzień reguł. Sam nie wiem, co o tym myśleć. I niepokoję się tym trochę, i w głębi serca chciałbym nawet, żeby się to stało, gdyby Pan Bóg dał. Oczywiście byłoby dużo kłopotów, zabiegów i komplikacji przykrych, ale... Nie, to chyba nie może być!

4 marca, rok 1938, piątek

Po mieście chodzą pogłoski, że na wakujące po ustąpieniu Šilinga stanowisko prezesa Rady Stanu mam być mianowany ja. Wspominał mi o tym prof. Krėvė-Mickiewicz, zapytywali dziennikarze. Żadnej wszakże propozycji w tym względzie z kół urzędowych nie otrzymałem. Być może, że w liczbie innych moja kandydatura była uwzględniana, ale dla wielu względów sądzę, że nie będzie ona utrzymana. Zresztą nie mam w tym kierunku aspiracji i bardzo wątpię, abym przyjął to stanowisko, gdyby mi je proponowano. Materialnie może by ono było dogodniejsze niż stanowisko rektora uniwersytetu (zwłaszcza ze względu na większą stałość stanowiska, albowiem kadencja mego rektoratu za półtora roku znowu się kończy, a nigdy nie można z góry wiedzieć, czy się będzie ponownie wybrany). Ale inne względy, które bardziej cenię, przemawiają przeciwko przyjęciu stanowiska tego (gdyby mi je zresztą w ogóle zaproponowano). Stanowisko rektora jest piękniejsze, szlachetniejsze i wolniejsze. Poza tym, Rada Stanu jest tak przez Šilinga zabagniona, że odrodzić i uzdrowić tę instytucje nie jest rzeczą łatwą, a skądinąd nie można zaręczyć, czy rząd, w którym dominuje tendencja autokratyczna, nie będzie chciał mieć w osobie prezesa Rady Stanu li tylko ślepego agenta i popychadło. Gdyby ewentualność zajęcia tego stanowiska stawała się realną, musiałbym dużo się zastanowić i wiele zastrzeżeń zgłosić oraz warunków postawić. Myślę, ze w ogóle nic z tego nie będzie.

Są też wieści o tym, że bawiący na urlopie wypoczynkowym za granicą prezes ministrów Tubelis ciężko zachorował i został gdzieś w Szwajcarii zalokowany do szpitalu. Tubelis jest w ogóle słabego zdrowia i cierpiący od dawna. Niektórzy obawiają się jego śmierci, a zresztą w ogóle nie wiadomo, czy będzie on w stanie nadal tak pracować na tym stanowisku odpowiedzialnym, nawet gdyby wyżył. Lekarze zawsze uważali, że praca ta jest ponad jego siły. W związku z pogorszeniem stanu zdrowia Tubelisa i przypuszczeniami o tym, że nie będzie już mógł pozostać premierem, w mieście omawiane są prognozy o ewentualnym zreformowaniu rządu. Zdaje się, że istotnie trudno będzie narodowcom znaleźć następcę dla Tubelisa, o ile on nie wróci. Wymieniają obecnego prezesa Sejmu i kontrolera państwowego Šakenisa albo obecnego wicepremiera i ministra komunikacji Staniszewskiego. Ale Šakenis – to człowiek bez głowy i bez charakteru; człowiek uczciwy i niezły, ale tchórz i człowiek bez decyzji; inteligencja uboga, mówca żaden. Podobno i w kołach urzędowych uważają go za niewłaściwego. Staniszewski byłby już przynajmniej wyraźniejszy i bardziej przedstawicielski. Ewentualnie z wodzów starszego pokolenia narodowców mógłby się bardziej nadawać Mironas, tylko że jest księdzem i przez czynniki kościelne duchowieństwa krajowego dość źle widzianym. Do żywszych elementów narodowców należy burmistrz i członek Sejmu Merkys, ale

koła rządowe i sam Smetona zapewne by się go obawiały, bo ma on zawsze swoje kombinacje własne i ambicję osobistą, która by go mogła popchnąć do odgrywania roli ściśle osobistej, ustanawiającej ewentualną konkurencję Smetonie. Nauczony doświadczeniem Voldemarasa, Smetona tego się boi, zdecydowany eliminować wszelkie awanturnictwo z rządu.

U Jadźki żadnej zmiany. Reguł wciąż nie ma, choć powiada, że czuje tak, jak żeby lada chwila mogły się objawić. Doświadczała dziś znowu nudzenia. Jest bardzo serdeczna. Jestem tym bardzo poruszony.

5 marca, rok 1938, sobota

U Jadzi tak samo. Reguł nie ma. Nie bardzo jeszcze wierzy w możliwość ciąży, ale zbytnio się tym nie niepokoi. W każdym razie, przyjmuje tę ewentualność bez rozpaczy, chociaż czasem się porusza, rozmyśla o tym, snuje marzenia, płacze; ale łatwo się wypogadza i bardzo jest wrażliwa na moją serdeczność. Co do mnie, to choć rozumiem wszystkie trudności, jakie mię w związku z tą ewentualnością ciąży Jadźki czekają, zwłaszcza ze względu na trudne komplikacje ulegalizowania naszego związku małżeńskiego, jednak przywiązuję się gorąco do tej myśli, która tak niespodziewanie zaświtała i zdaje mi się, że doznałbym bolesnego zawodu, gdyby oto nagle ta nadzieja upadła. A wszystko jeszcze możliwe. Żadnej pewności ani w jednym, ani w drugim kierunku nie ma. Niech się stanie wola Boska, jak natura kwestię rozstrzygnie.

Marzę, marzę o dziecku. Gdybyż to jednak było prawdą. Dziwny przewrót dokonał się we mnie przez te kilka dni pod wpływem tej myśli. Czuję, jakby życie moje stało się pełniejsze i osobowość moja bardziej ważka. I kocham Jadzię jako ewentualną matkę naszego dziecka, inaczej trochę i głębiej, niż dotąd, choć przecie kochałem ją i byłem do niej bardzo przywiązany i wdzięczny zawsze. I jakże mógłbym jej nie cenić ponad życie i ponad wszelkie konwenanse oraz uprzedzenie rodziny mojej, kiedy jest ona jedyną, która mi może jeszcze dać syna. A niechby nawet córkę, bo to będzie przecież córka realna, nie taka legendarna, jak moja Celina. I w istocie rzeczy urodzenie dziecka, gdyby ono miało nastąpić, nie utrudni mi, lecz ułatwi, zracjonalizuje i da zupełnie realną podstawę wszelkim kombinacjom na zalegalizowanie małżeństwa.

Jadzia spodziewa się, że o ile zaszła w ciążę, to będzie właśnie syn, Michaś, a nie córka. Bo tego dnia, kiedy się to stało po obiedzie, mniej więcej koło 7 lutego (daty nie zanotowałem, bo nie myślałem poważnie o możliwych konsekwencjach po 17 leciech związku), Jadzia spojrzała na synka Diskina, który do nas z synkiem przyszedł i poczuła w sobie nagle jakieś gorąco, że oto i ona mogłaby takiegoż chłopca mieć. Różne ma Jadzia przesądy i przeczucia, które jej zapowiadają chłopca. Jeżeli dziecko będzie, to powinno być zdrowe i mocne, bo akt był gorący, mocny i pełny, a nasienie weszło głęboko i szybko, że aż go Jadzia na razie nie spostrzegła. Wyczuła je potem, ale coś z niego mogło zostać i trafić, gdzie trzeba.

Jeżeli wnioski nie zawiodą, to napiszę kiedyś, jak to było. Był to piorun. Przez wiele lat mieliśmy stosunki, ale tylko powierzchownie i Jadzia zachowywała formalną dziewiczość. W ostatnich latach ekspansja nasienia męskiego prawie że się wyczerpała u mnie. Akty były bezpłodne, ale przez to mniej przestrzegaliśmy pogwałcenia dziewiczości. I dotąd oboje nie wiemy, czy dziewiczość Jadzi została całkowicie złamana, ale sądzę, że jest co najmniej nadwerężona. Przez cały rok 1937 nasienie męskie w akcie naszym nie wyszło ani razu. A tego dnia 7 lutego po obiedzie stało się to jakoś samo przez się, równo i mocno, bez żadnego zapobiegania i zaszło głęboko, a w parę dni się znów powtórzyło.

6 marca, rok 1938, niedziela

Jadzia wyliczyła, że normalnie powinna byłaby mieć następne reguły miesięczne 17-19 marca. To znaczy od ostatnich, styczniowych, które miała, jeden raz, w lutym, ich nie miała, a teraz na datę wyżej wskazaną przyjdzie już termin drugi. Jadzia sądzi, że nawet jednorazowe zakłócenie następnych terminów regularnych nie zmienia, dlatego też datę 17-19 marca uważa za próbną. Czy tak jest, nie wiem; nie znam się na tym. Ja bym myślał, że gdy raz w terminie regularnym reguły się

nie objawiły, to, o ile nie zachodzi ciąża i o ile to było tylko jakieś zakłócenie inne, to następne reguły okażą się niekoniecznie w trybie periodycznym dawnym. Ale mniejsza o to. Tak czy inaczej, na razie jeszcze będziemy czekali. Jeżeli do 20 marca reguły się nie objawią, to po 20 marca (to znaczy po opuszczeniu dwóch terminów miesięcznych, licząc od ostatnich reguł w styczniu) Jadzia zwróci się do ginekologa.

I cieszę się, i niepokoję, i wątpię, i wierzę. Czasem myślę, że to niepodobne, że to tylko jakiś sen koszmarny, że to coś nierealnego, że to tylko bajka, z której człowiek trzeźwy by się uśmiał, że oto człowiekowi na starość zechciało się dziecka i marzy o nim jak młodzieniec po ślubie. Ale skądinąd chcę wierzyć i tęsknię do tego, aby to było prawdą. Będzie, jak Pan Bóg da, jak natura zdziałała. Ten rok 1938 może będzie dla mnie bajecznym, który odmieni dzieje mojej starości. W dniu 31 grudnia, w wigilię obecnego nowego roku, wyraziłem w dzienniku życzenie, żeby mi ten rok dał syna. Życzenie takie od dawno tkwiło w sercu moim, ale go nie wyrażałem w dzienniku, zdaje się, nigdy. Czyżby to były czary i czyżby życzenie wyrażone tak rychło i niespodziewanie się spełniło! Jadzia jednak twierdzi, że o ile jest to ciąża, to będzie na pewno syn, bo takie ma przeczucie. Jeżeliby był syn, to musiałbym go naturalnie nazwać Michałem, bo byłbym piątym z kolei Michałem w linii prostej; ale drugie imię dałbym mu Filip, bo zaistniałby tak, jak „Filip z konopi".

7 marca, rok 1938, poniedziałek

Myśl o ewentualnej i coraz bardziej domniemanej ciąży Jadzi dominuje mię zupełnie. Wprawdzie robię wszystko, co do mnie należy, jednak umysł mój i serce są pełne tej myśli. Stało się to (jeżeli się stało) tak nagle i niespodziewanie, że trudno się z tym oswoić i ochłonąć. Naturalnie, że pełno mam przed sobą z tego względu ciężarów i czasem może bolesnych przykrości, ale też wielkie źródło radości, które jest trwalsze od przemijających przykrości.

Trzeba brać się realnie do tej trudnej, a dla mnie wielkiej rzeczy. Plan ogólnikowo ułożyliśmy taki. W przyszłym tygodniu Jadzia uda się do ginekologa, o ile przez ten czas naturalnie nie objawią się reguły. Po stwierdzeniu przez ginekologa ciąży udam się zaraz (zapewne na sobotę przyszłą) do Kłajpedy, żeby tam zbadać osobiście i bezpośrednio i zupełnie ściśle na 100 procent, czy mogę tam otrzymać ślub cywilny, pozostając katolikiem albo zmieniając wyznanie na kalwińskie, i czy można to uskutecznić po sześciu tygodniach od daty zameldowania Jadzi w Kraju Kłajpedzkim, czy też trzeba wyczekać niezbędnie termin sześciomiesięczny od zameldowania, co uczyniłoby ten ślub cywilny prawie niewykonalnym, bo to już by było za późno. Wobec ciąży zwlekać ze ślubem niepodobna. Po powrocie z Kłajpedy, o ile zajdzie potrzeba (a zajdzie prawie na pewno), zajmę się kategorycznie zmianą wyznania dla zostania formalnie kalwinem, co w obecnych warunkach staje się już konieczne. Jako kalwin – mam rozwód w kieszeni, bo wyrok rozwodowy kalwiński datuje się z roku 1932. Wtedy więc mogę zawierać małżeństwo z Jadzią, bądź kalwińskie kościelne, bądź cywilne w Kłajpedzie. Wolałbym to drugie, ale prawdopodobny długi termin dla tego aktu uczyni go w obecnych warunkach niemożliwym i zmusi do wyboru ślubu kościelnego.

Cieszy mię to, że Jadzia jest spokojna i bardzo równa. Obawiałem się wielkiego jej przygnębienia i rozpaczy.

8 marca, rok 1938, wtorek

Wczoraj pod wieczór, gdym poszedł na wykład, Jadzia bez mojej wiedzy pobiegła do doktorki, specjalistki chorób kobiecych i zapewne ginekologii (nazwiska nie pamiętam), którą już znała, bo raz już ją do niej był skierował dr Ławrynowicz kiedyś. Jadzia, choć na ogół znosi swój stan z rezygnacją i spokojem, nawet z pogodą, nie rozpacza, jak się tego obawiałem dla niej, nie gryzie się właściwie, jednak oczywiście ciągle myśli o tym, zatapia się w tych myślach i czasem musi ją ogarniać niepokój i różne wątpliwości oraz wstyd na myśl o tym, jak będzie grubiała i co przejść będzie musiała, mimo że ma zupełne zaufanie do mnie i że nie wątpi, iż zrobię wszystko, aby zawczasu i ile możności prędzej nasz związek uprawnić przez małżeństwo i dać podstawę legalną jej

ciąży i domniemanemu dziecku naszemu. Naturalnie chce wiedzieć coś pewniejszego o swoim stanie, a doktorki kobiety mniej się wstydzi, niż ginekologów prof. dr Mažylisa czy dr Lewitana, do jednego z których chcę ją ewentualnie w przyszłym tygodniu zaprowadzić. Toteż nic mnie nie mówiąc wymknęła się na własną rękę cichaczem do tej doktorki. Dziś mi się przyznała, że u niej była. Oczywiście nic w tym złego nie ma. Otóż doktorka ta zbadała Jadzię, wyruszała jej macicę, stwierdziła, że błona dziewicza Jadzi istotnie jest przebita (sądzę, że to nastąpiło stopniowo i dużo wcześniej, bo dawno już to przypuszczałem, choć zawsze starałem się w akcie zachować ostrożność i nie doprowadzać organu męskiego do samej głębi, ale już przeszło od roku, mianowicie od jesieni r. 1936 aż do 7 lutego roku bieżącego, nie było w naszych aktach kontaktu nasienia męskiego z organami płciowymi Jadzi, więc nawet ewentualne uszkodzenie błony nie miało skutków, dopóki wreszcie w dniu 7 lutego po obiedzie *ex promptu* akt ten się dokonał i zapłodnił Jadzię). Doktorka wypytała też Jadzię o regułach, o symptomach i wywnioskowała, że 99% szans jest za tym, że Jadzia istotnie zaszła w ciążę. Doktorka też wypowiedziała przypuszczenie, że tydzień obecny będzie decydujący i że za jakichś dni dziesięć będzie można wiedzieć dokładnie. Jadzia i ja już prawie nie wątpimy. Jadzia większą część dnia spędza na swojej sofie w pokoju sypialnym, na tej samej, na której się dokonał fakt z dnia 7 lutego, robi robótkę z nogami podwiniętymi pod siebie, zatapia się w tych myślach i marzy. Marzycielką samotną była zawsze i jest moja Jadźka droga. Trochę chodzi na spacer, idzie na miasto za interesami, ale większą część dnia spędza w domu na swojej kanapie. Naturalnie też, że trochę zagląda do dziewczynek – Steni i Reni – musztruje je, dyryguje domem, jak zwykle, ale najwięcej siedzi i marzy. Lubi, gdy ja jestem w domu i pracuję w moim gabinecie obok jej pokoju. Nie wymaga ona zabiegów z mojej strony, zadawala się i cieszy moją serdecznością, na którą jest bardzo wrażliwa, i mowy, przywykła do tego, że ja zawsze pracuję. Dobrze mi jest z nią, jest ona jak stworzona dla mnie. Głęboka to natura i bardzo wdzięczne stworzenie. Niech ją Bóg ma w swojej opiece.

9 marca, rok 1938, środa

Nic się nie zmieniło. Obawiam się o siły Jadzi. Nie ma ona zupełnie apetytu; je bardzo mało; ma też kaprysy w jedzeniu, coś się jej zachciewa, ale nie na długo; do wielu potraw i artykułów spożywczych ma wstręt.

10 marca, rok 1938, czwartek

Na uniwersytecie znalazło się źródło nowych i przykrych incydentów. Tym źródłem stały się wybory do przedstawicielstwa akademickiego studentów, wyznaczone na dziś i na jutro. Już przed kilku laty to przedstawicielstwo studenckie, które mieliśmy od roku bodaj 1924, rozprzęgło się przez bojkot studentów narodowców. Nowy statut uniwersytecki je wskrzesił i dał mu podstawę legalną ustawową i jednocześnie podstawę finansową, pozwalając opodatkować na jego rzecz ogół studentów. Chodziło jeszcze o ustalenie metody wyborów przedstawicielstwa. Nasi demokraci starego autoramentu, do których też należy prorektor do spraw studenckich Purėnas, są ślepo i dogmatycznie przywiązani do klasycznej czteroprzymiotnikowej formuły demokratycznej wyborów (indywidualne głosowanie powszechne, równe, bezpośrednie i tajne) z modnym w socjodemokracjach wschodnioeuropejskich systemem przedstawicielstwa proporcjonalnego. Można się spierać co do zalet lub przywar tej metody organizacyjnej przedstawicielstwa, która wszakże dla demokratów czy raczej dewotów szablonu demokratycznego u nas, nie prawników i nie socjologów, jest alfą i omegą dogmatu doskonałości. Ale nawet uznając tę metodę za najlepszą, można stwierdzić, że nadając się do przedstawicielstwa politycznego, w którym chodzi o funkcje władzy, o imperium, nie jest ono koniecznie wskazane dla wszelkiego innego przedstawicielstwa, którego funkcje są nie polityczne i nie władcze. W życiu studenckiej społeczności akademickiej, która jest zróżniczkowana organizacyjnie, dla przedstawicielstwa takiego, moim zdaniem, byłaby właściwsza metoda delegowania mandatów przez stowarzyszenie akademickie albo przedstawicielstwa wydziałów i semestrów jako pewnych jednostek zbiorowych. W ostateczności mogłaby być wybrana metoda

wyborów semestralno-dwustopniowych, którą zalecał sekretarz Wydziału Prawniczego Antoni Tamošaitis i która została przyjęta dla Akademickiej Kasy Chorych; jest ona taka: każdy semestr na każdym wydziale ma swego „seniunasa", którego wybiera semestr na ogólnym zebraniu pod pośrednictwem sekretarza wydziału; otóż posłów do przedstawicielstwa ogólnostudenckiego mogłoby wybierać ogólne zgromadzenie „seniunasów". Nie byłoby demagogii, walki partyjnej, nieładu i roznamiętnienia w rozpolitykowaniu i rozwydrzeniu wszelkich instynktów, w których liczbie zawsze się, niestety, ujawniają i instynkty chuligańskie wszelkich „fobii". Ale zwyciężyła metoda szablonu demokratycznego, rozwijająca politykomanię. W senacie akademickim dominują jej zwolennicy, a prorektor Purėnas, namiętnie tej zasadzie oddany, zdołał nakłonić do niej wszystkie większe organizacje studenckie, z których delegowanych przedstawicieli było pod jego przewodnictwem utworzona komisja tymczasowa. Wobec tego, że na tym stanął kompromis – tę metodę wyborów zatwierdził też minister Tonkunas.

11 marca, rok 1938, piątek

Jeszcze o tych wyborach przedstawicielstwa studenckiego, które się toczyły wczoraj i dziś. Komisja wyborcza, złożona z przedstawicieli większych organizacji studenckich litewskich pod przewodnictwem prorektora Purėnasa, pracowała dobrze bez żadnych zgrzytów i rozdźwięków ideowych – narodowcy, chrześcijańscy demokraci i ludowcy. Toteż prorektorowi nie przyszło do głowy, że mogą być jakieś zajścia przy głosowaniu. Można było zarządzić środki ostrożności, zapobiegające zajściom, izolując głosujących od tłumu. Tego nie uczyniono. Można było zarządzić głosowanie wydziałami i semestrami w różnych lokalach i porach, nie dopuszczając żadnej „publiczności" i ustawiając zgłaszających się do głosowania w ogonku dyscyplinowanym. Gdy się rozpoczęło wczoraj głosowanie, korytarze zapełniły się gęstym tłumem widzów i ciekawych, żądnych sensacji i widowisk. Głosujący musieli się przez ten tłum przeciskać do audytorium, w którym odbywało się głosowanie. W tłumie widzów znaleźli się zaraz kawalarze, błazny, chuligani, może nawet prowokatorzy, którzy się uczepili Żydów, bo do tych jest najłatwiej się czepiać i ich odróżnić. Zaczęto Żydów, idących do głosowania, szykanować, zaczepiać, szturchać, wyśmiewać, obrażać, zagradzać im drogę. Posypały się żarty, wyzwiska, wycieczki chuligańskie. Dyżurujący członkowie profesury interweniowali, ale z tłumem poradzić niełatwo i sprawców zajścia tłum chowa i niweluje; Żydzi studenci się skarżyli, po mieście rozniosły się wieści o wybrykach antyżydowskich na uniwersytecie, wybory toczyły się w atmosferze bajzlowej na korytarzu, mimo że w samym lokalu głosowania był porządek. Ale żeby się do lokalu dostać, trzeba było przejść przez czyściec tłumu rozpasanego i bezkarnego. Dziś to już nieco uporządkowano, przerwano wykłady, do gmachu wpuszczano tylko głosujących. Ale tłum chuliganów gromadził się przed gmachem na ulicy i zaczepiał oraz maltretował idących do głosowania studentów Żydów. Na ulicy władza akademicka nie funkcjonuje. Policja na razie była bierna, potem wszakże interweniowała i tłum oraz gapiów z ulicy rozpędziła. Wszakże gromadki gapiów i chuliganów, studentów i nie studentów zgromadziły się w dziedzińcu uniwersyteckim, do którego policja nie wkraczała jako na teren akademicki i tam w dziedzińcu te gromadki zaczepiały nadal i maltretowały Żydów, wychodzących po oddaniu głosu tamtędy. Żydzi przebiegli na skargę do mnie. Udałem się na miejsce, wypędziłem osobiście wszystkich z dziedzińca i postawiłem u wrót stróża, żeby nikogo na dziedziniec nie wpuszczał. Dalej już zajść, zdaje się, nie było, ale bądź co bądź kompromitacja już była, atmosfera antysemityzmu się wytworzyła, a sensacja i pogłoska jeszcze bardziej rozdmuchały zajście.

12 marca, rok 1938, sobota

W kwestii stanu Jadzi wszystko jest po dawnemu. Ta rzecz ciągle mię porusza i jestem pod jej stałym wrażeniem. Zaprząta mi ona umysł i serce. Moje decyzje są już zresztą dawno powzięte i niewzruszone. Rozpocznę ich wykonywanie od jazdy w końcu przyszłego tygodnia do Kłajpedy. Dalej już wykonanie ustalę ostatecznie i spełnię ile można najprędzej. Chodzi jeszcze tylko o pewność co do poważnego stanu Jadzi. W przyszłym tygodniu – w poniedziałek czy wtorek – Jadźka

znowu jeszcze się zwróci do doktorki, która dokona próby na białych myszkach, ustalającej podobno kategorycznie kwestię ciąży kobiety w początkowych stadiach tejże. Ale choć mię ta sprawa porusza – świat się na niej nie kończy i wypadki się na nią nie oglądają, toteż do nich przechodzę. Nie o wyborach do przedstawicielstwa studenckiego i nie o dorocznej uroczystości korporacji „Fraternitas Juvenum", na której dziś wieczorem wraz z ministrem Lozoraitisem i prorektorem Jodelė byłem (jesteśmy filistrami honorowymi tej korporacji), chcę pisać, choćby się o tych rzeczach w innym czasie też coś jeszcze powiedzieć dało, ale o fakcie znaczenia światowego: niepodległość Austrii została zlikwidowana w ciągu kilku godzin. Austria jest we władzy Hitlera. Tragedia Austrii, usiłującej ratować swoją niepodległość, rozegrała się wczoraj w ciągu trzech godzin. Dzieło Dollfussa, kontynuowane przez lat kilka przez Schuschnigga – obalone. Ustępstwo Schuschnigga wobec Hitlera, które się wyraziło w zalegalizowaniu ruchu nacjonalistycznego w Austrii i w dopuszczeniu do rządu lidera nacjonalsocjalistów austriackich Seyss-Inquarta na stanowisko ministra spraw wewnętrznych, nie dało żadnego rezultatu. Był to akt rozpaczy Schuschnigga, akt odwleczenia katastrofy, który uczynił sytuację groźną. Anglia pozostała bierna, w Austrii zawrzało. Z jednej strony rozpętał się ruch agresywny nacjonalsocjalistów Austrii, z drugiej poruszyły się i skupiać zaczęły pod hasłem konsolidacji, niepodległości i poparcia Schuschnigga wszystkie elementy niepodległościowe austriackie włącznie do socjalistycznych. Schuschnigg wystąpił z deklaracją niepodległościową, hitlerowcy uderzyli w agitację, rozpoczęły się zajścia, bójki, chaos. Nim się czynniki niepodległościowe, starsze, zróżniczkowane, bierniejsze, stopiły i zorganizowały, czynniki nacjów, młodsze, agresywne, bezwzględne, rozbiły wszelką akcję konsolidacyjną. Schushnigg proklamował plebiscyt na rzecz zagadnienia niepodległości Austrii, ale Hitler nie dał chwili wytchnienia i namysłu. W ciągu trzech godzin wczoraj skierował jeden po drugim trzy ultimata do rządu Schuschnigga, żądając odwołania plebiscytu i dymisji Schuschnigga. Na odwołanie plebiscytu Schuschnigg, zagrożony inwazją i nie mający poparcia czynnego i natychmiastowego od mocarstw Zachodu, zgodził się, na ustąpienie wszakże nie zgodził się. Wtedy Seyss-Inquart dokonał zamachu stanu, proklamował swą władzę i zwrócił się do Hitlera o pomoc. Schuschnigg uciekł, Wiedeń jest we władzy nacjonalsocjalistów, granicę austro-niemiecką otwarto, wojska niemieckie idą na Wiedeń, Hitler osobiście udał się do Wiednia aeroplanem dla dysponowania losem Austrii. Austrii nie ma. Przychodzi kolej na Czechosłowację, której sytuacja staje się tragiczna. Teraz jestem pewny, że doczekam jeszcze wypadków katastroficznych w Europie nie tylko Środkowej, ale i Wschodniej. Po Austrii przyjdzie kolej na Czechosłowację. Nie będzie to tak łatwo, jak z Austrią, ale metody się znajdą. Logika polityki Hitlera jest nieubłagana. Po Czechosłowacji kolej Kłajpedy, potem korytarza polskiego, potem Alzacji...

13 marca, rok 1938, niedziela

Z Austrią już właściwie skończono. Prezydent Austrii Miklas z rozkazu Hitlera podał się do dymisji, uformowany został rząd nacjonalsocjalistyczny z Seyss-Inquartem jako kanclerzem na czele, ale właściwym dyktatorem jest Hitler, który już proklamował wcielenie Austrii do Niemiec i wcielenie wojsk austriackich do armii niemieckiej. Żadnego sprzeciwu, żadnego odruchu nie ma. Nacjonalsocjaliści są panami sytuacji. Gzie się podział ex-kanclerz Schuschnigg, ostatni rycerz idei Dollfussa, który przed czterema laty usiłował jeszcze wygrać na rzecz ratowania niepodległości Austrii dwa ostatnie największe atuty – ideę dynastyczną i katolicyzm – nie wiadomo: podobno schronił się do Czechosłowacji. Schuschnigg w przeddzień katastrofy próbował się odwołać jeszcze do ostatniego atutu, który był usunięty przez atuty Dollfussowskie katolicyzmu i tradycji dynastycznej, a który też był czynnikiem w grze przeciwko agresji Hitlera: zawarł sojusz z socjalną demokracją, która miała poprzeć jego zarządzenie plebiscytowe. Gdyby plebiscyt ten był doszedł do skutku – dałby on zapewne zwycięstwo zasadzie niepodległości. Schuschnigg był o tym przekonany. Ale Hitler właśnie nie miał tego: sojusz z socjaldemokracją przesądził decyzje Hitlera. Posypały się ultimata, przewrót, wkroczenie wojsk niemieckich, katastrofa. Wszystkie czynniki niepodległościowe, sterroryzowane, znikły, jakby ich kto wymiótł. Hitler, który aeroplanem wyleciał

z Niemiec do Austrii, zatrzymał się jednak nie w Wiedniu, lecz w Linzu i stamtąd dyktował. Dziś Austria leży u stóp jego. Orgia szału triumfalnego nacjonalistów jest zupełna. Niemcy uczyniły kapitalny krok na rzecz tworzenia Imperium Środkowoeuropejskiego. Kto się tam mógł oprzeć? Demokracja zachodnia (Francja-Anglia), zachowująca jeszcze fikcje cienia Ligi Narodów, która się już rozłazi i traci grunt pod nogami. Rycerze agresji – Japonia, Niemcy i Włochy – są już dawno poza Ligą Narodów i z nią się nie liczą. Francja i Anglia zgłosiły przez swoich posłów w Berlinie protesty przeciwko pogwałceniom traktatów i pochłonięciu w ciągu kilku godzin jednego państwa niepodległego przez inne. Z protestami papierowymi Hitler się nie liczy, a na inne te państwa zdobyć się nie mogą. Anglia wojny nie chce, Anglia zwleka i orientuje się, ma czas, sprawy europejskie lądowe są dla niej preludium, które jeszcze jej panowaniu na morzu nie grozi. Z Włochami Niemcy by się bardziej liczyły. Niejeden też zapytywał, co powiedzą Włochy, czy nie dostrzegą one w zaborze Austrii niebezpieczeństwa ekspansji na Bałkany i zwłaszcza na Adriaty? Faktem już się stało, że dziś Włochy i Niemcy są czynnikami bardziej ważkimi politycznie, niż Liga Narodów. Ale Mussolini dał swoje uznanie nowemu aktowi agresji Hitlera i Wielka Rada Faszystów zaakceptowała opinię Mussoliniego, któremu Hitler z Linzu wystosował lakoniczną depeszę dziękczynną: „Tego Panu nie zapomnę”.

14 marca, rok 1938, poniedziałek

W kwestii stanu Jadzi nic nowego. Jutro zaniesie ona do doktorki urynę dla dokonania próby na białych myszkach dla diagnozy ewentualnej ciąży. Jadzia bardzo ucichła, straciła energię, niezmiernie dużo śpi. Połowę dnia śpi albo drzemie na swojej sofie w pokoju sypialnym. Humor ma zresztą niezły, nie tylko się nie boi, ale nawet pragnie potwierdzenia ciąży, trochę ją męczy właśnie brak pewności pod tym względem. Chciałbym już wiedzieć dokładnie i ja. Kaprysów humoru, podrażnienia, złośliwych dni, które się u Jadźki zdarzały czasem poprzednio, obecnie nie ma wcale. Jest równa, cichutka, skupiona w sobie. Dużo marzy i zatapia się w swych myślach. Dziwne, że piersi jej mocno nabrzękły, stały się bardzo sprężyste, podniosły się. Apetytu nie ma. Jeżeli to nie ciąża – to chyba jest mocno chora. Wygląda mizernie i stan jest w każdym razie niezwykły.

Wybory do przedstawicielstwa studenckiego zakończone i głosy obliczone. Największą ilość głosów otrzymała, jak się należało spodziewać, lista „ateitininków”, to znaczy młodzieży katolickiej. Z tej listy wybranych zostało pięciu. Z listy „Neo-Lithuanów” – dwóch i jedna z listy pokrewnej „Filiae Lithuaniae” (patentowani narodowcy). Z list zbliżonych do narodowców wybranych zostało: trzech z listy „Samburio” (jest to związek konfederacyjny kilku korporacji bezpartyjnych, ale na ogół prawicowych o zabarwieniu narodowym), jeden z listy skautów, jeden z listy „Šaulysów”. Z listy bezpartyjnej korporacji oficerów rezerwy – jeden. Z listy ludowców „varpininków” – jeden. Z listy lewicowej studentów niezorganizowanych (właściwie zespół grup socjalistycznych) – jeden. Z listy żydowskiej – dwóch. Ogółem 18 członków przedstawicielstwa studenckiego. Na ogół zespół bardzo pstry pod względem kierunków. Żeby to przedstawicielstwo było bardzo spoiste – nie sądzę. Kto wie, czy to się nie rozsypie. Ale może się już nie zdąży rozsypać, bo semestr ma się ku schyłkowi, a w jesieni będą nowe wybory.

Wypadki w Austrii niezmiernie zaostrzyły sytuację w Europie. Wszyscy czują, że to już nie przelewki. Duel[7] brutalny agresji, gwałtu, bandytyzmu, samowoli – zyskał ogromną podnietę. Europa jest podminowana. Psychologicznie ten nowy sukces jaskrawy Hitlera zrobił więcej, niż cokolwiek bądź dotąd. Jest to cios już nie tylko Lidze Narodów, która ledwie zipie i kończy się rozsypywać, i nie tylko całej konstrukcji pokoju i prawa, tworzonej po Wielkiej Wojnie, ale też cios Francji, która jest coraz bardziej izolowana, bo Anglia się wycofuje z interesu nieznacznie i zajęta jest ugodą z Włochami. W Hiszpanii tragedia wojny domowej trwa dalej, ale już z rozwojem wyraźnym na rzecz nacjonalistów Franka, podczas gdy czynniki Europy Środkowej z wyjątkiem tragicznie odosobnionej Czechosłowacji orientują się na Niemców i Włochy, a neutralni – Szwajcaria i Skandynawia – marzą

---

[7] Autor ma widocznie na myśli „pojedynek” (z rosyjska „duel”).

tylko o ucieczce i wycofaniu się z nowego piekła zawieruchy. Cała Europa, zwłaszcza Środkowa – to już wulkan rozpętanych namiętności i żądzy spekulacyjnej. Refleksy tego naporu dzikiego padają i na nasze tereny Wschodu Europejskiego, w pierwszym rzędzie na nas. Kto wie, czy się nie gotuje do czegoś względem Litwy i Polski. Akurat jest okazja jak na zawołanie – incydent pograniczny – zamordowanie polskiego żołnierza straży pogranicznej.

15 marca, rok 1938, wtorek

Sytuacja polityczna, w jakiej się znalazła Litwa, nie jest dobra. Zabór Austrii przez Hitlera podniecił i rozpętał wszelkie pożądania zaborcze. Rozzuchwalił apetyty i poczucie bezkarności gwałtu. Że może to działać na Polskę i na te w niej czynniki, które mają dosyć „krnąbrności" Litwy i chciałyby z nią skończyć metodami faktów dokonanych – to pewne. Że w Polsce są głębokie tęsknoty do zlikwidowania oporu Litwy i do wcielenia jej w drodze jakichś „federacji" czy „autonomii", jeżeli nie wprost zaanektowania – to jest fakt. Nastroje agresywne, narastające w atmosferze europejskiej i świecące orgie w akcji Hitlera, są zaraźliwe. A tu jeszcze zaszedł nieszczęsny incydent pograniczny, który dolał oliwy do ognia; przedmiotowo o tym incydencie na niekorzyść Litwy jest ten fakt, że zabity został żołnierz polski; czy wina była po stronie tego żołnierza czy nie – to jest sporne, ale materialnie trup jest i trup ten padł z ręki litewskiej. W Wileńszczyźnie – nowa fala mityngów masowych antylitewskich, heca napaści i domagań się. Zbiera się burza. W innym czasie byłoby to nie tak groźne, ale w chwili obecnej spodziewać się można wszystkiego. Polska właśnie nawiązała kontakt z Włochami, Beck, orientujący się na Berlin i Włochy, bawił w Rzymie, sławił „cesarza Etiopii", i – rzekomo ze względu na incydent litewski – wraca śpiesznie do Polski. Kto by mógł zaręczyć, czy nie zapadły w Berlinie i Rzymie jakieś układy co do wolnych rąk Polski względem Litwy, jako „pendant" do Austrii...

Dziś w uniwersytecie na posiedzeniu rektoratu ustaliliśmy sankcje karne w stosunku do sześciu studentów, których udział w wybrykach antyżydowskich podczas wyborów został stwierdzony. Jednym z nich jest niejaki Romas, technik, członek „Neo-Lithuanii", były voldemarasowiec, zdegradowany oficer za udział w zamachu stanu na rzecz Voldemarasa w roku 1934, wybrany właśnie do przedstawicielstwa studenckiego. Zostanie wykreślony z przedstawicielstwa. Drugi, także technik, został przez policję przyłapany na brykaniu studentów Żydów na ulicy przed gmachem uniwersytetu, gdy się Żydzi udawali na wybory. Zostanie wydalony z uniwersytetu na jeden semestr. Czterech innych będzie strofowanych przeze mnie. Te sankcje karne dadzą słuszną satysfakcję skrzywdzonym Żydom.

16 marca, rok 1938, środa

Rezultat próbki na białej myszce, mającej rozstrzygnąć zagadnienie ciąży Jadzi, będzie wiadomy dopiero jutro po godzinie piątej wieczorem. Ciekawa rzecz, że tak Jadzia, jak ja obawiamy się nie tyle potwierdzenia domysłu o ciąży, ale ewentualnego upadku tegoż, co byśmy oboje przyjęli jako zawód. Nigdy nie przypuszczałem, że Jadzia tak spokojnie i nawet radośnie przyjmie perspektywę ciąży. Sądziłem, że nie mając zalegalizowanego przez małżeństwo formalne związku, będzie się tym gryzła i trapiła okrutnie. Nic podobnego nie ma. Cieszy się, chce tego i boi się, żeby to się nie okazało bajką. Co prawda, ma zupełne zaufanie do mnie, że spełnię mój obowiązek sumienia i honoru, który jest dla mnie zarazem obowiązkiem mojego uczucia tak dla niej, jak dla ewentualnego dziecka naszego i że do małżeństwa formalnego tak czy inaczej doprowadzę. Ale ponieważ połóg będzie w każdym razie w stosunku do daty małżeństwa przedterminowy, świadczący o tym, że ciąża się rozpoczęła przed ślubem i ponieważ małżeństwo, czy to cywilne, czy kalwińskie, będzie w każdym razie nie kościelno-katolickie, ponieważ także mogą zachodzić różne zastrzeżenia przykre ze strony mojej rodziny lub gawędy różne ludzkie, może czasem złośliwe i w każdym razie tchnące co najmniej plotką i sensacją, przeto myślałem, że Jadzia, bardzo wrażliwa biedaczka na języki ludzkie, będzie bardzo cierpiała na samą myśl o tym i będzie rozpaczała nad swym stanem. W istocie jest

wręcz przeciwnie. Ale niechby już przynajmniej domniemanie się sprawdziło i stało pewnikiem. Daj to, Panie Boże!

Sytuacja w sprawie polsko-litewskiej jest dosyć ostra. Są wieści o jakimś rodzaju ultimatum czy żądania kategorycznego ze strony Polski, skierowanego do Litwy. Powiadają o żądaniu nawiązania stosunków formalnych i zawarciu paktu o nieagresji, podobno z udzieleniem Litwie możności jednostronnego zastrzeżenia w sprawie Wilna, podobno też są żądania pewnych zapewnień co do traktowania Polaków w Litwie (a jak by było z traktowaniem Litwinów w Polsce?).

Zresztą jak się rzecz ma w istocie – kategorycznie nie wiadomo. Jakieś kontakty nawiązane zostały przez Estonię czy to przez poselstwa litewskie i polskie w Tallinie, czy też za pośrednictwem rządu i usług dyplomatycznych Estonii. Gabinet Ministrów i prezydentura obradują forsownie. Oficjalnych enuncjacji nie ma. Ogólnie się zaznacza przekonanie, że jednak do nawiązania stosunków formalnych dojdzie.

17 marca, rok 1938, czwartek

Biała myszka zareagowała i rozstrzygnęła wątpliwości co do stanu Jadzi. Potwierdziła domysły nasze, że w łonie Jadzi poczęło się nowe życie ludzkie naszego dziecka. Dobrze, że już wreszcie wiemy. Dotąd, zwłaszcza w ostatnich dniach, niepokoiliśmy się nie tyle samą sprawą ciąży, zalegalizowania małżeńskiego związku, wszystkiego, co jest z tym związane aż do połogu, ile wątpliwością, czy w ogóle prawdą jest, że Jadzia jest w poważnym stanie. Teraz to jest wiadome. Trzeba więc rozpocząć działanie.

O godzinie piątej po obiedzie Jadzia poszła do doktorki dla dowiedzenia się o próbie myszki białej, ja zaś – do lokalu Towarzystwa Litewsko-Francuskiego na herbatkę proszoną, którą to towarzystwo zarządziło dla uczczenia piętnastej rocznicy swego istnienia. Herbatka była liczna i wesoła. Osób było z pewnością do 70. Najwięcej było pań. Był sam kwiat pań ze śmietanki towarzyskiej litewskiej, były ministrowe Lozoraitisowa i Staniszewska, były pani Urbšysowa, córka prezydenta Smetony – Valiušisowa i stara Franciszkowa Mašiotasowa, piękna p. Trimakasowa, p. Szeremietiewska, Jan Vileišis – pierwszy niegdyś prezes towarzystwa, poseł francuski Dulong z żoną, p. de Neyzac, burmistrz Merkys, generał Gerulaitis z żoną, prof. Prioult z żoną i córką i wielu, wielu innych. Ożywienie było duże, panie usługiwały, roznosiły herbatkę, kawę, kanapki, ciastka, torty, chartreuse... Jako prezes towarzystwa, msiałem z okazji jubileuszu wygłosić przemówienie okolicznościowe po francusku, co też uczyniłem z powodzeniem. Przemówienie wygłosił też poseł Dulong. Po litewsku przemówił też Jan Vileišis. Nie doczekałem końca herbatki. O wpół do siódmej byłem w domu, żeby się dowiedzieć, jaką wiadomość przyniosła od doktorki Jadzia. Nie zastałem jej jeszcze w domu i zaniepokoiłem się tym na razie. Niebawem jednak przyszła. Powiedziała, co wyżej już napisałem: ciąża stwierdzona. Fakt jest. Jutro jadę na jeden dzień do Kłajpedy, gdzie zwrócę do Valsonoka i poproszę go o dowiedzenie się dla mnie dokładnie w urzędzie aktów cywilnych: a. czy ślub cywilny może być udzielony po sześciu tygodniach (nie miesiącach) od dnia zameldowania Jadzi w Kłajpedzie (zameldowanie paszportu Jadzi w Kłajpedzie, dokonane 8 marca, formalnie jest ekwiwalentem zamieszkania) i b. czy na zasadzie wyroku rozwodowego kalwińskiego, który mam, mogę otrzymać ślub cywilny w Kłajpedzie bez zmiany wyznania katolickiego na kalwińskie. Przypuszczam, że Kłajpeda nic mi w tym względzie nie da, bo się okaże, że w terminie krótszym zamieszkania, niż sześciomiesięcznego, nie będzie można otrzymać ślubu cywilnego. Zaś sześć miesięcy czekać niepodobna. Ale w każdym razie pojadę i dowiem się. A wtedy w przyszłym tygodniu – do prof. Jokubėnasa.

18 marca, rok 1938, piątek

Od czasu, gdy zaczęliśmy się spodziewać ciąży Jadzi, zacząłem cierpieć na bezsenność z wieczora. Jest to skutek poruszenia. Jak się położę, to myślę i myślę, przewracam się z boku na bok, poprawiam się i godzinami nie mogę zasnąć, a potem nazajutrz czuję się zmęczony, osowiały, głowa źle pracuje i boli. Trochę to już zaczęło przechodzić i we wtorek i środę zacząłem z wieczora

zasypiać prędzej i w nocy spać lepiej. Ale oto wczoraj znowu się poruszyłem, chociaż nawet dość radośnie i znowu zasnąć z wieczora nie mogłem do godziny trzeciej rano. Dziś się czuję rozbity, słaby i głupi.

W sprawach publicznych nastrój jest ciężki. W niektórych kołach jest nawet wrażenie popłochu i w każdym razie rozterki głębokiej. Skądinąd faktem jest, że Polska wystosowała do Litwy ultimatum za pośrednictwem posła polskiego w Tallinie na ręce posła litewskiego tamże. Jaki był tekst tego ultimatum, którego termin upływa jutro wieczorem, tego nie wiedziano, a pogłoski były różne. Rada Ministrów i prezydentura obradują prawie permanentnie. Powiadają, że posiedzenie Rady Ministrów trwało przez całą noc. Pogłoski są różne. Jedni mówią o niezdecydowaniu prezydenta Smetony, nawet o zachwianiu; gadają też o tym, że rzekomo trzech ministrów ustępuje, że ma być reorganizacja gabinetu, mówią nawet o pomyśle konsolidacji narodowej i utworzeniu rządu koalicyjnego wszystkich kierunków, co bodaj byłoby najwłaściwsze w obliczu niezwykle skomplikowanej sytuacji. W ogóle nastroje w szerokiej publiczności są nerwowe, co nie jest dobre. Rozpolitykowanie doszło aż do dzieci. W gimnazjum polskim, z którego przyszła Stenia, nastroje triumfalne zemsty na Litwinów, jakieś śpiewki, wierszyki, tchnące nienawiścią do Litwy i Litwinów, w gimnazjum litewskim, z którego przyszła Renia, to samo, w stosunku do Polski i Polaków. Nienawiść i politykomania dziecinna – to już najgłupsze. Dzieci w gimnazjum polskim twierdzą, że na ulicach Litwini (dzieci litewskie, studenci) zaczepiają je, znieważają, szturchają, nawet plują w ich stronę. W Warszawie i różnych miejscowościach Polski i „Kresów” – wielkie manifestacje i demonstracje antylitewskie, wołanie „Do Kowna!” „Niech żyje polskie Kowno i polska Kłajpeda!”, domaganie się interwencji, marszu na Litwę itd. Zabór artystyczny Austrii działa na nastroje, rozpętuje namiętności agresji, daje przykład zaraźliwy. Minister Tonkunas telefonował mi z Rady Ministrów, że może zachodzić obawa jakichś demonstracji czy ekscesów studenckich z powodu ultimatum polskiego i akcji polskiej przeciwko Litwy; prosił, żeby za żadną cenę nie dopuścić do jakichkolwiek ekscesów, wystąpień, obrad czy uchwał. Zarządziłem środki, którymi pokieruje prorektor Purėnas. Mam nadzieję, że same czynniki odpowiedzialne organizacji studenckich wobec powagi sytuacji przeciwstawią się wszelkim zakusom do zajść i ekscesów, które mogłyby być wytłumaczone chyba tylko prowokacją. Pod wieczór radio kowieńskie poinformowało urzędowo o ultimatum polskim: żąda ono nawiązania regularnych stosunków dyplomatycznych między Polską a Litwą przez utworzenie do dnia 31 marca poselstwa polskiego w Kownie i litewskiego w Warszawie. Polska żąda odpowiedzi twierdzącej bez zastrzeżeń na ultimatum do jutra wieczorem. Wszakże propozycje litewskie układów i pertraktacji odrzuca. Jeżeli w ultimatum nic więcej, prócz żądania nawiązania stosunków dyplomatycznych regularnych nie ma, to nie jest tak straszne, jak o nim mówiono.

Wieczorem wyjechałem do Kłajpedy, ale jutro na wieczór wrócę.

19 marca, rok 1938, sobota

Wycieczkę moją do Kłajpedy odbyłem. Wyspałem się w wagonie sypialnym w nocy doskonale i wypocząłem przez ten sen bardziej, niż nocy poprzedniej w łóżku u siebie. W Kłajpedzie zabawiłem od godziny siódmej rano do godziny pierwszej po południu, poczym automatrycą do Szawel i z Szawel pociągiem wróciłem na wieczór do Kowna. Tak mi zeszedł w podróży i na załatwieniu w Kłajpedzie mojej trudnej sprawy matrymonialnej ten dzień tragiczny i może historyczny dla Litwy.

Zacznę nie od tragedii litewskiej, lecz od sprawy mojej osobistej. Byłem u Valsonoka, zastałem go i rozmówiłem się z nim o całej mojej sprawie. Valsonok nie jest adwokatem, ale ma głowę dobrą, ma stosunki w Kłajpedzie i dużo wie. Częściowo samiśmy z nim rozważyli całą kwestię małżeństwa mego, częściowo poinformował się on telefonicznie u odpowiedniego sędziego, w którego zakresie są skargi na urząd cywilny aktów małżeńskich. Rezultat tego wywiadu jest wcale niezły, choć jeszcze pewności stuprocentowej nie ma. Ale perspektywy na próbowanie są i Valsonok wskazał mi adwokata Gringauza w Kłajpedzie, byłego sędziego i wytrawnego prawnika, do którego jutro

listownie się zwrócę, aby całą kwestię wyczerpująco wystudiował i, jeżeli robić można, to załatwił mi całą stronę prawną tego przedsięwzięcia. Kwestie, od których zależy dokonanie tego małżeństwa cywilnego w Kłajpedzie, są dwie: jedna dotyczy czasu. Mogę to w Kłajpedzie załatwiać tylko o tyle, o ile to zrobić można w ciągu kilku tygodni – najdłużej do końca kwietnia lub pierwszych dni maja. Sześć miesięcy w każdym razie czekać nie mogę. Ta rzecz, jak wnosi Volsonok, przedstawia się nieźle. Ustawa nie ustanawia żadnego określonego terminu zamieszkania jednego z kandydatów do małżeństwa w Kłajpedzie, ale urzędnik urzędu małżeńskiego w Kłajpedzie podobno żąda sześciu miesięcy, dającego gwarancję, że zamieszkanie jest istotne. Jadzi paszport zameldowany jest w Kłajpedzie zaledwie 8 marca. Ale Volsonok powiada, że na to jest rada: o ile można byłoby udowodnić, że Jadzia ma stałą posadę w Kłajpedzie, o tyle stanowiłoby to dowód, że zamieszkanie jest osiedleniem się naprawdę, a wtedy kwestia terminu by odpadła i można byłoby zaraz żądać zrobienia aktu. Volsonok, który jest członkiem zarządu pewnego towarzystwa akcyjnego, mógłby wystarać się dla Jadzi o formalną posadę, można byłoby nawet spisać z nią umowę: byłoby to oczywiście na rzecz dowodu zamieszkania efektywnego. To pierwsza kwestia. Druga – to kwestia mojego prawa do zawierania małżeństwa ze względu na moje małżeństwo dawne z Reginą. Volsonok przypuszcza i podobno to mu sędzia telefonicznie potwierdził, że to nie jest wykluczone. Rozwód, który mam, jest kalwiński (reformacki), choć ja sam formalnie kalwinem nie jestem. W małżeństwie cywilnym, zawieranym w Kłajpedzie, gdy jeden z małżonków nie jest mieszkańcem kraju, jego *status personales* co do jego zdolności prawnej do zawarcia małżeństwa jest rozważany ze stanowiska ustaw, działających w jego miejscu zamieszkania, to znaczy dla mnie w Wielkiej Litwie. Otóż podobno rzecz się ma tak, że jeżeli na zasadzie posiadanego rozwodu kalwińskiego mam prawo dokonania małżeństwa w Litwie Wielkiej (prawo zaś takie w kościele kalwińskim mam, a u nas skutki legalne małżeństwa podlegają przepisom prawnym kościelnym), to formalnie to może wystarczyć, bo wobec przepisów prawnych małżeńskich w Kłajpedzie kwestia wyznania nie gra żadnej roli, więc nic to nie obchodzi, czy jestem faktycznym katolikiem czy kalwinem; wystarcza, że mogę, stając się kalwinem, zawrzeć związek małżeński, czyli że kwalifikacje prawne mam. Zresztą jest to kwestia jeszcze do zbadania, którą będzie musiał wyjaśniać ściśle adwokat. Ale nie jest wykluczone, że to się okaże możliwe i nawet bez zmiany formalnej wyznania.

O tegorocznym dla Litwy dniu dzisiejszym i o moich refleksjach w związku z tym napiszę jutro. Ale fakt kapitulacji Litwy wobec ultimatum polskiego już się stał.

20 marca, rok 1938, niedziela

A teraz o tragicznym dniu wczorajszym, dniu, w którym o godzinie dziewiątej wieczorem upływał termin 48 godzin, udzielony przez Polskę Litwie na odpowiedź na ultimatum, żądające nawiązania regularnych stosunków dyplomatycznych. Samo w sobie żądanie to nie stanowiłoby nic nadzwyczajnego, bo istnienie takich stosunków i połączonych z nimi oczywiście stosunków komunikacji, poczty, wymiany handlowej etc. między państwami, które ani formalnie, ani faktycznie nie wojują ze sobą, nie stanowi zgoła nic niezwykłego i nie oznacza ani szczególnej przyjaźni i sympatii, ani wyrzeczenia się wzajemnego jakichś pretensji i zarzutów. Jeżeli więc w ultimatum polskim istotnie nic innego ponad to nie ma, to samo przez się *in merito* nie byłoby w tym nic strasznego. Ale w warunkach, w jakich to ultimatum nastąpiło, było ono ciosem ogromnym i brutalnym. Najjaskrawszy był moment międzynarodowy, bezpośrednio po brutalnej aneksji Austrii przez Hitlera, która rzuciła cień złowieszczy na całą atmosferę stosunków międzynarodowych i zerwała ostatecznie wszelkie resztki pozorów prawa, traktatów, odpowiedzialności międzynarodowej, solidarności, wiążącej państwa w organizacji Ligi Narodów, a natomiast uwydatniła panowanie czynnika przemocy, faktów dokonanych, woli jednostronnej i dyktatury siły. Ultimatum polskie było bezpośrednią konsekwencją aktu niemieckiego w Austrii i tak zostało ogólnie, tak przez Litwę, jak przez opinię światową, pojęte, a wrażenie związku tych dwóch faktów zostało jeszcze bardziej podkreślone przez to, że nastąpiło bezpośrednio po wizycie Becka w Rzymie i rozmowie jego w drodze powrotnej z Hitlerem. Epizod, którego Polska użyła do wystosowania

ultimatum, sam przez się był nikły: zastrzelenie żołnierza polskiego na pograniczu przez straż litewską, ale zastrzelenie, dokonane w warunkach nie nazbyt obciążających Litwę, bo stwierdzone zostało, że żołnierz polski był na terytorium litewskim, w odległości 17 metrów od linii demarkacyjnej (granicy w interpretacji polskiej) i sam pierwszy strzelał z ukrycia zza krzaków do straży litewskiej. Wszelkie wnioski litewskie o wyznaczenie komisji mieszanej dla zbadania tego zajścia, o nawiązanie układów i rokowań, zostały przez Polskę kategorycznie odrzucone, po czym padło ultimatum. Jasne było, że epizod pograniczny był tylko pretekstem, ultimatum zaś jest decyzją rozkazywania, jest aktem dyktatury, bezpośrednio pokrewnym metodom Mussoliniego i Hitlera. Żądanie zaś nawiązania regularnych stosunków dyplomatycznych i sąsiedzkich, samo przez się nie stanowiące osobliwości, gdyby nie ta forma, metoda i moment psychologiczny, ujaskrawiony jeszcze bardziej przez rozpętanie w Polsce szalonej kampanii wiecowej przeciwko Litwie pod hasłami wprost zaboru, towarzyszącej temu ultimatum – nabiera w konkretnych stosunkach polsko-litewskich znaczenia szczególnego, gdy się zważy, że ten brak wszelkich stosunków bezpośrednich między Litwą a Polską trwa już lat koło 20, właściwie od samego powstania niepodległej Polski i Litwy a już przynajmniej od zaboru przez Polskę Wilna w roku 1920 i stał się aksjomatem całej polityki litewskiej, aksjomatem wprost narodowym Litwinów, na którym jest zbudowany cały dogmat roszczeń do Wilna i odpowiedniej orientacji i akcji litewskiej. Do ostatniej chwili nie tylko każdy Litwin szeregowy, ale sam prezydent Smetona – „Wódz Narodu” – wypowiadał się otwarcie i kategorycznie, że do obrad z Polakami Litwini zasiądą u wspólnego stołu dopiero w Wilnie, to znaczy dopiero wtedy, gdy Polacy zrzekną się tytułów jednostronnego zaboru Wilna i nawrócą do artykułów umowy suwalskiej z d. 7 października 1920, w myśl której linia demarkacyjna polsko-litewska idzie w ten sposób, że do czasu układu o granicy ostatecznej Wilno pozostaje po stronie litewskiej. W tych warunkach zadawnienia nałogowego pewnych postulatów, związanych z brakiem stosunków bezpośrednich z Polską, przyjęcie przez Litwę żądań ultymatywnych polskich nie jest niczym innym, jak załamaniem całej dotychczasowej polityki narodowej litewskiej. Zważywszy zaś charakter litewski, który z natury jest bardzo nie giętki, to załamanie, które jest zarazem wytrąceniem busoli i renegacją dogmatu narodowo-państwowego Litwy od dnia jej powstania, dokonanym w atmosferze tak tragicznej i brutalnej, jest dla Litwy niezwykle ciężkie i bolesne. Jest w tym i obraza, i upokorzenie, i rozterka głęboka rozdroża, i przeczucia oraz reminiscencja historyczna Unii Lubelskiej, która niegdyś w podobnych warunkach upokorzenia sforsowana przez Polskę na Litwie została.

21 marca, rok 1938, poniedziałek

Wczoraj rano byłem u mojego przyjaciela adwokata Jakuba Robinzona, wybitnego znawcy międzynarodowego i międzydzielnicowego prawa prywatnego oraz w ogóle trudnych zagadnień, konfliktów norm prywatnych i w szczególności zagadnień prawa małżeńskiego, mających w naszych, a szczególnie w moich warunkach ścisły związek z prawem międzydzielnicowym i międzynarodowym. Poszedłem się poradzić w moich zabiegach małżeńskich. Robinzon stwierdził, że o ile uda mi się dokonać małżeństwa cywilnego w Kłajpedzie, to małżeństwo to będzie niewątpliwie miało moc legalną w całym państwie litewskim i ta okoliczność, że pozostałem formalnie katolikiem, nie będzie mogła podważyć legalności związku. Ale Robinzon ma pewne wątpliwości co do tego, czy mi się uda uzyskać małżeństwo cywilne w Kłajpedzie, to znaczy czy urząd małżeński w Kłajpedzie uzna za wystarczający dla stwierdzenia moich kwalifikacji małżeńskich wyrok rozwodowy konsystorza reformowanego w Wilnie, na którym się opieram. Robinzon mi zaleca spróbować dokonania małżeństwa w Rydze, gdzie jest najmniej żądane formalności i gdzie, jego zdaniem, uda mi się na pewno. Ryga jest pod tym względem rajem obiecanym dla wszystkich najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych problemów małżeńskich. Jadą tam ludzie z całego świata – z Francji, z Ameryki, aby dostać rozwód lub zawrzeć związki małżeńskie, kiedy nigdzie indziej nic się zrobić nie daje. Małżeństwo ryskie jest już szablonem wszelkich możliwości. Jest zaś wyrok naszego Trybunału, uznający prawność małżeństw, zawartych

legalnie za granicą, a przeto i w Rydze; wprawdzie z pewnymi zastrzeżeniami, ale te ustrzeżenia nie bardzo mię dotyczą. Robinzon wskazał mi adwokata, wybitnego specjalistę w tych sprawach w Rydze, niejakiego Berentsa. W każdym razie napisałem już wczoraj obszerny list do adwokata Gringauza w Kłajpedzie, załączając odpis mego wyroku rozwodowego, prosząc go o radę i wskazówki i zapytując, czy się może podjąć przeprowadzenia sprawy małżeńskiej. Z Gringauzem pomówi jeszcze osobiście Volsonok. Wszakże, żeby nie tracić czasu, napiszę też do adwokata Berentsa w Rydze.

A teraz wracam do ciekawych i ciężkich spraw publicznych. Już w piątek w Kownie, gdy się dowiedziano o ultimatum polskim, nastrój był bardzo ciężki. Bo już od kilku dni czuć było, że sytuacja staje się coraz bardziej naprężona i groźna i że Polska się do czegoś gotuje w stosunku do Litwy, mocno się i twardo trzymając pretekstu, który jej daje incydent pograniczny. Usposobienie nerwowe, wywołane wypadkami w Austrii i świadomość, że akcja polska jest powiązana pewnymi konsekwencjami logicznymi z tym, co zaszło w Austrii, i że to się zbiegło z porozumieniem Becka z Mussolinim i Hitlerem, czyniło tę sytuację jeszcze groźniejszą i wytwarzało poczucie bliskiej katastrofy. Ultimatum polskie było ciosem brutalnym upokorzenia i dyktatury. Gdym w piątek jechał do Kłajpedy, rozmowy w wagonie, na dworcu, w samej Kłajpedzie – toczyły się tylko na ten temat. Jak mi mówił Valsonok – w piątek w Kłajpedzie były objawy paniki. Nie robiono żadnych interesów, Żydzi rzucili się do banków dla przekazywania pieniędzy z banków kłajpedzkich do kowieńskich. W ten sposób przekazano bodaj do 500 000 litów. W Kłajpedzie obawiano się, że w razie odrzucenia przez Litwę ultimatum polskiego i rozpoczęcia wojny polsko-litewskiej Niemcy zajmą Kłajpedę. W sobotę w Kownie zaczęła się ujawniać panika. Rzucono się do banków i kas oszczędnościowych wycofywać pieniądze. Z gazet widać, że i w Polsce była podobna panika.

22 marca, rok 1938, wtorek

Ukazały się w prasie wieści o tym, kto ma być mianowany posłem polskim w Kownie i kto – posłem litewskim w Warszawie. Na razie pierwsze wiadomości wskazywały, że posłem polskim ma zostać hr. Łubieński, sekretarz osobisty polskiego ministra spraw zagranicznych Becka, ten sam, którego w roku 1933 poznałem w Genewie u Jadzi Römerówny. Potem wszakże sprostowano, że będzie nim Harwat, obecny poseł polski w Rydze, poprzednio w Estonii. Harwat zna stosunki bałtyckie dość gruntownie i zapewne psychologię litewską łatwiej rozumie, bo będąc w Rydze miał stamtąd punkt obserwacyjny na Litwę. Łubieński jest młodszy i byłby mniej zorientowany, bo jego bliski kontakt z Beckiem może ułatwić mu ogólną orientację w polityce Becka, ale nie szybkie i łatwe zrozumienie problemów litewskich i litewsko-bałtyckich. Nominacja Harwata może być potwierdzeniem tego, że Polska będzie usiłowała nagiąć Litwę do ogólnej koncepcji politycznej bloku bałtyckiego pod egidą polską, rozdzielającego Niemcy od Sowietów czy Rosji. Jest to stara koncepcja Piłsudskiego, oparta niewątpliwie na tradycjach historycznych głębokich, ale wadliwa co do metody imperialistycznej zamiast solidarystycznej. Ze strony litewskiej ma być posłem w Warszawie dr Jerzy Šaulys, obecnie będący posłem w Berlinie. Nominacja Šaulysa wydaje się właściwą, bo jest on jednym z najbardziej zorientowanych w sprawach polskich i w całym przebiegu stosunków polsko-litewskich, mając od samego początku styczność z tymi sprawami. Zna on też dobrze Polskę i Polaków, zna kulturę polską.

Po przyjęciu przez Litwę ultimatum polskiego, raczej po kapitulacji litewskiej w Polsce ujawniło się od razu i bardzo radykalnie odprężenie w stosunku do Litwy. Po incydencie do Litwy ultimatum polskiego w Polsce całej rozpętano jaskrawą kampanię antylitewską: protesty, wiece, manifestacje, pochody pod hasłami najbardziej wrogimi, po prostu aneksyjnymi i zachłannymi, lżenie Litwy i Litwinów... Po ogłoszeniu ultimatum ta kampania manifestacji napastniczych przeciwko Litwie przeszła wprost w orgię; dano wolność cudakom, sfanatyzowanej krańcowej młodzieży nacjonalistycznej, emigrantom z Litwy, wszystkim najzajadlejszym elementom. Rozlegały się mowy histeryczne, krzyki, wołanie, śpiewki, refreny, skierowane wszystkie do jednego hasła – zlikwidowania Litwy, zaboru „polskiego” Kowna i „polskiej” Kłajpedy, zduszenia krnąbrnych

Litwinów. Radio polskie zmieniło się w piekło najdzikszej propagandy antylitewskiej, wprost litwinożerczej. Była to przygrywka terrorystyczna do ultimatum, obliczona na zastraszenie i zdemoralizowanie słabszego przeciwnika, któremu postanowiono podyktować wolę polską. Było to ohydne, brutalne, dzikie i niegodne ani kultury polskiej, ani haseł wieszczów polskich z doby niewoli, ani tych, co w wieku XIX walczyli w Polsce o wolność, o braterstwo ludów, o poszanowanie praw narodów pod hasłami „za naszą wolność i waszą!", ba, co o tym mówić! Skądinąd ultimatum poparte zostało wymowną argumentacją kilku dywizji polskich, z których jedna zmotoryzowana, skoncentrowanych nad samą granicą litewską od strony Suwałk, Olkienik i Wilna. Cała inscenizacja presji brutalnej i najbezwzględniejszej była puszczona ze strony polskiej w ruch dla sforsowania „woli" „młodszego brata" do padnięcia w objęcia „braterskie". Pasja ta była tak jaskrawa i dzika w swej brutalności, że nawet ludzie tacy, jak Eugeniusz Römer, Konstanty Zybark-Plater, Kazimierz Janczewski, stanowiący starsze pokolenie Polaków litewskich, bezwzględnie sprzyjające porozumieniu i przeto uzgodnieniu polityki litewskiej z polską, Polacy zdecydowanie dużo i od dawna cierpiący na skutek swojej polskości, gorąco oddani temu, do czego właściwie zmierzało ultimatum polskie, powiadają, że wstyd im było wobec Litwinów i czuli oni szacunek i sympatię dla cierpienia tak srodze upokarzanej przez Polskę Litwy. Po przyjęciu przez Litwę ultimatum nastroje te zmieniły się w Polsce. W wielu miejscach odbyły się manifestacje sympatii dla Litwy pod hasłami braterstwa, pojednania, wznoszono okrzyki na rzecz niepodległej Litwy, noszono jej godła z polskimi, nawet zaczęto wykonywać hymn narodowy litewski – nawet w tłumaczeniu polskim. Jedni tylko endecy i młodzież nacjonalistyczna nierada i domaga się dymisji Becka, choć w oświadczeniach swoich zastrzega się uroczyście o uszanowaniu zupełnym suwerenności Litwy, o zapomnieniu uraz wzajemnych.

23 marca, rok 1938, środa

Do Warszawy na posła litewskiego jedzie już nie dr Jerzy Šaulys, jak głoszono poprzednio, jeno Škirpa. Jest to człowiek zdolny i dosyć młody; ma opinię dodatnią; uchodzi za zręcznego dyplomatę, człowieka na ogół umiejącego się orientować, gładkiego i sympatycznego. Znałem go przed laty 12, gdy był w Kownie; był oficerem i z przekonań należał do lewicy; za rządów lewicowych w roku 1926 uchodził za człowieka z przyszłością, który wysoko pójdzie. Po przewrocie grudniowym z roku 1926 nie usunięto go całkowicie, ale wysłano do Berlina w charakterze *attaché* wojennego litewskiego. Na stanowisku tym był aż do roku 1937. Wywiązał się dobrze z zadań i zyskał uznanie. W roku ubiegłym, gdy utworzono stanowisko posła przy Lidze Narodów w Genewie, wyznaczono na te stanowisko Škirpę.

W Tallinie między poselstwem polskim a litewskim toczą się obrady w sprawie wszelkich przygotowań do jak najprędszego zainstalowania poselstwa polskiego i litewskiego w Kownie i Warszawie. Do Kowna już przyjechał podobno urzędnik polski Kłopotowski dla przygotowania mieszkania i urządzenia się posła polskiego. Przystąpiono do połączenia linii kolejowych między Polską a Litwą przez linię administracyjną; słyszałem, że przede wszystkim ma być uruchomiona linia kolejowa na Suwałki. Do Augustowa wyjechała czy wyjedzie komisja techniczna litewska, która się tam spotka z komisją techniczną polską dla obrad nad techniką nawiązania stosunków komunikacyjnych i innych. Jako doradca prawny bierze w tej komisji udział Dominik Kriwicki.

Tymczasem w składzie rządu żadnych zmian nie ma. Na ogół rząd nie informuje wcale społeczeństwa o swoich zamiarach i sytuacji. Nawet o przebiegu tragicznych wypadków z dni ultimatum rząd prawie wcale nie informował społeczeństwa, dając się rozrastać panice, popłochowi, pogłoskom i wszelakiemu rozwichrzeniu myśli, domysłów i zamiarów. O faktach dowiadywano się z radia i prasy zagranicznej, przeważnie z radia polskiego. Rząd się zupełnie izolował, zamykając się w nieustających obradach własnych o konszachtach bez wszelkiego kontaktu ze społeczeństwem. Nawet o tym, co się na posiedzeniach rządu naszego działo, dowiadywano się albo z pogłosek, albo z radia polskiego, lepiej poinformowanego niż społeczeństwo narodowe w Kownie. Podobno przeciwko przyjęciu ultimatum polskiego wypowiadali się zwłaszcza Šiling (właściwie największy

winowajca kapitulacji, bo to on głównie podniecał zawsze w rządzie opozycję Lozoraitisowi, który od dawna dążył do nawiązania stosunków regularnych z Polską, co by zupełnie inny miało efekt, niż nawiązanie tychże obecne w drodze kapitulacji pod dyktando Polski). Podobno Šiling w obradach nad ultimatum polskim wzywał do odpowiedzenia na ultimatum mobilizacją. Powiadają, że do tegoż skłaniał się też prezydent Smetona, także wódz naczelny Raštikis i zastępca premiera minister Staniszewski. Minister wojny Dirmantas wszakże gorąco zalecał przyjęcie ultimatum, co też trzeźwo stwierdzał jako konieczność Lozoraitis. Kapitulację przesądziło stwierdzenie faktu, że w razie oporu Litwa zostanie izolowana wobec przemocy polskiej, bo nikt jej pomóc i poprzeć czynnie nie jest w stanie. Wobec społeczeństwa, które jednak wykazało duże przejęcie i wiele głębokiego patriotyzmu w uczuciach i przeżyciach, rząd się zachował co najmniej niepoprawnie. Obradował w cieniu gabinetów, sam się bardzo nerwował, ale kontaktu ze społeczeństwem, od którego żąda posłuchu ślepego, nie nawiązał. Mówią, że cały rząd *in corpore* podał się do dymisji, ale oficjalnie faktu tego nie ogłosił, zdecydowany czekać powrotu chorego premiera Tubelisa ze Szwajcarii. Ogłaszano, że Tubelis ma wrócić tak jakby jutro, ale teraz znowu ogłoszono, że powrót Tubelisa odroczony jeszcze do 19 kwietnia. Czyżby więc wszystko w rządzie pozostało jak jest przez cały miesiąc i właśnie przez cały krytyczny czas nawiązania pierwszych stosunków z Polską? Właściwie rząd – i to włączenie z prezydentem – jest głęboko skompromitowany i zaufania w społeczeństwie już nie ma. Wprawdzie domyślił się on zwołać wczoraj dość szerokie zebranie poufne, na którym minister Lozoraitis poinformował wyczerpująco o całym przebiegu wypadków w związku z ultimatum polskim i kapitulacją Litwy, ale to zebranie odbyło się pod kontrolą czujną Šilinga, który nie dopuścił do wniosków politycznych o sytuacji.

24 marca, rok 1938, czwartek

Nie nadążam za wypadkami i za wszystkim, co bym chciał i co byłoby warto w dzienniku zanotować.

Niewątpliwie jest kryzys rządu, a w istocie, moim zdaniem, jest więcej: jest kryzys prezydentury. W ustroju tzw. autorytarnym, w którym cała potęga autorytet władzyześrodkowuje się w jednej osobie naczelnika państwa – u nas prezydenta Smetony – wielkie wstrząsy polityczne i wielkie ciosy klęsk spadają wprost na tegoż naczelnika, którego nie neutralizuje ani Gabinet Ministrów, ani Sejm, będące li tylko jego ekspozytorami. To jest właśnie największe niebezpieczeństwo i zło takiego systemu. Gdy się tu coś wali, to już się wali wszystko; gdy się kompromituje, to nic nie pozostaje nietknięte. Rząd autorytarny w tym gatunku może być dobry i skuteczny tylko tam, gdzie jest on bardzo silny i zwłaszcza pod warunkiem sukcesów: klęski i ciosy są dlań zabójcze. Poza tym tą osobą ośrodkową całej władzy musi być człowiek istotnie niezwykły i olśniewający. Nasz Smetona, choć osobiście zacny i czysty, takim nie jest, a klęska kapitulacji litewskiej wiąże się najściślej z jego osobą. Tam, gdzie wszystko zależy od prezydenta jako właściwego kierownika całej zasadniczej polityki państwowej we wszystkich jej problemach najistotniejszych i gdzie ten prezydent na pytanie o stosunkach z Polską jeszcze przed trzema tygodniami odpowiadał, że z Polakami zasiądziemy do stołu dla obrad dopiero w Wilnie i który przez cały kilkunastoletni czas swych rządów nie tylko tolerował, ale zalecał i autorytetem swym popierał rozpalenie prądów antypolskich bezwzględnego nieprzejednania aż do białości i za dogmat nie tylko polityki, ale już całego politycznego wychowania narodowego stawiał kategoryczne żądanie zwrotu Wilna jako jedyny i wyłączny warunek jakichkolwiek stosunków z Polską, a następnie w ciągu dwóch dni na rozkaz kategoryczny Polski poszedł na kapitulację i normalizację stosunków z Polską przyjął, narażając Litwę na to, że Polska, co zechce, to jej nadal dyktować będzie (może nie zechce, co daj Boże, ale „*l'appétit vient en mangeant*" i wstrzemięźliwość rzadko bywa cnotą narodów i rządów, które poczuły swoją przewagę i bezbronność kontrahenta, a powodzenie w jednym akcie nacisku czy gwałtu zachęca do dalszych prób w tym kierunku *usque ad finem*), tam, gdzie takie fakty zaszły, trudno zaprzeczyć kryzysowi władzy. Czy się ten kryzys formalnie wyraził w jakichś wystąpieniach i aktach z łona społeczeństwa, to właściwie nie jest decydujące, choć w

istocie takie akty już są i mnożą się, a ferment rośnie. Na Smetonę wypadki, związane z ultimatum polskim i kapitulacją litewską, które zadały cios radykalny całej dotychczasowej zasadzie dogmatów politycznych Litwy, musiały podziałać przygnębiająco; chwilowo nawet był zachorował i w tych dniach nie pokazuje się nigdzie. Biedny człowiek. Jak trudno mu dziś utrzymać nadawany mu od szeregu lat przez jego rzeczników i gorliwców tytuł „Wodza Narodu"! To, co się stało, stanowi załamanie zasadnicze całej polityki narodowo-państwowej i całego jej dogmatu, skrystalizowanego w pewnik niewzruszony od lat 18, to znaczy właściwie od początku państwowości. Załamanie, dokonane przez jeden gwałtowny i brutalny cios polski, cios zastraszenia, cios moralnie ohydny i wstrząsający sumienie narodu w najgłębszych jego czuciach i wierzeniach. Takie załamanie i wstrząs nie mogą nie stanowić kryzysu rządu i samej prezydentury w naszych warunkach ustrojowych. Zwłaszcza że to załamanie stawia właściwie na kartę cały los Litwy i że od razu, od jednego rzutu, sprowadziło ją psychologicznie na stanowisko państwa faktycznie zależnego. Oczywiście, dużo zależeć jeszcze będzie od taktu Polski, od umiejętności odpornej Litwy, właściwie od jej sztuki politycznej, ale na razie problem zarysowuje się groźnie: albo początek końca, albo wejście w orbitę polityki i co najmniej imperializmu bałtyckiego Polski. Tak czy owak, Litwa została zgwałcona i to jest najboleśniejsze. Poczucie upokorzenia, wstydu i gniewu jest w społeczeństwie litewskim wielkie i zrozumiałe. Budzi ono szacunek i ból oraz żal. Jednego tylko spostrzegłem dotąd człowieka, który ocenia to, co zaszło, optymistycznie nie dlatego bynajmniej, żeby był polonofilem – przeciwne: jest nim... Janulaitis, który uważa, że lepiej się stało, iż Litwa została sforsowana przemocą do nawiązania stosunków z Polską, niż gdyby sama była wyciągnęła dłoń do zgody. Zdaniem, Janulaitisa, gdyby Litwa sama dobrowolnie poszła na normalizację stosunków z Polską, dałaby tym dowód swej słabości i Polska by żądała od niej coraz więcej.

25 marca, rok 1938, piątek

Rano ogłoszona została w „Lietuvos Aidasie" rekonstrukcja rządu. Rekonstrukcja bardzo niedostateczna i bynajmniej nie taka, jaka by mogła uspokoić podniecenie. Nie likwiduje ona bynajmniej głębokiego kryzysu i daleka jest od konsolidacji narodowej. Gabinet Tubelisa zastąpiony został przez gabinet księdza dziekana i naczelnego kapelana wojskowego Mironasa, jednego z najbliższych ludzi z otoczenia Smetony, człowieka niewątpliwie mądrego i energicznego, mającego poglądy wyraźne i wolę, ale ostatecznie nie odbiegającego daleko od całej ideologii rządów dotychczasowych. Jest to ksiądz narodowiec, narodowiec dawny od lat, towarzysz Smetony jeszcze od czasów, gdy narodowcy byli w opozycji, właściwie jeszcze z czasów przedwojennych. Jest związany z ideologią narodowców (tautininków) do szpiku kości. Zawsze był na noże z chrześcijańską demokracją i jest nielubiany przez kler. W każdym razie, osobistość wyraźna i mocna. Tubelis w gabinecie zostaje, ale tylko w charakterze ministra rolnictwa. Bodaj najważniejsze i jedyne dobre zasadniczo – to ustąpienie Šilinga, złego ducha Smetony, człowieka intryg zakulisowych i kombinacji najdziwaczniejszych, fanatyka fantazji i inspiratora pomysłów niby najzacniejszych, a grzeszących zawsze przeciwko rozsądkowi i temu, co jest słuszne i właściwe. Šiling z Mironasem się nie lubią. Šiling był tym, który najbardziej podniecał politykę nieustępliwości wobec Polski aż do chwili krytycznej ultimatum, który najbardziej się przyczynił do udaremnienia akcji Lozoraitisa i Klimasa, zmierzający już od lat 1934-1935 do rewizji stosunku do Polski. Wszystkie najcharakterystyczniejsze zarządzenia polityczne i posunięcia rządowe, wszystkie błędy – były inspirowane przez Šilinga. Ustąpili ministrowie: Stanisław Putwiński (rolnictwo), Čaplikas (sprawy wewnętrzne) i Dirmantas (wojna), ale to byli ludzie mniejszej wagi. Lozoraitis pozostał tylko w charakterze „pełniącego obowiązki" ministra spraw zagranicznych, a więc zapewne tylko czasowo, w charakterze też tylko „pełniącego obowiązki" objął tekę wojny Raštikis, pozostając jednocześnie szefem sztabu czy też wodzem naczelnym. Są to więc dwa prowizoria. Pozostali na swoich stanowiskach: Tonkunas (oświata) i Staniszewski (komunikacja); politycznie – to nie są osoby wybitne. Ministrem finansów został Indrišiunas, człowiek może niegłupi, ale mało samodzielny, kreatura Tubelisa i karierowicz. Ministrem sprawiedliwości – Bolesław Masiulis!! – puste miejsce w

dosłownym znaczeniu; człowiek najzupełniej bierny, który nic nie przedstawia oprócz że jest uczciwy osobiście i że interesuje się i zna dobrze, a nawet się kocha w zagadnieniach ścisłości językowej litewskiej. Niezły jest Sylwester Leonas na stanowisku ministra spraw wewnętrznych, były prezes Sądu Wojennego. Tekę ministra finansów proponowano Zygmuntowi Starkusowi, ale ten jej nie przyjął, nie decydując się na udział w tym gabinecie. Wielka szkoda, bo to by był rzeczywiście człowiek nowy w tej kompanii, któryby wniósł nowy prąd świeży, a zresztą to jedna z głów najlepszych, człowiek wybitnej wartości. Mówiono poprzednio, że tekę spraw zagranicznych oddadzą Klimasowi z Paryża i że ewentualnie Klimas zostanie premierem ze względu na to, że w tej chwili sprawy zagraniczne stanowią funkcję centralną. Może kandydatura Klimasa na zastępstwo Lozoraitisa nie upadła. Ale gdyby premierom został Klimas, a do gabinetu wszedł jeszcze Starkus, to by już było odświeżenie totalne, które by dało dużo. Ale widocznie Smetona nie decyduje się zerwać z tradycją rządów rutyny dotychczasowej z figurantami próżnych mdłych kreatur lub karierowiczów i z silną zaprawą rodzinną (Tubelis i Raštikis) oraz przyjacielską (Mironas). Taka uboga rekonstrukcja rządu nie wywarła bynajmniej dobrego wrażenia.

Nie wiem, ale chyba że Smetona ma tę samą koncepcję, którą stwierdziłem u Janulaitisa, jedyną w swoim rodzaju i bardzo odosobnioną. Jeżeli ma ją istotnie, to rozumiem, że nie wyczuwa on kryzysu rządu i prezydentury, ani załamania, które nastąpiło, ani izolacji własnej. W tej bowiem koncepcji Janulaitisa polityka rządu była mądra i to, co się stało, było dobre i bynajmniej nie stanowi porażki narodowej i państwowej. Zdaniem Janulaitisa, nawiązanie stosunków z Polską w drodze kapitulacji Litwy – to jest właśnie dobre, a złe by było, gdyby było nastąpiło w drodze porozumienia dobrowolnego. Janulaitis rozumuje tak: jeżeli dla osiągnięcia tak prostego i niewielkiego rezultatu Polska musiała użyć tak gwałtownych środków, jak wytoczenie armaty dla zabicia muchy, to jest to dowodem, jak silny jest opór Litwy i jeżeli nawet w takim elementarnym żądaniu napotkała ona na interwencję dyplomatyczną innych państw, to jakże jej będzie trudniej wymusić na Litwie inne ewentualne ustępstwa. Moim zdaniem, rozumowanie to jest niebezpieczne.

26 marca, rok 1938, sobota

Przerywam ciekawe i doniosłe, a wciąż jeszcze dramatyczne sprawy publiczne, żeby wrócić na razie do swoich, nie mniej dla mnie w tej chwili wobec faktu ciąży Jadzi doniosłych, choć tylko osobistych. Teraz w tym względzie na pierwszym miejscu stoi jedno zadanie kategoryczne i pilne: znalezienie dróg do szybkiego dokonania aktu małżeństwa. W rezerwie zachowuję drogę, po której bym iść nie chciał, ale która, zdaje się, formalnie jest mi zupełnie otwarta: droga zmiany wyznania katolickiego na kalwińskie i ślub kościelny kalwiński na zasadzie wyroku rozwodowego konsystorza reformackiego w Wilnie z dnia 15.XI.1932. Droga ta byłaby mi osobiście przykra, poza tym wstrzymują mię od niej względy rodzinne i wzgląd na moje stanowisko rektora uniwersytetu, w którym jest Wydział Katolicko-Teologiczny. Dwie inne drogi, na które skierowałem moje badania – to drogi małżeństwa cywilnego: bądź w Kłajpedzie, bądź w Rydze. Po rozmówieniu się w sobotę w Kłajpedzie z Volsonokiem, w niedzielę napisałem i wyłuszczyłem listownie całą rzecz wskazanemu mi przez Volsonoka adwokatowi Gringauzowi w Kłajpedzie. Następnie zaś, po rozmowie tutaj w poniedziałek z Robinzonem, zwróciłem się z takimże listem do adwokata Berentsa w Rydze. Od adwokata Gringauza w Kłajpedzie otrzymałem odpowiedź wczoraj. Nie jest ona dobra. Są duże trudności. Gringauz nie twierdzi, że to niemożliwe, ale wskazuje na wielkie trudności i niewątpliwe zastrzeżenia prawne. Jeżeli można próbować tej drogi, to trudno liczyć na to, żeby ona potrwała krócej niż kilka miesięcy i pomimo to pewności dobrego skutku nie ma. Najtrudniejsze jest to, że odpowiedni urząd w Kłajpedzie uzależnia legalność mego rozwodu z Reginą, warunkującego moje kwalifikacje do zawarcia nowego małżeństwa w Kłajpedzie, od tego, czy rozwód ten ma moc prawną w Wielkiej Litwie jako miejscu mojego zamieszkania. A to jest właśnie najbardziej wątpliwe, zwłaszcza wobec mojej formalnej przynależności do wyznania katolickiego i tego faktu, że w sprawie rozwodowej z Reginą ja byłem tylko pozwanym. Dziś wszakże otrzymałem list z Rygi od adwokata Berentsa. Tu na szczęście wszystko dobrze. Małżeństwo może być zawarte i w szybkim

czasie. Wyrok rozwodowy jest dobry i zupełnie wystarczający, formalności minimalne. Wybieram więc i decyduję się na tę drogę i liczę, że zaraz po świętach Wielkiejnocy dokonamy już tego aktu kapitalnego.

A teraz przechodzę znów do spraw publicznych, o których bardzo dużo jest do pisania. Przede wszystkim chcę zreferować wielkie zebranie, które się odbyło we wtorek wieczorem, w trzy dni po przyjęciu ultimatum polskiego, w jednej z sal „Karininkų Ramovė”. Zebranie to odbyło się z inicjatywy rządu, który, zaniepokojony wreszcie postawą opinii publicznej, szerzącymi się pogłoskami i zarzutami, które w usposobieniu nerwowym po doznanym wielkim we wstrząsie załamania politycznego i bolesnego upokorzenia rozrastają się i stają groźne i bądź co bądź zmuszają do liczenia się i choćby do informowania (choć w istocie to nie wystarcza bynajmniej do zażegnania głębokiego kryzysu, jaki niewątpliwie istnieje i który, kto wie, czy się da przez rząd opanować bez głębokiej rekonstrukcji politycznej, bynajmniej nie wystarczającej w formie zmiany li tylko personalnej rządu). Nie tylko ujawniające się nastroje, pogłoski, wrzenie, ale już i takie wypadki, jak manifestacja poniedziałkowa w ogródku Muzeum Wojennego i próby pochodów licznych, jak wystąpienie gorące, choć może naiwne, sympatycznego dziennikarza Paleckiego w antrakcie teatru w samych dniach tragicznych ciosu ultymatowego, zmusiły rząd do próby odwołania się we wtorek do opinii publicznej – odwołania się zresztą poufnego.

27 marca, rok 1938, niedziela

A więc o wtorkowym zebraniu, zwołanym przez rząd dla „kontaktu ze społeczeństwem”. Forma dla tego „kontaktu” była wybrana przez rząd następująca: użyto pośrednictwa „Šaulių Sąjungi”, prosząc jej organy naczelne o zwołanie zebrania. Wódz wojskowy tej organizacji, oficer Saladžius, zapraszał telefonicznie – zaproszeń pisemnych nie było. Zebranie miało miejsce o godzinie ósmej wieczorem w jednej z sal „Karininkų Ramovė“. Zapraszając, Saladžius komunikował, że informacji o przebiegu wypadków i o sytuacji udzielać będą ministrowie Šiling i Lozoraitis. Byłem wielce zdziwiony zestawieniem tych dwóch osób, które, o ile wiem, zajęły w stosunku do ultimatum polskiego wręcz przeciwne pozycje, bo gdy Lozoraitis był za przyjęciem ultimatum i nawiązaniem stosunków z Polską, Šiling, jak głosi fama, żądał odrzucenia ultimatum i odpowiedzi nań przez zarządzenie mobilizacji, co by oznaczało wojnę. Zresztą nie tylko w tej chwili krytycznej, ale zasadniczo i od dawna Šiling i Lozoraitis, którzy w ogóle źle kwadrowali ze sobą w rządzie, przedstawiali dwa przeciwne kierunki, dwie różne i sprzeczne linie w tej trudnej kwestii stosunków z Polską. Lozoraitis wraz z posłem litewskim w Paryżu Klimasem już od roku 1935-1936 wzywali wyraźnie do normalizacji stosunków z Polską i do wprowadzenia giętszych metod do polityki litewskiej wobec sąsiadów i przestrzegali przed niebezpieczeństwem utrzymania linii nieprzejednanej z rozpalaniem jątrzeń antypolskich tak, jak gdyby świat, ewolucjonujący, niestety, od Ligi Narodów do systemu układów siły, działających na własną rękę, zamykał się na przestrzeni od Wierzbołowa do Janiszek i od Olity do Połągi. Istotnie, stara metoda polityki litewskiej, opierająca się na dogmacie układu suwalskiego z d. 7.X.1920 i na sabotażu wszelkich rokowań z Polską, mogła być stosowana skutecznie, dopóki się miało za sobą „parlament” Ligi Narodów, w którym można było wałkować sprawę do nieskończoności i rozcierać na miazgę słowną wszelkie zatargi ostrzejsze. Od czasu zapanowania w Niemczech rządów Hitlera w roku 1933 i od czasu zwłaszcza ugody polsko-niemieckiej z roku 1934, a potem w obliczu tych faktów w miarę stopniowego upadku Ligi Narodów poprzez sprawę abisyńską, hiszpańską, mandżurską, chińską i na koniec austriacką, poprzez secesję Niemiec, Japonii i Włoch z Ligi, poprzez wyrysowywanie się tzw. „osi Berlin-Rzym” – uwydatniała się coraz bardziej konieczność rewizji polityki litewskiej i konieczność zdobycia większej giętkości ruchów i lawirowania w stosunkach między potężnymi sąsiadami, Niemiec, Polski i Sowietów. Klimas dawno ostrzegał o tym. Dla tej giętkości niezbędna była rewizja zdogmatyzowanego stosunku do Polski – niekoniecznie bynajmniej w kierunku jakiegoś polonofilstwa, lecz w kierunku odprężenia właśnie dla zdobycia wolnych rąk do manewrowania. I może właśnie brak tych wolnych rąk doprowadził dziś do kapitulacji Litwy, z której może się

wyłonić jej już wasalne ustosunkowanie do Polski, co wydaje się już bardzo bliskim i prawdopodobnym, a co w obecnych pokapitulacyjnych warunkach Polska może zechcieć forsować i Litwa już wtedy wolność manewrowania straci. Lozoraitis dawno w tym kierunku urabiał rząd, ale największy sprzeciw temu tworzył w rządzie Šiling, z którym w tym względzie solidaryzował się „Wódz Narodu" Smetona, mający w „autorytarnym" ustroju władzy przewagę decydującą. Toteż zdziwiło mię bardzo, że do „kontaktu" ze społeczeństwem wydelegowani zostali Lozoraitis i Šiling – dwa antypody – ten, który swoim oporem doprowadził do tego, co zaszło, i ten, który ostrzegał i usiłował sparaliżować dojście do tego, co zaszło, ale jednak zrobić tego nie zdołał i nie zaprotestowania jego też nie doczekały tego, przed czym ostrzegał i sam musiał umaczać ręce w kapitulacji.

28 marca, rok 1938, poniedziałek

W dalszym ciągu o zwołanym przez rząd zebraniu społecznym ubiegłego wtorku. Sala się zapełniła szczelnie. Osób stawiło się ze 200. Byli dziennikarze, politycy, działacze społeczni, prezesi różnych organizacji z prezesami większych organizacji studenckich włącznie, wyżsi wojskowi, profesorowie, literaci, wysocy urzędnicy i dygnitarze, słowem – wszystko to, co uważano za mogące pokierować opinią publiczną.

Przyszli obaj zapowiedziani ministrowi – Šiling i Lozoraitis. Referował tylko Lozoraitis, Šiling żadnego koreferatu nie miał, tylko przewodniczył i na ostatku, po zapytaniach z łona zebranych i po odpowiedzi Lozoraitisa wygłosił rodzaj *résumé* krytycznego. Lozoraitis był widocznie znerwowany, co zresztą jest bardzo naturalne po przeżyciach dni poprzednich, ale był wyrazisty i ścisły i bardzo treściwie zreferował cały przebieg kryzysu. Dał kompletny obraz całego poruszenia dyplomacji zagranicznej w związku z ultimatum polskim, tło polityczne sytuacji, zabiegi dyplomatyczne w związku z ultimatum polskim, tło polityczne sytuacji, zabiegi dyplomatyczne Litwy i zabiegi zwłaszcza rządów francuskiego i angielskiego na rzecz Litwy. Praca czynników dyplomatycznych w tych dniach krytycznych 17-19 marca nie ustawała we dnie i w nocy. Uwydatniło się z całą wyrazistością, że na pomoc bezpośrednią czynną na wypadek odrzucenia ultimatum polskiego przez Litwę Litwa liczyć znikąd nie może i że w razie zatargu zbrojnego z Polską Litwa musiałaby walczyć sama jedna. Polskie siły zbrojne były skoncentrowane nad samą granicą litewską, część ich była zmotoryzowana. W Polsce była rozpętana dzika kampania publiczna przeciwko Litwie. Wszystkie państwa przyjazne Litwie i mające głos w sprawach międzynarodowych lub sąsiednie, jak Francja, Anglia, Sowiety, Niemcy, Włochy, były przez Litwę zainterpelowane, jak się zachowają i jak zareagują na ultimatum polskie. Wszystkie przyznawały, że forma żądania polskiego jest zbyt ostra; Niemcy i Włochy odrzekły zdawkowo, że będą działały łagodząco. Francja i Anglia udzieliły Litwie pomocy dyplomatycznej i kilkakrotnie interweniowały w Warszawie, aby mitygować ferwor polski Becka. Sowiety, na które Litwa ewentualnie liczyć mogła jako jedyną siłę, która by mogła zareagować czynnie i bezpośrednio, szachując Polskę z tyłu (co prawda, ta interwencja czynna Sowietów mogłaby rozpętać wielką wojnę europejską i sprowokować wystąpienie czynne Niemiec w kontakcie z Polską na Ukrainę i Białoruś, co by Litwę mogło całkiem zetrzeć), dalekie były od zdecydowania się na krok bezpośredni. Sowiety, zaangażowane z jednej strony w wielkie eksperymenty przebudowy socjalistycznej społeczeństwa i kraju, z drugiej – w procesy przeciwko opozycji własnej, ujawniające wielki i rozgałęziony spisek przewrotowy, fermentujący w ich własnym łonie, nie wyłączając wojskowości, nie są w tej chwili zdatne do przedsięwzięcia wielkiej wojny i nie zaryzykują jej dla sprawy litewskiej bez względu na istotną żywotność dla nich tej sprawy. Sowiety też ani na chwilę nie łudziły Litwy obietnicą pomocy czynnej i poradziły jej przyjęć ultimatum polskie. Zresztą wszystkie te państwa radziły Litwie zgadzać się na nawiązanie stosunków regularnych z Polską. To właśnie było jedną z sił manewru polskiego, że treść żądania sama w sobie była bardzo umiarkowana i tylko bezwzględną i upokarzającą była forma, bo normalizacja stosunków dyplomatycznych i sąsiedzkich sama przez się była Litwie od dawna przez wszystkie bez wyjątku państwa zalecana i ostatecznie sama Litwa zasadniczo temu nie oponowała, operując mową

tych stosunków tylko w swojej akcji politycznej wewnętrznej jako dogmatem. Ale forma ultymatywna żądań polskich przekraczała to skromne żądanie i miała w sobie cechę dyktatury i agresji, daleko wykraczającej poza treść żądania i stanowiącej akt metody, podporządkowującej Litwę Polsce. Przeciwko temu właśnie momentowi psychologicznemu agresji gorąco i czynnie zabiegała zwłaszcza Francja i także Anglia. Litwa jest tym państwom wdzięczna i ich interwencję uważa bądź co bądź za skuteczną. To ją bądź co bądź uchroniło od izolacji zupełnej, dało wrażenie solidarności międzynarodowej i zespołu jej sprawy w sprawę ogólną, a w jednym ważnym epizodzie dało jej nawet pewien ratunek konkretny.

29 marca, rok 1938, wtorek

O godzinie siódmej z minutami wieczorem przyjechał do Kowna automobilem z Grodna przez Augustów-Suwałki poseł polski Charwat, pierwszy poseł polski w Litwie Niepodległej. Wraz z nim przyjechał personel służbowy poselstwa. Daj Boże, żeby ten poseł polski, który przyjeżdża na skutek ultimatum polskiego i kapitulacji litewskiej, nie dążył do tego, by się stał rezydentem Rzeczypospolitej Polskiej w Republice Litewskiej albo wielkorządcą w rodzaju Repnina w wieku XVIII. Skądinąd zaś nie daj Boże, aby się znalazł ktoś sfanatyzowany, który by dokonał jakiegoś gwałtu na osobie posła polskiego lub chorągwi polskiej. Może już się trochę od dnia 19 marca uspokoiło, ale wtedy uczucie upokorzenia i buntu przeciwko brutalnemu aktowi Polski było tak wielkie, że można się było istotnie bać odruchów spontanicznych, przynajmniej jednostkowych. Właściwie nie jest się przeciwko indywidualnym wybrykom szaleńców gwarantowanym i teraz. Poseł Charwat z personelem poselstwa polskiego zatrzymał się na razie w „Metropolu". Przysłano mu na przyjazd do hotelu dużo kwiatów – z pewnością od Polaków miejscowych. Dziś także do Warszawy przyjechał poseł litewski Škirpa z personelem służbowym poselstwa, wśród którego jest także, na stanowisku pierwszego sekretarza poselstwa dr Antoni Trimakas, doskonały pracownik Ministerium Spraw Zagranicznych. Wybór Trimakasa jest doskonały. Jest to człowiek bardzo dobrze ułożony, miły, inteligentny, taktowny; żona jego jest bardzo ładna i ślicznie ułożona, ma niezmiernie dużo wdzięku, jest bardzo grzeczna i pod wszelkimi względami śliczna pani. Na stanowisku sekretarza poselstwa litewskiego w Sztokholmie oboje Trimakasowie zjednali sobie ogromne sympatie Szwedów i stali się bardzo w społeczeństwie szwedzkim popularni, oboje też dobrze mówią po szwedzku. Słychać, że w Warszawie przyjazd posła litewskiego stanowi sensację i że go tam będą przyjmować bardzo serdecznie. Nic dziwnego: o ile Litwa boi się Polski i jest nieufna, bo się czuje słabsza i boi się być w objęciach „braterskich" uduszona, zwłaszcza po doznanych ze strony Polski bolesnych ciosach w sprawie wileńskiej i w historii z ultimatum, o tyle Polska, czując się silniejsza, gotowa jest „gorąco" i szczerze „kochać" Litwę aż do unii z nią włącznie.

Ale wracam do zebrania z ubiegłego wtorku i do referatu sprawozdawczego ministra Lozoraitisa na tym zebraniu. Otóż jeszcze jeden epizod z historii o ultimatum i o interwencji dyplomatycznej Francji i Anglii. W dniach ultimatum, bezpośrednio przed wręczeniem ultimatum polskiego Litwie, w prasie zagranicznej (zdaje się, estońskiej) podawano szczegóły o treści tegoż o wiele radykalniejszej, niż te, które okazały się potem w tekście noty ultymatywnej. W szczególności jeden z punktów zawierał żądanie zmiany konstytucji litewskiej przez wykreślenie z niej artykułu, głoszącego, że stolicą Litwy jest Wilno. Gdyby takie żądanie było (a miały być i inne, nie mniej drastyczne), to pozycja Litwy byłaby jeszcze trudniejsza, niż była. Otóż na kilkakrotnie ponawiane terminowe zabiegi i przedstawienia posła francuskiego Beck ustąpił z żądania zmiany konstytucji litewskiej. Sądzę, że to był tylko manewr Becka, który umyślnie zastraszał i zapowiadał więcej, niż czego miał żądać, aby miał z czego ustąpić.

30 marca, rok 1938, środa

Znów wracam do owego zebrania z wtorku przed tygodniem, na którym rząd w osobach ministrów Šilinga i Lozoraitisa, w dwa dni po kapitulacji na ultimatum polskie, wszedł w „kontakt" ze społeczeństwem, aby zdać sprawę z przebiegu dramatu i z sytuacji, jaka zaistniała.

Lozoraitis bardzo reliefnie i dramatycznie zobrazował cały przebieg wypadków, nacechowanych brutalnością, skądinąd zaś uwydatniających, że choć Litwa niewątpliwie doświadczyła w tej potrzebie sympatii zwłaszcza swoich przyjaciół francuskich i angielskich, którzy czynili szczerze zabiegi u rządu polskiego na rzecz złagodzenia sytuacji i rzekomo coś niecoś wskórali, to jednak na żadną kategoryczną pomoc czynną w razie odrzucenia noty polskiej liczyć nie mogła, wobec czego innego wyjścia nie miała, jak ustąpić albo... przyjąć wojnę z Polską. A że merytorycznie samo nawiązanie regularnych stosunków dyplomatycznych z Polską, które stanowiło jedyną treść tego ultimatum, nie było samo przez się rzeczą zasadniczą, dla której Litwa miałaby potrzebę wojować, bo już była zdecydowana na tę normalizację stosunków i chodzić mogło tylko o oparcie się formie, a nie treści żądania polskiego, więc rząd się zdecydował na ustępstwo. Rząd uważał, że w tych warunkach ryzykować niepodległością nie było można. To, czego Polska w tak brutalny sposób zażądała, do tego sama Litwa coraz bardziej się już skłaniała i to już jej od dawna wszystkie inne państwa, nie wyłączając wszystkich sąsiadów i przyjaciół, zalecały. Mowa Lozoraitisa nacechowana była wielką szczerością i wrażenie zrobiło dobre. Lozoraitis podkreślał mocno, ze w ultimatum polskim nie było nic innego prócz żądania normalizacji stosunków dyplomatycznych i że rząd, przyjmując ultimatum, do niczego zgoła ponad to się nie zobowiązał i że przeto wszelkie pogłoski, obiegające w społeczeństwie i alarmujące o rzekomych innych dalej idących ustępstwach nie są na niczym zgoła oparte. Wzywał on przeto obecnych do tego, aby przeciwdziałali różnym pogłoskom i spekulacyjnemu alarmizmowi i nawoływał do solidarności, a nawet do jedności społeczeństwa z rządem w chwili tak ciężkiej, mogącej stanowić o losach państwa.

Po tym sprawozdawczym długim przemówieniu Lozoraitisa Šiling, który przewodniczył, zarządził przerwę. Było oznajmione, że mogą być zadawane przedstawicielom rządu pytania. Pierwszy na liście interpelujących byłem zapisany ja. Šiling udzielił mi głosu. Moja interpelacja streszczała się do dwóch pytań-zastrzeżeń. Pierwsze: rozumiem i zgadzam się, że przyjęcie ultimatum było koniecznością i że innego wyjścia nie było; daleki jestem od tego, żebym pod tym względem miał cokolwiek rządowi zarzucać; przyjmuję wszystko to, co powiedział Lozoraitis i niczego w tym nie kwestionuję; ale czy istotnie nie można było przewidzieć, że takie niebezpieczeństwo ultymatywne w zażądaniu normalizacji stosunków może nastać i czy rząd pod tym względem nie ponosi odpowiedzialności, że do tego dopuścił i że, skoro już sam uznaje, iż ta normalizacja sama przez się nie jest straszna i nie może być absolutnie negowana, nie uczynił odpowiedniego kroku w czasie właściwym, co by nie doprowadziło do tego ultimatum i do kapitulacji; czy nie można było już mniej więcej od roku 1933, kiedy się Hitler w Niemczech utrwalił, i od roku 1934, kiedy układ polsko-niemiecki nastąpił, jak również od czasu wypadków abisyńskich i hiszpańskich, kiedy Liga Narodów zaczęła blaknąć, a oś berlińsko-rzymska uwydatniać, czy nie można było przez te lata ostatnie pojąć, że linia polityczna Litwy wobec Polski, która była właściwa za czasów Ligi Narodów, staje się coraz mniej właściwa w tym nowym układzie sił i że trzeba się z niej wycofać, nie czekając rozkazu brutalnego.

31 marca, rok 1938, czwartek

Kontynuuję wczorajsze z wtorku sprzed dziesięciu dni. Słowem, mój pierwszy zarzut, skierowany w postaci pytania do rządu, streszczał się do tego, że skoro się okazało niezbędnym dokonać radykalnego przełomu w całej dotychczasowej zasadzie polityki litewskiej, utrzymywanej z całą bezwzględnością przez lat 18, to znaczy właściwie przez cały czas istnienia państwowości litewskiej, to czy nie było właściwiej i lepiej, żeby się to było dokonało nie w formie katastroficznego załamania się w warunkach dramatycznych, w atmosferze upokorzenia i kapitulacji na rozkaz przeciwnika, lecz w drodze samorzutnej rewizji tej zasady i zmiany linii politycznej bez formalnego i upokarzającego nacisku z zewnątrz. Wiem, że o ile chodzi o Lozoraitisa, to do niego osobiście zarzutu tego skierować nie można, bo Lozoraitis wraz z Klimasem dawno przewidzieli konieczność rewizji polityki litewskiej w stosunku do Polski i już przed paru laty zagadnienie to postawili wyraźnie; ale wtedy większość rządu – za działaniem zwłaszcza Šilinga i samego Smetony

– oparła się temu. Czy więc nie ponosi rząd odpowiedzialności za to, że nie przewidział tego, co zajść mogło i wreszcie zaszło i że nie uprzedził tego faktu przez zmianę stanowiska zawczasu? Nie można było naturalnie przewidzieć, kiedy i w jakiej formie to nastąpić może, nie można było z góry wiedzieć o katastroficznym „Anschlussie" Austrii, który stworzył atmosferę dla ultimatum Becka, nie można też było przewidzieć wypadku zabójstwa żołnierza polskiego na pograniczu litewskim w dniu 11 marca, ale przesłanki do tych możliwości już od lat kilku dojrzewały i rząd się do tych przesłanek zastosować i wyciągnąć konsekwencji zawczasu nie zdołał. Drugie moje pytanie było takie: rząd wzywa społeczeństwo do solidarności z rządem, do jedności w ciężkiej chwili dla państwa; jest to zupełnie zrozumiałe i konieczne w chwili, kiedy się może ważą losy Litwy; ale czy rząd nie jest zdania, że konsolidacja narodowa w społeczeństwie powinna znaleźć odbicie i w samym składzie personalnym rządu?

W dalszym ciągu powiem jeszcze o owym zebraniu wtorkowym z dnia 22 marca innym razem.

Dziś poseł polski Charwat doręczył listy uwierzytelniające prezydentowi Rzeczypospolitej Smetonie. Na gmachu hotelu litewskiego „Metropol", w którym mieszka czasowo poselstwo polskie, powiewa – po raz pierwszy od lat wielu – chorągiew polska, co jest wielką i niebywałą sensacją w Litwie. Jazda posła polskiego z asystą i w otoczeniu szwadronu honorowego huzarów przez miasto od hotelu do pałacu prezydenta też stanowiła sensację. Ulice okoliczne były pełne ludzi. Duże oddziały policji nie pozwalały się ludziom skupiać i strzegły pilnie, żeby nie dopuścić do jakichś ekscesów. Szczególnie licznie kręcili się zresztą Polacy, chcący może manifestować entuzjazm; ale możliwe były ewentualne i jakieś ekscesy lub akty nieobliczalne fanatyków indywidualnych lub prowokatorów. Toteż posła Charwata powieziono nie przez Laisvės Aleję, lecz naokoło ulicą Donelaitisa. Mówią, że poseł był nierad z tego i wyraził z tego powodu zdziwienie szefowi protokołu Girdvainisowi, który mu towarzyszył. Girdvainis próbował się wykręcić tym, że przy ul. Donelaitisa mieści się Bank Polski, który poseł może zobaczyć, na co podobno Charwat odpowiedział, że on jest posłem państwa polskiego i nic nie ma do Banku Polskiego, stanowiącego instytucję krajową Litwy. Z ceremoniału doręczenia listów uwierzytelniających usunięte zostało zwykłe w takich wypadkach złożenie przez posła wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza. W popularnej opinii litewskiej Polska tak jaskrawie się zaznaczyła jako czynnik, który przeciwdziałał niepodległości Litwy, że w obecnej sytuacji takie złożenie wieńca obrażałoby uczucie litewskie. Na oswojenie się trzeba co najmniej czasu.

1 kwietnia, rok 1938, piątek

Dalszy ciąg sprawozdania z wtorkowego sprzed dziesięciu dni zebrania sprawozdawczego rządu i społeczeństwa.

W szeregu mówców, którzy wystąpili z zapytaniami do rządu – bo tylko w tej postaci można było głos zabierać – ja przemawiałem pierwszy. Po mnie przemawiał jeszcze cały szereg innych mówców, ogółem do 30 osób. Właściwie dwa kapitalne pytania – to były te właśnie, które ja pierwszy sformułowałem: a. kwestia odpowiedzialności politycznej dotychczasowych kierowników polityki litewskiej za to, że nie zdołali oni uprzedzić wypadków i przez brak giętkości nie zdołali, odpowiednio przystosowując taktykę do warunków sytuacji, uniknąć tej formy upokarzającej i bolesnej, w jakiej została dokonana normalizacja stosunków z Polską i b. kwestia konsolidacji narodowej w rządzie. Ogromna większość pytań i komentarzy innych mówców w ten lub inny sposób dotyczyła tych samych dwóch kapitalnych kwestii. W mniejszym o wiele stopniu było podnoszone inne pytanie: co zrobił rząd i czy zrobił istotnie wszystko dla uwydatnienia i obliczenia sił narodowych i gotowości odpornej narodu wobec agresji polskiej, wyrażonej w ultimatum i pogróżkach polskich? To pytanie szło z tych kół, które są ewentualnie niezadowolone z kapitulacji i które chciałyby bądź wojny, bądź przynajmniej kapitulacji, zastrzeżonej postawą jak najgroźniejszą gotowości kategorycznej do obrony, gdyby Polska miała coś jeszcze ponadto zażądać. Właściwie i ci mówcy nie potępiali zasadniczo dokonanego ustępstwa i normalizacji stosunków polsko-litewskich samej w sobie, nie nawoływali do wojny *coûte y no coûte*, ale wskazywali, że ustępstwo rządu było

za ciche, zanadto spokojne, nie połączone z protestem i z energicznym męskim odwołaniem się do społeczeństwa dla uwydatnienia Polsce i światu całej niekryminalnej potęgi woli i energii narodu, tworzącego blok solidarny w najżywotniejszym zagadnieniu Niepodległości i Honoru. Właściwie jedyny, który jaskrawo myśl tę podniósł i uwydatnił, był Michał Biržiška, co też wywołało incydent. Michał Biržiška wystąpił z ostrą krytyką rządu w dniach tragicznych ultimatum. Postawił rządowi zarzut, że w takiej chwili, gdy całe społeczeństwo było poruszone i wzburzone do głębi aktem gwałtu, rząd zamknął się w konspiracyjnych obradach w cieniu gabinetów, nie wchodząc w żaden kontakt ze społeczeństwem, pozostawionym samemu sobie, trawionym bólem, nieświadomym ani stanu rzeczy, ani zamiarów rządu. To zignorowanie społeczeństwa i narodu w chwili, kiedy się losy państwa ważą, ta nieufność do narodu, to zupełne zaniedbanie rachuby sił żywych i energii narodowej, która by powinna zaważyć na decyzji, to jest grzech rządu, który mu Biržiška rzucił w twarz. Społeczeństwo – powiada Michał Biržiška – było jak tabaka w rogu; nie wiedziało ono nic ani o stanie realnym sytuacji, ani o dojrzewających decyzjach rządu, nie mogło też uwydatnić swojej gotowości czynnej. „Ja sam – powiada Biržiška – nie wiedziałem, dokąd się zwrócić, by się zapisać na ochotnika" – słowem, nic nie było zorganizowane, nic nie było zbadane i uwzględnione, cała sprawa była rozpoznawana i rozstrzygana gabinetowo, w konszachtach zakulisowych, w kabale konspiracyjnej, w wielkiej tajemnicy od społeczeństwa i narodu, chociaż chodziło o sprawę narodową, o rzecz największą, która jest dziełem woli i wysiłku nie jakiejś grupy jednostek, ale Narodu Litewskiego, który jako całość dokonał swego odrodzenia i niepodległości. Wreszcie zignorowanemu społeczeństwu rzucono wieść o kapitulacji. Dlaczego kapitulacji?! Nikt nie wiedział, dlaczego i czy to było konieczne. I nie tylko że tego dokonano w taki sposób, uwłaczający społeczeństwu i honorowi narodowemu, ale się z tym jeszcze nie wiedzieć dlaczego pośpieszono, nie wyczekawszy nawet końca terminu ultimatum, jak gdyby chodziło o wykazanie skwapliwości.

2 kwietnia, rok 1938, sobota

Ciąg dalszy o incydencie z Michałem Biržiška na zebraniu wtorkowym z d. 22 marca. O przemówieniu Biržiški pisałem wczoraj. Biržiška właściwie nie idealizował wojny z Polską, zarzucał rządowi nie to, że przyjął ultimatum polskie i że go nie odrzucił bezwzględnie, przyjmując wojnę, ale to, że rząd nie odwołał się wcale do społeczeństwa, zignorował je zupełnie, nie potraktował sprawy ultimatum w tej ciężkiej chwili jako sprawy wspólnej narodowej, którą cały naród podnieść i rozwiązać powinien, jeno ją rozwiązał sam w konspiracji gabinetów, rozwiązał pośpiesznie, jakby w strachu i bez żadnego zastanowienia, pozostawiając społeczeństwo w zupełnej nieświadomości i rozterce, oszołomione i niezorientowane, co się stało i dlaczego, czy istotnie trzeba było postąpić tak czy inaczej, co groziło, za jaką cenę ustąpiono, z czego zrezygnowano. W toku tego przemówienia Michał Biržiška, mocno poruszony i chcąc wyrazić tę myśl w zasadzie słuszną, że sam fakt ultimatum i nawet niebezpieczeństwo najgroźniejsze nie są jeszcze same przez się dla społeczeństwa argumentem bezwzględnym na rzecz kapitulacji, rzucił zdanie takie: „Bywają chwile i rzeczy, kiedy nawet utrata niepodległości państwowej nie jest wyjściem najgorszym i musi być poświęcona honorowi". Zdanie to wywołało na sali poruszenie, niektórzy zaszemrali, a pani Lozoraitisowa, żona ministra, zawołała z miejsca: „Co to, to nie!". Przewodniczący Šiling wezwał publiczność do zachowania spokoju i nie przerywania mówcy. Michał Biržiška zatrzymał się chwilę, zbladł, po czym ruszył do drzwi i w drzwiach się odwrócił do sali, plunął głośno i poszedł. Nastąpiło wielkie poruszenie, Šiling zarządził przerwę, sam rzucił się za Biržiška, by go odwołać, za nim rzucili się inni. Ze schodów usłyszałem jeszcze okrzyk gwałtowny Biržiški „Šalin!" (Precz!), po czym, gdym wraz z innymi wyszedł z sali, już ujrzałem Michała Biržiškę leżącego na platforemce schodów bez przytomności. Kręcili się koło niego lekarze, którzy się znaleźli wśród publiczności, niesiono mu wodę, cucono. Docucono się go wreszcie i odprowadzono do domu. Był to atak sercowy, który mu się już po raz drugi powtórzył w tym roku. Była to jedna z jaskrawych ilustracji zdenerwowania, jakie ogarnęło społeczeństwo w tych bolesnych dniach krytycznych. Zebranie potoczyło się jednak

dalej, ale wrażenie pozostało ciężkie. Wrócę jeszcze jutro do dokończenia tego zebrania, po czym jeszcze zanotuję inne niektóre fakty z tych dni bezpośrednio po kapitulacji litewskiej.

Powiem jeszcze kilka słów o kolacji jubileuszowej, którą dziś Wydział Prawniczy zarządził dla swego dziekana, prof. Augustyna Janulaitisa z okazji 60 rocznicy jego urodzin i 40 rocznicy jego działalności literacko-publicystycznej. Sam Janulaitis w jesieni kilkakrotnie mi o tym swoim jubileuszu nadmienił i wyrażał życzenie, aby ten jego jubileusz uczczono obchodem jakimś (to życzenie dosyć mię zdziwiło, bo ja bym dla siebie takiego obchodu nie pragnął i nie posądzałem Janulaitisa o taką próżność). W kolacji wzięli udział także prorektorowie i dziekani wydziałów oraz panie – żony obecnych na kolacji profesorów, w liczbie kilkunastu. Mowę kapitalną wygłosiłem ja, po czym przemawiali jeszcze sekretarz wydziału Antoni Tamošaitis, prof. Wacław Biržiška, prof. Piotr Leonas, pani profesora Šalčiusowa, prof. Zygmunt Žemaitis, dziekan Wydziału Technicznego prof. Wasilewski. Odpowiedział jubilat Janulaitis. Janulaitisa cenię i lubię, toteż z całego serca go pozdrawiałem i dałem dosyć wyczerpującą ocenę jego działalności życiowej – zaiste bardzo bogatej, ciekawej, głębokiej i romantycznej. Žemaitis swoim przemówieniem trochę mię zaczepił. Zazdrości mi on od dawna rektoratu i chętnie by mię zawsze kąsał, gdyby mógł. Pies szczeka, wiatr nosi szczekanie. Mało mię to porusza i nie dotyka wcale.

3 kwietnia, rok 1938, niedziela

Cały dzień nie wychodziłem z domu. Byłem niewyspany, bo się wczoraj po kolacji jubileuszowej dla Janulaitisa późno położyłem spać. Powietrze było brzydkie, słota wietrzna i chłodna. Do godziny ósmej wieczorem zakończyłem całą robotę moją podług programu dziennego i już gotów jestem iść spać.

Za długo już ciągnę w dzienniku opowieść o tym zarządzonym przez rząd zebraniu dla kontaktu ze społeczeństwem we wtorek d. 22 kwietnia. Po szeregu długim „pytań", a raczej przemówień z łona zebranych odpowiadał raz jeszcze Lozoraitis, a wreszcie rodzaj „*résumé*" uczynił przewodniczący zebraniu Šiling. Mówił po swojemu długo, mętnie, potokiem frazesów krasomówczych, którymi zdoła on białe uczynić czarnym i czarne – białym, nikogo zresztą, prócz samego siebie, nie zdołając przekonać, bo wszystko w jego rozumowaniu jest sztuczne, naciągane, akrobatyczne (sam jednak sugestionuje się swoim mówieniem i zawsze jest przekonany święcie o głębokiej prawdzie i mądrości tego, co mówi). Najistotniejsza kwestia, podniesiona w zapytaniach zebranych, mianowicie kwestia konsolidacji narodowej w rządzie, została przez Šilinga zbagatelizowana. Oświadczył, że ta kwestia wykracza poza zakres zebrania tego i nie może być tu rozpatrywana, albowiem jest to kwestia wiążąca się z ustrojem państwa i z formami konstrukcji władzy, które nie mogą być traktowane okolicznościowo. To zebranie nie dało więc skutków, jakich się po nim niektórzy spodziewali. Jedyne, co w nim było dodatnie, to informacja ścisła Lozoraitisa o przebiegu dni krytycznych.

Obecnie już nastąpiło znaczne uspokojenie; po wielkim wstrząsie stan umysłów wraca do względnej równowagi. W dniach krytycznych i w pierwszym tygodniu po nich wszystko było wzburzone jak morze po burzy. Najjaskrawsze incydenty znerwowania osobistego wyraziły się w epizodzie z Michałem Biržiška na zebraniu wtorkowym w d. 22 marca i w incydencie z mową dziennikarza Paleckiego w teatrze. Kiedyś, za rządów Chrześcijańskiej Demokracji, przed laty mniej więcej 14, gdy władze zarządziły zaaresztowanie obecnego prezydenta Antoniego Smetony, wówczas wodza opozycji narodowej, za nieuiszczenie jakiejś grzywny prasowej, w teatrze podczas antraktu nieżyjący już dziś ksiądz Tumas-Vaižgantas, człowiek wrażliwy i uczuciowy, wystąpił z mową jako głosem sumienia społecznego, protestującą przeciwko uwięzieniu człowieka, który był pierwszym prezydentem Litwy i jednym z najwybitniejszych, czystych i szanowanych wodzów ruchu narodowego i odbudowy państwa. Mowa Tumasa uczyniła wtedy wielkie wrażenie. Ona to natchnęła teraz Paleckiego, który w ten sam sposób, nie mogąc przebić muru cenzury w prasie, zabrał głos w teatrze *ex promptu* i wzywał rząd do kontaktu ze społeczeństwem oraz do konsolidacji

w obliczu tragicznego kryzysu państwa. Nie dano mu dokończyć; policja zainterweniowała i usunęła Paleckiego.

4 kwietnia, rok 1938, poniedziałek

Słyszałem dziś, ale ze źródeł mniej wiarogodnych, w każdym razie nie najlepiej poinformowanych, bo tylko od pewnego znajomego dziennikarza żydowskiego *minorum gentium*, że rzekomo poseł polski Charwat zaczyna już napomykać rządowi litewskiemu o konieczności ustalenia granic Litwy z Polską, a nawet rzekomo daje do zrozumienia, że mogłaby być uczyniona pewna rektyfikacja granicy; chodziłoby podobno o jakieś gminy na pograniczu w Suwalszczyźnie (Puńsk? okolice Sejn?). Nie wiem, ile w tym prawdy i nie bardzo jestem skłonny wierzyć, żeby to prawdą było, bo to i Polsce trudno zaczynać od ustępowania terytorium, choćby tylko gmin etnograficznie litewskich na pograniczu, i Litwie nie ma jak zamienić Puńsk na Wilno, wyrzekając się swej utęsknionej stolicy historycznej za odzyskanie litewskiego Puńska, a nawet ewentualnie Sejn, których zresztą Polska z pewnością nie ustąpi. Gdyby chodziło istotnie o jakieś drobne ustępstwo terytorialne ze strony Polski, to z pewnością mogłaby być mowa chyba tylko o pewnych drobiazgach w Suwalszczyźnie, bo od strony Wilna Polska nic nie da ze względu na kolej Grodno-Wilno-Dyneburg, która biegnie wzdłuż pogranicza litewskiego i której Polska przeciąć nie da.

Mnie się zdaje, że Polska popełniła gruby błąd polityczny, zdobywając w tej formie, w jakiej to zrobiła, normalizację stosunków z Litwą. Ultimatum polskie, poparte skoncentrowaniem wielkiej siły zbrojnej u granic Litwy, jak również cała groźna inscenizacja tej wymuszenia kapitulacji Litwy (moment psychologiczny – bezpośrednio po aneksji Austrii przez Niemcy, poprzedzenie ultimatum polskiego przez wizytę Becka u Mussoliniego i u Hitlera, rozpętanie kampanii czy raczej nagonki wiecowej antylitewskiej w Polsce, towarzyszącej temu ultimatum) – to nie są metody, którymi można zdobyć zaufanie i sympatię narodu, do którego się te metody zastosowało, zwłaszcza zaś Litwinów, którzy z natury są nieufni, twardzi i zacięci i których przez lat dwadzieścia boli krzywda, doznana od Polski przy samym tworzeniu niepodległości litewskiej; to nie są też metody, zdatne do wytworzenia atmosfery szczerości i pojednania, do których nawołuje Polska. Jeżeli więc istotnie Polsce chodzi o szczere i, jak prasa i opinia polska głosi, serdeczne porozumienie z Litwą, a nawet nie o tę serdeczność, ale przynajmniej o pozyskanie Litwy do polskiej kombinacji bloku politycznego bałtyckiego, jeżeli Polska nie nosi się w swoich planach z nowymi ultimatami do forsowania Litwy raz po raz aż do zupełnego zmiażdżenia niepodległości tejże, to złą drogą rozpoczęła to dzieło. Albo nie zna ona Litwy wcale i łudzi się co do odporności narodowej litewskiej, albo kierownicy polityki polskiej są złymi politykami i równie złymi psychologami; upokorzeniem i policzkami nie zjednywa się narodów. Tym bardziej był to błąd, szkodzący samej Polsce, że w istocie to nie było niezbędne. Ten sam skutek można było osiągnąć w owej chwili bez ultimatum. Chwila sama przez się była tak ciężka psychologicznie, że Litwa na normalizację stosunków byłaby poszła dla samego uniknięcia ultimatum. Należy chyba tłumaczyć jaskrawość dramatyczną ultimatum względami polskiej polityki wewnętrznej, dla której trzeba było jaskrawego efektu zewnętrznego i sukcesu, aby zdobyć zachwianą sytuację rządu. Jeżeli zaś Polska zamierza kroczyć tą drogą w stosunku do Litwy dalej, nie cofając się ewentualnie przed jej zgwałceniem fizycznym, to będzie toteż błąd i nieostrożność Polski, bo Litwa, nawet ujarzmiona i wcielona, nie będzie orzechem łatwym i pokarmem dla Polski strawnym. Tak lub owak – Polska się przerachowuje, choć pozornie święci zwycięstwo. Litwę czekać jeszcze mogą ciężkie doświadczenia, ale dla Polski nie będzie ona stanowiła ani łatwej zdobyczy, ani giętkiego narzędzia.

5 kwietnia, rok 1938, wtorek

Poruszę teraz sprawę naszego małżeństwa z Jadzią. Od tygodnia nie pisałem o tym, a czas biegnie i może już tylko dwa tygodnie dzielą mnie od tej daty, kiedy w Rydze klamka zapadnie. Podług wskazówek adwokata Berentsa, zrobiłem dlań z Jadzią plenipotencję notarialną na zgłoszenie w naszym imieniu podania do urzędu aktów stanu cywilnego w Rydze na rzecz udzielenia nam ślubu

i dokonania ogłoszeń zapowiedziowych. Jednocześnie wysłałem mu metryki urodzeń moją i Jadzi oraz zapełniony szablon wiadomości personalnych o nas. Poprzednio zaś wysłałem mu mój akt rozwodowy. Obecnie czekam od adwokata Berentsa zawiadomienia o dniu, w którym zostały dokonane zapowiedzi. Od tego dnia za dwa tygodnie można już brać ślub. Chciałbym to zrobić w końcu świąt wielkanocnych przed samą Niedzielą Przewodnią. Spodziewam się, że w Rydze wszystko jest na dobrej drodze, bo gdyby jeszcze czegoś brakowało, to adwokat by mię pośpieszył zawiadomić. Czekam teraz listu od niego. W stanie Jadzi – żadnych zmian. Cicha jest, spokojna i równa. W rozwoju ciąży żadnych objawów widocznych nowych nie ma.

Przechodzę znowu do spraw publicznych. Na ogół uspokojenie w społeczeństwie jest wielkie. Po pierwszym tygodniu, który był burzliwy, obecnie już od dziesięciu dni cicho i spokojnie. Czuć ukojenie. W pierwszym tygodniu po przyjęciu przez Litwę ultimatum polskiego było ogromne poruszenie. Ludzie się nerwowali, poszczególne wrażliwsze jednostki traciły równowagę (incydent z Michałem Biržišką, z dziennikarzem Paleckim), młodzież akademicka, šaulysy – burzyli się. W poniedziałek 21 kwietnia były pogłoski o zamierzonym przez młodzież akademicką wiecu samorzutnym na uniwersytecie i pochodzie na Grób Nieznanego Żołnierza dla złożenia wieńca. Minister oświaty Tonkunas uprzedzał mię o tym, prosił o zarządzenie środków, aby do tego nie doszło, o oddziaływanie na młodzież przez zarządy organizacji studenckich. Mówił, że z kół młodzieży odzywano się, że gdyby rektor nie pozwolił na wiec, to się jednak młodzież werwie do uniwersytetu i samorzutnie wiec urządzi. Prorektor Purėnas konferował z przywódcami głównych kierunków młodzieży, wpływając na uspokojenie. Tego dnia miałem wieczorem wykład. Nic na uniwersytecie nie zaszło. Ale za to odbyła się manifestacja patriotyczna u Grobu Nieznanego Żołnierza. Zebrało się tam mnóstwo młodzieży akademickiej, przymaszerował jakiś oddział „šaulysów" i jakiś oddział Związku Ochotników z Wojen o Niepodległość. Zgromadziły się też naturalnie tłumy gapiów oraz pstrej publiczności, żądnej nie tyle podniosłych uczuć patriotycznych, ile sensacji i widowiska. Można się zawsze w takich razach obawiać działania prowokatorów w tłumie. Obeszło się bez wielkich rzeczy. Złożony został wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. Z ramienia Muzeum Wojennego do tłumu przemówił okolicznościowo generał Nagiewicz, kończąc przemówienie wezwaniem do spokojnego rozejścia się i niezagęszczenia atmosfery. Publiczność usiłowała formować pochody, żeby iść do prezydentury, ale oddziały policji nie dopuściły do tego. Tłum maszerował chodnikami, śpiewając piosenki litewskie, treści zresztą nie politycznej. U wejścia do wielkiego gmachu uniwersyteckiego duże grono młodzieży akademickiej długo stało i śpiewało, zresztą piosnki niewinne. Naprzeciwko gromadziło się zbiegowisko, ale to po chodnikach tylko; jezdnia była wolna. Skończyło się na tym, że policja rozproszyła tłum przez zastosowanie gazów płaczących.

6 kwietnia, rok 1938, środa

O pośle polskim Charwacie, którego obecność w Kownie, niesłychana przez cały czas istnienia niepodległej Litwy, wciąż jeszcze stanowi sensację (chociaż bądź co bądź już się znacznie z faktem oswojono), o pośle Charwacie – powiadam – zaczyna się w społeczeństwie litewskim formować opinia dodatnia. Na przyjazd jego Polacy miejscowi gotowali się do aktów hołdowniczych i demonstrowania radości, a nawet niemal uległości, jak gdyby to miał być jakiś ich władca prawowity. Zakupiono dlań i posłano mu mnóstwo kwiatów, w dniu jego uroczystego doręczenia prezydentowi Rzeczypospolitej listów uwierzytelniających całe rzesze Polaków miejscowych krążyły dokoła hotelu, w którym zamieszkał Charwat, gotując się do manifestacji uczuć, gdyby się dało, Kowno zapełniło się całymi tłumami ziemian polskich, przybyłych z prowincji, którzy w restauracjach i knajpach zachowywali się demonstracyjnie, usiłowali zamawiać u orkiestry mazura, na ulicach rozbrzmiewała demonstracyjnie mowa polska, młodzież gimnazjalna polska kręciła się po ulicach i zachowywała się demonstracyjnie, a nawet wyzywająco czasem. Jednego z pierwszych dni po przyjeździe Charwata Polacy miejscowi, którzy się licznie zjechali, uformowali delegację organizacji polskich, która się zgłosiła do Charwata i wystąpiła z przemówieniem powitalnym. Był to

rodzaj aktu hołdowniczego. Wprawdzie można zrozumieć uczucia Polaków litewskich, którzy zachowali miłość i tęsknotę do Polski i przez długie lata czuli się tu upośledzeni i dotknięci ostrą niechęcią społeczeństwa litewskiego (do czego się sami zresztą także przyczynili, bo nie byli dobrymi i życzliwymi obywatelami kraju); można zrozumieć, że nawiązanie stosunków Litwy z Polską i perspektywa pojednania mogła w sercach Polaków litewskich obudzić nawet entuzjazm, toteż samo przez się powitanie przez nich serdeczne pierwszego posła Rzeczypospolitej Polskiej nie byłoby zdrożne ani dziwne; jednak niewątpliwie było w tym więcej niż tylko powitanie serdeczne; młodsze elementy Polaków litewskich skłonne już są hołdować nacjonalizmowi agresywnemu, prowokującemu ni mniej, ni więcej, jak zabór Litwy przez Polskę; chcą się one czuć za kolonię państwowości polskiej, za forpocztę najazdu i okiełznania Litwy; ten nacjonalizm agresywny młodzieży polskiej reaguje poniekąd i na umiarkowańsze elementy starsze, które boją się skompromitować w oczach młodzieży i okazać się nie dość „patriotycznymi", a przez to zachwiać swoje wpływy. Ale uczucie uczuciami, a obowiązek obywatelski wobec państwa, do którego się należy i honor swego państwa oraz szacunek dla dramatu, jaki przeżywa Litwa ze względu na warunki i okoliczności, w jakich się nawiązały stosunki z Polską, szacunek, który nawet sama Polska stara się okazać i zachować – powinny były skłonić tych ludzi do umiarkowania i taktu i do umiaru w manifestowaniu hołdownictwa posłowi polskiemu. Ale ci, co sami się uskarżają na upośledzenie obywatelskie w Litwie, nie umieją swego obywatelstwa lojalnie wykonywać i w chwili upokorzenia kraju pogłębiają to upokorzenie przez demonstracyjny hołd temu, od którego to upokorzenie przyszło. Sama Polska, jak się dotąd wydaje, stara się zatrzeć to wrażenie upokorzenia i bądź co bądź nie drażnić uczuć Litwy, łagodzić nastroje i zachować wszystkie formy traktowania Litwy jako państwa zwierzchniczego i zaprzyjaźnionego, nie zaś zgwałconego. I trzeba było samemu posłowi polskiemu uczyć polskich obywateli Litwy umiaru i obowiązku obywatelskiego. W imieniu delegacji Polaków litewskich przemawiał hrabia Jan Przeździecki z Rakiszek jako prezes zarządu głównej organizacji kulturalno-oświatowej polskiej w Litwie – „Pochodni". Czy przemawiali jeszcze inni członkowie tej delegacji, w imieniu innych organizacji polskich – nie wiem. Jak mi pisze Eugeniusz Römer, który zresztą do delegacji tej nie należał i nawet prywatnie nie wizytował Charwata, choć go zna dobrze z Rygi, bo Eugeniusz, choć jest Polakiem gorącym i kategorycznym, niegdyś nawet endekiem, jest jednak człowiekiem i rozeznanym, i subtelnym, który ma głęboki zmysł obywatelstwa, prawa i sprawiedliwości oraz umie wyczuwać subtelnie psychologię ludzką i wzgląd litewską, otóż Eugeniusz mi pisze, że Charwat delegację „zlał zimną wodą".

7 kwietnia, rok 1938, czwartek

Jak mi pisze Eugeniusz Römer, który, jako wybitny działacz miejscowy polski, jest w tym względzie informatorem najwiarygodniejszym, Charwat zlał delegację polską zimną wodą. Z kół Polaków miejscowych spodziewano się widocznie, że poseł polski Charwat stanie na stanowisku protektora i rzecznika mniejszości polskiej krajowej, będzie dla niej rodzajem namiestnika jej władzy prawowitej, dzielącym ją od władz państwowych Litwy, że nawiąże z Polakami miejscowymi jakieś stosunki szczególne jako jedna strona przeciwko państwowej stronie litewskiej. Tymczasem Charwat zachował się wobec delegacji z wielkim taktem względem Litwy i dał jej nauczkę, a właściwie zamaskowaną reprymendę. Zaznaczył, że jest on przedstawicielem państwa polskiego i że jego misją jest prowadzenie stosunków międzypaństwowych między Polską a Litwą, nie zaś interwencja w stosunki wewnętrzne litewskie, czego on czynić nie może. Zalecił Polakom litewskim pracę, równowagę i utrzymanie jedności. Zręcznie wywinął się z roli, którą mu przedstawiciele organizacji polskich nawiązać usiłowali. Podobno dał im nawet do zrozumienia, że nie bardzo życzy i może wchodzić w bliższe stosunki towarzyskie ze sferami lokalnymi polskimi. Wszystko to jest bardzo mądre i dodatnie w zachowaniu się Charwata, świadczące o wielkim jego takcie i wyrobieniu dyplomatycznym. Gdyby się zanadto zaangażował w stosunki miejscowe polskie, to w społeczeństwie litewskim straciłby zaufanie; liczono by, że prowadzi jakąś intrygę, że usiłuje prowadzić jakąś politykę wewnętrzną, że się miesza do spraw wewnętrznych Litwy i jakąś akcję tu

prowadzi, że jest nie posłem państwa polskiego dla stosunków międzypaństwowych z Litwą, ale jakimś agentem politycznym polskim w Litwie; to by utrudniło spełnienie jego zadań dyplomatycznych i naraziło ten tak trudno nawiązany kontakt dyplomatyczny na fiasko albo na nowe wstrząsy; społeczeństwo i rząd litewski wyczułyby w nim nie posła Polski, ale jakiegoś nasłanego rezydenta i wielkorządcy, protektora „dysydentów" narodowych. Byłoby to szczególnie niebezpieczne teraz, gdy społeczeństwo litewskie, po świeżo doznanym i boleśnie wyczutym upokorzeniu, jest szczególnie wrażliwe pod tym względem i nieufne wobec zamiarów Polski. Eugeniusz Römer, który jest mądry i subtelny, całkowicie aprobuje zachowanie się Charwata. Ludzie starszego pokolenia, jak powiada Eugeniusz, zrozumieli Charwata, ale młodzież miejscowa polska, w której dominują prądy agresywne i nieprzejednane, krzywi się na te rezerwy taktu; chciałaby ona nie umiarkowania, ale raczej właśnie zaognienia, prowokacji nowych zatargów i zapewne gwałtów *usque ad finem*. W kołach litewskich, jak się przekonałem, wiedzą dobrze o tym przyjęciu delegacji polskiej przez Charwata. Powiadają nawet, że Charwat nawet nie poprosił delegacji usiąść. Społeczeństwo litewskie traktuje zachowanie się Charwata z uznaniem.

8 kwietnia, rok 1938, piątek

W sprawie aktu małżeństwa naszego wszystko już jest na dobrej drodze. Od adwokata Berentsa z Rygi miałem już list, w którym mi donosi, że ogłoszenie o zapowiedziach już uczynione i w dniu 18 kwietnia upłynie termin dwutygodniowy, a zatem można już będzie sporządzić akt. Chcemy z Jadzią udać się do Rygi w ostatnich dniach przed Niedzielą Przewodnią, aby już z Rygi powrócić wprost do Kowna. Nie chcemy zawierać małżeństwa w piątek 22 kwietnia, bo to dzień rocznicy śmierci śp. Maryńki Budkiewiczowej. Wyznaczamy więc termin aktu na dzień 23 kwietnia w sobotę, to znaczy na św. Jerzy. Obrączki ślubne Jadźka już kupiła; są bardzo ładne; bardzo wąskie, jak się teraz robi, i wypukłe. Do aktu małżeńskiego wymagani są dwaj świadkowie; jednym z nich będzie adwokat Berents, który się sam ofiarował; na drugiego umyśliliśmy zaprosić Feliksa Mackusa, który przez szereg lat był naszym domownikiem. Mackus się chętnie zgodził. Robimy starania o paszport dla niego. Na święta wielkanocne ma on być w Narkunach u swojej matki, toteż stamtąd udałby się do Rygi w piątek 22 kwietnia razem z nami z Abel przez Dyneburg. Dzięki więc Bogu, rzecz dochodzi do skutku i jeżeli Pan Bóg pozwoli urodzić się szczęśliwie naszemu dziecku – synowi czy córce (Jadzia wierzy święcie i jest przekonana, że będzie syn) – to dziecko nasze będzie miało rodziców ślubnych i przeto będzie miało sytuację prawną właściwą, jaka się należy Michałowi V Römerowi albo Römerównie z krwi mojej. I nie będzie skrzywdzona Jadzia.

W sytuacji politycznej jest pewne *détente* – to niewątpliwe. Mam na myśli uspokojenie umysłów w przedmiocie nawiązania stosunków z Polską. Ale czy to uspokojenie umysłów i *détente* są istotne – nie wiem. Pewny tego nie jestem. W sytuacji Litwinów w Wilnie bądź co bądź nie nastąpiło żadnych zgoła zmian dodatnich, które by mogły uczynić dobre wrażenie na opinię litewską u nas. Litwini, którzy po doznanym upokorzeniu są naturalnie bardzo wrażliwi, każdy gest czy komentarz polski notują. Są rzeczy, które ich boleśnie dotknęły w mowie Becka w Senacie już po przyjęciu przez Litwę ultimatum. Może proces uspokojenia szedłby równiej i gładziej, gdyby go nie jątrzyła rywalizacja stronnicza czynników rządowych i opozycyjnych. Temu by mogła zapobiec tylko konsolidacja narodowa, przeciwko której jednak rząd jest usposobiony radykalnie. Obie strony usiłują tak w prasie (prasa rządowa jawnie, prasa opozycyjna – drogą okrężną między wierszami, stosując się do warunków cenzury), jak w agitowaniu opinii publicznej ujaskrawiać niebezpieczeństwo polskie i jątrzyć niepokój i wrażliwość, żeby mieć argument na swoje cele polityczne w walce o władzę. Opozycja spekuluje na ujaskrawianiu niebezpieczeństwa polskiego, żeby popierać postulat konsolidacji, otwierający jej drogę do współudziału we władzy. Usiłuje niemal przedstawiać, że Litwa zginie z rąk Polski, gdy rządy państwa pozostaną w rękach rządowców. Czynniki rządowe odwrotnie usiłują rzecz przedstawić tak, że tylko rząd obecny narodowców jest w stanie rozwinąć i zapewnić odporność Litwy, zaś koalicja jest pożądana dla

Polski i zgotuje kapitulację Litwy. Obie przeto strony dla własnych celów politycznych wewnętrznych rozdmuchują niebezpieczeństwo polskie i utrzymują niepokój nerwowy umysłów.

Kwestia tej konsolidacji narodowej, która, moim zdaniem, byłaby bardzo dodatnią – od początku załamania byłem jej zwolennikiem – moim zdaniem, została jednak wprowadzona na tory niewłaściwe. Podług głębokiego przekonania mojego, chodziłoby o konsolidację przez dobór osób w rządzie i uzgodnienie prądów nurtujących społeczeństwo, ale nie o koalicję starych partii z Chrześcijańską Demokracją zachłanną, reprezentowaną przez mastodontów wszystkich dawnych rządów, które były w Litwie w ciągu lat dwudziestu. Skojarzenie takiej koalicji i złączenie mechaniczne tych wszystkich panów politykujących, którzy wszyscy, każdy po kolei, robili te same błędy i którzy się nienawidzą wzajemnie i zazdroszczą jedni innym władzy – to by była karykatura na rzecz usiłowań wykiwania konkurentów i ulżenie swojej zachłanności. Ale właśnie na tę drogę skierowali zagadnienia konsolidacji chytrzy spekulanci chrześcijańsko-demokratyczni z Karvelisem, Bistrasem i Stulgińskim na czele. Oni to sfabrykowali memoriał-odezwę, podpisany przez tych obrzydliwych dziadów przeszłości i uczynili z niego szmatę sztandarową dla zdrowego skądinąd żądania konsolidacji.

9 kwietnia, rok 1938, sobota

To, o czym wczoraj w dzienniku pisać zacząłem, mianowicie memorandum-odezwa starych „wodzów" partyjnych opozycji, nagle dziś zaciążyła ciężkim niespodziewanym kryzysem na uniwersytecie, kryzysem, który bardzo prawdopodobnie kres położy i mojemu rektoratowi. O tym, co w tym względzie dziś zaszło i dotknęło bezpośrednio uniwersytet, jak również o zajętym przeze mnie stanowisku i przedsięwziętej przeze mnie akcji napiszę nieco później. Wpierw powiem jeszcze o samym owym akcie. Dokument ten podpisany jest przez dziesięciu ludzi, stanowiących „śmietankę" opozycji starych wykiwanych przez obecne rządy partii politycznych, które niegdyś były u władzy. Przede wszystkim figurują tam na czele dwaj „byli prezydenci Rzeczypospolitej" – Aleksander Stulgiński i dr Kazimierz Grinius. Dalej idą cztery główni firmowi macherzy Chrześcijańskiej Demokracji, jej stare filary rządowe, jej ex-ministrowie i niegdyś wielkie potęgi, które trzęsły Litwę, a zaznaczyły się w jej rządach ówczesnych jak najgorzej – pp. Bistras, Karvelis, Tumėnas i Krupowicz, z których Karvelis i Bistras wraz ze Stulgińskim są też obecnie główną sprężyną spekulacji politycznej starego sztabu klerykalnego na rzecz odzyskania władzy. Dalej w liczbie podpisanych figuruje lider stary ludowców, ex-premier rządu lewicowego z roku 1926, obalonego przez przewrót grudniowy z tegoż roku, ideolog koalicji opozycyjnej choćby z samym diabłem, byle przeciw rządowi, stary Piotr Leonas, obecnie radykał i zacięty opozycjonista, takiż, jak Michał Slażewicz, ideolog koalicji opozycyjnej i paskudzenia rządowi *usque ad finem*, namiętnie tchnący nienawiścią do całego rządu Smetony i narodowców, i wreszcie dwaj szczątkowi socjalni demokraci – czysty jak kryształ Stefan Kairys i... nasz prorektor Purėnas. On to też głównie sprowadził teraz na uniwersytet burzę, która się zaczyna wywiązywać. Dokument ten, wydany bezpośrednio po kapitulacji Litwy z d. 19 marca na ultimatum polskie, w ostrych i bolesnych dla rządu słowach zarzuca mu, że to on dopuścił do tego, iż Litwa zmuszona została do kapitulacji i upokorzenia, grożącego jej niepodległości, chociaż rząd miewał okazje doprowadzić do stosunków z Polską w sposób nie uwłaczający ani honorowi Litwy, ani jej bezpieczeństwu, co uczynić w swoim czasie zaniedbał i co stanowi logiczną konsekwencję tego, że się nie opierał na narodzie, że nie tylko nie zdołał scementować sił społecznych narodów, w których tkwi moc niespożyta niepodległości, ale w istocie naród rozdwoił, rozdzielił, zdemoralizował siły narodu metodami rządów policyjnych itp. Podpisani żądają niezwłocznego ustąpienia całego rządu, utworzenia koalicji rządowej (to jest „clou" spekulacji chrześcijańsko-demokratycznej) i reformy ustroju na rzecz demokracji. Gdyby nie pewne poważne zastrzeżenia, które dla mnie płyną głównie z tego, że w tej kompanii są spekulanci polityczni Chrześcijańskiej Demokracji, którym bezwzględnie nie ufam i o których jestem święcie przekonany, że o nic innego im nie chodzi, jak o zmonopolizowanie władzy dla siebie, i że gdyby narodowcy zaprosili ich do spółki, to dorwawszy się do władzy, natychmiast bez żadnej ceremonii

kopnęliby swych obecnych wspólników z lewicy, to w gruncie rzeczy merytorycznie dużo byłoby prawdy w tezach tego dokumentu (chociaż z wielu poprawkami, np. co do konsolidacji, nie zaś koalicji, również co do pewnej zbytniej ostrości wyrażeń, wreszcie co do tego, że dużo w tym, co się zarzuca, jest współwiny tych, co zarzucają... itd. zresztą). Wśród tych, co podpisali, figuruje i Purėnas. Zaraz po wydaniu tego elaboratu Purėnas był zgłosił się do mnie jako rektora i swego zwierzchnika akademickiego, złożył mi jeden egzemplarz tej odezwy i bardzo poruszony, z góry uprzedził, że podpisanie tego aktu uważał za swój obowiązek obywatelski i że o ile na skutek tego podpisania układu zażądają jego dymisji, on się dobrowolnie do dymisji nie poda i będzie czekał, aż go usuną przymusowo.

10 kwietnia, rok 1938, niedziela

Wczoraj wieczorem wyjechała już do Bohdaniszek na święta wielkanocne Jadzia i wywiozła Stenię i Renię. Ja zostałem jeszcze na dzień dzisiejszy i dziś wieczorem z docentem Antonim Tamošaitisem jadę do Kłajpedy dla wzięcia udziału w wyznaczonych na jutro egzaminach sądowo-referendarskich. Z Kłajpedy udam się już wprost do Bohdaniszek. Da Bóg, że wrócimy z Jadźką do Kowna już w charakterze formalnych małżonków, aby odtąd spokojnie czekać przyjścia na świat syna lub córki, będącego już w drodze. Po raz drugi w życiu mam się żenić formalnie, zakładać formalnie rodzinę – w jakże różnych warunkach. Po ślubie nie skończą się naturalnie związane z tym najróżniejsze zastrzeżenia i „ale”, a może i przykrości z ramienia krewnych, a może nieraz i z ramienia znajomych, przyjaciół i kolegów kowieńskich. Dopiero się wtedy zaczną. Ale mniejsza z tym: nie dla nich i nie dla świata to robię, jeno dla nas z Jadzią i dla przyszłego dziecka lub dzieci (*l'appétit vient en mangeant*) naszych.

Przechodzę do sprawy uniwersyteckiej, związanej z głośną deklaracją dziesięciu przywódców partyjnych opozycji, w których liczbie figuruje nasz prorektor Purėnas. Purėnas powiada, że podpisanie tego aktu uważał za swój obowiązek obywatelski i że zrobił to zupełnie świadomie, dając wyraz swoim przekonaniom najgłębszym w tej ciężkiej dla narodu i państwa chwili. Potępienie rządów arbitralnych kliki rządzącej, nie opartych na inicjatywie swobodnej obywateli i stąd odpowiedzialnych za doprowadzenie do upokarzającej kapitulacji, jak również żądanie koalicji międzypartyjnej jest, jego zdaniem, postulatem państwowym jedynym i historycznym w tej chwili. Dlatego z góry mi był oświadczył, że zdecydowany jest ponieść wszystkie konsekwencje, ale dobrowolnie nie zaprze się tego kroku i nie będzie ani się cofał i bił w piersi, ani też nie poda się dymisji, gdyby tego od niego zażądano. Że Purėnas działał szczerze, z przekonania – w to nie wątpię. Szacunek mam dla niego zupełny. Skądinąd mam głębokie przeświadczenie, że był to wyraz nie tyle pewnego krytycznego aktu świadomości i woli jego, ile: a. wyraz i skutek pewnego poczucia honoru (*noblesse oblige*) człowieka, który całe życie był socjalnym demokratą i dla którego odmowa podpisania tego aktu stanowiłaby pozór zaprzaństwa; na zaprzaństwo zaś Purėnas nie pójdzie – zbyt jest na to uczciwy; gdy podpisał Kairys i gdy tegoż zdania jest jego żona, Purėnasowa, kategoryczna socjalna demokratka, to nie ma mowy o tym, żeby odmówił podpisania Purėnas; b. Purėnas jest niewolnikiem szablonu esdeckiego, z władzy którego wyzwolić się i rozumować samodzielnie nie może i nie umie, a nawet nie próbuje, bo to się już w jego naturę wżarło; rozumuje on i czuje tym szablonem i pod tym względem nic go nie przerobi.

Szanując podmiotową bezinteresowność przesłanek psychicznych Purėnasa i uznając jego pobudki nie tyle przekonania krytycznego, ich honoru i czystości nieskazitelnej, osobiście nie podzielam bynajmniej przekonania o dodatniej wartości przedmiotowej tego aktu. Wyraźnie mówię Purėnasowi i innym, co temu aktowi zarzucam. W szczególności zarzucam co następuje. Przede wszystkim, Purėnasowi zarzucam to, że akt ten podpisał, jako prorektor, wyraźnie to w podpisie zaznaczając (prof. A. Purėnas „Vytauto Didžiojo Universiteto prorektorius”). Co to ma wspólnego ze stanowiskiem prorektora? Nie należy to zgoła do obowiązków służbowych i społecznych organu akademickiego, z natury rzeczy apolitycznego. Sam powiada, że podpisał z tytułu obowiązku obywatelskiego, a więc nie prorektorskiego. Skoro inni podpisali w charakterze bądź byłych

prezydentów Rzeczypospolitej, bądź byłych ministrów, byłych wiceprezesów Sejmu (Kairys), to i Purėnas mógł podpisać w charakterze np. byłego posła na Sejm Ustawodawczy. Z tym zarzutem sam Purėnas się zgadza i przyznaje, że niepotrzebnie wciągnął do polityki swoje kwalifikacje akademickie. To jedno. Drugi mój zarzut, bardziej merytoryczny, to ten, że enuncjacja ta jest adresowana nie tylko do rządu, ale też do „Narodu”. Bardzo szumnie. Nie jest to więc tylko memoriał, ale także odezwa, *sui generis* „manifest” pretensjonalny byłych „wielkich ludzi”, byłych filarów – do wiernego ludu! Jest to co najmniej niesmaczne i pretensjonalne. I zarazem potwierdza to tę okoliczność, której Purėnas zaprzecza: że było to przeznaczone do agitacji, do rozpowszechnienia. Purėnas powiada, że rozpowszechnienie tego aktu w postaci odezw ulotnych nastąpiło bez jego wiedzy i udziału, bo miało to być skierowane tylko do rządu i do redakcji dzienników. Jeżeli więc poza rządem tylko do redakcji dzienników, to należało temu nadać formę listu do redakcji, komunikującego memoriał do rządu. Manifest do narodu – to pasowanie siebie na ojców narodu, mających tytuły do szczególnej wielkości. Ja bym takiego manifestu nie podpisał, choćby miał on formę inną. Przez to właśnie ten dokument tchnie zarozumiałością arogancką macherów i spekulantów, którzy uwikłali Purėnasa i niektórych innych w swoją sieć spekulacyjną. Karvelis i Bistras przemawiają do narodu. Fe! Intryganci i faryzeusze, którzy sami umaczali ręce w przewrocie antydemokratycznym i intrygach późniejszych, a dziś udają bohaterów i rzeczników demokracji i narodu. Pluskwy polityczne, a nie wodzowie, mający prawo do manifestu. Faryzeusze. Mój trzeci zarzut – to kompania tych właśnie faryzeuszy i spekulantów, w jakiej się znaleźli ludzie czyści i zacni, jak Purėnas i Kairys. W tej kompanii każdy akt jest zły i fałszywy. Albowiem trójca Karvelis-Stulgiński-Bistras – to najgorsi obłudnicy, którym chodzi nie o dobro publiczne, ale o władzę, żeby się do niej dorwać w jakikolwiek sposób, choć z diabłem, aby z nim potem sojuszników wychować i rządzić się z pewnością gorzej i przede wszystkim cyniczniej, niż Smetona, Tubelis lub Mironas i z pewnością już nie „demokratycznie”. Dziwię się, że Kairys tego jeszcze nie rozumie. Ci ludzie zawsze czekają cierpliwie na okazję lada niepowodzenia rządu, aby wystąpić i nogę podsunąć. Nie o dobro narodu im chodzi, ale o swój kramik partyjny i klikowy. To jest brud cyniczny. Zarzut też czynią postulatowi „koalicji” międzynarodowej, którą szachują ci panowie, podsuwając ją na miejsce istotnej i zgoła odrębnej konsolidacji narodowej. Koalicja – pożenienie we wspólnej kaszy wszystkich tych, co dotąd rządzili – to albo niedołęstwo, albo oszukaństwo na użytek zastąpienia jednej kliki inną i zapanowania na miejscu panujących obecnie.

11 kwietnia, rok 1938, poniedziałek

O godzinie pół do ósmej rano przyjechaliśmy z Antoniem Tamošaitisem do Kłajpedy. Po śniadaniu udaliśmy się do gmachu sądu okręgowego, gdzie spotkaliśmy sędziów Riffarta i Kairysa i od godziny dziesiątej do pierwszej po południu egzaminowaliśmy kandydatów referendarskich sądowych. Tych kandydatów było trzech – Żyd Lipman, prawnik dyplomowany naszego uniwersytetu, pierwszy z naszych studentów z Kowna, który został dopuszczony do egzaminów referendarskich w Kłajpedzie, i młodzi Niemcy miejscowi, którzy studia odbywali w Niemczech – Szultz i Jonathan. Zdali wszyscy trzej, najsłabiej zdał Jonathan, najlepiej zaś Lipman, z czego się cieszyliśmy z Tamošaitisem, bo dał dobrą markę naszemu uniwersytetowi.

Nocuję w Kłajpedzie i dopiero jutro wyjadę stąd do Bohdaniszek. Zanotuję pokrótce to, co tu od spotkanych znajomych słyszałem o usposobieniach w Kłajpedzie. Wypadki ostatniego miesiąca, sukcesy polityczne Hitlera, zwłaszcza aneksja Austrii, uczyniły nie tylko na Niemców kłajpedzkich, ale nawet na włościan litewskich krajowych ogromne wrażenie i mianowicie wzmogły przekonanie o tym, że przynależność Kłajpedy do Litwy jest tylko epizodem sezonowym i że z pewnością w prędkim czasie Hitler odbierze Kłajpedę. To przeświadczenie, które też stale jest podsycane, a które obecnie bardzo zyskało na sile, jest największą przeszkodą do zrastania się Kłajpedy z Litwą. Pęta ona i sugestionuje umysły, nie pozwala na jakiekolwiek angażowanie się ludności w kierunku politycznym litewskim, po prostu paraliżuje wszelki aktywizm państwowy. Po co coś zaczynać, kiedy Niemcy przyjdą – tak rozumuje ludność praktyczna, no i naturalnie dodaje: gdy Niemcy wrócą,

to odpowiadać będą ci, co się do Litwy garnęli i złymi patriotami pruskimi byli. Natomiast gdy w dniach 17-19 marca Litwa była pod presją ultimatum polskiego i gdy groziła jej wojna z Polską, Niemcy tutejsi byli przygnębieni i zdezorientowani. Skłonni byli stać po stronie Litwy, albowiem Polski więcej się boją niż Litwy. Uczniowie niemieckiego gimnazjum Luizy w Kłajpedzie zapowiadali, że gdyby Polska napadła Litwę, to pójdą bronić Litwy. To charakterystyczne. Litwa jest dla nich „mniejszym złem", niż ewentualnie Polska, która, ich zdaniem, trudniej by ich wypuściła z rąk na rzecz powrotu do Niemiec. Bo oczywiście nie przez miłość dla Litwy przeciwstawiali się oni masowo agresji polskiej. I charakterystyczne jest też to, że jednak mimo polityki Becka i mimo porozumienia polsko-niemieckiego Niemcy Polakom nie ufają i w głębi serca są Polsce niechętni, równie zresztą jak Polacy Niemcom. Świadczy to raz jeszcze, że to „porozumienie" jest jednak li tylko spekulacyjne, w którym obie strony zachowują swoje „*reservatio mentalis*", skierowane w ostatecznym celu do oszukania się wzajemnego.

Przechodzę do sprawy memoriału-odezwy dziesięciu „wodzów" opozycji międzypartyjnej i do ostatnich konsekwencji tegoż. Dokument ten był szeroko rozpowszechniony w ulotkach. Służył on za narzędzie szerokiej agitacji, skierowanej do podważenia powagi i autorytetu rządu. Wśród młodzieży akademickiej, w jej kołach lewicowych i „ateitininków" chrześcijańsko-demokratycznych wywołał w pierwszych dniach wielkie poruszenie. Zapowiadały się wiece i manifestacje. Mogłoby dojść do poważnych rozruchów, tym bardziej, że dwa obozy młodzieży akademickiej – opozycyjny i prorządowy (narodowy) – mogłyby się starć w bójkach i napaściach wzajemnych. Sam Purėnas jako prorektor działa na rzecz powstrzymania młodzieży od wszelkich wieców i ekscesów, a to, że był on w liczbie tych dziesięciu podpisany na odezwie, pomogło mu oddziałać hamująco na tych, co swoją akcję wiecową i manifestacyjną chcieli tę odezwę poprzeć. W pierwszych dniach po wydaniu tej odezwy Purėnas czekał, że rząd zareaguje w stosunku do niego i że minister oświaty zażąda jego dymisji lub go ewentualnie usunie po prostu. Istotnie raz mię minister Tonkunas zagabnął, zapytując, czy Purėnas nie uzna za właściwe ustąpić, ale ja odpowiedziałem przecząco i zresztą starałem się jego podpis zbagatelizować. Potem ucichło i zdawało się, że to już konsekwencji nie będzie miało, tym bardziej, że z upływem paru tygodni już i ta odezwa przebrzmiała trochę i zaczęto o niej, jak o każdej rzeczy, która skutków bezpośrednich nie miała, zapominać. W pierwszych dniach po wydaniu odezwy Departament Policji Bezpieczeństwa był rozpoczął jakieś dochodzenie w tej sprawie. Podpisani byli wezwani do stawienia się wobec policji bezpieczeństwa. Ale nowy minister spraw wewnętrznych, pułkownik Sylwester Leonas, przerwał dochodzenie i umorzył całą sprawę, uważając, że nadanie temu wypadkowi rozgłosu skandalicznego zaszkodziłoby jeno rządowi – i rzeczywiście menerzy tej odezwy żałowali, że minister Leonas sprawę umorzył. Chciało się im właśnie rozgłosu i debat w Sądzie Wojennym. Sądziłem więc, że już uniwersytetowi nic z tej strony nie grozi i że władze zostawią Purėnasa w spokoju. Aliści w sobotę doręczono mi kopertę poufną od ministra oświaty Tonkunasa. Znalazłem w niej, po pierwsze, list ministra do Purėnasa z prośbą do mnie, abym ten list Purėnasowi doręczył. W liście tym Tonkunas kwalifikuje odezwę, podpisaną przez Purėnasa, jako oszczerczą względem rządu i zapytuje terminowo Purėnasa, czy nie uważa wobec tego za właściwe usunąć się ze stanowiska prorektora, którego obowiązki nie dają się pogodzić z taką akcją. Po drugie, znalazłem w kopercie wniosek ministra, polecający mi zasięgnąć opinii senatu akademickiego, co senat sądzi o możności pogodzenia faktu podpisania tej odezwy przez trzech członków personelu profesorskiego z ich stanowiskiem i obowiązkami pedagogicznymi, a zwłaszcza z ewentualnym wyznaczeniem ich na opiekunów organizacji studenckich. Ci trzej, wymienieni w liście ministra, to Purėnas, docent Wydziału Teologii Bistras i docent prywatny Wydziału Techniki Stefan Kairys.

12 kwietnia, rok 1938, wtorek

Przenocowałem w Kłajpedzie i zabawiłem w niej do godziny pierwszej po południu. O godz. pierwszej wyjechałem automatrycą na Szawle. W Szawlach się wysiada i trzeba godzinę czekać, po czym znów podają tę automatrycę, która idzie stamtąd już wprost przez Radziwiliszki, Poniewież do

Abel. O godzinie dziewiątej wieczorem przyjeżdża się do Abel. Przyjechałem więc z jednego końca Litwy do przeciwległego – z ostatniego punktu północy wschodu do ostatniego północno-zachodniego. Jazda jest mimo to prędsza niż zwyczajnym pociągiem, ale ludzi jadących pełno. Cały ten przejazd z Kłajpedy do Abel przebyłem ja jeden, inni – jechali studenci. W Kłajpedzie nasiada się pełno, do Kretyngi znacznie się opróżnia, od Kretyngi za to znów się napełnia, potem opróżnia i znów napełnia w Telszach, następnie wszystko się wypróżnia w Szawlach, ale tam nowi się znów naładowują do Poniewieża, w Poniewieżu większość wysiada, ich miejsca zapełnia nowa fala podróżnych, w Rakiszkach znów topnieje i do Abel dojeżdża zaledwie kilku. Jest to ciekawe przez to, że się widzi i obserwuje publiczność strefową. Kłajpedczycy, Żmudzini, Litwini środkowi, wreszcie Auksztajcie wschodni. W Abelach czekały mię konie, ale zastałem na stacji automobil Radžiunasa i pojechałem do Bohdaniszek autem. Droga była zła, błoto wielkie, padał przez cały dzień deszcz z wiatrem.

Przechodzę do kryzysu, który spadł niespodziewanie na uniwersytet w stosunku do prorektora Purėnasa jako podpisanego pod odezwą opozycji. Jeżeli minister Tonkunas nie zmieni przedsięwziętego zarządzenia, to przewiduję ciężkie komplikacje. Wrażenie tej odezwy trochę się zatarło, ale ponieważ w przedmiocie dalszego rozwoju stosunków z Polską jest wciąż jeszcze pewna fermentacja obaw i różnych możliwości i ponieważ opozycja czuwa, więc i wrażenie tej odezwy niezupełnie jeszcze przebrzmiało. Zarządzenie rządu o usunięciu z uniwersytetu prorektora i dwóch profesorów – Kairysa i Bistrasa – powiększy i zaktualizuje ten ferment. Profesura masowo stanie po stronie usuniętych i kto wie, czy nie zechce odmówić demonstracyjnie wybierania nowego prorektora. W każdym razie, krytyka profesury skupi się na mnie, jeżeli nie zareaguję na usunięcie Purėnasa. Nastrój profesury, a przynajmniej jej czynników kierowniczych,ześrodkowanych w senacie, jest opozycyjny. Mogą być protesty, do których dopuścić nie można. Może dojść do konieczności mianowania nowego prorektora, co mogłoby sprowadzić konsekwencje fatalne dla uniwersytetu. W kołach studenckich rozpocznie się ferment. Część znaczna studentów pochwyci tę okazję do nowej akcji przeciw rządowi, inna cześć przeciwstawi się tamtej. Rozpocząć się mogą różne komplikacje i wichrzenia, na skutek których może ucierpieć uniwersytet aż do zupełnego złamania jego samorządu. Nie wyjdzie to na dobre ani uniwersytetowi, ani Litwie i jej rządowi w obecnej trudnej dla kraju sytuacji. Jeżeli zachowam się biernie, płynąc z prądem rządowym, to stracę autorytet moralny i moja obecność na stanowisku rektorskim sytuacji nie uratuje. Zdaje mi się, że jedyne, co mogę i co powinienem zrobić w razie usunięcia Purėnasa z uniwersytetu, a przeto i z prorektoratu – to podać się do dymisji. Zdaje mi się, że dymisja moja, która byłaby przez profesurę przyjęta za akt protestu i zareagowania na arbitralne usunięcie Purėnasa, dałaby mi możność uspokojenia zmysłów i dałaby mi autorytet do wpłynięcia na profesurę, aby zachowały się spokojnie i otrzymawszy satysfakcję protestu wybrać nowy zarząd akademicki, likwidując poprawnie kryzys. Jeżeli ja nie ofiaruję siebie i nie poświęcę się, to kryzys się zaogni i stanie się niebezpieczny, a mój autorytet będzie podkopany, toteż nie będę mógł oddziałać skutecznie na przebieg kryzysu.

Ale skoro już zdecydowany jestem zareagować dymisją na usunięcie Purėnasa, oczywiście bez przyjęcia nowego wyboru, to lepiej byłoby, aby to zareagowanie było połączone nie z usunięciem Purėnasa, ale z jego własnym ustąpieniem przez podanie się nas obu do dymisji. Purėnas z góry mię nie tylko teraz, ale już poprzednio, zaraz po podpisaniu odezwy, uprzedzał, że zdecydowany jest odmówić podania się do dymisji, gdyby to od niego zażądano i wytrwać do końca, aż go władza usunie arbitralnie. Naturalnie że dla złagodzenia kryzysu jest bardzo pożądane, aby Purėnas sam ustąpił, nie zaś został usunięty. Otóż zdawało mi się, ze zgłoszenie dymisji przeze mnie wraz z dymisją jego może go skłonić do zmiany jego decyzji poprzedniej o manifestacyjnej odmowie dymisji. Moja dymisja, sekundująca mu w dymisji, da mu satysfakcję i zmieni charakter jego dymisji, będzie to bowiem już nie kapitulacja, na którą on się nie zgadza, bo uważa, że podpisując odezwę dobrze postąpił i nie może kroku swego się zaprzeć, ale będzie to dla niego rodzajem protestu, popartym przez współdymisję rektora. Nie przeczę, że dla mnie krok ten jest ciężki i bolesny, bo stanowisko rektora cenię bardzo i kocham, ale uważam, że „*noblesse oblige*” i zaszczyt

godności rektorskiej obowiązuje mię do ratowania uniwersytetu w trudnej i niebezpiecznej dlań chwili. Uważam to za mój trudny, ale konieczny obowiązek. Jeżeli jestem rektorem, to muszę nim być aż do ostatnich konsekwencji rezygnacji, choćbym zadał tym cios samemu mojemu rektorowaniu.

13 kwietnia, rok 1938, środa

W tym roku sprowadziłem dużo drzewek dekoracyjnych z leśnictw państwowych w Olicie i Kretyndze – najwięcej topolek, ale także trochę lip, dębów, klonów, brzózek i innych, oraz dużą ilość krategusa do obsadzenia dokoła ogrodu owocowego i krzewów spirei. Topole sadzić będę dalej wzdłuż nowej drogi karwieliskiej, resztę zaś topoli – na brzegu Gaju na miejscu, który pozostawiam pod las. Dziś od rana rozpoczęło się sadzenia drzewek i krategusów.

Wracam jeszcze do spraw uniwersyteckich. Moja decyzja jest powzięta. Najlepszym wyjściem, najmniej skandalicznym i najmniej grożącym powikłaniami dla uniwersytetu i dla sytuacji politycznej, jest dobrowolne ustąpienie Purėnasa, nie doprowadzając do usunięcia go przez rząd. To byłoby najcichszym załatwieniem konfliktu – bez żadnego rozgłosu i skandalu. Dokonają się nowe wybory, wybrani zostaną nowi ludzie i nie będzie pretekstu do zajść i awantur. Ale żeby to osiągnąć – muszę się ofiarować i ja, bo Purėnas sam samorzutnie podać się do dymisji nie chce, uważając dymisję taką za kapitulację ideową. Do podania się do dymisji skłonić go może tylko podanie się jednoczesne do dymisji moje. Dymisja rektora, solidaryzująca się z nim jako odpowiedź na uczynioną mu przez ministra propozycję dymisji, dałaby mu satysfakcję i oderwałoby jego ustąpieniu charakter kapitulacji. Dla dobra więc uniwersytetu, a może nawet Litwy muszę uczynić ten krok wytrącający mię z rektoratu, który bardzo przecie kocham. Decyzja w tym kierunku zarysowała się u mnie już w sobotę. Tego dnia poszedłem do ministra, przedstawiłem mu trudność sytuacji, proponowałem i namawiałem go zaniechać tak ostrego reagowania, na co jednak Tonkunas się nie decydował, uważając, że jednak rząd nie może być ścierką, którą każdy może jak chce pomiatać. Przedstawiłem wtedy Tonkunasowi moje wnioski wyjścia z sytuacji z możliwie najmniejszym niebezpieczeństwem komplikacji: albo dymisja Purėnasa, uzyskana kosztem mojej równoległej dymisji, albo moja dymisja po usunięciu przez rząd Purėnasa i w obu wypadkach nowe wybory rektora i prorektora, likwidujące cały kryzys. Będzie to minimum złe i pogrzebanie mnie z Purėnasem, ale tą ceną będzie za to okupiony względny spokój. Tonkunas do odwołania swoich rozpoczętych kroków nie dał się namówić. Zgodził się tylko przyjąć mię z Purėnasem nazajutrz w niedzielę. Od Tonkunasa poszedłem do Purėnasa. Namawiałem go, żeby zgodził się podać do dymisji, gdy jednocześnie ja dymisję moją zgłoszę. Purėnas się wahał i niezbyt skory był dać się do tego skłonić. Uważałem wprawdzie, że Purėnas był mile zdziwiony moją gotowością bez wahań do dymisji; nie spodziewał się tego, uważał zapewne, że ofiary ze stanowiska własnego w żadnym razie nie zrobię i porzucę go na jego los własny. Wie, że kocham rektorat i wie, że nie hołduję ślepej opozycji przeciw rządowi, a nawet jestem przez rząd bardzo dobrze widziany. Był pewny, że jednak decydującym dla mnie względem jest wzgląd na moje własne stanowisko i karierę. Wielu jest, którzy tak sądzą, choć w istocie pochodzi to stąd, że mię nie znają. Chociaż więc moja decyzja zrobiła na Purėnasie duże wrażenie, jednak uważałem, że sam bez poradzenia się ze swymi przyjaciółmi politycznymi odważyć się na jakąś nową decyzję nie może. Zaproponowałem mu więc, abyśmy razem poszli do Kairysa, któremu ja sprawę przedstawię i który rozstrzygnie wątpliwości Purėnasa. Ale wpierw mieliśmy pójść z Purėnasem do ministra Tonkunasa. Ta rozmowa była wyznaczona na niedzielę rano.

14 kwietnia, rok 1938, czwartek

Były egzaminy z prawa konstytucyjnego litewskiego. Zdawało czterech studentów. Pogoda wciąż jeszcze zimna i brzydka. Bez cieplejszego ubrania trudno wychodzić na dwór. Bieliunas z synem i Gasparem Jachimowiczem, kończą sadzić u mnie krategus i drzewka dekoracyjne.

Nawracam jeszcze do sprawy prorektora Purėnasa. W niedzielę rano byłem z Purėnasem u ministra Tonkunasa. Rozmowa nie dała żadnego rezultatu. Purėnas protestował gorąco przeciwko uczynionemu listownie przez ministra zarzutowi podpisania dokumentu oszczerczego względem rządu. Zarzut ten uważa on za obraźliwy, albowiem chodziło mu o krytykę metody rządzenia, nie zaś o „oszczerstwo" („šmeižtas"), którego nie miał zgoła na względzie i nie popełnił. Minister nie nastawał na kwalifikowanie „oszczerstwa". Wszakże minister nie cofnął zdania, że Purėnas powinien się podać do dymisji ze stanowiska prorektora. Owszem – stwierdził z naciskiem, że ma osobiście dla Purėnasa szacunek, przyznawał też, ze Purėnas spełnia obowiązki prorektora dobrze, znacznie lepiej, niż jego poprzednik ksiądz Česnys, ale... wobec faktu podpisania przez niego odezwy o charakterze antyrządowym pozostawanie jego na stanowisku prorektorskim jest, zdaniem ministra, niewłaściwe. Nie taił Tonkunas, że gdyby się Purėnas do dymisji nie podał, uważałby się on za zmuszonego do usunięcia go z profesury, choćby tylko na czas pewien, dając mu możność powrotu po kilku miesiącach. Ale usunięcie go z profesury usunęłoby go automatycznie z urzędu prorektorskiego, a ponowne przyjęcie do profesury nie restaurowałoby go na urzędzie prorektorskim. Słowem, rezultat rozmowy nic nie dał. Na próżno usiłowałem przekonać ministra, że wyciągać konsekwencji na ogół nie warto i że nikt jeszcze o listach konfidencjalnych ministra nie wie, a przeto nie byłoby gawęd o tym, że minister się cofnął. Wreszcie proponowałem, aby minister się zadowolił oświadczeniem Purėnasa do protokółu posiedzeń senatu akademickiego, że odezwę podpisał on nie w charakterze prorektora, ale i to ministrowi satysfakcji nie dało. Zgadzał się on co najwyżej na to, żeby Purėnas złożył formalne oświadczenie w prasie o tym, że nikogo nie upoważniał do rozpowszechniania tej odezwy i że rozpowszechnianiu temu się przeciwstawia, na co Purėnas nie mógł się zgodzić. Od ministra Tonkunasa poszliśmy z Purėnasem do Stefana Kairysa, towarzysza partyjnego Purėnasa i podpisanego wraz z nim pod odezwą. Chodziło mi o to, żeby przekonać Purėnasa, że moja dymisja, towarzysząc jego dymisji, da mu satysfakcję i zmieni zasadniczo charakter jego dymisji, odbierając jej cechę kapitulacji, wobec czego Purėnas w tych okolicznościach może się podać do dymisji bez tych skrupułów, które miał na razie. Kairys nie od razu się do tego skłonił. Miałem wrażenie, że Kairys chciał jednak, aby ewentualnie komplikacje na uniwersytecie się rozwinęły i wzmocniły tę akcje polityczną, dla której była skomponowana ta odezwa, toteż nie bardzo mu trafia do przekonania załagodzenie tej sprawy kosztem mojej dymisji, sekundującej dymisji Purėnasa. Ostatecznie Kairys odroczył swój sąd, aby mieć czas do namysłu i zatrzymał jeszcze Purėnasa, gdym ja wychodził. Później jednak Purėnas przyszedł jeszcze do mnie, oświadczając, że po głębszym rozważeniu kwestii z Kairysem skłania się do dymisjonowania, choć jeszcze chce się trochę namyślić. Powiedział, że gdyby miał przekonanie, że czynniki uniwersyteckie, zwłaszcza profesura, będą gotowe go poprzeć, to nie decydowałby się na dymisję i raczej szukałby zaostrzenia konfliktu z rządem, ale przekonania tego nie ma, bo względy kariery przeważą w profesurze i powstrzymają wszelki odruch reagowania. Na tym odjechałem, ale już miałem wrażenie, że Purėnas o dymisji się zdecyduje. Jakoż otrzymałem już tu, list od niego, w którym mię zawiadamia, że telefonicznie zakomunikował ministrowi Tonkunasowi o przesłaniu dymisji na moje ręce do Bohdaniszek. Minister nie podziękował. Otrzymałem też z poczty list polecony, w którym Purėnas przysyła na moje ręce swoje adresowane do ministra ogłoszenie dymisji. Zrobię z tego użytek po powrocie do Kowna i naturalnie będę musiał zgłosić razem także moją własną dymisję ze stanowiska rektora, albowiem za tę cenę uzyskałem zgodę Purėnasa na dymisję jego. Moja dymisja była dlań warunkiem ustępstwa, choć mi to jest osobiście ciężkie i bolesne. Ale tego już wymaga rzetelność.

15 kwietnia, rok 1938, wielki piątek

Jedna z większych rzeczy, które należą do tych wakacji wielkanocnych, niewątpliwie niezwykłych w życiu moim ze względu na zbliżający się nasz z Jadzią wyjazd do Rygi dla zawarcia małżeństwa, jest także dokonanie likwidacji spadku po śp. Maryńce w Bohdaniszkach przez sporządzenie w Rakiszkach aktów sprzedaży działek jej ziemi spadkowej. Cała ziemia jest już zaprzedana. Oprócz parceli czterohektarowej Staszkiewicza nad Wielką Łąką w Kumszach,

sprzedanej mu przez Maryńkę jeszcze za jej życia, na którą wszakże akt sprzedaży nie był zakończony, reszta ziemi spadkowej w Bohdaniszkach sprzedaje się w czterech parcelach: jedną w ilości 10 ha kupuję ja, drugą w ilości 7 ha kupuje Elwira, trzecią w Kumszach w ilości 20 ha kupuje Mikulionis, wreszcie czwartą środkową w ilości 12-13 ha kupuje matka Jadzi Urszula Čepasowa. Wszystkie formalności i dokumenty dla dokonania sprzedaży są już gotowe i w przyszłą środę 20 kwietnia ma być w Rakiszkach u notariusza wielka tłoka na sporządzenie aktów. W rok po śmierci Maryńki jej własność w Bohdaniszkach będzie zlikwidowana. Trochę to jest smutne, ale za to imię Maryńki pozostaje czyste, bo wszystkie jej długi będą spłacone i jeszcze się coś, choć po kilka tysięcy, okroi jej dzieciom, a zresztą jej ukochana ziemia w Bohdaniszkach częściowo pozostanie w rękach rodzimych moich i Elwiry, a to, co przejdzie w ręce obce, będzie własnością ludzi porządnych i poczciwych z ludu, który Maryńka kochała. Nie ma więc krzywdy ani dla jej imienia, ani dla jej pamięci i serca. Na życzenie nabywców działek umówiony został i sprowadzony z Rakiszek geometra, człowiek starszy, emeryt, uprawiający praktykę prywatną. Obliczy on całość ziemi, ustali parcele w naturze, sporządzi planiki dla każdej parceli. Dziś geometra przyjechał. Stołuje się u mnie, nocuje u Marysi Stefanowej Römerowej. Dziś obszedł on całą ziemię śp. Maryni, ustanowił kopce zewnętrzne (z wyjątkiem granicy ze mną i z Jadzią jako już ustalonej przez geometrę Renigera w roku 1935), potem łańcuchem zmierzył linie między kopcami i kąty zachylenia na kopcach. Towarzyszyli mu wszyscy zainteresowani i robotnicy. Zajęło to cały dzień i nie zostało jeszcze dokończone. Nie obeszło się bez sceny: pokłócił się Staszkiewicz z Danilewiczem z Kumsz o punkt graniczny kopca nad ruczajem Eibuczupis na Wielkiej Łące, gdzie się jego działka zbiega z ziemią Danilewicza. Staszkiewicz wytoczył cały arsenał gwałtownych połajanek na Danilewicza. Skądinąd wszystko się obeszło spokojnie.

Śliczny był dzień. Słonecznie, ciepło, wesoło i rzeźwo na wietrze. Wiosna, świergot ptactwa, skowronki, gwizd szpaków rozdzielających się na parki, przeciągły smętny głos czajki na błotach. Pięknie.

16 kwietnia, rok 1938, sobota

Długo pisałem dziennik obszernie. Dziś pod tym względem wypocznę.

Geometra p. Perekšlis wykończył kopcowanie i wymierzanie granic ziemi spadkowej po śp. Maryńce. Teraz kreśli jej planik i wylicza kąty w gabinecie z pomocą odpowiedniej maszynki, aby ustalić ogólną ilość ziemi i zaprojektować parcele. Ponieważ rodzina jego wyjechała na święta z Rakiszek, więc mu nie spieszno do domu. Wobec tego pozostał w Bohdaniszkach na święta, aby dokończyć roboty.

Robią się przygotowania do święconego. U nas będzie tylko szynka świeża wieprzowa i indyk pieczony, naturalnie też jajka kolorowe, szpekuchy, babki, tort, parę mazurków, z których jeden cygański, bułki... Oto bodaj wszystko.

Od dziś za tydzień, w dniu świętego Jerzego, odbędzie się w Rydze akt małżeństwa naszego z Jadzią. Jadzia tu jest bez humoru.

Przygotowuję tu listy, w których zawiadamiam o małżeństwie moim i które wyślę z Rygi po ślubie. Piszę do Kotuni Pruszanowskiej, do Ewy Meyerowej, do Heli Białej Römer-Ochenkowskiej, do Elwiry Mieczkowskiej, do Stefana Römera, do mojej córki Celiny, wreszcie do Elizki Komorowskiej, ale do Elizki, o której wiem, że będzie bardzo temu przeciwna, bo małżeństwo z Jadzią Čepasówną obrazi jej dumę hrabiowską, nie piszę o tym wyraźnie i kategorycznie, jeno podaję, że wkrótce się dowie o wielkim wypadku w moim życiu, który przyjemnie zapewne niechętnie, ale że w moim sumieniu robię to słusznie i przez dłuższy czas nie będę do niej pisał, bo nie chcę tych rzeczy wałkować, ale w sercu zachowam dla Elizki całe moje uczucie serdeczne.

17 kwietnia, rok 1938, niedziela

Pierwszy dzień Wielkiejnocy. Przede wszystkim dzień obfitego jedzenia. Pełno też zabawy dokoła. W chacie parobczanej – pieśni, śpiew też dochodzi gdzieś od pól, aż z kilku miejsc naraz, od zaścianków dalekich, spadkobierców dawnych wiosek.

Dla mnie to już ostatnich parę dni spokojnych i cichych, po czym się potoczą wypadki. Będzie wśród nich dużo osobliwych, tak lub inaczej przełomowych w moim życiu. Na razie będą to jeszcze rzeczy mniejsze: dzień egzaminów studenckich pojutrze, potem robienie aktów kupna u notariusza w Rakiszkach na likwidującą się własność spadkową po śp. Maryńce biedaczce, której zwłoki spoczywają na wieki na cichym cmentarzyku wioskowym bohdaniskim. Rozszarpie się ta cząstka środkowa Bohdaniszek pod Kumsze, ale za to moja się zaokrągli nieco i zyszcze na figurze i wartości i dwór sam z trzech cząstek zredukuje się do dwóch. Zaraz potem przyjdzie kapitalny dla nas z Jadzią ewenement – naszego małżeństwa w Rydze. Wypadek ten, który stanowić będzie podstawę zasadniczą nowego stanu mego życia, uświęcony będzie, da Bóg, szczęśliwym powiciem dziecka – syna czy córki – przez Jadzię. Różne to jeszcze wywołać może komplikacje i reakcje w rodzinie, ale dla mnie to będzie spełnieniem wielkich tęsknot moich. Pragnąłbym syna i Jadzia też życzy tego i jest prawie pewna sukcesu w tym względzie, ale jeżeli to będzie córka – przyjmę ją równie serdecznie. Bezpośrednio potem przyjdzie likwidacja kryzysu zwierzchności uniwersyteckiej, która mię ewentualnie kosztować będzie stanowiska rektorskiego. Może się jeszcze znajdzie jakie wyjście, które umożliwi mi zachowanie stanowiska rektora, ale wątpię bardzo. Przykre mi to będzie, ale ostatecznie nie jest to rzecz straszna, a wiadomość spełnionego obowiązku ofiary da mi satysfakcję, która skompensuje utratę miłego i zaszczytnego stanowiska. Stałoby się ono mniej zaszczytne i miłe, gdybym je uratował dla siebie za cenę ucieczki od obowiązku i za cenę obniżenia godności społeczno-akademickiej tego wysokiego rządu.

18 kwietnia, rok 1938, poniedziałek

Jadzia pojechała z matką swoją, Urszulą Čpasową, do swojej siostry Stefci Boreišisowej. Do Bohdaniszek do mnie na obiad przyjechał z Narkun, gdzie bawi on przez święta u swojej matki, mój asystent Feliks Mackus, który w końcu tygodnia ma jechać z nami do Rygi, aby towarzyszyć w charakterze świadka naszemu z Jadzią ślubowi. Paszport zagraniczny i wizę Mackus już ma, toteż do jazdy jest gotów. Przyjedzie on we czwartek na wieczór do Bohdaniszek i stąd w piątek nad ranem wyjedzie z nami na Abele do Łotwy – przez Dyneburg do Rygi. Już tylko kilka dni dzieli nas z Jadzią od tego kroku kardynalnego w naszym życiu. Bardzo ciekaw jestem, jak on zostanie przyjęty przez rodzinę. Jedni będą się zapewne gorszyć – Elizka Komorowska w pierwszym rzędzie, inni przyjmą to może za fakt, który był do przewidzenia, a może znajdą się też tacy, którzy ustosunkują się do tego serdecznie. Tym będę wdzięczny. W sobotę po ślubie roześlę z Rygi listy – do Elwiry, Kotuni, Ewy, Celiny, Stefana Römera, Helci Białej, oznajmiające o fakcie dokonanym. Zresztą co mi właściwie zależy na tym, jak to przyjmie rodzina. Zawieram to małżeństwo nie dla innych, lecz dla siebie. Mam prawo i wszelkie kwalifikacje do rozporządzenia moim imieniem, któremu przeważnie sam czynem życia mojego nadałem wartość, nie zapożyczając jej wyłącznie od rodziny i jej blasku tradycyjnego i udzielając imienia mego Jadzi – nie robię zeń użytku złego. Owszem – robię użytek najlepszy, bo wartość Jadzi jest wielka. Więcej ona warta stokrotnie od tej nędzy moralnej, jaką stanowią na przykład panny ze szczątków ziemiaństwa w stronach tutejszych. Jako serce, jako wierność dla mnie – jest ona perłą. A że jakimś zdegenerowanym histeryczkom w rodzaju Helci Mieczkowskiej albo wielkim paniom przedpotopowym pojęć stanowych, choć serca dobrego, jak Elizka Komorowska, może się to nie podobać, bo Jadzia nie jest z urodzenia z ich strefy albo nie należy do nich kliki towarzysko-koteryjnej, albo nie układa się w ich obłudzie – to cóż to mię może obchodzić. Dla mnie to małżeństwo jest serdecznym obowiązkiem sumienia i uczucia oraz wyrazu moich głębokich tęsknot ludzkich rodziny i ojcostwa. Bądź mi błogosławiona, moja Jadźko, i bądź mi błogosławione nasze dziecko, które dojrzewa w jej łonie! Amen.

19 kwietnia, rok 1938, wtorek

Miałem czterech studentów do egzaminu. Trzech z nich zdało doskonale (jednym z nich był młody Neniškis, wnuk słynnego za lat mojego dzieciństwa bogacza-chłopa w naszych stronach, który był właścicielem pięknego majątku ziemskiego pod Poniemuńkiem, kupionego od Turów).

Geometra p. Perekšlis ustalił dziś w naturze granice działek, utworzonych z ziemi spadkowej po śp. Maryńce i okopcował wszystkie działki poszczególnych nabywców – moją, Elwiry, Čepasowej i Mikulionisów. U rolników jest to wielki ewenement. Każdy z ogromnym zainteresowaniem czekał na wskazanie mu jego granic. Zdaje się, że wszyscy zostali zadowoleni. Moje 10 hektarów rozciągają się dosyć daleko, prawie do pół drogi do starych pasiek kumszańskich.

20 kwietnia, rok 1938, środa

Wybraliśmy się dziś całą gromadą do Rakiszek do notariusza dla robienia aktów na parcele ziemi spadkowej po Maryńce w Bohdaniszkach. W charakterze sprzedawców figurowała Marysia jako opiekunka nieletniej Steni i Bichniewicz jako plenipotent Ewy Meyerowej. W charakterze nabywców – ja, Elwira Mieczkowska, Urszula Čepasowa i bracia Mikulionisowie. Čepasowej towarzyszyli jej syn Janek Čepas i jej zięć Boreišis. Obecny też był Justyn Budkiewicz jako zrzekający się dożywocia na Bohdaniszkach. Wszystkie dokumenty już były gotowe, chodziło tylko o ocenę inspektora podatkowego i o omówienie między stronami pewnych szczegółów spornych co do budynków i podobnych drobiazgów, nie figurujących zresztą w aktach. Wszystko się zrobiło, w szczegółach nie zawsze zadawalająco dla poszczególnych stron, ale ostatecznie spokojnie, bez kłótni i sprawiedliwie. Redagowanie aktów zajęło dużo czasu. Mój akt był zredagowany pierwszy, ale dopiero na godzinę szóstą wieczorem. Po podpisaniu aktu odjechałem pierwszy, a wszyscy inni pozostali i siedzieć będą pewno do późnej godziny, jeżeli w ogóle dziś skończą. W mojej sprawie jest pewien szczegół, który mię niepokoi: Państwowa Kasa Oszczędnościowa przełożyła na moją parcelę dług Maryni w sumie 5500 litów, kiedy podług mojego rachunku długu tego pozostaje tylko 4600 litów, czyli o 900 lt. mniej. Będę musiał to wyjaśnić po powrocie do Kowna. Biedna Marysia była dość strapiona, gdy po dokładniejszym obliczeniu tego, co wpłynie i co jest jeszcze do opłacenia, stwierdziła, że czystej nadwyżki pozostaje jej ogółem od 2000 do 3000 litów na obie, to znaczy na Stenię i Ewę. Oczywiście pozostanie jeszcze 7-8 tysięcy z pieniędzy wileńskich, ale na ogół nie jest to wiele. Liczyła ona pierw, że z Bohdaniszek pozostanie czystych do 5000 przynajmniej. Biedna Marysia aż łzy miała w oczach. W każdym razie, imię Maryni pozostanie czyste. Długi jej będą spłacone wszystkie do centa. Ponieważ Ewa przez opieszałość nie podjęła dotąd pieniędzy spadkowych w Wilnie, z których powinna spłacić Rosena, posiadane weksle Maryni złożył do rąk Bichniewicza jako superarbitra, więc Bichniewicz zatrzymuje na razie, tytułem gwarancji na spłatę Rosena, tę drobną nadwyżkę gotówki w sumie paru tysięcy, która tu pozostaje, choć jest to tylko mała cząstka należności Rosenowi, wynoszącej 10 000 litów.

21 kwietnia, rok 1938, czwartek

Ostatni dzień w Bohdaniszkach. Jutro o świcie odjeżdżamy do Rygi, gdzie się ma spełnić pojutrze akt małżeństwa mego z Jadzią. Kości rzucone. Właściwie będzie to preludium, którego spełnieniem będzie dopiero nasz synek albo córka. Boże, błogosław Jadzię, sumienie moje jest czyste i radosne, choćby spaść na mnie stąd miały pewne przykrości od języków ludzkich i od przesądów oraz dumy rodziny. Jadzia jest w sercu i sumieniu moim żoną moją od dawna, teraz stanie się nią wobec ludzi i imię moje zdobędzie.

Wieczorem przyjechał z Narkun Feliks Mackus, który towarzyszyć nam będzie jutro do Rygi. W Bohdaniszkach rodzina moja nic nie wie i niczego się nie domyśla. Powiedziałem o moim zamiarze tylko Andrzejowi, naturalnie pod sekretem, i Andrzej sekretu dochowa, aż akt zostanie spełniony i dowiedzą się o nim wszyscy. Zresztą Andrzej wyjechał wczoraj do Kowna dla starań w poselstwie polskim o wyjazd do Polski. Wśród mojej służby jest poczucie, że coś się gotuje, ale zdaje się, że nie umieją oni uchwycić prawdy. Jedyny, który, zdaje się, jest w domysłach najściślejszy, to Kazimierz. Stary wyga – czuje on, co się święci i z różnych drobnych szczegółów, których inni nie są

w stanie sprecyzować, ustala diagnozę tego, co się stanie. Półsłówkami i delikatnymi zapytaniami czy uwagami zaznacza swoje spostrzeżenia. Zdaje nam się nawet, że Kazimierz domyśla się faktu ciąży Jadzi. Dzień był na nasz wyjazd szpetny: słota z chłodem, i mgłą, jak w późnej jesieni.

22 kwietnia, rok 1938, piątek

Wstaliśmy raniutko, przed świtaniem, koło godziny drugiej po północy, żeby na piątą być w Abelach na pociąg. Z nami trojgiem, którzy wyjeżdżamy (Jadzia, ja i Mackus), cały dom był na nogach. Moja służba coś czuje i jest jakoś szczególnie uroczyście usposobiona, szczególnie Kazimierz. Czegoś się domyślają, czują, że coś się święci, jeno obecność i wyjazd z nami Mackusa miesza im szyki, bo nie rozumieją, co znaczy jego udział w jeździe. Co im dało do myślenia – sam nie wiem. W każdym razie, Elwira i Helcia Mieczkowskie i Marysia Stefanowa Römerowa niczego nie podejrzewają. O Mackusie, zdaje się, myślą, że w Abelach pożegna się z nami i pojedzie w inną stronę – do Rakiszek. Gdyśmy już siedzieli w bryczce, Kazimierz mię przeżegnał i pobłogosławił. Kazimierz najwięcej się domyśla. Z Abel pojechaliśmy we troję do Dyneburga, gdzieśmy stanęli po ósmej i musieliśmy czekać na pociąg do godziny pół do drugiej po obiedzie. Chodziliśmy po mieście. Dyneburg od kilku lat się uporządkował trochę, ucywilizował, jest czystszy, zyskał nowy most przez Dźwinę, w śródmieściu stanęła duża kamienica Wojennego Towarzystwa Ekonomicznego z wielkim magazynem uniwersalnym, doskonale uprzędzonymi wzorowymi kawiarnią, cukiernią, restauracją. Ale Dyneburg jest zawsze taki sam – miasto kresowe w dzielnicy dziwacznej na skrzyżowaniu kilku kultur i narodowości, w kraju bez charakteru własnego i wyrazistości, gdzie się ścierają i plączą najrozmaitsze czynniki – łotewski, starowierów Rosjan, Żydów, Polaków, Niemców, Litwinów, Białorusinów. Szara bezbarwna publiczność bez indywidualności. Do Rygi dojechaliśmy o zmroku. Jadzia Rygę doskonale pamiętała, sama zaprowadziła nas do hotelu Roma. Wzięliśmy jeden numer dla Jadzi i jeden na dwa łóżka z wanną dla mnie i Mackusa. Zjedliśmy kolację, posiedzieliśmy w kawiarni opery. Do adwokata Berentsa nie poszedłem, jeno przez telefon skomunikowałem się z nim, że przyjdziemy do niego jutro rano o wpół do dziesiątej. Spodziewam się, że wszystko jest gotowe do ślubu i że jutro szczęśliwie klamka małżeństwa zapadnie. Tak się spełni to, co od dawna było postanowione.

23 kwietnia, rok 1938, sobota

Historyczny dzień w moim życiu osobistym. Dzień, w którym spełniło się od dawna przewidziane, długo zwlekane, ale wreszcie przez sygnalizację dziecka energicznie do skutku doprowadzone małżeństwo moje z Jadzią. Dokonało się to tak. Wstaliśmy rano, wypiliśmy we troje z Mackusem śniadanie, ja się poszedłem jeszcze ogolić, a następnie wszyscy troje ruszyliśmy na godzinę 9.30 do adwokata Berentsa na Valdemara iela pod nr 17. Jadzia z Mackusem posiedzieli w poczekalni, ja zaś udałem się do gabinetu adwokata. Wszystko już jest do ślubu gotowe, ślub zamówiony na godzinę dziesiątą rano. Adwokatowi zapłaciłem honorarium w kwocie 200 łatów. Koszta zaś procedury małżeńskiego są minimalne: za przetłumaczenie wyroku rozwodowego na język łotewski i za ogłoszenie zapowiedzi o ślubie adwokat zapłacił 15 łatów, za akt ślubny i metrykę trzeba będzie zapłacić 8 łatów, czyli ogółem 24 łaty rozchodów! Adwokat Berents, człowiek jeszcze niestary, grzeczny, łatwy, towarzyszył nam do ślubu w charakterze pierwszego świadka, podczas gdy Feliks Mackus był drugim świadkiem. Z mieszkania adwokata poszliśmy wszyscy czworo pieszo do mieszczącego się w niewielkiej odległości urzędu aktów stanu cywilnego. Urząd ten, należący do samorządu lokalnego, mieści się w starym długim i niskim budynku murowanym, pochodzącym z czasów szwedzkich, budowanym na koszary dla wojska. Lokal, przeznaczony na ten urząd, składa się z poczekalni czworokątnej dosyć obszernej, garderoby wąskiej, dużej kancelarii urzędu i sali ślubnej, do której się wchodzi z poczekalni. Pokoje są światłe, bardzo czyste, umeblowane skromnie, ale z gustem. W poczekalni osób było dużo, bo na dziś wyznaczonych było osiem par małżeńskich do ślubu. Przeważnie każda grupa składa się z czterech osób: pary młodych i dwóch świadków. Publiczność przeważnie bardzo młoda. Usiedliśmy na ławce, podczas gdy adwokat Berents udał się

do kancelarii dla dokonania opłat i wywołania naszego małżeństwa na wokandę. W poczekalni też mieści się na ścianie tablica, na której wywieszone są ogłoszenia zapowiedzi. Słoneczko świeciło przez okno, dzień był do ślubu naszego pogodny. Ubrany byłem w czarną nową marynarkę ze spodniami w paski i w lakierkach. Jadzia była w czarnej sukience z białym przodem, skromnej i poważnej, dobrze pasującej do niej. Przyglądaliśmy się publiczności i ta się nam przyglądała, sądząc zapewne, że w naszej czwórce panem młodym jest raczej Makus niż ja, bo Mackus odpowiedniejszy jest wiekiem. Choć publiczność w tej poczekalni się składa z samych par młodych i ich świadków, jednak, choć zakochane, zwracają baczną uwagę na inne pary i ciekawie je studiują. Jest to zjawisko zwykłe, że wszelkie kojarzenie się par ludzkich budzi ciekawość i pilne przyglądanie się nowożeńcom: jedni nowożeńcy obserwują równie uważnie innych. Jadzię to trochę tropiło, mnie to nie. Tymczasem adwokat Berents rozmawiając ze mną, bawił mię uwagami. Wskazując na drzwi do sali aktów ślubnych powiedział, że są to drzwi dla których stosowny jest właśnie słynny nadpis z komedii Dantego na wrotach piekielnych: „*Lasciate ogni speranza*". Żadna para, która przez nie wchodzi, nie wyjdzie wolna. Tam się one wiążą węzłem małżeńskim i przez drzwi te potem już nie wyjdą. Wskazując na tablicę ogłoszeń zapowiedzi adwokat Berents mówił, że zaglądają tu co dzień reporterzy, którzy zanotowują do gazet ciekawsze zapowiedzi; i ja też dostałem się na szpalty gazet łotewskich. No, zapewne, sensacja przecież: profesor Uniwersytetu Litewskiego Witolda Wielkiego w Kownie! A może wiedzą też, że rektor... Pomyśleliśmy z Jadzią, że może z gazet łotewskich wiadomość się przedostała i do litewskich w Kownie, których od tygodnia nie mieliśmy w ręku. Ale oto po dwóch parach, które jedna po drugiej weszły i wyszły do i z sali sakramentalnej, przyszła kolej nasza. Weszliśmy. Ujrzeliśmy salę długą i wysoką, utrzymaną w tonie uroczystym. Środek sali w całą długość pusty. W przeciwległym jej końcu na podniesieniu duży stół długi, jak sędziowski w sali posiedzeń sądowych. Za stołem tylko zasiada urzędnik, kierujący wydziałem aktów cywilnych, który dopełnia małżeństwa. Zaraz od wyjścia kratki i za kratkami naprzeciwko stołu, za który zasiada urzędnik, dwie ławeczki po dwóch stronach drzwiczek w kratkach; ławeczka obita skórą, wąska na jedną osobę, oddzielona od urzędnika za stołem całą długością pustej sali. Na ławeczkach tych zasiadają pan młody i panna młoda. Po dwóch stronach podobne ławeczki, na których zasiadają świadkowie. Ściany sali w boazerii, na boazerii kratek duże bukiety żywych kwiatów białych. Sala zasłana dywanem, na którym położony chodnik od kratek do stołu urzędnika aktowego. Publiczności nie ma wcale. Na ścianie w głąb za stołem – chorągwie o barwach łotewskich, portret prezydenta Ulmanisa i portret kogoś w mundurze wojennym. Gdyśmy usiedli, urzędnik stanu cywilnego wywołał naszą, sprawę, odczytał dane personalne o mnie i Jadzi (imiona, nazwiska, daty urodzenia, zawód, stan cywilny, narodowość, wyznanie – nazwał mię katolikiem, choć się podałem za wolnomyślnego), imiona świadków i spytał wpierw mnie, a potem Jadzię, czy życzymy zawarcia tego związku. Po naszej odpowiedzi twierdzącej wstał i uroczyście ogłosił małżeństwo nasze za zawarte i mające moc legalną. Na tym ceremonia aktu, bardzo prosta, aczkolwiek utrzymana w tonie uroczystym i w ramach dekoracyjnych ładnych, została skończona. Cała procedura toczyła się bez żadnego tłumacza po rosyjsku. Ponieważ języka narodowego, łotewskiego, my z Jadzią nie znamy, więc z góry adwokat Berents nas spytał, czy wolimy zawierać akt w języku niemieckim czy rosyjskim. Jadzia po niemiecku nie rozumie, więc wybraliśmy rosyjski. Po ogłoszeniu małżeństwa za zawarte urzędnik celebrujący zawezwał nas do stołu dla podpisania aktu w księgach stanu cywilnego. Podpisałem się w dwóch czy trzech miejscach ja, następnie Jadzia, której kazano się już podpisać moim imieniem jako Jadwiga Römerowa, co ją na razie trochę speszyło, bo się tego nie spodziewała. Ale klamka małżeńska już była zapadła i Jadzia już była we władzy mojego imienia. Z wysiłkiem podpisała się po litewsku: „Jadvyga Römerienė". Akt był skończony. Urzędnik nas grzecznie pozdrowił, złożył życzenia, uścisnął ręce, poczym niezwłocznie wydał wypis metryki ślubu. W ciągu ceremonii byłem poruszony. Jadzia nie płakała i w ogóle się nie poruszała. Wyszliśmy zaraz z urzędu, pożegnaliśmy adwokata Berentsa, któremu pięknie podziękowałem i następnie żonę odpuściłem samą do hotelu, a z Mackusem udałem się do poselstwa litewskiego dla konsularnego zaświadczenia metryki.

24 kwietnia, rok 1938, niedziela

Wypis metryki ślubu naszego z Jadzią dałem wczoraj zaraz po ślubie zaświadczyć konsularnie w poselstwie litewskim. Sądziłem, że spotkam się tam z posłem Sawickim, z którym mię łączy nie tylko dawna znajomość, ale także bliskie stosunki ze Sztokholmu z roku 1936. Ale posła Sawickiego nie zastałem. Jest chory i wyjechał na urlop dwumiesięczny na południe Francji. Przyjął mię w jego zastępstwie zastępujący go czasowo p. Briedikis, urzędnik Ministerium Spraw Zagranicznych w Kownie, wydelegowany czasowo do Rygi. Briedikis zdziwił się, gdym mu przedstawił akt małżeństwa mego, w każdym razie to była rzecz dość niezwykła, ale to mię mniej obchodziło. Zaświadczenie zostało dokonane. Zapomniałem nadmienić, że i w paszportach tak moim, jak Jadzi, urzędnik łotewski aktów stanu cywilnego, który nam udzielił ślubu, dokonał odpowiedniego napisu o zawartym małżeństwie. Mieliśmy więc już wszystko, co nam Ryga dać mogła. W Kownie postaramy się już o nowy paszport dla Jadzi na imię już małżeńskie Römerowej. W Rydze nic więcej do załatwienia nie mieliśmy. Wysłałem wszystkie listy, które miałem przeważnie jeszcze z Bohdaniszek przygotowane z zawiadomieniem o dokonaniu małżeństwa: do Kotuni Pruszanowskiej, do Elwiry Mieczkowskiej, do Ewy Meyerowej, do Stefana Römera, do Eugeniusza Römera, do Heli Białej (Ochenkowskiej), do mojego ekonoma Pumpola i list do Elizki Komorowskiej, w którym, jakem już w dzienniku wspominał, nie mówię wyraźnie, że się żenię z Jadzią, jeno zapowiadam, że się niebawem o mnie wielkiej nowiny dowie, z której z pewnością, ze względu na jej poglądy, nie będzie zadowolona, wobec czego przerywam na czas długi wszelkie dalsze pisanie listów do niej, zachowując jednak w sercu całą miłość gorącą dla niej jako siostry kochanej, z którą, niestety, w tym względzie porozumieć się nie zdołamy, bo co dla niej jest zgorszeniem, zaprzeczającym jej tradycjom społecznym i stanowym, to dla mnie było obowiązkiem sumienia i uczucia.

Z Jadzią i świadkiem naszego ślubu Feliksem Mackusem zjedliśmy w restauracji Hotelu Rzymskiego obiad poślubny z winem węgierskim i na tym się uroczystość skończyła. Nadmienię jeszcze, że otrzymaliśmy dwie depesze gratulacyjne: od Andrzeja Mieczkowskiego, który bawił w Kownie, i od studenta Pauży, przyjaciela Andrzeja, który się o małżeństwie naszym od Andrzeja dowiedział niechybnie.

Tegoż dnia wczoraj z Rygi wyjechać już nie mogliśmy, bo nie ma pociągu wieczorem. Przenocowaliśmy więc jeszcze i dziś rano o godzinie szóstej wyjechaliśmy prędkim pociągiem. Koło dziesiątej rano byliśmy już w Kownie. W domu oznajmiłem z miejsca wychowance Jadzi, Reni Bagdonównie, i służącej Paulince o naszym małżeństwie dokonanym. Na palcach nosimy już zresztą z Jadźką obrączki pięknego kształtu. Na obiedzie mieliśmy tegoż studenta Paużę, który nam depeszował wczoraj do Rygi z powinszowaniem. Przed wieczorem poszedłem jeszcze do prof. dr Gudowicza, którego opiece i dozorowi chcę polecić zdrowie Jadzi przez czas jej ciąży. Opowiedziałem wszystko Gudowiczowi, który bardzo serdecznie przyjął wieść o moim małżeństwie i o perspektywie ojcostwa mojego. Zacny to człowiek i człowiek serca. Na tym się nasz dzień dzisiejszy wyczerpał.

Od jutra zacznę się zajmować trudną kwestią kryzysu zwierzchności uniwersyteckiej, pociągającą wraz z dymisją prorektora Purėnasa także dymisję moją.

25 kwietnia, rok 1938, poniedziałek

Rozpocząłem służbę na uniwersytecie: wykład, colloqium po wykładzie i w domu, służba w rektoracie między godziną dwunastą a drugą. Posiedzenie zwierzchności akademickiej zwołałem na jutro; zreferuję na nim sytuację, jaka się wytworzyła w związku z zareagowaniem ministra Tonkunasa na podpisanie przez prorektora Purėnasa znanej odezwy „do narodu i rządu". Po tym posiedzeniu zamierzam udać się do ministra Tonkunasa i doręczyć mu podanie się do dymisji Purėnasa i moje. Dziś rozmawiałem o tym tylko z prorektorem Jodelą, którego w krótkich słowach byłem już poinformował o tym listem z Bohdaniszek. Tu dziś nieco treściwiej mu rzecz zreferowałem, wyjaśniając mu motywy mojej dymisji jako środka do skłonienia Purėnasa do dymisji

przez ułatwienie mu tejże i odebranie jej pozorów kapitulacji, co w moim rozumieniu przyczyni się do odprężenia sytuacji i złagodzenia kryzysu, jaki by wybuchł w razie odmowy dymisji przez Purėnasa i usunięcia go z profesury arbitralnym aktem prezydenta. Jodelė jest innego zdania; uważa, że moja dymisja jest niepotrzebna i że pogłębić może kryzys i w ogóle demonstracyjne wrażenie tegoż, a skądinąd uważa, że moje ustąpienie ze stanowiska rektora będzie wielką stratą dla uniwersytetu. Zdaniem Jodelė, Purėnas powinien się sam jeden z prorektoratu usunąć; uważa on to za obowiązek Purėnasa, który nie powinien mieszać uniwersytetu w akt wybitnie polityczny, jakim była ta odezwa przywódców koalicji stronnictw opozycyjnych. Może ma rację; podobnie zapatrują się też dwaj inni – profesor Gudowicz i mój asystent Raczkowski, z którymi wczoraj i dziś rozmawiałem w tej sprawie. Obaj uważają, że moje ustąpienie zaszkodziłoby uniwersytetowi i że Purėnas nie powinien wiązać swojego losu ze mną. Ale właściwie nie Purėnas to uczynił, jeno ja sam mu to zaproponowałem. Może mają rację, ale trudno teraz coś zmienić. Skoro ja sam obietnicą mojej dymisji, nie wymaganej zgoła przez Purėnasa, skłoniłem go do podania się do dymisji, czego on sam jeden uczynić nie chciał i z góry się przeciwko temu zastrzegł, to teraz gdy na skutek mojej obietnicy sekundowania mu podanie o dymisję już do rąk moich złożył i ministra Tonkunasa o tym zawiadomił, ja obietnicy mojej cofnąć nie mogę, bo bym uchybił honorowi i wprowadził Purėnasa w błąd i nadużył jego zaufania. Mógłbym to uczynić chyba tylko w dwóch wypadkach: albo gdyby mię sam Purėnas od tego zwolnił i z własnej inicjatywy, bez nacisku kolegów, prosił mię o cofnięcie się od sekundowania, decydując się na samodzielne podanie się do dymisji, albo na odwołanie swojej dymisji i czekania na konsekwencje usunięcia go arbitralnego z profesury (przynajmniej na przeciąg trzech miesięcy, jak zaznacza minister), co jednak groziłoby komplikacjami i było niebezpieczne, albo, co jest bardzo mało prawdopodobne, gdyby minister obiecał, że w razie ponownego wyboru Purėnasa na prorektora zostanie on mianowany. Rzecz się skomplikowała; może trochę pośpieszyłem z obietnicą sekundowania mu, ale skoro obiecałem, to już mi trudno tym dysponować, bo obietnica i słowo wiąże.

Jest też nowy list poufny od ministra. Zaznacza w nim minister, że moje zastrzeżenie, wyrażone mu w moim liście prywatnym z Kłajpedy, o tym, że skoro minister chce podnieść inicjatywę usunięcia z uniwersytetu trzech profesorów, którzy podpisali odezwę – Purėnasa, Kairysa i Bistrasa, to należy w myśl przepisów statutu uniwersyteckiego wnieść tę kwestię do zaopiniowania nie senatu, lecz odpowiedniej Rady Wydziału jako właściwej w tej kwestii. Minister zaś w liście z d. 8 kwietnia polecił mi to wnieść do senatu. Otóż minister stwierdza, że nie chodzi mu o wszczęcie kwestii usunięcia tych profesorów, jeno o kwestię stosowności wyznaczenia ich na opiekunów stowarzyszeń studenckich, co należy do właściwości właśnie senatu. Zdaniem ministra, ci profesorowie przez podpisanie odezwy „do narodu" o charakterze agitacyjnym i wybitnie politycznym przeciwko rządowi nie kwalifikują się do funkcji pedagogiki akademickiej.

26 kwietnia, rok 1938, wtorek

Na posiedzeniu zwierzchności akademickiej w osobach mojej, obu prorektorów i sekretarza prof. Blažysa zreferowałem szczegółowo całą sytuację, wytworzoną przez listy ministra Tonkunasa z d. 8 kwietnia i doprowadzającą do dymisji prorektora Purėnasa i mojej. Moje własne podanie o dymisję miałem już ułożone, aby jutro przedstawić je ministrowi wraz z podaniem prorektora Purėnasa. W moim podaniu o dymisję motywowałem ją tak:

„Konstatuodamas, kad mano atsistatydinimas sudaro vienintelę sąlygą tam, kad Pono Ministro pasiūlymas, pareikštas Jojo laiške ponui prorektoriui prof. Purėnui, būtų patenkintas ir kad susidariusi paini ir nemaloni būklė būtų šiuo būdu likviduota be jokių tolimesnių komplikacijų, nesveikų tiek Universitetui, tiek bendrajai krašto nuotaikai,

šiuo aš turiu garbės prašyti Jūsų Ekscelenciją pristatyti Ponui Respublikos Prezidentui mane atleisti nuo Vytauto Didžiojo Universiteto Rektoriaus pareigų“[8]. Prorektor Jodelė i jeszcze gorącej prof. Blažys oponowali przeciwko podawaniu się memu do dymisji. Wskazywali na to, że moja dymisja pogłębi jeno kryzys i wyrażali się kategorycznie na rzecz dymisji jednego Purėnasa. Ich zdaniem, dymisja Purėnasa po podpisaniu sławetnej odezwy opozycyjnej „do narodu i rządu” jest zupełnie logiczna i nawet konieczna w warunkach obecnych i że Purėnas, podpisawszy ten dokument, powinien sam wyciągnąć zeń konsekwencje i ponieść je, nie wciągając w to rektora i nie czyniąc z tego sprawy uniwersyteckiej, skoro jest ona tylko polityczną i dotyczącą go osobiście. Purėnas nie decydował się na to jednak, a ja jestem związany udzieloną Purėnasowi obietnicą i uważam się za będącego w jego dyspozycji i nie mogącego nic już samodzielnie w tym względzie decydować lub zmieniać, chyba żeby mię o to prosił lub do tego upoważnił Purėnas. W każdym razie, na wniosek Jodeli i Blažysa postanowiono rzecz odroczyć do posiedzenia senatu akademickiego, która się odbędzie pozajutro we czwartek. Zaczekamy więc. Rzecz jest dosyć skomplikowana i jak się skończy – sam nie wiem. Mam wrażenie, że większość senatu poprze stanowisko Jodeli i Blažysa, przede wszystkim poprą je Janulaitis i Lašas. Nie jestem pewny dziekana Teologii Malakauskasa, albowiem klerykali mogą się niezbyt mną zachwycać i zmiana rektora może im trafić do smaku. W każdym też razie, jest w senacie dwóch członków, którzy osobiście tęsknią od dawna do godności rektora, której mi zazdroszczą. Są to: prof. Zygmunt Žemaitis (ten zazdrości zwłaszcza i marzy o rektoracie) i prof. Michał Biržiška (ten ma ambicję, ale zazdrości ma mniej niż Žemaitis, a o rektoracie dlań marzy zwłaszcza jego bardzo ambitna żona). Jak ci się zachowają – nie wiem. Dla nich moja dymisja może być furtką dla ich aspiracji własnych. Ale ostatecznie senat sam tego zdecydować nie może. Decyzja jest w ręku Purėnasa. Opinia senatu może tylko podziałać na decyzję Purėnasa, ale mnie to jest bądź co bądź przykre, bo jeżeli Purėnas uwolni mię nie z własnego popędu, lecz pod pewnym naciskiem senatu, to może w jego świadomości powstać wrażenie, że ja manewrowałem umyślnie tak, aby go zwieść obietnicą, a potem przez kolegów z senatu wpłynąć na niego i uwolnić siebie od obietnicy, poświęcając jego.

27 kwietnia, rok 1938, środa

Dotąd nie mam żadnego listu od nikogo z rodziny w odpowiedzi na moje rozesłane z Rygi listy z zawiadomieniem o moim małżeństwie z Jadzią. Pierwszych odpowiedzi spodziewałem się od Elwiry z Bohdaniszek i od Stefana Römera z Szaszewicz. Była tylko pocztówka od Andrzeja z Bohdaniszek, adresowana do Jadzi jako już Römerowej, w której Andrzej tytułuje ją „kochaną Wujenką”, co bardzo wzruszyło tak Jadzię, jak mnie. Ale Andrzej wiedział o ślubie naszym zawczasu, toteż ta pocztówka jego nie jest odpowiedzią na zawiadomienie. W każdym razie, jest to bardzo miłe i serdeczne z jego strony. Nie wiem więc jeszcze, jak będzie na to małżeństwo reagować rodzina moja. Z rodziny Jadzi jest już pierwszy list od jej siostry Stefci Boreišisowej, winszujący jej serdecznie małżeństwa. Tu w Kownie w kołach uniwersyteckich i zapewne także ogólnych inteligenckich litewskich wiadomość o moim małżeństwie szerzy się z pewnością, tak przez Mackusa, jak przez Gudowicza. Mnie jednak nikt w tej kwestii bezpośrednio nie interpeluje, choć z pewnością za plecami mymi dużo się o tym mówi i mam wrażenie, że nieraz, zastając kilka osób, spostrzegam, iż przyglądają mi się z uśmiechem, zdradzającym, że przed chwilą mówili właśnie o mnie. Miałem to wrażenie i na obiedzie w Rotary-Clubie dzisiaj. Ja też z nikim rozmowy na ten

[8] „Stwierdzając, że moja dymisja stanowi jedyny warunek ku temu, aby propozycja Pana Ministra, złożona w Jego liście do pana prorektora prof. Purėnasa, została przyjęta i by obecna skomplikowana i nieprzyjemna sytuacja została w ten sposób zlikwidowana bez żadnych dalszych komplikacji, niezdrowych zarówno dla Uniwersytetu, jak i ogólnego nastroju w kraju, niniejszym mam zaszczyt prosić Ekscelencję o przedłożenie Panu Prezydentowi Republiki wniosku o mojej dymisji z obowiązków rektora Uniwersytetu Witolda Wielkiego”.

temat nie wszczynam. Ale sensacja już się szerzy. Jedyny z profesorów, który, spotkawszy mię na ulicy, zatrzymał mię i pozdrowił z okazji małżeństwa, jest prof. Ignacy Jonynas. Zdaje mi się też, że i wśród studentów wieść o moim małżeństwie się rozeszła i że na wykładach moich słuchacze moi, studenci i studentki, uśmiechają się figlarnie i zwracają uwagę na obrączkę, która od ślubu z Jadzią noszę na palcu. Może mi się tak tylko zdaje w myśl przysłowia, że na złodzieju czapka gore. Ta obrączka mię trochę krępuje wobec ludzi, ale nie zdejmuję jej; tylko dziś na obiedzie Rotary-Clubu zdjąłem ją, nie chcąc demonstracyjnie dawać żaru chciwym na sensację dziadom, bo to małżeństwo jest moim stanem „*intime*", którego się nie wstydzę wprawdzie bynajmniej, ale z którego sensacji jowialnej specjalnie robić nie życzę. Jadzia była dziś u prof. Gudowicza, aby się dać obejrzeć co do ogólnego stanu zdrowia swego i sił. Zaniosła mu też analizę swego moczu, który Gudowicz był zażądał. W analizie moczu okazały się, choć niezbyt wielkie, wydzieliny białka. Gudowicz nastraszył trochę Jadzię, mówiąc, że odchodzenie białka w pierwszej połowie ciąży może być niebezpieczne i może nawet sprawić poronienie. Cała pociecha, że Gudowicz lubi straszyć, w przeciwnym razie bardzo bym się zaniepokoił. Niepokoję się trochę i teraz. Jakżeby to było bolesne, gdyby zamiast tego utęsknionego dziecka, które niespodziewanie się zapowiedziało, miało nastąpić poronienie! Nie chcę nawet myśleć o tym. W każdym razie, Gudowicz zalecił Jadzi dietę odpowiednią. Da Bóg – wszystko będzie dobrze. Wszakże to, licząc od reguł styczniowych, już czwarty miesiąc ciąży.

28 kwietnia, rok 1938, czwartek

Pozawczoraj z poselstwa polskiego zapowiedziano mi wizytę posła ministra Charwata. Zawiadomił mię o tym Westfal, który jest *attaché* prasowym w poselstwie polskim. Westfala znam dobrze, albowiem był on do jesieni roku 1937 w ciągu kilku lat hospitantem na uniwersytecie naszym, studiującym lituanistykę. Jest on Polakiem z Polski rdzennej, filologiem, skończył Uniwersytet Warszawski i po ukończeniu przyjechał do Litwy przed laty kilku specjalnie dla studiów nad językiem litewskim, który, jak wiadomo, posiada wielką wartość naukową w filologii jako jeden z najstarszych żywych języków aryjskich, stanowiący doskonale zachowany wzór językowy, bardzo logiczny i kształtny, pomocniczy dla nauki historii tej grupy językowej. Westfal znał już język litewski, gdy przyjechał dla studiów do Litwy, choć nigdy poprzednio w Litwie nie był. Tu w Litwie studiował, jeździł po kraju i rzeczywiście poznał doskonale język litewski i wszystkie narzecza tegoż. Mówi po litewsku lepiej, niż przeciętni inteligenci litewscy, pisał już i wydał różne rozprawki o języku litewskim. Miły to, dobrze ułożony młody człowiek, który zna też dobrze stosunki miejscowe, przeto przydział jego do poselstwa polskiego do spraw prasowych jest bardzo naturalny, choć go to oderwało od kariery naukowej, albowiem jest asystentem prof. Szobera na Uniwersytecie Warszawskim i był już objął lektorat języka litewskiego tamże. Otóż Westfal zapowiedział mi telefonicznie wizytę posła Charwata na dziś i spytał, czy zechcę go przyjąć w rektoracie na uniwersytecie czy w domu. Zwyczajnie posłowie państw obcych, składając mi wizyty jako rektorowi, zgłaszają się do gabinetu mego na uniwersytecie. Taki sam tryb byłby właściwy dla posła polskiego, może nawet tym bardziej, bo przyjmowanie wizyty w mieszkaniu nadałoby tej wizycie charakter może zbyt poufny, czego w dzisiejszej sytuacji należałoby jeszcze unikać. Miałem wszakże pewne obawy co do możliwości jakiegoś afrontu posłowi ze strony jeżeli nie studentów, to jakichś prowokatorów i chuliganów, którzy mogą się zawczasu znaleźć. Gdyby to było przed trzema-czterema tygodniami, to stanowczo bym się bał wpuszczenia posła polskiego do lokalów uniwersyteckich, żeby nie doszło do jakiegoś ekscesu. Teraz już nastąpiło odprężenie i ekscesów przeciwko osobie posła być nie powinno, zdecydowałem się więc, po naradzie z prorektorami, wyznaczyć posłowi wizytę w rektoracie, w każdym jednak razie powiadomiłem o tym dyrektora Departamentu Politycznego Ministerium Spraw Zagranicznych Urbšysa. Godzinę wyznaczyłem taką, kiedy toczą się wykłady i kiedy przeto korytarze i klatka schodowa są puste. Poseł Charwat był więc dzisiaj u mnie. Jego osoba – po 20 leciech braku wszelkich stosunków z Polską – jest u nas jeszcze samo przez się sensacją. Poseł Charwat jest jeszcze niestary, skłonny do otyłości. Inaczej go sobie wyobrażałem. Sądziłem, że to dyplomata wstrzemięźliwy, zimny. Okazał się bardzo gadatliwy, nie

dający prawie dojść do słowa, robiący wrażenie trochę babskie. Nie wydał mi się też zbyt głęboki. Zresztą trudno mi o nim sądzić. Ale zabawił u mnie całą niemal godzinę i mówił bez przerwy. Odniosłem wrażenie, że niezupełnie się orientuje w psychice litewskiej, za mało zna dzieje przedpaństwowe Litwy i jej odrodzenie narodowe, że zanadto jest napompowany przesadnymi i jednostronnymi plotkami i legendami, mającymi kurs w Polsce – o rzekomym powstaniu państwa litewskiego z intrygi niemieckiej albo o tym, że celem, dla którego Litwa odmawiała nawiązania wszelkiego kontaktu z Polską i propagowała ideę niebezpieczeństwa polskiego, było nie Wilno, lecz potrzeba izolowania się od wpływów polskich, żeby pod osłoną od ich działania wzmocnić i skonsolidować młode siły narodowe litewskie i nadać im wyrazu i odporności przez odpowiednią atmosferę antypolską, w której młodzież i społeczeństwo litewskie intensywnie urabiano. Może w tym nieco prawdy jest, ale Charwat niewiele co wie i rozumie ponadto. Natomiast wydaje się być człowiekiem dobrej woli.

29 kwietnia, rok 1938, piątek

Jeszcze trochę o wczorajszej wizycie posła polskiego ministra Charwata u mnie, a potem – o wczorajszym posiedzeniu senatu akademickiego i układaniu się likwidacji kryzysu zwierzchności akademickiej. Moja dymisja „wykiwała się": pozostaję.

Z rozmowy z posłem Charwatem dowiedziałem się, że jego rodzina jest identyczna ze znaną rodziną ziemiańską Harwatów z Wołynia i Rusi Czerwonej (Galicji Wschodniej, dziś urzędowo w Polsce zwanej „Małopolską Wschodnią"). Rodzony brat ojca posła Charwata i dziś się pisze nazwiskiem Harwat, Charwatem zaś zaczął się pisać ojciec czy dziad posła, który, zdaje się, długi czas mieszkał w Rosji czy też był wygnany do Rosji. Poseł Charwat skarżył się na trudności mieszkaniowe osobiste w Kownie. Trudno mu znaleźć mieszkanie prywatne; niektórzy właściciele domów czy will boją wynająć mieszkanie posłowi polskiemu, otrzymują anonimy z pogróżkami, na ogół mieszkań większych i wygodnych jest mało, te, które mu Ministerium Spraw Zagranicznych litewskie proponuje do wynajęcia, mają różne felery położenia, niektóre inne, które by się Charwatowi nadawały, są mu odradzane przez Ministerium, np. jakiś domek osobny niezły w pobliżu uniwersytetu, który mu ministerium litewskie odradza ze względu na obawy jakichś wrogich ekscesów ze strony studentów, o których Charwat ma opinię jako o jakichś dzikich ultranacjonalistach polakożercach, ale osobiście nie boi się mieszkać w ich sąsiedztwie i w ogóle ma wrażenie, że wszelkie usposobienia antypolskie są rezultatem li tylko ekscytowania sztucznego. Ale te trudności mieszkaniowe nie są te, które Charwata trapią najwięcej. Choć układy co do rozwoju i normalizacji stosunków pocztowych, komunikacji itd. postępują nieźle, ale poseł Charwat wyczuwa różne obstrukcje i jakby głęboki opór bierny ze strony litewskiej w ogólnym złagodzeniu naprężenia polsko-litewskiego i wytworzenia atmosfery dobrosąsiedzkiej. Pojmuje, że trudno z dnia na dzień przerobić pewne nałogi wrogości twardej, ale swoją drogą stwierdza wielki brak giętkości u Litwinów, nawet, jak sądzi, zwłaszcza w sferach, otaczających rząd i pętających swobodę ruchów rządowych, i brak zrozumienia tego, że już sama normalizacja stosunków dyplomatycznych i wymienno-komunikacyjnych powinna przekształcić radykalnie metody traktowania Polski w Litwie. Powiada, że na wiele rzeczy usiłuje nie zwracać uwagi, pomniejszać ich doniosłość i wagę, w prasę litewską zbytnio się nie zagłębia, jej pewnych nietaktów nie obserwuje, nie zgłębia, zresztą w ogóle na prasę zapatruje się dość sceptycznie i uważa, że jest ona może bardziej nieszczęściem, niż czynnikiem dodatnim epoki współczesnej, który przeważnie bruździ i komplikuje stosunki, ale, powiada, choć on sam na wiele rzeczy chciałby nie zwracać uwagi i nie podnosić ich, to jednak nie może przeszkodzić temu, żeby opinia polska tych rzeczy nie spostrzegała, a spostrzegając je – staje się też nerwowa, nie chce być ustępliwa, nie chce być cierpliwa i wyrozumiała. W szczególności wskazał na to, że opinia polska jest poruszona tym, że w lokalach i poczekalniach poselstwa litewskiego w Warszawie są np. różne wydawnictwa i plakaty propagandowe (czy nie mapy także?), na których są rzeczy drażniące czy obraźliwe dla Polski... Ale najwięcej kłopotu sprawiają i krwi psują posłowi zwłaszcza dwie rzeczy: *primo*, ten fakt, że nie została jednak zaniechana działalność

propagandowa o znanym charakterze specyficznym Związku Wyzwolenia Wilna, która razi i gorszy opinię polską; co prawda, my osłabienie tempa tej akcji dostrzegamy, ale dla opinii polskiej, która w przyjęciu przez Litwę ultimatum polskiego gotowa już była upatrywać pojednanie braterskie i zgodę w zapomnieniu wzajemnym krzywd – to osłabienie tempa propagandowego antypolskiego jest niedostrzegane; *secundo*, najcięższy wszakże i mogący być istotnie ciężarny nowymi komplikacjami jest fakt artykułu konstytucji, głosząc Wilno jako stolicę Litwy.

30 kwietnia, rok 1938, sobota

Piszę dziś krótko; nie żebym nie miał co pisać – jest dużo, ale że czasu mam mało – jest późno.

Dokończę o tym, nad czym mi się żalił poseł polski minister Charwat na wizycie we czwartek. Otóż głównie biedował nad tą trudną sprawą Wilna jako stolicy, *expressis verbis* wymienionej nie tylko w starej, ale i w nowej konstytucji litewskiej, która w dniu 12 maja ma zyskać moc legalną. Dopóki nie było żadnych stosunków między Litwą a Polską, dopóki Litwa Polskę ignorowała, to mogła w konstytucji swojej pisać, co się jej podobało. Ale teraz, gdy stosunki są nawiązane, jest trudniej. Co prawda, z jednej strony Litwa stwierdza, że żadnym aktem nie zobowiązała się ona nigdy do uznania zaboru jednostronnego Wilna przez Polskę, ale z drugiej strony Polsce trudno się pogodzić z tym, żeby państwo, z którym ona utrzymuje stosunki regularne, wpisywało w konstytucji do swego terytorium to, co Polska za swoje terytorium uważa. Charwat powiada, że nie zdaje sobie zupełnie sprawy, jak się da z tej trudności wybrnąć. Opinia polska się z tym faktem nie pogodzi. Charwat uznaje, że Litwa może sobie rościć jednostronnie pretensje do Wilna na przyszłość, ale nie może, obcując z Polską, stwierdzać faktu przynależności do Litwy części terytorium, które Polska posiada jako swoje. Charwat powiada, że nie umie i nie próbuje swoją głową wykoncypować, jak i co się tu da zrobić, ale boi się tej daty 12 maja, kiedy się ta nowa konstytucja litewska uprawomocni. Zaiste rzecz jest trudna i kto wie, czy nie dojdzie do nowych komplikacji i nawet do ultimatum, choć Charwat tego nie zapowiada. Ale znowuż – jakże to rządowi teraz zmienić? Łatwiej było tego nie zrobić, niż teraz odrobić, bo opinia litewska wykreślenia Litwy nie zrozumie i przyjmie za nową i boleśniejszą kapitulację. Ale trudno nawet znaleźć formę dla takiej zmiany.

I poseł Klimas, i państwa zaprzyjaźnione ostrzegały Litwę, aby nie wpisywała Wilna do nowej konstytucji, bo to może grozić wielkimi komplikacjami, a realnie nic właściwie nie daje. Ale twórcy konstytucji się uparli. Najwięcej się zaś do tego przyczynił Šiling. Nie odważano się zaniechać tego demagogicznego i efektownego gestu, ale teraz to może się stać niebezpieczne i kompromitacja może być większa, gdy trzeba będzie pod presją wykreślać albo narażać się może nawet na... wojnę.

1 maja, rok 1938, niedziela

We czwartek miało miejsce posiedzenie senatu akademickiego, na którym referowałem sytuację w kwestii reklamacji ministra oświaty, skierowanej do prorektora Purėnasa. Wszyscy członkowie senatu, którzy się wypowiadali w tej sprawie, wypowiedzieli się podobnie do tego, jak się wypowiedział prorektor Jodelė i sekretarz uniwersytetu Blažys na posiedzeniu wtorkowym zwierzchności akademickiej. To znaczy wszyscy wypowiedzieli się przeciwko mojej dymisji, zaznaczając, że moja dymisja pogłębiłaby kryzys i jeno zaogniła, nie zaś złagodziła sytuację, byłaby przeto już nawet z tego względu dla uniwersytetu ujemna jako wciągająca go w wir polityczny. Szerszy ogół tak profesury, jak spoza uniwersytetu nie zrozumiałby moich motywów ustąpienia dla udogodnienia dymisji Purėnasowi i uważałby to za coś, łączącego mnie z tą odezwą partyjno-opozycyjną, dla której ustępuje Purėnas. Podnoszono też wzgląd na stratę, jaką uczyniłoby uniwersytetowi moje ustąpienie ze stanowiska rektora. Wypowiadano się za tym, aby się podał do dymisji Purėnas sam jeden; niektórzy, chcąc na Purėnasa oddziałać i skłonić go do uwolnienia mię od sekundowania mu w dymisji, a zresztą z przekonania także, wskazywali, że podanie się do dymisji na żądanie ministra nie będzie miało żadnych pozorów kapitulacji dla Purėnasa, przeciwnie – będzie wskazywało, że Purėnas nie zeszedł ze stanowiska opozycyjnego; kapitulację można by było upatrywać raczej w pozostaniu na miejscu, albowiem mogłoby to być tłumaczone jako jakaś

„ugoda”. W szczególności Žemaitis bardzo mocno podkreślał konieczność dymisji dla niedopuszczenia za żadną cenę niebezpiecznego precedensu usuwania arbitralnego profesorów z uniwersytetu, co mogłoby nastąpić w razie odmowy dymisji. Tylko dwóch członków senatu nie wypowiedziało się. Jednym był Michał Biržiška, który cały czas milczał. Drugim był dziekan Teologii Małakowski, który nawet coś mówił, ale merytorycznie się nie wypowiedział. Dosyć trafną diagnozę sytuacji dał Lašas, o którym się coraz bardziej przekonywam, że jest jednym z najmędrszych i najtreściwszych w senacie. Oświadczył on, że sprawa została wprowadzona na niewłaściwe tory. Należało zarzut, uczyniony przez ministra, a nawet uczyniony poprzednio przeze mnie, mianowicie co do tego, że Purėnas podpisał odezwę „do narodu i rządu” w charakterze prorektora uniwersytetu, co było niewłaściwe, skierować do senatu jako zarzut akademicki, nie czekając na reagowanie ministra. Gdyby senat albo sąd dyscyplinarny z ramienia senatu orzekł niewłaściwość takiego wystąpienia Purėnasa w charakterze prorektora, to Purėnas stanąłby nie wobec zarzutu czy żądania dymisji przez ministra, ale wobec orzeczenia akademickiego i to by mu dymisję ułatwiło, odbierając jej wszelkie pozory kapitulacji, których się Purėnas obawia.

2 maja, rok 1938, poniedziałek

Dotąd nie mam listu z Bohdaniszek od Elwiry. Nic mi nie raczyła odpisać dotąd na moje zawiadomienie o małżeństwie z Jadzią, wysłane jej z Rygi w dzień ślubu. Bardzo serdecznie natomiast napisał Stefan Römer. Tego mu nie zapomnę. Bardzo ładnie i głęboko odczuł on mój długoletni smutek i rozterkę, spowodowane wykolejeniem mojego życia domowego i społecznie fałszywą sytuację mojego stosunku serdecznego z Jadzią. Była to rzeczywiście ciężka i bolesna troska moja, która mię gryzła ciągle i rad jestem, że się to skończyło wreszcie. Niech będzie błogosławione to dzieciątko nasze w łonie Jadzi, które przez samo swoje zaistnienie przyśpieszyło normalizację prawno-małżeńską naszego stosunku i naszej z Jadzią rodziny. Od dwóch dni bawi u nas Marysia Stefanowa Römerowa, która przyjechała tu z Szaszewicz dla interesów. Marysia odniosła się grzecznie i poprawnie do naszego małżeństwa. Ale wielkim zwłaszcza ewenementem było przyjęcie serdeczne tego faktu przez Eugeniusza Römera, co jest tym ważniejsze, że Eugeniusz jest dziś autorytetem i seniorem rodu. Poza tym, Eugeniusz jest człowiekiem zacności wielkiej i serca. Jego sąd ma wagę. Do niego napisałem z Rygi o małżeństwie moim, napisałem bardzo serdecznie i szczerze. List adresowałem do Kowna. Nie wiedziałem, czy list go zastał jeszcze w Kownie i czy w razie niezastania będzie mu przesłany do Cytowian, czy też będzie czekał na niego. Odpowiedzi nie miałem. Dziś wpadła do mnie rano Zosia Eugeniuszowa. Spytałem ją, czy Eugeniusz mój list otrzymał. Odpowiedziała, że nic o żadnym liście nie słyszała i że prosto z kolei wpadła do mnie, a przyjechała wraz z Eugeniuszem. Zaprosiłem ją z mężem na obiad, uprzedzając, że zapraszam, o ile Eugeniusz, po otrzymaniu listu mego zachce przyjść do mnie. Była bardzo zaintrygowana, co jest w tym liście, ale nie powiedziałem. Prosiłem, żeby o południu zatelefonowali mi do uniwersytetu, czy przyjdą. O południu zatelefonowal mi Eugeniusz, że „chciałby mię uścisnąć bardzo serdecznie” i że na obiad z żoną przyjdzie. Jakoż przyszli. Eugeniusz przyniósł piękny kwiat w wazonie dla Jadzi i rzeczywiście bardzo serdecznie mię uścisnął winszując i składając życzenia oraz zapewniając, że Jadzia przyjęta będzie do rodziny jako kochana bratowa. Pierwszy raz widziałem Gienia tak wzruszonego. Miał łzy w oczach i był głęboko i gorąco przejęty. Byłem mu z całego serca wdzięczny za to okazane serce gorące i szczere, którego się w tym stopniu nie spodziewałem po nim. Zosia też nam szczerze winszowała. Obiad zjedliśmy wszyscy razem, w obecności też Marysi Stefanowej. Wniosłem toast na cześć rodu Römerów na ręce seniora rodu Eugeniusza, którego autorytet i serce jest w całej rodzinie uznane. Gienio wniósł toast za nasze z Jadzią zdrowie i pomyślność. To jest piękny i serdeczny ewenement rodzinny, który zrobił na mnie duże wrażenie. Poczyniłem też już kroki na rzecz wpisania nazwiska Römerowskiego do paszportu Jadzi. Obiecano to zrobić w urzędzie paszportowym naczelnika powiatu i miasta – tylko trzeba jeszcze przetłumaczyć łotewską metrykę ślubną przez tłumacza przysięgłego.

Jest nowina rodzinna: starsza córka Eugeniuszostwa Römerów, 26-letnia Zosienia Römerówna zaręczyła się w Gdyni z p. Hemplem, pochodzącym z Lubelszczyzny.

3 maja, rok 1938, wtorek

Dziś przyszedł list od Elwiry Mieczkowskiej z Bohdaniszek. Po serdecznym i wzruszającym przyjęciu nowiny małżeństwa naszego z Jadzią przez Stefana Römera i Eugeniusza Römera list Elwiry był przykrym zgrzytem. Jadzia się rozpłakała nawet i na razie twierdziła, że do Bohdaniszek nie pojedzie. Przekonałem ją, że to nic do Bohdaniszek nie ma i że w moich Bohdaniszkach jest ona, czy się to komu podoba, czy nie, nie mniejszą panią, niż Elwira i Helcia w swoich. Właściwie Elwira ostro się nie wypowiada i nie potępia mnie, ale oświadcza, że „jako katoliczka", nie może uznawać małżeństwa cywilnego, które, jej zdaniem, a ja bym inaczej powiedział – jej ignorancją i obskurantyzmem – jest pochodzenia „bolszewickiego" (!) i nie może przeto mi błogosławieństwa przysłać. Powiada wprawdzie, że jest to oczywiście moja rzecz prywatna, którą wolno mi układać, jak sobie życzę, ale ostrzega mię przed jakimiś złymi ludźmi i chciwością czyjąś (mam wrażenie, że ma na myśl rodzinę Jadzi, którą posądza o chęć uwikłania mię w więzy małżeństwa i wyzyskiwania mię materialnego; takie posądzenie jest bardzo charakterystyczne i typowe dla Mieczkowskich; Bóg świadkiem, jak daleka jest Jadzia od dojenia mię na rzecz swojej rodziny i jak krzywdzące jest takie posądzenie, ale źli ludzie zło dostrzegają u innych, bo sami zło mają w sercu; a zresztą nasze własne dzieci, których się z Jadzią spodziewamy, wyłączają naszą własną rodzinę od rodziny tak Jadzi, jak mojej). Na Elwirę się nie gniewam, ma ona po Papie oschłość formalizmu katolickiego. Za Elwirą stoi inna osoba, złośliwsza, pełna namiętności histerycznej, pełna zajadłej nienawiści, ta, która ma złe i czarne serce i której żądło kąsa poprzez Elwirę – to Helcia Mieczkowska. Ona jest tą intrygantką, która ma wpływ na Elwirę i która ją nastraja. Ona jest tym wrogiem nieprzejednanym i bezsilnym, która wszystkich i wszystko posądza o złe intencje i która nienawidzi życie, jak je nienawidzą faryzeusze. Niech się sobie smaży w obłudzie własnej i złości. Bóg i prawda nie są po jej stronie, choć się może uważa za doskonałą. Elwira jest szczera, Helcia jest obłudna. A głupie są obie. Ale Elwira jest zupełnie opanowana wpływem Helci, która nią kieruje jak chce. Helcia wygryzła Andrzeja, Helcia nie cierpi Jadzi, dla Helci nieznośną jest myśl o tym, że Jadzia będzie jej równą panią na Bohdaniszkach. A panią będzie nie tylko równą, ale większą, będzie panią Römerową i da Bóg matką Römerów, dziedziców bohdaniskich z dziada pradziada, którzy przybłędów Mieczkowskich, „kulfonów", za pas zatkną.

4 maja, rok 1938, środa

Po nieprzyjemnym jak bolesny zgrzyt liście wczorajszym Elwiry, który kładę zresztą przeważnie na karb głupiej i złej Helci Mieczkowskiej, dziś mam znowu do zanotowania dwa bardzo miłe wrażenia, przybywające mi do wiązanki odruchów rodziny na małżeństwo nasze z Jadzią. Elwirze jej wystąpienie bardzo za złe nie biorę, choć mi ono niewątpliwie było przykre. Sam pisząc do niej w moim do niej zawiadomieniu o ślubie zastrzegłem, że bez względu na to, jak ona wiadomość tę przyjmie i nie narzucając jej bynajmniej moich poglądów własnych, zachowam dla niej uczucie serdeczne jak dla siostry. Przez to ją poniekąd upoważniłem do otwartego i szczerego wypowiedzenia mi swych zastrzeżeń, gdyby je miała. Wypowiedziała je. Rzeczywiście uczuć braterskich do niej z tego powodu nie straciłem. Wolno jej tak a nie inaczej się na moje małżeństwo zapatrywać. Wolno jej ze swego stanowiska „katolickiego" nie wyczuwać całej brutalności i ohydy nieludzkiej sądu „katolickiego", wiążącego mię w nieistniejącym od dawna „małżeństwie" z Reginą i nie mieć żadnego czucia nie tylko dla osobistych tęsknot ludzkich moich do stworzenia sobie rodziny i prawowitego, społecznie uznanego ogniska i zacisza domowego na starość, ale nawet dla sumienia mego, które mi nie może pozwalać na płacenie Jadzi krzywdą i wstydem za jej wierność i przywiązanie do mnie. Wolno jej to, choć to mi jest naturalnie przykre. Ale Elwira poszła dalej. Rzuca ona jakąś insynuację o „złych ludziach" i o „chciwości ludzkiej"; jest to insynuacja, która, jeżeli się nie mylę, ma na względzie rodziców i rodzeństwo Jadzi, a przeto Jadzię pośrednio jako

rzekomo dającą się używać za narzędzie do wyzyskiwania mnie przez jej rodzinę. Jakże podłe i dalekie od Boga i prawdy są te insynuacje, brudne i obrzydliwe. Trzeba być samemu brudnym i mieć duszę czarną, żeby takie posądzenie w sercu swym piastować, a wypowiadanie ich mnie w odpowiedzi na moje małżeństwo jest dosyć bezczelne. Tego się po Elwirze nie spodziewałem. Nie winię jej osobiście tylko dlatego, że jest stara i już w piętkę goni, a głównie dlatego, że mam przekonanie, iż mówi to z ust Helci. Poznaję w tym Helcię, kąsającą jak gadzina.

Dziś mam wrażenie miłe. Jednym z nich jest list Ewy Meyerowej, która bardzo serdecznie zareagowała na małżeństwo nasze. O tym nie wątpiłem. Nie było to niespodzianką dla mnie. Ale za to niespodzianką prawdziwą było dla mnie zareagowanie Komorowskich, raczej Julka Komorowskiego. Dom Komorowskich – to twierdza pojęć arystokratycznych. Julek ma względnie tego najmniej, mniej w każdym razie, niż Elizka i niż jego rodzeństwo – Hektor i Zitka oraz Litka – ale za to kompensuje to żona Julka, Madzia, Gorska z domu, wielka pani. Toteż o Komorowskich z góry byłem przekonany, że tam żadnego zrozumienia nie znajdę. Do Kowaliszek – do Hektora i Julka nie zawiadamiałem wcale o małżeństwie, a do Elizki do Polski napisałem tylko tyle, że się niebawem dowie nowiny o mnie, która zapewne nie będzie po jej myśli, choć dla mnie jest to rzeczą sumienia i uczucia, a ponieważ mam z góry przekonanie, że ona to źle przyjmie, przeto w szczegóły się nie wdaję i na czas długi pisanie do niej przerywam. Aż oto wpadł dziś niespodzianie Julek do mnie; bawiąc w Kownie, dowiedział się o małżeństwie moim od Zaborskich i Zemana. Wpadł z bardzo serdecznym i gorącym powinszowaniem, z życzeniami i wielkim uznaniem dla tego kroku mojego. Zechciał też złożyć życzenie Jadzi, był na kawie u nas i był dla nas obojga bardzo miły i serdeczny. Co więcej, przyprowadził potem do nas żonę, Madzię, tylko już nas nie zastał. Przez przyprowadzenie Madzi dał zupełną sankcję uznania małżeństwa i stanowisko Jadzi w rodzinie. Wdzięczny mu jestem za to. Dla nas z Jadzią to wielki atut moralno-rodzinny. Julek nalegał na tym, abym napisał o małżeństwie do Elizki. Zrobię to.

5 maja, rok 1938, czwartek

Wrócę teraz do sprawy prorektora Purėnasa. Wspominałem o posiedzeniu senatu w ubiegły czwartek, na którym prawie wszyscy wypowiedzieli się na rzecz dymisji Purėnasa, ale tylko jego jednego, to znaczy przeciwko łącznej dymisji mojej, którą uważano za zgoła nieuzasadnioną i zbyteczną. Z toku tych debat przekonałem się, że rzeczywiście moja dymisja żadnej właściwie użyteczności dla uniwersytetu nie przedstawia; w istocie nie przedstawia ona też żadnej wartości realnej dla Purėnasa. Dla uniwersytetu stanowiłaby ona jeno pogłębienie kryzysu, pewien wstrząs w stosunkach akademickich, a nawet mogłaby stanowić ewentualnie to, o uniknięcie czego mnie chodziło. Mianowicie chodziło mi o to, żeby uniwersytet nie został uwikłany w politykę i właśnie dlatego zależało mi na dymisji Purėnasa, moją zaś dymisję zaproponowałem mu li tylko dla ułatwienia mu dymisji jego, to znaczy zaproponowałem jako środek do celu, nie zaś jako cel w sobie, bo z podpisaniem przezeń odezwy do „narodu i rządu" merytorycznie bynajmniej się nie solidaryzuję. Jeżeli jednak cały senat uzna, że Purėnas musi się do dymisji podać, skoro minister potępił go formalnie, tym bardziej, że i sam on się przyznaje do błędu formalnego, ze niepotrzebnie podpisując odezwę zaznaczył swój urząd prorektorski, który, jako ściśle akademicki, nie ma nic do czynienia z podpisywaniem odezw politycznych, skoro następnie stwierdzono, że jego dymisja nie będzie bynajmniej uchodziła za kapitulację, co właśnie go od dymisji powstrzymało, a nawet przeciwnie – że dymisja podkreśli, iż on nie kapituluje, lecz stoi mocno na gruncie podpisanej przezeń odezwy i dlatego ponosi konsekwencje, nie cofając się z tego gruntu, to w tych warunkach i okolicznościach moja łączna dymisja traci wszelkie uzasadnienie, dla którego ją proponowałem, natomiast będzie czyniła na zewnątrz wrażenie solidaryzowania się merytorycznego mego ze stanowiskiem Purėnasa w przedmiocie odezwy. Łączność mojej dymisji z dymisją Purėnasa dałaby podstawę do domysłów i gawęd, że oto i uniwersytet w osobie rektora łączy się z akcją polityczną, która pociągnęła dymisję Purėnasa. To by więc była właśnie droga do wciągnięcia uczelni akademickiej w wir polityki i jakichś knowań opozycyjnych, przynajmniej w interpretacji opinii

publicznej. Toteż moja dymisja łączna traci wszelką rację. Ostatecznie nie pozostaje na jej rzecz tego jedynego argumentu, że jest ona warunkiem koniecznym do skłonienia Purėnasa do dymisji, bo obecnie już Purėnas decyduje się na dymisję bezwzględnie. Ale pomimo to wszystko na posiedzeniu senatu w ubiegły czwartek Purėnas nie wypowiedział się szczerze i otwarcie tak, żeby to zrobiło wrażenie, że rozumie i uznaje bezcelowość i zbyteczność zupełną mojej dymisji łącznej. Powiedział wprawdzie, że on się do dymisji podaje bezwzględnie, nie uzależniając tego od mojej dymisji łącznej, a co ja zrobię – to jest moja, nie jego rzecz, ale powiedział to w taki sposób, że się mogło wyczuwać, iż mojego cofnięcia się nie aprobuje. Sytuacja moja była dość trudna. Miałem wszakże zdobyte przekonanie własne, że moja dymisja straciła na wszelkim walorze i potrzebie i raczej stać się może szkodliwą ze stanowiska akademickiego, a dla mnie osobiście nie jest ona także bynajmniej miła ani pożądana. Jeżeli więc poza tym jest jałowa i raczej ujemna, to *cui bono* mam ją utrzymywać? Chodzić mogło już tylko o związanie się honorowe z Purėnasem. Dokończę jeszcze o tym.

6 maja, rok 1938, piątek

Przyszedł list od Kotuńki Pruszanowskiej w odpowiedzi na mój. Kotuńka na ogół życzliwie traktuje moje małżeństwo z Jadzią; domyśla się, że Jadzia zaszła w ciążę i że spodziewamy się potomstwa. Uważa, że postąpiłem uczciwie, legalizując ten stosunek i stanowisko tak Jadzi, jak dziecka. Ślubu cywilnego nie traktuje tak, jak go traktuje Elwira. Co prawda uważa to nie tyle za małżeństwo w ścisłym znaczeniu, ile za „*modus vivendi*”, ale nie potępia tego bynajmniej ze stanowiska katolickiego. Cieszy się, że nie poszedłem drogą zmiany wyznania, zmienianego jak rękawiczka i ściągającego „klątwę kościelną”, co w opinii katoliczki, jaką jest Kotunia, stanowi ohydę i zgrozę. W przeciwieństwie do Elwiry uważa, że w tych warunkach, w jakich jestem, zawarcie małżeństwa cywilnego jest drogą szlachetną. Nie twierdzi i nie ma sumienia twierdzić, że moje dawne „małżeństwo” z Reginą, które w myśl dogmatów kościelno-katolickich jest rzeczywistością „sakramentu”, powinno mię wiązać i zamykać drzwi życia. Słowem, Kotuńka kochana wcale się nie gorszy i odzywa się serdecznie do mnie i do Jadzi. Prawda, że Kotuńka, która zresztą Jadzi nie zna i która ma pewne uprzedzenia pańsko-ziemiańskie, w myśl których zasady uczciwości, szlachetności itd. są przywilejem szlachty i tradycji rodowych, a przeto ludowi włościańskiemu nie są z natury właściwe, mówi o moim obowiązku wpojenia wszelkich zasad Jadzi i dzieciom, jak żeby Jadzia stała moralnie na jakimś niższym poziomie. Naturalnie też, że Kotuńka, wychodząc z założeń katolickich, upomina mię i wyraża nadzieję, że dzieci wychowam w ścisłych zasadach nauki katolickiej i tradycji rodowej. Co do zasad katolickich, to myli się Kotuńka. Sam ich nie cenię i dziecko czy dzieci moje wcielę, a nawet wcielić będę musiał do kościoła kalwińskiego, a nie katolickiego, albowiem kościół katolicki chrzciłby je jako nieślubne, do czego dopuścić nie mogę.

W każdym razie, rad jestem z przyjęcia małżeństwa mego przez Kotuńkę. W dalszym ciągu listu Kotuńka pisze bardzo serdecznie o Litwie.

7 maja, rok 1938, sobota

Jeszcze jeden list rodzinny w sprawie naszego małżeństwa. Tym razem od Heli Białej, to znaczy Römer-Ochenkowskiej z Wilna. Co do niej, nie wątpiłem nigdy, że przyjmie tę wiadomość serdecznie. Tak też jest w istocie. Hela, głowa otwarta, natura szczera, kochająca życie i prawdę, wrażliwa na wszystko, co jest dobre i szlachetne, wolne od przesądów stanowych i od oschłości formułek kościelnych, nie mogła nie zareagować serdecznie na odruch zdrowy mojego życia, złamanego nieszczęsnym „małżeństwem” poprzednim z Reginą. W osobie Heli mam zresztą przyjaciółkę wierną i mocną, na której zawsze polegać mogę. Poza tym, Hela ma głęboki instynkt rodzinny, raczej rodowy; jest to jej słabość, szlachetna zresztą i bardzo upowszechniona w rodzinie Römerow, zwłaszcza w gałęzi potomków pradziada Michała Römera, którego prawnukowie obecnie czoło tej gałęzi stanowią. W tym czole gałęzi seniorami są obecnie Eugeniusz, Antoni z Janopola i ja,

a do luminarzy należą jeszcze Hela po stryju Alfredzie i Tadeusz, który zajmuje zaszczytne stanowisko ambasadora polskiego w Tokio. Są jeszcze w tej gałęzi w tymże pokoleniu w linii męskiej Maciej, brat starszy Tadeusza, i Staś, brat młodszy Eugeniusza, ale ci są bardziej bezbarwni. Niewątpliwym zaś luminarzem i seniorem w jednej osobie jestem ja, którego całe życie i dzieje były i są osobliwe, zwłaszcza zaś w dwóch jaskrawych momentach: legionisty I Brygady Piłsudskiego w dobie Wielkiej Wojny i rektora Uniwersytetu Litewskiego Witolda Wielkiego aktualnie. Poza tym jeszcze ja jestem tym, który kontynuuje bezpośrednio imię pradziada Michała jako Michał IV w prostej linii (pradziad Michał, dziad Michał-Stefan, papa Michał-Kazimierz i ja). Hela Biała wymawiała mi zawsze i miała żal, że schodzę bezpotomnie, bo moja córka Celina oczywiście kontynuować linii Römerowskiej nie będzie, a zresztą mało ma z Römerami kontaktu. A oto teraz wraz z małżeństwem moim świta mi nadzieja potomstwa i przeto przekazanie imienia własnego mojego i zarazem imienia pradziadowskiego. Da Bóg, że tym kontynuatorem będzie Michał-Filip, jeżeli to nie będzie Kotunia, jak zdecydowawszy jestem nazwać córeczkę, gdyby się urodziła ona, a nie syn. Moja kochana przyjaciółka Hela Biała cieszy się perspektywą potomstwa w mojej linii.

Jednocześnie list Heli zawiera i likwiduje inną sprawę. Dawno, zaraz po Nowym Roku, Hela była mi przysłała jakieś wycinki z gazet polskich w Wilnie, podające w relacji agencji PATa jakieś rzekome dzikie rezolucje antypolskie wiecu młodzieży akademickiej litewskiej w Kownie i zapytywała, czy mogę wobec tego pozostać rektorem uniwersytetu w Kownie. Odpisałem wtedy Heli, że wiadomość ta jest wyssana z palca i że żadnego wiecu studenckiego, na którym by były uchwalone cytowane rezolucje, nie było. Wskazałem memoriał, który zgłosiła do senatu akademickiego grupa korporacji litewskich w przedmiocie reagowania na prześladowanie Litwinów i w szczególności stowarzyszenia studenckiego litewskiego w Wilnie, ale postulaty, zawarte w tym memoriale, nie miały nic wspólnego z barbarzyńskimi rezolucjami rzekomego „wiecu" studenckiego, cytowanymi w prasie polskiej; i zresztą ten memoriał żadnych skutków nie miał, a senat akademicki zareagował nań przez wyjaśnienie odpowiednim organizacjom studenckim niewłaściwości wszelkich retorsji ze strony litewskiej.

8 maja, rok 1938, niedziela

Gdym napisał w lutym do Heli Ochenkowskiej, zaprzeczając kategorycznie zakomunikowanym mi przez nią sensacyjnym informacjom prasy polskiej o rzekomych rezolucjach antypolskich (rzeczywiście barbarzyńskich) wiecu akademickiego studentów litewskich w Kownie, Hela, natura szczera i odruchowa, w gorącej wodzie kąpana, tak się z tego ucieszyła i zarazem tak się oburzyła na fabrykowanie podjudzające fałszywych informacji, że pchnęła do któregoś z pism polskich w Wilnie artykuł gorący, zatytułowany „Od Mickiewicza do Peta", w którym, powołując się wprost na mnie, zadała kłam owej informacji. Mówiono mi potem (ja sam tego nie słyszałem, bo w ogóle tych różnych „chwilek litewskich" w radiu wileńskim, które były skierowane li tylko do jątrzenia i które już podobno teraz, po normalizacji stosunków, zostały zaniechane, jak również komunikatów „Vilniui Vaduoti Sąjungos" w radio kowieńskim – nie słuchałem, bo mam dość tego siewu nienawiści i najczęściej kłamstwa, a już co najmniej przesadnego przejaskrawiania); otóż mówiono mi, że w odpowiedzi na artykuł Heli Ochenkowskiej p. Ostrowski z radia wileńskiego (ten Ostrowski – to jeden z patentowanych podszczuwaczy litwinożerczych w Wilnie) wystąpił ze zjadliwym zaprzeczeniem mojego twierdzenia o tym, że takiego wiecu i takich rezolucji nie było, zarzucając mi po prostu kłamstwo i wprowadzenie w błąd Heli Ochenkowskiej i oświadczając, że może wskazać i miejsce, i osoby, które brały udział w tym wiecu i w uchwaleniu tych rezolucji. Było to w tym tygodniu wielkiego rozgorączkowania, który poprzedził ultimatum polskie. Po powrocie do Kowna ze świąt wielkanocnych zastałem tu list od Heli, w którym, mocno tym wszystkim zaintrygowana i przejęta, przysyła mi ona wycinek z gazety z artykułem tegoż Ostrowskiego, zadającym mi kłam, i prosi mię o wyjaśnienie. W artykule Ostrowskiego, który mię nazywa „Remerasem", oczywiście chcąc przez to insynuować mi renegację aż do zmiany nazwiska włącznie, podana jest odbitka fotograficzna z organu Związku Wyzwolenia Wilna „Mūsų Vilnius", zawierająca

w brzmieniu litewskim te rezolucje, którym zaprzeczałem. Zdaje się, że Ostrowski spekulował na tym, że czytelnicy jego artykułu w Wilnie nie odczytają tekstu tej odbitki fotograficznej, ponieważ w ogóle po litewsku nie rozumieją. Z odbitki tej bowiem najwyraźniej widać, że nie były to żadne rezolucje żadnego wiecu studentów w Kownie, jeno rezolucja grupy studenckiej Związku Wyzwolenia Wilna, a więc uchwały jakiejś organizacji partykularnej, które nic wspólnego z akcją akademicką młodzieży litewskiej na uniwersytecie nie mają i nie były wcale zgłoszone ani nawet przeznaczone do zgłoszenia władzom akademickim, jeno były oczywiście zgłoszone organom Związku Wyzwolenia Wilna, ale nawet organy Związku Wyzwolenia Wilna, podając te rezolucje do druku w swoim organie, zaznaczyły, że żądania, zawarte w tych rezolucjach, nie są zbieżne z linią i metodami związku i drukują się li tylko dlatego, żeby uwydatnić, jakie nastroje odruchowe wywołują w pewnych kółkach litewskich represje wileńskie przeciwko Litwinom. Napisałem przeto do Heli, wyjaśniając jej, jak się rzecz ma istotnie, co nawet z tej podanej przez samego Ostrowskiego odbitki widać, i potwierdzając moje poprzednie zaprzeczenie: żadnego wiecu studenckiego nie było i takich rezolucji młodzież akademicka litewska nie uchwalała. Zarzuciłem Heli niewiarę do mnie, którą wyczułem w jej liście, co mi przykrość sprawiło, i wyraziłem wątpliwość co do użyteczności użytkowania przez nią moich informacji listownych w prasie, albowiem Ostrowscy *e tutti quanti*, którzy żyją ze szczucia i którzy zawodowo muszą jątrzyć i operować kłamstwem i oszczerstwem, nie dadzą się nigdy przekonać i przekręcą kota w worku do góry ogonem, a skorzystają z okazji li tylko na to, żeby mię wmieszać do polityki w stosunkach polsko-litewskich i przy okazji z błotem mię zmieszać, bo to dla nich jest dobre. Istnienie człowieka bez plamy w stosunkach litewskich jest dla nich solą w oku. Hela to uznaje i obecnie w liście serdecznie mię przeprasza i nie posiada się z oburzeniem na tych pp. Ostrowskich, oszczerców i paskudziarzy zawodowych.

9 maja, rok 1938, poniedziałek

Wczoraj zaprosiłem do nas na obiad weselny czy raczej kawalerski grono tych chłopców, którzy bywali u nas i stanowili nasze „towarzystwo” domowe czy bywalców w tych czasach, kiedyśmy formalnie nie stanowili z Jadzią małżeństwa (czasy zresztą bardzo niedawne, przekraczające zaledwie dwa tygodnie!). Związek nasz z Jadzią, aczkolwiek w sercach naszych od wielu lat bardzo istotny i z pewnością szczerszy i głębszy, niż ogromna ilość małżeństw, nie tylko legalnych, ale naturalnie i kościelnych, arcykatolickich, sakramentalnych (a jakże!), był jednak w oczach ludzkich, w opinii „szanujących się” i „dobrze myślących”, mówiąc zaś otwarcie – faryzeuszów społecznych (*sic*! z podkreśleniem) – miłostką grzeszną, w języku zaś prawniczym był konkubinatem (co za groźne słowo). Z rozkoszą bym plunął w oczy temu światu mieszczańskiemu obłudy, który tę naszą prawdę miłości z Jadzią mierzył miarką formalną przepisów zdawkowych o małżeństwie. Rozumiem jeszcze tych, którzy wychodzą z założeń religijnych. Tych szanować mogę, bo podstawą ich sądu jest przekonanie wiary. Ale nie mam szacunku dla tych, którzy sami w nic nie wierząc, zamykają się w sklepieniu tego, co „przyjęte”, wyłączając prawdę. Naturalnie przeto ludzie rodzinni nie bywali u nas, bo ignorować chcieli Jadzię i mój z nią stosunek. Może by się wśród nich znaleźli inaczej myślący, ale ja byłem zbyt dumny na to, abym ich szukał i abym ich o prawdzie przekonywał. Bywali więc u nas tyko tacy ludzie – albo wyzuci ze wszelkiego szablonu obłudy, jak Żyd Diskin, albo krewni moi, zależni ode mnie osobiście, jak Stefan Römer, Andrzej Mieczowski, Julek Komorowski (bez żony wszakże), albo studenciki i ex-studenciki, jak Zeman, Mackus, Pauża. Ci – to były wolne ptaki, ludzie, nie związani żadnymi formułami szablonów moralnych, pastuszkowie prości jak ci, co witali Chrystusa w stajence. Bywali oni na obiadach u nas, traktowali nas po ludzku, radzi, że rektor z nimi obcuje. Jako rektor, jako profesor, jako wybitny umysł prawniczy i jako doskonały obywatel kraju bez względu na moje pochodzenie pańskie i na moje wychowanie polskie – ceniony byłem w społeczeństwie litewskim, ale moje życie prywatne domowe, strefione bezmałżeńskim związkiem z Jadzią, było wyłączone ze stosunków społecznych tych środowisk, z którymi w moim życiu publicznym obcowałem. Teraz powoli będzie się to zmieniało. Stwierdzić muszę, że społeczeństwo inteligenckie litewskie, aczkolwiek bardzo młode i z

ludu bezpośrednio, najczęściej w pierwszym pokoleniu wyłonione, bardzo szybko przyswaja sobie moralność mieszczańską i trzyma się jej jak tabu. Otóż tych moich ptaszków niebieskich i pastuszków prostych zaprosiłem wczoraj na obiad weselny. Byli: Diskin, który mi dawno zapowiedział, że na przyjęciu po ślubie moim upije się z radości jak bela; Stefan Römer, którego na ten obiad wezwałem z Szaszewicz; Feliks Mackus, nasz domownik dawny i świadek ślubu naszego; Zeman i Paužа. Wesoły był obiad i serdeczny a swojski. Kompania piła tęgo. Jest to bowiem bractwo jak z bajki, serdeczne i w potrzebie do kieliszka skore. Jadzia im przyrządziła doskonałych przekąsek, dała mocnej wódki na czarnych porzeczkach, do kawy dała krupnik, który sama poprzednio podług recepty domowej zgotowała, ja dałem do obiadu butelkę doskonałego sauternu francuskiego i butelkę chianti włoskiego. Dymiło z czupryn lub łysin, humory były świetne, gawędzono, śmiano się, wznoszono toasty, Stefan się raz rozgniewał nie na żarty na nieobecnego Andrzeja, któremu zazdrości bliskości ze mną, przy kawie ku ogólnej uciesze Stefan wzniósł nawet na zdrowie Filipka! Wesoło upłynął ten obiad kawalerski.

10 maja, rok 1938, wtorek

Wczoraj byłem bardzo zajęty gościem z Francji, znakomitym pisarzem francuskim Julesem Romainsem, który, jako prezes światowej organizacji „Pen-Klubu”, w towarzystwie młodziutkiej żony objeżdża kraje Europy, kojarząc wizytację „Pen-Klubów” narodowych z rozrywką wycieczki. Do Kowna zawitał obecnie z Tallina i Rygi. Przyjechał w niedzielę. Jest on ściślejszym gościem nie uniwersytetu, ale „Pen-Klubu” litewskiego i Litewskiego Związku Pisarzy. W niedzielę było zwiedzanie galerii, wycieczki, przyjęcia. W tym dniu go nie widziałem i do czynienia z nim nie miałem. Za to wczoraj miałem go do syta. Przede wszystkim, byłem zaproszony na śniadanie do posła francuskiego p. Dulonga, wydanego na cześć Julesa Romainsa, w którym wzięli udział wybitni pisarze litewscy, dziennikarze, czynniki Ministerstwa Oświaty, Towarzystwa Litewsko-Francuskiego i uniwersytetu. Następnie na uniwersytecie w szczelnie zapełnionej sali, przed audytorium doborowym, złożonym z profesury, pisarzy, dziennikarzy, inteligencji i studentów, Jules Romains wygłosił piękny odczyt. Wreszcie odbyła się liczna herbatka w Towarzystwie Litewsko-Francuskim. Jako rektor i prezes Towarzystwa Litewsko-Francuskiego, musiałem naturalnie przemawiać po francusku tak przed odczytem na uniwersytecie, jak na herbatce. Wywiązałem się z tego, jak zawsze, dobrze. Mowy, szczególnie francuskie – to moja specjalność. Był jeszcze potem raut Związku Pisarzy na cześć gościa, ale na ten już nie poszedłem. Jules Romains jest fizycznie brzydki. Małego wzrostu – ma dużą głowę. Ale rysy twarzy bardzo wyraziste i świadczące o charakterze. Ma lat przeszło 50, żonę ma młodziutką, dwudziestokilkuletnią. Odczyt był wygłoszony ślicznie, z ogromną wyrazistością i mocą i był bardzo „*spiritual*” i „*fin*”. W zakończeniu Jules Romains dla ilustracji odczytał pewien ustęp jednej z książek swoich. Odczytywał mistrzowsko. Człowiek niewątpliwie ciekawy.

Do dymisji więc z rektoratu się nie podaję. Okazało się, że dla uniwersytetu miałoby to skutek ujemny. Stwierdzili to wszyscy w senacie i sam też zdobyłem to przeświadczenie. Tym lepiej, że to niepotrzebne, bo zarazem nie byłoby to i osobiście przyjemne dla mnie. Nie jestem, co prawda, zupełnie pewny, że Purėnas podziela moje zdanie. Zdaje mi się, że wolałby, aby w sprawie jego dymisji było więcej alarmu, a przeto abym i ja się do dymisji podał. Ale formalnie uznał, że jego ustąpienie musiałoby nastąpić bez związku z moją dymisją. A w takim razie moja dymisja nie ma racji bytu. Byłaby ofiarą bezcelową, która mogłaby jeno zaszkodzić uniwersytetowi i nadać cechę polityczną „wystąpienia” czynników akademickich. Wszakże w rozmowie z Purėnasem ustaliłem jedną rzecz: że list ministra oświaty do Purėnasa, czyniący mu zarzuty i kwestionujący właściwość jego pozostawania na stanowisku prorektora, był niestosowny, bo minister powinien był się z tym zwrócić do rektora i tylko do niego jako reprezentującego całą autonomiczną korporację akademicką, aby dalsze postępowanie w podniesionej kwestii szło drogami autonomicznymi. Konieczne przeto jest zareagowanie rektora w imieniu uniwersytetu na to obejście drogi autonomiczno-korporacyjnej. Nie ma konieczności, żeby to zareagowanie wyraziło się w formie krańcowej – w dymisji

niezwłocznej rektora, ale trzeba co najmniej przedstawić ministrowi niewłaściwość jego kroku. Wystosowałem więc odpowiednie pismo do ministra.

W sobotę, w przeddzień mojego wyjazdu do Hagi, odbędą się na uniwersytecie wybory obu prorektorów: na miejsce Jodeli, którego kadencja się kończy, i na miejsce dymisjonującego Purėnasa.

11 maja, rok 1938, środa

Z Bohdaniszek przyszła wiadomość ciężka. Rano, koło godziny dziesiątej, gdym był jeszcze w domu, z mieszkania Mašiotasów wezwano Jadzię do telefonu (oczywiście ja, nie znoszący telefonu, nie mam go w domu; mam telefon tylko w rektoracie, ale za to z głośnikiem i mikrofonem nadawczym, jak w radio, bez słuchawek, których nie znoszę). Ktoś wzywał Jadzię lub mnie z Abel. W takich razach idzie do telefonu w mieszkaniu Mašiotasów Jadzia. Po chwili wróciła. Okazało się, że z Abel ze słów parobka, który przybył z Bohdaniszek, urzędnik poczty zawiadomił Jadzię, że zabity został mój ekonom stary w Bohdaniszkach, Piotr Pumpol. W parę godzin potem telefonował znów do Jadzi jej brat Janek Čepas z Abel. Dokładnych szczegółów śmierci Pumpola jeszcze nie znamy. Z tego, co wiemy, możemy tylko tyle ustalić, że zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Pumpol był wczoraj w Abelach. Jeździł tam gdzieś w okolice kupować owies do siewu. W drodze powrotnej wczoraj wieczorem musiał go koń unieść i Pumpol zapewne wypadł z wozu albo się przewrócił z bryczką. Znaleziono go już nieżywego dziś rano. Wypadek miał miejsce w lasku apuszyńskim. Jakim koniem jechał Pumpol i co się z koniem stało, czy Pumpol nie był pijany, co mu się często zdarzało, gdy jeździł do miasteczka, nie wiemy. Może jechał młodym koniem Niemnem, którego lubił bardzo i używał chętnie do jazdy, bo koń jest doskonały, ale się czasem płoszy i miewa fantazje, kiedy unosi, a pysk ma twardy... Czy zabił się od razu, czy się jeszcze męczył – tego może w ogóle nie będzie się można dowiedzieć. Że Pumpol nie żyje – to jest jednak fakt. Zwłoki jego są złożone w pokojach dawnego domu Maryni, przerobionego ze spichrza i należącego obecnie do Elwiry. Szkoda wielka Pumpola. Nie tylko dlatego, że to dla mnie strata w gospodarstwie, ale też dlatego, że był to jednak człowiek dobry, z sercem i charakterem, dzielny. Dobrym był gospodarzem i kochał gospodarstwo. Rządny był i uczciwy, staranny. Miał swoje pewne upory, ale był człowiekiem pełną gębą. Ja w obecnej chwili, o kilka dni przed wyjazdem do Hagi i przed posiedzeniem sobotnim Rady Uniwersyteckiej dla wyboru prorektorów, jechać do Bohdaniszek nie mogę. Wypadło zdecydować się i poświęcić na to Jadzi. Chodzi o zarządzenie pogrzebu i dyspozycje prowizoryczne w gospodarstwie. Jadzia się tym na razie zajmie. Ona nieźle to robi, ma główkę rządną. Zaraz przeto Jadzia poleciała do żony Pumpola, która z synem mieszka w Kownie i o godzinie drugiej wyjechała z wdową po Pumpola do Bohdaniszek. Wróci jeszcze przed moim wyjazdem do Hagi. Kłopot będzie i strata także dla mnie; trzeba będzie znaleźć nowego ekonoma do Bohdaniszek, a to nie jest łatwe, chcąc mieć człowieka wartościowego, jakim był Pumpol. Biedny stary Pumpol.

Słówko jeszcze o zbliżających się wyborach prorektorskich. Co do kandydatury na prorektora do spraw gospodarczych na miejsce Jodeli, którego kadencja się kończy, to, zdaje się, najpożądańszy byłby wybór ponowny Jodeli. Człowiek poczciwy, zna się na rzeczy, lubi tę pracę, zaangażowany jest w budownictwo uniwersyteckie, trochę tylko stary, przekroczył już od paru lat granicę wieku i z roku na rok udzielana mu jest prolongata jednoroczna. Ale kto by go mógł zastąpić? Może najlepszym byłby prof. Jurgutis, ale technicy żądają tego stanowiska dla siebie, a poza tym z Wydziału Prawniczego w zwierzchności akademickiej już jestem ja, u nas zaś przyjęto, aby zwierzchność ta składała się z osób należących do różnych wydziałów. Wymieniają jeszcze Moszyńskiego, Dirmonta, Horodeckiego. Horodecki stary także, Dirmont niepopularny, Moszyński – to byłaby karykatura – człowiek nieznośny, fałszywy, zakochany w sobie. Aspiruje prof. Żyliński z medycyny, ale, choć miły, jest bardzo nierównego charakteru i ciężki. Co do prorektora do spraw studenckich na miejsce Purėnasa – to ja bym chciał Blažysa, ale coraz poważniej się zarysowuje kandydatura Žemaitisa, którego popiera Purėnas i cały Wydział Matematyczno-Przyrodniczy, który chciałby się go pozbyć jako dziekana i na jego miejsce wybrać na dziekana Purėnasa. Ale Žemaitis – nie daj Boże! Jest intrygantem, siedzi na kilku stołkach, człowiek ubogiej myśli, a wielkiej próżni.

12 maja, rok 1938, czwartek

Umarł stary prof. Piotr Leonas. Umarł w wieku lat siedemdziesięciu kilku. Umarł nagle, na serce. Trochę się poczuł źle wczoraj wieczorem. Źle się czuł w nocy i rano. Nie pomogli lekarze, serce odmawiało służby. O godzinie trzeciej po południu umarł. Przyszedł do mnie syn zmarłego, adwokat, jak on, Olgierd Leonas, były student naszego uniwersytetu. Oświadczył mi, że przynosi mi list od „byłego ojca swego". Zdziwiła mię ta forma mowy; zainterpelowałem, co to znaczy „były ojciec"? Odrzekł dopiero, że ojciec, prof. Leonas, przed chwilą umarł, i podał mi w kopercie list, zaadresowany na kopercie własnoręcznym pismem prof. Leonasa do rektora uniwersytetu. Zdziwiłem się znowu: umarł, kiedy list adresował własnoręcznie do mnie, jakże to? Odpowiedział mi syn, że list był napisany zawczasu i złożony u rodziny, aby mi go oddano po jego śmierci. Wzruszony – przeczytałem list. Leonas prosi w nim rektora o zarządzenie spalenia jego zwłok w krematorium uniwersyteckim Instytutu Anatomii na Wydziale Medycznym. Obiecałem synowi zmarłego, że się tą rzeczą zajmę. Na wieczór wezwałem do siebie dziekana Wydziału Medycznego Lašasa, kierownika Instytutu Anatomicznego prof. Żylińskiego i dziekana Wydziału Prawniczego prof. Janulaitisa, aby omówić z nimi spalenie zwłok w krematorium i pewne szczegóły ceremoniału pogrzebowego. Przed ich przyjściem był jeszcze u mnie Stefan Kairys, zięć zmarłego, wraz z prof. Purėnasem. Wieńców od organizacji rodzina nie życzy, eksportacja ma być taka, aby kondukt żałobny zatrzymał się przed gmachem uniwersyteckim Wydziału Prawniczego, mowy zasadnicze byłyby wygłoszone u wejścia do gmachu Wydziału Medycznego. Na zebraniu z udziałem Lašasa, Janulaitisa i Żylińskiego ustaliliśmy, co należało. Prof. Żyliński chce przed spaleniem zwłok zdjąć maskę gipsową z głowy i popiersia zmarłego oraz wybrać i zakonserwować mózg. Spalenie zwłok w krematorium akademickim nie jest u nas formą legalną pogrzebu zwłok, ale może być wykonane drogą okólną – w formie przekazania przez rodzinę zwłok na rzecz Instytutu Anatomicznego, który wtedy może je spalić jako już swój materiał naukowy. Przed gmachem Wydziału Prawniczego przemówi krótko w obecności zwłok dziekan wydziału Janulaitis. Gdy jeszcze ci trzej profesorowie byli u mnie, przyszła delegacja Rady Adwokackiej w osobach jej członków adwokatów Pożeły i Stankiewicza. Rada Adwokacka, której prezesem długoletnim był zmarły prof. Leonas, utworzyła specjalny komitet pogrzebowy, do którego wydelegowałem z ramienia uniwersytetu prof. Purėnasa.

Zmarły prof. Leonas był bądź co bądź osobistością wybitną w społeczeństwie litewskim. Miał wybitnie rozwinięty instynkt społeczny, pomimo że sam był samotnikiem. Wybitnym był jeszcze przed wojną. Brał udział w pismach epoki odrodzenia narodowego, był popularyzatorem wiedzy prawniczej w piśmiennictwie litewskim, jedynym niegdyś w tym zakresie działaczem narodowym kierunku liberalno-demokratycznego, z którym się bardzo liczono. Miał przed wojną już imię. Przez szereg lat był prokuratorem w Samarkandzie (w Turkiestanie w Azji Środkowej), potem osiadł w Kownie jako adwokat. Był zresztą zawsze w akcji społecznej kanciastym, wybitnie indywidualnym. Na początku tworzenia się państwowości litewskiej był pierwszym ministrem sprawiedliwości i organizatorem sądownictwa litewskiego, był stale prezesem Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu, organizatorem i pierwszym dziekanem Wydziału Prawniczego, doktorem honorowym i wreszcie profesorem honorowym uniwersytetu, prezesem Rady Adwokatów. Gdyby chciał – mógł być rektorem, jeno nie zechciał. Uchodził w swoim czasie za jednego z najpoważniejszych kandydatów na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej. Był demokratą niewzruszonym, w ostatnich czasach, za rządów narodowców, był jedną z kapitalnych figur opozycji. W życiu rodzinnym był nieszczęśliwy, ale nie skarżył się nigdy. Żonę miał histeryczkę, graniczącą z obłędem. Jeden z synów jego jest w zakładzie obłąkanych. Prof. Leonas – to postać mocna i tragiczna.

13 maja, rok 1938, piątek

Byłem bardzo zajęty układaniem mowy na jutrzejszy pogrzeb Leonasa. Mowa, zdaje się, niezła, ale nieco długa – na 20 minut do czytania (z rękopisu ją odczytam). Praca ta mię dosyć zmęczyła.

Nie piszę dziennika więcej.

A jednak parę słów jeszcze dopiszę. Jadzia z Bohdaniszek dziś jeszcze nie wróciła. Natomiast miałem list z Hagi z Trybunału Międzynarodowego, uprzedzający mnie, żebym był przygotowany na to, że rozpoznanie ekscepcji litewskiej w sprawie estońsko-litewskiej o kolej wąskotorową Poniewież-Sołdaciszki może być wyznaczone zaraz po dniu 10 czerwca. Nie wiem więc, czy po zakończeniu sprawy duńsko-litewskiej w Komisji Koncyliacyjnej zdążę jeszcze przed posiedzeniem Trybunału w sprawie estońsko-litewskiej wrócić do Kowna. Może przeto się zdarzyć, że wypadnie mi siedzieć w Hadze jednym ciągiem przez obie sprawy, co potrwałoby przeszło miesiąc. Smutno mi rozstawać się na tak długo z Jadzią. Nawet przez te dwa dni tęsknię do niej. Biedaczka Jadzia, świeżo po naszym małżeństwie, nie jest jeszcze tak usytuowana mocno (zwłaszcza wobec opozycji Elwiry), aby jej pobyt w Bohdaniszkach a nawet w Kownie beze mnie był miły i dogodny. Trzeba jej biedaczce mojego ramienia do wsparcia. Szczególnie w jej stanie poważnym, który bądź co bądź postępuje.

14 maja, rok 1938, sobota

Jadźka wróciła z Bohdaniszek. Pumpol pochowany na starym cmentarzu abelskim, położonym między miasteczkiem a stacją kolejową. Na wioskowy bohdaniski cmentarzyk go nie przyjęto jako nie katolika. Była robiona mała sekcja jego zwłok przez lekarza powiatowego dr Sipowicza; stwierdzone zostało porażenie serca, toteż szczegółowej sekcji nie robiono. Wypadek został ujawniony tak: koń Niemen, zaplątany w zaroślach w Prapultini, prawie uduszony przez uprząż, nie mogący się poruszyć, zaczął rżeć; była już noc; ludzie w Prapultini na głos konia podeszli do niego i poznali, że koń dworski bohdaniski; dali znać do dworu; Bieliunas pobiegł, wyzwolił konia i odprowadził go do dworu; ale że Pumpola nie było, Bieliunas zaprzągł innego konia i pojechał w kierunku Abel; za Apuszynią znalazł leżące zwłoki Pumpola, który już nie żył. Pumpol miał w kieszeni pieniądze i butelkę wódki czy spirytusu; druga butelka od wódki była próżna; naturalnie wracał pijany; być może, że dostał ataku sercowego jadąc i wypadł nieżywy albo nieprzytomny; po wypadnięciu jeszcze był ciągniony, bo na twarzy miał skórę zdartą. Koń zapewne się przestraszył i poniósł, a trup pozostał na drodze. Był już dzień, gdy Pumpola znaleziono.

Jadzia wróciła smutna, bo Elwira, z którą się ona zresztą nie spotkała i unikała jej umyślnie, wygaduje na Jadzię niestworzone rzeczy i nawet niemożliwe brudy przed ludźmi. Jestem na Elwirę oburzony. Zaiste jest ona wariatką. Całe życie zresztą była histeryczką i musiała zawsze mieć ofiarę jakąś do gnębienia: kiedyś tą ofiara była Mama, potem był nią mąż, teraz jest Andrzej, a oto zaczyna się czepiać Jadzi. Ale robi to w sposób dziki i wygaduje rzeczy niedopuszczalne. Już przed dwoma dniami wysłałem do niej list ostry, pisany bólem i krzywdą oraz oburzeniem. Jeżeli się nie umityguje – zerwę z nią zupełnie. Tego za dużo. Mieszać Jadzi kochanej z błotem nie pozwolę.

Dziś miałem dzień pracowity. Przede wszystkim pogrzeb prof. Piotra Leonasa. O godzinie czwartej wyeksportowano zwłoki z mieszkania przy ulicy Donelaitisa (naprzeciwko Muzeum Wojennego) do gmachu Wydziału Medycznego. Pogoda była słoneczna śliczna. Tłumy zalegały ulice, a kondukt żałobny był duży. Szła adwokatura, dużo profesury, za to mało młodzieży akademickiej. Z ramienia rządu był minister sprawiedliwości Masiulis, minister spraw wewnętrznych Sylwester Leonas (synowiec zmarłego profesora) i marszałek Sejmu Šakenis. Kondukt stanął przed gmachem Wydziału Prawniczego, gdzie przemówił krótko obecny dziekan wydziału Janulaitis. Wreszcie kondukt doszedł do gmachu Wydziału Medycznego. Tam ustawiono trumnę ze zwłokami na schodach wejściowych i wobec licznego tłumu na ulicy rozpoczęły się mowy. Pierwszy przemawiał minister Masiulis, potem ja, wiceprezes Rady Adwokackiej Bielackin, Michał Ślażewicz, wiceprezes Trybunału Maciej Čepas, prezes Izby Apelacyjnej Gudowski, adwokat Andrzej Bulota, adwokat Rafał Skipitis i przedstawiciel młodzieży ludowców. Moja mowa, akademicka, była bodaj najlepsza, a w każdym razie najwyrazistsza. Ładny był pogrzeb. Zwłoki wniesiono do Instytutu Anatomicznego i na tym się zakończyło.

Następnie od siódmej do dziewiątej odbyło się posiedzenie Rady Uniwersytetu, stanowiącej ogólne zebranie profesury. Chodziło o wybór obydwóch prorektorów (Jodeli kadencja się kończy, Purėnasa dymisja przyjęta). Rezultat wyborów doskonały. Taki, jaki ułożyliśmy z Janulaitisem i Lašasem. Prorektorem do spraw gospodarczych wybrany ponownie Jodelė. Jego konkurenci, Moszyński i Kołupajło, otrzymali 15 i 14 głosów (Jodelė – 47 – absolutną większość). Przy głosowaniu na prorektora do spraw studenckich na razie nikt większości absolutnej nie otrzymał; większość względną otrzymał Blažys, drugim z kolei był Purėnas, którego kandydatura była li tylko demonstracyjna. Žemaitis otrzymał zaledwie 14 głosów. W wyborach ściślejszych Blažys zyskał większość absolutną. Doskonale. Kombinacja Žemaitis-Moszyński poniosła fiasko zupełne; uważano, że były położone wszelkie wysiłki na agitację. I Moszyński, i Žemaitis gniewają się. Moszyński nie robi nawet „*bonne mine*".

15 maja, rok 1938, niedziela

Dzień wyjazdu mojego do Hagi. Smutno mi opuszczać Jadzię, zwłaszcza teraz przed latem, gdy jest ona w stanie poważnym i czeka naszego Filipka. Tym imieniem Filipka nazywamy teraz z Jadzią to stworzenie tajemnicze, które odbywa swą prehistorię rozwoju rodzajowego w jej łonie. „Filipek" – to nasza „*mot d'ordre*", popularna istotka niewidzialna, w której my się z Jadzią zlewamy. Może „Filipek" będzie Kotunią, a może będzie Michasiem, jeżeli Bóg nam tej radości nie poskąpi, ale dla nas jest on teraz po prostu Filipkiem. Gdyby ta podróż do Hagi wypadła wyłącznie na czas pracy sezonowej, to znaczy na zimę, względnie jesień i wczesną wiosnę, byłaby mi ona przyjemniejsza. Ale, niestety, wypada ona na początek lata i grozi zaabsorbowaniem części wakacji moich w najpiękniejszej ich porze, która tchnie jeszcze wiosną. Zachodzi bowiem teraz obawa, że po zakończeniu sprawy duńskiej w Komisji Koncyliacyjnej rozpocznie się bezpośrednio sprawa estońska w Trybunale i że przeto siedzieć mi może wypadnie w Hadze miesiąc albo nawet więcej. Liczyłem zaś na wakacje w Bohdaniszkach od 15 czerwca. Jeżeli nawet między dwiema sprawami będę miał trochę czasu wolnego na powrót, to może tylko na Kowno, a jeżeli nawet na Bohdaniszki częściowo, to w każdym razie coś się z wakacji bohdaniskich będzie musiało na Hagę okroić, bądź w czerwcu, bądź w lipcu. Skądinąd zaś Jadzi w tym czasie nie chciałbym opuścić i pragnąłbym ją zaintrodukować osobiście w Bohdaniszkach, aby ją osłonić wobec złości Mieczkowskich. No, ale nie ma co robić. Cierp! Taki jest twój obowiązek stanowiska. Wyjeżdżać trzeba. Spędziłem dzionek z Jadzią. Nie pracowałem. Byliśmy w Poniemuniu w kurhauzie na obiedzie. Dzień słoneczny gorący. Jak latem.

O godzinie 7-mej wyjechałem. Jadźka mię odprowadziła. Teraz to przynajmniej pocałować się z nią na pożegnanie możemy, bo tytuł żony uprawnia do tego. Te małżeństwo groziło trudnemi komplikacjami. Na razie zaznaczyły się one tylko w stosunkach z Elwirą. Ale małżeństwo te daje mi dużo więcej zadowolenia, niż smutku mi dają te komplikacje. Rad jestem, że to się wreszcie stało.

Jadę na Berlin. Eytkuny – jestem już w Niemczech.

16 maja, rok 1938, poniedziałek

Dzień, spędzony w drodze. Rano koło siódmej przyjechałem do Berlina. Wyspany byłem nieźle. W Berlinie miałem trochę więcej ponad godzinę czasu – tylko na śniadanie na banhofie Friedrichstrasse. Przy śniadaniu spotkałem się tam ze Szwedem Sandbergiem, lektorem języka szwedzkiego na naszym uniwersytecie, wracającym do Litwy ze Szwecji, dokąd jeździł na pogrzeb swego ojca. O godzinie dziewiątej odjechałem do Holandii. Na dworcu przed wejściem do pociągu spotkałem mojego kolegę z Komisji Koncyliacyjnej Duńsko-Litewskiej, Łotysza sędziego Ozolinša z żoną, jadących także do Holandii, na tę samą sprawę, co ja. Jadą oni w III klasie, podczas gdy ja – II, toteż siedzieliśmy osobno, ale odwiedzaliśmy się wzajemnie i razem obiad w wagonie restauracyjnym jedliśmy. Pani Ozolinš – miła i musiała być wcale ładna; niegłupia, ma dużo wdzięku. Na jednej ze stacji za Berlinem przestaliśmy całą godzinę, bo coś się naszej lokomotywie stało. Wskutek tego spóźniliśmy się w Hanowerze na pociąg, do którego miano nasze wagony

doczepić i przestaliśmy tam znów trzy godziny. Na miasto nie chodziłem, bo nie ciekaw jestem Hanoweru. Pochodziłem tylko po dużym dworcu, wysłałem pocztówkę do Kowna, czytałem „Metin", w restauracji na dworcu zjadłem potrawę, której nie znałem dotąd – jaja mewy na twardo z sałatą ze szparagów. Jaja mewy okazały się bardzo smaczne, żółtko jest barwy nieco różowej. Z Hanoweru wyjechaliśmy koło godziny piątej. Koło ósmej byliśmy już w Bentheimie na granicy holenderskiej. Wypadło mi przesiąść do innego wagonu w tym samym pociągu, idącego do Hagi. Z Berlina bowiem wagony bezpośrednie w tym pociągu idą do Amsterdamu (do Amsterdamu też pojechali na razie Ozolinšowie). Zmęczony dość byłem tą podróżą dzisiejszą, bo dzień był gorący, duszno, kurz ogromny w wagonie przez na wpół pootwierane okna, wędrówka też z bagażem przez długi szereg wagonów do wagonu na Hagę – wszystko to zmęczyło. Chwała Bogu, że się prędko dojeżdża. W Holandii pociąg stanął tylko trzy razy, akurat tyle, żeby kupić parę doskonałych świeżutkich buterbrodów holenderskich kolejowych z szynką, wypić limonady, kupić owoców. Oto i Haga o godzinie jedenastej. Zajechałem naturalnie do hotelu „Du Vieux Doelen", który bardzo lubię i który mi przypomina rok 1932 i Jadźkę. Pokoik dostałem malutki bez wanny za 5 florenów. Większego wolnego nie było. Zamienię go w tych dniach na większy z wanną.

17 maja, rok 1938, wtorek

Pierwszy dzień w Hadze. Dzień swobodny. Żadnych obowiązków jeszcze. Dzień zapasowy, który sobie umyślnie zarządziłem, wyjeżdżając o jeden dzień wcześniej z Kowna. Chociaż bowiem milej by mi było ten dzień wolny spędzić z Jadzią w Kownie, ale musiałem go oddać Hadze, żeby się z nią po przybyciu oswoić przed pracą.

Trochę wprawdzie studiowałem dziś sprawę duńską i sprawę estońską, trochę też połaziłem po Hadze, zajrzałem do Scheveningen, gdzie jednak deszcz i mgła taka, że morza nie było widać, nie dały mi dłużej pozostać. Właściwie można powiedzieć, że dzień dzisiejszy poświęciłem listowi do Elizki Komorowskiej. Napisałem do niej list długi, pisany sercem czy krwią serdeczną (w przenośni), list głęboki i treściwy, natchniony sumieniem i prawdą życia mego. W Kownie bowiem przed jakimś tygodniem otrzymałem list od Elizki, pisany w odpowiedzi na mój z Bohdaniszek. W owym liście z Bohdaniszek nie zawiadomiłem wyraźnie Elizki o małżeństwie z Jadzią, do którego się wtedy gotowałem, ale ją uprzedziłem, że niebawem dowie się o mnie wielkiej nowiny, która, jak sądzę na zasadzie znajomości przekonań Elizki, nie znajdzie u niej uznania, ale dla mnie jest rzeczą sumienia i uczucia. Uprzedziłem ją więc, że wobec jej przekonań innych nie chcę z nią w tej kwestii dyskutować i wskutek tego na czas dłuższy zamilknę. List mój do niej był bardzo serdeczny. Wprawdzie później, po rozmowie z Julkiem, zdecydowałem się napisać do Elizki otwarcie i powiedzieć jej o tym małżeństwie wyraźnie, ale zanim to uczyniłem – już sama Elizka napisała do mnie. Elizka domyśliła się sama, że chodzi o małżeństwo moje z Jadzią. Zaiste – ta rzecz była tak dojrzała i naturalna w logice mojego życia, że domyślić się było łatwo; ale to jest doprawdy najlepszych świadectwem tego, że rzecz ta odpowiada prawdzie życia i jest słuszna. Elizka naturalnie wyraża mnóstwo zastrzeżeń. Najwięcej ją zaniepokoiła kwestia, czy nie zmieniłem wyznania, i błaga, abym tego nie czynił. Małżeństwo cywilne uważa już za „mniejszy grzech", ale przecież „grzech". Nie potępia bezwzględnie, dziękuje mi za list serdeczny i pełny miłości braterskiej z Bohdaniszek i sama pisze bardzo serdecznie, ale naturalnie uznania małżeństwa nie daje: to jej przejść przez gardło i przez cały system jej poglądów i uprzedzeń społecznych nie może. Zapytuje, czyż to było konieczne i nawet zagadnienie dzieci nie przechyla jej szali i nie jest dla niej decydujące, bo powiada, że chodzi nie tyle o istnienie dzieci, ile o ich wychowanie, któremu kto wie, czy już w moim wieku podołam. Podnosi też wzgląd na różnicę narodowości (że oto ja „Polak" a Jadzia – „Litwinka"; w moich poczuciach narodowych konfliktu narodowego między Litwinką jak Jadzia a „Polakiem" jak ja nie ma, bo moja osobista polskość nie jest taką i tą, jaką jest ona u Elizki i innych; jestem Mohikanem polsko-litewskim, a nie Polakiem tylko, jakimi się stali obecni „Polacy" litewscy, jednym z ostatnich Mohikanów tego gatunku i mojego Michasia czy Kotunię chcę wychować na takichże Mohikanów, a Jadzia ma najwięcej kwalifikacji na matkę Mohikanów, więcej,

niż by miała zwyczajna krótka „Litwinka” i zwyczajna krótka „Polka”). Tak czy inaczej, ze wszystkimi tymi zastrzeżeniami list Elizki był jednak gorący i serdeczny. Serdecznie więc też do niej napisałem, ale też wyczerpująco i kategorycznie, sięgając do samej głębi i dna zagadnienia. Cztery godziny pisałem ten list. Jakaż jednak różnica w serdecznym potraktowaniu tej kwestii przez Elizkę a oschłym i sztywnym potraktowaniu przez Elwirę. Choć obie są temu małżeństwu niechętne, ale jakże się różnią w odruchu. U jednej serce, u drugiej – formuły faryzeuszowskie i brzydkie insynuacje.

Rocznica moich urodzin podług nowego stylu: 58 lat.

18 maja, rok 1938, środa

Wielką mi sprawiło radość, gdym budząc się rano zobaczył na podłodze pod drzwiami list, wrzucony do pokoju oczywiście przez szparkę pod drzwiami, jak to robią *concierge* w Paryżu. Nie wątpiłem, że to listek od Jadzi, bo któż by inny tak w te pędy gonił za mną listami. Tak się też okazało. Jadźka pisze zaraz nazajutrz po moim wyjeździe. Ma na sumieniu, że mi w Kownie przy wyjeździe moim na dworcu zapomniała oddać owoce, które kupiłem sobie na drogę do Berlina i które ona niosła. Tłumaczy się z tego, jak gdybym się mógł na nią za to gniewać. Niech zje je na zdrowie Filipka! Po obiedzie doczekałem się drugiego listu od niej: spotkała się w Kownie na ulicy z Zosią Eugeniuszową Römerową, której w automobilu towarzyszyła jej córka Zosienia Römerówna z narzeczonym p. Hemplem. Zosienia z Hemplem przyjechali do Cytowian automobilem własnym p. Hempla z Gdyni. Dziękowali mnie przez Jadzię za starania, które w sobotę na skutek ich telegramu z Królewca poczyniłem w Kownie, aby dano im przez konsulat litewski w Królewcu pozwolenie na wjazd do Litwy. Jadzia się przyjrzała Zosieni, która się jej bardzo spodobała. W liście też błaga mię Jadzia, abym nie pisał ostro do Elwiry z wymówkami za brudy, które rozpowiada o Jadzi. Lęka się ona Elwiry i nie chce jej gniewać, robiąc sobie z niej wroga w Bohdaniszkach.

Byłem z kolegą Ozolinšem w Pałacu Pokoju z wizytą u p. Crommelina, sekretarza Izby Arbitrażu, który też obsługuje naszą Komisję Koncyliacji Duńsko-Litewską. Panom prezesowi komisji Karnebeckowi, członkom duńskim komisji – Oldenburgowi i wicehrabiemu de-Fonteney, agentom duńskim Hoestowi i prof. Sanser-Hallowi, agentowi litewskiemu prof. Mandelsztamowi, wreszcie członkom „delegacji litewskiej”, towarzyszącej Mandelsztamowi i składającej się z prof. Tadeusza Pietkiewicza, Dominika Kriwickiego, Jana Montwiłła i Władysława de-Faria-e-Castro – przesłałem bilety wizytowe. Przed wieczorem odwiedziłem delegację litewską w pięknym hotelu Wittebrug w parku w połowie drogi do Scheveningen, gdzie się ona zatrzymała, jak niegdyś w roku 1932 w sprawie kłajpedzkiej tu mieszkał Sidzikowski z delegacją litewską, która wtedy składała się z Robinzona i Graužinisa. Mandelsztam jest poruszony tym, co wymiarkował z rozmowy z Crommelinem, mianowicie że po pierwsze prezes Karnebeck śpieszy i po przemówieniu jutrzejszym agentów duńskich chce, aby Mandelsztam odpowiadał już nazajutrz, co mu bardzo utrudni przygotowanie mowy, a następnie zwłaszcza to, że Karnebeck zdecydowany jest omijać radykalnie wszelkie ustalenia ścisłe prawa i rzecz kierować do kompromisu mniej więcej mechanicznego. Mandelsztam suponuje, że Karnebeck czeka od niego, jako przedstawiciela Litwy, zgłoszenia pewnego wniosku kompromisowego; tymczasem w Kownie, dzięki może nie tyle samemu Mandelsztamowi, ile Pietkiewiczowi, przeważyło stanowisko radykalne trzymania się tezy prawa i mianowicie nieprzejednanej tezy prawnej, że się od Litwy nie należy nic zgoła, co wyklucza wszelki kompromis i wszelkie wnioski koncyliacji; skoro zaś Litwa odmówi zgłoszenia jakiego bądź wniosku kompromisowego, to, jak wymiarkowuje Mandelsztam z ust Crommelina, Karnebeck skłonny będzie formułować wniosek pojednawczy komisji jakikolwiek dowolny, na przykład w zakresie połowy pretensji duńskiej, i bez żadnej motywacji, albowiem zresztą motywacja jurydyczna takiej propozycji kompromisowej, nie zasadniczej i nie dedukującej z żadnych założeń logicznych, byłaby w ogóle bardzo trudna, jeżeli nie niemożliwa.

19 maja, rok 1938, czwartek

Rozpoczęło się funkcjonowanie komisji koncyliacyjnej. Na dziś rano było bowiem wyznaczone otwarcie sesji. Wpierw odbyło się krótkie posiedzenie samej komisji bez udziału stron. Trochęśmy się z Ozolinšem obawiali tego posiedzenia wstępnego komisji, bo Mandelsztam mię wczoraj zastraszył, że prezes Karnebeek, który, zdaniem Mandelsztama (myślę, że przesadza i że strach ma wielkie oczy), jest rzekomo całkowicie zjednany na rzecz tez duńskich, będzie usiłował nas na tym zebraniu zaskarżyć, przeforsowując z góry zasadę, że komisja strony prawnej konfliktu nie rozpoznaje i formułuje jeno wniosek do ugody *ex aequo et bono* i bez motywów. Mandelsztam chciał, abyśmy z Ozolinšem forsowali zasadę przyjęcia ścisłego regulaminu procedury komisji, kładąc nacisk na systematyczną analizę zagadnień prawnych w konflikcie. Nam się jednak zdawało, że żądać ścisłego regulaminu procedury *a priori* i bardzo nalegać na formalizację postępowania komisji mogłoby być niezupełnie właściwe na procedurze koncyliacji, a więc kompromisu, i mogłoby być z pewnych względów nawet drastyczne dla Litwy, gdyby np. większość komisji akceptowała tezę duńską „*injustice manifeste*" wyroków sądowych litewskich w tej sprawie, co stanowiłoby pewne uchylenie autorytetowe sądów litewskich, bolesne dla państwa. Obawy te i przewidzenia okazały się jednak płonne. Karnebeek ograniczył się do kilku drobnych szczegółów bieżących, jak kwestia terminu do udzielenia na odpowiedź ustną agenta litewskiego, dopuszczenia do udziału w audycjach czterech delegatów litewskich, wyznaczonych przez Litwę „*ad audiendum et referendum*" bez żadnego prawa udziału czynnego w rozprawie, dopuszczanie w takimże charakterze słuchaczy obserwatora p. Höjgaarda, przemysłowca duńskiego, w którego obronie występuje Dania. I nic ponadto. Niezwłoczne otwarte zostało posiedzenie komisji z udziałem stron. U dużego stołu zasiadła więc komisja w osobach prezesa Karnebeeka, członków z ramienia Danii – Duńczyka Oldenberga i Francuza Vicente de Fontenay i członków z ramienia Litwy – mnie i Ozolinša, sekretarz p. Crommelin, agent litewski Mandelsztam i agenci duńscy Hoest i prof. Sanser-Hall, a w głębi sali w krzesłach zasiedli delegaci litewscy *audiendum et referendum* – prof. Tadeusza Pietkiewicz, Dominik Kriwicki, Jan Montwiłł i Władysław de Faria-e-Castro oraz „pokrzywdzony" duński, mający budzić litość – p. Höjgaard. Głos został udzielony agentowi duńskiemu Sanser-Hallowi. Przemówienie swoje *in extenso* czytał (nie będzie ono załączone do akt komisji, nam zaś rozdał streszczenie tez mowy dla orientacji. Mowa była długa, trwała przeszło cztery godziny; była przecięta w połowie dwugodzinną przerwą na śniadanie. Sanser-Hall skończył mowę po godzinie piątej. W mowie tej zrezumował on całość tez duńskich wraz z krytyką wyczerpującą tez litewskich. Wysłuchanie długiej mowy było naturalnie (dla mnie przynajmniej) nudne i nużące, ale w pierwszej części nic szczególnego mowie tej zarzucić nie mogłem. Za to w części drugiej, zwłaszcza ku końcowi, p. Sanser-Hall dał folgę językowi i używał insynuacji i zwrotów obraźliwych względem Litwy. Bardzo mię to oburzyło i po zakończeniu posiedzenia zwróciłem na to uwagę prezesa, potem zaś wieczorem ułożyłem do prezesa list protestujący tej treści, który mu jutro prześlę: „*Monsieur le Président, comme je vous déjà mentionné bien au lever de la séance de la Commission après le discours de l'agent danois M. Sanser-Hall – je trouve que c'est bien regrettable et vraiment nuisible à l'oeuvre de conciliation si les agents de parties se permettent au sein de la Commission de Conciliation de traiter la partie adverse, et précisement non pas leurs adversaires-agents, mais l'État même et son gouvernement – en canaille en lui adressant des expressions injurieuses. S'il y avait quelques incorrections sur ce point dans les pièces écrites elles n'étaient pas tout de même trop saillantes et enfin le contenu de ces pièces n'était pas lu à haute voix à la séance de la commission. Pourtant la plaidairie orale de M. Sanser-Hall du 19 mai, surtout dans sa partie finale, contenait des injures directes à l'adresse de la Lithuanie. Il y avait des expressions comme : «les états qui ont le sens de l'honneur» en interposant ces états directement à la Lithuanie, «plus équitables que le gouvernement lithuanien», des expressions comme «honnêtement», «avec une loyauté» toujours en interposant ces qualifications à l'action de la Lithuanie, «ce n'est pas diffiile de maintenir le cours de sa monnaie pour un état qui ne paye pas ses dettes» (je ne cite que quelques-unes de ces expressions que j'ai essayé de noter, il y en avait aussi d'autres). Cela veut dire que la Lithuanie n'a*

pas le sens d'honneur, que son gouvernement n'est pas équitable, que son action n'est pas honnête ni loyale, qu'elle ne paye pas des dettes... Je trouve, Monsieur le Président que c'est inadmissible.

Je ne saisis pas non plus opportunité d'une pareille tactique d'un agent du gouvernement qui lui-même s'est adressé à la Commission de Conciliation et qui se déclare prêt à une conciliation ; je ne crois pas que cela pourrait favoriser l'esprit de conciliation ; c'est plutôt le contraire. Si la Lithuanie a signé avec le Danemark une convention de conciliation e d'arbitrage et si elle accepte les conséquences de cette convention – la procédure de conciliation, l'arbitrage si la conciliation ne réussissait pas – elle ne peut pas êetre outragée à cause de ce que son point de vue de ses obligations et dettes diffère du point de vue de son partenaire. La question, qui est discutée,est celle : s'il y a dette ou non, mais pas celle, s'il faut la payer, si elle existe réellement. Si la Lithuanie s'opposerait à payer ces dettes elle ne consentirait pas à subir la procédure de conciliation et éventuellement d'arbitrage ou de juridiction.

Dans ces conditions j'avoue, M. Le Président, que je considère avec péssimisme les perspectives d'une conciliation ; certes – personnellement je ferai tout mon devoir avec le meilleur volonté d'aboutir. Mais vraiment ce n'est pas pour entendre des injures à mon pays et à son gouvernement que je suis venu prendre part aux travaux de la Commission ; comme le citoyen lithuanien et le membre de la Commission, désigné par la Lithuanie, je proteste formellement contre les injures que lui adresse à la Commission l'agent danois M. Sanser-Hall.

Veuillez agréer, Monsieur le Président, etc..."[9].

20 maja, rok 1938, piątek

---

[9] „Panie Prezydencie, tak , jak już wzmiankowałem panu na rozpoczęciu posiedzenia komisji po mowie agenta duńskiego p. Sanser-Halla, uważam, że jest godne pożałowania i naprawdę szkodliwe dla sprawy pojednania to, że agenci stron pozwalają sobie w łonie Komisji Koncyliacyjnej na traktowanie strony przeciwnej, ściślej nie swych przeciwników-agentów, lecz samo państwo i jego rząd w sposób grubiański, kierując doń wyrażenia obraźliwe. Jeśli nawet w dokumentach znalazły się pewne niestosowności, to mimo wszystko jest to zbyt szokujące, a zresztą zawartość tych dokumentów nie była odczytywana na posiedzeniu komisji. Natomiast mowa oskarżycielska p. Sanser-Halla z 19 maja, zwłaszcza w części końcowej, zawierała obelgi bezpośrednio pod adresem Litwy. Znalazły się tam wyrażenia takie, jak: „państwa, które mają poczucie honoru" przeciwstawiając owe państwa konkretnie Litwie, „bardziej sprawiedliwy niż rząd litewski", wyrażenia „uczciwie", „ lojalnie" wciąż przeciwstawiając owe określenia działaniom Litwy, „nie jest trudne utrzymywać kurs własnego pieniądza w państwie, które nie spłaca długów" (cytuję zaledwie niektóre z tych wyrażeń, które usiłowałem zanotować, były też inne). To znaczy, że Litwa nie ma poczucia honoru, że jej rząd nie jest sprawiedliwy, że jej działania nie są uczciwe ani lojalne, że nie spłaca ona długów... Uważam, Panie Prezydencie, że jest to niedopuszczalne.
Nie pojmuję tym bardziej stosowania podobnej taktyki przez agenta rządu, który to sam się zwrócił do Komisji Koncyliacyjnej i który deklaruje gotowość pojednania; nie wierzę, że mogłoby to służyć wspieraniu ducha pojednania; raczej odwrotnie. Skoro Litwa podpisała z Danią układ o pojednaniu i rozejmie i skoro akceptuje konsekwencje tego układu – procedurę pojednawczą, względnie rozejm, jeśli pojednanie nie dojdzie do skutku, nie może ona być znieważana dlatego, że jej punkt widzenia w stosunku do swych zobowiązań i długów różni się od punktu widzenia jej partnera. Kwestia, jaką rozstrzygamy, brzmi: istnieje zadłużenie czy nie istnieje, a nie: czy trzeba je spłacać, czy istnieje rzeczywiście. Gdyby Litwa sprzeciwiała się spłacaniu długów, to nie zgodziłaby się na podjęcie procedury pojednawczej, ewentualnie rozjemczej czy prawnej.
W tej sytuacji przyznaję, Panie Prezydencie, że pesymistycznie postrzegam perspektywy pojednania; oczywiście – osobiście wykonam moje zadanie z najlepszą wolą doprowadzenia do tego. Ale doprawdy nie po to przybyłem, by uczestnicząc w pracy komisji wysłuchiwać znieważania mojego państwa i jego rządu; jako obywatel Litwy i członek komisji, wyznaczony przez Litwę, składam formalny protest przeciwko obelgom, które kieruje do niej w komisji agent duński p. Sanser-Hall.
Zechce pan, Panie Prezydencie, przyjąć... etc".

W moim gabinecie w Pałacu Pokoju przepisałem z wczorajszego brulionu (cytowany wczoraj w dzienniku) mój list protestujący do prezesa van Karnebeeka z powodu ubliżających Litwie wyrażeń agenta duńskiego p. Sanser-Halla. List doręczyłem sekretarzowi generalnemu Izby Arbitrażu, p. Crommelinowi, który go przyrzekł przesłać Karnebeekowi. Jakoż po południu zastałem w hotelu kartkę Karnebeeka, którego mój list widocznie poruszył i zaniepokoił, bo sam osobiście pofatygował się do hotelu i nie zastawszy mię kartkę tu do mnie napisał. W kartce pisze, że list mój otrzymał i że w tej kwestii chce się ze mną widzieć i koło godziny [?] przyjdzie do mnie. Czekałem więc na niego. Przyszedł. Przyznawał, że Sanser-Hall niewłaściwie się wyrażał i że takie niewłaściwe zwroty nie licują z procedurą koncyliacji, albowiem jątrzą i drażnią zamiast koić. Powiadał, że go już uprzedzano o pewnej drapieżności Sanser-Halla, który jest nie tylko profesorem, ale także adwokatem i który przeto ma pewne nałogi polemiczne adwokackie, stosowne wobec jury sędziów przysięgłych, ale nie wobec kolegium dyplomatów w sporze międzynarodowym. Karnebeek się tłumaczy, iż sam słuchając przemówienia Sanser-Halla miał też wrażenie, iż mówca posuwa się trochę za daleko w ferworze polemicznym i zastanawiał się, czy nie należy go wezwać do porządku, ale nie uczynił jednak tego, bojąc się wywołania incydentu i przeto podkreślenia jeno niewłaściwości wyrażeń. Mówił, że duńscy członkowie komisji także byli nieco „*choques*”. Skądinąd jednak Karnebeek uważa, że może mylę się jednak uważając, iż obraźliwe wyrażenia były zwrócone do Litwy bezpośrednio; były to raczej aluzje niewłaściwe. Podkreślał jednak, że dobrze zrobiłem, zwracając się do niego jako prezesa. Spytał, co uważam za właściwe do zrobienia przez prezesa w tym względzie. Odrzekłem uprzejmie, że zdaję się na jego decyzję i tylko się do niego odwołałem. Rad był widocznie z mojej pojednawczości i winszował mi zmysłu koncyliacji. Mam wrażenie, że się bał ostrzejszych komplikacji, utrudniających mu wywiązanie się z obowiązków prezesa i mogących rzucić cień na jego autorytet. Oświadczył, że zamierza jutro rano wezwać Sanser-Halla i udzielić mu ostrzeżenia i *sui generis* reprymendy, a swoją drogą o moim liście poinformować jutro poufnie komisję na jej posiedzeniu bez agentów, nie odczytując wszakże mego listu *in extenso*. Może to i lepiej, bo mój list był trochę za radykalny, zwłaszcza przesadne mi się teraz wydaje wyrażenie „*en caucille*”. Podziękowałem Karnebeekowi za zajęcie się tą sprawą, co mu się widocznie podobało, bo bał się o swój „*prestige*” prezesa komisji międzynarodowej. Zabawił jeszcze u mnie na rozmowie o perspektywach koncyliacji. Uważa, że zadanie jest trudne, o ile strony same nie dadzą żadnego wątku do kompromisu. Tymczasem strony tego nie uczyniły. Obie bronią do upadłego i stuprocentowo swoich pozycji prawnych, stanowiących dwie antytezy. Natomiast Karnebeek jest kategorycznie zdecydowany przeciwdziałać temu, aby komisja wkroczyła na tory wyrokowania o prawie. Zdaniem jego, procedura koncyliacji nie może być skierowana do „*avant-projet*” wyroku sądowego; nie jest ona pewnym stadium jurysdykcji, jeno procedurą autonomiczną *sui generis*, skierowaną do pojednania polubownego i rozmyślnie nie przesądzającego prawa, którego względy pozostają zupełnie otwarte, w żadnym szczególe nie przesądzone. Może Karnebeek ma rację. Jest to funkcja i procedura *sui generis* nie przesądzająca zgoła sporu o prawie, który pozostaje nietknięty. Karnebeek w tym względzie, zdaje się, działa, w kontakcie z czynnikami Trybunału Międzynarodowego, z którymi musiał konferować. Jednak wykluczenie sporu o prawie bardzo utrudnia zadanie komisji, o ile same strony nie podają żadnej sugestii pojednawczej. Karnebeek zamierza po debatach ustnych stron zaproponować agentom przede wszystkim omówić bezpośrednio między sobą możliwości ustępstw, żeby coś się uwydatniło w charakterze pewnych nici dla komisji.

Wieczorem z kolegą Ozolinšem i jego żoną, bardzo miłą i inteligentną, a wcale jeszcze ładną Łotewką, byliśmy w kinie „Metropol” na bardzo urozmaiconej kronice i prześlicznej farsie komicznej francuskiej, na której zabawiliśmy się wyśmienicie.

21 maja, rok 1938, sobota

Byłem rano w gabinecie moim w Pałacu Pokoju, gdziem pisał listy, potem byłem w hotelu Wittebrug u Mandelsztama i członków delegacji litewskiej, gdym zaś wrócił do hotelu mego do Vieux Doelen na lunch, powiedziano mi, że chce się ze mną połączyć telefonicznie agent duński p.

Sanser-Hall z hotelu Des Indes. Zrozumiałem, że musiał z nim dziś rozmawiać prezes van Karnebeek z powodu mojego wczorajszego listu protestacyjnego i że Sanser-Hall chce się tłumaczyć przede mną. Po lunchu połączono mię z nim telefonicznie. Sanser-Hall spytał mię, kiedy i gdzie mógłby się ze mną widzieć. Wyznaczyłem mu godzinę drugą w moim gabinecie w Pałacu Pokoju. Stawił się. Mówił, że prezes go dziś wezwał i mówił o moim proteście, tłumaczył się werwą polemiczną adwokata, zapewniał, że nie chciał Litwy obrażać, wyraził ubolewanie z powodu zajścia i z powodu niektórych zwrotów niewłaściwych, słowem – przeprosił. Ponieważ zresztą mowa jego nie jest załączona do protokołu i formalnie tekst jej nie figuruje w aktach, więc poprzestając na moim listownym proteście w liście do prezesa, zgodziłem się uważać incydent za wyczerpany. Następnie przed rozpoczęciem posiedzenia komisji prezes van Karnebeek poinformował się u mnie, czy Sanser-Hall się wytłumaczył. Powiedziałem, że tak i że poprzestaję na tym. Prezes mię przeto spytał, czy wobec tego ma on poinformować o incydencie i moim proteście komisję, czy też może będzie to zbyteczne. Poprosiłem, aby to jednak uczynił. Po czym przeto na posiedzeniu bez udziału stron poinformował komisję o incydencie, nie odczytując zresztą tekstu mojego listu. Po czym ja zaznaczyłem, że Sanser-Hall na interwencję prezesa wytłumaczył się przede mną i przeprosił, wobec czego incydent uważam za wyczerpany i dziękuję prezesowi. Zabrał jeszcze głos członek komisji Duńczyk Oldenburg, dodając od siebie, że istotnie w mowie Sanser-Halla były zwroty niewłaściwe, które też i jego raziły, wskutek czego i on też od siebie uczynił uwagę Sanser-Hallowi. Taki był finał incydentu. Rad jestem jednak, że zareagowałem. To się należało.

Następnie odbyło się posiedzenie komisji z udziałem stron. Głos zabrał tym razem agent litewski Mandelsztam, który też na wstępie w kilku słowach protestował przeciwko uwłaczającym Litwie zwrotom w mowie pozawczorajszej agenta duńskiego. Mowa Mandelsztama, bardzo dobrze ułożona, treściwa, zrównoważona i ścisła, w której odparował on rzeczowo argumenty przeciwnika w ich punktach istotnych, nie wdając się w drobiazgi i unikając wszelkiego przejaskrawiania i dramatyzowania polemicznego sytuacji, nie była taka długa, jak mowa poprzedniego agenta duńskiego. Trwała niespełna dwie godziny. Mandelsztam nie dotknął w niej strony ekonomiczno-finansowej zagadnienia strat rzekomych Höjgaarda, rezerwując to do drugiej repliki, która była przewidywana. Atoli agenci duńscy zgotowali nam niespodziankę. Agent Duńczyk Hoest, gorzej od Szwajcara Sansera-Halla mówiący po francusku i dlatego tylko incydentalnie przemawiający w komisji, zresztą człowiek o wiele delikatniejszy i miększy od Sanser-Halla, wstał i oświadczył, że agenci duńscy zrzekają się dalszych replik i proszą komisję o rozpoczęcie czynności koncyliacyjnej. Oczywiście odpadła przeto i agentowi litewskiemu potrzeba później ponawiania wywodów w duplice. Prezes Karnebeek wobec tego ogłosił „*plaidorie orales*” agentów stron za zakończone i wyprosił z posiedzenia zarówno pozostałą delegację litewska, siedzącą formalnie „*ad audiendum et referendum*”, jak p. Höjgaarda, słuchającego w charakterze „ofiary” i może informatora w przedmiocie strat firmy swojej. Wtedy prezes zwrócił się do agentów stron, proponując im przede wszystkim zetknąć się bezpośrednio poza komisją i pomówić oraz ewentualnie poinformować następnie komisję, czy nie mogliby oni udzielić komisji pewnych wskazówek czy życzeń wspólnych do koncyliacji. Agenci udali się do osobnego pokoju, po czym wkrótce wrócili i agent litewski Mandelsztam oświadczył, że nie posiada on z ramienia rządu litewskiego żadnych upoważnień do wdawania się w koncyliację, ponieważ jego zadaniem, które mu było zlecone, była tylko ekspozycja argumentacji prawnej na rzecz tezy litewskiej, co już uczynił. Wtedy prezes zamknął posiedzenie i wezwał komisję bez udziału stron do zebrania się w poniedziałek rano. Teraz zacznie już pracować sama komisja. Ciekawa rzecz, jak to pójdzie. Zdaje się, że nikt nie ma pojęcia. Perspektywa metody pracy – dość chaotyczna. Ale mnie zaczyna świtać pewna koncepcja tej metody.

22 maja, rok 1938, niedziela

Niedziela. Dzień prześliczny, pogoda o głębokim błękicie nieba bez chmurki, jaskrawe słońce majowe, lekki wietrzyk, nie gorąco jednak, nawet chłodnawo w cieniu i świeżo po szeregu dni chłodnych i dżdżystych w tygodniu ubiegłym. Całe miasto rozsypało się po przedmieściach, w

Scheveningen roi się od ludzi, po ulicach Hagi rano idą wycieczki jakieś ze śpiewem, ruch ekscentryczny, wesoło, maj, Holandia w kwiatach, wiosna w pełnym rozkwicie, po parkach i ogrodach Hagi gwizd szpaków, których tu są chyba tysiące tysięcy, radość życia powszechna. W taki dzień barbarzyństwem jest siedzieć w domu, zamkniętym w murach. A jednak taki mój los, że prawie cały ten piękny dzień bez przerwy przesiedzieć musiałem w moim numerze hotelowym nad pracą. Choć miły mój hotel Vieux Doelen i wygodny, jednak piękniej i weselej w słoneczną niedzielę majową na dworze. Ale obowiązek mię wołał. Na krótko tylko wyjrzałem na piękny świat: mianowicie po lunchu pojechałem tramwajem do hotelu Wittebrug do delegacji litewskiej, aby zaprosić na wieczór Mandelsztama, Pietkiewicza i Kriwickiego dla poinformowania ich o mojej pracy, stanowiącej wniosek programu funkcjonowania komisji koncyliacyjnej i dla wysłuchania ewentualnego ich uwag, a z Wittebrug udałem się jeszcze do Scheveningen, pokręciłem się tam trochę i znów tramwajem wróciłem do hotelu do pracy, robię jeno zakup owoców na wieczór.

Jakaż to była moja praca. Otóż dotąd czynność komisji przedstawiała się nam jako sfinks czy chaos, z którego nie wiadomo, co wyjdzie. Nikt, zdaje się, nie zdawał sobie w komisji dokładnie sprawy z tego, co i jak ma komisja w zakresie swojej funkcji koncyliacyjnej czynić. Jest to zupełnie niewyraźne dla mego kolegi Ozolinša, który ma świadomość jeno poszczególnych fragmentów prawniczych sprawy, ale nie zdaje sobie zupełnie sprawy, jaką drogą komisja będzie do tych fragmentów dochodziła i jakie będą metody obradowania. Mam wrażenie, że niewiele więcej się orientują członkowie z ramienia Danii, zwłaszcza Vicente de Fontenay, staruszek dobroduszny i poczciwy bardzo, ale bodajże zupełny ignorant w zakresie prawa i mało się zresztą zastanawiający nad sprawą. Może sprytniejszy jest Duńczyk Oldenburg, wielki i ciężki jak dog duński, ale salonowo grzeczny, zrównoważony i może niegłupi. Jedyny może prezes van Karnebeek coś więcej ma w swoich pomysłach, bo jest to dyplomata wytrawny i zawodowy, człowiek o wielkiej przeszłości męża stanu, mający poczucie odpowiedzialności stanowiska swego i zadania, człowiek bodaj zręczny, ambitny także, któremu chodzi bardzo o to, aby ta pierwsza komisja koncyliacji, funkcjonująca pod jego batutą, wywiązała się dobrze z zadania i doprowadziła istotnie do zadawalającego układu polubownego stron. Że Karnebeek dużo i długo rozmyślał nad metodami funkcjonowania skutecznego wykonania zadania komisji, że konferował w tej sprawie z czynnikami, przede wszystkim Trybunału Haskiego w osobach zapewne byłego prezesa Trybunału sir Cecila Hursta i obecnego prezesa Gurrero – to pewne. Ma on już pewną koncepcję funkcji komisji, którą uważa za funkcję li tylko „*équite*", wykluczającą z góry świadczenie i radykalnie wszelkie przesądzenia prawa i nie dopuszczającą zgoła do nadania wnioskowi komisji charakteru nie obowiązującego „*avant-projet*" wyroku sądowego. Ale ta koncepcja funkcji nie jest jeszcze koncepcją drogi działania. Co do tego, jaką drogą iść należy w zakresie wykonania tej koncepcji – tego, zdaje mi się, van Karnebeek nie jest kategorycznie pewny i dopiero myśli o zastanowieniu się nad tym w komisji. W szczególności, peszy go poniekąd to, że same strony dotąd nic zgoła innego nie debatowały przed komisją, jak sporu właśnie o prawie, a nic nie mówiły o „*équite*". Sytuacja więc przedstawiała się niewyraźnie. Trzeba się jednak było decydować. I u mnie, i u Ozolinša były wprawdzie pewne koncepcje spornych punktów prawa, ale były to poniekąd luźne oderwane fragmenty, a skądinąd wszak Karnebeek chciał radykalnie wykluczyć zagadnienia prawa. Chodziło o powiązanie programowe całego kompletu zagadnień, aby spróbować nadać pewien kierunek działania komisji, kierunek celowy, racjonalizujący dalsze obrady i skierowujący je na zagadnienia dla nas istotne ze stanowiska obrony tez litewskich, unikając jednocześnie wszelkich pozorów sabotażu koncyliacji, mimo że Litwa dotąd jej nie pragnie. Już wczoraj wieczorem zacząłem układać konspektowo myśli moje na rzecz ujęcia działania komisji w program konsekwentny. W toku pisania myśl zaczęła się precyzować i wreszcie sprecyzowała się bardzo ściśle. Koncepcja programu stała mi się zupełnie wyraźna i kategoryczna. Ale ułożenie jej na piśmie zajęło mi dużo czasu. Spod pióra wyszedł referat na ośmiu stronach arkuszowych rękopisu. Tezy te mojej koncepcji programowej są w krótkim zarysie takie. Na pierwszym miejscu stoi kwestia prawna kapitalna: czy wyroki sądów litewskich stanowią w tej sprawie *res judicata*, obowiązującą tak Litwę, jak Danię i czyniącą prawo

Litwy przesądzonym. Jeżeli nie – spór jest otwarty i „*équite*" koncyliacji może działać swobodnie. Jeżeli tak, to powstaje jeszcze kwestia, czy wyroki te są strefione dającym się stwierdzić „*dénis de justice*" (albo „*injustice manifesta*"), która by kasowała *rem judicatum* i otwierała na nowo spór, a przeto i pole dla „*équite*". Jeżeli jednak *res judicata* jest i „*dénis de justice*" nie ma, co przede wszystkim komisja ustalić powinna, to wtedy drogi dla „*équite*" koncyliacyjnej nie ma, bo nie pozostaje już otwartego sporu i wszystko jest związane przez *res judicata* niewzruszoną. Wtedy nie ma innej drogi do uzyskania kompromisu, jak uzyskanie poprzednio zgody Litwy na to, aby zechciała odstąpić ze swego prawa przesądzonego i zaufać zmysłowi sprawiedliwości w łonie komisji, przyjmując to za nową podstawę dla ułożenia i zlikwidowania stosunku.

23 maja, rok 1938, poniedziałek

Równo miesiąc od dnia naszego ślubu z Jadzią w Rydze. Taki los, że od razu w pierwszym miesiącu wypadło nam się na czas nieokreślony rozstać. Miesiąc tylko, a mam wrażenie, jak żeby ten fakt małżeństwa formalnego trwał już od lat. Tyle w tym pierwszym miesiącu wrażeń silnych w reagowaniu na to małżeństwo krewnych moich! Na ogół w reagowaniu tym prawie, dzięki Bogu, ton dodatni, nawet serdeczny. Bardziej niż się spodziewać mogłem. Z wyjątkiem Elwiry i z rezerwą Elizki – wszystko jest miłe i serdeczne, szczere i gorąco przychylne. Choć dziś nie był dzień kolejny na list do Jadzi, jednak nie mogłem się powstrzymać od wysłania jej kartki z pozdrowieniem gorącym w tę pierwszą „miesięcznicę" małżeństwa naszego. I biedny nasz kochany mały Filipek, poczęty z miłości bez praw, ma teraz stanowisko prawne i tytuł małżeński wraz z imieniem Römera. Niechże się rozwija spokojnie i zdrowo w gniazdku swoim w Jadzi! Amen.

Rano odbyło się posiedzenie naszej komisji koncyliacyjnej. Pierwsze posiedzenie merytoryczne, skierowane do postanowień samej komisji. Agenci stron nie byli wezwani. Zagaił prezes van Karnebeek. Chciał, aby komisja przystąpiła od razu do układania projektu ugody. Zaznaczył, że, zdaniem jego, komisji nie należy wchodzić w analizę zagadnień prawa, aby procedurze koncyliacyjnej nie nadawać charakteru procedury quasi-sądowej i z komisji tej nie uczynić nowej instytucji sądowo-projektodawczej. Myślał więc zacząć od tego, aby jeszcze raz prosić agentów stron, zwłaszcza agenta litewskiego, o skomunikowanie się ze swym rządem co do ewentualnego wyrażenia komisji dezyderatów w ustępstwach. Zdaje się, że Karnebeek nie liczył na to, że my wystąpimy z własnymi wnioskami co do zadań i programu czynności komisji. Stało się jednak inaczej. Przede wszystkim wystąpiłem ja. Odczytałem mój projekt motywowany programu czynności komisji, ułożony przeze mnie wczoraj. W zakończeniu dałem jeszcze kilka wyjaśnień. W moim wniosku są tylko dwie kwestie prawa do rozważania: kwestia *rei judicatae* i ewentualnie gdyby *res judicata* została zaakceptowana, kwestia „*dénis de justice*", łamiąca *rem judicatem*. Gdyby *res judicata* została odrzucona albo przez „*dénis de justice*" złamana – teren dla „*équite*" jest zupełnie swobodny. Jeżeli jednak *res judicata* ma miejsce, zarzut zaś *dénis de justice* (*injustice manifesta*) nie jest stwierdzony, to *équite* działać automatycznie nie może, albowiem spór jest już wyczerpany i zamknięty przez prawo orzeczone, które „*pro veritate habetur*". Wtedy dla koncyliacyjnej akcji komisji „*ex aequo et bono*" niezbędne jest przyzwolenie Litwy na otwarcie sporu. Ponieważ agent litewski Mandelsztam oświadczył, że mandat jego polega li tylko na argumentacji prawnej, więc we wniosku moim podnoszę sugestię o ewentualnej interwencji bezpośredniej prezesa komisji u rządu litewskiego, mogącej przez swój autorytet skłonić rząd litewski do ustąpienia z formalnego stanowiska prawa. Mój wniosek, wyraźny w tezach swoich i motywowany, uczynił na prezesie pewne wrażenie. Wprawdzie nie odpowiada on zupełnie intencjom Karnebeeka, jednak Karnebeek, zdaje się, ma wrażenie, że mój wniosek jest pośrednio wnioskiem rządu litewskiego czy też ma jego aprobatę i może stanowić warunek dla doprowadzenia ugody do skutku, na czym Karnebeekowi ze względu na *préstige* kierowanej przezeń komisji chodzi. Dlatego Karnebeek zaproponował multyplikację mojego wniosku i rozdanie go wszystkim członkom komisji oraz odroczenie posiedzenia komisji do środy po południu. Wtedy Ozolinš wystąpił także z wnioskiem swoim, również na piśmie. Wniosek Ozolinša jest też niezły i na ogół bliski memu, tylko

w jednym punkcie nieco się z moim rozchodzi, chociaż w dalszych wywodach to rozchodzenie się znów się zaciera. Wniosek Ozolinša ma też pewne wskazówki na rzecz technicznej pracy komisji, przewiduje ułożenie kwestionariusza. Uchwalono z wnioskiem Ozolinša zrobić to samo, co z moim. Posiedzenie więc prolongowano do środy.

24 maja, rok 1938, wtorek

Dzień przerwy. Prezes i członkowie komisji „zastanawiają się" nad wnioskami moim i Ozolinša, „studiują" je i „rozważają". Spotkałem w restauracji na śniadaniu członka komisji Duńczyka Oldenburga. Miał w kieszeni mój wniosek, mówił, że go studiuje, wyrażał przypuszczenie, że długo jeszcze posiedzimy w Hadze. Kto wie! Nie tylko Vicentowi de Fontenay, ale Ozolinšowi bardzo się śpieszy: chce choć na parę tygodni do Rygi zajrzeć, aby niektóre terminowe sprawy sądowe uporządkować. Ozolinš zmierza zaproponować w komisji, aby ustalono szereg pytań do rozpoznania komisji w postaci kwestionariusza i na razie udzielono terminu parotygodniowego wystudiować i wypowiedzieć się na piśmie każdemu z członków, aby stanowiło to materiał do dyskusji i następnie uchwał. Liczy na to, że tą drogą rzecz się trochę odroczy i w międzyczasie można się będzie rozjechać. Naturalnie o ile jutro Karnebeek z członkami duńskimi nie zechce utrącić łeb wszelkim zagadnieniom prawa i zabrać się niezwłocznie do układania wniosku ugody. Zobaczymy, jak się to ułoży jutro. Może to być dzień decydujący.

Jeżeli ta sprawa duńska się w komisji przewlecze, to niebawem wejdzie w Trybunale Międzynarodowym na wokandę sprawa estońsko-litewska, przewidywana na 10 czerwca, w której będę sędzią narodowym *ad hoc* z ramienia Litwy. W takim razie nie będę mógł między jedną rozprawą a drugą zajrzeć do Kowna, czego bym bardzo życzył, tak ze względu na Jadzię, jak ze względu na uniwersytet. Ale gdyby sprawa duńska w komisji została w myśl życzeń Ozolinša odroczona, to trudno by było potem jednocześnie mi w obydwóch sprawach naraz być czynnym, ewentualnie więc wypadłoby odroczyć komisję litewsko-duńską aż na koniec czerwca, gdy się zakończy sprawa estońska (raczej tylko ekscepcja preliminarna litewska w tej sprawie) w Trybunale. Słowem, tak czy inaczej perspektywa Hagi zapowiada mi się na długo. Może jutro się coś wyklaruje.

Delegacja litewska w osobach agenta Mandelsztama i doradców Tadeusza Pietkiewicza i Dominika Kriwickiego (Montwiłł, de-Faria-e-Castro i maszynistka – to tylko personel techniczny i administracyjny) w żadnym razie nie wraca teraz przed rozprawą estońską do Kowna. Zebrali się już oni całą siłą pracy do opracowywania sprawy estońskiej i przygotowania „*plaidoirie orale*" Mandelsztama w tej sprawie. Choć agentem odpowiedzialnym jest Mandelsztam i do niego formalnie należy decyzja, ale faktycznie dyktatorem obrony litewskiej jest Pietkiewicz, właściwy mąż zaufania Ministerium Spraw Zagranicznych Litwy, człowiek, mający przemożny wpływ osobisty na Lozoraitisa, a przeto i na Urbšysa, zachłanny i mocno trzymający w ręku batutę. Mandelsztam boi się właściwie Pietkiewicza i musi go słuchać. Sam mi się on, będąc znerwowany po mowie Sanser-Halla, wygadał i prawie że ze łzami w oczach się poskarżył, że nic nie może przeciwko Pietkiewiczowi z Kriwickim, zwłaszcza że nie jest Litwinem (Mandelsztam jest emigrantem rosyjskim) i że przeto może być zawsze posądzony o niedostateczną gorliwość patriotyczną. Mam wrażenie, że Mandelsztam w swoich własnych poglądach byłby w ogóle skłonniejszy iść na pewną ugodę i ustępstwa w sprawie duńskiej, ale go krępuje właśnie Pietkiewicz, który jest jednostronny i zaciekły w nieustępliwości *usque ad finem*, co nie zawsze popłaca. Jest on jak fanatyk czy sekciarz, który dla radykalizmu bezwzględnego swej tezy wszystko poświęci, choćby dla tej nieprzejednaności miał stracić wszystko i nie liczy się z psychologią dyplomatów, którzy lubią i cenią pewną giętkość, za którą sami gotowi coś płacić. Krańcowość nieustępliwości bywa niebezpieczna, bo *les extremes se touchent* i czasem przez nieustępliwość można przegrać więcej, niżby się straciło na pewnym ustępstwie. Pietkiewicz niewątpliwie ma niezłą głowę i jest zdolny, ale jest złym psychologiem i zwłaszcza ma histeryczną namiętność fanatyzmu. Dla Mandelsztama taki współpracownik o aspiracjach despotycznych, mający bezwzględne plecy u ministra, nie musi być przyjemny. Kriwicki jest także prawnik dobry, ale jest kreaturą Pietkiewicza. Czy przez odpowiednie właściwości

charakteru, czy też dla względów kariery trzyma się kurczowo Pietkiewicza, potakuje mu we wszystkim i jego tezy przyjmuje i rozwija jak wyrocznię. Jest on prozelitą Pietkiewicza, zupełnie opanowany jego wpływami. Myśli jego kategoriami myślenia i zupełnie zatraca wobec niego swoją indywidualność. Nie tylko to w tej sprawie, ale na ogół zawsze – nawet w sprawach wydziałowych na uniwersytecie. Pietkiewicz jest zawsze w dwóch osobach – sam i Kriwicki.

25 maja, rok 1938, środa

W intencjach międzynarodowych nigdy się bodaj nie wie dzisiaj, co przyniesie dzień jutrzejszy. Obliczenie jest bardzo trudne. Ale o ile to już doświadczyłem w Trybunale Międzynarodowym w roku 1932, tam chodziło o nieobliczalność pewnych interwencji poszczególnych sędziów lub o nieobliczalność układu większości. Tu w komisji koncyliacyjnej tym czynnikiem losowym jest prezes komisji: „*l'homme propere, le président dispere*" („*président*" zajmuje tu miejsce „*Dieu*"). Tak oto dziś rozstrzygnięcie programu pracy komisji dał prezes Karnebeek. Dał rozstrzygnięcie oryginalne, dziwaczne nawet, przekreślające właściwie wszystko, co dotąd przez tę komisję czyniły strony, ale przekreślające zarazem w równym stopniu to, do czego dążyliśmy my z Ozolinšem, jak to, do czego inspirowali członkowie naszej komisji. Przede wszystkim, zaczęło się posiedzenie od tego, że Vicente de Fontenay, dobroduszny staruszek, który, zdaje się, nie ma zielonego pojęcia o zagadnieniach prawa i któremu o jedno tylko chodzi – aby czym prędzej się ta ceremonia koncyliacji skończyła, aby wrócić do siebie do Wersalu, gdzie mu spokojnie upływa starość emeryta z zaszczytnym tytułem dożywotnim „ambasadora Francji" i dokąd zaprasza on gorliwie każdego z nas w odwiedziny, a który chyba nie zadał sobie zgoła trudu przeczytania choćby jednego wiersza z tego co strony w swoich „*mémoires*", „replikach" i „duplikach" powypisywały, a jeżeli nawet zadał, to z pewnością nic nie zrozumiał, człowieczek „*simple*" i dobry, ale nie osioł bynajmniej, odczytał swoje przemówienie w „odpowiedzi" na wnioski poniedziałkowe moje i Ozolinša. Uchyla on wszelkie rozpoznawania prawa i wzywa do zajęcia się kompromisem. Przemawia nie na tezach stron, ale w treści – kropla płynnej wody. Zabrał głos Karnebeek. Naturalnie, że przede wszystkim rozpoczął od zapewnienia, że z wielką uwagą zgłębił bardzo skądinąd ciekawy wniosek mój, jak również wniosek Ozolinša i starał się zrozumieć myśl zasadniczą tych wniosków. Zrozumiał wprawdzie, ale nie uważa za podzielne. A więc znowu powtarza o tym, że komisja koncyliacyjna nie może robić „*double emploi*" instytucjom jurysdykcji międzynarodowej, że nie może i nie powinna usiłować przesądzać skomplikowanych zagadnień prawa, do czego nie jest powołana i może nawet nie ma klasyfikacji i co, jego zdaniem, utrudniłoby nawet koncyliację, dając stronom pewne pozycje quasi-przesądzone. Nie można i nie powinno się, zdaniem Karnebeeka, wchodzić w rozpoznawanie tego, co zostaje zarezerwowane na rzecz arbitrażu albo Trybunału Międzynarodowego na wypadek fiaska koncyliacji. W szczególności podniesione przeze mnie zagadnienie mocy prawnej wyroków litewskich w tej sprawie, zagadnienie sporne, powinno pozostać otwarte i nie krępujące zgoła ani komisji, ani stron w ich ewentualnych układach ugodowych. Na moją uwagę, że jednak trudno żądać od Litwy, aby szła na jakąś ugodę bez zapoznania jej kategorycznego, że litewskie wyroki sądowe mają walor prawny, bo w przeciwnym razie będzie to precedensem, a <u>każdy</u> cudzoziemiec w Litwie może się uważać nie związanym ani prawem litewskim, ani sądami litewskimi, skoro mu wystarczy pretensje swoje odwołać przez swój rząd do forum międzynarodowego, na który ten precedens niebezpieczny państwo się zgadzać nie może i już dla tego jednego musi się przeciwstawić usiłowaniom ugody, Karnebeek odrzekł, że komisja przeto bynajmniej nie odrzuca uwag prawnych tych wyroków, jeno obchodzi tę kwestię i powiada stronom: „Panowie, <u>hje</u> („hje" – jest to wyrażenie Karnebeeka, którym poprzedza on każde zdanie swoje), komisja nie dotyka w niczym waszych stanowisk prawnych; wasze stanowiska prawne, na których opieracie każdy swoje roszczenia, pozostają niewzruszone w całej rzeczywistej czy urojonej ich doskonałości, ale może zechcielibyśmy mówić o tym, co by się dało złagodzić i z czego ustąpić *in merito* dla osiągnięcia za tę cenę zgody i spokoju". Może by więc na przykład Litwa zechciała powiedzieć, czy nie mogłaby uwzględnić dobrowolnie jakiegoś ustępstwa, zachowując

całkowicie swoją *tezę res judicata*, która jej samej nie przeszkadza przecie czynić ustępstw. W istocie więc będzie to to samo, co jest w mojej tezie: ustępstwo i kompromis nie przez obalenie jej twierdzenia o *res judicata*, albowiem komisja nie może nawet tego obalić, jeno za zgodą samej Litwy, swobodnie przez nią wyrażoną. Na uwagę zaś Ozolinša, że jak może komisja coś orzekać na rzecz ugody i proponować nie dając żadnych zgoła podstaw do czynionych wniosków i żadnych przesłanek nie przesądzając – Karnebeek zaznaczył, że w jego rozumieniu komisja też innych zaprojektować arbitralnych kompromisu czy ugody czynić nie będzie, jeno będzie pośredniczyć w doprowadzeniu samych stron do porozumienia. Byłoby to więc nic innego, jak po prostu dalsze pertraktacje ugodowe stron z udziałem pośredniczącym pewnego elementu neutralnego. Karnebeek zwraca uwagę na to, że w umowie litewsko-duńskiej o koncyliacji jest mowa tylko o tym, że komisja może, ale nie musi sama zaproponować formułę pojednania (kompromisu). W tym wypadku Karnebeek nie chce uchwalenia przez komisję takiej formuły. Niech się jednają strony same, komisja będzie tylko mediatorką między nimi. A co będzie, jeżeli strony albo jedna z nich nie zechce w ogóle iść na układy, czy wtedy komisja sformułuje wniosek? Nie, komisja po prostu spisze protokół o tym, że pojednania nie dało się osiągnąć! W takim postanowieniu rzeczy my z Ozolinšem zbytnio na samych tezach nie nastawaliśmy. Jeżeli ma być zarezerwowana bezwzględna nietykalność mocy prawnej wyroków sądów litewskich, jeżeli koncyliacja ma być zarezerwowana zgodą uprzednią Litwy na ewentualne ustępstwa, to jest to prawie to samo, co ja w moim wniosku wyraziłem. Tylko forma i metoda podejścia do rzeczy jest nieco inna. Ale, swoją drogą, skoro komisja wyklucza bezwzględnie wszelką interpretację prawa, to po cóż była cała procedura przygotowawcza debat stron na piśmie i w słowie, która całkowicie z obydwóch stron polegała właśnie na komentowaniu prawa. Trzeba było z góry i kategorycznie zastrzec naturę funkcji komisji. Cała praca agentów stron, strata czasu i kosztów bez żadnego efektu.

26 maja, rok 1938, czwartek

Komisja postanowiła wczoraj prosić swego prezesa o wezwanie agenta litewskiego Mandelsztama i zapytanie go, czy jest upoważniony przez rząd litewski do całkowitego reprezentowania rządu wobec komisji, jak to przewiduje umowa litewsko-duńska, w koncyliacji i arbitrażu i na jakie ewentualnie gotów jest w imieniu Litwy iść ustępstwa w sporze niniejszym. Chodziło bowiem o to, że jak się raz Mandelsztam w komisji wyraził, miał on tylko polecenie eksponowania komisji argumentów prawnych na rzecz stanowiska litewskiego. Skoro więc teraz komisja, w myśl wniosków prezesa, uznała, że nie ona sama będzie układać projekt ugody stron, ale jeno pośredniczyć i faktorować w układach ugodowych samych stron, więc należało przede wszystkim wyjaśnić, czy Mandelsztam może to już robić obecnie, czy też ewentualnie ma się jeszcze porozumieć ze swym rządem i otrzymać odpowiednie instrukcje. Członkowie duńscy, mam wrażenie (przynajmniej Oldenberg), mieli ochotę, żeby nie prezes sam poinformował się i pomówił o tym z Mandelsztamem, lecz żeby to miało miejsce w komisji. Karnebeek jednak widocznie wolał pomówić z Mandelsztamem sam, bardziej bezpośrednio i poufnie. Ja także wolałem, aby się tak stało. Co do agentów duńskich, to nie było wątpliwości o tym, że gotowi oni są do układów i do ustępstw. Już w debatach to wyrażali. A ponieważ bez ugody nie otrzymają oni nic i musieliby dopiero odwoływać się do arbitrażu albo do Trybunału Międzynarodowego, a sprawę ich pod względem prawnym na dwoje babka wróżyła, więc nic dziwnego, że mając ewentualnie wszystko do stracenia, wolą oni w drodze ugody otrzymać choć pewną część. Jednak Oldenburg nastał na tym, żeby po Mandelsztamie Karnebeek wezwał także agentów duńskich Hoesta i Sanser-Halla i pytał ich formalnie, czy są upoważnieni do układów i ewentualnych ustępstw. Gdym wczoraj wieczorem uprzedził Mandelsztama o decyzji powziętej przez komisję nierozpoznawania żadnych względów prawa i ograniczenia się wyłącznie do skłaniania samych stron do ugody, nie zaprojektowując nawet wniosku ugody bez woli stron, Mandelsztam był na razie zgorszony. Rzeczywiście delegacja litewska, jak zresztą również agenci duńscy tyle zużyli czasu i atłasu na wystudiowanie prawne spore i na argumenty, komisja zaś po prostu tę kwestię prawa obchodzi i właściwie wszystkie ich wywody, całą

ich pracę sprowadza do zera i czyni ją bezcelową. A o ile chodzi o ewentualną ugodę, to jeżeli komisja nic innego robić nie zamierza, jako tylko zachęcać strony do ustępstw i faktorować ich układom, sama nic nie przesądzając i nie zaprojektowując, albowiem dla przesądzenia musiałaby ona jednak rozpoznawać pewne ugody prawne, to właściwie korzyść z takiej komisji jest bardzo nikła, bo i bez jej kosztownego udziału strony mogłyby się równie dobrze porozumieć albo nie porozumieć. Musiałem się zgodzić z Mandelsztamem, że w tej instytucji „koncyliacyjnej" jest więcej blagi, niż treści użytecznej. Arbitraż i sądownictwo międzynarodowe – to są instrumenty bardzo istotne międzynarodowe pokoju porządku prawnego, ale tę „koncyliację" faktorską to trochę czuć handelkiem, który kto wie, czy nie komplikuje sprawy i plącze się u nóg trochę jak piąte koło u wozu. Dziś Mandelsztam był u Karnebeeka i potem, jeszcze przed posiedzeniem komisji, zdał mi sprawę ze swej rozmowy. Karnebeek zdołał go trochę przekabacić. Tym go głównie zjednał, że go zapewnił, iż w jego, prezesa, rozumieniu, komisja nie próbuje orzekać nie tylko o prawie, ale i o „*équite*", nie mając pretensji i tytułu do wymiaru „sprawiedliwości" (*équite*) i chce traktować kwestię ugody wyłącznie pod kątem widzenia „*opportunité*", to znaczy użyteczności pojednania i kompromisu; oczywiste zaś, że sędzią użyteczności ugody nie może być komisja, jeno mogą być same strony, które tylko same mogą ocenić, co dla nich jest dogodne i użyteczne i w jakich granicach, a co jest niedogodne i nieużyteczne. W tej myśli przeto cała sprawa ugody pozostaje w ręku stron, którym się nic przez komisję nie usiłuje narzucać. Jest to zapewne koncepcja, którą Karnebeek powziął w kontakcie z czynnikami Trybunału Międzynarodowego. Mam wrażenie, że Karnebeek gra jednak poniekąd *double jeu*, chcąc lawirować między stanowiskiem z jednej strony moim i Ozolinša, z drugiej – duńskich członków komisji, którzy także jak on nie chcą względów prawnych, ale chcieliby przesądzenia przez komisję „*équite*" – sprawiedliwości, licząc bardziej na wrażenie pozorów krzywdy firmy Höjgaarda, niż na ustępliwość samej Litwy.

Na posiedzeniu komisji prezes van Karnebeek odczytał formułę, którą dał Mandelsztamowi dla zwrócenia się do rządu litewskiego o instrukcje. Formuła ta brzmi:

„*La Commission de la Conciliation, désirant laisser intacte le problème des jugements nationaux lithuaniens, à l'autorité desquels elle ne voudrait pas toucher, désirant ne compromettre en rien le recours éventuel aux institutiones judiciaires et arbitrales prévues dans le traité, demande à M. l'Agent de la Lithuanie s'il est autorisé à suivre le travail de la Commission et à entrer dans des conversations sur un autre terrain que le terrain strictement juridique, afin de voir s'il y a des possibilités de trouver de commun accord la voie, qui pourrait engager les Parties à mettre une fin au litige*"[10].

Wysłuchałem tej formuły uważnie, poprosiłem prezesa o odczytanie jej raz jeszcze i musiałem stwierdzić, że mię ona zadawala. Właściwie jest ona bardzo bliska tego, co ja w moim wniosku do komisji wyraziłem. Różnica jest tylko ta, że komisja nie przesądza mocy prawnej wyroków sądowych litewskich, to znaczy kategorycznie tej mocy nie stwierdza, ale ponieważ ich nie dotyka, więc się z nimi liczy, jak gdyby moc tę miały i nie wkracza na teren, który one zlikwidowały. Nie uważa za możliwe rozporządzać się swobodnie tam, gdzie wyroki te zapadły – ani w przedmiocie przesądzeń jurydycznych, ani też w przedmiocie przesądzeń sprawiedliwości, i odwołuje się do samych stron, w szczególności w tym wypadku do Litwy, zapytując ją, czy życzy ona (jest to właśnie teren autonomiczny „*opportunité*") iść na ugodę w zakresie tego, co tu wyroki dla niej ustaliły. Jest to przecie właściwie ta sama teza, której ja broniłem, tylko inaczej sformułowana: teza, że w zakresie *res judicata* wyroków litewskich li tylko sama Litwa może teren zamknięty rozwiązać i wdać się na nim z udziałem komisji w pertraktacje kompromisowe.

[10] Komisja Koncyliacyjna, nie mając zamiaru poruszać problemu opinii narodowych litewskich, których znaczenia nie chciałaby dotknąć oraz nie chcąc w niczym narazić na ewentualne uciekanie się do instytucji sądowych i arbitrażowych, przewidzianych w traktacie, zapytuje Pana Agenta Litwy, czy jest on uprawniony do obserwowania pracy Komisji i przystąpienia do rozmów na płaszczyźnie innej niż ściśle prawniczej w celu rozeznania, czy istnieją możliwości odnalezienia za wspólną zgodą drogi, umożliwiającej włączenie się Stron do położenia kresu sporowi.

Co prawda, na samym posiedzeniu komisji prezes (zapewne ze względu na członków duńskich) unikał zbyt kategorycznego ekskludowania „*équite*” na rzecz wyłącznie „*opportunité*”, jak to czynił wobec Mandelsztama i jak to z tej formuły wynika, ale to był epizod taktyki starego dyplomaty, lawirującego między dwiema stronami, aby żadnej z nich nie zranić kategorycznością. Czujne oko trzeba więc zachować, albowiem lawirowanie może w pewnych okolicznościach przechylić front i zrobić zwrot inny, niż się do myślenia w danej chwili daje.

Dziś wieczorem delegacja litewska ma rozmawiać telefonicznie z Kownem, referować jej sytuację i prosić o instrukcje. Na doczekanie się instrukcji upłynie kilka dni. Posiedzenie komisji prolongowane najmniej do poniedziałku. Zdaje się jednak, że Pietkiewicz ze swym „*alter ego*” Kriwickim nie bardzo są radzi z obrotu rzeczy i kto wie, czy nie będą radzili rządowi kategorycznej opozycji i proponowania, aby sama komisja uchwaliła wnioski ugodowe, co nie byłoby dobre, bo byłoby to upoważnieniem jej do projektodawczego wyrokowania z tytułu „*équite*”, co nie jest pożądane i co się właśnie dało usunąć.

27 maja, rok 1938, piątek

Mam czas wolny co najmniej do poniedziałku. I jeszcze nie jest zupełnie pewne, czy na poniedziałek nadejdzie już odpowiedź litewska. Chciałoby się już, żeby sprawa w komisji prędzej się skończyła, abym mógł jeszcze podążyć do Kowna i spędzić tam przy Jadzi ten krótki przeciąg czasu, jaki mi pozostanie do dyspozycji przed rozpoczęciem w Trybunale Międzynarodowym drugiej sprawy (estońsko-litewskiej o kolejkę wąskotorową Poniewież-Sałduciszki), która ma być wyznaczona na wokandę dla rozpoznania ekscepcji litewskiej po 10 czerwca.

Gdyby nie to, że nie spieszno do domu do Jadzi, dobrze by mi było w Hadze i nie nudziłbym się bez posiedzeń komisji. Haga pełna uroku. Zwłaszcza po jej parkach i alejach rozkosznie się przechadzać. Po zalesionych ulicach i placach Hagi drzewa rosną potężne, wspaniałe, a kanały w parkach i łąki są prześliczne jak marzenie. Wielkie kępy bujnych krzewów w kwiecie zdobią łąki, drzewa kwitną i pachną nad kanałami i stawami, girlandy gałęzi drzew płaczących zwieszają się i kąpią w cichej wodzie. Wieczorem o zmroku nad kanałem od Wittebrug do Scheveningen wrażenie natury jest cudowne. Jest to kawałek odludny, otoczony dokoła miastem. Słychać tumult przygłuszony miasta, ruchu tramwajów elektrycznych, gwizdów automobili, ale bezpośrednio cisza i spokój pięknej natury nad wodą uśpioną, krzewy, girlandy, wielkie konary drzew rozłożystych w alejach, łąki, zapach kwiecia, ptactwo wodne w ruchu, kaczki wciąż latają jak gdzieś w dzikich bagnach Polesia, u góry gwizd przeciągły szpaków. Królestwo ptactwa, zwłaszcza kaczek. Kaczek dzikich tu po wszystkich kanałach, nie wyłączając samego śródmieścia, pełno, nikt im krzywdy nie czyni, owszem, ludzie je karmią chętnie, ale tam w tym parku samotnym o zmroku jest ich królestwo. Tu one nie tylko pływają, ale odbywają swe loty charakterystyczne. Jest bezpośrednia natura dzika w tym niezrównanym zakątku stolicy holenderskiej, o krok od międzynarodowego Scheveningen, od dancingów i cocktailów, od kolorowych świateł nocnych... Bogactwo też, dobrobyt, czystość, zasobność holenderska daje obraz tego, od czego my już na wschodzie europejskim, co najmniej od Wielkiej Wojny, radykalnie odwykliśmy. U nas, w perspektywie wojen, powstań, rewolucji i wszelakich kataklizmów – wszystko prowizoryczne, niepewne, ubogie, ledwie tlejące iskierką życia, tu – wszystko spokojne, bogate, żyjące zamożną spuścizną pokoleń, której żadne katastrofy nie zmiotły. Ma to zapewne swoje strony ujemne, nie czuć dynamiki, którą przygniata statyka i równowaga mieszczańska dobrobytu i pewności, odbijająca się nawet w najpospolitszych zwyczajach, przykutych do ceremonii i konwenansu, ale cywilizacja materialna inspiruje.

28 maja, rok 1938, sobota

Wybrałem się dziś do Brukseli odwiedzić Stasię Pruszanowską, najmłodszą córkę śp. Ezachiela Pruszanowskiego i mojej siostry Kotuni Pruszanowskiej. Stasi, która już liczy 29 lat (urodzona w roku 1909 w Bielczu, majątku Pruszanowskich nad Berezyną w powiecie borysowskim na Białej

Rusi, byłem wtedy w Bielczu z Karolostwem O'Rourke'ami na jej chrzcinach), Stasi – powiadam – nie widziałem, zdaje się od roku 1919 czy 1920, kiedy była ona dziewczynką 10 czy 11-letnią i mieszkała z rodzicami w Łomży, dokąd się oni przed bolszewikami schronili, a gdzie ja byłem wtedy sędzią okręgowym. Stasia nie wyszła dotąd za mąż. Przez szereg lat była ona nauczycielką w Wilnie, teraz z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie otrzymała posadę w konsulacie polskim w Brukseli. Od ubiegłego roku tu pracuje i bardzo się cieszy z tej posady i pracy. Bruksela blisko od Hagi, więc obiecałem Kotuńce listownie, że Stasię odwiedzę. Ta pierwsza próba odwiedzin była jednak niefortunna. Ale może lepiej się stało, że Stasi nie znalazłem, bo za mało bym miał dla niej czasu. Z Hagi wyjechałem dosyć wcześnie co prawda, między dziesiątą a jedenastą przed południem, ale nie trafiłem na żaden dobry pociąg. Bilet wziąłem III klasy i dojechałem do Rotterdamu kolejką elektryczną. W Rotterdamie zastałem wprawdzie prędki pociąg wprost do Brukseli, ale bez III klasy. Nie chciałem dopłacać i postanowiłem posuwać się naprzód pociągami lokalnymi. Znalazł się niebawem pociąg, który mię dowiózł do Dordrechtu. Tam, znowu po pewnym czasie, znalazł się pociąg, idący za granicę do Antwerpii. Stacja holenderska Roosendaal i belgijska Essen – granica. Rzeczy ze sobą żadnych nie miałem, formalności więc celne mię nie dotyczyły, na moim paszporcie dyplomatycznym miałem wizę belgijską, więc wszystko w porządku, żadnych ograniczeń walutowych czy dewizowych na granicy holendersko-belgijskiej nie ma, a pieniądze rozmieniłem sobie na wydatki przed wyjazdem (za 20 florenów holenderskich otrzymałem trzysta kilkadziesiąt tanich franków belgijskich). Od Dordrecht w Holandii i aż pod Antwerpię w Belgii jedzie się przez szczerą wieś. O ile w Holandii od Dordrecht aż po Amsterdam jest prawie jednym ciągiem miasto, którego sektory, przerywane na krótko pastwiskami, noszą różne nazwy (Rotterdam, Schiedam, Delft, Den Haag, Leiden, Haarlem, Amsterdam) i o ile w Belgii miedzy Antwerpią a Brukselą także jest więcej miasta niż wsi, o tyle tu w sektorze po obu stronach granicy panuje wieś. Właściwie nic prawie nie różni Belgii Północnej czyli Flamandii od Holandii. Folklor, język, rasa – ta sama, Flamowie – to tylko odmiana lokalna Holendrów. Dawniej w Belgii rej wodzili Walonowie, stanowili odmianę Francuzów i dominował język francuski, dziś ruch flamandzki, który Niemcy za okupacji w dobie Wielkiej Wojny usiłowali rozwinąć do separatyzmu państwowego, wzmógł się bardzo, skrystalizował świadomość narodową Flamów i uczynił Belgię państwem narodowościowo utrakwistycznym, w którym oba czynniki – francuski (waloński) i flamandzki – są politycznie i kulturalnie równorzędne. Do Antwerpii, a nawet do Brukseli jest teren flamandzki. Język flamandzki działa tu przeważnie. Wszystkie przepisy są flamandzkie. W pociągu mowa flamandzka. Ma się wrażenie, że to ta sama Holandia. Nawet mi łatwiej się tu po francusku rozmówić, niż w Holandii właściwej. Antwerpia też się sflamizowała w krótkim czasie zupełnie. W Antwerpii przesiadłem znów na pociąg elektryczny, kursujący miedzy Antwerpią a Brukselą. Nie sądziłem, że z Antwerpii do Brukseli jest tak blisko. Ani się obejrzałem, jak pociąg już stanął w Brukseli, stolicy belgijskiej, stojącej jeszcze na terytorium etnicznym Flamandii, na samym pograniczu elementu flamandzkiego i walońskiego, które toczą spór o to miasto. Że jednak Bruksela jest stolicą i ma stare, stare tradycje wielkiego miasta, więc język francuski, kulturalnie starszy i historycznie państwowy, tu przeważa. Ale dużo się też słyszy języka flamandzkiego, który tu się już nie ukrywa wstydliwie, jak to często bywa w wielu innych ośrodkach o kulturze naleciałej na terytorium etnicznym lokalnym, którego autochtonowie wstydzą się swego języka i kryją się z nim po kątach. W Brukseli powitał mię deszcz. Na chowanie się od niego straciłem trochę czasu. Następnie w jakiejś kawiarni poszukałem w książce telefonicznej adresu poselstwa polskiego, bo adresu osobistego Stasi Pruszanowskiej nie miałem. Jej też nazwiska w księdze telefonicznej nie znalazłem. Do poselstwa polskiego – gdzieś bardzo daleko (avenue des Gaulois) – pojechałem taksi. Poselstwo było zamknięte. Woźny nic o Pruszanowskiej nie słyszał. Wskazał mi, abym pojechał do konsulatu polskiego, na rue de Florence. Znów taksi – gdzieś znów na końcu świata. Konsulat także zamknięty. Woźny stwierdził, że Stasia istotnie tam pracuje, ale jej adresu osobistego nie wiedział. Nie było co robić – dzień się już miał ku schyłkowi, dowiedzieć się miejsca zamieszkania Stasi nie było sposobu. Zabrałem się do podróży powrotnej i na godzinę jedenastą w nocy wróciłem do Hagi. Co do odwiedzenia Stasi, nic nie ma straconego:

wycieczkę powtórzę w czerwcu z lepszym skutkiem, bo właśnie po powrocie do Hagi zastałem w hotelu listek Stasi z jej adresem. Innym razem wybiorę się już tak, aby mieć więcej czasu i uprzedzę ją. Nie żałuję zresztą tej wycieczki. Chybiłem co do celu – była ona jednak sama przez się interesująca. Zawsze jest przyjemnie włóczyć się.

29 maja, rok 1938, niedziela

Byłoby mi tu w Holandii jak u Pana Boga za piecem, gdybym nie tęsknił do Jadzi. Roboty w komisji koncyliacyjnej mało – co parę lub co kilka dni jakieś posiedzenie bagatelne, pół godziny „pracy" – i znowu odroczenie posiedzenia do jutra, do pojutrza, do dwóch, do trzech dni. Praca dla próżniaków albo emerytów w rodzaju Vincente'a de Fontenay albo też „praca" dla dyplomatów w stylu jonkheera van Karnebeeka, bo u dyplomatów pracą się nazywa mała wymiana zdań, posiedzenie dla kilku słów mniej lub więcej enigmatycznych, które więcej maskują, niż wyrażają. „Wypowiedzenie się" takiego dyplomaty służy raczej do ukrycia tego, o co chodzi i co się myśli i zamierza, niż do wynurzenia myśli i zamiaru. Słowo jest tu raczej kurtyną, która się spuszcza, niż kurtyną, która się podnosi, żeby odsłonić widzom widowisko na scenie myśli. W czynnościach naszej komisji Karnebeek, któremu, zdaje się, bardzo chodzi o skuteczność „koncyliacji" za wszelką cenę, aby się móc poszczycić powodzeniem pracy komisji, której on przewodniczy, siedzi nie na dwóch, ale na trzech czy na czterech stołkach. Na jednym stołku siedzi wobec agenta litewskiego Mandelsztama, zapewnia go, że nie ma najmniejszej myśli nie tylko o przesądzeniu przez komisję sporu o prawie między Danią a Litwą, ale nawet o projektowanym wyrokowaniu o sprawiedliwości („*équite*"), bo nawet samego wyrazu „*équite*" nie cierpi i uważa tę sprawiedliwość *ex aequo et bono* za coś nieuchwytnego, podmiotowego i nie dającego żadnych kryteriów. Chodzi mu więc wyłącznie o kompromis bezpośredni samych stron w trybie „*opportunité*", czyli użyteczności. Na drugim stołku siedzi w komisji, gdzie chodzi mu o lawirowanie między z jednej strony nami z Ozolinšem, którzy chcielibyśmy przesądzenia prawa, a członkami duńskimi komisji, którzy prawa się boją i chcą go unikać, ale za to chcieliby wyjeżdżać właśnie na „sprawiedliwości" i „krzywdach" „poszkodowanego" Höjgaarda, przeto chcieliby się odwoływać do „*équite*" – naturalnie w interpretacji duńskiej. W komisji więc Karnebeek nie potępia i nie odrzuca tak radykalnie „*équite*", jak to czyni wobec Mandelsztama, ale żeby nas uspokoić mówi, że wydaje mu się, iż najlepszą metodą jest droga dobrowolnych ustępstw stron, wobec których zupełnie zbyteczne będzie projektowanie jakiejś ugody kompromisowej przez samą komisję, czyli że zbyteczne będzie wszelkie wdawanie się bądź w prawo bądź w *équite*. Na trzecim stołku siedzi w protokołach posiedzeń, które układa starannie z Crommelinem. Tu już nic nie mówi o *équite* – ani odrzuca, ani rezerwuje, po prostu nie wspomina o tym, obchodzi milczeniem kwestię, co by musiało nastąpić, gdyby strony nie doszły lub nie chciały dojść do porozumienia. Przypuszczalnie czwarty stołek zasiada on w rozmowie poufnej z Duńczykami. Tym zapewne mówi, że „*équite*" rezerwuje na wypadek niedojścia do skutku porozumienia bezpośredniego. Zdaje się, że w każdej rozmowie, zależnie od tego, z kim mówi, kładzie nacisk to na jedno, to na drugie i zawsze zachowuje *reservatio mentalis*. Szczwany to lis, dyplomata przebiegły. Dobrze, jeżeli się uda pozyskać gotowość Litwy do ustępstw w drodze bezpośredniej, ale jeżeli Litwa na to nie pójdzie i jeżeli się zastrzeże, że chce, aby komisja sama rozpoznała *pro* i *contra* stanowiska prawnego i dopiero na tej zasadzie zwróciła się do stron z propozycjami, to Karnebeek będzie chyba musiał się decydować i ponieważ kategorycznie nie chce się angażować w zagadnienia prawa, więc będzie musiał albo pójść na spisanie protokołu o tym, że komisja nie zdołała pojednać stron i na tym stwierdzeniu poprzestać – tego zapewne będziemy się my z Ozolinšem w tym wypadku domagali, albo, jak będą zapewne chcieli członkowie duńscy, pójść na projektowanie wniosków z tytułu „sprawiedliwości", czyli *équite*.

Tymczasem dziś przewłóczyłem się i przetłukłem po Hadze i Scheveningen. Wciąż chłodno. Wiatr dosyć duży. Byłem na „Foorjaarfest" w ogrodzie zoologicznym Hagi. Jest to święto bud jarmarcznych w pewnej części tego ogrodu. Nastawiono bud, w których przekupnie sprzedają przeważnie różną tandetę, jak zwykle na jarmarkach popularnych, w innych budach rozgrywane są

loterie fantowe i różne losy szczęścia, tam znów kuglarze coś reklamują, blagują, zachęcają publiczność, która się gromadzi i słucha, brzmi przeróżna muzyka gramofonów, patefonów i innych machin wrzaskliwych, całe znów szeregi bud cyrkowych z klaunami, dziewczynami jaskrawymi, aktorami i aktorkami, akrobatami, z szyldami jaskrawymi i reklamą sensacyjną hałaśliwie na wszystkie tony zapraszają gapiów, dowcipkując i obiecując niezwykłą sensację. A poza tym różne hałaśliwe zabawy karmelowe – na konikach drewnianych, w samochodzikach, huśtawkach, w saneczkach, skaczących, latających itd. Wszystko pełne wrzasku, hałasu piekielnego, zgiełku, muzyki przeraźliwej, śmiechu i pisku dzieci i dziewcząt rozbawionych, nawoływań, nawoływań i blagi kuglarzy. Ale jedna instancja zaiste bajeczna i dająca niepospolite wrażenie amatorom wrażeń i zabawy. To ogromna machina pod nazwą Gór Himalaya, gdzie się w sankach po szynach odbywa dużą względnie podróż – przede wszystkim podnosząc się pod górę do wysokości jakichś dobrych paru albo nawet trzech pięter, potem się zakręca, stacza w dół, w pewnym miejscu prawie pod kątem prostym z karkołomną oczywiście szybkością i z rozpędu się leci znów pod górę, tam się znowu zawraca i pędzi na złamanie karku w dół torem już trochę mniej prostopadłym itd. kilka razy na dosyć dużej przestrzeni w zaiste karkołomnych nieraz pozycjach, aż się przejeżdża do punktu wyjścia u dołu. A pisku przy tym, radości, strachu! Czego tam w tych budach nie ma! U nas się tak bawić nie umieją. Ale nic brutalnego w tych zabawach u Holendrów się nie widzi.

30 maja, rok 1938, poniedziałek

Posiedzenie komisji nie doszło do skutku. Znowu jest odroczone – do środy. Od rządu litewskiego z Kowna nie przyszły bowiem dotąd instrukcje dla Mandelsztama. Prywatnie wiem od Mandelsztama, że mu dziś komunikowano z Kowna telefonicznie, że kwestię przyjęcia lub odrzucenia wniosku komisji (formuła Karnebeeka) o wdanie się Litwy w ustępstwa na rzecz pretensji duńskich gabinet ministrów w Kownie będzie rozpatrywał we wtorek. We środę przeto może być zakomunikowana Mandelsztamowi decyzja. Ale może i we środę nie będzie jeszcze odpowiedzi. Nieznośne zwłoki. Spodziewałem się, że o ile dziś odpowiedź litewska będzie i komisja wznowi obrady, to jednak do końca tygodnia czynności swoje zdoła może tak czy inaczej zakończyć (w pomyślny skutek nie bardzo wierzę), a wtedy mógłbym jeszcze może zajrzeć do Kowna między sprawą duńską a estońską. Teraz coraz bardziej tracę nadzieję. A chciałbym przecie tam zajrzeć. Jadźka pisze, ze już kilkakrotnie poczuła ruch dziecka w łonie, choć jeszcze nie jest pewna, czy to to, bo nie ma doświadczenia.

Pisała też Zosia Eugeniuszowa Römerowa, zapraszając mię koniecznie na ślub ich córki Zosieni, która wychodzi za p. Jana Hempla. Ślub odbędzie się w Cytowianach w niedzielę 5 czerwca. Oczywiście, że nie będę mógł być. Ułatwiłem przez moją interwencję przyjazd p. Hempla z Zosienią automobilem z Gdyni do Litwy w maju, a teraz znowu przez interwencję u Urbšysa wyjednałem dla najbliższych z rodziny p. Hempla pozwolenie na przyjazd na dzień ślubu. Eugeniuszostwo i Zosienia są mi bardzo wdzięczni.

Gazet kowieńskich nie czytuję i nie widzę tu wcale. Co się dzieje w Kownie – nie wiem. Listy z Kowna miewam tylko od Jadzi. Pisał też Zygmunt Gurewicz z uniwersytetu, że obaj prorektorowie są już mianowani. Gazety czytuję tutaj tylko paryskie. Wciąż się wałkuje kwestia czechosłowacka, która jest dziś ośrodkiem zaognienia europejskiego. Trzeba się było tego spodziewać po Ansschlussie Austrii. Zaczepkę dla Hitlera stanowi sprawa Niemców „sudeckich”, wcielonych do Czechosłowacji. Silni poparciem kategorycznym Rzeszy, Niemcy sudeccy pod wodzą swego „Führera” Konrada Henleina brużdżą jawnie i działają wobec Czechosłowacji jak strona, jak jednostka quasi-państwowa, która sama będzie stanowić o tym, czy pozostanie w państwie czeskim, o ile jej żądania autonomii, a raczej przebudowy Czech na państwo różnonarodowe zostaną spełnione, czy też się oderwie i połączy z Rzeszą. Dla Czech przyszła trudna chwila. Zatracić charakter narodowego państwa czeskiego i przekształcić się w *sui generis* Austrię przedwojenną, w państwo kilku narodowości równoległych – to ewolucja na wspak, z którą trudno się Czechom pogodzić. Ale Niemcy są konsekwentni. Dają oni alternatywę: albo Sudety odpadną od Czechosłowacji przez operację

amputacji terytorialnej, albo, jeżeli zostaną, to tylko o tyle, o ile będą mogły odegrać rolę konia trojańskiego w organizmie państwowym czeskim, to znaczy jako czynnik, posłuszny i wierny zagranicy – Niemcom (Hitlerowi), którego zadaniem jest utrzymywać Czechosłowację w uległości wasalnej wobec polityki niemieckiej. Albo więc Sudety będą niewolić Czechosłowację na rzecz obcego państwa, albo, jeżeli się Czechosłowacja oprze temu, odpadną. Alternatywa dla Czechów ciężka. Zdaje się jednak, że wybór między tymi dwiema sytuacjami równie ciężkimi – nieunikniony.

31 maja, rok 1938, wtorek

Skorzystałem z dnia wolnego dla wycieczki do Zuiderzee, raczej na wielką tamę, która przed laty kilku odcięła zatokę Zuiderzee od morza. Jedzie się tam z Hagi koleją do miasteczka Alkmaar, a stamtąd autobusem na miasteczko Leeuwarden, położone już za tamą w głębi lądu na wschód od Zuiderzee. Podróż ta sama przez się nic bardzo osobliwego nie przedstawia i tylko tyle jest ciekawa, ile ciekawą jest wszelka wycieczka po Holandii, dająca bezpośrednie wrażenie tego kraju i jego charakterystycznych cech indywidualnych. Z Hagi wyjechałem przed godziną dziesiątą rano pociągiem elektrycznym pośpiesznej komunikacji w kierunku na Amsterdam do Haarlemu. Kraj to trochę mniej zurbanizowany, niż z Hagi na Rotterdam, choć za Haarlemem na Amsterdam jest to samo. Duże pastwiska, porozdzielane rowami i kanałami, niezliczone stada krów czarnobiałych i owiec o gęstej wełnie, ogrody warzywne, oranżerie. Chyba w Holandii uprawa zboża jest mało rozwinięta albo może w innych okolicach, bo tu w nadmorskiej dzielnicy północno-zachodniej, zarówno tej zurbanizowanej między Rotterdamem a Amsterdamem, jak mniej zaludnionej dalej na północ dominuje stanowczo hodowla, a więc mleczarstwo i ogrodnictwo. Pod Haarlemem słynne pola kwiatów, zwłaszcza tulipanów, ale teraz już tulipany przekwitły. Z Haarlemu do Alkmaaru jedzie się na dwa przejazdy, zmieniając pociąg w Uitgeest. Ale są to przejazdy króciutkie, trwające zaledwie po kilkanaście minut, tyle zaledwie, ile trzeba na wypalenie papierosa. Kraj taki samy, tylko trochę bardziej wiejski: miasteczka mniejsze, ale zresztą zabudowane charakterystycznie tak samo, domki z drobnej cegły holenderskiej, wpadającej w odcień fioletowy, a tak mocnej widocznie, że się używa także do bruku. Znowu pastwiska, stada krów bez końca, owce, konie, gdzieniegdzie ogromne gniazda białych kur jak mchu na zieleni łąk, woda – kanały, rowy, stawy, gdzieniegdzie młynek, laski niedużych zarośli, jakby krzewów. Nizina, płaszczyzna, jak wszędzie – Pays Bas, delty rzek, woda prawie na poziomie powierzchni ziemi, tereny wywalczone na morzu. W Alkmaar prosto z pociągu na duży autobus do Leeuwarden. Autobus wygodny, ale huśta jak na moście albo aeroplanie – Jadzia by dostała choroby morskiej. Do Leeuwarden wielki przejazd – do 120 kilometrów; więcej, niż sądziłem. Jedzie się przeszło dwie godziny. Najpierw szereg bagnisk wzdłuż dużego kanału północnoholenderskiego biegnącego bodaj od Amsterdamu do morza. Na kanale duży ruch towarowy; duże łodzie ładowane płyną pod żagiel lub siłą motoru, niektóre są holowane przez parostatki. Dokoła zielono – łąki, pastwiska, zarośla, laski, aleje – i znowu krowy, owce, młynki, wioseczki lub małe quasi-miasteczka czyściutkie o odcieniu fioletowym, o białych oknach domków z firankami zawsze. Ale oto miejscowość Kooi na krańcu północnym nad morzem, skąd zawracamy w kierunku Zuiderzee. Niebawem wjeżdżamy na tamę, która ma, zdaje się, 15 kilometrów długości od jednego brzegu do drugiego dwóch lądów, które łączy. Szerokość ma 20 metrów. Na obu końcach przeciwległych tamy – śluzy, dające połączenie morza z terenem osuszonego Zuiderzee, który będzie poprzecinany siecią kanałów i damb lokalnych oraz zawierać będzie pewien rezerwuar wody w postaci jeziora. Szosa autobusowa, asfaltowana lub wyłożona cegłą, która biegnie przez całą tamę od końca do końca, biegnie brzegiem wewnętrznym tamy, to znaczy od strony Zuiderzee, od morza zaś otwartego jest oddzielona wysoką dambą, która z szosy zasłania widok na morze. Zuiderzee w pewnej części swego terenu już obecnie ulega pracom osuszenia i przygotowania terenu kolonizacji, ale to się robi nie u tamy głównej, oddzielającej je od morza. Jadąc więc tamą – ma się cały czas widok na Zuiderzee, a więc na odcinek morza, ujarzmiony już wolą człowieka, izolowany i przeznaczony na zagładę, czekający spełnienia losu swojego, kiedy miejsce wód zajmą kolonie, pastwiska, krowy, ogrody, laski, drogi. Dziś jeszcze to robi wrażenie otwartego morza albo zalewu

morskiego, po którym pływają łodzie rybackie, rozstawione są sieci, ptactwo morskie poluje na ryby. Ale to już morze martwe, uwięzione. Tama na przestrzeni swojej zaczepia widocznie dwie drobne wysepki, gdzie się ona wdaje trochę w Zuiderzee i zawiera na terenie tych wysepek (a może tylko pewnych placów osuszonych) kilka zabudowań. W jednym z takich miejsc pod nazwą Breezand, mniej więcej w połowie długości tamy, autobus staje. Kwadrans wytchnienia u kawiarenki, którą podróżni zaraz zapełniają i odrestaurowują się. Niebawem jedziemy dalej. Wyjeżdżamy z tamy na ląd, po którym przez Harlingen jedziemy jeszcze ± 30-35 kilometrów do Leeuwarden. Tu jest meta podróży. Małe czyste miasteczko holenderskie z dużymi kanałami, czyniące wrażenie handlowego. Na kanałach pełno statków, stojących, poruszających się, ładowanych. W Leeuwarden zjadłem obiad i takimże autobusem udałem się w drogę powrotną. W Hadze stanąłem koło godziny ósmej wieczorem.

1 czerwca, rok 1938, środa

Wreszcie przyszła odpowiedź rządu litewskiego i przeto posiedzenie komisji koncyliacji odbyło się. Odpowiedź rządu litewskiego brzmi tak:

„*Le gouvernement lithuanien estime, que le différend actuel lithuano-danois est un différend essentiellement juridiqe et que, comme tel, il n'est pas susceptible d'être élucidé par la Commission de la Conciliation autrement que par le moyen d'un examen juridique des thèses expirées devant elle, de part et d'autre, durant six mois. En conséquence, le gouvernement lithuanien, <u>tout en restant désireux de voir règler son différend avec le Danemark par l'intermédiaire de la Commission de la Conciliation</u>, regrette de ne pouvoir pas autoriser son agent à entrer dans des conversations sur un autre terrain que le terrain juridique*”[11].

Litwa przeto nie zdecydowała się zejść ze stanowiska swego prawa. W moim przekonaniu, wobec takiej odpowiedzi kategorycznej pozostawało jedno z dwojga: albo ustanowić, czy jest w ogóle tytuł prawny i jaki mianowicie – dla odpowiedzialności Litwy wobec Danii w zakresie zgłoszonych pretensji duńskich i w razie odpowiedzi twierdzącej zaprojektować sprawiedliwą ugodę *ex aequo et bono*, nie wdając się w inne kwestie prawne przy ustanowieniu samej należności w kompromisie, albo, jeżeli komisja nie życzy w ogóle rozstrzygać samej zasadniczej kwestii, bądź co bądź prawnej, w tytule odpowiedzialności Litwy, to stwierdzić po prostu, że komisji nie powiodło się pojednanie stron i spisać protokół likwidujący procedurę koncyliacji. Ale ani członkowie komisji z ramienia Danii (pp. Oldenburg i de Fontenay), ani sam prezes van Karnebeek z jednej strony lękają się dotykania i zwłaszcza przesądzenia jakiej bądź kwestii prawa, choćby w założeniu sporu, lękają się tego tak, jak się diabeł lęka święconej wody, z drugiej zaś – nie chcą rozejścia się komisji bez żadnego zgoła wniosku. Wbrew zresztą temu, co tenże Karnebeek mówił w tygodniu ubiegłym Mandelsztamowi i nawet poniekąd na posiedzeniu komisji. Członkowie duńscy nalegali na przejście od razu do merytorycznego roztrząsania wniosku o układzie. Z pewnego rodzaju kombinacją kompromisową, w istocie dosyć bałamutną, wystąpił Ozolinš, poruszając wypowiedzenie się w komisji o kwestiach prawnych sporu, chociaż tylko w postaci „*aprécietion*” bez żadnych rozstrzygnięć, mniej więcej w drodze indywidualnego wypowiedzenia się każdego z członków komisji bez przegłosowania formalnego, a następnie przejścia do układania projektu wniosku kompromisowego w trybie sprawiedliwości. Trzy więc zarysowały się drogi – moja, Ozolinša i Oldenburga. Moją Karnebeek eliminował z góry i ani mówić o niej nie chciał. Natomiast uczepił się Karnebeek propozycji Ozolinša, w której wyczuł pewną pośredniość kompromisową, mogącą dać pewien pozór satysfakcji żądania rozważania prawa i zarazem nie wiążącą prawnie. Zaczął więc

[11] Rząd Litwy uważa, że niniejszy zatarg litewsko-duński jest w istocie sporem prawnym i że, jako taki, nie może być wyjaśniony przez Komisję Koncyliacyjną inaczej, jak poprzez prawne zbadanie tez jednej i drugiej strony, przedkładanych jej w ciągu wyznaczonych sześciu miesięcy. Wskutek tego rząd litewski, <u>niezmiennie życząc sobie uregulowania sporu z Danią za pośrednictwem Komisji Koncyliacyjnej,</u> ubolewa nad niemożnością uprawnienia swego agenta do przystąpienia do rozmów na płaszczyźnie innej niż prawna.

precyzować myśl Ozolinša, naciskać na niego, stylizować tę propozycję w kierunku sterylizacji jej strony, zwróconej do prawa. Ozolinš wykręcał się trochę jak piskorz; nie bardzo mu było widać na rękę grać pierwsze skrzypce. Tymczasem Oldenburg, długo nie czekając, zabrał się już wprost do rzeczy i odczytał referacik, dający pewne wskazówki na rzecz ewentualnego kompromisu przez zbicie pewnej pozycji pretensji duńskich – zresztą redukcją bardzo znikomą, sprowadzającą się coś do ½ miliona na 6 milionach. Zaczął się wytwarzać chaos. Zwróciłem uwagę, że należałoby jednak wpierw ustalić, czyśmy już weszli na pole *équité*, czy jeszcze dyskutujemy o metodach dalszej czynności komisji. Prezes zaproponował, żeby memorialik Oldenburga został multiplikowany dla członków komisji. Żeby skądinąd Ozolinš sformułował na jutro swoją propozycję, jak rozumieć „*aprécietion*" kwestii prawnych „*sans les trancher*", i zarazem sformułował te kwestie prawne, o które mu chodzi. Tymczasem de Fontenay podniósł inny wzgląd. Czy wstawka w odpowiedzi rządu litewskiego o życzeniu Litwy doprowadzenia do zgody staraniem komisji (ten ustęp, który podkreśliłem w tekście odpowiedzi) nie zawiera upoważnienia przez Litwę komisji do czynienia wszelkich wniosków bez względu na prawo, ograniczając jeno agenta litewskiego do opiniowania wyłącznie prawnego. Zaproponowałem więc wezwać agenta litewskiego Mandelsztama i zażądać od niego interpretacji autentycznej tego ustępu odpowiedzi w imieniu rządu litewskiego, albowiem gdyby się okazało, że rząd litewski istotnie zwalnia komisję od liczenia się z prawem, na jakie się Litwa powołuje, to w takim razie i ja żadnych obiekcji przeciwko wkroczeniu natychmiastowemu na teren *équité* bym nie miał. Mandelsztam, wezwany, zaprzeczył jednak interpretacji de Fontenay'a. Posiedzenie odroczone do jutra po obiedzie. Najwyższy czas kończyć.

2 czerwca, rok 1938, czwartek

Znowu posiedzenie komisji. Chodziło już wreszcie o decyzję, co komisja ma robić, jaką drogą iść dalej, czy od razu wchodzić *in meritum* projektowań ugodowych, wykluczających zgoła wszelkie względy prawa, czy też wdawać się w pewne omawianie względów prawnych, ale tylko na razie i bez żadnych „*mise au point*" w zakresie prawa, aby w tym zakresie wszystko było tylko dotknięte, ale nie przesądzane, jak proponował Ozolinsz, aby od tej luźnej debaty prawnej przejść następnie do wniosków ugodowych. Dla mnie osobiście pomysł Ozolinša wydawał się nierealnym. Miałem swój pomysł własny, trzeci, kładący u podstawy całej pracy właśnie prawo, ale z wyraźnie już ujawnionego stanowiska Karnebeeka wiedziałem, że mój pomysł nie przejdzie. Na razie czekałem. Karnebeek zabrał się do precyzowania pomysłu Ozolinša, naciskującego, żeby kategorycznie zastrzegł zupełną luźność wypowiadań się prawnych. Ozolinš się wykręcał i ostatecznie rzecz się tylko gmatwała. Wtedy zabrałem głos i wskazałem, że są trzy proponowane drogi: moja, na której przyjęcia nie liczę, duńska Oldenburga, która wkracza od razu na teren „équité" i układanie wniosku ugody bez liczenia się z prawem, i pośrednia Ozolinša. Trzeba przedewszystkim, żeby Komisja większośćią głosów przesądziła, którą z dróg obiera. Co do mojej – to ją mam uformowaną. Jeżeli nie będzie, jak sądzę, przyjęta, w każdym razie jej formułę składam do protokółu. Odczytałem wtedy mój wniosek, który brzmi tak: „*Je suis d'avis, qu'en face de la déclaration du gouvernement lithuanien qu'il ne renonce pas à son droit, il y a lieu de constater tout d'abord par la Commission de la Conciliation qu'il y a un titre de la responsabilité de la Lithuanie envers le gouvernement danois dans le litige soulevé par le Danemark et quel est ce titre. C'est à mon avis la seule question juridique qui se pose mais elle se pose tout d'abord et elle impose à la Commission une constatation nette. Si cette constatation de droit est faite et si le titre de la résponsabilité de la Lithuanie est établi, je ne vois pas d'autres questions de droit pour fixer en procédure de conciliation le montant de ce qui dû par la Lithuanie à la maison Höjgaard. Dans cette procédure c'est l'équité qui peut jouer alors selon l'appréciation libre de la justice matérielle par la majorité au sein de la Commission*"[12].

[12] Jestem zdania, że wobec deklaracji rządu litewskiego, iż nie odstępuje on od swoich praw, potrzebne jest najpierw stwierdzenie przez Komisję Koncyliacyjną, że istnieje zakres odpowiedzialności Litwy wobec rządu duńskiego w sporze podniesionym przez Danię i jaki to jest zakres. To jest, moim zdaniem, jedyna kwestia prawna, która powstaje, lecz powstaje ona na samym wstępie i nakazuje Komisji

Po tym moim oświadczeniu Ozolinš oświadczył niezwłocznie, że swoją poprzednią propozycję cofa i czyni akces do mojej. Wtedy nie było prezesowi innej rady, jak poddać propozycję moją pod głosowanie komisji, co oczywiście miało oznaczać, że w razie odrzucenia tejże komisja przechodzi bezpośrednio do projektowania wniosku ugody, oczywiście *ex aequo et bono*, ze stanowiska sprawiedliwości materialnej bez żadnych względów prawnych. Na rzecz mojej propozycji głosowałem tylko ja i Ozolinš. Członkowie z ramienia Danii, Oldenburg i de Fontenay, głosowali naturalnie przeciw. Dania zależała od prezesa van Karneebeka. Oświadczył on, że choć żałuje, iż dojść musiało w komisji do głosowania formalnego i że wobec równego podziału głosów jego głos musi przeważyć, to jednak (jak zresztą łatwo się było z całej jego poprzedniej taktyki domyślić) nie może się on przychylić do mojej propozycji i musi przeto wypowiedzieć się na rzecz jej odrzucenia. Rzecz była przesądzona. Mówiono jeszcze o *équité* czy *opportunité* albo *utilité*, ja wszakże zaznaczyłem, że może być mowa tylko o *équité*, bo o użyteczności (*opportunité*, *utilité*) układu mogą decydować tylko same strony, ale w żadnym razie nie mediator trzeci. Pozostaje tylko *équité* podług poczucia sprawiedliwości większości komisji i niesklaniania stron do ustępstw, bo jedna ze stron – Litwa – na żadne propozycje ustępstwa nie idzie, jeno na ustanowienie projektu ugody przez samą komisję. Podjąłem jeszcze w komisji kwestię, jakie jest wobec tego moje stanowisko w dalszych czynnościach komisji: czy mam pozostać nadal bierny, wobec tego, że wypowiedziałem się przeciwko projektowaniu układu bez przesądzenia kwestii prawnej odpowiedzialności Litwy i że będę musiał głosować przeciwko projektowi ugody, czy też mogę wskazywać jednak moje „*considérations*” co do *équité*. Prezes i Oldenburg prosili mię, abym owszem wyrażał moje względy wszelkie, a co do ewentualnego głosowania nad projektem ugody, to prezes nie uważa, żebym musiał koniecznie głosować przeciwko, bo mogę głosować i na rzecz projektu, czyniąc jeno zastrzeżenie co do praw Litwy, pozostawionych otwartych. Następnie odczytałem ułożone przeze mnie w czterech tezach konsyderacje ekonomiczne, skierowane przeciwko zasadności pretensji duńskich w zakresie czystej sprawiedliwości. Na tym się na dziś posiedzenie zakończyło.

3 czerwca, rok 1938, piątek

Zdaje się, że „prace” naszej komisji koncyliacji duńsko-litewskiej zbliżają się do końca. Żeby wydały one dobry skutek i żeby się przyczyniły do pojednania stron – wątpię. Obawiam się, że może być przeciwnie. Mieliśmy dziś dwa posiedzenia komisji – przedpołudniowe i popołudniowe. Posiedzenie przedpołudniowe było wyznaczone dla dania możności agentowi duńskiemu p. Höestowi wypowiedzieć się co do ewentualnych ustępstw, na które mogłaby pójść Dania. W oświadczeniu bowiem członka komisji Duńczyka Oldenburga była wskazana malutka redukcja sumy, żądanej przez Danię, mianowicie w tej części, która dotyczy naliczanych procentów. Redukcja ta sprowadza się do przeszło 400 000 litów, co na ogólnej sumie żądanych sześciu z górą milionów jest bardzo znikome. Chodziło o wysłuchanie agenta Danii, który by może oświadczył samorzutnie gotowość potrącenia coś więcej zażądań pierwotnych. Höest odczytał nam deklarację, której większa część była poświęcona komplementom prezesowi Karnebeekowi i Oldenburgowi, zaś w kwestii ustępstw powtarzała literalnie to samo, co się zawierało w propozycji Oldenburga. Ta deklaracja tchnęła więc trochę, jak się wyrażał w rozmowie ze mną prywatnie Ozolinš, chińszczyzną. Po obiedzie odbyło się drugie posiedzenie komisji dla pracy merytorycznej. Na tym posiedzeniu Oldenburg podniósł nieco granice ustępstwa Danii, mianowicie z 400 000 litów do 840 000. Karnebeek skłonił go jeszcze nieco dalej – dosięgając ustępstwo do 1 miliona 50 tysięcy litów, co stanowi równo połowę tego, co Dania zalicza w zakres „*benefices*” irmy Höjgaarda (Dania zalicza w tę pozycję 2 100 000 lt). Teza kalkulacji Karnebeeka jest taka: z ogólnej sumy 6 milionów przeszło,

konieczność samej tylko konstatacji. Jeżeli ta konstatacja prawna została dokonana i jeżeli zakres odpowiedzialności Litwy jest ustalony, to nie widzę innych kwestii prawnych, aby zaznaczyć w procedurze ugodowej kwotę winną przez Litwę firmie Höjgaard. W tej procedurze to jest kwestia sprawiedliwości, którą można osiągnąć podług swobodnego oszacowania sprawiedliwości materialnej poprzez większość w łonie Komisji.

których domaga się Dania, 4 miliony przeszło zalicza ona w pozycję strat rzeczywistych, stwierdzonych też w tej sumie przez cedułę urzędową urzędnika kontroli finansowej w Danii, którą to sumę Karnebeek uważa za zgoła nietykalną i nie nadającą się do redukcji, resztę zaś w sumie 2 miliony 100 tysięcy – dzieli równo po połowie, redukując jedną połowę. Tą drogą pozycja, którą gotowa jest akceptować większość komisji do wniosku projektu ugody („*projet d'arrangement*"), wynosiłaby ± 5 milionów, bodajże nieco z górą. Poczciwy dobroduszny Vicente de Fontenay, człowiek złotego serca, wyrażał już gotowość redukowania sumy o 2 miliony, co by sprowadziło pozostałość do ± 4 milionów, ale Oldenburg na to się już krzywił, choć Karnebeek już się zaczął spoglądać na nas z Ozolinšem, czy nas to nowe ustępstwo nie stentuje, będąc gotów w takim wypadku opuścić Oldenburga dla przyłączenia się do Fontenay'a i do nas. Ale to nas jeszcze nie stentowało. Oczywiście o zejściu z naszego stanowiska zasadniczego mowy być nie mogło, zwłaszcza że i tentacja była tylko miską soczewicy. Prawda, że Karnebeek przez cały czas straszył, że o ile Litwa nie przyjmie układu, który jej zaproponuje komisja, to naraża się na to, że potem w drodze sądownictwa międzynarodowego narazić się może na zasądzenie z niej całej sumy żądanej przez Danię i jeszcze mieć może ten afront, że wyroki jej sądów zostaną splamione stwierdzeniem „*dénis de justice*" czy „*mal jugé*", na co nawet ja jeden raz nie wytrzymałem i odpowiedziałem, że również Dania naraża się na to, że cała jej pretensja będzie odrzucona, bo skoro komisja koncyliacji nie wchodzi w rozpoznanie prawa stron, to jej prezes nie może wyrażać domniemania, że przegrać ma właśnie Litwa; nie może, bo w obliczu komisji prawo obydwóch stron nie jest przesądzone. Ale faktem jest, że Karnebeek, aczkolwiek kategorycznie się uchylił od stanowiska w kwestii prawa, jednak ciągle i stale rozumował tak, jak żeby wina Litwy była już pewnikiem, a przynajmniej domniemaniem, podczas gdy o domniemaniu braku zasady dla roszczeń duńskich nie tylko nigdy nic nie mówił, ale z politowaniem wyraźnym i ironią słuchał, gdyśmy z Ozolinšem o możności takiego przypuszczenia napomykali. Stanowczo Karnebeek był wyraźnie w tym względzie stronny na rzecz Danii, czego nie był powinien robić. Ozolinš na usiłowania tentowania nas małymi ustępstwami Danii zaznaczył słusznie, że taka proporcja podziału pretensji, w której z roszczeń Danii potrącone jest tylko milion czy dwa na 6 milionów, a od Litwy zażądano opłacenia pięciu czy nawet czterech milionów, skoro to się wyraźnie kalkulacją nie motywuje i skoro się nic o prawie nie przesądza, będzie zgoła dla Litwy niezrozumiałe i w żadnym razie nie skłoni jej do przyjęcia takiej sfinksowej i nierównej ugody. Tu Ozolinš wdał się w dłuższe wywody, zbliżone do moich wczorajszych, na temat przesłanek i ofiar utrzymania waluty naszych młodych i małych krajów na poziomie wysokim, na temat eksportu naszych produktów za granicę i kosztem ograniczenia spożycia w kraju dla pozyskania resursów walutowych, na temat naszego „złota", które nie z kopalń tego metalu, ale z ubogich owoców pracy i gleby naszej wyciągać musimy mozolnie w postaci tanich opłat, jakie nam za te owoce daje zagranica, czego kraje bogate, żyjące np. z kolonii, z przemysłu, z eksploatacji, zgoła rozumieć nie chcą i traktują nas tak, jak żaby to złoto sami mieli, do niego wszystkie rachunki nasze sprowadzając, nawet wtedy, kiedy się o złocie w kontraktach nie mówi. Trochę się Ozolinš, któremu trudno pewne mówić po francusku, w wywodach swoich zaplątał i w pełni myśli swej, jak ja ją wczoraj rozwinąłem, nie rozwinął, zwłaszcza co do przesłanek o stosunku spadku pieniędzy wielkich walut światowych do indeksu cen towarowych generalnego. Prezes słuchał Ozolinša z pewną ironią i dość zjadliwie mu odpowiadać zaczął, powątpiewając poniekąd w przeciwstawianie jakichś kombinacji nieuchwytnych i „fantazyjnych" mocnemu gruntowi złota jako miernika wartości, a przeto i zysków i strat, i należności (zapominają jednak ci panowie, że ich własne państwa dawno z niewartościowego kryterium złota zeszły właściwie, płacą, co się od nich należy, tylko wartościami nominalnymi, które nie odpowiadają wartości złota. Musiałem stanąć w obronie Ozolinša, któremu było przykro, i w sposób łagodzący, pojednawczy, ale zresztą bardzo ścisły, któremu słuszność przyznać musieli i nasi oponenci, stwierdziłem, że w tych naszych różnicach zdań i dyskusjach wyraża się bardzo realna różnica psychologii i całej „*mentalité*" krajów rolniczych, ubogich i młodych, jak nasze (Litwa, Łotwa...) i krajów bogatych, żyjących z handlu, z kolonii i mających psychikę kupców, mieszczan zamożnych, ludzi kultu złota. Tak – to są kapitalne różnice „*mentalité*",

które reflektują nawet na zagadnienia prawne, a tym bardziej na szacowanie tego, co się „sprawiedliwością" zwie. A z tymi refleksami „*mentelité*" burżuazyjno-kupieckiej, pojmującej tylko zysk i wszystko do zysku w złocie redukującej oraz „*mentalité*" ubogich pariasów rolniczych, pracujących na tamtych i mających im złotem zawsze płacić, kojarzą się też „*mentalités*" przedwojenne, zakonserwowane zwłaszcza u ludzi starszego pokolenia, jak Karnebeek, i ludzi należących do krajów, jak Dania, Holandia, które Wielką Wojnę przetrwały jako neutralne i kataklizmów gospodarczo-społecznych w tym stopniu, co my, nie przeżyły. Choć i ich kraje zrywają już z kultem cielca złota, to jednak ich ludzie sfer zamożnych i tradycyjnych nie umieją sobie nic poza złotem w zakresie wszelkich należności i ekwiwalentów wyobrazić. Tak, nasze spory w komisji – to spór różnych „*mentalités*".

4 czerwca, rok 1938, sobota

Chwała Bogu – ta pierwsza robota skończyła się. Wreszcie. Mam tydzień urlopu, bo Trybunał Międzynarodowy wyznaczył rozpoczęcie rozprawy w przedmiocie ekscepcji litewskiej w sprawie estońsko-litewskiej na poniedziałek 13 czerwca rano. Do 13 czerwca mam więc przerwę w pracy. Choć ładnie tu i miło w Hadze i Scheveningen, ale samotnie i smutno bywa samemu. Tęsknię do Jadzi. Jutro więc ruszam, bo już w piątek pod wieczór znów z Kowna wyjadę. Trudno – trzeba. To obowiązek powołania mego. Ale w każdym razie choć odetchnę powietrzem domowym, uścisnę Jadzię, serdeczności się napiję. Dla mnie to rozrywka wielka. A potem znowu tu siedzieć będę – może parę tygodni, może miesiąc, a może i krócej – kto zgadnie. Już od dłuższego czasu bardzo mi leżał na sercu ten powrót do Kowna teraz między pierwszą sprawą a drugą. Choćby na krótko. Wiem, czym jest moja obecność dla mojej Jadźki. Jest ona jak kwiat słonecznika, dla którego ja jestem słońcem. Tak, mogę to mówić z całym przekonaniem i pewnością, mimo że mam lat 58, zaś ona – 33! Pan Bóg mi w jej osobie zesłał towarzyszkę wierną, serce oddane, kobietę moją. Gdy wyjeżdżałem – spodziewała się ona, że wrócę niebawem. Sprawa się zaczęła w komisji zaciągać, a termin drugiej sprawy się zbliżał. Jadźka żyła między nadzieją mojego powrotu a rezygnacją sieroctwa na czas jeszcze dłuższy. Piękna i miła jest Haga, ale bywa mi smutno. Im bardziej sprawa się zaciągała, tym bardziej malały szanse powrotu. W ostatnich dniach już sam straciłem nadzieję i serce mię bolało. Moja Jadźka jest właśnie w poważnym stanie, ma w łonie swym Filipka, którego nie mieliśmy przez lata długie, bośmy zresztą spełnienia aktu unikali, i ten Filipek przyśpieszył zrealizowanie naszych decyzji małżeństwa formalnego. Dziś już Jadzia jest moją żoną w pojęciu społecznym tego słowa i akurat wtedy, gdy się to stało – przyszło to rozstanie, które się przedłuża i rozciąga. Tak chciał los. Od ślubu naszego mamy dopiero kilka tygodni, ale już dłuższy jest termin rozstania, niż czas pobytu wspólnego. W stanie obecnym Jadzi brać ją ze sobą do Hagi nie mogę. Byłoby to dla niej zmęczenie i niewygoda. Czekałem więc zakończenia pierwszej sprawy jak zbawienia, aby wrócić, aby zajrzeć do niej choć na króciutko. I mnie już nadzieja odstępowała, bo już i termin drugiej sprawy wyznaczony kategorycznie. Ale oto pierwsza skończona. Mam jeszcze tydzień i jadę. Na Kowno i Jadźkę zostanie mi koło czterech dni. To są moje wakacje kochane. Tym czterem dniom poświęcam trudy i koszt podróży z Hagi do Kowna i z powrotem. Ale radość tych czterech dni opłaci mi i koszt i trud. W nocy wysłałem depeszę do Jadzi. Niech się ucieszy. Ucieszę się nie mniej i ja sam. A potem znowu rozstanie dłuższe.

Ale teraz jeszcze słówko o ostatnich posiedzeniach komisji naszej. Posiedzeń tych mieliśmy dziś jeszcze dwa. Jedno – rano, drugie – po południu. Prezes Karnebeek ułożył projekt wniosku komisji o „*terme d'arrangement*". Projekt ułożony obiektywnie. Wyraźnie zaznaczone, że uchwały tak co do wyeliminowania względów prawa, jak co do sumy odszkodowania, zaprojektowanego przez komisję, przyjęte są większością głosów, co nas z Ozolinšem degażuje od całej sfery. Wyraźnie też uwydatniona myśl zasadnicza większości, że jedynym kryterium strat firmy Höjgaard jest obniżenie kursu dolara, czyli kryterium złota. To jest właśnie punkt, który nas – mnie i Ozolinša – radykalnie i kategorycznie różni od większości komisji. Z rezerwą oczywiście co do kwestii, czy prawnie jest jakiś tytuł do odpowiedzialności Litwy wobec firmy albo, jeżeli tytułu takiego nie ma, to

z rezerwą co do kwestii, czy Litwa zgadza się zejść z formalnego stanowiska prawa i zaangażować się w sprawiedliwość materialną; właściwie z tą rezerwą i my z Ozolinšem zgadzamy się na to, że należałoby firmie wynagrodzić straty, jeżeli je miała istotnie, ale my kwestii strat nie wiążemy z jednym jedynym i wyłącznym elementem kalkulacji – złotem, czyli stosunkiem kursu dolara do złota, jeno chcemy uwzględnić wszystkie elementy siły nabywczej dolara, czyli generalny indeks cen – czy się podniósł czy obniżył w stosunku do zniżki waluty złotej dolara, czego większość komisji, zwłaszcza Karnebeek i Oldenburg, zgoła nawet nie rozumieją. Dla nich – przedstawicieli krajów pasożytniczych kupieckich – jedynym elementem kalkulacji jest złoto, w którym obliczają oni i straty i zysk, nawet jeżeli kontrakty nie powoływały się na walutę złotą *expressis verbis*. Francuz ambasador de Fontenay tego fetyszyzmu złota nie ma i byłby giętszy w ustępstwach na rzecz Litwy. De Fontenay'owi chodziłoby o coś pośredniego, mogącego obie strony zadowolić. Ale sam jeden przeciwko tak naszej opozycji, jak kategorycznemu faworyzowaniu strony duńskiej przez Karnebeeka i Oldenburga nie mógł nic wskórać i będąc do komisji wyznaczony z ramienia Danii – musiał się trzymać tamtych dwóch. Posiedzenia komisji zakończono. Termin stronom na odpowiedź co do wniosku udzielono do 1 sierpnia, jednocześnie prosząc rządy duński i litewski o prolongowanie terminu dla komisji do 1 października. Komisja bowiem będzie musiała się jeszcze co najmniej raz zebrać dla ułożenia protokółu, stwierdzającego bądź zawarcie ugody, bądź uchylenie wniosku ugodowego.

Na zakończenie wygłosiłem mowę konkluzyjną w duchu pojednawczym, podkreślając dobrą wolę porozumienia z rezerwami pewnych oczywiście różnic koncepcji i „*mentelité*" i wreszcie odpłacając Oldenburgowi za jego bardzo kurtuazyjne słowa względem Litwy – wyraziłem takąż kurtuazję dla Danii.

5 czerwca, rok 1938, niedziela

Dzień wyjazdu z Hagi do Kowna na krótkie, niestety, zaledwie kilkodniowe wakacje u Jadzi. Co robić – dobre i to. Lepszy rydz niźli nic. Po zobaczeniu się będzie przecież raźniej.

Na wyjazd zawsze dużo rozchodów, napiwków szczególnie, bo służby tu w hotelu Vieux Doelen jest moc niezliczona. No ale zarobiło się trochę, więc napiwki nie są tak straszne. Na ogół materialnie zarobiłem na pracy w Komisji Koncyliacyjnej Duńsko-Litewskiej na czysto przeszło 6000 litów. Nie jest to zbyt dużo, ale bądź co bądź coś jest. Podług układu stron, członkowie komisji byli opłacani tak: stałego honorarium po 2500 florenów holenderskich, zwrot kosztów podróży i po 25 florenów diet dziennych. Diety i zwrot kosztów podróży dały mi 1000 florenów. Razem więc wszystko – 3500 florenów. Ale jazdy, pobyt w listopadzie i teraz, życie drogie w Hadze, różne sprawunki, prezenty, które wiozę, pochłonęły niemałą kwotę. Awansu wybrałem z naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych 4000 litów, które będę musiał zwrócić. Czystych zostanie mi przeszło 2000 florenów; floren podług kursu obecnego ± 3 lity 30 centów. Druga sprawa, estońsko-litewska, materialnie da mi pewno więcej, bo toczy się ona w Trybunale Haskim, gdzie sędziowie *ad hoc* pobierają po 150 florenów dziennie na rachunek Ligi Narodów.

Część rzeczy moich – frak, palto, bielizna czysta, trochę drobiazgów – zostawiam tutaj, bo do Kowna zabierać nie warto. Odesłałem je do hotelu Wittebrug, gdzie się lokuje delegacja litewska (Mandelsztam, Tadeusz Pietkiewicz, Krywicki, Montwiłł, de-Faria-e-Castro i maszynistka). Przechowa mi je Montwiłł, administrator i gospodarz delegacji. Delegacja ta nie wyjeżdża, pozostaje ona tutaj do drugiej sprawy i obsługuje formalnego agenta Litwy, prof. Mandelsztama, jako jego rada (Pietkiewicz i Kriwicki) i personel techniczny (reszta). Pracują oni już od paru tygodni całą siłą pary nad układaniem przemówienia zasadniczego Mandelsztama, uzasadniającego ekscepcje litewskie. Dniami całymi pracują i gromadzą elementy tego przemówienia we wspaniałej Bibliotece Pałacu Pokoju, jednej z najbogatszych na świecie w zakresie prawa międzynarodowego. Naradzają się też, dyskutują, pracują nad konstrukcją argumentów. W tym względzie prym trzyma Pietkiewicz, który jest zaciekły i zachłanny i dominuje Mandelsztama, tym bardziej, że jest najzaufańszym człowiekiem Lozoraitisa, mającym wpływ wielki na niego. Niegłupi to człowiek, ale umysł ciasny, trochę

sekciarski, nie mający giętkości ani zmysłu taktu, co nieraz szkodzi sprawom litewskim. Pietkiewicz nie umie zrozumieć i uwzględnić psychologii innych ludzi, a więc i tych, od których zależy decyzja w sprawie. Zbytnie zacietrzewienie sekciarskie szkodzi. Mandelsztam Pietkiewicza się lęka, a Kriwickiemu brak samodzielności: wpatrzony jest w Pietkiewicza jak w wyrocznię i jak dewotka księdza, tak on go słucha i myśli, rozumuje, czuje – jego kategoriami. Niewesołe tam ich życie w koterii quasi-klasztornej. W ogóle ani Hagi, ani Holandii oni nie widzą i tym się nie interesują. Siedzą albo w bibliotece, albo w hotelu (Wittebrug), smażą się we własnym sosie, myślą i mówią tylko o sprawie, jak w kołowaciźnie i trochę talmudycznie rozumowanie swoje traktują – przynajmniej Pietkiewicz z Kriwickim. Jest też między Mandelsztamem z jednej a Pietkiewiczem i Kriwickiem z drugiej strony trochę tarć, co prawda maskowanych, jest pewna rywalizacja i niechęć, może nawet zazdrość, także pewna namiętność postawienia na swoim, gra ambicyjek, autorytetu i przewagi. Mandelsztam na ogół jest dosyć obraźliwy i wyceniający się, nie lubiący krytyki i bardzo drażliwej miłości własnej, tylko że się lęka Pietkiewicza. Nie chciałbym żyć w ich atmosferze zamkniętej i nieszczerej. Montwiłł i de-Faria-e-Castro, młodsi i używani do pracy tylko technicznej, do tego gniazdeczka intrygi się nie mieszają, ale tamci trzej główni – to spółka dosyć ciężka. Dla mnie byłaby nieznośna.

Wyjeżdżam z Hagi pociągiem pośpiesznym berlińskim o godzinie 7 minut 45 wieczorem. Halo! Jadziu z Filipkiem!

6 czerwca, rok 1938, poniedziałek

Noc i dzień w podróży. Z Hagi wyjechałem wczoraj koło ósmej wieczorem. W wagonie sypialnym wyspałem się i wypocząłem znakomicie. O szóstej rano wstałem, wypiłem w wagonie kawy i już podjeżdżałem do Berlina. Wysiadłem na Friedrichstrasse, na dworcu w bufecie spożyłem śniadanie i w półtorej godziny po przyjeździe pojechałem w dalszą drogę na wschód. Siedziałem już w wagonie idącym bezpośrednio do Kowna. Wiozę dużo prezencików, więc się obawiałem trochę rewizji celnej na granicach, mimo że mam paszport dyplomatyczny, który zwykle dobrze osłania przed celnikami. Granica holendersko-niemiecka przeszła szczęśliwie: jechałem w wagonie sypialnym, w Bentheim już spałem, paszport, bilet kolejowy i przygotowane świadectwo o dewizach, które przewożę tranzytem przez Niemcy, były złożone u agenta „Mitropy”, towarzyszącego wagonowi sypialnemu. Rewizja celna nie zajrzała wcale do mego *coupé*. Jadąc z Berlina miałem podróż długą, koło dwunastu godzin. Wpierw Niemcy właściwe, potem „korytarz” polski, czyli Pomorze; tu obiad w wagonie restauracyjnym. Potem krótki przeskok przez skrawek terytorium Wolnego Miasta Gdańska, następnie Prusy Wschodnie. Niebo się zachmurzyło, zaczął padać deszcz. Oto wreszcie granica litewska Eytkuny-Wierzbołów. Celnikowi litewskiemu oświadczyłem, że jadę za paszportem dyplomatycznym. To mu wystarczyło. Oto pociąg pędzi przez Litwę. Publiczności nasiada dużo, ludzie wracają z wycieczek Zielonych Świątek. Błyskawice, burza. Oto Kowno. Wjeżdżamy na dworzec. Lunął deszcz ulewny. Przez okno spostrzegam na peronie Jadzię w szerokim kapeluszu słomkowym. Macha mi na powitanie ręką. Wysiadam, tragarz niesie rzeczy. Witamy się gorąco z Jadzią. Jest już ona przecie moją żoną prawowitą, możemy się więc teraz całować otwarcie. Automobilem przyjeżdżamy do domu. W bramie wita mię Renia i Paulinka. Wreszcie w domu. Jadźka wygląda doskonale, jest w doskonałym humorze, serdeczna, promieniejąca. Rozpakowywanie prezentów. Wszystko, co przywiozłem, podoba się Jadźce. Sakwojażyk skórzany czerwony, którego chciała, jest śliczny. Żabocik, nakrycie przejrzyste na bluzkę, para kwiatków ze skóry, kubek ozdobny do piwa lub wody ze Scheveningen, parę drobiazgów szklanych na etażerkę, hopjes haskie, czekolada, krzyż z muszli dla matki Jadzi, rediculle biały dla Steni, chusteczka na szyję kolorowa dla Reni, żabocik dla Paulinki, serwisik do pieprzu, soli i musztardy dla Marysi Römerowej, wino i likiery do spiżarni mojej, słoiczek konfitur gingembre – wszystko znajduje uznanie i podoba się. Radość szczera. Gawędzimy z Jadzią do późna w noc.

7 czerwca, rok 1938, wtorek

Dzień w domu z Jadźką. Pogodny miły dzień, atmosfera pogodna, serdeczna. Jadźka radosna. Wygląda doskonale; powiada, że ostatnia analiza uryny była doskonała. Gudowicz nazwał ją „królewską”. Białka w tej analizie nie stwierdzono już wcale. Ruch Filipka we wnętrzu swoim Jadźka czuje już stale. Radzi się Jadźka u prof. Gudowicza i u doktorki Blindžiutė, asystentki ginekologa prof. Mažylisa, jednej z najlepszych specjalistek akuszerii w Kownie. Gudowicz sprawdza tylko analizy, Blindžiutė stwierdza przebieg ciąży. Jutro Jadźka pójdzie do Blindžiutė, rozpyta ją o ruchu Filipka, bo od czasu, jak Jadzia ruch ten poczuła, jeszcze u Blindžiutė nie była. Pojutrze zaniesie nową analizę do Gudowicza, a w piątek po moim wyjeździe na Hagę sama też wyjedzie do Bohdaniszek na lato. Jedną z trudnych kwestii gospodarnych u nas jest teraz kwestia ekonoma do Bohdaniszek na miejsce śp. Pumpola. Jadzia dała ogłoszenie poszukujące ekonoma. Kandydatów osobiście i listownie zgłosiło się mnóstwo. Z nich Jadzia wybrała trzech kandydatów, którzy sprawili lepsze wrażenie bądź osobiście, bądź ze świadectw. Ponieważ trzeba się decydować prędko, więc zatrzymaliśmy się na dwóch kandydatach, którzy są w Kownie: jednym z nich jest niejaki Radwiłowicz czy Radziwiłowicz, człowiek starszy, 50-letni, miał przed wojną majątek w rosieńskiem, sprzedał go i kupił majątek w Smoleńszczyznie, stracił go oczywiście w rewolucji bolszewickiej, był przez parę lat po wojnie rządcą u p. Dominika Dowgiałły w Siesikach. Drugim jest Petrėnas, młody człowiek, syn gospodarski z powiatu uciańskiego, służył u dr Karvelisa, u dr Trečiokasa, skończył szkołę rolniczą, referencje ma dobre, czyni wrażenie dodatnie człowieka pracowitego i do rzeczy. Obaj przychodzili dzisiaj. Choć żałujemy Radziwiłowicza, który też robi miłe wrażenie, jednak decydujemy się spróbować na razie Petrėnasa. Dobrze będzie, gdy początek jego służby zbiegnie się z pobytem w Bohdaniszek Jadzi, która go inicjuje, ustali od razu pewien tryb i będzie miała oko na jego pracę. A potem i ja przyjadę. Ewentualnie w rezerwie zostanie Radziwiłowicz. Pensji dać chcieliśmy 50 litów miesięcznie, ale Petrėnas żąda 65. Zgodzimy się chyba na 60. Po obiedzie pojechaliśmy z Jadzią i Diskinem autem do Szaszewicz do Stefanostwa Römerów. Zawieźliśmy im prezenciki z Hagi. Wypiliśmy tam herbaty i wróciliśmy do Kowna. Wieczorem wpadła Zosia Eugeniuszowa Römerowa z p. Stanisławem Hemplem, młodszym bratem Jana Hempla, którego ślub z Zosienią Eugeniuszówną Römerowną odbył się tej niedzieli – pozawczoraj. Zosia nie wiedziała, że ja wróciłem, byłaby więc odwiedziła Jadzię, ale zastała nagle mnie. Dowiedziałem się niespodziewanej nowiny: oto p. Stanisław Hempel, który przyjechał na ślub brata do Cytowian i tam poznał po raz pierwszy siostrę swojej nowej bratowej Gienię Römerówną, upodobał ją i podobał się jej wzajemnie i oto po trzech dniach znajomości... oświadczył się o jej rękę. Został przez Gienię przyjęty i jest już jej narzeczonym, co prawda jeszcze nie urzędowym, bo Eugeniusz Römer uznał, że tak prosto z mostu nie można i że młodzi powinni się wpierw lepiej poznać. To znaczy nie odmówiono mu i w zasadzie przyjęto go za narzeczonego, ale na razie nie w charakterze urzędowym i formalnym. Rok 1938 jest w rodzinie Römerów rokiem małżeństw. W tym roku ja się ożeniłem, w sobotę 4 czerwca odbył się w Warszawie ślub Teresy Römerówny, córki Macieja, z p. Iwanowskim, synem prof. Tadeusza Iwanowskiego, nazajutrz 5 czerwca Zosienia Römerówna wyszła za Jana Hempla, a oto w perspektywie zarysowuje się skojarzenie nowej pary – Gieni Römerówny z p. Stanisławem Hemplem. Jest to człowiek młody, bardzo piękny, grzeczny, ziemianin z powiatu krasnostawskiego w Lubelszczyźnie.

8 czerwca, rok 1938, środa

Jak błyskawica lecą te piękne dzionki z Jadzią w Kownie. Niestety – nie mogę poświęcić ich Jadzi całkowicie i bez zastrzeżeń, bo mam też inne zajęcia służbowe i zawodowe, w szczególności na uniwersytecie i z tytułu mojego udziału w zakończonych pracach haskich komisji koncyliacyjnej duńsko-litewskiej. Dziś rano w lokalu Gabinetu Ministrów musiałem właśnie referować premierowi Mironasowi i wiceministrowi spraw zagranicznych Urbšysowi przebieg prac tej komisji, jej wniosek i perspektywy na dalszy ciąg tej sprawy. Przekonałem się, że czynniki rządowe w Kownie są usposobione bardziej pojednawczo niż delegacja litewska w Hadze, a zwłaszcza jej główny

inspirator, zacietrzewiony Tadeusz Pietkiewicz, który z niczym się nie chce liczyć i forsuje stanowisko skrajnie nieprzejednane. Może niedobrze się wyrażam mówiąc, że czynniki rządowe są usposobione pojednawczo. Jest to nie tyle pojednawczość, ile liczenie się oportunistyczne ze względami *pro* i *contra*, z ryzykiem ewentualnej przegranej, gdyby sprawa poszła przed forum sądu międzynarodowego, i z kosztami procedury, które mogą się nie opłacić. W każdym razie, Mironas miał dziś referować sprawę Prezydentowi Smetonie. Na uniwersytecie wielkich nowin nie ma. Prorektorowie – Jodelė i Blažys – funkcjonują, wybory sekretarza uniwersytetu senat akademicki odroczył do jesieni, bo na razie obejdzie się latem bez sekretarza. Są jeszcze pewne echa sprawy Purėnasa. Minister Tonkunas obraził się trochę na skrytykowanie przeze mnie wobec senatu jego metody reagowania na wykroczenie służbowe Purėnasa.

Jadzia była dziś u doktorki Blindžiutė. Ta stwierdziła, że przebieg ciąży rozwija się normalnie; poruszenia, które Jadzia zaczęła odczuwać we wnętrzu, są ruchami rozwijającego się płodu (Filipka). Jadzia wkroczyła więc już w drugą połowę okresu ciąży. Jutro Jadzia uda się jeszcze z analizą uryny do prof. Gudowicza. Jadzia dotąd zbyt gruba nie jest; wprawdzie przypatrując się uważnie znać już pewne wydęcie brzucha, ale nie jest to jeszcze bardzo jaskrawe. Wspaniale rozwinęły się piersi Jadzi. Na ogół ma ona teraz figurę bardzo zgrabną i trzeba przyznać, że wygląda doskonale; i czuje się zresztą dobrze. Energii ma dużo, czuje się zadowolona, cieszy się na wyjazd do Bohdaniszek. Żałuje naturalnie nowego rozstania ze mną, które nie wiadomo, jak długo potrwa, ale na to nie ma rady. Lepiej jednak teraz, niż gdyby było później.

Byliśmy z Jadzią po obiedzie na werandzie kurhauzu w parku sosnowym Basanowicza w Poniemuniu. Śliczne powietrze, pachnie sosnami, rozkosznie. Jakże bym się cieszył, gdybym jechał teraz do Bohdaniszek. Z kandydatem na ekonoma Petrėnasem rokowania się zerwały. Rozeszło się o pięć litów pensji. Ja dawałem 60 litów, on żądał 65. Zerwanie nastąpiło od razu i radykalnie. Petrėnas wstał i wyszedł. Może jest energiczny i byłby dobry, ale jest, zdaje się, ostry i bezwzględny. Nie żałuję, żeśmy się rozeszli. Byłyby zapewne scysje w Bohdaniszkach, bo charakter jego wydaje się ciężki. Wzywamy więc starego Radwiłowicza, z którym zapewne skończymy układ jutro.

9 czerwca, rok 1938, czwartek

Ostatni dzionek wakacyjny u Jadźki w Kownie. Niestety – nie mogłem jej, a raczej nam ofiarować całego dnia bezwzględnie. Miałem bowiem sporo różnej roboty. Rano byłem z nią w bankach – Litewskim i Komercyjnym, gdzieśmy spieniężyli zarobione przeze mnie floreny holenderskie na lity, zaszliśmy też do cukierni na lody, bo upał był szalony. Ale potem miałem posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich, następnie posiedzenie zwierzchności akademickiej, inne zajęcia na uniwersytecie, musiałem też być u ministra oświaty. Po obiedzie załatwiliśmy z Jadźką rachunki na czas mojej nieobecności. Wieczorem odwiedziła mię Zitka Komorowska, która bawi w Litwie i dziś do Kowna przyjechała. Z Zitką, która była mi listownie wyraziła pewne zastrzeżenia w przedmiocie mojego małżeństwa, chociaż życzenia złożyła serdeczne, rozmówiłem się szczerze. Uznała ona wszystkie argumenty mojego uczucia i sumienia na rzecz małżeństwa z Jadzią. Została też później na herbacie, którą wypiliśmy w towarzystwie Jadzi. Dużo mię kosztowało zachodu namówić Jadzię, żeby wyszła do Zitki. Moja dzikuska kochana, która też jest słusznie ambitna, nie chciała iść do Zitki, wyczuwając jej poprzednie uprzedzenie i pewne upokorzenie łaskawej tolerancji hrabiowskiej, raczącej dać uznanie „mezaliansowi". Zresztą Zitka jest naiwnie i rozbrajająco szczera w tych swoich różnych uprzedzeniach wychowania i stanu społecznego, a serdeczna jednak bardzo i dobra z gruntu.

Najęliśmy dziś Radwiłowicza na ekonoma. Jest dosyć stary, może safanduła, ale wygląda poczciwie. Może też człowiek z pewną fantazją i narowami, który przeszedł wiele kolei życia, był na wozie i pod wozem, tłukł się przez życie, zmieniał miejsca pobytu, był raniony na wojnie, w ogóle miał życie obfitujące w przygody. Ale tacy ludzie są treściwi i rogaci, ciekawi i niebanalni.

10 czerwca, rok 1938, piątek

Dzień wyjazdu ponownego do Hagi. Ale jeszcze miałem pół dnia na Kowno. Przeleciały mi te wakacyjki czterodniowe jak błyskawica. Miłe mi one były. Rano dziś chodziłem z Jadzią do banków, do biura podróży po bilety, do cukierni na lody. Miałem też jeszcze trochę roboty. Byłem na uniwersytecie, wezwany też byłem do Ministerium Spraw Zagranicznych. Wezwał mię Bizowski, zastępujący ministra Lozoraitisa, który wyjechał z Urbšysem na zjazd ministrów spraw zagranicznych bałtyckich. Bizowski mię wezwał z polecenia Lozoraitisa po to, aby mi oświadczyć, że Litwie bardzo zależy na dobrym wyniku sprawy estońsko-litewskiej w Trybunale Międzynarodowym w Hadze, bo ewentualna przegrana w tej sprawie może wywołać cały szereg innych pretensji podobnego rodzaju, które czekają na ten wyrok. Prosi mię więc Lozoraitis, abym wziął tę sprawę bardzo do serca i był jak najbardziej czynny w Trybunale w obronie tezy litewskiej. Przyznam się, że nie bardzo rozumiem tę prośbę. Że zrobię wszystko, co ode mnie zależy – to się samo przez się rozumie. Co znaczy więc ta prośba? Co to za rodzaj upomnienia, który mi się nie bardzo podoba? Oczywiście za skutek zaręczyć nie mogę. Tam, gdzie zasiada 17 sędziów, tam trudno przewidzieć z góry, jaki będzie wyrok. Tylko ktoś bardzo naiwny i nie pojmujący sądu może dawać takie polecenie. Co do obowiązku mojego – to go spełnię bez prośby ministra. Gotów jestem posądzać, że to Pietkiewicz z Hagi prosił o takie upomnienie mię, zarzucając mi może za małą „gorliwość" w komisji duńsko-litewskiej. W jego zacietrzewieniu wszelki brak zacietrzewienia wydawać mu się może opieszałością. Tymczasem w komisji duńsko-litewskiej ja najenergiczniej broniłem wszystkiego, co mogło być dla Litwy dodatnie. Ale sekciarzom wszystkiego mało. Inaczej jak poduszczeniem albo skargami Pietkiewicza nie umiem sobie tej interwencji wytłumaczyć.

Na obiedzie mieliśmy przed wyjazdem gości: Stefanostwo Römerowie i Diskin. Po obiedzie do wyjazdu ruch wielki w mieszkaniu – pakowanie się, sprzątanie. Bo ja wyjeżdżam do Hagi, a jednocześnie Jadzia – do Bohdaniszek i dom się na wakacje likwiduje. Dobrze w każdym razie, ze Jadzia jest zdrowa, że usposobienie jej służy i że cieszy się na wyjazd do Bohdaniszek. Na dworzec odprowadzili mię: Mackus, Konstanty Raczkowski i Zygmunt Gurewicz. Naturalnie też towarzyszyła mi Jadzia. O godzinie siódmej odjechałem. Ciekaw jestem, na jak długo.

11 czerwca, rok 1938, sobota

Podróż skończona. Jestem w Hadze. Istotnych przygód w drodze nie miałem. Do Berlina, jak zawsze, jechałem w wagonie sypialnym. Na granicy niemieckiej w Eytkunach urzędnik celny niemiecki zaglądał do walizek moich, co mi się rzadko zdarza, gdy jeżdżę za paszportem dyplomatycznym, przyczepił się nawet do papierosów, które znalazł. Wiozę bowiem ze sobą, zresztą niedużo wcale, bo ze 7-8 pudełeczek papierosów litewskich po 10 sztuk w pudełeczku. Formalnie zaś wolno przewieźć przez granicę niemiecką 25 sztuk, nie więcej. Że mam paszport dyplomatyczny – to według słów tego urzędnika nic mię nie usprawiedliwia, bo i dyplomacie nie wolno wieźć więcej papierosów. Wreszcie jednak dał spokój. To drobiazg. Ale nie lubię tych rewizji celnych. Wracając z Holandii wiozę większe rzeczy niż tamte kilka paczek papierosów litewskich i zawsze mi uchodzi. Z Berlina do Hagi podróż mi zeszła nienajgorzej. Obiad zjadłem w wagonie restauracyjnym w okolicach Hanoweru. Za dnia przejechałem granicę holenderską i nawet do samej Hagi za dnia jeszcze dojechałem. Małą przygodę, która mogła jednak ciężej się skończyć, miałem tylko na dworcu w Appeldoorn w Holandii: wysiadłem z wagonu i podszedłem do wózka restauracyjnego kupić coś przekąsić na wieczór, bo w Holandii sprzedają się na dworcach doskonałe kanapki z szynką; nagle pociąg ruszył, popędziłem, by wskoczyć do wagonu, którego drzwiczki były jeszcze otwarte, ale który już się oddalał, dopędziłem jeszcze i nie namyślając się skoczyłem, bo czasu do namysłu nie było; udało mi się, ale z pewnym trudem i tylko z pomocą podróżnych, którzy mię podchwycili i wciągnęli. Mogło się skończyć gorzej.

W hotelu Vieu Doelen w Hadze dostałem pokój nr 44 z wanną, ten sam, w którym mieszkałem przeszło dwa miesiące w roku 1932 za czasów sprawy kłajpedzkiej w Trybunale. Pokoik jest niezły i pełny wspomnień dla mnie, ale wydał mi się mniejszy, niż sobie przypominałem.

W hotelu zastałem dużo listów, które przez ten czas przyszły do mnie. W ich liczbie jest też list od Elwiry. Jest przykry; Elwira nie ustępuje ze swych jakichś bolesnych zastrzeżeń, a co mi jest najbardziej przykre – to, że robi jakieś aluzje i pretensje do Jadzi, jak gdyby to Jadzia mię do Elwiry zniechęcała, co jest fałszem wierutnym. Smutny jest jednak ten list Elwiry; ma ona jakieś pretensje do świata, do ludzi, wszystko widzi w jakimś złym świetle, wszystko i wszyscy są dla niej podli, jest pełna goryczy i złości. Szkoda mi jej, ale widocznie cierpi na histerię i mizantropię, a wszędzie węszy i widzi zło, wszystko i wszystkich o coś posądza i na wszystkie strony kąsa. Obrażając Jadzię, skierowując do niej jakieś insynuacje, zarzuca mnie brak serca dla niej (to znaczy dla Elwiry), zarzuca też pretensję rzekomą do „czołobitności", której rzekomo wymagam, przed czymś mię ostrzega, czymś mię straszy, bliżej nie określając, o co chodzi, sama się czegoś boi, chce uciekać z Bohdaniszek, proponuje mi odkupienie jej własności. Gniewam się na nią, mam do niej żal i żałuję jej. Dlaczego jest ona tak ostra i dlaczego tak boleśnie ludzi rani? Czy nie rozumie, jak bolesne są dla mnie jakieś jej ni to zarzuty, ni to insynuacje względem Jadzi? Tym są boleśniejsze, że Elwira z całej rodziny jest najbliższą sąsiadką moją i że utwierdzenie stanowiska Jadzi w rodzinie mojej jest zadaniem skomplikowanym i delikatnym, które mi ta złość Elwiry utrudnia. Jakże jest niesprawiedliwa Elwira.

Dowiedziałem się po przyjeździe do Hagi w hotelu, że dziś we dnie miało tu miejsce trzęsienie ziemi. Było słabe i wiele osób wcale się nie spostrzegło. Ale niektóre osoby wyczuły i gdy mówiły o tym innym, to z nich żartowano, że się im przywidziało. Tymczasem gazety wieczorem potwierdziły fakt trzęsienia ziemi. W Belgii było ono nawet dosyć silne, w Holandii, w Anglii – słabe. Wyczuto je i we Francji. Chciałbym kiedyś doznać tego uczucia czy wrażenia, jakie sprawia trzęsienie ziemi – byle tylko trzęsienie nie było gwałtowne.

12 marca, rok 1938, niedziela

Od jutra rozpoczyna się nowa praca moja tutaj – sprawa estońsko-litewska w Trybunale Międzynarodowym. Jutro rozpocznie się „*plaidoirie orale*". W stadium obecnym sprawy chodzi nie o jej meritum, jeno o ekscepcje, zgłoszone przez Litwę. Litwa bowiem oponuje przeciwko rozpoznawaniu sprawy na forum międzynarodowym dla dwóch zasad. Po pierwsze z tej zasady, że towarzystwo akcyjne, w którego interesie Estonia sprawę wszczęła, nie było estońskim wtedy, kiedy Litwa wzięła w posiadanie kolejkę wąskotorową Poniewież-Sałduciszki (Syłgudyszki?), o którą się to towarzystwo, jako o własność swoją, upomina. Po wtóre z tej zasady, że towarzystwo nie wytaczało wcale sporu sądowego w tej kwestii w sądach litewskich. Ponieważ obecnie przedmiotem rozpoznania będzie wyłącznie ekscepcja, ekscepcję zaś zgłosiła Litwa, więc w *plaidoirie orale* pierwsze słowo będzie miała Litwa. Jutro więc debiutować będzie Mandelsztam jako agent litewski. Posłałem dziś bilety wizytowe wszystkim sędziom, także sekretarzowi (greffier) Trybunału i jego zastępcy. Zaczynają się też zaproszenia. Prezes Trybunału Guerrero zaprosił na śniadanie na wtorek, wiceprezes (b. prezes) Sir Cecil Hurst zaprosił na wtorek wieczór na „sherry", greffier Hiszpan Lopez-Olivan – na czwartek na śniadanie. Po obiedzie zgłosił się dziś do mnie sędzia narodowy *ad hoc* estoński, Strandman, poseł estoński w Paryżu i działacz polityczny Estonii. Chodziło mu o niektóre informacje co do pracy w Trybunale i stanowisko sędziego narodowego. Nie zna on jeszcze sędziów, mnie zaś zna z roku 1935 z Paryża i wie, że byłem już raz sędzią narodowym w Trybunale.

Dzień dziś był ładny; słoneczny bardzo, ale wietrzny i dosyć chłodny nawet. Byłem w Scheveningen, odwiedziłem też delegację litewską w Wittebug. Poza tym tęskniłem, myślałem o Jadzi i Bohdaniszkach. Choć się tu będzie na dietach zarabiać dobrze, jednak pragnąłbym, aby się sprawa zbytnio nie przeciągnęła. Nie mam najmniejszego przeczucia, jakiego losu doznają ekscepcje litewskie.

13 czerwca, rok 1938, poniedziałek

Rozpoczęła się sprawa estońsko-litewska w Trybunale. Początek był wyznaczony na godzinę 10 min. 15. Zaczęło się od posiedzenia niepublicznego. Komplet sędziów Trybunału zgromadził się

w sali posiedzeń obok sali posiedzeń publicznych. Zastałem tam większość sędziów, znanych mi z roku 1932, wobec których żywię uczucia serdeczne przyjaźni, bez względu nawet na to, czy wtedy głosowali oni na rzecz Litwy, czy przeciwko niej. W Trybunale od roku 1932 zaszły pewne zmiany personalne, ale niezbyt wielkie. Większość sędziów – ci sami, co w roku 1932: Fromageot, sir Cecil Hurst, hrabia Michał Rostworowski, van Eysinga, Negulesco, Guerrero, Urrutia, Altamira, de Bustamante, Anzilotti. Umarli Rolin Jaequemyns, Adatci, Schücking, Kellog. Sędzia Chińczyk Wang, jedna z najtęższych głów prawniczych w Trybunale, ustąpił i jest ministrem spraw zagranicznych w rządzie prawowitym Chin. Prezesem był w roku 1932 nieboszczyk Adatci; Guerrero, który przewodniczył wtedy w sprawie kłajpedzkiej i był wiceprezesem, jest obecnie prezesem. Wiceprezesem jest obecnie sir Cecil Hurst, który był prezesem w ciągu trzylecia po Adatcim. Nowi są sędziowie Japończyk Nagaoka, Chińczyk Chang (Szang) i Belgijczyk Visscher (Flamandczyk z pochodzenia, ale Walończyk z przekonania, człowiek miły i towarzyski, uczony wybitny, którego znam osobiście z roku 1935 z Paryża – poznałem go wtedy na obiedzie u prof. Niboyeta). Jest jeszcze sędzia Amerykanin Hudson, ale ten jest obecnie ciężko chory i nie zasiada. Jedno miejsce w Trybunale wakuje; jest to miejsce niegdyś Schückinga, po którego śmierci zajął je były greffier Szwed Hamarskjöld, który wszakże sam niebawem umarł. Ogółem więc jest sędziów regularnych czternastu, z nich w naszej sprawie bierze udział trzynastu, a z dwoma sędziami narodowymi – Estończykiem Strandmanem i mną – piętnastu. Najbardziej z twarzy się posunęli Fromageot i Urrutia, inni trzymają się nieźle. Trybem przyjętym w Trybunale, sędziowie zasiadają w porządku starszeństwa wieku po prezesie i wiceprezesie. Porządek ten jest taki: prezes Guerrero, wiceprezes sir Cecil Hurst, senior wieku hr. Rostworowski Polak, dalej Francuz Fromageot, Kubańczyk Bustamante, Hiszpan Altamira, Włoch Anzilotti, Urrutia, Rumun Negulesco, Holender van Eysinga, Japończyk Nagaoka, Chińczyk Chang i Belgijczyk de Visscher, po czym dwaj sędziowie *ad hoc* – Strandman jako starszy ode mnie i ja. Prezes siedzi na miejscu naczelnym, mając obok siebie greffiera Lopez-Olivana (na posiedzeniach publicznych greffier ma swoje miejsce stałe na boku, ale u stołu sędziowskiego, na prawo od prezesa wiceprezes, na lewo najstarszy z sędziów, potem znów na prawo drugi, następnie znów na lewo itd., na ostatnich zaś peryferiach zasiadają najmłodsi, znaczy my, sędziowie narodowi *ad hoc*. Posiedzenie było wyznaczone na godzinę 10 min. 30, ale poprzednio odbyło się krótkie posiedzenie powitalne, na którym prezes Guerrero powitał nas, sędziów narodowych. Miałem przygotowaną starannie opracowaną i ładną, dobrze cieniującą stanowisko sędziów narodowych mówkę w odpowiedzi na powitanie prezesa, ale nie zdecydowałem się jej wygłosić, czego następnie żałowałem, ale już było po czasie. Ubrano nas w togi z krzyżami, greffier ustawił szereg w takim porządku, w jakim zasiadać mają u stołu, dał znak woźnemu na salę, który krzyknął sakramentalne: „La Cour!", publiczność powstała z miejsc, po czym pochód uroczysty sędziów w togach wkroczył na salę gęsiego, jeden za drugim wszedł na piedestał i ruszył wzdłuż stołu do swego miejsca. Jako zasiadający na ostatnim miejscu kresowym obok greffiera, szedłem za tym ostatnim jako pierwszy z orszaku sędziów. Piętnastu starców obsiadło stół. Prezes Guerrero zagaił posiedzenie, wywołał sprawę, stwierdził obecność agentów, po czym ogłosił powołanie sędziów narodowych, wymieniając wszystkie tytuły nasze, i wezwał Strandmana i mnie do odczytania uroczystego przyrzeczenia. Po odczytaniu przez nas tekstu przyrzeczenia prezes udzielił słowa agentowi Litwy prof. Mandelsztamowi. Przemówienie Mandelsztama wypełniło oba posiedzenia dzisiejsze, przedpołudniowe i popołudniowe. Ogółem zajęło on przeszło cztery godziny (wraz z tłumaczeniem angielskim, które, jak jest w Trybunale we zwyczaju, było sporządzane na poczekaniu przez niezwykle wprawnych stenografów i tłumaczy i ustępami ogłaszane w przerwach między fragmentami przemówienia francuskiego. Mowa Mandelsztama była bardzo dobra – treściwa, mocno dokumentowana, spokojna w tonie, zupełnie na poziomie powagi „*de la Cour*". Trzeba przyznać, że Litwa ma dobrego agenta i poważnie swoją obronę traktuje. Po skończonym przemówieniu Mandelsztama prezes zwrócił się do agenta estońskiego, profesora barona Nolde z zapytaniem, czy będzie mógł wygłosić swoje przemówienie jutro. Niespodzianką była jego

odpowiedź twierdząca. Liczono bowiem, że Nolde zażąda odroczenia dla przygotowania odpowiedzi na długie wywody mowy Mandelsztama. A więc na początek tempo niezwykle szybkie w Trybunale.

14 czerwca, rok 1938, wtorek

Drugi dzień posiedzeń Trybunału w naszej sprawie estońsko-litewskiej. „*Plaidoirie orale*" barona Borysa Nolde, agenta Estonii. Baron Nolde, jak Mandelsztam, jest emigrantem rosyjskim. Oba młode państwa bałtyckie – Litwa i Estonia – posługują się w tej sprawie doświadczeniem i wiedzą dyplomatów i znawców prawa międzynarodowego starej szkoły rosyjskiej z przedwojennych czasów carskich. Baron Nolde, pochodzący z rodziny niemieckiej, ale całkiem zrusyfikowanej, był przed wojną profesorem w Petersburgu, prawnikiem uczonym znanym, służył też w Ministerium Spraw Zagranicznych w Rosji i w tym charakterze był kolegą Mandelsztama, który też pracował w karierze dyplomatycznej jako młody członek delegacji rosyjskiej na Międzynarodowej Konferencji Pokojowej w Hadze jeszcze w roku 1907 i długoletni pierwszy dragoman Ambasady Cesarskiej Rosyjskiej w Konstantynopolu.

„*Plaidoirie*" barona Nolde zajęło (wraz z ogłaszanym ustępami tłumaczeniem angielskim) dwie godziny do śniadania. Ponieważ na godziny popołudniowe było wyznaczone posiedzenie publiczne Trybunału w innej świeżo zakończonej sprawie dla ogłoszenia wyroku (w przedmiocie ekscepcji także, jak na razie w naszej sprawie), więc dalszy ciąg przemówienia Noldego odroczony został do jutra rana. Przemówienia tak barona Nolde, jak Mandelsztama wczoraj były zupełnie rzeczowe, zupełnie *correcte* względem przeciwnika, kurtuazyjne nawet. Nie było takich wybryków złośliwych i insynuacyjnych, jak np. w przemówieniu agenta duńskiego prof. Sanser-Halla w Komisji Koncyliacji Duńsko-Litewskiej.

Zdaje się, że w tym tygodniu debaty ustne stron będą wyczerpane i że od początku tygodnia przyszłego Trybunał się już zabierze do debat sędziowskich nad wyrokiem. Jest to niewątpliwie najciekawsza, ale zarazem najtrudniejsza i najbardziej nerwująca część pracy. Przypominam sobie tę pracę z roku 1932 ze sprawy o interpretację statutu autonomicznego Kłajpedy. Była to wielka i trudna walka, pełna niespodzianek, które wszakże były w istocie bardzo logiczne ze stanowiska „*mentalité*" tych lub innych sędziów. Ale tej „*mentalité*" i jej poszczególnego reagowania w umyśle każdego z 16 sędziów z góry obliczyć i wywnioskować niepodobna, chociaż *post factum*, ale dopiero *post factum*, wnioski, które się składają na wyrok, okazują się ściśle konsekwentne. W każdym razie, praca to męcząca i kosztująca dużo nerwów, zwłaszcza dla sędziego narodowego, mimo że pozornie jest ona spokojna, rozważna, czysto intelektualna.

W obecnym stadium początkowym rozprawy – w dobie „*plaidoiries orales*" agentów stron, gdy sędziowie jeszcze głosu nie zabrali i gdy każdy z nich dopiero w umyśle i sumieniu swoim chowa tajemnicę swojej opinii, następują akty ceremonialne grzeczności towarzyskiej w gremium sędziów. Dziś były właśnie dwa akty takie. Pierwszym było śniadanie prezesa Guerrero. Prezes zaprosił sędziów i agentów stron na śniadanie do restauracji „De la Paix", mieszczącej się na placu na przeciwko Pałacu Pokoju. Spośród sędziów było niewielu: sir Cecill Hurst, Rostworowski, Urrutia, Anzilotti, Nagaoka, Visscher – oto bodaj wszyscy; naturalnie byliśmy obaj ze Strandmanem, sędziowie narodowi, także greffier Lopez-Olivan i obaj agenci stron – Mandelsztam i baron Nolde. Pań nie było. Siedziałem obok Rostworowskiego. Rozmawiałem z nim naturalnie po polsku. Mamy z nim dużo wspólnych znajomych i w ogóle dużo rzeczy, które nas wspólnie interesują. Lubię tego zrównoważonego i mądrego starca, seniora z wieku w Trybunale, człowieka dobrego i kulturalnego, doskonałej grzeczności. Za drugiego sąsiada miałem barona Noldego, człowieka starej biurokracji carskiej, liberała starej daty, należącego też do kultury europejskiej pełną gębą. Śniadanie było krótkie, ale doskonałe tak co do potraw, jak wina z szampanem na końcu. Nie przeciążyło ono żołądka mego, który jest bardzo wrażliwy na starość przy wielkiej zmianie z domowego trybu jedzenia na restauracyjny, choćby w restauracjach pierwszorzędnych, a szczególnie reagujący na wszelki alkohol.

O godzinie szóstej byliśmy znów zaproszeni na „sherry”, to znaczy na rodzaj rautu z lekką przekąską roznoszoną i winami, do sir Cecil Hursta w jego mieszkaniu z pięknym ogrodem przy Aleksanderstraat. Tu były też panie i oprócz sędziów Trybunału dużo gości z kół dyplomacji i dostojników holenderskich. Tu spotkałem też naszego prezesa z Komisji Koncyliacyjnej Duńsko-Litewskiej, jonkheera van Karnebeeka, prawnika Basdevante z Paryża, który tu bawił jako agent francuski w zasądzonej ogłoszonej dziś właśnie wyrokiem trybunalskim sprawie, robiącego wciąż wstręty Litwie w kwestiach kłajpedzkich, które studiuje jako faktyczny agent dozoru sygnatariuszy Konwencji Kłajpedzkiej. Zabawiłem na tym „sherry” godzinkę i na tym się skończyło.

15 czerwca, rok 1938, środa

Posiedzenie publiczne ranne Trybunału było poświęcone dokończeniu przemówienia agenta estońskiego barona Noldego. Koło południa Nolde skończył mówić. Prezes spytał Mandelsztama, czy chce replikować i czy może to uczynić jutro. Mandelsztam poprosił o udzielenie mu terminu dla repliki do piątku po południu. Prezes wyznaczył posiedzenie dla repliki na piątek rano. Do pojutrze więc czas wolny. Względnie zresztą, bo trzeba się już gotować do *échange préliminaire des vues*, co zapewne wyznaczone będzie na poniedziałek, po duplice barona Nolde. Wtedy wreszcie, w tym *échange*, odsłoni się po raz pierwszy, choć jeszcze może nie definitywnie, rąbek tajemnicy, kryjącej się w głowach sędziów i dotąd nieprzeniknionej. Żaden z sędziów teraz nie ujawni przedwcześnie swojej myśli, zwłaszcza wobec sędziego narodowego, który, zasadnie zresztą, z samej natury rzeczy jest uważany bądź co bądź nie tyle za sędziego w ścisłym znaczeniu słowa, ile za rzecznika tezy tej strony, która go mianowała. Skądinąd sędziemu narodowemu też byłoby zgoła niewłaściwe usiłować wybadać opinię sędziów w przedmiocie sprawy. O tym się między sędziami, a przynajmniej między sędziami regularnymi i narodowymi, w obecnym zwłaszcza stadium sprawy, nie mówi wcale.

Byłem zaproszony przez sędziego Holendra, jonkheera van Eysingę, na śniadanie do restauracji Aujevie, mieszczącej się na Vijverbergen. Byłem już z nim raz tam na śniadaniu w roku 1932. Van Eysinga zaprosił mnie, sędziego narodowego estońskiego Strandmana i obydwóch agentów stron – Noldego i Mandelsztama. W śniadaniu wziął też udział sędzia Japończyk Nagaoka. Trzeba przyznać, że van Eysinga, który zresztą, jako jedyny Holender w Trybunale, jest tu u siebie, w swoim kraju, poniekąd gospodarz krajowy w zespole *par excellence* międzynarodowym cudzoziemców, towarzysko jest ze wszystkich sędziów najgiętszy, najbardziej ekspansywny. Wszyscy inni są bardzo powściągliwi, niełatwi do stosunków cieplejszych i szczerszych, mimo że wszyscy bardzo grzeczni bez zarzutu. Drugi łatwiejszy nieco wydaje się Visscher, ale van Eysinga go przelicytowuje. On jedyny ze wszystkich sędziów witał mię żywo jako dobrego znajomego, inni witali grzecznie, ale bądź co bądź dość sztywno. Może serdeczniej przywitał mię także stary Rostworowski (Rostworowski liczy już 78 lat – piękny wiek! – wygląda wszakże bardzo czerstwo, robi wrażenie o wiele młodszego), ale z Rostworowskim specjalnie zbliżają mię pewne czynniki pozatrybunalskie. Takim ekspansywnym był wobec mnie Eysinga także w roku 1932, co nie przeszkadzało, że był on najaktywniejszym przeciwnikiem moim w sprawie debatowanej w Trybunale. Czy będzie on przeciwnikiem tezy litewskiej także teraz, tego oczywiście nie wiem. Na ogół nie mam do niego zaufania. I muszę przyznać, że jest przeciwnikiem niebezpiecznym i trudnym, bo głowę ma dobrą (mimo że spał na pierwszym posiedzeniu w poniedziałek, gdy przemawiał Mandelsztam, jednak i teraz już dużo z przemówień stron zaobserwował, choć swojego poglądu naturalnie jeszcze nie wyraża); jest też doskonałym polemistą, żadnego szczegółu na rzecz bronionej przez się tezy nie przegapi, jak również nie przegapi niczego, co może osłabić stanowisko przeciwnika, jest niezmordowany w forsowaniu swoich poglądów i argumentów, nie pogardza intrygą, spekulacją, nawet pewnymi subtelnościami akrobatycznymi w walce, nie ustępuje i walczy do upadłego. Może się mylę, ale mam przeczucie, że van Eysinga i w tej sprawie także będzie po przeciwnej stronie, to znaczy będzie walczył przeciwko tezom litewskim. Sympatii do niego nie mam, bo mi wielce dokuczył w roku 1932, ale jego walory prawnika i sędziego międzynarodowego uznaję. Co prawda, był on dziś na tym śniadaniu bardziej kurtuazyjny względem sędziego Strandmana i barona Noldego,

przedstawiających stronę estońską, niż mnie i Mandalsztama, przedstawiających stronę litewską, a u Eysingi kurtuazyjność i pozory przyjacielskie bodajże są proporcjonalne właśnie wrogości jego stanowiska w sprawie. Im bardziej jest w sprawie wrogi, im radykalniej zwalcza, tym poza posiedzeniami jest uprzejmiejszy. Ale instynkt mi mówi, że w tym wypadku będzie on popierał tezy estońskie, mimo że jest dla Estończyków przyjaźniejszy. Nagaoka – typowy Azjata. Słodki, wyrafinowany, grzeczny, wobec wszystkich równy, dyplomata do szpiku kości. Japończyk, który nie robi hałasu, jest zawsze spokojny, ma minę dobrodusznego świętoszka, który nikomu wody nie zamąci i jest Bogu ducha winny, a w gruncie jest kombinatorem zimnym, który ma swoje cele własne i którego żadne sentymenty nie obchodzą. Ten będzie zapewne przede wszystkim ostrożny. Ciekaw jestem poglądów mistrza Anzilottiego, umysłu najoryginalniejszego w Trybunale, subtelnego analityka i wielkiego artysty sztuki prawnej. Interesuje mię też de Bustamante, milczący zawsze jak sfinks, chłodny, którego nic nie wzrusza, ale który w każdej kwestii, w każdym szczególe ma odpowiedź gotową i węzłowatą, jasną jak zwierciadło.

16 czerwca, rok 1938, czwartek

Sezon śniadań. Dziś byłem zaproszony na śniadanie do greffiera Trybunału, Hiszpana Lopez-Olivana, żonatego z Angielką czy Holenderką. Zaproszeni byli: obaj sędziowie narodowi – Strandman i ja, obaj agenci stron – baron Nolde i Mandelsztam i jeden z sędziów stałych Trybunału – hrabia Michał Rostworowski z córką, która tu mieszka przy ojcu, kobietą miłą, dystyngowaną, czyniącą wrażenie osoby bardzo dobrej i ludzkiej, towarzysko bardzo gładką, literacko bardzo wykształconą. P. Lopez Olivan, człowiek lat zapewne niespełna 50, wysoki, chudy, o twarzy hidalga hiszpańskiego, zajął to stanowisko po śp. Hamarskjöldzie i jest, zdaje się, równie biegły i zręczny jak tamten. Stylowy greffier Trybunału, prawa ręka prezesa, dobry administrator i zręczny kierownik doskonałego skądinąd aparatu technicznego tej wysokiej izby. Jest to człowiek kariery dyplomatycznej. Przed objęciem obecnego stanowiska był ambasadorem hiszpańskim w Londynie, ale gdy wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, która obecnie już od dwóch lat się toczy (bodaj jednak że się zbliża do schyłku, bo choć rządowcy czerwoni dzielnie i twardo się bronią, jednak powstańcy-nacjonaliści pod wodzą generała Franco wciąż po trochę zyskują na terenie i już od kilku miesięcy rozbili Hiszpanię rządową na dwa izolowane tereny, jeden – środkowohiszpański, obejmujący Madryt i Walencję, i drugi – stanowiący Katalonię autonomiczną z Barceloną jako stolicą), otóż po wybuchu tej wojny domowej ambasador Lopez-Olivan, z przekonań frankista, jak wielu starych dyplomatów hiszpańskich, zrezygnował demonstracyjnie ze służby prawowitemu formalnie, czerwonemu rządowi Hiszpanii i wtedy objął stanowisko greffiera Trybunału Międzynarodowego w Hadze, stanowisko zresztą wybitne i doskonale płatne. Mieszka też elegancko, zajmując willę w pięknej dzielnicy, ogród między Hagą a Scheveningen w alei Nieuwe Parklaan. W ogóle Holandia, która nie prowadzi wojen, nie zna rewolucji ani kataklizmów społecznych, była neutralna w Wielkiej Wojnie, robiąc znakomite interesy i będąc siedzibą spekulantów i szpiegów międzynarodowych, posiada wspaniałe imperium kolonialne – Holandia jest szczęśliwym krajem dobrobytu, wielkiej stateczności społecznej, równowagi i układu tradycyjnego stosunków. Podczas gdy w krajach nie tylko wschodu europejskiego, ale też całej niemal Europy Środkowej i Zachodniej z wyjątkiem Szwajcarii są ciągłe katastrofy i każde pokolenie doświadcza jakiegoś kataklizmu bądź wojny, bądź rewolucji, powstania, inwazji, okupacji lub jakiegokolwiek innego przewrotu, który burzy wszystko istniejące, po czym znów wszystko od początku zaczynać trzeba i szukać nowego układu stosunków – Holandia, dzieląc w tym względzie los pomyślnie usytuowanej geograficznie Skandynawii, żyje szczęśliwie w spokoju i równowadze, których nie zakłócają żadne kataklizmy. Wszystko tu jest dziś tak, jak było wczoraj i pozawczoraj i jak będzie jutro. Każde pokolenie coś dodaje i nagromadza do tego, co samo odziedziczyło po poprzednim. Bogactwo, dobrobyt życia, trwały układ społeczny, niewzruszoność zwyczajów ustalonych – doskonałe. Hierarchia społeczna, którą podnosi jeszcze dwór królewski w małym kraju, jest tu utrzymywana doskonale. Arystokracja rządowa, dostojnicy państwa i dworu, plutokracja, stan średni, lud – wszystko ściśle

skategoryzowane w tej hierarchii tradycyjnej. A jaki tu komfort życia, jakie urządzenie bogate mieszkań, ile biżuterii – to się o tym u nas pojęcia nie ma. Mieszkania holenderskie przypominają mieszkania dostojników carskich w Petersburgu przed wojną; widziało się też rzadko takie u nas po wielkich dworach pańskich w dobie przedwojennej, przed reformą agrarną, rewolucją i innymi kataklizmami naszego wieku. Jest tu jeszcze kawałek tego świata, któryśmy znali przed wojną, dobrze zakonserwowany i jeszcze stateczniejszy, niż tamten wtedy u nas. Prawda, że Holandia przechodzi też pewien kryzys gospodarczy, że ma spory kontyngent bezrobotnych, że jej handel cierpi na tzw. „autarkię", dominującą w innych krajach, że jej pieniądz został zdewaluowany. Ale to są tylko pewne chmurki na pogodnym niebie dobrobytu i sytości Holandii.

Korzystając z wieczora wolnego, poszedłem do kina „City" na film francuski. Kina tu są dosyć eleganckie, z orkiestrą przed widowiskiem, z obszernymi foyers, wysłanymi dywanami i błyszczącymi od elegancji, z bufetem, z kawą, trunkami i ciastami na sali, można też palić, podczas przedstawienia. Ale miałem wielką mękę w kinie podczas pierwszej części przedstawienia. Mianowicie od kilku lat mam skłonność do reumatyzmu, zwłaszcza w lewym kolanie. Czasem tego nie doświadczam, ale czasem okresami całymi mam kolano i mięśnie dokoła kolana, zwłaszcza bezpośrednio nad kolanem, zbolałe; zbyt męczące to nie jest, bo wystarcza nogę wyciągnąć, aby ból ustał, choć przy naciskaniu mięśni wciąż się odzywa. Ale jeżeli mi wypada siedzieć ciasno, że nie mogę nogi w kolanie rozgiąć i wyciągnąć, to ból szybko wzrasta i staje się niebawem nieznośny. Niskie położenie Holandii, wilgoć sprzyjają widocznie reumatyzmowi, bo w ostatnich czasach ciągle mię to kolano lewe boli. A oto w kinie siedziałem ściśnięty i nogi wyciągnąć nie mogłem, bo obok miejsce było zajęte i przed sobą miałem rząd krzeseł, pod którymi nie ma dla nóg dostępu. Toteż niebawem schwycił mię ból taki, że nie wiedziałem, jak wytrzymać. Pot mię oblał całego, nic nie widziałem na ekranie, a ból był tak przeraźliwy, że chciało się wić i krzyczeć. Ledwie się doczekałem pauzy i przeniosłem się na inne wolne miejsce dalej, obok przejścia, gdzie nogę lewą mogłem wyciągnąć. Boję się, żeby się z tego nie rozwinęły takie bóle artretyzmu czy ischiasowe, jakie Elizka Komoroska ma w kłębie. Straszny to jest ból, tylko dotąd, chwała Bogu, wyciągnięcie nogi natychmiast ból uśmierza. Ale Holandia mi na reumatyzm nie służy.

17 czerwca, rok 1938, piątek

Spać w Hadze kładę się zwykle między godziną jedenastą a północą, ale ponieważ zegar jest tu posunięty o pół godziny naprzód niż u nas, podczas gdy Holandia jest posunięta od nas o parę tysięcy kilometrów na zachód, więc stosownie do słońca w położeniu geograficznym Litwy i Holandii północ formalna tutaj odpowiada naszej godzinie słonecznej zapewne dziesiątej albo tylko trochę więcej. Właściwie u nas zegary się późnią w stosunku do słońca, bo zegary nasze (w Litwie) wskazują czas berliński, gdzie słońce faktycznie wstaje i zachodzi później niż u nas, a ponieważ Holandia jest mniej więcej tyleż odległa od Berlina, co Litwa, tylko w przeciwną stronę, na zachód, więc gdyby tu był przyjęty czas berliński, to zegary w Holandii śpieszyłyby się w stosunku do słońca o tyle, o ile nasze się późnią. A że Holandia posuwa swój czas jeszcze o pół godziny naprzód w stosunku do berlińskiego, więc przyśpieszenie czasu jest tutaj jeszcze większe, niż u nas opóźnienie. Wskutek tego teraz, gdy dzień jest długi, o godzinie dziewiątej wieczorem tu jeszcze dobrze świeci słońce (niestety, rzadko się tylko pokazuje, a nawet o godzinie dziesiątej jest jeszcze dobrze światło, o jedenastej zaś panuje jeszcze zmrok. U nas w Litwie na skutek opóźnienia zegara formalnego wieczór i noc wcześniej zapada. Za to rano tutaj dzień świta późno podług zegara. Północ słoneczna wypada tu znacznie po północy zegarowej. Budzę się rano wcześnie, przed godziną szóstą. Jest jeszcze wczesny ranek. Ruchu na ulicy nie ma. Nie wstaję jeszcze, drzemię. Okna są częściowo otwarte, choć firanki i story spuszczone. Słucham wtedy pięknego gwizdu szpaków. Jedne gwiżdżą w starych drzewach plantacji Voorhout lub nad starym stawem Vijver, a jeden – w paru drzewach małego ogródka w dziedzińcu naszego hotelu Vue Doelen. W świeżej ciszy poranka ten gwizd szpaków jest donośny i szczególnie piękny. Haga – to prawdziwe królestwo szpaków na wiosnę. Pełno tu ich wszędzie – w ogródkach, ogrodach, plantacjach miejskich, parkach, wyspach wśród

kanałów. W ogóle ptactwo w Hadze ma raj. Bardzo dużo ptactwa błotnego, szczególnie rozmaitych gatunków kaczek, najwięcej zaś zwyczajnych kaczek dzikich, które żyją i krążą po wszystkich kanałach, wieczorami latają jak w bagnach Polesia lub jeziorach litewskich, po wysepkach w parku, po zaroślach gęstych się gnieżdżą i ludzi nie lękają, bo krzywdy nie doznają, a nawet są często przez publiczność karmione. Jest gołębi też sporo, no i szpaków co niemiara.

Dziś na posiedzeniu publicznym Trybunału replikował agent litewski Mandelsztam. Replika była dobra. Podniósł kilka nowych względów, które zwróciły uwagę sędziów. Zaglądali do dokumentów, niektórzy nawet coś pisali jedni do drugich na posiedzeniu, praktykując taką pisemną wymianę zdań, potem rozmawiali. Ale co mówili, jakie robili uwagi, czy to było na rzecz tez litewskich czy przeciwko nim – tego nie mogłem dociec. Podsłuchiwać nie mogę, pytać się, informować się, wszczynać rozmowę – sędziemu narodowemu niewłaściwe. Jesteśmy dotąd ze Strandmanem jak ślepcy, ale sami też ze sobą nic do rozmawiania o sprawie nie mamy, bo z konieczności będziemy przeciwnikami. Mandelsztam zakończył swoje przemówienie w posiedzeniu rannym. Jutro będzie jeszcze miała miejsce duplika barona Noldego, po czym „*plaidoiries orales*" będą zakończone i zapewne od poniedziałku rozpocznie się praca samodzielna sędziów. W pierwszym rzędzie – *échange préliminaire des vues*. Wtedy będzie się już można mniej więcej orientować. W każdym razie, zaświta już myśl sędziów, która dotąd jest chowana w tajemnicy sfinksa, o której, przynajmniej wobec sędziów narodowych, się nie mówi wcale. Sędzia Fromageot, który bardzo postarzał i źle wygląda (ma wyraz ascety i męczennika w suchej twarzy o oczach głębokich i jakby natchnionych), przed paru dniami zachorował i nie przychodzi na posiedzenia. Nie był też dziś na posiedzeniu sędzia Altamira. Fromageot niedawno przebył ciężką chorobę. Obawiano się nawet o jego życie. Toteż i teraz jego choroba zaniepokoiła sędziów. Gorączkował nawet trochę. Ale okazało się, że to fluksja, więc, zdaje się, niebezpieczeństwa nie ma. Żałowałbym, gdyby Fromageot uchylił się od udziału w sprawie. Mam zaufanie do jego umysłu i do jego prawości.

Co prawda, zawsze się jeszcze orientuję na sędziów podług tego, jak się oni ustosunkowywali do sprawy kłajpedzkiej. Może teraz ustosunkowanie poszczególnych sędziów będzie inne. Zobaczymy. To ciekawe. Ale Litwie chodzi bardzo o dodatni wynik tej sprawy. Daj Boże!

18 czerwca, rok 1938, sobota

Na ostatnim posiedzeniu publicznym Trybunału, które się dziś odbyło przed obiadem, baron Nolde swoją dupliką zakończył debaty stron. Skończyła się więc pierwsza faza procesu w przedmiocie ekscepcji litewskich i teraz rozpocznie się właściwa praca sędziów, faza najtrudniejsza i najciekawsza. Skończyły się posiedzenia uroczyste w togach, w aureoli areopagu światowego. Odtąd potoczą się posiedzenia zamknięte robocze w pięknej sali Bol. Pierwsze posiedzenie sędziowskie, na którym będzie miała miejsce „*échange préliminaire des vues*", wyznaczone zostało na wtorek rano. Prezes Guerrero projektował je na poniedziałek, ale sir Cecil Hurst, który jest zazdrosny o prerogatywy równorzędności języka angielskiego w procedurze, poprosił o odroczenie do wtorku, aby ci sędziowie, którzy wolą studiować debaty stron w tekście angielskim, mogli to uczynić, gdyż tłumaczenie angielskie ostatniej dupliki barona Noldego będzie dostarczone sędziom z kancelarii Trybunału dopiero w poniedziałek.

Nic jeszcze nie wiem i nie domyślam się, jakie są wrażenia i poglądy sędziów w sprawie. Zdaje mi się, że jednolitości nie będzie. Gdyby się nie okazała żadna większa rozbieżność poglądów, to może procedura zostałaby uproszczona. Ale zapewne okaże się sporo rozbieżności i wątpliwości, które zmuszą do zachowania całej procedury klasycznej, mimo że chodzi na razie tylko o ekscepcje. Ewentualności mogą być trzy: albo przyjęcie ekscepcji i umorzenie sprawy, albo oddalenie ekscepcji i nadanie sprawie biegu normalnego, co by ją odroczyło gdzieś do jesieni lub zimy, albo „*joindre au fond*" ekscepcja, to znaczy relegowanie ich dołączonego rozpoznania z całokształtem sprawy.

Delegacja litewska – Tadeusz Pietkiewicz, Kriwicki, Montwiłł, de Faria-e-Castro, maszynistka – jutro wyjeżdżają do Kowna. Ich rola skończona. Mandelsztam pozostaje jeszcze do środy, a potem wróci jeszcze na ogłoszenie wyroku.

Teraz praca będzie nasza, sędziowska. Znam sytuację sędziów narodowych w Trybunale. Nie jest ona łatwa ani zbyt miła. Sędziowie regularni Trybunału zawsze traktują sędziów narodowych z pewnym zastrzeżeniem, domyślając się w nich *sui generis* agentów stron, wprowadzonych do łona Trybunału. I poniekąd mają rację. Trudno im się dziwić. Toteż argumenty sędziów narodowych w debatach wielkiej mocy przekonywającej nie mają, choćby same w sobie były mocne i treściwe; w każdym razie nie mają one tego autorytetu, co mają argumenty i przemówienia sędziów regularnych. W tym, co mówi sędzia narodowy, można zawsze się domyślać pewnej spekulacji, czegoś niedomówionego albo przejaskrawionego, czegoś bądź co bądź sztucznego i podporządkowanego pewnej intencji stronnej. To jest czasem przykre, ale nieuniknione. Za to Trybunał ceni bardzo wszelkie informacje rzeczowe, udzielane przez sędziów narodowych, co do instytucji krajowych i prawa krajowego. Są to bowiem elementy użyteczne nieraz dla Trybunału i takie, których udzielać może właśnie sędzia narodowy, podczas gdy dla samego wyrokowania można się właściwie obejść bez niego. Bo Trybunał ma w swoim łonie dosyć głów światłych. W szczególności też Trybunał unika zawsze takiego wypadku, w którym większość w jakiejkolwiek decyzji, choćby poszczególnej, była przesądzona głosami sędziów narodowych.

19 czerwca, rok 1938, niedziela

Wykończyłem szkicowanie moich myśli do wypowiedzenia we wtorek na „*échange préliminaire des vues*". Szkic gotowy, ale jest za długi do odczytania w tym epizodzie procedury. Postaram się go jeszcze jutro streścić i skondensować, aby się nim posługiwać jako notatką przy wykładaniu mojego poglądu, nie odczytując z rękopisu dosłownie. Ale w każdym razie szkic dzisiejszy będzie mi mógł służyć, jako kanwa do mojej „*note individuelle*" na piśmie, gdy – zapewne już w nadchodzącym tygodniu – przyjdzie pora na redagowanie tych „*notes*". Do mojej „*note*" trzeba będzie zresztą, oprócz tego szkicu, że tak powiem, apriorycznego, wciągnąć także różne obserwacje w stosunku do różnych myśli, zastrzeżeń i zagadnień, które zostaną podniesione przez sędziów w toku wtorkowego „*échange des vues*". Rozpocznie się robota intensywna i czynna, o ile tylko nie ujawni się niezwykła zbieżność poglądów sędziów, która może uczynić zbyteczną tę procedurę klasyczną „*notes*" i kwestionariusza.

Pracowałem więc dziś w hotelu do godziny czwartej po południu. Potem poszedłem do ogrodu zoologicznego. Lubię oglądać i obserwować zwierzęta. Mam dla nich sympatię. Wydają mi się braćmi moimi, nie wyłączając wielkich drapieżców, które, acz okrutne w zdobywaniu pokarmu żywego, są jednak dobroduszne i naiwne w swoim środowisku własnym, w każdym razie nie gorsze od ludzi.

Źle śpię w nocy tymi dniami. Nerwuje mię mój zatarg z Elwirą. Choć sprawiła mi ona wielką przykrość swoim drapieżnym ustosunkowaniem się do mojego małżeństwa, ale i mój list w odpowiedzi do niej był może nieco za ostry osobiście, mimo że był gorący i szczery. Właściwie i ona biedaczka jest znerwowana, a i z natury jest zaczepna i nieposkromiona. Jest u niej tło histeryczne psychiki. Ma też jakąś manię prześladowczą. I sama się gniewa i napada, i uważa siebie za ofiarę zawsze. Przekonać jej niepodobna, ale szkoda mi jej. Nie jest ona szczęśliwa biedaczka. Mam też wrażenie, że u podstawy jest cicha, ale twarda robota Helci, która Elwirę nastraja. Elwira jest pod wpływem córki, a ta jest mściwa i zła mimo pozory świętości. Kapryśna jest, zaciekła, podejrzliwa. Jeżeli zostanie starą panną, będzie okropna. Elwirę żałuję i kocham ją. Co prawda, gdy pomyślę, ile mi ona szkodzi i jak mię obgaduje – bodajże i Jadzię – i w słowach, i w listach, to mię gniew wielki porywa, ale potem żałuję jej i męczę się tą rozterką. Śnię Elwirę często, wtedy się budzę znerwowany i nie mogę spać. Wiem, że Elwira mi wyrządza krzywdę, ale niepodobna jej tego wytłumaczyć, bo rozumie ona tylko to, co jest na jej korzyść, a co sama złego robi, tego nie czuje i nie umie zrozumieć, jak wszystkie histeryczki, tak że wtedy aż złość bierze na taką gruboskórność jednostronną. Znerwował mię też list Hektora Komorowskiego, który uważa się w prawie jakimś tonem mentorskim morały prawić. Był on w Bohdaniszkach i w jego morałach poznaję nagadanie Elwiry. Hektor w ogóle jest nieznośny przez tę swoją manię moralizatorską. Jest płytki właściwie i

głupi, o wiele płytszy i mniej subtelny od Julka i pozuje na arbitra moralności i zasad. Jest to miernota wcielona, gęś, która orłów cnoty i zasady uczy. A sam społecznie mało wart, osobiście też niewiele, dla żony jest niesprawiedliwy i brutalny, w moralności też nigdy wzorowy nie był za młodu. Jest to typowy faryzeusz i zero obłudne.

20 czerwca, rok 1938, poniedziałek

Jutro więc ciekawy i poniekąd decydujący dzień w naszej sprawie. Myśl sędziów, ukryta w ich głowach i sumieniach, nieprzeniknionа dotąd, zacznie wywnętrzać się i promieniować. Jaką ona jest – nic nie wiem. Boję się zgadywać. Oczekiwanie tego jutra trochę mię nerwuje i porusza. Taka sprawa daje jednak silne i męczące nerwy wrażenia. Jeżeli się ujawnią większe rozbieżności w opiniach sędziów, to momentów nerwujących będzie jeszcze dużo. W sprawie kłajpedzkiej w roku 1932 byłem w ciągłym naprężeniu nerwów przez cały czas debat sędziowskich aż do wyroku – przez całe bite dwa miesiące.

Boże, błogosław Litwie! Miej jej sprawę w opiece. Może ktoś inny pragnie i prosi Cię o to przeciwko Litwie na rzecz Estonii. Nie dlatego tylko proszę i pragnę błogosławieństwa Boskiego i sprawiedliwego natchnienia sędziów, że ja jestem z ramienia Litwy i że sprawa litewska jest mi bliższa i że także moje osobiste stanowisko w Litwie zyska na tym, że Litwa sprawę wygra, jeżeli to z umysłów i sumienia sędziów wypłynie, ale też dlatego, że w przekonaniu moim sprawa litewska jest czysta i że sprawiedliwość i słuszność są po jej stronie, bo to, czego broni i czego się domaga przeciwko Litwie Estonia, to jest interes bandy spekulantów, którzy naciąganymi kombinacjami usiłowali sobie stworzyć sztuczne tytuły do upominania się o dobro, które nie należy do nich, i do zysku kosztem Litwy pod pretekstem kontynuowania towarzystwa, które w istocie nie istnieje. Jest to właściwie brudny spekulacyjny geszeft grona żarłocznych rycerzy zysku, którego broni Estonia. Boże, błogosław Litwie. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Prośba ta idzie z serca mego, które jest sercem niedowiarka. Ale może mam głębszy zmysł religijny, niż wierni synowie kościołów i bogobojni katolicy, za jakiego się oczywiście nie mam, bo mój zmysł religijny i wyczucie Boga nie są katolickie.

Jutro mi pokaże oblicze Trybunału.

Pracowałem dziś dużo. Rano do południa siedziałem w moim gabinecie w Pałacu Pokoju. Napisałem tam długi list do Elwiry. Zaproponowałem jej pojednanie, starałem się przemówić do niej serdecznie, wykazać całą jałowość i przykrość naszego zatargu, nie mającego żadnego sensu i żadnej racji bytu, wnoszącego niesnaskę tam, gdzie chodziłoby o pogodę i o trochę więcej słoneczności. Postawiłem jej jednak cały szereg pytań, dałem jej wykładnię mojego sumienia i charakteru, który może grzeszy dumą, ale nic nie ma z pragnienia „czołobitności”, jak ona wyobraża. Pytania, które jej postawiłem, przeznaczyłem nie dla nowej odpowiedzi na nie, z której by się znowu wysnuły nowe zarzuty i nowa wojna słów i krzywd wzajemnych bez końca, ale tylko dla własnego jej rozważenia w sobie. Zobaczę, czy mi odpowie pojednaniem.

Potem pojechałem na śniadanie (czy obiad?, bo innego obiadu nie jadam) do Scheveningen do pięknej restauracji kurhauzu z widokiem na morze. Byłem jeszcze na herbacie w kiosku Peera na pomoście na morzu, w jednym z wielkich magazynów na plaży kupiłem krawaty i parę szalików pięknych na prezenty oraz dosyć ładną oryginalną bluzkę ciepłą dla Jadzi i chciałem jej kupić jeszcze piękne „marabout” białe z puchu ptasiego na eleganckie okrycie wieczorowe, ale się z tym jeszcze wstrzymałem, bo drogie. Potem wróciłem do Pałacu Pokoju i w gabinecie moim pracowałem nad streszczeniem (skrótem) wykładni mojej „*vue préliminaire*” na jutro. Nie bardzo mi się udało skrócić i zapewne jednak będę czytać w przemówieniu moim, bo w polemicznym przemówieniu potrafię improwizować po francusku, ale w wykładni podstawowej boję się improwizowania francuskiego. Dokończyłem jeszcze tę pracę później w domu, to znaczy w hotelu. Jestem właściwie gotów, choć może wypadnie mi jeszcze coś w tym szkicu dodać, usunąć lub zmienić zależnie od treści przemówień innych sędziów, którzy przemawiać będą przede mną. O ile bowiem wiem z roku 1932, w „*échange des vues*” przede wszystkim przemawiają ci, co się sami zechcą zapisać do głosu, a gdy

już nikt nie jest zapisany, prezes sam udziela głosu każdemu sędziemu, bo wszyscy bez względu się wypowiedzieć muszą. A więc do jutra.

21 czerwca, rok 1938, wtorek

Decydujący dzień. Nie wypadł on dobrze, ale ostatecznie ciężkiego nic i nieodwołalnego jeszcze nie ma. Wrażenie jednak pozostało mi złe. Co prawda, zawsze było do przewidzenia, że ekscepcje preliminarne, przerywające sprawę, jakie w obecnej sprawie Litwa wysunęła przeciwko skardze Estonii, nie będą, a przynajmniej mogą być przez Trybunał nieuwzględnione. Już nawet we własnej mojej niewielkiej praktyce sędziego narodowego w tym Trybunale miałem taki precedens. W spawie kłajpedzkiej w roku 1932 Litwa też była wytoczyła ekscepcję preliminarną co do dwóch punktów skargi. I choć ostatecznie *in merito* sprawę wygrała, jednak ekscepcje były odrzucone. Pamiętam, jak wtedy, gdym był uchyleniem ekscepcji zmartwiony i nieco przygnębiony, sędzia Rostworowski, który był jednym z tych dwóch jedynych (oprócz mnie samego), którzy głosowali na rzecz ekscepcji (drugim był dziś nieżyjący Rolin-Jaequemyns), uspakajał mię, mówiąc, że to nic jeszcze nie przesądza i że Trybunał w ogóle nie lubi ekscepcji preliminarnych. Nie lubi ich po pierwsze dlatego, że w ogóle pośrednio zwracają się one przeciwko jego mocy rozpoznania sprawy. Po drugie, nie lubi dlatego, że uwzględnienie ekscepcji zwykle wymaga wypowiedzenia się co do jakiejś zasady, czego Trybunał unika; nie lubi on stwierdzania zasad kategorycznych, bo mu się to wydaje nieopatrzne i zbyt wiążące na przyszłość – kategoryczne. Woli wypowiadać się ściśle *ad hoc* – „*en espice*", w aspekcie konkretnym pewnej sprawy w okolicznościach *rebus sic stantibus*. Choć inni z tych decyzji okolicznościowych wyciągają zasady, to jednak sam Trybunał, będąc ostrożny w tak odpowiedzialnej i jedynej na świecie jurysdykcji, woli trzymać się ram okolicznościowych. Po trzecie wreszcie, działa może także wzgląd ten, że Trybunał, mający zawsze mało spraw i bojący się zostać bez żadnej sprawy, nie ma wielkiej ochoty umarzać będącą w toku sprawę dla jakiejś ekscepcji. To jest zresztą może tylko wzgląd psychologiczny podświadomy. A zresztą ekscepcję jako taką można odrzucić, a sprawę zasądzić na rzecz zgłaszającego ekscepcję. Jedno drugiego nie wyklucza.

Ale muszę się zaraz zastrzec. Nie zaszło dziś nic takiego, co by stanowiło lub przesądziło oddalenie ekscepcji litewskich w obecnej sprawie, ani w bieżącym stadium procesu, ani w przyszłym. Jedyne, co zostało przesądzone wyraźnie – to, że w obecnym stadium ekscepcje te nie będą przyjęte ani nawet rozważane. Przesądzone zostało tylko ich „*joindre au fond*" – to znaczy odesłanie rozpoznania tychże do tej fazy procesu, kiedy strony wypowiedzą się całkowicie *in merito* sprawy i kiedy Trybunał będzie miał przed sobą całkowity obraz całej sprawy w samej istocie jego ze wszystkimi elementami faktów i względów prawa. Nie zostało nawet i nie będzie w obecnym stadium przesądzone, czy wtedy argumenty, wysunięto w tych ekscepcjach, Trybunał rozpozna jako właśnie ekscepcje, jak tego żąda Litwa, czy też tylko jako zwyczajne merytoryczne środki obrony, jak tego życzy Estonia.

Posiedzenie zaczęło się o godzinie 10 minut 30 rano. Trybunał był w komplecie. Stawił się nawet schorzały Fromageot, człowiek umierający, któremu niedużo już życia zostało. Prezes Guerrero, otwierając posiedzenie i wzywając sędziów do zabrania głosu w *échange préliminaire des vues*, uczynił z góry jedno zastrzeżenie, zgłoszone przez prezydium (zapewne z inicjatywy mądrego i bardzo miłego sir Cecila Hursta, obecnego wiceprezesa, poprzedniego prezesa Trybunału, który jest, zdaje się, *spiritus movens* prezesa Guerrero): czy Trybunał nie uważa, że przed wypowiedzeniem się w przedmiocie treści ekscepcji preliminarnych Litwy należałoby może wpierw wypowiedzieć się i zadecydować, czy nie zachodzi potrzeba relegowania tych ekscepcji do meritum sprawy („*joindre au fond*"). Rozpoznawanie bowiem treści ekscepcji spowodowałoby może z konieczności pewne dotykanie istoty sprawy, co byłoby niewłaściwe i nie zupełnie *corrècte* w obecnym stadium procesu, gdy strony nie wypowiedziały się jeszcze co do całokształtu sprawy, zwłaszcza gdyby potem Trybunał doszedł do przekonania, że jednak ekscepcje należy relegować. Czy więc nie lepiej byłoby na razie ograniczyć dyskusję do tej pierwszej i jedynej na razie kwestii – „*joindre au fond*" czy nie, i

dopiero zabrać się do debat w przedmiocie treści i wartości ekscepcji dopiero wtedy, gdy i o ile Trybunał uzna, że należy je rozpoznać niezwłocznie. Właściwie ja także myślałem zawsze, że to jest kwestia pierwsza, choć nie myślałem, że będzie wydzielona w osobną dyskusję. Dwóch tylko sędziów zaoponowało przeciwko temu wnioskowi – Anzilotti i van Eysinga. I jeden, i drugi domagali się kategorycznego i niezwłocznego rozpoznania ekscepcji i odrzucenia tychże. Ale to, o co każdemu z nich chodziło, było wielce różne. Van Eysindze, który znów, jak w sprawie kłajpedzkiej, zamanifestował się jako gwałtowny i zasadniczy wróg tez litewskich w sprawie, chodziło o odrzucenie ekscepcji i skończenie raz na zawsze z tymi obu kwestiami, które w tych ekscepcjach zostały poruszone. Anzilotti miał na względzie zgoła co innego. Odmawiał on tym ekscepcjom charakteru ekscepcji preliminarnych i chciał, żeby Trybunał to stwierdził niezwłocznie, ale uznawał, że to, co Litwa zgłosiła pod formą ekscepcji, stanowi bardzo ważne i istotne środki obrony *in merito*, które jako takie powinny być zarezerwowane do czasu rozpoznawania samej istoty sporu w całokształcie, czego Eysinga właśnie nie chciał, żądając wyeliminowania zupełnego tych kwestii. Wniosek prezesa natomiast zmierzał do tego, aby ekscepcji i ich wartości, a nawet kwestii, czy są one kwestiami „*prealable*” czy nie, nie tykać na razie wcale, relegować je takie, jakie są, *ad meritum* rozprawy. Prezes zarządził krótką konsultację wszystkich sędziów w kwestii wniosku prezydium: czy zacząć od dyskusji wyłącznie nad kwestią „*joindre au fond*”, czy też przystąpić do rozpoznania ekscepcji. Wszyscy sędziowie prócz dwóch powyższych wypowiedzieli się na rzecz wniosku prezesa.

22 czerwca, rok 1938, środa

Wracam do wczorajszego „*échange préliminaire des vues*” w Trybunale. Gdy ogromną większością sędziów przeciwko dwom (Anzilotti i van Eysinga) przyjęty został wniosek prezydium o tym, żeby ograniczyć na razie dyskusję li tylko do kwestii, czy należy już teraz rozpoznać ekscepcje litewskie, czy też je odesłać do rozprawy *in merito*, prezes zarządził „*échange des vues*” w tej jedynej kwestii, udzielając każdemu z sędziów po kolei głosu dla wyrażenie swojej opinii, która formalnie i teoretycznie nie musi być jeszcze ostateczną. Faktycznie jednak te opinie, acz jeszcze będące formalnie prowizoryczne, dają już zawsze pewien obraz przynajmniej tendencji. Podług reguł i tradycji, tak głosowanie, jak wypowiadane się sędziów w tych razach, kiedy jest nie dowolne, ale konieczne, postępuje od „najmłodszego” rangą i kończy się na prezesie. Rozpoczynać więc musiałbym ja jako młodszy wiekiem spośród dwóch sędziów narodowych, którzy jako tacy są „młodsi” rangą od sędziów regularnych (stałych). Prezes wszakże zaproponował zacząć od sędziów stałych, żeby sędziom narodowym, jako „mniej obeznanym” z procedurą, „ułatwić” wzięcie udziału w „*échange*”, gdy już usłyszą, jak to robią starsi. Rozpoczęło się więc od de Visschera, sędziego młodszego, ale jednej z tęższych głów w Trybunale. Do przerwy śniadaniowej wypowiedziało się siedmiu sędziów: de Visscher, Chang, Nagaoka, van Eysinga, Negulesco, Urrutia i Anzilotti. W ich liczbie tęgie głowy są trzy: Visscher, van Eysinga i Anzilotti. Chińczyk i Japończyk – Chang i Nagaoka – sprawili na mnie wrażenie niezbyt silnych głów, zresztą trudno sądzić z jednego i to dosyć ograniczonego co do przedmiotu przemówienia. Zresztą o Chińczyku Changu w ogóle trudno było wyrobić jakiekolwiek wrażenie, dlatego że w ogóle nic właściwie nie powiedział. Chińczyk Chang po francusku prawie nie mówi i rozumie, zdaje się, tylko piąte przez dziesiąte. Przemawia sam po angielsku, a ponieważ na posiedzeniach sędziowskich wszyscy inni sędziowie, nie wyłączając Anglika sir Cecila Hursta, przemawiają po francusku i byłoby niedogodne dla jednego sędziego wszystko tłumaczyć każdorazowo na angielski, ale ponieważ skądinąd język francuski i angielski są w Trybunale równouprawnione i każdy z sędziów może żądać tłumaczenia na ten z dwóch języków, który mu jest bardziej zrozumiały, więc robi się na posiedzeniach sędziowskich w Trybunale tak, że za krzesłem sędziego Changa siedzi stale urzędnik Trybunału, tłumacz biegły, który mu cały czas szepcze do ucha w tłumaczeniu angielskim to, co ktoś z przemawiających mówi po francusku. Gdy zaś Chang przemawia po angielsku, to się to tłumaczy natychmiast głośno na francuski, ale widocznie Changowi orientowanie się sprawia przez to pewną trudność. Widocznie też

nie bardzo zrozumiał istotę przyjętego poprzednio wniosku prezesa o niewypowiadaniu się na razie co do wartości ekscepcji litewskich i gdy przyszła na niego kolej, zaczął odczytywać swoją opinię z przygotowanego zawczasu rękopisu. Choć nic nie zrozumiałem, bo to było po angielsku, ale musiało to być właśnie co do treści tych ekscepcji, bo prezes mu przerwał i zrobił uwagę, że postanowiono tej kwestii nie tykać. Wtedy Chang, stropiony i zapewne nie bardzo wiedząc, o co chodzi i co ma zaimprowizować, oświadczył krótko, że się przyłącza do tego, co powiedział Visscher. Nie sądzę jednak, żeby go można było śmia zaklasyfikować do rzeczników koncepcji Visschera, bo zapewne Chang wybrał Visschera tylko dlatego, że Visscher jedyny przed nim przemawiał, więc nikogo innego wybrać dla przyłączenia się do jego opinii nie miał. Z tych siedmiu sędziów, którzy przemawiali na posiedzeniu rannym, trzech – Visscher (chociaż z małym zastrzeżeniem co do jednej z dwóch ekscepcji litewskich, Negulesco i Urrutia – chociaż ostatecznie wypowiedzieli się za „*jonction au fond*”, jednak stwierdzili dosyć kategorycznie, że w ich pojęciu są to właśnie ekscepcje preliminarne, tak jak je Litwa zgłosiła, nie zaś tylko zwyczajne środki obrony merytorycznej. Ich więc opinie miały cechy raczej sprzyjające tezom litewskim, przynajmniej prowizorycznie. Do tych trzech załączam też czwartego – Anzilottiego, który choć zaprzeczał charakterowi preliminarnemu ekscepcji i chciał nawet, aby były one oddalone zaraz jako ekscepcje preliminarne, jednak uznał je za bardzo istotne środki merytoryczne obrony, które muszą być rozpoznawane *in merito* sprawy. Dodał nawet bardzo trafną i mocną mowę, że niewyczerpanie dróg jurysdykcji krajowej przez towarzystwo estońskie „Esimene”, z czego Litwa usiłuje ukuć drugą ekscepcję swoją, czyni, gdyby to było stwierdzone, brak wszelkiego delektu międzynarodowego, przeciwko któremu można by było wnosić skargę do instancji międzynarodowych. Jest to właśnie teza litewska, której siłę Anzilotti podniósł, choć ją uważa za środek obrony merytorycznej jako skierowany nie do zaszachowania procesu, jeno do oddalenia skargi. Anzilottiego stanowisko też więc uznałem za dodatnie dla tez litewskich. Miałem więc na siedmiu czterech. Nie mogąc nigdzie zaklasyfikować Changa, miałem dotąd na stronie przeciwnej, której wyraźnie się przeciwko tezom litewskim wypowiedzieli (zresztą nie przesądzając jeszcze tezy zasadniczej merytorycznej, która dopiero w drugim stadium przyjdzie) tylko dwóch – Nagaokę, który kategorycznie odmówił cech preliminarnych ekscepcjom litewskim i w ogóle dosyć lekceważąco je potraktował, i zaklętego wroga Litwy we wszystkich okazjach van Eysingę, który, jakem już wczoraj w dzienniku wspominał, chciał rozpoznawania ekscepcji litewskich zaraz i żądał oddalenia ich radykalnego, nie relegując ich wcale do meritum sprawy, jako w ogóle nic nie wartych argumentów, nie mających żadnej wartości środków obrony. Byłem więc, mimo zarysowującej się jaskrawie tendencji na rzecz relegowania tych ekscepcji (wbrew żądaniu Litwy natychmiastowego ich rozpoznania i od razu uwzględniania) – dobrej myśli. Tezy czterech sędziów na siedmiu były na ogół raczej dodatnie i tylko dwie ujemne, jedna zaś – Changa – nieokreślona. Uważałem, idąc na śniadanie, że sprawa stoi nieźle i że „*jonction au fond*” nie przesądza jeszcze bynajmniej klęski, jeżeli taka linia się utrzyma. O popołudniowej wczorajszej sesji „*échange*” powiem jutro. Ta była jednak nieco gorsza i sprawiła na mnie wrażenie ujemne, które mię nawet nieco przygnębiło na razie.

23 czerwca, rok 1938, czwartek

Druga miesięcznica naszego małżeństwa z Jadzią. Znowu, jak po upływie pierwszego miesiąca, jesteśmy rozdzieleni. Więcej byliśmy ze sobą przed ślubem, niż po ślubie. Ale to się prędko skończy. Zaczynam jednak być niespokojny, że długo nie mam listu od Jadzi. Jutro dwa tygodnie, jak rozstaliśmy się w Kownie ponownie i tylko jeden list od niej dotąd miałem z Bohdaniszek, podczas gdy ja dziś do niej wysłałem piąty.

Wracam do „*échange preliminaire des vues*” pozawczoraj. Na posiedzeniu popołudniowym wyrazili swoją opinię wszyscy pozostali sędziowie w takiej kolejce: Altamira, de Bustamante, Fromageot, hrabia Rostworowski, ja, Strandman, sir Cecil Hurst i Guerrero. Wszyscy oprócz mnie oświadczyli się za „*jonction au fond*”. Nie to na mnie sprawiło wrażenie przykre, ale to, że w niektórych wypowiedzeniach się – Altamiry, Rostworowskiego, poniekąd Guerrera – wyczułem

pewną nutkę krytyki merytorycznej czy nawet niechęci do tez, stanowiących te ekscepcje. Co do Altamiry, to mnie mniej obeszło. Zabolały mię więcej słowa Rostworowskiego i Guerrera. Rostworowski, który był mocnym rzecznikiem tez litewskich w sprawie kłajpedzkiej, teraz zdaje się był do tez litewskich usposobiony ujemnie. W swoim przemówieniu wykroczył on poza granice kwestii debatowanych i dał kilka uwag, które dotyczą samej wartości merytorycznej przedmiotu tych ekscepcji, co nie powinno było być poruszane. W tych uwagach podkopał on mocno te tezy. Co prawda, o ile chodzi o tezy pierwszej ekscepcji, to muszę przyznać, że krytyka jego jest dosyć zasadna i że w istocie ja sam podnosiłem te wątpliwości w rozmowach z Pietkiewiczem i Kriwickim. Dotknął i uwydatnił on słabe strony tej tezy. Formalnie nie powinien był w tym stadium tego robić, bo było postanowione merytorycznie ekscepcji nie ruszać, tylko wypowiedzieć się na rzecz bądź ich rozpoznawania, bądź relegowania do istoty sprawy. Ale to wypowiedzenie dało mi pewne wrażenie, że Rostworowski skłonny jest do zajęcia na ogół pozycji estońskiej. Żałowałbym tego. Co do mnie, ja sam mam wątpliwości co do ekscepcji litewskich, po pierwsze co do tego, czy są to istotnie ekscepcje preliminarne (w tym względzie przekonywujące są dla mnie opinie Anzilottiego i Bustamantego, choć, jako sędziemu narodowemu, trudno mi to przyznać), a po drugie, w stosunku do pierwszej ekscepcji mam wątpliwości poważne w ogóle co do jej argumentów i wniosków i w tym względzie w głębi przekonania mego bliski jestem opinii Rostworowskiego. Chodzi o to, że mi się wydaje, iż momentem, w którym towarzystwo „Esimene" może upatrywać pogwałcenie praw swoich, jest nie tyle moment objęcia przez Litwę kolejki poniewieskiej w posiadanie, jak to twierdzi Litwa, jeno raczej moment odmowy Litwy na reklamację towarzystwa „Esimene", co już miało miejsce nie w roku 1919, lecz w latach 1923-1925, kiedy „Esimene" istniało jako towarzystwo estońskie, a więc nie było zmiany poddaństwa po tym fakcie. Fromageot wypowiedział się bezbarwnie. Oświadczył się za relegacją ekscepcji, ale nawoływał do wszelkiej ostrożności i do uniknień wszelkiego wdawania się w kwalifikowanie obecne tych ekscepcji jako bądź preliminarnych, bądź stanowiących środki obrony merytorycznej. Sir Cecil Hurst, jedna także z tęgich głów, bardzo staranny i subtelny sędzia, oświadczył się jak inni, za relegowaniem ekscepcji, ale nie mówił nic o ich charakterze i tylko uczynił uwagę, że jest bardzo prawdopodobne, iż w stadium merytorycznym, do którego ekscepcje będą odesłane, nie meritum je pochłonie, ale one właśnie zatopią meritum.

Muszę przyznać, że najciekawsze, prawniczo niewątpliwie najmocniejsze i w gruncie rzeczy nie zwrócone wcale przeciwko Litwie ani również przeciwko Estonii, nic zgoła ani *in merito* zatargu, ani co treści argumentów, określonych przez Litwę jako ekscepcje preliminarne, chociaż kategorycznie zaprzeczające charakteru preliminarnego tych ekscepcji, były opinie dwóch najlepszych prawników Trybunału – Anzilottiego i Bustamantego. Obaj właściwie dali wyraźną i ścisłą koncepcję ekscepcji preliminarnej. I zdaje mi się, że mają rację. Ekescepcją preliminarną byłaby taka, która przeszkadza biegowi procesu, ale nie odrzuca i nie dotyka samego prawa strony powodowej. Jeżeli konsekwencją jest oddalenie skargi dla stwierdzonego braku prawa – to jest to nie ekscepcja preliminarna, jeno środek obrony merytoryczny. Bustamante to stwierdził w stosunku do pierwszej eskcepcji litewskiej, która, gdyby była przyjęta, odbierałaby Estonii samo prawo do protegowania międzynarodowego rzekomo poszkodowanego towarzystwa „Esimene" jako nie będącym, podług twierdzenia litewskiego, towarzystwem estońskim w chwili, kiedy nastąpił fakt rzekomego uszczerbku. Byłaby to nie przeszkoda procesualna, ale z konieczności oddalenie skargi jako pochodzącej od osoby, nie mającej praw do skargi. A to jest wyrokiem merytorycznym. Co do drugiej ekscepcji, to Bustamante co do niej się nie wypowiada, ponieważ uważa, że ona w ogóle jest subsydium tylko w stosunku do pierwszej, a więc nie może być osobno traktowana. Anzilotti natomiast wypowiada się także co do drugiej. Rozumuje on tak. Jeżeli stosunek prawny, który służy za podstawę reklamacji, ulega, jak twierdzi Litwa, właściwości sądów krajowych, to uchybienie międzynarodowe może nastąpić tylko przez taką winę tych sądów, które stanowi to, co się nazywa *déni de justice*. Dopóki sądy krajowe nie wypowiedziały się – nie mogło być *déni de justice*, a więc nie mogło być uchybienia międzynarodowego, przeto skarga międzynarodowa byłaby w takich

warunkach pozbawiona zasady prawnej i jako taka musiałaby być oddalona. I tutaj przeto jest nie ekscepcja międzynarodowa, powodująca przeszkodę do biegu procesu, ale środek merytoryczny obrony, skutkujący oddaleniem skargi.

Koncepcja Anzilotti-Bustamante jest dla mnie dosyć przekonywująca. Wszakże moja pozycja jako sędziego narodowego utrudnia mi jej przyjęcie. To jest właśnie to *sui generis* przekleństwo tego stanowiska. Sędzia narodowy – to ani ryba ani mięso: ani sędzia w całkowitym znaczeniu tego pojęcia, ani wyłącznie rzecznik jednej ze stron. Trochę z jednego i trochę z drugiego. Nie może on iść ściśle i wyłącznie za głosem swojego przekonania prawniczego i sędziowskiego, jeżeli to może kompromitować nie tylko interes, ale nawet „*prestige*" jego strony narodowej, wypowiadając się przeciwko temu, przeto obalając to, co ta strona w obronie swojej, choćby mylnie, zbudowała. Byłoby to bowiem kompromitowaniem tej strony, podkopywaniem jej, że oto nawet jej sędzia narodowy zmuszony był głosować przeciwko jej tezom. Paskudne to stanowisko. Wolałbym więcej tej funkcji nigdy nie przyjmować. Litwa może, zdaje się, równie dobrze posługiwać się dla takiej funkcji Zauniusem, który i po francusku dobrze mówi, i jest prawnikiem. Dla dyplomaty to nie byłoby przykre, bo jego zawodem jest lawirowanie i wykręcanie się, ale do mojego charakteru to nie pasuje. Nie lubię tego. Sędzią być lubię, ale sędzią zupełnym i wolnym a bezstronnym. Ale już w tej sprawie będę musiał spełnić obowiązek, acz przykry, do końca – a będzie on długi, bo merytorycznie proces się na pewno zaciągnie.

24 czerwca, rok 1938, piątek

Od wtorku, kiedy nastąpiła „*échange préliminaire des vues*", do soboty (zapewne) posiedzeń Trybunału nie ma. Bezpośrednio po „*échange des vues*", która dała prawie zupełną jednomyślność sędziów co do odesłania ekscepcji litewskich „*au fond*", postanowiono zarządzić, jak się to zawsze w Trybunale czyni, sformułowanie przez sędziów odpowiednich „*notes individuelles*" na piśmie. Powiadam, co do „*jonction au fond*" ujawniła się prawie jednomyślność. Właściwie trzech tylko sędziów wypowiedziało się na rzecz rozpoznania ekscepcji zaraz – Anzilotti, van Eysinga i ja. Ale z nas trzech tylko ja jeden jedyny nie łączyłem z ich rozpoznaniem ich oddalenia. Anzilotti i van Eysinga żądali rozpoznania niezwłocznego, ale wyraźnie na rzecz ich oddalenia, odmawiając im kategorycznie cechy preliminarnych. Różnica wszakże między nimi dwoma była ta, że Anzilotti z ich oddaleniem jako ekscepcji preliminarnych łączył ich utrzymanie w procedurze merytorycznej jako środków merytorycznych obrony, podczas gdy van Eysinga żądał ich oddalenia radykalnego bez żadnych zastrzeżeń na rzecz ich zachowania jako środków obrony. Wszyscy inni byli za odesłaniem ekscepcji litewskich do rozprawy merytorycznej bez rozpoznawania ich obecnie. Ciekawe, że sędzia narodowy estoński Strandman wypowiedział się także na rzecz odesłania do rozprawy merytorycznej, nie zaś oddalenia natychmiastowego. W tym względzie rozchodził się on z żądaniem, zgłoszonym w czasie debat stron przez agenta estońskiego barona Noldego w imieniu rządu estońskiego. Zdaje się, że Strandman nie bardzo się w tym względzie orientował, a może wolał trzymać się z większością, która w każdym razie w obecnym stadium satysfakcji ekscepcji litewskim dać nie chciała. Ze stanowiska estońskiego najbardziej pożądane byłoby oddalenie takie, jak je rozumiał i zalecał van Eysinga. Ale Strandman go nie poparł. Wszakże wśród tych sędziów większości, którzy się wypowiedzieli za nierozpoznawaniem w chwili obecnej, były właściwie dwie różne koncepcje i dwie motywacje. Jedni, których bodaj była większość, a z których najkategoryczniej ten kierunek wyrażali de Visscher, Negulescu i Urrutia, nie kwestionowali charakteru preliminarnego tych ekscepcji albo nawet wręcz go w zasadzie uznawali względnie dopuszczali. Ci byli logiczni. Inni – zwłaszcza de Bustamante, także Nagaoka – Strandman też do nich należał – kategorycznie negowali już obecnie charakter preliminarny ekscepcji, pomimo to wszakże nie wnosili ich oddalenia, jak tego chcieli Anzilotti i van Eysinga.

Na zredagowanie i przedstawienie „*notes individuelles*" sędziów udzielony został, ze względu na nieskomplikowane zagadnienie (czy „*joindre au fond*", czy rozpoznać ekscepcje) i na ujawnioną quasi-jednomyślność, termin bardzo krótki, dwudniowy, do czwartku (wczoraj) godziny szóstej

wieczór. Ja moją „*note individuelle*" zredagowałem i przedstawiłem już we środę przed południem. Wczoraj wieczór już rozesłano z kancelarii wszystkim sędziom odpisy konfidencjalne wszystkich „*notes individuelles*" wraz z tłumaczeniem angielskim (względnie francuskim) każdej. Dzień dzisiejszy zarezerwowany jest na wystudiowanie „*notes*" przez sędziów i na ułożenie kwestionariusza przez prezesa, na jutro zaś zostanie zapewne zwołane przez prezesa posiedzenie sędziowskie dla debat nad kwestionariuszem i dla wyłonienia komisji redakcyjnej. Czytam teraz „*notes individuelles*" sędziów. Są na ogół ciekawe. Precyzują lepiej, niż w „*échange des vues*".

Dzień wczorajszy miałem swobodniejszy, bo pozawczoraj pracowałem nad moją „*note individuelle*", dziś studiuję „*notes*" wszystkich sędziów. Zresztą dziś wieczorem pójdę do kina na film francuski. Wczoraj byłem przed obiadem w pięknej galerii obrazów Mauritshuis, po obiedzie zaś zrobiłem ze Scheveningen tramwajem nr 14 wycieczkę do Zuiderparku, położonego na przeciwnym krańcu (południowym) Hagi. Wcale ciekawy park, którego nie znałem. Zuiderpark – oczywiście świeżo założony (wnosząc z drzew, można sądzić, że założony po Wielkiej Wojnie), ogromny, z wielkimi łąkami, wodami, alejami, laskami; większy od całych Bohdaniszek od Staczerag do Kumsz i od Kiź do Karwieliszek. Dużo ptactwa leśnego, także kaczek na kanałach i jeziorkach (jak wszędzie w Hadze i w ogóle Holandii), gdzieś słychać nawet krzyk pawi i głosy indyków. Znalazłem potem: jest miejsce, ogrodzone płotem wysokim z drutu – łoneczka, w niej sadzaweczka, krzewy miejscami po brzegach – nie wiem, czy ferma, czy menażeria ptasia – indyki, pawie, gołębnik, naturalnie szpaki (tych jest raj w Hadze), perliczki, kaczki, jakiś rodzaj kurek czubatych i... bociany (autentyczne); ale w jaki sposób bociany i pawie nie wylecą – nie rozumiem. Jest też i ogród botaniczny w parku. Jest i teren sportowy, i basen kąpielowy do pływania z lunchroomem.

25 czerwca, rok 1938, sobota

Posiedzenie sędziów Trybunału w pięknej sali Bol. Przedmiot obrad – kwestionariusz, ułożony przez prezesa na podstawie „*notes individuelles*" sędziów i przegłosowanie kwestii oraz wybór komitetu redakcyjnego do zaprojektowania decyzji motywowanej.

Szczegółów opisywać nie będę. Wielką większością 12 głosów uchwalono załączyć ekscepcje litewskie do rozprawy merytorycznej („*joindre au fond*"). Przeciwko głosowali tylko van Eysinga, Anzilotti i ja, ale van Eysinga i Anzilotti tylko dlatego, że chcieli ekscepcje przesądzić od razu i oddalić. Na rzecz więc tych ekscepcji właściwie nikt poza mną nie głosował i nie wypowiedział się. Ja głosowałem przeciwko załączeniu do rozprawy merytorycznej tylko dlatego, że poniekąd mię do tego obowiązywała pozycja sędziego narodowego. Trudno mi było zadać kłam rządowi mojego państwa, z którego ramienia tu jestem. W Litwie byłoby to przyjęte z pewnym może zgorszeniem. To jest ten grzech pierworodny instytucji sędziów narodowych *ad hoc* w Trybunale Międzynarodowym: nie mogą oni być zupełnie wolni.

Właściwie w warunkach obecnych ekscepcji litewskich jest lepiej, żeby je odesłano do rozprawy merytorycznej, niż rozpoznawano zaraz, bo gdyby rozpoznawano je zaraz, to w obecnym usposobieniu Trybunału zostałyby od razu oddalone. Ale ponieważ wiedziałem, że mój głos nie przeważy i że Litwie chodzi o pewien punkt honoru, że choć przynajmniej sędzia narodowy solidaryzuje się z jej żądaniem i przyjmuje jej tezę jurydyczną, więc dla pozoru głosowałem przeciwko załączeniu do rozprawy merytorycznej. Muszę stwierdzić, że jednak chodzi nie tylko o ten wzgląd, najwięcej przez sędziów wysuwany, dla którego oni odmawiają rozpoznania ekscepcji litewskich zaraz, że brak im jeszcze świadomości wszystkich elementów prawa i faktów do orzeczenia, ale na ogół, nawet u tych, którzy formalnie liczą się z istotą tych argumentów litewskich, jeno nie są zdecydowani stwierdzić, czy te argumenty mają w tym wypadku zastosowanie, jest pewna predyspozycja, pewna, że tak powiem, skłonność na korzyść raczej estońską, niż litewską. Dlaczego tak jest – dobrze nie rozumiem. Zdaje się, że sędziowie mają wrażenie, iż Litwa się wykręca od płacenia i że wszystkie ekscepcje i inne argumenty są to tylko kruczki, żeby zachować bezpłatne korzystanie z cudzego dobra, podczas gdy Estonia reprezentuje skrzywdzonego właściciela

kolejki. Wątpliwości istotnej co do tego, czy towarzystwo estońskie „Esimene" jest tym samym, które przed wojną było rosyjskie i miało koncesję tej kolejki, takiej wątpliwości, zdaje się, nikt z sędziów poważnie nie żywi. A wszakże w tej właśnie kwestii tożsamości czy nietożsamości tkwi całe sedno sprawy. Jeżeli to jest to samo towarzystwo – to Litwa odszkodować je musi, jeżeli nie to samo – to oczywiście dla odszkodowania nie ma zasady.

Względnie najbliżsi są tezom litewskim Negulesco i de Visscher, poniekąd Urrutia, zachowali absolutną bezstronność, absolutnie żadnej ani w jedną ani w drugą stronę predyspozycji nie ujawniając – sir Cecil Hurst, Fromageot i Chang.

W toku debat podniosłem kwestię zastrzeżenia, że ewentualne odmówienie później ekscepcjom litewskim charakteru preliminarnego nie będzie przeszkadzało ich rozpoznawaniu jako środka merytorycznego obrony. Taka myśl ma być w motywach subtelnie wyrażona.

Uchwalono, że decyzja będzie wydana w postaci nie wyroku, lecz ordonansu, podpisanego przez prezesa. Nie będzie zatem żadnego ogłaszania decyzji na uroczystym posiedzeniu publicznym, jeno ordonans będzie przesłany agentom stron. Do komitetu redakcyjnego dla zaprojektowania motywów ordonansu wybrani zostali głosowaniem tajnym sir Cecil Hurst i Rostworowski (jak w wyroku w sprawie kłajpedzkiej). Trzecim z urzędu jest prezes. Metoda wyborów tajnych do komitetu jest zupełnie taka sama, jak w conclave na wyborach papieskich: głosowanie powtarza się dotąd, dopóki ktoś nie otrzyma absolutnej większości głosów. Dużo razy powtarzano co do drugiego członka, bo głosy wciąż były rozstrzelone między Rostworowskim, Urrutią i Visscherem.

26 czerwca, rok 1938, niedziela

Już doprawdy nie rozumiem, co się stało, że Jadzia nic mi nie pisze. Jej ostatni list, który był zresztą jedynym, jaki po ostatnim rozstaniu się od niej otrzymałem, pisany z Bohdaniszek, otrzymałem już chyba przeszło przed 10 dniami. Nie wiem, co o tym myśleć. Niepokoję się coraz bardziej. Zawsze Jadzia mi pisywała regularnie, a ja wysyłałem listy jak w zegarku, co trzeci dzień. Z Bohdaniszek może trudno o taką regularność poczty, jak z Kowna, ale bądź co bądź zawsze bywają co najmniej dwie okazje do Abel, a zdarzają się też do Rakiszek. Ten brak listu i niepokój są mi tu w mojej samotności bardzo dotkliwe. Nie jest mi tu wcale wesoło, sprawa się wlecze i nie ma, jak dotąd, dobrych perspektyw, w Trybunale w środowisku sędziowskim czuję się bądź co bądź obco, bo stanowisko sędziego narodowego jest zawsze trochę upokarzające. Toteż przyjemnie jest pomarzyć o domu, o tym, co tam Jadziuńka robi, co słychać w Bohdaniszkach. Gdy się ma kontakt listowny, to się tu nie czuje tak samotny i to się myślą i sercem pogrąża w tamtych marzeniach domowych. Teraz jestem pozbawiony tego, bo myśl raczej unika Bohdaniszek i domu, gdyż każde wspomnienie zamiast radości budzi niepokój i strach. Czuje się jakby w obliczu ciężkiej zagadki. Pocieszam się, że może nic nie jest, ale ostatecznie kto wie. W każdym liście przynaglam Jadźkę do pisania i nic a nic. Wczoraj już do Reni kartkę wysłałem, rozkazując jej, żeby mi zaraz napisała. Jeżeli nic złego nie ma i Jadzia tylko z lenistwa czy opieszałości nie pisała, to krzywdzi mię ona tym bardzo. Nawet myśl o Filipku naszym mię nie pociesza, bo może właśnie Filipkowi się coś przytrafiło... Może Jadzia poroniła? Co to pomoże – zmuszony jestem czekać biernie.

Nudny dzień. Niedziela, nie ma żadnej pracy, trzeba jakoś zamydlić dzień, żeby czas upłynął. Po lunchu, który zjadłem w kurhauzie w Scheveningen, pojechałem tramwajem przez Leyden do Noordwijk na plażę morską. Tam i nazad, a jeszcze pobyt krótki w Noordwijku – oto ze cztery godziny czasu. Zresztą w Noordwijku nad morzem nie ma co robić. Samemu nudno i nie ma treści. W moim wieku o przygody już niełatwo, kobiety uwagi nie zwracają. Tłucze się taki dziad samotny jak badyl. Wypiłem szklankę herbaty na plaży w kawiarni tyrolskiej, w której jest wesoło, bo usługują i śpiewają dziewczęta w kostiumach ludowych tyrolskich. Jest dużo charakteru i pełno publiczności.

Wieczorem umówiłem się z kolegą Strandmanem, sędzią narodowym estońskim, a przeto nie tylko kolegą, ale i przeciwnikiem moim w Trybunale, wybrać się razem do kina „City" na film francuski.

Poszliśmy do kina tego, ale choć w gazetach było ogłoszone, że tam się demonstruje film francuski, to jednak okazało się, że idzie film amerykański, a więc z tekstem angielskim, którego nie rozumiem. Pojechaliśmy więc ze Strandmanem do Scheveningen i tam spędziliśmy wieczór na rozmowie w jednej z restauracji na plaży, zajadając homara świeżego pod majonezem z sałatą i popijając chablis. Strandman nie wydaje mi się zbyt głęboki i subtelny prawnik, ale człowiek niezły. Jest w każdym razie bardzo koleżeński i naturalny. Był on premierem w Estonii, dziś jest posłem estońskim w Paryżu. Powiadają, że jest ambitny i że go dlatego rząd estoński trzyma w Paryżu, aby go mieć z daleka, gdyż boi się, że w razie powrotu do Estonii może tam wdać się w jakieś intrygi dla zdobywania władzy. Nie robi jednak na mnie wrażenia intryganta ani człowieka, któryby chciał władzy lub umiał ją sam wykonywać.

27 czerwca, rok 1938, poniedziałek

Wreszcie dziś rano doczekałem się listu z Bohdaniszek od Jadzi. Nic nie zaszło. Nie było listu, bo Jadzia nie pisała. Przyczyna bardzo prosta. Tłumaczy się, przeprasza, powiada, że czuje wyrzuty sumienia. Pewno. Bo mię skrzywdziła. Skądinąd w Bohdaniszkach wszystko dobrze. Za ogród owocowy dają 1200 litów dzierżawy; rodzą się cielęta (krówki), prosięta, wkrótce mają się wykłuć pisklęta bażantów. Sinica dokańcza podmurówkę świronka, posłano już po majstrów, z których jeden będzie robił szafę biblioteczną, a drugi – krzyż ozdobny litewski. Jadzia umówiła tanio majstrów do remontu chlewików świńskich. Sama Jadzia czuje się dobrze; Filipek rusza się w jej łonie coraz bardziej. Oto wszystkie nowiny, dające mi mniej więcej obraz Bohdaniszek.

Dzień dzisiaj banalny. Czekamy projektu ordonansu, który ułoży komitet redakcyjny. Chyba powinien jutro skończyć, bo ostatecznie jest to tylko decyzja incydentalna, która długiej i wyczerpującej motywacji nie potrzebuje. Ale w Trybunale motywy są zawsze rzeczą delikatną, którą się bardzo starannie i dyplomatycznie układa, żeby nie powiedzieć ani za dużo, ani za mało, nie zaangażować się zanadto, uzgodnić przejrzystość myśli ze wszystkimi rezerwami. Trzech starców mądrych i prawników wytrawnych układa tę, zdawałoby się, prostą i krótką decyzję. A trzeba ją jeszcze przetłumaczyć na angielski i dopiero rozesłać jej projekt sędziom. Ale oto w chwili, gdy to piszę, przynoszą mi „*distribution*" z Trybunału w ogromnej, jak zawsze, kopercie. Znajduję w niej ułożony projekt decyzji, którą prezes w postaci ordonansu prześle agentom stron. Wezwania na posiedzenie nie ma. Może to będzie dopiero na środę, żeby dać sędziom dzień jutrzejszy do zapoznania się z projektem. Gdy projekt będzie przez Trybunał zatwierdzony, co, zdaje się, wymaga dwukrotnego jego rozpoznania (zresztą zapewne tylko o tyle, o ile będą poprawki), wtedy, zdaje się, jeszcze trzeba zaczekać wydrukowania go, po czym wreszcie praca Trybunału w obecnym stadium sprawy będzie skończona. Zdawałoby się, że wszystko mogłoby już być skończone we środę, jeżeli nie jutro, ale znawcy powiadają, że końca spodziewać się można dopiero na piątek lub sobotę. Mnie to wszystko jedno, a może nawet lepiej, żeby się to zaciągnęło do końca tygodnia, bo muszę przesiedzieć do niedzieli, aby Stasię Pruszanowską w Brukseli odwiedzić i zafundować jej lot aeroplanem do Amsterdamu, co jej obiecałem. Ona ma wolną tylko niedzielę albo sobotę od godziny pierwszej. Skoro więc mam siedzieć do końca tygodnia, to już wolę, żeby to było siedzenie urzędowe, płatne przez Ligę Narodów po 150 florenów holenderskich dzień.

Deszcz dzisiaj pada z wielkim wiatrem. Brzydko jak w jesieni. Po przesileniu słonecznym ustał też gwizd szpaków, który mię tak cieszył o świcie i wieczorem. Rano byłem w Pałacu Pokoju, pisałem w gabinecie moim listy do Jadźki i do Kotuni Pruszanowskiej. W przedostatnim liście ofiarowałem Kotuńce pomoc pieniężną, gdyby chciała na swoje reumatyzmy wybrać się w przyszłym roku do Birsztan. Kotuńka, jak każda dobra matka, tym bardziej będąc sama córką takiej matki, jak nasza kochana Mama, odpisała, że o Birsztanach dla siebie już nie myśli, ale zaproponowała mi dyskretnie biedaczka, abym z tej ofiarowanej pomocy pomógł raczej jej biednej córce starszej Elizce Tanajewskiej na wychowanie synka, bardzo zdolnego, ale żywego i swawolnego, mojego syna chrzestnego Marka. Elizka, opuszczona przez męża brutala, jest bardzo biedna i nieszczęśliwa, a subtelna i dobra, bardzo też kochająca syna. Biedaczka dostaje zapomogę

od Kotuńki w kwocie 100 złotych miesięcznie i to jest wszystko, co ma na siebie i na wychowanie syna. Pracy płatnej dostać nie może. Ofiarowałem na rzecz Elizki te 400 złotych, które mi się należą jeszcze z jakichś ostatnich rozrachunków ze sprzedanej kamienicy wileńskiej i przyrzekłem, o ile znowu w Hadze w sprawie tej zimą zarobię, ofiarować jeszcze – ewentualnie do 1000 złotych. Byłem w Scheveningen po lunchu, ale nikogo tam nie ma. Pustka. Deszcz i wicher. Tylko była jakaś duża wycieczka wesołych dziewczynek młodziutkich i chłopców – śpiewali, skakali chodząc wielkimi grupami po bulwarze nad plażą, potem w trzech autokarach przyjechała jakaś wycieczka męska z chorągiewkami szwajcarskimi.

Chciałem pójść wieczorem do cyrku w Scheveningen, bo widziałem wczoraj afisze, że będzie gościem przedstawienia cyrku amsterdamskiego. Ale było to widocznie tylko na wczoraj, bo dziś nic w cyrku nie ma. Pójdę więc spać wcześnie. Na deszcz i bezrobocie łóżko i książka w łóżku będą najlepsze.

Żałuję trochę, że wygderałem w liście Jadziuńkę. Ale sama przecie winna.

28 czerwca, rok 1938, wtorek

Okropnie mi się już znudziło w Hadze. Kiedy już właściwie wszystko, co w tej fazie sprawy było do przesądzenia, już przesądzone, to nie ma już żadnej ochoty ani zainteresowania siedzieć w sprawie. Nie ma nerwu sprawy. Wtedy nastaje nuda, bo siedzieć na miejscu samemu nie mając nic do roboty i „zabijać czas" od rana do wieczora, tłukąc się z kąta w kąt od Hagi do Scheveningen – to jest nieznośne. Piszę na dzień jeden co najmniej list, piszę codzienną kartę dziennika, przeczytuję od deski do deski jedną gazetę paryską (jednego dnia „Le Journal", nazajutrz „Le Matin", potem znów „Paris-Soir"...) odczytuję porcję dzienną moich książek lektury bieżącej – oto i wszystko. Jest to już pewne zapełnienie czasu, ale na moją zwykłą pracowitość – to za mało. Zostaje jeszcze dużo czasu. Włóczę się trochę po mieście, oglądam wystawy magazynów, myśląc o prezentach do kupienia, kupuję owoce na wieczór, co drugi dzień chodzę rano do fryzjera, co dzień bez pudła jadę tramwajem nr 9 (czasem nr 8) do Scheveningen, tam spaceruję trochę wzdłuż morza, zachodzę do kawiarni. Gdy są posiedzenia Trybunału, czas prędzej płynie. Gdy ich nie ma, to wymyślam czasem jakąś wycieczkę – kino, przejażdżkę do Noordwijk, raz w maju byłem w Leeuwarden, stolicy Fryzji holenderskiej, raz także w maju – w Brukseli. Ale teraz na dalsze wycieczki trudno, bo trzeba być co dzień do dyspozycji i czekać ewentualnego wezwania, a na bliższe – nie ma dokąd. Nawet filmu francuskiego w kinach teraz nie ma, nie ma też cyrku, a kabarety są holenderskie, więc nic nie rozumiem. Znudziłem się już. I sama atmosfera schyłkowa w Trybunale demoralizuje i nie usposabia do cierpliwości. Gdyby nie to, że nie mogę wyjechać nie odwiedziwszy Stasi Pruszanowskiej w Brukseli i że muszę w tym celu czekać co najmniej do soboty, żeby móc z nią wykonać wycieczkę lotniczą do Amsterdamu, bo w dni powszednie jest ona zajęta w konsulacie polskim i mało miałaby czasu na taką wycieczkę, to już bym wolał, żeby jak najprędzej zakończono całą procedurę w Trybunale i uwolniono mię, abym już mógł uciec do domu. Ale jeżeli muszę czekać do soboty, to już wolę, żeby się i w Trybunale wlokło, bo wtedy pobyt jest płatny i mam zarobek, o który mi bardzo chodzi tak dla spłaty długów moich po Maryni, jak dla remontów i rozbudowy Bohdaniszek. Zdobywam się więc na cierpliwość i czekam. Projekt decyzji motywowanej w przedmiocie odesłania ekscepcji litewskich do rozprawy merytorycznej został już przez komitet redakcyjny ułożony i wczoraj rozesłany sędziom, dzień dzisiejszy został udzielony na zgłoszenie obserwacji sędziów do projektu. Obserwacje wpłynęły cztery – od sędziów Altamiry, Fromageota, Anzilottiego i de Visschera. Jeszcze tych obserwacji nie wystudiowałem. Wpłynęła konwokacja na posiedzenie sędziowskie jutro na godzinę czwartą po południu w sali Bol, jak zawsze. Będzie odczytany projekt komitetu i rozpoznane obserwacje. Nie wiem, czy to się na tym już wszystko jutro skończy, czy jeszcze nastąpi odroczenie do redakcji ostatecznej. Mam też jutro zaproszenie na lunch do sir Cecila Hursta. Nie bardzo lubię tych lunchów proszonych, ale to są nieuniknione akcesoria towarzyskie.

Dziś wynudziłem się bardzo. Nawet w gabinecie moim w Palais de la Paix nie byłem. W Scheveningen było pusto, bo wicher ogromny, morze niespokojne, z powodu wiatru chłodno, choć na

ogół powietrze nie jest zimne. Zresztą widok morza jest zawsze przyjemny i piękny. Morze wzburzone jest dla mnie jeszcze przepiękniejsze od cichego. „Z rozpaczy nudów" połaziłem po wielkich magazynach konfekcji damskiej i nakupiłem różnych drobiazgów na prezenty. Wydałem na to do 60 florenów ogółem, ale zabawiłem się i na ogół rad jestem z nabytych rzeczy. Chodzi o to, żeby przez granice – niemiecką i litewską – je dano przewieźć, ale z paszportem dyplomatycznym to mi się dotąd udawało zawsze. Zresztą przez Niemcy jadę tylko tranzytem i w ostateczności mogę rzeczy tranzytem przesłać, a na granicy litewskiej jestem u siebie i tam mój paszport dyplomatyczny uszanowują.

29 czerwca, rok 1938, środa

A więc oto dziś koniec sprawy (w fazie obecnej) wyjrzał wreszcie na dobre. I nie tylko wyjrzał, ale właściwie zapadł. Zapadł zresztą nie na dziś, ale na jutro. Byłoby to już dziś, bo decyzja motywowana, ułożona przez komitet redakcyjny i dodatkowo przez tenże komitet uzgodniona z obserwacjami, zgloszonymi do projektu przez kilku sędziów (Altamirę, Fromageota, Anzilottiego i de Visschera), została na dzisiejszym posiedzeniu rannym zaaprobowana, a ponieważ jest to tylko decyzja („*ordonnance*", a nie „*arrêt*" – wyrok), która podpisana będzie w imieniu Trybunału przez prezesa, więc ani czekać na jej wydrukowanie, ani ogłaszać jej na posiedzeniu publicznym Trybunału nie trzeba. Dopilnuje jej wydrukowania i zakomunikuje agentom stron prezes jako organ administracyjny, z udziałem greffiera. Trybunał więc swoją funkcję skończył i byłby w tej sprawie wolny już zaraz. Ale sir Cecil Hurst, który, jak zawsze, dba wielce o równe prawa języka angielskiego, zażądał jeszcze posiedzenia na jutro dla zaaprobowania przez Trybunał tekstu angielskiego, który ułoży sir Cecil z sędzią Chińczykiem Changiem. Ta dbałość sir Cecila Hursta o prawa języka angielskiego daje mi dodatkowo 150 florenów za dzień jutrzejszy, albowiem dzień ten z powodu posiedzenia będzie się liczył dniem pracy.

W toku debat nad projektem decyzji wyłoniła się znowu kwestia zastrzeżenia praw Litwy do wykorzystania argumentów, podniesionych w ekscepcjach, na rzecz meritum sprawy w wypadku, gdyby ekscepcje litewskie, „*jonction au fond*", zostały następnie, jako preliminarne, oddalone. Do kwestii tego zastrzeżenia wciąż wraca Anzilotti, który, aczkolwiek ekscepcji litewskich nie uważa za preliminarne i dlatego żądał natychmiastowego ich oddalenia w tym charakterze, jednak, zwłaszcza do drugiej ekscepcji (argument o niewyczerpaniu przez towarzystwo estońskie dróg sądownictwa litewskiego), przywiązuje kapitalną wagę jako do argumentu obrony merytorycznej, wychodząc z założenia, że dopóki te drogi nie zostały wyczerpane i dopóki nie może być stwierdzony „*dénis de justice*" ze strony litewskiej, dopóty nie może być mowy o jakimkolwiek wykroczeniu międzynarodowym Litwy, dającym Estonii prawo do skargi (o ile naturalnie zostanie stwierdzone, że żądania towarzystwa estońskiego w ogóle ulegają sądownictwu litewskiemu). O zastrzeżeniu takim Anzilotti napomykał w swojej „*note individuelle*", co dało mi wtedy asumpt do zaproponowania wpisania odpowiedniego zastrzeżenia do motywów decyzji. Trybunał jednak uznał wtedy, że wpisywanie takiego zastrzeżenia jest zbyteczne i że wystarczy, gdy komitet redakcyjny odpowiednią myśl zręcznie gdzieś w tekście motywów zasugestionuje. Istotnie w pierwszym projekcie komitetu pewna sugestia tego rodzaju, acz bardzo delikatnie, była, ale w zreformowanym tekście, zaakceptowanym dzisiaj, znikła, chociaż w obserwacjach Anzilotti taki motyw *expressis verbis* zaprojektował. I na posiedzeniu dzisiejszym Anzilotti o tym znów napomknął, robiąc pewną aluzję do mnie, czy bym to nie uważał za potrzebne. Podniosłem to na razie, ale gdy wszyscy sędziowie przyznali, że to się samo przez się rozumie bez żadnego wzmiankowania *expressis verbis* i wskazywali, że będą głosować przeciwko takiemu wnioskowi jako, po pierwsze, zbytecznemu, a następnie niewłaściwemu, bo wskazującemu stronie, jak należy żądać i w jaki sposób robić użytek z argumentów, to przestałem nalegać, tym bardziej, że, jak słusznie wskazał tenże Anzilotti, odrzucenie przez Trybunał wniosku o takim zastrzeżeniu mogłoby czynić wrażenie właśnie przeciwko zastrzeżeniu takiemu jako rzekomo odrzuconemu, podczas gdy w istocie nikt go nie kwestionuje. Nie nalegałem i rzecz upadła. Ale usposobienie ogólne było bardzo czynne –

mianowicie, że ogół sędziów uznaje całkowicie możność operowania argumentem, zawartym o ekscepcjach jako argumentem merytorycznym w wypadku, gdyby ekscepcje jako takie (jako preliminarne) zostały nawet oddalone.

W głosowaniu nad całą decyzją o „*jonction au fond*" przeciwko głosowali tylko Anzilotti i van Eysinga jako rzecznicy oddalenia natychmiastowego ekscepcji. Ja głosowałem za decyzją. Głosowałem za decyzją dlatego, że jej przeciwnikami, głosującymi przeciw, byli właśnie ci, którzy kategorycznie te ekscepcje jako takie odrzucają, zaś w liczbie wypowiadających się za „*jonction au fond*" są między innymi ci sędziowie, którzy sami przyznają charakter preliminarny ekscepcji, jak i ja to przyznaję, jeno uważają, że w stadium obecnym brak im jeszcze niektórych elementów do orzeczenia o ich zasadności. Trudno więc żądać, aby rzecz była rozstrzygana zaraz przez tych, co uważają, że im brak niezbędnych wiadomości do orzekania. I gdyby się nawet udało teraz przeforsować natychmiastowe rozpoznawanie ekscepcji, to skutek musiałby być ujemny. Nie mogliby je poprzeć nawet ci, którzy w zasadzie ich charakteru preliminarnego nie negują. Na mój pogląd, to nawet się nie godzi żądać rozpoznawania natychmiastowego, gdy sędziowie powiadają, że nie są w stanie decyzji powziąć.

Sędzia narodowy estoński Strandman cały czas stał na stanowisku „*jonction au fond*" i ani razu nie spróbował zbliżyć się do van Eysingi i poprzeć jego żądanie natychmiastowego oddalenia ekscepcji, mimo że to było właśnie stanowiskiem Estonii. Jutro więc sprawa skończona.

30 czerwca, rok 1938, czwartek

Finita la commedia! Jestem wolny. Mógłbym wyjechać choćby dziś, gdybym nie miał zastrzeżonej wizyty do Brukseli dla odwiedzenia Stasi Pruszanowskiej, co ma nastąpić jutro.

Rano odbyło się ostatnie posiedzenie Trybunału w naszej sprawie estońsko-litewskiej. Posiedzenie było króciutkie. Chodziło tylko o zatwierdzenie tłumaczenia powziętej decyzji na język angielski. Była to tylko formalność. Tłumaczenie było dokonane przez sir Cecila Hursta, który z góry zapewnił, że jest ono dokładne. Po odbyciu tej formalności prezes Guerrero zwolnił nas ze Strandmanem, albowiem Trybunał zajął się jeszcze paru innymi kwestiami administracyjnymi bez udziału naszego jako sędziów narodowych *ad hoc*. Już wczoraj przyszło mi na myśl wygłosić przy tej okazji przemówienie „*pour prendre conge*" i przez to wypełnić lukę, jaka powstała przy rozpoczęciu naszej ze Strandmanem czynności, kiedyśmy nic na powitanie nas przez prezesa nie odpowiedzieli. Z łatwością mi to przyszło, bom musiał tylko odświeżyć w pamięci trochę zmodyfikowane przemówienie, którem miał przygotowane i wyuczone na rozpoczęcie czynności. Trochę je zmieniłem i wyszlifowałem i wygłosiłem gładko za siebie i za Strandmana, który mię o to prosił. Oto tekst przemówienia: „*Monsieur le Président! En prenant congé de la Cour dans cette partie de l'affaire, je tiens à exprimer à la Cour les sentiments de grand honneur, que j'éprouve en prenant part aux travaux de la Cour. Déjà ma participation personnelle en 1932 à un episode de la grande œuvre de la Cour m'a impressionné beaucoup; j'ai admiré un grand effort des juges, la grandeur e t la sagesse des débats, la precision et la finesse de l'analyse juridique au sein de la Cour. Je crois, qu'aucune lecture des arrêts de la Cour, quoique bien instructive, ne m'a autant impressionné, que l'observation directe du procès même de ce grand travail. C'est une lumière et plus qu'une école pour des profans, même juristes assez forts dans leurs pays. Je suis donc bien sensible à l'honneur de prendre place parmi Vous. Sans doute – je connais et je ne cache pas les difficultés particulières de la position et de la tâche d'un juge national ad hoc au sein de la Cour. Mais d'autre part je me suis bien décidé de faire tout mon possible pour bien servir la Cour en lui offrant non seulement toute ma bonne volonté, ce qui certainement ne manqué pas à la Cour et dont elle connait gouverner bien, mais en lui offrant surtout la mentalité du pays en litige, aussi que la connaissance des institutions et du droit de ce pays, ce qui, peut être, pourrait être parfois utile aux travaux de la Cour. C'est dans cette pensée et dans ces sentiments, que je prends congé de la Cour*

pour un délai assez long dans cette affaire et, en le disant, je crois être l'interprête des sentiments de mon honorable collègue estonien M. Strandman"[13].

Sprawa nasza wróci teraz na wokandę Trybunału nieprędko. Terminy, udzielone stronom na przedstawienie contrmemoire'u, repliki i dupliki, upłyną dopiero 25 listopada. Rozprawa więc zostanie wyznaczona z pewnością dopiero po Nowym Roku. Rad jestem z tego, bo bałem się poprzednio, żeby nie była wyznaczona na koniec października czy listopad, kiedy wypadnie czas krytyczny połogu Jadzi, w którym muszę być przy niej.

Zarobiłem dotąd na tej sprawie przeszło 3000 florenów. Trochę ponad 3000 odłożę. Z remanentem ze sprawy duńsko-litewskiej w komisji koncyliacyjnej wypadłoby do czterech blisko tysięcy (koło 2000 florenów już mam odłożonych z zarobku w komisji), ale dobrych ze 300 florenów poszło na różne prezenty, które kupiłem i wiozę.

Wczoraj byłem jeszcze zaproszony na lunch do sir Cecila Hursta. Przyjemny to człowiek i bardzo przyjemna jest też lady Hurst, żona sir Cecila. Prosiła ona o przesłanie jej zbioru marek pocztowych litewskich i dała mi nawet pieniędzy na zakup tychże. Dziś na lunch zaprosił mnie Strandman, zapraszając także sędziego van Eysingę i pomocnika greffiera, Norwega Jorstadta.

Wczoraj zatelegrafowałem do Stasi Pruszanowskej do Brukseli, zapytując ją, czy będzie mogła jutro w piątek lecieć ze mną aeroplanem do Amsterdamu. Otrzymałem dziś odpowiedź telegraficzną twierdzącą. Wobec tego dziś przez portiera hotelu Veux Doelen, który jest prawdziwy totumfacki i który wszystkie, choćby najtrudniejsze, zlecenia gości załatwia (może na przykład każdy towar potrzebny sprowadzić i kupić choćby w niedzielę, kiedy wszystko zamknięte i kiedy prosty śmiertelnik nic nie dostanie) – kupiłem dwa bilety na samolot na jutro na godzinę 6 ½ wieczorem z Brukseli do Amsterdamu. Bilety są względnie drogie. Kosztują po 15 florenów (koło 50 litów na nasze pieniądze). Jutro rano jadę do Brukseli do Stasi.

Wczoraj było wielkie święto ludowe w Holandii. Bodajże dzień urodzin księcia-małżonka Bernarda, męża następczyni tronu Juliany. Dom królewski orański jest tu niezmiernie popularny. Stanowi on jedną z ważnych tradycji narodowych tego poważnego ludu, zresztą namiętności o wiele kulturalnej i bardziej ludzkiej od namiętności ubóstwiania narodu i wodza w nacjonalizmie. Holandia się więc wczoraj cieszyła. Na ulicach Hagi pochody, ludzie usposobieni świątecznie, ze znaczkami o barwach pomarańczowych domu orańskiego, chorągwie, wieczorem muzyka, śpiewy, fajerwerki, cała młodzież w ruchu, ulice, place zalane ludźmi. Tylko Scheveningen puste, bo dzień pochmurny, wicher na morzu, burza.

Otrzymałem wczoraj rano list od Elwiry w odpowiedzi na mój proponujący jej pojednanie. Elwira wzruszona, pisze płacząc, wdzięczna mi jest za wyciągniętą dłoń zgody, serdeczna, kochana. Lepsza zgoda od waśni. Rad jestem, że się to nieporozumienie zlikwiduje. Kocham i cenię Elwirę.

---

[13] „Panie Prezydencie! Opuszczając Trybunał na tym etapie sprawy, chcę wyrazić Trybunałowi uczucie wielkiego zaszczytu, którego doznaję, uczestnicząc w pracy Trybunału. Już mój epizodyczny udział w wielkim dziele Trybunału w roku 1932 wywarł na mnie głębokie wrażenie; podziwiałem ogromny wysiłek sędziów, doniosłość i mądrość debat, precyzję i finezję analizy prawnej w łonie Trybunału. Jestem pewien, że żadna lektura postanowień Trybunału, jakkolwiek bardzo pouczająca, nie wywarła na mnie takiego wrażenia, jak bezpośrednie obserwowanie samego procesu tej wielkiej pracy. To jest światło i więcej niż szkoła dla profanów, nawet prawników dość biegłych w ich własnym kraju. Jestem więc bardzo przejęty honorem zabrania miejsca między wami. Niewątpliwie, znam i nie ukrywam pewnych trudności, wynikających z pozycji i wysiłku sędziego narodowego *ad hoc* w łonie Trybunału. Ale z drugiej strony jestem mocno zdecydowany uczynić wszystko, co mogę, by dobrze się przysłużyć Trybunałowi, ofiarując mu nie tylko całą mą dobrą wolę, na której oczywiście Trybunałowi nie zbywa i którą potrafi on wykorzystać dobrze, jak też oferując mu przede wszystkim stanowisko kraju, będącego w sporze, tudzież znajomość instytucji i prawa tegoż kraju, co, być może, mogłoby być nieraz użyteczne dla pracy Trybunału. Z taką myślą i uczuciami opuszczam Trybunał na dość długą przerwę w danej sprawie i tymi słowy, mam nadzieję, oddaję również uczucia mego szanownego kolegi estońskiego p. Strandmana".

Jest ona więcej warta od swoich dzieci. I czyż nie lepiej, żeby w rodzinie była zgoda i więcej pogody i słoneczności, dających jednak więcej szczęścia.

1 lipca, rok 1938, piątek

Pojechałem do Brukseli odwiedzić Stasię Pruszanowską i zafundować jej wycieczkę lotniczą do Amsterdamu. Pojechałem do Brukseli pociągiem pośpiesznym komunikacji bezpośredniej. Byłem tam koło godziny pierwszej po południu. Zaczekałem do godziny trzeciej, kiedy się kończy praca biurowa Stasi w konsulacie polskim i wtedy zaszedłem do niej. Rzuciła się do mnie, serdeczna bardzo, wesoła, ucałowała mię kilkakrotnie gorąco w twarz, jak siostra. Fizycznie wyobrażałem ją trochę inaczej. Jest małego wzrostu, drobna, drobna też twarzyczka o dosyć długim nosie. Wygląda jeszcze młodo, ale nie młodziej, niż na swój wiek – 29 lat. Zapowiadała się jako dziecko na ładniejszą niż jest. Ma ekspansywność i pewną ekscentryczność Pruszanowskich, ale serdeczna jest bardzo, niezwykle swojska i łatwa, miła przez to i robi wrażenie bardzo dobrej osoby. Jest też służbistką wielką i za nic nie zgodziła się nocować potem w Hadze i wrócić nazajutrz z opóźnieniem do Brukseli do biura swego i żadne moje nalegania nie zmieniły tego. Jest też, jak wszystkie Pruszanowskie, bardzo delikatna, za nic nie zgodziła się przyjąć ode mnie pieniędzy, tylko miły prezencik koronek (kołnierzyk koronkowy i chusteczkę obszytą koronką) i naturalnie opłatę wycieczki. Przede wszystkim udaliśmy się ze Stasią na plac wspaniałego starego kościoła św. Guduli w stylu katedr średniowiecznych, gdzie mieszczą się dokoła magazyny przepysznych koronek brabanckich – znakomitość krajowa. Właścicielka sklepu i pracowni – miłośniczka i znawczyni koronek, zakochana w nich i miłośnie je traktująca. Wybór nadzwyczajny. Oczy się rozbiegają od sztuki precyzyjnej. Miałem polecenie od Jadzi kupienia taśmy koronkowej na obszycie do nawleczek. Ale kupiłem dużo więcej. Wydałem na te koronki 109 florenów holenderskich, a wydałbym jeszcze dużo więcej, gdybym siebie nie opanował. Kupiłem kołnierzyk koronkowy dla Stasi, kołnierzyk i mankiety z prześlicznej koronki ręcznej, subtelnej i misternej jak cacko, dla Jadzi, i mały kawałek starej ozdobnej koronki z XVII wieku. Chyba że zachwycę tym Jadzię. Od koronek poszliśmy ze Stasią na obiad do wielkiej terasy jakiejś. Stasia niezwykle mało je i prawie nic nie pije. Zjadła pół homara *au gratin* i nic więcej, wypiła kieliszek białego wina chablis i już więcej nie mogła. Z obiadu pośpieszyliśmy taxi na aerodrom, bom miał bilety na samolot amsterdamski na godzinę 6.30. Ruch na aerodromie brukselskim szalony. Co chwila jakieś samoloty przylatują, odlatują, wielkie, małe, publiczne, prywatne, małe na jedną osobę. Dużym aeroplanem KLM (towarzystwa holenderskiego) na 14-16 osób, o trzech dużych motorach i propellerach wyruszyliśmy niebawem. Stasia po raz pierwszy leciała samolotem osobowym. Powiada, że latała kiedyś wojskowym. Lot był ładny, ale mało było widać, bo okienka nasze, malutkie, wychodziły na motory i skrzydła, toteż tylko trochę u dołu ziemi było widać, ale rozległego widoku nie było. Lecieliśmy na wysokości 800 metrów pod wielką chmurą, spod której potem wylecieliśmy na jaśniejsze powietrze. Lądowaliśmy raz w Rotterdamie, potem wysiedliśmy na aerodromie Amsterdamu. Ponieważ mało mieliśmy czasu, nie jechaliśmy do Amsterdamu, ale wprost automobilem KLM do Scheveningen, 50 czy 70 kilometrów piękną autostradą za 8 florenów – bardzo tanio. Autostrada biegnie przez miejscowość pustynną, zupełnie nie zabudowaną, co w tych stronach Holandii, jadąc koleją, się nie widzi, wzdłuż kolei żelaznej bowiem miasta, miasteczka, wioski, osady ciągną się jak jeden wąż zaludnienia. Podjeżdżając do Hagi – prześliczne parki. Do Scheveningen dojechaliśmy o zmierzchu. Morze, plaża, wspaniałe zabudowania wybrzeża, hotele, restauracje, ruch, światła – zaimponowały Stasi. Bo też to wielka plaża międzynarodowa, jedna z najbardziej eleganckich. Pochodziliśmy po wybrzeżu, po pomoście, pawilonie Pier, potem poszliśmy na kolację do pięknej restauracji kurhauzu. Dla małej urzędniczki konsulatu, która w ciągu miesiąca zarabia tyle, ile mnie tu w Trybunale Haskim płacą za jeden dzień, był to luksus rzadki. Ale Stasia ma wspaniałego lisa srebrnego, którego mogłaby jej pozazdrościć każda elegantka. Nie je Stasia prawie nic. Ledwo zjadła jednego świeżego śledzia holenderskiego i więcej nic, tylko jeszcze na deser *pêche de melba*, ulubiony przysmak Jadzi mojej. Ale Stasia śpieszyła wrócić do Brukseli, żeby na godzinę ósmą rano być jutro w urzędzie.

Tymczasem pociągów w nocy nie ma. Ledwośmy się dowiedzieli o pociągu, który wychodzi z Rotterdamu o godzinie czwartej z minutami rano i którym, z rozmaitym przesiadaniem, można przed ósmą dojechać do Brukseli. Wysłałem więc Stasię automobilem taxi do Rotterdamu, serdecznie się z nią żegnając. Będzie się biedaczka tłuc przez noc całą. Ja zaś wróciłem do mojego Vieux Doelen. Dużo się dziś wymotałem. Zwłaszcza na koronki, ale nie żałuję, bo to piękne.

2 lipca, rok 1938, sobota

Wyjazdowy dzień. Przez to samo nudny. Czułem się i zachowywałem jak senna mucha w dżdżysty dzień jesienny. Nawet w Scheveningen na pożegnanie nie byłem. Pisałem list do Stasia Wołodkowicza, pisałem dziennik, kupiłem owoców na wieczór do pociągu, kupiłem też nieduży melonik gatunku zielonego, którego nie znałem i nie spotykałem nigdy przed tą bytnością w Hadze; te meloniki są niezrównanie wyborne, zawiozę do Bohdaniszek; kupiłem walizkę, której mi brakowało, z pomocą pokojowej spakowałem rzeczy i gotów jestem do jazdy. Trzeba jeszcze piękny rachunek opłacić w hotelu, a zwłaszcza napiwki na wyjezdnym rozdać, czego nie cierpię, bo nie bardzo wiem, ile komu dawać i zawsze z natury mojej skłonny jestem, gdy nie wiem, dać więcej, a służby tej jest tutaj dużo: portier – wielki pan, dwóch posługaczy, kilku jakichś urzędniczków administracji, którym nie wiem, czy się daje czy nie, trzech chaseerów, trzy pokojowe, sześć kelnerek ze starszą panną, portier nocny... Cała litania. Czekam na wyjazd. A jak się udadzą granice, zwłaszcza niemiecka? Bo prezencików – gałganków, trochę złota (bransoletka), koronki, trochę innych drobiazgów – wiozę sporo. Ale paszport dyplomatyczny dodaje mi otuchy. Zresztą wobec Niemców mogę się bronić, gdyby się czepiali, tranzytem. Zaś celnicy litewscy najczęściej mię znają, a zresztą są oni na paszport dyplomatyczny własnego kraju wrażliwi. Wielkiego więc strachu nie mam. Żegnaj, Hago! Pociąg odchodzi o siódmej z minutami pod wieczór. Jutro będę w Kownie. A za kilka dni – w Bohdaniszkach. Co za radość!

3 lipca, rok 1938, niedziela

Wczoraj pisałem dziennik w Hadze przed wyjazdem, dziś piszę go już w Kownie po przyjeździe. Podróż odbyłem dobrze. Wyjechałem wczoraj z Hagi o siódmej z minutami wieczorem. Wagon sypialny II klasy, którym jechałem do Berlina, był pełniutki. W *coupé* moim było nas dwoje, ja spałem na dole, mój towarzysz – na górze. Towarzyszem okazał się Polak, niejaki Babiński, brat posła polskiego w Hadze, sam też urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie i profesor w Wyższej Szkole Handlowej tamże. Człowiek to lat ± 40, bardzo dobrze ułożony, miły i miękki, bardzo łatwy do stosunku towarzyskiego. Sam on zaczął ze mną rozmawiać, od razu po polsku. Wiedział o mnie od sędziego Rostworowskiego, a skąd poznał, że to ja – nie wiem. Musiał mu ktoś na dworcu w Hadze powiedzieć. Był w Hadze na ślubie córki posła Babińskiego, który się w tych dniach z wielką uroczystością odbył. Rozstaliśmy się dziś rano w Berlinie w bardzo dobrej komitywie.

W Berlinie miałem półtorej godziny czasu. Nie wychodziłem z dworca. Wysłałem pocztówkę do Jadzi. Straszny był ruch na dworcu berlińskim Friedrichstrasse, na którym zawsze wysiadam. Widocznie z powodu niedzieli. Tłok w całym lokalu dworca, w restauracjach, na peronach, w pociągach.

Droga z Berlina do Kowna nie jest zbyt nudna. Urozmaicona jest tym, ze się składa z czterech różnych odcinków: a. część niemiecka, b. korytarz polski, c. Prusy i d. Litwa. Ale towarzystwo w wagonie miałem niezbyt miłe: jechała wyelegentowana, namalowana, pretensjonalna, kusząca nogami Żydówka starzejąca, udająca młodą i roztaczająca zmysłowość dokoła. Nie lubię takich. Zaczepiała młodych Niemców, wreszcie, gdy Niemcy już powysiadali w Prusiech, *volens nolens* zaczęła rozmowę z sympatycznym średniego wieku Żydem z Rygi. Nieciekawie było słuchać: cały czas się chwaliła sukcesami swymi, stosunkami, miłością ludzi. Całą drogę w przedziałce wagonu zapełniała swoją osobą.

Obie granice przejechałem doskonale. Ani na niemieckiej, ani na litewskiej nie zajrzano nawet do rzeczy moich. Wszystkie prezenciki dowiozłem do Kowna pomyślnie. Zajechałem do mojego mieszkania, które jest puste, ale w którym Anielka (mająca obecnie służbę na uniwersytecie) z polecenia listownego Jadzi zasłała mi łóżko. Pani Mašiotasowa zaś przysłała herbaty.

4 lipca, rok 1938, poniedziałek
Wyspałem się wreszcie w łóżku własnym (co prawda, pokąsały mię też „własne" pluskwy, których, niestety, w tym mieszkaniu nie ma sposobu się pozbyć, bo się gdzieś gnieżdżą za obiciem i choć Jadzia je ciągle tępi, co parę tygodni zarządzając ich pogrom generalny, wciąż się znów odnajdują, podczas gdy w Bohdanszkach w domu naszym nie ma ich nigdy). Dzień spędziłem dosyć bezbarwnie. Byłem w Banku Komercyjnym, na uniwersytecie, kupiłem do Bohdaniszek wszystko, o co mię Jadzia prosiła, ale na ogół czułem się, jak zawsze po powrocie z dalekiej podróży, trochę „*dépaysé*", jakby pijany. Ale rad jestem, że już wróciłem. Muszę jednak siedzieć co najmniej do jutra wieczór, bo mam jutro odbyć konferencję z czynnikami, kierującymi sprawą litewską przeciwko Estonii w procesie haskim i zdać im relację z tego, co się dotąd ujawniło w usposobieniach trybunalskich w sprawie. Chodzi o zorientowanie obrony. Chciałbym, aby w tej naradzie wzięli udział także prawnicy wybitniejsi, nie należący do kliki Tadeusza Pietkiewicza. Choć Pietkiewicz jest niegłupi i ma zmysł prawniczy oraz w razie potrzeby pracowitość, jednak ma wadę zbytniej zarozumiałości, zachłanności wielkiej, nie znoszącej konkurencji sądu i jest jednostronny i ciasny, zacietrzewiający się w swoich spekulacjach, raz powziętych. Trzeba przyznać, że w tej sprawie, jak dotąd, obrona litewska położyła bardzo dużo pracy, ale... pracowała poniekąd w próżni. Zebrała ogromny materiał precedensów starych z połowy wieku XIX na udowodnienie powziętych założeń, ale nie zastanowiła się krytycznie nad tym, czy te precedensy i same tezy, na rzecz których one były w swoim czasie stworzone, mają zastosowanie do obecnego konkretnego konfliktu litewsko-estońskiego. W Trybunale panuje przekonanie, przynajmniej u większości, że to bardzo mało ma wspólnego ze stosunkiem między Estonią a Litwą w tej sprawie i że skądinąd precedensy jurysdykcji różnych komisji arbitralnych z wieku XIX nie mają zastosowania do jurysdykcji Trybunału Międzynarodowego jako zgoła odrębnej i zbudowanej na zasadach innych, niż tamte stare jurysdykcje. Chodziłoby o to, żeby obrona litewska okazała się giętka i wyciągnęła wnioski z wyrażonych poglądów w Trybunale, zastanowiła się, czy nie należy ewentualnie i w czym mianowicie zrewidować dotychczasowego systemu obrony. Boję się tylko, że Pietkiewicz wszystkich dopuści do narady, tylko nie prawników, którzy by mu mogli konkurencję zrobić.

5 lipca, rok 1938, wtorek
Między południem i godziną drugą odbyła się w lokalu Gabinetu Ministrów ta narada prawników i czynników Ministerium Spraw Zagranicznych, którą zwołano na moją prośbę dla wysłuchania mojego referatu o przebiegu sprawy ekscepcji litewskich w Trybunale Międzynarodowym. Chodziło mi o to, aby oprócz Tadeusza Pietkiewicza z jego grupą, która ślepo idzie za nim albo przez pewną sugestię (Kriwicki), albo przez zaufanie do jego osoby, nic nie pojmując w kwestiach jurydycznych (Urbšys, Montwiłł), byli też prawnicy, nie poddający się ślepo hipnozie Pietkiewicza i zdolni do samodzielnego myślenia krytycznego. Chodzi bowiem o to, aby w świetle poglądów i koncepcji sędziów Trybunału, które już się uwydatniły w fazie obecnej, poddać rewizji system obrony litewskiej i zastosować go bardziej do potrzeb sprawy, którą sądzić będzie przecie nie Pietkiewicz, lecz sędziowie Trybunału. Wiedziałem, że Pietkiewicz, który jest właściwym autorem (on, a nie Mandelsztam) dotychczasowego systemu obrony litewskiej, nie da się przekonać i nic w swoich tezach nie zmieni, po pierwsze dlatego, że zawsze autor skłonny jest do obstawania przy doskonałości swojej kreacji, a po wtóre dlatego, że znam charakter Pietkiewicza, który jest zarozumiały szalenie, uparty i nawet wręcz zaciekły w jednostronnym zacietrzewieniu własnych pomysłów. Nie ma nic trudniejszego, jak go przekonać. Wszyscy mogą się mylić, tylko nigdy on. A Kriwicki idzie ślepo za nim jak cień. Urbšys i Montwiłł niedużo kapują. W naradzie więc oprócz

tych osób (Tadeusz Pietkiewicz, Kriwicki, Montwiłł, Urbšys), a także Mandelsztama i mnie, wzięli udział jeszcze: sędzia Trybunału Najwyższego i prezes Wydziału Kłajpedzkiego w tymże trybunale Danowski, pierwszorzędny prawnik-cywilista litewski, Konstanty Raczkowski – głowa otwarta i umysł dzielny, prawnik subtelny i umiejący myśleć samodzielnie, młody nasz profesor Antoni Tamošaitis, człowiek bądź co bądź nie należący do kliki Pietkiewicza i wcale nie głupi, a w każdym razie trzeźwy, i wreszcie Michał Żyliński, zastępujący bawiącego na urlopie Mašalaitisa, dosyć co prawda ulegający wpływom Pietkiewicza, ale w tych kwestiach na ogół niezbyt biegły i nie pretendujący do głosu decydującego. Najsilniejsi w tym zespole, o których mi chodziło, byli właściwie Danowski, Raczkowski i Tamošaitis. Gdyby to ode mnie zależało, byłbym do tej narady wciągnął jeszcze dwóch doskonałych prawników Żydów – Robinzona i zwłaszcza cywilistę Fridsztejna, ale cóż robić, kiedy sam fakt żydostwa uchodzi już u nas za trefny, a poza tym Robinzona Pietkiewicz specjalnie nie znosi, bo sam go wygryzł z juryskonsultury Ministerium Spraw Zagranicznych i zajął jego miejsce i Robinzona usiłuje skompromitować na każdym kroku i przedstawić go za rzekomego szkodnika interesów litewskich.

Referat mój sprawił duże wrażenie. Danowski wręcz uznał zasadność argumentów sędziów Trybunału w Hadze, kwestionujących ekscepcje litewskie, a raczej ich charakter preliminarny. Na ogół też Danowski, Raczkowski i Tamošaitis zrozumieli dobrze moje zastrzeżenia co do sztucznej konstrukcji Pietkiewicza, usiłującej uzasadniać odmowę Litwy uwzględnienia żądań towarzystwa akcyjnego estońskiego i twierdzenia o rzekomym nabyciu przez Litwę „praw własności" na kolejkę, podczas gdy tą zasadą, o wiele realniejszą i zresztą zgodniejszą z motywami odmowy, było w istocie uznanie wygaśnięcia koncesji przez uniknięcie koncesjonariusza bez zaprzeczenia zasadniczo praw tegoż, gdyby się on znalazł, co logicznie prowadzi do tezy, że towarzystwo estońskie, które twierdzi, że ono właśnie jest tym samym koncesjonariuszem, może w drodze sądowej udowodnić swoje tytuły i reklamować ewentualne odszkodowanie. Państwo nie neguje prawa, nie obala koncesji, w zasadzie szanuje ją i stoi na jej gruncie, nie przeciwstawiając jej żadnych szczególnych praw swoich, jeno kwestionuje tożsamość reklamantów z akcjonariuszami. To jest, zdawałoby się, najprostsze traktowanie kwestii, nie komplikujące zagadnienia wyczerpania instancji sądowych wewnętrznych, które jest istotnym środkiem obrony litewskiej. Natomiast przy konstrukcji Pietkiewicza, która usiłuje skonstruować jakieś prawo własne państwa na obiekt koncesji, prawo, nabyte rzekomo na skutek nacjonalizacji sowieckiej przedsiębiorstw akcyjnych, powstaje kwestia skasowania koncesji i likwidacji tejże, co wywołuje z konieczności kwestię, czy chodzi tu o spór cywilny czy administracyjny, jeżeli zaś administracyjny, to o wyczerpaniu instancji sądowych nie może być mowy, gdyż w Litwie sądu administracyjnego nie ma. Poza tym konstrukcja Pietkiewicza przeczy motywom odmowy przez organy państwowe litewskie zadośćuczynienia reklamacji towarzystwa estońskiego. Odmowa ta bowiem była motywowana nie tym, że Litwa nabyła jakieś nowe prawa, które obalają koncesję, lecz tym, że towarzystwo estońskie nie udowodniło swojej tożsamości z osobą koncesjonariusza.

Wszystkie te rzeczy muszą być dobrze obmyślone i zważone w dalszej konstrukcji obrony. Na naradzie dzisiejszej konstrukcja Pietkiewicza została zachwiana, choć bronił on jej gorąco, zapalał się i krzyczał. Jednak naprawić konstrukcję pierwotną jest zawsze trudno, bo to czyni wrażenie cofania się, a więc wykręcania się i przerzucania z jednego stanowiska na inne. Ale tym bardziej trzeba się poważnie zastanowić i dobrze wszystko zważyć. Chodzi nie o ambicje czyjeś, ale o meritum obrony Litwy.

Wieczorem wyjechałem dziś do Bohdaniszek. Cieszę się bardzo, że wreszcie zaznam wakacji u siebie i z Jadźką w kochanych Bohdaniszkach.

6 lipca, rok 1938, środa

Wyspałem się w wagonie sypialnym krótko i między godziną drugą a trzecią rano na odcinku między Suboczem a Kupiszkami już byłem na nogach. Pociąg wlókł się powoli od stacyjki do stacyjki na Abele, wystając długo na każdej. Patrzałem przez okno. Ranek był zimny, na dworze

dosyć gęsta mgła. Opary po deszczach ostatnich dni kilku. Wieś kochana litewska – jakże różna od wsi holenderskiej i w ogóle zachodnioeuropejskiej. Surowa, wiejska, niezurbanizowana jeszcze, świeża. Na stacjach ruch mały, właściwie żadnego. W Rakiszkach na dworcu kolejowym podczas gdy pociąg stoi i u wagonu bagażowego kręci się paru służących kolejowych, na peronie dwoje dziatek ciąga i wozi się w jakimś wózku, bawiąc się sielankowo. Idylla pogody i spokoju. Poranek, mgła, dzieci na peronie kolejowym, pociąg senny i pusty prawie, dobiegający do głuchej granicy łotewskiej, przez którą nikt bodaj nie przejeżdża. Jakże gorączkową wydaje się zurbanizowana wieś zachodnioeuropejska wobec naszej. Za kilka pokoleń i my zapewne będziemy mieli wieś podobną do tamtej i nasz ruch kolejowy w pociągach i na stacjach będzie tak samo nerwowy jak tam, jeżeli w ogóle koleje żelazne istnieć jeszcze będą jako środek komunikacji i nie przejdą do legendy i do ilustracji historycznych, jak dyliżanse, karetki pocztowe, omnibusy i inne środki komunikacji, które dziś tylko ze starych ilustracji znamy. Ale oto Abele. Wysiadam, posyłam do miasteczka do Radžiunasa po automobil, jadę. Niebawem jestem w Bohdaniszkach. Radość. Jadźka się mię spodziewała. Rada, wesoła; ja także. Filipek już wyraźnie zaznacza swoje istnienie w łonie Jadzi, która już bardzo mocno pogrubiała i w brzuchu i w piersiach, i z przodu, i z boku i jakby się rozrosła wszerz cała. Pierwszy etap – to demonstrowanie prezentów. Najpiękniejsze i najcenniejsze dla Jadzi. Przede wszystkim piękna bransoletka złota, która robi furorę. Nie mniejszą furorę robią koronki belgijskie. Wreszcie furorę robią też prześliczne gałganki: jedwabne różowe i morelowe w delikatne kwiatki „dessous” i pyjama, koszula nocna, udekorowana ciemnymi koronkami. Są i chusteczki kolorowe ślicznej gry barw, i małe drobiazgi dekoracyjne – „*des petits rieus*” zamiast broszek i małe cacka szklane na etażerkę, i koszyczek srebrny, i jeszcze różne drobnostki. Kapie coś i służbie – Paulince, Adeli, Kostusi.

Dzień upływa jak w bajce. Wizytę do Elwiry odkładam na jutro. Z ekonoma Radziwiłowicza, zdaje się, mała pociecha. Biedny to i niezły bodaj człowiek, ale na gospodarstwie się nie zna, nie ma inicjatywy i autorytetu, jest dość zarozumiały natomiast i uparty.

7 lipca, rok 1938, czwartek

Lato jest dosyć spóźnione. Jeszcze kukułka śpiewa, choć to już przeszło tydzień po św. Piotrze, a podług praw natury kukułka u nas ma prawo kukać do św. Piotra. Z wiosny była tutaj długa susza, rolnicy narzekali i zapowiadali naturalnie klęskę, bo ozimina była szpetna, a jarzyny i trawy z powodu suszy nie rosły. Ale w ostatnich czasach padały deszcze, łąki porosły pięknie, koniczyna jest dobra, jarzyny świetne, ozimina znośna, a gdzieniegdzie dobra. Teraz jest sianokos na łąkach i na polach koniczyny. Ale schnie niedobrze, bo deszcze po trochę wypadają i utrudniają zbiór. Dziś rano u mnie ekonom Radziwiłowicz zarządził przewracanie snopków koniczyny, aby obeschła jeszcze i po obiedzie miano zwozić. Ale w porze obiadowej lunął krótki, ale wielki deszcz i przeszkodził.

Cały dzień przeważnie kręcę się po dworze, po polach i Gaju. Dużo chodzę z Jadźką, która ma się dobrze i jest bardzo pogodna. Cieszy się i ona ze swego stanu, czeka i obserwuje ruchy i wzrost Filipka w swym łonie, rządzi się dzielnie w Bohdaniszkach. Wczoraj oddaliśmy z nią ogród owocowy w dzierżawę za 700 litów. Dawano poprzednio 1200 lt., ale to było zapewne tylko na gębę. Ostatnio nie dawano więcej nad 600. Owoców jest dużo w starym ogrodzie, nabytym przeze mnie ze spadku po Maryni, natomiast w moim młodym ogrodzie własnego sadzenia w tym roku owoców mniej. Dziś umówiłem Sinicę do budowy pierwszego piętra spichrza z kamienia. Płacić będę za budowę wraz ze szczepaniem kamieni po 8 litów za metr kwadratowy na moim stole. Drogo, ale Sinica muruje dobrze.

Wybrałem się dziś do Elwiry z wizytą. Listownie pojednaliśmy się z nią. Jest więc zgoda między nami po kwasach poprzednich i ostrym przemówieniu się, wywołanym przez ujemne, nawet wrogie ustosunkowanie się Elwiry, raczej Mieczkowskich, do mojego małżeństwa z Jadzią. Na Elwirę się nie tyle gniewałem, ile na jej dzieci – zwłaszcza Helcię, bo czuję i wiem dobrze, że to ona jest *spiritus movens* tej zaciętej niechęci do Jadzi i mojego małżeństwa i że to jej zaciekłości twardej tę przykrość ze strony Elwiry zawdzięczam. Biedna Elwira jest stara, bardzo stroskana o synów,

znerwowana, bardzo niespokojna. Ma trochę manii prześladowczej i Helcia po cichu pokątnie ją jątrzy. Żeby Elwira wiedziała, jak pragnę z nią zgody i jak daleki jestem od jakichkolwiek przeciwko niej i jej rodzinie knowań. I ja, i Jadzia, która ją kochała zawsze. W czasie mojej nieobecności Jadzia do Elwiry nie chodziła wcale, a ja w liście do Elwiry, jeszcze przed pojednaniem, prosiłem, żeby nie usiłowała widzieć się z Jadzią i jej nie wzywała. Jadzia jest poruszona tym, co do jej uszu doszło o rzekomym wygadywaniu przez Elwirę rzeczy wprost potwornych, krzywdzących, o niej. Przypuszczam, że Jadzię poinformowano o tym przesadnie i że takich rzeczy, jakie jej powtórzono z jej własnej rodziny (od Čepasów), Elwira nie mówiła i mówić nie mogła. Ale Jadzia jest tym poruszona i woli nie mieć z Elwirą i Mieczkowskimi żadnego kontaktu oprócz zresztą Andrzeja, z którym stosunek jest normalny i który sam jest na stopie wojennej w domu z powodu swej miłości ze Stefcią Lingisówną, wywołującej zgrozę Elwiry i Helci. Nie wiedziałem, jak się teraz po pojednaniu listownym ułożą nasze stosunki z Elwirą i domem Mieczkowskich. Krępowałem się iść do Elwiry, ale trzeba było w imię zgody. Przykro mi było, że muszę iść sam jeden po ślubie moim, choć zdawałoby się, że w warunkach normalnych należałoby iść z Jadzią, która przecie weszła do rodziny. Ale po tym, co zaszło, trudno było iść z Jadzią i narażać ją na upokorzenie. Ani ja, ani Jadzia tego nie chcieliśmy. Gdyby Elwira była sama jedna, poszedłbym do niej *quand meme* z Jadzią. Wobec starszej siostry, osoby już starszej i znerwowanej, trzeba zapomnieć o tym, co zaszło. To by nie było upokorzenie, tym bardziej, że Elwira w imię zgody i po przemyśleniu wszystkiego głową i sercem znalazłaby w sobie dosyć taktu i uczucia, aby być względem Jadzi grzeczną, a zapewne nawet serdeczną. Ale chodzi o dzieci Elwiry. Wobec tych głupich smyków, którzy uważają się widocznie za coś lepszego od Jadzi i uważają się za uprawnionych do przesądzenia naszego małżeństwa i zachowywania wobec niego „rezerwy", ja do nich Jadzi prowadzić nie będę. To by było upokorzeniem. O nich mi nie chodzi i ich względów zaskarbiać nie myślę. To pewne. Gdyby nie Elwira, nie poszedłbym sam do ich domu. Niech sobie myślą, co chcą i niech sądzą – to ich rzecz. Ale ja czynić im grzeczność i zabiegać o nich, gdy sami są niegrzeczni, nie myślę. Już wczoraj mię ubodło to, że gdy Michaś Mieczkowski, błazen kilkuletni bez taktu i wychowania, przyszedł do mnie z Andrzejem, a Jadzia weszła do pokoju, gdzie z nimi byłem, Andrzej, jak zwykle, pocałował ją grzecznie w rękę, Michać zaś podał jej łaskawie rękę bez słowa. To jest pierwsze jego widzenie się z Jadzią po ślubie naszym, kiedy on wie, że to jest moja żona. Krew we mnie zawrzała, bo to afront od błazna we własnym moim domu. Zwróciłbym mu ostro uwagę albo wprost wypędził z domu, gdyby nie wzgląd tylko na Elwirę. To samo Helcia. Gdym przyszedł dziś do Elwiry i siedział u niej, a weszła Helcia, bez słowa podeszła do mnie i pocałowaliśmy się zimno. Ani słowa życzeń, widząc mię pierwszy raz po ślubie, ani wzmianki o tym. To jest też pewne manifestacyjne negowanie mego małżeństwa. Ale ostatecznie to było w jej domu. Nie mogę żądać od niej innego, gdy sam przychodzę. Mogę tylko nie przychodzić. Przychodzić jednak muszę nie dla niej, ale dla Elwiry, a przychodząc muszę tolerować te manifestacje „rezerwy" Helci. Ale Michaś, błazen, sam przychodzi do mnie i w moim własnym domu pozwala sobie na ignorowanie Jadzi jako żony mojej, nie całując jej w rękę, co jest przecie u nas elementarnie przyjęte. Bydlę niewychowane i gruboskórne. Ze względu na Elwirę muszę to ścierpieć. To jest ciężkie dla mnie.

8 lipca, rok 1938, piątek

Śliczna pogoda. Przez cały dzień wożą koniczynę. Rozkoszuję się Bohdaniszkami. Wolę być tu niż w Hadze. Po trochę zbieram się do pracy, ale jeszcze niezbyt intensywnie.

Wczoraj, gdym poszedł do Elwiry, uścisnęła mię ona na powitanie bardzo serdecznie. Zabawiłem u niej z pół godziny. Rozmawialiśmy w dobrej komitywie, ale ani słowa o Jadzi i o moim z nią małżeństwie. Opowiadałem Elwirze o mojej wycieczce ze Stasią Pruszanowską, ona mi się zwierzała ze swych kłopotów z dziećmi: Andrzej wciąż próżnuje, upędza się za Stasią Lingisówną, marnuje czas, zwleka z wyjazdem do Polski, którego pragnie Elwira i Helcia, Michasia w gimnazjum w Poniewieżu zostawiono na drugi rok w klasie i Elwira myśli bądź o wysłaniu go także do Polski, bądź o pozostawieniu go na gospodarstwie w Bohdaniszkach, do czego on ochoty nie ma, ale nie

chce też za nic wracać do Poniewieża i zresztą ma już lat 19, a w klasie jest bodaj IV czy V (nie reformowanej jeszcze), skądinąd nie wiadomo, jak mu się ewentualnie uda w Polsce, tym bardziej, że się ten ewentualny wyjazd opóźni i już rok następny na szkoły będzie tam zapewne stracony. Elwira już cała zatopiona w trosce i kłopotach o dzieci. Ale o tym, co było przyczyną naszego poróżnienia z Eliwrą, nie było w rozmowie między nami ani słowa. Wytwarza to pewną drażliwość sytuacji i pewien brak szczerości w naszej zgodzie. Ja nie wiem, jak Elwira teraz traktuje moje małżeństwo i nie chcę się narzucać ani też narażać Jadzi na jakieś upokorzenie, więc nie wszczynam tego tematu drażliwego, Jadzia zresztą nie chce robić jakichś kroków dla pozyskiwania Elwiry i domu Mieczkowskich, bo ma żal do Elwiry za jej gawędy. Ja też forsować jej nie chcę, dopóki nie wiem, jak byłaby przyjęta. Nie angażuję się więc i czekam ewentualnie pierwszego kroku Elwiry. A Elwira może czeka pierwszego kroku z mojej strony. Gdyby chodziło o samą Elwirę tylko, gdyby ona była sama jedna, to by się rzecz ułożyła łatwiej, ale trudność polega na jej dzieciach – Helci i Michasiu, którzy dosyć demonstracyjnie ignorują Jadzię i moje małżeństwo, a wobec nich jako błaznów, którzy wyobrażają sobie, że mogą coś stanowić i że ja lub Jadzia mamy obowiązek pozyskiwania ich i musimy o nich zabiegać, nie chcę i nie mogę robić pierwszego kroku prezentacji Jadzi. To by było upokorzeniem moim i jej. Jeżeli oni mnie i żonę moją ignorują, to tym bardziej będę ich ignorował ja. Z Elwirą co innego, ale przez nich nie mam dostępu do Elwiry. Ona zaś tego zapewne nie rozumie. Jest to błędne koło. Przykra to dla mnie sytuacja w Bohdaniszkach.

9 lipca, rok 1938, sobota

Gorący słoneczny dzień. Wspaniale zwieziono całą koniczynę z jednego pola, w którym była ona najpierw skoszona i sucha.

Zresztą nic szczególnego nie zaszło. Codziennie powszednie kwestie gospodarskie, kręcenie się po dworze, oglądanie drzewek, zaglądanie do inwentarza, trochę pracy. Na wieczór krowa zachorowała, ale rychło wyzdrowiała, Bieliunas przywiózł z Abel ule, sprowadzone z Kowna, bo pszczoły się roją, Sinica rozbija kamienie na budowę świrna, teraz Putra z Knisy z pomocnikiem piłują deski, stolarz Grigorij robi szafę biblioteczną dla mnie, przychodził głuchoniemy stolarz z Narkun porozumieć się co do robót krzyża ozdobnego litewskiego, który mu obstalowałem. Oto i wszystko z dnia bieżącego. Kto wie, czy nie najlepszy taki dzień, kiedy nic szczególnego się nie zdarzyło. Żyje się cicho, spokojnie, niemal wegetacyjnie.

10 lipca, rok 1938, niedziela

Przyszło niespodziewanie rozwiązanie dwuznacznego stosunku z Mieczkowskimi. Rozwiązanie sprawił Julek Komorowski. Przed paru dniami posyłałem do Kowaliszek do Julka posłańca z listem. Ponieważ nie jesteśmy z Jadzią pewni, czy będziemy trzymali Radziwiłowicza za ekonoma, bo się mało zna na gospodarstwie i nie umie ogarniać całości mechanizmu gospodarczego, a co gorsze – jest zarozumiały i nie daje sobie nic wskazać, bierze każdą wskazówkę i uwagę za obrazę osobistą, więc chodziło o poinformowanie się u Julka co do osoby niejakiego Sopisa, który zgłosił swoją kandydaturę na ekonoma i który przed kilku laty służył u Julka. Przez posłańca tego wraz z listem posłałem Julkowi w upominku z Hagi ładny koszyczek srebrny do cukierków wyrobu holenderskiego. Posłaniec Julka nie zastał i na mój list o Sopisie odpisał Hektor. Otóż Julek po powrocie do Kowaliszek wybrał się z żoną, Madzią, do Bohdaniszek. Było to dla podziękowania za koszyczek i razem wizyta z Madzią u mnie i Jadzi. Wizyta, stanowiąca akt uznania formalnego Jadzi w rodzinie, akt w warunkach naszych bardzo cenny, za który wdzięczny jestem szczególnie im obojgu – Julkowi i Madzi. W swoim czasie Julek pierwszy i nieuprzedzony nawet przeze mnie, z własnej inicjatywy złożył mnie i Jadzi w Kownie powinszowanie z powodu naszego małżeństwa i – co więcej – przyprowadził do nas Madzię. Teraz powtórzył to w Bohdaniszkach. Takie zademonstrowanie uznania Jadzi w rodzinie jest aktem wielkiej delikatności i subtelnych uczuć Julka i jego żony, dla nas szczególnie cennym wobec tego, że niektórzy w rodzinie się jeszcze boczą i że zwłaszcza Mieczkowscy w Bohdaniszkach trzymali się dotąd zupełnie na uboczu, jakby negując

nasze małżeństwo. Moje osobiste pojednanie z Elwirą nie wygładziło stosunku. Pozostawało niewyraźne, czy to jest tylko zgoda osobista ze mną, czy też normalizacja stosunku domu Mieczkowskich z moim domem rodzinnym. Dotąd ani Jadzia u Mieczkowskich nie bywała, ani z ramienia Mieczkowskich nikt z kobiet (Elwira i Helcia) do nas nie przychodził. Było niedomówienie pewne i ja sam nie wiedziałem, czy to ja mam zaprowadzić Jadzię do Mieczkowskich, na co jednak trudno mi się było zdecydować, nie wiedząc, jak tam Jadzia zostanie przyjęta, czy też Elwira wybierze się do mnie, aby zamanifestować uznanie Jadzi. Zresztą i Jadzia, zażalona na Elwirę i Mieczkowskich, nie chciała się z nimi widywać. Z Elwirą na ten temat trudno mi było mówić, nie chciałem na ten temat wywoływać ewentualnych nowych kwasów i przykrości. Ale w samym dworze, wobec nawet ludzi dworskich, stawiało to Jadzię w położenie dosyć przykre osoby nie uznanej w rodzinie. Nikt we dworze nie wie, jak przyjęli moje małżeństwo inni w rodzinie. Ludzie dworscy widzą tylko stosunek nasz z Mieczkowskimi i tylko podług niego sądzić mogą. Widzą, że ani Jadzia nie bywa u Mieczkowskich, ani Elwira z Helą nie bywają u nas, a gdy ja idę do starego domu, zamieszkałego przez Elwirę, to idę tylko ja jeden, bez Jadzi. Dla Jadzi jako żony mojej jest to upokarzające. I nie wiedziałem, jak to pójdzie dalej i jak się to skończy. Wobec Elwiry byłem gotów zaryzykować zaprowadzenie do niej Jadzi bez żadnych ceregieli, ale robić to wobec Heli i wnęcać się z Jadzią do ich domu bez żadnego zaproszenia i zachęty, bez słowa życzliwego ze strony Helci, zachowującej zupełną sztywność, nie mogłem i nie chciałem. To obrażało moją dumę. Tymczasem przyjazd Julków rozwiązał tę trudność. Stało się to w sposób jak najprostszy. Julkowie zajechali do starego domu do Mieczkowskich, a następnie stamtąd całym dworem – Julek z Madzią i Elwira z Helcią i Michasiem – przyszli do mnie. Wobec wizyty Julków Jadzia nie mogła się opierać pokazaniu się gościom, a przez to samo pokazaniu się i Mieczkowskim. Ja zaprowadziłem gości do saloniku naszego, a tymczasem Jadzia się przebrała i przyszła. Przywitanie było uprzejme i gładkie. Wszyscy usiedli, toczyła się rozmowa, oglądano koronki belgijskie, które przywiozłem, niektóre inne drobiazgi, fotografie posiedzenia Trybunału Międzynarodowego w Hadze z udziałem moim. Potem w jadalnym podano doskonałą kawę, przyrządzoną przez Kazimierza, i podwieczorek z wędliny i cukierków hopjes haskich. Komitywa była zupełnie dobra i naturalna. Lody pękły z Mieczkowskimi przez Julków. Darowałem Helci sznur paciorków ładnych i kwiatki skórzane na piersi. Potem całym towarzystwem odbyliśmy spacer w głąb Gaju. Nawet Elwira się wybrała, co u niej jest rzadkie. Jadzia w tym spacerze szła z Elwirą i Helcią i rozmawiały ze sobą naturalnie, jak gdyby nigdy nic nie zaszło. Po spacerze Julkowie odjechali. Wdzięczny im jestem podwójnie. Od razu stosunek z Mieczkowskimi się wygładził i nabrał prostoty, co jest najlepsze. Prysły komplikacje, powstałe z pierwszych kwasów.

11 lipca, rok 1938, poniedziałek

Wicher szalony. Wiatr suchy od wschodu. Wożono koniczynę i siano.

Nic bardzo szczególnego nie zaszło. Wszystko idzie normalnie we dworze. Jadzia rządzi się dzielnie. Wojuje trochę z ekonomem Radziwiłowiczem, który jest ciężki przez to, że nie znosi żadnej uwagi i obraża się na Jadzię, a sam nie umie o wszystkim pomyśleć i wszystko akuratnie zarządzić. Gdyby nie Jadzia, to często krowy byłyby nie pojone, żłoby nie przygotowane dla dokarmiania krów świeżą mieszanką, skoszoną w ogrodzie, ule zapasowe i wozy nie wciągnięte pod dach etc., etc. Wszystko trzeba ekonomowi przypomnieć po kilka razy albo zrobić poza jego plecami, on zaś się gniewa i dąsa za to, a sam pomyśleć lub wykonać, co zażądano, zapomina. Trzeba i parobka donająć, bo jeden uciekł, i zająć się nawiezieniem żwiru do budowy spichrza, i cement trzeba będzie sprowadzić, i płot z siatki drucianej trzeba dokończyć zagrodzić dokoła sadzawki przy domu, i inne rzeczy pilne wykonać, a wszystko trzeba załatwiać bez ekonoma, bo on sam nie potrafi i jeszcze się gniewa. Zajęty jest tylko gospodarką rolną i na nic innego nie ma ani czasu, ani uwagi. To nie kochany śp. Pumpol, który był gospodarczy i gorący, a na wszystko miał głowę i czas. Pumpola wszyscy tu powszechnie żałują. Wszyscy bez wyjątku wspominają go dobrze. Choć bywał twardy i wymagający dla innych, to jednak był ludzki bardzo i nikt o nim złego słowa nie powie. Zwykle gdy

ktoś ze służby we dworze odejdzie lub umrze, to o nim dopiero powiadają to i owo i wszystkie grzechy jego wywlekają z przesadą. O Pumpolu nic nikt złego nie mówi. Jedyny jego grzech, wszystkim wiadomy, był ten, że pił dużo. To była jego słabość. Pił, bo był z natury gorący. Ale uczciwy był jako kryształ, miał serce i był gospodarczy.

12 lipca, rok 1938, wtorek

Jeździliśmy dziś z Jadzią do Rakiszek. Chodziło o różne sprawunki i o poinformowanie się w urzędzie hipotecznym w sprawie zatwierdzenia aktów kupna na ziemię spadkową po śp. Maryni. Jazdę – zwłaszcza w tamtą stronę – mieliśmy bardzo nieciekawą, bo z powodu suszy i wiatrów ostatniego tygodnia kurz jest na gościńcach taki, że się jedzie literalnie w obłoku piaszczystym. Rakiszek nie lubię, toteż bez wielkiej przyjemności tam jeżdżę. Tylko że jechać z Jadzią nigdy mi nie nudno. Zabawiliśmy w Rakiszkach ze trzy godziny, załatwiliśmy sprawunki, zakąsiliśmy u Pejsacha Rucha, który jest zawsze gościnny, i wróciliśmy. Deszczyk krótki, ale rzęsisty wypadł, toteż wracać było lepiej, bo kurz ustał. Wieczorem zadżdżyło się na dobre. Koniczyna sucha już zwieziona, nakoszono świeżego siana, które jeszcze leży w przekosach, więc deszcz nie zaszkodzi, a na jarzyny, na ogrody jest on bardzo pożądany, bo ziemia spragniona wody.

13 lipca, rok 1938, środa

Przyjeżdżał p. Maks Lysander z Krewien z siostrą, wdową p. Florową i synkiem. Byli u nas na obiedzie. Naturalnie, że chodziło o interes. Chodziło im o uproszenie mię o dopisek polecający na podanie Lysandra do ministra spraw wewnętrznych na rzecz uzyskania pozwolenia na wjazd do Litwy jakiegoś starego kuzyna Lysandra, który by u Lysandra w Krewnach zamieszkał, a który nie ma żadnej przynależności państwowej i siedzi jako emigrant we Francji, jest stary, samotny i zbankrutował, oraz o takiż dopisek polecający na podaniu p. Florowej do Banku Ziemskiego na rzecz udzielenia jej paru tysięcy litów pożyczki dodatkowej na remont kapitalny budynku, uszkodzonego ciężko przez burzę. Ale przy tej okazji nawiązał się nowy stosunek sąsiedzki już nie osobisty tylko ze mną, ale z nami obojgiem, z Jadzią jako żoną moją. Tą drogą, ziarnko do ziarnka, powoli konsoliduje się i utrwala towarzysko to nasze małżeństwo.

Skądinąd nic w Bohdaniszkach nie zaszło.

14 lipca, rok 1938, czwartek

Złożyłem dziś w towarzystwie Jadzi wizytę Elwirze. Posiedzieliśmy dosyć krótko, porozmawialiśmy i odeszliśmy. Nie powiem, żeby atmosfera była bardzo serdeczna, ale dosyć na to, żeby formalnie stosunek był nawiązany. O to tylko chodzi. Dom Mieczkowskich w ogóle jest dosyć dziwaczny i stosunki z nim są trudne. Przede wszystkim, panują tam wielkie kwasy wewnętrzne. Jest głęboki rozdźwięk między Andrzejem i rodziną, to znaczy matką i Helcią. Właściwie jest wojna z Andrzejem, który jednak nic sobie z tego nie robi. Elwira jest znerwowana i jak struta. Nie ma równowagi i pogody. Helcia zaaferowana, nabuntowana i buntująca przeciwko Andrzejowi, zajęta gospodarstwem, zaniedbująca się fizycznie, nudna, głęboko nienawidząca Litwę, nie mająca żadnej pogody życia i żadnej radości w sercu, przedwcześnie zatapiająca się w staropanieństwo. Michaś – mruk ciężki. Z Jadzią przywitanie jest dość sztywne, podanie ręki – bez pocałunku nawet. Jak z osobą obcą. Właściwie nie jest to dopuszczenie do stosunku rodzinnego, jeno tolerancja. Bardziej ludzki jest tylko nasz stosunek z Andrzejem, ale Andrzej jest poza rodziną Mieczkowskich. Albo go tam wcale nie ma, albo gdy jest – nie bardzo siedzi razem, bo wojna zaraz wybucha. Elwira nie umie go znosić pogodnie i cierpliwie i zaraz rozpoczyna przymówki, wypominania, gniewy, Michaś lęka się Andrzeja, trochę ciąży do niego, trochę się boczy, usiłuje być neutralny, ale jest jakiś niedopieczony. Helcia jest osią niezgody, jest jądrem histerii domowej. Która z nich większa histeryczka – Elwira czy Helcia – sam nie wiem. Nie jest to dom miły i nie jest nasz z Jadzią stosunek z tym domem serdeczny i rodzinny. I być nie może, bo Mieczkowscy są pełni uprzedzeń. W Elwirze działa znerwowanie, w Helci i Michasiu wyczuwam twardą oporną niechęć do Jadzi. Bóg z

nimi! Oby nie było formalnej kłótni, a bez serdeczności, gdy serca szczerego w tym nie ma, obejdzie się. Nie ma serdeczności, ale nie ma przynajmniej obłudy i udania.

15 lipca, rok 1938, piątek

Andrzej Mieczkowski nic sobie nie robi z wrogiego usposobienia Elwiry i Helci do jego trybu życia. Co prawda, brzydko, że w domu jest zupełnie nieużyty i że gdy siostra się zapracowuje w gospodarstwie, on palcem o palec nie stuknie i w niczym nie pomoże, nie usłuży, nie zajmie się, choćby tylko pracą doraźną. W pracowitych stosunkach wiejskich, zwłaszcza w roboczy czas latem, sam widok młodego zdrowego jak młody byczek chłopca, ba, już mężczyzny nawet, który nic zgoła nie robi, tylko je za kilku, wysypia się rano do późna, wałęsa się próżny, idzie kąpać się, gdy dokoła wre praca i na swoje usprawiedliwienie nie ma żadnej nawet intelektualnej pracy, nawet nauki, którą by był zajęty. Drugi rok Andrzej tak zbija bąki i absolutnie nic nie robi. Mógł przez ten czas choćby się przygotować się do egzaminów akademickich, zdać je i zdobyć dyplom uniwersytecki. Nie zrobił ani kroku w tym kierunku. Po prostu przekreślił swoje czteroletnie studia na uniwersytecie i utopił je w próżniactwie. A przecież jest zdolny, rozwinięty i umie pracować intelektualnie, gdy chce. Atmosfera próżniactwa i paniczykowskiego snobizmu demoralizuje go i działa rozprzęgająco jak narkotyk. Im dłużej to potrwa, tym trudniej mu będzie zabrać się do pracy i wprząc siebie do jakiejś dyscypliny obowiązku. Ale jeżeli Andrzej błądzi i sam jest swego niedołęstwa próżniaczego winny, to zaiste i matka z siostrą bynajmniej nie umiejętnie się do niego zabierają. Kłują go one szpilkami, dręczą i uprzykrzają mu życie. Im więcej one go atakują i poniewierają jego uczucia miłości do Stefci Lingisówny, tym bardziej się on do domu zraża, tym gorącej lgnie do tej miłości i tym bardziej się czuje obcy domowi i rodzinie, o nic nie dbając i coraz bezwzględniej się rozhultajając. Zaciekłość i małostkowość dokuczliwa Elwiry i Helci, które go kąsają na każdym kroku, osiągają skutek wręcz przeciwny, niż chcą one. Andrzej ma naturę kapryśną i przekorną. Zacina się i tym bardziej staje się opornym, przywyka lekceważyć względy domowe i staje się gruboskórnym. Cała nadzieja i namiętność Elwiry i Helci skierowane są do tego, aby czym prędzej i za wszelką cenę wyszturchać Andrzeja do Polski. Pod tym względem Andrzej dał się niby przekonać. Jest to bowiem dla niego linia najmniejszego oporu, która najlepiej licuje z rozhultajeniem. Tu trzeba byłoby zdobywać pracę i chleb, ewentualnie żenić się z Lingisówną i ją utrzymywać o własnych siłach, bo matka nic by mu nie dała na pozostanie w Litwie i na ten ożenek. A o pracę i stanowisko niełatwo, zwłaszcza bez obywatelstwa krajowego, bo Andrzej dotąd żadnego obywatelstwa nie ma. Wyjazd do Polski po pierwsze zapewnia Andrzejowi pewną pomoc materialną matki, a po wtóre, daje mu tutaj swobodę rozwijania miłostki z Lingisówną bez obowiązku ożenki, bo się nazywa, że będą na siebie czekali i pobiorą się za kilka lat, gdy Andrzej się w Polsce urządzi. Ale dobrze mu tymczasem tu z tym firmowym wyjazdem do Polski, który go oswobadza od odpowiedzialności natychmiastowej. Ma tymczasem utrzymanie w domu i ma słodycz miłości z panną. Nie śpieszy się więc wypchnąć, robi niby starania, ale powoli, a tymczasem czas biegnie i wszystko się wlecze jak poprzednio. Dom jest dla niego rodzajem bezpłatnego hotelu, sam ciągle lata, jeździ, biega, ma przyjaciół i towarzyszy (Antoś Rosen, Andrzejewski, Henio Lisiecki, Żemajczuk z Bortkiszek...), latał za panną, która zimę spędziła na stanowisku nauczycielki ludowej za Jużyntami, święto spędzała u rodziców w Staczeragach, ostatnio bawiła w Rakiszkach, teraz pojechała na kursy pedagogiczne do Kowna i zasypuje Andrzeja pocztówkami, a teraz Andrzej, korzystając ze zniżki kolejowej z okazji olimpiady narodowej sportowej w Kownie, leci na parę tygodni do niej do Kowna pod pretekstem wobec matki dalszych starań o przyśpieszenie pozwolenia z poselstwa polskiego na wyjazd do Polski. W Kownie Andrzej ma kolegów uniwersyteckich i przyjaciół Litwinów, rozszerzył tam koło znajomości, więc pobyt nie będzie go kosztował, a dla spotęgowania usłużności tych przyjaciół zaprasza ich i ściąga do Bohdaniszek. Teraz bawi u niego speaker radiowy kowieński, sympatyczny poeta Inčiura, z którym Andrzej niedawno w Kownie poznał się i zbliżył, dziś miał przyjechać jego kolega uniwersytecki, sympatyczny Pauža i drugi Andriunas. Elwira z Helcią, uprzedzone do wszystkiego, co litewskie, zapatrzone w doskonałość polskości, zapewne z przekąsem patrzą na ten zalew domu przez gości

Litwinów. Andrzej zaś żartuje (a prawdopodobnie na serio chciałby tego), żeby się Helcia w jakim z tych młodych Litwinów zakochała i wtedy poczuła, co to jest miłość i jak ona tę ścianę narodową, o którą Helcia z Elwirą tak bezwzględnie wojują, osłabia i niszczy. Nie mówi tego Helci, ale za jej oczami żartuje. Tylko że Helcia jest zanadto zaciekle nastawiona, aby się urokowi wdzięcznemu miłości poddała. I kto wie jeszcze, czy Andrzej nie spłata Elwirze figla i nie zostanie w Litwie, zamiast jechać do Polski. Tymczasem nazywa się, że się wybiera do Polski i że robi starania o wyjazd i to mu daje pretekst do próżnowania i do swobodnego używania miłości bez wiązania się małżeństwem i wywoływaniem burzy. Ale sam się, choć bardzo poufnie, zwierza, że gdy się to bardzo przeciągać będzie, to wstąpi tu na ochotnika do wojska i zostanie. Znalazłby siaką taką prace, uzyskałby obywatelstwo, ożeniłby się i siedział w kraju. Ma tu znajomości, ma stosunki, pracę znajdzie. I kto wie, czy to nie byłoby najmądrzejsze. Ale dla Elwiry i Helci byłby to cios, rażący boleśnie ich ambicję i ich nacjonalizm wściekły. One by tego łatwo nie strawiły. Ale czas ukoiłby wszystko.

16 lipca, rok 1938, sobota

Pełne lato. Upały. Noce tylko chłodniejsze, wieczory miłe. Ale wszystko jeszcze na polu stoi nietknięte i rośnie, oprócz koniczyny i siana skoszonych.

Ekonoma nowego mego, Radziwiłowicza, nie odprawiłem, choć opinia ogólna o nim jest ujemna, że się nie zna na gospodarstwie, że robi kapitalne błędy, że nie ma daru organizacyjnego i gospodarności. Parobcy i służba podśmiewają się z niego, Jadzia była już zwątpiła w jego zdatność i pisała mi do Hagi, że nic z tego ekonoma nie będzie i że choćby go szkoda osobiście – trzeba go jednak będzie zmienić, żeby nająć nowego, póki jeszcze my będziemy w Bohdaniszkach, jednak obserwując go nie jestem tak sceptycznie do niego usposobiony. Stwierdzam, że się stara bardzo, że w kwestiach gospodarstwa rolnego ma jednak swoją opinię i metodę, a człowiek wydaje się uczciwy, mocno i ciężko doświadczony przez życie, człowiek, który dużo przeszedł, był na wozie i pod wozem. Zatrzymam go na próbę na pierwszy rok. Zobaczymy, jak się wygospodarowuje z poszorem, jak da radę przez zimę, gdy będzie sam. Uwzględniam, że pozycja jego jest na początku trudna. Nowy człowiek we dworze na stanowisku odpowiedzialnym i względnie wysokim, obejmujący te stanowisko po doskonałym gospodarzu, jakim był Pumpol, to ciężar nie lada. Całe środowisko służby dworskiej ma wzrok utkwiony w niego, śledzi każdy jego krok, zaobserwowuje i złośliwie cieszy się z każdego błędu, jaki w jego działaniu spostrzeże. Nie trzeba się tym zbytnio przejmować i zbyt prędko sądzić człowieka. Zdaje się mieć jednak zalety, a nie same tylko braki, jak skłonna jest twierdzić zgraja służby, niechętnej nowemu przełożonemu, nieufna i konserwatywna, uprzedzona wobec człowieka nowego. Mnie się on dosyć podoba.

17 lipca, rok 1938, niedziela

Upał. Teraz już i noce są gorące. Źle się śpi w nocy, bo przez dzień pokój nagrzany, przewiewu nie ma, a raniutko od świtu muchy dokuczają i robi się duszno, bo nasze pokoje sypialne są od wschodu i słońce je od rana nagrzewa, dając też pobudkę muchom do energii. Mało jest much w pokoju, ale wystarczy jedna-druga dokuczliwa, żeby przeszkadzać spać rano, tym bardziej, że trzeba się od nich zakrywać kołdrą, a pod kołdrą nieznośnie gorąco. Lepiej się śpi we dnie po obiedzie na trawie w cieniu, za domem: wietrzyk przewiewa i ma się wrażenie chłodku miłego.

Niedziela. Nie lubię tego dnia na wsi, bo ludzie, spracowani w polu przez tydzień, wariują. Dokoła zabawy – wieczorynki, giegużinie taneczne wieczorem po wioskach. Cała młodzież z okolicy pędzi na zabawę i przy tej okazji pije się dużo wódki i powstają bójki. Zdaje mi się, że dawniej w naszej okolicy nie było takich bójek, jak teraz i nie pito tak dużo. Wódka domowa – to plaga wiejska. Rząd ją prześladuje, ale to mało skutkuje. Zresztą wieś ma na to sposób. Nie zabronione jest piwo domowe („alus“) na własny użytek bez sprzedaży. Otóż pod pretekstem piwa wyrabiają się i pochłaniają trunki, które właściwie są taką samą wódką, tylko nie pędzoną ze zboża; ze smacznym piwem domowym litewskim, znakomitym i zdrowym trunkiem, gotowanym ze słodu jęczmiennego z

chmielem, to quasi-piwo, obecnie używane do uroczystości i zabawy, robione z buraków i cukru, nic wspólnego nie ma. Służy ono po prostu do upijania się brutalnego. Te wieczorynki i giegużinie, tak rozpowszechnione obecnie, urządzane najczęściej pod jakąś firmą šaulysów czy jaunalietuwisów publiczne za opłatą, bardzo mało mają wspólnego z tymi wieczorkami kulturalnymi i idealistycznymi z doby odrodzenia narodowego, jakie były się rozpowszechniały u nas przed samą Wielką Wojną. Tam każdy taki wieczorek był epizodem budzenia się narodowego i tchnienia wolnościowego. Przewodziła mu wtedy młodzież najczęściej socjalistyczna, a w każdym razie rewolucyjna i narodowa; były przedstawienia amatorskie, śpiewy, deklamacje, zabawa taneczna, ale także szepty rewolucyjne, rozmowy i czasem nawet mówki, o ile policja nie słuchała, na temat wolności narodowej i politycznej. Tam był idealizm i tęsknota kiełkująca, tu teraz rozpasanie jakieś pijaństwa, burd brutalnych, fantazji zgoła bezideowej. W dniu powszednim – ludzie pracowici, skupieni, mądrzy. W niedzielę w gorący czas letni ci sami ludzie rozpróżniaczeni, rozwałęsani, pędzący na odpusty, bo to dziś zwłaszcza fest wielki w Krewnach i bodaj Abelach, po wszystkich drogach i gościńcach dudnią od rana do wieczora furmanki, bo to przy tej okazji znajomi i krewni odwiedzają się z parafii dalszych do parafii odpustowej, krzyki, śpiewy pijane pod wieczór na gościńcach, pod wieczór młodzież męska ciągnie gromadami z pieśnią na wieczorki i majówki okoliczne, dziewczyny niespokojne, nerwowe, rwące się na zabawę, tracące głowę, usposobione histerycznie. W nocy ze wszystkich stron wieś rozbrzmiewa dalekimi pieśniami, krzykiem, szczekaniem psów po zaściankach, cała wieś jakaś naelektryzowana, niespokojna, rozkiełznana. Nie lubię tego, a Jadzia tego nie znosi i irytuje się ogromnie. Jakiś sabat ogarnia wieś litewską, fantazja bujna zespala łby statecznego ludu litewskiego, który ma w sobie jednak temperament, a zwłaszcza namiętność brawury i popisów. Tylko pieśń, która się rozlega z bliższych i dalszych stron horyzontu, jest ładna, ale cała jej wieczorkowa inscenizacja ładną nie jest. Przed tygodniem na dorocznej zabawie starowierów Moskali u jakiegoś źródła tradycyjnego w lesie za Abelami w dniu św. Piotra starego stylu policjanci litewscy po zabawie sami się upili, pobili i jeden został przez drugiego zastrzelony. Dziś też słychać, ze w Boniuszkach na giegużini jaunalietuwiów doszło do bójki wśród młodzieży męskiej, podochoconej „piwem”. W Bohdaniszkach u Elwiry też jakiś zjazd gości, dużo młodzieży, zabawa przez całą noc, tańce, młodzież mieszana, koledzy Andrzeja, panny z dworków okolicznych, chłopcy, obijający progi sąsiedzkich zabaw, zbieranina *minorum gentium* z drobniejszej szlachty i trochę Litwinów folwarkowych, panienki i kilku ze „złotej” młodzieży próżniackiej, bawiącej się w paniczyków, choć zgoła bez złota – młodzi Mieczkowscy, Budkiewiczowie młodzi z Rumiszek, Henio Lisiecki, Antoś Rosen, Andrzejewski, panny Tupalskie z Gotyńca, niejaki Stołyka spod Jezioros, Bałtus, Pauża... Język litewski miesza się z polskim – miły zwierzyniec byczków ludzkich i cieliczek głupkowatych, światek lokalny, udający arystokrację. Naturalnie, że tam nie byłem, bo mię to nie zajmuje. Poziom w stylu Budkiewiczów.

Złożyłem dziś w towarzystwie Jadzi wizytę jej rodzicom Čepasom w zaścianku Jadzi. Jest to wizyta u „teściów”, musiałem to uczynić dla Jadzi. Kocha ona swoją rodzinę bardzo, ale biedaczka jest skromna i nie narzuca mi jej wcale. Sam jej zaproponowałem tę wizytę. Przyjęli nas rodzice Jadzi herbatą. Matkę Jadzi pocałowałem w rękę z ojcem uścisnąłem się. Zresztą tytułujemy się przez „pan”, „pani”, bo i moje stanowisko rektora i profesora, i mój wiek bądź co bądź nas dzieli i nie pozwala traktować się w szablonach teściowo-zięciowych.

18 lipca, rok 1938, poniedziałek

Znowu upał szalony. Ale na noc zapowiada się już burza lub deszcz. W samą porę, bo akurat skończono dziś zwozić całą koniczynę i siano, a jutro rozpoczyna się orka, dla której zmiękczenie ziemi przez deszcz jest dobre. Zresztą deszcz pożądany jest na wszystko, co rośnie – na jarzyny, na kartofle, na warzywa. Poszoru zebrałem w Bohdaniszkach przeszło 70 wozów parokonnych.

19 lipca, rok 1938, wtorek

Dziś był pierwszy dzień egzaminów wakacyjnych w tym roku. Odtąd przez cały czas mojego pobytu w Bohdaniszkach do 1 września egzaminy te będą się odbywały regularnie po trzy dni na tydzień. Nowa „seniunė" mojego seminarium, studentka Paulina Zabulytė, przysłała mi już listę grup egzaminowych studentów. W każdorazowej grupie jest po pięciu studentów. Dziś przyjechała pierwsza partia. Przyjechali wszyscy pięciu, prawnicy; egzamin z części ogólnej kursu prawa konstytucyjnego dla prawników. Było czterech Litwinów i jeden Żyd. Do zmroku zaledwie ukończyłem pracę egzaminową, wciąż przerywaną innymi zajęciami. Musiałem się umawiać z majstrami. Szerszanow z towarzyszami wyrówna mi drogę podjazdową do domu i może uporządkuje mi drogę polową z góry w dół wzdłuż starego ogrodu. Inny majster, Litwin, dokona remontu chlewów, które mi pozostały na ziemi nabytej od Maryni (na brzegu starego ogrodu), postawi przy studzience błotnej na Prudelisie łazienkę, w domu obije deskami klatkę schodową i w jej przedłużeniu na piętrze wybuduje z desek na lufcie salkę letnią dla służby. Słowem – remontów różnych, urządzeń i budowania mam dużo na lato tegoroczne, bo i Sinica śpiesznie się zabiera do murowania z kamieni pierwszego piętra świronka, jeden stolarz (Grigorij Kliczniow) robi szafę biblioteczną, drugi (głuchoniemy z Narkun) – krzyż kapliczkowy litewski z dębu.

W nocy wypadł deszcz obfity i dzień był dziś mglisty i lekko zadżdżony. Powietrze znacznie ochłodło.

20 lipca, rok 1938, środa

Trzy dni egzaminów studenckich dzień po dniu. Dla mnie, jako egzaminatora, to trochę za ciężko na odpoczynek wakacyjny. Dziś był dzień drugi, jutro – trzeci. Znowu dziś przyjechali wszyscy studenci zapisani do listy, pełna piątka. W ich liczbie była jedna studentka, miła dziewczyna, panna Ramoškaitė. Trafili się w tej grupie studenci zamożniejsi, materialnie lepiej usytuowani, starsi, w ich liczbie był voldemarasowiec Bartuška, były lotnik, obecnie urzędnik Ministerstwa Finansów, człowiek rozwinięty i starszy. Przyjechali automobilem najętym z Kowna, co od razu zaimponowało Kazimierzowi, łakomiącemu się zawsze na napiwki od studentów i dogadzającemu im, a węszącemu zawsze wśród nich bogatszego. I zarobił też od nich dzisiaj Kazimierz coś z 8 litów.

Po obiedzie, jeszcze przed odjazdem studentów, przyszedł z Kowaliszek posłaniec z wieścią od Hektora, że Jadzia Römerówna antonoska z Genewy przyjechała do Litwy i dziś zwiedza Antonosz, wieczorem zaś przyjedzie z Hektorem do Bohdaniszek. Niezwykły i drogi gość, bo Jadzia Römerówna nie była w Antonoszu od lat przeszło 20, to znaczy aż gdzieś przed Wielką Wojną, kiedy przyjeżdżała do Antonosza co roku na lato z ciotką swoją, p. Jadwigą Jundziłłówną. Ani ona, ani żaden z jej braci w Litwie nie zamieszkał. Wszyscy przyjęli obywatelstwo polskie. Bronek został w roku 1918 rozstrzelany przez bolszewików nad Ładogą, pochwycony przez nich, gdy się przedzierał z towarzyszem przez terytorium sowieckie na północ na Murman, gdzie się tworzyły oddziały zbrojne polskie. Maciej z rodziną mieszka w Warszawie; był w wojsku polskim, obecnie jest urzędnikiem cywilnym. Tadeusz jest w dyplomacji polskiej. Długo był sekretarzem poselstwa w Rzymie, potem posłem w Portugalii, obecnie ambasadorem polskim w Tokio. Przyjeżdżał w jesieni roku 1936 do Litwy, odwiedzał Antonosz. Jadzia ma posadę w Lidze Narodów w Genewie, gdzie mieszka z ciotką Jundziłłówną. Odwiedzałem ją tam w jesieni roku 1933. Do Litwy i Antonosza Jadzia po raz pierwszy po wojnie przyjechała. Czekaliśmy na ich przyjazd długo. Wreszcie przed zmrokiem przyjechali autem rakiskim. Przyjechali we troje – Jadzia, Hektor Komorowski i Madzia Julkowa. Byli w Antonoszu, w Abelach, stamtąd dotarli do Bohdaniszek. Jadzia bardzo ładnie wygląda, młoda jeszcze, choć już ma lat koło 37, jest bardzo wyrazista, ma miły wzrok i uśmiech pełen wdzięku, głos ma podobny do Römerów antonoskich. W Bohdaniszkach zajechali wpierw do Mieczkowskich, ale Elwiry nie zastali, bo była w Antuzowie, tylko Helcię i Michasia (Andrzej wyjechał do Kowna). Od Mieczkowskich zaraz przyjechali do mnie. Wyszedłem na ich spotkanie z moją Jadzią i starym Kazimierzem, uszczęśliwionym, że jeszcze przed śmiercią jednego z antonoskich Römerów zobaczy. Moja Jadzia była nieco onieśmielona. Zresztą jest ona dzikuska i

wobec ludzi mało znajomych nieskora do rozmowy. Milczy biedaczka, czasem coś bąknie nieśmiało, ale się nie tropi, obserwuje wszystko, a milczenie pasuje do niej. Jest bardzo na miejscu, skromniutka i cicha, dyskretna. Podobała się mojej Jadzi Jadzia Römerówna. Jadzia dała gościom kawy, wędliny, kurczęta, sałatę, cukierki śmietankowe domowe, kruche ciasteczka herbatnie domowe; ja dałem starego węgrzyna. Po kolacji długo jeszcze siedzieliśmy w saloniku naszym na miłej i łatwej gawędce. Byłem w dobrym usposobieniu, dużo mówiłem i żartowałem. Jadzia Römerówna znajdywała, że staję się coraz bardziej podobny do licznych w rodzinie naszej portretów pradziada Michała Römera, luminarza ukochanego naszej gałęzi rodowej, które imię i tradycja dotychczas nas, jego już prawnuków, wiąże w ściślejszą grupę rodzinną. Przyjemnie zeszedł czas. Wyjechali koło jedenastej w nocy.

21 lipca, rok 1938, czwartek

Trzeci dzień egzaminów studenckich w tym tygodniu, dzień po dniu. Trochę za dużo. Znowu pięciu studentów. Egzaminy z przerwami prawie do wieczora. Tym razem egzaminy z prawa konstytucyjnego litewskiego.

Wieczorem wysłałem pod opieką studentów do Kowna 13-letniego Janiuka Bieliuniuka, syna mego ogrodnika Norberta Bieliunasa. Janiuk, chłopczyk bardzo sprytny, zdolny, żywy, zręczny i chętny do każdej roboty, ukończył tej wiosny z moją pomocą całkowity kurs sześciu oddziałów szkoły początkowej w Rakiszkach. Chciałem go oddać do szkoły ogrodnictwa na Fredzie pod Kownem. Okazało się jednak, że jest za młody. Wobec tego z porady Jadzi zwróciłem się do p. Stefana Geysztora w Szałtupiu pod Kownem (teścia Litki z Komorowskich Geysztorowej), doskonałego rolnika i w ogóle świetnego gospodarza, który z majątku swego zrobił złote jabłko, prosząc go o przyjęcie Janiuka na praktykę do ogrodów. P. Geysztor zgodził się go przyjąć do Wszystkich Świętych. Janiuk więc wprost z Kowna uda się jutro autobusem do Szałtupia. Wyjechał uszczęśliwiony, bo to chłopiec, który niczego się nie boi i ciekaw jest życia i świata. Nigdzie dalej poza Rakiszki nie wyjeżdżał, nie zna Kowna, które w pojęciach młodego pokolenia na wsi litewskiej jest ucieleśnieniem przepychu i marzeń.

W związku z wizytą wczorajszą Jadzi Römerówny antonoskiej nadmienię o pewnych projektach na Antonosz. Chodzi o to, żeby ten dwór rodowy Römerów, gniazdo Edwardowiczów, to znaczy najstarszej gałęzi potomstwa pradziada Michała, zachować w rodzinie i ustrzec od przejścia w obce ręce poza rodzinę. Obecni właściciele Antonosza Bronisławowicze, Maciej, Tadeusz i Jadzia Römerowie, dzieci stryja Bronisława, najmłodszego syna dziada Edwarda, który w Antonoszu stale mieszkał, urządził ten piękny majątek, zasadził park sosnowy nad jeziorem, zwany „Borkiem", wybudował piękny pałac, kochał Antonosz i wychował w nim dzieci swoje (stryjów Alfreda, Izydora, Edwarda, Bronisława i Elżusię, późniejszą Bolesławową Römerową), są obywatelami polskimi, w Antonoszu nie mieszkają i już do niego nie wrócą. Ale zachowali oni wielki i gorący pietyzm do tego gniazda rodzinnego, w którym sami w dzieciństwie przebywali albo przynajmniej po wczesnej śmierci rodziców przyjeżdżali z ciotką Jundziłłówną na wakacje i które było siedzibą ich ojca i ich dziada. Dzięki zabiegom Hektora Komorowskiego, ich przyjaciela, który pod tym względem położył zasługi niewątpliwe, Antonosz udało się ustrzec od konfiskaty, która mu groziła ze względu na fakt służby Macieja w wojsku polskim. Reforma agrarna dotknęła oczywiście Antonosza, który został okrojony, stracił lasy i znaczną część obszaru rolnego, rozparcelowanego na rzecz małorolnych i bezrolnych. Samo centrum w ilości 80 ha ocalało; ocalało też jezioro i ma być jeszcze zwrócony folwark Burakiszki. Hektor siako tako Antonosz utrzymał; jest on dziś już od szeregu lat w dzierżawie. Przed laty 10 próbował instalować w Antonoszu jakieś przedsiębiorstwa Eugeniusz Falejew, ale nic z tego nie wyszło. Ale teraz Antonoszowi grozi sprzedaż przymusowa ze względu na to, że jest on własnością cudzoziemców – obcych poddanych. Termin sprzedaży już był upłynął, ale został prolongowany ze względu na konieczność załatwienia formalności przyznania własności Römerów antonoskich. Teraz te formalności skończone, własność jest uporządkowana i konieczność sprzedaży staje się nieodwołalna.

22 lipca, rok 1938, piątek

Po skończonym sprzęcie siana i koniczyny i po zaoraniu tej części koniczyniska, która idzie w jesieni pod żyto (doorano po raz pierwszy znaczną część dużej łąki, przed sadzawką kąpielową – zobaczymy, czy się to uda, Papa nigdy tej łąki nie orał, bo łąka jest dobra, a choć ma wzniesienie pochyłe, jednak bywa mokra, zwłaszcza w latach, kiedy nie ma suszy) – w gospodarstwie polnym robót prawie nie ma. Do żniw jest czas spokojny. A choć żyto już po trochę bieleje i nie bardzo w tyle od niego pozostaje jęczmień, to jednak, zwłaszcza o ile nadal padać będą deszcze, do żniw upłynie jeszcze ze dwa tygodnie. Tylko baby mają w polu i ogrodach robotę plecia. Wobec tego prace się ześrodkowują na budowach wewnętrznych. Szczególnie na budowie świronka z kamienia przez Sinicę. Przywieziono już z Rakiszek sporo cementu, nawozi się żwir z Borówki, wykopują się i dowożą do świronka kamienie spod rozebranych budynków na ziemi, nabytej ze spadku po Maryni, z chatki parobczanej, niegdyś chaty ogrodnika i z obory Maryni nad dużą sadzawką dworską. Wykonywują się też różne inne porządki dworskie. Ukończono nowe ogrodzenie z siatki drucianej dokoła sadzaweczki przy domu i rozbiórkę starego ogrodzenia takiegoż wzdłuż drogi podjazdowej. Wewnątrz ogrodzenia sadzawki przy domu mieści się teraz mój „ogród zoologiczny”: łabędź, bażanty, gołębie i Saima w swej budce.

23 lipca, rok 1938, sobota

Trzecia „miesięcznica” naszego ślubu z Jadzią. Jesteśmy „młodym” małżeństwem, ale rzeczywiście też kochamy się jak po ślubie. Z wieku jestem co prawda starym mężem, a z daty faktycznego związku naszego też mamy już długą przeszłość za sobą, ale na świeżości uczucia i stosunek nasz nic nie stracił przez czas, zaś ślub zawarty nas spoił jeszcze więcej. Dużym też i ważkim spoidłem jest Filipek w łonie Jadzi, który coraz to dojrzewa i rusza się bardzo. Dałby Bóg, żeby to dziecko szczęśliwie na świat przyszło i hodowało się zdrowo nam i krajowi na szczęście i pożytek.

Rok 1938 jest bogaty w małżeństwa w rodzinie Römerów. Trzecia Römerówna niebawem wychodzi za mąż. W czerwcu wyszła za mąż Teresa Maciejówna za Iwanowskiego i Zosienia Eugeniuszówna za Jana Hempla, a oto 14 sierpnia wyznaczony jest w Cytowianach ślub Gieni Eugeniuszówny ze Stanisławem Hemplem, bratem Jana. Gienia nie wychodzi tylko, ale wyskakuje za mąż jak z procy. Poznała się ze swym narzeczonym na ślubie siostry w d. 5 czerwca, w trzy dni była już z nim po słowie i w dwa miesiące od poznania się będzie żoną i będzie miała męża. Daj jej Boże szczęścia, bo to dobra i dzielna dziewczyna. Eugeniuszostwo zaprosili mię serdecznie na ten ślub. Pojadę. Przygotowuję już mowę na wesele.

Chcę jeszcze tu dodać o Antonoszu, co nie dokończyłem w dzienniku pozawczoraj. Już przed dwoma laty, gdy Tadzio Römer przyjeżdżał do Litwy, byłem proszony przez niego i Hektora, abym przyjął na swoje imię własność Antonosza, który musi być sprzedany jako należący do obcych poddanych, ponieważ wszyscy troje Römerowie antonoscy – Maciej, Tadeusz i Jadzia – są obywatelami polskimi, a w obce ręce sprzedać tej ojcowizny i w ogóle pozbyć się jej nie chcą. W zasadzie się zgodziłem wtedy. Teraz nie bardzo bym tego życzył. Byłem już napisał do Hektora, który się sprawami antonoskimi zajmuje, że wolę nie brać Antonosza na moje imię, ale po rozmowie z nim i Jadzią Römerówną uległem. Naturalnie nic mię to nie powinno kosztować. Zajmować się Antonoszem, wydzierżawiać go, dokonywać wszelkich wypłat, remontów, opłacać podatki będzie Hektor, który też będzie robił starania o odszkodowanie za to, co wzięto na reformę agrarną i zajmie się sprzedażą folwarku Burakiszek. Ja testamentem opiszę Antonosz na syna Macieja Römera i zastrzegę sobie prawo sprzedania Antonosza w terminie jakimś, o ile na moje żądanie nie uwolnią mię od tej własności fikcyjnej, bo mogą zajść okoliczności, np. śmierć Hektora, które mi mogą narzucić ciężar zajmowania się tym majątkiem, który w istocie moim przecie nie będzie. Długu żadnego na Antonoszu nie ma. Zdaje się, że to pojęcie własności niczym mi nie grozi i nie naraża, ale w każdym razie jest to pewien ciężar i zobowiązanie.

24 lipca, rok 1938, niedziela

Choć niedziela, ale cicha. Wczoraj w sobotę wieczorem nie słychać było dokoła w okolicy śpiewów, jak przed tygodniem; deszcz lał, cały tydzień było mokro, wszędzie błoto, żadnego festu nie ma, gospodarze znękani gnijącą na polach koniczyną albo sianem. Nie ma humoru, nie ma majówek, natura nie usposabia do wesela. Dziś także jest cicho. Ani dźwięki muzyki tanecznej, ani śpiewy chórów nie rozbrzmiewają w okolicy. Ale już dziś deszcz nie padał, choć pogoda bardzo niepewna, chmurzy się, trochę grzmiało, czuć deszcz w powietrzu, parno nieco. Za to natura się bawi. Roślinność bujniejsza, wieczorem stawy zaczynają grać dyskretny hymn żabi, który nie jest u nas tak głośny i rozśpiewany, jak nieco bardziej na południu, w Polsce, gdzie staw ze stawem rozmawia pieśnią chóralną żab, zabierając głos po kolei, jak w debatach czy koncercie dobrze zorganizowanym. W nocy dochodzą z pola przez okna otwarte różne głosy ptasie. Derkacz wodzi swoje pisklęta po zbożu, na stawie kąpielowym w dole nagle się rozlegają kwakania kaczek przelotnych... Nastał czas polowania, sezon myśliwych; od paru dni na kaczki, niebawem na cietrzewie. Czekam przyjazdu mojego przyjaciela, prof. dr Gudowicza z psem Aitvarasem. Jest to myśliwy zawołany. Dziś był list od niego. Przyjeżdża za tydzień w niedzielę, na cały sierpień.

25 lipca, rok 1938, poniedziałek

Pogoda dziś dotrzymała. Zabierało się trochę na deszcz, krążyły po kresach horyzontu ciężkie chmury, grzmiało nawet z daleka, ale się wszystko rozeszło i dzień się skończył pogodnie. Zresztą u mnie w moim gospodarstwie na polu jest chwilowy zastój. Poszor w odrynie, żyto kosić zaczną dopiero w przyszłym tygodniu, jest trochę do bronowania, ale to się zrobi jutro. Tymczasem więc wożono żwir na budowę spichrza. Ekonom na wiosnę namówił Jadzię do posadzenia rzepy w nowym ogrodzie owocowym na karm jesienny dla bydła. Przed kilku dniami zaczęto ją pleć; Jadzia dziś to plecie przerwała, bo robaki się rzuciły na rzepę i kończą ją niszczyć. Uratować nie da, a plecie kosztuje po kilka litów dziennie. Plecie służy tylko robakom, bo ułatwia im teren żeru. Ekonom ani pomyśli o tym; widzi, że robaki kończą pożerać liście rzepy, a on ją piele najspokojniej, jakby nigdy nic.

W Gaju od kilku dni obozują Cyganie, coroczni goście moi. Jest kilka rodzin Tumarewiczów i Bohdanowiczów z niezliczonym mnóstwem dzieci. Stanęli na łące przy gościńcu pod Karwieliszkami. Grasują po dworze i zaściankach okolicznych, żebrząc.

26 lipca, rok 1938, wtorek

Druga trzydniówka egzaminów. Dziś jednak przyjechało studentów niedużo, tylko trzech, toteż egzaminy skończyły się zaraz po obiedzie. W liczbie trzech egzaminujących się był znany Mačiuika, jeden z lepszych byłych oficerów awiacji, który w swoim czasie odegrał też rolę polityczną; w grudniu roku 1926 był jednym z najczynniejszych wykonawców zamachu stanu, a w roku 1934 skompromitował się w niedoszłym przewrocie Voldemarasa. Uwolniono go wtedy z wojska i ze względu na to, że stracił zdrowie na skutek ran i skaleczeń w kilku awariach lotniczych, którym uległ, dano emeryturę. Drugim był Vitiušis, nadleśniczy (miškų urėdas) z Płungian i poseł do Sejmu. Zresztą ci dwaj zdali bardzo słabo, jak zwykle ludzie w dojrzałym wieku i zajmujący dosyć wysokie stanowisko społeczne, którzy są prawie zawsze bardzo nędznymi studentami. Ale przyjechali za to z pompą, autem prywatnym z Kowna, i Mačiuika, odjeżdżając, dał Kazimierzowi 10 litów gościńca.

Rozwiesiłem dziś wreszcie portrety rodzinne w mojej galerii portretowej, która zajmuje jedną ścianę w moim gabinecie na górze, naprzeciwko biurka mego, i trzy ściany w pokoju ciemnym obok, który stanowi przedłużenie mojego gabinetu. Ten pokój wewnętrzny bez okien na zewnątrz, bo go od zewnątrz oddzielają lufty poddasza, mieści się między moim gabinetem, od którego jest oddzielony cienką ścianą, oszkloną w znacznej części, i szklanymi drzwiami, a dużym południowym pokojem rogowym, w którym się mieści moje archiwum i w którym w tym roku ma zamieszkać Gudowicz. I od tamtego pokoju drzwi są do pokoju wewnętrznego oszklone. Pokój wewnętrzny, choć bez okien,

nie jest przeto zupełnie ciemny, jeno nieco ciemnawy. Portrety zawieszone są w takim porządku. Na ścianie gabinetu wiszą cztery duże portrety herbowe pierwszych protoplastów rodu od czasów, gdy ród nasz osiedlił się w Rzeczypospolitej Polsko-Litewskiej na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego i wrócił z protestantyzmu do katolicyzmu, co miało miejsce w wieku XVII, gdy Matyasz Römer, generał artylerii, który był stronnikiem Rzeczypospolitej w Inflantach, uchodzić musiał stamtąd przed Szwedami i porzucił dobra swoje (Römerhof) tameczne, skonfiskowane. Jest tu więc portret generała Matyasza, jego syna Mateusza, żony tegoż Mateusza – Kierdejówny z domu, i syna Mateuszowego Stefana-Jerzego Römera. Są to cztery kopie z tychże portretów autentycznych, które były w domu pradziada Michała Römera na Bakszcie w Wilnie (w dawnej „Budzie Römerowskiej" na Bakszcie, czyli raczej niegdyś na „Sawicz ulicy"). Kopie te wykonane były na obstalunek Papy i wisiały zawsze w starym domu w Bohdaniszkach w salonie. Na każdym z portretów jest herb rodowy z nadpisem (portrety Matyasza, Mateusza i Stefana-Jerzego mają herb Römerów, portret Kierdejówny Mateuszowej Römerowej – herb Kierdejów). Autentyki tych portretów do ostatnich czasów wisiały w starym mieszkaniu po pradziadzie Michale na Bakszcie. Były one wraz z tym mieszkaniem i kamienicą – własnością wpierw dziada Edwarda Römera po śmierci pradziada Michała, potem stryja Edwarda Römera, potem mojej ex-żony Reginy, córki i spadkobierczyni stryja Edwarda. Gdy koło roku 1923 Regina sprzedała tradycyjną kamienicę Römerowską w ręce żydowskie, portrety te (autentyki) odkupił od niej Eugeniusz Römer, który jest obecnie ich właścicielem.

27 lipca, rok 1938, środa

Uzupełniam notatkę o mojej galerii portretów rodzinnych w tym układzie, jaki jej nadałem. Za czterema portretami czołowymi powiesiłem w gabinecie jeszcze portrecik mniejszy, piąty. Jest to portret Teresy Sulistrowskiej, Danilewiczówny z domu, teściowej Stefana-Jerzego Römera, której córka, Sulistrowska z domu, była pierwszą żoną tegoż Stefana-Jerzego, tą, z której nasza gałąź się wywodzi. Portrecik ten był także zawsze u Papy w Bohdaniszkach. Dalej idzie już ściana w pokoju wewnętrznym, stanowiąca przedłużenie gabinetowej. Tu na pierwszym miejscu jest portret Stefana-Dominika Römera, syna Stefana-Jerzego. Portret ten stanowi kopię, wykonaną dla mnie przez Helenę Römerównę w Wilnie (Helę Czarną) koło roku 1929, z portretu z galerii autentyków wileńskiej, obecnie Eugeniusza. Papa portretu tego nie miał. Obstalowując dla siebie kopie portretów rodzinnych, kopii portretu Stefana-Dominika nie obstalował, bo powiedział, że ten portret nie jest autentyczny i robiony był po śmierci Stefana-Dominika z pamięci czy nawet z opisu, ale ani z żywego człowieka, ani z jego podobizny. Papa wiedział o tym z tradycji od pradziada Michała, który Papę w dzieciństwie wychowywał i który był synem Stefana-Dominika, a przeto mógł wiedzieć, jak ten portret powstał i że nie był podobny do Stefana-Dominika. Za tym portretem powiesiłem cztery portrety mniejsze, dwa – wyżej, dwa drugie – pod nimi. Dwa wyższe przedstawiają pradziada Michała i syna Stefana-Dominika, i jego żonę, prababkę Rachelę Römerową, z domu De-Raësówną. Dwa portrety pod nimi przedstawiają dziadów moich po Mamie, to znaczy rodziców Mamy – Mieczysława Tukałłę i babunię Zuzannę Tukałłową, Bohdanowiczówną z domu, którą znałem dobrze. Za tymi czterema portretami – większy portret tejże prababki Racheli Michałowej Römerwej De Raësówny w wieku młodym, wykonany dla mnie (kopia) przez Helę Römerówną w Wilnie. Dalej – na ścianie między pokojem wewnętrznym i archiwalnym – portret dziada Michała-Stefana Römera, syna Michała, a ojca Papy. Portret ten wisiał zawsze w gabinecie Papy. Na trzeciej ścianie pokoju wewnętrznego – dwa ostatnie portrety: Papy, to znaczy Michała-Kazimierza Römera, robiony z fotografii ostatniej przed śmiercią Papy, na której Papa ma twarz jakby schorzałą z wyrazem bólu... Ostatni portret jest mój, wykonany w roku 1934 na wiosnę w gabinecie rektorskim na uniwersytecie w Kownie przez malarza Ejdukiewicza, najgorszy ze wszystkich sześciu portretów moich, ale jedyny, który mam w Bohdaniszkach. Galeria moja przeto zawiera cały łańcuch rodowy od Matyasza Römera w wieku XVII do mnie.

28 lipca, rok 1938, czwartek

Zaszedł dziś wypadek, który mógł się skończyć tragicznie. Nasz ekonom Radwiłowicz o mało co nie utonął w stawie kąpielowym. Poszedł on z kowalem Błażewiczem, który służy u mnie w tym roku za parobka, do stawu przyrządzać kładkę do płukania bielizny. Jedna z desek na kładkę pływała po wodzie. Ekonom, który siebie ma za dobrego pływaka, rozebrał się, wszedł do wody i z naprzeciwka popłynął przez staw do deski, aby ją podepchnąć i doprowadzić do brzegu. Tymczasem wpłynął w miejsce, gęsto zarośnięte trawą wodną. Nie dopływając do deski tak się zaplątał rękami i nogami w trawie, że zaczął tonąć. Parę razy się już zanurzył i nie był w stanie wyzwolić rąk i nóg. Zaczął krzyczeć. Błażewicz podał mu długą witkę, za którą ekonom zdołał się uchwycić i Błażewicz go wyciągnął. Ludzie ze dworu się zbiegli. Ekonom był przytomny, ale osłabiony. Długo leżał na brzegu nagi. Potem go głowa bolała, nie jadł. Ale chodził do wieczora. Jadzia – przestraszona. Zapowiada, ze nie pozwoli mi się kąpać.

Po obiedzie przyjechał do mnie Jan Zeman. Przyjechał na parę dni. Jeździ on sobie na rowerze po dworach, wypoczywa i ma wakacje. Za punkt oparcia ma Kowaliszki, w których się hodował jako towarzysz Piotra Komorowskiego z Radkun. Inteligentny to i dobrze ułożony chłopiec, dzielny. Jest teraz studentem uniwersytetu naszego na filologii.

29 lipca, rok 1938, piątek

Dzień niepogodny. Kilka razy padał ulewny deszcz. Ziemia rozmiękła, na drogach błoto. Ciężko pomyśleć, że w taki deszcz biedni parobcy pracują na dworze. Wyrywali oni kamienie z podmurówek rozebranych budynków po Maryni i wozili je do budującego się świrna. Wieś jest bezwzględna i dosyć brutalna w stosunku do pracy ludzkiej. Powietrze zresztą było miłe. Ciepło było i wietrzyk zmienny. Chwilami gdy wiatr był wschodni – aromat cudowny pól, kwiatów, przestrzeni, siana, żniw, torfowisk płonących i albo ja wiem czego płynął i rozlewał się jak perfuma najsłodsza, budząca wszystkie wspomnienia młodości i wsi od lat dziecinnych. Wieczorem w mokre pachnące ciepło letniego dnia dżdżystego wmieszał się chór żab ze stawu kąpielowego.

Rano zamówionym autem Radžiunasa jeździliśmy z Jadźką do Rakiszek za interesami.

30 lipca, rok 1938, sobota

Bardzo gorące jest lato. Czy deszcz pada czy jest słonecznie – wciąż jest gorąco. Staje się to nawet nieznośne. Trudno jest chodzić na spacer, nie można się wyspać, bo noc jest bardzo krótka, a od świtu duszno jest w pokoju sypialnym, którego okna wychodzą na wschód na słońce, i muchy nieznośne nie dają spokoju.

Zeman po dwóch dniach spędzonych u mnie odjechał. Czekamy jutro przyjazdu prof. Gudowicza. Urządzono dziś jego pokój. W tym roku będzie się lokował na górze w pokoju archiwum mojego. W jego dawniejszym pokoju na dole (rogowym) urządzony jest teraz nasz salonik, bez którego trudno się nam obejść.

Od poniedziałku rozpoczną się już u mnie żniwa. Żyto, mieszanka wyki z owsem na poszor, jęczmień, pszenica, owies. Wszystko to pójdzie w szybkim tempie jedno po drugim.

Łowiono dziś karasie w sadzawkach moich. Najwięcej wyłowiono w małej sadzawce przy domu. Cztery razy zapuszczano sieci i za każdym razem wyciągnięto po kilka kilogramów – ogółem dobrych parę wiader. Ta mała sadzaweczka po prostu przepełniona jest rybą. Karasie przeważnie drobne, ale jest ich chmara. W stawie kąpielowym dolnym nic się złowić nie dało. Choć ryby i tam jest dużo, ale trawa nie daje wyciągnąć sieci. Wieczory są śliczne. Jest to czas najrozkoszniejszy, w którym można nieco wytchnąć po upale dziennym. Wtedy rozpoczyna się koncert żab. W stawie kąpielowym i innych błotkach w dolinie odzywają się chóry polne żab pospolitych, podczas gdy z łoneczek i błotek płaskowzgórza wioski Bohdaniszki odzywają się głośno i także chórami jak dzwoneczki żabki zielone, które my nazywamy „kumkami”, bo śpiewają „kum kum”. Są to zielone żabki jadalne. Ciekawa rzecz, że żyją one tylko na błotkach łoneczkowych wioski Bohdaniszki na płaskowzgórzu i nie ma ich wcale na terenie, spadającym od krawędzi bohdaniskiej na wschód ku

dolinie Krewny i jeziora Sart. Nawet umyślnie tu przyniesione i puszczone – nie aklimatyzują się i giną – zdychają czy uciekają.

31 lipca, rok 1938, niedziela

Przyjechał Gudowicz. Jeździłem na jego spotkanie do Abel. Przyjechał, jak zawsze, w dobrym humorze, ze swoim psem myśliwskim, wyżłem Aitvarasem, z fuzją, skrzynią patronów i wielką walizą książek, które studiować będzie rankami do obiadu dla swych wykładów akademickich. Pokój, któryśmy mu dali na górze, podoba mu się. Jest on większy od salonu na dole, w którym się on lokowal przez dwa lata poprzednie i przeto jest mniej zapełniony, tym bardziej, że i kanapy nie ma, ale powietrze jest doskonałe, widoki z góry jeszcze piękniejsze, spokój i cisza jeszcze większa. Na razie tylko trudniej Gudowiczowi chodzić, bo przed kilku dniami na polowaniu pod Kownem na kaczki zwichnął sobie trochę nogę w stopie i w dodatku przyczepiło mu się lumbago w krzyżu. Ale niemniej gotuje się do swojej zwykłej kampanii myśliwskiej codziennej. Tylko chce się tymczasem ograniczyć do kaczek, na cietrzewia zaś rozpocząć polowanie od 16 sierpnia, to znaczy od dnia urzędowego otwarcia tego polowania, bo ubiegłych lat na cietrzewie polował już na dobre co najmniej od początku sierpnia, co formalnie jest brakonierstwem i nawet w jakiejś gazecie w przeszłym roku ktoś napisał o tym w korespondencji, nie cytując co prawda nazwiska Gudowicza. Gudowicz ma zabawić w Bohdaniszkach cały sierpień. Pod koniec miesiąca ma także zajechać na krótko do Bohdaniszek p. Gudowiczowa z córką, panną Birutią Gudowiczówną, moją uczennicą na uniwersytecie.

1 sierpnia, rok 1938, poniedziałek

Gudowicz zbadał dziś urynę Jadzi. Okazała się dobra, białka nie ma. Nogi jej często brzękną, zwłaszcza prawa. Jadzia zaobserwowała, że najczęściej to się uwydatnia po zjedzeniu mięsa, także po wypiciu większej ilości wody lub w ogóle płynów. Gudowicz powiada jednak, że to nie ma nic wspólnego z takim czy innym pokarmem lub z jakimś złym funkcjonowaniem organów, jeno jest zjawiskiem bardzo pospolitym w tym okresie późnym ciąży (szósty-siódmy miesiąc), zwłaszcza w pierwszej ciąży w wieku Jadzi. Jest to skutek mechaniczny położenia płodu (Filipka!), który główką swoją naciska naczynia krwionośne matki i hamuje obieg krwi normalny w nogach; w pozycji leżącej matki płód się układa lepiej i obrzękłość nóg przechodzi. Pozwolił więc Gudowicz Jadzi jeść mięso i w ogóle żadnej szczególnej diety ani żadnej kuracji czy środków nie zalecił.

Na obiad przyjechał Feliks Mackus, który zabrał potem Gudowicza i powiózł go z psem Aitvarasem do Narkun nad jeziorko w okolicach rzeczki Audry do gospodarza Lašasa spróbować zapolować na kaczki. Wieczorem Mackus odwiózł Gudowicza. Pierwsza wycieczka myśliwska się nie udała. Kaczek nie znaleźli.

2 sierpnia, rok 1938, wtorek

Egzaminowałem studentów, którzy przyjechali zdawać. Gudowicz jezdził na jezioro Sarty na kaczki. Odprowadziłem go do jeziora w automobilu Radžiunasa, który przywiózł z Abel studentów. Wieczorem po egzaminach chodziłem z Jadzią po polu. Pokazywałem jej w końcu wielkiej alei brzozowej miejsce, które przeznaczam na sadzenie śliwek, oraz w końcu ogrodu za aleją brzozową miejsce, gdzie w roku przyszłym chcę stawiać szopę na owoce i ewentualnie sklep do ich przechowywania, a może i lodownię. W ogóle mój ogród chcę powiększać, nawet znacznie, i to w dwóch kierunkach – za grzbietem góry na skłonie południowym na Prudelis aż do samej łąki na dole i wielki pas jeszcze za aleją brzozową, nie zasadzony dotąd i przedłużony w dół również do tejże łąki. Będę to robił stopniowo, dodając po jakimś rzędzie co roku, jak to robiłem poprzednio. Będzie to już bardzo wielki sad owocowy.

Mamy wciąż upały i pogoda się też trzyma dobrze. Prawie co dzień w różnych porach zanosić się zdaje na deszcz i chmury ciężkie podnoszą się na skrajach horyzontu z błyskawicą i grzmotem dalekim. Ale potem znów się wypogadza; chmury ciężkie, naładowane burzą, ukazujące się na

stronie zachodniej albo od Jużynt, znikają za horyzontem albo wędrują z zachodu na północ i wschód – na Abele, Aleksandrówkę i Antuzów, skąd przewalają się do Polski, i znowu słońce, wietrzyk, powietrze suche. Ładne jest lato tegoroczne.

Dokoła żniwa w pełni. U mnie jednak zaczną kosić żyto dopiero od jutra.

3 sierpnia, rok 1938, środa

Rozpoczęto wreszcie u mnie żniwa. Ekonom Radziwiłowicz ściągnął kilku ludzi spośród zależnych od dworu (Jan Malčius z Karwieliszek, Piotr Skrebis, Gasper Jachimowicz) na tłokę i w osiem kos rozpoczęto żniwa. Żyta mam w tym roku posianego niedużo i przeważnie jest kiepskie. Kłos dość bujny, ale rzadkie, słomy będzie mało. Miejscami żyta prawie nie ma, sam rumianek polny i chwasty.

4 sierpnia, rok 1938, czwartek

Żyto już skoszone. Ale jak na zawołanie – od dnia rozpoczęcia żniw zginęły gorące noce letnie, które dotychczas towarzyszyły upałom i stały się już dosyć męczące, dają sen krótki i ciężki. Przyjdą teraz chłodne noce rżyskowe, którą pierwszą mieliśmy już dziś. Już i promienie słońca stają się trochę bardziej skośne, powietrze bardziej przejrzyste, jak gdyby rzadsze niż latem. Rżysko – to już właściwie jesień, a przynajmniej pierwszy widoczny znak tejże, jej zwiastowania w naturze rolniczej.

Miałem trzech studentów i dwie studentki do egzaminu z prawa konstytucyjnego litewskiego. Odbywamy teraz z Jadzią co dzień pod wieczór ładny spacerek w pole. Dnie płyną cicho. Gudowicz wychodzi po drzemce poobiedniej z psem i fuzją na przechadzkę po okolicy, przynosi kaczkę lub gołębia leśnego, czasem wyjeżdża jednym konikiem na małą wyprawę myśliwską. Skarży się jednak, że ilość kaczek i zwierzyny piernatej zmalała bardzo od dwóch lat.

Wieczorem robotnicy zainscenizowali dożynki. Gdyśmy siedzieli przy kolacji – przyszli z pieśnią i przynieśli pasy i wianki: dla mnie, dla Jadzi, dla Gudowicza i dla ekonoma Radziwiłowicza. Pasy i wianki, jak zawsze, z żyta z wplecionymi kwiatami polnymi i ogrodowymi. Zwykle dożynki dostosowują się do zakończenia żniw oziminy, a więc pszenicy jako późniejszej, ale w tym roku skoszenia pszenicy nie czekano.

5 sierpnia, rok 1938, piątek

Rozpoczęto koszenie jęczmienia.

Przed obiadem w Gaju Gasper Jachimowicz pod moim kierunkiem wycinał w Gaju chrust dla siebie. Wycinałem go w pasiece sprzed kilku lat pod Karwieliszkami. Są tam w świetnie, jak w zwrotnikowych dżunglach, odrastającym młodniaku duże plastry jedlniaka, gęstego jak dywan. Jodełki te są zgłuszone powodzią drzewek liściastych, które je przerastają i tłumią. Taki oto plaster jedlnika dziś oczyściłem z drzewek, które go przesłaniały. Wszystko tam szło pod siekierę – brzózki, osinki, jarzębina, leszczyna, wierzba.. Ale pod nimi odsłoniła się jak wysepka plama czyściutkiej jodełki, gęsto porastającej, jak szczaw.

6 sierpnia, rok 1938, sobota

Pogoda wciąż cudowna, tylko trochę zimniej w cieniu i w nocy. W gospodarstwie polowym prace gorączkowe. Nie wiadomo, za co się brać. Trzeba zwozić skoszoną mieszankę wyki z owsem, żyto już zwozić można, jęczmień trzeba kończyć kosić, czas na pszenicę, zaraz podchodzi owies, gotowa i otawa koniczyny, ugór trzeba drapakować. Roboty się zbiegły szalenie.

Gudowicz w tym roku ma mniej humoru i mniej jest ruchliwy. Noga go trochę boli. Z chodzeniem na polowanie jest bardziej ociężały. Polowanie mu się mniej udaje. Zresztą na kaczki już trochę późno i z roku na rok jest ich mniej. Rozkolonizowanie wiosek, zaścianki co krok, osuszanie błot, melioracja różna – niszczą ptactwo błotne. Na jeziorach kaczek jest już dużo, ale tam trudniej je podejść. Kuropatw tego lata mało. Wyginęły zimą, która była dla nich fatalna z powodu wielkich śniegów.

Od paru dni uformował mi się furunculus na twarzy, pod prawym okiem. Gudowicz mi go smaruje jodyną. Ale wrzód jest ciągle zaschły z wierzchu i przeto zamknięty; materia nie może wychodzić. Wskutek tego zapewne głowa mi się rozbolała mocno wieczorem. Pomimo to chodziłem z Gudowiczem wieczorem do Staczerag do lasu Elwiry na gołębie leśne. Bez skutku, choć profani twierdzą, że gołębi tam jest dużo.

Daj Boże, żeby mi się ten furunculus zagoił do soboty przyszłej, kiedy pojadę do Cytowian do Eugeniuszostwa Römerów na ślub Gieni Römerówny ze Stanisławem Hemplem.

Wieczorem miałem gości. Od Mieczkowskich przyszedł do mnie z młodym Tupalskim z Kroszt i z Helcią i Michasiem Mieczkowskimi niejaki dr Narkiewicz z Warszawy. Przyjąłem ich sam jeden w salonie. Nie lubię takich gości, którzy chcąc mnie odwiedzić, przyjeżdżają nie do mnie, lecz do Mieczkowskich i są przez Mieczkowskich do mnie przyprowadzani. Wiedzą, gdzie jest mój dom i mogą do mnie wprost przyjechać. Ten dr Narkiewicz z Warszawy, który przyjechał do Litwy po 25 leciech niebytności, pochodzi z Litwy. Skończył gimnazjum w Szawlach, jest kolegą i przyjacielem Alfonsa Morawskiego, u którego bawiłem dawno na wsi. Jak wszyscy goście z Polski, jest przejęty uznaniem dla postępów gospodarczych i organizacyjnych Litwy, ale równie przejęty i bez ustanku wałkujący krzywdy polskie w Litwie, podczas gdy, niestety, nie mniejsze są krzywdy litewskie i innych mniejszości narodowych w Polsce. A Polska przecie pierwsza oddziałała zaczepnie na stosunki polsko-litewskie i ona była tą, która stale czyniła przeszkody niepodległości Litwy i dążyła do jej pochłonięcia. Że dziś Polska może tych tendencji nie uznać albo mieć ich mniej (nie są one, niestety, wyczerpane), to jednak nie zmienia faktu, że tak odrodzenie narodowe Litwy, jak zdobycie niepodległości Litwy dokonało się przeciwko Polsce, to znaczy, zwalczając jej opór potężny i ten fakt bardzo zaważył na stosunku Litwinów do polskości, który z pewnością normalny i poprawny nie jest. Zaś „retorsje”, które Polska stosuje do Litwinów na ziemiach zabranych od Litwy, wpływać kojąco na antypolską akcję litewską w Litwie niepodległej nie mogą. Błędne koło, w którym winić jednostronnie Litwę trudno.

7 sierpnia, rok 1938, niedziela

W furunkulusie moim na twarzy jest małe polepszenie. Gudowicz zrobił mi rano opatrunek, rozciął strup, wybrał ze środka materię i wyciągnął sam ścierżeń, po czym resztki materii się jeszcze sączyły po trochę. Sprawiło mi to ulgę od razu. Stan zapalny ustąpił, głowa przestała niebawem boleć. Po obiedzie i potem na noc Gudowicz mi nałożył okład mokry na rankę i obwiązał głowę. Chodziłem dzień cały, ale nie pojechałem z Gudowiczem na jezioro Sarty.

Gudowicz rano urządził w Gaju – w młodniaku na pasiece – małą obławkę na kozła, ale bez skutku. Są w Gaju od kilku lat sarny, ludzie je widzą czasem w lesie, ale nie wiadomo, czy tylko przebiegają, czy też są stale tutaj. Gąszcze młodniaku są takie bujne, że sarny mogłyby się tu gnieździć. Wszakże ta obławka, dosyć zresztą pierwotna i z udziałem jednego tylko strzelca, poza tym ogarniająca tylko mały odcinek młodniaku, choć nieudana, nie może być dowodem, że saren i kozła nie ma w lesie wcale, to znaczy że one tu nie mieszkają.

Otrzymałem dziś z Hagi list od jonkheera van Karnebeeka, prezesa naszej Komisji Pojednawczej Duńsko-Litewskiej. Przysyła odpisy odpowiedzi litewskiej i duńskiej na wniosek pojednawczy komisji. Oczywiście rząd duński wniosek ten przyjmuje, natomiast litewski – odrzuca kategorycznie. Pismo ministra Lozoraitisa, odrzucające wniosek komisji, jest nawet dosyć ostre i polemiczne. Dzięki Bogu, Karnebeek nie wzywa nas jednak do Hagi. Proponuje sam ułożyć projekt protokółu, stwierdzającego fiasko koncyliacji, i nam go przesłać do aprobaty. Będzie to, zdaje się, droga najlepsza. Sądzę, że Karnebeek ułoży projekt protokółu umiejętnie, nie wdając się w żadne wywody i stwierdzając wyłącznie sam fakt niedojścia pojednania do skutku. Niewątpliwie sprawa oprze się teraz o Trybunał Międzynarodowy, do którego Dania skieruje skargę przeciwko Litwie; chyba że Dania porozumiałaby się z Litwą bezpośrednio, ale o tym wątpię, zwłaszcza dlatego, że wniosek komisji, dodatni dla pretensji duńskich, ośmieli ją do działania energiczniejszego i osłabi jej ustępliwość, skądinąd zaś Litwa dużo dać nie zechce, a ton odpowiedzi litewskiej jest radykalny. Ale

już dzięki Bogu mnie w tej sprawie występować w Trybunale nie wypadnie, bo skoro maczałem ręce w sprawie, gdy była ona w komisji pojednawczej, to już sądzić jej nie mogę. Litwa będzie musiała znaleźć dla tej sprawy innego sędziego narodowego. Sądzę, że będzie nim dr Zaunius, który dobrze mówi po francusku, jest dyplomatą i prawnikiem dyplomowanym.

8 sierpnia, rok 1938, poniedziałek

Rano była pogoda, wożono żyto, po obiedzie wypadł rzęsisty deszcz, który przerwał zwózkę. Ale powietrze, które od dwóch dni znów było gorące, ochłodło, więc jest nadzieja, że pogoda wróci, jest ona bardzo potrzebna, bo dużo jest jeszcze do koszenia i do zwózki. Gwałtownie już trzeba kosić pszenicę, ale nie można się było do tego zabrać, bo ani dziś nie ma, ani jutro nie będzie bab do stawiana skoszonego zboża. Na sam bowiem roboty czas biskup wyznaczył objazd dekanatu naszego i bierzmowania dzieci. W niedzielę biskup był w Łuksztach, dziś – w Abelach, jutro – w Krewnach. Wszystkie baby już od paru tygodni są w największym poruszeniu. Wszystkie rodziny gotują się do uroczystości bierzmowania dzieci. Na tych uroczystościach biskupich zarabiają doskonale Żydzi, bo w miasteczkach po kramach zakupują się materiały na stroje białe dzieci. A stroją się dzieci jak na największe święto. Duchowieństwo robi na tym interes, forsując propagandę klerykalnych organizacji dziecinnych, w szczególności organizacji tzw. „angelaičių" (aniołów). Jest to pierwszy stopień wciągania młodzieży w sidła klerykalne. Spekuluje się na ambicji dzieci i rodziców. Zapowiada się, że przy bierzmowaniu dzieci, które będą w strojach „angelaičių", będą ustawione w pierwszych rzędach, to znaczy mieć będą przywilej lepszej wartości. Któreż dziecko i któraż matka nie zechce mieć tego przywileju i dać się zepchnąć w szary kąt upośledzonych. Chyba nie będzie innych dzieci, jak „angelaičiai". A już szczególnie podziałać tym można na Litwinów, którzy w ogóle są z natury ambitni, jak wszyscy indywidualiści. Nie znam narodu, w którym by indywidualizm był tak silny, jak u Litwinów. Toteż cała wieś w okolicy gotuje się od gorliwości w strojeniu dzieci i przysposobieniu ich na „angelaičių". Do roboty dziś i jutro kobiet nie ma wcale. Matki wszystkie śpieszą z dziećmi do kościoła, gdzie jest biskup, a dziewczęta, które jeszcze dzieci nie mają, albo baby, nie mające dzieci w wieku do bierzmowania, są zaproszone na matki chrzestne do tego obrządku. Mężczyźni, nawet parobcy, też chętnie by pośpieszyli, bądź w charakterze ojców chrzestnych do bierzmowania chłopców, bądź po prostu na widowisko.

Znalazłem dziś jeszcze paczkę listów rodzinnych z roku 1845, odłożonych osobno przez Papę, których jeszcze nie widziałem dotąd i jeszcze nie wcieliłem do teki odpowiedniej i nie zarejestrowałem. Rok 1845 – to rok urodzenia Papy. Część tych listów dotyczy właśnie urodzenia i chrzcin Papy. Są to listy pradziada Michała, dziadunia Michała-Stefana, Seweryna i Edwarda, wszystkie pisane do Antoniego Römera w Janopolu. Przeczytałem je i wcielę do rejestrów. Są dosyć ciekawe. Jak czas biegnie i jak się zmieniają pokolenia. Oto ten, o którego przyjściu na świat tam się mówi i który był dla ówczesnych ludzi świtaniem nowego życia, od 18 lat już leży w grobie, a listy jeszcze 100 lat nie mają. Świtanie w ciągu niespełna stulecia zdążyło przejść długi rozwój życia aż do późnej starości i zgasnąć już od dawna, zanikając już szybko w pamięci żyjących i tylko jeszcze w pamięci dzieci i wnuków albo głębokich starców trwając dotąd szczątkowo. A w miarę jak człowiek sam starzeje – zaczyna on pojmować i uświadamiać szybkość biegu czasu i znikomą długość takiego okresu, jak lat 100. Już dla mnie pół stulecia – 50 lat – to okres zupełnie w świadomości mojej uchwytny i przeszłości niedaleki, a trudno sobie wyobrazić czuciowo i złożywszy dwa takie okresy 50-letnie, których miarę mam żywą w poczuciu – trafiam na chwilę, w której nie tylko mnie, ale nawet Papy nie było jeszcze. Skądinąd 20 takich okresów półwiekowych, które mi są zupełnie wymierzalne umysłowo – i oto mamy wiek X, głęboko zamierzchłe czasy sprzed roku tysięcznego. Jakie to względnie niedalekie, ale jakże szalenie odrębne od naszego społecznego dnia dzisiejszego.

9 sierpnia, rok 1938, wtorek

Znowu miałem czterech studentów do egzaminu. Od drugiej połowy lipca aż do końca wakacji mam co tydzień po trzy dni egzaminowe – wtorek, środę i czwartek. To dosyć uciążliwe. Trzy dni

dzień po dniu – to męczy. Zwłaszcza że mam moje inne roboty bieżące, których choć część odrobić muszę co dzień. Chciałoby się więcej pochodzić, zajrzeć na pole, odwiedzić Gaj kochany, obejść drzewka moje, zajrzeć do gospodarstwa, do robót majstrów. Na to wszystko nie ma czasu.

Gudowicz jeździł automobilem, którym przyjechali studenci, do Kowaliszek. Wrócił stamtąd i zapowiedział wizytę Julka Komorowskiego z jakimś panem przyjezdnym. Jakoż niebawem przyjechali. Tym panem przyjezdnym okazał się Jaś Sołtan, syn p. Wiktora Sołtana i pani Meluni (Amelii) z domu Weyssenhoffówny z Tarnowa, brat Hani z Sołtanów Antosiowej Römerowej z Janopola w Łotwie. Pani Melunia Sołtanowa, jego matka, rodząca się z Michała Weyssenhoffa i p. Wandy z hrabiów Łubieńskich, siostra znakomitego pisarza Józefa Weyssenhoffa i Walunia Weyssenhoffa, który był właścicielem dziś już po wojnie bądź zabranych na reformę agrarną, bądź sprzedanych przez niego majątków ziemskich Jużynt i Tarnowa, p. Melunia Sołtanowa zawsze co roku przed wojną spędzała całe lato u brata Walunia i matki w Tarnowie, w sąsiedztwie naszym. Przyjeżdżała z dziećmi, dwoma chłopcami – Jasiem i Andrzejem – i córeczką Hanią. Przyjeżdżała aż do roku 1915. Odtąd już ani ona, ani dzieci tu nie były. Lat upłynęło odtąd 23. Synowie dorośli, córka wyszła za Antosia Römera, ona sama, dziś już staruszka, mieszka z synem nieżonatym Andrzejem w Warszawie. Jan Sołtan, który przyjechał do Litwy i bawi teraz w tych stronach, aby odwiedzić pamiątki miejsc rodzinnych, jest żonaty, ma dzieci, mieszka w Warszawie i jest dziennikarzem – ma posadę w polskiej urzędowej agencji telegraficznej PAT. Teraz, gdy się otworzyła komunikacja z Polską, dużo tu ex-ziemian litewskich latem przyjeżdża, by napoić swoją tęsknotę i odświeżyć drogie wspomnienia. Tłuką się tu oni jak upiory smętne. Mają sentyment do tej Litwy, którą opuścili, podziwiają ją teraz szczerze, widząc jej postępy gospodarcze i organizacyjne, ale bądź co bądź pozostają Polakami kategorycznymi. Dużo mówią o braterstwie, o uczuciach Polski dla Litwy, są w tym szczerzy, ale Litwę narodową trudno im zrozumieć, a obracają się tu w kołach ziemian, którzy się z nimi noszą jak z cackiem i zawsze do Polski wzrok tęskny skierowują. I jedni, i drudzy, i ci, co przyjeżdżają, i ci, co ich tu przyjmują, kręcą się w błędnym kole sentymentów: i ciążą do swojej metropolii polskiej, i Litwę by chcieli pokochać i nawrócić do polonofilstwa. Ale z Litwą właściwą kontaktu mają mało. W każdym razie ci przyjezdni podziwiają postępy Litwy i lepiej je spostrzegają, niż ci tutejsi, a nawet zaczynają stwierdzać (bo to się tu w oczy rzuca), że pod wielu względami Polska jest w postępach gospodarczo-organizacyjnych wielce opóźniona względem Litwy.

10 sierpnia, rok 1938, środa

Julek Komorowski z Jasiem Sołtanem zanocowali u mnie i rano odjechali do Gaczan, Jużynt i Tarnowa. Jaś Sołtan będzie się pławił w tęsknocie wspomnień. Jest to smętna rozterka tych, co Litwę opuścili dla Polski. Dla Jasia Sołtana nie jest to jeszcze wielka tragedia, bo dla niego są to tylko wspomnienia dzieciństwa i dumy rodowej, ale nawet za lat dziecinnych bywał on w Litwie tylko w gościnie na wakacjach letnich. Ciężej jest tym, którzy tu byli przed wojną u siebie we własnym gnieździe rodzinnym w swoim domu, majątku, wsi, miasteczku, a zwłaszcza tym z nich, którzy tu już sami osobiście byli czynni w wieku dojrzałym. Jest to dla nich nostalgia emigrantów i ludzi wyrwanych ze swych korzeni. Prawda, że są i że czują się oni Polakami i że młoda Litwa narodowa jest dla nich nie swoja. Ale w tej młodej Litwie narodowej poznają oni kontury fizyczne tej samej Litwy dawnej, którą kochali i w której żyli, i co więcej – poznają te same czynniki psychiczne, które były za ich czasów, choć nastawienie i styl się zmieniły. Materiał fizyczny i psychiczny jest ten sam, bliższy dla nich od rdzenia polskiego, choć skierowany wolą do innych wartości i perspektyw. Dla Polaków litewskich starszego pokolenia, którzy wywodzą się jeszcze osobiście z czasów przedwojennych, ta tęsknota i rozterka są może jeszcze silniejsze przez to, że nigdy albo bardzo mało czuli się oni wtedy tutaj jakąś kolonią mniejszości narodowej w kraju obcym. Litwa z dziadów-pradziadów była ich środowiskiem własnym, w którym czuli się oni nie jakąś grupą obcą, wsączoną w organizm krajowy odrębny, ale kością z kości i krwią z krwi jej zaludnienia rdzennego. Co prawda, w ostatnich dziesięcioleciach przed wojną, zwłaszcza od roku 1905, w miarę postępów

odrodzenia narodowego litewskiego już się manifestowały odruchy, zaprzeczające im współobywatelstwa i staczające ich do poziomu mniejszości obcej, ale jeszcze z tym walczyli, a odruchy te nie były jeszcze same zdobyły praw publicznych i tytułów gospodarzy. Dziś jest inaczej i dawny stan rzeczy powrócić już nie może, chyba gdyby... przyszło tu panowanie Polski, bądź w postaci bezpośredniej, bądź przynajmniej w postaci zwierzchnictwa Polski nad Litwą autonomiczną. Dlatego też wielu z tych panów, kochając Litwę i nie odmawiając nawet uznania dla wszystkiego, co ona w niepodległości dokonać zdołała, tęskni i wzdycha do roztoczenia nad Litwą w jakiejkolwiek postaci państwowości polskiej, usiłując wmawiać, że to nie stanowiłoby zaboru i nie szkodziłoby wolnej twórczości narodowej Litwinów. Nie bardzo się to już dziś mówi głośno przez przyjezdnych do Litwy z Polski, ale się do tego w głębi tęskni i szuka się wszystkiego, co by do tego zbliżyć mogło. Bo to jedyne, co przywróciłoby panom utracone stanowisko w kraju. Dziś mogą oni tylko przyjeżdżać, ewentualnie ten lub ów mógłby tu nawet wrócić, ale byłby on tu zawsze, jak cały dziś miejscowy ludnościowy element polski, tylko grupą odrębną mniejszościową w kraju narodowo litewskim, a więc nie u siebie. Ale już w dzieciach tych wychodźców to przeminie i powoli utrwali się ostatecznie rozdział dwóch odrębnych krajów i narodów, które mogą dojść do zgody (trudno, co prawda, wobec nie likwidowanych skutków przeszłości powojennej), ale nie staną się już jedną społecznością narodową, jak to miało miejsce przed odrodzeniem narodowym litewskim. A jeżeli nawet wtedy nie było to jeszcze faktem dokonanym ostatecznie, to było jednak procesem żywym i zmierzającym szybko do spełnienia.

11 sierpnia, rok 1938, czwartek

Gudowicz w tym roku mało poluje. Wyjeżdżał na polowanie kilka razy, ale poza tym siedzi w domu i nie wychodzi, jak ubiegłych lat, co dzień po drzemce poobiedniej na przechadzkę myśliwską z fuzją i psem. Chyba się nudzi, bo większą część dnia spędza samotnie w swoim pokoju. Powiada, że czyta i studiuje do wykładów zimowych. Ale faktycznie najczęściej leży, a jeżeli siedzi, to pisze listy do żony i córki, które mają w przyszłym tygodniu przyjechać na parę dni do Bohdaniszek. Noga, którą zwichnął czy wykręcił w stopie przed przyjazdem do Bohdaniszek na polowanie, boli go; z wielkim trudem chodzi. Jeżeli większą część dnia spędza samotnie w swoim pokoju i tylko w krótkich spacerkach po dziedzińcu zabawi się żartobliwą pogawędką z Sinicą albo ze studentami, którzy przyjechali do mnie do egzaminów, to za to folguje sobie przy stole, zwłaszcza przy herbacie wieczorem. Przy stole upodobał sobie rozmowę z moim ekonomem Radziwiłowiczem, z którym się zna od bardzo dawna, ze stron rodzimych swojej żony. Rozprawiają wtedy bez końca, a właściwie gawędzi i opowiada bez wytchnienia Gudowicz, Radziwiłowicz zaś umie słuchać i potakiwaniem, komentarzami, podziwem – podniecać Gudowicza. Gudowicz opowiada wszystkie anegdotki swego życia, swojej przeszłości rewolucyjno-socjalistycznej, kawały, które sam wyprawiał albo które przeżył. Naturalnie, że przejaskrawia, popisuje się, ale sam wierzy we wszystko, co mówi. Nie umie on zgoła słuchać, ale za to sam mówi i mówi. Kawały są przejaskrawione, ale zawsze dowcipne i pełne werwy niewyczerpanej. Przeważnie już wszystkie słyszałem. Rewolucjonizm i socjalizm Gudowicza dawno wywietrzał, ale zachowała się fronda przeciwko wszelkiej władzy, pewien zmysł anarchizmu, krytyki wszystkiego zgoła, co zresztą nie przeszkadza mu ani w antysemityzmie, ani w nacjonalizmie, ani w doskonałej akceptacji kapitalizmu i jego psychologii społecznej. Jedno, co mu pozostało radykalnie – to antyklerykalizm i wolnomyślność. Słuchając jego, trudno zrozumieć, na czym polegał jego socjalizm i rewolucjonizm. Chyba na grze temperamentu. Bo właściwie są w nim głębokie pokłady sympatii zwłaszcza do dawnej armii rosyjskiej, a nawet do dawnych porządków za caratu i do policji, dla której był „*enfant terrible*", choć właściwie nieszkodliwy. Na gruncie wspomnień sympatycznych o przeszłości przedwojennej porozumiewa się on doskonale z Radziwiłowiczem, który też był w wojsku rosyjskim i który idealizuje Rosję przedwojenną i tęskni do niej. I właściwie nie bardzo chwytam różnicę w traktowaniu przeszłości rosyjskiej przez Gudowicza i Radziwiłowicza, choć jeden wywodzi się z socjalistów i rewolucjonistów, drugi – jest

reakcjonistą skończonym. Ale gdy zaczną mówić – obaj się nachwalić nie mogą czasów przedwojennych Rosji.

Ale Gudowicza lubię, bo choć kłamie w opowiadaniach, ale zawsze jest bezpośredni, szczery, wrażliwy, impulsywny. Sam nie czuje reakcyjności tego, co nieraz mówi, a ma szczęśliwe usposobienie, że słyszy tylko to, co sam mówi i bawi się. Skądinąd poza tymi gawędami, które trwają względnie krótko, jest samotny i samotność lubi, co zawsze dobrze świadczy o człowieku i o głębi jego. Zmanierowany trochę starzec, ale dobry i poczciwy. Ma serce. Sądzę, że jednak nie nudzi się w tej samotności w swoim pokoju w Bohdaniszkach i lubuje się w nich rzetelnie. Człowiek to dobry, z sercem. Tylko zabawny i zmanierowany. Ma jednak w tym swój styl i przez to nie jest banalny. Bardzo też kocha rodzinę swoją – żonę i córkę, przywiązuje się do ludzi, do pacjentów, umie wyczuć ludzi dobrych i darzy ich sercem, wierny jest w przyjaźni. Tylko jest zagdakany i nie umie słuchać, co ludzie inni mówią, bo cały jest w swoją gawędę zasłuchany.

12 sierpnia, rok 1938, piątek

Cały ranek do obiadu spędziłem w Gaju. Komary mię nakąsały do syta, ale miałem wielką przyjemność. Józiukowi Podolskiemu dawałem chrust do rąbania i cały czas byłem przy tym, wskazując mu, gdzie i co ma rąbać. Rąbałem przeważnie po młodniaku, bądź w miejscach szczególnie zarosłych i zachruszczonych rozgałęzieniem gatunków mniej wartościowych, bądź w szczególnych skupieniach młodego jedlnika, którego plamy i wyspy jednolite pozostawię w tych kawałkach poszczególnych. Kocham się w tym pięknym bujnym młodniaku, który zalewa przestrzeń jak powódź i podobny jest do dżungli zwrotnikowych i lubię go porządkować, chodzić w nim, marzyć, sycić się widokiem wspaniałego życia. Młodnik ten, który obecnie ciągnie się od brzegu karwieliskiego przed gościńcem i rowem aż w głąb lasu do samej wielkiej drogi środkowej (zwanej niegdyś „darbo kelias”, albowiem za poddaństwa tędy szli poddani do dworu na pańszczyznę) długim pasem wzdłuż leśnej granicy mojej z Jadzią – jest obecnie ulubionym celem moich przechadzek do Gaju. W ogóle najbardziej lubię młody rosnący las. Gdyby mi nic nie stało na przeszkodzie – lubiłbym całe Bohdaniszki moje ze wszystkimi polami zapuścić na las. Jakie by to było piękne. Gdyby człowiek żył parę setek lat – to bym to zrobił jeszcze.

Ale wycinając w młodniaku gdzieniegdzie chrust – nie chcę wytępić w młodniaku całą leszczynę, białą olchę, jarzębinę i wierzbę, jak to robiłem dotąd, rąbiąc chrust w starym lesie. Owszem – chcę zachować i dać się rozwinąć wszystkim tym rodzajom drzew, przynajmniej pewnymi oazami. Bawię się w moim Gaju i cieszę się nim.

13 sierpnia, rok 1938, sobota

Jadę do Cytowian na ślub Gieni Römerówny, córki Eugeniusza, która wychodzi za mąż za Stanisława Hempla. Jest to brat Jana Hempla, który w czerwcu ożenił się ze starszą siostrą Gieni – Zosienią. Hemplowie, rodzina pochodzenia czeskiego, osiadła w Polsce za królów Sasów na początku wieku XVIII. Majątek ziemski mają oni w Lubelskiem, w powiecie krasnostawskim. Matka ich jest z domu Świdówna, więc zachodzi dalekie pokrewieństwo między nami, albowiem moja prababka Konstancja Tukałłowa była Świdówna z domu, a jest to ta sama rodzina Świdów. Jaś Hempel, żonaty od dwóch miesięcy z Zosienią Römerówną, ma posadę w Gdyni i tam mieszka. Staś Hempel, który się żeni z Gienią, mieszka i gospodarzy w majątku rodzinnym Nowiny w Lubelszczyźnie. Ma on lat 24 czy 25, o dwa lata starszy od Gieni. Dwaj bracia Hemplowie będą więc żonaci z dwoma siostrami Römerownymi. Obecnie małżeństwo Stasia z Gienią jest... piorunujące: poznali się w wigilię ślubu Jasia z Zosienią, 4 czerwca, i już 7 czerwca byli zaręczeni, co prawda, nie urzędowo na razie, bo ojciec panny Eugeniusz, i matka młodego, p. Maria ze Świdów Hemplowa (wdowa, bo p. Hempel-ojciec nie żyje), zażądali, żeby zaczekali nieco i wpierw lepiej się poznali. Nie na długo jednak poszła odwłoka, bo oto po dwóch miesiącach już ślub wyznaczony w Cytowianach na jutro. Byłem na ten ślub zaproszony serdecznie przez oboje Eugeniuszostwo, a ponieważ już nie byłem na ślubie Zosieni i ponieważ są to wakacje, więc nie mogłem odmówić. Nie

bardzo wprawdzie lubię te uroczystości weselne na wsi i dosyć się nudzę na nich, ale dla Eugeniusza musiałem to zrobić. Chodziło mu o to, żeby był ktoś z seniorów rodu Römerów, a tam mogłem być tylko ja, bo nikt inny z Römerów przejechać nie mógł. Chodziło też Eugeniuszowi o splendor mowy na uczcie weselnej, a w tym przedmiocie moje kwalifikacje się cenią.

Wyjechałem więc z Bohdaniszek dziś pociągiem pośpiesznym Dyneburg-Berlin o godzinie drugiej po południu z Abel. Do Cytowian jedzie się tym pociągiem bezpośrednim. Spodziewałem się, że w Radziwiliszkach ktoś z gości weselnych wsiądzie do pociągu. Jakoż wsiadła panna Róża Wladysławówna Komarówna z Bejsagoły, zwana Rulą, i młody dziennikarz polski z Kowna, redaktor „Chaty Rodzinnej", były nasz student ekonomista, który jeszcze egzaminów u mnie nie zdał, Zygmunt Ugiański – wielki przyjaciel Eugeniuszostwa i zwłaszcza Eugeniuszowej, który jej zawsze asystuje w Kownie po kawiarniach, dancingach, przy załatwianiu prawników itd. Na stacji Cytowiany czekały nas konie. Upał był nieznośny w wagonie i pył ohydny podczas jazdy końmi. Przejeżdżaliśmy przez Pogryżów, rezydencję niegdyś stryja Izydora Römera, gdzie jest piękny duży pański pałac murowany i wspaniałe murowane budynki gospodarskie. Nie widziałem Pogryżowa od lat 32. Pogryżów został wywłaszczony na rzecz reformy agrarnej, bo Eugeniusz wybrał normę nietykalną w Cytowianach i został przez rząd udzielony jezuitom, którzy obecnie utrzymują w Pogryżowie nowicjat zakonny i część pałacu obrócili na kościół, w którym jezuici odprawiają nabożeństwa publiczne. Goście weselni w Cytowianach nie byli zbyt liczni. Oprócz domowników – Eugeniusza z Zosią, ich córek Gieni, która jest panną młodą, i młodzieży Heli oraz syna Andrzeja. Andrzej i Hela bardzo się różnią od starszego rodzeństwa, Redzia, Zosieni i Gieni, tym, że nie są tak piękni i mają typ wybitnie dr Tadeusza Dembowskiego, ich dziada po matce, podczas gdy troje starszego rodzeństwa, a zwłaszcza dwie córki, Zosienia i Gienia, mają podobieństwo do rodziny Ojca i przypominają jego siostry w młodości, tylko są jeszcze ładniejsze; oprócz więc domowników byli jeszcze następujący goście. Z domowych brak tylko Redzia, który na tym ślubie siostry nie będzie, bo po ukończeniu politechniki we Lwowie dostał się na praktykę gdzieś w Karpatach, gdzie się buduje wielka stacja hydrauliczna na Dunaju i nie mógł się stamtąd uwolnić.

Większość gości jest przyjezdna z Polski. Do nich należą przede wszystkim ze strony Eugeniuszostwa, Eugeniusza Ania z mężem Adasiem Virionem, którzy tu spędzają całe lato po wielu leciech niebytności w Litwie w stronach rodzinnych. I Adam Virion, który już ma lat przeszło 70 i jest emerytem, i Ania, która po śmierci swej siostry Zosi przed laty kilkunastu wyszła za mąż za wdowca i szwagra, bardzo postarzali. Jest to już parka starców głębokich. Ania, która była brunetką, biała jest zupełnie. Virion jak na swój wiek trzyma się nieźle, chodzi i stoi nieco pochylony naprzód, milczący jest i cichy, jakim był zawsze. Z rodziny pana młodego z Polski przyjechali: matka, pani Maria ze Świdów Hemplowa, osoba żywa jeszcze, wesoła, w wieku lat koło 50, dosyć pełna, ale z temperamentem, miła, Jaś Hempel z żoną Zosienią, którzy przyjechali samochodem Jasia przez Prusy Wschodnie z Gdyni, notabene Jaś Hempel jest zawołanym automobilistą rekordowym i ma śliczną maszynę, w której rekordowo pierwszy odbył podróż z Bombaju w Indiach przez Iran (Persję) i Turcję Azjatycką i Bałkany do Polski, następnie oczywiście pan młody Staś Hempel, bardzo przystojny chłopiec, ładniejszy i subtelniejszy znacznie od brata, następnie siostra młodych Hemplów pani Maria Nowakowska, piękna i wyrafinowana osoba, z mężem Jerzym Nowakowskim, z pochodzenia Podolakiem, ale obecnie osiadłym w Lubelskiem, w powiecie chełmskim pod Rejowcami w majątku własnym, i kuzyn bliski Hemplów, młodziutki Marian czy Marek Świda, charakterystyczny chłopak, przystojny, zdolny do muzyki, żywy, wesoły.

14 sierpnia, rok 1938, niedziela

Wymieniłem wczoraj gości weselnych nie wszystkich. Poza domownikami rodziny osobistej Eugeniusza i państwem młodych wymieniłem Anię i Adasia Virionów i krewnych pana młodego – panią Hemplową matkę, Jasia Hempla z Zosienią, pana młodego Stasia Hempla, ich siostrę panią Nowakowską z mężem i bliskiego kuzyna Hemplów młodego Świdę. Oprócz tych osób byli: ja, redaktor „Chaty Rodzinnej" z Kowna Zygmunt Ugiański, niemłoda panna Grużewska z Kielm z

bratem emigrantem, który po Wielkiej Wojnie wyjechał do Polski, tam wstąpił do oddziałów ochotniczych tzw. „Dywizji Litewsko-Białoruskiej", która stanowiła zawiązek akcji, skierowanej przez Piłsudskiego przeciwko niepodległej Litwie narodowej i stanowiła potem kadry administracji Żeligowskiego; ten Grużewski, zamieszkały odtąd w Polsce i tam będący na służbie państwowej, nie może już wrócić do Litwy, majątek Kielmy pozostawił siostrom i dopiero teraz przyjechał jako obywatel Polski, na krótki pobyt do Litwy. Poza tym była jeszcze panna Rula Komarówna z Bejsagoły i dziś na samo wesele przyjechał jej ojciec Władysław Komar, największy potentat rolny w Litwie, jedyny wielki obszarnik ocalały, którego gospodarstwo rolne w Bejsagole na 900 hektarach ziemi ornej bez lasów stanowi wielkie kapitalistyczne przedsiębiorstwo przemysłowe rolne. Oto i wszyscy goście. Można ich podzielić podwójnie, albo na dwie kategorie a. goście z Polski i b. goście z Litwy, albo na dwie kategorie: a. rodzina panny młodej i b. rodzina pana młodego. W tej drugiej klasyfikacji do kategorii rodziny panny młodej należą: panna młoda Gienia Römerówna, jej siostra Zosienia Janowa Hemplowa, która jednocześnie jest dla niej po mężu „bratową", brat Andrzej Römer, rodzice panny młodej Eugeniusz i Zosia Römerowie, jej ciotka – Ania Virionowa z mężem, jej stryj – ja, jej wuj – Władysław Komar z córką i Grużewscy z Kielm. Uczestnicy pana młodego Hemplowie – matka i brat Jaś Hempel z żoną Zosienią, należącą zarazem do rodziny panny młodej, siostra pana młodego pani Nowakowska z mężem i kuzyn młody Świda. W podziale zaś na gości na tych, co są z Litwy i tych, co z Polski, z Polski są Hemplowie, Virionowie, Nowakowscy, Świda i Grużewski, z Litwy – Eugeniuszowie Römerowie z dziećmi, ja, Grużewska, Komarowie i Ugiański, który jedyny nie jest krewny. Program uroczystości weselnych był taki. Rano do godziny dziesiątej była wolność; młodzież bawiła się na jeziorze, pływała, kąpała się, starsi wstawali, spożywano śniadanie, o godzinie dziesiątej autami (były dwa taksi i auta Jasia Hempla i Grużewskich, potem przybyło auto Komara) wszyscy się udali do Pogryżowa na mszę w kaplicy jezuitów, gdzie też państwo młodzi i ich matki stawali do komunii. Po powrocie był lunch. Wczoraj wieczorem i dziś do lunchu byłem bez humoru i nudziłem się. Czułem się trochę jak piąte koło u wozu. Młodzież żartowała, bawiła się, pan Nowakowski wyprawiał facecje, ludzie się łączyli w grupki i znów się rozpraszali, a ja jakoś nie umiałem się dostosować i byłem sztywny. Po lunchu uciekłem do pokoju sypialnego pod pretekstem drzemki. O godz. czwartej zaczęto się przebierać we fraki do wesela, które było wyznaczone na piątą w kościele w Cytowianach. Wszyscy prócz młodocianego 17-letniego Andrzeja Römera, zwanego „Dimkiem" (nie lubi on tej swojej nazwy dziecinnej), ucznia VII klasy gimnazjum polskiego w Poniewieżu, byli we frakach, Adam Virion i Grużewski nawet z orderami (polskimi oczywiście), ja orderów nie wziąłem, bo nie sądziłem tego za stosowne – miałem tylko rozetkę Legii Honorowej francuskiej, którą noszę zawsze. Panie były w strojach wieczorowych. Panna młoda – Gienia – była w tradycyjnym białym stroju ślubnym z welonem. Trochę się późniono, bo czekano na Komara z Bejsagoły z jego autem. Późnił się, a gospodarze domu (formalnie gospodynią domu była Zosia Eugeniuszowa, ale ta, jako artystka, nie zajmuje się w ogóle domem i nie lubi tego, toteż faktycznie gosposią młodszą była Gienia Römerówna, a dozór zwierzchni nad służbą i całym przyjęciem gości pełniła panna Grużewska z Kielm), powiadam – gospodarze domu byli bardzo przejęci późnieniem się Komara nie tyle ze względu na jego osobę i na automobil, ile ze względu na comber sarni, który miał on przywieźć ze sobą już upieczony i stanowiący całą podstawę obiadu weselnego. W ostatniej chwili, już się późniąc trochę, nadjechał automobil Komara z nim samym i combrem. Przebrał się rychło i on we frak i całe towarzystwo wyruszyło autami do miasteczka Cytowian do kościoła. Za chwilę tam byliśmy, jadąc piękną drogą przez wspaniały las sosnowy, niegdyś Eugeniusza, stanowiący wraz z jeziorem podstawę zakwalifikowania formalnego Cytowian do kategorii kurortów. Kościół był przepełniony ludem, a w tłumie nie tyle wiernych i pobożnych, ile ciekawych, nie brakło też licznych Żydów. Była to sensacja. Nie tylko dlatego, że to było wesele panienek ze dworu, ale zwłaszcza dlatego, że ta panienka wychodziła za gościa z Polski i że chciano oglądać tych przyjezdnych z Polski w orszaku weselnym. Polska – był to do niedawna kraj odcięty od Litwy niepodległej murem sroższym od chińskiego, a tu i pan młody, i cały szereg gości z Polski, w ich liczbie i dawna ex-panienka z tegoż dworu, Ania Izydorówna, wreszcie i

Zosienia, która przed dwoma miesiącami wyszła stąd za mąż za starszego brata Hempla. Błogosławieństwa ślubnego udzielił stary kanonik proboszcz cytowiański od lat wielu, który obrzęd ślubny poprzedził przemówieniem do młodych po polsku od ołtarza, co też w tych czasach jest niezwykłą poniekąd sensacją. Oczywiście ślub był udzielony po polsku. Choć obecnie w rocie przysięgi małżeńskiej panny młodej usunięte zostało ślubowanie „posłuszeństwa", jedna kanonik, który odczytywał rotę przysięgi polskiej ze starych ksiąg, albowiem nowych polskich tu nie ma, wciągnął i „posłuszeństwo" do ślubowania Gieni. Gienia nie płakała przy ślubie, matki nie płakały także. Rodzina panny młodej i matki pana młodego na ślubie w kościele byli obecni.

15 sierpnia, rok 1938, poniedziałek

Dziś wróciłem już z Cytowian do Bohdaniszek, ale napiszę jeszcze o weselu. Po ślubie wczoraj całe towarzystwo pośpieszyło z kościoła z powrotem do dworu, aby się przygotować do przyjęcia państwa młodych, którzy tymczasem pięknym autem Jasia Hempla pojechali gdzieś na przejażdżkę, aby pomarudzić i dać się gościom zebrać we dworze i przygotować na ich przyjęcie. Przyjęcie odbyło się na ganku we dworze cytowiańskim. Nie dojeżdżając do ganku, między folwarkiem i „pałacem" była postawiona na uczczenie młodych brama z zieleni, ale żadnego przyjęcia u bramy przez służbę, która ją wystawiła, nie było: zapewne Eugeniuszostwo nie chcieli tego i zastąpili to przyjęcie przez ceremonię dożynkową wręczenia wianków i pasów zbożowych z pieśniami, odbytą później wieczorem po kolacji u ganku. Na spotkanie młodych wracających ze ślubu rodzina i goście wesela zebrali się na ganku – bez oficjalistów i służby, bez ludu. Eugeniusz trzymał na tacy chleb i sól, które ofiarował młodym wstępującym na ganek. Następnie goście witali i składali im życzenia winem. Szampana nie było. Zwyczajem staropolskim był węgrzyn. Eugeniusz w ogóle, zwłaszcza im się robi starszy, tym bardziej ceni i usiłuje we wszystkim zachować stare zwyczaje tradycyjne, ewentualnie wznowić wszystko, co stare i co tchnie tradycją, unikając nowinek, przynajmniej w formach stosunków, bo skądinąd postępy technicznie uznaje, ma w Cytowianach elektryczność, radio, patefon, telefon, lubi samochody.

Niebawem po przyjeździe młodych podano obiad weselny. Siedziałem między Zosią Römerową i Anią Virionową. Wino było białe i czerwone, ale nie osobliwe, do toastów był węgrzyn. Do zakąsek były wódki. Do kawy później w nocy w salonie były likiery. Clou obiadu stanowiło pieczyste z combra sarniego, przywiezione przez Władysława Komara z trofeów polowania bejsagolskiego przed paru tygodniami. Przy obiedzie, jak podczas wszystkich innych uczt u stołu w tych dniach weselnych, na samym końcu młodzieży panowała zabawa dowcipów i przemówek, w której rej wodził szwagier Hemplów Nowakowski, były rotmistrz ułanów z wojny polsko-sowieckiej, z pochodzenia Podolak, ale obecnie ziemianin z Chełmszczyzny w województwie lubelskim, człowiek rezolutny i ruchliwy, wesoły i dorzeczny, taki, o którym się mówi, że jest „i do tańca, i do różańca", dobry mówca, łatwy, spryciarz, pomysłowy, społecznik i flirciarz, doskonale się nadający na spikera kabaretowego, na conférenciera wszelkich zabaw i uroczystości, na organizatora kawałów i zabawy zbiorowej. Ale gdy po kurczętach przyszła pauza przed lodami – nastąpiła faza toastów i mów. Pierwszy wygłosił mówkę za zdrowie rodziców panny młodej i w ogóle rodziny Römerów tenże wymowny szwagier Hemplów Nowakowski. Po nim nastąpiła kolej moja na mowę za zdrowie państwa młodych. Podczas mów nastrój spoważniał: mowy były uroczyste. Ja wygłosiłem moją, dobrze opracowaną. Spodobała się gościom. Było w niej i o rodzinie Römerów, i serdeczne zwroty do Eugeniusza, i motywy miłości i młodości, motywy charakteru i więzi społecznej, słowem – wiele tradycjonalizmu i społecznictwa z pewnym patriarchalizmem. Może którego dnia zacytuję w dzienniku tę mowę. Była ona akurat taka, jakiej mógł pragnąć Eugeniusz. Potem było jeszcze kilka mówek innych krótszych. Była mowa do rodziny Hemplów, mowa na toast sentymentalny z tradycji szlachecko-polskich „kochajmy się" i inne. Mówił Adam Virion, znowu i znowu Nowakowski, kanonik cytowiański, Grużewski, Ugiański, nawet zdobyła się na *speach* siostrzyczka młodsza panny młodej, serdeczna i miła Helenka Römerówna, której podpowiadał Ugiański i która z tonu uroczystego przeszła już do dowcipnego, właściwego młodości. Zakończył cykl mów Władysław

Komar, rozochocony i podniecony sąsiedztwem pięknej i zalotnej, a mocno wydekoltowanej i podniecającej młodej pani Nowakowskiej, siostry młodych Hemplów, z którą Komar rozwijał flirt coraz gorętszy aż do bruderszaftu z wycałowaniem się publicznym przy stole pod aplauzem biesiadników. Mowa Komara ostatecznie przecięła tony uroczyste i nawróciła do zabawy weselnej i była ona hymnem do naskórka pań jako wartości największej i najpiękniejszej ze wszystkich. Potem już nawrócono do zabawy. W liczbie mów wygłosił też mowę specjalnie do mnie Nowakowski, sławiąc zarówno mój udział w Legionach Polskich, jak moją pracę obywatelską dla Litwy. Cały wieczór szła w salonie i salonikach zabawa. Tańczono, śpiewano, flirtowano, młodzież zabawiała się dowcipami, uprawiano flirt, zwłaszcza w dwóch konstelacjach – Nowakowski z Rulą Komarówną i Wladysław Komar z piękną panią Nowakowską; zwłaszcza ten ostatni flirt był daleko posunięty, tchnący zmysłowością! Zdaje się, że małżonkowie Nowakowscy sobie na złość rozwijali i rozpędzali flirt – on z Komarówną, ona – z Komarem, licytując się i prześcigając, a drażniąc siebie wzajemnie, co może im osłodziło i zaprawiło ostrą zaprawą posiadanie się nocne potem. Pławili się po prostu w zmysłach przez wieczór. Był też w zabawie epizod dożynek u ganku. Z pieśnią i wiankami oraz pasami ze zboża przyszedł lud, żegnając razem odjeżdżającą panienkę, która przemawiała do nich parokrotnie po litewsku, zapewniając, że zachowa kraj ten i lud we wdzięcznej pamięci i sercu, ale odejść musi tam, gdzie ją miłość wzywa. Goście weselni, zwłaszcza ci z Polski, ciekawie słuchali pieśni i mowy litewskiej i obserwowali epizod folkloru zainscenizowany.

16 sierpnia, rok 1938, wtorek

Oto tekst, wygłoszonej przeze mnie mowy na uczcie weselnej Stasia Hempla i Gieni Römerówny w Cytowianach:

„Nie zezwoliłbym sobie przemawiać w imieniu rodziny Römerów w obecności Eugeniusza, który jest obecnie seniorem rodu naszego – nie tylko z wieku, ale także z pierwszeństwa linii rodowej, którą reprezentuje. Jest to w dodatku senior najgodniejszy, który zaletami tak umysłu, jak serca i charakteru zdobył w rodzinie uznanie powszechne, miłość i autorytet, harmonizując doskonale z jego tytułami formalnymi do pierwszeństwa. Nie miałbym więc w jego obecności żadnych tytułów do zabierania głosu w imieniu rodziny Römerów. Ponieważ wszakże jest to wesele jego córki, na którym przeto jest on przede wszystkim ojcem i dla niego jest to uroczystość nie tyle rodu, ale jego rodziny własnej i osobistej, przeto pozwoli mi on na tym weselu zastępczo w charakterze choć nie pierwszego, ale bądź co bądź jednego z seniorów rodu przemówić.

Cieszymy się w rodzinie z tego małżeństwa, które ma wszystko, co zapowiadać może, a nawet powiem, tak szczęście osobiste młodych, jak wartość rodzinną i społeczną tego związku. Przede wszystkim jest miłość i młodość, jest wdzięk duży i szczerość gorąca w uczuciach i pociągu wzajemnym dwojga młodych, jest wszystko, co stanowi piękną prawdę w samym założeniu stosunku i związku małżeńskiego. Na młodości i miłości, a więc na pięknie i prawdzie zakładać można rzeczy mocne i trwałe. Gienia i pan młody posiadają te zalety w zupełności. Że oboje są młodzi i piękni – to widzimy. Że się kochają – o tym wiemy; takie zresztą są dowody siły uczucia, które jak proch się zapaliło i wystrzeliło kwieciem związku, który dziś zawarli i który my tu witamy. Ale prawda i piękno, aby były zupełne, muszą być szersze i głębsze niż tylko młodość i miłość. Młodość przechodzi – związek zostaje i małżonkowie żyją nadal w rodzinie i społeczeństwie. Miłość trwać może poza granice młodości, a w warunkach psychicznych dodatnich nawet szlachetnieje z wiekiem jak wino, ale jeżeli nic jej nie uzupełnia poza uczuciem osobistym i wzajemnym do siebie i ewentualnie do dzieci, to się zasklepia w egoizmie małej komórki społecznej przeciwstawionej wielkiej społeczności wielokomórkowej, zwanej rodem, grupą zawodową czy inną klasą czy stanem, krajem, narodem, ludzkością.

To, co nadaje człowiekowi, a przeto i rodzinie ludzkiej wartość zupełną i doskonałą, to jest poza miłością i ewentualnie młodością charakter człowieka i jego zmysł czy ideał społeczny. Ludzie wielkiego charakteru oprą się burzom i gorszym nieraz od burzy drobnym niesnaskom i niepowodzeniom szarugi życiowej, która małe charaktery kaleczy i wypacza, i znajdą swoją drogę i

będą mocni i piękni, i dobrzy. Gienia, która z rodu naszego wychodzi i nam nowe powtórne powinowactwo z rodziną pp. Hemplów nawiązuje, jest dzieckiem rodu, w którym takie charaktery były i są i jest córką rodziców, którzy oboje zachowali niespożytą moc ducha i są piękni dziś, jak piękni byli całe życie. Jej matka, Zosia, jest artystką i osobą woli i życia, dzielną i wrażliwą, pełną życia i sił niespożytych. Ojciec jest charakterem, zlanym z bardzo szlachetnego i mocnego materiału psychicznego, w którym serce dobre kojarzy się z umysłem światłym i głębokim. Ona sama jest gospodarna, dzielna, dobra córka, dobra siostra, pogodna i bardzo wyrazista. Z domu Römerów, z gniazda pierworodnego Eugeniusza dajemy domowi Hemplów kwiat piękny i drogi nie tylko urody, ale także charakteru.

Zalety zmysłu czy ideału społecznego mają także wszelkie perspektywy dodatnie do rozwoju w tym małżeństwie. W domu Eugeniusza jest kult prawdziwy tych zalet. W rodzinie Römerów nie było też pokolenia, które by się nie zaznaczyło bądź działalnością obywatelską na szeroką skalę i zawsze ofiarną i opartą na zasadach solidaryzmu, bądź w okresie niewoli czynami bezpośredniej walki zbrojnej o wolność. W szczególności tradycja żywa naszego pradziada Michała Römera, z pietyzmem przechowywana w pamięci i sercu linii potomnych, tradycja, której Eugeniusz hołd składa nie tylko w pamięci i sercu, ale także w czynie własnym, tradycja światłego i czynnego obywatela, który w potrzebie staje na czele akcji zbiorowej lub pełni służbę społeczną, działa, inicjuje ruch, nie cofa się przed skutkami, ta tradycja musi być żywa w sercu, a przeto odżyje i w czynach dzieci Eugeniusza. Ze strony matki świeci im też przykład ich dziada dr Tadeusza Dembowskiego, którego życie całe pełne było czynu obywatelskiego.

Rodziny pana młodego nie znałem osobiście, ale sądząc z tego, co o ojcu jego słyszałem, i wnosząc z faktu, że matka jego jest Świdówna i że w tradycji Świdów, których krew i u Römerów się znajdzie – ja sam się do tej krwi po matce mojej przyznaję, że w tradycji Świdów są głębokie wartości społeczne, wnosząc przeto z tych przesłanek sądzę, że i ze strony pana młodego będą w tym młodym małżeństwie piękne inwestycje zmysłu społecznego, które się w czynach ukażą.

Składając więc życzenia serdeczne młodym i wzywając dla nich błogosławieństwa dziadów i pradziadów naszych, których najszlachetniejsze pierwiastki, wyrażone w ich czynach i przechowane w naszej tradycji rodzinnej, oby się odrodziły i zabłysły nowym życiem i czynem tych dwojga młodych, wznoszę ich zdrowie: Niech żyją Stanisław i Gienia z Römerów Hemplowie!”.

Oto moja mowa weselna do młodych. Dziś na więcej miejsca nie mam.

17 sierpnia, rok 1938, środa

Od dwóch dni wróciłem już z Cytowian z wesela Gieni Römerówny Hemplowej do Bohdaniszek. Wczoraj i dziś miałem już bieżące egzaminy studenckie, a dziś przyjechała na kilka dni do Bohdaniszek do męża doktorowa Gudowiczowa z córką Danutią. Ale wrócę jeszcze do wesela cytowiańskiego. Było to naturalnie przede wszystkim wesele, uroczystość rodzinna, ale zarazem było pewnego rodzaju brataniem się na terenie polsko-litewskim, brataniem się, które jest dziś bardzo modne w sferach polsko-ziemiańskich Litwy. Otwarcie granicy polsko-litewskiej sprawiło duży napływ gości z Polski do Litwy, zwłaszcza podczas wakacji letnich. W Kownie, Kłajpedzie – tymi gośćmi są Polacy rdzenni, ale na wsi są to przeważnie Polacy, pochodzący z Litwy, którzy po Wielkiej Wojnie wyemigrowali do Polski dla względów politycznych. Są to zwykle tacy, którzy nie wierzyli w niepodległość Litwy, byli jej przeciwni, widzieli zbawienie Litwy w Polsce, w tzw. „unii”, która właściwie w tej koncepcji była niczym innym, jak pochłonięciem Litwy. Wyjechali oni do Polski, tam wstąpili do wojska i spodziewali się wrócić do kraju triumfalnie wraz z państwowością polską. Inni może tych ambicji nie mieli, ale Litwy się lękali, nie spodziewali się tu znaleźć warunków do życia, postarali się w Polsce o posady, naturalizowali się, sprzedali tu resztki majątków swoich albo pozostawili je w ręku braci czy sióstr. Wszyscy oni mieli w Litwie krewnych, byli związani z nią wspomnieniami osobistymi lub rodzinnymi. Nie doczekali się ani powrotu tryumfalnego, ani „unii”. Niektórzy zupełnie się tam zasymilowali i stracili wszelki kontakt z Litwą i nie mają już żadnego do niej pociągu. Ale wielu tęskniło, a w każdym razie pragnęło ją zobaczyć

jeszcze, odwiedzić rodzinę lub miejsce wspomnień i pamiątek. Teraz sypnęły ich wycieczki i odwiedziny. Dużo ich teraz błąka się przez wakacje po Litwie. Gdyby władze litewskie nie robiły utrudnień w udzielaniu wiz wjazdowych, to wlałby się tu przez wakacje cały potok tych gości. Podobno próśb o udzielenie wiz wjazdowych jest do 5000 czy więcej nawet. Wielu osobom wizy są odmawiane, względnie w udzieleniu pozwoleń są duże zwłoki. Ale sporo jednak się przesącza, zwłaszcza ci, co mają jakieś wizy dyplomatyczne lub urzędowe polskie albo co mają tu jakąś protekcję. Ciągle to tu, to ówdzie snują się po Litwie ci goście z Polski. Polacy miejscowi, ziemianie przyjmują tu ich gorąco, bratają się, robią z ich wizyt *sui generis* manifestacje. Są oni w modzie. Litwini obserwują to z pewną rezerwą i nieufnością, nawet z przekąsem. Wznowiły się poniekąd w kołach polskich w tych wizytach nastroje „unijne"; mówi się o jakimś szczególnym zbliżeniu Litwy do Polski, o potrzebie takiego zbliżenia jak najściślejszego, stwierdza się oporność Litwinów, przypisuje się to znów „wpływom obcym", dziwi się, że Litwini potrzeby tej zdają się „nie rozumieć". Modne jest, jak „*mot d'ordre*", wyrażanie uznania i sympatii dla Litwy, bodajże szczere nawet, ale zawsze z pewnym zastrzeżeniem zbliżenia ścisłego z Polską jako rzekomo jedyną oporą dla Litwy. Ale jednocześnie jest zawsze pewna pobłażliwość protekcjonalna dla tej sympatycznej, ale niemądrej upartej „młodszej siostry" i pewne traktowanie Polski jako kategorii wyższej. Sympatii i uznania dla Litwy jest już niewątpliwie ze strony polskiej więcej, niż było w latach 1919-1922 i pod tym względem goście z Polski nawet oddziaływują na reformowanie poglądów Polaków miejscowych na Litwę, ale poczucia równości w traktowaniu Litwy wobec Polski jeszcze nie ma.

18 sierpnia, rok 1938, czwartek

Od wczoraj mamy w gościnie panią doktorową Gudowiczową i córkę Gudowiczów, studentkę prawa pannę Danutię Gudowiczównę. Prof. Gudowicz kocha bardzo swoją rodzinę, złożoną z żony i córki jedynaczki i rad je sprowadzić do Bohdaniszek, by zaprezentować im swoje letnisko i okolice oraz otoczenie Bohdaniszek, które lubi bardzo. Mimo pozory łatwości towarzyskiej i gawędziarstwa wielkiego, jest on w istocie samotnikiem. Jest to pewnego rodzaju paradoks jego natury. Ma łatwość obcowania z ludźmi, gawędzi do upadłego, gdy się z ludźmi styka, nie daje nikomu dojść do słowa, nie słucha i nie słyszy, co inni mówią, jest cały zasłuchany w swoje mówienie, nic sobie z nikogo i niczego nie robiąc, a przecież ucieka od ludzi w samotność, nie lubi długo z ludźmi się bawić, dużo przesiaduje sam albo sam sobie chodzi na wycieczki myśliwskie i spacery. Jako myśliwy – polowań zbiorowych nie lubi; woli chodzić za zwierzyną sam z psem, obserwować i napawać się naturą, kontemplować. Ale żonę i córkę lubi mieć przy sobie, lubi brać je na spacery i polowanie, lubi dyrygować nimi, jest z nimi dobrotliwie arbitralny, traktuje je obie po ojcowsku ze szczyptą despotyzmu i zarazem żartobliwości, z pewnym protekcjonizmem serdecznym. Panią Gudowiczową i pannę Danutię sprowadził on na kilka dni. Wczoraj chodził je spotykać do Prapultini, gdy przyjeżdżały autem z kolei z Rakiszek. Spotykał je w towarzystwie małych dziewczynek 9-letnich – Feli Jankowskiej i Antositi Bieliunasówny – ze wstęgą, splecioną przez te dziewczynki z kwiatów i z pieśnią. Dziś po obiedzie chodził z nimi na wycieczkę myśliwską na jezioro do Kumsz, jutro jedzie z nimi i z nami z Jadzią autem do Jezioros i Dusiat. Na jego też życzenie panna Danutia musiała dziś asystować egzaminowaniu studentów przeze mnie. Panna Danutia jest milcząca dziewczyna, niezbyt piękna, ale miła, wykształcona, rezolutna, mająca swoje zdanie, bardzo dobrze wychowana. Gudowiczom na czas pobytu pani i panienki ustąpiliśmy całą górę domu. Mają trzy pokoje.

19 sierpnia, rok 1938, piątek

Dawno zapowiadał Gudowicz, że jak żona z córką przyjedzie, to się wybierze z nimi do Jezioros. Umówił też na dziś automobil z Rakiszek na tę wycieczkę. Zabraliśmy się razem w tym automobilu i my z Jadzią i o godzinie dwunastej z minutami po wczesnym obiedzie wyjechaliśmy. Jechaliśmy na Łasze, Krewny, Berszuny, Bredesy, Antuzów, Imbrody, wracaliśmy na Degucie, Dusiaty, Szuty, Minkuny, Dworcze, Radysie, Rogiele, Kurklecie, Prapultinię. Piękną mieliśmy wycieczkę i przed wieczorem byliśmy z powrotem w Bohdaniszkach. Jadzi trochę się nie udało. Dwa

razy jej się źle zrobiło. Raz zatrzymano automobil i wyszła ona przejść się do lasku, gdzie zwomitowała. Drugi raz zwomitowała nagle w samym automobilu i nawet na palto Gudowicza. Nic dziwnego – jest biedaczka w siódmym miesiącu ciąży. Na ogół jednak wycieczka była miła i ciekawa. Zachwyciliśmy się pięknymi fragmentami widoków wśród lasów, wzgórz, jezior malowniczych z wyspami. W jeździe automobilowej widoki przelatują kalejdoskopicznie. Piękna jest zaiste ta część kraju i piękne są same Jeziorosy z jeziorem i dzielnicą will. Samo miasto też się zmieniło, uporządkowało i wypiękniało. Wielka różnica wobec dawnych Jezioros przedwojennych z czasów rosyjskich. Była to dziura obskurna mimo piękne położenie naturalne. Obecne Jeziorosy są czyste, ładnie zabudowane, wesołe. Jako miejsce letniskowe i najpiękniejsza dzielnica Litwy – zyskują one z roku na rok na urządzeniu i frekwencji. Są modne. Był to dziś dzień „Spasa" rosyjskiego podług starego stylu, dzień wielkiego zjazdu Moskali starowierów nie tylko spod Jezioros, ale też z sąsiednich powiatów rakiskiego i uciańskiego oraz Łotwy z powiatu iłłuksztańskiego, dyneburskiego i całej Łatgalii. Cała ta spora połać ziemi na pograniczu kresowym litewsko-łotewskim-białoruskim od Abel i Uciany poprzez jej centrum w Dyneburgu i na Rzeżycę, Lucyn i pod Newel – to jest wielkie gniazdo tych Moskali starowierów, ludu bardzo charakterystycznego i stanowiącego odrębną i ciekawą społeczność. Na tej wielkiej przestrzeni, na terytorium kilku państw obecnie, zachowują oni swoją więź społeczną ścisłą, pełną swoistego charakteru, zwyczajów i stosunków. Miewają oni różne święta i wielkie zjazdy ludowe w różnych punktach i w określonych datach, kiedy się zjeżdżają wielkimi masami, hulają, piją, biją się. Jest to lud krewki, z temperamentem i zacięciem, zdolny, ale dosyć dziki, a w każdym razie pierwotny. Pełne ich dziś były Jeziorosy w ten dzień ich kiermaszu. Krzyki, rozmowy głośne, flirty, zabawy rubaszne, gromadki podochocone, na bulwarze pod kościołem prawdziwy deptak młodzieży – „smotriny" dziewcząt, rubaszne spacerowanie, żarty, humor, ścisk, okazje do bójek, zaczepiania. Jeziorosy pod znakiem burłackim. W Jeziorosach strzygliśmy się z Gudowiczem, zajadaliśmy rybę żydowską na szabas. Wracając nie zatrzymywaliśmy się już w Dusiatach. Przejechaliśmy przeszło 100 kilometrów (zdaje się, a przynajmniej koło tego), zapłaciliśmy za auto 60 litów. Drogo, ale wycieczka przyjemna i ładna.

20 sierpnia, rok 1938, sobota

Mało mam teraz czasu na pracę moją i mało przebywam sam na sam z Jadzią, bo goście bądź co bądź rozpraszają czas i wszelkie skupienie. Sam Gudowicz mało wchodzi w drogę – do obiadu siedzi w swoim pokoju, po obiedzie wybiera się z fuzją i psem na przechadzkę albo jedzie na wycieczkę myśliwską. Ale doktorowa Gudowiczowa z córką przesiadują albo spacerują z Jadzią, a i ja także muszę czasem posiedzieć przy nich. Przed obiadem przyszedł z Narkun Mackus. Pomoże w bawieniu gości i urozmaici czas pannie Danutė. Choć to kawaler nie bardzo wymowny i bystry, ale wystarczy, że jest młody i ostatecznie niegłupi; nie gadatliwa jest i panna Danutė. Gudowicz, który się po obiedzie wybierał na Pakienie na cietrzewie, zapowiadał, że zabierze tam do towarzystwa doktorową, ale ta zbytniej ochoty nie miała i skończyło się na tym, że pojechał bez niej z Waśką Sinicukiem. Natomiast Jadzia wykombinowała inną wycieczkę dla doktorowej z córką i Mackusem, do której wreszcie i sama dała się przez nich uprosić. Pojechali oni w linijce Nemunasem przez Pokrewnie do Kupr nad jezioro i stamtąd łódeczką do Antonosza. Nemunas jest wypoczęty, wystał się długo, nie używany jest do roboty od wiosny, od śmierci Pumpola, kiedy był zadręczony. Uważano go za chorego. Zdaje się jednak, że jest zupełnie zdrów i że mu nic nie brakuje. Toteż ma teraz energii dość, a gorący jest z natury. Toteż gdy wyjechali, zacząłem się bać o Jadzię, żeby się coś nie stało w drodze, gdyby Nemunas poniósł lub przestraszył się. Furmanował im Mackus, niepewny w roli furmana. Żałowałem, że puściłem Jadzię. Ale nic się im nie stało i pod wieczór wrócili szczęśliwie, a ja chodziłem na ich spotkanie do Karwieliszek. Mackus zanocował u nas. Doktorowa i panna Danutė są z nim w dobrej komitywie, a ja naszeptuję Mackusowi, żeby się brał do panny Danutė, która jest bogatą jedynaczką, dziedziczką kamienicy w Kownie i może jeszcze posagu niezłego i dobrą zacną dziewczyną, inteligentną i z charakterem.

21 sierpnia, rok 1938, niedziela

Nie miałem chwilki czasu na pracę. Ledwie wieczorem, gdy się już wszyscy rozeszli spać, miałem czas na dziennik, na jeden list i na repetycję mowy immatrykulacyjnej. Rano przychodziła Elwira, potem Gudowiczowie wybierali się z wizytą do Mieczkowskich i ja musiałem im towarzyszyć. Potem przyjechała siostra Jadzi – Stefcia Boreišisowa z mężem i synkiem siedmioletnim Michasiem, naszym z Jadzią synem chrzestnym, bardzo miłym chłopczykiem, który się bardzo rozwinął i wygrzeczniał. Darowałem mu pareczkę gołębi, z których się serdecznie ucieszył. Po obiedzie przyjechał znów Julek Komorowski z dwoma synkami starszymi – Zysiem, uczniem w gimnazjum jezuitów w Wilnie, i Bisiem (Bronkiem). Wreszcie ostatnią godzinkę przedwieczorną zabawiłem z panią Gudowiczową i panną Danutią. Feliks Mackus spędził cały dzień dzisiejszy w Bohdaniszkach i zanocował drugą noc. Chętnie asystuje on pannie Danuti, chodzi z nią na spacery i przez nią jest, zdaje się, mile widziany. Może rzeczywiście kiełkuje w nim myśl o ożenku z bogatą jedynaczką prof. Gudowicza. Mackus jest praktyczny, lubi wygodę i umie się urządzać w życiu. Ma naturę zimną, nie unosi się, nie jest skory do miłości nieobliczalnej i bogaty ożenek jest zupełnie w jego stylu.

22 sierpnia, rok 1938, poniedziałek

Pani Gudowiczowa dziś na pociąg nocny odjechała, ale panna Danutė Gudowiczówna pozostała do końca wakacji ojca, to znaczy do wspólnego naszego wyjazdu w ostatnim dniu sierpnia. Dobra to jest i zacna dziewczyna, bardzo naturalna, dobrze wychowana, serdeczna. Gudowicz chodził na polowanie do Kumsz, ubił bekasa, derkacza i pięknego jastrzębia, który będzie powieszony na drzwiach stajni.

Stolarz głuchoniemy młody z Narkun, rekomendowany mi przez Mackusa, skończył dziś robotę krzyża litewskiego typu kapliczkowego, który mu obstalowałem. Krzyż ten jest wykonany podług wzoru pod nr 30 z przedwojennego wydawnictwa albumu krzyżów litewskich, wydanego przez „Lietuvių Dailės Draugija” w Wilnie w roku 1912 i reprodukującego zbiór tych krzyżów, przerysowanych z natury przez Antoniego Jaroszewicza. Wzór, który wybrałem, pochodzi z Giedrojć (Giedraičiai) w Litwie Górnej w byłym powiecie wileńskim, dziś wszakże na terenie Litwy niepodległej. Jest to krzyż bez krzyżowania, to znaczy bez ramion poprzecznych, o dwóch daszkach kapliczkowych, położonych jeden nad drugim. Wykonany jest z dębu i powinien być trwały. Ma piękną ornamentację z rzeźby na drzewie. Pomalowany przez tegoż majstra. W malowidle są skombinowane kolory brązowy, wiśniowy, żółty i ciemnozielony oraz biały. U góry ma ładne ozdobne zakończenie z żelaza, wykonane przez kowala Błażewicza. Dziś wieczorem przeniesiono go z wielkim trudem i ustawiono w dole, obkładając dokoła kamieniami. Stanął za sadzawką naprzeciwko domu mego na tle klonów, które tam rosną w pobliżu gołębnika i budy łabędziej. Lubię bardzo te ozdobne krzyże litewskie, stanowiące piękny zabytek sztuki ludowej tak rzeźbiarsko-dekoracyjnej, jak architektonicznej. Niestety – od lat kilkudziesięciu ta gałąź sztuki ludowej dąży do upadku. Za moich lat dziecinnych i wczesnej młodości stało jeszcze mnóstwo tych krzyżów po cmentarzach, mogiłkach, wioskach i na skrzyżowaniach dróg. I stały one, i stawiano je jeszcze. Upadek krzyżów zaznaczył się w dobie odrodzenia narodowego litewskiego. Podnosząc zagadnienia narodu jako całości politycznej, kultywując jedność i energię polityczną Litwy, zadano cios tak narzeczom lokalnym, jak prymitywności naiwnej lokalnej sztuki ludowej, rdzennie etnograficznej i anarodowej. Oziębienie gorliwości religijnej, drożyzna drzewa, zanik starych zwyczajów i obrządków, zniszczenie wsi przez nowy szablon strojów, budownictwa i w ogóle sprzętów użytku domowego zadawały cios kultowi rzeczy starych odwiecznych w życiu ludowym. Komasacja wsi na zaścianki, upadek pięknych charakterystycznych wiosek dawnych przyśpieszyły proces zanikowy krzyżów. Robią się teraz wprawdzie wysiłki do odrodzenia tej sztuki zanikającej, ale to już jest co innego. Nie ma już w tym naiwnej twórczości samorzutnej, jeno odtwarzanie wzorów, przechowanych w przerysowaniach lub w krzyżach szczątkowych, które jeszcze tu i ówdzie spotkać

można. I nie stawia już tych krzyżów samorzutnie sam lud z własnego popędu i na prywatny użytek, jeno stawiają je różne organizacje i na zamanifestowanie różnych pamiątek lub okoliczności narodowych.

23 sierpnia, rok 1938, wtorek

Rozpoczęto u mnie młócenie maszyną i motorem Raišysa, sprowadzonym wczoraj z Rogiel. Wymłócono przez dzień żyto. Plon kiepski – wystarczy ledwo na ordynarię i na chleb dla dworu, ale nie będzie ani na sprzedaż, ani na nasienie. Cały dzień Jadzia siedziała przy gumnie, wciąż i zapisując wymłócone ziarno. Zmęczyła się i dr Gudowicz radził, żeby więcej nie siedziała. Zastąpi ją jutro Renia, którą Jadzia sprowadziła z Rakiszek od jej ciotek, do których ją Jadzia przed 10 dniami za pokutę odesłała (co do mnie – to radbym się w ogóle Reni pozbyć, bo jej nie lubię, a zwłaszcza teraz, kiedy będę miał własne dzieci, nie jest mi wcale w domu przyjemna ta obca wychowanka Jadzi, która nie jest ani sympatyczna, ani wdzięczna i kłóci się z Jadzią, a zakochana jest w sobie).

U mnie byli studenci do egzaminu. Było ich aż siedmiu. Wymęczyli mię porządnie, tym bardziej, że przeważnie nic nie umieli. Jeden nie zdał, trzech zdało ledwo-ledwo, dwóch – dobrze i tylko jeden – bardzo dobrze.

Wczoraj miałem z Kowna depeszę od Mašalaitisa. Zapytuje, kiedy wracam do Kowna, bo „*contre-mémoire*” litewski w sprawie estońsko-litewskiej jest już gotowy i chciano by mi go przedstawić i wysłuchać moich obserwacji. Odpisałem, że wracam 31 sierpnia i ostatecznie konieczności nowej narady ze mną nie widzę, bo moje uwagi wyraziłem już w lipcu na zebraniu w Kownie i nic nowego nie dodam. „*Contre-mémoire*” ten powinien być złożony do kancelarii Trybunału w Hadze na 1 września. Nie jestem pewny, czy mię jednak nie wezwą do Kowna w tym celu.

24 sierpnia, rok 1938, środa

Upał szalony. Spiekota z suchym wiatrem. U mnie egzaminy studenckie. Ale studenci dobrzy, zdają doskonale oprócz jednego, który nie zdał. W liczbie celujących – panienka, panna Bajorunaitė z okolic Birż, która przyjechała autobusem z Birż do Rakiszek i z Rakiszek końmi, przyjechała na chybił trafił, bo nie była wpisana na listę i zgłosiła się samozwańczo.

25 sierpnia, rok 1938, czwartek

Ostatni egzamin tego lata. Przyjechało pięciu studentów, w ich liczbie jedna panienka z Abel, niejaka Virvičiutė, siostra kolejowca, która przyjechała rowerem i... nie zdała. Biedaczka była tak poruszona i zdetonowana niepowodzeniem, że nic mówić nie mogła i omal nie płakała. Ładna dziewczynka, ale jeszcze inteligencja surowa, nie ogarniająca umysłem zagadnień prawa konstytucyjnego, i to nieszczęsne zacinanie się nerwowe, tak częste u studentek i odbierające im przytomność umysłu. Był też Laurynas Zoras, miły chłopiec spod Kupiszek, prostawy, o głosie krzykliwym, ale bardzo szczery i charakterystyczny, trochę komik dosyć facetny. Ten przyjechał się poprawić i zdał dobrze.

Ciekawe, że Kazimierz, mój lokaj 78-letni, najstarszy dziś wiekiem i zamieszkaniem we dworze, nigdy do mnie inaczej nie przemawia, jak po polsku, a przy studentach robi to zawsze demonstracyjnie, umyślnie i specjalnie podkreślając polskość domową. Choć Kazimierz bynajmniej nie czuje się Polakiem i żadnego „patriotyzmu” narodowego polskiego nie ma (zresztą nic go to nie obchodzi i w ogóle zagadnienie narodowości i patriotyzmu narodowego albo państwowego jest mu zgoła obce) i chociaż własne jego dzieci języka polskiego nie używają, bo to w Litwie się nie popłaca, a wnuki w ogóle po polsku nie umieją i już są stuprocentowymi Litwinami, to jednak w pojęciach Kazimierza mowa polska jest symbolem pańskości, a mowa litewska – chamstwem. Toteż odezwać się do mnie po litewsku jest w jego pojęciach czymś niehonorowym i należy manifestacyjnie i na przekór Litwinom – mówić do mnie i ze mną po polsku. I nie ma wypadku, żeby wobec studentów Litwinów nie zwrócił się do mnie głośno i specjalnie, demonstracyjnie, po polsku.

Jeżeli rozmowa toczy się po litewsku, on zawsze się do mnie zwróci po polsku, a jeżeli nawet nie ma potrzeby, to zrobi to umyślnie. A już gdybym ja do niego odezwał się po litewsku, to mi tym bardziej po polsku odpowie, nawet prowokująco. Jest to dla niego punktem honoru dworu i rodu pańskiego, w którym służy. Strzeże on tego pilnie i zazdrośnie.

26 sierpnia, rok 1938, piątek

Jeżeli ciąża kobiety ma być liczona od ostatnich reguł miesięcznych przed zajściem w ciążę, to dziś upływa siódmy miesiąc ciąży Jadzi i rozpoczyna się ósmy. Filipek w jej łonie już się bardzo energicznie rusza. Zdaje się, że przebieg ciąży jest zupełnie normalny. Na ogół Jadzia znosi ciążę dobrze. Gruba jest już mocno, ale pogrubiała bardzo cała, nie tylko w brzuchu. Wagi znacznie przybyło. Rozrosła się wszerz.

Powietrze znacznie dziś ochłodło. Grzmiało we dnie parokrotnie – przed południem i koło zmroku. Wielkiej burzy nie było jednak w Bohdaniszkch. Wakacje moje są już u schyłku.

27 sierpnia, rok 1938, sobota

Przed paru laty zaproponowałem władzom powiatowym i samorządowi abelskiemu 1 hektar ziemi przy gościńcu w Karwieliszkach na szkołę bohdaniską. Przysłano komisję, obejrzano, uznano ziemię za odpowiednią. Stanęło na tym, że mam zrobić przelew własności na samorząd abelski. Zwracałem się potem parokrotnie do wójta abelskiego Mackusa, zapytując, kiedy mamy sporządzić akt. Wójt się jakoś nie kwapił, odkładał. Na koniec przeszłego roku umówiliśmy się z nim pojechać do notariusza w Rakiszkach dla sporządzenia aktu darowizny. Pojechaliśmy, ale bez skutku, bo się okazało, że potrzebna jest uchwała rady powiatowej rakiskiej, której nie było. Przestałem nalegać, widząc, że czynnikom odpowiednim widocznie nie chodzi o to, bo się nie kwapią. Było wrażenie, że im tę ofiarę narzucam. Skoro nie chcą – to Bóg z nimi. Ja w tym interesu nie mam. Wiedziałem, że obecny nauczyciel bohdaniski Mikulionis, który poprzednio mieszkał w Rakiszkach, a teraz kupił z bratem 20 ha ziemi ze spadku po Maryni w Kumszach, nie chce szkoły w Karwieliszkach, bo do wioski bohdaniskiej, gdzie obecnie mieści się szkoła, ma bliżej. Domyślałem się też, że gospodarze Kligis i Diržys, u których obecnie szkoła wynajmuje lokal i którzy przeto mają z tego tytułu pewien zarobek, czynią zabiegi w gminie, aby do budowy szkoły na własnym terenie w Karwieliszkach nie doszło. Sądziłem więc, że nic już z mojej oferty nie będzie. Wszakże dziś przyjechał do mnie wójt Mackus, prosząc o wyznaczenie terminu dla sporządzenia aktu na ziemię pod szkołę i zapewniając, że już wszystko gotowe. Widocznie więc rzecz dojdzie do skutku i teraz wreszcie czynniki zainteresowane zaczęły reagować. Odroczyłem tę sprawę do Bożego Narodzenia, bo zresztą nie mam teraz tutaj dokumentów własności.

28 sierpnia, rok 1938, niedziela

Dzień upłynął bez wydarzeń szczególnych. Początek jesieni jest śliczny. Dnie są bardzo ciepłe, wieczory – przeważnie także. Trzeba już wracać do Kowna, ale szkoda też Bohdaniszek. Co prawda syt jestem Bohdaniszek po blisko dwóch miesiącach pobytu, ale nigdy ich nie mam za dużo. Obrastają one drzewkami mojego sadzenia, ogród owocowy też z roku na rok rośnie. Mam już w ogrodzie owocowym przeszło 300 drzewek, a razem z tą cząstką starego ogrodu, którą nabyłem ze spadku po Maryni, mam ogółem przeszło 400 drzew, nie licząc śliwek, trześni i wiśni w tzw. jagodniku. Będę obecnie znowu powiększać ogród z roku na rok, dosadzając nowe rzędy drzew na zachodnim zboczu góry za gumnem w kierunku Prudelisu. Aleja brzozowa, którą na grzbiecie tej góry założyłem, będzie rozdzielała ogród na dwie połowy, południowo-wschodnią i zachodnią. Pomnażam też ciągle plantację drzew dekoracyjnych. Tej jesieni i wiosny zasadzać będę przeważnie wielkie linie masowe drzew i aleje wjazdowe, złożone z odcinków różnego drzewa; rząd topoli piramidalnych wzdłuż przez środek alei brzozowej za gumnem; zgęszczenie linii topoli piramidalnych wzdłuż nowej drogi do Karwieliszek; dwurząd tychże topoli poza brzegiem Gaju u nowych dodanych doń odcinków odchudzenia lub w dwurzędzie jodełek od północnej strony ogrodu

owocowego. Poza tym dodadzą się w różnych miejscach nowe drzewka pojedyncze. Ogółem dosadzę parę setek albo jeszcze więcej drzewek dekoracyjnych, owocowych zaś nowych i odsadzonych – 40-50. Z innych ozdób i urządzeń Bohdaniszek tego lata: stanął krzyż kapliczkowy litewski za sadzaweczką przy domu; odremontowany prawie że na nowo chlew pozostały po Maryni; opierzone są deskami i będą pomalowane – schody na górę w domu i saleczka tamże; stanie ściana kamienna I piętra spichrza; wydłużona i urządzona droga z góry od dworu na pole, stanowiąca zjazd do dróżki kumszańskiej i ejbuczupskiej i zarazem zjazd do dróżki polowej gospodarskiej, który już nie będzie tak stromy ani tak mokry. Natomiast budowę łaźni wypadło odroczyć do roku przyszłego. Teraz w urządzeniu Bohdaniszek przybył mi nowy bodziec. Jest nim myśl o Filipku. Czuję się ojcem i mam przyjemność w myśli, że urządzam Bohdaniszki dla syna czy córki. Dziś jeszcze nie wiem, co to będzie za istota, ale już niebawem będzie to stworzenie żywe i realne. Filipek przemieni się w Michasia albo Kotunię.

29 sierpnia, rok 1938, poniedziałek

Znowu dziś większą część dnia spędziłem w Gaju przy czyszczeniu młodniaku, w którego kilku kwartałach wycinam zarośla olchy, leszczyny i innych drzewek mniej wartościowych, otwierając teren dla porostu brzózek, jodełek i dąbków, których tam dużo porasta. Ale są też w młodniaku takie kwartały, w których olcha lub jarzębina panują niepodzielnie – tam je zostawiam porastać.

Znowu powietrze jest niezwykle suche i wieje gwałtowny, gorący i suchy wiatr wschodni. Całe powietrze jest zamglone dymkiem i przepojone zapachem smolistym spalenizny. Gdzieś musi się palić las albo torfowiska. Lubię bardzo ten zapach. Przypomina mi on Mińszczyznę.

30 sierpnia, rok 1938, wtorek

Gudowicz ze swoim temperamentem i humorem trochę rubasznym już mię nuży. Miły jest i zabawny na krótko. Skądinąd lubię go, bo człowiek jest dobry, ma serce. Nie jest też bynajmniej gościem uciążliwym, bo sam sobie najzupełniej wystarcza i nie potrzebuje bawienia. Ale swoją drogą przez swój temperament i pewne zmanierowanie dowcipu z częstymi przechwałkami i powtarzaniem się konceptów działa, przynajmniej na mnie, *à la longue* – dość przygnębiająco. Nie mogę mu dorównać temperamentem, a żadna poważniejsza czy choćby równiejsza rozmowa z nim, a nawet przy nim nie jest możliwa, bo wszystko on tłumi swoim rozmachem głośnym temperamentowego dowcipu. Jest on byłym socjalnym demokratą, dotychczas kategorycznym wolnomyślnym i zajadłym antyklerykałem, ale nade wszystko kamienicznikiem, burżujem skończonym, choć o pewnym zacięciu przekory anarchistycznej. Uchodzi za postępowego i opozycjonistę wobec rządów autorytarnych narodowców, ale opozycyjność jego nie opiera się na żadnym mocnym szkielecie ideologicznym i jest tylko warcholska. Jest on typem szlachcica sejmikowego z wieku XVII. Człowiek poczciwy, dobry, nawet delikatny, ale zmanierowany temperamentem. Lubię go, ale na dłuższą metę nuży i działa przygnębiająco może nie na całe otoczenie, ale przynajmniej na mnie. Na jeden miesiąc jest jeszcze znośny, ale gdyby tak z nim trzeba było żyć na stałe, to dla mnie byłoby za ciężkie. Jeden miesiąc – to akurat w miarę.

Ostatni dzień w Bohdaniszkach. Jutro już wracamy do Kowna. Paulinkę z Renią Jadzia wysłała do Kowna już dziś na nocny pociąg z bagażem.

31 sierpnia, rok 1938, środa

Wyjazd z Bohdaniszek do Kowna. Wyjechaliśmy w południe po wczesnym obiedzie. Wyjeżdżamy razem – i my z Jadzią, i Gudowicz z córką, panną Danutią. Tym razem Jadzia, na której się opiera cała gospodarka bohdaniska, wyjeżdża na długo: wróci do Bohdaniszek dopiero na przyszłą wiosnę i już da Bóg... z Filipkiem! Na Boże Narodzenie nie będzie mogła przyjechać, bo trudno będzie brać w podróż małe dziecko, a odjechać go nie będzie mogła, bo będzie karmiła. Jadzia jest w ósmym miesiącu ciąży. Ani się obejrzymy, jak upłyną te dwa ostatnie miesiące i nastąpi

nieunikniona data krytyczna gdzieś zapewne w ostatnich dniach października lub pierwszych listopada. Co ma być – to będzie. Czy to będzie Michaś czy Kotunia – oby dziecko żyło i było zdrowe. Będzie to bądź co bądź ewenement w moim i naszym życiu. Obecność naszego dziecka będzie okolicznością, która ważyć będzie bardzo dużo tak w naszym życiu domowym, jak w moim życiu psychicznym. Już i teraz sama perspektywa tego dziecka sprawiła i sprawia dużo. Ale dopiero jak się ono fizycznie materialnie ukaże – będzie to coś zupełnie realnego i nowego.

Dojechaliśmy do Kowna prędko. Wyjechaliśmy z Abel o pół do trzeciej, między piątą a szóstą byliśmy w Radziwiliszkach, gdzie musieliśmy przesiąść i bardzo prędko, z dwoma zaledwie przystankami w drodze – w Kiejdanach i w Janowie – po godzinie siódmej byliśmy już w Kownie.

Ten rok 1938 spełnił moje marzenie o dziecku. Marzyłem o nim, ponieważ moja córka Celina jest dla mnie obca: choć formalnie mam w niej córkę, ale faktycznie jak gdybym nie miał. Nie wierzyłem już w to, żeby się to moje marzenie spełniło kiedykolwiek. Tymczasem spełnienie przyszło z łatwością przez prosty wypadek bez żadnych przygotowań i bez myśli o tym. Przyszło jak Filip z konopi. Na Nowy Rok wyraziłem w dzienniku życzenie pobożne, abym za rok spodziewał się dziecka. Tymczasem za rok – na Nowy Rok 1939 – będę się go nie tylko spodziewał, ale będę je miał żywe fizycznie. Dzień 7 lutego obdarzył nas Filipkiem i dał od razu więcej, niż spełnienie życzenia noworocznego.

1 września, rok 1938, czwartek

Pierwszy dzień w Kownie po długich wakacjach. Do roboty nic jeszcze nie ma. Na uniwersytecie – pustki. Ale już w rektoracie urzędowałem. Zacznę egzaminować po dwa razy tygodniowo, w przyszłym tygodniu zarządzę pierwsze posiedzenie zarządu akademickiego i senatu, rozpoczną się też zapewne posiedzenia Rady Wydziału Prawniczego, a niebawem nadejdzie akt immatrykulacji i początek roku akademickiego.

Myślą i sercem tkwię jeszcze w Bohdaniszkach, w Gaju, w drzewkach moich, w remontach i budowie. Ale niebawem pochłonie mię uniwersytet, a konkurować z nim w troskach i uczuciach moich będzie rychły połóg Jadzi i potem nowina wielka – Filipek legendarny, który się przetworzy w żywego materialnie Michasia lub Kotunię. Wolałbym Michasia – to by dopiero spełniło w całej pełni tęsknotę moją. Syn! Ale równie serdecznie przyjmę córkę.

W mieszkaniu zastaliśmy już także Stenię, która i w tym roku jeszcze będzie mieszkała u nas, chodząc do gimnazjum polskiego.

Przez pobyt w Hadze i Bohdaniszkach przybyło mi nieco wagi. Ważę (bez ubrania – netto) 89-90 kilogramów. Trzeba się będzie przez czas jakiś trenować, żeby znów zredukować wagę do ± 85-84 kilo.

2 września, rok 1938, piątek

Do pracy bieżącej wdrażam się pomału. Zarysowują się nowe mniej lub więcej drobne lub ważkie sprawy bieżące. Otrzymałem z Izby Przemysłowo-Handlowej zaproszenie na jutro na herbatkę, wydaną na rzecz kursantów skando-bałtyckich. Są to kursy socjo-ekonomiczne krajoznawcze, które zainicjowane zostały przez nasz uniwersytet łącznie z komisją litewską Międzynarodowej Kooperacji Intelektualnej w odpowiedzi na kursy ekonomiczne szwedzkie w Sztokholmie, zorganizowane w roku 1937 z inicjatywy Szwedzkiego Związku Bałtyckiego studentów („Baltische Studentenvereningen") dla grupy studentów ekonomistów z Estonii, Łotwy i Litwy. Nasze kursy obecne obejmują cały miesiąc i trzy kraje bałtyckie – Litwę, Łotwę i Estonię. Udział w nich biorą studenci Szwedzi, Finowie, Estończycy, Łotysze i Litwini, po 6-8 każdej grupy narodowej. Są to studenci szwedzcy z Lundu, Sztokholmu i Uppsali, fińscy z Helsinków, estońscy z Tartu, łotewscy z Rygi i nasi litewscy z Kowna i Kłajpedy. Zapoczątkowano od Litwy. Na program składają się odczyty o rozwoju gospodarczym kraju z uwzględnieniem specjalnie rozwoju powojennego w dobie odzyskanej niepodległości. Szczególnie uwzględniony jest rozwój wielkiej scentralizowanej kooperacji i uprzemysłowienia rolniczego, wyrażonych w takich przedsięwzięciach

organizacyjnych wielkich, jak Pienocentras, Lietukis, Maistas, Cukrownia. Uwzględniony też jest rozwój handlu i portu kłajpedzkiego. Wiąże się z tym wielka reforma agrarna. Daje to obraz nie tylko tego, co już osiągnięto – a to są rzeczy zaiste wielkie – ale także wytycznych rozwoju społeczno-gospodarczego. Z wykładami połączone są wycieczki krajoznawcze i oglądanie większych przedsięwzięć przemysłowych. Zajęło to cztery dni w Kłajpedzie z wycieczkami do Połągi i Nidy i kilka dni w Kownie z wycieczkami do Datnowa i Mariampola. Prelegentami byli w Kłajpedzie Ernest Gałwanowski i Anysas, w Kownie – prof. Rimka, prof. Šalčius, dr Sruoga, dr Krikščiunas. Finansowały te kursy: Izba Rolnicza, Izba Handlowo-Przemysłowa, Maistas, Lietukis, Pienocentras... W poniedziałek dla kursantów było przyjęcie w Metropolu w imieniu moim jako rektora uniwersytetu. Zastępowali mię obaj prorektorowie, Blažys i Jodelė. Jutro po herbatce w Izbie Przemysłowo-Handlowej kursanci wyjeżdżają już do Łotwy. Następnie udadzą się do Estonii. Przygotowałem na poczekaniu przemówienie do kursantów skando-bałtyckich po francusku na jutro (ewentualnie, to znaczy na zapas).

Druga sprawa – to protest uniwersytecki przeciwko zasekwestrowaniu przez władze administracyjne wileńskie Litewskiego Towarzystwa Naukowego. Rzecz ta jest na dobie.

3 września, rok 1938, sobota

Byłem po obiedzie na herbatce dla uczestników kursów socjo-ekonomicznych młodzieży szwedzkiej, fińskiej, estońskiej, łotewskiej i litewskiej. Herbatkę tę urządzała Izba Handlowo-Przemysłowa w nowym gmachu swoim przy ulicy Donelaitisa, który pierwszy raz oglądałem (pierwszy raz wewnątrz, bo z zewnątrz oglądałem ten gmach co dzień przez cały czas budowania z okien mieszkania mojego; zasłonił mi on widok na miasto i na sobór). Herbatka była urządzona nie tylko dla kursantów, ale także dla organizatorów kursów, prelegentów i zarządów tych instytucji, które się przyczyniły do sfinansowania kursów i do wycieczek etc. Obecni byli też członkowie zarządu Izby i jej prezes Kurkowski. Mów żadnych nie było, toteż i ja mojej przygotowanej mowy francuskiej nie wygłosiłem. Z uniwersytetu byłem ja, prorektor Blažys i prof. Rimka. Był też sekretarz generalny naszej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej Staneika. Byli ludzie i z Izby Rolniczej, i inni. Najliczniejsi byli sami kursanci i studenci litewscy, nie należący nawet do kursów, ale towarzyszący studentom Szwedom, Finom, Estończykom i Łotyszom. Wreszcie byli posłowie: łotewski Sēja i estoński Varma. W czasie herbatki, która trwała parę godzin, przysiadałem się do różnych poszczególnych stolików młodzieży. Studenci Szwedzi, najcenniejsi goście, bardzo mili chłopcy, wyrażali się o tych kursach z wielkim uznaniem i powiadali, że bardzo im zaimponował rozwój gospodarczy Litwy i metoda organizacji tego rozwoju przez wielkie scentralizowane kooperatywy i zracjonalizowanie produkcji i eksportu. Twierdzili, że wiele rzeczy było dla nich wprost rewelacyjnych i że nawet Szwecja mogłaby się dużo na tym polu od Litwy nauczyć. Zdumiewali się ogromem pracy organizacyjnej dokonanej. Bardzo mili są też studenci Łotysze. Dziś wieczorem po tej herbatce cały zespół kursantów pięciu narodowości udaje się na drugą część kursów do Łotwy, a następnie uda się do Estonii.

4 września, rok 1938, niedziela

Spokojna cicha niedziela, spędzona w domu. Wyszedłem się tylko przejść wieczorem z Jadzią. Dni są bardzo ciepłe i ciepłe są noce. Byłby dobry czas na wycieczki z Jadzią za miasto, bodaj nawet gdzieś dalej, ale jej daleko posunięta ciąża komplikuje tę możliwość.

Wczoraj Jadzia była u prof. dr Mažylisa, który ją obejrzał, wymierzył i powiada, że połóg nastąpi zapewne wcześniej, niż Jadzia obliczała, prawdopodobnie koło połowy października. Mažylis to wnosi z postępów ciąży i z rozwoju płodu. Ostatnie reguły Jadzia miała 26 stycznia; zapłodnienie nastąpiło po tych regułach. U Jadzi reguły były zawsze bardzo regularne i ścisłe, krótkie, dwudniowe. Stosowały się do miesięcy księżycowych, nie zaś kalendarzowych, a więc krótszych od

kalendarzowych. Zawsze więc się powtarzały o kilka dni przed datą kalendarzową poprzednich reguł. Podług tej rachuby, 9 miesięcy ciąży skróciłoby termin 9 miesięcy ciąży[14]. Ano – zobaczymy.

U Jadzi w ostatnich czasach nogi bardzo brzękły i mocz we dnie bardzo mało odchodził. Analiza moczu stwierdziła wszakże, że nerki są w dobrym stanie i białka nie ma. Wobec tego Gudowicz uznał, że brzęknięcie nóg pochodzi od serca i zaczął dawać Jadzi digitalis.

Jadzia zaczęła szyć wyprawkę dla Filipka – szyje koszulki.

5 września, rok 1938, poniedziałek

Nic szczególnego z dnia dzisiejszego do zanotowania nie mam. Na obiedzie byli u nas Eugeniusz Römer i malarz Eidukiewicz.

W Europie coraz gorzej się dzieje. Kwestia Sudetów czeskich nie schodzi z porządku dziennego i jest coraz bardziej jątrzącą. Atmosfera stosunków europejskich jest naprężona do najwyższego stopnia. Jak się to rozwiąże – niepodobna dociec i przewidzieć. Agresywności Niemiec potrzeba ujścia. Trudno się już Niemcom w połowie drogi zatrzymać. Po pochłonięciu Austrii sprawa wcielenia do Niemiec Sudetów staje się po prostu koniecznością logiczną. Wątpię, aby się Czechosłowacja od tego rozwiązania wykręciła, tylko że cała kwestia w tym, czy to się przeprowadzi przez wojnę czy nie i jaki zasięg będzie miała ta wojna. Czy się stanie światową albo europejską, czy tylko lokalną? Bez wojny niepodobna rozwiązania przewidzieć, chyba że Czechosłowacja zgodziłaby się zejść na stanowisko wasalne wobec Niemiec, w zamian za co Niemcy zgodziłyby się zachować Sudety w obrębie Czechosłowacji i przez nie Czechosłowację trzymać na wodzy. Na takie rozwiązanie, likwidujące niepodległość państwa za cenę zachowania tych kresów w jego obrębie, Czesi się nie zgodzą. W takim razie pozostaje tylko aneksja Sudetów przez Niemcy, ale to się znów bez wojny czesko-niemieckiej nie dokona. Ta wojna może rozpalić pożar wielkiej wojny europejskiej, co byłoby złe. Ale kto wie, czy nie większym złem byłaby likwidacja tej wojny, zakończona zwycięstwem Niemiec, które by rozpętały wtedy swą agresję na Kłajpedę litewską, Szlezwik duński, Pomorze i Śląsk polskie itd. – na Francję (Alzacja) i w końcu na Włochy (Tyrol Południowy), aż by wreszcie bądź kark skręciły, bądź się stały panami Europy.

6 września, rok 1938, wtorek

Dzień egzaminów. Zdawało pięciu studentów (w tej liczbie dwie studentki) sekcji ekonomicznej. Są to tzw. „minimaliści”, którzy zdają egzamin dla zdobycia minimum egzaminów, wymaganego dla przejścia do następnego semestru. Zwykle tacy są najsłabsi, źle przygotowani, bo chodzi im tylko o zdanie byle jak, aby mieć minimum. Są to studenci, którzy dopiero co przesłuchali odpowiedni kurs i którzy w ogóle jeszcze mało się zaangażowali w studia akademickie, roczniaki dopiero, którzy w uniwersytecie przebyli zaledwie rok i zdają jeden z pierwszych egzaminów, próbując swoich sił. Mój zaś kurs jest taki, którego wykuć sposobem gimnazjalnym niepodobna; wymaga on rozwiniętej inteligencji i orientowania się w zagadnieniach społeczno-prawnych i państwowych; nie jest on dla początkujących, dla umysłów surowych, łatwy. Poza tym, jest to dla ekonomistów kurs przekształcony, zatytułowany „Prawo konstytucyjne i administracyjne”, którego program, choć w głównych rysach odpowiada mniej więcej liniom zasadniczym mojego kursu prawa konstytucyjnego dla prawników, jest jednak nowy i zawiera różne wstawki i poprawki, których nie ma w konspektach moich wykładów, podług których studenci się zwykle gotują do egzaminów u mnie. Byłem więc przygotowany na to, że egzaminy dzisiejsze tych minimalistów będą kulały. Wszakże zespół dzisiejszy okazał się wyborowy. Byli to studenci, którzy uczęszczali na wykłady moje i sami je sobie notowali. Toteż egzaminy się doskonale udały i sprawiły mi przyjemność. Czterech studentów z pięciu – Kierszyński, Władzimirów, Siaurukas i panna Irena Blakstytė – zdali celująco i tylko jedna studentka, p. Girdvainytė – dobrze.

[14] Autor widocznie ma na myśli, że czas trwania ciąży w miesiącach księżycowych byłby krótszy niż rachowany w miesiącach kalendarzowych.

Z Hagi z Trybunału przysłano mi komunikat, zawiadamiający, że rząd polski zainteresował się naszą sprawą estońsko-litewską o kolejkę Poniewież-Syłgudyszki i zwrócił się do Trybunału z prośbą komunikowania rządowi polskiemu wszystkich dokumentów ze sprawy; agenci estoński i litewski, zainterpelowani przez prezesa Trybunału, zgodzili się na to. Ciekawa rzecz, jakie są motywy zainteresowania Polski. Może tu Polsce chodzić o dalszy ciąg tejże kolejki – od Święcian do Głębokiego – i w tym względzie Polska może się solidaryzować z Litwą, bo pretensje Estonii do Litwy w tej sprawie *mutatis mutandis* mają zastosowanie i do Polski. Ale może też chodzić o ewentualne roszczenia bądź Wileńskiego Banku Ziemskiego, bądź byłych ziemian litewskich obywateli polskich, dotkniętych w swych majątkach przez reformę agrarną litewską, które mogą mieć pewne analogie do roszczeń estońskich w tej sprawie, a w takim razie zainteresowanie Polski byłoby zwrócone przeciwko Litwie.

7 września, rok 1938, środa

Poszedłem na pierwszy po wakacjach obiad naszego kowieńskiego Rotary-Clubu. Mało było osób. Przy dużym stole świeciły pustki, mimo że prócz członków było grono dziennikarzy, zaproszonych przez prezesa Klubu Żołkowskiego dla wysłuchania jego sprawozdania ze zjazdu europejskiego Rotary w Sztokholmie. Członków klubu na obiedzie było zaledwie koło 12-15. Może to ociąganie się powakacyjne, a także zapewne tzw. Kongres Ochotników Walk o Niepodległość, który się odbywa dziś, odciągnął część członków, bo akurat o tej samej porze miało miejsce w Dolinie Pieśni („Dainos Slenys") uroczyste publiczne posiedzenie tego kongresu pod gołym niebem z udziałem prezydenta Smetony. Żołkowski referował na obiedzie klubu swoje wrażenia ze zjazdu Rotary w Sztokholmie. Lubi on reklamę i kocha się w Międzynarodówce Rotary, toteż zaprosił dziennikarzy, aby dać rozgłos sprawie Rotary. Żołkowski entuzjazmuje się jak dziecko sprawą Rotary, do której przywiązuje wagę taką, jak żeby na tym polegało zbawienie świata. Zarazem czyni z tej organizacji dla siebie piedestał jako prezes pierwszego Klubu Rotary w Litwie, wódz i głowa tego ruchu. Potrzebne mu to dla pewnego stanowiska społecznego, dla ambicji jego i jego żony, osoby bardzo lansowanej w świecie towarzyskim kowieńskim. Uosabianie jakiegoś ruchu, prezesostwo jakiejś organizacji publicznej, zwłaszcza dość oryginalnej w naszych stosunkach litewskich, quasi-masońskiej i dającej zarazem okazję do wyjazdów za granicę, do szastania się po kongresach Rotary (Egipt, Nicea, Sztokholm itp.), wycieczki, kontakt międzynarodowy – to są wszystko atuty wielkie dla snoba. Snobem jest Żołkowski poniekąd, ale zdaje się, że jego rozentuzjazmowanie rotariańskie, choć egzaltowane, jest bodaj także szczere. Dla organizacji dobrze jest, gdy na jej czele stoi egzaltowany entuzjasta, który nie daje wygasnąć płomieniom. Pod tym względem Żołkowski jest prezesem dobrym. Ale mnie ta Międzynarodówka Rotary nie zachwyca zbytnio. Jest ona zabawką bogatych Amerykanów, pewnym zabijaniem czasu dla próżniaków amerykańskich, którzy bawią się tworzeniem organizacji, zjazdami, wycieczkami i szaleją z nadmiaru energii, którą chcą i muszą wyładować. Jest to nieszkodliwe, co prawda, ma nawet w założeniu ideę szlachetną pokoju, humanizmu itd., ale w gruncie rzeczy jest to przelewanie wody i kręcenie się w kółko w atmosferze obiadów, komplementów i udawania, że się coś robi, choć z tej „roboty" prawie żadnej treści wycisnąć się nie daje. Szkodliwe to nie jest, ale w gruncie rzeczy jałowe i banalne. Obecnie są już trzy Rotary-Cluby w Litwie, bo powstały dwa nowe w tym roku – w Kłajpedzie i Szawlach.

Kongres Ochotników („savanoriai") Walk o Niepodległość, przystosowany do tegorocznego 20-lecia niepodległości i do jutrzejszego święta narodowego, toczy się dziś w Kownie. Miasto jest pod znakiem tego kongresu. Podobno przyjechało tych ex-ochotników do 6 000. Pełne ich jest miasto. Chodzą luźnie i maszerują oddziałami, śpiewają, szastają się. Miałem być wieczorem na przedstawieniu misterium w Dolinie Śpiewu z okazji kongresu tego, ale dałem spokój. Wieczór chłodny, można się przeziębić.

8 września, rok 1938, czwartek

Od kilku lat do dnia 8 września nawiązano obchód drugiego dorocznego święta narodowego. O ile dzień 16 lutego poświęcony jest odzyskaniu niepodległości, o tyle dzień 8 września miał być w założeniu dniem, poświęconym przeszłości Litwy i jej ciągłości historycznej. Wszakże, jak zwykle (a w tych czasach niepewnych, kiedy cała Europa siedzi na wulkanie pogotowia wojennego – tym bardziej), aktualizm zwyciężył. Przeszłość zasłonięta jest przez teraźniejszość i wszelkie święto narodowe staje się aktem kultu niepodległości i wojska narodowego. Ze świętem narodowym dzisiejszym połączony był Kongres Ochotników Walk o Niepodległość, którego uroczystości zajęły dzień wczorajszy, dzisiaj zaś wielkim epizodem programu była wielka parada wojskowa na placu aerodromu. Początek był wyznaczony na godzinę 10 ½. Miałem zaproszenie z biletem wejścia na trybunę główną. Wyszedłem z domu zawczasu, ale żadnego taksi w mieście nie było. Autobusy w kierunku ratusza i aerodromu były też przepełnione i tłumy czekały kolejki. *Volens nolens* musiałem iść pieszo. Nie dałem za wygraną i poszedłem przez całe miasto i przez most na Aleksotę, tam funikulerem w górę (na funikuler trzeba było długo stać w ogonie w tłumie ludzi), ale wreszcie dotarłem na aerodrom i aż do trybuny, gdzie w środku na froncie zasiadał prezydent Smetona, cała lewa strona była zajęta przez korpus dyplomatyczny i *attachés* wojskowych, prawe – przez ministrów, dygnitarzy Kościoła i dostojników świeckich. Cała elita. Nabożeństwo (msza polowa) już było skończone. Rozpoczęła się defilada wojska. Widowisko było piękne. Szła piechota, kawaleria, artyleria, przeleciała eskadra lotnicza, szły oddziały zmotoryzowane i techniczne, tanki, pontony. Ślicznie i malowniczo zwłaszcza pędziła kawaleria. Szły następnie długie kolumny ochotników z lat 1919-1920, którzy się z całego kraju na kongres swój zjechali i maszerowali na poły po cywilnemu, obwieszeni medalami, zarzucani kwiatami. W ogóle parada była efektowna, a teren ogromny aerodromu w bardzo malowniczym obramieniu widoków na laski i parki Fredy, Maistasu i na nowe miasto u szczytu Aleksoty – przedstawia śliczną panoramę. Po paradzie odwieźli mię do miasta księża.

9 września, rok 1938, piątek

Na obiedzie byli u nas Eugeniuszostwo Römerowie i Stefan Römer. Zamążpójście dwóch starszych Eugeniuszowien – Zosieni i Gieni – za dwóch braci Hemplów dało ich matce Zosi Eugeniuszowej Römerowej nowy impuls do ruchu. Przybywają jej nowe cele i nowe tereny do jeżdżenia. Bo też ruchliwa jest Zosia Römerowa aż do podziwu. Nie starzeje ona nigdy i ciągle jest w nieustannym ruchu. Ruchliwa i pełna życia. Lubelskie i Gdynia – oto dwa nowe punkty dla jej ruchu. Jedzie teraz do córek, wysyła im stąd meble, w Polsce będzie im robić wyprawy, bo tak prędko wyleciały za mąż, że na wyprawę przed ślubem nie było czasu. Zosienia Jasiowa Hemplowa już zaszła w ciążę. Spodziewa się, zdaje się, na marzec. Obie córki Zosi są w fazie zachwycenia mężami, przeżywają miodowe miesiące. Śliczna to pora życia.

Otrzymałem list od księdza proboszcza z Kiernowa nad Wilią, położonego nad linią demarkacyjną polsko-litewską, stanowiącego dziś mieścinę, która niegdyś za Mendoga była stolicą i ośrodkiem tworzącej się państwowości litewskiej. Otóż proboszcz ksiądz Baužys odwołuje się do mnie w sprawie kaplicy grobowej Römerów i Puzynów, która jest w Kiernowie przy kościele i która potrzebuje pilnie remontu, zwłaszcza pokrycia dachu. Kaplica grobowa Römerów w Kiernowie nie jest właściwe naszą; nasza jest, jak wiadomo, w farze trockiej, gdzie też złożone są i Mamy zwłoki. Kaplicę w Kiernowie fundował Stanisław Römer, zwany w rodzinie „Algierczykiem" (ponieważ był chory na syfilis i jeździł leczyć się do Algieru). Ojciec Stanisława, Józef Römer, brat rodzony naszego pradziada Michała, dziedzic Kasuty i Kurzańca w powiecie wilejskim, sprzedał te majątki i kupił Ponary, a Kiernów przeszedł na niego w posagu od Puzynów, ponieważ był żonaty z Puzynianką. Ta z Puzynów Józefowa Römerowa w późnym już wieku, koło połowy w. XIX, zakończyła życie samobójstwem: skoczyła zimą w Wilnie z Zielonego Mostu do Wilii; zwłoki jej wyłowiono dopiero na wiosnę. Dla jej zwłok jej syn Stanisław wybudował ową kaplicę ekspiacyjną w Kiernowie, gdzie pochowany też został następnie (w roku 1876) on sam (zmarł bezdzietny i nieżonaty) i jego siostra Maria z Römerów Chrapowicka, po której ostatnią żywą latoroślą jest dziś

jej wnuczka Maria z Lubienieckich Miroszewska, osoba zamożna, zamieszkała w Polsce w Kieleckiem, do której też zwrócę się w sprawie restauracji tej kaplicy. Do kaplicy tej zostały też przeniesione zwłoki Puzynów, rodziców, a może i dziadów Józefowej Römerowej. Taką jest historia tej kaplicy Puzynów i Römerów w Kiernowie, którą zakomunikuję proboszczowi, aby wiedział.

10 września, rok 1938, sobota

Do aktu immatrykulacji jest jeszcze nastrój wakacji. Są one w zmierzchu, ale się jeszcze nie wkroczyło w regularną robotę akademicką. Rychło się to już skończy i trzeba się będzie zabrać do wykładów i zaprząc do taczki tak w pracy rektorskiej, jak w pracy profesorskiej. Tymczasem jest przedświt. Wczoraj mieliśmy już pierwsze posiedzenie senatu akademickiego. Mam też dosyć intensywne egzaminy studenckie. Dziś zdawało pięciu. Są to wciąż minimaliści, zdający egzaminy bezpośrednio po przesłuchaniu nowego kursu prawa konstytucyjnego i administracyjnego. Ale zdają znakomicie. Dobór egzaminujących się studentów jest świetny; są to studenci i studentki, którzy bez pudła uczęszczali na wykłady i sami je notowali. Toteż odpowiadają jak z nut i doskonale się orientują. Dziś zdawało ich czterech[15]. Zwłaszcza się wyróżnili student Edward Šišas i bardzo miła ładna studentka Aleksandra Kalvėnaitė, dziewczyna bardzo inteligentna i pełna świeżego wdzięku. Żal mi wprost było rozstawać się z tymi studentami. Tacy uczniowie – to złoto, to rozkosz dla profesora.

Wieczorem przyjechała autobusem z Bohdaniszek Elwira Mieczkowska. Przyjechała w towarzystwie mego ekonoma Radwiłowicza, który jutro wstąpi do mnie. Elwira przyjechała w sprawie Andrzeja, aby się w poselstwie polskim upominać o pozwolenie na wyjazd jego do Polski. Zdaje się, że Andrzej dziś już nie bardzo się na ten wyjazd kwapi i wolałby się decydować na pozostanie w Litwie, ale Elwira z Helcią tym goręcej go wypychają, aby wyjeżdżał i ani słyszeć nie chcą o ewentualności jego pozostania tutaj.

11 września, rok 1938, niedziela

Elwira przyjechała dla poinformowania się w poselstwie polskim o rezultacie starań w sprawie pozwolenia na wyjazd Andrzeja z Litwy do Polski z udzieleniem mu obywatelstwa polskiego, ewentualnie o poczynienie zabiegów na rzecz przyśpieszenia pomyślnej odpowiedzi. Dowiedziała się, że w Kownie bawi akurat Eugeniusz Römer, który zna osobiście posła Charwata i chciała go prosić o pomoc i protekcję. W tym celu zaprosiłem Eugeniusza na kawę wieczorem. Przyszedł i siedział długo na gawędce. Ale Elwirę oblał trochę zimną wodą. Wytłumaczył jej, że skoro sprawa Andrzeja została z poselstwa polskiego w Kownie przesłana do Warszawy i tam trafiła do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dla zebrania informacji i zaopiniowania, to już tu poselstwo polskie nic zrobić samo nie może, dopóki z Warszawy nie nadejdzie odpowiedź i tylko tam w Polsce ktoś mógłby zabiegać w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych o przyśpieszenie i pomyślne załatwienie. Ale zwłaszcza Eugeniusz napompował Elwirę bardzo mądrze co do jej postępowania z Andrzejem. Mówił jej prawie słowo w słowo to samo, co ja jej przed rokiem radziłem. Tylko że mnie Elwira, a raczej Helcia, która ją inspiruje, nie chciała słuchać, prawdopodobnie sądząc, że to, co ja radzę, to jest trefne, bo zaprawione chęcią pozostawienia Andrzeja w Litwie. Eugeniusz mówił, że przede wszystkim należy żądać od Andrzeja, aby, dopóki nie wyjedzie do Polski, zdawał tu na uniwersytecie egzaminy i ewentualnie, jeżeli zdąży, otrzymał dyplom uniwersytecki. Przez cztery lata studiował na uniwersytecie, ma część egzaminów zdanych i nie powinien tej pracy czteroletniej zmarnować. To już w każdym razie miałby za sobą i tego lekceważyć nie można, bo to już daje stanowisko, bądź tu, bądź w Polsce. Dlatego Eugeniusz radził, żeby Elwira dała Andrzejowi przez rok utrzymanie w Kownie, aby tu zdawał egzaminy, a tymczasem sprawa jego wyjazdu do Polski będzie szła swoim trybem. Skoro wyjedzie, to lepiej, żeby wyjechał z dyplomem albo przynajmniej z jak największą ilością egzaminów.

---

[15] Kilka wierszy wyżej – zdawało pięcioro.

Osobiście jednak wątpię, aby Elwira usłuchała tej rady. Niby się do tego skłania, ale mam wrażenie, że Helcia, która właściwie wszystko u Elwiry decyduje, sprzeciwi się temu, używając tego argumentu, że Andrzej, siedząc w Kownie, nie będzie zdawał egzaminów, jeno jeszcze bardziej się zbliży i zwiąże z panną Stefcią Lingisówną, którą kocha, a której Elwira i Helcia boją się i nienawidzą jak diabeł święconej wody.

12 września, rok 1938, poniedziałek

Ewenement! Paulinka przywiozła koszyk na nóżkach, który służyć będzie za łóżeczko dla nowonarodzonego Filipka, gdy się ten urodzi. Jadzia ten koszyk obstalowala, a dziś poszła po niego z Paulinką i przez Paulinkę odesłała dorożką, bo sama wieźć się wstydziła. Zresztą i Paulinkę ten koszyk niemowlęcia żenował: przez dziedziniec przeniosła go z impetem. Ja go zobaczyłem w przedpokoju i wniosłem czym prędzej do mojego sypialnego i tam za drzwiami postawiłem. Mój obecny pokój sypialny będzie zapewne pokojem dziecinnym w niemowlęctwie Filipka. Dziwne na mnie sprawia wrażenie ten koszyk dziecinny w moim pokoju. Dla mnie to bądź co bądź nowina. Nie ma jeszcze tego stworzonka, ale już są i manifestują się jego sprzęty – koszyk, kołderka ciepła pikowana jedwabna, koszulki, wyprawka cała, które zapowiadają rychłe jego zaistnienie realne. Zresztą zapowiada się on już wyraźnie w wyglądzie Jadzi, w jej całej figurze mocno zmienionej i zwłaszcza napęczniałym brzuchu. Filipek jest w drodze i coraz bliższy wyjścia na świat realny. Za miesiąc będziemy go już czekali zupełnie poważnie. A wtedy przeistoczy się w Michasia lub Kotunię. Trudno się oswoić z myślą, że rychło stworzonko to zapełni nasze mieszkanie.

Mieliśmy dziś pierwszą wizytę doktorostwa Gudowiczów. Przyszli oboje, profesor z żoną, pod wieczór z wizytą. Posiedzieli krótko, wypili herbaty, ale formalnie wizyta miała miejsce. Pierwszy dom prywatny znajomy w Kownie. Choć doktorowa Gudowiczowa była w Bohdaniszkach latem roku 1937, ale po tej bytności zimą nigdy w Kownie u nas nie była i Jadzi nie zapraszała, a doktor jeżeli wpadał – to tylko w charakterze lekarza. Jadzia nie była jeszcze moją żoną, nie miała stanowiska społecznego; formalnie mój dom był kawalerski. Teraz – co innego. W naszym społeczeństwie bez małżeństwa formalnego nie ma i nie może być stanowiska dla kobiety w domu mężczyzny, jeżeli ten mężczyzna nie jest ojcem lub bratem. W obecnym stanie ciąży Jadzi nie mogę jej jeszcze lansować w żadne stosunki towarzyskie poza rodziną, ale z domem zaprzyjaźnionym Gudowiczów przez ich kontakt z Bohdaniszkami ten pierwszy krok stosunków towarzyskich zrobiony. Zresztą szeroko się lansować w stosunki towarzyskie nie tylko teraz, ale i potem, my z Jadzią nie myślimy. Ani ja, ani ona nie mamy do tego popędu. Jesteśmy z natury samotnikami i dobrze nam tylko ze sobą.

13 września, rok 1938, wtorek

Chmury na horyzoncie europejskim coraz czarniejsze. Będzie czy nie będzie wojna o Czechosłowację? Wczorajsza mowa Hitlera w Norymberdze na dorocznym kongresie nacjonalsocjalistycznym była gwałtowna. Była ona translowana przez radio kowieńskie i trochę próbowałem jej słuchać. Trudno mi ją było jednak dokładnie zrozumieć. Był to szereg wybuchów namiętnych, krzyk szaleńczy, sugestionowanie mas lawą wulkaniczną słowa. Tłumy słuchaczy przerywały mowę rykiem entuzjazmu, wrzawą oklasków i wrzasku, kończąc interwencję skandowaniem masowym okrzyku: „Sieg heil! Sieg heil! Sieg heil!”. Były wycieczki gwałtowne przeciwko Anglii, przeciwko demokracji, przeciwko Czechosłowacji zwłaszcza, ataki osobiste na prezydenta Beneša. Mowę Hitlera streszczają i cytują dziś gazety całego świata. Wskazują one, że ostatecznie Hitler nie podniósł jeszcze bezpośredniego wezwania do wojny, nie odrzucił kategorycznie rokowań Niemców sudeckich z rządem pruskim. Ale jego ton agresywny, jego bezwzględność w traktowaniu zagadnienia są oliwą, dolewaną do ognia nastrojów niemieckich i sudeckich. Namiętności płoną i wnet po mowie Hitlera pomnożyły się wystąpienia zaczepne Niemców sudeckich i incydenty w tym pasie nieszczęsnym wrzenia. Zdaje się, że nic nie powstrzyma kryzysu w najostrzejszej bezwzględnej formie. Usposobienia pojednawczego ani krzty u

Niemców sudeckich. Jesteśmy w przededniu wojny w Europie. Zapewne, Hitler nie uderzy wprost wojną otwartą i bezpośrednią. Zacznie się od incydentów i „powstania". A dalej...

Właściwie Europa jest już zmobilizowana i w pełnym pogotowiu. Trochę enigmatyczna jest jeszcze Anglia, jeszcze bardziej enigmatyczna Polska. Ale nade wszystko zależeć będzie od Anglii. Jeżeli Anglia zdecyduje się na interwencję i pomoc Francji – Francja stanie do walki; tym bardziej Sowiety. Zdaje się, że jest już układ z Rumunią o udzielenie drogi siłom sowieckim przez terytorium rumuńskie na pomoc Czechosłowacji. Wszystko się dziś na Hitlera ogląda. On dysponuje pokój czy wojnę. Gra, trzeba przyznać, świetnie. Wypadki szybko dojrzewają.

14 września, rok 1938, środa

Dzisiejszy obiad Rotary-Clubu był paradny. Do Kowna przyjechał prezes Rotary Międzynarodówki, Amerykanin. Jest to człowiek młody jeszcze, w wieku lat ± 40-45. Przyjechał z żoną. W myśl przepisów Rotary Międzynarodówki, coroczny prezes tej organizacji musi objechać wszystkie kraje, w których są kluby, aby dokonać ich wizytacji. Obecnie zaś kluby Rotary istnieją prawie we wszystkich krajach (państwach) oprócz Sowietów, Turcji, Niemiec (w Niemczech istniały, ale od roku Hitler je skasował) i jeszcze jakichś drobnych kraików egzotycznych. Wizytacja ta jest przeto podróżą naokoło świata. Pan ten przyjechał do Kowna wczoraj i dziś wieczorem wyjeżdża do Polski. Dziś obwożono go po Kownie, składał wizyty, po obiedzie w naszym klubie kowieńskim złożył wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. Obiad był paradny. Członkowie klubu kowieńskiego byli w komplecie, przyjechało też wielu członków Rotary-Clubu z Kłajpedy i Szawel. Byli też członkowie kolonii amerykańskiej z posłem i jego żoną, goście różni, żony członków klubu naszego. Z mowami wystąpili prezes klubu kowieńskiego Żołkowski, prezes klubu kłajpedzkiego Sližys Bolesław i przedstawiciel klubu szawelskiego Sandecki, wreszcie sam gość po angielsku. Jego mowę dosyć długą i niezłą, ale banalną, niezmiernie rozwlekle i nudnie tłumaczył na litewski członek naszego klubu prof. Blažys. Sližys przemawiał także po angielsku. Po obiedzie była przy osobnych stolikach kawa, od której uciekłem, poprzednio zaś fotografia zbiorowa w wielkiej grupie.

Wieczorem rewizytowaliśmy z Jadzią doktorostwo Gudowiczów.

15 września, rok 1938, czwartek

Immatrykulacja na uniwersytecie. Doroczna uroczystość akademicka, w której muszę występować z wielką mową rektorską. Tegoroczną mowę poświęciłem całkowicie i wyłącznie nowym studentom, którzy są dziś przyjęci do uniwersytetu. Mowa się udała. Na ogół w tym roku dotąd więcej wpłynęło podań i więcej przyjęto nowych studentów, niż w roku ubiegłym. Po mowie mojej i po sprawozdaniu sekretarza, które w zastępstwie nieistniejącego na razie sekretarza odczytał prorektor prof. Blažys, nastąpiła właściwa immatrykulacja, czyli uściśnięcie ręki rektorskiej przez nowych studentów. Większość wszakże wywoływanych nowych studentów nie szła uściskać ręki rektorskiej i tylko studentki czyniły to dosyć skwapliwie.

Po przerwie odbyło się niepubliczne posiedzenie rady uniwersyteckiej, na którym dokonano wyboru sekretarza. Do niedawna liczono, że na sekretarza wybrany zostanie ktoś z Wydziału Humanistycznego. Rywalizowały dwa nazwiska: prof. Mykolaitisa-Putinasa i prof. Jonynasa. Wszakże na ostatnim posiedzeniu senatu Augustaitis, który zastępuje chorego dziekana Wydziału Humanistycznego Michała Biržiškę, wniósł kandydaturę Purėnasa. Augustaitis należy do tych, którzy uprawiają sport robienia na złość rządowi: opozycja przez napaskudzenie; ponieważ Purėnas był zmuszony ustąpić z prorektoratu na żądanie ministra oświaty (zresztą sam zawinił, bo niepotrzebnie wlazł w towarzystwo spekulantów politycznych i wmieszał stanowisko akademickie do polityki), wiec trzeba go choć na sekretarza wybrać; byle zrobić na przekór rządowi, byle zamanifestować. To niepoważne. Purėnas, który jest niepoprawnym filozofem taniej „demokracji" w cudzysłowie, naturalnie skwapliwie się zgodził. A jakże – „*vox populi*". „*Vox populi*" i demonstracja tchórzów, ukrywających się w tajnym głosowaniu. To samo, co pokazywać figę w kieszeni albo kiwać palcem w bucie i uważać się przez to za bohatera. Ale Purėnas zdobył od razu większość absolutną głosów i

został wybrany. Jako sekretarz jest on zawodowo dobry, nic mu zarzucić nie mogę, tylko mi się ten demonstracyjny moment wyboru nie podoba, bo to jest to ciągłe i głupie, a zupełnie czcze wnoszenie polityki do uniwersytetu, zresztą bynajmniej nie dzielne, nie jakieś rewolucyjne, jeno tchórzliwe, zza węgła, podłe. Dziwnie, że Purėnas tego nie czuje i nie rozumie, bo na taką demonstrację zza węgła – to tylko plunąć.

16 września, rok 1938, piątek

Miałem list od Heli Römer-Ochenkowskiej, pisany z Karolinowa. Między innymi, pisze ona o małżeństwie córek Eugeniusza, które wyszły za braci Hemplów. Dziwi się, że Eugeniusz zgodził się na wydanie za mąż Gieni, zaręczonej po pięciu dniach znajomości, za Stanisława Hempla, który, jak Hela pisze, siedział w domu wariatów. Pierwszy raz od niej się o tym dowiaduję. Bo prawda, że Stanisław Hempel, jak to obecnie sobie przypominam, ma w oczach jakiś wyraz obłąkania, ale zresztą jest zupełnie normalny i jest zupełnie pięknym chłopcem. Notuję to w dzienniku jako szczegół rodzinny. Szkoda byłoby Gieni, gdyby mąż jej miał być chory psychicznie.

W sierpniu Kotuńka Pruszanowska zakomunikowała mi listownie, że Lula (Kazimiera) z Römerów Karolowa Wańkowiczowa, której mąż jest starostą w Baranowiczach, córka stryja Kazimierza Römera i stryjenki Kazimiery ze Skirmuntów, czyni starania o uzyskanie pozwolenia na przeniesienie zwłok zmarłej w tym roku u niej w Baranowiczach matki, stryjenki Kazimierzowej Römerowej, do naszej kaplicy römerowskiej w farze trockiej. Zwłoki stryjenki są pochowane tymczasem na cmentarzu w Trokach. Otóż Lula Wańkowiczowa zapytuje, czy nie chcielibyśmy i my się do jej starań przyłączyć, aby jednocześnie przewieźć do Trok i złożyć w grobach rodzinnych – w podziemiach tej kaplicy – zwłoki śp. Papy, pochowane obecnie na cmentarzu parafialnym w Abelach obok zwłok dziada Edwarda Römera, który był opiekunem Papy i jego stryjem ukochanym i jego żony, babuni Zofii z Białłozorów Edwardowej Römerowej (pamiętam ją jeszcze dobrze i byłem w roku 1893 na jej pogrzebie – pamiętam, że jeździłem na ten pogrzeb konno). Rzeczywiście Papa chciał zawsze być pochowanym w kaplicy römerowskiej w Trokach, gdzie i Mamy zwłoki są też złożone, i umierając żądał tego. Ale zachodzą różne trudności. Przede wszystkim, koszt zapewne wielki, pozwolenia wszelkie, bo chodziłoby o przewiezienie zwłok z Litwy do Polski, następnie to, że Papa był pochowany w trumnie drewnianej i bez sklepienia. Elizka Komorowska, do której o tym pisałem, w tych dniach mi odpisała, że po dłuższym zastanowieniu i pomimo wszelkich skrupułów doszła do przekonania, że trzeba zostawić zwłoki Papy na miejscu obok zwłok Jego stryjostwa i tam, gdzie żyją dzieci i wnuki Papy, a odgrzebywanie i przewożenie zwłok sprawia na nią wrażenie profanacji. Zapewne też tak uczynię i dam na grób Papy ogrodzenie żelazne ładne i zapewne z czasem płytę grobową. Ogrodzenie chciałem dać już w tym roku, ale się jeszcze wstrzymałem wobec propozycji Luli Wańkowiczowej. Napisałem jednak do Wańkowiczowej, zapytując ją o szczegóły i zaczekam jeszcze na jej odpowiedź. Podobno, jak słyszałem, pozwolenie na pochowanie w kaplicy trzeba otrzymać z Rzymu.

17 września, rok 1938, sobota

Miałem egzaminy studenckie. Tym razem był to kiepski komplet minimalistów. Z pięciu dwóch się ścięło, jeden zdał „zadawalająco", dwóch – dobrze i nikt nie zdał celująco.

Wieczorem byłem u Mašalaitisa w Gabinecie Ministrów na posiedzeniu komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich.

18 września, rok 1938, niedziela

Wieczorem przyszedł do mnie z wizytą... Maciej Römer. Maciej Römer, dawny Matyś, najstarszy syn stryja Bronisława Römera i stryjenki Marii z Jundziłłów Römerowej, zmarłych około roku 1899 i 1901. Stryj Bronisław umarł na serce po niefortunnej kuracji w Nauheimie, stryjenka umarła na suchoty w dwa lata po mężu. Dzieci – Matyś, Bronek, Tadzik i Jadzienka – pozostały małe. Formalnie opiekunami dzieci byli: p. Przewłocki, daleki krewny i przyjaciel osobisty stryja

Bronisia i dwóch starszych chłopców, którzy byli oddani do gimnazjum w Mitawie – Eugeniusz Römer. Faktycznie zaś opiekowała się dziećmi, zwłaszcza dwojgiem młodszych, osobiście i bezpośrednio – ich ciotka, siostra stryjenki, panna Jadwiga Jundziłłówna, która dotąd mieszka z Jadzią Römerówną w Genewie, obywatelka szwajcarska, ponieważ rodzina Jundziłłów, pochodząca od emigranta politycznego z powstania z roku 1831, była całkowicie sfrancuziała, mieszkając już w trzecim pokoleniu w Szwajcarii francuskiej i już nawet nie mówiła po polsku; dopiero po wyjściu za mąż za stryja Bronisia stryjenka nauczyła się po polsku i nauczyła się też panna Jadwiga Jundziłłówna. Matyś i Romek po skończeniu gimnazjum w Mitawie kształcili się dalej na uniwersytecie w Krakowie, Tadzik i Jagienka – w Szwajcarii u ciotki. Na lato dzieci i p. Jundziłłówna zjeżdżały się do Antonosza. Przed wojną Matyś i Bronek ukończyli studia i poniekąd osiedli w Antonoszu, a Bronek poza tym miał nabyć od stryjostwa Bolesławostwa Römerów Władykiszki pod Koszedarami, najstarszy majątek ziemski, należący do Römerów. Jeszcze przed wojną Maciej się ożenił z Daszkiewiczówną z Grodzieńszczyzny, z której ma trzy córki i syna 16-letniego Bronka. Z tych córek jego dwie starsze wyszły za mąż: jedna za Podoskiego, druga, Teresa, w tym roku za Iwanowskiego, syna naszego profesora Tadeusza Iwanowskiego z jego pierwszej żony, Wolskiej z domu. Obie są w Polsce. W czasie wojny Maciej i Bronek służyli w wojsku rosyjskim. Za rewolucji w Rosji wstąpili do korpusu polskiego, tworzonego przez generała Dowbór-Muśnickiego. Bronek był oficerem w kawalerii w ułanach zwanych krechowieckimi i tam się zaznaczył czynami rycerskimi, które mu zjednały sławę niepospolitą. Po zlikwidowaniu armii Dowbór-Muśnickiego przez Niemców Bronek przedzierał się na północ na Murman, gdzie tworzyła się nowa armia ochotnicza polska. Nad jeziorem Ładogą został schwytany przez bolszewików i rozstrzelany. Stał się on osobą legendarną w Polsce i w rodzinie. Jest bohaterem z bajki i żyje w poezji i w legendzie. Maciej z rodziną osiadł w Warszawie, służąc w wojsku polskim, ale nie w armii czynnej, jeno jako adiutant. Do Litwy nie wrócił ani on, ani jego brat Tadeusz, który w czasie wojny był sekretarzem osobistym Dmowskiego i funkcjonariuszem Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu. Potem się ożenił, ma dwie córki i służy w dyplomacji polskiej: był szereg lat sekretarzem poselstwa polskiego w Rzymie, potem posłem polskim w Lizbonie w Portugalii, obecnie jest ambasadorem polskim w Tokio w Japonii. W roku 1936 był w Litwie, odwiedzał Antonosz. Jadzia Römerówna (Jagienka) ma dobrą posadę w urzędach sekretariatu Ligi Narodów w Genewie. Przyjeżdżała do Litwy tego lata, była u mnie w Bohdaniszkach, odwiedzała Antonosz. Maciej, po usunięciu się z wojska, zajął jakieś wysokie stanowisko w Ministerstwie Poczty w Warszawie i jest na tym stanowisku dotąd. Otóż obecnie, wracając z Helsingforsu, dokąd jeździł w charakterze delegata polskiego na obchód trzechsetnej rocznicy poczty w Finlandii, był w Estonii w Dorpacie (Tartu), w Łotwie – w Rydze i Mitawie, gdzie przypominał sobie czasy szkolne i odwiedzał kolegów Łotyszów, wreszcie przyjechał do Litwy. Bawi kilka dni w Kownie, jedzie stąd do Cytowian, do Kowaliszek, do Bohdaniszek, zajrzy oczywiście i do Antonosza, który dotąd jest ich własnością. Był u nas na herbacie, zabawił trzy godziny, to znaczy – cały wieczór.

19 września, rok 1938, poniedziałek

Maciej Römer, który wczoraj spędził u nas wieczór na herbacie, był dziś u nas na obiedzie. Zaprosiłem też na ten obiad prof. Tadeusza Iwanowskiego, którego syn z pierwszej żony, Wolskiej z domu, ożenił się w tym roku w Warszawie z córką Macieja – Teresą Römerówną. Maciej z Iwanowskim się poprzednio nie znali. Maciej wrażenie sprawia przyjemne. Jest dobrze ułożony, piękny jeszcze mężczyzna, ale nie tak już piękny, jak pięknym był w dzieciństwie i wczesnej młodości. Nie widziałem go od roku mniej więcej 1914. Dziś ma już lat ± 47. Ma już niedużą łysinkę, trochę siwizny, ale jeszcze czarny. Ma od czasu do czasu pewne mruganie nerwowe w oczach. Jest subtelny, bardzo grzeczny, równy. Łatwy jest w obejściu się, krewieński. Jest w nim miękkość subtelna, która go zawsze charakteryzowała. Ale w gruncie jest, zdaje się, człowiekiem bardzo zrównoważonym, ostrożnym, ceniącym wygodę, unikającym wszelkiego narażania się

gdziekolwiek, nacechowanym brakiem wszelkiej kanciastości. Taki przez życie przepływa z łatwością, ale większego śladu po sobie nie zostawia.

Maciej siedział długo u mnie. Potem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych przysłano do mnie pewnego Francuza, bawiącego tu przejazdem, niejakiego p. Pierre de la Trameryе, sekretarza wieczystego niejakiego Towarzystwa Filotechnicznego (właściwie bibliofilskiego), założonego w połowie wieku XVIII. Pan ten jest właścicielem „*chateau*" we Francji, „*chatelain*". La Société Philotechnique – to jakieś towarzystwo snobów książkowych. Zresztą opowiadał nam z Maciejem rzeczy ciekawe o Francji w związku z perspektywami ewentualnej wojny.

20 września, rok 1938, wtorek

Maciej Römer i dziś także był u mnie na obiedzie. Przychodząc, przyniósł pudełko cukierków Jadzi. Cieszę się, że te wizyty krewnych ustalają pozycję Jadzi w rodzinie. Sądzę, że sprawia ona na nich wrażenie dodatnie. Jest bardzo cicha, równa, prawie się nie wtrąca do rozmowy, spokojna, ale na stanowisku i pełna taktu, skromna; dobra też gospodyni – doskonałe obiady, świetne przekąski domowe, wódki domowe, kawa. W domu się też mówi po polsku, na co Römerowie są bardzo wrażliwi.

Z Maciejem się pożegnałem. Jutro wyjeżdża on do Cytowian, ale, zdaje się, wróci jeszcze do Kowna przed wyjazdem do Polski. Zwiedza on starannie Kowno, interesuje się wszystkim, na ogół ocenia dodatnio.

Kryzys czechosłowacki dojrzewa. Dezerterzy i emigranci sudeccy, którzy tysiącami pouciekali do Niemiec, formują się tam w jakieś oddziały ochotnicze, by wtargnąć z powrotem do kraju (oczywiście z pomocą Niemiec) i czynić tam powstanie. Francja i Anglia robią wysiłki, aby utrzymać pokój, ale oczywiście kosztem Czechosłowacji. Prowadzą one do rewizji granic Czechosłowacji. Sytuacja tego biednego państwa jest tragiczna. Sowiety i czynniki demokratyczne Frontu Ludowego gorszą się zdradą francusko-angielską, ale prawdę mówiąc – dzielnica Sudetów jest rzeczywiście narodowo niemiecką i w dzisiejszych czasach nacjonalizmu utrzymanie takiej dzielnicy w obrębie obcego państwa narodowego jest prawie nie do pomyślenia. Gdyby nawet wybuchła wojna europejska i Niemcy byłyby pobite, to kwestia dzielnicy sudeckiej, zostawionej w obrębie Czech, byłaby jeno odwleczona i stanowiłaby zarzewie nowych powikłań w przyszłości.

21 września, rok 1938, środa

Byłem na pogrzebie śp. Mieczysława Bortkiewicza, sędziego okręgowego w Kownie, który przed kilku dniami odebrał sobie życie. Był starym kawalerem, pędził życie zupełnie samotne. Poza swoim mieszkaniem kawalerskim, sądem i kawiarnią, do której zachodził na lekturę gazet, nie bywał nigdzie i nie obcował z ludźmi. Był malarzem z amatorstwa, malował olejno obrazy z natury bardzo precyzyjne, w duchu szkoły klasycznej, nie uznając żadnego modernizmu. Dlatego malarze nie uznawali w nim artysty i traktowali jego twórczość pogardliwie. Nie miał on z nimi kontaktu żadnego. Przed kilku laty pokusił się o urządzenie wystawy. Poznałem go wtedy, gdy przychodził do mnie jako rektora, prosząc o udzielenie lokalu na wystawę swoich obrazów. Zdaje się, że lokalu mu udzieliliśmy i że ta wystawa odbyła się w murach uniwersytetu. Krytyka jednak przyjęła jego wystawę nieżyczliwie. Twierdzono, że to profanacja sztuki i że precyzyjne „fotograficzne" obrazki Bortkiewicza są dobre li tylko na reklamę dla cukierków jako słodkie okładki na pudełka z cukierkami. Biedny Bortkiewicz miał przykrość z tej swojej wystawy. Sędzią okręgowym był przez lat 15. Nie awansował. Pochodził z rodziny szlachecko-ziemiańskiej o kulturze polskiej, ale już ojciec jego miał się za Litwina i wespół ze Smilgą w roku 1904 czy 1905 założył w Petersburgu pierwsze po cofnięciu zakazu druków litewskich czasopismo litewskie, które zaczęło wychodzić jeszcze przed ukazaniem się w Wilnie „Vilniaus Žinios". Sam Mieczysław Bortkiewicz miał się też za Litwina, brat zaś rodzony jego jest sędzią grodzkim w Warszawie. Wielką oszczędnością, a nawet skąpstwem, ciułając grosz do grosza i nic na siebie (oprócz tylko na krawat i ubranie, bo był elegantem) nie wydając, pewnymi też spekulacjami na walucie i na jakichś akcjach

doszedł do bogactwa. Fundusz jego w gotówce (oprócz jakichś nieruchomości w jakimś czy jakichś miasteczkach na Żmudzi) wynosi pono koło 250 tysięcy litów. Na skutek ciągłej samotności zachorował na jakieś zakłócenie nerwów, dostał mizantropii i czegoś w rodzaju manii prześladowczej oraz niechęci do życia. Tego lata za poradą lekarzy jeździł do specjalistów w Tartu i Rydze i spędził półtora miesiąca w prywatnym domu zdrowia w Rydze, dokąd go był odwiózł aeroplanem jego jedyny przyjaciel Smilga, syn tego, który z jego ojcem wydawał pismo litewskie w Petersburgu. Wrócił z Rygi na kilka dni przed tragiczną śmiercią; podobno miał się lepiej i któregoś dnia chodził po magazynach i kupował krawaty. Na wiosnę wystarał się o pozwolenie na rewolwer i teraz z tego rewolweru się zastrzelił. Nie szedłbym na jego pogrzeb i nie pisałbym o nim w dzienniku, bo mało go znałem i ostatecznie był on tylko jednym z wielu takich biednych życiowo ludzi, gdyby nie ta okoliczność, że testamentem, sporządzonym tego lata przed wyjazdem do Rygi, Mieczysław Bortkiewicz zapisał na rzecz naszego uniwersytetu 30% swojego funduszu, co stanowić będzie pokaźną sumę ± 80 000 litów. A ponieważ po pogrzebie byłem w innym interesie u notariusza Škiemy, u którego właśnie był spisany testament Bortkiewicza, więc Škiema mi jako rektorowi ten testament odczytał. Zapisał on te pieniądze uniwersytetowi na rzecz udzielenia stypendiów jego imienia najzdolniejszym niezamożnym studentom z wyboru rektora w porozumieniu z dziekanem Wydziału Prawniczego. Po 10% ze swego funduszu zapisał na rzecz Towarzystwa Dzieciątka Jezus i Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo, wskutek czego też zapewne, za staraniem tych towarzystw, zwłokom jego, pomimo samobójstwa, nie odmówiono pogrzebu kościelnego. Resztę funduszu i nieruchomości zapisał w pewnych proporcjach rodzinie – siostrze i bratu oraz córce nieżyjącej siostry czy nieżyjącego brata, nie zapominając też o przeznaczeniu pewnych sum na pomniki rodzicom i sobie. Wykonawcą zaś testamentu mianował Smilgę, wyznaczając i jemu za to 5% funduszu. Są wersje, że jedna ze spadkobierczyń legalnych, Zacharewiczowa, czyni zabiegi o akcję na rzecz unieważnienia testamentu jako samobójcy. Podobno jednak żaden z adwokatów nie podejmuje się tego. Sądzę, że testament się ostoi.

22 września, rok 1938, czwartek

Byłem na publicznym posiedzeniu Wydziału Teologicznego, na którym niejaki Aleksander Lėvanas, młody ksiądz, bronił dysertacji na stopień doktora. Temat dysertacji był teologiczny: „Zagadnienie abstynencji Chrystusa w świetle Pisma Świętego”. Oponentami urzędowymi byli: docent Gruodis, prof. Grigaitis i prof. Kuraitis. Doktorant, który sam jest abstynentem, usiłował dowieść, ze Chrystus był abstynentem. Jak się ujawniło z debat, praca ta ma usterki pod względem ścisłości teologicznej, jest bowiem raczej skierowana do obrony pewnych założeń apriorycznych, w których chodzi o apoteozę ideału autora. Jednak studium jest bardzo pracowite i obrona była dzielna. Wydział udzielił doktorantowi tytułu doktora. Członkowie wydziału zdawali się bardzo ujęci moją jako rektora obecnością. Trochę jeno za długo to trwało – cale trzy godziny w dusznej atmosferze przepełnionej sali. Czułem się zmęczony.

Dramat Czechosłowacji rozwija się. Francja z Anglią skapitulowały wobec Hitlera i robią nacisk na rząd praski, aby ustąpił dla ocalenia pokoju, czyli inaczej mówiąc – zgodził się na... rewizję granic, stanowiącą oczywiście wyrzeczenie się Sudetów na rzecz Niemiec. Pod tym względem dramat dobiega do końca. Nic już, zdaje się, nie zmieni faktu odpadnięcia prowincji sudeckiej, to znaczy kresów Bohemii, od Czech. Rząd czeski w zasadzie się już na to zgadza. W jakiej to się wykona formie – to się jeszcze nie wykrystalizowało. Samo przez się nie można byłoby temu odmówić pewnej logiki, bo powiaty sudeckie są istotnie niemieckie, niektóre nawet jednolicie niemieckie. Ale ten sukces Hitlera rozzuchwala Niemców i co dalej z tego się rozwinie – trudno przesądzać. Są jakieś wzmianki o konferencji rewizyjnej, która by miała rozpoznać cały kompleks spornych zagadnień europejskich, co mogłoby grozić postawieniem na kartę całej plejady roszczeń niemieckich, nie wyłączając może nawet naszej Kłajpedy. Skądinąd likwidacja Austrii i rozbiór Czech mogą ekscytować imperializm niemiecki w jego pochodzie na Bałkany. Ale na tym dramat Czechosłowacji się nie kończy. Jeżeli kapitulacja Anglii i Francji w kwestii sudeckiej zażegnuje

niebezpieczeństwo wojny europejskiej, to z drugiej strony ta kapitulacja rozpętuje nowe, nie mniej groźne chmury i komplikacje, które są znowuż brzemienne ewentualnościami wojny. Te komplikacje idą ze strony Polski i Węgier. Stanowisko tych dwóch krajów było wciąż enigmatyczne. Ich rządy miały wciąż jakieś konszachty z Niemcami. Polska zapowiadała, że dla terenów, do których ona pretenduje na Śląsku Cieszyńskim, żądać będzie takiego samego rozwiązania, jakie będzie przyjęte dla Sudetów. Wszakże skądinąd w rezerwie polskiej były także pewne możliwości wystąpienia przeciwko Niemcom na wypadek, gdyby wystąpiła Anglia z Francją. Teraz po kapitulacji Francji i Anglii, gdy los Sudetów jest zasadniczo przesądzony, Polska wysunęła kategoryczne żądanie wcielenia do Polski zabranej przez Czechosłowację części Śląska Zaolziańskiego. Węgry tak samo. Polska rozpętała u siebie wielką kampanię wiecową, zgłosiła swe żądania w drodze dyplomatycznej i zapowiada zabór Śląska *manu militari*, o ile Śląsk nie zostanie jej zwrócony dobrowolnie.

23 września, rok 1938, piątek

Rozpocząłem wykłady dla ekonomistów. Audytorium na początek bardzo liczne. Nie mam z nim na razie żadnego kontaktu; obce twarze, nikogo jeszcze nie odróżniam. Dużo studentek, jak zwykle na sekcji ekonomicznej.

24 września, rok 1938, sobota

Dziś jakby pewien zwrot w wypadkach europejskich. Coś zaszło niewyraźnego w rokowaniach ponowionych Chamberlaina z Hitlerem na terytorium niemieckim nad Renem. Co zaszło i jak się rzeczy mają – nikt nic dokładnie nie wie. W każdym razie, Chamberlain napisał jakiś list do Hitlera, godzina rokowań została odroczona, Chamberlain jakby przyśpieszył odlot do Londynu, zabrał też memorandum Hitlera do rządu pruskiego, któremu będzie on przez rząd angielski doręczony. Prasa europejska snuje domysły na temat, że Anglia z Francją wobec coraz dalej idących domagań się Niemiec cofają się ze swego stanowiska kapitulacyjnego. W każdym razie, ustalają się już informacje, że Hitler udzielił rządowi czechosłowackiemu terminu do 1 października na ewakuację Sudetów. Hitler idzie dalej w precyzowaniu tez niemieckich: żąda ewakuacji i oddania całkowitego w ręce niemieckie części terytorium sudeckiego z większością 70% mieszkańców Niemców i całą linią zasadniczą fortyfikacji, plebiscytu w dzielnicach mieszanych, odmawia gwarancji nietykalności pozostałego terytorium Czechosłowacji, zadośćuczynienia żądaniom terytorialnym Węgier i Polski... Tymczasem w Czechosłowacji dokonano całkowitej mobilizacji, rząd Hodży ustąpił i utworzył się rząd popularnego generała Syrovego, komunikacja z Niemcami i z Polską przerwana, Francja się w dużym stopniu zmobilizowała, Niemcy są zmobilizowane, Anglia czyni przygotowania do pogotowia wojennego, wielu innych, sąsiadujących z Europą Środkową, mobilizuje się albo uzupełnia pogotowie zbrojne także, Polska tworzy jakieś organizacje ochotnicze śląskie przeciwko Czechom, Węgry i Polska nastają na żądaniach terytorialnych, Sowiety wystosowały do Polski ostrzeżenie-pogróżkę, zapowiadające zerwanie paktu o nieagresji na wypadek, gdyby Polska wystąpiła z agresją przeciwko Czechosłowacji...

Polska się mocno zaangażowała z Niemcami i Węgrami przeciwko Czechosłowacji. Argumenty, którymi operuje Polska, są jednostronnie może nawet słuszne, ale takie, które jota w jotę mogą być zwrócone z jeszcze większą logiką przeciwko niej samej. Upomina się o mniejszość polską w pewnych powiatach polskich lub rzekomo polskich, wcielonych do Czechosłowacji i narodowo uciskanych, a sama robi to samo i w jeszcze większym stopniu w stosunku do Rusinów, Białorusinów, a w pewnych litewskich częściach Wileńszczyzny i Litwinów. Podnosi, że w roku 1920 Czesi zagarnęli powiaty polskie Śląska Cieszyńskiego, skorzystawszy z trudnej sytuacji Polski w dobie najazdu bolszewickiego i w sposób wiarołomny, gwałcąc układ poprzedni o plebiscycie i uzyskując sankcję Konferencji Ambasadorów, kneblującej usta Polsce. Ale czyż nie tak samo wiarołomnie zagarnęła Polska Wileńszczyznę? Czyż nie tak samo podeptała ona słabszą Litwę? Dziś Polacy gorszą się i dziwią, że u Litwinów popularna jest jeszcze myśl o tym, że w razie wojny sowiecko-polskiej Litwa może w pewnych warunkach odebrać od Polski Wileńszczyznę, łącząc się z

Sowietami, gdy Polsce noga się powinie. Ale czyż nie to samo usiłuje dziś robić Polska wobec Czechosłowacji? W każdym razie, tragiczna jest sytuacja Czechosłowacji, a pokój europejski mimo wszelkie zabiegi Anglii wisi na włosku i kto wie, czy nie pryśnie w nowej zawierusze wojennej.

25 września, rok 1938, niedziela

Jest anegdota, że Hotentoci na pytanie, co jest dobre, a co złe, odpowiadają: dobre jest, gdy ja odbiorę bratu żonę, złe – gdy brat odbierze ode mnie żonę. Czy prawdą jest, że Hotentoci tak rozumują i czy kiedykolwiek jaki Hotentot odpowiedział w ten sposób – tego nie wiem. Ale to wiem, że tak dziś rozumują i w ten sposób postępują cywilizowane narody europejskie, z których każdy, jak powiada Ewangelia, dostrzega słomkę w oku bliźniego, a nie widzi zgoła belki w oku własnym. Osobiście – nie dla własnego interesu naturalnie, bo mógłbym na tym stracić, a w żadnym razie nie zyskać cokolwiek – ale dla oddziałania na umysły ludzkie, chciałbym wybuchu wojny, wielkiej i jak najstraszniejszej. I chciałbym, aby Niemcy byli pobici kardynalnie, na miazgę, aby im się ulotniły wszelkie manie panowania, które demoralizują nie tylko ich samych, ale aby po ich porażce postąpiono z nimi sprawiedliwie. I chciałbym, aby Polsce, jeżeli ona wraz z Niemcami do wojny stanie o powiaty polskie w Czechosłowacji, dano pomimo porażki te powiaty po zarządzeniu w nich plebiscytu, ale zarazem odebrano od Polski ziemie ukraińskie, białoruskie i cząstki etnograficzne litewskie w Wileńszczyźnie i Suwalszczyźnie. Tak, tego bym chciał. Chciałbym wojnę, ale chciałbym jej w imię sprawiedliwości. Niestety – czy to jest możliwe?

Przespacerowaliśmy się dziś z Jadźką. Zaszliśmy do p. Gudowiczowej, którą zaprosiliśmy z jej mężem i córką na obiad imieninowy do mnie na sobotę, na który chcę zaprosić także obu prorektorów i asystentów moich. Dowiedzieliśmy się od p. Gudowiczowej, że Mackus był wczoraj z wizytą u nich, ale spytał służącą tylko o pannę Danutię Gudowiczówną i dowiedziawszy się, że jej nie ma, wyszedł. Mam wrażenie, że myśl o ewentualnym ożenku z Gudowiczówną, myśl, którą mu podsuwałem w Bohdaniszkach, kiełkuje w jego umyśle. Potem byliśmy w kawiarni i wreszcie w kinie.

Wczoraj otrzymałem list od... Reginy. Pisze rzekomo z Warszawy, ale kto wie, czy nie z Łunny, bo list wysłany z Łunny, a adres córki wskazuje dawny, który nie jest jej obecnym adresem. Pisze, prosząc niby o udzielenie pomocy córce, Celinie, która pono ma jakieś trudności w opłacie jakichś swoich długów poprzednich i która rzekomo jest zbyt ambitna, aby mię sama prosiła o to. Regina prosi o to „pod wielkim sekretem” od niej. Przy okazji Regina zapytuje mię ni mniej, ni więcej, jak o to, czy nie życzyłbym się z nią, Reginą, zobaczyć, na co by się ona zgodziła chętnie. Nie rozumiem, co skłania Reginę do pisania do mnie. Nie wiem, czy nie słyszała jeszcze o moim małżeństwie z Jadzią. Sama prosiła mię o zgodę na rozwód i rozwód zyskała – cóż ma więc jeszcze do zwracania się do mnie. Wszystkie mosty spalone – nic między nami już nie ma. Oczywiście nic jej nie odpiszę i zignoruję list. Celina, jeżeli prawdę pisze Regina, może swoje „ambicje” wobec ojca odłożyć na stronę.

26 września, rok 1938, poniedziałek

Znowu wielka nowina Hitlera z Berlina. Radia niemal całego świata, nie tylko Europy, ale obydwóch Ameryk i Japonii, były połączone ze stacją nadawczą w Berlinie i translowały mowę Führera. Naturalnie, była poświęcona polityce zagranicznej. Słuchałem ją przez czas pewien także, ale nie dosłuchałem do końca. Hitler mówił o potędze Niemiec, stworzonej przez nie same bez niczyjej pomocy po poniżeniu, w które ją zwycięscy wrogowie byli po wojnie wtrącili. Zastrzegał się, że Niemcy nie pragną niczego, prócz słusznych praw swoich i bezpieczeństwa. Nie chcą żadnych aneksji narodów obcych i brzydzą się wszelkim gwałtem i uciskiem obcych narodów, ale też nie mogą znieść gwałtu i ucisku innych nad sobą. Potężne wolne Niemcy są czynnikiem pokoju i sprawiedliwości. W szczególności stwierdził trwałość dobrego porozumienia z wolną Polską, zastrzegł, że Niemcy nie posiadają żadnego zgoła sporu z Francją i niczego od niej nie żądają. Stopniowo przeszedł do Czechosłowacji, którą uważa za twór sztuczny, oparty na kłamstwie, na

sztucznym spojeniu i podporządkowaniu pasożytniczej garstce Czechów całej plejady fragmentów narodowych obcych, jak Niemcy, Słowacy, Węgrzy, Polacy, Rusini karpaccy, twór pasożytniczy i kłamliwy, stworzony spekulacyjnie i identyfikujący się z obłudną osobą Benesza. W tym przedstawieniu Benesz wyrasta na wielkiego oszusta i komedianta międzynarodowego, który w mętnej wodzie powojennej nienawiści do Niemiec zdołał kłamstwem sklecić dziwaczną konstrukcję pasożytniczą pod nazwą państwa czechosłowackiego, nie odpowiadającego żadnej rzeczywistości narodowej i stanowiącej demokratyczne zaprzeczenie prawa narodów do stanowienia o sobie. W tym państwie jest streszczona cała podłość i fałsz demokracji, której doskonałym uosobieniem jest oszust Benesz. Taki jest sens wielkiej mowy Hitlera, której do końca nie dosłuchałem. Jeżeli jest w tym prawda, to takąż prawdą jest to, że i same Niemcy współczesne wyrosły na pasożytniczym zapanowaniu na ludach słowiańskich (i litewskich), których szczątki jeszcze dziś się trawią. Nie inaczej, niż z Czechosłowacją, rzecz się ma i z Polską, Jugosławią i większością państw formalnie narodowych. Ale Hitler widzi jeno Czechosłowację, bo tego mu trzeba.

27 września, rok 1938, wtorek

Rozpocząłem wykłady prawa konstytucyjnego litewskiego. Spodziewałem się zastać audytorium bardzo liczne, bo kurs ten wykładam w tym roku dla trzech semestrów naraz – dla III i V semestrów sekcji prawniczej i dla V semestru sekcji ekonomicznej, gdyż w roku ubiegłym wykład ten zawiesiłem. Wszakże audytorium zastałem bardzo nieliczne. Może dlatego, że późno wywiesiłem ogłoszenie o rozpoczęciu wykładów. Pierwszą część, historyczną, tego kursu – aż do przewrotów z lat 1926 i 1927 – będę wykładać tylko konspektowo, bo zresztą ta część jest już opracowana i wydana przeze mnie w mojej książce „Lietuvos konstitucinės teisės paskaitos” (tom I), zatrzymam się natomiast dłużej w semestrze wiosennym na analizie przewrotów konstytucyjnych i konstytucji z roku 1928, na której w tym roku pracę wykładową skończę.

Od wczoraj, licząc od daty ostatnich reguł miesięcznych Jadzi (26 stycznia), Jadzia wkroczyła w dziewiąty, a więc ostatni kalendarzowy miesiąc ciąży. Co do miesięcy księżycowych, to jest więcej. Rychło już nadejdzie moment krytyczny. Prof. dr Mažylis zapowiadał połóg przypuszczalnie na połowę października.

W sprawie sytuacji europejskiej, naprężonej do najwyższego stopnia i ciężarnej wojną, daje się dziś, po wczorajszej mowie Hitlera, wyczuć pewne „*détente*”. Podkreśla się zwłaszcza następujące momenty w mowie Hitlera: a. kategoryczne stwierdzenie tego, że obecna sprawa rewindykacji Sudetów od Czechosłowacji jest ostatnim żądaniem terytorialnym Niemiec i że żadnych innych roszczeń terytorialnych Niemcy już nie mają; b. oświadczenie, że chociaż Hitler ma zupełne uznanie dla pretensji polskich i węgierskich wobec Czechosłowacji oraz dla uciskanych przez Czechosłowację Słowaków i Rusinów podkarpackich, to jednak Niemcy upominają się tylko o Niemców sudeckich, bo to tylko jest ich sprawą; c. skierowanie całej złości Hitlera do osoby Benesza raczej, niż do Czechów. Może się zdawać, że skoro już zasada ustąpienia Sudetów przez Czechosłowację Niemcom jest uznana i przez sam rząd czechosłowacki przyjęta, to chodzi już tylko o ustalenie metod wykonania, wojna zaś w dużym stopniu byłaby już bezprzedmiotowa. Skądinąd ma się wrażenie, że wojownicze radykalne żądania polskie i węgierskie poniekąd się uśmierzyły: na Polskę miała mitygująco podziałać pogróżka Sowietów, a na Węgry – zapowiedź Rumunii i Jugosławii, że agresja węgierska wobec Czechosłowacji zmusi Rumunię i Jugosławię do interwencji.

28 września, rok 1938, środa

Znowu rano usposobienie w sprawie ewentualnej wojny było bardzo naprężone. Były w telegramach wieści, że Hitler, który w ostatnim swoim memoriale do rządu czeskiego, doręczonym za drugim widzeniem się Chamberlainowi i zresztą odrzuconym przez Pragę, był udzielił Czechosłowacji terminu do 1 października na dobrowolne wycofanie się z terytorium sudeckiego w granicach osobiście przez samego Hitlera zakreślonych, obecnie skierował do Czechosłowacji nowe ultymatywne żądanie spełnienia jego warunków do dziś do godziny drugiej we dnie, zastrzegając, że

w razie przeciwnym sama wyciągnie z tego wszystkie konsekwencje. Zdawało się więc, że katastrofa wybuchu wojny jest już u mety i napaść bezpośrednia Niemiec na Czechy wywoła automatycznie interwencję Francji, Anglii i Sowietów. Będzie to już zatem wojna europejska. Wszakże pod wieczór przyszły wieści uspakajające. Na jutro zwołana została konferencja osobista czterech mężów stanu, stojących na czele czterech wielkich państw europejskich: Chamberlain (Anglia), Daladier (Francja), Mussolini (Włochy) i Hitler (Niemcy). Konferencja odbędzie się w Monachium jutro. Jeszcze więc deska ratunku jest. Czy uratuje – to się pokaże. Ale jest jeszcze za co się chwycić.

Byłem na obiedzie Rotary-Clubu. Wszyscy poruszeni wypadkami europejskimi. Komentują gorąco. Najgoręcej i bezwzględnie reaguje Michał Ślażewicz. Dla niego ta sprawa jest świętą sprawą ze stanowiska czeskiego przeciwko faszyzmowi i metodom agresji. Czechosłowacja – symbol prawdy i zasad świętych. Jest grono także polakożerców – Witold Landsberg, Antoni Żmudzinowicz, dr Juška, dla których sprawa bodajże o tyle tylko ma wagę i prowadzi do sympatii czeskich, o ile przeciwstawia się to zgłoszonym przez Polskę roszczeniom. Referacik, skądinąd bardzo dobry, przedmiotowy i ciekawy, o zagadnieniach, raczej o stanie geopolitycznym i etnograficznym Czechosłowacji, wygłosił nasz geograf Pakštas. Zaiste państwo czechosłowackie jest dosyć skomplikowanym tworem politycznym, na który złożyły się z różnych stron zapożyczone kęsy, cementowane przez czynnik czeski.

29 września, rok 1938, czwartek

Święty Michał. Imieniny moje. Otrzymałem listy z powinszowaniem i życzeniami od sióstr moich – Kotuni Pruszanowskiej i Elwiry Mieczkowskiej, od mojej córki Celiny, od Andrzeja Mieczkowskiego, Ewy Meyerowej, Elizki Tanajewskiej, Macieja Römera, depesz kilka, winszował mi też osobiście Eugeniusz Römer, Jan Vileišis, którzy byli u mnie. Obiady imieninowe zrobię dwa – jeden dla solidniejszych gości w sobotę i drugi – dla grupki „łechaim" – w niedzielę.

Wieczorem miałem posiedzenie senatu akademickiego.

30 września, rok 1938, piątek

Nie piszę dziennika, bo czasu nie mam.

1 października, rok 1938, sobota

Jesteśmy wreszcie w miesiącu, który prawdopodobnie zrealizuje nam urodzenie Filipka. Jest to więc miesiąc dla nas z Jadzią krytyczny. Powiadam: prawdopodobnie, bo ostatecznie nie jest wykluczone, że może to nastąpić i w listopadzie.

Z dnia moich imienin przełożyłem na dziś obiad imieninowy dla grona moich kolegów akademickich. Zaprosiłem obu prorektorów – prof. Jodelę i prof. Blažysa, prof. dr Gudowicza, jako mego przyjaciela osobistego, z panią Gudowiczową i ich córką panną Danutią Gudowiczówną, moich dwóch asystentów – Konstantego Raczkowskiego i Feliksa Mackusa i wreszcie młodego Antoniego Žukasa, mojego asystenta *in spe*, który dopiero co ukończył studia na prawie i zdobył dyplom (chcę go wciągnąć do uniwersytetu i kwalifikować do profesury; dzielny to chłopiec i entuzjasta nauki). Zapraszałem też Purėnasa, ale wymówił się, że nie może i nie przyszedł. Mam wrażenie, że Purėnas nie darował mi tego, żem na wiosnę nie podał się do dymisji wraz z nim; na razie wtedy byłem na to zdecydowany, ale potem przekonali mię koledzy, że do niczego by to nie służyło i jeno podziałało szkodliwie.

Jadźka wysiliła się na doskonały obiad, przekąski, tort, wódki na jagodach, krupnik domowy do kawy. Trochę tylko nasz pokój jadalny za ciasny dla większej ilości gości.

Dopiero dziś otrzymałem od van Karnebeeka z Hagi projekt protokółu („*procés-verbal*") Komisji Koncyliacji Duńsko-Litewskiej, stwierdzający, że koncyliacja się komisji nie udała i że strony się nie pojednały. Przysłanie tego projektu jest spóźnione, bo dziś już termin, udzielony komisji do zakończenia jej czynności, upłynął. Samo przez się to nie jest nic wielkiego, ale chodzi o to, że takie późne przysłanie projektu do aprobaty bądź co bądź utrudnia porozumienie się co do

ewentualnych poprawek i czyni pewną presję na członków komisji. Mnie na przykład nie podoba się to, że do protokółu, który zdaniem moim powinien by zawierać li tylko stwierdzenie faktu, że pojednanie nie nastąpiło, wpisany został też cały tekst *in extenso* wniosku ugodowego, który komisja większością głosów była uczyniła stronom. W przedmiocie aprobaty protokółu lub ewentualnego zgłoszenia poprawek porozumiem się jutro z Urbšysem.

2 października, rok 1938, niedziela

Na obiedzie – także imieninowym, przełożonym na dziś ze świętego Michała, miałem grono naszych starych przyjaciół domowych z czasów naszych z Jadzią przedmałżeńskich, grono obrządku „łachaim" z Diskinem na czele. Ale z grona tego było tylko trzech: Diskin, Stefan Römer i Feliks Mackus. Innych – Pauży, Zemana – nie było. Wypili dzielnie – ja im nie sekundowałem, zjedliśmy obiad i na tym się skończyło.

Katastrofa Czechosłowacji dobiega kresu. W myśl uchwał monachijskiej konferencji czterech wodzów państw, od wczoraj Czesi ewakuują i Niemcy zajmują jedną po drugiej cztery ustąpione Niemcom strefy Sudetów. Inne jeszcze strefy ulegną plebiscytowi. Ale co więcej – „doradcy" życzliwi Czechosłowacji – Francja i Anglia – skłonili ją do ustępstwa terytorialnego także na rzecz Polski. Czechosłowacja zgodziła się na ultymatywne żądanie Polski o ewakuacji paru powiatów czeskiego Śląsku Cieszyńskiego i ustąpienie ich Polsce. Pozostaje jeszcze w zawieszeniu żądanie takież Węgier, w gruncie rzeczy może najzasadniejsze, ale o tyle trudniejsze do realizacji, że się mu przeciwstawiają Jugosławia i zwłaszcza Rumunia, które ze względu na siebie boją się tego precedensu rewindykacyjnego na rzecz Węgier. Tragedia w głównych liniach odegrana. Hitler wyrósł na tej operacji niezwykle. Nie tylko że spełnił to, czego żądał, ale że podniósł ogromnie swój *prestige*. Sąsiednie ludy i państwa będą bardziej skłonne orientować się na niego, niż na demokrację francuską, która łudzi obietnicami pomocy i solidarności, ale w chwili krytycznej zawodzi. Zaufanie do Francji będzie zachwiane. Jej walor jako czynnika politycznego zmniejszył się. Hitler, choć jest okrutny i barbarzyński, wie, czego chce i umie dochować słowa. Z nim jest wiadomo, czego się można trzymać. Natomiast Francja w chwili decydującej kapituluje.

Czułem się dziś przeziębiony. Rozwija się kaszel i katar. Czułem stan influenzowy: łamanie w kościach, świerzbienie skóry, ciężka głowa, ciężar na płucach, mokry nos, pieczenie kończyn i głowy. Mam trochę podniesioną temperaturę. O godzinie siódmej wieczorem idę spać, a w każdym razie do łóżka.

3 października, rok 1938, poniedziałek

Dziś znowu mieliśmy na obiedzie gości Römerów. Zasiadło nas do stołu siedem osób – wyłącznie samych Römerów: 1. ja, 2. Jadzia jako moja żona Römerowa, 3. Maciej Römer, 4. Eugeniusz Römer, 5. Stefan Römer, 6. Helcia Römerówna, córka Eugeniusza i 7. Stenia Römerówna, córka Stefana. Maciej wrócił już z objazdki rodzinnej Cytowian, Kowaliszek, Bohdaniszek i Antonosza, która mu zajęła dobrych dni dziesięć i dzisiaj wyjeżdża już wprost do Warszawy. W ogóle z pobytu w Litwie jest rad. Było mu tu ciekawie, dużo widział, zaobserwował i wrażenie ma dodatnie. Nawet Antonosz wydał mu się lepiej, niż się spodziewał. Tyle się nasłuchał o ruinie Antonosza, że gdy tę „ruinę" zobaczył, to mu się nie wydała tak wielką. Budynki są opuszczone, ale stoją, tylko remontu potrzebują, zresztą może ich jest za dużo na zmniejszony Antonosz; dom mieszkalny stoi cały, pokoje – nieuszkodzone, tylko wieża w ruinie istotnej. Maciej Elwirze co do Andrzeja poradził to samo, co radził Eugeniusz i co w przeszłym roku radziłem ja: żeby zalokowała Andrzeja na rok w Kownie i zażądała zdawania egzaminów dla zdobycia dyplomu uniwersyteckiego. W przeszłym roku Elwira ani słyszeć o tym nie chciała, uważając za jedyne zbawienie wyjazd jego do Polski. Tymczasem i do Polski nie wyjechał, bo go nie wpuszczono dotąd, i półtora roku zmarnował, rozwydrzył się w próżniactwie bohdaniskim i zdemoralizował. A przez ten czas miałby już dużo egzaminów za sobą. Gdy przed kilku tygodniami jeszcze radził Elwirze to samo Eugeniusz, Elwira już się skłaniała, ale potem pojechała do Szaszewicz i tam „mądrość" zagrodowa Marysi i

Stefana znowu wszystkie argumenty obaliła. Elwira już bardzo postarzała, nie ma głowy, nie umie się na nic zdecydować, a wpływ na nią mają takie zakute obskuranckie łby, jak jej córka Helcia, Marysia Stefanowa i Stefan. To jest areopag pomysłów i wyroków bohdaniskich. Dobrze że się Marysia z Bohdaniszek wyniosła i że się przynajmniej rozdzieliło to szanowne konsylium mądrości główek takich; ale też Marysia tęskni do Bohdaniszek i do konszachtów z Mieczkowskimi. Tam w swoim niedołęstwie czuje się bezpieczniejsza. Ale biedny jest Andrzej, który zależy od takich trybunałów mądrości. Co prawda – sam sobie winien, bo oprzeć się na własnych siłach nie próbował.

Są tutaj wieści, że p. Stefcia Lingisówna dała odprawę Andrzejowi. Wieści te pochodzą od kół studenckich byłych kolegów Andrzeja, także od wdowy Michałowej Niemeikšysowej, która jest siostrą Lingisówny i która tutaj służy. Maciej też powiada, że sam Andrzej w jego obecności oświadczył, że Lingisówna z nim zerwała.

4 października, rok 1938, wtorek

A więc obeszło się bez wojny tym razem, ale ciężkim kosztem. Niemcy zabrały sobie z Czechosłowacji dzielnicę sudecką, przy tej sposobności Polska skubnęła kąsek Śląska Cieszyńskiego z bogatymi kopalniami i wysoko rozwiniętym przemysłem, skubną też zapewne i Węgry. Nie to jest złe, że coś zostało z Czechosłowacji skubnięte, bo w istocie odebrano jej to, co ona w swoim czasie po wojnie różnymi spekulacjami okazyjnymi sama prawem kaduka zabrała, wyzyskując okolicznościowo słabość tych, co ją dziś obskubali, ale złe i niebezpieczne jest to, że się utrwala i zyskuje prawo obywatelstwa metoda agresji i że Hitler staje się panem Europy. Najgorzej wyszła bodaj Francja. Zawiodła ona swoich sojuszników i skapitulowała. Wykazała dosadnie wartość swoich sojuszów i gwarancji, podczas gdy Hitler wykazał, że zyskuje ten, który tego się trzyma. Przez niego bowiem Polska doszła do Śląska Cieszyńskiego i to się z pewnością w psychice polskiej mocno zazębi. Dziś łaska Hitlera staje się wartością o wiele realniejszą, niż frazesy szlachetne Francji. To nie jest wesołe.

5 października, rok 1938, środa

Jadzia wczoraj była znowu u prof. dr Mažylisa, który ją obejrzał szczegółowo, stwierdził, że wszystko jest w porządku, że płód jest duży, co zaś do terminu połogu, to go dokładnie nie określił i aż cały miesiąc dał na to. Może więc być w październiku, ale może także być w początku listopada. Dziś wszakże wymiona Jadzi zaczęły nalewać; przy pociśnięciu wysącza się z wymienia coś w rodzaju serwatki. Czy to nie jest oznaka rychłego połogu? Nie znamy się na tym z Jadzią i czekamy. Jadzia się dziś niepokoiła trochę o zdrowie swoje, bojąc się, żeby jej choroba nie zaszkodziła Filipkowi. Jest przeziębiona i ma duży katar, wieczorem nawet gorączkuje trochę; pochodzi to może nawet nie z przeziębienia, ale z zarażenia ode mnie.

Byłem dziś na obiedzie Rotary-Clubu. Dr Juszka czytał jakąś ostrą, przeciwko Polsce zwróconą epistołę. Pod tym względem Litwa, zwłaszcza w czasach obecnych, powinna być ostrożniejsza. Nie ma się bowiem na kim oprzeć przeciwko Polsce. Gdy demokracje zachodnie kapitulują, Sowiety nie kwapią się do czynu, a Polska jest z Niemcami solidarna, Litwa wielkiego wyboru do lawirowania swobodnego nie ma. Z konieczności, przynajmniej w tym czasie przejściowym, musi się z Polską liczyć i mostów za sobą w stosunku do Polski palić nie powinna. Toteż ten nałóg i namiętność występowania gdzie i ile się da przeciwko Polsce źle służy Litwie. Pozbawia jej politykę giętkości. Marnuje też albo już zmarnowała to specjalne usposobienie filolitewskie, które dominowało w Polsce na wiosnę (co prawda, to usposobienie nie przeszkodziło władzom polskim w kontynuowaniu systematycznego duszenia życia organizacyjnego i kulturalnego Litwinów w Wileńszczyźnie).

Po obiedzie w uniwersytecie na sali odbył się odczyt publiczny profesora Gabattiego z Uniwersytetu w Rzymie na temat o Odrodzeniu. Ten profesor, prezes Instytutu Włosko-Germańskiego, był z odczytem w Rydze, gdzie mówił o Dantem. Nowy poseł włoski w Kownie skorzystał z tej okazji i zamówił go do Kowna, a poprosił uniwersytet o salę. Odczyt był wygłoszony po niemiecku. Był dobry i treściwy, komunistyczny, ale zakończony wezwaniem i gestem

faszystowskim. Ja zagaiłem odczyt po francusku, prof. Gabatti wygłosił na wstępie ładną lokucję do Litwy. Było sporo przedstawicieli korpusu dyplomatycznego, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, rządu.

6 października, rok 1938, czwartek

Byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Rozważane były różne sprawy bieżące, o których szczegółowo pisać nie będę. Chcę do Wydziału Prawniczego wprowadzić w charakterze mego asystenta Antoniego Žukasa, który świeżo ukończył studia na wydziale. Jest to chłopiec wybitnie zdolny i żywy, a co mię w nim szczególnie pociąga – to entuzjazm gorący, jaki on ma do nauki i do zgłębiania wszelkich najtrudniejszych zagadnień. Jest to człowiek, który gdy zacznie coś studiować, to po prostu tym żyje. Jest to doskonały materiał na człowieka nauki. Raz już wykonał pracę konkursową na temat o stanowisku Kościoła w państwie i zyskał premium, aczkolwiek z pewnymi zastrzeżeniami; w roku ubiegłym zaczął pracować nad innym tematem konkursowym – o sądzie, o istocie, organizacji i zasadach tej funkcji państwowej w różnych jej konstrukcjach historycznych i różnych układach państwowych. Pracą tą zainteresował się i ze zwykłą sobie energią zaczął zagadnienie zgłębiać, studiować, rozwijać. Często do mnie zachodzi, dzieli się ze mną swoimi myślami z tych studiów, radzi się i ma tę szczególną cechę, właściwą miłośnikowi nauki, że nigdy nie czuje się ostatecznie ustalony, stuprocentowo pewny siebie, posiadający całkowitą doskonałość wiedzy. W studiowaniu tego zagadnienia osiągnął postępy ogromne i zdobył erudycję i bardzo szeroki horyzont poglądów. Wyrzekł się pisania tej pracy na konkurs i zdecydował się uczynić z niej swoją dysertację doktorską. Tego cennego adepta nauki nie chcę i nie mogę wypuścić z rąk. Chcę i muszę go zdobyć dla uniwersytetu. Po roku chcę go posłać dla uzupełnienie studiów do Paryża. Na razie nie mogłem jeszcze przeforsować go do wydziału, bo w tej chwili nie ma wakansów asystentów, ale niebawem wakanse te będą, gdy Karol Żołkowski i Acukas zostaną zatwierdzeni na stanowiskach lektorów nieetatowych i oswobodzą etaty asystentów, co lada dzień nastąpi. Žukasa chcę zatrzymać na mojej katedrze, przekazując ewentualnie Konstantego Raczkowskiego na rzecz prawa międzynarodowego prywatnego, do którego ma on nagabanie. Raczkowski ma bardzo dobrą głowę i mógłby się wyrobić na pierwszorzędnego profesora, ale zbyt forsownie jest użytkowany do prac różnych w Radzie Stanu i Ministerstwie Spraw Zagranicznych, co mu nie daje możności poświęcenia się pracy nad dysertacją i doktoryzowaniem się. Poza tym, jest on poniekąd na rozdrożu. Rozpoczął studia nad stosunkiem Kościoła do państwa i w tym kierunku rozpoczął pracę nad dysertacją oraz miał się gotować do odpowiedniego kursu wykładowego w obrębie mojej katedry; tymczasem pociąg ma raczej do prawa cywilnego albo bliskiego mu prawa międzynarodowego prywatnego, wobec czego ja dla mojej katedry wielkich perspektyw z niego nie mam. Wolę więc zamienić go na Žukasa, mimo że osobiście Raczkowskiego cenię. Drugi mój asystent Feliks Mackus jest zdolny, ale umysł ma dość ciężki i entuzjastą nauki nie jest. Ma skłonność do wygód i filisterstwa. Nie o takim zastępcy dla siebie marzę. Žukas będzie właściwszy. Ciekawe, że Žukas jest samoukiem z założenia. Był do wieku lat kilkunastu robotnikiem rolnym na wsi, w gimnazjum nie był, sam się wykształcił o własnych siłach w zakresie studiów gimnazjalnych, zdał egzamin matury eksternem i wstąpił na uniwersytet, gdzie oddał się studiom z zapałem i pracował celująco. Zresztą pracuje więcej, niż tego wymagał program akademicki; zdobył ogromną sprawność studiów samodzielnych na własną rękę. Taki człowiek w nauce – to złoto.

7 października, rok 1938, piątek

Lubię wykłady, gdy jest dużo studentów i audytorium nie jest zblazowane. W ostatnich latach na Wydziale Prawniczym ilość ekonomistów znacznie, prawie w dwójnasób, przerasta ilość studentów sekcji prawniczej. Na sekcji prawniczej skupia się przeważnie ta część młodzieży, którą można by nazwać arystokracją; są to synowie osób bardziej znanych, zajmujących wysokie stanowiska w państwie lub społeczeństwie, dających dziecku imię i mogących mu dać stosunki i protekcję, bez których obecnie dostać się do stażu kandydackiego w sądach, otwierającego jedyną

drogę do kariery sądowniczej i adwokackiej, jest bardzo trudno. Skład osobisty sekcji ekonomicznej jest bardziej mieszany, że tak powiem – bardziej „demokratyczny”, ale na ogół żywszy, wrażliwszy na naukę; dużo też jest na ekonomii studentek i te są tutaj żywsze i bardziej rozwinięte od studentek prawniczek. Mówię to zresztą na zasadzie doświadczenia zeszłorocznego. Wykłady u ekonomistów dawały mi więcej zadowolenia, niż wykłady u prawników, świecące pustkami. I teraz wykłady u ekonomistów mają audytorium przepełnione. Bardzo duża ilość notuje wykłady i w ogóle reagowanie słuchaczy jest żywe.

8 października, rok 1938, sobota

Miałem dziś po obiedzie dwa zebrania, na których chciałem (na drugim musiałem) być obecny. Jedno zebranie było Litewskiego Towarzystwa Historyków, drugie – Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. Ponieważ pierwsze było zwołane na godzinę pitą, a drugie – na szóstą, więc byłem na obu, ale na pierwszym krótko. Towarzystwo Historyków jest na ogół ruchliwe. Ma też niezłe wcale siły, w ich liczbie dzielne siły młode. Prezesem tego towarzystwa, stale od początku wybieranym, jest Augustyn Janulaitis, w którego też mieszkaniu odbywają się zebrania, które mają regularny stały tryb tradycyjny: wpierw herbatka w pokoju jadalnym (kawa, herbata, kanapki, trochę ciasta, cukierki), następnie posiedzenie w gabinecie dużym Janulaitisa. Oto lista obecnych na zebraniu dzisiejszym: prof. Janulaitis, ja, prof. Jonynas, Tarasienka, Konstanty Jabłoński, prof. ksiądz Totoraitis, prof. Iwiński, Šapoka, młody Avižonis, nauczyciel gimnazjalny Spudas, stary emeryt prof. Volteris, p. Urbšysowa, p. Sruogowa, żona prof. Bolesława Sruogi – oto bodaj wszyscy. Dzisiejsze zebranie mię interesowało ze względu na zapowiedziane referaty Janulaitisa i Iwińskiego z ciekawego kongresu historyków w Zurychu, na którym byli oni obecni. Ale, niestety, sprawozdania te były odłożone na dalszy punkt porządku dziennego, więc ich już wysłuchać nie mogłem. Wszakże ciekawy też był pierwszy referat, który wysłuchałem: starego emerytowanego prof. księdza Totoraitisa o Bibliotece Watykańskiej, głównie ze względu na lituanistykę, którą zbiory tej biblioteki zawierają. Był to zresztą tylko schemat pewnych wskazówek co do tego podług pierwszych usiłowań prelegenta w tym roku do zorientowania się w klasyfikacji tych zbiorów olbrzymich.

W Towarzystwie Prawniczym, którego zebranie było niezwykle liczne ze względu na bardzo aktualny temat sądu administracyjnego, zaprojektowanego przez komisję sejmową pod przewodnictwem Merkysa (byli sądownicy, adwokaci, młode siły akademickie, członkowie Rady Stanu etc.). Referentem był sam Merkys, koreferentami z góry zapowiedzianymi byli ja i adwokat Fridsztejn. Merkys jest inicjatorem projektu sądu administracyjnego w Sejmie (właściwie przy dosyć opornym i na ogół niechętnym stanowisku rządu w tej kwestii). Projekt komisji sejmowej Merkysa jest w głównych rysach oparty na projekcie byłej komisji Rady Stanu, właściwie zaś moim, chociaż z pewnymi odchyleniami i poprawkami tak dodatnimi, jak ujemnymi. Główną zmianę, bezwzględnie ujemną, spowodowaną przez konieczność marginalizowania pewnych obaw i uprzedzeń kół rządowych, jest to, że podczas gdy w moim projekcie sąd administracyjny ma kompetencję ogólną z pewnymi wyjątkami co do poszczególnych kategorii aktów administracyjnych, wyłączonych spod właściwości tego sądu, to w projekcie komisji sejmowej sąd ten ma kompetencję atrybutywną ściśle karnistyczną, która czyni go zaledwie embrionalnym. Moje przemówienie dotyczyło głównie tego właśnie zagadnienia. W każdym razie, zainteresowanie prawników i administratorów tym zagadnieniem jest bardzo wielkie. Po nas przemawiali jeszcze adwokat Andrzej Bułat, Antoni Tumėnas i inni. Zresztą do końca nie dosiedziałem, bo zebranie się zaciągnęło, a w domu miałem jeszcze pracę. Tumėnas trochę mię drażnił swymi poglądami scholastycznymi i skrajnie przestarzałymi, toteż z jego mowy uciekłem.

9 października, rok 1938, niedziela

Dziś smutna dla Litwy rocznica odebrania jej Wilna przez Polskę. Zwyczajnie dzień ten obchodzony był w Litwie żałobą publiczną, w której manifestacyjnie brał też udział rząd i nadawał obchodowi charakter urzędowy państwowy. Było to tradycją i systemem. Było to elementem

demonstracyjnym kursu antypolskiego. W tym roku sytuacja musiała się zmienić. Przede wszystkim, nie mogła nie zaważyć ta okoliczność, że Litwa nawiązała już formalne stosunki z Polską, co zmusza ją do pewnego liczenia się z Polską. Są wszakże względy jeszcze istotniejsze, z których niewątpliwie zdaje sobie sprawę dyplomacja litewska i rząd, ale z których nie zdają sobie należytej sprawy wszystkie czynniki w społeczeństwie, zwłaszcza te, które są najbardziej zaangażowane w akcję antypolską i prowileńską, dla których cała bodaj mądrość i patriotyzm polega na nagonce przeciwko Polsce. W każdym razie, w tym roku nie było w dniu dzisiejszym urzędowej „chwilki skupienia", kiedy na jedną minutę symbolicznej żałoby cały ruch i wszystko oraz wszyscy zastygało na tę chwilę w milczeniu i bezruchu; na gmachach rządowych nie było chorągwi spuszczonych żałobnie, rząd nie brał udziału w obchodach, nie zarządzano odpowiednich zbiórek na ulicach, w radio nie było prelekcji i przemówień nagonkowych. Przed tym dniem minister spraw zagranicznych wezwał przedstawicieli prasy i ostrzegał ich przed zbytnim forsowaniem kursu antypolskiego i dawał zlecenie umiarkowania. W ogóle uczyniono dużo, aby osłabić tempo antypolskie tej żałoby. Naturalnie nie można było tak za jednym zamachem wykreślić całą tragedię obchodu żałoby, a nawet byłoby niepożądane, żeby Litwa zapomniała o Wilnie i zgasiła w sercu swoje uczucia wileńskie. Tylko chodziło o to, żeby nie nadawać temu cech nagonki antypolskiej i żeby w ogóle być „*correcte*". Były więc tylko pewne zebrania społeczne, poświęcone Wilnu, były dosyć umiarkowane odczyty o Wilnie w szkołach, na domach prywatnych wywieszał, kto chciał, chorągwie w żałobie, na ogół tempo było słabe i pozbawione dawnej jaskrawości. Bardziej od formalnego nawiązania stosunków z Polską musiał na to wpływać wzgląd na sytuację międzynarodową w Europie. Dziś Liga Narodów, która dawniej neutralizowała zatargi międzynarodowe i rozwadniała ich ostrość, straciła wszelką wagę. Na czoło wysunęły się metody agresji i siły, wielkie demokracje zachodnie (Francja i Anglia), jak świeżo wykazał jaskrawie przykład na Czechosłowacji, nie dają gwarancji żadnej, Litwa zaś, wciśnięta między Polskę i Niemcy, nie może sobie pozwolić na kopanie nogą tych czynników, mogących najfatalniej rozstrzygać wprost o jej losie. Jest więc ona na ich łasce.

10 października, rok 1938, poniedziałek

Sam nie wiem, co myśleć i gdzie kłaść moje sympatie w biegu dalszych perypetii sprawy czechosłowackiej. Chodzi mi w szczególności o domagania się węgiersko-polskie. Czechosłowacja, raz się potknąwszy i wstąpiwszy na śliską drogę rezygnacji, na którą wtrącona została przez własnych sojuszników Francję i Anglię w uchwałach monachijskich, nie zdołała się już oprzeć pretensjom terytorialnym tak Polski, jak Węgier. Gdy Niemcy zagarnęli Sudety, Czechosłowacja, opuszczona i zrezygnowana, zgodzić się musiała i na ustępstwo Śląska Zaolziańskiego Polsce i na ustępstwo skrawków południowych Słowacji Węgrom, o co się jeszcze toczą rokowania z Węgrami. To się już stało. Sama Czechosłowacja, upokorzona, wyciąga konsekwencje ze swej katastrofy, stanowiącej porażkę kapitalną bez oporu i bez walki, co jest może najtragiczniejsze. Jest to bowiem nie cios, lecz załamanie się. Benesz, współpracownik zmarłego Masaryka i współtwórca Czechosłowacji powojennej, podał się do dymisji. Czechosłowacja już tylko ratuje szczątki i przekształca się. System polityczny sowiecko-czechosłowacko-francuski, który Czechosłowację do tej katastrofy doprowadził i zawiódł kapitalnie, ujawniając swoje zupełne niedołęstwo w chwili próby pod naciskiem stanowczym kanclerza Hitlera, jest dla Czechosłowacji przebrzmiały. Nic z niego pozostać nie może. Nowe czynniki dokonywują nowej orientacji w Czechosłowacji. Słowację udało się Czechom uratować, ale Słowacja się wyemancypowała politycznie i ukonstytuowała jako jednostka autonomiczna, a może nawet rychło federacyjna wobec Czech w państwowości czechosłowackiej. Nowa Czechosłowacja będzie formalnie pojednana ze swym pogromcą – Niemcami, a może nawet wejdzie w orbitę wpływów niemieckich. W każdym razie, nie może już być czynnikiem hamującym Niemcy w Europie Środkowej. Ale oto Polska i Węgry nie zaniechały jeszcze swej gry. Żądają wspólnej granicy polsko-węgierskiej przez przyłączenie do Węgier autonomicznej Rusi Podkarpackiej. Nie wchodzę już w to, czy to żądanie sprawiedliwe czy nie. Może słusznymi były orzeczenia spełnione Polski na Śląsku Zaolziańskim i węgierskie na odcinkach

południowej Słowacji; brzydki i nieludzki był tylko sposób wyzyskania ciężkiej sytuacji partnera, by się upomnieć choćby o swoje. Ale czy rozstrzygnięcie ostatniego problemu tragedii czeskiej – problemu Rusi Podkarpackiej na rzecz bądź Czechosłowacji bądź Węgier – jest lepsze w tym czy w innym rozwiązaniu? Ruś ta nie jest ani czechosłowacką, ani węgierską etnicznie. Ale które rozwiązanie jest lepsze ze stanowiska problemów międzynarodowych? Jeżeli Czechosłowacja ma się stać przewodnikiem wpływów niemieckich, to posiadanie przez nią Rusi Podkarpackiej wytworzyłoby dla tych wpływów głęboki korytarz na wschód bez Rumunii i w kierunku Ukrainy. Natomiast wcielenie Rusi Podkarpackiej do Węgier i uczynienie z niej łącznika kontaktowego między Węgrami i Polską mogłoby być konstrukcją dla bariery polsko-węgiersko-rumuńskiej przeciwko ekspansji Niemiec z Europy Środkowej na wschód. A jeśliby do takiej konstrukcji dojść miało – byłoby dobrze. Dziś Europa Wschodnia staje przed obliczem groźnym Niemiec sama i sama o sobie pomyśleć musi, bo, jak się okazało, na Zachód (Francja, Anglia) liczyć nie może.

11 października, rok 1938, wtorek

Jadzia czuje się niedobrze. Ciężko i źle śpi nocami, doświadcza lekkich, co prawda, bólów w krzyżu i w okolicy dolnej żołądka. Zbliża się już może czas połogu i Filipek gotuje się do wędrówki z łona matki w świat. Właściwie czekamy już lada dzień pierwszych bólów, zwiastujących poród, aby Jadzię odwieźć do kliniki prof. dr Mažylisa. Ale może to jeszcze potrwać tygodnie. Dziesięć miesięcy księżycowych już jest, ale dziewięciu miesięcy kalendarzowych jeszcze nie ma. Jadzia zresztą jest zupełnie spokojna.

Co kilka dni mamy posiedzenie zwierzchności akademickiej, na których debatujemy i projektujemy poprawki do opracowanego przez komisję regulaminową projektu regulaminu uniwersyteckiego, który następnie referujemy w senacie akademickim. Ten regulamin układamy na zasadzie nowego zeszłorocznego statutu.

Nie wiem, jaki będzie koniec w sprawie duńsko-litewskiej w komisji koncyliacyjnej. Do pojednania stron nie doszło. Litwa, jak było do przewidzenia, nie przyjęła wniosku koncyliacyjnego, zaproponowanego stronom przez większość komisji przeciwko głosom mojemu i Ozolinša. W sierpniu, po odmowie Litwy, prezes komisji van Karnebeek, rozsyłając członkom komisji odpowiedzi Danii i Litwy, zaproponował zamiast zwołania nowego posiedzenia komisji do Hagi – zlecić jemu ułożenie projektu protokółu („*precis-verbal*") finalnego, stwierdzającego niedojście pojednania do skutku. Ten projekt, przez niego ułożony, miał być następnie rozesłany członkom komisji do aprobaty i podpisu. Na prośbę komisji strony prolongowały jej termin zakończenia prac do d. 1 października. Gdy się ten termin zbliżał i Karnebeek projektu nie przysyłał, napisałem do niego w końcu września, zapytując, co słychać. Skłonił mię do tego zapytania list Ozolinša, który się niepokoił. Wreszcie już po terminie, bo w dniu 1 października, otrzymałem z Hagi projekt protokółu do podpisu i przesłania Ozolinšowi oraz list Karnebeeka, tłumaczący się, że opóźnienie nastąpiło wskutek tego, że członek komisji Oldenburg, któremu projekt był przesłany 12 września, przetrzymał go zbyt długu. Przysłany projekt był już podpisany przez Karnebeeka, Oldenburga i de Fontenaya. Ale do projektu „*precis-verbal*" wpisany został cały tekst propozycji koncyliacyjnej komisji, odrzuconej przez Litwę. Co do mnie, uważam to za niewłaściwe, jak również nie podobają mi się jeszcze dwa inne zwroty w tekście. Projekt, nie podpisany przeze mnie, wysłałem do Ozolinša, sam zaś napisałem do Karnebeeka, proponując poprawki.

12 października, rok 1938, środa

Zdaje się, że zwariował asystent naszego Wydziału Prawniczego Olgierd Penkaitis. Jest to syn zmarłego już przed kilku laty sędziego Sądu Okręgowego w Kownie Penkaitisa, zarazem literata, zresztą podrzędnego. Młody Olgierd Penkaitis ukończył studia prawnicze na naszym uniwersytecie mniej więcej przed laty 12. Studentem był zdolnym i pracowitym, cichym, trochę nudnym. Potem był na jakiejś posadzie w Kłajpedzie, następnie sekretarzem w zarządzie miejskim Kowna. Słychać było, że nie zaniedbuje studiów naukowych, do których ma upodobanie szczególne. Przed laty mniej

więcej sziesięciu, gdy Towarzystwo Prawnicze Litewskie, któremu w tym czasie Ministerstwo Sprawiedliwości udzielało na ten cel funduszów, ogłaszało konkursy na prace naukowe prawnicze, Penkaitis uzyskał premium za pracę o hipotece. W konkursie na ten temat oprócz niego uczestniczył śp. Mačys, profesor procedury cywilnej. Praca konkursowa Mačysa została przez jury zabrakowana, nagrodzona zaś została praca jego ucznia, młodego Penkaitisa. Zwrócił on przez to na siebie uwagę i gdy nasz wydział zaczął energicznie dobierać nowe siły dla przygotowania nowych kadrów przyszłej profesury – Olgierd Penkaitis był jednym z pierwszych, którego zaangażowano i przyjęto w charakterze asystenta. Rychło wszakże się w nim rozczarowano. Żaden z profesorów, do których był przydzielany, nie był z niego zadowolony. Mruk, nieużyty, zawsze czegoś niezadowolony, zamknięty w sobie, zarozumiały, niechętny – zrażał wszystkich, do nikogo się nie umiał dopasować, z nikim nie był w stanie współpracować i stał się balastem w wydziale. Wtedy się też dowiedziano, że takimże balastem był i w Kłajpedzie i na służbie samorządowej w Kownie i że zewsząd chętnie się go pozbywano. Przed paru laty zlecono mu wykładanie historii filozofii prawa i specjalnego kursu o hipotece, ale on pretendował wciąż do czynnego udziału na katedrze prawa cywilnego, której profesura nie chciała go. Napisał dysertację doktorską, zabrakowaną przez Szołkowskiego i Pietkiewicza, poprawiał ją, przedstawiał ponownie, ale sprawa jego doktoryzacji się nie posuwała, bo wciąż były jakieś braki i w ogóle traktowano go jako nieudatnego. Na tym tle neurastenik Penkaitis zaczął posądzać członków wydziału o chęć prześladowania go. Zazdrościł tym asystentom, którzy doktorat zdobywali, gdy on sam wciąż się ruszyć naprzód nie mógł. Zanosił skargi do Ministerstwa Oświaty, skarżył się i mnie. Robił to zawsze z miną tajemniczą, gadał szeptem, przygnębiony i trawiony niepokojem i gniewem. Rozwinęła się w nim mania prześladowcza. Zaczął wyobrażać sobie, że wszyscy i wszystko spiskuje przeciwko niemu i że nikomu o nic więcej nie chodzi, jak o szkodzenie jemu. W ostatnich czasach zaczął już i w domu posądzać żonę i matkę, że też należą do spisku przeciwko niemu, że go śledzą, aby mu szkodzić, że służą w policji tajnej i szpiegują go. Izolował się w domu zupełnie od rodziny własnej, zamykał się w swoim pokoju, wyobrażał, że cały dom dokoła otoczony jest agentami wywiadu i policji, zwróconymi przeciwko niemu. Wreszcie przed tygodniem zniknął. Okazało się, że mając paszport zagraniczny, wprawdzie bez wizy, uciekł za granicę do Niemiec. Niemcy go jednak w Eytkunach zatrzymali, ponieważ na paszporcie nie miał wizy i chcieli go odstawić nazad do Wierzbołowa, ale on podniósł alarm, twierdząc, że z chwilą przekroczenia granicy z powrotem do Litwy czeka go kula. Siedzi on teraz w Eytkunach pod aresztem. Niemcy go widocznie badają. Zresztą dokładnie nie wiadomo, w jakim celu go trzymają. Żona jego zwracała się do Wacława Biržiški. Jutro zastanowimy się, co przedsięwziąć.

13 października, rok 1938, czwartek

Sprawa Litewskiego Towarzystwa Naukowego w Wilnie porusza umysły i uczucia Litwinów. Represje wojewody wileńskiego p. Bociańskiego w jego systematycznej akcji litwinożerczej nie oszczędziły i tej instytucji, która w opinii i sercu całego narodu litewskiego ma charakter świątyni. Towarzystwo to, twór Basanowicza z roku 1907, odegrało dużą rolę w organizowaniu się sił naukowych litewskich przed Wielką Wojną i zdobyło autorytet powszechnej instytucji narodowej. W tradycji narodowej litewskiej Towarzystwo Naukowe w Wilnie – to jedno z najdroższych i najświętszych dzieł Basanowicza. Zamknięcie tego towarzystwa przez władze administracyjne wileńskie jako konsekwencja całego szeregu aktów represji, likwidujących całe szkolnictwo i całą akcję społeczno i kulturalno-organizacyjną litewską w Wileńszczyźnie – to był cios najsilniejszy i najbardziej drażniący Litwinów nie tylko w Wilnie, ale na ogół w całej Litwie. Jaki był cel tego ciosu – trudno zaiste pojąć. Niewątpliwie jest to najskuteczniejsza woda na młyn nastrojów antypolskich w całym społeczeństwie litewskim. Nikt się z tego bardziej cieszyć nie może, jak wszyscy ci, którym chodzi o jątrzenie stosunków polsko-litewskich i przeszkadzanie już nie tylko zbliżeniu Litwy z Polską po nawiązaniu stosunków formalnych, ale nawet jakiejkolwiek normalizacji poprawnej społecznych stosunków polsko-litewskich. *Cui bono* się to robi w Polsce? Może to ma jakiś cel agresji, którą się powoli i starannie przygotowuje... Chociaż zdawałoby się, że o to Polsce nie chodzi,

ale kto może co wiedzieć o tym w czasach dzisiejszych, kiedy panują metody faktów, starannie z góry z premedytacją inscenizowanych aż do ich logicznego skutku. I co pomogą gorące nastroje filolitewskie, zaprawione tak uczuciem serdecznym, jak nawet entuzjazmem, które się uwydatniły w Polsce bezpośrednio po dramatycznym nawiązaniu stosunków formalnych w marcu rb., kiedy jednocześnie drugą ręką prowadzi się w Wileńszczyźnie systematyczną akcję eksterminacyjną przeciwko Litwinom i drażni się ich ciosem w najbardziej drogie i bolesne dla nich uczucia i tradycje! A potem się mówi, ze Litwini marnują okazje do pojednania się i zdobycia czegoś w kontakcie z Polską, nie umiejąc wykorzystać przychylnych dla nich emocjonalnych czynników w Polsce...

Zamknięcie Litewskiego Towarzystwa Naukowego w Wilnie poruszyło całe społeczeństwo litewskie. Poruszył się naturalnie i uniwersytet – nie tylko młodzież, ale także profesura, bo Towarzystwo Naukowe z natury rzeczy jest mu bliskie i było bliskie zawsze. A gdy chodzi o cios nauce, to i uniwersytet, będąc apolityczny, ma prawo głosu. O tym jutro.

14 października, rok 1938, piątek

Jeszcze na początku marca, to znaczy przed dramatycznym nawiązaniem stosunków dyplomatycznych między Litwą i Polską, na posiedzeniu senatu akademickiego naszego podniesiona została kwestia zamknięcia w Wilnie Litewskiego Towarzystwa Naukowego. Senat wyłonił komisję, do której weszli trzej patentowani Wilnianie, będący w senacie – dziekani Janulaitis, Michał Biržiška i Zygmunt Žemaitis. Polecono im zebrać ścisły materiał, dotyczący zamknięcia towarzystwa, i zaprojektować odpowiednią odezwę czy też protest, czy memoriał. Komisja się jakoś nie śpieszyła. Dramatyczne nawiązanie stosunków polsko-litewskich, cios ultimatum polskiego i upokorzenie Litwy usunął na razie tę sprawę w cień. Ja też jej nie forsowałem, licząc na to, że może po nawiązaniu stosunków postępowanie władz wileńskich się zmieni i sprawa przestanie być aktualna. Niebawem wszakże zaczęło się wyjaśniać, że choć w Polsce uwydatniły się w społeczeństwie pewne, nawet dosyć jaskrawe, usposobienia filolitewskie, jednak kurs oficjalny akcji administracyjnej antylitewskiej w Wilnie nie uległ żadnej zmianie. W szczególności nic się nie zmieniło w przedmiocie zamknięcia Litewskiego Towarzystwa Naukowego. Ale tymczasem nastały wakacje, ja wyjechałem do Hagi, komisja nic nie zaprojektowała. Gdym wrócił z Hagi – mówiono mi, że Janulaitis i Michał Biržiška chcieliby, żebym projekt odezwy w tej sprawie ułożył ja i że uważają, iż ja to najlepiej wykonać potrafię. Sprawa wypłynęła w senacie na porządek dzienny we wrześniu. Michała Biržiški nie było – leczył się we Francji Południowej. Janulaitis zaproponował, żeby mnie prosić o ułożenie projektu odezwy. Zgodziłem się. Wystudiowałem odpowiednie dokumenty, odpisy rozporządzeń o zamknięciu towarzystwa, skarg zarządu towarzystwa itd. i ułożyłem rodzaj odezwy czy memorialiku od imienia uniwersytetu. Istotnie – motywy urzędowe zamknięcia towarzystwa są bardzo mizerne i nieprzekonywujące. W projekcie moim odseparowałem starannie akcję władz administracyjnych polskich od społeczeństwa polskiego, unikałem wszelkich napaści na Polskę czy Polaków jako takich, owszem – odwoływałem się do uczuć ludzkich polskich i do humanizmu w kulturze polskiej, zakończyłem odwołaniem się do sumienia nauki polskiej i jej instytucji takich, jak Akademia Umiejętności lub uniwersytety... Uwydatniłem sztuczność i ubóstwo urzędowych motywów zamknięcia, wskazałem na barbarzyństwo „retorsji”, które wprawdzie nigdzie nie są w motywach oficjalnych powołane, jednak są powoływane przez *vox populi* w Polsce. Podniosłem okrucieństwo smagania samych uczuć narodowych litewskich, przywiązanych do Wilna, słowem – dałem treść gorącą, ale daleką od tendencji antypolskich, napaści złośliwych i kłótni politycznej. Wczoraj odczytałem ten projekcik Janulaitisowi, Michałowi Biržišce i Žemaitisowi. Podobał im się; może tylko chcieliby nieco skrócić. Biržiška wziął go jeszcze do przejrzenia i ewentualnego poczynienia uwag na rzecz skreślenia, ile się da.

15 października, rok 1938, sobota

Październik dobiegł połowy. Filipek na świat jeszcze nie przyszedł. Jadzia coraz cięższa. Połóg niewątpliwie się zbliża (jest to zresztą „*une vérité de Monsieur de la Palisse*"). Ale może to czekanie jeszcze potrwa. Za dni 11, mianowicie 26 października, upłynie równo dziewięć miesięcy od ostatnich reguł Jadzi. W myśl wywodów prof. Gudowicza, jak mi on na wiosnę pierwszy raz powiedział, połóg musiałby nastąpić w dziewięć miesięcy po ostatnich regułach, dodawszy do tego jeden tydzień, czyli około 3 listopada. Ale podług wymiarów płodu, dokonanych przez skórę z zewnątrz na brzuchu Jadzi przez prof. dr Mažylisa we wrześniu, połóg mógłby być koło połowy października. To znaczy – wchodzimy już w okres krytyczny: między dniem dzisiejszym a 3 listopada trzeba się spodziewać rozwiązania. A więc jesteśmy u mety: teraz czekamy pierwszych bólów porodowych lada dzień. Gdy się te bóle ukażą – Jadzię wnet przewieziemy i zalokujemy do kliniki prof. Mažylisa. Niech Bóg błogosławi spełnieniu tego faktu. Stoimy u mety.

16 października, rok 1938, niedziela

Była dziś po obiedzie u nas na herbacie Mucha Römerówna, córka Piotra. Zgłosiła się do mnie wczoraj do rektoratu, przedstawiła się, bo jej osobiście nie znałem i powołała się na swoją chęć poinformowania się u mnie o rodowodzie Römerów. Zaprosiłem ją na dziś do domu. Jest ona córką Piotra Römera z linii poniewieskiej, zubożałej, mocno oddalonej od naszej linii, wywodzącej się bodaj od brata generała Matiasza Römera, Krzysztofa. Od Matiasza jestem już ósmym pokoleniem (1. Matiasz, 2. Mateusz, 3. Stefan-Jerzy, 4. Stefan-Dominik, 5. Michał, 6. Michał-Stefan, 7. Michał-Kazimierz i 8. ja). Dzieli mię od Matiasza przeszło 200 lat, bo żył on w drugiej połowie wieku XVII. Nie ma więc już właściwie pokrewieństwa między nami a tą linią poniewieską zdrobniałą, do której należy ów Piotr Römer i jego dzieci; ale wspólność nazwiska utrzymuje więź rodową, która w ostatnich dwóch pokoleniach nieco się ożywiła. Tego Piotra Römera, który żyje jeszcze, nie znam, ale zna go Eugeniusz, ja zaś znałem jego brata rodzonego Michała, dziś już nieżyjącego, który przed samą Wielką Wojną był ekonomem (rządcą?) w Antuzowie. Synem tego Michała był Olgierd, który był u nas w Kownie studentem prawa na uniwersytecie i umarł przed paru laty. Piotr ma dwie córki i trzech synów. Jeden z synów, Witold, jest w Polsce sędzią. Dwaj inni są w Litwie. Córka jedna jest zamężna w Polsce, druga zaś, Maria, panna, jest właśnie tą, która mię odwiedziła. Ukończyła ona gimnazjum polskie w Poniewieżu, gdzie ją przezwano Muchą i odtąd to imię przylgło do niej. Mucha Römerowna, panna w wieku lat koło trzydziestki, trudni się zawodem nauczycielki domowej w rodzinach ziemiańskich. W roku przeszłym była na posadzie nauczycielki w Kowaliszkach u Julków Komorowskich. Miała tam dobrą opinię. Grzeczna to i cicha dziewczyna, blondynka, trochę zamyślona. Robi wrażenie niegłupiej, ale dosyć krępującej się i nie ekspansywnej. Dobra jest, zdaje się, biedaczka. Z roztargnieniem słuchała dosyć suchych wywodów genealogicznych moich, jakby to ją mało obchodziło. Nie wiem właściwie, jaki był cel jej wizyty, ale miło mi było ją poznać. Zbudziła sympatię we mnie. Zwierzyła się w toku rozmowy półgębkiem, że jest od dłuższego czasu zaręczona z niejakim p. Kiełpszem, człowiekiem już niemłodym, ziemianinem z powiatu czy kiejdańskiego, czy rosieńskiego, czy taurogowskiego, jednego z licznych tam Kiełpszów (Tallat-Kiełpszów), ale człowiekiem żonatym, który ma wielkie trudności rozwiedzenia się z żoną, odmawiającą rozwodu. Poradziłem jej drogę rozwodu i małżeństwa cywilnego w Rydze za moim przykładem i dałem adres adwokata Berenta, który mnie sprawę załatwił. Tylko że u mnie to było łatwiejsze, bo rozwód miałem i chodziło tylko o ślub. Biedna Mucha Römerówna była jakaś przygnębiona, ale grzeczna i miła. Przy herbacie i Jadzia ją poznała.

17 października, rok 1938, poniedziałek

Ponieważ Jadzia doznaje różnych dolegliwości – to ma jakiś ból w krzyżu, to w brzuchu coś niewyraźnego czuje, to nogi jej brzękną i ręce także, to znów doświadcza bólu w biodrach albo pod kolanami, a ciężko jej leżeć i w nocy sen ma niespokojny, skądinąd zaś, nie mając doświadczenia, nie znamy się na przebiegu ciąży – więc uprosiłem ją, żeby poszła się jeszcze poradzić do doktorki Blindžiutė, specjalistki od akuszerii, jednej z lepszych, u której już Jadzia kilkakrotnie była,

asystentki profesora dr Mažylisa. Blindžiutė obejrzała Jadzię i raz jeszcze stwierdziła, że przebieg jest normalny. Filipek już się zawrócił główką do wyjścia, to znaczy, że się już gotuje do wyjrzenia na świat, już się orientuje w kierunku wyzwolenia z łona matki. Ale co do terminu połogu, Blindžiutė go określić ściśle nie mogła: może to nastąpić w ciągu kilku dni, ale może się jeszcze zaciągnąć na parę tygodni, może nawet na trzy tygodnie. A więc czekamy cierpliwie. Byle się wszystko obyło szczęśliwie.

18 października, rok 1938, wtorek

Spokojny jest tegoroczny semestr jesienny na uniwersytecie. Przynajmniej dotąd. Nie ma żadnych większych komplikacji i wydarzeń. Nie ma też uroczystości, obchodów, jubileuszów, aktów ceremonialnych, nie ma gości niezwykłych akademickich. Niedziele mam swobodne, zarezerwowane dla siebie, bez żadnego programu uroczystości. Nie mam mów do wygłoszenia. Rzadko jakieś jedno małe przemówienie. Mogę się oddać pracy nad wykładami i innymi robotami w domu, które mam zawsze na warsztacie. Mało kogo widuję poza studentami, zwierzchnością akademicką i interesami w rektoracie. Blask reprezentacyjny rektorski mało świeci tego roku. Dobrze mi z tym, choć przez to jestem może zapomniany w wielkim świecie kowieńskim. Ale mi na tym nie zależy.

19 października, rok 1938, środa

Byłem na obiedzie tygodniowym w Klubie Rotary. Referacik bieżący wygłosił prof. dr Kuzma o medycynie ludów romańskich, zresztą dosyć banalny i mało ciekawy. Pod koniec obiadu na salę wszedł gość – poseł litewski w Pradze Turowski, powitany oklaskami jako jeden z założycieli i pierwszych najczynniejszych pracowników klubu kowieńskiego. Turowski przyjechał do Kowna na odbywającą się tu konferencję posłów litewskich z całej Europy. Konferencja ta jest w związku z nowym kształtowaniem się stosunków i układów europejskich po wypadkach ubiegłego miesiąca, zakończonych konferencją monachijską głów czterech mocarstw, kapitulacją Anglii i Francji wobec Hitlera i podziałem Czechosłowacji. Chodzi o głęboką analizę wytycznych dyplomacji litewskiej w obliczu nowych perspektyw międzynarodowych, jakie się wyłaniają. Zrozumiała jest potrzeba gruntownej rewizji dróg dyplomacji. Zdrada Francji wobec sojuszników demokratycznego frontu antyniemieckiego, ujawnienie pasywizmu Anglii w sprawach europejskich, wzrost potęgi Niemiec jako głównego czynnika w Europie, zmaganie się układu wpływów środkowoeuropejskich w kierunku na południowy wschód i na Bałkany, rola Włoch w tym zmaganiu się i wobec zarysowujących się usiłowań Polski do szachowania Niemiec z nowym układzie z Węgrami i Rumunią – cały kompleks zagadnień nowych – to są rzeczy poważne i trudne w tej akrobatycznej sztuce ekwilibrystyki dyplomatycznej. W związku z konferencją dyplomatów litewskich przewidują się ewentualnie zmiany personalne na stanowiskach. Mówi się o ustąpieniu ministra Lozoraitisa, którego miejsce zająłby Balutis, obecny poseł litewski w Londynie i o szeregu translokacji posłów.

Turowski wygłosił nam krótkie przemówienie o swoich wrażeniach z tragicznych przeżyć w Czechosłowacji. Jest on całkowicie sercem stopiony z narodem czeskim i mnie się zdaje, że to mu zasłania widnokrąg, niezbędny dla dyplomaty. Moim zdaniem, należałoby skończyć z nadmiernym idealizowaniem Czechów i Czechosłowacji. Że ich zdradzono, że Francja ich wydała na łup Hitlera – to fakt i fakt brzydki. Ale naród, który, jak powiadają, miał jedną z najlepszych technicznie armii, który dał bez wystrzału rozebrać znaczną część swego państwa i nie próbował walczyć, choćby to było beznadziejne, nie jest rycerski. Czesi postąpili tak jak matka, która nie jest pewna swego dziecka. Upokarzającym przyzwoleniem na zabór całych dzielnic państwa przez Niemców i Polaków potwierdzili oni to, że ich państwo samo było skrojone z różnych łat, sztucznie w dogodnej chwili „przydzielonych" do niego w celach spekulacyjnych, które zawiodły. Zawiodła spekulacja i Czechy to jeno stwierdziły. Żałują zawodu – to pewne, ale ostatecznie nie czują, że im coś z własnego ciała zabrano, toteż gdy zrozumieli, że nie obronią pozycji i nie zwycięża – dali zabrać. To, co z nich zostało – to już tylko słabostka, twór polityczny bez siły, resztka sklecona z trzech, jeszcze nawet niezupełnie pewnych, cząstek – Czech, Słowacji i Rusi Podkarpackiej – twór, moim zdaniem, bez

honoru, chociaż nieszczęśliwy, politycznie – już tylko ekspozytura Niemiec. Dzisiejsza Czechosłowacja – to już tylko pupilek niemiecki. Dziwiłbym się, gdyby Litwa zachowała swe poselstwo w Pradze. Czechosłowacja istniała dotąd jako ekspozytura spekulacyjna Francji, a gdy ta kombinacja zawiodła – stała się ona, zmniejszona, nowym narzędziem spekulacyjnym niemieckim.

20 października, rok 1938, czwartek

Przyjechała Urszula Čepasówna, matka Jadzi. Wykurstała ją z domu do Kowna córka, Stefcia Boreišisowa, która wczoraj przyjechała do niej w gościnę i zastała ją chorą na gardło i ochrypłą. Jadzia zaprowadziła ją do doktora chorób gardlanych, który stwierdził, że miała wrzód w gardle, ale wrzód już pękł. Dziwił się jej cierpliwości, że zniosła cale formowanie się i bolesne narywanie wrzodu nie zwracając się do pomocy lekarskiej. Teraz już jest lepiej.

Matka Jadzi wnosi z wyglądu Jadzi, że połóg nastąpi lada dzień. Zapowiada go na pojutrze, sobotę 22 października. Ale kto to może wiedzieć. Jadzia kwęka, jest bardzo ciężka, ma różne zwyczajne tego stanu dolegliwości, ale wciąż się trzyma. Kryzys jeszcze się nie zapowiedział. Może dotrzyma do 26 października, kiedy upłynie równo dziewięć miesięcy kalendarzowych od dnia ostatnich reguł miesięcznych. Ale może to nastąpić lada dzień.

Rano miałem pierwszy wykład 20-godzinowego kursu prawa konstytucyjnego w Wyższej Szkole Wojskowej. Wykład udał się miernie. Ostatecznie nie wykładałem źle, ale jakoś ciężko, gorzej, niż mi się w tym roku udają wykłady na uniwersytecie.

Wieczorem miałem długie posiedzenie senatu akademickiego, które zajęło przeszło cztery godziny. W toku posiedzenia zgasło światło elektryczne na pół godziny – była to próba alarmu napadu lotniczego. Po ciemku wypadło zawiesić tok posiedzenia.

Na posiedzeniu senatu odczytałem mój projekt odezwy uniwersytetu w sprawie zamknięcia Litewskiego Towarzystwa Naukowego w Wilnie. Jest to ten sam projekt, który przedstawiłem komisji w osobach dziekanów Janulaitisa, Michała Biržiški i Žemaitisa. Wtedy Michał Biržiška wziął go, aby zaprojektować ewentualne skróty, ale zwrócił mi go bez dokonania tychże, bo nic do wykreślenia nie znalazł. Senat zaaprobował projekt. Jednak ogłoszenie tej odezwy będzie zależało od aprobaty rządu. Toteż polecono mi przedstawić go premierowi Mironasowi i ministrowi spraw zagranicznych Lozoraitisowi. Przedstawię go także naszemu ministrowi oświaty, prof. Tonkunasowi.

21 października, rok 1938, piątek

Gdy Jadzia z matką wyszła przed obiadem na miasto – poczuła się bardzo osłabiona i prędko wróciła do domu, obawiając się, żeby ją nie schwyciły pierwsze bóle przedporodowe. Przy obiedzie wyglądała jak w gorączce: wypieki na policzkach, oczy błyszczące... Ale potem to minęło i już wyglądała i czuła się znowu jak zwykle. Dzień więc przeminął i moment krytyczny nie nastąpił. Będziemy czekali nadal.

22 października, rok 1938, sobota

Dziś rano w Ministerstwie Spraw Zagranicznych odbyła się narada w przedmiocie ustalenia zasady prawnej, na której się ma opierać obrona Litwy w sprawie estońsko-litewskiej przed Trybunałem Międzynarodowym w Hadze. W tej sprawie Estonia złożyła już swoją replikę i teraz przychodzi kolej na duplikę litewską, która zamknie procedurę pisemną w procesie. Termin na złożenie dupliki litewskiej wyznaczony na 1 grudnia. Zaraz delegacja litewska, do której poza agentem Litwy prof. Mandelsztamem i dotychchczasowymi współpracownikami jego – Tadeuszem Pietkiewiczem, Dominikiem Kriwickim i Montwiłem – wciągnięci zostali także Konstanty Raczkowski i prof. Antoni Tamošaitis, zabierze się do opracowywania tejże dupliki. Chodzi więc o to, aby się zorientować ostatecznie i kategorycznie co do pozycji obrony. Kwestią kapitalną jest ustalenie zasady prawnej, na której oparte jest przejęcie przez Litwę w roku 1919 kolejki Poniewież-Syłgudyszki (Saldutiškės), do której rości pretensję towarzystwo akcyjne estońskie „Esimene”, twierdzące, że jest ono kontynuacją „Pierwszego Rosyjskiego Towarzystwa Kolejek Podjazdowych”,

do którego ta kolejka należała przed wojną i która miała do niej tytuł w formie koncesji na lat 85, wygasającej dopiero gdzieś koło roku 1980. W dotychczasowym systemie swojej obrony Litwa twierdziła (taką koncepcję wykombinował Tadeusz Pietkiewicz, popierany przez Kriwickiego), że właścicielką kolejki było towarzystwo rosyjskie, to znaczy koncesjonariusz, które mocą dekretów sowieckich o nacjonalizacji przedsiębiorstwa przestał istnieć i gdy rząd nowo powstałego państwa litewskiego w roku 1919 przejął tę kolejkę po Niemczech, to państwo litewskie było już właścicielem kolejki z mocy art. 406 Kodeksu Cywilnego, obowiązującego w Litwie. Artykuł ten bowiem głosi, że dobra nieruchome, które nie należą do nikogo w szczególności (to znaczy, nie mają innego właściciela partykularnego), należą do państwa. Gdy przygotowywano obronę litewską, nie radzono się ze mną. Dopiero w toku rozprawy w Hadze zapoznałem się szczegółowo z tym systemem obrony i zwróciłem prywatnie uwagę delegacji litewskiej na wątpliwości, jakie ten system nasuwa; skądinąd bowiem spostrzegałem, że i sędziowie Trybunału mają co do tego poważne wątpliwości. Jeżeli bowiem kolejka była własnością towarzystwa rosyjskiego, to fakt rozwiązania towarzystwa nie czyni jego dóbr absolutnie bezpańskimi, przechodzącymi na własność państwa w myśl art. 406. Przede wszystkim, zachodzi wtedy zagadnienie likwidacji: do dóbr takich mogą rościć pretensje wierzyciele towarzystwa, którzy muszą być zaspokojeni, poza tym zaś, do czystych aktywów mają prawo ci, którzy mieli udziały w towarzystwie, a więc akcjonariusze. Mechaniczne przejście takich dóbr na własność państwa bez żadnej likwidacji przeczy wszelkim zasadom prawa cywilnego tam, gdzie własność prywatna jest uznawana. Teza więc Pietkiewicza wydaje mi się słaba. Moim zdaniem, konstrukcja praw państwa litewskiego do kolejki tej powinna być inna. Nieruchomość, służąca kolejce, stanowiła od początku własność państwową, koncedowaną na użytek kolejki. Koncesjonariusz, któremu oddane było na lat 85 przedsiębiorstwo odpowiedniego „*service public*", miał zastrzeżoną tylko całkowitą używalność odpowiednich dóbr nieruchomych państwowych, które po wygaśnięciu koncesji wracały do dyspozycji i posiadania właściciela, to znaczy państwa. Skoro towarzystwo, które było koncesjonariuszem, przestało istnieć, państwo z tytułu swej własności objęło kolejkę, nie zaś nabyło dopiero własność. Ale Pietkiewicz ani słuchać tej krytyki nie chciał. Ponowiłem ją jednak w Kownie. Tamošaitis i Raczkowski popierają moją tezę. Latem na naradzie popierał ją też cywilista sędzia Danowski. Dziś na naradzie był zamiast niego prezes Trybunału Ciplijewski, który też się do mojej tezy skłania.

23 października, rok 1938, niedziela

Był dziś rano u mnie poseł litewski w Warszawie, minister Kazimierz Škirpa. Miałem z nim ciekawą rozmowę, o której może opowiem w dzienniku jutro, bo dziś czasu nie mam. Škirpa bawi w Kownie w związku z zakończoną konferencją dyplomatów litewskich na placówkach zagranicznych. Chciałem mu dać do zaopiniowania nasz projekt odezwy uniwersyteckiej w sprawie zamknięcia Litewskiego Towarzystwa Naukowego w Wilnie, ułożony przeze mnie i zaakceptowany przez senat akademicki, ale jeszcze zarezerwowany do porozumienia z rządem. Posłałem więc do niego wczoraj zapytanie, kiedy i gdzie mógłbym się z nim widzieć, on zaś sam przyszedł do mnie.

U Jadzi nic jeszcze nie słychać. Połogu nie widać. Może będzie tak, jak w kwietniu obliczał Gudowicz, że połóg nastąpi koło 3 listopada. Zanadto pośpiesznie kalkulowaliśmy na połowę października, ale tak mniej więcej określał we wrześniu sam Mažylis. Co dzień Jadzia zapowiada mnie wychodzącemu, że gdy wrócę, to już jej nie zastanę, bo będzie w klinice i zawsze nic z tego nie ma. Żartuję, że może w ogóle już połogu nie będzie.

24 października, rok 1938, poniedziałek

Dzień za dniem biegnie, a połogu Jadzi nie widać. Jadzia nocami, a zwłaszcza wieczorem, nie może zasnąć. Jest ciężka, niewygodnie jej leżeć, niepokoi się, czuje ruchy wewnątrz, trochę bólu. W nocy wybijają poty, jest cała mokra. W piersiach jest ciecz gęsta serwatkowa, znamionująca zbliżenie się porodu. Dziś wieczorem czuła się szczególnie niespokojna, między godziną dziesiątą i jedenastą wstała i w szlafroku zaczęła się krzątać, zbierając do walizki rzeczy, które ma zabrać ze sobą do

kliniki, porządkując inne, zamykając składy po szafach. Miała wrażenie, że tej nocy nie przetrwa, że już przed ranem trzeba będzie się do kliniki wynosić. Ano, zobaczymy. Może dzień 26 października będzie dniem krytycznym. Daj Boże, żeby połóg odbył się szczęśliwie. Wprawdzie prof. Gudowicz mówi, że z połogu nigdy kobieta nie umiera, bo to nie choroba, jeno naturalne rozwiązanie ciąży, a więc akt funkcjonalny zdrowia, ustalony przez naturę, wypadki zaś śmierci zdarzają się tylko z przyczyn i okoliczności zewnętrznych, najczęściej od zakażenia na skutek nieumiejętnych zabiegów różnych akuszerek i babek, czego Jadzia, rodząca w klinice, uniknie, to jednak w każdym razie trochę się niepokoję. Boże, błogosław Jadzię.

Napiszę o mojej rozmowie ze Škirpą wczoraj. Škirpa jest dobrej myśli. W ostatnich czasach szerzą się niepokojące gawędy i pogłoski o tym, że rzekomo, na skutek pewnej rozbieżności między Polską a Niemcami w przedmiocie polsko-węgierskiego żądania wspólnej granicy polsko-węgierskiej przez przydział do Węgier ewentualnie Słowacji, a przynajmniej Rusi Podkarpackiej ze spadku po rozbieranej Czechosłowacji, czemu Niemcy nie sprzyjają, między Polską a Niemcami stanęła jakaś zmowa co do Litwy przez rzekomy ewentualny jej podział taki, który by Niemcom oddał Kłajpedę, Polsce zaś – resztę Litwy na zasadach autonomicznych. Te pogłoski o charakterze defetystycznym zapowiadają rychłe posypanie się na Litwę ultimatów niemieckich i polskich. Škirpa uważa to za bajki i sądzi, że pogłoski te pochodzą ze źródeł sowieckich, usiłujących utrzymywać nastroje nerwowe i ferment niepokoju. W prasie zagranicznej też są pewne napomknienia na ten temat, skądinąd zaś w prasie niemieckiej są zaprzeczenia. Škirpa twierdzi, że sytuacja Litwy jest mocna i że na ogół jest ona mocniejsza, niż kiedykolwiek. W szczególności powiada, że w opinii polskiej Litwa ogromnie się wzmocniła. O ile w latach 1919-1920 uważano w Polsce Litwę za efemerydę, za twór okolicznościowy i niezdolny do życia, o tyle teraz nikt tego poglądu nie podziela i Litwę się uważa jako czynnik zupełnie realny i życiowy na północnym wschodzie, którego skasować niepodobna i który zdał egzamin z umiejętności życia, rządzenia się i postępu gospodarczego i społecznego. O jakiejś aneksji Litwy nie ma mowy. Jeżeli katastrofa spotkała Czechosłowację, to dlatego, że sklecenie tego państwa z niemieckiej prowincji sudeckiej i z utożsamiania Słowaków z Czechami oraz przydziału Rusi Podkarpackiej było sztuczne i że utrzymanie Niemców sudeckich w łonie Czechosłowacji nie odpowiadało żadnemu czynnikowi realnemu, o którego utrzymanie mogłyby walczyć jakieś siły żywe. Inaczej jest z Litwą. W Polsce, jak twierdzi Škirpa, jest zupełne uznanie dla istnienia państwowego Litwy, a aneksja byłaby nawet niepopularna – nie z miłości dla Litwy, ale ze świadomości, że nie leżałoby to w interesie państwa polskiego i że byłoby awanturnictwem, nie liczącym się z czynnikami realnymi. Zdaniem Širpy, przesunięcie wielkich zagadnień międzynarodowych na południowy wschód europejski w kierunku polsko-węgiersko-rumuńsko-słowackim, co się stało nie bez udziału świadomego i rozmyślnego Polski, odciążyło północny wschód europejski, który w tej chwili jest na uboczu od wielkich zagadnień międzynarodowych. Ta połać Europy Wschodniej, w której jest Litwa, jest na razie zneutralizowana i bierna, kryta przez korytarz pomorski Polski, świadomie zresztą przez odpowiednią linię, polityki międzynarodowej polskiej neutralizowana, albowiem wszelka aktywizacja międzynarodowa tych terenów Europy osłabiałaby i kwestionowała najżywotniejsze interesy Polska. Polska nie chce umiędzynaradawiać zagadnień na tym terenie. W szczególności co do Francji i Anglii, to Škirpa, w myśl widocznie poglądów konferencji dyplomatów litewskich i wbrew popularnej opinii, uważa, że kapitulacja państwa wobec Niemiec w sprawie czechosłowackiej nie oznacza ich bankructwa jako czynników międzynarodowych, bo kapitulacja w sprawie beznadziejnej nie jest dowodem braku siły w sprawie żywotnej.

25 października, rok 1938, wtorek

Rano mieliśmy znowu naradę w sprawie metod obrony litewskiej w sprawie z Estonią w Trybunale Międzynarodowym. Zebranie miało miejsce w lokalu Rady Stanu. Obecni byli ci sami: ja, prezes Trybunału Ciplijewski, prof. Tadeusz Pietkiewicz, prof. Antoni Tamošaitis, Dominik Kriwicki, Konstanty Raczkowski i Montwił. Właściwie nie tyle chodzi o to, czy art. 406 Kodeksu

Cywilnego jest właściwie powoływany w obronie litewskiej jako tytuł objęcia przez Litwę kolejki w posiadanie i eksploatację państwową, ile o to, żeby obronić tezę, że spór między państwem litewskim a towarzystwem estońskim „Esimene" o tę kolejkę należy do właściwości sądów cywilnych litewskich, a nie do sądownictwa administracyjnego, którego w Litwie nie ma. To jest rzecz kapitalna, bo jeżeli sądy cywilne litewskie są właściwe do rozpoznania tego sporu, w takim razie bez zwrócenia się do tych sądów sprawa nie mogła być przez rząd estoński wytoczona przed forum międzynarodowe. W takim wypadku Litwa mogłaby być międzynarodowo odpowiedzialna li tylko z tytułu „*déni justice*", to znaczy tylko o tyle, o ile dałoby się udowodnić, że sądy litewskie były stronne lub że się dopuściły jakichś specjalnych wykonań jaskrawych na niekorzyść firmy estońskich, takich wykonań, które można uznać za odmowę wymiaru sprawiedliwości. Ponieważ zaś „Esimene" nie zwracała się wcale do sądów litewskich, więc o ile te sądy są właściwe, skarga obecna Estonii w Trybunale Międzynarodowym musiałaby być oddalona. Toteż obecnie Estonia usiłuje dowieść, że spór nie należał do właściwości sądów litewskich, albowiem jest administracyjny prawny, nie zaś cywilny, Litwa zaś usiłuje dowieść, że jest on cywilny. Ale to usiłowane twierdzenie swoje obrona litewska zbyt kategorycznie wiąże z art. 406, którego zastosowanie w tym wypadku budzi wątpliwości. To nawiązanie jest więc zbyteczne i jest niebezpieczne, bo kwestia właściwości sądowej zależy nie od przyjęcia lub odrzucenia tej lub innej tezy obrony, jeno od istoty żądań powodowych. Chodzi więc o udowodnienie, że te żądania są natury cywilnej bez względu na to, czy obrona jest zasadna, czy nie. Na tym się na razie narady wstępne zakończyły. Delegacja litewska zacznie opracowywać duplikę litewską i w toku jej opracowywania wypadnie zapewne jeszcze zwoływać analogiczne narady.

26 października, rok 1938, środa

Minął dzień 26 października, w którym upłynęło równo dziewięć miesięcy kalendarzowych od ostatnich reguł miesięcznych Jadzi (26 stycznia). Wszystkie zapowiedzi i przewidywania, że połóg nastąpi przed tą datą, upadły. Czekamy w dalszym ciągu cierpliwie. Zaczynam sądzić, że miał rację prof. Gudowicz, który mi w końcu kwietnia przy pierwszej mojej z nim o tym rozmowie zapowiedział obliczenie terminu połogu tak: cofnąć trzy miesiące od daty ostatnich reguł (albo, co wypada na to samo, dodać dziewięć miesięcy do tej daty) i do tego dnia dodać jeszcze jeden tydzień. W takim razie, data połogu wypadłaby na 2-3 listopada. Trzeba więc czekać połogu na przyszły tydzień. To dobrze, bo akurat od soboty do środy włącznie będę miał czas zupełnie wolny – bez żadnych wykładów, gdyż w związku z dniem Wszystkich Świętych i dniem Zadusznym zawieszone zostały przez te kilka dni wszelkie wykłady na uniwersytecie. Ale nie jest naturalnie wykluczone, że połóg może zajść i przedtem, bo to już lada dzień. Zresztą stan Jadzi jest normalny. Skarży się po trochę, ma dolegliwości, bo ciąża jest już przeciążeniem, ale ostatecznie nic niezwykłego nie ma. Dziecko będzie dobrze donoszone. To chyba lepsze dla dziecka, niż poród przyśpieszony.

Był na obiedzie Eugeniusz Römer.

Matka Jadzi – Urszula Čepasowa – wciąż bawi w Kownie. Nie wyjeżdża, bo jeszcze nie skończyły się jej wrzody. Wrzód w gardle dawno pękł i zagoił się, ale znalazł się nowy na języku, który dojrzewa. W tych dniach prof. dr Zubkus będzie go kroił. Čepasowa nie czeka na połóg Jadzi, owszem – wyrywa się do odjazdu, ale jeszcze nie można. Cicha to kobieta, delikatna, nie zamącająca nikomu wody.

27 października, rok 1938, czwartek

I znowu minął dzień i ani rusz naprzód u Jadzi. Od ostatnich jej reguł miesięcznych płynąc zaczął już miesiąc kalendarzowy dziesiąty!

Rano miałem drugi wykład na sekcji Sztabu Generalnego Wyższych Kursów Oficerskich imienia Witolda Wielkiego. Tak się nazywa urzędowo ta uczelnia, na razie przed laty ± siedmiu zaimprowizowana dorywczo, z której już wyszły dwie „emisje" wykwalifikowanych specjalistów wojennych i obecnie kończy studia „emisja" trzecia. Teraz ta Sekcja Sztabu Generalnego Kursów

Oficerskich ma być wydzielona w osobną Wyższą Szkołę Wojenną z sekcjami Sztabu Generalnego, intendentury i bodaj naszymi. Odpowiedni projekt ustawy jest w Sejmie. Słuchacze są kompletowani spośród najlepszych oficerów, mających za sobą staż i specjalne kwalifikacje. W ich liczbie są pułkownicy, majorowie, kapitanowie, obecnie zresztą są także porucznicy. Wykład dzisiejszy udał mi się lepiej, niż pierwszy przed tygodniem. W ogóle w tym roku wszystkie wykłady idą mi bardzo dobrze. Lubię je. Ani porównać wykładów moich obecnych do tych, które miewałem w początkach mojej kariery akademickiej przed laty kilkunastu.

Po obiedzie w sali uniwersyteckiej miał miejsce odczyt publiczny profesora Uniwersytetu Genewskiego Charlesa Fourniera na temat wizyt literatów francuskich nad Lemanem. Odczyt był urządzony z ramienia Towarzystwa Litewsko-Szwajcarskiego, którego prezesem jest Wacław Sidzikowski. Odczyt był elegancki. Zagaiłem go ja w imieniu uniwersytetu. Wyraziłem zwłaszcza kilka uwag pochlebnych o Szwajcarii. Naturalnie po francusku.

28 października, rok 1938, piątek

Znowu minął dzień. Nic nie słychać. Jadzia czuje się nawet lepiej, niż przed kilku dniami. Filipek się nie śpieszy.

Andrzej Mieczkowski już od kilku tygodni jest w Kownie. Zdaje się, że pracuje i gotuje się do egzaminów. Szuka też na wszystkie strony zarobku przez przepisywanie na maszynie. Nie wiem dlaczego nie chce korzystać z pomocy materialnej matki i usiłuje tak się urządzić, żeby jej nie potrzebować. Diskin wciąż zapowiadał, że mu da stałą pracę w swoim biurze i zapewni jakieś minimum zarobku w postaci 50-70 litów miesięcznie. Ale gdy przyszło do czego – u Diskina pracy nie ma. Andrzej chciał się przynajmniej stołować u mnie, ale na to się nie zgodziłem, bo mi to jest niewygodne i nawet nieco za kosztowne, bo muszę się liczyć z wydatkami, których mam nad miarę. Dosyć zresztą tego, że mam Stenię i Renię (ta ostatnia jest zaiste zbyteczna i Jadzia z niej pociechy mieć nie będzie) w domu. Gdy się jeszcze znajdzie dziecko, to to przepełnienie domu nie będzie wcale dogodne. Powiększać liczby domowników stałych, choćby tylko na obiady, nie chcę i nie mogę. Zresztą będę wspierać Andrzeja; będę mu dawać po 20 lt. miesięcznie i trochę zarobku na przepisywaniu moich rękopisów i na korekcie mojej drukującej się książki. Raz też na tydzień będzie on u mnie na obiedzie (na zającu od Gudowicza w poniedziałek) i będę mu czasem fundował teatr. Andrzeja panna – Stefcia Lingiówna – zerwała z nim, a może nie zerwała, jeno go zwolniła formalnie od słowa. Andrzej zapowiadał, że to miłość dozgonna. Nie jestem zresztą pewny, czy nie utrzymuje on z nią stosunku, ale formalnie narzeczeństwo jest zerwane. Andrzej biedny jest w usposobieniu minorowym, przynajmniej w mojej obecności. Szkoda mi go, bo go lubię.

29 października, rok 1938, sobota

Nic. Żadnego śladu. Filipek się nie śpieszy wyjrzeć na świat. Dobrze mu tak, jak jest. Będzie widocznie konserwatystą albo leniuchem. Ale będzie solidny.

Dowiaduję się, że stanowisko Francji w sprawie czechosłowackiej, które niewątpliwie zadało bolesny cios jej autorytetowi w opinii ludów Europy Środkowej i Wschodniej, wywołało też odruchy i w naszym Towarzystwie Litewsko-Francuskim, którego formalnie prezesem jestem, ale tylko prezesem firmowym, nie wglądającym w bieg jej czynności i spraw. Załamanie się zaufania do Francji jako czynnika praw i traktatów przeciwko rewizjonizmowi różnych agresywistów, wywołane przez odstąpienie przez nią jej wiernego sojusznika w chwili dlań krytycznej, spowodowało nie tylko zobojętnienie wobec Francji jej byłych sympatyków i odwrócenie się od niej, ale także ostre uczucie oburzenia. Do Towarzystwa Litewsko-Francuskiego napływają protesty i manifestacyjne zgłoszenie wystąpień. Zwłaszcza ostro wystąpił literat patriotyczny spośród epigonów kierunku demoratyczno-ludowego Piotr Rusiecki. Są to zresztą, jak sądzę, li tylko efemerydy przeczulonej wrażliwości, pozbawionej krytycyzmu; ale ten czynnik emocjonalny, choć nie grzeszący mądrością, jest jednak realny w motywach politycznych. Zgadzam się z oceną dyplomatów, że sprawa czechosłowacka po Anschlussie Austrii była sprawą martwą, nie dającą się uzdrowić, toteż trudno winić państwa, które

odmówiły krwią swoją bronić sprawy beznadziejnie nieuleczalnej. Ale bądź co bądź wypadki czechosłowackie i nauka z nich wyciągnęta uzasadniły nowe metody orientacji politycznej zwłaszcza krajów drobnych – orientacji na kontakt z sąsiadami bezpośrednimi, choćby kosztem ustępstw z pewnych zasad i emocji zadawnionych.

30 października, rok 1938, niedziela

Nie wychodziłem z domu. Mam w tym roku ten semestr jesienny spokojniejszy, niż za innych lat. Na uniwersytecie cicho, w Kownie na ogół mniej obchodów i uroczystości, na których niezbędne jest reprezentowanie uniwersytetu. Toteż niedziele tej jesieni mam stale wolne.

Wybierałem się dziś do teatru na „Damę pikową". Chciałem wziąć ze sobą Andrzeja i Zemana. Ale nim upolowałem przez posłańców Zemana i nim się Andrzej zdobył pójść po bilety – już było za późno: biletów nie było. Będzie to na inny raz. Od Zemana dowiedziałem się, że w Kownie bawi Oleńka Hektorowa Komorowska, która przywiozła swą córeczkę sześcioletnią, Jolę, chorą na proces tuberkuliczny w płucach po odrze. Dziecko jest zalokowane w sanatorium prof. dr Tumėnasowej w Poniemuniu; nie ma w płucach na szczęście otwartych ranek tuberkulicznych, ale jest tzw. ognisko tuberkuliczne. Wyleczyć się da, ale następnie trzeba będzie wywieźć dziewczynkę i zalokować ją w górach w Polsce. Jest ona jedyną córką Hektorostwa, toteż zrozumiałe jest zaniepokojenie rodziców. Zeman mówił, że Oleńka wybierała się do nas. A że akurat przyniesiono nam od Gudowicza ćwierć sarniny z polowania dzisiejszego Gudowicza, więc zaprosiliśmy jutro na obiad Zemana i Oleńkę za jego pośrednictwem. A zaproszeni są także Andrzej i Feliks Mackus, bo liczyliśmy na zająca. Będziemy więc mieli akuratny obiad proszony.

31 października, rok 1938, poniedziałek

Październik upłynął. Dziecka nie ma jeszcze. Będzie więc na listopad. Tym razem niechybnie. Nie wiadomo tylko, na kiedy. Według diagnozy kwietniowej Gudowicza, którą potwierdziła w październiku Blindžiutė, połóg ma nastąpić 2-3 listopada, więc w tych dniach. Tak samo na 3 listopada przewidywał połóg Mažylis, gdy Jadzia była u niego po raz ostatni. Mažylis zanotował sobie nawet datę 3 listopada. Zobaczymy. Co do mnie, wolę nawet w listopadzie, niż w październiku, bo dalej od daty ślubu naszego. W listopadzie więc będzie lepiej brzmiało, niż w październiku.

Mieliśmy dziś improwizowany obiad z gośćmi w domu. Sprawiła to sarnina, którą Gudowicz nam wczoraj przysłał i która zaiste była świetna. Na obiedzie była Oleńka Komorowska, Jan Zeman, Andrzej Mieczkowski i Feliks Mackus. Oleńka zbiedzona chorobą córeczki, zalokowanej w klinice czy sanatorium, ale której stan nie jest beznadziejny. Toteż Oleńka trochę się odchwyciła. Ma ona charakter łatwy i żywotność wielką, toteż nic jej ostatecznie nie przygnębia całkowicie i zawsze żywotność górę bierze. Na obiedzie była miła i wesoła. Względem Jadzi była bardzo serdeczna, uściskała się z nią, przychodząc przyniosła pęczek kwiatów żywych. Obiad zeszedł przyjemnie, Oleńka, która ma bardzo dużo kobiecości miękkiej i serdecznej, rozlewnej i tchnącej *quand même* radością życia, daje zawsze nastrój radosny i żywy. Zeman z Mackusem pili smaczną wódkę czarnoporzeczkową i wiśniową, zaprawioną przez Jadzię – jak bele. Wlewali w siebie kieliszek po kieliszku – bez liku. Ale Zeman, który pije jak koń, zachowuje zawsze umysł trzeźwy i dowcip. Mackus był już pod dobrą datą, ale się trzymał. Andrzej jest jakoś bez humoru. Obiad z sarniną był doskonały.

Ten obiad rozerwał Jadzię, która lubi gości w domu.

Wykładów dziś nie ma. Ze względu na jutrzejsze święto Wszystkich Świętych dałem rozporządzenie zawieszenia na uniwersytecie wykładów od soboty do czwartku. Mam więc pełne cztery dni wakacji.

1 listopada, rok 1938, wtorek

Dzień upłynął bez skutku u Jadzi. Czekanie może się pociągnąć długo jeszcze. Jutro i pojutrze – to będą te dnie, na które trzej lekarze w różnym czasie zapowiadali domniemaną datę połogu.

Zresztą Gudowicz, do którego dziś Jadzia zaprowadziła swoją matkę do obejrzenia, powiadał, że może jeszcze i z parę tygodni poczekać na połóg. Ale Gudowicz jej nie opatrywał, bo to nie jego specjalność.

Z matką Jadzi, Urszulą Čepasową, nie jest dobrze. Po wrzodzie w gardle – ten bolesny wrzód na języku. Przed kilku dniami w klinice Zubkusa przecięto jej ten wrzód na języku, ale ulgi nie doznała. Przeciwnie – od wczoraj się pogorszyło: ból większy języka, który spuchł, i ból w uchu. Zresztą Gudowicz, który ją dziś oglądał, mówi, że nic złego nie ma i że rana na języku się goi, a ślady po wrzodzie w gardle już się zacierają. Ale powiada, że należało z tym się zwracać nie do Zubkusa, jeno do chirurga. Čepasowa dużo cierpi, leży ciągle (ubrana) na kanapie w pokoju jadalnym, nie może prawie mówić, jeno bełkota, ale z trudem i nie może jeść; Jadzia ją karmi jajami, kaszkami, zupkami na mleku, ale wczoraj i dziś i tego jeść nie mogła, bo ból jest nieznośny. Wychudła i wygląda jak cień. Niedobrze jest, że siedzi ona tu na opiece Jadzi akurat w czasie zbliżania się połogu Jadzi, która sama jest osłabiona i potrzebuje wielkiego spokoju. Co prawda, biedna Čepasowa jest bardzo delikatna i sama dużo cierpi; nie byłaby nawet przyjechała, tylko jej córka Stefcia Boreišisowa, ją tu wyprawiła – zawsze na kark Jadzi, nie licząc się z jej zdrowiem. Sama Čepasowa wyrywa się do domu, lęka się doktorów i lęka się zwłaszcza operacji, woli w domu cierpieć i choćby umrzeć, niż tu być przedmiotem praktyk lekarskich. Ale nie można jej w tym stanie wypuścić. Sam nie wiem jeszcze, co robić, jeżeli stan jej się nie poprawi. Trzeba oszczędzać Jadzię, toteż chyba zalokuję Čepasową gdzie w klinice, jeżeli nie uwydatni się polepszenie jej stanu. Tylko że ona tyleż się boi kliniki, ile doktorów. Czysta bieda.

2 listopada, rok 1938, środa

Pierwszy Dzień Zaduszny minął. Nie bardzo życzyłem sobie, żeby w tym dniu Jadzia powiła nasze – może tylko pierwsze – dziecko. Ale już teraz będzie najwyższy czas.

Skończyły się moje wakacje czterodniowe. Znowu się trzeba w jarzmo pracy wykładowej i innej wprzęgnąć. Zresztą nie próżnowałem i w tych dniach, ale była to spokojna robota domowa.

Byłem na obiedzie w Rotary-Clubie. Miał być dziś mój referacik o sądzie administracyjnym. Ale że ze względu na Zaduszki niewielu członków przyszło – prezes klubu Karol Żołkowski odroczył mój referacik na przyszłą środę. Zamiast mnie mały referacik o notariacie krajów bałtyckich wygłosił notariusz Berzaitis.

3 listopada, rok 1938, czwartek

I nic jeszcze. Może rzeczywiście to jeszcze potrwa tygodnie. I może już nie warto co dzień powtarzać na próżno, że nic jeszcze nie ma. Uzbroić się w cierpliwość i czekać. Ma się wrażenie, że to już wiecznie tak będzie. Biedna Jadzia chodzi gruba, ciężko jej, sama też wybrzękła, wybrzękłe nogi, wybrzękła nawet twarz, ale Filipkowi się nie śpieszy. Zresztą wygląda Jadzia wcale nieźle jak na swój stan, tylko figura jest zdeformowana... Energii ma dużo, jest wesoła, humor służy, zbytnio się nie przejmuje ewenementem bądź co bądź ciężkim, który ją czeka. Jest spokojna. Daj Boże, żeby się wszystko dobrze odbyło. W rodzinie ogólne jest przekonanie, że ja strasznie chcę syna. Że wolałbym syna – to prawda, ale nie mniej się ucieszę córką. Ale nade wszystko mi zależy na tym, aby się Jadzi nic złego nie stało. Ona, kochana, tak mi jest oddana, tak pełna zaufania, wdzięczności i słodyczy dla mnie, tak mię uzupełnia i tak mi jest potrzebna do życia, a tak niezmiernie cała we mnie zatopiona.

Skończyły się moje wakacyjki kilkodniowe. Miałem dziś rano trzeci wykład w Szkole Wojennej, wieczorem od godziny szóstej posiedzenie senatu akademickiego. Punktów porządku dziennego było względnie niedużo, ale się tak w debatach rozciągnęły, że zaledwie o dziesiątej wróciłem do domu. Zastałem Jadzię w łóżku, ale mi powiedziała, że dopiero co się położyła, bo się wieczorem bardzo źle czuła, miała trochę bólów, niepokój, nie mogła ani usiedzieć, ani leżeć. Żałowała już bardzo i gniewała się na siebie, że nie poszła dziś do prof. Mažylisa dać się obejrzeć, jak ja tego chciałem i że odłożyła to na jutro. Bała się, że to już się zaczną może bóle przedporodowe

i tak się źle czuła, że już była przygotowana iść zaraz do kliniki Mažylisa i powiada, że może by była poszła, gdybym ja był przyszedł do domu wcześniej, gdyż beze mnie opuszczać domu jeszcze nie chciała. Ale gdym wrócił – to już minęło. Czuła się znowu zwyczajnie, położyła się do łóżka i jak zwykle, czytała sobie gazetkę („Lietuvos Žinios"), czekając na mnie. Jadzia przypuszcza, że to może zjadła za dużo, choć jadła przed szóstą i zresztą głównie jadła słodycze. Przypuszczam też, że to była chwilowa niestrawność, bo w tym późnym stanie ciąży (wszak to już miesiąc dziesiąty!) żołądek i wszystkie organy wewnętrzne są bardzo wrażliwe i z pewnością muszą być funkcjonalnie zakłócone.

Źle się dzieje w Kłajpedzie. Czyniąc gest pojednania w kierunku Niemiec, z którymi się teraz bardzo liczyć trzeba, Litwa odwołała stan wojenny w Kłajpedzie. Niemcy kłajpedzcy wzięli z tego asumpt do ruchawki wiecowej i demonstracyjnej o bardzo jaskrawym i prowokacyjnym, wprost wyzywającym charakterze antylitewskim i antypaństwowym. Rozhulała się dusza niemiecka, naśladując metody sudeckie. Sytuacja staje się arcyciężka.

4 listopada, rok 1938, piątek

Połóg Jadźki kochanej już się zbliża istotnie. Poszła ona dziś po obiedzie do prof. dr Mažylisa dać się obejrzeć. Zresztą czuła się dobrze od rana; i humor, i energia dopisywały, jak zwykle. Ja wykładu zwykłego nie miałem, bo na godzinę piątą było wyznaczone posiedzenie publiczne Wydziału Prawniczego, na którym doktorant Dzidas Budrys miał bronić swą dysertację doktorską. Gdym szedł na to posiedzenie, spotkałem na ulicy Jadzię, wracającą w towarzystwie swej matki Urszuli Čepasowej od prof. Mažylisa. Jadzia mi w kilku słowach na ulicy opowiedziała o swej wizycie u Mažylisa. Mažylis znalazł, że okres połogowy już się u Jadzi rozpoczął. Ścianki, przez które ma przejść dziecko, wychodząc na świat Boży, już się rozsunęły i poród może nastąpić może nawet dziś jeszcze, właściwie lada godzina. Mažylis chciał, żeby już Jadzia została i nie wracając do domu zalokowała się w klinice. Ale Jadzia chciała jeszcze wrócić, mnie zobaczyć, rzeczy zabrać, ostatnie rozporządzenia wydać. Mažylis zażądał, aby w każdym razie przed godziną dziesiątą wieczór Jadzia już była w klinice. Mówił (nie wiem, czy prawdziwie, czy tylko dla dodania Jadzi otuchy), że połóg będzie lekki i prędki. Oczywiście – to niedomaganie wczorajszego wieczora, które przypisaliśmy domniemanej niestrawności, to były pierwsze objawy rozpoczynającego się połogu. Po tej rozmowie z Jadzią na ulicy rozeszliśmy się: ona do domu, żeby zakończyć przygotowania do przeniesienia się do kliniki, ja – jeszcze do uniwersytetu, ale już z postanowieniem niebrania udziału w posiedzeniu obrony dysertacji Budrysa. W uniwersytecie załatwiłem, co trzeba (wywiesiłem ogłoszenie do studentów o odroczeniu colloquium na tydzień, usprawiedliwiłem się przed dziekanem z powodu niemożności wzięcia udziału w posiedzeniu), pobiegłem jeszcze do kawiarni „Moniki" kupić cukierków i ulubiony przez Jadzię ananas zacukrzony dla niej i wróciłem do domu. Jadzię zastałem krzątającą się nad układaniem ostatnich rzeczy i wydawaniem ostatnich rozporządzeń Paulince. Jadzia chciała jeszcze doczekać się godziny dziesiątej, bo instynktownie ociągała się z opuszczeniem mieszkania, ale ja nalegałem na przyśpieszenie *exodu*, bo choć byłem wzruszony tym udawaniem się kochanej kobiety i matki naszego dzieciątka do szpitala na mękę porodu i może niebezpieczeństwo osobiste, jednak lękałem się zwlekać. Koło godziny ósmej wyszliśmy we troje – Jadzia pod rękę ze mną i Paulinka, niosąca walizkę w ręku. Klinika prof. Mažylisa jest niedaleko od nas – przy ulicy Putwińskiego, prawie że na rogu Giedymina. Dali Jadzi czysty i dobry pokoik nr 3. Klinika – duża, długi korytarz, a jest jeszcze lokal i na wyższym piętrze. Paulinka niebawem odeszła, ja zostałem jeszcze przy Jadzi. Po pewnym czasie siostrzyczka przyszła prosić Jadzię do kąpieli i toalety odpowiedniej. Pytała, czy zaczekam, czy już pójdę sobie. Miałem iść, ale wyczytałem w oczach wzruszonej Jadźki nieme życzenie, abym jeszcze zaczekał. Zaczekałem. Niebawem wróciła po kąpieli i toalecie i ja pobyłem z nią jeszcze pół godzinki. Cicha i wzruszona, ale kochająca wiernie i dzielna jest biedna Jadziuniczka kochana.

5 listopada, rok 1938, sobota

Zapowiedź prof. dr Mažylisa, że połóg Jadzi dokona się jeszcze wczoraj, nie sprawdziła się. Nie tylko wczorajszy wieczór i noc minęła bez kryzysu, ale i dzień dzisiejszy minął, a nic jeszcze nie ma. Odwiedzałem dziś Jadzię trzykrotnie – rano o godz. dzidewiątej, po obiedzie między godz. czwartą a piątą i potem jeszcze koło ósmej wieczorem. Szczególnie rano szedłem pod wielkim wrażeniem, albowiem myślałem, że może w nocy coś się urodziło. Zastałem Jadzię w łóżku leżącą, ale bez zmiany. Tęskni do domu, choć w klinice jest dobrze: służba doskonała, opieka lekarska bardzo staranna. Ale nic. Żadnych kategorycznych oznak połogu nie ma. Zresztą prof. Mažylis mówi, że proces połogu już się rozpoczął i że płód (Filipek) już się orientuje ku ujściu, a organy odpowiednie już się szykują do wykonania swej funkcji. Ale moment krytyczny nie nadchodzi. Wyrwanie z atmosfery domowej, cisza kliniki, brak zajęć powszednich, w których się skupiała energia Jadzi, świadomość zbliżania się połogu, oczekiwanie czegoś niezwykłego i bolesnego, mimowolne poczucie niebezpieczeństwa, tęsknota – wszystko to denerwuje Jadzię. Zwłaszcza rano, po nocy, nerwy są rozklekotane. Zobaczyła rano przez okno okna mojego gabinetu rektorskiego w uniwersytecie i płakała. Kilkakrotnie też miała łzy w oczach i popłakała z rozrzewnienia podczas moich odwiedzin rannych. Między godziną jedenastą a południem i o godzinie czwartej odwiedzały ją też jej matka Urszula Čepasowa z Paulinką. W czasie mojej drugiej wizyty dowiedziałem się od Jadzi, że koło pół do pierwszej po południu był fałszywy alarm: Jadzia poczuła się słabo, siostrzyczki zaprowadziły ją do pokoju połogowego, tam ją położono na łożu właściwym, bardzo niewygodnym, pokrytym ceratą pod prześcieradłem, pod boki podłożono poduszki, dokoła zgromadziły się służące i siostrzyczki z doktorką Blindžiutią na czele; niewygodnie było leżeć, przerażająco też działały na wrażenie najprzeróżniejsze instrumenty, rozłożone na stołach dokoła; przeleżała tak Jadzia parę godzin, ale niczego się nie doczekano i wróciła do swojego pokoju. Bardzo często siostry, doktorka Blindžiutė, która jest szwagierką i asystentką prof. Mažylisa i wreszcie sam profesor – odwiedzają Jadzię, badają uderzenie pulsu płodu i puls Jadzi. Temperaturę ma Jadzia normalną, puls dobry, puls płodu też zupełnie prawidłowy. Dopóki wszystko normalne – nic się sztucznie nie forsuje. Dopiero gdyby się ukazały objawy nienormalne, zaczęto by myśleć o ewentualnym wybraniu sztucznym dziecka z łona matki w drodze operacji. Tymczasem na to się nie zanosi, ale nie zanosi się też jeszcze na paroksyzm porodu. Jadzia na ogół jest jednak osłabiona, często wybijają na ciało poty, nogi ma bardzo wybrzękłe, wybrzękła też twarzyczka, brzuch twardy i ogromna. Dwukrotnie wypłynęła z niej woda, mniej więcej na pół szklanki. Filipek się nie śpieszy. Dobrze mu widocznie tam, gdzie jest. Zakwaterował się na dobre i nie chce się wynosić. Ale przyjdzie kreska na Matyska.

Dzień był dżdżysty i brzydki, bardzo jesienny.

6 listopada, rok 1938, niedziela

Minął jeszcze dzień jeden. Jadzia dziecka jeszcze nie urodziła. Niecierpliwi się ona, dziwi, nerwuje, chciałaby, żeby się to już prędzej skończyło, uważa, jak gdyby nam przez to jakiś zawód robiła, zapowiada ciągle, że to już zaraz się to już stanie, wciąż się jej zdaje, że coś nowego czuje, czego dotąd nie doświadczała, ale tymczasem nic nie ma. Odwiedzałem ją dziś znowu trzykrotnie – rano, zaraz po obiedzie i wieczorem. Temperatura normalna, gorączki nie ma, puls dobry u matki i u płodu. Właściwie nic niezwykłego nie ma i nic nie brakuje, tylko rozwiązanie nie przychodzi. Nie pozostaje nic, jak czekać. Prof. Mažylis zastanawiał się już nad tym, czy nie trzeba coś zarządzić na przyśpieszenie porodu, ale Blindžiutė odradza. Pogoda była dziś śliczna. Jadźka pomimo to rano była znerwowana, płakała. Ale już za drugiej i trzeciej wizyty mojej była pogodna i rozjaśniona chwilami. Poruszony bardzo jestem i ja. Chciałbym też, żeby już ten moment krytyczny przeminął.

7 listopada, rok 1938, poniedziałek

Minął i ten dzień jeszcze. U Jadzi nic jeszcze nie ma. Wszystkie terminy, na które poprzednio liczyliśmy, przeszły. Dziś był ewentualny termin ostatni – równo dziewięć miesięcy kalendarzowych od dnia poczęcia płodu, to znaczy od dnia samego aktu – 7 lutego o godzinie czwartej po południu. Wszystkie więc terminy do ostatniego włącznie mamy za sobą. Teraz już terminu nie mamy żadnego.

Czekamy na ślepo: kiedy nastanie ten dzień, który wreszcie uwolni Jadzię. Już mię nie tyle obchodzi dziecko, ile ona sama. Pierwszy raz rodzi, nie ma doświadczenia. Ale za to opieka w klinice jest doskonała. Opieka lekarska prof. Mažylisa i jego doskonałej asystentki doktorki Blindžiutė i opieka dozoru siostrzyczek. Nie może się Jadzia nadziwić staranności lekarzy – profesora i asystentki. I we dnie po kilka razy, i w nocy prof. Mažylis zachodzi, zagląda, opatruje, bada, a Blindžiutė jest prawie stale. I oto przecie nie o jedną chorą chodzi, bo jest ich koło 30 – większość to położnice, ale są i chore dla różnych operacji. Ruch więc jest nieustanny i zawsze są chore w stanie krytycznym. Jest to więc praca lekarska jak w kołowrocie. A przecie Mažylis ma jeszcze wykłady, egzaminuje studentów, jest dyrektorem kliniki ginekologicznej Czerwonego Krzyża... Piekielna praca. Zachodzę co dzień po trzy razy do Jadzi. Jej matka z Paulinką zachodzą po dwa razy dziennie.

Jadzia zapowiada wciąż, że urodzi synka i boi się, żeby się nie urodziła córka. Od samego początku ciąży zapowiada syna i czepia się wszystkich prognostyków na rzecz syna. Czasami wątpi jednak. Wkłada całą ambicję w to, żeby był syn. W duszyczce swej ma z pewnością uczucie, że urodzenie syna nie tylko dogodzi mnie, o co jej bardzo chodzi, ale także umocni jej własne stanowisko w rodzinie mojej i wobec rodziny głębiej uzasadni nasze małżeństwo. Wszystko w tej kochanej oddanej mi kobiecie działa w kierunku większego powiązania się ze mną. Większego oddania się i dążenia do męża, niż u Jadzi, chyba być nie może. Więcej jej o syna chodzi, niż mnie. Choć wolałbym syna, ale cieszyłbym się bardzo i z córki i byłbym zadowolony zupełnie. Jeżeli mi szczególniej teraz o syna chodzi, to bardziej ze względu na Jadzię, niż na mnie. Gdyby Jadzia miała pewność, że ten Filipek w jej łonie, który się tak ociąga z wyjrzeniem na świat Boży, jest synkiem, a nie córeczką, to znośniejsze by się jej stały wszystkie cierpienia.

Wieczorem byłem w poselstwie sowieckim na dużym raucie z okazji rocznicy tzw. rewolucji „październikowej" (października starego stylu), z której się zrodziły Sowiety, dokonywujące przebudowy społeczeństwa ludzkiego. Raut był świetny. Widziałem cały wielki świat kowieński, z którym się w tym roku mało stykam i całą dyplomację wszystkich państw.

Napisałbym o sprawach kłajpedzkich, bo jest dużo do powiedzenia o tym, ale nie mogę tego robić, bo jestem zbyt przejęty Jadzią.

8 listopada, rok 1938, wtorek

Jest. Jest córeczka – Kotunia. Nowa obywatelka Ziemi, panna Konstancja Römerówna, córka Michała Römera i Jadwigi z Čepasów Römerowej, przyszła na świat w dniu 8 listopada Roku Pańskiego 1938 koło godziny piątej po południu (godziny siedemnastej). Połóg Jadzi był ciężki. Pomimo bardzo wielkich bólów, podniecanych specjalnymi zastrzykami na rzecz pobudzenia energii porodowych skurczów mięśniowych, Jadzia fizjologicznie bez pomocy mechanicznej porodzić nie była w stanie. Kobieta 33-letnia, jak Jadzia, jest już całkowicie sformowana, ma szkielet bardziej skostniały i mniej giętki, niż młoda dziewczyna. Toteż trudniej jej rodzić po raz pierwszy, niż młodej kilkunastoletniej dziewczynie, której kości są giętkie i rozsuwają się łatwiej, otwierając wrota ujścia dziecku. Filipek nie mógł wyjrzeć na świat Boży ze swojego gniazdka w łonie matki, bo przejście było dlań za ciasne. Toteż wypadło uśpić Jadzię eterem i rozsunąwszy kości oraz pomagając przecięciami wydobyć dziecko z wnętrza szczypcami. Ale żadnej operacji zewnętrznej nie robiono. Córeczka jest zdrowa, dobrze donoszona i rozwinięta, waży 3 ½ kilograma. Pokazano mi ją w półgodziny czy w godzinę po urodzeniu, już spowiniętą i otuloną w kołderkę. Oczki miała otwarte, była cicha. Trudno się jeszcze w rysach takiego maleństwa na pierwszy rzut oka zorientować. Jadzia jest naturalnie po ciężkim połogu i po eterze bardzo osłabiona, ale komplikacji żadnych nie ma. Zachwycony jestem kliniką prof. Mažylisa, pomocą lekarską i starannością dozoru siostrzyczek. Oczywiście, że gdyby połóg ten był np. na wsi, to dziecko byłoby nieżywe, a może i Jadzia by dostała zakażenia krwi lub czegoś podobnego i umarła. Imię Konstancji – Kotuni, które daliśmy dziecku, nie jest ładne, ale dla mnie jest ono drogie, bo to imię mojej Mamy kochanej, po której oby ta jej wnuczka spóźniona odziedziczyła serce wielkie. Żadne z dzieci Mamy nie dało dotąd żadnemu z dzieci swoich imienia Mamy: niechże więc ja to zrobię, niech Mama ma swoją imienniczkę na

świecie przeze mnie, którego Mama nade wszystko i nad wszystkich ukochała. I niech ta dziecina donosi zacnie i pięknie imię swej babki, urodzonej w roku 1850, co najmniej do roku 2000, do wieku XXI, prolongując tę pamięć babki przez 150 lat pośród żywych.

Ciężki był ten dzień nie tylko dla Jadzi, ale i dla mnie. Tylko że dla niej był on straszny, a dla mnie był moralnie poruszający i pełny ciężkiego niepokoju, trochę koszmarowy. Dziś już nie będę pisał o tym, bo czasu i energii nie mam, ale jutro dam relację przebiegu dnia dzisiejszego.

9 listopada, rok 1938, środa

Postaram się opisać przebieg tego dnia wczorajszego, który mi pozostał w pamięci i wrażeniach jak zły koszmar, choć dziś już się to wszystko zmieniło i dzień jest pogodny i radosny w usposobieniu moim i Jadzi i słoneczny w naturze. Dzień wczorajszy i w naturze był brzydki, z wiatrem jesiennym i słotą, ciemny i mglisty, jak dramatyczny i bolesny był w sercu moim, choć był on dniem narodzenia córeczki naszej. Rozpoczynam więc relację. To, co pisać będę – to wczoraj, nie dziś.

Rano, jak co dzień, odkąd Jadzia się zalokowała w klinice prywatnej ginekologicznej prof. dr Mažylisa, poszedłem ją odwiedzać biedaczkę. Zastałem ją w szlafroku snującą się jak cień po pokoju, to przysiadającą na krzesełko, to znów powstającą, by uczynić kilka kroków w kierunku poręczy łóżka i przystanąć trzymając się za poręcz. Zbiedzona była, płacząca, twarz miała wybrzękłą, figurę karykaturalną z wydętym brzuchem w ostatnim dniu ciąży, która już liczy dziesiąty miesiąc podług wszelkiej rachuby. Skarżyła się na bóle, powtarzające się z krótkimi przerwami, podczas których może siedzieć, ale zaraz się zrywać musi, bo tylko na stojąco ból jest jakkolwiek znośny. Niewyspana była, bo przez całą noc od godziny jedenastej wieczorem była na nogach. Leżeć w łóżku nie mogła wcale. Posiedziałem przy niej; i mnie się na płacz zbierało, patrząc na jej mękę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że połóg już się zbliża, który przyniesie rozwiązanie, ale który też kryje w sobie nie tylko wielkie bóle, ale także ewentualne niespodzianki groźne. Siostrzyczka czuwała nad nią noc całą i zastałem ją przy niej, gdym przyszedł. Smutno z nią chwilkę tej wizyty mojej spędziliśmy. Wyszedłem z ciężkim sercem. Naturalnie że zapewniłem Jadzię, iż nie pójdę wieczorem na obiad proszony w całej paradzie fraku z orderami do posła szwedzkiego Westringa, na który zaproszony byłem z okazji przyjazdu gości ze Szwecji, dyrektora Banku Szwedzkiego p. Hildebranda, przyjaciela krajów bałtyckich. Zaraz też po powrocie do domu zawiadomiłem p. Westringa, że nie będę mógł wziąć udziału w obiedzie. Niebawem po moim powrocie udała się zwykłą wizytą do Jadzi jej matka z poczciwą Paulinką, przejętą i przerażoną sensacją tragedii porodowej. Wróciły mówiąc, że Jadzię zabrano już przy nich do sali położowej. Poszedłem do uniwersytetu na moje zwykłe zajęcia rektorskie, pracowałem automatycznie, panując nad sobą i tłumiąc niepokój, przyjmowałem interesantów, konferowałem, podpisywałem papiery bieżące... Wróciłem do domu, nie pamiętam, co jadłem na obiad. Wybierałem się po obiedzie koło godziny czwartej znów iść do Jadzi. Wykład wieczorny mój był już zawczasu odwołany. Wtem zawiadomiono mię, że przez telefon do Mašiotasów wzywają mię z kliniki, bym zaraz przyszedł. Nie pamiętam, jak szedłem, nie widziałem ulicy, zatopiony w męce niepokoju o Jadzię i współczuciu dla niej. W klinice na dole spotkała mię p. profesorowa Mažylisowa i zaprosiła do mieszkania prywatnego profesora, bym tam poczekał. Mówiła, że nie wie, po co mię wezwano, bo zdaje się nic złego nie ma, profesor jej niedawno mówił, że wszystko idzie normalnie w procesie połogu Jadzi. Profesorowa mię zostawiła, a sama poszła do kliniki, by się dowiedzieć, co słychać. Po krótkim czasie przyszła z kliniki siostrzyczka, wzywając mnie. Pojechałem liftem na górę. Wskazano mi pokój Jadzi. Wszedłem i ku zdumieniu memu ujrzałem Jadzię we własnej osobie stojącą na nogach w tymże, co rano szlafroku. Zbolała wyglądała, zmęczona i cicha, ale trzymała się o własnych siłach, a przy niej stała siostrzyczka. Oczywiście połóg nie był skończony. Dosyć apatycznie mi powiedziała, że bóle miała straszne, że jest ostatecznie wyczerpana, że dziecko dotąd się nie urodziło, że trzeba będzie zabrać się do wybierania go szczypcami i spytała, czy się na to zgodzę, bo nie chce się decydować bez mojej wiedzy i zgody, ale to potrzebne, bo już puls dziecka słabnie. Stropiony,

niewiele rozumiejący, całowałem i uściskałem biedaczkę i oczywiście zgadzałem się na to, co trzeba. Przejęta i poruszająca się jak automat, poszła znowu z siostrzyczką do fatalnej sali. Siostrzyczka mi kazała zaczekać na profesora, który zaraz przyjdzie. Niebawem przyszedł. Powiedział mi uspakajająco, żebym się nie nerwował i nie poruszał, że nic nadzwyczajnego nie ma, że zupełnie niepotrzebnie Jadzia żądała wezwania mnie, bo operacja wybierania dziecka szczypcami nie jest wcale groźna i nie stanowi żadnej osobliwości w praktyce akuszeryjnej. Niebezpieczeństwa nie ma. Rzecz się ma tak: zastrzykami podniecano skurcze porodowe, aby sforsować połóg, ale tymczasem organizm Jadzi już się zmęczył i przestał reagować – porodu nie ma. Zaraz profesor z całą asystą przygotuje wszystko do operacji mechanicznego wybrania dziecka szczypcami, wtedy jeszcze raz spróbuje zastrzyków podniecających, a jeżeli te nie poskutkują, to już zaraz uśpi Jadzię eterem i zabierze się do szczypiec. Dokończę jutro.

10 listopada, rok 1938, czwartek

Dokończę opisu dnia połogu Jadzi (8 listopada).

„Idę zaraz – powiada prof. Mažylis – umyję i wyszoruję ręce, przygotujemy wszystko, wtedy jeszcze zadam lekarstwa na podniecenie funkcji porodowych pani, a jeżeli to nie poskutkuje, to natychmiast ją uśpimy i dziecko wyjmiemy szczypcami. Rzecz jest bardzo zwyczajna – proszę się nie poruszać, bo nie ma czego. Za parę godzin wszystko będzie skończone i chora będzie już obudzona. Panu rektorowi nie warto tutaj czekać. Za dwie godziny lub za półtora wezwiemy pana rektora telefonicznie". Podziękowałem doktorowi i znacznie uspokojony wróciłem do domu, ale już zdecydowany nie czekać na wezwanie, jeno za godzinę bez wezwania udać się do kliniki. Największą siłę nerwom daje praca, toteż pracowałem w domu jak zawsze. Po godzinie poszedłem. Usiadłem w pokoju Jadzi; był pusty. Niebawem przyszły dwie siostrzyczki czy służące, przyprawiły kółka do łóżka Jadzi i wyprowadziły puste łóżko do pokoju położniczego, aby przełożyć na nie Jadzię po połogu i przywieźć do jej pokoju. Za chwilę przyszedł do mnie Mažylis. Oświadczył, że już po wszystkim, że operacja udała się dobrze, że Jadzia się już budzi i niebawem zostanie przywieziona; dziecko zdrowe, nie uszkodzone, tu dodał: „Labai graži mergaitė"[16]. Z tych trzech słów dowiedziałem się, że urodziła się córeczka, nie syn; pożałowałem chwilkę, że nie syn, ale naturalnie nie dałem tego po sobie poznać i zresztą cieszyłem się z dziecka i z tego, że Jadzi nic nie grozi. Mažylis zaproponował pokazać mi dziecko. Zastrzegłem się, że chyba nie warto, bo takie maleństwo jeszcze nic do oglądania nie przedstawia, ale profesor kazał je przynieść, mówiąc, że już jest ubrana. Jakoż za parę minut siostrzyczka przyniosła jakiś pakiecik szmat, otulony w kołderkę; odchyliła brzeg kołderki i ujrzałem twarzyczkę małej Kotuni, wychylającą się ze szmat; miała oczka otwarte, wyglądała znośnie, zrobiła na mnie wrażenie przyjemne, coś niby z podobieństwa do Janka, brata Jadzi. Zresztą dłużej jej nie obserwowałem. Na tym się nasze „poznanie" skończyło. Odniesiono dziecko do pokoju dziecinnego, gdzie wszystkie noworodki, odpowiednio ponumerowane, są zamagazynowane w klinice, prof. Mažylis wyszedł, a za chwilę drzwi się otworzyły i służące wciągnęły łóżko z leżącą na nim Jadzią. Jadzia była już obudzona, ale słabiutka i ledwie przytomna. Od razu jednak rzuciła na mnie oczami i cały czas była we mnie wpatrzona. Nie odstępowały Jadzi siostrzyczka i doktorka Blindžiutė. Trudno było z Jadzią rozmawiać. Przemówiłem do niej kilka słów, gładziłem, powiedziałem, że Kotuńka jest zdrowa, że ją widziałem. Jak się nazajutrz od Jadzi dowiedziałem – wtedy dopiero ode mnie usłyszała ona, że urodziła córeczkę i nie widziała wtedy jeszcze dziecka. Jadzia prawie nic mówić nie mogła; trochę stękała, parę razy zakaszlała dziko i doznała wymiotów, ale że nic od dłuższego czasu nie jadła, więc tylko ślina wyciekła; za każdym razem, gdy się poruszyła od głośniejszego kaszlu i wymiotów, Blindžiutė podnosiła kołdrę i sprawdzała, czy się coś z bandażów nie zerwało. O jakiejś rozmowie z Jadzią nie mogło być mowy, ale z oczu jej widać było, że jest spokojniejsza i cieszy się, że mnie widzi przy sobie, wdzięczna, że dbam o nią i że się połogiem przejmuję. Wreszcie Blindžiutė mi

[16] „Bardzo ładna dziewczynka".

zaproponowała, żebym już odszedł. Jadzi potrzebny spokój. Pocałowałem Jadzię w zimne usteczka, pocałowałem jej rączkę, ona przycisnęła do ust moją rękę, ja znów ją ucałowałem w rękę i chciałem odejść, ale ona jeszcze raz schwyciła moją rękę i pocałowała. Tak idyllicznie skończył się ten dzień połogu – dzień 8 listopada. W domu oznajmiłem zaciekawionym domownikom – najciekawsza jest Stenia – o narodzeniu się Kotuni. Sam byłem bardzo poruszony, choć już spokojny o Jadzię i rad z dziecka. Długo w nocy zasnąć nie mogłem i budziłem się często.

Wczoraj i dziś atmosfera u Jadzi radykalnie się zmieniła. Jadzia słabiutka jeszcze, rany jej dopiero się goją, cała obandażowana, nie może ani wstawać, ani siedzieć, ale wesoła bardzo, słoneczna, szczęśliwa, lubi widzieć ludzi, marzy ciągle o dziecku, karmi je od wczoraj wieczorem, podczas karmienia przygląda mu się uważnie, obserwuje, bada, studiuje. Dla młodej matki dziecko – to świat cały, to lalka żywa, to kanwa dla marzeń, to źródło poezji głębokiej i zmaterializowana jej miłość do męża. Kochając Kotunię – Jadzia coraz bardziej mnie kocha.

11 listopada, rok 1938, piątek

Córka nasza, Kotunia, ukończyła dziś... trzy dni wieku. Mało ją znam, bo widziałem tylko raz jeden w pół godziny czy w godzinę po urodzeniu. Dziś, wczoraj i pozawczoraj nie oglądałem jej. Choć co dzień bywam u Jadzi – teraz po połogu po dwa razy na dzień, przed połogiem po trzy razy – to jednak nie trafiłem nigdy na porę karmienia, a tylko wtedy siostrzyczka ją do Jadzi przynosi na ucztę. Poza tym, wszystkie „Filipki” – niemowlęta, urodzone w klinice, leżą ponumerowane w pokoju dziecinnym specjalnym. Karmione są wszystkie o jednej porze, w pewnych określonych godzinach. Są one jak doskonały zegarek. Śpią wszystkie cichutko, ale za to gdy nastaje godzina karmienia, wszystkie się budzą i wszystkie zaczynają krzyczeć, a wtedy siostrzyczki roznoszą je po pokojach do matek do piersi. Po nakarmieniu wszystkie są odnoszone do pokoju „Filipków” i zasypiają. Szczęśliwe życie, podobne jeszcze raczej do roślinnego. Ale niebawem porobią się już z nich zwierzątka i ich funkcje psychiczne zaczną się intensywnie rozwijać. W żadnym bodaj wieku człowiek tak szybko i intensywnie się nie rozwija i nie uczy, jak w tym wieku niemowlęcym do roku, kiedy wreszcie nauczy się mówić, chodzić i jeść poza piersią matki. Jeżeli ja mojej Kotuni jeszcze nie poznałem, to za to poznaje ją bardzo starannie Jadzia. Podczas karmienia Jadzia się jej przygląda, obserwuje, studiuje, doczekuje się w niej podobieństw, zatapia się w jej widoku, aby potem zatapiać się w rozmyślaniach o niej, w marzeniu, w pomysłach o sukienkach dla niej, o tym, jak będzie ją uczyła robótek, jak będzie ją kiedyś do gospodarstwa wdrażała, jak ją odda do szkoły baletowej dla dzieci itd. Jadzia jest z natury marzycielka, jak każda osoba, która lubi samotność i która przywykła do samotności, a teraz ma dla tych marzeń swoich kochaną laleczkę, z której wyrosnąć ma motylek ludzki. Jadzia jest szczęśliwa i wesoła: ma mnie, kochającego i kochanego, ma córeczkę malutką, ma dostatek i majątek ziemski na przyszłość. Humor teraz Jadzi dopisuje, rany po połogu się goją, mleka ma dosyć w piersiach, perspektywy przyjemne, w pokoju pełno kwiatów, odwiedzają ją różne przyjazne osoby (ja, jej matka, Paulinka, Stenia, Renia, Marysia Stefanowa Römerowa, pani Franciszkowa Mašiotasowa, Andrzej Mieczkowski, Pauża, Zeman, Mackus, jej koleżanka Bogusia Klimasowa, Anielka Ribikowska, zapowiedział też wizytę prof. Gudowicz z żoną). Komplikacji dotąd, chwała Bogu, nie ma żadnych. Ale może jeszcze z parę tygodni poleżeć w klinice wypadnie.

Ja tym czasem pracuję. Dnie biegną za dniem, kołowrót mojej pracy toczy się i nie staje nigdy. W dniu połogu Jadzi we wtorek zastrajkowałem co do wszelkich prac i obowiązków pozadomowych, z wyjątkiem tylko spraw bieżących w gabinecie rektorskim w ciągu zwykłych godzin między południem a godz. drugą. Opuściłem wykład wieczorny, nie poszedłem na uroczysty obiad proszony we fraku z orderami u posła szwedzkiego Westringa. Ale już we środę byłem na stanowisku. Miałem posiedzenie w rektoracie, potem byłem w Rotary-klubie na obiedzie, gdzie wyznaczony był mój referacik o sądzie administracyjnym. Obiad był bardzo liczny, członkowie klubu prawie w komplecie, sporo gości cudzoziemskich – poseł szwedzki p. Westring, gość szwedzki p. Hildebrand, dyrektor Banku Szwedzkiego, który do Kowna przyjechał na zaproszenie Towarzystwa Litewsko-Szwedzkiego dla wygłoszenia w sali Muzeum Kultury odczytu o podziale Afryki, lektor języka

szwedzkiego na uniwersytecie naszym Sandberg, poseł czechosłowacki p. Skalicky, profesorowie nasi prawa kłajpedzkiego – Niemcy (jeden Szwajcar, drugi Żyd) Baumgarten i Saenger... Wygłosiłem mój referacik z wielką werwą – udał się znakomicie. Następnie tegoż dnia miałem wykład i colloquium na I semestrze sekcji prawniczej i wreszcie posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich z udziałem ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa. Sytuacja bowiem w Kłajpedzie jest trudna, tak trudna, że wobec pewnych żądań, zgłoszonych kategorycznie przez dyrektorium kłajpedzkie, trzeba się cofać z poprzednio zajętych pozycji radykalnych i szukać kompromisów.

12 listopada, rok 1938, sobota

U Jadzi bez zmian. Rany po połogu się goją, proces unormowania się organów i funkcji organizmu po kryzysie połogowym, zdaje się, postępuje dobrze. Bolą ją trochę te ranki, ma jeszcze niektóre inne dolegliwości, ale na ogół komplikacji nie ma. Pokarmu dla dziecka ma w piersiach dostatecznie. Mała jest zdrowa, nic jej nie brakuje. Widziałem ją dziś ssącą pierś matki, bo byłem właśnie w porze karmienia niemowląt w klinice. Na tym więc najważniejszym i najdroższym dla mnie odcinku rodzinnym jest pogoda.

Skądinąd w tych dniach pracuję normalnie. Roboty miałem dużo. We czwartek miałem zwykły mój wykład tygodniowy na kursach oficerskich (w Wyższej Szkole Wojskowej). Następnie tegoż dnia wieczorem wezwany zostałem do Rady Ministrów w charakterze eksperta dla zaopiniowania, czy w myśl konstytucji przysięga prezydenta Rzeczypospolitej nie może się odbyć zaraz po dokonaniu wyborów (wybory prezydenta są wyznaczone na poniedziałek 14 listopada). Kwestia była łatwa do zaopiniowania, bo przepisy konstytucji są pod tym względem wyraźne i kategoryczne, łączące przysięgę z przyjęciem funkcji prezydenta nazajutrz po zakończeniu kadencji poprzedniego prezydenta, co nigdy się zbiec nie może z wyborem nowego prezydenta. Zresztą co do wyborów prezydenta – to żadnej niespodzianki zajść chyba nie może. Wybrany będzie oczywiście nadal Antoni Smetona; w istocie jest to tylko zarejestrowanie faktu, wiadomego z góry. Koła narodowców, w których ręku jest decyzja przy obecnej konstrukcji tych wyborów, nie odważyłyby się zerwać z bądź co bądź szanowanym imieniem Smetony, choć może niektóre ich czynniki wolałyby kogoś innego i choć może dla młodzieży nacjonalistycznej Smetona trochę za dużo tchnie „przeżytkami" ideologicznymi liberalizmu i tolerancji narodowej i politycznej. Powiadają, że koła niemieckie wolałyby Merkysa albo Voldemarasa, ale Merkys na ogół woli czekać w rezerwie i zresztą patentowani narodowcy starej gwardii Smetony boją się go i niezbyt mu ufają, co zaś do Voldemarasa, który po wypuszczeniu go z więzienia bawi w Paryżu, w ogóle nie wiadomo, co z siebie przedstawia i czy coś jeszcze knuje, czy nie. W piątek mieliśmy znów posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich z udziałem prezesa ministrów Mironasa, ministra Lozoraitisa i przedstawiciela gubernatora Kłajpedy Sokołowskiego. O tych sprawach kłajpedzkich, które stały się bardzo poważne, napiszę szczegółowiej i istotniej innym razem. Tu tylko zaznaczę, że na tym posiedzeniu piątkowym postanowiono zaproponować Kłajpedzie oddać niektóre kwestie sporne, podniesione przez dyrektorium (zresztą nie w tych kwestiach polega jądro poważne sytuacji) pod obrady komisji prawników w składzie mieszanym, częściowo wyznaczonym przez rząd centralny (ja i Tadeusz Pietkiewicz, ja bym chciał wciągnąć do tego Danowskiego), częściowo przez dyrektorium Kłajpedy. Wczoraj odbyło się znowu posiedzenie tej komisji konsultantów (Mašalaitis, Urbšys, Pietkiewicz i ja), ale bez ministrów; tylko Sokołowski znowu był obecny. Najgorsze jest to, że w sprawie trudności kłajpedzkich nie ma określonej linii, a nawet nie ma ani w przybliżeniu jakiejś kategorycznej orientacji. Lozoraitis, który już stanowczo za długo siedzi w fotelu ministra spraw zagranicznych, wydaje się w tym, jak i w wielu innych rzeczach, zupełnie pozbawiony busoli i energii, oddający się prądowi jak fatalista wschodni.

13 listopada, rok 1938, niedziela

U Jadzi wszystko dobrze. Przechodzi ona teraz kryzys popołogowy, ale kryzys w kierunku dobrym – ku normalizacji, na zdrowie. Ma dziś lekką gorączkę.

Przed tygodniem mniej więcej w Paryżu młody 17-letni Żyd polski Grynszpan dokonał w poselstwie niemieckim zamachu na życie urzędnika tegoż poselstwa von Ratha. Dokonał zamachu, strzelając z rewolweru. Nie chodziło mu o osobę tego urzędnika, jeno o urzędnika na służbie państwowej niemieckiej, a więc przedstawiciela państwa, które krzywdzi jego rodaków i które skrzywdziło jego rodziców, wydalając ich z Niemiec. Von Rath został raniony i w parę dni umarł. W odpowiedzi na to w całych Niemczech wybuchła nowa fala dzikich ekscesów antysemickich. Upośledzeni i umęczeni Żydzi niemieccy, którzy już od lat żyją w upokarzających warunkach pariasów, poniewieranych oficjalnie i prywatnie, gorzej, jak psy, znowu doznali ciosów. W Berlinie i innych miastach niemieckich podpalono synagogi żydowskie, w niektórych miejscowościach, na przykład w pogranicznych z Litwą Eytkunach, zresztą przemianowanych przez Niemców na „Eytkau" dla zamaskowania litewskiego pochodzenia nazwy, w ohydny i brutalny sposób znieważono synagogę, rozgromiono jej wnętrze, znęcano się nad świątynią Żydów, nabrudzono w niej, umyślnie i demonstracyjnie ją postponowano moczeniem się i kałem. Znieważano też Żydów, gdzie i jak się dało. Gotują się też nowe zarządzenia urzędowe przeciwko Żydom. Martyrologia tego nieszczęśliwego ludu nie ma granic. Wobec losu Żydów w Niemczech pod rządami Hitlera i jego band nacjonalsocjalistycznych słonecznym się wydaje ich los przed wojną w Rosji carskiej, a tzw. „pogromy żydowskie" ówczesne, o które Żydzi tyle gwałtu w Europie czynili, to była tylko niewinna i dobroduszna zabawka dziecinna w porównaniu do tej dzikiej ohydy, w jaką wtrącone jest nieszczęsne żydostwo niemieckie w drugim dziesięcioleciu po Wielkiej Wojnie. Stosunek do Żydów – to najcięższa plama na sumieniu Niemców. Wszystko można wytłumaczyć i darować – i agresję, i zakusy dyktatury światowej, i dochodzenie roszczeń swoich, choćby nawet czasem przesadnych i fantastycznych, bo jednak są one oparte na pewnej koncepcji zasadniczej prawa narodów do dysponowania sobą, można wytłumaczyć i darować, godząc się lub nie godząc, koncepcję totalizmu narodowo-państwowego i koncepcję ustroju *sui generis* kolektywistycznego pod autorytetem cezaro-papistycznym Führera, ale okrucieństwa dzikiego względem Żydów, ich wyjęcia poza nawias społeczności, nie dając im jednocześnie warunków emigracji i zainstalowania się w społeczności osobnej i autonomicznej, ich poniewierki bolesnej, gorszej od poniewierki zwierząt – tego darować i wybaczyć nie można. Dziwnie: naród europejski, zdawałoby się – kulturalny; naród niemiecki, naród, który dał wielkie wartości ludzkie i w nauce, i w literaturze, w technice, w organizacji społecznej, w postępie myśli i sztuki ludzkiej, naród – wielki. I nagle w narodzie tym, w którego łonie rozrastał się przed wojną socjalizm humanistyczny, w którym po wojnie skonsolidował się potężny ruch komunistyczny, wszystko się nagle stopiło w jednym powszechnym kotle nacjonalizmu najdzikszego, z którego wyjrzał ten sam dziki barbarzyńca w swojej doskonałej postaci wczesnego średniowiecza, niczym się nie różniący od swoich braci sprzed przeszło 1000 lat, chyba tylko się różniący umiejętnościami technicznymi. Barbarzyńca dziki i poganin. Taką jest zwłaszcza cała młodzież niemiecka. Pokolenie starcze łamie się i może poniekąd cierpi, ale młodzież jest w swoim barbarzyństwie doskonała. Ten głęboki upadek moralny narodu niemieckiego chyba tym się tłumaczy, że demokracja odsłoniła i wydobyła na powierzchnię głębokie masy niżowe i półinteligencję, w których przez stulecia drzemał i dziś do czynu doszedł barbarzyńca.

14 listopada, rok 1938, poniedziałek

U Jadzi wszystko względnie dobrze. Nie liczę jednak na rychły jej powrót z kliniki do domu. Jest słaba. Wczoraj i dziś miała trochę gorączki. Jest pewna komplikacja z jej żołądkiem. Dotąd od czasu połogu nie miała ani jednego wypróżnienia żołądka. Dawano jej na zwolnienie, wczoraj stosowano enemę, ale nic nie działa. Dziś wieczorem enema ma być ponowiona. Wskutek braku żołądka Jadzia nie ma apetytu. Wszystko inne, zdaje się, dobrze. Ranki się goją. Kotuńka ma się dobrze. Odbyły się dziś wybory prezydenta Rzeczypospolitej. Jak było z góry do przewidzenia (bez pudła – na 100%) – wybrany został znowu prezydent Antoni Smetona. Zgłoszona zresztą została

przez elektorów jedyna jego kandydatura. Nie miał przeto konkurentów i nikt inny nie mógł być wybrany. Ustawa wyborcza jest też taka, że tłumi wszelkie niespodzianki wyborcze. Głosowanie elektorów jest co prawda tajne, ale głosować można tylko na zgłoszonych poprzednio kandydatów, zgłaszanie zaś kandydatów jest jawne, podpisane przez grono elektorów. Aby więc przeszedł ktoś inny – trzeba byłoby, aby się znalazło ustawowo przepisane grono elektorów, którzy by się odważyli jawnie wystawić kandydaturę inną, niż tradycyjna patentowana kandydatura Smetony. Co prawda, prezydent Smetona nie jest człowiekiem tak jaskrawym, aby budził entuzjazm wściekły i ślepy, jak jakiś Mussolini, Hitler, Stalin lub Piłsudski, owszem – są nawet szemrania i ciche krytyki przeciwko niemu nie tylko w obozie opozycji szczątkowej, ale nawet w obozie narodowców, zwłaszcza najradykalniejszych i młodszych, ale jest pewnym sztandarem i tradycją, czymś w rodzaju relikwii czy symbolu świętego, do którego przylgnęło przyzwyczajenie i tradycja. Elektorzy prezydenta, którzy sami pochodzą z wyborów ciał cenzusowych samorządów lokalnych, zdyscyplinowanych przez organizację narodowców, nie są ludźmi, którzy by się odważyli zainicjować coś konkurencyjnego wobec rutyny imienia prezydenta Smetony. Zresztą to, co tu piszę, nie jest bynajmniej wymierzone przeciwko Smetonie. Smetona jest człowiekiem bezwzględnie czystym, uczciwym, światłym, humanistycznym, patriotą kraju i narodu swego gorącym, ale nie pragnącym krzywdy niczyjej, brzydzącym się krzywdą i pragnącym utrzymać i w ideałach narodowych wysokie poziomy sprawiedliwości i humanizmu. W dzisiejszych ewolucjach nacjonalizmu, zaprawionych atawizmem najdzikszego barbarzyństwa i pogańskiej religii ubóstwiania narodu, co jest, niestety, bardzo zaraźliwe w ideologii młodzieży, hołdującej zawsze krańcowe jaskrawości i podatnej na potężne strumienie odnośnych prądów, tryskające z sąsiednich Niemiec, osoba Smetony jest silnym hamulcem i czynnikiem utrzymania piękna i wysokich wartości moralnych i ludzkich w ruchu narodowym litewskim. Cześć temu człowiekowi pięknego serca i czystej myśli! W tym jego wielka wartość. Wartość, która znakomicie równoważy jego skądinąd nieudolność wielkich decyzji politycznych, ujawnioną jaskrawie w kształtowaniu stosunków do Polski przed ultimatum marcowym.

15 listopada, rok 1938, wtorek

Wreszcie, po zastosowaniu różnych środków, Jadzia miała wczoraj wieczorem pierwsze po połogu wypróżnienie żołądka. W nocy to się kilkakrotnie powtórzyło. To jej ulżyło. Jutro Jadzia ma zacząć próbować wstawać trochę. Prof. Mažylis już zapowiada, że może w niedzielę Jadzia będzie mogła opuścić klinikę i wrócić z małą do domu. Dziś nasza mała Kotuńka skończyła pierwszy tydzień życia na tym „padole łez”. Ssąc pierś matki – wzdycha czasem głęboko, jak żeby miała jakieś ciężary w życiu. Daj Boże na całe życie takich tylko trosk i bied, jakie ma teraz!

Przejdę teraz do spraw kłajpedzkich, o których pisałbym w dzienniku zapewne więcej, gdyby nie połóg Jadzi. Źle się tam dzieje i sytuacja jest bardzo ciężka. Niemcy w Kłajpedzie podnieśli głowy i zachowują się wyzywająco. Pozycje zajęli kategorycznie „frejsztatową” i idą całym frontem do ataku, wyłamując przebojem to, o co im chodzi. Trybem przyjętego szablonu nacjonalsocjalistycznego na czele ruchu stanął „Führer” lokalny, analogicznie do Seiss-Inquarta w Austrii i Heinleina w dzielnicy sudeckiej. Tym „Führerem” kłajpedzkim jest, jak tam, człowiek średniej kondycji, skromny weterynarz prowincjonalny. Jest nim p. Neumann, jeden z dwóch głównych oskarżonych, skazanych w głośnym procesie tzw. „Sowogu” sprzed paru lat, sądzonym przez Sąd Wojenny. Wysiedział w więzieniu, ucierpiał za sprawę, resztę kary mu darowano w drodze łaski prezydenta, a choć był pozbawiony praw, władze kłajpedzkie zwróciły mu stanowisko na służbie krajowej, nie licząc się z wyrokiem. Ruchawka rozpoczęła się od nocy z dnia 31 października na dzień 1 listopada. Dotąd był w Kłajpedzie, jak gdzie indziej w kraju, stan wojenny. Ze względu na zbliżające się wybory do sejmiku kłajpedzkiego i w ogóle przez względy ugodowe wobec Niemiec, których potęga po głośnej konferencji monachijskiej i oskubaniu Czechosłowacji wzrosła ogromnie i zmusiła wszystkie państwa i państewka Europy Środkowej i Wschodniej do bezpośredniego liczenia się z nimi, rząd litewski zrobił kojący gest i zapowiedział od dwunastej w nocy 31 października

odwołanie stanu wojennego w Kłajpedzie. Zamiast ukojenia dało to wynik wręcz przeciwny – zaognienie. Tejże nocy sformowały się w Kłajpedzie wielkie manifestacyjne pochody niemieckie ze sztandarami krajowymi, przemówieniami demonstracyjnymi i wiecami, które w ciągu dni dziesięciu „wybuchały" w jednym miasteczku po drugim. Transporty demonstrującej młodzieży były przewożone automobilami ciężarowymi z jednej miejscowości do innej dla stylizacji jednolitej tych demonstracji. Po drodze wybijano szyby w szkołach litewskich, śpiewano prowokacyjne pieśni, tworzono nastrój terroru i rozzuchwalenia. Organ ruchu, kłajpedzki „Memeler Dampfboot", wypisywał tyrady na rzecz usamodzielnienia Kłajpedy, jej wolnego stanowienia o sobie, święcił wolność zdobytą, podkreślając, za cofnięcie stanu wojennego żadna bynajmniej wdzięczność nie należy się Litwie, która była do tego zmuszona, jeno wdzięczność się należy Niemcom i ich wielkiemu wodzowi, który nie zapomina o Kłajpedzie niemieckiej. Doktryna „Freisztatu" głoszona jest i sławiona na wszystkie tony. Dyrektorium kłajpedzkie z Baldžiusem na czele stało się po prostu pionkiem i manekinem ruchu. Robi to, co mu dyktuje Neumann i organy ruchu. Uciec się do represji, do wznowienia stanu wojennego – niepodobna, bo za tym ruchem stoją Niemcy, z którymi Litwa żartować dziś nie może. Sytuacja jest bardzo trudna.

16 listopada, rok 1938, środa

Niedobre jest tylko to, że u Jadzi okazuje się mało mleka. Jednorazowo z piersi Jadzi mała Kotunia wysysa po 40, po 60, najwyżej po 70, czasem tylko po 30 gramów mleka, potrzebuje zaś znacznie więcej. Dokarmiana – wypija i po 130 gramów naraz. Trzeba więc ją dokarmiać z buteleczki z sysułką. Ten pokarm dodatkowy przyrządzają w klinice z mleka krowiego z dodatkiem kleiku z ryżu i może z dodatkiem cukru. Ale nie zastąpi to całkowicie naturalnego mleka matki. W klinice radzono już Jadzi nająć do dokarmiania dziecka przychodzącą mamkę. Klinika ma nawet właściwe kandydatki. Ale Jadzia za nic tego nie chce. Brzydzi się po prostu na myśl, żeby jej dziecko było dokarmiane przez inną kobietę. Lęka się chorób, wpływu psychicznego przez mleko mamki... Kwestia mleka trapi Jadzię. Ha, są kłopoty, jak zawsze. Może po jakimś czasie, gdy Jadzia wróci do domu i już się wzmocni, gdy apetyt się znajdzie i jeść będzie obficiej, może wtedy i mleka przybędzie.

Miałem już listy, winszujące mi córki – od Kotuni Pruszanowskiej, od Karola O'Rourke, który wybiera się do Litwy, od Elwiry Mieczkowskiej, od Hektora Komorowskiego. Najserdeczniejszy od kochanej Kotuńki. Bardzo serdeczny też od Hektora. Kotuńka Pruszanowska sama się proponuje na matkę chrzestną. Ale z tym chrztem – to jest sprawa delikatna. Ze względu na rodzinę rad bym ochrzcił Kotunię po katolicku. Ale kto wie, czy to się da zrobić wobec tego, że małżeństwo nasze z Jadzią jest cywilne, nie uznawane przez Kościół katolicki, toteż nie wiadomo, czy w metryce katolickiej będzie mogło być wpisane ślubne pochodzenie dziecka. Na kwalifikację zaś przeciwną oczywiście się nie zgodzę i wtedy byłbym zmuszony chrzcić córkę obrządkiem kalwińskim. Osobiście nic przeciwko temu nie mam, ale w rodzinie mojej byłby gwałt, którego wolałbym uniknąć ze względu zwłaszcza na Jadzię.

Byłem na obiedzie w Rotary-klubie. Wieczorem miałem wykład i colloquium.

17 listopada, rok 1938, czwartek

Zapomniałem wczoraj nadmienić, że wczoraj Jadzia po raz pierwszy po połogu wstała z łóżka. Przeszła się sześć razy po pokoju i znów się położyła. Nie zmęczyło jej to. Stan jej jest dobry. Jest nadzieja, że już w sobotę będzie mogła wrócić z kliniki do domu. Ale może tylko chodzić, stać lub leżeć. Siedzieć jeszcze nie może.

Byłem o godzinie piątej po południu na herbatce w poselstwie łotewskim z okazji jutrzejszego 20-lecia niepodległości Łotwy, które będzie w Kownie obchodzone uroczyście. Potem miałem posiedzenie senatu akademickiego. Jak co dzień – odwiedzałem dwukrotnie Jadzię w klinice. Rano miałem mój bieżący wykład w Wyższej Szkole Wojennej.

Na dziś dosyć pracy i dziennika.

18 listopada, rok 1938, piątek

U Jadzi wszystko dobrze. Dziewczynka nasza dobrze się ma. Widuję ją teraz często, bo prawie co dzień choć raz trafiam na jej karmienie piersią matki. Choć mleka Jadzia ma niezbyt dużo, ale dziewczynkę dokarmiają i ma się ona dobrze. Zbyt krzykliwa, zdaje się, nie jest. Jadzia gotuje się już do wyjścia jutro wieczorem z kliniki. Cieszy się z tego bardzo. Choć będzie miała z dzieckiem kłopotu dosyć, ale już woli być u siebie w domu i mieć dziecko na własnym staraniu. Słodkie to są kłopoty dla matki. Jadzia dziś poprosiła o rachunek z kliniki. Cały rachunek wynosi 500 litów: dwa tygodnie pobytu w klinice, w tej liczbie 10 dni z dzieckiem, operacja połogu dosyć skomplikowana, doskonała opieka lekarska i dozór staranny siostrzyczek i służby. Uważam, że to nie za drogo.

Dzień dzisiejszy upłynął w Kownie pod znakiem święta 20-lecia niepodległości Łotwy. Osobiście się też z tego powodu napracowałem. O godzinie czwartej po południu stosownie do tradycji – na uniwersytecie był obchód tej niepodległości, urządzony przez szereg organizacji młodzieży akademickiej. W akcie tym wziął udział minister robót publicznych Łotwy Berzinš, poseł łotewski w Kownie Sēja, szereg gości łotewskich z Rygi, wiceminister Giedraitis, burmistrz Merkys, wielu innych przedstawicieli społeczeństwa litewskiego, tłum młodzieży, delegacja korporacji akademickich ze sztandarami. Uroczystość była translowana przez radio. Ja zagaiłem krótko, przemawiał Berzinš, Sēja, przedstawiciele młodzieży. Potem był koncert artystów łotewskich z Rygi, między innymi śpiewaczka pani Rebana, pianista kompozytor Żyliński, jeszcze jedna śpiewaczka, wreszcie wspaniały bas Opery Ryskiej. Na koncercie – entuzjazm szalony młodzieży. Skończyło się o szóstej. Do teatru na przedstawienie galowe nie poszedłem, bo miałem od szóstej do ósmej własny mój wykład dla ekonomistów na uniwersytecie. Choć byłem zmęczony, miałem wykład bardzo dobry. Potem wielki akt uroczysty z koncertem i raut w Karininkų Ramovė. Obecny był prezydent Antoni Smetona, rząd z premierem Mironasem na czele, dygnitarze, władze wojenne, korpus dyplomatyczny, śmietanka towarzyska, liczna publiczność doborowa. Przemawiali: Merkys jako prezes Towarzystwa Litewsko-Łotewskiego, minister łotewski Berzinš, nasz minister spraw wewnętrznych Sylwester Leonas, poseł łotewski Sēja. Wszyscy byli we frakach z orderami lub mundurach paradnych. Potem był koncert tych samych artystów łotewskich, co na koncercie uniwersyteckim. Ale entuzjazm nie był taki, jak tam. Tam była młodzież gorąca, tu towarzystwo powściągliwe i bardziej zblazowane. Na raucie nie pozostałem. Uciekłem do domu, bo mam przecie jutro dzień pracy.

19 listopada, rok 1938, sobota

Dziś wielki ewenement w prywatnym rodzinnym życiu moim: dziś, w jedenastym dniu połogu, Jadzia wróciła do domu z „owocem żywota swojego”.

Rano i po południu odwiedziłem ją jeszcze w klinice, zaszedłem do prof. Mažylisa podziękować mu za dobrą opiekę nad Jadzią, w południe był u Jadzi Mackus, który sfotografował ją i dziecko, w domu pośpieszyłem dokończyć egzaminów studenckich zawczasu i między godziną szóstą a siódmą wieczorem Paulinka z Jadzi matką Urszulą Čepasową udały się do kliniki dla sprowadzenia Jadzi z małą Kotuńką, którą Jadzia nazywa „Kotusieczką“ albo „Kotusieńką“. Ja zostałem w domu, a Stenię z Renią wysłaliśmy na miasto, aby się nie plątały i nie przeszkadzały. Niebawem doczekałem się moich kochanych gości. Na wstępie do mieszkania przeżegnałem Jadzię i córkę i pobłogosławiłem je błogosławieństwem Mamy naszej, tak serdecznie brzmiącym dla mnie zawsze: „*Que Dieu te bénisse et la Sainte Vierge – je te lénis de tout mon coeur*“. Jadzia opuściła klinikę, żegnana serdecznie przez cały personel z prof. Mažylisem i doktorką Blindžiutią na czele. Siostrzyczki odprowadziły Jadzię aż do automobilu. Na schodach w domu czekała ją p. Mašiotasowa stara, która ciekawa była zobaczyć dziecko. Kotuńkę Čepasowa wniosła do domu śpiącą. Złożono ją w pięknie przybranym koszyczku na wysokich nogach, zawczasu dla niej przez Jadzię przygotowanym, ozdobionym baldachimem firankowym; nakryto ją ładną kołderką różową.

Dzieciątko – ciche, zdrowe, mało krzyczy. O godzinie dziesiątej wieczorem Jadzia ją jeszcze nakarmiła piersią i dokarmiła z buteleczki.

Spoczywa w moim pokoju w koszyczku zmaterializowane życzenie noworoczne moje, które wyraziłem w dzienniku na rok 1938. Pragnąłem mieć dziecko, ale nie wierzyłem w to, że je jeszcze mieć będę. Wyraziłem to pobożne życzenie z tęsknotą w sercu i rezygnacją pokorną. A oto słowo stało się ciałem i pokora moja została nagrodzona. W ciałku tej drobnej istoty, która córką jest moją, pulsuje krew pokoleń rodu naszego zmieszana z krwią ziemi litewskiej, uosobioną w Jadzi. Tak się o tej latorośli naszej wyraziła pięknie Ewa Meyerowa w liście, który dziś otrzymałem. Bardzo serdecznie i ładnie napisał mi też z życzeniami dla najmłodszej Römerówny Eugeniusz Römer. Przed paru dniami serdecznie też napisał Hektor Komorowski.

Śpij, Kotuńko mała, spokojnie pod dachem ojca twego. Niech ci życie, które cię czeka, będzie piękne. Żyj radośnie, kochaj ludzi, bądź sprawiedliwa i społeczna, miej serce wielkie i sumienie wrażliwe, bądź kiedyś dobrą żoną i matką, bądź obywatelką gorącą kraju swego, ale też humanistką zawsze. Tego ci ojciec twój życzy i taką cię mieć pragnie.

20 listopada, rok 1938, niedziela

Nasza mała Kotuńka spędziła już pierwszą noc i cały dzień w domu. Ciche jest dziecko, nie krzyczy zanadto, wdrożone do bardzo regularnego karmienia. Krzyczy trochę albo przed karmieniem, albo po karmieniu, ale zasypia prędko i śpi dobrze. Gdy się na Kotuńkę patrzy z góry *en face* – jest wcale ładną dziewczynką; w profilu jest brzydsza. Przez dzień śpi w moim pokoju sypialnym, karmiona jest w pokoju Jadzi, na noc się wynosi z koszyczkiem do gabinetu mojego.

Jadzia jest jeszcze mocno osłabiona; sama nie może ani podnosić dziecka, ani je przewijać. Funkcje niańki spełnia przy dziecku jego babunia, Urszula Čepasowa, matka Jadzi; czyni to bardzo starannie i pieczołowicie, kocha dzieciątko i cieszy się nim. Jej obecność okazała się teraz niezmiernie użyteczna dla Jadzi i dla dziecka. Mleka u Jadzi wciąż bardzo mało. Naraz bywa nie więcej, niż 30 gramów, często – mniej. Sztucznego dodatkowego pokarmu dziecko każdorazowo dostaje po ± 90 gramów. Karmiona jest pięć razy dziennie: o godzinie szóstej rano, o dziesiątej rano, o drugiej po południu, o szóstej po południu i o dziesiątej wieczorem. W nocy koło pół do trzeciej dostaje drobinkę rumianku.

Urodzenie dziecka jeszcze bardziej umocniło Jadzię w rodzinie mojej. Na zawiadomienie o urodzinach wszyscy odpowiadają bardzo serdecznie i gorąco, zwracając się tak do mnie, jak do Jadzi. Bodajże najchłodniej, choć także uprzejmie, odpisała Elwira. Ale teraz nastaje druga kwestia, która zwłaszcza ze strony sióstr moich stanowi kwestię kapitalną: to chrzciny dziecka – założenie jego „wychowania katolickiego". Co do mnie osobiście, to nawet wolałbym raczej ochrzcić dziecko w wyznaniu kalwińskim. Ale dla rodziny, zwłaszcza dla sióstr, byłby to kamień obrazy. Mnie by o to mniej chodziło, ale chodzi o wzgląd na Jadzię. Jej by to za złe brano, mnie zaś chodzi nade wszystko o umocnienie jej stanowiska w rodzinie. Trudność polega na spisaniu metryki katolickiej. Nasz związek małżeński z Jadzią jest cywilny, nie uznawany przez Kościół katolicki. Nie mogę dopuścić do tego, aby nasza mała Kotuńka była zapisana w metryce jako dziecko nieślubne. Chcę się udać do prof. księdza Česnysa poradzić się z nim, czy się nie znajdzie sposób na zręczne obejście tej kwestii w redakcji metryki. Pojechałem dziś w tym celu do Česnysa, ale go nie zastałem.

21 listopada, rok 1938, poniedziałek

W uniwersytecie był u mnie prof. Česnys, który się dowiedział, że wczoraj byłem u niego i nie zastałem go. Wyłuszczyłem mu otwarcie kwestię chrztu katolickiego naszej małej Kotuńki, a raczej kwestię metryki, która by nie negowała kategorycznie mojego małżeństwa z Jadzią, formalnie przez Kościół katolicki nie uznawanego jako cywilnego, gdyż w takim razie nie mógłbym tego chrztu dokonać. Zwróciłem się z tym do Česnysa z całym zaufaniem i szczerością jako do człowieka serca i szczerze życzliwego dla mnie. Nie mógł on dać mi odpowiedzi kategorycznej, ale przyrzekł, że kwestię tę zbada dyskretnie i mię poinformuje. Pragnąłbym, żeby się to dało zrobić.

Jest wszakże nowa ciężka troska w sprawie naszej Kotuńki, która już się nam stała droga nade wszystko. Wspominałem, że Jadzia ma mało mleka. Sprowadziliśmy dziś wieczorem dr Matulewicza, który jest jednym z lepszych specjalistów chorób dziecinnych. Obejrzał szczegółowo Kotuńkę, znalazł, że na ogół jest dzieckiem zdrowym, ale nastraszył nas co do jej pokarmu. Oświadczył kategorycznie, że dziecko, zwłaszcza do trzech miesięcy, musi koniecznie mieć pokarm mleka kobiecego, co najmniej w zakresie połowy całego pokarmu, czego Jadzia dać, przynajmniej dotąd, nie może. Dlatego wypowiedział się za dokarmianiem dziecka piersią mamki. Groził, że w przeciwnym razie, aczkolwiek w rzadkich wypadkach bywa inaczej, albo dziecko będzie się nędznie rozwijało i pozostanie słabowate, a może nawet z defektami, albo może zajść katastrofa. Zapewniał, że twierdzenie o tym, jakoby z mlekiem kobiety dziecku się udzielał charakter mamki, jest przesądem. Nastraszył nas porządnie. Po jego wyjściu czułem się wprost przerażony i chory na nerwy i serce. Gdyby się coś, nie daj Boże, miało stać temu dzieciątku, byłaby to katastrofa moralna dla mnie i dla Jadzi. Kwestia mamki nie jest łatwa. Decydowaliśmy się na to z Jadzią, ale jak znaleźć mamkę, co do której zdrowia nie tylko w chwili obecnej, ale też w toku karmienia mielibyśmy pewność zupełną. I gdzie ją zalokować i jak z nią dawać radę. I trudno, i strach o dziecko. Boże, spraw, aby pokarm się u Jadzi zwiększył i wybaw nasze dziecko od niebezpieczeństwa.

22 listopada, rok 1938, wtorek

Nad wszystkim innym góruje u mnie teraz nasza Kotuńka mała. Nie przypuszczałem, że tak się nią będę przejmował. Gdyby wszystko szło dobrze, gdyby nie było żadnych komplikacji – to bym się nią zapewne tak nie przejmował, ale teraz ten brak mleka u Jadzi, a przeto kwestia pokarmu dla maleństwa – to nasza zmora. Szczególnie, gdy nas ten dr Matulewicz tak nastraszył wczoraj. Dziecina jest zdrowa, ma żołądeczek w porządku, nie krzyczy zbytnio, na ogół jest dzieckiem spokojnym, śmieje się i cieszy radośnie, szczególnie po nakarmieniu, kiedy się ją trochę rozwinie i może ruszać swobodnie rączkami i nóżkami, a patrzy dokoła ciekawie. Niezrównana w troskliwości o dziecko, pełna serca gorącego, usłużna, pomocna Jadzi, niezastąpiona jest kochana Urszula Čepasowa, Jadzi matka. Żadna niańka by nie była tak pomocna i ofiarna z całego serca. To prawdziwe szczęście, że los nam ją tu przysłał i że nie wyjechała dotąd.

Zaczęliśmy się dowiadywać o mamkę, choć nie zdecydowaliśmy się jeszcze ostatecznie na to. Ja zwracałem się w tym celu do doktorki Blindžiutė, która skierowała nas do pewnej siostrzyczki w klinice ginekologicznej Czerwonego Krzyża. Jadzia się do tej siostrzyczki zwróciła. Znajduje się tam jedna kandydatka na mamkę, dziewczyna z Wiliampola; mleka ma bardzo dużo, ale na Jadzię sprawiła wrażenie ujemne; wydała się jej brudna, bardzo nieokrzesana, jak przeciętne dziewczyny z przedmieść spolonizowanych kowieńskich, wobec których nasze dziewczyny litewskie ze wsi są subtelne i pańskie jak królowe. Myśl o tym, że taka dziewczyna karmiłaby piersią jej dziecko, jest nieznośna dla Jadzi. Mogłaby się co prawda znaleźć i jakaś inna, bo w Czerwonym Krzyżu rodzących jest mnóstwo. Ale bardzo też trudna jest kwestia sytuacji takiej mamki dokarmiającej. Wygodniejsza byłaby przychodząca. Ale wtedy jest zawsze obawa o to, że choćby była z góry obejrzana co do zdrowia pod wszelkimi względami, to jednak może prowadzić życie, jakie się jej podoba, może włóczyć się z chłopcami, nabawić się choroby... A jeżeli będzie w domu, to mogą być też kaprysy, trudności rozmaite, zresztą też upilnować trudno, bo przecie będzie wychodziła i skontrolować ją niepodobna, a dowiedzieć się dokładnie z góry, co to za osoba, trudno. Poza tym, brak miejsca w mieszkaniu. Trzeba byłoby Renię i Stenię wynieść z domu, nająć im gdzieś pokój w rodzinie, a wtedy w pokoju jadalnym zalokować mamkę. Mnóstwo trudności i nie wiadomo, co począć i jak byłoby lepiej.

23 listopada, rok 1938, środa

Uspokoiliśmy się dziś trochę co do karmienia Kotuńki. Stwierdzamy, że dzieciątko, pomimo niedużej ilości pokarmu matczynego i dokarmiania sztucznego, ma się zupełnie dobrze i wygląda zdrowo i silnie; mało krzyczy, śpi dobrze, żołądeczek ma zupełnie dobry, a po nakarmieniu, gdy leży

rozpowite, cieszy się rozkosznie, śmieje się, patrzy ciekawie na to, co je otacza. Pociecha i otucha wstąpiła w serce nasze, a dzień pogodny i słoneczny też się przyczynił do rozjaśnienia naszych usposobień. Jadzia, zmęczona dniem wczorajszym, do wieczora leżała w łóżku, wyspała się dobrze i nawet więcej się dziś u niej w piersiach mleka znalazło. Miała jednorazowo po 30, po 40 i nawet po 50 gramów mleka. Po obiedzie poszedłem do Muzeum Wojennego na uroczystość obchodu 20-lecia wojska litewskiego i odsłonięcia w ogródku muzeum dwóch pomniczków – popiersi zmarłych: pierwszego wodza wojennego generała Żukowskiego i twórcy Związku Strzelców Władysława Putwińskiego. Na akcie uroczystym, który się potem odbył z udziałem prezydenta Rzeczypospolitej, nie byłem, bom śpieszył do domu – do mojej Jadzi i Kotuńki. Skorzystałem z okazji uroczystości święta wojskowego, aby odwołać mój wykład na uniwersytecie, bo wybieraliśmy się z Jadzią o godzinie siódmej do Gudowiczów poradzić się ostatecznie z nimi co do decyzji w sprawie mamki dla Kotuni. Prof. dr Gudowicz kategorycznie radzi brać mamkę; powiada, że co najmniej do trzech miesięcy trzeba karmić dziecko mlekiem naturalnym kobiecym. Dziecko będzie się lepiej rozwijało, będzie bardziej odporne na wszelkie choroby. Oczywiście bardzo nam na tym zależy. Nasza Kotuńka kochana jest tak dobrze sformowana, bujna, zdrowa, że szkoda ją w nędzę wpędzać; trzeba za wszelką cenę te wartości utrwalić. Gudowiczowie nas bardzo serdecznie przyjęli, dodali otuchy, natchnęli dobrą myślą. Oto i pani Gudowiczowa, i całe jej liczne rodzeństwo było wykarmione przez mamki. Tak samo Eugeniusz Römer i całe jego rodzeństwo wykarmione było mlekiem mamki. Przekazywanie z mlekiem jakichś cech psychicznych mamki jest wykluczone – to przesąd. Gudowiczowie wskazali nam cały szereg źródeł, skąd należy szukać mamki. Wróciliśmy uspokojeni. Wyśpię się spokojnie po paru nocach niewyspanych. A Kotuńkę naszą zaopatrzymy w pokarm silny. Już i matka Jadzi, a nawet Paulinka nie gorszą się zbytnio perspektywą mamki. Parę dni najbliższych poświęcimy energicznemu szukaniu mamki z tym, żeby to była nie przychodząca, ale stała, zamieszkała u nas i poddana całemu rygorowi czystości i trybu życia. Oprócz kliniki Czerwonego Krzyża, szukać będziemy mamki przez przytułek dla dzieci opuszczonych przez rodziców i przez profesorkę Tumėnasową, kierowniczkę kliniki dziecinnej, która podobno korzysta z mleka, zakupywanego od kobiet dla dzieci chorych.

24 listopada, rok 1938, czwartek

Jest nadzieja, że mamkę dla Kotusieńki naszej, jak ją Jadzia ładnie nazywa, znajdziemy w osobie siostry służącej pp. Mašiotasów, pięknej Wandy, Niemki litewskiej. Jej młoda siostra, dziewczyna spod Pren, zakochała się w jakimś chłopcu i przed trzema miesiącami miała z nim dziecko. Gdyby się ją udało dostać za mamkę – byłoby dogodnie. Jest czysta, miła, porządna, nie latająca. Zna ją Paulinka, która wskutek tego nie gorszyłaby się mamką. Zamieszkałaby w pokoju jadalnym, a Stenia byłaby zalokowana na mój koszt gdzie indziej i do nas by tylko na obiad przychodziła. Uprzedziłem już o tym Stefanową Römerową, która była dziś u nas na obiedzie.

Wieczorem była dziś wezwana do nas profesorka Tumėnasowa, specjalistka chorób dziecinnych. Znalazła Kotuńkę w dobrym stanie, co do mamki nie tak gwałtownie ją zalecała, jak dr Matulewicz lub prof. Gudowicz, obiecała dać adresy, dokąd można się zwrócić w poszukiwaniu mamki, przyrzekła, że może postara się na razie o mleko kobiece dla małej, bo ma kobietę zdatną do tego w szpitalu dziecinnym. U Jadzi zaś mleka dziś było mniej, prawie że katastroficznie mało, tak że Jadzia aż płakała. Ale w ogóle mniej się już tego lękamy. Mamkę zapewne poszukamy, najlepiej byłoby pozyskać siostrę Wandy. Profesorka Tumėnasowa powiada, że mleko mamki, liczącej trzy miesiące od połogu, jest zupełnie odpowiednie dla naszej małej.

Dziś prof. Česnys udzielił mi odpowiedzi w przedmiocie chrztu katolickiego Kotusieńki. Okazuje się, że trudności wcale nie ma. Może być forma metryki albo taka, że się wpiszą oboje rodzice bez żadnej wzmianki o tym, czy są małżonkami czy nie, albo taka, że się wpisze, iż dziecko należy do rodziców, zaślubionych cywilnie. Ta ostatnia forma będzie doskonała. Zadowoli mię zupełnie. Wobec tego decyduję się na chrzest katolicki małej. Nie tylko dlatego, że mała będzie żyła w społeczeństwie katolickim i że jej może być lepiej nie wyróżniać się od niego formalnie, ale

zwłaszcza ze względu na umocnienie stanowiska Jadzi, a także i samego małżeństwa naszego w rodzinie mojej. Wyprawimy piękne chrzciny Kotusieńce. Projektuję je na koniec grudnia, między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Chrzestną matką byłaby Kotuńka Pruszanowska, która sama się już listownie zaprosiła. Skwapliwie z tej jej oferty skorzystam. Szczególnego tytułu nadaje jej tożsamość imienia; poza tym, Kotuńka jest najstarsza w rodzeństwie naszym, w naszych latach dziecinnych była nam wicemamą. Nie wiadomo tylko, czy będzie mogła przyjechać osobiście ze względu na wiek i zdrowie; zwróciłbym jej koszt podróży. Jeżeli osobiście nie przyjedzie – będzie matką chrzestną przez prokuraturę. Na ojca chrzestnego chcemy zaprosić Julka Komorowskiego. Chrzest odbyłby się u karmelitów; obrzędu ku chrztu dokonałby prof. ksiądz kanonik Błażej Česnys. Wszystko by się odbyło w doskonałym trybie i nawet z cała pompą rodzinno-katolicką, jak się na Römerównę i córkę rektorską „należy".

25 listopada, rok 1938, piątek

Dziś u Jadzi znalazło się o wiele więcej mleka, niż dni poprzednich. Ogółem wydała małej 180 gramów mleka przez pięć karmień dziennych. Jeżeli tak nadal będzie, a tym bardziej jeżeli ilość mleka się będzie powiększać, to obejdzie się bez mamki. Wandy (p. Mašiotasowej służącej) siostra, na którą wczoraj jako na mamkę ewentualnie liczyliśmy, nie idzie na mamkę. Jadzia była u p. Mašiotasowej; ta jej nagadała przeciwko braniu mamki i przeciwko wszelkiemu przerzucaniu się od jednego trybu karmienia do innego. Najgorsze to, że każdy radzi co innego, a Jadzia sama nie ma doświadczenia (ja tym mniej), niepokoi się, nie wie, na co się decydować, a drży o swoją Kotusieńkę i przez to jeszcze się mniej decyduje. Natomiast matka Jadzi i służąca Paulinka, zakochane w dziecku, ze zgorszeniem traktują kwestię mamki, z obrzydzeniem spoglądają na mleko kobiece, które dziś zaczęliśmy sprowadzać z Czerwonego Krzyża dla dokarmiania dziecka (po zgotowaniu) i w ogóle są przeciwko wszelkim kombinacjom, nie uznając nic innego, jak mleko matki rodzonej i dodatkowo krowie lub kozie; ale te się na niczym nie znają poza tradycją odwieczną, a wszelkie rady lekarzy uważają za wymysł; mądrością ich jest mądrość ludu, w której streszczone jest doświadczenie wieków (skądinąd nie można tej mądrości lekceważyć – nauka jej często przeczy, ale nieraz się zdarza, że po długich badaniach i studiach nauka dochodzi mozolnie do potwierdzenia tego, czemu poprzednio przeczyła, a co było w tej mądrości tradycyjnej ludu zawarte). Kwestia mamki pozostaje więc jeszcze otwarta. Gwałtownego pośpiechu zresztą nie ma jeszcze.

Był list od Zitki Komorowskiej. Nie wie jeszcze o urodzeniu się naszej Kotusieńki, ale dopytuje się troskliwie i serdecznie. Odpisałem do Elizki, zawiadamiając ją i komunikując wszystkie szczegóły o połogu Jadzi, o dziecku, o projektach chrztu. Z listu Zitki dowiaduję się, ze stan zdrowia Elizki jest zły. Noga, która ją boli bardzo i która jest dotknięta przez jakieś dolegliwości stawowe zadawnione, schnie. Jest jakaś atrofia tej nogi. Elizka prawie że chodzić nie może; przejście każdych 100 metrów wymaga nadzwyczajnego wysiłku i jest połączone z wielkimi bólami. Zachodzi obawa, że Elizka straci władzę w tej nodze. Będzie to ciężka ułomność w starości. I podobno wyleczyć się to już nie daje.

26 listopada, rok 1938, sobota

Kwestia mamki dla naszej Kotusieńki wciąż jeszcze jest w toku. Jadzia nie bardzo ufa swemu mleku i skądinąd czuje większe zaufanie do naturalnego mleka mamki, której zdrowie jest ściśle stwierdzone, niż do mleka kobiecego niewiadomych matek wydajanych, sprowadzanego z kliniki Czerwonego Krzyża i dawanego od wczoraj dziecku po wygotowaniu. Jadzia miała dziś ogółem 125 gramów mleka – to ilość względnie znośna, ale z pięciu razy karmienia dwa razy – rano o szóstej i w południe – nie było ani jednego grama mleka, choć za to przez trzy inne razy mleka było dużo. Na ogół bardziej mleczna jest u Jadzi pierś lewa; pierś prawa jest bardziej jałowa; karmi przepisowo raz jedną piersią, drugi raz – drugą, nigdy z obydwóch naraz. Może jej mleka będzie przybywać w miarę powrotu do zdrowia, ale Jadzia nie czuje się jeszcze pewna tego. W każdym razie, jeżeli nawet będzie mamka, Jadzia nie przestanie karmić też sama. Kotusieńka spała dziś w nocy niespokojnie:

dużo krzyczała, miała żołądeczek wolny, namęczyła swoją babunię poczciwą i mamę; widocznie zmiana pokarmu, zastosowana od wczoraj (dokarmianie mlekiem kobiecym z Czerwonego Krzyża zamiast pokarmu sztucznego, skombinowanego z mleka krowiego z kleikiem ryżowym z cukrem), zaszkodziła jej na razie na żołądeczek. Ale na ogół chora nie jest. We dnie spała dziś nieźle, bawiła się i śmiała, na wieczór i żołądeczek się uregulował. Paulinka oglądała w klinice Czerwonego Krzyża nową kandydatkę na mamkę, którą upatrzyła poczciwa siostrzyczka Łaurynowiczówna: Paulince kandydatka ta się podobała, jest młoda, miła, czysta, bardzo chce tej posady, tylko że chciałaby zachować przy sobie własne dziecko, które by karmiła biedaczka mlekiem sztucznym z „Pieno Lašo Draugijos". Chodziła też Paulinka z Anielką do faktorki służącej i mamek, która ma jutro przyprowadzić kandydatkę. Kwestia jest więc w zawieszeniu.

Kotusieńka nasza zaczęła zajmować dominujące miejsce w moim dzienniku, jak zajęła to miejsce w sercu i domu. Trzeba jednak wracać i do innych rzeczy, którymi żyję i które mają wartość publiczną. Co prawda, sprawy rodzinne znacznie mię odciągnęły w tym semestrze obecnym od życia publicznego; nie zaniedbuję tylko bezpośrednio moich obowiązków rektorskich, wykładów i prac domowych; ale w manifestacjach życia publicznego, które nie należą do moich obowiązków bezpośrednich i są jeno związane z reprezentacją rektorską, udziału prawie że nie biorę.

Z okazji kongresu inżynierów, na którego otwarciu nie byłem (nie byłem również na otwarciu wystawy odpowiedniej i na żadnych uroczystościach i przyjęciach tego kongresu, który uczcił swoją obecnością prezydent Semtona), Wydział Techniczny naszego uniwersytetu zaprosił dwóch profesorów techników z uniwersytetu łotewskiego w Rydze, profesorów Weissa i Rozenauersa, którzy zostali zaproszeni listem rektora w imieniu uniwersytetu. Wobec tego zafundowana im została wczoraj w moim imieniu kolacja, na której zresztą osobiście nie byłem; zastąpili mię obaj prorektorowie, a za to ja dziś poszedłem na wykład jednego z tych profesorów, który zagaiłem serdecznym i ładnym powitaniem ich po francusku. Prof. Weiss mówił o postępach odbudowy i budownictwa Łotwy w ciągu 20 lat niepodległości, ilustrując wykład diagramami i obrazami świetlnymi. Wykład był ciekawy i treściwy, dobrze ułożony, ale było bardzo mało publiczności. Była to wina złej organizacji. Organizatorowie nie postarali się o zwerbowanie studentów na wykład, a godzina jedenasta rano jest niedogodna, bo wtedy w gmachu Wydziału Prawniczego, gdzie mieści się sala odczytowa, nie ma studentów prawników, spośród których można zawsze utworzyć audytorium.

27 listopada, rok 1938, niedziela

Jadzia miała mleka nieco więcej – 180 gramów (jak pozawczoraj). W każdym razie, tendencja już zwyżkowa i katastroficznego upadku mleka, jaki się zaznaczał przed kilku dniami, nie ma. Jest też silniejsza, więc może mleko się jeszcze powiększy. Ale to, co jest, jest jeszcze za mało. Dr Matulewicz wyliczał, ze dziecko powinno, przynajmniej w ciągu trzech pierwszych miesięcy życia, otrzymywać co najmniej połowę naturalnego mleka matki z piersi, to znaczy w wieku naszej Kotuńki co najmniej 300 gramów dziennie.

Do godziny piątej po południu nie wychodziłem dziś z domu. O godzinie piątej poszedłem do Janulaitisa, do którego byłem zaproszony na kawę na rzecz wyjeżdżającego już z Kowna do Bazylei prof. Baumgartena. Baumgarten co roku spędza u nas semestr jesienny, w ciągu którego wykłada prawo karne kłajpedzkie, po czym w początku grudnia wraca do Bazylei, gdzie jest profesorem zwyczajnym etatowym prawa karnego. W przeszłym roku przed jego wyjazdem ja go zaprosiłem do siebie na obiad wraz z jego kolegą prof. Saengerem, ale w tym roku, ze względu na stan Jadzi po połogu i na zaprzątnięcie mieszkania na rzecz naszej Kotusieńki, nie mogłem ich zaprosić. Pożegnał więc Baumgartena kawą u siebie dziekan wydziału Janulaitis. Obecni byli na tym przyjęciu: Janulaitis z żoną, siostra Janulaitisa – p. Alseikowa, ja, Baumgarten, Saenger, lektor języka niemieckiego, sympatyczny Szwajcar Sztuderus i młody sympatyczny asystent na katedrze prawa karnego Jurgutis. Miałem też być dziś zaproszony do prof. Michała Biržiški jako dziekana Wydziału Humanistycznego na obiad czy kolację dla prof. Straubergsa z Rygi, dziekana Wydziału Filologii i Filozofii Uniwersytetu Łotewskiego w Rydze, który przyjechał dla doręczenia jutro dyplomu doktora

honoris causa, udzielonego przez tenże wydział naszemu prof. Krėvė-Mickiewiczowi. Zaproszenia tego jednak nie doczekałem się. Tym lepiej, bo nie jestem wcale amatorem tych przyjęć. Jutro na odpowiedniej uroczystości akademickiej doręczenia tego dyplomu przemówię i to wystarczy. Krėvė-Mickiewicz wart jest tego dyplomu. Jest to wielki talent i człowiek serca, humanista głęboki.

28 listopada, rok 1938, poniedziałek

U Jadzi mleka przybywa. Dziś była ilość rekordowa – 250 gramów.

Na śniadaniu byłem u posła łotewskiego p. Sēji. Śniadanie było na rzecz dziekana Wydziału Filologii i Filozofii Uniwersytetu Łotewskiego w Rydze prof. Straubergsa, który przyjechał dla doręczenia dyplomu doktora *honoris causa* prof. Krėvė-Mickiewiczowi. Na śniadaniu prócz gospodarza byli minister oświaty prof. Tonkunas, ja, dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Michał Biržiška, sekretarz tego wydziału prof. Augustaitis, gość łotewski dziekan prof. Straubergs, p. jubilat prof. Krėvė-Mickiewicz, profesorowie Jonynas i Pakštas i paru członków poselstwa łotewskiego. Prof. Straubergs, podobno wybitny folklorysta łotewski, jest grubas, dobroduszny, lubiący wypić, sprawiający wrażenie sympatyczne. Jako niegdyś uczeń gimnazjalny w Mitawie, ma on tutaj wielu kolegów gimnazjalnych Litwinów i jest kolegą gimnazjalnym Macieja i śp. Bronka Römerów; o nim to mi opowiadał Maciej, że przejeżdżając przez Rygę odszukał swego byłego kolegę sprzed lat 30, obecnie dziekana wydziału. Na śniadaniu tym Krėvė-Mickiewiczowi wypadło spotkać się z ministrem Tonkunasem, na którego się gniewa od czasu, gdy Tonkunas odmówił zatwierdzenia go na stanowisku dziekana wydziału w roku 1937. Była to rzeczywiście krzywda i niesprawiedliwość względem Krėvėgo, która go dotknęła boleśnie i obraziła głęboko; Krėvė nie zapomina tej krzywdy. I zresztą Krėvė-Mickiewicz, który jest potentatem ducha, był dziekanem doskonałym, o wiele lepszym od swego następcy Michała Biržiški. Krėvė jest z gatunku orłów. Wyrządzona mu krzywda nie umniejsza go bynajmniej, bo wielkość jego wpływa z jego wartości, a nie ze stanowiska formalnego, które mu można nadać lub odjąć.

O godzinie czwartej odbyła się na uniwersytecie ceremonia akademicka doręczenia Krėvėmu dyplomu doktorskiego. Stawili się obaj prorektorowie, sekretarz Purėnas, wszyscy dziekani wydziałów, profesura Wydziału Humanistycznego, poseł łotewski Sēja, wiceminister oświaty Masiliunas i bardzo liczna młodzież akademicka. Przemówienie wygłosiłem ja, następnie dziekan prof. Straubergs, który doręczył Krėvėmu dyplom doktorski, odpowiadał krótko Krėvė-Mickiewicz, następnie przemówił student Pauža w imieniu ogółu studentów humanistów, wreszcie zakończył dziekan Michał Biržiška. Młodzież witała Krėvėgo owacyjnie.

Przez radio z Warszawy translowano dziś pierwsze posiedzenie Sejmu nowego. Właściwie ten Sejm, jak wszystkie Sejmy w ustrojach autorytarnych, należałoby nazywać Sejmem w cudzysłowie, bo ordynacje wyborcze są tak misternie kombinowane, że Sejm musi być zawsze wybrany taki, jakiego pragną rządzący: Sejm taki tylko formalnie jest wyłoniony z ludności, w istocie zaś nie wybrany, lecz narzucony ludności przez kombinatorów, dysponujących układem kandydatur. W istocie jest to doskonały falsyfikat woli ludności, potrzebny dla utrzymania pewnej fikcji. Taki twór konstytucyjny może być tylko instytucją epoki przejściowej, kryzysowej, jaką przeżywa obecnie prawo konstytucyjne, które zrywa z konstrukcją demokratyczną, ale jeszcze zachowuje pewne pozory, zanim ostatecznie się zdecyduje na nowe kształty ustrojowe. Na tym pierwszym posiedzeniu Sejmu warszawskiego na marszałka Sejmu wybrany został doskonały grabarz, a raczej mistrz ceremonii pogrzebowych demokracji – Wacław Makowski. Jest to mój dobry znajomy, były PPS-owiec za młodu, a więc socjalista, Wilnianin z pochodzenia, syn znanego księgarza wileńskiego i niegdyś współpracownika Elizy Orzeszkowej, także Wacława Makowskiego. Kiedyś Wacław Makowski był jednym z najbliższych ludzi mojej „Gazety Wileńskiej", czas jakiś nawet był redaktorem „Gazety W.", gdym wyjeżdżał z Wilna do Łunny, i mam jego podobiznę na grupie redakcyjnej gazety. Ale zawsze był z ducha kupczykiem, spekulantem, mającym zmysł kombinacji i węch karierowicza. Nigdy nie był entuzjastą szczerym i ideowcem głębokim. Ale za to doskonałym był deklamatorem. Deklamatorem też, karierowiczem i kombinatorem pozostał. Te cechy zasadnicze

i elementarne ostały się i zwyciężyły wszystko inne w tym człowieku. Jego mowa marszałkowska była doskonałym wzorem deklamacji słów uroczystych w tonie staropolskim, jak z kazań Skargi i z przemówień tragicznych wielkich mężów polskich, stylizowanych przez literaturę późniejszą. Polska się w tym lubuje i tonie w rozkoszy upojeń wielkich słów i gestów tragicznych, wykonywanych z powagą przez błaznów deklamacji *à la* Wacław Makowski. Czego tam nie ma w tej deklamacji. Jest nawet – Bóg!

29 listopada, rok 1938, wtorek

Jadzia coraz bardziej się decyduje nie brać mamki do dziecka. Mleka jej przybywa. Dziś splątała się raz w ważeniu dziecka i przeto nie może ustalić, ile mleka wydała podczas jednego karmienia. Wskutek tego i całej wydajności dziennej obliczyć nie mogła, ale sądząc z czterech innych karmień – mleka musiało być ogółem koło 200 gramów. Wobec tego Jadzia decyduje się na najęcie niańki zwyczajnej. Bez niańki w każdym razie się nie obejdzie. Niańkę doskonale teraz zastępuje matka Jadzi, Urszula Čepasowa, zakochana w swojej wnuczce, cierpliwa, pogodna, ale Čepasowa już w sobotę wyjeżdża. Kotusieńka hoduje się dobrze.

Dziś miałem dzień spokojny: zwyczajny dyżur w rektoracie dla załatwienia bieżących spraw administracyjnych i przyjmowania interesantów, wieczorem wykład prawa konstytucyjnego litewskiego i colloquium, spacerek o południu z Jadzią po mieście, połączony z kupieniem obuwia dla mnie i z czekoladą w kawiarni, poza tym – w domu.

Nawiązuje się zbliżenie polsko-litewskie. Po konferencji przedstawicieli dyplomatycznych litewskich wzmocnił się w polityce litewskiej kierunek jeżeli nie zupełnego oparcia się o Polskę, co mogłoby być niebezpieczne, gdyby Litwa utonęła w objęciach wyłącznych Polski, to w każdym razie balansowanie między Polską a innymi sąsiadami. Rozpoczęły się układy poufne w Warszawie, kontakt z Beckiem, wynurzenie filolitewskie Becka i polonofilskie Lozoraitisa, wznowienie rokowań gospodarczych z Polską w Kownie. Prasa litewska zaczęła poświęcać więcej uwagi Polsce i zbliżeniu z nią, prasa polska znów uderza w ton sympatii i uznania dla Litwy. Inaczej też się zaczyna traktować stanowisko Polski w układzie czynników kryzysu środkowoeuroejskiego. Gdy przed dwoma miesiącami w dramatycznej atmosferze załamania się Czechosłowacji, gdy Polska zagarnęła Zaolzie i wraz z Węgrami wysunęła żądanie wspólnej granicy polsko-węgierskiej przez Słowację lub co najmniej przez Ruś Podkarpacką, opinia litewska gorąco się przejęła sympatiami czeskosłowackiemi i zaogniła się kierunkiem jaskrawym antypolskim, to teraz ochłodła ona bardzo w tych swoich sympatiach czeskich i potępienia Polski. Uwydatnienie się rysów i rozdźwięków w stanowisku i dążeniach Niemiec i Polski na wschodzie (na razie południowym wschodzie) europejskim, perspektywy co do przekształcenia się nowej Czecho-Słowacji w ekspozyturę ekspansji niemieckiej, groźna sytuacja Kłajpedy w perspektywach wzrostu potęgi niemieckiej i gwałtownego rozpanowania się czynników nacjonalsocjalistycznych w Kraju Kłajpedzkim, łącznie z uwydatnianą przez Polskę sympatią i uznaniem dla Litwy – bardzo mocno wpłynęły na nastroje litewskie w stosunku do Polski. Charakterystyczne, że takie zarządzenie władz litewskich, jak zamknięcie Związku Wyzwolenia Wilna, bardzo popularnego w kraju, nie wywołało większych poruszeń w opinii publicznej litewskiej. Natomiast niewątpliwie zarządzenie to będzie stanowiło dużą satysfakcję dla Polski. Należy się chyba spodziewać, że i Polska odpowie na to jakimś co najmniej złagodzeniem zarządzeń antylitewskich w Wileńszczyźnie. Oczywiście nie wszystko jeszcze się wyrównało. Głębokie są jeszcze niechęci, a poniekąd i uprzedzenia antypolskie w umysłach i sercach Litwinów, wypiastowane tak tym faktem historycznym, że Litwa mogła dokonać swego odrodzenia narodowego tylko w opozycji do Polski, gdyż czynnik polski reprezentował stary układ zamierania Litwy i jej wynarodowienia, jak również przez to, że w dobie tworzenia niepodległości Litwy Polska temu systematycznie przeszkadzała, dyskredytowała ją wobec świata, usiłowała ją rozsadzić z wewnątrz, wreszcie przemocą i złamaniem wiary zagarnęła Wilno i gnębiła Litwinów w Wileńszczyźnie, wreszcie sforsowała brutalnie opór bierny Litwy przez ultimatum marcowe i dotąd zresztą nie naprawiła krzywdy zamknięcia Litewskiego Towarzystwa Naukowego w Wilnie.

30 listopada, rok 1938, środa

Mleka znów Jadzia dała przeszło 200 gramów. Wydajność jest zadawalająca, zwłaszcza że ma tendencję zwyżkową. Piersi Jadzi mają niejednostajną wydajność mleka: podczas gdy pierś lewa daje naraz po 60-70 gramów, pierś prawa daje przeciętnie zaledwie po 20-30 gramów mleka naraz. Karmi Jadzia jedną tylko piersią każdorazowo – na przemian lewą i prawą; tak nakazują przepisy karmienia.

Przyszedł list od Heli Römer-Ochenkowskiej z Wilna, bardzo serdecznie winszujący mi córki. Szczególnie mię jednak wzruszył dopisek starej przeszło 80-letniej jej matki – stryjenki Wandy Alfredorej Römerowej – z błogosławieństwem dla naszej Kotusieńki. Stryjenka Alfredowa jest już jedną z ostatnich szczątkowych przedstawicielek najstarszego, przeważnie już wymarłego pokolenia w rodzinie, w każdym razie już ostatnia ze stryjenek naszych. Cieszy więc mię szczególnie jej błogosławieństwo dla mojej małej córeczki – najmłodszej Römerówny.

Byłem na obiedzie w Rotary klubie. Referacik o kurortach litewskich wygłosił członek klubu dr Matulewicz, dyrektor kurortu w Birsztanach (jest to inny dr Matulewicz niż jego imiennik, lekarz dziecięcy, który dogląda zdrowia naszej córeczki). Obiad dziś odbył się w nowym lokalu, mianowicie w lokalu baru restauracji „Metropolu". Urządzenie nie bardzo właściwe dla naszych obiadów, ozdabiają je obrazki w zbyt lekkim stylu – dziewczyny kąpiące nogi w szampanie, dziewczyny konno na butelkach itd.

1 grudnia, rok 1938, czwartek

Miałem wykład w Wyższej Szkole Wojennej – siódmy z kolei (14 godzin wykładowych); pozostają mi tam jeszcze trzy wykłady (6 godzin).

Na śniadanie byłem zaproszony do posła francuskiego p. Dulonga. Zaproszony byłem jako prezes formalny Towarzystwa Litewsko-Francuskiego. Powodem do obiadu tego było udzielenie różnych odznak francuskich gronu osób, prawie wyłącznie pań, które się zasłużyły temu towarzystwu, a przeto i propagandzie kultury francuskiej. Legię Honorową otrzymał tylko adwokat Raulinaitis, długoletni członek zarządu i skarbnik towarzystwa, gorliwie mu oddany i człowiek wartościowy i wykształcony, niegdyś poseł sejmowy i jeden z działaczy obozu chrześcijańskiej demokracji. Różne inne odznaki, jak Palmy Akademii itp., otrzymały panie: Żołkowska, Galaunienė, Raulinaitisowa, Gustainisowa, Szeremietjewska, Naujalisówna. Obecne były te panie, ich mężowie, Urbšysowie, ja, poseł Dulong z żoną i członkowie poselstwa.

Wieczorem – posiedzenie senatu akademickiego.

Odezwa uniwersytetu w sprawie zamknięcia Litewskiego Towarzystwa Naukowego w Wilnie, którą ja w październiku na prośbę senatu akademickiego ułożyłem i którą senat był zaaprobował, zapewne nie ujrzy wcale światła dziennego. Zbliżenie z Polską, układy, radykalna zmiana polityki zagranicznej, zwróconej obecnie do kontaktu z sąsiadami – czynią obecnie niepożądanym wszelkie wystąpienia, które mogłyby drażnić Polskę. Jeżeli już Litwa poszła na zlikwidowanie akcji Związku Wyzwolenia Wilna, to znaczy, że chce unikać wszelkiego jątrzenia. Zresztą byliśmy zdecydowani nie wydawać tej odezwy bez wiedzy i zgody rządu. Ministerium Spraw Zagranicznych wypowiedziało się przeciwko tej odezwie, ale nasi członkowie odpowiedniej komisji spodziewali się, że przekonają premiera Mironasa. Janulaitis i Žemaitis zwracali się do niego; Mironas na razie prosił ich o wstrzymanie się ze względu na rokowania dyplomatyczne z Polską; kazał im zwrócić się za tydzień. Jaką im dał po tygodniu odpowiedź – nie wiem; oni sami pary z ust nie puszczają; zapewne prosił albo o zaniechanie akcji, albo znowu o zwłokę. Jest wiadomość z radia polskiego, że władze polskie udzieliły pozwolenia na coś w rodzaju archiwum czy muzeum etnograficznego, połączonego z jakąś instytucją naukową w Wilnie, któremu mają być przekazane zbiory i majątek zamkniętego Litewskiego Towarzystwa Naukowego. Czy to zadowoli Litwinów – nie wiem. Z pewnością jest to już pewne ustępstwo ze strony polskiej, zrównoważone zresztą znakomicie przez zawieszenie Związku Wyzwolenia Wilna; opinia litewska, a przynajmniej jej część znaczna, tradycyjna i nałogowo niechętna lub co najmniej nieufna względem Polski, z pewnością nie będzie zachwycona

tym kompromisem, ale może rzeczywiście, jak we wszystkim innym, potrzebny jest umiar i kroczenie powolnymi krokami, bo nie od razu Kraków zbudowany. W każdym razie, przynajmniej w moim przekonaniu, Litwie w tej chwili niezbędny jest kontakt życzliwy z Polską, bo jest to w obecnej konstelacji bodaj jedyna droga zabezpieczenia się przed Niemcami i prowokującą agresją żywiołów nacjonalsocjalistycznych niemieckich w Kłajpedzie. Polska dla obrony i utrzymania korytarza pomorskiego nie może tolerować zmiany *status quo* terytorialnego na wschód od tego korytarza i ze względu na swoje aspiracje mocarstwowe nie może dopuścić, żeby jakieś inne państwo gospodarzyło na terenach nad Bałtykiem i decydowało o układzie państwowym tych ziem. Kłajpeda-Pomorze – to oś solidaryzmu polsko-litewskiego, z czego, co prawda, nie wszyscy Litwini i Polacy sprawę sobie zdają, ale co coraz lepiej zdają się rozumieć rządy polski i litewski. I w żadnym też razie Polska (pomimo opinii litewskiej, że nikt tak nie umie wynaradawiać gładko, jak Polacy), nie wynaradawia tak, jak wynaradawiają żelazną ręką bezwzględnie i strasznie Niemcy, zwłaszcza hitlerowskie.

2 grudnia, rok 1938, piątek

Jadzia najęła już do Kotusieńki niańkę. Jest nią niejaka Urszula Lisowska (Lisauskienė), kobieta lat koło 50, choć wyglądająca na znacznie młodszą, przyjemna na wygląd i cicha; musiała być bardzo ładna za młodu. Najęta jest za 40 litów miesięcznie. Pochodzi z powiatu poniewieskiego. Dziś ją obejrzał prof. dr Gudowicz, uznał za zdrową, ale trzeba jeszcze zrobić analizę jej krwi. Matka Jadzi, Urszula Čepasowa, jutro już z Kowna wyjeżdża. Szkoda, bo jej obecność miła była Jadzi, a zwłaszcza była ona bardzo pomocną przy dziecku, lepsza od najlepszej niańki, bo całym sercem oddana dziecku, kochająca, troskliwa, cierpliwa, pogodna; bo też Kotusieńka jest jej wnuczką rodzoną. Żadna niańka jej nie dorówna. Z żalem ją wypuszczamy z domu. Jadzia kupiła jej materiał na palto jako prezent dziękczynny za jej pomoc i serce, choć się tego prezentami nie kupi.

Przed paru dniami Jadzi kupiła wózek dla Kotusieńki; za tydzień zacznie ją po trochę wywozić w tym wózku na miasto.

3 grudnia, rok 1938, sobota

Był list od Elizki Komorowskiej. Pisze na ogół serdecznie, bez żadnych już uprzedzeń i zastrzeżeń w stosunku do Jadzi i małżeństwa mego – ta rzecz już się w umyśle Elizki zalegalizowała i choć tytułem tylko „*malum necessarium*", zdobyła prawo obywatelstwa jako bądź co bądź „*necessarium*", ale przybyły za to Elizce nowe troski w stosunku do nas. Elizka jest wścibska, lubi we wszystko wglądać w rodzinie, radzić, dysponować, swoje trzy grosze wtrącać. To amatorstwo zajmowania się nie tylko sprawami swoimi, ale też wszystkimi sprawami wszystkich innych osób, mierząc je strychulcem swoich poglądów i upodobań, częste u kobiet, jest Elizce wrodzone, a rozwinięte szczególnie pod wpływem domu radkuńskiego Komorowskich, do którego Elizka za młodu przez małżeństwo weszła i jak gąbka nasiąknęła zwyczajami i trybem tej rodziny. W rodzinie tej nie było rzeczy osobistych, każdy z członków rodziny był poddany sprawdzianom strychulca. W naszej rodzinie nigdy w tym stopniu nie było. Wtrącać się w sprawy każdego z członków rodziny, udzielać mu rad, opiekować się nim w każdej potrzebie, ale też wymagać od każdego, aby się poddał strychulcowi i broń Boże nie wykroczył poza ramy tego, co w rodzinie jest uznane za dobre i pożądane – to jest pasją Elizki. Solidarność i szablon komuny do najdrobniejszych szczegółów i naturalnie do sfery przekonań i przepisów moralnych włącznie. Zresztą to się robi z najserdeczniejszej życzliwości, z najgorętszego serca, bo Elizka ma po Mamie serce wielkie. Ale dla tych w rodzinie, co sami stworzyli w poglądach i ideałach swoich wartości własne, jest to nieznośne. Zresztą ile już razy Elizka się w swoich zapałach interwencyjnych zawiodła i musiała z bólem serca i protestem na razie, a potem z rezygnacją godzić się z faktami dokonanymi, przeciwnymi jej intencjom i radom! Nie zraziło to ją jednak nigdy i zawsze zabierała się znów przy każdej okazji do „nauczania", żądania i przekonywania. Jest naiwna w tym względzie i wierzy, że można formułkami zdawkowej i uświęconej tradycją doskonałości ujarzmić nie tylko wolną grę wypadków i

przekonania oraz ideały ludzi, ale nawet ewolucję i postęp i w ogóle przyszłość całą. W stosunku do mnie Elizka do czasu mojego ślubu z Jadzią godziła się ostatecznie na gorszące ją w jej sercu fakty mojej służby państwu litewskiemu, moich jaskrawych sympatii litewskich i nawet mojej poufałości z Jadzią. To się już jakoś utarło w rodzinie, że jestem „*enfant terrible*", ale jednak człowiek uczciwy i godny szacunku a dobry: nie ożenię, nie będę miał dzieci, nie stworzę rodziny, przeminę z upływem życia mego, a wszystkie moje „dziwactwa" są li tylko dziwactwami osobistymi. Ale oto żenię się z Jadzią – Litwinką, chłopką: skandal! Żenię się w dodatku... cywilnie, skandal podwójny. Ale... na moje gorące intencje, na moje serdeczne wynurzenia w liście do Elizki – Elizka, z bólem serca, ale z sercem bądź co bądź gorącym, stłumiła w sobie zgorszenie i – zrezygnowała. *Malum necessarium*. Nic na to nie poradzi. Ale oto dziecko. To nawet dobrze, bo jednak to dziecko dla mnie – to pewna sprawiedliwość za to, co wycierpiałem w moim pierwszym zwichniętym małżeństwie z Reginą. W sercu Elizka uczuła może nawet pewien wyrzut sumienia, że to przecież i ona może kiedyś trochę zawiniła, tak gorąco niegdyś się ciesząc z tego małżeństwa z Reginą i tak je zalecając jako środek ujarzmienia mego, który mię jednak unieszczęśliwił. Ale oto to dziecko. Nowa troska dla Elizki, nowe zapały interwencyjne. Żeby to dziecko było katolickie! Ale oto będzie katolickie, chrzest zapewniony, Elizka się o tym z listu mego dowiaduje. Ale nie dość, żeby było katolickie – trzeba jej jeszcze, żeby było polskie, żeby broń Boże nie wyrosła Römerówna Litwinka. Pisałem jej o mamce. Ach, tak, mamka jest konieczna, ale koniecznie musi być Polka i dobrze mówić po polsku, żeby dziecko od razu w polskość wdrożyć, a w pojęciu Elizki polskość musi być wrogą Litwie i pełną pogardy litewskiej. A dziecko przecie należy nie do mnie osobiście, ale do rodziny. O nie, siostrzyczko, ta córka moja Litwę kochać musi, choć chciałbym, żeby kochała także Polskę.

4 grudnia, rok 1938, niedziela

Zaprowadziłem Jadzię na otwarcie wielkiej wystawy obrazów jesiennej. Wystawa jest otwarta w lokalu Muzeum Kultury w gmachu Muzeum Witolda Wielkiego. Wystawa jest duża, biorą w niej udział mniej więcej wszystkie siły artystyczne litewskie – starzy i młodzi. Obrazów jest wiele, mimo że szczupłość lokalu zmusiła do ograniczenia ilości eksponatów i obrazy, jak sądzić można z pobieżnego rzutu oka, są ładne i ciekawe. Wernisaż takiej wystawy o charakterze narodowym zwykle bywa bardzo uroczysty. Takim był on i dzisiaj, zwłaszcza że na otwarcie zapowiedział swój przyjazd prezydent Smetona. Naturalnie przez to byli i ministrowie, dygnitarze, korpus dyplomatyczny, śmietanka towarzyska, wszystkie panie, które się widzi na balach, uroczystościach, rautach i wielkich paradach towarzyskich stolicy litewskiej. Było to pierwsze wyprowadzenie przeze mnie w świat Jadzi. Teraz ma ona już do tego wszelkie tytuły jako żona moja. Zacznę ją wyprowadzać w świat ze mną. Nie zamierzamy z nią wkroczyć w życie towarzyskie, bo oboje jesteśmy z natury samotnikami i lubimy być tylko ze sobą, a Jadzia ani tańczy, ani z kumoszkami się wdawać nie umie i nie lubi i modną panią przeto być nie potrafi i nie chce, ale w uroczystościach, w których ja, *ex officio* poniekąd, być muszę, będzie i ona. Zaciekawia to ją trochę jako widowisko, no i ciekawią toalety. Jadzia się rozerwała na tym wernisażu. Otworzył wystawę prezes towarzystwa malarzy, młody malarz Adam Smetona (nie krewny prezydenta); przemawiał licho, bo artyści pędzla i dłuta artystami słowa bywają rzadko. Potem przemówił obszerniej prezydent Antoni Smetona. Tłum był i ścisk, przeto trudno było oglądać obrazy. Chodziło o ceremonię, nie o wystawę, toteż zaraz po otwarciu uciekliśmy z Jadzią. Zresztą Jadzia musiała śpieszyć do domu, bo Kotusieńka już czekała na swoją porę karmienia. Przyjdziemy obejrzeć wystawę innym razem. Wiele osób na otwarciu wystawy zwróciło uwagę na Jadzię, która przez swe małżeństwo ze mną jest dla wielu sensacją. Pani Żołkowska, pani posłowa francuska Dulong i pan Dulong, Jan Vileišis i kilku innych pośpieszyło zapoznać się z Jadzią i ją oglądać.

Powiadają, że jutro ma być ogłoszona rekonstrukcja Rady Ministrów. Prezes ministrów Mironas pozostanie, ale usunie się ze stanowiska ministra rolnictwa. Ustąpić mają: minister spraw zagranicznych Lozoraitis, komunikacji – Staniszewski, sprawiedliwości – Staszyński (ten ostatni zresztą śmiertelnie chory), może inni. Przypuszczam, że rekonstrukcja nastąpi raczej po 12 grudnia,

kiedy prezydent Smetona złoży przysięgę i obejmie nową kadencję prezydentury. Co jest powodem rekonstrukcji, dobrze nie wiem. Są pogłoski, że nastąpiło to na skutek zwalczania się w gabinecie dwóch prądów: jednego, zalecającego oparcie się o Polskę, i drugiego – o Niemcy. Byłoby to więc porażką prądu oparcia się o Polskę i wygrywanie jej przeciwko Niemcom, bo to jest, zdaje się, linią Lozoraitisa. Zbytnie opieranie się jednostronne o Niemcy, lekceważąc czynnik polski, uważałbym za błąd. Ale trudno sądzić z gawęd nieodpowiedzialnych. W każdym razie, Lozoraitis już się przeżył. W ostatnich czasach zdawał się on stracić wszelką energię i wiarę i jakąkolwiek linię czynną i robił przykre wrażenie wprost fatalisty wschodniego. Lozoraitis obejmie zapewne placówkę poselstwa zagranicznego gdziekolwiek. Kto będzie jego zastępcą, jedni mówią – Batutis, inni – Urbšys. Polityka zagraniczna – to dziś klucz rządów.

Przed paru tygodniami zaszła zmiana na placówkach dyplomatycznych litewskich w Polsce i Niemczech. Škirpę przeniesiono z Warszawy do Berlina, Jerzego Šaulysa – z Berlina do Warszawy. Škirpa jest od Šaulysa młodszy i czynniejszy, człowiek rozumny i świeży. Šaulys zna kulturę i psychikę polską, umie być polonofilem nawet, był nim przed wojną i na początku wojny nawet jaskrawo, ale jest dosyć stary i ociężały, poza tym obarczony psychologią Taryby z lat tworzenia niepodległości w konflikcie z Polską. Nie wiem, czy to obciążenie nie będzie do pętało. Šaulys miewał też kontakty z Piłsudskim, które niestety były bezowocne. Osobiście wolałbym Škirpę na stanowisku w Warszawie. Ale Šaulys niewątpliwie zna Polskę głębiej.

Wieczorem dziś wyjeżdżam z docentem Antonim Tamošaitisem do Kłajpedy na egzaminy referendarzy sądowych, wyznaczone na jutro.

5 grudnia, rok 1938, poniedziałek

Jestem w Kłajpedzie. W komisji dokonaliśmy egzaminów referendarskich. Kandydatów było trzech: Gelheer, von Ditman i Griget. Dwaj pierwsi – Niemcy, trzeci – syn gospodarski, rodem Litwin, ale, jak większość Litwinów kłajpedzkich, ideologicznie zniemczony. Wszyscy trzej odbyli studia prawnicze w Niemczech i po litewsku słabo rozumieją. Toteż tym razem egzamin się toczył prawie wyłącznie po niemiecku. Nie tylko prezes Riffart i sędzia Kairys egzaminowali po niemiecku, ale po niemiecku zadawał pytania i Tamošaitis, a i ja, choć formułowałem pytania po litewsku, jednak musiałem nałamywać precyzowanie do języka niemieckiego, bo kandydaci nie byli w stanie mię zrozumieć. Von Ditman i Gelheer zdali zadawalająco, Griget obciął się; komisja udzieliła mu terminu czteromiesięcznego na ponowienie egzaminu. Zresztą wypadki kłajpedzkie na rzecz rozzuchwalenia się żywiołów niemieckich i akcji emancypacyjnej uniezależnienia Kłajpedy, które tak jaskrawie się tu toczą i napełniają całą Litwę troską, nie mają oddźwięku w trybie prac naszej komisji. Riffart i Kairys są zupełnie „*correcte*", Riffart usiłuje mówić z nami po litewsku i w ogóle panuje u nas zupełna kurtuazja i doskonała ścisłość w komentowaniu prawa w konstrukcji autonomicznej statutowej.

Na miasto prawie nie chodziłem – tylko z dworca do hotelu „Viktorija", z hotelu do sądu okręgowego na posiedzenie komisji, stamtąd znów do hotelu na obiad, a następnie wrócę na dworzec, skąd z Tamošaitisem wracamy dziś jeszcze do Kowna automatrycą.

Na obiedzie dowiedzieliśmy się już o dokonanej w Kownie rekonstrukcji gabinetu: na miejsce Lozoraitisa (sprawy zagraniczne) Urbšys, na miejsce Staszyńskiego (sprawiedliwości) prezes sądu apelacyjnego Gudowski (mój były uczeń z uniwersytetu), na miejsce Raštikisa (obrona krajowa) Musteikis, zmienił się też minister komunikacji i minister rolnictwa. Mironas – premier bez teki, wicepremier bez teki – Balutis.

6 grudnia, rok 1938, wtorek

Wróciłem z Kłajpedy do Kowna wczoraj wieczorem. Zastałem w domu wszystko w dobrym stanie. Niańkę Urszulę Lisowską, która była najęta i już od kilku dni pełniła swoje obowiązki, Jadzia odprawiła. Niańka nie zgodziła się na dokonanie analizy krwi, a bez tej gwarancji jej zdrowia Jadzia za poradą lekarzy nie chciała jej trzymać. Zresztą była kapryśna i w zachowaniu się nie okazała się

przyjemna. Niewielka więc strata. Ale bez niańki obejść się nie możemy. Jadzi zdrowie jest zbyt słabe, aby mogła bez żadnej pomocy sama niańczyć dziecko. Na razie pomaga jej w tych czynnościach Paulinka, która jest bardzo dobra i życzliwa, nawet serdeczna, ale Paulinka, jako służąca i kucharka, ma za dużo roboty, aby mogła na stałe zastąpić niańkę. Postanowiliśmy jednak nie szukać niańki w Kownie, jeno poszukać na niańkę młodej dziewczynki w okolicach Bohdaniszek. Dziś napisaliśmy o tym do matki Jadzi, która zapewne znajdzie odpowiednią dziewczynkę i nam ją tu przyśle. Chcielibyśmy pozyskać młodą Pupielisówną z Prapultini. Ta byłaby, zdaje się, bardzo dobra.

Dziś Kotusieńka nasza ukończyła cztery tygodnie życia. Jest już prawie że miesięczną panienką. Rośnie zdrowo.

Zanotuję nieco wrażeń z Kłajpedy. Choć niewielu ludzi tam spotkałem, jednak samo otarcie się o Kłajpedę daje pewne wrażenie, zwłaszcza gdy się ma predyspozycje do przyjmowania wrażeń przez wiadomości, które tkwią w psychice. Już sam odrestaurowany, a raczej odstawiony na starym piedestale pomnik „Borussii”, wnoszący się dumnie w postaci figury symbolicznej, obłożony wieńcami i kwiatami ze wstęgami barwnymi, tak samo duża wstęga plakatowa, rozwieszona w poprzek ulic z cytatami z mów Neumanna i innych *minorum gentium* „wodzów” ruchu niemieckiego w Kłajpedzie, niektóre z nich ozdobione znakiem swastyki czy „Hakenkreuzu” – przemawiają jaskrawo do umysłu i wrażliwości obserwatora. Formalnie jest to jeszcze terytorium Litwy, ale faktycznie Kłajpeda jest dziś we władzy żywiołu niemieckiego, podporządkowanego władzy mocarstwa obcego. Kłajpeda od dnia 1 listopada, odkąd odwołany został stan wojenny, jest bardzo oryginalnym paradoksem. Rezyduje w niej wprawdzie nadal gubernator z ramienia Litwy, ale już tylko rezyduje. Rola jego nie wykracza poza platoniczną obserwację; wszelkie sankcje są sparaliżowane. Ale jeżeli inicjatywa i władza wypadła kategorycznie z rąk czynników państwowych, to nie lepiej się rzecz ma z czynnikami formalnej władzy autonomicznej. Dyrektorium autonomiczne jest również sparaliżowane i bezwładne. Prezes dyrektorium Baldžus, jak i całe dyrektorium, jest zerem. Baldžius, który na poprzednich wyborach do sejmiku przed trzema laty otrzymał największą ilość głosów i uchodził za najpopularniejszego posła i jako taki został prezesem dyrektorium, wyszeptał się całkowicie. Lawirował on przez trzy lata i nie dobił do żadnego z dwóch brzegów. Do Litwinów nie przystał, uchodził u nich za germanofila i służalca niemieckiego, dziś stracił u Niemców wszelki kredyt i jest pomawiany o ugodowość względem Litwy. Nie wystawiono nawet jego kandydatury do sejmiku na wyborach obecnych, jest on całkowicie „kaput”. Jego dyrektorium w chwili obecnej nie posiada żadnej władzy i autorytetu. Jest to „*quantité négligeable*”, która nic zarządzić i na nie reagować nie jest w stanie i nie usiłuje. Funkcje dyrektorium ograniczają się do załatwiania technicznego spraw bieżących i do rejestrowania biernego zarządzeń, dyktowanych przez „Kulturverband” niemiecki, kierowany przez „Führera” lokalnego dr Neumanna. Władza istotna jest w ręku Neumanna, który żadnego stanowiska i tytułu formalnego nie posiada. Atrofia władzy legalnej w Kajpedzie – tak centralnej państwowej, jak autonomicznej krajowej – jest zupełna i całkowicie świadoma.

7 grudnia, rok 1938, środa

Co tydzień we środę Jadzia Kotusieńkę waży. Waga przybywa jej bardzo dobrze. Dr Matulewicz mówił, że dziecku w jej wieku przybywać musi tygodniowo co najmniej 150 gramów wagi. W przeszłą środę stwierdziła Jadzia 210 gramów przyrostu tygodniowego wagi Kotusieńki, dziś stwierdziła przyrost 250 gramów w ciągu ubiegłego tygodnia. Ogółem ważyła dziś ona netto 4 kilogramy 50 gramów. Naturalnie, że waży ją Jadzia co dzień po pięć razy dziennie, przed i po każdym karmieniu, ale wtedy nie ustala jej wagi netto, jeno ją waży brutto w pieluszkach dla ustalenia jeno wagi pokarmu, wyssanego z piersi matki. Ilość tego pokarmu dziennie nie jest duża, ale na ogół znośna – przeciętnie po ± 200 gramów dziennie. Poza tym się ją dokarmia mlekiem krowim z kleikiem ryżowym i cukrem. Mała jest jędrna, tłuściutka, rośnie dobrze, żołądeczek ma dobry. Jedyny brak teraz – to brak niańki. Czekamy kandydatki z Bohdaniszek.

Byłem dziś zaproszony na śniadanie do prof. Prioulta. Oprócz gospodarza, jego żony i starszej córki i mnie, był jeszcze na tym śniadaniu sekretarz poselstwa francuskiego (który zajął miejsce p. de Neyzaca) i nowy minister spraw zagranicznych Urbšys z żoną.

Wyjaśniać się zaczynają okoliczności ostatniego kryzysu gabinetowego. Chodziło, zdaje się, o Kłajpedę. Podobno w związku z przemówieniem premiera Mironasa w Sejmie w odpowiedzi na zgłoszone rządowi zapytanie grona posłów w sprawie sytuacji wewnętrznej, w którym to przemówieniu Mironas, czyniąc wzmiankę o wypadkach kłajpedzkich, nadmienił, że niektóre wystąpienia czy to dyrektorium, czy ludności kłajpedzkiej, a raczej pewnych tejże odłamów nie są zgodne ze statutem autonomicznym, poseł niemiecki w Kownie Zechlin miał oświadczyć ministrowi Lozoraitisowi, że wzmianka taka utrudnia sytuację w Kłajpedzie i że w takich okolicznościach Niemcy nie będą mogły odpowiadać za rozwój stosunków w Kłajpedzie. W każdym razie, coś podobnego wyraził. Rodzaj pogróżki, ale zarazem interwencja niemiecka w sprawy kłajpedzkie i branie na siebie przez Niemcy roli jakiegoś czynnika, gwarantującego Litwie jej posiadłości terytorialne i stawiającego warunki co do tego, jak Litwa ma rządzić w Kraju Kłajpedzkim. Zarazem rola protektora ludności kłajpedzkiej i jej zastępcy i rzecznika wobec Litwy. Zupełnie tak, jak kiedyś Katarzyna II stawała się rzeczniczką dysydentów i gwarantką „nietykalności” Rzeczypospolitej. Jest to droga niebezpieczna, która prowadzi do rozbiorów i uzależnienia się. W gabinecie ministrów Lozoraitis bronił pozycji wyemancypowania się od tych wpływów protekcyjnych Niemców przez kategoryczne oparcie się o Polskę i zarządzenie wyraźnej akcji rządzącej w Kłajpedzie z ewentualnym nawet wznowieniem stanu wojennego. Zwyciężył jednak w gabinecie kierunek przeciwny, chcący się bardziej liczyć z Niemcami, kunktatorski wobec ich pretensji i lawirujący. Trudno naturalnie powiedzieć, co na razie jest lepsze. W każdym razie, nie była to jeszcze, jak się zdaje, alternatywa: Niemcy czy Polska, jeno Polska w całych 100% oparcia się o nią czy balansowanie między Polską a Niemcami z przewlekaniem liczenia się z Niemcami. Ale tymczasem nie uległo wątpliwości, że panem sytuacji w Kłajpedzie faktycznie są Niemcy, a „władza” Litwy, a nawet formalnych organów autonomicznych jest tam li tylko nominalną, jest fikcją, pozbawioną wszelkiej realnej władzy. Że Litwie, o ile się coś radykalnie w układzie stosunków międzynarodowych nie zmieni, nie uda się utrzymać w Kłajpedzie systemu li tylko autonomicznego w ramach statutowych i w tej interpretacji, jaką tym ramom nadała dotychczasowa praktyka rządząca, usankcjonowana w głównych liniach wyrokiem Trybunału Haskiego z roku 1932, to jest chyba pewne. W tej chwili Litwa już skapitulowała i nie podejmuje się żadnej decyzji i inicjatywy. Jak zahipnotyzowana – przygląda się bachanaliom rozpętanego żywiołu niemieckiego, kierowanego pod firmą Neumanna zza granicy. Po wyborach będzie się chyba musiała otrząść z tego odrętwienia hipnotycznego i coś przedsiębrać. Ale co przedsięweźmie i jak wykona. Jeżeli się jej uda stabilizować pozycje na rubieżach „Staatsfragmentu” – to będzie jeszcze w tych warunkach dobrze. To, do czego ruch Neumanna zmierza, to na razie co najmniej Freistadt. To jeszcze nie jest aneksja do Niemiec, ale to już oderwanie się od Litwy.

8 grudnia, rok 1938, czwartek

Kotuńka nasza ukończyła dziś pierwszy miesiąc życia.

Przyszły oczekiwane listy od Kotuni Pruszanowskiej i od Julka Komorowskiego, którzy mają trzymać naszą Kotuńkę do chrztu. Na moje gorące i serdeczne prośby Kotuńka Pruszanowska zgodziła się przyjechać do Kowna osobiście, aby bezpośrednio trzymać do chrztu dziewczynkę naszą. Cieszymy się z tego bardzo z Jadzią. Julek zgadza się być chrzestnym ojcem i dziękuje za wybór. Zdaje się, że chrzciny wypadnie urządzić mniej więcej 2-3 stycznia, zaraz po Nowym Roku.

Kotusieńka była dziś niegrzeczna. W nocy dużo krzyczała, nie dała spać biednej Jadzi i Paulince. We dnie też krzyczała dużo, nie dawała się uśpić. Utrapienie wielkie z dzieckiem w tym wieku.

Dziś był dzień świąteczny. Wychodziłem z domu tylko pod wieczór. Poszliśmy z Jadzią do kawiarni Konrada na kawę i ciastka.

Z niecierpliwością czekam na wieści z Bohdaniszek w sprawie niańki, która jest niezbędną, bo Kotusieńka zamęczy Jadzię i zacną Paulinkę.

9 grudnia, rok 1938, piątek

Dziś w nocy nasza Kotuńka znowu źle spała. Krzykiem swoim wymęczyła do ostatka biedną Jadzię i poczciwą Paulinkę. Zdaje się, że to z powodu żołądeczka, którego wypróżnień nie miała, a z wieczora po karmieniu womitowała obficie, nawet przez nos, co Jadzię biedną nastraszyło. Nieznośne jest jednak stworzenie takie małe dziecko. Jest to barbarzyńca arogancki, w dodatku głupi i egoistyczny do szpiku kości. Dzikszy od zwierzęcia.

O południu Jadzia po raz pierwszy wywiozła Kotusieńkę w wózku na spacer na miasto. Czynność ta Jadzi podobała się chyba więcej, niż samej małej. Ze spaceru mała wróciła zdrowa i spała wieczorem doskonale. Może ją świeże powietrze upoiło, bo takie pierwotne stworzenie jest na wszystko niezmiernie wrażliwe fizjologicznie.

Byłem dziś zaproszony do posła polskiego Charwata na śniadanie z okazji przyjazdu do Kowna polskiego ministra oświaty prof. Świętosławskiego, który zresztą przyjechał incognito i zatrzymał się w przejeździe do Finlandii. Na śniadaniu tym byli członkowie poselstwa polskiego z posłem Charwatem na czele, *attaché* wojenny polski, sympatyczny pułkownik Żółtak-Mitkiewicz, prezes delegacji polskiej do układów handlowych z Litwą p. Wazelaki, minister prof. Świętosławski ze swym asystentem docentem Zmaczyńskim, poseł fiński, z Litwinów wiceminister oświaty Masiliunas, urzędnik protokółu ministra spraw zagranicznych i z uniwersytetu ja, dziekan prof. Žemaitis i prof. Mažylis. Śniadanie upłynęło mile, rozmawiałem dużo z członkami poselstwa i zwłaszcza z pułkownikiem Mitkiewiczem i docentem Zmaczyńskim, ale minister Świętosławski nie sprawił na mnie przyjemnego wrażenia. Ja, Žemaitis i Mažylis rozmawialiśmy po polsku.

10 grudnia, rok 1938, sobota

Zupełnie niespodziewanie wybuchły dziś na uniwersytecie zajścia. Cały semestr jesienny był niezwykle spokojny. Żadnych poruszeń młodzieży, żadnych wybryków nie było. Semestr już dobiegał kresu, bo za trzy dni rozpoczynają się ferie świąteczne. I nagle dzisiaj – konflikt, jak grom z jasnego nieba. Co prawda, sytuacja zewnętrzna i wewnętrzna w Europie i Litwie nie jest wcale pogodna; chmur ciężkich aż nadto, nie daj Boże takiego „jasnego” nieba. Gdzie spojrzeć – tam chaos i problemy zawikłane: kwestia ukraińska, która się zarysowuje i zaczepia cały kompleks zagadnień politycznych pierwszorzędnych w układzie stosunków międzypaństwowych na Wschodzie europejskim, spór włosko-francuski i mnóstwo innych, a u nas tragiczna sprawa Kłajpedy...

Najspokojniej udałem się do uniwersytetu rano, egzaminowałem tam studentów (bo teraz po urodzeniu Kotusieńki nie mogę egzaminować w domu i egzaminuję w gabinecie rektorskim), załatwiałem sprawy bieżące. Zdawało się, że nic się nie zapowiada. Telefonicznie zwrócił się do mnie minister oświaty Tonkunas, prosząc, bym do niego przyszedł. Przed samym udaniem się do ministra zostałem przez Janulaitisa wezwany do gabinetu prorektora prof. Blažysa. Zastałem u Blažysa Janulaitisa i Purėnasa. Dowiedziałem się, że na dziś wieczór zapowiedziane jest jakieś wielkie zebranie studentów, zainicjowane przez pięć czy sześć stowarzyszeń (Neo-Lithuania, ateitininkai, stowarzyszenia szaulysów „Seja”, stowarzyszenie „Jura”, stowarzyszenie „Romuva” i korporacja oficerów rezerwy „Ramovė”). Zebranie to nazwane jest odczytem zbiorowym („kolektyvinė paskaita”). W podaniu, które te organizacje zgłosiły prorektorowi, prosząc o pozwolenie na zebranie, wskazane jest, że odczyt zbiorowy ma dotyczyć kwestii zawodu („verslas”) – jest to kwestia, na której tle rozwija się akcja antysemicka pod pretekstem litwinizacji zawodów handlowych i przemysłowych; ustnie zaś inicjatorzy poinformowali Blažysa, że debaty będą dotyczyły problemu zawodowego i litwinizacji miast i że udział w „odczycie zbiorowym” przyrzekli też profesorowie Pakštas, Kołupaiła i Maceina. Prorektor Blažys, nie upatrujący w tym nic podejrzanego i opierający się li tyko na literze prawa, pozwolenia udzielił. Janulaitis wyrażał obawy, że może to dać asumpt do jakiejś ruchawki antysemickiej, zwłaszcza w związku z dokonywającymi

się dziś i jutro na wydziałach wyborami przedstawicielstwa studenckiego. Blažys jednak bronił udzielonego pozwolenia. Długo tam zabawić nie mogłem, bo musiałem iść do ministra. Zresztą Janulaits wyrażał obawy tylko ogólnikowo. U ministra dowiedziałem się, że chodzi właśnie o to dzisiejsze zebranie wieczorne pod firmą „odczytu zbiorowego". Sprawa była debatowana na posiedzeniu Rady Ministrów. Minister spraw wewnętrznych Leonas ma informacje, że w związku z tym zebraniem pewne czynniki będą usiłowały wywołać ruchawkę studencką o charakterze politycznym antyrządowym, co szczególnie jest niebezpieczne i niepożądane w związku z wyborami w Kłajpedzie do sejmiku autonomicznego, rozpoczynającymi się jutro w okolicznościach dosyć tragicznych i wyzyskiwanymi przez Niemców na rzecz quasi-plebiscytu antylitewskiego. Tonkunas prosił, abym coś zarządził koniecznie, by podziałać na studentów i nie dopuścić do jakichś ekscesów lub wykorzystania zebrania przez żywioły warcholskie lub prowokacyjnie. Prosił, abym użył na to całego wpływu i autorytetu mego. Wróciłem do uniwersytetu, na godzinę czwartą kazałem wezwać do mnie profesorów Pakštasa, Kołupaiłę i Maceinę, prorektora Blažysa oraz wszystkich prezesów tych organizacji, które zainicjowały zebranie.

11 grudnia, rok 1938, niedziela
W dalszym ciągu o zajściach wczorajszych.

O godzinie czwartej przyjąłem z prorektorem Blažysem profesorów Kołupaiłę i Maceinę, których inicjatorowie „odczytu zbiorowego" byli ustnie wskazali Błažysowi jako rzekomo mających brać udział w tym „odczycie zbiorowym" (prof. Pakštas nie przyszedł, bo nie był w domu i nie został zawiadomiony). Z rozmowy się okazało, że Maceina wcale nie był proszony o udział w „odczycie", zaś Kołupaiłę prosił niejaki Briedis, były student, który już studentem nie jest i bierze udział w ruchu tzw. „verslininków" (ruch o charakterze wybitnie antysemickim, skierowany rzekomo do unarodowienia przemysłu i handlu na rzecz Litwinów z rąk żydowskich), ale prosił o przyjście na zebranie i wzięcie udziału w dyskusji, nie zaś o jakiś fragment odczytu „zbiorowego". Ujawniło się więc, że inicjatorowie zamierzonego zebrania wprowadzili w błąd prorektora, zapewniając go o udziale profesorów w „odczycie zbiorowym" i zasłaniając się przeto kłamliwie autorytetem tychże. Poza tym, inicjatorowie byli obiecali Blažysowi doręczyć mu program szczegółowy tego „odczytu zbiorowego" i tego nie spełnili, przeto nie zostali wskazani ani prelegenci, ani tematy odczytów czy odczytu. Były więc przyczyny dostateczne do odwołania pozwolenia na zebranie. Poza tym, powołać się można było jeszcze na tę przyczynę, że w czasie głosowania w wyborach przedstawicielstwa studenckiego nie są wskazane żadne większe zgromadzenia, mogące zakłócić porządek wyborów i wnieść jakiś nastrój nerwowy czy roznamiętnienie. Poza tym wszystkim zaś informacje, otrzymane od rządu o tym, że pod pretekstem tego zebrania gotują się jakieś wystąpienia i akcje polityczne, skierowane przeciwko rządowi, akcje o hasłach i celach bardzo niewyraźnych, dopełniały ramy obrazu. Zdecydowałem się więc odwołać udzielone przez prorektora pozwolenie na ten odczyt zbiorowy, tchnący antysemityzmem w założeniu, a pomawiany o zamiary gorsze jeszcze. Zaraz też zawiadomiłem o tym zwołanych prezesów tych organizacji studenckich, które figurowały w charakterze inicjatorów zebrania.

Wiedzieliśmy jednak z doświadczenia, że rozgłos takiego zebrania czy „odczytu zbiorowego", który już był obwieszczony przez plakaty, ściągnie liczne rzesze studentów gapiów, żądnych widowiska, a także wszelakich agitatorów i męty polityczne, zdecydowane do spekulowania na tłumie wiecowym i już gotujące swoją zamierzoną akcję; wiedzieliśmy, że odwołanie pozwolenia nie powstrzyma te elementy i ten tłum od zebrania się; próżniaki i spekulanci nie wyrzekną się tak łatwo okazji, dla której się zgromadzili, i jeżeli pozwolenia nie ma, to zaimprowizują wiec doraźny bez żadnego pozwolenia, wysłuchają mówców nieodpowiedzialnych i „uchwalą" wszelkie „rezolucje", jakie im czynniki warcholskie podsuną (co warte takie „uchwały" i jak się one „robią" – to wiemy). Dlatego też nie tylko odwołałem pozwolenie, ale porozumiałem się zaraz telefonicznie z profesorami Tadeuszem Pietkiewiczem i Kriwickim, którzy mieli mieć wykłady wieczorem, prosząc ich, aby wykłady te cofnęli, i nakazałem od godziny piątej zamknąć na klucz drzwi wejściowe do gmachu

Wydziału Prawniczego (tzw. I gmach uniwersytecki), w którym w sali miało się odbyć zapowiedziane zebranie i na drzwiach wejściowych ogłosić za podpisem prorektora zawiadomienie, że zebranie jest odwołane i przeto się nie odbędzie. Sądziliśmy, że to się zrobi. Ale myliliśmy się. Okazało się, że już dużo wcześniej gmach Wydziału Prawniczego napełnił się studentami, których zwabiło zapowiedziane zebranie, oraz oczywiście agitatorami, spekulującymi w mętnej wodzie. Toteż do zamknięcia drzwi nie doszło. Gdy się te elementy dowiedziały, że zebranie jest przez władzę akademicką odwołane, pośpieszyły one zaimprowizować wiec doraźny.

12 grudnia, rok 1938, poniedziałek

Zajścia sobotnie na uniwersytecie rozrosły się nad miarę. Na zaimprowizowanym nielegalnie przez zgromadzających się na odwołany „odczyt zbiorowy" studentów wiecu miały miejsce doraźne jaskrawe przemówienia natury politycznej i wreszcie, jak to zwykle w takich razach bywa, przez jednego z demagogicznych agitatorów odczytana została „rezolucja" (oczywiście więc z góry na ten quasi „odczyt zbiorowy" zawczasu spreparowana), „przyjęta" przez zgromadzony tłum „przez aklamację" (quasi „jednogłośnie", jak to zawsze bywa w takich razach, bo oczywiście nikt z chaotycznego tłumu nie odważa się oponować). Rezolucja ta jest skierowana przeciwko rządowi i w ogólnych zarysach przypomina analogiczne domaganie się opozycji w okresie ultimatum polskiego z dnia 19 marca; jest ona okraszona kilku frazesami o patriotyzmie narodowo usposobionej młodzieży, o rozpanoszeniu się w Litwie elementów obconarodowych i żąda ustąpienie rządu w całym jego składzie (należy rozumieć, z prezydentem włącznie, choć prezydent nie wymieniony; ale całość rządu jest podkreślona). Rząd ten, który rzekomo doprowadził Litwę do katastrofy w sprawie tak Wilna, jak Kłajpedy, do katastrofy rzekomo cięższej jeszcze, niż katastrofa Czechosłowacji, powinien ustąpić tak, jak ustąpił stary rząd (tam właśnie z prezydentem Beneszem włącznie) czechosłowacki (ciekawa rzecz, czy jakikolwiek inny rząd w Czechosłowacji mógłby doprowadzić do czegoś innego w kwestii Sudetów!) i powinien być zastąpiony przez rząd konsolidacji narodowej. Wszystko dotąd było podobne do żądań opozycji z okresu marcowego. Ale tu nagle wyskoczyła w „rezolucji" osoba... prof. Voldemarasa, stanowiąca symbol skrajnej prawicy o aspiracjach faszystowskich i wyraźnym obliczu proniemieckim. Zdawałoby się, że ta wstawka o Voldemarasie zaprzecza współudziałowi „ateitininków" i chrześcijańskich demokratów w tej akcji, bo między pozycją obozu chrześcijańsko-demokratycznego a pozycją obozu voldemarasowców nigdy dotąd kontaktu nie było i obóz „aktywizmu" Voldemarasa do opozycji masowej nie należał. Trudno więc zorientować się, co za akcja tkwiła u podstawy przedsięwzięcia, zainicjowanego niedoszłym „odczytem zbiorowym". Być może, że „rezolucja" wiecowa w ogóle żadnego kontaktu z samym przedsięwzięciem pierwotnym nie miała i była tylko zaimprowizowana (może zaimprowizowana była tylko wstawka o Voldemarasie) przez elementy voldemarasowskie, które skorzystały z zamętu, aby swoją kombinację przemycić. „Rezolucja" jest zakończona wezwaniem do trzydniowego protestacyjnego strajku akademickiego w dniach 12, 13 i 14 grudnia. W trybie chronologicznym dalszy bieg wypadków sobotnich był następujący. Koło godziny 6-7, już po zakończonym wiecu nielegalnym, do gmachu Wydziału Prawniczego przyszedł prorektor Jodelė. Udało mu się wyprosić studentów z gmachu na ulicę i zamknąć niezwłocznie drzwi gmachu. Studenci po wyjściu na ulicę usiłowali sformować pochód, ale napadła na nich policja. Podobno policja zachowała się dosyć brutalnie. Niektórzy studenci rzucili się do gmachu uniwersyteckiego z powrotem, ale drzwi już były zamknięte, wybili więc w drzwiach okna. Jedni byli zaaresztowani, inni uciekli. Były sceny oporu, indywidualnej bójki z policją, aresztowanych i niebawem uwolnionych było pięćdziesięciu kilku, w tej liczbie i studentki. Niebawem sformowała się nowa grupa studentów na schodach od ulicy do tzw. wielkiego gmachu uniwersyteckiego u rogu Giedymina i Donelaičio ulic. Zaczęto tam śpiewać pieśni, przeważnie „Į kovą, žemaičiai! Į kovą, aukštaičiai!" i w ogóle nastrój panował wśród zgromadzonych bojowy. Naprzeciwko na ulicy stanął oddział policji, prowadzony przez dyrektora Departamentu Policji Švilasa. Policja wzywała studentów do rozejścia się, studenci nie rozchodzili się, śpiewali, kierowali do policji okrzyki wrogie, rzucali nawet w policję kawałkami antracytu.

Znów przechodził tędy prorektor Jodelė, który spróbował interweniować, prosząc policję o zwłokę. Studenci przyjęli Jodelę serdecznie, bratali się z nim, chcieli go podrzucać, ale gdy zaczął ich uspakajać i namawiać do spokojnego rozejścia i zaniechania manifestacji, to nikt go nie usłuchał, a jeden ze studentów rozpoczął mowę, zagłuszając prorektora i wyrażając zgorszenie, że oto młodzież litewska chce ratować Litwę, a tymczasem rząd zwraca przeciwko niej policję, bije ją i gnębi. I znów śpiew „Į kovą, žemaičiai!”, znów okrzyki, znów hasła walki z policją. Policja wezwała wreszcie Jodelę do zaniechania nowego wiecu. Jodelė nic nie wskórawszy, wyszedł i przyszedł się pożalić do mnie. Następnie już zainterweniował prorektor Blažys.

13 grudnia, rok 1938, wtorek

Kotusieńka ukończyła dziś pięć tygodni życia. W ostatnich kilku dniach dużo krzyczy i źle śpi. Namęczyła Jadzię i Paulinkę do ostatniego. Mleko u Jadzi znowu maleje. Kłopotu z takim dzieckiem niezmiernie dużo. Nie możemy się z Bohdaniszek doczekać ani niańki, ani Jadzi matki, która, jak piszą siostra i brat Jadzi, gotowa jest przyjechać sama niańczyć wnuczkę. Czekamy już tej niańki lub Čepasowej jak zbawienia.

Jak co roku, Towarzystwo Litewsko-Szwedzkie w dniu 13 grudnia urządza obchód tradycyjny szwedzki święta Łucji, symbolizującego jeszcze prastare pogańskie święto odrodzenia słońca. To święto z folkloru szwedzkiego połączone jest z herbatką i tańcami wpierw charakterystycznymi szwedzkimi, wykonywanymi przez zespół studentów, a następnie ogólnymi. Herbatka ta miała miejsce w restauracji tzw. „Trzech Olbrzymów” (w klubie oficerskim). Teraz mogę już na takie fety towarzyskie brać ze sobą Jadźkę jako posiadającą tytuł mojej żony. Jadzia bardzo się na to cieszy i dziś z wielką radością gotowała się do tej herbatki. Gości było pełno, bo to święto Łucji weszło już u nas w tradycję. Obchód był piękny i filmowany. Święta Łucja kroczyła przez salę z włosami rozplecionymi i ze świecami płonącymi na głowie; za nią niesiono gwiazdę i szło grono dzieci w strojach stosownych. Jadzia się bardzo cieszyła i nie mniej się zabawiała obserwacją strojów pań.

Przechodzę teraz do zajść, które się bardzo rozwinęły i przekroczyły ramy akademickie. Na razie jeszcze dokończę o zajściach sobotnich na uniwersytecie. Późnym wieczorem do wielkiego gmachu uniwersyteckiego, gdzie się ukryła grupa studentów manifestantów (w ich liczbie byli i przygodni studenci, którzy pracowali wieczorem w czytelni), przyszedł prorektor Blažys. Wypadło mu trudne zadanie zlikwidowania tego zbiegowiska w gmachu akademickim. Studenci chcieli się rozejść, ale przed gmachem stała policja, która aresztowała wychodzących i prowadziła ich do lokalu policji dla przesłuchania i sprawdzenia tożsamości. Toteż studenci nie decydowali się rozejść i chcieli mieć zapewnienie, że policja da im wyjść swobodnie. Blažys zaczął pośredniczyć między policją a studentami. Policja nie zgodziła się na ustąpienie, ale wreszcie zgodziła się na to, żeby Blažys wręczył jej spis zgromadzonych studentów z podaniem ich adresów, po czym policja po sprawdzeniu każdego wychodzącego i przekonaniu się z jego dokumentów, że jest on jednym z wpisanych do spisu, da mu wyjść swobodnie. Blažys, widząc, że inaczej rady nie da i nie mogąc odejść, pozostawiając zgromadzonych w gmachu bez zlikwidowania zajścia, jął namawiać studentów do przyjęcia tego żądania policji. Niektórzy się na to zdecydowali, inni oponowali i gniewali się na Blažysa, że nie broni studentów i że wydaje ich w ręce policji. Ponieważ nikt ze studentów, nawet z tych, którzy się zgadzali na wpisanie ich do listy, nie decydował się zasiadać do spisywania tejże, więc Blažys sam listę obecnych ułożył, wpisując zresztą tylko tych, którzy się podawali. Po ułożeniu listy Blažys doręczył ją policji, po czym policja wypuściła zebranych, sprawdzając tożsamość osobistą każdego wychodzącego stosownie do listy. Sama zaś lista została w ręku policji. Grono oponentów, którzy wyrażali oburzenie i protestowali przeciwko układaniu listy, a sami się do listy nie podali, gdzieś się ulotniło, Blažys nie spostrzegł, czy i jak wyszli, czy też się gdzieś w gmachu ukryli. Opisuję to dosyć drobiazgowo, bo potem z tego epizodu ukuto akcję przeciwko Blažysowi.

Niedziela upłynęła względnie cicho. Ogłoszone tylko zostało zarządzenie rządu o wprowadzeniu stanu wyjątkowego w Kownie i powiecie kowieńskim. Skądinąd z Ministerium Spraw Wewnętrznych przysłano mi spis 10 studentów aresztowanych i spis 59 studentów, który w czasie

zajść sobotnich na ulicy byli aresztowani i zostali wypuszczeni. W mieście opowiadano, że studenci byli w sobotę w czasie zajść na ulicy nielitościwie bici pałkami gumowymi przez policję i że na chodnikach są liczne ślady krwi. Ja sam w niedzielę tylko przygodnie na posiedzeniu rocznicowym stowarzyszenia medyków „Fraternitas Lithuanica" spotkałem się z ministrem spraw wewnętrznych Sylwestrem Leonasem, który dość ostro wyrażał się w rozmowie o aresztowanych studentach. Jak dalece rozwinęły się zajścia i jaki mają one związek z innymi wydarzeniami tu i w Kłajpedzie – tego do niedzieli jeszcze nie wiedziałem.

14 grudnia, rok 1938, środa

Dziś rano przy śniadaniu po zapaleniu papierosa zrobiło mi się nagle słabo. Położyłem się na kanapie, pot mi oblał czoło, ale niebawem to przeszło; wróciłem do zwykłego stanu sił. Jadzię to jednak przeraziło i czym prędzej cichaczem wysłała Paulinkę do prof. Gudowicza, wzywając go do mnie. Niebawem też Gudowicz przyszedł, przyniósł też słuchawki, opukał mię, zbadał i znalazł wszystko w porządku. Ale dla niepoznaki (bo ja nic nie wiedziałem, że został wezwany do mnie) oglądał i Kotusienkę i zrobił uwagę, że wygląda mizernie. Jadzia się tym przestraszyła i w te pędy zdecydowała się na mamkę (istotnie mleka Jadzia w ostatnich czasach ma znowu mniej, nigdy do 200 gramów dziennie już nie dopędza, a przy dzisiejszym ważeniu tygodniowym dziecka przyrost wagi okazał się prawie o połowę mniejszy, niż w tygodniu poprzednim – było w poprzednim tygodniu 250 gramów przyrostu wagi, w tym – tylko 140) i poleciała zaraz do kobiety, którą jej przed paru tygodniami wskazała siostrzyczka z Czerwonego Krzyża jako kandydatkę na mamkę przychodzącą; jest to kobieta w średnim wieku, mężatka, ma pięcioro dzieci, zdrowa, silna, wygląda jak dąb albo krowa, ma mleka nadmiar, spokojna, równa, żadnych nerwów, doskonały typ matki. Zgodziła się za 100 litów miesięcznie, wieczorem była u nas, jutro ma się poddać oględzinom lekarskim i poddać badaniu krwi. Daj Boże, żeby już ta kwestia pokarmu była rozstrzygnięta, a także kwestia niańki.

W dalszym ciągu o zajściach. W poniedziałek rano przyniesiono mi z uniwersytetu ulotki, rozrzucane wśród studentów. Jedna z nich zawiera „rezolucje" „wiecu" nielegalnego sobotniego, zwrócone przeciwko rządowi i ogłaszające strajk manifestacyjny trzydniowy na uniwersytecie z powołaniem się na takiż strajk studentów instytutów Pedagogicznego i Handlowego w Kłajpedzie. Druga ulotka jest złośliwsza i natury akademickiej. Zwrócona jest przeciwko prorektorowi Blažysowi, któremu zarzuca, że „wydał" studentów policji, układając spis imienny studentów, osaczonych przez policję w gmachu uniwersyteckim i doręczając ten spis policji; przez to Blažys uchybił rzekomo zaszczytnym obowiązkom prorektora, wskutek czego autorowie ulotki domagają się jego dymisji i zwołują nowy wiec protestacyjny na godzinę szóstą wieczorem. Oczywiście zarzuty w stosunku do Blažysa są niezasadne. Blažys jest doskonałym prorektorem i człowiekiem bardzo ludzkim i tolerancyjnym, miękkim, wyrozumiałym i szczerym, tylko pozbawionym dyplomacji i zwłaszcza demagogii i obłudy. Blažys w najlepszej wierze i intencji usiłował zlikwidować w sobotę w nocy skupienie młodzieży w gmachu uniwersyteckim, osaczonym przez policję, aresztującą wszystkich wychodzących. Jeżeli ułożył listę obecnych studentów, to tylko w celu umożliwieniu im opuszczenia gmachu bez aresztowania i wpisywał na listę tę tylko tych, którzy na to się zgadzali sami, a ponieważ policja traktowała to jako ustępstwo maksymalne, więc Blažys nie miał nic innego do wyboru, jak tylko albo ułożyć tę listę i dać studentom możność opuszczenia gmachu bez zatargu z policją, choć udzielając policji spisu ich nazwisk, albo umyć ręce i wycofać się, zostawiając zgromadzonych studentów na los szczęścia. Śmiesznie jest i głupio pomawiać Blažysa o „wydanie" studentów (niewinnych jagniątek, idących na akcję polityczną przeciwko rządowi i chcących, żeby ich jednak nie ruszano) policji, zwłaszcza niewłaściwie brzmi dla tych, którzy ludzkiego Blažysa znają i wiedzą, jak daleki jest on od pragnienia krzywdy ludzkiej w ogóle, a studentów w szczególności. Ale pewne pozory w opinii studentów, zwłaszcza w nastroju roznamiętnienia, są przeciwko niemu i boję się, aby w semestrze wiosennym nie rozrosło się to w ciężki i krzywdzący

Blažysa konflikt ze studentami oraz w nowe ognisko zamieszek, z których może nawet istotnie wypłynąć konieczność jego dymisji.

15 grudnia, rok 1938, czwartek

Niestety – mamka, która wczoraj została najęta do dokarmiania Kotusieńki jako przychodząca i która miała przyjść dziś rano dla udania się do Gudowicza w celu poddania się sprawdzeniu zdrowia, nie przyszła. Czy coś jej przeszkodziło, czy się rozmyśliła – nie wiadomo. Nie ma też żadnej wiadomości o niańce z Bohdaniszek ani też o ewentualnym przyjeździe Čepasowej.

W dalszym ciągu o zajściach. Wracam jeszcze do poniedziałku. Wobec ulotek z zapowiedzią strajku i zarazem wiecu protestacyjnego przeciwko prorektorowi do spraw studenckich Blažysowi z żądaniem dymisji tegoż – stanąłem wobec dylematu: albo negowanie strajku i utrzymanie normalnego biegu zajęć, co naraża na niebezpieczeństwo dojścia do skutku wiecu nielegalnego i pogłębienia nie tylko ruchu politycznego, ale także konfliktu akademickiego w sprawie prorektora, albo zawieszenie zajęć na uniwersytecie i zamknięcie gmachów uniwersyteckich, co chroni od wiecu, ale za to faktycznie sankcjonuje proklamowany przez studentów strajk. Decydowałem się raczej w kierunku drugiej ewentualności. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że utrzymanie formalne normalnego toku zajęć nie zapewni bynajmniej faktycznego niezakłóconego biegu tychże, gdyż wypadki sobotnie dokonały głębokiego wstrząsu w społeczeństwie studenckim i rozzuchwaliły elementy skrajne, tak nacjonalistyczne, jak chrześcijańsko-demokratyczne, zdecydowane do radykalnego aktywizmu politycznego. Już od rana w poniedziałek się ujawniło, że proklamowany przez aktywistów strajk akademicki będzie wykonywany dosyć energicznie. Wprawdzie niektóre wykłady doszły do skutku, ale inne – na Wydziale Prawniczym, na humanistycznym, nawet poniekąd medycznym – do skutku nie doszły: w kuluarach gromadziły się grupy studentów, aktywiści dozorowali, aby bierna masa studentów nie odważała się iść do audytoriów na wykłady, aktywiści wszędzie się kręcili, wypędzili studentów z czytelni; w niektórych gmachach studenci przynieśli harmonijki i grali, urządzając zabawę i wytwarzając nastrój próżniacki, zakłócający pracę akademicką. Widać było, że do uspokojenia i przywrócenia równowagi jest bardzo daleko i że raczej energia aktywistów narasta. Jeżeli więc będziemy usiłowali utrzymać pozorny tryb normalny zajęć akademickich, to tego faktycznie zapewne nie osiągniemy, natomiast umożliwimy dojście do skutku zapowiedzianego wiecu, albowiem studenci, mający dostęp do gmachów i gromadzący się po kuluarach w narastającym podnieceniu umysłów, lada chwila mogą zaimprowizować wiec; a stąd potem nowe zajście, pogłębienie akcji i władzy psychicznej aktywistów, demonstracja, zatargi z policją itd. Tym trudniej zaś przeciwdziałać, ponieważ nastrój jest skierowany przeciwko prorektorowi do spraw studenckich, zdecydowanie wrogi jemu; w takim usposobieniu wpływ władzy akademickiej zostaje sparaliżowany. Zawiesić wykłady i zajęcia, zamknąć dostęp do gmachów akademickich, jak to już uczyniły instytuty w Kłajpedzie – to by było, jak mi się zdaje, lepsze, bo dałoby możność uniknięcia nowych zaognień doraźnych, tym bardziej, że za trzy dni już się rozpoczną ferie na okres miesięczny, który sam przez się ukoić może rozpętane namiętności i w ciągu którego może się tak lub inaczej wyjaśnić sytuacja polityczna. Chciałem jeszcze pokonferować w tej sprawie z ministrem Tonkunasem, ale nie mogłem tego uczynić, bo o południu odbywała się w gmachu sejmowym uroczystość przysięgi prezydenta Smetony, na którą ja sam także musiałem pośpieszyć, wystrojony we frak z orderami. Widziałem się tam z Tonkunasem, ale tylko kilka słów z nim zamienić zdołałem. Nie mogłem i później z nim konferować, bo po akcie przysięgi cała Rada Ministrów udała się do pałacu prezydenta. Sam więc na własną rękę po powrocie do uniwersytetu zarządziłem zamknięcia gmachów uniwersyteckich od godziny trzeej, co też zostało wykonane (potem przyszło i od ministra spraw wewnętrznych rozporządzenie takież). Zarządziłem zamknięcie tylko na ten jeden dzień poniedziałkowy, co zaś do decyzji w stosunku do dni następnych, postanowiłem odwołać się do senatu akademickiego, którego posiedzenie w śpiesznym tempie zwołałem na godzinę czwartą. Senat przyjął mój wniosek zawieszenia zajęć i zamknięcia gmachów uniwersyteckich na trzy dni pozostałe do ferii i odroczenie do początku semestru wiosennego

wyborów do przedstawicielstwa studenckiego, które jeszcze się nie odbyły na dwóch wydziałach – prawniczym i matematyczno-przyrodniczym.

16 grudnia, rok 1938, piątek

Vivat! Przyjechała matka Jadzi – Urszula Čepasowa, która będzie nam lepiej od niańki niańczyć Kotusieńkę. Wypocznie Jadzia, wypocznie i poczciwa Paulinka, która z prawdziwym poświęceniem i we dnie, i w nocy pomagała Jadzi i dopatrywała oraz usypiała dziecko, pomimo że miała jednocześnie całą swą zwykłą pracę pokojówki i kucharki.

Przechodzę znów do zajść i cofam się do poniedziałku 12 grudnia. Zarządzenie moje o opróżnieniu i zamknięciu gmachów uniwersyteckich zostało wykonane. Uczyniono to w porze obiadowej, kiedy element gapiów i agitatorów, gromadzący się w kuluarach do dozorowania strajku i zakłócenia powagi akademickiej, rozszedł się na obiad. Nielicznych pozostałych wyproszono z łatwością. O godzinie czwartej zebrał się zwołany przeze mnie senat akademicki. Zreferowałem senatowi cały przebieg zajść; uzupełnili mój referat obaj prorektorowie – Jodelė i Blažys, o ile wzięli udział w likwidowaniu zatargu studentów z policją. Na mój wniosek senat powziął decyzję o rozciągnięciu zarządzenia o zamknięciu gmachów uniwersyteckich na pozostałe trzy dni (wtorek, środę i czwartek) do ferii świątecznych i o odroczeniu niezakończonych na dwóch wydziałach wyborów do przedstawicielstwa studenckiego do początku semestru wiosennego. Poniedziałek zakończył się bez zajść. We wtorek rano minister Tonkunas wezwał mię do siebie. Nie mogłem go o moich i senatu zarządzeniach poinformować w poniedziałek, bo sam mi powiedział, że mię tego dnia nie będzie mógł przyjąć. Minister chciał się dowiedzieć, jaki jest sens decyzji senatu o zamknięciu gmachów uniwersyteckich, co może być przez niektórych rozumiane jako granie na rękę strajkującym. Poinformowałem, że chodziło o utrzymanie spokoju i powagi akademickiej i uniknięcie zajść, które by się mogły z łatwością rozwinąć, gdyby uniwersytet pozostał otwarty, i którym trudno by nam było zapobiec wobec wszczętej w kołach studenckich akcji przeciwko prorektorowi Blažysowi, utrudniającej rolę władz akademickich. Motyw zachowania spokoju akademickiego wskazany też został w ogłoszeniu o zamknięciu gmachów uniwersyteckich. Minister niezupełnie był rad z tego, bo uważał, że wytworzyć to może przesadne wrażenie o sile tych zaburzeń akademickich. Następnie minister mię spytał, czy w kołach profesury dają się wyczuć jakieś sympatie i może nawet współdziałanie ze wszczętym przez studentów ruchem. Odpowiedziałem, że tego nie spostrzegłem i że zdaje mi się, iż tego być nie może, ponieważ w kołach naszej profesury dosyć silne są wprawdzie nastroje opozycyjne, ale tylko w duchu chrześcijańsko-demokratycznym lub ludowców, ale w żadnym razie nie w kierunku tzw. „voldemarasowym", podczas gdy w tych zajściach studenckich podniesione zostało właśnie imię Voldemarasa jako pewien sztandar ruchu; „ateitiniki" chrześcijańsko-demokratyczni wprawdzie w zajściach udział wzięli, ale nie sądzę, aby ich kierownicy solidaryzowali się z akcją provoldemarasową, co zaś do ludowców „Varpasu", to nie figurowali oni w liczbie inicjatorów niedoszłego „odczytu zbiorowego" i nikt z nich nie został w zajściach ujawniony. Wtedy po raz pierwszy z ust ministra Tonkunasa dowiedziałem się o tym, co w dalszym ciągu bardzo wyraźnie się ujawniło i co stanowi dziś wielką sensację tych zajść akademickich, które, jak się pokazuje, były tylko epizodem i jedną z inscenizacji nowej akcji politycznej o wiele szerszej i głębszej. Mianowicie Tonkunas wyraził zastrzeżenie co do moich słów o tym, że opozycja chrześcijańsko-demokratyczna nie mogłaby się solidaryzować z ruchem, wszczynanym pod hasłem Voldemarasa. Są bowiem u rządu informacje, że przed jakimś czasem jeden z liderów Chrześcijańskiej Demokracji, głośny przed laty ksiądz Krupowicz, zwrócił się do przywódców grupy „voldemarasowców", zwących się obecnie nieraz „aktywistami", z propozycją skoordynowania akcji politycznej tych grup na rzecz przewrotu rządowego, ale z zastrzeżeniem, że dowództwo zostanie w ręku Chrześcijańskiej Demokracji. „Voldemarasowcy" tę propozycję odrzucali, ale po niejakim czasie zwrócili się sami do chrześcijańskich demokratów, proponując im współdziałanie i wskazując, że chrześcijańscy demokraci mają pieniądze, których brak „voldemarasowcom", podczas gdy „voldemarasowcy" mają

więcej energii i bardziej zdecydowanych ludzi aktywistów, niż obóz chrześcijański. Czy było ściśle tak, czy inaczej i jakie były wnioski układu oraz decyzje kompromisu – to trudno ustalić, ale pewne kontakty były i w chwili obecnej działają. W dalszym ciągu jutro.

17 grudnia, rok 1938, sobota

Mamka, która była upatrzona i o której wspominałem przed dwoma dniami w dzienniku, została ostatecznie umówiona. Jest ona przychodząca. Będzie przychodziła trzy razy dziennie. Dziś zaczęła funkcje nawet. Mleka ma dosyć, choć daje tylko to, co zostaje od jej własnego dziecka. Ale Kotusieńka kaprysi i nie chce ssać jej piersi, przeto trzeba było dziś jej mleko zdajać maszynką i dawać dziecku z butelki. Kotusieńka w ogóle kaprysi i nie chce brać piersi nawet matki; przywykła do dokarmiania jej z flaszeczki przez sysołkę, z której łatwiej jej wyciągać pokarm niż z piersi, toteż chce mieć zawsze flaszeczkę.

Wracam znowu do zajść ostatniego tygodnia. Na uniwersytecie więcej zajść nie było, bo już ferie nastały. Ale wypadki są natury ogólnej. Ujawniło się niezbicie, że akcję wszczęły czynniki polityczne opozycji w kontakcie chrześcijańskich demokratów z tzw. aktywistami (voldemarasowcami), do którego to kontaktu ciążyć zaczęli i ludowcy, którzy na razie nie należeli do niego. Z początku trudno było zorientować się w naturze tego ruchu, niebawem wszakże rzecz się zaczęła klarować. Właściwe ognisko ruchu ześrodkowało się w Kłajpedzie, gdzie, jak wiadomo, rozpanoszyły się czynniki niemieckie pod wodzą Neumanna, kierowane z Niemiec i paraliżujące wszelką działalność tak rządu centralnego, jak dyrektorium autonomicznego, które straciło wszelką inicjatywę i odpowiedzialność i stało się narzędziem biernym dyrektyw, idących ze sztabu Neumanna. Czynniki litewskie społeczne w Kłajpedzie, tak społeczeństwa narodowego, jak Litwinów z Wielkiej Litwy, osiadłych w Kłajpedzie, już od dłuższego czasu były nierade i zgorszone bezwładem zupełnym rządu centralnego i fatalistycznym oddaniem Kłajpedy na los szczęścia, forsowany energicznie przez akcję niemiecką. Propozycję Kowna rozpoczęcia układów między centrum a czynnikami autonomicznymi co do uzgodnienia interpretacji statutu autonomicznego w kwestiach spornych (układy te miały się rozpocząć od narad fachowców prawników, wydelegowanych z obu stron, ze strony litewskiej miałem być ja i Tadeusz Pietkiewicz) zostały przez Kłajpedę odrzucone jako zbędne, z tą motywacją, że statut jest tak wyraźny, iż żadnych układów interpretacyjnych nie trzeba i Kłajpeda bez układów poczyni sama wszelkie wnioski z przepisów statutu. Ze strony kowieńskiej niczego nie forsowano i czekano biernie przejścia wyborów do sejmiku. Jedna więc strona, niemiecko-kłajpedzka, była czynna i bezwzględna, druga, kowieńska, bierna i bezwładna, jak zahipnotyzowana. Zmieniony został tylko gubernator. Poprzedni gubernator, Kubilius, który stracił wszelką władzę i busolę, ustąpił wraz ze swym zastępcą dr Sokołowskim. Gubernatorem mianowany został Gailius, uświadomiony działacz litewski, Kłajpedzianin rodowity, człowiek z charakterem i czysty, szanowany ogólnie tak przez Litwinów, jak przez Niemców. Narodowe społeczeństwo litewskie w Kłajpedzie, rodowite i osiadłe z Litwy Wielkiej, ze zgorszeniem stwierdzało przechodzenie wszelkich atutów władzy i wpływów w ręce zorganizowane niemieckie i zupełną impotencję Litwy. W tym czasie, już przed samymi wyborami, poruszyła się przede wszystkim młodzież litewska instytutów Handlowego i Pedagogicznego. Władze tych instytutów zarządziły przyśpieszenie ferii, zamykając instytuty. Za młodzieżą jednak stały czynniki zorganizowane polityczne. Na razie ujawniły się pewne fakty, trudne do zrozumienia. Oto w dniu wyborów do sejmiku w przeszłą niedzielę ukazały się w Kłajpedzie plakaty litewskie od imienia niby voldemarasowców, wzywające Litwinów do niegłosowania na listy litewskie, reprezentujące rzekomo te kierunki i tych ludzi, którzy przez swą dotychczasową politykę w Kłajpedzie zaprzepaściły tam sprawę litewską. Tak zwana „policja pomocnicza" Neumanna nie pozwalała Litwinom na usuwanie tych plakatów. Mogło się zdawać, że voldemarasowcy, których wódz firmowy, Voldemaras, znany jest ze swych zdecydowanych sympatii proniemieckich, grają na rękę Niemców, łącząc z ich akcją w Kłajpedzie losy Litwy całej. Atoli przywódca voldemarasowców, Sliesoraitis, sam się zgłosił do radia litewskiego w Kłajpedzie i oświadczył, że plakaty te nie mają nic

wspólnego z voldemarasowcami. Jednocześnie wszakże ukazało się w Kłajpedzie pisemko „Žygis”, zwrócone ostro przeciwko rządowi.

18 grudnia, rok 1938, niedziela

Pisemko „Žygis” ukazało się w Kłajpedzie jednocześnie z rozpoczęciem ruchów studenckich w instytutach kłajpedzkich i na uniwersytecie w Kownie. Ruchy te rozpoczęły się z Kłajpedy jako protest przeciwko bezwładowi i brakowi wszelkiej inicjatywy rządu w obliczu groźnego ruchu niemieckiego tamże i jako żądanie ustąpienia całego rządu (z prezydentem włącznie) i zastąpienie go przez rząd konsolidacji wszystkich żywych sił narodowych. Tej samej krytyce i żądaniom opozycyjnym poświęcone było te pisemko „Žygis”. Zaczęło ono wychodzić w Kłajpedzie, albowiem tylko tam są teraz warunki wolności pracy bez żadnej cenzury, faktycznie stworzone przez odruch niemiecki, który po 1 listopada (data odwołania stanu wojennego w Kłajpedzie) zniósł faktycznie wszelkie pęta i ograniczenia, narzucone przez rząd centralny. Faktycznie nie ma więc tam cenzury i pozbawione są faktycznie wszelkiej władzy działania organy policji bezpieczeństwa państwowego, funkcjonującej z ramienia centrum. To czyni, że z warunków tych w Kłajpedzie korzystać mogą nie tylko Niemcy, którzy stan ten wytworzyli siłą nacisku bezwzględnego, ale też korzystać może opozycja litewska, która tu w Wielkiej Litwie warunków tych nie ma. Ale właśnie ta okoliczność, że akcja opozycji litewskiej ześrodkowała się w Kłajpedzie pod faktyczną osłoną skrzydełka niemieckiego, czyniła na razie wrażenie, że ruch ten jest protegowany przez Niemców i gotów jest oddać Litwę dyspozycji wpływów niemieckich. Wrażenie te zasilało się jeszcze tym, że w ruchu tym maczali także ręce voldemarasowcy, którzy przez samo imię swego firmowego wodza Voldemarasa, znanego ze zdecydowanego germanofilstwa politycznego, są pomawiani o akcję proniemiecką, a wreszcie także ten fakt, że w wynurzeniach tego ruchu było powoływanie się na wzory z Czechosłowacji, zalecające ustąpienie dotychczasowego rządu, który rzekomo doprowadził państwo do katastrofy, i sławiące utworzenie u steru państwa konsolidacji narodowej, jak w Czechosłowacji obecnie. Wiadomo zaś, że ta konsolidacja czechosłowacka, dokonana tam obecnie po zaborze przez Niemcy Sudetów, jest podległa dyrektywom z Niemiec i uczyniła Czechosłowację obecną ekspozyturą polityczną Niemiec. Z zestawienia tych wszystkich wniosków otrzymywało się wrażenie, że ruch opozycyjny, skierowany do obalenia rządu i ogniskujący się w Kłajpedzie, działa w kontakcie politycznym z Niemcami i choć występuje w obronie utrzymania Kłajpedy w państwowości litewskiej, ale bodaj za cenę włączenia do systemu politycznego Niemiec całej Litwy i uczynienia z niej ekspozytury niemieckiej, rozciągającej nowy korytarz czy mackę wpływów niemieckich na północny wschód jako „*pendant*” do równoległego korytarza czy macki niemieckiej na południowym wschodzie w postaci „skonsolidowanej” Czechosłowacji. Korytarz czechosłowacki i korytarz litewski – to nowe gościńce niemieckiego „Drang nach Osten” – oto co się zdawało wyczuwać w pierwszych wrażeniach o tym nowym ruchu opozycji, płynącym z Kłajpedy.

19 grudnia, rok 1938, poniedziałek

Dziś w moim przeładowanym dzienniku zrobię przerwę i nie napiszę dużo. Mieliśmy dziś na obiedzie Eugeniuszostwo Römerów, Andrzeja Mieczkowskiego i Feliksa Mackusa. U Eugeniuszostwa znowu nowina rodzinna. Ich syn starszy Redzio (Roch-Edward Römer) zaręczony jest z niejaką panną, zdaje się, Filską ze Lwowa. Eugeniuszostwo jej nie znają, ale wiedzą o niej, bo to jest miłość od kilku lat, wypróbowana.

Naszą Kotusieńkę oglądał dziś po raz drugi dr Matulewicz. Uznał, że rozwija się dobrze i że żadnych braków nie ma. Ciekawa rzecz, ile jej w tym tygodniu wagi przybędzie. Obecnie przeszło połowa jej pokarmu składa się z mleka kobiecego – od Jadzi i od mamki.

20 grudnia, rok 1938, wtorek

Kotusieńka skończyła dziś sześć tygodni. Daj Boże, żeby się hodowała zdrowo. Chrzciny jej są wyznaczone na wtorek 3 stycznia 1939, to znaczy równo za dwa tygodnie. 30 grudnia w piątek ma

przyjechać Kotunia Pruszanowska, która będzie chrzestną matką małej; poprzednio zaś mam pojechać na trzy dni do Bohdaniszek; zabawię tam 26, 27 i 28 grudnia.

Wracam do wypadków politycznych z dwóch tygodni poprzednich. Pozory proniemieckie ruchu litewskiego opozycyjnego, zogniskowanego w Kłajpedzie, ujaskrawione zwłaszcza przez imię Voldemarasa, a także przez fakty, które zaznaczyłem poprzednio, w dalszym ciągu znacznie się rozproszyły. Przede wszystkim, rozproszył je wiec, zaimprowizowany przez młodzież litewską w Kłajpedzie (bodajże w poniedziałek 12 grudnia) z udziałem elementów dojrzałych opozycyjnych i zwłaszcza dr Pajaujisa, bliskiego ludowcom, znanego działacza i publicysty oraz lektora w jednym z instytutów kłajpedzkich. Jest to ten sam Pajaujis, którego aresztowanie za udział w spisku przewrotowym w kwietniu roku 1927 doprowadziło do rozwiązania przez rząd Sejmu i ostatecznego obalenia pierwszej konstytucji z roku 1922. Pajaujis był wtedy sądzony przez Sąd Wojenny i bodajże skazany na karę śmierci, ale ułaskawiony, po czym spędził parę lat za granicą, obecnie zaś od lat kilku mieszka w Kłajpedzie. Zdolny to człowiek i ekonomista biegły, który nadawałby się nawet do profesury na uniwersytecie (Janulaitis już się nad tym zastanawia, tylko wątpię, żeby rząd zgodził się na dopuszczenie go, jako opozycjonisty zdecydowanego, do uniwersytetu), choć trochę podobno pijak nałogowy. Otóż na wiecu tym Pajaujis, obecnie jeden z czterech Litwinów, wybranych do sejmiku kłajpedzkiego, wygłosił dużą i ciekawą mowę. Ten wiec odbył się w gmachu gimnazjum litewskiego w lokalu Instytutu Handlowego, który był z rozkazu rektora Instytutu Ernesta Gałwanowskiego zamknięty. Wiecownicy włamali się do gmachu i okupowali lokal samorzutnie. Sfery rządowe w Kownie wskazują, że i tu rzekomo była ręka policji „Ordnungsdienstu" dr Neumanna, bo gdy w Kownie taki wiec samorzutny oczywiście byłby nie dopuszczony i przez policję rozegnany, tam w Kłajpedzie, która jest we władzy czynników policyjnych „Führera" niemieckiego Neumanna, opozycja litewska działać może swobodnie i może włamywać się do gmachów. Z pewnością pewne mechaniczne opieranie się na czynnikach niemieckich ma miejsce w akcji opozycji litewskiej w Kłajpedzie, bo gdy akcja „Führera" Neumanna uchyliła tam władzę organów państwowych, to faktycznie z tej wytworzonej „swobody" na równi z Niemcami korzystać może i opozycja litewska – nawet dla swojej akcji zarówno przeciwrządowej, jak przeciwniemieckiej, ale merytorycznie nie stanowi to bynajmniej gry charakteru proniemieckiego. Mowy i obrady na tym wiecu nie były bynajmniej proniemieckie.

21 grudnia, rok 1938, środa

Dziś na obiedzie Rotary-Clubu członek klubu burmistrz Merkys opowiadał o przyjęciu, które mu zgotowała Warszawa. Latem przyjeżdżał do Kowna prezydent miasta Warszawy Starzyński, ale przyjeżdżał prywatnie i żadnych uroczystości, związanych z jego przyjazdem, tu w Kownie nie było. Podejmował go wprawdzie wtedy Merkys u siebie, ale tylko prywatnie. Na jego zaproszenie Merkys, który bawił niedawno w Szwajcarii, w drodze powrotnej wstąpił do Warszawy, sądząc, że pobyt jego w Warszawie będzie także prywatny i że co najwyżej będzie podejmowany przez prezydenta miasta. Tymczasem Warszawa nadała wizycie Merkysa charakter wielkiej manifestacji. Przyjmowano go prawie że po królewsku. Przez czas swego pobytu stał się on sensacją Warszawy, demonstrującej przy tej okazji swoje sympatie dla Litwy. Już na dworcu kolejowym spotkano go z wielką pompą. Program uroczystości był przeładowany. Był podejmowany obiadem u wiceministra spraw zagranicznych Arciszewskiego, wielkim rautem z ramienia Rady Miejskiej, innym przyjęciem jeszcze, urządzono na jego cześć uroczyste posiedzenie Rady Miejskiej, był witany przez wysokich dostojników, składał wizyty, był wszędzie oprowadzany, raczej obwożony, brał udział w otwarciu jakiejś nowej arterii ruchu, zwiedzał zamki, muzea, pałace, zabytki, stare i nowe dzielnice miasta, w ogóle od wczesnego rana do późnej nocy był w ciągłym ruchu, przez cały czas ani na chwilę nie był puszczony samopas i ani jednego kroku nie przeszedł po ulicach Warszawy piechotą. Na wszystkich przyjęciach wszędzie były dekoracje w barwach litewskich, wszędzie znaki Pogoni, serdeczne gorące mowy, powitania, komplementy. Od Rady Miejskiej Warszawy przywiózł Radzie Miejskiej Kowna w prezencie piękną łyżkę wazową (zdaje się), ogromną, z grubego kutego srebra inkrustowanego z

ozdobami, a oprócz tego Warszawa ofiarowała ze swego ogrodu zoologicznego piękną kolekcję zwierząt dla młodego ogrodu zoologicznego w Kownie (w tej kolekcji piękny żubr i szereg innych zwierząt grubych – kolekcję tę przyjmuje obecnie w Warszawie prof. Tadeusz Iwanowski). Pobyt Merkysa w Warszawie był jak z bajki. Polska, która w ogóle ma dużo sentymentu dla Litwy, w chwili obecnej szczególnie o Litwę zabiega, albowiem konstelacja międzynarodowa zarysowała pewne kontrasty między Polską a Niemcami na gruncie pchania się Niemców przez korytarz czechosłowacki na wschód na Ukrainę i Polska zaniepokojona jest ewentualnością usiłowań niemieckich do przebicia drugiego korytarza na północnym wschodzie przez Litwę poprzez Kłajpedę, toteż gorąco ofiarowuje Litwie swoje poparcie w sprawie kłajpedzkiej. Choć Merkys zdawał relację swą z wizyty warszawskiej powściągliwie, to jednak przysięgłym wrogom Polski, nienawidzącym wszystko, co tchnie Polską, jak inżynier Witold Landsberg, dr Juška, to się już nie podobało. Solą w oku jest dla nich każdy gest zbliżenia z Polską.

22 grudnia, rok 1938, czwartek

Skończyłem dziś mój cykl wykładów prawa konstytucyjnego w Wyższej Szkole Wojennej.

Wieczorem byłem na urządzonym przez Związek Dziennikarzy akcie uroczystym, poświęconym 20-leciu niepodległości. Akt ten odbył się w wielkiej sali „Karininkų Ramovė“. Na program złożyło się parę przemówień okolicznościowych (redaktor Kemežys i prezes Związku Pisarzy Liudas Gira) i numery koncertowe deklamacji i śpiewu, wykonane przez artystów teatru. Ale publiczności było niewiele.

Jeszcze o wypadkach ruchu opozycyjnego. W wystąpieniach mówców na wiecu młodzieży w Kłajpedzie i zwłaszcza w przemówieniu Pajaujisa był ton męski, zwrócony bynajmniej nie tylko przeciwko rządowi, ale także przeciwko roszczeniom niemieckim w Kłajpedzie, zapowiadający czynne przeciwstawienie się zorganizowanego czynnika litewskiego zorganizowanemu czynnikowi niemieckiemu, o ile tenże usiłuje kraj terroryzować. Jest w tym ruchu, a przynajmniej jego tezach, bo wykonanie tychże może zawieść, pewne podobieństwo do akcji naradzającego się faszyzmu włoskiego przeciwko leninizmowi w latach 1920-1921: rząd bierny i bezwładny, zastraszony i nie zdobywający się na żadne decyzje i ruch czynny akcji bezpośredniej dwóch przeciwnych obozów w samym społeczeństwie. Ruch ten ze strony litewskiej jest równie antyrządowy, jak antyniemiecki (przeciwko akcji Neumanna) w Kłajpedzie. Sytuacja jest paradoksalna przez to, że ruch ten korzysta z immunitetu faktycznego, stworzonego w Kłajpedzie przez Niemców: akcja Neumanna sparaliżowała władzę państwową w Kłajpedzie, zapewniając przez to immunitet nie tylko sobie, ale i czynnikom społecznym litewskim, zwróconym przeciwko tej akcji. Tylko że neumannowcy tej akcji litewskiej się nie boją, bo liczą na swoją siłę faktyczną i na sterroryzowanie ludności krajowej.

23 grudnia, rok 1938, piątek

Może się myliłem, gdym na podstawie bodaj tylko jednej mowy dr Pajaujisa na wiecu improwizowanym w Kłajpedzie (zresztą sam mowy tej nie czytałem, jeno znam ją z opowiadania, więc bardzo być może, że opowiadający mi ją zabarwił po swojemu), gdym na podstawie tej jednej, powiadam, mowy sprostował i obalił wszelkie poszlaki o bliskim kontakcie, wiążącym nacionalsocjalistyczną akcję niemiecką Neumanna z akcją usadowionej w Kłajpedzie opozycji litewskiej. Pisemko opozycyjne litewskie „Żygis“, które się ukazało w Kłajpedzie i ostro zaatakowało rząd litewski i całą politykę państwową w Kłajpedzie, było na razie skonfiskowane z rozporządzenia władz autonomicznych (bodajże prokuratury kłajpedzkiej). Władze te, aczkolwiek zupełnie powolne akcji Neumanna, formalnie zachowują pozory lojalizmu. Konfiskata numeru okazowego „Žygis“, jak się później okazało, była spowodowane przez to, że w numerze tym ukazał się między innymi artykuł, skierowany osobiście przeciwko prezydentowi Smetonie. Otóż prokuratura nakazała konfiskatę na tej zasadzie, że ustawy niemieckie, obowiązujące w Kłajpedzie, przewidują konfiskatę druków, zawierających napaść na głowę państwa. Jednak niebawem pisemko „Žygis” zaczęło się ukazywać w Kłajpedzie nadal, tylko bez tego artykułu, zwróconego osobiście

przeciwko Smetonie. Władze kłajpedzkie stoją formalnie na stanowisku wolności prasy, odzyskanej po zniesieniu stanu wojennego. Dlatego też formalnie nic je nie obchodzi to, że pisemko to jest w opozycji do rządu. W ogóle czynniki hitlerowskie, które nie tolerują najmniejszej krytyki władzy, gdy już same formalnie u władzy stanęły, i nie dopuszczają żadnego cienia wolnej dyskusji albo niezależnej myśli po zmonopolizowaniu władzy, umieją po mistrzowsku używać broni liberalizmu i wolnego ścierania się poglądów w demokracji, dopóki zdobywają władzę i na rzecz obalenia liberalizmu i wolności. Nikt wtedy bardziej od nich nie broni konsekwentnie i nie korzysta ze wszystkich „wolności" klasycznych. Otóż pisemko „Žygis" ukazuje się nadal w Kłajpedzie. Tam jest ono dla władz państwowych litewskich poza sferą dosięgalności, więc może się drukować i szerzyć bezkarnie. Oczywiście też stamtąd jest ono gorliwie kolportowane do Wielkiej Litwy. Ja sam go jeszcze nie czytałem, bo nie dostało się ono do rąk moich, ale od bardzo wielu osób miałem już relacje dokładne o nim. I oto ciekawe i charakterystyczne są w tym pisemku następujące cechy: a. podkreślanie ciągłe osoby Voldemarasa jako kandydata do rządów Litwy, b. oskarżanie rządu o to, że doprowadził do obecnego stanu rzeczy w Kłajpedzie, to znaczy do konfliktu ostrego Kłajpedy z państwem litewskim i zalecanie porozumienia się z Neumannem, co chyba jest zbieżne z podporządkowaniem się zupełnym Litwy dyrektywom z Niemiec i staniem się ekspozyturą niemiecką, c. śrubowanie skrajnego nacjonalizmu litewskiego, *sui generis* rasizmu litewskiego jako zasady rządów w Litwie. Są też podobno i inne zarzuty i pretensje oraz roszczenia, dotyczące w szczególności także uniwersytetu w myśl żądań teologów naszych (emancypacja zupełna wydziałów na uniwersytecie, co umożliwiłoby serdeczne pożądanie naszych klerykałów na rzecz utworzenia z Wydziału Teologicznego miniatury uniwersytetu katolickiego w uniwersytecie powszechnym. Jest to więc związek Chrześcijańskiej Demokracji z progermanizmem Voldemarasa, akceptujący zasady rasizmu hitlerowskiego, przeszczepianego na Litwę i gotowe uczynić z Litwy ekspozyturę polityczną Niemiec. Za tę cenę pojednanie z Neumannem byłoby może możliwe, ale jakaż to cena!!

24 grudnia, rok 1938, sobota

Tradycyjny dzień kucji. Zdaje się, że po raz pierwszy spożywamy z Jadzią kucję nie w Bohdaniszkach, lecz w Kownie. Kotusieńka nasza jest jeszcze tak mała, że niepodobna z nią podróżować. Na kucję zaprosiliśmy Mackusa, który jest samotny. Do stołu więc wigilijnego zasiedliśmy: my z Jadzią, matka Jadzi Urszula Čepasowa, Renia Bagdonasówna, Feliks Mackus i nasza służąca Paulinka Nowicka. Dla kompletu rodzinnego Jadzia wciągnęła do pokoju jadalnego także wózek ze śpiącą w nim naszą małą Kotusieńką, która przez cały czas spała cichutko. Jadzia i ja włożyliśmy jej do usteczek po miniaturowym kawałku opłatka.

W roku przeszłym na kucji w Bohdaniszkach życzyłem Jadzi, żebyśmy się za rok już pobrali. Ale któż z nas myślał, że na kucję następną nie tylko już zasiądziemy do stołu jako małżonkowie, ale że i żywe dzieciątko nasz związek już uwieńczy. Rośnij zdrowo, dziecinko!

Kotusieńka nasza ma charakter. Nie sądziłem, żeby takie małe dziecko miało już swoje kombinacje. Ma je ona, choć naturalnie bardzo elementarne. Taką kombinację jest jej niechęć do ssania piersi. Im dalej – tym bardziej. Każdą razą, gdy nadchodzi karmienie, jest ta sama historia: gdy się małej podaje pierś, bądź Jadzi, bądź mamki – zaczyna się krzyk i cała awantura: mała nie chce wysysać mleko z piersi, bo wygodniej jest i łatwiej pić mleko z buteleczki przez sysułkę. Ponieważ ją stale od początku z buteleczki dokarmiano, więc teraz domaga się buteleczki, którą woli i piersi nie bierze. Trzeba mleko zdajać i z buteleczki karmić.

Na kucję mieliśmy śledzie w różnych kształtach i przyrządzeniach, barszcz z pierożkami, nadziewanymi grzybami, szczupaka po żydowsku, karpie smażone, kisiel, kompot, pszenicę pieczoną, śliżyki i mleko makowe. Najedliśmy się aż pękaliśmy.

25 grudnia, rok 1938, niedziela

Święto Bożego Narodzenia. Mocna etyka chrześcijańska i niewzruszona dyscyplina uczuć ludzkich w zasadach braterstwa i miłości przydałaby się dziś zaiste tak pojedynczym ludziom, jak

państwom i narodom. Egoizm i okrutne prawo wilcze w stosunkach między narodami – to dziś bożyszcze wszystkich modnych doktryn politycznych i zasad organizacji państwa. *Sacro egoismo* faszystowskie w państwie narodowym totalnym – to nowy dogmat, szerzący hipnozę w Europie. Narody i państwa stają się pogańskie, rządzone przez pogan, którzy panują i kierują wielki lud prosty chrześcijan. I oto coraz bardziej dziś ci, co niedawno jeszcze walczyli z kościołami pod hasłem wolnej myśli, którą kojarzyli jednak z głębokiei przeżytkami chrześcijańskiej miłości i braterstwa, zaczynają czuć swój solidaryzm z Kościołem, który jednak utrwalał ideały, deptane dziś przez okrucieństwa neopoganizmu.

Odwiedziłem dziś mojego poprzednika, byłego rektora uniwersytetu, który jest obecnie tylko emerytem i biednym wylosowanym szczątkiem ludzkim. Wiedziałem, że jest on schorowany, bo się właśnie robią przez uniwersytet starania o uzupełnienie w drodze uchwały Rady Ministrów emerytury do całkowitego poziomu pensji normalnej czynnego profesora zwyczajnego. Czapiński jest zagrożony ślepotą, nie może czytać i pisać, poza tym cierpi na anginę pectoris. Żyje samotnie ze swoją starą głuchą żoną, Rosjanką rodowitą, która jeno przez trąbkę coś słyszeć może. Nie odwiedzałem go nigdy dotąd, bo w ogóle nie odwiedzam bez zaproszeń nikogo, ale czułem, że powinienem starca, mojego kolegę poprzednika na stanowisku rektorskim odwiedzać, czyniąc to choćby przez akt współczucia elementarnego. Smutne robią wrażenie tych dwoje staruszków samotnych, wylosowanych z życia i wiodących już niepotrzebne życie jałowe świecy gasnącej. Co prawda Czapiński jest jeszcze żywy, ma temperament, ale już nie ma dlań ujścia. Nic już bowiem robić nie może. Straszne to jest dla człowieka inteligencji i pracy. Każdego z nas to czeka, ale może mnie uratuje poniekąd od tego moja mała Kotusieńka, która mi zastąpi kiedyś utraconą pracę naukową, wytykając nowy cel rodzinny – wyhodowanie jej i wykształcenie na człowieka.

Wieczorem wyjechałem z Kowna. Jadę do Bohdaniszek na dni 3-4. Czuję się przeziębiony, mam katar duży, źle spałem ubiegłej nocy. Może należałoby się raczej do łóżka na przeziębienie położyć, niż się puszczać w drogę. Ale się w Bohdaniszkach zapowiedziałem, mam tam trochę interesów i cofać jazdy nie chcę. Mam też wrzód bolesny na prawej ręce przed łokciem. Wrzód już pękł, ale materia jeszcze ciecze i zbiera się nawet, tak że do zagojenia bodaj jeszcze daleko. Wrzód jest bolesny i przykry. Mam do wrzodu i dolegliwości skórnych wielką skłonność. Zdaje się, ta jest to pewna forma przeziębienia. Może katar wypędzi wrzód.

26 grudnia, rok 1938, poniedziałek

Przyjechałem rano do Bohdaniszek. Z Abel jechałem kołami, w mojej żółtej bryczce parokonnej, zaprzężonej w Nemunasa i Pajaca, którego służba przezwało brzydko, ale charakterystycznie „Peckielem” („Peckelis”). Śniegu jest już tutaj dużo, miejscami nawet zaspy wielkie, ale śnieg – sypki, bo napadał niedawno i odwilży nie było. Niektórzy więc jeżdżą już saniami, inni – kołami. Płozy lub koła przecinają jeszcze śnieg i sięgają grudy, która się uformowała przez poprzednie ostre mrozy.

W Bohdaniszkach mój dom zastałem dobrze ogrzany. Po herbacie i dobrym posiłku wiejskim obszedłem dobytek gospodarski – ptactwo, świnie, konie, oborę, zboże, poszor. Wszystko w dobrym stanie, tylko poszoru małowato; zboża też nie nazbyt dużo. Owsa i jęczmienia będzie na wiosnę trochę na sprzedaż, ale żyta zabraknie i na ordynarię, i na chleb. Łabędź mój doskonale się hoduje w ptaszniku, kaczki brazylijskie czy bizantyjskie – także. Młode kaczorki, które karmił Gudowicz, wyrosły na typowe kaczory, syczące i napadające jak stary kaczor ich ojciec, którego w jesieni Sajma zagryzła, broniąc się przed jego napaścią. Para perliczek – zdrowa, bażanty samczyki – prosperują, samczyk złoty bażant kwadruje w klatce z parką białych gołębi. Zdechła tylko samiczka bażanta. Miło w Bohdaniszkach, choć koszt gospodarstwa wielki. Drzewek tej jesieni nasadzono bardzo dużo, owocowych i zwłaszcza dekoracyjnych. Mój dwór tak się pięknie zadrzewia, że radośnie jest patrzeć. Teraz zimą są tylko drzew i drzewek szkielety, ale bądź co bądź dekoracje coraz lepsze, a z wiosną co roku piękniej.

Po południu przyjechał ksiądz proboszcz Raščius z Krewien. Zaprosiłem go zawczasu dla dokonania poświęcania dwóch krzyżów – krzyża na grobie Maryńki na mogiłkach bohdaniskich i litewskiego krzyża kapliczkowego za stawem u domu mego. Jednocześnie poświęcił on obraz pędzla Stefana Römera, przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem Jezus u stóp. Poświęcenia tego obrazu dokonałem na kategoryczne domaganie się starego Kazimierza, dla którego obraz ma tyle tylko wartości, ile jest pokropiony przez księdza. Ale niech się stanie zadość woli i uczuciom ludzi maluczkich i prostych, którzy przez tę swoją wiarę w święconą wodę z pewnością nie są gorsi, jeno są o wiele lepsi i bardziej ludzcy od wielkich mocarzy świata, którzy trzęsą państwami i szerzą bezprawie między narodami i ludźmi.

27 grudnia, rok 1938, wtorek

Przyjechałem do Bohdaniszek na trzy dni tylko i oto nawet w tym krótkim pobycie nie uniknąłem wizyty studentów dla egzaminu. Jazda do Bohdaniszek na egzaminy jest popularna wśród studentów. Toteż całe mnóstwo ich czekało świąt Bożego Narodzenia, odkładając egzaminy na ten czas. Nie mogłem ich zadowolić wszystkich. Mogłem uczynić ustępstwo dla jednej jedynej grupy, której wyznaczyłem dzień dzisiejszy. Przyjechało ich pięciu: czterech prawników z Kowna i jeden ekonomista, Kirlys, z gminy komajskiej. Ten ostatni ściął się. Inni zdali, ale żaden – celująco. Egzaminy zajęły cały krótki dzień zimowy. Studenci odjechali o zmroku. Nie mogłem wybrać się przeto do Gaju, chociaż w ogóle ze względu na przeziębienie staram się przebywać w cieple i wycieczek nie robię. Pieszo do Gaju iść teraz trudno, bo śnieg kopki.

Stan zdrowia mojego lepszy, katar przechodzi. Ale wrzód na prawym ręku w okolicy łokcia nie goi się. Pękł od dni kilku, ale materia się wciąż sączy. Obwiązuję go bandażem, a na otwór wrzodu nakładam maść czarną. Po odbandażowaniu i wyciśnięciu trochę materii płynnej jak woda doznaję ulgi, ale po dłuższym obwiązaniu znów w wielkim promieniu dokoła wrzodu boli mię ciało przy naciśnięciu i swędzi trochę. Niepokoję się tym trochę. Chyba się udam do lekarza w Kownie. Mam wielką skłonność do wrzodów i wszelkich dolegliwości skórnych.

Pod wieczór przyszedł do mnie Ignacy Čepas, ojciec Jadzi. Siedział bardzo długo, trochę mię zmęczył i znudził. Plótł, opowiadał, radził się, gawędził po swojemu, narzekał na syna... Zachwalał mi zaścianek Jadzi, zalecał utrzymanie go w postaci obecnej; zdaje się, że usiłował mię nakłonić do wydzierżawienia go nadal Čepasom, raz nawet zaproponował zamianę tego zaścianka Jadzi na parcelę ziemi, nabytą przez Urszulę Čepasową ze spadku po Maryni. Odkłoniłem to nie tylko dlatego, że zaścianek Jadzi, choć odliczywszy las jest mniejszy od parceli Čepasowej, ma lepszą ziemię, jest zabudowany, ma ogród, podczas gdy parcela Čepasowej jest pusta, ale także i zwłaszcza dlatego, że chodzi mi o utrzymanie naszej ziemi właśnie dokoła Gaju. Nadmieniłem natomiast Čepasowi, że ostatecznie tak Jadzia, jak Janek są równie jego dziećmi i przeto, o ile o rodziców Jadzi chodzi, to będą mogli równie dobrze znaleźć ewentualnie przytułek i zajęcie w zaścianku Jadzi, jak u syna, co go bardzo zjednało. Bardzo mu się też podobał mój pomysł dokupienia ewentualnie zaścianka Antoniego Malčiusa za Gajem i zaściankiem Jadzi, co by pięknie zaokrągliło zaścianek Jadzi i razem uwolniło Gaj od ciągłego szkodnika, stale kradnącego las. W ogóle teraz po urodzeniu córki naszej traktuję zaścianek Jadzi łącznie z Bohdaniszkami, bo w osobie Kotusieńki własność moja i Jadzi stapiają się w jedno.